

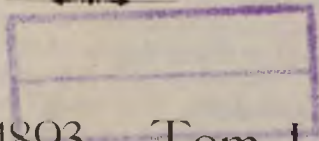
BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 209.

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE

poświęcone naukom, sztukom i sprawom społecznym.



Rok 1893.—Tom 1.



WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ulica Foksal Nr 6.

1893.

4620 . 1893 . 1

II  
/



20.000,-

Дозволено Цензурою.

Варшава, 30 Декабря 1892 года.

X-14310
4620 / II
/1893

---

# REPREZENTACYA STANOWA W POLSCE,

## jéj ustrój i zakres władzy publicznej.

---

1. „*Volmina legum.*“—2. Pawiński: „*Rządy sejmikowe w Polsce*“ i „*Skarbowość w Polsce i jéj dzieje za Stefana Batorego.*“ — 3. Kojałowicz: „*Dziennik lubelskiego sejmu.*“ — 4. „*Dziennik sejmów walnych koronnych za panowania Zygmunta Augusta 1555 i 1558.*“ — 5. Bobrzyński: „*Sejmy polskie za Olbrachta i Aleksandra.*“—
6. Szujski: „*Dyaryusze sejmów koronnych 1548, 1553 i 1570.*“— 7. Hofman: „*O zarządzie skarbu publicznego w dawnéj Polsce.*“ — 8. „*Rozmowa plebana z ziemianinem, albo dyskurs o postanowieniu terażniejszym Rzpltej y sposobie zawierania sejmów*“ (1641).—9. „*Dyaryusz sejmu piotrkowskiego 1565.*“—10. Karnkowski: „*Exorbitancye i naprawa koła poselskiego.*“—11. Łebński: „*De nuntiorum terrestrium in Polonorum Republica, origine, conditione rebus gestis.*“ — 12. Bielski: „*Kronika*“ (wydanie Turrowskiego). — 13. Konarski: „*O skutecznym rad sposobie.*“ — 14. Nehring: „*O życiu i pismach J. Dymitra Solikowskiego.*“—15. Balzer: „*Studia nad prawem polskiém.*“—
16. Feliks Zieliński: „*Poszukiwania historyczne nad finansami polskimi w XIV i XV wieku.*“—17. Larisch: „*O podskarbach wielkich, ich obowiązkach i podwładnych aż do roku 1764.*“—18. „*Chleb niezdrowy, stacye żołnierskie z dóbr kościelnych (1661).*“—19. Roepell: „*Das Interregnum.—Wahl und Krönung von St. August Poniatowski.*“ — 20. Bartoszewicz: „*Hetmaństwo.*“—21. Zakrzewski: „*Po ucieczce Henryka.*“—22. Balzer „*Geneza trybunału koronnego.*“ — 23. Stanisłai Gorscii: „*Conciones in conventu 1537.*“ — 24. Jan hr. z Ostroga, wojewoda poznański: „*Sławney koronie polskiej z wielu narodów z woli Bożey w jedno ciało Rzeczypospolitey, pod jednym Królem złożoney i jako narodowi swemu własnemu stare swe służby a życzliwe braterska.*“ W Zamościu, 1620.—25. „*Traktat de offensivo bello. Abo uprzeyme a życzliwe wiernego Polaka do wszech obywatelów koronnych podanie y napomnienie do Rządu, y gotowey potężności w Rzeczypospolitey Polskiej ad offensivum Bellum i t. d. (1612).*“—
26. Krzyżanowski: „*Andrzej Ciesielski, studyum polityczne z XVI wieku.*“

## Stany sejmikujące i sejmujące.

W drugiej połowie XV-go stulecia, gdy reprezentacya stanowa poczęła się przestawiać w instytucyę stale funkcyonującą, nie spotykamy jej od początku w ustroju pełnym i w hierarchicznem ustosunkowaniu części do całości, lecz w rozczłonkowaniu, gdzie każdy organ reprezentacyjny w obrębie terytoryalnym, zwanym ziemią, powiatem, województwem lub prowincją, zajmuje samodzielne wobec sejmów całego państwa stanowisko. Jak federacyjne związki pierwszej połowy XV-go wieku miały przeważnie lokalne znaczenie, tak samo stany sejmikujące zawarły się często w bardzo szczupłym obrębie i, zanim zdołały wysłać pełnomocników do sejmu, musiały przechodzić przez kilka stadyów zgromadzeń większych. Dogodności praktyczne skłaniały szlachtę do zgromadzania się w pobliżu ognisk domowych własnych, zwłaszcza że wysyłanie posłów do odleglejszych miejscowości połączone było z rozlicznymi kłopotami, a przedewszystkiem z materialnym wydatkiem. Wobec jednak klęsk powszechnych, domagających się ratunku od zagłady, i wobec potrzeb nagłych, wołających o zaspokojenie, koniecznym się okazało utworzenie z posłów wszystkich powiatów i ziem—ciała, które-by przedstawiało „corpus totius Reipublicae.“

Ustosunkowanie hierarchiczne względem siebie dwóch organów współcześnie działających, czyli określenie prawne sfery działania stanów sejmikujących na sejmikach powiatowych, wojewódzkich i prowincjonalnych, odnośnie do stanów sejmujących na sejmach Rzeczypospolitej, odegrać musiało ważną rolę w rozwoju reprezentacyi i nadać konstytucyi całego państwa wybitne piętno. Począwszy od roku 1454, sejmiki zagarnęły wobec władzy monarchicznej, oraz sejmów, dominujące stanowisko i zdradzały wyniosłego ducha, jakby poczętego z konfederacyi. Rościły one sobie do tego prawo, aby Król wraz z sejmem ani wojny wypowiedać, ani podatków nakładać, ani żadnego doniośszego aktu bez ich zezwolenia wykonywać nie mógł, a sejmy miały jedynie moc zezwalania, poruczoną przez sejmiki, i po-za specjalne pełnomocnictwo, zwane instrukcją, wykroczać im nie było wolno. Prof. Pawiński udowadnia, że instrukcye, dawane posłom w celu ograniczenia władzy sejmowej (potestas limitata), weszły głównie w zwyczaj od czasu utrwalenia się monarchii elekcyjnej. Pojęcie jednak jurydyczne instrukcyi, a tém samém i typowy charakter pełnomocnictwa posłów, rozwinęły się w pełni już za Zygmunta Augusta.

Posłowie uważali się przedewszystkiem za pełnomocników powiatu, ziemi, województwa lub prowincyi, w których na sejmiku zostali

wybranymi, a o swęj quasi-privatnej umowie z wyborcami bynajmniej w sejmie nie zapominali. Instrukcyja określała zakres poselskiej władzy, a gdy Monarcha w nagłej potrzebie żądał przekroczenia pełnomocnictwa, deklarowali się posłowie nawet przyjąć ciężar na własne barki, lecz nie chcieli do niczego zobowiązywać „braci.“ Ponieważ niejednokrotnie instrukcyje były ustnemi i Król podejrzewał posłów o egoizm indywidualny, osłoniony obłudnie rozkazem swęj ziemi, przeto zdarzały się wypadki, że Monarcha oskarżał posłów przed sejmikami, zarzucając im nieobywatelskie postępowanie. Sejmiki tym sposobem ocaliły samoistność swych ziem, powiatów lub województw na sejmach Rzeczypospolitej. Dość wczesnie powstał zwyczaj odprawowania po sejmie sejmików relacyjnych, zwolywanych przez wojewodów lub starostów, na których posłowie zdawać mieli sprawę z czynności sejmowych. Utrwalenie się zwyczaju odbywania sejmików relacyjnych od roku 1589 należy przypisać podobno Janowi Zamoyskiemu, który, strwożony wzrostem władzy poselskiej, chciał tym sposobem kaprys, czy egoizm indywidualny, okiełznać kontrolą województw.

Od drugiej połowy XVI-go wieku wpływ sejmików musiał rosnać niestannie, oraz podkopywać moc obowiązującą uchwał sejmowych. Monarchowie oburzali się niejednokrotnie na podobną uzurpację sejmowej władzy przez sejmiki, jednakże, w chwilach naglącej potrzeby, lub podrażnieni egoizmem izby poselskiej, sami odwoływali się do sejmików, jako do samoistnych autonomicznych organów. Zygmunt August uciekał się do podobnego środka, gdy posłowie na sejmie nie chcieli uchwalić poborów, Stefan Batory, gdy zwołanie sejmu utrudnionem zostało położeniem politycznem, a za Zygmunta III-go już sejmiki relacyjne nie lękały się obalać prawodawczego dzieła sejmów. Również pozyskały sejmiki wczesnie funkcyje administracyjne i wpływały na decentralizację zarządu państwowego.

Hierarchiczny zatem stosunek sejmików do sejmu nie był nigdy podrzędnym, lecz w najgorszym razie współrzednym, a bardzo często przeważającym. Istniały epoki, w ciągu których sejm zdawał się uosabiać zjednoczone ciało i duszę Rzeczypospolitej, ale momenta dziejowe, przedstawiające uporządkowanie i ład w ustroju reprezentacyi, nie były trwałe. Sejmiki też dochowały do końca prawie XVIII wieku znamiona „stanów“ sejmikujących w terytoryalnym rozczłonkowaniu. Jak w sejmach zrzeszały się: rzeczpospolita duchowna, szlachecka i miejska z całego obszaru państwowego, tak na sejmikach wiązały się stałe też same rzeczpospolite, zamknięte w obrębie danej ziemi, prowincyi, województwa lub powiatu. Zasadniczej różnicy nie dostrzegano między niemi w XVI-ym wieku i dlatego też sejmiki zwano często „sejmami powiatnemi.“ W końcu XVI-go wieku, gdy miasta uprzywilejo-

wane zniknęły z sejmów, zarówno jak i z sejmików, ustroj reprezentacji nie zmienił się bynajmniej pod względem zasad przewodnich. Przewodawstwo bowiem, jak to poprzednio wykazanem zostało, nie wykluczyło miast, ani odjęło im godności stanu, a podstawą reprezentacji pozostał pierwiastek federacyjny, który spajał stany sejmikujące i sejmujące luźnym hierarchicznym węzłem, pozwalając w organizmie Rzeczypospolitej żyć samodzielnie i prawie samoistnie pojedynczym organom reprezentacji.

### Forma reprezentacji stanowej.

Po raz pierwszą na zjeździe piotrkowskim w roku 1453 poczynają zebrani baronowie, prałaci i rycerstwo obradować w dwóch kołach, t.j. w jednym, złożonym z samych wyższych dygnitarzy (primores), i w drugim, uformowanym ze szlachty i mniejszych baronów. Stało się to za namową Oleśnickiego, a Długosz twierdzi, że rozdzielenie obrad na dwa koła było obmyślanem dla łączniejszego i dojrzałego zgłębienia stawiać się mających koronie warunków. Hube wszakże odmiennego jest przekonania i sądzi, że Oleśnicki myśl tę dlatego właśnie poddał, aby, przewidując jednozgodny wypadek obrad, których kłębek w rękach swoich trzymał, wyrzucić większy nacisk na Króla, gdy dowie się, że szlachta, oddzielnie obradująca, to samo uchwaliła, co przedni panowie, oświadczając gotowość do wspólnego, jednozgodnego działania, i że Król wzięty zostanie tym sposobem we dwa ognie. Być bardzo może, że powodzenie, doznane na zjeździe w r. 1453, skłoniło świat dygnitarski i rycerstwo do trzymania się nadal podobnego sposobu obrad. Gdy bowiem w drugiej połowie XV-go wieku poczęła w Polsce reprezentacja stale funkcyonować, w ustroju sejmowym spotykamy dwa organa, czyli izby, a mianowicie: senat i izbę poselską. Senat, zdaniem Lengnichy, jest dawną radą urzędniczą, otaczającą Monarchę, a przeistoczoną stosownie do wymagań nowego porządku; izba poselska zaś nosiła na sobie piętno federacyjnych lokalnych związków, które, jednocząc się powoli pod naporem potrzeb państwowych, wytworzyły nareszcie nowy organ w postaci prawnopństwowej instytucji.

W kraju tak rozległym, jak Polska XV-go wieku, nie mogło być mowy o bezpośrednim udziale wszystkich uprzywilejowanych w sejmach całego Królestwa. Odległość, trudności i niebezpieczeństwa podróży, wreszcie straty materialne, spowodowane oderwaniem od domowych zajęć, zaprzeczały stanowczo twierdzeniom Salamona, utrzymującym, że gromadnie sejmy przejęło państwo węgierskie od Polski. W sejmach XVI-go wieku zjawiała się niekiedy zbyt wielka ilość posłów, powo-

dując narzekania i wymówki ze strony Króla, ale objaw powyższy tłumaczy się t $\acute{e}$ m, że zwyczaj prawny, określający ustrój reprezentacyi stanowej, był, nawet w XVII wieku, niedostatecznym i chwiejnym, obszerne zat $\acute{e}$ m województwa starały się większą liczbą posłów zapewnić uwzględnienie staranniejsze swych interesów. Powoływanie na sejmy i sejmiki należało, od samego przedświtu reprezeatacyi stanowej, do praw monarszych (jura majestatica). W Prusach polskich było ono od czasu do czasu przedmiotem sporu, lecz zawsze Monarchowie zaliczali je do rzędu swych prerogatyw i zdołali t $\acute{e}$ ż utrzymać w pełni, doznając rzadko bardzo nieznacznych w wykonywaniu zakłóceń.

Tak samo oznaczenie miejsca sejmikowania lub sejmowania należało w zasadzie do Króla, choć wcześniej zwyczaj wskazał najdogodniejsze dla danego województwa lub prowincyi miejscowości. Jeżeli nieprzewidziany wypadek, jak np. powietrze, czyli morowa zaraza, lub bliskość nieprzyjaciela, nakazywały zmienić miejsce zebrania, czyniły to zwykle sejmiki z własnej mocy, usprawiedliwiając się później przed koroną. Co się zaś tycze wskazywania miejsca sejmowi, to Monarcha w tym razie obstawał skwapliwiej przy swoim prawie, lecz i wówczas wzgląd dogodności skłaniał go do zgodzenia się na prośby stanów. Tym sposobem uprosiły stany Zygmunta I-go, aby Piotrków obrał za stałe miejsce odbywania sejmów; później zaś, gdy w XVI i XVII-ym wieku granice państwa znacznie się rozszerzyły, przyszła kolej na Lublin, aż ostatecznie obrano Warszawę i Grodno, w którym-to ostatni $\acute{e}$ m mieście co trzeci sejm miał się odbywać. W powoływaniu na sejm, a t $\acute{e}$ m sam $\acute{e}$ m i na sejmiki, władza monarchiczna kr $\acute{e}$ powała się jedynie wzgl $\acute{e}$ dami dobra i pożytku państwowego. Gdy zwyczaj ustalił odbywanie sejmów ordynaryjnych, czyli zwyczajnych, czas trwania sejmu bywał w początkach krótszym, zawartym w kilku dniach, choć nie brakło na przykładach w XVI-ym wieku, że ciągnął się i pól roku. Później jednak dla zwyczajnych sejmów przyjął się i utrwalił termin sześcioniedzielny, a dla nadzwyczajnych skrócono go do dwóch niedziel. Przedłużenie i skrócenie obrad zależało przeważnie od Króla. Śpieszących się do domu posłów mógł nastraszyć Monarcha pośpieszn $\acute{e}$ m zwołaniem nowego sejmu, a przerwać sejm swym odjazdem lub zwykl $\acute{e}$ m usunięciem się od obrad.

Istota pełnomocnictwa poselskiego nosiła, podobnie, jak i na zachodzie Europy, ślady prawa prywatnego. Sejmiki, będące ciałami wyborczemi, mogły wprawdzie pozostawić posłom pełną władzę uchwalania ciężarów publicznych w imieniu swego województwa (plena potestas), lecz najczęściej, już około połowy XVI-go wieku, moc poselska określoną została instrukcyą (mandatum), której posłom przekroczyć nie było wolno. Zdarzały się wypadki, w których sejmiki specjalną



przysięgą zobowiązywały posłów do wiernego zachowywania swych instrukcyi. Skutkiem tego, gdy sejmujące stany domagały się od posłów jednej ziemi lub prowincyi ustępstwa na rzecz całego państwa, obligowani woleli zaspokoić potrzeby z własnej kieszeni, aniżeli zobowiązywać „braci“, których byli raczej sługami, niż panami. Jeżeli posłowie ośmielili się przekroczyć pełnomocnictwo, instrukcją określone, czekały ich gorzkie wymówki od „braci“, a w dodatku unieważnienie samowolnie powziętych uchwał. Gorszych następstw przekroczenie instrukcyi nie zwykło pociągać za sobą i dlatego téż posłowie, zachęceni zazwyczaj prywatą, odważali się na robienie swemu województwu niespodzianek. Sejmiki jednak pilnowały skrupulatnie, aby się od niedyskrecyi poselskich zabezpieczyć na pośredniej drodze. Przedewszystkiem téż zaleciły posłom, aby w sejmie naradzali się jedynie nad sprawami, wymienionemi w propozycyi od tronu (uniwersał), zakomunikowanej sejmikowi, a w instrukcyi należycie roztrząsionej. Tym sposobem odstępowanie od instrukcyi było utrudnione, a pełnomocnictwo nadawało niekiedy posłom charakter posłańców, znoszących kartelusze województw, a nie mających władzy ustąpienia nawet na rzecz najgwałtowniejszej potrzeby Rzeczypospolitej.

Instrukcye zawierały często kategoryczną odmowę na najgorętsze domaganie się Króla, a w zamian za to przezieiał z pośród artykułów instrukcyjnych zwykle egoizm partykularny, głuchy na głos monarchy, oraz na wołania o pomoc dzielnie, zagrożonych najazdem nieprzyjacielskim. Nie ulega żadnej wątpliwości, że w ciągu XVI-go wieku pojawiało się często usiłowanie nadania pełnomocnictwu poselskiemu piętna politycznego. Godnym zaznaczenia jest orzeczenie kancelerza Ocieskiego, który posłów chciał uważać za reprezentantów całej Rzeczypospolitej i zniweczyć siłę partykularnych instrukcyi, — (tak samo hetman Tarnowski). Monarchowie upominali również sejmiki, aby przysyłały posłów z pełną władzą i przejętą miłością dobra publicznego, skarżąc się przytém na sobkostwo i upór związanych instrukcją pełnomocników. Czasami skłaniano życzliwe ucho ku życzeniom monarchy, lecz wogóle biorąc, treść prawnoprywatna pełnomocnictwa poselskiego udzielała sejmom, tak samo, jak i na zachodzie Europy, charakter federacyjnego związku, czuwającego nad zbiorem partykularnych interesów, a zapominającego o potrzebach całości.

Zanim sejm przyszedł do skutku, cały mechanizm sejmikowy musiał być w ruch wprawiony, aby izbie poselskiej dostarczyć wojewódzkich pełnomocników. W XV-ym wieku wybierano posłów na zjazdach liczniejszych, których nie było tak wiele. Z rozszerzeniem się granic państwa, liczba sejmików powiększać się musiała i w XVI wieku spotykamy już sześćdziesiąt kilka sejmików wojewódzkich. Do składu

sejmiku należał biskup, wojewoda i kasztelan, czyli „rady duchowne i świeckie,“ wraz ze wszystkimi urzędami województwa i szlachtą. Nie dzielił się jednak sejmik na dwie izby i, co najwyżej, przy obradach przeznaczał wygodniejsze miejsce dla senatorów. Głosowanie zaś nie odbywało się stanami, jak to miało miejsce w sejmikach komitatowych węgierskich, lecz wirylnie, czyli, że wszyscy członkowie sejmiku cieszyli się prawem równego głosu. Przypuszczano nawet do głosowania szlachtę nieposesyonatów, czyli „gołotę,“ a jakkolwiek na niestosowność podobnego przywileju zwracano niejednokrotnie uwagę, a nawet zdobyto się niekiedy na przepis wykluczający, to jednakże nie utrzymała się trwale zasada, dopuszczająca do urny sejmikowej wyłącznie właścicieli dominialnej własności.

Sejmikowe ciało wyborcze i uchwalające liczyło niekiedy do 1,000 głosów i wcześniej już zwykła się wyrabiać typowa zasada stanowej reprezentacji, pozwalająca mniejszości zachować samodzielność swych przekonań wobec sejmikowej większości. „Nic na nas, bez nas,“ poczęło się w sejmikowej praktyce stosować do coraz to drobniejszych mniejszości, aż z biegiem czasu mniejszość stopniała do jednego wyborcy i temu jednemu nadano prawo zawieszania czynności sejmikowych, czyli prawo zerwania obrad i unieważnienia uchwał. Niedogodność, wypływająca dla województwa z nieobecności jego posłów na sejmie, lagodziła do pewnego stopnia prawo zerwania sejmikowych obrad. W każdym razie jednak było rzeczzone prawo jadowitą i przekupną bronią w ręku jednego wyborcy, walczącego z większością ciała sejmikowego. Wybrany poseł nosił całe województwo i otrzymywał pełnomocnictwo od wszystkich stanów. Raz tylko miał miejsce wyjątek, że senatorowie wybrali osobnych posłów, a szlachta osobnych, co, jak świadczy Bielski, było na sejmie powodem niesnasek i waśni.

Od jednolitego i dość prostego ustroju sejmików w Rzeczypospolitej stanowiły wyjątek Prusy polskie. W powyższej dzielnicy bowiem, nie sejmiki wojewódzkie, lecz „general,“ czyli sejm prowincjonalny, wybierał posłów na sejm Rzeczypospolitej i układał dla nich instrukcję ogólną, czyli mandat. „General“ zaś pruski składał się, jak wiadomo, z dwóch izb, a w senacie zasiadały miasta większe. Ani też wybór posłów, ani układanie instrukcyi, nie mogło mieć miejsca bez udziału tychże miast. Zresztą w pozostałych dzielnicach Rzeczypospolitej sejmiki stanowiły jedno zgromadzenie i charakteru tego nie zmieniły nawet wówczas, gdy po wyborze posłów zjechało się kilka województw na zjazd prowincjonalny w celu zgodniejszego poparcia swych instrukcyi.

Sejm Rzeczypospolitej składał się, jak to już nadmienionem zostało, z dwóch izb, z których każda zawierała dwa stany, jako to: senat—rady duchowne i świeckie, a izba poselska — posłów rycerstwa i miast. Obie izby nie głosowały wszakże podług liczby stanów (par ordre), jak to miało miejsce w niektórych państwach na zachodzie Europy, lecz „virilim,” przyczem utrwalil się zwyczaj, że senatorowie wotowali naprzód, a to nie dlatego bynajmniej, ażeby narzucać swe zdanie posłom, lecz aby ich wesprzeć swą rozważą i doświadczeniem, o co zresztą w XVI wieku posłowie gorąco się dopominali, „aby im wolno było zdanie panów rad auskultować.” W senacie, noszącym zawsze charakter rady królewskiej i obowiązany z urzędu do przybywania na sejmy i sejmiki, zachowano najdłużej poszanowanie dla zdania większości. Aż do drugiej połowy XVII-go stulecia utrzymała się też stanowczo zasada, wzbraniająca senatorom zrywania sejmów, ale i w tym kierunku dał smutny przykład wojewoda poznański, Breza, zrywając sejm za Jana III-go, w imię zasady: „Nic na nas, bez nas...”

W izbie poselskiej nieokiełznana samowola mniejszości zaczęła się szybko rozwijać i Konarski już na sejmie z 1563 roku dopatrył się złowróbnych znamion na przyszłość. Od roku 1536 do 1760 było zerwanych 65 sejmów, a owego rozkładowego dzieła dokonywała coraz to drobniejsza mniejszość, a czasem pojedynczy poseł. Protestacya mniejszości, później zaś jednego posła, usuwała na razie z porządku dziennego obrad sporną kwestyę, lecz następnie, aby wymódz na większości niemożliwe ustępstwa, groziła zerwaniem sejmu, oraz unieważnieniem wszystkich jego czynności i wreszcie groźbę swą urzeczywistniła. Z czasem nawet samo zerwanie nie wystarczało rozwielmożnionej prywacie i używano jeszcze radykalniejszego środka, jakim było niedopuszczenie sejmu do funkcjonowania, czyli zerwanie go jeszcze przed obiorem marszałka. Jeżeli instrukcye poselskie dawały reprezentacyi stanowej pozory federacyi województw, ziem i prowincyi, to „liberum veto,” posuwając zasadę: „nic na nas, bez nas“ do monstrualnych konsekwencyi, rozbijało ustrój sejmowy na jeszcze drobniejsze i liczniejsze atomy i narzucało reprezentacyi całego państwa charakter reprezentacyi jednostek, z których każda odczuwała w sobie cząstkę bezpośredniego zwierzchnictwa Rzeczypospolitej. Nie dziwnego, że szlachta, zbrojna prawem „liberum veto,” uważała się „immediate et optimo jure“ za obywateli Rzeczypospolitej i odczuwała instynktownie, że jej wolności są nieporównane i wobec nich przywileje szlacheckie innych krajów są zwykłą niewolą. Z pod serca też wydobyły się słowa pisarzowi XVI-go wieku, gdy utrzymywał: „To jest być szlachcicem polskim, co jest w innych ziemiach być zwierzchnym panem; a zasię innych ziem szlachcicem nic inszego nie jest, jedno jako poddanym szlachcica polskiego.”

Tymczasem, dzięki „liberum veto, „wolność głosu, na której się sadzą wszystkie wolności wasze, tym samym trwać nie może, że się sama znosi. Tak też właśnie u nas wolność jest w niewoli u siebie y sama sobie gwałt czyni, gdy dla jednego przeczącego, zgoda wszystkich rozrywać się musi y jeden drugiemu, że tak rzekę: manus inferre videtur.“ Niewątpliwie historya sejmowania polskiego wykazać może szereg wytrwałych usiłowań, dążących do zaprowadzenia większości głosów na sejmikach i sejmach. Monarchizm, zarówno, jak i najpoważniejsi statyści, wykazywali, że „veto“ zatapia okręt Rzeczypospolitěj i to zaślepieniem lub nikczemnością jednego. Zdaniem Konarskiego, nawet aniołowie nie mogli-by się rządzić takiem prawem, przeciwnem naturze ludzkiej i ośmieszającym jedynie Rzeczpospolitą przed Europą. Nie brakło więc w żadnym razie ostrzeżeń: „iż, skutkiem „zatrudnionego sejmowania,“ wolność zbliży się do szybkiego upadku, i że tu wszelkie starania, tu wszystkie siły rozumu niech obraca, kto smakuje sobie te wysokie, nieporównane z innemi narody swobody.“ Mimo to jednakże, prawo zrywania sejmów, przysługujące pojedynczemu posłowi, z przejściowemi tylko ograniczeniami, przetrwało prawie aż do końca Rzeczypospolitěj i stało się nieprzebranym źródłem anarchii, rozpasania i klęsk.

Prawno-prywatna istota pełnomocnictwa poselskiego wywołała konieczność funkcyonowania sejmików relacyjnych. Owocem bowiem prywatnego charakteru pełnomocnictwa była instrukcja, jako nakaz, czyli mandat. Nadanie zaś instrukcyom siły obowiązującej wymagało ciągłego nadzoru sejmików relacyjnych. Wezwanie też ograniczona moc poselska powołała do bytu specjalne posejmowe sejmiki i już na sejmie 1569 roku doszukać się można wyraźnych śladów istnienia owęj nieuniknionej konsekwencyi prawnej. „Sejmiki, aby im tam złożone były, dlatego, iż posłowie mieli poruczone limitatum, nad które im się nie godziło nic czynić“—powiada „Dyaryusz sejmu lubelskiego,“ ale dopiero od roku 1589 poczynają sejmiki relacyjne działać stale, jako normalny organ reprezentacyi. Ustrój sejmików relacyjnych nie różnił się niczem od sejmów wyborczych przedsejmowych, a więc wszystkie stany sejmikujące tworzyły jedno ciało obradujące i uchwalające. Wyjątek jedynie stanowiły znowu Prusy polskie, w których „generał,“ czyli sejm prowincjonalny, był w istocie dla całej dzielnicy sejmikiem relacyjnym. Wprawdzie „generał“ posejmowy, podejmujący rolę sejmiku relacyjnego, nie potrzebował być tak licznym, jak „generał“ przedsejmowy, który wybierał posłów na sejmy Rzeczypospolitěj, a przytém układał dla tychże posłów instrukcje. Prócz tego „generał“ posejmowy obradował często w jednej izbie, lecz zachował zawsze tę osobliwość, iż posłowie przynajmniej jednego z miast większych musieli się na nim znajdować.

Sejmiki relacyjne, począwszy od końca XVI-go wieku, poczęły sobie usurpować władzę nadzorowania posłów, czy danej im przez województwo instrukcyi nie przekroczyli, a pośrednio rościły sobie prawo potwierdzania konstytucyi (zwłaszcza w Prusach), uchwalonych przez sejmy Rzeczypospolitej. W ustroju reprezentacyi stanowiły sejmiki relacyjne zupełnie zbyteczny mechanizm, który po raz wtóry wykonywał niepotrzebnie czynność, spełnioną przez sejm całego państwa. Nadto sejmiki relacyjne podtrzymywały, więcej niż którakolwiek inna instytucya, ducha separatyzmu prowincjonalnego, i im-to przypisać należy, że ów prąd partykularny nie chciał nigdy w zupełności opuścić sejmów Królestwa, które, nie poprzestając na podziale dwuizbowym, uciekały się w pewnych razach do obrad w kołach prowincjonalnych.

Zarówno sejmiki, jak i sejmy, nie były w możności obradowania nad wszystkimi sprawami w pełnym komplecie. Różne funkcye sądowej i administracyjnej natury czyniły podział pracy na pewną liczbę delegacyi, czy komisyi, niezbędnym. Zrazu do komisyi, spełniających funkcye sądowe należeli tylko senatorowie; z biegiem czasu jednakże potrafili sobie posłowie zdobyć w nich udział, jak również i w innych, wykonywających funkcye zarządu skarbowego. W dobie międzysejmowej jednak wykonywanie prerogatywy Korony, a zwłaszcza prawa rozporządzania w nagłych wypadkach, budziło trwogę i niepokój w sejmujących stanach i domagało się ujęcia owej władzy w pewne legalne szranki. W roku 1573 sejm uchwalił, aby rada przyboczna z 16-tu senatorów nie opuszczała nigdy Monarchy i była swiakiem, oraz doświadczonym doradcą w wykonywaniu królewskiej władzy. Godność senatorska zdawała się odpowiadać zupełnie powyższemu celowi. W osobie senatora bowiem łączył się wysoki urzędnik państwowy z członkiem reprezentacyi stanowej. Dojrzałość więc polityczna, zespolona z interesem rządu, obiecywała do pewnego stopnia żyć w zgodzie ze sprzecznymi interesami reprezentacyi stanowej. Nie brakło jednak przepowiedni ostrzegających, że ów sedecemvirat senatorski stanie się tēm w Polsce, czēm się uczyniły na zachodzie Europy stałe deputacye i delegacye sejmowe. Solikowski, działający w porozumieniu z prymasem Karnkowskim, pisał, co następuje: „Sedecemvirat latwo doprowadzi do oligarchii, a władzę Króla y senatu odejmie, y ten artykuł sedecemviratu aza nie jest jawna oligarchia: że aperte mutat totam Reipublicae formam, nam et universitatem omnium in paucorum manus includit et Regiae potestatis unitatem dividit et dispergit. Nasza Rzeczpospolita ex uno et omnibus constat, a szrodek ma inter unum et omnes. Pany Rady ci sedecemviry, które nie wiem, jakoby zwać, magni procuratores Regni et Regis, czy dictatores, czyli factotum, chce nec factores, za co urząd będą mieli? Króla będą strzegli w wolności

pospolitój, to drudzy senatorowie będą jako malowani y ty ziemianinie milcz, lepiej ja wiem twoją wolność, a nie masz też na co pieniądze wydawać, aż na ten nowy principatum, to ten nowy urząd będzie miał moc nad Królem, nad senatem, nad ślacheccim y nad wszystką Rzeczpospolitą; cóż po Królu, gdy go y sedecemvir złożyć może? Panowie, panowie, nie mogła wszystka Polska Piasta wyłudz, wyleże go ten sedecemvir, ale lepiej teraz temu zabieżeć, „cum messis in herba est.“

Solikowski przepowiadał zatem taką samą przyszłość deputacyi stałej senatu, jaką Bodin wróżył deputacyi stanowej we Francyi, ale rozważne i przenikliwe obserwacye jego nie ziściły się dla wielu przyczyn, które przytoczone zostaną w jednym z następnych rozdziałów („Monarchizm elekcyjny“). Tymczasem zaznaczyć należy, że „rada senatu“ (senatus consilium) w pełniejszym komplecie odegrywała za Augusta II-go poważną rolę. Oto co o jej prawno-państwowój doniosłości pisze prof. Pawiński: „August już bardzo wczesnie, bo w r. 1705, zaczął omijać sejm walny, zwołując natomiast tak zwane „senatus-consilia“, które wdzieraly się w atrybucye najwyższego ciała ustawodawczego Rzeczypospolitej. Uchwały podatkowe, które zapadać były powinny na sejmie, jeżeli je za konieczne uznawano, i które następnie w wykonanie wprowadzały sejmiki, teraz ustaly zupełnie, choć nie ustala bynajmniej potrzeba ich stanowienia“ i t. d. Była nawet chwila, gdy kardynał Radziejowski odgrażał się, że izba senatorska poradzi sobie bez poselskiej, ale z tem wszystkiem senat nie zdołał podkopać wpływu reprezentacyi, ani stać się w rękach królów powolnym narzędziem w celu okiełznania samowoli rycerstwa sejmikującego i sejmującego.

Tem mniej nadawały się do powyższego zadania deputacye międzysejmowe z koła poselskiego, jak np. dodawane Podskarbin przy składaniu i szafowaniu kwartą, lub Trybunały Wielkie Koronne i Litewskie, albo Trybunały skarbowe (Radom, Wilno), wybieralne na sejmikach deputackich lub relacyjnych. Żywioly szlacheckie, wchodzące w skład tych Trybunałów sądowno-administracyjnych, zbyt się czuly solidarnie spojonymi z resztą stanu rycerskiego, ażeby monarchizm miał liczyć kiedykolwiek na skuteczne użycie ich przeciw reprezentacyi stanowej. Konstytucya z 1658 r., ustanawiając „sądy z retentorami województw, powołała do bytu sądy deputackie sejmikowe, jako instytucyę, zaprowadzoną wszędzie w całej Koronie. Wojewódzkie sądy skarbowe nie były wszakże instytucyą stale działającą, lecz ustanawiano je za każdym razem na nowo, kiedy wybierano uchwalone podatki. Sejmiki wreszcie otrzymały późno, bo w 1711 r., stałą radę

wojewódzką, która była zbyt liczną, aby mogła odosobnić się od sejmiku i zapanować nad nim.

System dwuizbowy, panujący w ustroju sejmów Rzeczypospolitej, czynił mechanizm prawodawczej władzy nie tak ociążalym i skomplikowanym, jakim się tenże okazywał w tych krajach, gdzie każdy stan zamknął się w osobnej kuryi. Do uproszczenia przytém sposobu obradowania i do osiągnięcia zgody powszechnej dopomagało głosowanie wirylne, a nie stanami (par ordre), które zwykle w konstytucjach stanowych zwiastowało rządy większości sejmującej nad mniejszością. Prócz tego, w obu izbach przeważał jeden stan szlachecki i rozwiłmożnił się jeden interes własności ziemskiej dominialnej (duchownej i świeckiej); zdawało się zatem, że do trwalszych nieporozumień lub zasadniczych waśni między obu organami sejmku Rzeczypospolitej nigdy przyjść nie może. Istotnie, posłowie za Zygmunta Augusta okazują się dbałymi o wpływ i powagę senatu wobec tronu i często pragnęli być obecnymi przy obradach senatorów, aby z ich doświadczenia i rozwagi politycznej korzystać, dla powzięcia własnej decyzji. Sposób prowadzenia sejmowych obrad zapewniał również obu izbom możność porozumiewania się, bądź to w pełnym składzie, bądź za pośrednictwem delegacji.

System dwuizbowy zatem, wraz z głosowaniem wirylnem, zdawał się zapowiadać sejmowaniu Rzeczypospolitej znaczne korzyści, ale wszelkie dodatnie znamiona zniszczone zostały w zarodzie przez trwające w pełnej sile instrukcye poselskie, liberum veto i sejmiki relacyjne. Przy ograniczonej mocy poselskiej i wobec odpowiedzialności posłów przed wyborcami, a nadewszystko wobec możności zniweczenia obrad i działalności całego sejmku przez pojedynczego posła, doświadczenie i dojrzałość polityczna senatorów zamieniły się w popis deklamacyjny, służący jedynie do marnotrawienia czasu, czyli w powtórne „młócenie słomy“, które nikomu właściwie na pożytek wyjść nie mogło. Pod grozą takich rozkładowych pierwiastków, upatrywano w systemie dwuizbowym mechanizm, nie odpowiadający kardynalnemu celowi, i uważano, że jedno zgromadzenie, jednoczące wszystkie stany, było-by daleko pożyteczniejszem.

W nagłym potrzebie Rzeczypospolitej, zwoływanie w pełnym składzie sejmików i sejmów, dla obmyślenia środków zaradczych, musiało się Koronie przedstawić jako zadanie trudne, a nadewszystko często spóźnione. Zwoływanie pełniejszych senatus-consiliorum budziło zawsze niepokój rycerstwa, które w XVI wieku niechętnym okiem zapatrywało się na wszelkie „rady komorne“, czyli na porozumiewanie się Króla z mniejszą liczbą senatorów, a nawet, jeśli cały senat chciał dla odprawiania sądów zebrać się bez posłów, upatrywali w tém zgubę dla

izby rycerskiej. Gdy jednakże Monarcha zwoływał pospolite ruszenie, szlachta zgromadzona w województwie, przed wyruszeniem na wojnę, składała „sejmik zbrojny“ (paludatus), w mniejszym komplecie, a zdarzały się wypadki, że i sejmy odbywały się w zmniejszonym składzie posłów i nazywano je wówczas „radą walną“ w odróżnieniu od zwykłych sejmów. Za Zygmunta Augusta, rycerstwo gorzko się nieraz uskarżało, iż Król chętnie sejmował z małą a powolną sobie liczbą senatorów i posłów i postępował sobie nakształt „tyrannorum.“

### Poczucie łączności wśród stanów.

Uprzywilejowane stany Rzeczypospolitej tworzyły, jak to poprzednio wykazanem zostało, trzy odrębne rzeczypospolite: szlachecką, duchowną i miejską, które do pewnego stopnia zrzeszały się w sejmie, zachowując jednak odrębne przywileje, oraz niepodległość dla swój mniejszości reprezentacyi. Nie dość tego, że stany w całości, jak je sejmy uosabiały, miały zabezpieczone swe specjalne prawno-państwowe stanowisko, ale ten sam objaw powtarzał się w prowincjonalnem rozdrobnieniu, a nawet w ciasnym wojewódzkim obrębie, wśród którego stany tworzyły samorządne korporacye. Zdawało-by się zatem, że wśród takiego rozprzężenia dobro publiczne przedstawi się jedynie w luźnem zbiorowisku interesów stanowo-prowincjonalnych, wykluczającem wszelkie poczucie łączności. Tymczasem wobec władzy monarchicznej, domagającej się coraz gwałtowniej posiłków i pomocy, rozterki i współzawodnictwo stanów musiały ustąpić miejsca wzajemnemu zbliżeniu się i zrozumieniu wspólnego interesu. Ponieważ zaś każdy ze stanów reprezentował nie tylko swych poddanych, ale i ziemię, będącą w jego władaniu, przeto łatwo przyszło sejmowi, jednoczącemu wszystkie stany, zdobyć to przekonanie, iż on uosabia „salus et incolumitas Reipublicae.“

Świadomość zjednoczenia się i wytworzenia ściślejszego, jakby organicznego, związku, powstawała wśród stanów zwykle wtedy, gdy wspólne niebezpieczeństwa zagrażały przywilejom wszystkich stanów, oraz spokojowi całego kraju. Elekcye królów, nie krępowane względami na dynastję panującą w kraju, jakie miały miejsce w Polsce od r. 1573, nazwane zostały przez skonfederowane stany „niebezpiecznym czasem“ i nakazywały obmyślić szereg środków, gwarantujących całość Rzeczypospolitej, oraz poszczególnych jęj części. Najodpowiedniejszym ku temu wynalazkiem miała być konfederacya, łącząca wszystkie stany w jeden organ, sądzący przestępstwa kryminalne, grożący karami gwałcicielom porządku publicznego i stojący na straży wszelkich po-



szczególnych przywilejów stanowych, aż do wyboru nowego Króla. Do konfederacyi po śmierci Króla Zygmunta Augusta przypuszczone zostały, „mile, wdzięcznie lub chętnie“, niektóre miasta koronne, a prócz tego, wszystkie inne miasteczka i miasta y wszelkiej cujusunque status et conditionis homines mają mieć zabezpieczony wymiar sprawiedliwości, gdyż konfederacya chce: aby violatores eorum sub poenas, w tymże kapturze expressas, popadali.“

Na pierwszej też zaraz elekcyi stany zagwarantowały sobie wzajemnie władzę zwierzchniczą nad poddanymi swymi i zabezpieczyły się nawet ostrożnie, aby pod osłoną religii nie chciano im władzy owęj zmniejszyć. Skonfederowane na elekcyi stany nie czuły się jednak bezpiecznemi, dopóki wybrany Król wszystkich poprzednich przywilejów i wolności nie zatwierdził przysięgą. Wymusić trwale na Monarsze uznanie poprzedniego stanu, lub rozwinięcie go nowemi przywilejami, można było dopiero wówczas, gdy aktowi elekcyi nadało się charakter umowy, zawartej między stanami, jako jedną stroną, prawnie działającą, a stanem królewskim, jako drugą stroną. Pacta conventa zawierały treść owęj umowy, a konfirmacya praw była dowodem przyjęcia przez Monarchę zobowiązań, z umowy płynących. Dopiero też od czasu pierwszej elekcyi pojawiło się w całej sile pojęcie władzy monarchicznej, jako oddzielnego stanu, z którym inne mogą zawierać umowy, i od owęj doby pojawia się kwestya prawno-państwowa, poczęta artykułami Henrykowemi: co czynić, gdy wybrany Monarcha zaprzysiężonych paktów nie dotrzyma, lub je otwarcie złamie?

Wśród pierwszej elekcyi zwyciężyły prawno-prywatne konsekwencye i w przysiędze królewskiej zamieszczono ustęp, w którym niedotrzymanie zobowiązań monarszych pociąga za sobą wypowiedzenie posłuszeństwa przez poddanych. Nowość tego rodzaju wywołała ostrzeżenia: że podobny środek spowoduje jaknajgorsze następstwa. Jakim bowiem sposobem można zwalniać poddanych z posłuszeństwa i chcieć okiełznać niepohamowaniem własnej swawoli? Zarówno artykuły Henrykowskie, jak i konfederacye, wydawały się statystom XVI stulecia „macią“ wszelkiej licencyei, która „omnes leges evertit.“ W następnych rotach przysięgi Stefana i Zygmunta III-go znajduje się znowu artykuł, zaprzysiężony przez Henryka, lecz znaczenie jego obniżono znakomicie interpretacyą, zawartą w „Declaratio articuli de obedientia.“ Rycerstwo jednak nie zapomniało o artykułach Henrykowych i z nich wysnuło teorię wymawiania posłuszeństwa Królowi, która w XVII wieku pojawiała się niejednokrotnie, jako dewiza związków federacyjnych.

Poczucie łączności wśród stanów wytworzyło się na podstawie wspólnej obrony partykularnych przywilejów i stanowych wolności.

Niewątpliwie, od czasu do czasu, wobec widma klęski lub zagłady, łączność interesów przeistaczała się w rzetelną miłość dla ojczyzny, egoizm—w poświęcenie, a sejmy przedstawiały nie trzy Rzeczypospolite, sfederowane w imię odrębnych interesów, lecz, jak prymas Karnkowski chciał mieć: „jedną Rzeczpospolitą“, w której wszyscy, zarówno senatorowie, jak i posłowie, winni zapominać o swój prywacie, mając dobro publiczne na pieczy. Owe podniosłe chwile, zastępując rozdział stanowy zjednoczeniem politycznym, były jednak zazwyczaj przemijające, a w codziennym świetle poczucie łączności przedstawiać się zwykło pod postacią wspólnej obrony interesów i przywilejów stanowych wobec Monarchy.

### Władza publiczna reprezentacji stanowej.

Najważniejszą przyczyną rozwoju władzy publicznej sejmów, zarówno jak i sejmików, w Polsce, były przywileje, oswabdzające własność dominialną od podatków na rzecz Króla, a obdarzające możnowładztwo władzą patrymonialną, do której należała i moc nakładania podatków na swych poddanych. Od chwili, kiedy słowa Modrzewskiego: „ile tedy jest szlachciców, tyle jest nad podlejszem stanem królów, y owszem, ile możniejszych, tyle nad chudzinami królów,“ zaczęły wyrażać jedną z podstawowych zasad organizacyi państwowej, wyczerpany potrzebami obrony kraju, monarchizm, musiał w dobie niebezpieczeństwa odwoływać się do ofiarności uprzywilejowanych, domagając się posilków, w postaci poboru lub żołnierza. Zjazd Piotrkowski w r. 1456 miał być pierwszym, który uchwalił rzeczywiste, bezpośrednie opodatkowanie wyższych klas społeczeństwa, dotykając je w najwięcej ujętych źródłach. Hofman zaś już od 1365 r. datuje epokę, w której władza nakładania podatków przeszła do narodu i zamieniła się w daninę braterską oraz w dobrowolną składkę, zawisłą od upodobania każdej ziemi.

Jakkolwiek Modrzewski za przyczynę odbywania sejmów podaje wymiar sprawiedliwości i konieczność obmyślenia obrony, to jednakże, pośrednio przyznając, że zarówno sądy, jak i obrona, potrzebują do urzeczywistnienia—pieniędzy, wskazuje tém samym na najistotniejszy powód sejmowania. Charakterystyczny obraz odwoływania się Monarchy do ofiarności stanów sejmujących, wraz z wymienieniem przyczyn, wołających na gwałt o pomoc, przedstawia „Dyaryusz sejmu Piotrkowskiego z r. 1555.“ „Tego przestrzegając J. K. Mość, z powinności swój królewskiej, a z miłości do Rzeczypospolitej, aby ten tak srogi a możny nieprzyjaciel onych krajów nie posiadał (Turcy, królestwa węgier-

skiego), ażeby mu się tak szerokie wrota ku skazie téj korony nie otwierały, nietylko dochody swe litewskie wszystkie i skarb wszystek i to cokolwiek z Włoch i zkadinań do rąku przychodziło, na tę potrzebę obrócić jest raczył, nie litując téż i dzierżaw swych ojczystych i póki jeszcze czego i stawało, żadnej majątności swój nie przepuszczając. Tak, iż JKMość i znać to musi, że już dalej tak wielkiemu nakładowi zdołać sam żadną miarą nie może, napomina WMość, gdyż o wszystkich idzie, kiedy ściana sąsiedzka gore, abyście się do tego wszyscy przyczynili, jakoby ten tak wielki a gwałtowny ogień, póki jeszcze większej mocy nie weźmie, mógł być wczas ugaszon. Ale postronnemu nieprzyjacielowi łacniej-by się odpór, za pomocą Boską, dać mógł, gdzie-by to spełna doma było, na czém wszystko bezpieczeństwo Rzplitej należy, zgoda mówię, a miłość między stany.“

W równie nagłący sposób przedstawiał, ustami Zamoyskiego kanclerza, Stefan Batory, potrzebę zasilenia skarbu państwa. Pierwszej wyprawy, mówi Zamoyski do posłów, byłby Król nie odprawił, ani jednym ani drugim poborem, gdyby nie był własnych dołożył pieniędzy. Przyłożył-by jeszcze, ale już prawie jest wyczerpany, bo do ostatniego szeląga nie żałował. Cóż WMoście jeszcze po nim chcecie? Chcecie podobno, aby skórę z siebie łupić dał? Uczynił-by i to, gdyby się alchemia taka wynaléźć mogła, coby z niéj pieniądze kuto.

W słowach monarszych, które niewątpliwie, w równie może dosadny sposób, wypowiedane były i przez następných Królów, tkwi cała geneza prawa uchwalania poborów przez sejmy—prawa, które bezspornie przez wszystkich uczonych uważane było za najpierwsze i najważniejsze ze wszystkich atrybucyi sejmowych. Gdy monarchizm wyczerpał swe zasoby, winni byli z pomocą przybywać wszyscy, albowiem chodziło tu o sprawy, obchodzące wszystkich, bo o odwrócenie niebezpieczeństwa, grożącego każdemu bez wyjątku. Nawet w XVI wieku, gdy ostatni z Jagiellonów czuł się dość silnym, aby inne funkcje rządowe wykonywać bez udziału sejmu, prawo uchwalania posilków, w formie poborów, przyznane było bezspornie sejmowi, na co się nawet uskarżają posłowie, oświadczając: „jeżeli damy, to już dobry sejm, jeśli nie damy, to już będą powieść, że czas darmo zwiedli posłowie i sejmy zerwali, zabawiając się łada na czem chcąc czas zwloknać. Wszakże téż jasnie niektórzy Panowie mówią: że po poslech nic, jeno aby dali podatek i jużeśmy tego doświadczyli, że tak jest jak powiadano.“

Prawo uchwalania poborów czyli podatków, przysługujące sejmującym stanom, wcale nie pociągało za sobą obowiązku, czyli przymusu uchwalania, choćby się tego nawet najgroźniejsze niebezpieczeństwo Rzeczypospolitej domagało. Na sejmie w r. 1569 wołał

Szafraniec, gdy domagania się korony o pomoc były natarczywemi: „mi żadnego poboru nie dami, wolimi zginąć z majątnoszciami y z dziećmi, niż byśmy nad rozkazanie braciey uczynić mieli, bo nam bracia zakazali dać poboru.“ Nawet wówczas, gdy widoczna potrzeba Rzeczypospolitej przemawiała do serc poselskich, zwlekali z uchwałą poborów, chcąc się naprzód przekonać, czy istotnie środki materialne, jekimi dysponował monarchizm, okazażą się niedostatecznemi. „Gdy czwartej części ujzdrzimy, wiele jej będzie, a wielu ludzi może wychowacz, jeśli ujzdrzimy, czego potrzeba będzie Rzplitey, na ten czas będziem o tem mówić.“

Prawo uchwalania poborów, przysługujące sejmującym stanom, odnosiło się jedynie do powinności i ciężarów nowych, których uprzywilejowani nie byli obowiązani składać koronie, lub od składania poprzednio uwolnionymi zostali. Słowa „nihil novi“ oznaczały jedynie ową „Mehreistung“ w Niemczech, do której żądania dawny zwyczaj nie upoważniał panującego. Ze względu wszakże, iż skarbowi królewskiemu pozostał tylko bezpośredni podatek stały dwóch groszy z łanów kmiecych, wynoszący w r. 1569 nie więcej, jak 10,000 złp., i pośredni podatek pod postacią ceł i myt koronnych, dający za czasów Stefana Batorego skarbowi około 70,000 złp., Monarchowie zmuszeni byli odwoływać się nieustannie do ofiarności sejmowej. Począwszy od XVI-go wieku, zjawiają się na sejmach i w literaturze politycznej silne prądy, nie zadawalniające się prawno-prywatnym charakterem władzy uchwalania poborów, który podatkowi nadawał znaczenie dobrowolnych i na jeden raz wyjątkowo składanych ofiar. Pod grozą zewnętrznego niebezpieczeństwa, starano się niejednokrotnie i dość wczesnie o ufundowanie stałego skarbu Rzplitej, który-by umożliwił trwałą obronę granic, a sejmiki województw, nastraszone najazdem, nawet bez sejmu uchwalały i zbierały podatek, aby tylko zachęcić inne ziemie swym przykładem. Z tém wszystkiém, zasadnicze poglądy na dobrowolność składania poborów, jako jednorazowej ofiary, przetrwały w pełni aż do 1717 roku, i nawet na tym niemym sejmie doznały jedynie częściowej i bolesnemi okolicznościami politycznemi wymuszonej modyfikacji. W każdym razie, trzeba przyznać słusność prof. Pawińskiego, który utrzymuje, że rok 1717 stanowi jakby słup graniczny, oddzielający niby dwa różne państwa, dwie epoki odmienne. Od pomienionego bowiem roku ciągnie się już nieprzerwanie szereg powtarzających się rok rocznie tych samych podatków, nawet w jednostajnej sumie. Zaprowadzono wtedy stałe podatki na stałe regularne wojsko. W dziejach wewnętrznych Rzeczypospolitej dokonał się istotnie, skutkiem nowego systematu, przewrót głęboki, którego następ-

stwa były-by się stały nierównie zbawienniejszemi, gdyby był sięgnął dalej i śmiałej ogarnął szersze zakresy.

Prawo uchwalania posilków i pomocy, będące początkiem i podstawą władzy sejmowania, stało się, tak samo, jak i na Zachodzie Europy, skomplikowaném, ze względu na podmiot, uchwalający pobory, jak i z uwagi na przedmioty opodatkowane. Pierwiastek federacyjny, dominujący w każdej konstytucyi stanowej, wycisnął i na gospodarstwie państwowém dawniej Polski swe charakterystyczne piętno. Zaledwie też reprezentacya stanowa zdobyła sobie trwałą podstawę bytu, gdy sejmiki wojewódzkie, owe „sejmy powiatne“, zaczęły się uważać nie tylko za podmiot uchwalający pobory, równy sejmowi, ale nawet za organ dominujący, który posłom swym tak silnie „zamierzyć“ mógł władzę, że, pomimo najszczerzych chęci, odchodziła im ochota przekroczenia „limitatam potestatem“, daną im w celu pozwolenia na pobory.

W XVI wieku, i to jeszcze za Zygmunta Augusta, nie były rzadkimi objawy wzrostu sejmikowego znaczenia, i na sejmie Piotrkowskim w r. 1565, gdy posłowie trzech województw oparli się uchwałom całego sejmu, nie widziano innego środka nad zwołanie posejmowych sejmików: aby ciało autonomiczne ziemi skłonić perswazyą i prośbami do ofiarności. Urok, jaki wywierał monarchizm, mógł niejednokrotnie wzruszyć wyborców nagłością potrzeb Rzplitej, ale nie brakło również wypadków, w których egoizm szlachecki niczém się wzruszyć nie dal. Wysyłano też często posłów z instrukcyami, aby bezwarunkowo na żadne podatki się nie zgadzali. W końcu XVI-go i w ciągu XVII-go stulecia nie rzadkimi były zdarzenia, że sejmiki relacyjne zniweczyły pobory, uchwalone przez sejm, lub wprost, z powodu zubożenia, odmawiały płacenia podatków, dając w zamian wątpliwą obietnicę, iż zapłacą wówczas, gdy będą w stanie. Najlepszym dowodem, że się sejmiki uważały za podmiot uchwalający pobory, który jedynie przelewał na sejm swą władzę, jest fakt, że nawet Stefan Batory, gdy okoliczności nagliły, odwoływał się wprost do sejmików o pobory i otrzymywał je od nich, bez żadnego udziału sejmu walnego. Tak samo przytoczony już był poprzednio fakt, że sejmik poczuwał się do prawa uchwalania poborów na cele czysto powiatowe, i z funduszków, własnowolnie zebranych, nie chciał ani grosza przelać do skarbu Rzeczypospolitej.

Dopiero za Jana III-go, na sejmie w r. 1677, uchwalono ustawę, przywracającą sejmowi, przynajmniej co do finansów, prawodawczą władzę, uznającą jego uchwały obowiązującymi dla wszystkich, bez względu na przeciwne lauda ziem i województw, a dozwalające użyć do egzekucyi „*brachii militaris*.“ *Modum* tylko *contribuendi*, czyli spo-

sób rozkładu, zostawiono sejmikom. Ustawa podobna, jak słusznie zauważył Hofman, była istną rewolucją w politycznej konstytucji państwa. Federacja bowiem ziem zcentralizowała się w sejmie. W roku 1678 probowano reformę obalić, dopiero druga uchwała z r. 1697 zniósła deklarację województw i nakazała, aby wszystkie płaciły zarówno, nierozdzielnie i bez sporu, co sejm postanowi. Ślady oporu spotykać się dają jeszcze w r. 1610, gdyż sejm wyrzeka: iż podatki poprzedniego roku, z nieodżałowanym zawodem całej Rzeczypospolitej, na papierze zaschnęły i skutku nie wzięły.

Nie dość, że rozbitcie ciała uchwalającego pomoc i posiłki na sześćdziesiąt kilka organów nadawało ustrojowi państwowemu charakter federacji ziem, ale jeszcze bardziej wkiłało się położenie skutkiem tego, że każdy stan, czyli każda z trzech rzeczypospolitych: (duchowna, szlachecka, miejska), w całości wzięta, uważała się również za podmiot, uchwalający podatki i powołujący się na zasadę, że większość nie ma prawa narzucać ciężarów mniejszości, ani stan przemożny—slabemu. Zasada typowa konstytucji stanowej, wyrażona dowodnie słowami: „nic na nas, bez nas“, doznawała jednak tym razem ograniczenia, i to naturalnie na korzyść silniejszego stanu. Rycerstwo bowiem, w imię obowiązku bronienia kraju, pragnęło główny ciężar poborów zwalić na niższe klasy, które od tak zwanego podatku krwi zwolnione zostały. Żywioły mieszczańskie zbyt były słabe, aby mogły na długo zabezpieczyć się w imię zasady: „nic na nas, bez nas.“ Mając przywileje zatwierdzone przez każdego monarchę i wdzięczne oświadczenia sejmów za usługi świadczone Rzeczypospolitej, musiały miasta królewskie zgodzić się na zręczne i pośrednie spychanie ciężarów publicznych na ich barki. Duchowieństwo jednak przedstawiało stan zasobny w bogactwa, potężny dostojenstwem i spojony silnie ustawami kościelnymi. Walka rycerstwa z duchowieństwem, na polu finansowem, musiała być uporeczywą i doprowadziła jedynie do połowicznego rezultatu. Szlachta zawistném okiem patrzyła na majątki duchowieństwa, powiększając je w swęj pożądliwej wyobraźni, i nie chciała się bynajmniej zadowolnić tém ustępstwem, aby kmiecie dóbr duchownych płacili podatek na równi z kwieciami dóbr szlacheckich.

Pospolite ruszenia, czyli tak zwany podatek z krwi, nie zagrażający bynajmniej ciału duchownemu, zdaniem rycerstwa, winien był być zrównoważonym większym udziałem w ponoszeniu ciężarów publicznych, niż to dotąd miało miejsce, a w dodatku, dziesięcina, składana duchownym, nawet z obszarów folwarcznych, stawiała ową trwałą zaporę, o którą się rozbijała zgoda dwóch przodujących stanów. Darownie duchowieństwo wykazywało, że nie jest tak bogatém, jak powszechnie sądzono, i że podatek z krwi, zwłaszcza w ciągu XVII-go

stulecia, był w gruncie rzeczy illuzyjnym, nie mówiąc już o jego większej szkodliwości dla kraju, niż dla nieprzyjaciela. W rzeczywistości bowiem często się szlachcic zestarzał, a nawet zmarł, nie bywszy ani razu w tłumach pospolitego ruszenia. Bezsukutecznie również powoływał się kler na donatywy i na ofiarność swą, okazywaną w gwałtownych potrzebach państwa. Przez długi czas szlachta odmawiała duchowieństwu składania dziesięciny, a ci, co dawali, wyrzekali głośno, że płacą ją, jako Węgrzy Turkowi trybut. Jeżeli wreszcie uszanowano z konieczności, względem duchowieństwa, w zakresie gospodarstwa finansowego, zasadę: „nic na nas, bez nas“ i załatwiano jako tako spory kompozytami (*compositio inter status*), to nie dowodzi bynajmniej, aby w praktyce nie wyszukano środka, który, na bardzo wątpliwiej podstawie legalnej, oddawał majątki duchownych żołnierzowi najemnemu na stacye, czyli, jak to często miewało miejsce, na łupież i wyniszczenie.

Zasada polityczna, nakazująca dochodom państwowym stosować się do potrzeb, nie zdołała się przyjąć w gospodarstwie finansowym polskiem, pomimo gorących i wymownych przedstawień od tronu. Nie miano dawniej zwyczaju podawania na sejmach budżetu dochodów i wydatków; tyle wydawano, ile zebrano, i nie stosowano podatków do potrzeb kraju, ale potrzeby kraju do podatków. Za Stefana Batorego jednak, jak dowodzi prof. Pawiński, zastajemy poniekąd wyrobione wszystkie te pierwiastki i żywioły, które istotę budżetu stanowią, tylko jeszcze brak im postaci, jaką później przybrały w Polsce pod wpływem zmienionych stosunków skarbowych. Istota nowoczesnego budżetu—wyznaczenie pewnych dochodów na określone cele, tkwiła już wyraźnie w stosunku sejmu do Króla. Tylko co do strony zewnętrznej mniej wyraźnie występują cechy podobieństwa budżetu ówczesnego w Polsce do później wykształconego. Nie sporządzano wykazu spodziewanych rozchodów, ani spisu przewidywanych dochodów, choć były pod ręką rejestra skarbowe, które za podstawę obliczeń służyć mogły. Dopiero za Stefana Batorego uczyniono krok pierwszy i stanowczy. Rozwinęły się bowiem pełniiej pierwiastki, z których się składa formalna strona budżetu, i sam budżet, acz w postaci niezupełnie doskonałej, zjawia się może już za Stefana Batorego, niewątpliwie zaś po jego śmierci, za Zygmunta Wazy, około 1590 r.

W każdym razie, budżet w Polsce nie zdołał zapewnić przewagi zasadzie, która dochodom państwowym nakazuje stosować się do rozchodów. Jakikolwiek też podobieństwa, istotne czy formalne, między budżetem w Polsce a w Anglii były-by wynajdywanemi, pod względem prawa państwowego doniosłość ich była zupełnie odmienną. W Anglii nietylko podatek był ciężarem obowiązkowym, który parlamenty uchwalić musiały, ale tak samo preliminarz budżetu wydatków

państwowych nie mógł być w żadnym razie odrzuconym i przemieniał się, za pośrednictwem parlamentu, w ustawę. Wprawdzie przysługiwało parlamentowi prawo odrzucenia pojedynczej pozycji w budżecie wydatków, ale i tym skromnym przywilejem posługiwały się parlamenty jedynie przed rozwinięciem się rządów parlamentarnych w Anglii, a prawo odrzucenia całego budżetu wydatków, czyli pozbawienia rządu pieniędzy na potrzeby administracji, uważano zawsze za „actus inanis“, za „broń, która, pokryta rdzą, spoczęła od dawna w zbrojowni konstytucyjnych przyrządów.“

W Polsce, jak wiadomo, gospodarstwo państwowe opierało się na podatku, jako na dobrowolnej ofierze. Pojęcie dobrej woli przeniknęło zatem i do budżetu, czyli, że zamierzenie budżetowe mógł sejm obrócić w nicosć, a co jeszcze oryginalniejsze, że nawet przyjęty przez sejm budżet mógł udaremnić każdy sejmik, przynajmniej w części. Porównywania więc, upatrujące podobieństwo gospodarstwa państwowego Anglii z Polską, nie mają ze stanowiska prawa państwowego znaczenia, pomimo, że zbliżenie się form budżetowych było w XVII i XVIII wiekach coraz wyraźniejszym. Tak samo, jak i w Anglii, nie brakło skarbowi Rzeczypospolitej wpływów stałych, przypominających fundusz skonsolidowany angielski. Wprawdzie Rossman słusznie zauważył, że stałe dochody były zbyt szczupłemi, aby mogły wywrzeć wpływ zbawienny i doniosły, ale w każdym razie i tego podobieństwa nie brakło.

Obrona granic ruskich od nieustających napadów tatarskich, domagając się utrzymywania stałej siły zbrojnej, dała zarazem w r. 1562/3 początek stałemu dochodowi, wpływającemu do skarbu pospolitego, a zwanemu kwartą. Kwarta była pewnym stałym dochodem od wszystkich prowentów, jakie z całej korony do stołu królewskiego należały. Nie stanowiła zatem nowego źródła dochodu, nie otwierała nowej krynicy, ale była właściwie w swym zawiązku uszczupleniem dochodów, przeznaczonych na utrzymanie dworu królewskiego. Nie sam jednak Król ponosił tę ofiarę, zgodziwszy się bowiem czwartą część swych gochodów odstąpić na rzecz skarbu pospolitego, wymógł na dożywotnikach i dzierżawcach dóbr koronnych, że przystali dobrowolnie na podwyższenie arend, starostw i dzierżaw.

Kwarta, zdaniem prof. Pawińskiego, zawdzięcza swój początek staraniom posłów ziemskich. Istotnie, jeszcze na sejmie w r. 1565, chlubil się posłowie: „jeduośmy kęs statutu króla Kazimierza winalezli, w kthorym thak opyssano: cum bona mensae nostrae regiae, nedum pro mensa nostra, sed pro tuitione regni ab initio ordinata sunt—kthorym statutem the czwartą czenszcz tedyśmy wykowały na obronę pospolitą.“ Że jednak Zygmunt August uczynił ofiarę „z miłości



dla Rzeczypospolitej, i to uczynił w tój nadziei, że zachęci sejm do wytworzenia stałego a dostatecznie uposażonego skarbu na obronę kraju, dowodzą najlepiej gorące słowa, jakimi zachęcał posłów do założenia takowej instytucyi: „czassu pogodnego bez obrzydzenia i bez skwirku ludzkiego zebranego.“ W chwili zaś rozdrażnienia, nie omieszkał w szorstki sposób przypominać posłom: „iż niedawno są ku radzie sejmowej przypuszczeni y to jedno dla potrzeb koronnych ku obronie granicz.“

Kwarta wszakże, wynosząca za Stefana Batorego niekiedy tylko więcéj, niż 100,000 złp., nie była w możności zadośćuczynienia najważniejszemu zadaniu obrony granic i zmuszała Monarchę do natarczywego dopraszania się ofiarności sejmowej. Gdy zaś trudna, choć nieodzowna kampania, wymagała większych poborów, Stefan Batory nie oznaczył nawet cyfry pieniędzy, niezbędnych dla wojska, aby wysokością wymagań nie zrazić sejmujących, lecz czekał cierpliwie na uchwalenie pomocy, od której zależało ukończenie wyprawy. Wobec téż poglądów, uważających podatek za dobrowolną ofiarę, musiała się w gospodarstwie państwowém rozpanoszyć zasada prywatnej ekonomii, nakazująca przedewszystkiém rozchodowi z dochodem żyć w zgodzie. Zasada powyższa musiała się tém bardziej rozwielić, że w XVII stuleciu obrzydzenie do uchwalania i płacenia podatków doszło do tego stopnia, iż np. w r. 1662, dopuszczając nadzwyczajny podatek, sejm zakazał na przyszłość nietylko Królowi podobny podatek proponować, ale i sobie samemu na takowy zezwalać, i dlatego-to pozwolił tyle tylko egzemplarzy konstytucyi drukować, ile było grodów, aby je potem zniweczyć. Podatki zezwalane były skrupulatnie „pro hac sola vice ut ne trahatur in sequelam,“ a jakkolwiek początkowo nie określono ogólnej sumy potrzeb krajowych, to jednakże, jak utrzymuje Hofman, zdarzył się wypadek w r. 1670, że konstytucya przeznaczyła ryczałtową sumę dwóch milionów złotych na wojsko, ale następnych lat przykład ten poszedł w niepamięć. W każdym razie, wypadek z r. 1670 nie był tak odosobnionym, jak chce mieć Hofman, albowiem prof. Pawiński przekonywa: że podatki deklarowano niekiedy na sejmikach w sumach stałych, ryczałtowych. Rozkład tój sumy czyniono na sejmikach, a odpowiedzialność za jój dostarczenie brało województwo na siebie.

Zarówno sejmiki, jak i sejmy, rozumiały wybornie, że uchwalanie poborów na dłuższy szereg lat ukrywa w sobie poważną groźbę dla znaczenia i wpływu reprezentacyi stanowej. Jednoroczne pobory stały się prawidłem, mającém najczęstsze zastosowanie, a jeżeli udało się Monarsze wyprosić pobór dwuletni, to wnet zastrzegali posłowie, że po ubiegu owego okresu podatkowego będą musieli odetchnąć, i na nic

się zdały zapewnienia królewskie, że nawet podatek stały, płacony w tej wysokości, nikogo by nie zubożył, t. j. ani szlachcica, ani kmiecia. Sejmy z czasem zdobyły doświadczenie, ostrzegające, że uchwaleniem wyłącznie poborów rolnych szybko wyczerpią się źródła finansowe, a przytém zubożonym zostanie kmięć — owa skarbnica intrat możnowładztwa duchownego i świeckiego. Niedługo tóż trzeba było czekać na rozwinięcie się całego systemu podatków, którym się posilowały sejmy, chcąc zapełnić pusty skarb Rzeczypospolitej. W wybor-ném dziele profesora Pawińskiego, poświęconém dziejom skarbowości za Króla Stefana Batorego, czytamy, co następuje. „uchwalając na sejmie pobory rolne, akcyzę, podatki od handlu i przemysłu, pogłównie i t. d., powoływano do zasilania skarbu publicznego ludzi wszelkich zajęć, zawodów, kupców zagranicznych, przemysłowców, rzemieślników, księży wschodniego obrządku, żydów, wreszcie i szlachtę zagrodową, a niekiedy i duchowieństwo katolickie. Jednym słowem, pociągano niemal całą ludność do opłaty i ofiary, z wyjątkiem tylko i tylko szlachty. Nie dość, że szlachta nie płaciła żadnych podatków zwyczajnych, ale i w niezwykłych chwilach, grożących niebezpieczeństwem całej Rzeczypospolitej, niczém się nie przyczyniała do zaspokojenia potrzeb skarbu publicznego.

Od sejmików relacyjnych zależało uchwalenie sejmowych poborów, ale, prócz tego, sejmiki były jeszcze samodzielnym podmiotem, uchwalającym podatki dodatkowe, w celu pokrycia niedoborów, jakie pobory sejmowe spowodowały, albo tóż w zamiarze zaspokojenia zadań czysto wojewódzkich. Poprzednio zaznaczoném zostało, że gdy sejm uchwalił ry czaktową sumę poborów, sejmik przyjmował odpowiedzialność za dostarczenie kwoty, która nań z rozdziału przypadła. Ztąd poszła moc stanowienia podatków dodatkowych, dla uzupełnienia obowiązkowej ilości pieniędzy, której wyczerpane źródła poborów sejmowych dostarczyć nie były w możności. Czopowe generalne (1670), goździowe, jako podatek konsumcyjny (1671), czopowe ultimi consumentis, pogłównie nieszlacheckie (1658), mlewne (1658), osobowe owczarskie, młyńskie, pługowe, najemne, domowe miejskie, procederowe, portowe, służyły zarówno do uzupełniania kwoty, przyjętej przez sejmik dla skarbu pospolitego, jak i na cele partykularne lub prywatne, które uchwalało samo województwo. System dodatkowych podatków, powołany do bytu ubóstwem skarbu państwa i niedoborami poborowemi, unikał również bardzo starannie przeciążania fortuny szlacheckiej i do licznych opłat wprowadzał często zastrzeżenie charakterystyczne: „od wszelakich osób, krom stanu ślacheckiego.“

Nierówność zatém podmiotów, uchwalających podatki, wypadła na niekorzyść uboższych, czyli „podlejszych“ stanów; rycerstwo bo-

wiem zamożniejsze, czyli posiadacze dominialnej własności, zwalili główne brzemień podatków na barki mieszczan i kmieci. Nierówność powyższa wywoływała tém gorsze następstwa, że w ślad za nią szła nierówność przedmiotów opodatkowanych. Ziemia dominialna, czyli folwarczna, nie płaciła żadnego podatku gruntowego, ale za to ponosić go musiały w przeciążeniu łany kmieci i zagrodowej szlachty. Nie tylko ziemia, jako przedmiot opodatkowany, doznawała oswobodzenia lub przeciążenia poborem, zależnie od tego: czy się znajdowała w rękach szlachcica „optimo jure“, lub téż ostatnich stanów, ale ten sam los spotykał i przedmioty handlu przywozowego i wywozowego. Szlachcic potrafił uniknąć opłaty ceł, sprowadzając na swój użytek pewne towary, i tak samo był wolny od wszelkich opłat, gdy wyprowadzał za granicę swój własny wyrób. Ponieważ jednak tylko przysięga stwierdzała rzetelność szlacheckich deklaracji, przeto, pod zastaną przywileju czysto osobistego, zrodził się system nadużyć, krzywdzących nie tylko skarbu, ale i mieszczaństwo, które tym sposobem brzemień podatków, obciążających handel, głównie ponosić musiało. Stawiane przysięgi w tak blizkiej styczności z interesem osobistym, jak to słusznie zauważył Hofman, było wywoływaniem krzywoprzysięstw. Szlachta zniewalała retmanów, prowadzących towary na statku, do wykonywania przysięgi w zastępstwie panów, sądząc, że przysięga sługi pana nie obowiązuje, albo kupowała świadectwa wykonanej przysięgi w grodach, albo dopuszczała się krzywoprzysięstwa w przekonaniu, że oszukiwanie skarbu nie jest grzechem, a znaleźli się nawet i spowiednicy, którzy od takiego krzywoprzysięstwa rozgrzeszenie dawali. Oszukiwanie skarbu nie ograniczyło się bynajmniej do zakresu przedmiotów handlu, lecz przeniosło się i do podatku gruntowego, opłacanego przez szlachtę z łanów kmieci. Podawano często fałszywą liczbę łanów opodatkowanych, zabezpieczając tym sposobem swe źródło finansowe patrymonialne od wyczerpania na rzecz skarbu Rzeczypospolitej, a dokuczliwość podatku gruntowego powiększały nierówne wymiary włók, które łanowi nadawały dowolne znaczenie.

Skutkiem rozwielenionej nierówności we wszelkich kierunkach gospodarstwa państwowego, ciężar podatków przygniatał uboższe warstwy, a nawet niekiedy dawał się dotkliwie uczuć stanowi duchownemu. Szlachta, czyli rycerstwo, w zamian za zupełne oswobodzenie od podatków, nosło Rzeczypospolitej w ofierze podatek z krwi, czyli, że zobowiązaniem było stawić się na wezwanie Monarchy, z upoważnienia sejmu działającego, w szeregach pospolitego ruszenia.

Postępy sztuki wojennej uczyniły jednak pospolite ruszenia w XVI w. prawie zupełnie bezużytecznymi pod względem militarnym

i najpoważniejsi statysci tego stulecia nie łudzili się co do ich wartości na wypadek obrony kraju. Doświadczenie Węgier pouczyło aż nadto, że przeciw janczarom wszelkie instrukcye daremnie-by się kusily o zwycięstwo, i że jedynie „czarny legion“ Macieja Korwina mógł tój wybornój piechocie tureckiej z pewnym skutkiem dotrzymać pola. W Polsce XVI-go wieku, jakkolwiek miano jeszcze pewne poszanowanie dla pospolitych ruszeń, jako dla dawnego zwyczaju obrony, i wmawiano w siebie, że gdy jest zwołaném „tedi się oglądają wsitkie narodi postronne y czo jest z wielkim postrachem ludziom postronnem,“ to jednakże ostrzegano „abismi się sami na nie oglądali, bo ono z wielką szkodą liuczka bywa i skaraniem państw nassich.“ Pomimo téż, że Jan Zamoyski podnosił pospolite ruszenie, w którém się zbiera „kwiat Rzeczypospolitėj,“ pojawiło się w XVI w. zdanie Andrzeja Ciesielskiego, uważające za najlepszą obronę tę, która polega na żołnierzu zaciężnym, a piętnujące obowiązek szlachty do służby wojennój, jako „ciężar niegodny ludzi wolnych.“

Niewątpliwie, zgromadzenie samo „pospolitego ruszenia“ przedstawiało dla bezpieczeństwa kraju i normalnego rozwoju instytucji politycznych poważne niebezpieczeństwo. Pospolite ruszenie województwa, jak to już nadmienioném zostało, tworzyło sejmik zbrojny, posiadający moc uchwalania. Otóż w r. 1537, pospolite ruszenie całego państwa przeistoczyło się nagle, bez żadnej legalnej podstawy, w sejm „paludatus,“ czyli zbrojny, który przedewszystkiém zdradzał instynkta parlamentarne, a stracił ochotę do mierzenia się z nieprzyjacielem. Podobne wdzieranie się zbrojnych tłumów w atrybucyę reprezentacji stanowej podkopywało powagę sejmu, Monarchy, a przedewszystkiém groziło odmętem i przewrotami Rzeczypospolitėj. Ponieważ pospolite ruszenia objawiały zawsze skłonność do wymuszania na koronie ustępstw i do uważania się raczej za potęgę polityczną, niż militarną, przeto w dobie rzeczywistego niebezpieczeństwa Królowie odwoływali się do ofiarności, którój owocem były niedostateczne pobory, a unikali obosiecznej broni pospolitych ruszeń, gdyż zazwyczaj najwięcej kaleczyła dłoń posługującego się nią w dobrej wierze. Wojskowym wiadomo było najlepiej, że z tłumem zbrojnym, tęskniącym za domowemi ogniskami i obowiązany jedynie do dwutygodniowego przebywania w obozie głównym, prowadzić wyprawy na seryo nie można. Nawet liczebnie nie było pospolite ruszenie imponującém, a korona nabyła doświadczenia, że jest ono zwykle złowróbną zapowiedzią państwowego rozstroju.

Zdawało-by się jednak, że „postrach turecki“ i „gorejąca ściana“ od Węgier wyrzucić musi zbawienny wpływ na gospodarstwo finansowe Rzeczypospolitėj, że zrobi nareszcie wyłom w dotąd niezdobytej

twierdzy dominialnej, przez który skarb państwa dostanie się do obfitego źródła posilków. W istocie, w ciągu XVI XVII stulecia, nie brakło projektów, domagających się stałych ofiar pieniężnych z folwarków szlacheckich i wskazujących ze złem przecuciem na znamię półksiężyc. Stefan Batory, w tajemnym porozumieniu z Sykstusem V, nosił się nawet z myślą stanowczą z potęgą Osmanów rozprawy. Wojowniczy zapał, pomimo nawoływań wtajemniczonych w plany Batorego wodzów, nie zdołał jednak pobudzić rycerstwa do ofiarności, ani obmyślić obfitszych lub stalszych funduszy na wojnę. Potęga turecka żyła z ostatnimi dwoma Jagiellonami w zgodzie, a nawet proponowała Zygmuntowi Augustowi dowództwo naczelne nad połączonymi turecko-polskimi wojskami. Wytworzyło się więc w końcu XVI-go wieku stronnictwo, upamiętnione nawet w historii nauk politycznych, które żądało przymierza i oszczędzania Turcyi, w tej nadziei, że jej dobre sąsiedzkie usposobienie, wywołane czasowo kłopotami w Węgrzech, będzie wiecznie trwałem. Pomimo też przekonywań starego Ostroroga, wtajemniczonego w plany Batorego, a ostrzegającego: „że nas już Turcy wachać poczeli, by ścierwa psi, y że już oni krótko długo nie przestaną aż w nas zawadzą;“ stronnictwo przymierza bynajmniej nie uciekło. Napróżno dowodził Ostroróg: „że wojny tureckiej dalej nie zwleczenie, a jeśli WMość wojnę do obrony swej prowadzić tylko będziecie, przegracie taką wojnę;“ napróżno zachęcał: „że taka jest wasza commoditas z Turki wojować, której żaden pod słońcem naród nie ma.“ Znalazły się przed jego głosem: „Deliberacye o spółku i związku korony polskiej z paną chrześcijańskimi przeciwko Turkowi,“ w których zaznaczano: „my ani do obierania cesarzowi tureckiemu przyczyny nie mamy, gdyż nietylko nam nic nie wydarł, ale gdy nasi częstokroć brali, czasem przeglądał.“ Dlatego też „ani żebyśmy mieli opowiedzieć i podnieść przeciwko niemu wojnę, przyczyny żadnej nie mamy. Bo nam nigdy obrazy żadnej, ani krzywdy nie uczynił. Przymierze zaś i pakta, które z nim mamy, bez wszelakiej przyczyny łamać, zradnego zasię i wiarołomnego zda się rzecz być, niż miłującego Rzeczpospolitą chrześcijańską, niż uważającego dobro ucziwe swe.“

Zdarzały się wprawdzie chwile, w których widmo jassyru przybierało, dla niektórych przynajmniej prowincyi Rzeczypospolitej, wyraźniejsze kształty i wywierało pewien nacisk na finanse. Na sejmie np. w r. 1590, Zamoyski, w celu stworzenia wielkiej siły wojskowej w stylu Batorego przeciwko Turkom, przeprowadził między innymi podatek poglównego, nigdy prawie nie praktykowany. Raz tylko bowiem natarczywość wojny natchnęła sejmujących odwagę, a miało to miejsce na sejmie w Bydgoszczy, w 1520 r., gdzie poglówne rozszerzono na Polskę, nakazując płacić wojewodom 50 fl., kasztelanom wiel-

kopolskim 3 fl., szlachcie zaś właścicielom wsi—od osoby 8 fl., a od wsi 1 fl. Podług wiadomości współczesnych, jak pisze ks. Lubomirski, wiele w 1520 r. popełniono nadużyć przy wybieraniu: jedni pogłównego nie dali, inni wybrane na korzyść własną obrócili, lub otrzymali pod pozorami niesłusznemi asygnacyę, czém przyczynili się do zmarnowania podatku. Suma pogłówna wynosiła naówczas 86,989 fl. 20 gr. Jeszcze niefortunniejszemi były dzieje pogłównego w r. 1590. Na sejmikach bowiem posejmowych zawrzała gwałtowna przeciw nim opozycja. Posypały się protestacye szlachty, szczególniej przeciwko pogłównemu, i odmówiono wręcz podatku jako hańbiącego. Całą Wielkopolskę ogarnął jakby jeden wielki ogień. Zawiązała się też niebawem konfederacya w Średzie, przystąpił do niej sam prymas Karnkowski, który złożył niebawem wielki zjazd w Kole. Na owym zjeździe głównym obalono wszystkie uchwały sejmu walnego, ogłoszono je jako nieobowiązujące, nikt poboru nie dał, pogłównego nikt nie zapłacił.

Istotnego wpływu zatem postrach turecki na równiejszy rozkład podatków w Rzeczypospolitej nie wywarł. Ale czego nie zdołała dokonać potęga Osmanów, to wycisnęła wielka potrzeba opłacenia wojska zaciężnego, które, utworzywszy zbrojny związek, domagało się uiszczenia należnego sobie żołdu. W uchwale sejmowej 1662 r. wyminięto jednak wyraźnie nazywanie pogłównego. Nazwano je „subsidium reipublicae generalis“ i tego terminu stale się trzymano. Subsidium powyższe rozciągało się nietylko na pleć męską, ale i na żeńską, którą inne rodzaje podatków oszczędzały. Podlegali pogłównemu starsi i młodszy, powyżej lat 10-ciu wieku, i to świeccy, jak i duchowni, prosty kmięć i ślacheć na równi z najwyższymi dostojnikami Rzeczypospolitej. W pierwszych latach wojen tureckich Króla Jana Sobieskiego, uchwalaly sejmy po kilkakroć pogłowne. Następnie, po dłuższej znów przerwie, od r. 1717 stało się ono na kilkadziesiąt lat głównym środkiem trwałego, rok rocznie powtarzającego się, opodatkowania na rzecz stałego wojska. Pogłowne wszakże nie zdołało sprawiedliwiej rozdzielić brzemienia ciężarów publicznych wśród klas społecznych. Szlachcie osiadły, bez względu na rozległość swęj posiadłości ziemskiej, płacił tylko trzy złote od osoby, a więc zaledwie trzy razy więcej od każdego ze swych poddanych, co dla kmięci żadnej donioślejszęj ulgi stanowić nie mogło.

Szlachta też nietylko że nie przestała, ale dopiero na seryo w XVII w. rozpoczęła obchodzić prawodawstwo i podawać łany kmięce za folwarczne, lub skrywać je zupełnie, zatrzymując tym sposobem dochód skarbu pospolitego, pływący z podatku gruntowego. Nawolywało wprawdzie rycerstwo duchownych do coraz to większęj ofiarności, ale samo, chcąc położyć tamę zbyt natrętnym domaganiom się

korony o pobory, straszło raczej, niż pocieszało Królów, gotowością złożenia podatku z krwi, „ofiara swych gardł,” i nie dziwnego, że jak tylko sejm chciał uchwalić pospolite ruszenie, Monarchowie podejrzewali, że w niém jest „żyd zagrzebany,” czyli, że szlachta, usuwając się od zaspokojenia państwowych potrzeb, chce coś wytargować na koronie. Wraz z istnieniem pospolitych ruszeń utrzymała się jednak nierówność w rozkładzie podatków, uchwalonych przez stany. Bogatsi spychali całe brzemień na najuboższych, uprzywilejowane stany—na podleysze, a przedewszystkiém na kmieci, i prawie do końca XVIII-go wieku skarb Rzeczypospolitej brał zasoby z tychże samych, mocno wyczerpanych, źródeł.

Reprezentacya stanowa Rzeczypospolitej uważała, tak samo, jak i na zachodzie Europy, prawo uchwalania pomocy, czyli posiłków, za najdonioślejsze ze wszystkich praw. Nasamprzód więc posłowie ziemscy baczili pilnie, aby „rady duchowne i świeckie,” łącznie z Królem, nie uzurpowały sobie powyższego prawa. Na rzadkie próby pominięcia zwyczaju, pilnie obserwowanego, odpowiadali posłowie kategorycznie: „a gdyż to jest przez W. K. Mość a przez rady tylko, a bez nas y posłów naszych postanowiono, a myśmy na tho nie zezwolili, nie powinniśmy go też dać, a nie ma być z nas ani z poddanych naszych brau, a kto je ustawił, ustawił je na swe poddane, a nie na nas, ani nasze poddane.“ Ostatnie téż pokuszenie się korony o uchwalenie poborów, z senatem, a bez posłów, łączy ks. Lubomirski z zamachem na życie Zygmunta I-go, który wstrząsnął boleśnie całym krajem. Pomoc wszakże, uchwalana przez stany, jak to już zresztą zaznaczoném zostało, nosiła cechę dobrowolnej i jednorazowej ofiary, i to składanej dla zorganizowania obrony państwa, która była właściwie obowiązkiem zadaniem monarchizmu. Umożliwiając Królowi spełnienie uciążliwego obowiązku, stany nie zapomniały o swych dolegliwościach i szybko przyszły do przekonania, że uchwalanie poborów stanowi najdogodniejszą chwilę do usunięcia onych, czyli, prościej rzecz nazywając: do wytargowania ustępstw na koronie. W domaganiach się téż Króla o pomoc, w formie poborów, nie widziały bynajmniej stany przypomnienia publicznego obowiązku, nakazującego ratować Rzeczpospolitą, której sam monarchizm, mimo najszczerzych chęci, nie był w możności osłonić, ale „załot“, czyli zalecanie się Króla o podatek, o którym posłowie nawet mówić nie chcieli, dopóki się nie urzeczywistniła zasada: „do ut des.“ Najdosadniej ową targowicę przedstawił Zygmunt August w słowach: „wydziałem ja tho, że thak miało bycz, bo to ich stary treth—nie wdacz się w obrone asz pierwey prośbi się wypełnią, bo tho dawno bilo, y za oycza mego, kiedy wierduuk dawali, tedy go

nie dali, aż pierwej otrzymali, czego jem bila potrzeba, y za temi wierdunkami wiele wlażło w statut, bo za tim to chodzilo.“

Warunki i zastrzeżenia, czyniące uchwalenie pomocy zależnem od ustępstw korony, stawały się coraz to liczniejszemi, a co ważniejsza, i coraz to drobiazgowszemi. Na sejmie Piotrkowskim w r. 1565, posłowie domagali się nietylko zapobieżenia nadużyciom urzędów koronnych, ale i możności denuncyowania ich przed instygatorem i formowania im sprawy dyscyplinarnej. Senatorowie, będący zarazem najwyższymi dygnitarzami koronnymi, oparli się żądaniu, wykazując, że tym sposobem instygatorzy zamienili-by się w „Karczemistrzów,“ a Król zrzęcznie zażegnał burzę, oświadczaiąc, że przy dawnych statuciech wszystko zostawić raczy i tak to zostawować, aby posłowie ziemscy, jako to przedtém byli powinni i teraz deferowali takie przestępne urzędniki, a król JM. będzie je sądził i karał winami opisanemi, ani inszych delatorów, ani instygatorów mieć nie chce, jeno posły ziemskie.“ Na tymże samym Piotrkowskim sejmie, posłowie nie chcieli nawet mówić o podatku na obronę, dopóki im poprzednio nie zostaną zakomunikowane konstytucye, potwierdzone przez monarchę, a których się w imię dobra swego stanu domagali. Powtórzyła się zatem dosłownie, jak to łatwo sprawdzić można, zasada francuska: „pas d'ordonnance, pas de subsides.“

Zrazu teoria przeładowywania uchwał poborowych klauzulami ubocznemi służyła do rozszerzenia władzy publicznej, zarówno sejmów, jak i sejmików. W XVII wieku wszakże, gdy sejmikowanie rozpanoszyło się nad wszelką miarę, poczęły województwa wytargowywać na koronie drobne i marne zyski. W r. 1607, powiat Bielski zezwala na pobór, jeśli ich poseł otrzyma złp. 200 na furmankę do Krakowa, na roku zaś 1609, Braclawskie daje pobór pod warunkiem, aby była utrzymana arenda Kropiwnickiemu, i t. p.

Przy pomocy teoryi klauzul, targowica z koroną dosięgła jeszcze za Zygmunta Augusta tak wysokiego stopnia rozwoju, że całe gospodarstwo publiczne państwa dostało się pod nadzór sejmowy. Jeżeli z natury rzeczy pozostawiono Królowi pewną swobodę w szafowaniu dochodami stołu królewskiego, to jednakże z uwagi, że osoba Monarchy nie jest „privata sed publica,“ nie pozwalano jój bez upoważnienia stanów obdłnzać lub zastawiać majątku królewskiego, ani przeznaczac kwarty na inne cele, aniżeli te, które konstytucyą zostały wskazane. Zygmuntovi Augustowi nie oszczędzono wyrzutów, gdy, wśród kłopotów finansowych, pozwolił sobie wziąć pieniądze z kwarty, a Stefan Batory zdołał zaledwie na to uzyskać pozwolenie, że kwarta obracaną była na obronę wogóle, a nie wyłącznie na strzeżenie jednej granicy od napaści turecko-tatarskiej. Jeżeli wytargowaną z prowentów kró-



lewskich kwartę trzeba było obracać na cele, wskazane przez sejmujące stany, to cóż dopiero mówić o poborach, uchwalanych przez sejmy. Sam Zygmunt August określił linię demarkacyjną, oddzielającą dwa odmienne systemy, następującemi słowy: „Ale przypatrzcie się W Mość temu, że one wiadunki, za ojca mego, obracały się kendi chciano, bo je samemu memu ojczu dawano, alie teraz obrona tha, którą składacie, nie idzie do mnie, alie dla potrzeby swey składacie to.“ Król zatém wiadunki, uchwalane przez sejm, nazywa wprost „obroną,“ wskazując tém samém cel i zadanie, do którego urzeczywistnienia służyć miały.

Jeżeli téż dawniej skarb królewski i państwowy stanowiły nierozdzielną całość, to w XVI wieku poczyna się skarb pospolity oddzielać od królewskiego i nad tym pierwszym rostoczyły sejmujące stany jaknajpieczołowitszą kontrolę. Prawo uchwalania poborów, w nieuniknionej konsekwencji, pociągnęło za sobą pożądanie wpływu na administracyę skarbu, która-by dawała skuteczną gwarancyę, iż szafowanie poborami będzie zgodne z uchwałą sejmową. W drugiej połowie XVI stulecia, podskarbi wielki koronny stanął na czele zarządu skarbu pospolitego, pozostawiając podskarbiemu nadwornemu skromniejsze stanowisko urzędu dworskiego i zmuszając go nawet do składania rachunków z dochodów stołu królewskiego. Podskarbiowie wielcy (koronny i litewski), byli niewątpliwie ministrami, mianowanymi przez Monarchę, lecz, jako członkowie rad duchownych i świeckich, stanowili zarazem cząstkę sejmujących stanów, przed którymi przychodziło im z prowentów i wydatków czynić liczbę. Administrować skarbem pospolitym mogli tylko podskarbiowie, przy pomocy dość licznego personelu poborców i szafarzy. Zadaniem pierwszych było odbieranie poborów od kontrybuentów, obowiązkiem zaś drugich—sumy od poborców odebrać i przelać, albo do skarbu pospolitego, albo do rąk, przez podskarbiego wskazanych.

Sejmowi nie wystarczało ogólne prawo kontrolowania podskarbiów, albowiem za Zygmunta Augusta stany przekonać się mogły dobitnie: że gdy z kwarty szły fundusze na cele uboczne, a nie na ubezpieczenie granic, trudno było podskarbiego czynić odpowiedzialnym za czyny monarsze, zwłaszcza, że w senacie slyszyć się dawało zdziwienie, gdy posłowie upominali się o zaległą kwartę, a nawet wtedy nie na żarty panowie huknęli: „a nie wiemi jaką istotę na pana uczynicz. Nie biwało tho w Polsce, aby sie miał Pan yszczicz. Nie wiemy jaka istota ma bycz, Panu wierzycz.“ Szafowanie pieniędzmi skarbowymi, należące do dawnych prerogatyw królewskich, musiało zatém uledz ograniczeniu, a pierwszy wyłom w atrybucyach korony stanowiło wybieranie urzędników skarbowych, mianowanych dawniej przez Monarchę. Za Zygmunta Augusta odbywał się proces poddania admini-

stracy skarbu wpływowi sejmów, nie bez oporu ze strony Króla, lecz ostatecznie zwycięsko przez stany przeprowadzony.

W r. 1569 deputowane zostały do pana podskarbiego koronnego: cztery osoby deputatów, dwu z rady, a dwu z rycerstwa, ad hunc solum actum. „Nie żebyśmy takie, którzyby w urzędzie jego przeszkadzać mieli, albo socios muneris cum aequali potestate przysadzać, tylko ku odbieraniu, chowaniu y szafowaniu czwartej części, a to dla tego śmierci podskarbiego koronnego będą powinni. A daley w urząd jego pana podskarbiego koronnego będą powinni. A daley w urząd jego w niczym się wtrącić nie mają, tak, iż inne wszystkie sprawy urzędowi podskarbstwa koronnego należące, wedle przywileju y statutu, we wszem cale y skutecznie zachowane być mają.“ Pomimo tak wyraźnych zapewnień, że deputaci sejmowi do władzy podskarbińskiej mieszać się nie powinni, znajduje się w téjże samej konstytucyi kategoryczne oświadczenie, że szafować temi prowenty (skarbu rawskiego, zorganizowanego w roku 1569), pan podskarbi koronny ma z deputaty i tak samo z nimi liczyć się i usprawiedliwiać przed sejmem. Sejm potrafił z czasem pozyskać jeszcze większy wpływ na rząd skarbowy, spoczywający w rękach podskarbiów. W roku 1596, zabiegając niebezpieczeństwem, od Turków Rzeczypospolitej grożącym, dała konstytucya zupełną moc panom prowizorom, tak z rad, jako y z posłów obojga narodów, vigore conventus mianowanym y do panów podskarbiów przysadzonym, aby oni na wiarę y kredyt Rzeczypospolitej wszystkiej dostawali pieniądze. W tym celu i panowie podskarbiowie mają mieć facultatem w dostawaniu pieniędzy, na te wyżey wymienione sumy czynić wszelakie kontrakty, ze wszelakimi osobami“ i t. d.

Sejmiki pozazdrościły znowu wpływu sejmowi, a ponieważ były odpowiedzialne za dostarczenie skarbowi sumy, przypadłej w rozdziale poborów sejmowych na województwo, i dla zadośćczynienia ciężkiemu obowiązkowi uciekać się musiały do systemu podatków dodatkowych, przeto zależało im, więcej prawie niż sejmowi, na wytworzeniu oddzielnego wojewódzkiego skarbu i samodzielnej nim administracyi. Przy pomocy instrukcyi, krępujących i zmuszających posłów do odnoszenia nietylko poborów, ale i szafunku niemi „do braci,“ stały się sejmiki organem administracyi skarbowej, pełniejszym i więcej wpływowym, niż sejmy walne koronne.

Jeżeli reprezentacya stanowa pozyskała bezpośredni wpływ na jedną z gałęzi administracyi państwowej, zagarniała zwykle i sądownictwo administracyjne, które zazwyczaj ani od organów wykonawczych, ani od sądownictwa zwykłego, nie było należycie odłączoném. Objaw to był powszechny, w Polsce spotykamy się z nim w całej pełni w r. 1613, gdy uchwalono „sposób sądzenia i wyciągania retent podat-

ków przeszłych (od r. 1609 inclusive), na zapłatę żołdu żołnierskiego pokazanych. Trybunały skarbowe w Radomiu i Wilnie, wytworzone skutkiem konstytucyi z 1613 r., funkcyonowały w dobie międzysejmowej, co sześć niedziel rocznie, a z kontrolą skarbową łączyły egzekucyę sądową nad retentorami w województwach, czyli nad samemi województwami, tudzież kontrolę nad tak zwaną koekwacyą, albo zasadą równego udziału województw w ponoszeniu ciężarów podatkowych. W trybunałach skarbowych zasiadali deputaci ze wszystkich województw, wybierani na sejmikach, a gdy w roku 1764 trybunały powyższe ustąpiły miejsca komisjom skarbowym, to i w nich przysadzono podskarbin 4 senatorów i 12 posłów ziemskich.

Oddzielano niekiedy od czynności trybunałów skarbowych sprawę równego i sprawiedliwego podziału hyberny, przypadającej z dóbr duchownych i królewskich. Tworzono komisye hybernowe w r. 1667, 1676, 1678, 1684 i następnych, ale ponieważ rozkład hyberny dotyczył przeważnie duchowieństwa i posiadaczy królewszczyzn, więc stan rycerski nie cisnął się do udziału w czynnościach tych komisyi, które zresztą, z mocy sejmu traktatowego 1737 r., zostały na zawsze zniesione. Sejmiki zorganizowały również izby skarbowe, uposażone władzą sadowo-administracyjną i zupełnie niezależne od władzy podskarbińskiej, ale w r. 1717 wyzuto sejmiki przynajmniej z władzy administracyjno-skarbowej. Ustały wszelkie deklaracye na sejmach brania do braci, repartycey podatkowe i t. p.; zniesiono egzekutorów wojewódzkich, a ich miejsce zajęli deputaci wojskowi, którzy zjeżdżali do województwa po odbiór przypadającej półrocznie „punktualnej płacy“, zniesiono także izby skarbowe. Deputaci wojskowi rachowali się w trybunale skarbowym radomskim.

Ustała zatem miejscowa kontrola i rachunkowość wojewódzka, ale został po staremu dawny skarb wojewódzki, do którego wpływały: czopowe i szelężne. Zarządzały tym skarbem bądź sejmiki same, bądź wysadzona z łona ich komisya czopowa, nazywana jeszcze niekiedy po dawnemu: izbami skarbowemi, lub komisarskiemi. Komisya skarbowa, zaprowadzona w r. 1784, zjednoczyła ostatecznie cały zarząd i odebrała powoli sejmikom to, co były jeszcze u siebie zatrzymały od zmiany zaprowadzonej w r. 1717. Zniesiono więc skarby wojewódzkie, których dochody czopowe i szelężne, od r. 1766, wcielono do skarbu Rzeczypospolitej. Ustały tém samem komisye czopowe, czyli izby skarbowe wojewódzkie, i ustała władza stanowienia podatków wojewódzkich na potrzeby miejscowe.

Zarząd skarbowy wojewódzki pozostawił po sobie nieszczególne wspomnienie, system podatków dodatkowych zwie prof. Pawiński rabunkowém gospodarstwem, a o izbach skarbowych, funkcyonujących

z górą 60 lat, napisał Otwinowski: „faxint superi“ (niech to bogowie sprawią), żeby się nigdy te sądy nie wracały, które zgubą fortun ludzkich były, a grzechu niektórych nabawiły, gdyby sobie ręce cudzém smarowali.“

Ze skarbowością zarząd wojskowy połączony był wszędzie najściślej szymi węzły, nie dziwnego zatém, że stany sejmujące w Polsce, pozyskawszy wpływ na zarząd skarbu, starały się go rozpostrzecz i na zarząd wojskowy. Uchwalenie pospolitego ruszenia zawisło tecz w zupełności od woli sejmu, a upoważnienie, dane Monarsze, trwało krótko i musiało być odnowioném na następnym sejmie, jeżeli Król z niego chciał zrobić użytek. Zbytecznym było-by dowodzenie, że za pośrednictwem uchwalania poborów sejm decydował ostatecznie o ilości wojska, zebranego na kampanię. „Chcą, żeby za 50,000 złp., (które wpływały z dóbr szlacheckich, zdaniem Króla), wojnę z Moskwą prowadzić. Gorzko na to sknerstwo wyrzekal Stefan Batory, uprzedzając, że za takie pieniądze nie wiele może zrobić. Przytém jednak świadczył się Bogiem, że gdyby sejm wsparł Rzeczpospolitą, pomyślał-by nietylko o podbiciu Moskwy, ale i całej Północy. Niezależnie jednak od powyższych wpływów, sejm, za pośrednictwem deputatów z rad duchownych i świeckich, oraz z koła rycerskiego, mógł oddziaływać w epoce międzysejmowej na administracyę wojskową, albowiem deputaci wymienieni należeli do rady wojennej przy boku Króla i hetmanów wielkich. „Tym-to pp. radom i deputatom od koła rycerskiego, do mieszkania przy nas obecnego naznaczonym *authoritate conventus*, dajemy o wszystkich rzeczach, do wojny tylko tureckiej y pokoju, gdzieby go zawrzecz przyszło, należących, y zgoła o wszystkich sprawach bezpieczeństwa Rzeczypospolitey od postronnych nieprzyjaciół zachodzących, y z jakieykolwiek miary na nie gwałtownie przypadających, z Nami (Królem), pospołu obmyśliwać, radzić y traktaty zaczynac i kończyc bez wnoszenia jednak *servitutum* y niewoley na Koronę y W. X. Lit. y stanowic wszystko ku dobremu y bezpieczeństwu pospolitemu: okrom sądów dworskich, do których ci co nie są senatorami, nalezec nie mają, y stanowienia praw jakich nowych, albo dawnych wzruszenia y nowego jakiego podatku decernowania, y obrócenia *belli offensivi*, y za granicę zachodzącęj, na ynszą stronę, nie na pogany, to jest Turki i Tatory, do czego gdzieby się potrzeba okazała, nowy seym ma bydz złożony.“

Neograniczano się jednak sprawami wojskowemi, gdy szło specyalnie o wyprawę na Turki i Tatory. W r. 1649, poniewaz uspokojenie swawoli kozackiej y ordynacyi na potém wojska zaporozskiego, nieodwlocznie potrzebuja ekspedycyi, tedy tak z senatu, jako y z koła rycerskiego obudwu narodów, do boku naszego deputatów naznaczamy, którzy poslowie uczyniwszy przysięgę, będą mieli *facultatem* przy Nas

y rezydencyi decernendi, cokolwiek w tey mierze e republica będzie się zdało, y co e nemine contradicente, absentia nonnullorum, nonobstante postanowią, takiey wagi być ma, jakoby na seymie postanowionem było: nie będą mogli jednak nic stanowić contra dignitatem Reipublicae, także coby za sobą szkodę albo diminuacyą dóbr pospolitych jak y privatorum niosło. Bella też offensiva żadnych na Rzplitę zaciągać nie będą mogli, wszystkiego postępku na seymie przyszłym relacyą uczynić będą powinni.“ W roku 1673, chcąc mieć zupełną radę wojenną, na której siła należy, jednych przy osobie swojej (Króla), drugich przy wielmożnych hetmanach Król mianował.

Rada powyższa, będąca deputacyą sejmową, zdobyła sobie niewątpliwie wpływ znaczny na zarząd wojska, lecz nie powinna była krępować samodzielności hetmanów, jako wodzów. Asekuracye hetmańskie przepisują téż wyraźnie: „chcąc nieprzyjacielowi szkodzić, tak téż nieprzyjaciela, ile można dopuścić, poprzedzić; przeto więc, aby oglądanie się na te rzeczy nie zabawiało co dzieła, y consilia jego, dajemy mu facultatem belli, intra et extra fines regni gerendi et administrandi, jako najlepiej będzie rozumiał, ex usu et arte militari.“ Mimo owęj wyraźnej asekuracyi hetmańskiej, deputacye sejmowe zaznaczyły niefortunnie swoją działalność w zakresie wojskowości i pozostawiły po sobie fatalne wspomnienie.

W sprawach wojskowości pozyskały także sejmiki znaczny zakres władzy publicznej. Bywały nawet chwile, gdzie nie wahały się uzurpować władzy sejmu walnego, uchwalając z własnego popędu pospolite ruszenie na potrzeby jednego województwa, dla własnej jego obrony, które zwano obroną prywatną „in particulari.“ Organem administracyjnym wszakże w zarządzie wojskowości stawał się sejmik dopiero przez uchwalanie i organizowanie „powiatowego żołnierza.“ W miejsce bowiem poborów, przez sejm uchwalonych, decydowały się często sejmiki na wystawienie własnym kosztem „powiatowego żołnierza.“ Trzeba przyznać, że, w chwilach niebezpieczeństwa, województwa niezałowały nawet pieniędzy i wystawiały więcej wojska, niż pospolite ruszenia wydiscyplinowanych rycerzy. Żołnierz jednak powiatowy nie mógł przedstawiać pod względem militarnym wielkiej wartości, albowiem sejmiki dobierały mu oficerów z miejscowej zazwyczaj szlachty i pragnęły, aby stworzony przezeń żołnierz, „przy województwie, z którego pochodził, stawał“, co nie mogło dodatnio wpływać na jednolitość ustroju armii i na posłuszeństwo dla naczelnéj komendy.

Ponieważ z prowadzeniem wojny związane było ściślemi węzły prowadzenie dyplomatycznych negocyacji i zawieranie traktatów międzynarodowych przeróżnej treści, przeto i téj atrybucyi, bezspornie monarszêj, nie pozostawiły stany sejmujące w spokoju. Senat, a zwła-

szcza senatorowie-rezydenci, jako rada koronna, brali udział w negocyacjach dyplomatycznych, prowadzonych przez kanclerza, w imieniu królewskim; sejm więc nie omieszkał dopomnieć się o udział dla zebrałych stanów, czyli, właściwie rzecz nazywając, dla rycerstwa. Tak samo więc, jak przysadzano deputatów vel prowizorów podskarbin, hetmanom, czyniono to i kanclerzom. Gdy mowa była o radzie wojennej, zaznaczoném zostało: że zawieranie pokojów i traktatów, „od początku do końca“, wchodziło w zakres obrad deputacyi sejmowych, które zatém i w zakresie dyplomacyi miały wspierać Króla i kanclerzów swemi radami. Prócz tego, konstytucya z r. 1670 przepisuje: „ponieważ legacyą sejmu teraźniejszego do cara JMości moskiewskiego naznaczyć przyszło, tedy do napisania instrukcyi naznaczono deputatów, którym dajemy zupełną potestatem, aby po skończeniu sejmu, „praevio juramento“ instrukcyą dostateczną do tój legacyi służącą spisali, insze impedimenta, które przeszły trudziły komisya, uprzątnełi.“ Niekiedy zaś ogólnie tylko w konstytucyach zaznaczano, że: „nam (Królowi), w pilnych Rzeczypospolitej sprawach, legacyą pewną wyprawić przychodzi, przeto do spisania posłowi instrukcyi, deputatów z koła poselskiego naznaczyliśmy po sześciu“, i t. d.

Dawne prawo polskie uważało monarchę nie tylko za najwyższego hetmana, ale i za najwyższego sędziego (rex iudex supremus), Wymiar sprawiedliwości należał do najistotniejszych obowiązków korony, i w r. 1552 wołała jeszcze szlachta na sejmie: „sądzić nie mogę, bronić nie mogę, jedno znowu panować a królować wam nie mogę.“ Istniała też w dawném prawie polskiem zasada, że Król zajęć się może wymiarem sprawiedliwości, gdziekolwiek się tylko znajduje w danej chwili; wynikało więc stąd z natury rzeczy, że mógł sądzić i w czasie sejmu. Ale właśnie dlatego nie było żadnej granicy stałej między kompetencyą królewskich sądów, odbywanych na sejmie, a gdziekolwiek bądź indziej. Tylko prosty zbieg okoliczności rozstrzygał, co na sejmie, a co po-za jego obrębem dostanie się pod rozpoznanie Króla. Skład sądów królewskich na sejmie był taki sam, jak i na dworze. Przedewszystkiém jednak zaznaczyć należy, iż izba poselska za czasów Jagiellonów nie uzyskała żadnego prawnego w nich udziału. Stanowisko zaś jurydyczne senatu było takie samo w sejmie, jak i na sądach nadwornych, t. j. w obu razach miał on jedynie głos doradczy. Po przemijającej próbie, jaką możnowładztwo uczyniło w r. 1501, (Przywilej Mielnicki), aby sobie zapewnić rozstrzygające znaczenie w sądach sejmowych, rzecz wróciła do dawnego stanu. Obok właściwego sądu królewskiego na sejmie istniały jeszcze sądy asesorskie sejmowe. Odprawiał je nie cały senat, ale kilku z jego łona wydelegowanych przez Króla członków. Tym sposobem senat mógł z Królem

radzić o sprawach publicznych, a delegaci zajmowali się jednocześnie wymiarem sprawiedliwości.

Jak wiadomo, sejmy stały się w Polsce jedyną władzą prawodawczą, która miała moc stanowienia o każdym „novum“ nieprzewidzianém, jak się wyraża statut z r. 1505. Król, rozstrzygając poszczególne wypadki sporne na sądach swoich nadwornych, mógł oczywiście spotkać się z kwestyą, na którą mu istniejące prawo nie dawało odpowiedzi; musiał tedy w takim razie odnieść się do sejmu. Daleko więc było prostszém, aby zaraz na sejmie wydał wyrok, skoro i tam mógł odbywać swe sądy. W sądzie sejmowym, jak to trafnie i słusznie zauważył prof. Balzer, stanowisko senatu stało się wkrótce inném, niż na dworze. Nie prawnie, ale faktycznie. Prawnicy byli senat, tu i tam, tylko doradcą Króla; na sejmach zaś brał udział w sądach cały senat, imponujący Królowi liczebną ilością i powagą, oraz tém, że mógł wystąpić solidarnie, jako jedno potężne ciało, świadome swych celów i broniące ich z konsekwencyą. Niezadlugo i posłowie zaczęli się gorąco interesować wymiarem sprawiedliwości na sejmie. Jeżeli na porządek rozpraw przyszła jaka ważniejsza sprawa, przysłuchiwali się jej; jeżeli zapadł wyrok nie po ich myśli, nie wahali się kwestyi tej podnieść na posiedzeniach sejmu, robić Królowi wyrzutów, wstawiać się za oskarżonym, lub prosić o zmianę wyroku. Już Zygmunt I narzekał na to, że posłowie miesza się do sądów sejmowych i utrudniają tém bieg sprawiedliwości, ale tenże Zygmunt I nie wahał się sędzić ważniejszych spraw, za przywołaniem całej izby poselskiej. Zdarzały się nawet wypadki, gdzie posłowie, co prawda, wyjątkowo i tylko za wyraźną wolą królewską, brali czynny udział w sądownictwie sejmowym, a za Zygmunta Augusta spotykamy ich znów, jednak wyjątkowo, jako członków sądów asesorskich.

Jeżeli w opinii szlachty, sąd sejmowy miał największą powagę, jeżeli zabezpieczał jej stosunkowo największy wpływ na wymiar sprawiedliwości, to zależeć jej na tém musiało, aby tylko tam, a nie gdzie indziej, rozstrzygano o środkach prawnych przeciw orzeczeniom instancyi niższych. Co najważniejsze jednak i najciekawsze, to fakt, że wytworzył się zwyczaj, pozwalający w pewnych wypadkach apelować od sądu nadwornego do sądu sejmowego. Prof. Balzer nie stawia powyższego twierdzenia jako normy ogólnej, stosować się dającej do wszystkich przypadków, ale ją stwierdza na szczeólnym przykładzie. W następstwie jednak zwyczaju: „że nikt nikomu praw nie chciał być, jeno na sejmie“, wytworzyć się musiał zastój w wymiarze sprawiedliwości, a tej rosnącej szybko publicznej klęski nie zdołali usunąć posłowie, choć robili ofiarę z swych dążeń i dozwolali lub domagali się odhywania sądów po-sejmowych. Skutkiem nawału spraw, zdarzało się

najczęściej, że Król, odsądziwszy tylko część procesów, odkładał (limitował) sądy dalsze na przyszły sejm. Podejmowano tedy koszta nadaremno, narażano się na tysiączne przykrości po to, aby się doczekać limity i na przyszłym sejmie rozpocząć całą rzecz na nowo, z tym samym może, jak dawniej, skutkiem. Baczyli prócz tego posłowie, że „Pan (Król) k'sprawiedliwości ochoczen nie był a owszem scbie w niej tęsknił.“ Senat zaś, który z nim razem miał się zajmować wymiarem sprawiedliwości, nie doglądał go ściśle w pełnieniu obowiązku, co większa, wtedy nawet, kiedy Król energicznie zająć się chciał sądami, sam nie brał w nich żywego i chętnego udziału.

Nie rzadko spotkać się można było za Zygmunta Augusta z narzekaniami, że starostowie nie odprawiają sądów, że ziemstwa nie zjeżdżają się na roki, a w Sieradzkim doszło nawet do tego, że przez sześć lat nie odbywano sądów ziemskich, powołując się wyraźnie na to, że skoro Król apelacyi nie rozstrzyga, nie potrzeba też sądów pierwszej instancyi. Wszyscy współcześni podnoszą skargi na wielką ilość morderstw, a Lippoman podaje w relacyi swój z r. 1558 cyfrę zaległych spraw o zabójstwo na 12,000.

Taką jest w ogólnych zarysach, wybornie i gruntownie przez prof. Balzera scharakteryzowana, geneza Trybunałów koronnych z r. 1578. Stały się one poniekąd nieuniknioną koniecznością, albowiem niemożliwem było sejm, jako organ prawodawczy, zamienić w sąd najwyższej instancyi. Trybunały jednak zwiększyły znakomicie wpływ stanu szlacheckiego, skutkiem wyboru trybunalskich sędziów. Wpływ ten musiał się znacznie rozmożyc, dzięki temu, iż szlachta, obawiając się „sędziów wiecznych“ (perpetui iudices), przeprowadziła zasadę, iż ten, kto przez pewien przeciąg czasu zajmował się orzeczeniami w sprawach procesowych, ma być niezdolnym przez pewien czas później do pełnienia sędziowskiego urzędu. Przytém, gdy w sądach za granicą równoważono ujemne skutki, jakie wyniknąć mogły z wybieralności sędziów, przysadzeniem pewnej ilości prawników z zawodu, w Polsce, choć myśl tę gorąco wspierał Wolan, domagając się, aby powołać do trybunałów i doktorów prawnych, reforma nie uwzględniła ani przykładu zagranicy, ani rady Wolana. I przyszło do tego, że trybunał najwyższa instancya sądowa, składał się częstokroć z ludzi, nierozumiejących się wcale na prawie, którego mieli być nieomylnymi i ostatecznymi tłumaczami, a w niespełna sto lat po wprowadzeniu trybunałów koronnych można już było powiedzieć o nim w publicznym, urzędowym akcie, iż trybunał, jako exorbituje, najlepiej litigantes wiedzą, że i prawo podczas nie prawem: regesta post libitu mieszają, ordynacyi nie słuchają, korrupcyę biorą, frakcyę stroją, et omnia pro velle, non pro justitia,



pro imperio, non pro lege sibi licere arrogant, więcćj się bankietami, niż sądami zabawiają, stąd spraw in immensum narosło.

Pomimo doniosłej reformy z r. 1578, sejm pozostał jeszcze nadal trybunałem sądowym, chociaż liczba spraw, dostających się pod jego rozsądek, została znacznie ograniczoną. W dziesięć lat późniój, w r. 1588, deputaci izby poselskiej dobili się prawnego udziału w sądach sejmowych i zostali przypuszczeni do orzecznictwa w sprawach takiej wagi, jak zbrodnia majestatu, zdrada kraju i kwestye egzekucyjne (causae nullo jure). W sprawie przeciw Lubomirskiemu, w gronie sędziów zasiadali już deputaci poselscy, bynajmniój nie z głosem doradczym, lecz stosując się do znacznej większości wotów przyszło Monarsze wydawać dekret. Nawet prawo ulaskawienia zostało odjętém Królowi i nadaremnie Stanisław August dopraszał się sądu sejmowego: „darujcie mi życie tych aresztantów (Strawiński, Kuźma i inni) i to za największy przyjmę od was prezent. Póki sam żyć będę, największą wam za to, przeznacni sędziowie, będę miał wdzięczność“, wyrok bowiem wypadł krwawo i nie dano Monarsze nawet tój pociechy, którój gorąco pożądał: aby, gdy bieg natury przyniesie koniec skołatanemu tyłą troskami, nieszczęśliwemu życiu, mógł spokojniój i stodziej konać, powtarzając słowa: „Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom“ i t. d.

Co się tycze województw, to już poprzednio zaznaczonym został ich udział w wyborze członków trybunałów sądowo-administracyjnych. Uzupełnić tylko należy przedstawienie zakresu ich władzy w wymiarze sprawiedliwości tą wzmianką, że wybierały i przedstawiały kandydatów do sądu ziemskiego (sędzia, podsądek, pisarz) i wpływały na wybór podkomorzych, którzy rozstrzygali spory graniczne. Wreszcie nie było prawie ważniejszej publicznej sprawy, nad którą-by stany sejmujące nie rozciągnęły swój opieki. Nobilitacya, będąca dawniej atrybucyą królewską, potrzebowała od r. 1607 upoważnienia sejmu. Życie domowe królewskie stawało się przedmiotem surowej krytyki i daremnie Zygmunt August upominał: „długosz będę u was na tój dyscyplinie?“ Pomimo, że go współcześni zwali „tyrannus togatus“ i drżać mieli przed nim z obawy, wysłuchać musiał z powodu tajemnego małżeństwa z Barbarą Radziwiłówną gorzkich wyrzutów, a Boratyński nie oszczędził mu nawet obraźliwych i upokarzających wyrazów. W imię tóż zasady, że: *persona regis non est privata sed publica*, przeznaczano Królowi ze względów politycznych małżonkę, jak to uczyniono z Batorym, i z tych samych racyi stanu, domagano się od Króla należenia do Kościoła katolickiego. Podczas elekcyi Stefana Batorego, Radziwiłł, jakkolwiek dysydent, natarczywie dowodził: że „trzeba nam koniecznie

Króla Papieżnika, żeby się przynajmniej księdza bał i jego napominania słuchał, kiedy się praw naszych bać nie zechce y konsyliarzów słuchać nie będzie. Bo naszej wiary człowiek, lekce sobie nabożeństwo katolickie ważąc, jako jedno panowanie sobie zasmakuje, nietylko bojaźni Bożej przed oczyma mieć nie będzie, ale też y nas samych, co jedneyże z nim wiary będziemy, łatwusieńko powyścina, kiedy mu się opponować zechcemy.“ W dyaryuszach sejmowych XVI wieku odszukać się dadzą wyrzekania Królów lub ich ministrów: że stany na sejmie uzurpują sobie „*summam potestatem*“, a posłów ziemskich już na sejmie 1562 r. taka była *autoritas*, że prawie wszystko *ab illis pendebat*, nietylko w sprawach koronnych, ale i postronnych, bo jeśli jakie legacye od postronnych panów ku Królowi i ku senatorom były, tedy i do posłów osobne legacye sprawowano i t. d. Król J.Moś na perswazyach ich nie mało przestawał i jakoby wszystkiego od nich wyczekiwał, co daj Panie Boże, aby na dobre koronie polskiej wyszło.“

Jeżeli też w połowie XVI-go wieku, „*radę duchowne i świeckie*“ wpływały wyłącznie do wielu spraw publicznych, to już w końcu tego stulecia deputacye sejmowe, przysadzane ministrom, składać się musiały z senatorów i posłów i nie wolno było ograniczyć się samym senatem. Zgromadzone na sejmie stany uosabiały niewątpliwie, podług słów Zygmunta Augusta: „*wsetką koronę, a gdy wsetka korona prosi, abym miał tak jasny praw odstąpić, odstąpić ich nie mogę, ale jeśli się naprzecie, tędym ja wielce WM. osobom powinien, by też zeście się garła napaarli, aby to było z dobrem wassym, tedy dla was powinien-bym uczynicz.*“

Gdy żądania poselskie były zbyt dotkliwemi, wtedy, odmawiając, zdobywał się Zygmunt August na usprawiedliwienia prawie pokorne: „*tedy nie mieycie mi już za złe żecz tego nie moge uczynicz, bom się już wam związał wsitek, ze wsitkiemi sprawami swemi, a prawie już skrępowan.*“ Ostatecznie w ciągu XVI-go stulecia zdobyły sobie sejmikujące i sejmujące stany tak obszerny zakres władzy publicznej i obdarły koronę tak skutecznie z jej najcenniejszych klejnotów, iż zapórę dla swego wpływu i znaczenia znalazły, jak parlamenty angielskie, chyba w tem: że kobiety nie mogły przemienić w mężczyznę.

W ciągu jednak XVII i XVIII wieków, na zachodzie Europy, sejmikujące i sejmujące stany zetknęły się prawie wszędzie z dziełdycznym monarchizmem, który dla zasad stanowych, skupiających się w słynném: „*nie pozwalam*“, potrafił stać się groźną i niewzruszoną skałą brązową. Monarchizmowi w Polsce świeciło to samo

poczucie wysokich politycznych obowiązków i zadań, ale pomimo, że niejednokrotnie próbował wyzyskać słabe strony ustroju stanowego, brakło mu siły, płynącej innym koronom z dziedziczności tronu, i dlatego-to jeszcze w XVIII wieku wyrażano się za granicą o Królach polskich, że mogliby się stać: „eine formidable Macht“, gdyby elekcye téj potęgi nie niszczyły w zarodzie.

A. REMBOWSKI.

---

# SIOSTRY.

---

Zygmunt Bielmoński musiał stoczyć ciężką walkę z wierzycielami o zagon rodzinny. Gdy skończył nauki, wioska dziedziczna, po wdowiém gospodarstwie matki, oddaną mu została w stanie, nie zostawiającym, jak się zdawało, żadnej nadziei wyjścia z długów. Jego młode siły jęły się wszakże zadania. Jadł chleb razowy, pracował od rana do nocy, zdołał wzbudzić zaufanie wierzycieli, i gdy już był na łatwiejszej drodze, gdy już miał nie nadzieję lecz pewność wybrnięcia z interesów, stryj, milioner, ofiarował mu dobrowolnie pożyczkę, której Zygmunt nigdy nie żądał. To go ostatecznie postawiło na nogi, uwalniając od lichwy, zjadającej jego dochody.

I oto przyszła dla niego chwila, w której mógł pozwolić sobie na dłuższy wypoczynek i przybyć w karnawale do Warszawy, gdzie mieszkała jego matka, żyjąca ze skromnej dożywotniej pensyi, zapisanej jej przez brata.

Parę dni przedtém spotkała go radość wielka, która dotąd podsycała w nim uczucie dumy i zadowolenia z samego siebie. Skorzystawszy z wysokich cen i sprzedawszy znaczniejszą partję pszenicy, odwiózł stryjowi nietylko procent, lecz część kapitału, prosząc o pozwolenie spłacenia tak długu częściowo. Stryj bąknął coś o zbytku gorliwości, ale był to człowiek, który przez życie stokrotnie powiększył swój majątek i cenić umiał grosz wpływający, zatem pieniądze odwiezione przeliczył, zamknął do kasy ogniotrwałej, uregulował rachunek Zy-

gmunta i począł mówić o czem inném. Nie ofiarował synowcowi ani słowa uznania dla jego pracy. A była to praca ciężka, której żnoją radosny Zygmunt czuł w całej swój istocie.

Mógł przecie odetchnąć trochę po niej. Od czasu skończenia uniwersytetu pragnął tego odpoczynku. Chciał odnaléż ludzi, z którymi kolegując, tyle się namarzył głośno o przyszłości własnej i przyszłości społeczeństwa. Zdawało mu się, że praca na wsi i przewracanie skib na polach wioski rodzinnej pokryły go skorupą intelektualnego zaco-fania, pleśnią застоju umysłowego, że potrzebował zrzucić to z siebie. Miał przekonanie, że myśl ludzka poszła dalej, że zrobiła znaczny krok na drodze postępu, podczas gdy on siał i orał, i że mu było potrzeba dogonić ją, uczynić wysilek, by ją pochwycić i przyswoić sobie. Czytywał na wsi bardzo wiele podczas zimowych wieczorów, ale mu brakło iskry elektrycznej, wstrząsającej dwa na raz umysły i zapalającej w nich to, co jest podzieloną myślą i co, jak podzielona miłość, odkrywa nowe horyzonty.

W domu jednego ze swych kolegów spotkał Oskara Rzeweckiego. Nazwisko jego znał od dawna. Tak często obijało mu się o uszy, tylokrotnie uderzyło jego oczy w druku, że widział je wzrokiem pamięci, wystające w czarnych literach, podpisane samo jedno lub wraz z innymi pod wyznaniem wiary stowarzyszeń, ustawami spółek... Znał je kraj cały, bo mu je powtarzano bez ustanku, wytrwale, od lat kilkunastu, więc choć Zygmunt nie umiał sobie zdać dokładnej sprawy z tego, czém właściwie zasłużył się Oskar Rzeweckie, wiedział jednak, że musiała to być postać wybitna, która, może tylko z braku pola do działania, nie zabłysła na szerszej widowni narodowej. Doznał téż uczucia prawdziwego zadowolenia, gdy zaproszonym został przez znakomitego człowieka do bywania w jego domu. Żona Rzeweckiego przyjmowała wieczorem we czwartki. Bywały to zwykle zebrania, na których bawiono się rozmową i muzyką; tym razem wszakże, że to był karnawał, raut miał się zamienić na wieczór tańczący. Potrzebne były młode siły i zapał do tańca. Zygmunt zapewnił, że i siły, i zapału miał zapas nie mały, i w następnym czwartek o godzinie właściwej powiększył grono balowych gości Rzeweckich.

Zabawa ta zapowiadała się świetnie od razu i nie zawiodła oczekiwania. Jakaś atmosfera wesela i swobody opanowywała każdego, co próg gościnnego domu przestępował dnia tego. Nawet ofiary tanecznego szalu młodzieży, zwykle znudzone „mamy”, nie poczuły ciężaru, wlokącej się dla nich, bezsennej nocy. Gospodyni domu, Józefa Rzewicka, umiała jakąś iskrę zatlić w każdym umyśle, a wzięwszy na siebie budzenie starszych pań, potrafiła uczynić im czuwanie nietylko znośnem, ale nawet przyjemnem.

Mania, jej siostra, wyglądała prześlicznie. Ona-to dla szwagra była pretekstem dania balu. Pretekst wydał się wszystkim nietylko usprawiedliwionym, ale godnym ogólnego uznania. Patrząc na Manię, każdy czuł, że się temu ślicznemu stworzeniu zabawa z prawa należy, że strój balowy dla Mani wymyślonym został, a białe stokrotki na to tylko zakwitły, by się zmieszać z jej jasnymi włosami. Była widocznie szczęśliwa, a każdy czuł się zadowolony i zachwycony szczęściem tak pięknej dziewczyny.

Rzewecki zajął się Zygmuntem z wyjątkową uprzejmością. Wśród tańca, a tańczył z zapałem, szukał po salonie oczami nowego gościa, i ile razy mógł, siadał lub stawał obok niego.

Rzewecki miał lat czterdzieści, bardzo sympatyczną powierzchowność i wyglądał na młodszego, niż był rzeczywiście. Wysoki, przy stojny, z ruchami młodzieńca, zdawał się w tańcu pozować na elastyczność, siłę, zręczność i dziarskość. Miał niezawodnie wszystkie te przymioty, ale coś w zachowaniu się jego mówiło, że się z nich pysznił, i do tego, czem go obdarzyła natura, dodawał jeszcze trochę fantazyjnej blagi. Miał postawę zwycięscy, a podczas przerw tańca opowiadał Zygmunтови o nadzwyczajnych jakichś wypadkach swego życia, w których tylko zręczność wiewiórki, spryt lisa i odwaga lwa go ocaliły. W głosie był odcień skromności i naiwności, który tę błagę czynił sympatyczną. Zygmunt poczuł się pociągniętym ku Rzeweckiemu, w którego zachowaniu się całem upatrzył jakiś wdzięk osobny. Zachwycał się szczerze wybitnym inteligencją i inicjatywą człowiekiem, który się zniżał do ożywiania zabawy wśród grona młodzieży. Zmęczony, z kroplami potu na czole, Rzewecki zaproponował Zygmunтови przejście do swego gabinetu, dla wypalenia cygara.

Był to jeden z tych ludzi, którzy tylko wtedy rzeczywiście są ożywieni, swobodni i zadowoleni, gdy mówią o sobie. Nowa znajomość elektryzowała go zawsze i próżność jego, wiecznie czuwająca, doprowadzała do podniecenia gorączkowego. Widok nowej twarzy zapalał wzrok jego podwójnem ożywieniem i zwykła taktyka jego polegała na odciągnięciu na bok tego, kogo widział po raz pierwszy, by na jego intencję spalić fajerwerk, w którego blasku własna osoba jego zajaśniała-by w całym świetle. Opowiadał Zygmunтови o swoim zapracowaniu, o tém, jak bez niego nie się w kraju stać nie mogło; jak we wszystkie sprawy publiczne musiał rękę umoczyć; jak nawet ludzie prywatni obejść się bez niego nie modli; jak go wzywano i potrzebowano na wsze strony, a gdy mówił: „jeździłem do Berlina” lub „byłem w Wiedniu”, można było przysiąc, wnosząc z miny jego, że to on, nie kto inny, kierował nawą polityczną całej Europy. Sam się zdawał upajać własną osobą i zasługami, i wtedy tracił chwilami wyraz dobro-

dusznój naiwności, która zwykle cechowała opowiadania jego. Zygmunt został parę razy dotknięty nieprzyjemnie przechwałkami mówiącego, ale suma uczynionego wrażenia wypadła korzystnie dla Rzeweckiego. Wydał się on Zygmuntowi naturą bujną, ruchliwą, pełną odwagi do czynu, przesiąkniętą energicznymi porywami do działania. Nic dziwnego, że taki człowiek, który w niejednej sprawie był osiłą, koło której obracały się najważniejsze interesa, był wolą, która tworzyła i umacniała, był myślą, która kierowała i stanowiła,—że taki człowiek, przygniatający indywidualnością potężną wszystko, co wkolo niego żyło, widział trochę zawiele samego siebie. Ujął Zygmunta uwielbieniem swém dla żony i przywiązaniem do jej siostry. Mania? To było dziewczę idealne, które Rzeweckie wychował. Tak, między nami mówiąc, on ją wychował. Żona jego pracowała niezawodnie nad sercem i umysłem Mani, ale bywają zółwie prace, które jeden skok zajęcia pozostawia w tyle.

— Tak, z chlubą powiedzieć mogę, że to moja wychowanka... Zdrowa... odpędzałem ją od książki, która panny zatrąwa blednicą... proszę mi spojrzeć na te ramiona, na ten biust! Jaka to krew płynie pod tą skórą! To będzie idealna żona! Żadnych nerwów!... Bo pan nie wie, co to za wróg szczęścia rodzinnego nerwy kobiece! Mój system wychowawczy był taki: dużo mięsa, masę ruchu, gimnastyka i żadnych filozofowań! Widzi pan, mąż powinien dostać brylant, ale nieoszlifowany. Niech go sam oszlifuje i oprawia... niech go urabia do wymagań swoich! Dajcie mi tylko dziewczynę zdrową, silną, nieplaczącą, nierozmarną, nie wdychającą, a już ja się podejmuję zrobić z niej żonę modelową... naturalnie, gdy zostanie jej mężem... Widzi pan, doskonałe są artystki, literatki, zapoznane dusze, ale to ulegałki!... To ci wychudnie, wymizernieje, wypaczy się, rozegzaltuje!... Na żonę potrzeba jędrnego osobnika, dla którego dobrze usmażony befszyk dla męża byłby ważniejszą sprawą, niż zagadnienia społeczne i emancypacja kobiet.

— Ja wcale inaczej pojmuję szczęście — wtrącił Zygmunt — nie chciałbym w żonie mojej znaleźć kucharki.

— To rzecz gustu! W naszych paniach daleko więcej materiału na salonowe cacka, nawet na pytonisy, niż na kucharki, więc sobie pan urobi pytonisę. Będzie panu płacząco szczytać struny harfy, marzyć przy świetle księżycy, wydawać okrzyk przy każdym niespodzianym halasie, egzaltować się nad losem powieściowych bohaterów, mówić o literaturze, muzyce i malarstwie... Otrzyma pan to wszystko najłatwiej. Ja kobiety znam, to moja specjalność...

— Przepraszam, że przerywam, ale muszę uczynić uwagę, że pan inaczej mówi, a inaczej czyni. Czy pan przypadkiem z żony swojej nie uczynił właśnie pytonisy?

— Ja jestem... widzi pan... w położeniu wyjątkowém... Gdy się żenił, wiedziałem, że nie należę do tych ptaków, które wyręczają żonę w siedzeniu na jajach, a potem śpiewają jęj dla rozrywki, gdy ona wysiaduje... o noszeniu robaczek dla piskląt też nie mogło być mowy... Ja żyję po-za domem i... żona moja wie o tém... jedna kobieta nigdy nie mogła-by mi wystarczyć... Jestem zanadto wrażliwy i zanadto lubiący wrażliwość moją zaspakajać... no, trudna rada... niema we mnie materyalu na świętego... Rzadko jadam w domu, więc o dobry befszytk nie tyle mi chodzi... Woląłem więc przy ognisku mojem posadzić istotę, będącą raczej duchem, niż ciałem... Rozumie mię pan?

— Nie bardzo. Bo skoro pan tak rzadko z tego ducha swego korzysta...

— Znajduję go zawsze, gdy wracam... przytém, gdy się jest tak kochanym... bo ona mię szalenie kocha!

— Rozumiem, że można z domu uciekać przed kucharką i jęj befszytkiem, ale gdy chodzi o istotę równą nam pojęciami...

Rozmowa przerwana została przez nadbiegającą Manię, która szukała szwagra i zabrała go z sobą.

Zygmunt został jeszcze chwilę w gabinecie z niedopalonem cygarem. Mania od drzwi rzuciła mu spojrzenie, uśmiech i słówko:

— Takiego słicznego grają mazura, że szkoda poświęcać go dla cygara!

Prawda, co on tu robił, w tym dymie, samotny? Mazur był może słiczny, ale spojrzenie i uśmiech tego dziewczęcia stokroć piękniejsze. Rzucił cygaro. Gdy szedł ku sali, zdawało mu się, że podąża jakimś śladem świetlanym, zostawionym przez białą suknię Mani, że rzuciła mu jakąś jasność, bez której tęskno było oczom jego.

Tańczyła z Edwardem Kuryńskim, który starał się o nią. Konkurent ten był, jak mówiono, dobrą partją dla zupełnie ubogiej Mani, nie wątpiono więc, że przyjętym zostanie.

Zygmunt miał zamówioną do mazura gospodynię domu. Zbliżył się więc do niej. Stanęli między ostatnimi parami i gdy pierwsze tańczyć zaczęły, usiedli obok siebie dla rozmowy.

Józefa zaciękawila Zygmunta. Miała wyraz twarzy bardzo stanowczy i prawie zimny, rozmawiała lekko, nie mówiąc wcale o sobie, jakby umyślnie unikając zaimka *ja*, a gdy siebie ominąć nie mogła, mówiła o własnej osobie, jakby drwiąc i żartując z niej. Pomimo to, parę razy wśród rozmowy, z po-za tonu lekko szyderczego Zygmunta udało się pochwycić u młodej kobiety nutę głębszą, której towarzyszyło spojrzenie, pochodzące zdaleka, aż z duszy.

Mówili o wspomnieniach dziecińczych i Józefa, żartując z rozrzewnienia, które przynoszą, spojrzęła parę razy tak wymownie, a głos jęj



nabrał na chwilę tak gorącego tonu, że Zygmunt poczuł to wzruszenie, co przejmuje człowieka głębiej czującego, gdy mu się nagle w sercu bliźniego ukaże tajnia, którą przeniknąć zapragnie, lub go ogarnie przeczucie, że w spotkanej osobistości znaleźć może duszę, swojej duszy podobną.

Wychodząc, po skończonym balu, od Rzeweckich, postanowił odwiedzać ich dom jaknajczęściej. Miał w oczach prześliczną postać Mani a w duszy pragnienie zbliżenia się do Józefy i jej męża. Ten ostatni szczególnie pociągał go. O tylu rzeczach chciał z nim pomówić! Rzewecki wydał mu się trochę zanadto przejęty własną indywidualnością i trochę zanadto upojony życiem; tłumaczył to sobie jednak. Choć ten człowiek nie mógł być zadowolony ze stosunków, które go otaczały, przerastał je jednak swą silną organizacją. Brał je, jakimi były, i pragnął z nich wyciągnąć wszelkie możliwie najlepsze warunki... Nie pytał, czy praca jego przyniesie łokieć, czy cał korzyści, ale pracował, żył pracą i dlatego życiem się upajał. Ten cał korzyści wydawał mu się zdobyczą ogromną i przekładał go nad owe cienie, które inni często biorą za ciała.

Rzewecki nie był jednak łatwym do złapania. Pani miała swój dzień przyjęcia, spotykano ją w innych domach, ale mąż jej bywał zawsze „tak zajęty, tak zapracowany...”, „wprzężony w swoje jarzmo”, że nawet we czwartki dopiero późno w salonie żony się ukazywał. Wtedy trudno było o rozmowę z nim sam na sam. Zresztą po kilkakrotnych odwiedzinach, Zygmuntowi zaczęło przedewszystkiem chodzić o Manię, w której coraz więcej wdzięku znajdował. Dla niej właściwie przychodził teraz do Rzeweckich i przeciągnąć zamierzał swój pobyt w Warszawie. Był tylko nieufny i rozdrażniony z powodu Edzia Kuryńskiego, którego zawsze znajdował przy Mani, a szczególnie z powodu dziwnego zachowania się dziewczyny. Mania bywała nierówna w postępowaniu: zalotna, zimna, to znowu uprzejma i naiwna. Nie mógł jej zrozumieć. Obadwaj naprzemian z Edziem miewali swoje dni laski i nielaski. Często, zrażony niepojętym zachowaniem się Mani, siadał obok Józefy, z którą rozmowę codziennie wiecej lubił.

Zajmowała go w młodej kobiecie ironiczna werwa z przeczącem ironii gorącym spojrzeniem i tonem głosu. Poznał też prędko jej wstręt do mówienia o sobie i bawilo go zmuszanie jej do wyrzeczenia wyrazu *ja*. Wreszcie zapytał jej raz, dlaczego do własnej osoby tak mało ma zaufania, że o niej wspominać nie chce. Odparła ze śmiechem, że miała do tego drogiego *ja* ogromne zaufanie i że je kochała, o, doprawdy bardzo kochała!

— Pan może myśli, że ja nie jestem egoistka, zakamieniała egoistka?... że moje własne radości i smutki nie są dla mnie pierwszemi na ziemi radościami i smutkami? Jeżeli nie lubię mówić o sobie, to może właśnie dlatego, że zanadto siebie miłuję i chcę siebie całą zostawić tylko dla siebie, nie dając ze mnie nic drugim, nawet w rozmowie. Proszę wierzyć, że mi nie brakuje żadnego z tych kadzi-deł, które człowiek z upodobaniem pali przed samym sobą!

Józefa знаła starego Bielmońskiego, stryja Zygmunta. Sprzeczała się czasem o niego z synowcem. Zygmunt występował w obro-nie skąpca i robigrosza, gdy Józefa opowiadała różne, znane jój śmie-szności, do których miłość pieniędzy doprowadzała Piotra Bielmoń-skiego.

— Nie może być! on doprawdy ofiarował panu dobrowolną po-życzkę? O, to biedak już dziecinnieje! Co? rozstał się ze swoją uko-chaną gotówką? O, to musiał za to dać się we znaki swoim urzędni-kom w cukrowniach, rządcom, robotnikom, rzemieślnikom, na których ma-lutkie grosze jest równie łakomy, jak na wielkie sumy, wpływa-jące za cukier. No, ten przynajmniej kochać umie gorąco i stale! Kocha pieniądze i ma z ich strony słodką wzajemność! Może to pan po nim te wszystkie kasy ogniotrwałe odziedziczy? Może pan naprzód przyjmuje powinszowania?

— Nie pani, nie jest to mój stryj rodzony. Ma bliższych, niż ja, krewnych.

— A umrze pewno bez testamentu, bo tacy ludzie nie lubią w wyobraźni przedstawiać sobie chwili, w której inna ręka klucz od kasy weźmie, otworzy ją i przewracać będzie drogie papiery i listy zastawne, prasowane żelazkiem własnoręcznie!

— Przeżyje nas wszystkich. Byłem niedawno u niego... Cieszy się takim zdrowiem, że niejedyn młody mógł-by mu pozazdrościć.

— Więc nie sukcesor Piotra Bielmońskiego? Niech pan będzie spokojny, nikomu tego nie powiem.

— Pani zawsze żartuje!

— Nie żartuję. To daje mir ogromny w towarzystwie. Sukcesor Piotra Bielmońskiego! To słicznie brzmi. Czy tu jeszcze żadna mama nie zatrzymała dorożki, wiozącej pana?

— Więc doprawdy tu mówią, że ja...

— Nie, nie, niech się pan uspokoi... właśnie byłem świadkiem wyczerpującej dyskusji o tém... Ludzie dokładnie wiedzą, że sukceso-rem jest Karol, znany pod zdrobniałém imieniem Lola.

— Wiedzą więc, że jestem chudopachołkiem, biedującym na odłu-żonej, niewielkiej wiosce... Dlatego zapewne nie zostałem przez panią opodatkowany na żadną wyjątkową ani niewyjątkową nędzę.

— O, gdyby pan był owym pomazańcem, sukcesorem Piotra Bielmońskiego, dawno-bym była kontrybucyę ściągnęła... Pan wie, zajmuję się tam jakimiś dobroczynnymi zakładami... ot tak, z braku pola do działania... żeby coś robić... żeby się kręcić... wyrobić sobie szerokie uznanie. Już mi się to nawet udało... Po śmierci podaną zostaną do kanonizacyi... Mam nadzieję, że pan nie widzi co do tego żadnej przeszkody? Otóż ja nie cierpię nędzy i ubogich, ale tym ludziom zachciewa się czasami umierać z głodu! Mają brak panowania nad sobą w najwyższym stopniu... trzęsą się od zimna... no, jest to wstrętne, więc trzeba temu zapobiedz... Nie lubi się patrzeć na kondukt żalobny, więc trzeba sobie oszczędzać tego widoku. Widziałam raz na wsi, na drzwiach stajni przybitego jastrzębia z rozpostartemi skrzydłami... podobno żywe jastrzębie uciekają od tego widoku... Tak samo ludzie. Więc mówię panu, po prostu z próżniactwa, ze strachu, jak jastrzębie, chodzę po różnych źle umeblowanych miejscach i widuję różne braki wychowania, różne parafianstwa i nietaktowości... najwyższe braki savoir-vivru. A jakie braki mądrości życiowej! Ci ludzie nie rozumieją, że rodzina, macierzyństwo, są to rzeczy dobre dla tych, co mogą jadać obiady. Żenią się, mają dzieci! głodne dzieci!

Przy ostatnim wykrzykniku, coś jak drzenie wzruszonego głosu i coś w spojrzeniu jakby mgła wilgotna, potem ruch ramion, rzucający końcową nutę szydereżę.

— Więc pani praktykuje miłosierdzie, jak ci, co psu zgłodniałemu rzucają kość, żeby na niego nie patrzeć, żeby się nie naprzykrzał żeby porwał kość i uciekł z nią jak najdalej.

— A naturalnie, właśnie tak jest.

Rzeweckiego udało się Zygmunтови zastać kilka razy. Pewnego dnia nawet, znalazłszy go samego w domu, rozmawiał z nim dłużej i z posiedzenia tego wyszedł gniewny na samego siebie. Człowieka, którego podziwiać przygotował się był z dawna, poczynił mimowoli krytykować ostro. Nie mógł się oprzeć przekonaniu, że Oskar był po prostu, pomimo swych wielkich zdolności i zdumiewającej pamięci, pospolitym blagierem jedynie. A jednak bystrość tego człowieka, wiadomości wszechstronne zadziwiała i oslepiąły na razie. Będąc adwokatem, mówił naprzykład o agronomii, tak, jak gdyby gospodarował na wsi całe życie. Zagadniony znówu o mączkę kartoflaną, której fabrykę Zygmunt w majątku swoim założył myślał, sypał liczby, jak z rękawa. Wiedział cyfrę otrzymywanych zysków w kraju i za granicą, ilość procentów mączki, otrzymywanej z surowego produktu. Mówił jak wytrawny specjalista. Zaraz potem wszakże zwrócił rozmowę na własną osobę i Zygmunt usłyszał znówu utarte w ustach jego frazesa, jak, że Mania to była jego wychowanka, że żona jego, kobieta wyjątkowa,

„pan wie, zupełnie wyjątkowa... ma jedną słabość... kocha mię szalenie.” Frazes ten Zygmunt już był słyszał parę razy. Rzewecki, gdy mówił o szalonej miłości żony do siebie, przyciszał głos, przybierał minę nawpół naiwną, nawpół dowcipną, prostując się i wydymając rozrosłą pierś, jak gdyby chciał dać do zrozumienia, że jego fizyczne powaby nie mało się do owej miłości przyczyniały. Zygmunt poczuł się obrażonym za Józefę. Jak ten człowiek śmiał, przed obcymi, przed pierwszym lepszym, mówić o uczuciach swęj żony i stroić się w nie, i przechwalać się niemi.

— Ah, już to moja baba... świata za mną nie widzi!

Oskar lubił czasem delikatną i wykwintną żonę nazywać „babą” swoją, wybierając umyślnie wyrażenie trywialne, ludowe, i pozując na rozczulonego poczciwca.

Zygmunt czuł się coraz bardziej znudzonym, musiał jednak wysłuchać jeszcze objaśnień, które podsunęła Rzeweckiemu konsola, zastawiona różnemi fraszkami. Każda z tych drobnostek była nieocenionym zabytkiem, każda miała swoją historję, której rozdział ostatni nieodmiennie poświęcony był jemu — Rzeweckiemu. Niektóre kosztowne fraszki otrzymał on... ah, tak, w dowód przyjaźni... bo był w wielkiej przyjaźni z księciem Hieronimem Bonaparte, a także z księciem Aumale... zaś książę Waldeck-Waldenstein... pan zna moje przekonania demokratyczne, ale człowiekowi można ofiarować przyjaźń, jako człowiekowi... Zaś tę fraszkę nosił w pasie od kontusza pradziad mój Józef-Franciszek Rzewecki... chodziła z nim pod Wiedeń i podobno o mało jęj nie zgubił pod Parkanami... Pokażę panu portret jego... Pędzel nie ciekawy, ale wszystkie portrety ówczesne...

Rzewecki często zdumiewał zdolnościami i pamięcią. Nazwiska, daty, fakta, cytacye płynęły mu z ust potokiem, ale wrodzony, niepomowany szarlatanizm sprawiał, że się ciągle wspiął na palce. Wymowa jego rzuciła błyski rzeczywiste, on usiłował ją uczynić czémś dotąd niesłychaném. Naiwném dogadzaniem próżności własnej psuł dary naturalne i męczył słuchaczy braniem wszystkiego o kilka tonów za wysoko. Mówiąc o najbardziej zajmującym przedmiocie, nie dawał im ani na chwilę zapomnieć o mówcy. Zdawało się, że przed nim stoi zawsze jego wielka reputacya, a on rozwija ciągle skrzydła, by wznieść się po-nad nią. Spostrzegał z łatwością słabe strony przedmiotu, krytykował z bystrością, ale krytyki nie umiał przenieść na siebie samego. Grał ciągle komedję wielkości, ale grał ją w dobrej wierze, nie umiając jęj osądzić nawet przed własném sumieniem. Niektóre pozy, niektóre deklamatorskie zwroty weszły mu w krew. Nie czuł, że się powtarzał. Pozowanie na elastyczne mięskuly przynajmniej tyle wrosło w ciało jego, ile pozowanie na wielkość wrosło mu w duszę. Ta

naiwność gry, dobroduszość, osłaniająca deklamatorstwo i błagę, zjednywały mu przyjaciół i wielbicieli.

Często okrywał się tajemniczymi pozorami. Dawał do zrozumienia, że miał jakieś wpływy, o których mówić nie mógł, że się przed nim otwierały jakieś Sezamy, których imię ledwie sam przed sobą wymawiać się ośmielał. Lubił brać ludzi na stronę, w zagłębienie okna, i półgłosem czynić im półzwierzenia, zostawiając ich domysłowi to, czego wyjawić nie mógł. Miewał uśmiechy tak znaczące, gdy mówił o Bismarcku, będącym wtenczas u władzy, iż nie ulegało wątpliwości, że Żelazny Książę... A co znał znakomitych ludzi w świecie całym! Lesseps był tak okropnie zazdrosnym o żonę, gdy ją ujrzał rozmawiającą z Rzeweckim, że, choć na kanapie nie było miejsca na trzy osoby, klinem się wbił między śmiejącą się parę i dopiero, tak ją rozdzieliwszy, odetchnął jak miech kowalski... Książę Waldeck-Waldenstein przez cały jeden sezon w Kissingen po prostu bez Rzeweckiego żyć nie mógł. Nawet niektóre tajemnice stanu... A gdy Rzeweckie wymawiał owo: Waldeck-Waldenstein, głos jego przybierał ton powagi, na czole występowała zmarszczka wielkości, coś z rysunku liter składających to nazwisko spływało na niego poważną i dumną błogością. Pewnego dnia, idąc w hotelu kurytarzem ze znajomym swoim, opowiadał mu o sezonie owym w Kissingen, ale że lokaj hotelowy biegł właśnie naprzeciwko nich, więc wyrazy „Książę Waldeck-Waldenstein” wymówił bardzo głośno, ze spojrzeniem dumy na przebiegającego lokaja, na którego intencję Oskar rzucał wszystkim echem nazwisko Księcia.

Ludzie, z którymi stosunek poehlebiał Rzeweckiemu, wielcy tego świata, a choćby miasta, parafii lub danego zebrania, sprawiali zawsze, że próżność Rzeweckiego jeżyła się i języki ogniste przebiegały po niej, ale nie pogardzał też uznaniem małuczkich. Gdy nie było Waldeck-Waldensteina pod ręką, dobry był mu nawet lada uczeń gimnazjalny. Rzucał swęj próżności pod nogi wszystko, tak dobrze wieńce laurowe, jak zwyczajne trawy.

Ten jasny widnokrąg, w którym Rzeweckie był słońcem, oświecającem wszystko, miał czarną plamę: ciągly, wyraźny bunt Józefy. Czuł się nieswój wobec niej; czasem jęj spojrzenie oświecało mu wyraźnie własną jego błagę, co go napelniało nieokreśloną trwogą. Bywało mu pod jęj wzrokiem niewygodnie, czuł się jakby okradziony, jakby mu wyrwano pióra ze skrzydeł.

Pewna szlachetność uczuć i podniosłość poglądów zacierała często złe wrażenie, które czyniła szarlatanerya jego. Usłużność zjednywała mu przyjaciół. Miał przytém rzeczywiście gorącą chęć czynu i zasługi, może dlatego, że mógł w czyn i zasługę ubrać swego kochanego Oskara Rzeweckiego. Nie żałował wszakże fatygi, biegał za cudzemi interesami.

sami, pamiętał polecenia, a choć zawsze obiecywał więcej, niż mógł spełnić, jednak spełniał wiele. Lubił zasługiwać na wdzięczność, biorąc dosłownie wszelkie dla siebie admiracye, choćby najbezcenniejsze, i wierząc w nie święcie.

— Uczyniłem na Bielmońskim ogromne wrażenie poglądami mojemu na gospodarstwo rolne—mówił Rzewecki jednemu ze swych przyjaciół.— To nie głupi chłopak... ma przyszłość... rozumie rzecz!... Podałem mu niektóre plany... widziałem, że go poprostu zelektryzowały... Bo ja, choć mieszkam w mieście, studiowałem agronomię. W narodzie rolniczym, jak nasz, kto nie zna gospodarstwa i jego warunków, nie może śledzić tętna narodowego.

Wychodząc od Rzeweckiego, Zygmunt był znudzony i pełen niesmaku.

— Czy ona go kocha?... czy ona go kochać może? — zapytywał siebie uparcie, myśląc o Józefie.

Reszta karnawału zeszła Zygmuntowi na staraniu się o Manię, której zadaniem zdawało się być utrzymywanie go w niepewności. Przechodził ciągle od nadziei do zupełnego zniechęcenia, które w nim umacniał głos ogólny. Wszyscy byli pewni, że Mania pójdzie za bardzo zamożnego Edwarda Kuryńskiego, przekładając go nad nieledwie ubogiego Zygmunta. Dziewczyna wszakże zwlekała, mówiąc siostrze w chwilach szczerości, że mogła czekać, bo takiego Edzia znajdzie jeszcze i wtedy, gdy będzie miała lat dwadzieścia cztery.

Święta Wielkiej Nocy Rzeweccy mieli spędzić na wsi, u jednej z sióstr Oskara.

W wielką sobotę, wśród najpiękniejszej pogody, wsiadali wraz z Manią do pociągu kolei. Na stacyi znalazł się Zygmunt. Stojąc w oknie wagonu Mani oddał on bukiet, który wzięła z uśmiechem.

— Zdaje mi się, że pani lubi róże — rzekł, jakby tłumacząc się z uczynionego daru.

-- Wstyd mi, że je lubię, ale lubię.

— Dlaczego wstyd?

— Bo je lubią wszyscy, a ja nie cierpię uczuć, zwyczajów, upodobań ogólnych. Nie lubię iść wydeptaną przez wszystkie nogi ścieżką.

— Dobrze, że biedne róże znalazły łaskę przed panią. To taki kwiat cudny! A jak one mówić umieją!... Chciałbym, by te, które pani trzyma w ręku, powiedziały, com myślał, wioząc je tu dla pani...

— Mają mi coś zwierzyć?—zawołała Mania—zwierzeń nie lubię... sama też nigdy ich nie czynię. Mogę przyjąć róże nieme i bezmyślne, ale takich, które mi coś powiedzieć mają...

Pociąg ruszać począł. Zygmunt szedł przez chwilę obok niego, patrząc na Manię, która zdawała się namyślać i która wreszcie, gdy

koła pociągu szybciej obracać się zaczęły, wysunęła rękę przez okno i wyrzuciła bukiet Zygmunta. Biedne róże leżały w piasku na drodze, a Zygmunt patrzył na nie zdziwiony, osłupiały. Potém jakiś żal go ogarnął. Podbiegł ku kwiatom i poniósł je z litością, jakby się użalał ich krzywdy. Szedł zamyślony, niosąc bukiet w rękę z takiem uczuciem, jak gdyby to nie róże wyrzucone zostały przez Manię oknem wagonu, ale jego serce, które oddać pragnął dziewczynie.

Wyjechał zaraz po świętach, nie czekając powrotu Mani do Warszawy. Gdy się znalazł w rodzinnych Zawadach, zabrał się z gorączkowym zapałem do pracy gospodarskiej. Była wiosna, ziemia czekała na ziarno, grzejąc w słońcu czarne, zimne jeszcze łono. Zygmunt całemi godzinami objeżdżał i dozorował rozrzucone po różnych punktach folwarku prace i usiłował dawać służącym swym i pomocnikom ciągłe dowody pilności i obowiązkowości. W głębi duszy wszakże nie był spokojny. Coś w nięj tkwiło, coś dolegało mu ustawicznie, co czuł nawet wtedy, gdy usta jego wydawały spokojnie rozporządzenia gospodarskie. Myślał o Mani i trapił się zapytywaniem siebie, czy doprawdy był jej antypatycznym. Zazdrość względem szczęśliwszego Edwarda dodawała jego myślom goryczy.

Śmierć stryja przyniosła nagłą i stanowczą zmianę w jego życiu. Stary skąpiec całą fortunę swoją zapisał „jedynemu ze swych krewnych, oddającemu pożyczone pieniądze — Zygmuntowi Bielmońskiemu.”

Zygmunt odczuł odpowiedzialność, spadającą na niego wraz z bogactwem, rzucił się w wir nowój działalności, która mu poczęła potrosze obraz Mani zastaniać. Przesztawał teraz czuć obrazę za wyrzucone kwiaty i Mania była-by może zesła dla niego w ten cień, którym zapomnienie pokrywa drogie niegdyś postacie, gdyby nagle okoliczności na nowo go do nięj nie zbliżyły.

W końcu Lipca odwiedził w Nałęczowie matkę, biorącą tam hydropatyczną kurację, i spotkał w jednej z alei parku Manię, która wraz z siostrą spędzała lato w Nałęczowie. Przy pierwszém na nią spojrzeniu poczuł od razu, że wpadał znowu pod jej władzę. Wśród drzew i trawników, Mania w jasnej sukni wyglądała jak kwiat. Oczy musiały się radować jej widokiem, a gdy słońce oblewało jej młodą postać, zdawało się z rozkoszą oświecać cały ten wdzięk i całą tę świeżość.

Tak przynajmniej wydało się Zygmuntowi, gdy ją ujrzał wśród potoków gorącego, letniego światła, tworzącego wkoło nięj wieniec z promieni.

W ostatnich czasach nie przypuszczał wcale, że tęsknił do nięj. Dopiero ujrzawszy ją, był pewien, że tęsknić musiał, skoro doznał takiego wstrząśnienia, a następnie takiej radości. Los stawiał ją znowu

na jego drodze, a on, niemogący się czasem oprzeć zabobonności, pomyślał, że go ku niej wiodło przeznaczenie.

Tym razem Mania okazała się przystępną i łaskawą. Tak łatwo zdobył jej zgodzenie się na zostanie jego żoną, że obok wielkiej radości doznał też uczucia zadziwienia i obawy. Czy ta nagła wzajemność dziewczyny nie przypadła czasem w udziale sukcesorowi Piotra Bielmońskiego?

---

Mania wyglądała cudnie w dzień ślubu. Wśród publiczności, tłoczącej się, by zobaczyć wychowaną Rzeweckiego, idącą do ołtarza, rozległ się szmer zadowolenia i podziwu na widok pięknej pary. Narzeczona szczególnie wzbudzała zachwyty. Patrzącym na Zygmunta zdawało się, iż widzą człowieka, który posiadał szczęście.

Józefa, pomimo najmocniejszych usiłowań, od płaczu powstrzymać się nie mogła. W kościele szlochała tak silnie, ukrywszy twarz w rękach, że zwracała na siebie uwagę. Dziesięć lat temu i ona, tak jak teraz Mania, stała w ślubnej sukni przed tym samym ołtarzem. Kochała całą duszą. Szła z wiarą i miłością w sercu ku szczęściu, którego prawie pewną była. Oskar wydawał jej się wtedy tępym, na co pozwalał człowiekiem wielkiego serca i umysłu, oddającym jedno i drugie na służbę współrodakom, a nawet całej ludzkości. Wkrótce po ślubie, przy codziennym pożyciu, wielki człowiek począł się chwiać na swęj wyżyźnie, a potem runął nagle w oczach Józefy tak nisko, że jej wyobraźnia odjęła mu nawet te cnoty, które posiadał. Żona nie widziała już w nim nic, prócz blagi, tak, że nawet szeroka pierś jego i żelazne mięśnie kłamstwem jej się wydały, zarówno jak jego pamięć szalona i powstała z niej erudycja. Jego czynność zdumiewająca i usłużność wyjątkowa były dla niej tylko jedną z form blagi, którą rzucał w oczy światu.

W przywiązanie ku sobie wierzyła mniej niż w cokolwiek, chociaż Rzeweki w istocie był z niej dumny i kochał ją po swojemu, pozując tylko w chwilach, w których zwlekał z siebie wielkość a stawał się „dobrym koleżką”, na uwodziciela i „Donzuaną”, dla którego świat kobiecy nie miał tajemnic. Ale niestety, Józefa, mająca bystry słuch, nieraz słyszała, gdzieś w zagłębieniu okna, nieco przyciszonym głosem wyrzeczone zdanie, wychodzące z wydymającej się piersi, że „trudno, pan rozumie... jedna kobieta wystarczać mi nie mogła... moja baba to wie, ale ona mię tak szalenie kocha...”

Jeszcze do tej pory Józefa nie mogła przy tępym ulubionym opowiadaniu męża powstrzymać się od gwałtownego oburzenia, które policzki jej okrywało ognistym rumieńcem. Wiedziała też, co zawierał szept końcowy, który zanadto często się powtarzał, by już treści jego nie



znała na pamięć. „Widzi pan... żona moja to duch, to istota, żyjąca ideałami, poezją... taką chciałem posadzić przy ognisku domowém... ale mi czasem potrzeba zdrowego, białego kawałka mięsa... rozumie pan? Czasem znowu potrzeba mi flirtu. Po ciężkiej pracy umysłowej flirt, to dla mnie konieczna rozrywka. Pan wie, ja nie grywam w karty... w Warszawie nie mam ani polowania, ani żadnego sportu, tylko mam flirt... to mój wypoczynek i rozrywka moja.”

Nie, ona nigdy oswoić się nie mogła, nigdy się nie oswoi z tą manią bliższą męża! Ona może była ideałem, może była duchem, ale ten człowiek nic o tem wiedzieć nie mógł, bo kryła przed nim głębię swych uczuć i myśli z jakąś bolesną zaciętością. Dawała mężowi tylko zdawkową monetę obowiązku, bez iskry zapалу ani uczucia, nie ceniąc sobie bynajmniej przymiotów towarzysza.

Teraz, gdy patrzyła na młodą parę, łączącą się na wspólne radości i niedole, gorycz kielicha, który piła, zalała jej serce tak gwałtownie, że zwykle panowanie nad sobą ustąpiło w niej burzy rozżalenia. Ona, która tak niełatwo płakała, teraz od spazmatycznego łkania powstrzymać się nie mogła. Im więcej usiłowała nakazać sobie spokój, tem głębiej czuła się wzruszoną.

Zygmunt dopiero po powrocie z kościoła, zobaczywszy ją w salonie, dostrzegł jej czerwone, napuchnięte oczy. Postanowili byli od dnia ślubu mówić sobie po imieniu, ale Zygmunt odrazu na zwyczajne „ty” zdobyć się nie mógł.

— Czemu pani tak łzami oblewa moje szczęście? — zapytał. — Zacznę je sobie wyrzucać, jeżeli ma ono zasmucać panią.

— Proszę mi darować... taki mię napadł niemądry paroksyzm płaczu... zwyczajna rzecz u kobiet tkliwych... Dzieciom i kobietom nie broni się łez... łzy zmywają w ich duszy małe rozdrażnienia, mikroskopijne smutki... potrzebne są, jak majowy deszcz naturze...

— Ale dlaczego ten paroksyzm przyszedł w chwili mojego ślubu?

— Bo niezabawny jest widok dwojga ludzi, których już od chwili odejścia od ołtarza nie rozerwać nie może, prócz śmierci... którzy będą musieli żyć obok siebie, czy się będą mogli szanować i kochać, czy nie, czy się będą zgadzać i miłować, czy też żyć będą w wiecznej rozterce... których obowiązek połączy tak silnie, że nawet zrodzona między nimi niechęć już ich nie rozdzieli... Obrzęd ślubny to taki smutny, taki smutny, najsmutniejszy z obrzędów!

— My dopiero dowiedzimy pani, że to taki obrzęd, który rozpoczyna życie szczęścia bez żadnej chmurki!

Józefa podniosła oczy ku Zygmuntowi. Jaśniało w nich to coś wyjątkowego, co nagle jakby głąb jej duszy odsłaniało. Niespodziany błysk spojrzenia był wdziękiem tej zwykle zimnej twarzy, na którą

wzruszenie wewnętrzne rzucało na chwilę wyraz zapału i rozrzewnienia.

— Daj wam Boże takie życie bez żadnej chmurki! — zawołała. — Jeżeli ja mam jaki dział szczęścia na tej ziemi, to wam go oddaję!

— Dziękuję, Józiu — rzekł Zygmunt, pierwszy raz mówiąc po imieniu siostrze żony — dziękuję, ale nie chciałbym ani godziny szczęścia, którego-bym pozbawił ciebie.

Po wyjeździe Mani z Zygmuntem, wśród mieszkania nieuporządkowanego jeszcze po przyjęciu weselnych gości, Józefa poczuła się tak smutną i samotną, iż przyszło jej na myśl, że ustąpienie wszelkich praw do szczęścia na korzyść Mani uczynione zostało w taką chwilę, w której życzenia ludzkie wysłuchane bywają. Dom wydał się jej strasznie cichym; wiało od niego pustką. Nie było w nim dzieci i nie było zapełniającej każdą pustkę—miłości.

Oskar unikał, o ile mógł, przebywania „sam na sam” z żoną. Towarzystwo jej ciążyło mu. Czuł się nie swój, nie znajdując w niem żadnej podniety do wypłynięcia na szerokie wody samochwalstwa, na których mu było dobrze i swobodnie. Szukał obcych ludzi, żeby im opowiadać, jak świetnie wydał za mąż swoją wychowankę. Powoli wmówił nawet w samego siebie, że wyjście za mąż Mani było jedynie jego zasługą. Ulegając też potrzebie pochwalenia się młodą parą przed liczniejszém kołem, uprosił żonę, by wydała wielki raut w dzień św. Józefa, gdyż Mania obiecała swój przyjazd z Zygmuntem na imieniny siostry.

Mania, zawiadomiona, cieszyła się ogromnie z tego zebrania u Rzeweckich. Chciała zabłysnąć na niem, włożywszy jedną ze swych najpiękniejszych wyprawnych toalet. Przybyła wraz z mężem w wigilię rautu, i ledwie uściskawszy siostrę, zajęła się koniecznymi przygotowaniami toaletowemi. Przymierzanie sukni, jakaś mała przeróbka, dobieranie kwiatów, zamówienie fryzjera, wszystkie te szczegóły absorbowwały ją nadzwyczajnie. Zygmunt zdawał się też uważać tę sprawę za rzecz wielkiej wagi. Stali u matki, która na ich toaletowe kłopoty patrzyła z wyrozumiałém zdziwieniem.

Zygmuntowi chodziło wszakże tylko o dogodzenie żonie. Miłość własna grała tu małą rolę, gdyż rodzaj ogólnego podziwu dla piękności Mani, który towarzyszył ukazaniu się młodej pary wśród napełnionego gośćmi salonu Józefy, zrobił mu tylko chwilową przyjemność, która przerodziła się w niezadowolenie, gdy Mania od boku jego porwaną została przez otaczające ją hołdy i gdy ją ujrzał tak oddaną zabawie, że o jego obecności zdawała się zapominać. Jak dawniej, podczas starania się o Manię, Zygmunt podążył do Józefy. Siedząc obok niej, wzrokiem śledził za uroczą żoną swoją, którą otaczał rój starszych

i młodszych mężczyzn. Raz wszakże, zwróciwszy się w stronę Józefy, spotkał się z jej wzrokiem, którego wyraz zastanawiał go i poruszał w nim zawsze jakieś tajemne głębie duchowe.

Co ona myślała w tej chwili? Dlaczego tak przejmująco na niego patrzyła? Jaka to dziwna kobieta, że oczy jej mówią, jak gdyby miały głos... Czy są na świecie dwie siostry mniej do siebie podobne, jak ona i Mania?

— Pozwoli mi pani powiedzieć szczerze, co myślę w tej chwili? — zapytał.

— Miałeś mi mówić po imieniu, Zygmuncie.

— A więc muszę Józii powiedzieć, bo mię ta myśl często nawiedza... Jak się to stało, że Józia mogła wychować taką Manię!

— Wcale nie pragnęłam uczynić jej podobną do siebie.

— I stało się doskonale. Józia doskonale wychowała moją Manię... tak właśnie, jak do mego szczęścia trzeba było. Nie jest bardzo nuczuciowa, ale to ocaliło jej zdrowie i jej zdrowy rozsądek. Mysłmy się wprawdzie przyzwyczaili widzieć w kobiecie nadszłość nerwową, zdobytą przez różne sznurowadła moralne i materyalne. Chwała Bogu, że Mania nigdy żadnych znieść nie mogła, prócz tych, które jej dają cudną figurę. Jest może trochę samowolna, kapryśna, ale kobieta piękna, młoda, kochana, powinna być kapryśna. To daje kochającemu możliwość okazania jej miłości swojej, poszukania dla niej kwiatu paproci, zaklętych skarbów i tego źródła, co to w bajkach leży za dziesiątą górą i za dziesiątą rzeką... Jabym to wszystko gotów przynieść dla Mani, gdyby tego zapragnęła.

— I wybrałbyś sobie najlepszą częśćkę, bo ten, co kwiat paproci po niezliczonych trudach i przeszkodach znajduje i niesie go istocie ukochanej, ten jest szczęśliwy... stokroć szczęśliwszy, niż ona, tego kwiatu żądająca i otrzymująca go.

— Ja też jestem szczęśliwy.

— Zupełnie?

— O, zupełnie! Spójrz, jaka Mania śliczna! Oczy napatrzeć się nie mogą. Już patrzę sześć tygodni, a jeszcze mi mało... Żebyś, Józiu, wiedziała... To taka róża, która już tęp samém daje szczęście, że kwitnie obok mnie. Tylko całować tę buzię, a klęzcć u małych nóżek, a włosy rozplatać, a rączki jej na szyję sobie zarzucać... Od czasu, jak ją mam, zaniedbuję interesów i gospodarstwa; ale to okropna rzecz, odchodzić od tego wdzięku, od tego piękna, od tego różowego zjawiska, które mam w domu.

— I niczego więc nie pragniesz?

— Niczego. Nawet co do pewnych ideałów moich zmieniłem zdanie. Mania nie jest wykształcona, i to właśnie jest dobrze. Daje jej to

świeżość i oryginalność intelektualną. Nie myśli wedle żadnego szablonu, ale po swojemu, po dziecinnemu. Gniewa się, odyma usteczka cudownie... zachciewa się jej niespodzianie różnych przyjemności... jak dziecku... Pierwszy popęd jest u niej kierownikiem... Nie wstydi się swoich poglądów, a są one jej własne, nie oparte na naśladownictwie... Człowiek wykształcony musi być bezwiednie zlepkiem pojęć zdobytych. Ona jest cudowna w swoich pomysłach, kapryсах, uprzedzeniach, pojęciach i zachciankach, których od nikogo nie przejęła. Dla kogoś obcego mogła-by mieć często pozory oschłości serca, ale ja wiem, że w niej jest to tylko brak sentymentalizowania wedle szablonu. Ona nędz ludzkich nie odczuwa, jak ich nie odczuwa prawie żadna młodość szczęśliwa.

— Nauczysz ją litości...

— Tak, moja miłość otworzy jej serce... Jest trochę zamknięta, może dlatego, że, mieszkając w mieście, nie miała żadnej styczności z ludem, a widywała tylko wstrętną nędzę. Nie ma sympatii dla ludu i nie rozumie jego potrzeb, na wsi się tego nauczy. Klóćmy się czasem na ten temat, ale jej odęte przez gniew usteczka mają taki czar cudowny, iż muszę przyznać przy końcu każdej dyskusji, że pocałunek był i jest jedyną rzeczą, dla której żyć warto!

Wśród wieczoru i najbardziej ożywionej rozmowy towarzystwa, Józefa ujrzała Manię, wychodzącą z salonu. Wiedziała, że jej siostra szła do jej ubieralni, by przed lustrem uczynić przegląd swego stroju, uczesania i trochę pudru obsypać twarz, nieco zbyt rumianą. Było zawsze zwyczajem Mani znikać tak wśród balu lub wieczoru, gdyż nigdy ani na chwilę nie zapominała o wrazeniu, czynioném przez jej osobę. Józefa, która podczas tej bytności siostry w Warszawie widziała ją tylko w obecności Zygmunta, zapagnęła uściskać ją bez świadków.

Młoda kobieta stała przed toaletą, już upudrowana i poprawiająca karby grzywki, lekkim puchem osłaniającej jej czoło. Józefa objęła jej kibić i prowadziła ją do sypialnego pokoju. Zdawało jej się, że to, o co ją zapytać miała, było czémś, czego żadne ucho ludzkie słyszeć nie mogło.

— Moje dziecko, moje dziecko... jesteś szczęśliwa?

— O, tak.

— Zygmunt cię bardzo kocha...

— Kocha mię.

Jakaś obojętność czy chłód leżał w głosie Mani. Józefa wyrzuciła sobie, że tak zaraz na wstępie chciała zejsć aż na samo dno serca młodej kobiety, która może miała w sobie uczucie skąpstwa, czy za-

zdrości względem swego szczęścia, zmuszające do skrywania go przed oczami ciekawych.

W gruncie rozrzewnienie i wybuch czułości Józefy nudziły i drażniły Manię. Chciała jak najprędzej wracać do salonu i gniewało ją to, że ją zatrzymywano. Nie zastanawiała się zresztą wcale nad obecnym stanem swój duszy. Była młoda, miała śliczne toalety w wyprawie, była pieszczona i admiirowana, wola jój była prawem dla całego domu, było jój więc dobrze; ale uczuć swych nie badała. Zbytnią czułość Zygmunta nudziła ją czasem trochę, a teraz to samo uczucie znudzenia wywołaném w niój zostało zachowaniem się siostry.

Józefa, która Manię do swego pokoju zaciągnęła, pragnąc bezwiednie szczerego wylewu uczuć i zaufania siostrzanego, teraz, wobec oglądającej się i zdającej się szukać czegoś Mani, poczuła się nieswoją i jakby oblaną zimną wodą.

— Jaka to ładna kapa — rzekła Mania, spoglądając na łóżko.

— Chodźmy do salonu — odparła Józefa — nie trzeba gości zostawiać samych.

Mania szła naprzód i gdy ją Józefa ujrziała wchodzącą w otwarte na oścież drzwi salonu, wróciła do samotnego pokoju i zapłakała nagle, ukrywszy twarz w dłoniach. Czowała pustkę wkoło siebie i wielką żalność w sercu. Nie zazdrościła szczęścia nikomu, ale od śmiechów, dochodzących ją z salonu, od rozpromienionego oblicza Zygmunta, od bezmyślnój wesołości Mani, na jój własną dolę padał cień grubszy. Czowała się biedniejszą obok tego bogactwa. Miała duszę pełną niespożytkowanego uczucia i znajdowała się nad wyraz ubogą. Mania doskonale się bez niój obchodziła, mąż był w jój oczach nędznym pajacem, dla którego litość, obowiązek i przyzwyczajenie, utrzymywały w jój duszy małe okruchy przywiązania. Ale sama nie była wyłączną miłością niczyją; nie miała niczyjogo serca na własność. Czemu nie mogła zadowolnić się tém, czém żyje tyle kobiet światowych? Czemu jój nie pociągało zbieranie po świecie upodobań i miłości męskich? Tylko trochę kokieteryi w ubraniu i obejściu, a posiadała dość powierzchownego wdzięku, by ciągnąć za sobą spojrzenia i zachwyty.

Wstręt i pogarda przejęły ją przy téj myśli. Co? ona-by miała należeć do grona tych istot próżnych i lekkich, których szczęście leży w ich powierzchownym wdzięku, dla których słońcem żywota są upojone wejrzenia męskie? Biedne, ubogie, nędzarki! Wielka miłość była niezawodnie szczęściem najwyższém, ale szukać jój okruchów po wszystkich ścieżkach żywota... To było może dobre dla innych, lecz nie dla niój, nie dla niój!

Otarła łzy, zwykły uśmiech szyderstwa względem samej siebie okolił jój usta. Jaka z niój zawsze była egoistka! Wielka rzecz, że jój

nikt nie kochał, że dziecię jej serca, Mania, nie potrzebowała jej przywiązania! To mi dopiero nieszczęście!

Choć po odjeździe siostry tęskniła do niej, jednak odwlekała odwiedziny w Zarębiu, majątku Piotra Bielmońskiego, gdzie Zygmunt zamieszkał z młodą żoną. Może woleli być sami w tych pierwszych chwilach życia wspólnego? Może osoba trzecia była-by im ciężarem?

Dopiero w końcu Sierpnia, przebywszy trzy miesiące na letniem mieszkaniu, zjechała się w Zarębiu z mężem, wracającym z za granicy. Rzewewski zwykle przez parę letnich miesięcy przebywał po-za krajem, szeroko się rozwodząc nad potrzebą odświeżenia się i wypoczynku.

Tym razem przywiózł z wycieczki jakby nowy zapas żywości, wiary w siebie, we własną gwiazdę, we własną wielkość... Zupełnie nowa okolica, w której się znalazł, goście, odwiedzający Zarębie, którzy, nie znając go osobiście, słyszeli o nim, to wszystko podniecało w nim do bujnego rozkwitu namiętność poży i tego szału wspinania się ciąglego po-nad wzrost własny, który u niego z rokiem każdym zwiększać się zdawał. Może też jego miłość własna wypościła się za granicą. Opowiadał wprawdzie z tą naiwną dobroduszością, która go czyniła sympatycznym dla wielu, jak go tam na ręku noszono, sypał jak z rękawa nazwiska szumnie brzmiące, ale miał zupełnie minę człowieka, który chce czas stracony odzyskać. Zabierał głos, zwracając się do liczniejszych słuchaczy, brał niektórych na stronę, zdawał się upojony możliwością zaznajomienia się z tylu nowymi ludźmi i obracania się w świeżych dla siebie stosunkach.

Nadarzyła mu się też sposobność rzadka. Okoliczne parafie przygotowywały się właśnie do wizyty pasterskiej, a właściciele okolicznych dworów mieli być prezentowani nowo powołanemu na stolicę biskupią kapłanowi. Proboszczowie chcieli uświetnić uroczystość, sprasząc jaknajwiększą ilość obywateli. Towarzystwo, zebrane w Zarębiu, udało się do sąsiedniej parafii, we dwa dni potem zaś biskup miał przyjąć gościnność Zygmunta i bierzmować w kościele zarębskim.

Rzewewski jechał z Zygmuntem. W drodze począł mu mówić o jakichś, spotkanych w podróży, ładnych kobietach, o upodobaniu swoim do Wiedenek... Dawał przytém do zrozumienia, że usiłował niejedną poznać bliżej i że mu się to udało znakomicie. Szczególniej jedna, Mina, co to była za dziewczyna!...

Klepał Zygmunta po ramieniu, lubił bowiem czasem w męskim towarzystwie udawać wieśniaczą gburowatość, choć znał dobrze formy światowe.

— Potrzeba czasem tak wyskoczyć z klatki i urwać się tym powrozom, które trzymają na wszystkie strony. Popatrz na rumaka, mającego w sobie krew arabską, jak wypuszczony na swobodę wstrząsa

grzywą i grzebie kopytami... jak mu jest dobrze na łące, na którą wybiegł... Człowiek tak samo, jak koń, potrzebuje czasem pobrykać, poszaleć. Klatka, to wszystkie więzy, rodzinne, społeczne, towarzyskie, światowe... Ten ciężar, to jarzmo, te kajdany zrzucić z siebie, to mi roskosz! Uśpione pragnienia budzą się wtedy do życia, człowiek marniejący, gnuśniejący, czuje się wtedy młodym!

Zygmunta spowiedź ta przejmowała wstrętem. Nigdy nie lubił ulicznych piękności, a choć przeczuwał, że poza na don Żuana była też tylko błagą ze strony Rzeweckiego, jednak w tej chwili stanęła mu w myśli Józefa i musiał się wstrzymać od powiedzenia ostrej prawdy Oskarowi. Rzekł więc tylko:

— Trafieś na słuchacza niepowołanego. Mam wstręt do stołecznego zepsucia, a wybryki mężów, uwolnionych z pod nadzoru, napętlają mię niesmakiem.

— Ha, ha, ha! nie wiedziałem, żeś taki purytanin.

— Nie wart jesteś takiej żony, jak Józia.

— O, Józia, to anioł! Przytém, jak ona mnie kocha! Ale, widzisz... mnie jedna kobieta wystarczyć nie może...

Przy tych słowach Rzeweckie wydymał pierś, podnosił ramiona, które, podwyższając kaptur burki, zarzuconej lekko na plecy, dawały mu postać atlety.

Żydowska, nędzna miejscina, Werechów, miała kościół, zbudowany opodal na wzgórzu. Zdala już widać było jego jedyną wieżyczkę, strzelającą po-nad białe ściany i po-nad wieniec lip otaczających. Dnia tego całe wzgórze pokryte było rojącym się ludem. Powiewały chorągwie, jasne stroje włościanek odbijały w słońcu na tle ciemnych kapot męskich; cały ten tłum już zdala przedstawiał się uroczyście i wspańiale. Na przedzie, przy wrotach, grupa, złożona z mężczyzn i kobiet, należących do wyższych sfer społeczeństwa, stanowiąca orszak siwego trzęsącego się starca, trzymającego na tacy chleb i sól, którymi parafia przyjąć miała pasterza swego. Już goniec dał znak, że karetą biskupia stacza się ze wzgórza ku Werechowi, gdy ów siwy, bladej starzec, najpoważniejszy i najbardziej szanowany obywatel parafii, zbladł bardziej jeszcze, zachwiał się i słabym głosem oświadczył, że nie był w stanie stać dłużej na upale i nie miał siły przemówić do biskupa. Wszczęło się zamieszanie. Synowie uprowadzili chwiejącego się starca; proboszcz był w rozpacz i właśnie gorączkowo prosił innych panów, by który z nich powiedział słów kilka, gdy zajechała bryczka, wioząca Rzeweckiego i Zygmunta. Wszyscy panowie, przez proboszcza zachęceni do powiedzenia mowy, tłómaczyli się nieprzygotowaniem, żaden nie chciał wziąć tacy z chlebem i solą. Wreszcie postanowiono, że przyjęcie będzie nieme, gdy Rzeweckie, rzuciwszy burkę furmanowi,

oświadczył, że on się przemowy podjąć może. Proboszcz się wahał, Rzewecki nie był parafianinem, nikt go tu nie znał. Wreszcie na jego zapewnienie, że tylko jako zastępca chorego starca przemawiać będzie, proboszcz zroszczony, od przytomności odchodzący, na widok wjeżdżającej do miasteczka karety, ruszył ramionami ze zniechęceniem i pozwolił Rzeweckiemu wziąć do rąk tacę z chlebem i solą.

Całą tę sprawę uważał potem za zrządzenie Opatrzności i za sprawę Ducha św. Zamiast tręącego się głosu szanownego staruszka, do biskupa przemówił głos tak wymowny, tak donośny, tak dźwięczny, że i przybywający pasterz, i asystenci jego, i panowie otaczający, i tłum wieśniaków, wszyscy byli zachwyceni. Rzewecki mówił zawsze bardzo wymownie, tym razem wszakże przeszedł samego siebie. Zdołał nawet wzbudzić zazdrość w księdzu regensie, który sływał z kazań i wymowy. Że nie był wcale przygotowany, więc potrafił być zwyciężym, co mu się niezawsze zdarzało. Nastąpiło nabożeństwo i ceremonie kościelne. Że tłum wieśniaków był ogromny i gorąco nie do zniesienia, więc wiele osób, nie mogąc wytrzymać w kościele, wyszło na dziedziniec pod lipy. Tam też znalazł się Rzewecki. Już wszyscy teraz wiedzieli jego nazwisko, wszyscy byli pod wrażeniem jego zjawienia się w samą porę i przemowy do biskupa. Otoczyła go ciekawość kobiet i mężczyzn. Przyglądano mu się, usiłowano się zbliżyć. On stał pod lipą, chłodząc czoło kapeluszem, który trzymał w ręku, z podniesioną głową, wydatną piersią, pogodny, uśmiechnięty, spokojny, jak bohater po wygranej bitwie. Wreszcie między otaczającymi znalazł się ktoś, kto mu był niegdyś prezentowany. Ten mu się przypominał i wkrótce przedstawił mu kilku innych obywateli, którzy znowu przedstawili mu znajomych. Dla Rzeweckiego wypadł stąd rodzaj owacy. Kłaniano mu się, patrzano mu w oczy, słuchano go z natężeniem i skupieniem. On, wielki człowiek, dobrotliwy filozof, zniżający się do tłumu, stał wśród tych ludzi, których był punktem środkowym, i odpowiadał, pytał, wreszcie, wpadłszy na jeden ze swych ulubionych tematów, zachwycał szlachtę parafii werechowskiej nowością i bystrością poglądów, głębokością spostrzeżeń, pięknocią retorycznych zwrotów. Czuł się szczęśliwym i wielkim, bo wtedy szczególnie, gdy był otoczony licznymi słuchaczami, zawrót głowy dochodził w nim do tego stopnia, że sam najzupełniej wierzył w swą wielkość. Zwykle widok Józefy przekonanie to w nim zachwiewał, ale dziś nie było jej obok niego, więc z oczu słuchaczy i z własnego upojenia się blagą czerpał uczucie olbrzymich sił intelektualnych, spoczywających w jego łonie.

Zygmunt, wychodzący z kościoła po odbytym nabożeństwie, ujrzał go otoczonego kołem zachwyconych słuchaczy. Przez chwilę stał opodal, przyglądając się grupie. Nie słyszał, co mówił Rzewecki, zdawało



mu się jednak, że mógł-by był prawie powtórzyć wszystko. Niektóre zdania, powtarzające się częściej w ustach Oskara, tak mu były dokładnie utkwily w pamięci, że je prawie słyszał. W tej chwili z postawy i miny mówcy wnosil, że mówi on właśnie, wydymając szeroką pierś:

— W narodzie rolniczym, jak nasz, kto nie zna gospodarstwa i jego warunków, nie może śledzić tętna narodowego.

Z twarzy Rzeweckiego jaśniało takie szczęście, iż Zygmunt prawie dotykalnie odczuł, że Oskar w tej chwili był sobie samemu więcej, niż człowiekiem. Proboszcz przez posta prosić go kazał na obiad, szedł więc ku plebanii, otoczony słuchaczami, jak Król, otoczony dworem.

„Kochanego gościa z Warszawy“ posadzono obok biskupa. Obadwaj dzielili honory dnia tego. Wśród toastów, nakazanych zwyczajem, pito też zdrowie Rzeweckiego, który, wzruszony, odpowiedział jednem ze swoich najbardziej efektownych podziękowań. Potem, zwracając się do biskupa, oświadczył, że po przyjeździe do Warszawy, opowie arcybiskupowi odwiedziiny jego ekscelencyi w Werechowie. Mówił o arcybiskupie, jak o najbliższym znajomym, co mu zjednało szczególniejsze względy księży.

Na rękach go noszono dnia tego, wrócił też do Zarębia upojony zadowoloną próżnością, rozegzaltowany własną osobą, jak gdyby sam należał do grona tych, co mu palili kudziła. Począł zaraz opowiadać swoje tryumfy. Szczególniej podobał się sobie w chwili, w której, zeskakując z bryczki, ujrzał odprowadzanego, mdlejącego na upale starca, i gdy „uproszonym“ przez obecnych został, by przemówił do biskupa w imieniu parafii. Całe zdarzenie upoetyzował i ubrał w różne efektowne dodatki.

Józefa, nie mogąca pozbyć się względem niego chronicznej niewiary, spuszczała oczy. Zygmunt doznawał, jak zwykle w jego towarzystwie, coraz to zwiększającego się niesmaku. Był tego dnia świadkiem, jak w jego ustach fakta przekształcały się, wyrastały powoli do rozmiarów olbrzymich. Wizyta biskupia w Werechowie, opowiedziana Mani i Józefie zaraz po powrocie, wyglądała już inaczej wieczorem, gdy ją Rzeweckie opowiadał przybyłym do Zarębia gościom. Powoli urabiała się do tego kształtu, jaki się miał skryształizować w umyśle opowiadającego. Oskar już ją nawet ubrał w niektóre zwroty retoryczne. Zygmunt był pewien, że owe zwroty ulegą się już w formę stałą i na zawsze do wizyty biskupiej stosowane będą. Słuchając, robiło mu się ekliwo. Goście przybyli byli zachwyceni tym wymownym człowiekiem, tak zarazem głębokim i naiwnym, tak uczonym i tak dobrodusznym.

Nazajutrz biskup miał zjechać na noc do Zarębia. Czyniono przygotowania, gdyż na późnym obiedzie miało się zebrać kilkadziesiąt

osób. Oznaczono godzinę piątą, jako porę zjechania się gości, przypuszczano wszakże, że biskup czekać będzie wieczornego chłodu do odbycia krótkiej podróży, gdyż wiadano, że od dni kilku pracował prawie nad siły, bierzując, celebrując i piekąc się na upale.

Okolo piątój w istocie zaczęli zjeżdżać się goście. Przyjmowano ich chłodzącymi napojami, podanemi na werendzie. Panie, w jasnych toaletach, wystrojone były jak na wieczór, panowie, we frakach i białych krawatach, wyglądali odświętnie. Rzewecki odnajdował między tymi ostatnimi swoich wczorajszych słuchaczy z dziedzińca kościelnego. Był w wielkiem podnieceniu, jak zwykle, gdy go liczniejsze kolo otaczało. Damy obsypywał grzecznościami, z panami roztrząsał ważne kwestye społeczne, zawsze umiejąc w porę przybierać owe miny tajemnicze, które miały wpoić słuchaczom przekonanie, że wiadomości Rzeweckiego czerpane były u samego źródła, u źródła najwyższego:

— Jeździłem właśnie do Wiednia...

Przy tych słowach małe zająknięcie się, przystanek, spuszczenie powiek na mgnienie oka... Słuchacze mieli się domyślać, że Rzewecki nie mógł powiedzieć wszystkiego, ale że, co najmniej, miewał codzienne audyencye u Franciszka Józefa.

Wśród najbardziej ożywionój rozmowy, uwaga obecnych odwróconą została przez małego jeźdźca, który przed werendę zajechał na kucyku. Był to dziesięcioletni synek najbliższych sąsiadów Zygmunta, którego on lubił i przyjmował zawsze owocami i słodyczami, gdy na swoim koniku ukazywał się przed gankiem, lub przed werendą w Zarebin. Chłopiec był ładny, śmiały i dziarski, kucyk bardzo kształtny, towarzystwo więc zajęło się nimi. Kilku panów zstąpiło na wschody, przyglądając się koniowi. Rzewecki zdjął chłopca z siodła, z nawpół koleżeńską wesołością i ojcowską troskliwością, pozwalając mu iść ku mówiącej do niego Mani. Sam trzymał za cugle kucyka, który miał ochotę skubać trawnik i rośliny, w deseń na nim ułożone. Rozmowa powoli przeszła na konia i konie wogóle. Rzewecki okazał się pierwszorzędnym znawcą hodowli koni i wielkim amatorem. Gładził kucyka, wreszcie zwrócił uwagę na jego wzrost:

— Takiego konia przeskoczyć można.

— Niech pan jednak tego nie probuje—ozwał się ktoś z obecnych.

Rzewecki, upojony ilością widzów, między którymi znalazły się i z miejsc powstałe panie, zaczął się przygotowywać do skoku. Kazał trzymać chłopcu konika za cugle, sam zaś stanął w postawie atlety cyrkowego, zabierającego się do wystąpienia. Oddalił się o kilka kroków, rozpędził się i w biegu przeskoczył kucyka, lecz, przeskoczywszy, upadł na wznak i, choć z uśmiechem powstać usiłował, nie mógł tego uczynić. Zbladł bardzo, usta mu posiniały. Rzucono się na ratunek.

Pod przewodnictwem Zygmunta, przeniesiono go do pokoju i złożono na łóżku. Józefa, która przy wypadku obecną nie była, uwiadomiona, przybiegła przestraszona. Między gośćmi znajdował się lekarz. Prosił, by telegrafowano po specjalistę do Warszawy. Sam nie wiedział, jakiemu uszkodzeniu uległ Rzeweckii, ale oświadczył, że stan chorego wydawał mu się niebezpiecznym.

Oskar nie czuł żadnego bólu. Gdyby nie wielka niemoc i napadające go co chwila nudności, był-by zdrow zupełnie. Wśród zamieszania i trwogi, jakie wywołał przykry wypadek, oznajmiono, że karetą biskupia była blisko. Całe towarzystwo udało się na ganek.

Przy Rzeweckim została tylko Józefa. Patrzyła na męża z wielkim przestachem, okładając mu głowę lodem, jak rozkazał lekarz, i oddając mu potrzebne posługi. Czuła w tej chwili, że przywiązanie do męża nie było zupełnie w jej duszy wygasło, że do niego przyzwyczajenie dodało po kropli wiele z tego uczucia spokojnego a silnego, które stanowi tak wielką spójnię. Wiedziała teraz, że bywała niesprawiedliwą względem Oskara, że jego nieszkodliwe kłamstwa wydawały jej się niedarowaną podłością, jego niewinne blagi urastały w jej oczach na brzydkie kłamstwa. Teraz czuła, że miała przed sobą człowieka dobrego z gruntu, dobrém obdarzonego sercem, bardzo zdolnego i nieraz przez swą usłużność i dobre chęci pożytecznego, tylko zatrutego próżnością; — takie wielkie, bezkrytyczne dziecko, któremu się zdaje, że nikt nie widzi sznurków, któremi ono przed oczami patrzących porusza maryonетки. Biedne, nieszczęśliwe, wielkie dziecko, tak atletycznój siły przed chwilą, teraz mdlejące na jej ręku.

Do ust wlewała mu trzeźwiące krople, a on, ze spojrzeniem chorego dziecka szukał drżącą ręką jej ręki i do ust ją podnosił, ciągle oczami goniąc za jej wzrokiem.

— Józiu! — szeptał co chwila, a z jego drżących ust imię to wychodziło z dziwną tkliwością.

Miał chwilami, patrząc na nią, siłę na uśmiech.

— Józiu, tyś taka dobra... nigdy nie byłem ciebie wart...

— Cicho... nie mów nic... to ciebie męczy!

— Mówić mogę, ale wiem, że mam się bardzo źle...

— Oskarze, co ty mówisz? Ty, tak silny, taki zawsze zdrow! Posłaliśmy telegram po Suchobrzeskiego... zobaczysz, że to wszystko przejdzie, to tylko tak silne wstrząśnienie...

— Nie, Józiu, mów mi prawdę... Tak mię niecierpliwila twoja bezlitośna prawdomówność... i teraz nie kłam...

— Przysięgam ci, że sam doktor nie wie.

— Ale ja wiem, wiem, Józiu! Nie przeszkadzaj mi mówić, tyle rzeczy mam do powiedzenia, tylko myśli zebrać nie mogę.

Zygmunt, wprowadziwszy biskupa do salonu i otoczywszy go gro-nem poważniejszych mężczyzn i kobiet, przybiegł do chorego z dok-torem.

— Nie kłopotcie się o mnie—mówił Rzewecki,—rachunek mój już skończony, nie prawdaż, doktorze?

Przy tych słowach uśmiechnął się. Józefa, znająca go do głębi, dostrzegła, że jej wielkie dziecko znowu przez nieuleczalną próżność ukąszone zostało. Wobec Zygmunta i lekarza, Oskar chciał udawać bohaterską pogardę śmierci.

— Nie trzeba, by żywi cierpieli nad tём, że się komuś podoba umierać — ciągnął dalej, — nie trzeba psuć swobodnego nastroju tego obiadu dla biskupa. Nie mówcie, panowie, nikomu, że się mam tak źle... idźcie wszyscy, idźcie... zostawcie mi tylko Józię.

W tój chwili wszelka poza widocznie ustąpiła prawdziwemu uczuciu:

— Zostawcie mi najlepszą cząstkę... zostawcie mi moją Józję Idźcie, proszę was... błagam was, idźcie!

Wyprawiał świadków ze swego pokoju, bo czuł wzbierające pod powiekami łzy, które zalały mu twarz, gdy Zygmunt z lekarzem byli we drzwiach.

— Ciebie jednę żal mi opuszczać... ciebie jednę!

Józefa widziała i uczuła, że mówił w tój chwili prawdę naj-czystszą.

— Bardzo jest źle, nie prawdaż?—zapytał Zygmunt lekarza, gdy się znaleźli za drzwiami.

— Nie umiem dokładnie określić, ale tu jest jakieś poważne uszkodzenie. Boję się, że stan jest bardzo groźny.

Zygmunt zasiadł wśród biesiadników u stołu. Rozmawiał, zapytywał, odpowiadał, miał nawet przemówienie do przyjmującego gościnnie w Zarębiu pasterza, przed oczami wszakże miał ciągle bladą i strasznie zmienioną twarz Rzeweckiego; widział wzniesione ku Józefie błagalne jego spojrzenie, pełne bólu i miłości. Myślał z jakimś uczuciem grozy i przestachu o tём, co jedna godzina z najbujniejszego życia uczynić może. Ta cała pełnia żywotności, ta indywidualność, pochłaniająca wszystko i wszystkich wkoło siebie, w imię własnej próżności, była teraz tknięta bezwładnością, dogorywającą łupiną! Zygmunt ze swoją kobiecą czułością na wszystkie kontrasty, na wszystkie nędzne sprzeczności ludzkiego żywota, cierpiał nad tym zgiełkiem i śmiechem, który go otaczał, gdy tam, o kroków kilka, odbywała się straszna zawsze tragedia przejścia z istnienia do nicości. Szczególniej przykrą mu była wesołość Mani, jaśniejszą radością pod zachwyconemi spojrze-

niami mężczyzn. Ona pewno nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństwa! Młodość tak nie wierzy w nieszczęście...

Po obiedzie, gdy się towarzystwo znalazło znowu w salonie, Zygmunt, uwolniwszy się od damy, którą odprowadził, obejrzał się za Manią, by ją pociągnąć za sobą do pokoju chorego. Spozrzegł ją blisko otwartych drzwi werendy, otoczoną grupą młodych mężczyzn i kobiet. Któryś z panów opowiadał, jak poprzedniego dnia, wśród ścisku w kościele, zemdląca stara żebraczka, mająca ze sto lat, i jak, ocucona z zemdlenia, zaczęła wołać: „Ah, ja biedna sierota, nie mam ani ojca, ani matki!”

Opowiadanie to wzbudziło wielką wesołość. Srebrny śmiech Mani górował nad innymi. Zygmunta zimno się zrobiło od tych głośnych objawów radości.

— Jak się tu trochę uciszy i kółka starszych państwa na dobre się potworzą, to my pójdziemy obejść ogród wkoło — ozwał się jakiś głos.

— Dobrze, dobrze!

— Maniu — rzekł zbliżający się Zygmunt, — chodź ze mną do Oskara... Józia tam sama przy nim...

— A cóż ja tam pomogę? — odparła Mania, odymając usta. — Tak tu wszędzie duszno w mieszkaniu, że muszę trochę odetchnąć świeżym powietrzem.

Zauważywszy oburzone spojrzenie Zygmunta, dodała:

— Przyjdę tam niezadługo, i jeżeli Józia będzie mnie potrzebowała...

Zygmunt chciał zawołać, że siostry w nieszczęściu odstępować się nie godzi, lecz na jego twarzy spoczywały liczne spojrzenia, więc słowa uwięzły mu w gardle. Przeniknęło go też na chwilę jakieś uczucie strachu i zniechęcenia. Nie zeznał przed sobą, lecz odczuł niejasno, że istniał cały świat pojęć, które nie znajdują nigdy przystępu do serca i umysłu Mani, że była mowa, którą do niej przemawiać nie warto, bo jej ona zrozumieć nie jest zdolna. Stał milezący we drzwiach werendy, patrząc, jak wesołe towarzystwo, z Manią na czele, zstępowało ze wschodów. W tej chwili jeden z młodych gości wyszedł na werendę drugimi, otwierającymi się na nią drzwiami, i zawołał, zwracając się ku gronie, otaczającemu Manię:

— Zrobitem odkrycie!... chcecie wiedzieć jakie?

Podszedł ku zatrzymującemu się towarzystwu i rzekł, przyciszając głos:

— Odkryłem, że najniecznoniejszą rzeczą na świecie są brzydkie kobiety i starzy księża... mianowicie dygnitarze kościoła!

— Co, ma pan już dosyć szczęścia, które nas spotkało, a o którym Zygmunt tak wymownie przy toście nam opowiadał?

Wyrzekłszy te słowa, Mania wybuchnęła znowu srebrnym śmiechem.

Pierwszy raz, od chwili ślubu, Zygmunt znalazł Manię bezduszną.

— Najnieznośniejszą rzeczą na świecie—pomyślał—jest śmiech, gdy płakać-by należało!

Śpiesznie udał się do pokoju Oskara.

Chory zdawał się mieć znacznie lepiej. Podawano mu stare wino, które podnosiło jego siły. Mówił z łatwością, nawet żartował i śmiał się, nic go nie bolało, tylko w nogach była zupełna bezwładność i podnieść się nie mógł.

— Nigdy sobie tego nie daruję—rzekł do Zygmunta,—żem z własnej winy opuścił obiad, nad ktorego *menu* wraz z wami radziłem. Ale za to nie wiem, czy kto z was pił takie wino, jak to, które mi Józia daje. Warto prawie trochę sobie krzyż przetrzącić, żeby spijać takie specyaly.

Zygmunt uścisnął jego rękę z zapalem. Gotów był polubić jego błagę, byle żył, byle nie umarł w sile wieku!

— Chwała Bogu, że jest lepiej! — zawołał. — Bądź tylko zdrow, a wstawię się do Mani, by ci dawała codzień, aż do twego odjazdu, to stuletnie wino stryja Piotra.

— Oj, chyba będzie ze mnie jakiś kuternoga, czy paralytyk. Muszę sobie jakiego ślepego wynaléźć, żeby mię nosił.

— Ehe, humor powraca, to powróci i władza w nogach!—zawołał Zygmunt, który w istocie odzyskał nadzieję.

Rzewecki miał ją także. Nawet gdy mówił o śmierci lub o kalectwie, czuć było, że sam o takich ostatecznościach wątpił. Tylko Józefa nie miała nadziei. Widziała bezskuteczne usiłowania męża, by nogą poruszyć, a potem, gdy ją wzięła, by podnieść, poczuła takie bezwładne, ciężkie, obwisłe ciało w swych rękach, że zrozumiała, iż tu już ratunku nie było. Zdawało jej się nawet, że od godzin paru ręce jego stały się były więcéj drżące i niepewne własnych ruchów, choć nudności zupełnie ustały i siły zdawały się zwiększać pod wpływem starego wina, i choć głos był silny, wyraźny i zupełnie naturalny.

— Biskup długo się o ciebie wypytywał—rzekł Zygmunt,—wszyscy téż goście mocno zajęci twoim wypadkiem, ciągle się dowiadywali o twój stan... Choć nieobecny, byłeś pierwszą figurą między nami... Jego Ekscelencya chciał koniecznie tu przyjść...

Zygmunt mimowoli doświadczał tego samego uczucia, co Józefa. W chorym Oskarze już nie widział dawnego, antypatycznego sobie bliźniego, lecz wielkie dziecko, potrzebujące zabawy i pociechy. Chciał jego prężności dać podniecie, by ten nerw żywotny inne przy siłach utrzymał.

Na twarzy Rzeweckiego rozlał się rzeczywiście ów wyraz skromnej dobroduszości, pod którym ukrywał tryumfy miłości własnej. Chciał z przyzwyczajenia wydać piersi i przybrać swą Herkulesową postawę, ale pierś opadła i wydała się więcej wklęsłą, niż przed chwilą.

— Wyperswadowałem Jego Ekscelencyi chęć tych odwiedzin — ciągnął dalej Zygmunt, — to kłopotliwa dla chorego wizyta takiej osoby w fioletach! Wypędziłeś nas z doktorem, chciałeś spokoju...

— Teraz mam się już lepiej — rzekł z ożywieniem Rzeweki, — mógłbym już znieść odwiedziny nietylko fioletowe, ale nawet purpurowe.

— A więc jutro przyprowadzę ci Jego Ekscelencyę. Jaki to człowiek myślący i rozumny. Mówił dziś ze mną, jak zwykły śmiertelnik i obywatel kraju... Umysłem obejmuje on szersze horyzonty. Mówił mi, że, wychowany na humaniorach, z żalem widzi zatracanie się coraz większe tej idei prawodawców starożytności, że mężczyzna jest przede wszystkim człowiekiem publicznym, a dopiero potem członkiem rodziny.

— Ja tę ideę wprowadzałem całe życie w czyn! — zawołał Rzeweki z pychą, która boleśnie uderzyła Józefę i Zygmunta. Ten ostatni spojrział z bezmierną litością na bezwładny kształt człowieka, spoczywający na łożku. Więc Rzeweki myślał, że zaznaczył wielkimi czynami przejście swoje na tej ziemi! — Tak, ja byłem wcieleniem tej idei!

Rzeweki, podniecony winem i przedmiotem, podsunętym mu przez Zygmunta, wpadł w swoją zwykłą werwę oratorską. Korzystał szeroko z możliwości mówienia o sobie, swoich czynach, swoich hasłach...

Po raz pierwszy w życiu Józefa doznała zadowolenia z jednego z tych wulkanicznych wybuchów próżności Oskara, które ją dawniej takim wstrętem przejmowały. Widząc męża pełnym ożywienia i dawniej werwy, i ona miała przez chwilę nadzieję życia dla niego. Może jęj zostanie takim bezwładnym, potrzebującym usług i poświęcenia! Słyszała nieraz o paralitykach, dochodzących do późnej starości. W duchu prosiła Boga, by, jeśli Oskar już zdrowym być nie mógł, pozostał przynajmniej takim, jak w tej chwili: umysłowo pełnym dawnego życia, choć bezwładnym fizycznie. Ona obiecywała wypełnić względem niego obowiązki swoje, nietylko jak siostra miłosierdzia, ale jak kochająca żona. Nie miała dzieci, więc celem jęj, jęj dzieckiem, będzie ten człowiek o nogach bez życia...

Biskup, zmęczony obowiązkami swego powołania, wcześniej udał się na spoczynek. Potrzebował pokrzepić siły, gdyż nazajutrz zapowiadał się znowu dzień ciężkiej pracy. Goście zrozumieli, że dom, w którym spoczywał zmęczony starzec i nieszczęśliwy chory, potrzebuje przede wszystkim ciszy. Rozjechali się śpiesznie wszyscy razem.

Wtedy Mania przysłała do Rzeweckiego. Uderzona zmianą jego twarzy, powtarzała:

— Co ty sobie mogłeś zrobić, Oskarze?

Pocieszała się jednak zaraz:

— To przejdzie... trzeba się tylko dobrze wyspać... Ja tak raz w tańcu okropnie upadłam... nie mogłam się sama podnieść... ale jakem się dobrze wyspała...

— I ja tak też myślę zrobić — odparł Rzeweki, podając swoją drżącą rękę Mani. — Wszyscy spać pójdziemy.

Przy słowach „pójdziemy“ rzucił wzrok smutny, wymowny, na swoje nogi, potem, jak we wszystkich chwilach, w których ogarniała go trwoga, spojrzął na żonę długo, z wyrazem pytającym:

— Józia szczególnie potrzebuje spoczynku... ona się tu tyle namęczyła nade mną... dźwigała moje ciężkie nogi...

Życzono sobie dobrej nocy, Rzeweki obiecywał spać doskonale, bo się czuł bardzo zmęczony.

— Mani rada doskonale... tylko dobrze się wyspać! Idźcie wszyscy, i ty idź, Józiu... ja odwrócę głowę do ściany, będzie mi doskonale...

Rzeweki zasnął w istocie, ale po godzinie się obudził, drgnąwszy nerwowo. Rozejrzał się po pokoju słabo oświetlonym, — widocznie nie pamiętał na razie, gdzie był i co się z nim działo. Potem nagle wyraz trwogi śmiertelnej odmalował się na jego obliczu, spojrzął na swoje nogi, potem, na widok podnoszącej się z obok stojącego krzesła Józefy, uśmiechnął się i twarz mu się rozpromieniła.

— Nie poszłaś spać? siedzisz przy mnie? Ja, zasypiając, wiedziałem, że ty nie odejdziesz... czułem, że zostaniesz... że mój anioł mię nie odstąpi...

Dreszcze przebiegały jego ciało, był niespokojny i, choć go nic nie bolało, cierpiał.

Józefa podała mu wino.

— Dziękuję! jakaś ty dobra!

A potem po chwili milczenia:

— Józiu!

— Co, mój biedaku?

— Ty tylko przez obowiązkowość tu przy mnie siedzisz i taka jesteś dobra... nie przez miłość... bo ty mię kochać nie możesz... nie, nie. Czułem zawsze w postępowaniu twojem i w każdym słowie naganę dla siebie...

— Dajmy pokój przeszłości... ja byłam bardzo winna... nie przypominaj mi tego, Oskarzel!

— Ja cię zawsze kochałem nad wszystko, żadnej innej... Słuchaj, Józiu, jeżeli mi zdrowie powróci, rozpoczniemy zupełnie inne życie... Czy ty zapomnisz mi moich grzechów?



— Wszystkiego zapomnę! wszystko dla ciebie zrobię!

Rzewecki chciał żonę przyciągnąć ku sobie, ale ręka odmówiła mu posłuszeństwa.

— Józiu!—zawołał z trwogą,—ja już i ręk!... Józiu, czemu wy mnie nie ratujecie?

— Lekarz śpi na górze, w gościnnym pokoju... pójdę go obudzę... i Suchobrzeski powinien lada chwila nadjechać... jużby powinien być przecie droga dobra, nie potrzeba dłużej jechać, jak godzinę od stacyi!

Obudzony lekarz i przybyły właśnie Suchobrzeski z Warszawy wprowadzeni zostali przez Józefę. Rozpoczęło się badanie, konsultacya, potem zastosowano różne ostre środki, bez żadnej nadziei, by zbawienie przyniosły. Suchobrzeski wyjechał na ranny pociąg, powiedziawszy choremu kilka kłamstw pobożnych o jego rychłym wyzdrowieniu i o tém, że kolega jego prowincjonalny doskonale potrafi doprowadzić wszystko do pożądanego stanu.

Dnia tego, od rana, całe Zarębie było w niezwykłym ruchu. Tłum ludu oblegał kościół na kilka godzin przed rozpoczęciem się nabożeństwa. W parafii téj od lat ośmdziesięciu nie było wizyty pasterskiej, dzisiejsza więc uroczystość zgromadziła pobożnych z całej okolicy. Cała służba w Zarębiu była w nastroju wyjątkowym. Wszyscy biegali, śpieszyli się... Oberwano wszystkie kwiaty w ogrodzie na wieńce: córeczki ogrodnika, lokaja, kucharza ubierano pod przewodnictwem szafarki w białe sukienki, ucząc je, jak miały sypać kwiaty przed postępującym pod baldachimem pasterzem. Każdy miał jakiś projekt do przeprowadzenia, każdy jakieś interesa własne, które mu sprawy bliźniego zupełnie zasłaniały. Wszyscy księża, towarzyszący biskupowi, spowiadali w kościele od piątej godziny rano, było bowiem bardzo dużo ludu do bierzmowania. Nawet sam biskup wcześniej opuścił dwór w Zarębiu. Miał zwyczaj siadać téż w konfesyonale, gdy jego pomocnicy mieli zbyt wiele roboty. Chciał pożegnać Rzeweckiego, ale właśnie felczer z miasteczka stawał choremu moksy, biskup więc odstąpił od swego zamiaru.

Gdy przyszła chwila uroczystego nabożeństwa, wszystko, co żyło, opuściło dwór. Przy chorym została tylko Józefa, felczer Żyd i uproszony, zapłacony, ale niechętny lokaj. Oskarowi było coraz gorzej. Sam on teraz nie wątpił o zbliżającym się zgonie i około pierwszej zażądał księdza. Był zupełnie przytomny, mówił zawsze z łatwością, podniecał się winem, ale powoli ustawało w nim życie, jak w roślinie z podtoczonymi korzeniami. Józefa posłała do proboszcza prosić, by przysłano do łoża umierającego którego z księży przybyłych z sąsiedztwa, lub towarzyszących pasterzowi. Proboszcz zdał sprawę z tego polecenia biskupowi, który właśnie skończył był celebrawę i miał się zabierać do

bierznowania. Ze zdziwieniem proboszcza biskup oświadczył, że sam zawiezie wiatykę konającemu. Chciał, by mu towarzyszyło kilku księży, z których jeden wysłany został naprzód dla wystuchania spowiedzi chorego.

Rzewecki leżał w pościeli, biały, jak płótno. Wkoło niego czyniono przygotowania do wielkiego aktu, mającego umocnić chrześcijanina do czekającej go podróży. Okrywano stół białym obrusem, stawiano na nim świece, krzyż, kładziono gromnicę. Chory za kręcącymi się po pokoju wodził przerażonym wzrokiem, widocznie zdając sobie dokładną sprawę ze wszystkiego. Potem, jakby o ratunek prosząc, zatrzymał źrenice na Józefie, klęczącej przy łóżku.

— Józiu, więc już niema dla mnie ratunku? — szeptał trzęsącymi się ustami.—Józiu, Józiu, czy to może być, bym ja już musiał umierać? O, co za okropna rzecz—śmierć! Józiu, chodź tu do mnie.. zbliż się do mnie!

Nie mógł ruszyć zupełnie już bezwładnymi rękami, więc czynił ustami taki ruch, jakby niemi chciał uchwycić rękę, czy suknię Józefy.

— Niech ja ciebie mam, niech ja ciebie czuję, niech ja ciebie dotykam!

Gdy Józefa przysunęła twarz do jego twarzy, tulił się do niej, jak dziecko, szukające u matki opieki.

— Ratuj mię, ratuj mię!—szeptał.

Oznajmiono mu księdza. Wyszli z pokoju wszyscy, wzruszeni i przejęci grozą chwili. Józefa klęczała w drugim pokoju, przytulając czoło do zamkniętych drzwi i wyrzucając sobie gorzko swoją obojętność dla męża, swoją o niego niedbałość. Gdyby było inaczej, gdyby jej chodziło o niego, gdyby szukała jego towarzystwa, była-by go uprosiła, by nie skakał przez tego konia, i teraz nie leżał-by na łożu śmiertelnym...

Przy końcu spowiedzi rozległ się odgłos dzwonka; biskup, otoczony duchownymi w białych komżach, wszedł do pokoju prawie jednocześnie z otwarciem się drzwi, prowadzących do umierającego, przez które wyszedł spowiednik.

Biskup, z powagą starca i dostojnika Kościoła, prowadząc za sobą orszak duchownych i domowników, wszedłszy do pokoju chorego, zbliżył się do jego łóżka.

— Bracie—rzekł wzruszonym głosem,—twój Bóg wchodzi w progę twoje!

Rzewecki, spostrzegłszy uroczysty orszak, pasterza w fioletach i całą tę pompę otoczenia, zdał się być tknięty naraz iskrą elektryczną. Cała próżność, którą żył, a która go była w ostatnich godzinach zupełnie opuściła, teraz wskrzeszoną w nim została. Obłąd miłości własnej,

pod którego wpływem pozostawał całe życie, opanował go wobec śmierci. Twarz jego przestała mówić o przestachu i cierpieniu, wróciła do wyrazu dawnego, który tak dobrze był znany jego blizkim. Oczy jego zaświeciły zadowoloną próżnością. Zatoczył po obecnych spojrzeniem, badającém wrażenie, jak to miał zwyczaj czynić, gdy, mówiąc, użył szczęśliwego porównania, lub efektownego zwrotu. W gruncie bał się strasznie śmierci, lecz potrzeba pozowania stała mu się była tak zupełnie drugą naturą, że dla niej zapomniał o samej grozie zgonu.

— Jestem gotów!— odrzekł zbliżającemu się biskupowi.

Był teraz świadom jednego tylko, to, że pierwszy dostojnik diecezji, Księżę Kościoła, ze świetnym orszakiem, dla niego opuścił całą parafię i stał przy jego łożu, jak przy łożu jednego z wielkich tego świata. Czuł się zadowolonym, czuł się dumnym. W cień śmierci szedł, otoczony blaskiem, którego całe życie pożądał.

Uklękli wszyscy. Biskup silnym, poważnym głosem wymówił słowa przepisane i podał Rzeweckiemu wiatyk. Potém przystąpił do pomazania olejem świętym.

Wielka uroczystość chwili, której powagi dodawała jeszcze osoba biskupa, przejęła wszystkich wzruszeniem.

Po skończonej ceremonii, Oskar, zawsze jeszcze sztucznie podniecony, począł żegnać się z otaczającymi. Mówił dużo, gorączkowo, ze zwróconą uwagą na wrażenie, które czynił. Nawet w tój chwili pozował.

Ale ten wielki wysiłek, to oddanie resztek życia wyczerpującemu szalowi próżności spowodowało nagły kryzys. Oczy nieszczęśliwego stanęły słupem. Konał.

Biskup wzruszonym głosem, poważnie i powoli mówił modlitwy za umierających. Duchowni i domownicy powtarzali chórem odpowiedzi.

— Boże, dziękuję ci — mówiła w duchu Józefa, — że oszczędzoną mu została trwoga i rozpacz ostatniej chwili; że ta kościelna pompa, która go otoczyła, dała mu zapomnieć o grozie śmierci; że z tym wyrazem zadowolenia z siebie, które mu dawało szczęście za życia, przeszedł do śmierci.

Konanie trwało niedługą chwilę, Rzeweki nie żył.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ZOFIA KOWERSKA.

---

# HIPOLIT TAINÉ.<sup>1)</sup>

---

## IV.

Dobrze jest zawczasu rozpytać się historyka, zanim się przystąpi do pojedynczych wyników jego poszukiwań, historyka w wielkim stylu zwłaszcza, od którego oczekiwać wypada wyników nowych i doniosłych: jakie żywi zapatrywania w przedmiocie zadań i metody nauki historycznej w ogólności, w jakiej myśli na siebie w szczególności przyjmuje daną misję dziejopisarską, jak jest przysposobiony z upodobań swoich, sposobu wyrażania się, doświadczonych obcych wpływów, do wywiązania się z téj misyi. — Względem geometry lub chemika, kiedy mają nam wyjaśnić właściwości danéj krzywéj lub związku, nie była-by na miejscu tego rodzaju indagacya: wiadomo z góry, do czego zmierzają: poszukują równania krzywéj, formuły pierwiastkowej związku, wyczerpującej analizy formuły i równania; cele i metody ich nauki są ustalone; w miarę swego talentu, każdy pracownik o jeden lub więcej kroków naprzód posunie naukę, w najgorszym razie na dawném zostawi ją stanowisku, żaden jéj z bezpiecznego gościńca nie będzie mógł sprowadzić na rozdroża — Natomiast wciąż jeszcze jest kłętwą uauk „nieścisłych“ — potrochu zarazem ich stroną pociągającą, — przede-wszystkiém zaś ogółu nauk o zbiorowiskach ludzkich, gdzie miejsce najpierwsze należy się historii, że nie masz w nich po dziś dzień wytkniętych niewzruszenie celów, ani dróg ustalonych, biegnących ku owym celom wytycznym badania. Wiedza dziejowa wciąż zapewne

---

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt grudniowy „Biblioteki.“

postępuje naprzód, lecz nieraznie, z ciągłemi w tył zawrotami, zmuszona nieustannie do podejrzliwej kontroli własnych postępów. Zrażony do umiejętności tak trudnej, a dojrzewającej tak powoli, już stary Arystoteles poważył się ogłosić, iż „filozoficzniejszą jest rzeczą i lepszą pomyślną, aniżeli historia:“ *et res magis philosophica et melior poësis est quam historia*. W rozległej dziedzinie nauki historycznej wiele niepospolitych, lecz różnego usposobienia umysłów, chadza samopas w najdowolniejszych kierunkach, niekiedy równoległe idących, przecinających się niekiedy, częstokroć wprost sobie przeciwnych. Tutaj ścisła indagacya, o której mowa, wydaje się ze wszech miar usprawiedliwioną i użyteczną. Wydaje się nieodzowną w zastosowaniu do porywczego i samodzielniego umysłu autora „Początków Francyi społeczeńej“<sup>1)</sup>.

Rzuczone już były w poprzedzających uwagach niektóre skazówki, dotyczące stanowiska Tainé'a względem historyi i historyków; pozostaje obecnie je uzupełnić. Mieli na niego wpływu najwięcej: z Francuzów—oprócz Renana—Michelet, Guizot i Tocqueville; z Anglików—Carlyle i Macaulay; z historyków niemieckich nie okazał wpływu żaden, z wyjątkiem może Niebuhra.

Wielka „Historja Francyi“ Michelet'a, raczój epopea, niż dzieło naukowe, pełna przesady i frazeologii niesmacznej, w wielu przeciemi miejscach dziś jeszcze zdumiewa erudycyą, porywa natchnieniem; przy ogłoszeniu musiała niepospolite wywrzć wrażenie na społeczeńych. W roku 1855, zdając sprawę z VII i VIII tomu (Dziejów odrodzenia i reformacyi), tak odzywa się Tainé: „Michelet pisze historyę w ten sam sposób, jak Delacroix maluje, lub jak rysuje Doré; nie cofa się przed najjaskrawszym kolorytem, podnosi z błota wyrażenia pospolite, aby lepiej uwydatnić namiętność, z mowy ludowej, z medycyny wyjmuje szczegóły i zwroty dobitne i wstrząsające..., wreszcie na całą ohydę rewelacyi dziejowych rzuca, niby zaslonę z purpury, garść wspaniałych metafor,... jest to talent bogaty zarazem i giętki, połączenie entuzjazmu i dowcipu, erudycyi i filozofii, ujmującej gracyi i gwałtowności zjadliwej.“ Wyjawszy „gracyę“, można-by nieźle do samego Tainé'a-historyka zastosować tę trafną charakterystykę kolegi Mickiewicza z Sorbonny. Wszelako młody krytyk nie omieszkiał poczynić niektórych rozważnych zastrzeżeń. „Historja jest sztuką, to prawda, lecz

<sup>1)</sup> Całość p. t. „Les Origines de la France contemporaine“ składa się z trzech części: „L'Ancien Régime“, w jednym tomie (1875); „La Révolution“, w trzech tomach: „l'anarchie spontanée“ (1877), „la conquête jacobine“ (1881), „le gouvernement révolutionnaire“ (1884); wreszcie „Régime Moderne“, w dwóch tomach, z których pierwszy dopiero ukazał się w komplecie (1891), z drugiego zaś ułamki ogłosiło „Revue des deux mondes“ za r. 1892.

jest również nauką; wymaga od pisarza natchnienia, lecz niemniej wymaga refleksyi; obok wyobraźni twórczej, ma za narzędzie krytykę drobnostkową i ostrożną... Historia Michelet'a posiada wszystkie zalety natchnienia: barwność, namiętność, wymowność, wzruszenie; brak w niej zalet badania naukowego: jasności, ścisłości, miary, powagi; jest dziełem zdumiewającem, lecz niekompletném, podbija czytelnika, lecz go nie przekonywa.—Innego rodzaju wrażenia wynosi z lektury „Dziejów rewolucyi angielskiej“ Guizot'a. Z ministrem Ludwika Filipa, dojrzałym wielbicielem pani de Lieven, w zażyłych był stosunkach osobistych młody uczoney, miał w nim kierownika i protektora; można mu więc z tego tytułu wybaczyć zbyt ryzykowne oświadczenie, iż „aby znaleźć równych panu Guizot'owi dziejopisów, należy cofnąć się aż do Tucydydesa lub Macchiawela.“ Niektóre ciekawe szczegóły historyczne, jakie dziś podaje Taine w ostatnich zwłaszcza ustępach swego dzieła, powołując się na tradycję ustną bez bliższego wskazania źródła, niezawodnie słyszał z ust Guizot'a; w gruncie rzeczy przejął też sporą część jego poglądów politycznych, na swój tylko sposób je sprowadzając do nowych, kunsztownych założeń oderwanych. Surowy ton sędziego i moralisty, jakim przemawia Guizot, mąż cnotliwy i ortodoksyjny protestant, zostawszy historykiem niemoralnego Stuarta, przypadłał do smaku przyszłemu historykowi Dyrektoryatu i Napoleona. Z tępem wszystkiem, nie mogło zadowolnić Taine'a wstrzemięźliwe i suche traktowanie wielkich przewrotów w Anglii XVII wieku przez dymisjonowanego dyplomate. „Gdzież są uczucia, miotające tym tłumem, gdzież namiętność, która obaliła dziesięć rządów, zwyciężyła zwycięzców, przywołała z powrotem wygnańca, żebraka, syna skazańca świętego, aby wydać w jego ręce wszystkie swobody narodowe?“ Należało naocznie „symptomaty powszechnej choroby umysłowej, która wywołała i zgubiła rewolucję angielską.“ „P. Guizot zapomniał, ... że historyk winien z kolei zostać purytaninem i rojalistą, jeżeli pragnie odmalować rojalistów i purytanów, zapomniał, że serce, tak dobrze, jak inteligencya, winno być na usługach dziejopisarstwa. Mają swoje miejsce w dziejach awantury krotochwilne, sceny z kuchni, szlachtuzu i domu obłąkanych, komedye, farsy, ody, dramata i tragedye. Historyk, w miarę okoliczności, winien być żartobliwym, wzniosłym, trywialnym, okrutnym, winien mieścić w swojej osobie pięciu lub sześciu poetów.“ Za dużo to oczywiście, jak na jednego Guizot'a; a nawet nie wydaje się wcale, aby nauce historycznej mogły wyjść na dobre wymagania, sięgające tak daleko <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> „M. Michelet“ (1855—6), w „Essais de crit. et d'hist.“, 103, 105, 111. „N'est il pas curieux,—wyrzuca dalej Michelet'owi, 130 — de voir un historien, à bout d'ex-

Znalazł je Taine ucieleśnione w osobie Carlyle'a; tutaj też nie zna w zachwycie granic. „Pragnął-bym—oświadcza po przeczytaniu „Kromwela,—aby każda historia składała się podobnie z wyboru tekstów, zaopatrzonych komentarzem; oddał-bym chętnie za taką historję wszystkie rozumowania prawidłowe, wszystkie opowieści bezbarwne Robertsona lub Hume'a. Tutaj jestem w możności sam sprawdzać na każdym kroku sądy autora,... historyk nie przesłania mi wypadków; bezpośrednio dotykam się prawdy rzeczywistej.“ Dzisiejsza jego metoda pisania, przeciążona powołaniami i odsyłaczami, z takiego powstała poglądu. „Czytelnik—powiada dzisiaj w przedmowie do księgi o „Anarchii,—postawiony wobec tekstów, ma sobie zachowaną zupełną swobodę interpretacyi i będzie mógł wytworzyć sobie opinię osobistą;... jeśli zechce, dojdzie do odmiennych, niż moje, wniosków.“ Przecież nie daje się z takiego stanowiska obronić doprowadzona do przesady metoda; bądź-co-bądź, drobne tylko ułamki, wybrane z olbrzymiego materiału, bezpośrednio ofiarowane być mogą niewprawnemu czytelnikowi, który ani ich dokładnie oszacować, ani skontrolować wyboru, uczynionego przez autora, najczęściej nie będzie zdolny. Tak samo nie zabezpiecza od błędnej obfitości tekstów u gwałtownego dogmatyka Taine'a, jak wychwalany sposób ich zestawienia u Carlyle'a, kapłana bohaterów purytańskich. — Natomiast, kiedy rozczytuje się w świetnej, lecz namiętnej bez granic „Rewolucyi francuskiej“ torysa angielskiego, w wielbicielu budzi się Francuz i nieśmiało do niektórych przyznaje się skrupułów. „Należało-by przecie obok złego uwydatnić dobre, wspomnieć o cnotach obok występków... Szlachetności i entuzjazmu nie brakło w rewolucyi francuskiej, tak dobrze, jak i u was, Anglików, aczkolwiek w niedostępnej dla was postaci. Jakobini poświęcają się dla prawdy oderwaną, tak samo, jak wasi purytanie dla prawdy Bożej; mają posłuszeństwo dla filozofii, jak purytanie dla religii; dążeniem ich jest zbawienie powszechne, jak purytanów — zbawienie osobiste:... posiadają, jak tancerzy, właściwy sobie heroizm, lecz heroizm sympatyczny, towarzyski, propagatorski, który zreformował całą Europę, kiedy wasze bohaterstwo dla was tylko było z pożytkiem.“ Historyk „Literatury angielskiej“ w tych słowach wymownych osądził

---

pressions, chercher des métaphores dans les découvertes de la physique moderne?"; dzisiaj zwraca się ten zarzut przeciw własnemu jego dziełu, gdzie obfitość przenośni, zapożyczonych z medycyny lub zoologii, niekiedy wprost stanowi szkopuł w czytaniu. „M. Guizot,“ *ib.*, 26, 28, 34 i 45. — Jeszcze w Marcu 1887 roku, w piśmie otwartym do „*Jour. d. Débats*“ wyraził Taine zdanie, że „najsilniej wpłynęli w przeciągu ostatnich lat 60-ciu na wiedzę o człowieku i społeczeńści: Balzac, Stendhal, Sainte-Beuve, Renan i Guizot.“

z góry jednostronność historyka „Rządu rewolucyjnego.“ — Najsilniej może podzielał na Taine'a lord Macaulay. Znakomity pisarz angielski, zarazem imponujący i sympatyczny, przedstawia doskonałą równowagę przenikliwości badacza i intuicji artysty, cudowne połączenie wyobraźni twórczej i trzeźwości naukowej, jakiego nie napotykał Taine ani u sztywnego Guizot'a, ani u jasnowidzącego Michelet'a lub Carlyle'a. W szczególności, zdaje się, słynne *essay* o „Barerze,“ wyciskające niezatarte piętno infamii na czole konwencyonisty francuskiego, najgłębsze wywarło wrażenie na późniejszym nieubłaganym dziejopisie Jakobinizmu. Zresztą więcej jeszcze od treści uderzała go forma u Macaulay'a, jego styl niezrównany, przy całym swém bogactwie zawsze jednakowo silny i jędrny. „Jest w nim tchnienie oratorskie, każde jego zdanie posiada swój akcent szczególny, czuje się, że on pragnie opanować umysł, że drażni go opór, że toczy walkę, kiedy rozprawia;... jego historię Jakóba II można-by nazwać jedną długą przemową w dwóch tomach, wygłoszoną bez zająknięcia. Właściwie stosuje on w swoim stylu filozofię Bakona i Locke'a: każde rozumowanie złożone nie ma innej podstawy, jak pewną ilość poszczególnych faktów okazowych, a więc przedewszystkiem wypada wydobyć te *specimina*, nacisk na nich położyć, unaocznic je i ucielesnić“<sup>1)</sup>. — W stylu najlepszych pism Taine'a, zwłaszcza zaś w stylu ostatnich jego pism historycznych, łącznie dostrzeże czytelnik odbicie wszystkich tych wpływów, stopionych razem: nadczołości poetyckiej Michelet'a, namaszczenia Guizot'a, jaskrawych wybuchów Carlyle'a, nadewszystko zaś skupionej systematycznie potęgi Macaulaya. Styl ten, zawsze uderzający, porywający nieraz, naostatek wpada w manierę, staje się monotonnym i nużyć poczyna słuchacza, wzdychającego za przejrzystą prostotą Tocqueville'a; z drugiej strony dla samego pisarza staje się jarzmem, do którego przywyka wprawdzie, lecz które niemniej mu utrudnia i tak dosyć już ciężką robotę dziejopisarską<sup>2)</sup>.

<sup>1)</sup> „Hist. de la litt. angl.“ V, 174 suiv., 315. 321 suiv.

<sup>2)</sup> Krytyk uszczypliwy (Hip. Babou) puścił w obieg niezgorszy kalembur o „notainii.“ — Historyk wątpliwych zasług, lecz pierwszorzędnny stylistą, Pros. Mérimée, pisał po wyjściu „Hist. lit. ang.“: „c'est très spirituel et même très sensé; le style est un peu recherché.“ „Lett. à une inc.“ (éd. 1876), 245. — Por. Sarcey, l. c.: „Je n'oserais pas affirmer que tout est voulu et factice dans cette manière d'écrire, mais je penche à croire, que Taine, tout en obéissant peut être à un instinct secret, se l'est faite lentement, artificiellement, par un violent et pénible travail. Il est aujourd'hui en pleine possession de cet instrument qu'il a eu tant de mal à se faire, il en joue tout naturellement avec une virtuosité incomparable et il en tire des effets d'une singulière puissance.“ Ob. téz niezłe uwagi Hillebranda w „Profile“ (2 éd. 1886) 214 ff. o stylu Taine'a.



Takie były zapatrywania i predylekcyje pierwotne Tainé'a w przedmiocie nauki historycznej w ogólności. Mieliśmy już sposobność wzmiankować, jakie w szczególności pobudki skierowały go, nazajutrz po wielkiej katastrofie narodowej, do badań specjalnych w zakresie „początków Francyi nowożytnej.“ Były to pobudki obywatelskie, polityczne. „W roku 1849, ukończywszy rok dwudziesty pierwszy, zostałem wyborcą i miałem uczestniczyć w zamianowaniu pewnej liczby deputowanych. Należało wybierać nie tylko między osobami, lecz oraz pomiędzy teoryami; wymagano ode mnie, abym został rojalistą lub republikaninem, demokratą lub zachowawcą, Bonapartystą lub socjalistą; ja zaś w rzeczy samej nie byłem niczem i zazdrościłem tyłu szczęśliwcom, którzy mieli przekonania i byli częśm... Dobrzy ci ludzie budowali sobie ustawę, jak się dom buduje: szereg modeli stał do wyboru: pałac hrabiowski, mieszczkańska kamienica, zakład hutniczy, falanster, koszary; i każdy architekt dowodził, iż w jego jedynie gmachu może zamieszkać człowiek roztropny. Wydała mi się taka metoda podejrzana. Człowiek, rzekłem sobie, może oświadczyć, jaka mu się lepiej podoba budowla, lecz dopiero doświadczenie może wykazać, jakiej mu istotnie potrzeba, jaka istotnie odpowiada zajęciom, zwyczajom, kaprysom lokatora... My we Francyi nigdy nie byliśmy kontenci z naszych gmachów ustawodawczych, w przeciągu lat ośmdziesięciu trzyście razy burzyliśmy je do szczętu i zaczynaliśmy na nowo budować od podstaw. Inne narody inaczéj sobie poczynały i lepiej na tém wyszły: zachowały stary, mocny budynek, rozszerzając go jeno i upiększając w miarę potrzeby... Wydaje się, że stworzenie za jednym zamachem zupełnie nowej, praktycznej i trwałej ustawy politycznej jest zadaniem, przechodzącém siły umysłu ludzkiego. Urządzenia polityczne i społeczne nie są rzeczą dowolną, lecz od charakteru i przeszłości narodu zależną... Należy więc wprzód samych siebie poznać, jeśli pragniemy wykryć najstosowniejszą dla nas ustawę. Należy odwrócić nawspak metodę, praktykowaną dotychczas, i przedstawić obraz narodu, zanim się wykreśli zarysy projektów politycznych. Zapewne, jest to metoda nieskończenie zawilsza i zmuźniejsza od stosowanej obecnie. Lecz jest to jedyna metoda właściwa;... co się mnie tyczy, nie pomyślę wcześniéj o żadnych teoriach politycznych, zanim naukowo nie zglębię Francyi“<sup>1)</sup>.

Na tych słowach dobitnych otwiera się wielkie dzieło historyczne Tainé'a. Dźwięczy w nich przekonanie szczerze i szanowne, mieszcżą się prawdy doniosłe a zapoznawane zbyt często. Jednakże w umyśle skłonnego do sceptycyzmu słuchacza niebawem zrodzić się mogą dwo-

<sup>1)</sup> „L'ancien régime“ (16 édit., 1890), préf.

jakiego rodzaju wątpliwości. — A więc nadzród, jeśli ustalona jest rzeczą, iż apologia jakiegokolwiek teorii politycznych historykowi jest wzbroniona, gotowi jesteśmy zapytać: azali samo nawet poszukiwanie takich teorii już nie wykracza po-za granice właściwych zadań nauki historycznej. Dziejopisarz poszukuje prawdy dziejowej, całej prawdy, niczego, oprócz prawdy: *ne quid falsi audiat, ne quid veri non audiat*; niczego, oprócz prawdy, aby pochłonąć wszystek czas i siły najdzielniejszego umysłu. Nie tak dawno, przy solennej okazji, piorunował polski historyk przeciw Cyceronowskiej maksymie: „historja mistrzynią życia,“ i choćby przesadził we wnioskach, w zasadzie miał słusność: maksyma jest obosieczną. — Juźci, jeszcze jest lepiej wnosić do historyi pytania polityczne, aniżeli uprzedzenia, lepiej piórem dziejopisarzkiem służyć czystym obowiązkom obywatela, aniżeli interesownym apologety stronnictwa albo podboju; stanowisko, zajęte przez Taine'a, niewątpliwie jest wyższem od zajętego przez De Maistre'a lub Blanc'a, przez starego Rankego <sup>1)</sup> lub Sybla,—doskonale obranem nie jest. „Nie miałem przekonań politycznych,—powtarza Taine w przedmowie do „Podboju Jakobińskiego,“ — i jeżeli podjąłem się niniejszej pracy, to w takim jeno celu, aby ich poszukać;“ skutkiem tego, „badałem wyłącznie dzieje władz państwowych, inni napiszą historję dyplomacyi, wojny, finansów, Kościoła, moje zadanie było ograniczone.“ Czyż historykowi „Początków Francyi spółczesnej,“ który nie jest tylko historykiem „Początków spółczesnego rządu republikańskiego,“ w ten sposób specjalizować się wolno? Wynikały stąd takie błędy, jak zupełnie mylny pogląd Taine'a na przyczyny wojny 1792 roku, której, jego zdaniem, „łatwo było uniknąć,“ której winę zwała wyłącznie na Żyrondistów, powołując się na jedno, rzucone mimochodem, słowo Kamitza; wynikał szereg błędów analogicznych w każdej niemal pominiętej dziedzinie, szczegółowo prostowanych obecnie przez Sorela, Durny'a, Babeau i wielu innych. Obrany punkt widzenia ścieśnił widnokrąg obserwacyi i jój ścisłość na szwank naraził.

Nietylko ścieśnił, lecz zarazem, wbrew najszczerzym intencjom obserwatora, z góry już, w pewnej przynajmniej mierze, niewłaściwie wpłynął na rozmieszczenie światła i cieni. Upewnia nas Taine w jednej przedmowie, że przewroty francuskie z końca zeszłego wieku opisywać będzie z takim spokojem ducha, jak gdyby „rewolucye Floren-cyi lub Aten;“ w innej oświadcza, że kieruje nim jedynie chłodna „cie-

<sup>1)</sup> Zastanawiającą jest rzeczą, że nigdzie u Taine'a nie napotyka się nawet wzmianki o Rankem, jakkolwiek wszechstronne badania wielkiego uczonego niemieckiego w zakresie dziejów angielskich i francuskich, literatury włoskiej i wojen rewolucyjnych, stykają się niejednokrotnie z przedmiotem poszukiwań Taine'a.

kawość naturalisty,“ badającego „przeobrażenie się owadu.“ Wszakże po dziesięciu latach, kiedy od „rządów dawnych“ wypadło przejść do „rewolucyjnych,“ już porównywa siebie z Klemensem aleksandryjskim, gdy w świątyni egipskiej z obrzydzeniem ogląda krokodyle, czczone jako bożyszcza, tuczone mięsem ludzkim; i w deputowanych Konwencji, w członkach Komitetu ocalenia publicznego już nie upatruje zwykłych „owadów,“ lecz potwory żarłoczne, „które pochłaniają najchętniej tłuste ofiary, a nadto spożywają również chude w znacznie większej ilości.“ Tutaj właśnie nasuwa się druga zapowiedziana wątpliwość. Czyż podobna nawet pomyśleć, aby w kraju swobodnym, człowiek czterdziestoletni, obdarzony wrażliwością i samodzielnością Taine'a, mógł nie posiadać pewnego zapasu wyrobionych rozmyślaniami, obserwacją, doświadczeniem codziennym, wyraźnych opinii i zasad w dziedzinie głównych zjawisk i zagadnień życia społecznego i politycznego? I czyż podobna następnie cały ten zapas odrazu z pleców zrzucić i bez żadnych absolutnie uprzedzeń uczyć się z książki dziejów abecadła politycznego? Nie jest to podobnym, gdyż nie jest ludzkim. Jest tak dalece niepodobieństwem, że, przy pewnym staraniu, w całym szeregu pism wcześniejszych Taine'a najróżnorodniejszej treści możemy krok za krokiem śledzić jego opinie w materyach politycznych i społecznych, przy czym się okaże, że ani od sprzeczności, ani nawet uprzedzeń bynajmniej nie był wolny, kiedy przystępował do badań w zakresie najnowszych dziejów ojczystych.

Jeszcze przed laty czterdziestu, młody podróżnik, po ubogich wioskach pirenejskich się włócząc, wiarę w postęp społeczny ogłasza złudzeniem: „jedna tylko rzecz wzmaga się i wzrasta: doświadczenie a z niem razem wiedza, przemysł, potęga; co się reszty tyczy, tyleż jest straty, co zysku, i jedyny postęp na tém polega, aby z rezygnacją poddać się takiemu porządkowi rzeczy.“ Dziesięć lat później pisze Włoch: „Znane mi są braki naszego systematu: stłumienie wyższego, podniesłego życia, spospolicenie wszelkiej ambicji, zepchniętej do poziomu przedsiębiorstw dożywotnich,... zaostrenie zawiści mieszczańskiej, ograniczonej i płaskiej,... zupełne zubożenie serca i inteligencji, jakiego nie znają kraje arystokratyczne. Jednakże,... ta forma cywilizacyjna jest znośną (*passable*) i narodom łacińskim wydaje się dosyć naturalną. Budowa społeczna polega tutaj na następujących czynnikach: wielki rząd centralny,... hierarchia urzędów publicznych,... podział, mniej więcej równy, wszystkich wogóle dóbr społecznych, w ten mianowicie sposób, aby każdy posiadał swój udział własny, aby nikt nie posiadał zbyt dużego udziału, aby prawie wszyscy posiadali po udziale drobnym, albo miernym;... jednym słowem, jest to zespolenie znacznej ilości połowicznych inteligencji i dobrobytów połowicznych... Na ogół rzeczy biorąc,

takie rozwiązanie jest może najlepszem ze wszystkich, jakie dotychczas potrafi wynaléźć umysł ludzki, a jednak niewiadomo, jak w przyszłym stuleciu wyglądać będzie Anglia, Australia i Ameryka“. — Po kilku jeszcze latach, niesmak, wciąż rosnący, już bierze górę, „rozwiązanie“ przestaje zupełnie wydawać się „najlepszym.“ „Państwo dzisiejsze — tak tłumaczy swym słuchaczom profesor w Szkole sztuk pięknych — obejmuje trzydzieści do czterdziestu milionów ludzi, zyskało tedy na trwałości;... lecz natomiast stało się więcej złożoném; aby w niem pełnić urzędy, należy być specjalistą; skutkiem tego urzędy uległy specjalizacji drobnostkowej, jak wszelkie inne prywatne... Naodwrot, w państwie niewielkiém, takiém, jak starożytne rozplite greckie, człowiek przeciętny był uzdolniony do wszelkich posług państwowych... Mniej od nas sztuczny, mniej uspecializowany, mniej oddalony od stanu pierwotnego, Grek starożytny poruszał się w kole politycznym, lepiej przystosowanym do istotnych uzdolnień człowieka;... więcej zbliżony do życia naturalnego, nie ujarzmiony zupełnie przez narzuconą cywilizację, był on więcej człowiekiem.“ Nie był-by się pisał na takie zdanie Plato, nie powinien był się pisać sam autor, który w następstwie miał karcieć najsurowiej pseudo-klasycyzm polityczny Russa i Jakobiów.— Zwiedzając Włochy po wojnie francusko-austriackiej, uderzony był Taine potęgą duchową Kościoła, ledwie zachwianą przez ciosy, spadające na władzę świecką Rzymu: „zawsze—wnioskował—trudność w kierowaniu demokracją dostarczać będzie Kościołowi stronników, zawsze niepokój głuchy serc smutnych lub tkliwych przywiedzie mu zaciężników, zawsze dawność posiadania zapewni mu wiernych. To są trzy jego konary, których nauka doświadczalna nie dosięga, gdyż wyrastają nie z nauki, ale z uczuć i potrzeb.“ Później jednak, w Paryżu, na wykładach o rzeźbie greckiej, przejęty urokiem piękna pogańskiego, na wykładach o rzeźbie greckiej, przejęty urokiem piękna pogańskiego, upadek sztuki klasycznej téj przypisze okoliczności, że „narody nowożytne są chrześcijańskie, chrystyanizm zaś jest religią niepierwotną (*de seconde pousse*), która staje w sprzeczności z przyrodzonym instynktem człowieka.“ „Wszystkie, do ostatniego, narody łacińskie — dodaje z naciskiem w innym miejscu — pozostały wierne katolicyzmowi... Naodwrot, prawie wszystkie narody germańskie przyjęły protestantyzm; jeśli Belgia, która skłaniała się ku reformie, została powstrzymana, to jedynie przemocą, dzięki zwycięstwu Farnańczyka.“ Oczywiście zapomniał o Hugonotach, Austrii, całych Niemczech południowych. Wiemy zresztą, że natenczas, w 7-ém dziesięcioleciu, żywił jeszcze słabość dla Niemiec protestanckich, mógł tedy zdania powyższe w następujący nadto sposób uzupełnić: „Kraje germańskie są ojczyzną rządów parlamentarnych i wolnych, które też dzisiaj ustalone są w Szwecyi, Norwegii, Anglii, Belgii, Holandyi, Prusach, nawet Au-

stryi“. Czyż dlatego, że profesor nominowany był przez Napoleona III, dosyć miał zasady, aby „rasę“ galską wręcz pozbawić praw obywatelstwa względem swobód politycznych? <sup>1)</sup> — Tutaj będzie na miejscu uwaga, że wyluszczone i inne jeszcze sądy i przesady Taine'a nie zrodziły się bez udziału niepospolitego uczonego i myśliciela, z którym do końca najściślej łączyła go przyjaźń. Niepośledni musiał być wpływ autora „Początków chrześcijaństwa“ na autora „Początków Francyi społecznej“. Owóż, jeszcze po wypadkach 1870 roku, Ernest Renan, wskazując rodakom źródło przewagi niemieckiej, upatrywał ją głównie w zdrowych tradycjach arystokratycznych, przechowanych, jakoby dzięki reformacyi, po tamtej stronie Renu, a z których najszacowniejsze odnajdował— któżby się mógł spodziewać— w Prusach, tym kraju dobroku a nie tradycyi. Wygłaszał zarazem, jako pewnik niezbity, że „narody katolickie, które nie przyjmą reformacyi, najniezawodniej (*infailliblement*) będą zawsze zwyciężane przez narody protestanckie.“ Napół seryo opisując swoje pomysły o uczonej arystokracji kapłańskiej, dziwaczne zespolenie reminiscencyi z seminaryum i szkolarni saint-simonistycznej, ze św. Augustyna i „Polityki pozytywnej,“ piętnując, jak zwyczajnych zbrodniarzy, sprawców rewolucyi lutowej 1848 roku i surowo Ludwika Filipa karcąc, że nie użył bagnietów, Renan, monarchista z zasady, w 1871 roku nie wierzy w możliwość Rzplitej, zachęca do przywrócenia monarchii, do wzmocnienia szlachty dziedzicznej, gdyż wszelkie inne metody rządzenia społecznością i dokonywania w niej doboru przywódców, „sposobem egzaminów i konkursu, jak w Chinach, losu, jak w Atenach i Florencyi, wyborów ludowych, jak we Francyi Napoleońskiej,“ na nic się nie zdadzą <sup>2)</sup>. — Taine, ze swęj strony, w tym samym skłania się kierunku. W roku 1872, zanim jeszcze Zgromadzenie narodowe francuskie przekształcone zostało na ustawodawcze, pospieszył uprzedzić oczekiwane uchwały konstytucyjne, ogłaszając swoje zapatrywania w przedmiocie „Głosowania powszechnego, oraz sposobu składania wotów.“ Występuje tutaj jako stanowczy przeciwnik głosowania powszechnego a bezpośredniego. We Francyi „na dwudziestu głosujących przypada dziesięciu wieśniaków, czterech robotników,

<sup>1)</sup> „Voyage aux Pyr.“, 175, „Voyage en Italie“ I, 312, II, 42—44; „Phil. de l'art“, I, 271, 275, II, 168 suiv.

<sup>2)</sup> E. Renan: „La réforme intellectuelle et morale“ (1872), 14, 51, 97, 279 suiv.; „une bande d'étourdis, contre lesquels aurait dû suffire le bâton du constable, renversa une dynastie sur laquelle la partie sensée de la nation avait fait réposer toutes ses espérances“, tak streszcza „le néfaste incident du 28 Février“, 255, 267. Już nietylko w tym samym sensie, lecz w tych samych prawie słowach odezwie się później Taine § 10 Sierpnia 1792 r.

trzech z drobnego mieszczaństwa, trzech ludzi ukształconych.“ W głowie czternastu pierwszych „mieszczą się tylko niektóre wyobrażenia, żadnych niema pojęć,“ inaczej, niż w szczęśliwej „Anglii lub Niemczech, gdzie poezya narodowa i protestantyzm dają swoje pośrednictwo,“ gdzie lud czytuje „Szyllera, Goethego, Burnsa, Biblię i *Prayer-Book*.“ Z takich pobudek Taine odmawia racji bytu zasadzie głosowania powszechnego i powtarza z Tocqueville'm, że „jeden tylko system wyborów pośrednich może dla wszystkich stanów otworzyć dostęp do swobód politycznych“ <sup>1)</sup>. — Nie idąc dalej, nie zapuszczając się w rozbiór zaledwie zaznaczonych przelotem opinii i sądów Taine'a treści polityczno-społecznej, dosyć zapewne sprzecznych i ryzykownych, a które wszystkie wcześniejszej są daty, niż jego wielka „ankieta“ dziejopisarska, stwierdzamy samą ich obecność; odtąd doskonałą bierność „zoologa,“ obojętność niezmaconą dziejopisa „Florecy albo Aten“ będziemy pojmowali nie tak dosłownie w zastowaniu do historyka i sędziego ewolucyi dziejowej ostatnich lat stu, z jakiej wyłoniła się „Francya współczesna“.

Taine podzielił swoje zadanie na trzy części. Naprzód maluje stan Francyi w przeddzień 1789 roku, cofając się wszakże, w miarę potrzeby, do wcześniejszych epok, szczególnie do panowania Ludwika XV-go. Przedstawia następnie epokę przewrotów od 1789 do 1799 r. włącznie. W końcu rozważa razem cały okres od 1800 roku do czasów najnowszych, zatrzymując się najdłużej na dobie pierwszego Napoleona. Trzymać się będziemy jego śladów, lecz z konieczności wskażemy niektóre tylko, najwybitniejsze punkta przebieżonej drogi, w tych miejscach zwłaszcza, gdzie ją jeszcze torować sobie musiał.

Na schyłku XVIII wieku, w przeddzień powszechnej katastrofy, znajduje się we Francyi „około 270 tys. uprzywilejowanych, szlachty 140 tys., duchowieństwa 130 tys., cztery tysiące klasztorów“. Uposażenie roczne biskupa wynosi przeciętnie sto tysięcy liwrow, „ogół dóbr duchownych przedstawia wartość kapitału czterech miliardów i przynosi 200 mil. dochodu, nie licząc datków przygodnych i kwesty.“ Obok tego, dobra Książąt krwi królewskiej, hrabiów Artois i Prowancyi, Orleanów i Penthièvre'ów „pokrywają siódmą część terytorium francuskiego“, posiadłości zaś panów Aiguillon, Buillon i innych, spore tworzą państewka. Król wreszcie jest więcej, niż wszechwładnym państwa panem, sam jest państwem, jest „słońcem“, pomazańcem Bożym, nieomal códwotwórcą, którego dotknięcie uleczą trędowatych; nadto „po-

<sup>1)</sup> „Du suffrage universel et de la manière de voter“ (1872; ta broszura jest jedynym pismem Taine'a, które się doczekało drugiego wydania), 15, 25, 29, 60.

siada 477 mil. liwrow dochodu rocznego“.—Z drugiej strony klasa średnia, mieszczaństwo, t. z. „stan trzeci“, który z tytułu ciągle jeszcze jest „niczém“ w rządach państwowych, w rzeczywistości został „wszystkiem“, gdyż z biegiem czasu zbożać się, rozrósł i wzmocnił; „wywóz francuski w r. 1788 dochodzi 345 mil“, jeden tylko paryski handel księgarski „oceniają w 1774 roku na 45 mil.“ Do bogatego a przedsiębiorczego mieszczaństwa zwraca się po ratunek rząd w ustawicznych swoich kłopotach finansowych; zostaje ono głównym wierzycielem państwa i przychodzi rokrocznie upominać się o procent 200 mil., przypadający od długu publicznego, o wypłatę renty francuskiej w wysokości 44 mil. Wreszcie u samego spodu gmachu społecznego przedstawia się Francya XVIII wieku, jako „jeden wielki szpital umierających, których obdzierają w czasie zupełnego pokoju“: wieśniacy francuscy, „gnębieni gorzej od Murzynów“, giną z głodu, albo też wynoszą się tłumnie „do Piemontu, Sabaudyi, Hiszpanii“. Lud, wiejski zwłaszcza, w niesłychanej tonie nędzy, obciążony, jak bydłę juczne, podatkami bezpośrednimi, pośrednimi, pańszczyzną, dwudziestym groszem, dziesięciną; od każdych stu franków swego krwawego dorobku płaci 53 franki poborcy rządowemu, przeszło 14 miejscowemu panu, tyleż Kościołowi, zaś „z 18 lub 19 franków, jakie mu pozostają, wypada nadto zaspokoić urzędników akcyznych lub konsumcyjnych“.

Te parę cyfr niepozornych, tutaj razem zestawionych, należy polecić szczególnej uwadze czytelnika. Wyrażają one w streszczeniu wyniki ostateczne mozolnych a źródłowych poszukiwań Tainé'a, niepoślednią posiadają doniosłość polityczną, cenny stanowią nabytek dla nauki historycznej; wykreślają w liniach ogólnych, lecz zupełnie wyraźnych, główne zarysy budowy społecznej we Francyi za „rządów dawnych“. Czy dokładność tych linii nie pozostawia do życzenia, czy sztuczna perspektywa, jaką tworzą dla oka, wszędzie wiernie odpowiada rzeczywistości, — to rzecz inna. Jeszcze na kilkanaście lat przed Tainé'm, badacz sumienny, choć nie wolny od uprzedzeń, Le Play, w całym szeregu rozległych poszukiwań, dotyczących przeważnie dziejów warstw ludowych, usiłował wykazać wyższy względnie dobrobyt materialny tych warstw za „rządów dawnych“ w porównaniu z dobą dzisiejszą. Już po ukazaniu się książki Tainé'a, liczne prace źródłowe, wśród których wyróżniają się cenne monografie p. Babeau, również w dodatniejszym świetle przedstawiły Francję przedrewolucyjną. Sam Tainé w dalszym ciągu swego dzieła, kiedy mu wypadło z kolei rzucić najsurowszy wyrok potępienia na burzycieli Jakobińskich, ich piekielnemu dziełu zniszczenia przeciwstawia sielankową nieomal Francję królewską, którą nazbyt pośpiesznie rehabilituje z uczynionych jój na-

zbyt pośpiesznie zarzutów <sup>1)</sup>. Zresztą, nawet tuż obok tych samych stron, na których mieszczą się owe zarzuty, można-by wyczytać wnio-  
ski, całkiem odmiennéj treści; a więc z téj samej książki, skąd wyjęty  
był pouury obraz powyższy, dowiadujemy się, że „od czasów Ludwika  
XIV-go całe prawodawstwo i praktyka administracyjna występowały  
przeciw panu miejscowemu,... wszystkie stare rody są zrujnowane,...  
wielu szlachty żyje z dochodu, wynoszącego 25 luidorów,... większa  
część wielkich fortun stoczona była przez długi hypoteczne;“ dowiadu-  
jemy się dalej, że „chłop fracuski w ciągu całego XVIII wieku stawał  
się właścicielem ziemskim,... gdyż odłuzeni panowie chwytają się par-  
celacyi, wyprzedają drobne części włościanom z prawem odkupu.“  
Dowiadujemy się tych rzeczy w tekście, nie dostrzegamy w konkluz-  
jach. Lepiej to świadczy o sumienności badacza, który niczego pod  
korcem nie chowa, aniżeli o jego rozwadze.

Wszakże są to dopiero zarzuty stosunków materialnych dawnego  
społeczeństwa francuskiego; historyk, wyrosły z estetyka i psychologa,  
przyjaciel Flaubert'a i Renana, dalej i głębiej sięga, wykreśla stosunki  
duchowe, ukazuje naocznie życie towarzyskie minionéj epoki, usposo-  
bienie, pożądania, mowę, zwyczaje, zajęcie całodzienne Króla, szlach-  
cica, prałata, mieszczucha i chłopca; nie wolno mu zresztą wymówić się  
od tego wdzięcznego, lecz trudnego zadania: wystrzegać się musi brak-  
ków, jakie wytykał u Liwiusza i Guizot'a, naśladować zalety, które  
wielbił u Macaulaya. Nie zawodzi Taine tylu uzasadnionych oczeki-  
wań czytelnika; artysta i szperacz nie składają się nigdzie szczęśliwiej,  
jak na tém miejscu, aby zając zarazem i nauczyć.

Król Francyi, nie Francuzów jeszcze, spadkobierca wysiłków Ri-  
cheliu'go i majestatu Ludwika Wielkiego, wszystko pochłanawszy  
w swojej osobie, za dużo zaszczytów i obowiązków przyjął na siebie;  
„taki Fryderyk II, wstający o czwartej rano, taki Napoleon, dyktujący  
w nocy, siedząc w kąpieli, a oddany pracy przez ośmnaście godzin na  
dobę, za ledwieby temu podolali.“ W takiej potrzebie, uginając się pod  
ciężarem jednoczesnym niemiłosiernéj etykiety, kłopotów wewnętrz-  
nych, powikłań polityki zagranicznej, Ludwik XV i XVI, niezdolni  
podołać wszystkiemu, nie widzą innego wyjścia, jak nie robić nic. Dzień  
królewski wypełnia „sztuka wstawiania w pięciu aktach,“ trwająca  
parę godzin w obecności pierwszych dostojników państwa, nabożeństwo

<sup>1)</sup> „Gouv. révol.“ (10 éd., 1890), l. IV, ch. I; powołuje tutaj ciągle Tocquevil-  
le a, Babeau, a zwłaszcza Le Play'a, o którym powiada tym razem: „M. Le Play, par  
ses recherches méthodiques, exactes et profondes, a rendu un service de premier ordre  
a la politique et par contre-coup a l'histoire... mes propres souvenirs d'enfant concor-  
dent avec les découvertes de M. Le Play,“ ib. 425.



oficyalnie, jedzenie, przechadzka, zabawy i łowy. To życie próżniacze, mimo całą okazałość, jaka je otacza, zabójczo oddziaływa na umysł i charakter; „dwie albowiem rzeczy najwięcej są zgubne dla człowieka: brak zajęcia i brak uzdy.“ Potomek Franciszka I i Henryka IV w najlepszym razie będzie zacnym i dobrodusznym ojcem rodziny, jak Ludwik XVI, lecz będzie ograniczony i słaby; w chwili stanowczej nie okaże żadnej przenikliwości, ani inicjatywy, nawet w chwili ostatecznej, kiedy o własne gardło będzie chodziło, nie okaże przyrodzonych odruchów, dyktowanych przez instynkt samozachowawczy, nie zdobędzie się na wybuch gniewu, mściwości, nienawiści.—Szlachta we wszystkim naśladowuje swego wodza dziedzicznego, który od półtora wieku zupełnie ją ujarzmił, lecz wraz z niesformością przygasił w niej samodzielność; ze wszech stron kraju przywykła ciążyła ku osobie Monarchy, zbiegać się do Wersalu, jak rój owadów do jarzącego płomienia. Na Wersalu wzoruje się Paryż, na Paryżu cała Francja uprzywilejowana, która z końcem wieku przedstawia „jeden rozległy salon, zaludniony przez rzesze salonowców.“ Życie światowe, które gdzieindziej nie napotykało tylu naraz warunków przychylnych, w Hiszpanii powściągane przez powagę, w Anglii i Niemczech tłumione przez flegmę, mącone we Włoszech przez namiętność temperamentu narodowego, znajduje we Francji grunt dla siebie najpodatniejszy pod każdym względem. Do „rasowych“ właściwości Fracuza należy, że jest towarzyski, rozmowny, łatwy, śmiały i wesoło podniecony z ludźmi. Szlachta francuska, pospółem próżniaczka ze swoim Królem, podwójnie przyjemne i stosowne dla siebie znalazła zajęcie w doskonaleniu życia towarzyskiego i form towarzyskich. Trzeba jej przyznać, że w tym kierunku najwyższych dosięgła szczytów, pod koniec zwłaszcza, kiedy tkliwość kunsztowna a jednak szczerą, zaczerpniętą u Russa, łagodzi nieuchronną oschłość salonową, kiedy „w tym świecie, którego życie się kończy, wzajemna uprzejmość i słodczy serdeczna występują zewsząd, jak ciepły i wilgotny powiew jesieni, aby wyjąłowioną elegancją tych chwil ostatnich otoczyć raz jeszcze wonią zamierających kwiatów.“ Tę doskonałość wykwintu drogo wypadło opłacić. W duszy, tak samo, jak w ciele, rozwój nadmierny niektórych narządów i uzdolnień pociąga za sobą zwyrodnienie innych; ile na gładkości się zyskuje, tyle się traci na sile,—tak mogło-by brzmieć jedno z prawideł mechaniki psychicznej. W wydelikacyonnych dworakach wersalskich, podobnież jak w ich naczelniku, „edukacya wycięńczyła instynkt“, i odtąd nawet „w obliczu śmierci nie doznają oni popędu krwi i wściekłości, ślepij a niezwyciężonej potrzeby uderzyć tego, kto nas bije.“ Rycerski miecz średnio-wieczny, szlifowany bez końca, zamienił się na wytworne a kruche cacko, które nie może służyć do odparcia ciężkich maczug tłuszczy

powstańczej. — W duchowieństwie niema jedności, zanika nawet wiara. Biskupi liczą się do szlachty i dworzan, polują, bawią się, czytają Woltera; proboszcze głód cierpią, są rozjątrzeni upośledzeniem, rozważają „Wyznanie wiary wikaryusza sabaudzkiego.“ — Mieszczanin również od Russa dowiedział się, że wszyscy ludzie są równi, dumny jest ze swojej zamożności i ukształcenia a jednak w teatrze popychany jest przez szlacheца, zamknięty na sobie awans w armii i służbie cywilnej; zbiera się w nim gorycz i pogarda dla uprzywilejowanych, którzy nie potrafią sobie poradzić z gospodarką państwową. — Nareszcie chłop, uciskany i obdzierany coraz nielitościwiej, „rzuca w końcu z podelba gniewne spojrzenie na wieżyczkę, przechowującą archiwa, na księgę gruntową, na obrzydłe pergaminy, mocą których człowiek innego jakiegoś gatunku, uprzywilejowany ze szkodą ogółu, wierzyciel powszechny, opłacany na to, aby nic nie robić, ciągnie zyski ze wszystkich gruntów i wszystkich produktów.”

Do tego świata, w każdej chwili grożącego runięciem, świata spaczonych stosunków społecznych, spaczonych a krzyżujących się dążeń, wpada naostatek doktryna rewolucyjna, aby dokonać dzieła zniszczenia. Złożyły się na nią dwa czynniki jednocześnie: zdobycze na polu nauk ścisłych i przyrodniczych, przeniesione z Anglii, od Newtona i Locke'a, oraz rodzimy francuski duch klasyczny, odziedziczony w spadku po Kartezjuszu i Bossuetie: „dwie substancje, które, wzięte z osobna, są uzdrawiające, razem połączone stają się ciałem trującym.“ Zdumiewające postępy nauki ośmieliły umysł ludzki, zachęcały do poddawania wszystkich zjawisk najśmielszej analizie, a więc zjawisk społecznych i politycznych na równi z fizycznymi, ustaliły wiarę we wszechmoc i nieomyślność rozumu, bez względu na przedmiot rozumowania. Z drugiej strony, francuski „duch klasyczny“, — właściwie pseudoklasyczny, — nakazuje „w każdym badaniu przestrzegać niewolniczo metody matematycznej, wyosabniać kilka nader prostych i bardzo ogólnych pojęć; następnie, niezależnie od doświadczenia, porównywać je, kombinować, i z tak sztucznie powstałej całości, drogą czystego rozumowania, wyprowadzać wszystkie wnioski, jakie się w niej mieszczą“: taką drogą Bossuet nieograniczoną władzę Króla wyprowadził z łaski Bożej, taką samą drogą Rousseau udzielił bezwarunkową ludu wyprowadzi z pierwotnej umowy społecznej. — Poroniony owoc połączenia obu czynników, filozofia XVIII wieku, z początku, w osobie Woltera i encyklopedystów, podważa wiarę i tradycje, naostatek, uczyniona przez Jana Jakóba panią sprawy publicznej, „sama staje się podobną do religii, do purytanizmu XVII i Mahometanizmu VII stulecia; to samo objawia uniesienie ducha propagandy, surowość i nietolerancję; tak samo będzie miała swoje dogmata, katechizm popularny

swoich fanatyków, inkwizytorów, męczenników,... z tą jedynie różnicą, że zamiast się narzucać w imieniu Boga, narzuca się w imieniu rozumu.“ Narzuca się w szczególności w imię założenia, że człowiek jest z natury istotą rozumną i dobrą, równą i wolną, założenia łatwo przekonywającego i sympatycznego na pozór, a które w ostatecznych swoich konsekwencyach nieobliczoną ukrywa potęgę niweczącą. Rodzi się z niego „teorya dwulicowa, która z jednej strony prowadzi do ciągłego burzenia rządu, z drugiej zmierza do nieograniczonej dyktatury“—gdyż wszystko w państwie opiera na chwiejnej zawsze, zazwyczaj przypadkowej i obłądnej, woli większości, której oddaje w niewolę zarówno mniejszość, jak pojedynczego osobnika. W chyłcej się ku upadkowi Francyi królewskiej, rozbawione i próżniacze stany panujące, oddając się sielankowym złudzeniom, chętnie akceptują owo niebezpieczne założenie, pielęgnują zrodzoną z niego teoryę, tak długo, aż sноп iskier, wypadłszy z „pierwszego piętra“, nie dostanie się do „piwnic, gdzie od wieków nagromadziły się zapasy prochowe,“ i całej budowy politycznej i społecznej nie wysadzi w powietrze <sup>1)</sup>.

Tak, podług Taine'a, przedstawia się dawne społeczeństwo francuskie na schyłku swego żywota, i znajduje tłómaczenie gotujący się w nióm przewrót. Nastręczają się tutaj uwagi, zupełnie analogiczne do uczynionych poprzednio, jakie wywołało podmalowanie w przesadnie czarnych barwach tła ekonomicznego Francyi królewskiej przez porywczego jej historyka. — Pierwój już sędzia niemiecki, a jeden z najpowołańszych, Sybel, głównie zapewne przejmując się zadaniem obrońcy tradycyi monarchicznej, lecz niemniej nie bez słusznej zasady, uczynił Taine'owi uwagę, że „nie należy wykreślać z pamięci niepospolitych zasług wielkiej biurokracyi francuskiej, która za Colbert'a stworzyła porządek publiczny i rzuciła podwaliny ekonomiczne Francyi nowożytniej,... która za Turgot'a i Neckera pierwsza w obronie ludu rozpoczęła walkę przeciw uciskowi przywilejów,“ nie należy lekceważyć „centralizacyi monarchicznej, która znalazła dosyć siły, aby się podnieść z upadku i w bieżącym stuleciu po raz drugi zadośćuczynić wymaganiom i potrzebom trzech pokoleń narodu francuskiego,“ nie należy „przy wyliczaniu stanów uprzywilejowanych, owych zbytkujących próżniaków, obok duchowieństwa i szlachty na jednym poziomie stawiać Króla, głowy owęj potężnej i ruchliwej administracyi, która z przesadną aż gorliwością przyjmowała na siebie wszystką robotę, a tém sa-

<sup>1)</sup> Powołania powyższe przeważnie podług „Francyi przed rewolucyą,“ przełożyli Piotr Chmielowski i Edward Grabowski (1881), passim; por. „L'Anc. rég.“ 109, 158, 399 suiv.

mém skupiała wszystkłą władzê w państwie“<sup>1)</sup>. Co siê tyczy szlachty i duchowieństwa, to sam Taine po paru latach podejmiê siê ich rehabilitacyi moralnêj, jednoczesniê z rehabilitacyą porzâdku gospodarczego „dawnych rządów“; odwracajâc siê z odrazą od wybryków teroryzmu rewolucyjnego, bêdzie nas upewniał o „znakomitêmu uzdolnieniu politycznêmu arystokracji francuskiej“, w którêj streszcza siê „cała prawie zdolnoœć, wiedza i rozum polityczny Francyi“, bêdzie jâ porównywał do piêknego „starodrzewu“ œród karłowatêj „krzewiny i zaroœli“, nie cofniê siê przed orzeczeniem, że „po-za głowami stanów uprzywilejowanych, prowadzonych na gilotynê, w reszcie dwudziestu szeœciu milionów mózgów francuskich nie zgoła siê nie znachodzi, oprócz formułek niebezpiecznych a pustych“<sup>2)</sup>. Oczywiœcie, sumienny zawsze, lecz nierozważny, znowu z jednêj kraïcowoœci popada w drugâ, jakkolwiek obu łatwo mogli uniknâc.

Dotąd przesunął siê przed nami, w odtworzeniu Taine’a, obraz Francyi „dawnej“. Jak z niêj Francya społczesna wytopionâ została w tyglu rewolucyjnym, pod ciœnieniem rozkierzanych żądzi i namietnoœci, œród pożarów wojny domowêj i europejskiej,— ten proces, w swoim rodzaju jednyny, dziesiêcioletniego zaledwie trwania, a jednak niesłychanie skomplikowany, z kolei wyjaœniêc przedsiêwziął historyk francuski. Rozróżnia w tym procesie trzy stadya wybitne: zapanowania anarchii powszechnêj na rumowiskach dawnego porzâdku rzeczy, podbój Jakobiński, dokonywany œród anarchii, wreszcie uwieñczenie podboju i anarchii sankcyą prawnâ pod postacią rządu rewolucyjnego.

Żaden inny znaczny wypadek dziejowy różnorodniejszych nie wywołał sądów historycznych, nad wielki przewrót we Francyi z końca zeszłego wieku. Fatalizm Mignet’a, posuwany a¿ do śmiesznoœci, wszystko chce tłumaczyê; ambicya patryotyczna Thiers’a, namaszczenie radykalne Blanc’a, poetyckie nieuctwo Lamartine’a, frazeologia Quinet’a, podejmowały siê tłumaczyê wiele, z innych za ka¿dym razem pobudek natury politycznêj; naodwrot, zacietrzewienie reakcyjne De Maistre’a, nienawiœć plemienna Burke’a, dla wyraźniejszych jeszcze pobudek, wszystko osądzała w czambuł, nie zadajâc sobie trudu wchodzenia w szczegóły. Ze szczegółów owych wiele najwa¿niejszych najzupełniêj pominęła niezliczona armia poprzedników Taine’a; jeden tylko przed nim Sybel źródłowe prowadził badania w Archiwum narodowêmu paryskiem do swoich „Dziejów Europy w okresie rewolucyi“, jedyny têż historyk niemiecki, dotykajâc stosunków wewnêtrznych Francyi

<sup>1)</sup> „H. v. Sybel: „Kl. hist. Schriften,“ III (1881), 240—242.

<sup>2)</sup> „L’anarchie“ (1<sup>e</sup> éd. 1889), 193; „Gouv. rév.“, 403 suiv.

w tym okresie, mógł w niektórych szczegółach uprzedzić poglądy, szeroko rozwijane obecnie przez Taine'a <sup>1)</sup>. Te poglądy, cechowane nawskróś przez pesymizm krańcowy, zdaniem naszym przesadny, zrywają stanowczo z dotychczasowymi tradycjami dziejopisarскими, tradycjami oskarżycieli zarówno, jak apologetów, zrywają zaś głównie na tym punkcie, że wspierają się na nieprzebranym i nieoszacowanym materiale źródłowym, dotąd prawie nietkniętym, a obejmującym nie tylko stolicę, lecz cały obszar kraju, żadnej nie wyłączając prowincyi. Równocześnie obok nowój metody opisowój, która ogarnia ogół ludności, nowa metoda stosowania analizy psychologicznej do działaczy dziejowych, czy to kierowników pojedynczych, czy tłumów, z niezwykłą przeprowadzona konsekwencyą, odsłania cały szereg nowych, uderzających wyników.

„W nocy z 14 na 15 Lipca 1789 roku, Ks. Laroche-foucauld-Liancourt obudził Ludwika XVI-go, aby mu donieść o wzięciu Bastylii. „A więc to jest rokosz,“—rzekł Król. „Sire—odparł Książę,—to jest rewolucya.“ Było gorzej jeszcze. Niedosć, że władza wymknęła się z rąk królewskich, lecz nadto nie dostała się do rąk Zgromadzenia; po ziemi się włóczęc, pochwyconą jest, jak broń, porzucona na ulicy, przez lud rozpętany, przez tłuszcę rozburzoną i wściekłą... W istocie, nie było więcej rządu; sztuczny gmach społeczności zapadał się u podstaw, wracano do stanu natury. Nie była to nawet rewolucya, było rozprzężenie (*dissolution*).“ Te słowa, które otwierają księgę o „Anarchii,“ streszczają całą jej zawartość. Prowincya, nie Paryż, dała pierwsze hasło przewrotu; już w Marcu 1789 roku w Prowancyi, gdzie pod gorętszym niebem zapalniejsze są namiętności, wybuchła pierwsza „Zakerya“. Albowiem te ruchy powstańcze, skierowane zazwyczaj przeciw dziedzicowi miejscowemu, osobom majątniejszym lub urzędnikom rządowym, wszędzie w ten sam sposób znaczone mordem, rabunkiem i pożogą, nie posiadają bynajmniej przypisywanego im charakteru świadomych dążeń politycznych, właściwych „oświeconemu“ stuleciu; są one w gruncie rzeczy niczém inném, jak ponowieniem, przy odmiennych a więcej sprzyjających okolicznościach, rozpaczliwego ataku zgłodzo-

<sup>1)</sup> O Syblu, nie wymieniając go imiennie, opowiada sir Henry Sumner Maine: „Diss. on early law and cust.“ (1883), 291 sq: „a well known German historian once expressed his amazement at having pointed out to him in Paris some dusty bundles of papers, with the remark that they had lain undisturbed since they were deposited in the Archives on the reconstruction after the close of the reign of Terror. „But you have classical histories of the Revolution“ he said; „have non these documents been examined by their writers?“ „No, was the reply, „that is the dust of 1794.“—Por. też, co mówi v. Sybel, l. c. 263.

nych i uciskanych rzeszy spóółstwa na ogół bogatych i moźnych, ataku juź raz upamiętnionego w dziejach Francyi, którego w XVI stuleciu, z równą zacieklością, z mniejszém tylko powodzeniem, próbował rozbewstwiony „*Jacques*“, wieśniak francuski, doprowadzony do ostateczności przez klęski, spadłe na kraj po porażkach pod Poitiers i Crécy. — Po pierwszój „*Żakeryi*“ prowansalskiej, wybucha, latem tegoż roku, druga w prowincjach wschodnich i Paryżu, tym razem nazwana rewolucyą; dogania ją trzecia, w początkach 1790 roku w Bretanii; czwarta sięga od Agen do Cahors, ogarniając trzy departamenta; w początkach 1791 roku piąta pustoszy Burgundyę; 1792 roku szósta „*Żakerya*“, groźniejsza od wszystkich poprzednich, idąc od północy, w dwudziestu naraz gospodaruje departamentach. Prowadzi czytelnika niez mordowany przewodnik z Paryża do Marsylii, Lyonu, Strasburga, Rouen'u, Bordeaux, i znowu powraca do Paryża; zatrzymuje się po drodze w drobnych mięscinach i wioskach, okrąża i przecina Francyę, wszędy ukazuje ten sam wstrząsający obraz gwałtu i rzezi, dymiące się zgliszczazamków, urzędów celnych i podatkowych, krwawe szczątki poszarpanych „*arystokratów*“, porządek, bezpieczeństwo, prawo, zdeptane u nóg rozszalałego motłochu, jedném słowem — anarchię faktyczną i wszechwładną, „u której proguz trzyma straż Zbiegowisko, potęga straszliwa a nieuchwytna, wraz ze swojną macierzną, Wolnością, szczekającą i potworną, jak dwa upiory Miltonowskie, strzegące wrót piekielnych.“

Dzieje się to wszystko jeszcze w czasie zupełnego pokoju; głód, wywołany przez niecną gospodarke „dawnych rządów“, którejśmy się przyglądali, przez nieurodzaj i ciężką zimę 1788/9 r., panika, rodząca się w umysłach prostaczycy tłumów, które widzą rozprzegającą się społecznosc i nie czują więcj nad sobą władzy, ani opieki, wreszcie fanatyczna doktryna radykalna, dostępnaz dla motłochu jedynie pod postacią kilku dobitnych haseł anarchicznych, — same juź te czynniki w swoim zespoleniu takie wywołały konsekwencye: cóż będzie dopiero, kiedy do tych czynników, rozrastających się coraz gwałtowniej, przyłączy się pełen gróźb manifest Księcia Brunświckiego, kiedy ponad pobojo-wiskiem anarchii wewnętrznej ukaże się widmo inwazyi niepozyjacielskiej, rozbioru Francyi, śmierci ojczyzny! „*Gotuje się naonczas jakaś rzecz straszliwa, siódma przychodzi Żakerya*, tym razem powszechna i ostateczna, brutalna z początku, potem legalna i systematyczna, podejmowana i wykonywana w imię zasad oderwanych przez godnych takiego dzieła przywódców. Niczego podobnego nie widziano jeszcze w dziejach, ... wielki eksperyment dokonany będzie na społeczności ludzkiej, ... będzie można nareszcie zmierzyć natęzenie uwolnionych ludzkich instynktów, które ją stale napastują w cichości, ... bezprzykła-

dne a w najwyższym stopniu pouczające widowisko pozwoli sięgnąć spojrzeniem aż do dna duszy ludzkiej.“

Tutaj przeprowadzają i utrwalają swój „podbój“ Jakobini. Zalicza do nich Taine Żyrodystów, zmiatając ostatnie resztki złudzeń Lamartine'a <sup>1)</sup>; oni przygotowali powstanie czerwcowe i ułatwili sierpniowe 1792 r., obalili tron, rozmyślnie wywołali wojnę. Od swych spółników tymczasowych, późniejszych wrogów śmiertelnych, wyróżniają się poniekąd szlachetnością, lecz szlachetnością platoniczną fanatyków, która żadnej nie stawia tamy zniszczeniu. Wysoce oryginalny i artystyczny był pomysł Taine'a, kiedy, przerywając jednostajność opowieści historycznej wypadków, wprowadza nas „do gabinetu Roland'a, ministra spraw wewnętrznych, we dwa tygodnie po otwarciu Konwencji.“ Roland z żoną, on rozumny i zacy, ona pełna entuzjazmu, oboje Żyrodysty wzorowi, bezinteresowni, najlepszymi intencjami ożywieni, „odczytują przy lampie doniesienia z całej Francji, prowadząc ręką po rozłożonej mapie kraju.“ Słuchamy razem z ministrem dosłownych raportów jego podwładnych; zewsząd Hiobowe przychodzą wieści o niesłychanych zbrodniach i gwałtach, towarzyszących nowemu „rozumnemu“ porządkowi rzeczy; tutaj „Roland zatrzymuje się w osłupieniu,“ tam znowu „na jęj czoło występuje rumieniec wstydu,“ wreszcie „oboje małżonkowie spoglądają na siebie w milczeniu.“ Nie pozostaje im nic innego, jak milczeć; na nich samych niebawem przyjdzie kolej ustąpić przed brutalniejszą jeszcze przemocą. Pierwsza faza „podboju Jakobińskiego“ sprowadziła republikę i wojnę zagraniczną; druga, rozpoczęta od rzezi wrzeńskich, rozżarza wojnę domową, kraj systematycznie jest zdobywany za pomocą gilotyny i bagnatów, opróżnione wakansy rządowe wypełnione są przez zdobywców. Czeza legalność pozorna źle osłania faktyczne bezprawie; na wyborach powszechnych do Konwencji z liczby siedmiu milionów powołanych wyborców zaledwie część dziesiąta staje do urny. Następuje trzecia i ostatnia faza: para królewska śmierć ponosi, giną Żyrodysty, terroryzm skrajny, nie krępowany żadnymi więcziej względami, obejmuje panowanie, podbój został zamknięty, i zdobycz dostała się do rąk najczytszego typu Jakobińskiego.

„Rząd rewolucyjny“ może odtąd funkcjonować spokojnie, bez żadnej przeszkody. „Jakobin zostaje prawnie Cesarzem i Papieżem je-

<sup>1)</sup> Poprzednio już Granier de Cassagnac: „Hist. de girondins et des massacres de Septembre“ (1830) uczynił wyłom w tradycyi; natomiast w obronie Żyrodysty zabierali głos Lanfrey, Guadet i inni; obecnie, wobec zgodnych wyników badań Taine'a i Sorela, kwestycę uważać można za zamkniętą.

dnocześnie,“ jest „despotyczniejszy od Napoleona i Ludwika XVI,“ postępuje sobie z własnymi rodakami gorzej, niż „Spartjata z helotem, Normandczyk z Saksonem, Anglik z Irlandczykiem,“ twardszym jest panem dla Francyi, niż „Mongolowie“ dla podbitych krajów, niż „Filip II“ dla Niderlandów, niż „sułtani tureccy.“ „Piotr miał przynajmniej za sprzymierzeńców wszystkich wybitnych i ukształconych ludzi swego kraju,... otaczała go arystokracja unysłowa narodu.“ Tymczasem Jakobini systematycznie pozbywają się wszystkich lepszych żywiołów społecznych, uciekając się naraz aż do „czterech“ sposobów: a więc 150 tysięcy osób staje się ofiarą emigracji przymusowej; przeszło 60 tys. jest uwięzionych; niewiadoma liczba śmierć ponosi, z których tylko kilkanaście tysięcy z wyroku sądowego, z ręki zaś morderców, w jednych tylko jedenastu departamentach wschodnich, około pół miliona; rabunek, pod nazwą konfiskaty, dopełnia reszty. U steru Francyi nie masz więcej nikogo ze sterników, którzy przez szereg wieków, wśród burz i pogody, kierowali nawą państwową, i którzy, bądź-co-bądź, uchronili ją od rozbitcia; rządzą już nie najlepsi ludzie w narodzie, nawet nie ludzie wcale, lecz „krokodyle,“ a przedewszystkiem „trzy najjopaślesze:“ Marat, „obląkaniec,“ opanowany przez „manię prześladowczą, przez monomanię mordu, przez nieodstępną zmorę,“ „jasnowidzący, dzięki swemu zaślepieniu i swojej logice opętaniec, dzięki zgodności, zachodzącej pomiędzy jego chorobą osobistą, a chorobą publiczną;“ Robespierre, „szkolarz“ zarozumiały i gadatliwy, „cnotliwiec“ sentymentalny i krwiożerczy, „hipokryta, przeświadczony o swojej szczeroci;“ Danton, „zboj,“ „barbarzyniec,“ „rzeźnik,“ przytém „umysł najzdrowszy, polityk niepospolity.“ Gorzej jeszcze dzieje się na niższych szczeblach Jakobińskiej drabiny rządowej, gdzie uczepiła się „epileptyczna i skrofuliczna hałastra, która, w spadku otrzymawszy krew skażoną, wnosi do cywilizacji degenerację, niedołęstwo i zaburzenia, wypływające z temperamentu schorzałego, z instynktów zacofanych, z nieprawidłowo zbudowanego mózgu.“ Ci szeregowcy, godni swoich przywódców, są wskazanymi ich następcami; „gdyby nie nóż Karoliny Corday, prawdopodobnie Hébert i Henriot byli-by usunęli Dantona i Robespierrea i objęli władzę.“ Zresztą dyktoryat nie jest lepszy pod żadnym względem, jest tylko dalszym ciągiem „rządu rewolucyjnego,“ z tą jeno różnicą, że zamiast zbrojnego motłochu używa do rzezi armii, oraz że gilotynę zastępuje przez również skuteczną karę deportacji. — Na szczęście taki stan rzeczy nie może istnieć długo, gdyż zbyt wiele w sobie mieści czynników rozkładowych; ród „Kainów“ nie może długo żyć i rządzić spolem. „Rząd rewolucyjny“ sam się rozpada, wypala się, obumiera stopniowo, wyczekuje tylko ciosu, który-by go dobił. Zadaje mu nareszcie ten cios sługa własny, „ramię wykonawcze,“ przychodzi młody



trybun wojskowy, aby „skonfiskować rewolucję“ na swój osobisty użytek. Z pozostałości Francji dawniej, z gruzów rewolucyjnej, buduje Napoleon Francję nowożytną, a ponieważ jest żołnierzem, czyni z niej koszary. „Nie stawiano nigdy koszar piękniejszych, symetryczniejszych, lepiej zaopatrzonych, utrzymywanych staranniej;... w tych koszarach od lat ośmdziesięciu przemieszkuje naród francuski“<sup>1)</sup>.

Oczywiście niema sposobu wyłożyć na tém miejscu drobnej choćby cząstki uwag specjalnych, jakie nastęrczają się z powodu przedstawionych wyłuszczeń Taine'a. Przedewszystkiem atoli należy zaznaczyć jedno postrzeżenie treści ogólnej, nader proste i dlatego też uderzające odrazu, jakie nasunąć się musi każdemu nieuprzedzonemu czytelnikowi.— W zamknięciu do jednej z ksiąg o „Rewolucji“ zestawia Taine Francję, w świetnie przeprowadzonym, lecz niegodnym porównaniu, z pijakiem, dotkniętym przez *delirium tremens*, który, po pierwszych symptomatach wesołości szalonej, rozprężenia w myślach i ruchach, doszedł do ostatniego stadyum choroby, kiedy wśród halucynacji straszliwych pieni się, miota i morduje. Lecz szal opilecy w tém stadyum ostatniem niechybnie prowadzi do śmierci rychłej. Jeśli istotnie była chwila, kiedy cały wielki naród przedstawiał obraz takiego absolutnego rozkładu, jaki nam był okazywany, musiała owa chwila być narodu ostatnią. Gdzieindziej mniejsze winy opłacono upadkiem. Francja nie upadła, nie umarła. Nie upadła: owszem, w chwili wyjątkowego niebezpieczeństwa wyjątkową okazała odporność, i nie tylko obroniła się skonfederowanej Europie, lecz ją umiała njarzmić. Nie umarła: owszem, żyje podziśdzień i, bądź-co-bądź, stanowi jeden z najwybitniejszych czynników w życiu cywilizacyjnym świata. Jakże podobną sprzeczność pogodzić? Nie mógł jój nie dopatrzeć się Taine i oto jakie daje tłumaczenie: „Zbieg czterech przypadków powstrzymał kraj w ostatniej chwili na brzegu przepaści:“ naprzód, zima 1793/4 roku była nader łagodną,“ a skutkiem tego udały się jarzyny i dobre było żniwo; potem, szczęśliwie przybywa do Brestu wielki ładunek zboża, wyprawiony z Ameryki, uratowany dzięki poświęceniu floty, która zatrzymała czatujące krzyżowce angielskie i została przez nie zniszczoną; „z trzeciej łaski fortuny,“ zwycięskie armie rzeczypospolitej wkraczają do Belgii, Palatynatu, Hiszpanii i Włoch północnych, gdzie mogą utrzymywać się z rek wizycyi; wreszcie „traf“ najszcześniejszy powoduje w dniu 9-go Termidora zgon Robespierre'a, ukazując drogę wyjścia z bezrządu Jakobińskiego<sup>2)</sup>. Oczywiście jest rzeczą, że, wyjawszy

<sup>1)</sup> „L'Anarchie,“ t. I, ch. II, III, t. III, ch. I, II, „La conqu. jac.“ 14 éd., 1889), ch. VI, IX—XII, „Le gouv. rév.“, t. I, ch. I, t. III, IV; i passim.

<sup>2)</sup> „Gouv. rév.“, 514, 515.

obrodzenie „jarzyn,” wszystkie wymienione „trafy“ trudno ślepiej fortunie wyłącznie na dobro zapisać. Lecz z wyższego już stanowiska, nie wchodząc wcale w szczegóły: dzieje powszechné, tłómaczone przez „zbieg czterech przypadków“ losowych,— czyż zgadza się na to rachunek prawdopodobieństwa, czyż pozwala zdrowy rozsądek? Najmniej chyba pozwala ów skrajny pogląd na historję, jako naukę, poszukującą praw równie niewzruszonych, jak prawa fizyczne, ów skrajny, a w każdym razie przedwczesny, pogląd deterministyczny na dzieje, który poprzednio wyczytaliśmy u Tainé'a i przeciw któremu się zawarować byliśmy zmuszeni. Tłómaczenie nie nie jest warte, sprzeczność pozostaje w swéj mocy.

Stąd wniosek, że po przesyconych czarną barwą obrazach Francji „dawnéj“ u Tainé'a, jego Dantejskie opisy ery rewolucyjnej niemniej wymagają sprostowania i zastrzeżeń. Słyszeliśmy, jak przed czterdziestu laty uczeń i krytyk Guizot'a w wypadkach 1649 r. wskazywał objawy „wielkiej choroby umysłowej Anglików epoki Karola I-go i Kromwela. Odtąd przeczytał „książkę tak ścisłą, tak kompletną, tak dobrze uzasadnioną, doktora Lombroso“ <sup>1)</sup>, — rzecz, którą nazwalibyśmy raczej zlepkiem hipotez niejasnych, ułankowych, dowolnych fantasty Lombroso;— a więc w wypadkach 1789—90 r. już nie nie upatruje innego, jak dzikie wybryki szaleństwa Francuzów, „obląkanych zwierząt, prowadzonych przez głupców obląkanych,“ i dochodzi do wniosku ogólnego, że „naczelnik państwa winien uważać siebie za kierownika domu chorych, obląkanych i kalek,... winien pamiętać, że on sam jest mniej lub więcej chorym, obląkanym i kaleką.“ Tęj patologii i psychiatrii jest nareszcie za dużo. Za dużo jest oburzenia i namiętności, słusznój zapewne i zrozumiałéj, lecz dla historyka niebezpiecznéj, a nawet niestosownéj <sup>2)</sup>.

Zatrzymajmy się dla przykładu na jedném zjawisku szczegółuém posłuchajmy sądów Tainé'a o trzech Zgromadzeniach 1789, 92 i 93 r,

1) „La conqu. jac.“ 471 note; mowa tu o „L'Uomo delinquente“.

2) Wprost odbija się to na stylu, który nabiera jednostajnych zwrotów przemowy prokuratorów; wiele rozdziałów rozpoczyna się od: „manifestement“, „effectivement.“ „on ne peut plus douter“ i t. d. Nadużywane są już nietylko wyrażania ostre, lecz wprost wymysły; Żyrodysta Pétion, który bądź-co-bądź, sam padł ofiarą terorystów, na jednéj stronie tytułowany jest „eustre, malotru, nigaud;“ Saint-Just jest „złodziejem;“ Couthon—„cul-de-jatte“—istotnie był dotknięty ciężkiém kalectwem od urodzenia, zresztą był charakteru nieposzlakowanego, i t. d. Rażą coraz częstsze powtarzania: np. znalazł Tainé list jakiegoś stolarza, który był przysięgłym przy trybunale rewolucyjnym, pisany do żony, a bardzo nieortograficzny,— cóż dziwnego? pisał go prostak,—i podaje, aby uwydatnić, jacy barbarzyńcy nie ortograficzni ferowali wyrok; owóz podaje ten list *in extenso* w trzech miejscach jednego tomu.

W Konstytuancie za dużo jest posłów; sale posiedzeń w Wersalu i Paryżu zbyt ogromne, niepodobna w nich przemawiać głosem umiarkowanym, jeśli się chce być słyszany; „trzeba krzyczeć koniecznie, i wysiłek organu mowy przenosi się na ducha, samo miejsce wywołuje deklamację;“ w tłumie tysiąca dwustu deputowanych bierze górę „gadulstwo i wykrzykniki.“ Gorzej jeszcze w Zgromadzeniu Prawodawczém, gdzie na niespełna 750 posłów zasiada przeszło czterystu adwokatów, ludzi bez charakteru, wiedzy, stanowiska, gadułów i próżniaków z zawodu. Najgorzej dzieje się w Konwencji, gdzie objawia się ostateczne „obniżenie poziomu duchowego“ reprezentantów narodu, pod naciskiem obawy lub interesowności. Wszystkie te postrzeżenia historyka francuskiego są trafne i pouczające; schodzą się z nimi najdokładniej sądy przenikliwego historyka polskiego, dotyczące stosunków całkiem odmiennych, lecz analogicznych w zasadzie. „Sejm składa się z pięciuset blisko członków,—pisze Waleryan Kalinka,— a lubo rzadko bywało więcej nad połowę, to jednak i ta liczba dawała do myślenia... W ogólności mówiąc, co Mirabeau wyrzekł o Zgromadzeniu francuskim z tego czasu, to i o sejmie naszym powtórzyć można: przez miesiące całe dyskutowano nad zgłoskami, a w ciągu jednego posiedzenia burzyli cały ustrój państwa“<sup>1)</sup>. Szczególnie trafny jest surowy sąd Taine'a o zachowaniu się chwiejnym umiarkowanej prawicy i środka, które prawie stale w trzech zgromadzeniach liczyły większość absolutną, a jednak zawsze poddawały się z pokorą energicznej dyktaturze żywiołów skrajnych. Można-by ten sąd rozciągnąć zarówno do reakcyjnych ciał prawodawczych Restauracyi, jako też do dzisiejszej radykalnej izby francuskiej. Powiedzielibyśmy nawet, że kryje się tutaj morał ogólniejszego znaczenia, ten mianowicie, że kiedy się staje w obronie zasad umiarkowanych, nietylko można, lecz należy rozwinąć całą moc, rzutkość i pasję, jakie zazwyczaj są uważane za monopol głosicieli opinii skrajnych.

Oświadczyliśmy, że obraz Taine'owski pandemonium Jakobińskiego wymaga pewnych sprostowań; posypało się ich też bez liku od chwili ogłoszenia odnośnych ustępów dzieła, szczególnie z obozu radykalnego, bezpośrednio dotkniętego w tej sprawie<sup>2)</sup>. Wszelako ta część pracy Taine'a wymaga właściwie nie tyle sprostowań,

<sup>1)</sup> „Sejm czter.“ I (1880), 572, 573, II (1886), 507. — Kalinka uważnie czytał Taine'a, i nie był od jego wpływu wolny, por. ib. I przedm., II. 353.

<sup>2)</sup> Głównie należy się tutaj wzmianka cennym, choć apologetycznym z zasady, pracom p. Anlard'a. Po ukazaniu się omawianych tomów dzieła Taine'a, radykalna rada municypalna paryska umyślnie ufundowała przy Sorbonnie katedrę dziejów rewolucyjnych, która powierzona została (1889 r.) p. Anlard'owi.

dyktowanych w dodatku przez pobudki stronnicze, ile uzupełnień. Gdyż same jego opisy—nie wyroki ostateczne—jeśli są jednostronne, przecie naogół są prawdziwe, oparte na poszukiwaniach niezwykle pracowitych i rozległych; ukazują wprawdzie jedną tylko stronę wypadków, lecz stronę uderzającą i ważną, którą odsłaniają w całej nagości i ze zdumiewającym bogactwem szczegółów charakterystycznych i nowych. Aby się przekonać, że te ponure opisy wiernie odzwierciedlają oplakaną rzeczywistość, dosyć będzie posłuchać choćby pierwszego napotkanego świadka, który pozostał nieznanym historykowi francuskiemu, świadka niepodejrzanego bynajmniej w tym przedmiocie, Wybickiego Józefa, kiedy w spokojniejszym już względnie okresie (1795 r.), w Paryżu szukając schronienia, natrafia na powstanie Prairiala—a może nawet później młodego Bonapartego ogląda, jak daje ognia z armat do tłumu,—i zgnębiony do przykrego przyznaje się rozczarowania: „wierzyć przestałem, aby kiedy w narodzie obszernym zepsutym mógł być rząd gminowładczy“<sup>1)</sup>. Wcześniej jeszcze mawiał był Mirabeau, że wielkich przewrotów „nie robi się z olejkiem różanym.“ Głęboki przewrót, dokonany we Francji na końcu zeszłego wieku, wiele miał sobie towarzyszących objawów straszliwych i ohydnych. Tę prawdę uwydatnił Taine dobitniej od wszystkich swoich poprzedników; jego dzieło ostatecznie obala jedną więcej legendę historyczną, szerzej rozpowszechnioną od innych, a w swych skutkach szkodliwszą; tym sposobem podwójną wyświadcza przysługę: sprawie nauki historycznej i porządku społecznego.

U zamknięcia dziejów epoki przejściowej, na wstępie do dziejów „Francji społecznej“, mających uwieńczyć długi szereg mozolnych poszukiwań, przegrodziła badaczowi drogę legenda innego rodzaju, legenda Napoleńska. Z kolei uprzęta ją Taine bez wahania, z równą mocą na nią uderza, zadaje jej ciosy równie śmiałe a dotkliwe.

Napoleon Bonaparte wzniosł Francję nowożytną, jest jej „architektem, a zarazem od 1799 do 1814 roku właścicielem i lokatorem głównym“; aby dzieło zrozumieć, należy uprzednio dobrze zrozumieć naturę twórcy. Należy zbadać ten niezwykajny okaz człowieczy podług przepisów systematycznej analizy naukowej.—Nasamprzód wyklarujmy jego „rasę“, główną, jak wiadomo, „cechę.“ Napoleon „nie jest Francuzem“: w młodości zacięty żywił nienawiść dla Francuzów, najeźdźców i ciemzców jego ojczyzny wyspiarskiej; zawsze obcym mu pozostał język francuski, „nigdy nie nauczył się ortografii“, nie wniknął w „ducha i właściwości frazesów i zwrotów mowy“, nie uwolnił się od „barbaryzmów“ w sposobie wyrażania się. Jednocześnie „nie jest czło-

<sup>1)</sup> „Pamiętnik“ (ed. Raczyński, 1840), II, 137, 145—147.

wiekem XVIII-go stulecia“: nie ulegał wpływowi społecznego sobie „otoczenia“, wpływowi teoryi, panujących w wieku oświecenia; wogóle „mało czytał... nie zna Bayle’a, Montesquiengo, Adama Smitha“, nie był nigdy rojalistą ani republikaninem, zachowawcą ani demokratą; w chwili stanowczej, 13 Vendémiaire’a, zależeć będzie od trafu, czy udzieli pomocy Dyrektorom, czy też stanie na czele sekcyi powstańczych.—Natomiast jest Włochem; z ojca otrzymał czystą krew toskańską, starą korsykańską odziedziczył po matce. Jest mianowicie Włochem z XIV lub XV stulecia, z rodu „Castracani, Malatestów, Sforzów“, z rodu „kondotyerów.“ — Rozpatrzmy w końcu zosobna jego umysł i charakter, aby odnaléźć brakujące jeszcze „cechy górzące.“ W głowie Napoleona mieszczą się „trzy atlasy“: „wojskowy zawiera zbiór map topograficznych“, niezmiernie rozległych i dokładnych; „cywilny obejmuje budżet..., dochody i wydatki państwowe we Francyi, a nawet po-za jéj granicami..., nadto całą hierarchię urzędów publicznych“; trzeci „jest wielkim słownikiem biograficznym..., gdzie figurują wszystkie wybitne osobistości i grupy społeczne..., jak również wszystkie obce narody.“ Lecz obok takiej obfitości „rzeczy realnych“, jeszcze w téj głowie męża stanu ma swoje miejsce, i miejsce najpierwsze, rój niezliczony „rzeczy możliwych.“ „Z polityka wyłania się artysta...; jakkolwiek potężnym jest jego uzdolnienie praktyczne, jeszcze jest potężniejszym poetyckie“: i oto ostatecznie „wyobraźnia konstrukcyjna“ objawia się, jako poszukiwana „zdolność górząca“ (*faculté maîtresse*) w umysłowości potomka „Danta i Michała Anioła.“ — W sercu Napoleona gnieździ się przedewszystkiem nienasycona ambicja, która nie znajduje dla siebie miejsca we Francyi, ani w Europie, lecz dalej sięga, do Nilu i Gangesu; a na jéj usługach jest wola żelazna, łamiąca przeszkody, nie przebijająca w środkach. Lecz zarazem w téj duszy zdobywcy występują w sile pierwotnej popędy krwi i nerwów; jest on gwałtowny i lubieżny, nie panuje nad porywem wściekłości lub żądz, zdradza swój stan rozdrażnienia w napadach historycznych, konwulsjach, nieczytelnym charakterze pisma. Te niepohamowane namiętności, podniecane przez zrywającą się wyobraźnię, zniosły-by niechybnie równowagę w duszy tak skomplikowanej, która była-by niezdolną wytrzymać podwójnego naporu, — gdyby na szczęście nie przychodził jéj z pomocą „jeden instynkt, potężniejszy od tego umysłu, a nawet od téj woli, instynkt ześrodkowania wszystkiego w swojej osobie, innemi słowy: samolubstwo“; i oto nareszcie „egoizm“ objawia się jako poszukiwana „namiętność górząca“ (*passion maîtresse*) w charakterze potomka „Cezara Borgii i Machiawela.“ Samolubstwo, doprowadzone do doskonałości, gasi w nim wszelką świadomość praw i popędów moralnych; „nigdy nie odczuwał szlachetnego uczucia, był mordercą wszelkiej

cnoty..., starannie hoduje w ludziach wszystkie namiętności sromotne, cieszy się nimi i z nich korzysta, a gdzie nie może dopatrzeć się występku, tam przynajmniej podnieca słabostki.“ Dzieje się to w końcu z własną jego krzywdą; albowiem, kiedy pierwsze jego dwa „atlasy“ są bez zarzutu, w trzecim natomiast okazuje się „luka zasadnicza, której nigdy nie będzie mógł zapełnić, gdyż wynika ona z jego charakteru“, polega zaś na absolutnej jego niezdolności brania w rachubę czynników moralnych; tym sposobem do owego „atlasu“ wkradają się „niektóre mylne pozycye, jak np. dotyczące Papieża i sumienia katolików; podobnie oszacowane są zbyt nisko uczucia narodowe Hiszpanii i Prus“ <sup>1)</sup>. Tak więc obiedwie wydobyte „cechy górzące“ w swoim połączeniu: egoizm, prowadzony przez wyobraźnię konstrukcyjną, tłómaczą zarówno potęgę i upadek Napoleona.

Drobnostkowa analiza, dokonana przez Tainé'a na duszy Cezara, została na tém miejscu z umysłu skondensowaną w ten sposób, aby na pierwszy rzut oka występował wyraźnie cały mechanizm ukryty metody, jaką się posługiwał historyk. Czytelnikowi, który chciał od początku pilnie śledzić bieg niniejszego roztrząsania, dobrze jest znaną tą metoda; będzie więc już mógł samodzielnie ocenić jej rezultaty w danym wypadku i uwolni sprawozdawcę od uwag szczegółowych, które wobec obszaru przedmiotu niełatwo dały-by się ścieśnić <sup>2)</sup>. Zre-

<sup>1)</sup> Wogóle względem Prus stale okazuje Tainé bezstronność zupełną; „la Prusse qu'il (Napoléon) a mutilé qu'il a exploité“ i t. d., „Régime moderne“ I (2 éd. 1591), 43, 104, 105. Pódeczas głośniejszej „pokojowej“ podróży Cesarzowej Wiktorii (wdowy po Fryderyku) do Paryża w Lutym 1891 r., Tainé był jej gościem, razem z pp. G. Monod'em, Lavisse'm i in.

<sup>2)</sup> Tainé korzystał tutaj z najróżnorodniejszych źródeł (między innemi w jednym miejscu, 352, powołuje Mickiewicza), wszakże całego ogromnego materiału nie zdążył opanować tym razem. Rzecz o N. zaraz po ogłoszeniu w „Revue des deux Mondes“ (1888) wywołała mnóstwo odpowiedzi; ob. Prince Napoléon, „N. et ses détracteurs“ (1889), który w polemicznym ferworze posunął się zadaleko, a nie zasługuje na zaufanie już z tego względu, że, jako prezes komisji wydawniczej, wysadzzonej przez Napoleona III dla ogłoszenia „Korespondencji“ N-a, usunął z tej komisji jedynych niezależnych członków, marszałka Vaillant'a i Mérimée'go, poczem zaledwie połowa korespondencji włączona została do zbiorn; jednakoże ma słusność za sobą, kiedy wyrzeka Tainé'owi zbytnią skwapliwość w korzystaniu ze świadectw Metternicha, Bourrienne'a, Pradta, Miot'a, pani Rémusat i innych zdeklarowanych nieprzyjaciół osobistych Cesarza. W szczególności częste odwoływanie się Tainé'a do pani Staël uderzało piszącego, który przyznaje się do najniepochlebniejszej opinii o tym wzorowym typie niewiasty politykującej i piszącej. Do czego taka poehopność prowadzi Tainé'a, niechaj zilustruje taki np. u niego ustęp, oparty wyłącznie na pojedynczej wzmiance paniętnikarskiej: „po bitwie pod Dreznem, N., spożywszy potrawkę z cebulą, dostaje tak gwałtownych bólów w żołądku, że mniema, iż został otruty; z tego powodu cofa

sztą owe rezultaty są tym razem tak dalece jaskrawe, że same przez się doprowadzają *ad absurdum* doktrynę, z której biorą początek. Wykryta z takim mozolem „wyobraźnia konstrukcyjna“ Napoleona stworzyła najrealniejsze urządzenia społeczne i polityczne, trwające po dziś dzień, stworzyła kodeks praw, który nie tylko we Francji ujął całą niezmierną różnorodność stosunków cywilnych, lecz nawet na obcej ziemi, gdzieś nad Wisłą, dopasował się jaknajlepiej do wymagań praktycznych życia codziennego, zrół się ze stosunkami miejscowemi i po dziś dzień dobroczynnie objawia działanie; — zaiste, wypadło raczej oczekiwać, że dzieło „wyobraźni“ doprowadzi do chaosu. „Samolubstwo“ potworne kazało samolubowi zmniejszyć i jaknajskąpiej wymierzyć własną listę cywilną, pracować z całym nateżeniem umysłu po kilkanaście godzin dziennie, palić się na skwarze egipskim, szczekać zębami nad Berezyną, w przeciągu lat dwudziestu zdobywać się na najcięższe wysiłki fizyczne i moralne; — było-by pewnie zrozumiałszém, gdyby w jakimś Sanssouci nadsekwańskiem pędził bez troski godziny. Zapewne, siedział w Cesarzu i fantasta wielki, i duży egoista: doskonałym, oderwanym fantastą on nie był, — takich niema wśród zdrowych ludzi czynu; ani doskonałym, oderwanym egoistą, — takich niema wcale wśród ludzi. To też u Tainé'a we wniosku ostatecznym Napoleon staje się wraz szaleńcem i szatanem. — Jest jedna książka ciekawa ciekawego człowieka, „Sekret polityczny Napoleona“, odsłoniony przez Hocne-Wrońskiego. Mistyk i imperyalista, ślepym jest wielbicielem Cesarza; matematyk i pisarz „Filozofii absolutnej dziejów“, przy swoim szczególnem poszu-

---

się z armią, co wywołuje zgon korpusu Vandamme'a, a wskutek tego klęskę 1813 r.“ „Rég. mod. I. 58 note.“ — Por. natomiast cenne dzieło bezstronnego historyka austriackiego, Fournier'a „Napoleon“ (1890); bezkrytyczne, lecz dogodne jako kompendyum, Guillois, „N. l'homme, le politique, l'orateur“ (2 vls. 1889), i in. — Cały szereg najnowszych wydawnictw pamiętnikarskich francuskich, oraz dyplomatyczne francuskie, ruskie i pruskie, jakie się ukazały już po ogłoszeniu studyum Tainé'a, na ogół nie są niekorzystne dla pamięci N-a. — Co się tyczy francuszczyzny N-a, to w „Oeuvres littéraires de N. B.“ (éd. Martel, 1888 nast., wydanie nieszczególne zresztą) znaleźć można w I t. wcale zręczne wiersze i piękną prozę francuską Cesarza. — Genealogia Bonapartów, zwłaszcza z epok dawniejszych, bynajmniej nie jest dokładnie znaną; tak dalece, że za cesarstwa jakiś sprytny „uczony“ wyprowadzał ich, przez dobrze urodzonego szlachcica francuskiego, de Bonpart'a, od Młaski żelaznej, mniemanego bliźniaka Ludwika XIV, i tym sposobem parweniuszów czynił prawnymi spadkobiercami Kupeta. Zresztą, wiadomą jest rzeczą, że ojciec N-a, Carlo, był osobistością nie nie znaczącą, słabiej głowy i charakteru, i w niczem nie przypominał „Borgiów.“ Por. z drugiej strony miękki temperament księcia Reichstadta, albo ślamazarny polskiego ministra Napoleona III. — Piszącemu pokazywano przed kilku laty w małej mieście styryjskiej starego chudego Niemca; nazywał się Borgia i podobno wywodził najautentyczniej w linii prostej od Aleksandra VI; był aktuariuszem w jakimś urzędzie i od niepamiętnych czasów zapewne sporządzał kopie i protokoły.

kiwaniu „sekretu bohatera i opatrności“, stosuje doprowadzoną do ostatecznych granic metodę syntetyczną. Ciągłe jaknajściślej rozumując *a priori*, zapominając całkiem o żywym człowieku, ku którego osobie zbiegają się wszystkie jego niesłychane hipotezy historyozoficzne, odkrywa nareszcie „genezę mesyaniczną“ Cesarza, jego pochodzenie od Buddy i Chrystusa, jego misję „Zbawiciela“, który z „czwartego peryodu“ prowadzi ludzkość do piątą i ostatnią erę szczęśliwości. — Taine, realista i wolny od przesądów politycznych, psycholog i autor „O inteligencji“, poszukuje w Napoleonie swoich „cech górujących“, stosując w tym celu doprowadzoną do ostatnich granic metodę analityczną. Ciągłe rozkładając na pierwiastki badanego osobnika, zosobna rozważając te pierwiastki, których doniosłość coraz rośnie mu w oczach, spuszcza w końcu całkiem z uwagi swój pierwszy punkt wyjścia, żywego człowieka, od którego był zaczął, i wykrywa ostatecznie genezę „rasową“ Napoleona, jego rodowód od Borgiów i Michałów Aniołów, jego burzącą misję złego ducha Francji i Europy. — Dwie metody wprost sobie przeciwne, w najskrajniejszych swych konsekwencyach stosowane do jednego i tego samego przedmiotu, dotykanej postaci dziejowej, przez samą swą krańcowość równie stają się niebezpieczne i dają wyniki, niezgodne z rzeczywistością i zdrową logiką.

Tutaj kończy się właściwie zawartość ściśle historyczna „Początków Francji społecznej.“ Cała obszerna część końcowa, traktująca o „odbudowaniu Francji“, trzyma się bardzo luźnego porządku chronologicznego <sup>1)</sup> i głównie jest poświęcona bezpośrednio społecznym stosunkom społecznym i politycznym. Jest to właściwie nic innego, jeno wszechstronna krytyka polityczna Francji dzisiejszej, zapowiadana na wstępie, jako ostatni owoc znudnych poszukiwań historycznych. Niepodobna wejść obecnie w szczegółowy wykład ostatecznych poglądów politycznych Taine'a, dotychczas niezamkniętych jeszcze w zupełności, a które z natury swojej wymagały-by szczegółowszego, niż gdziein-

<sup>1)</sup> Już w poprzedzających tomach porządek chronologiczny nie był ściśle zachowywany, przez co osłabione zostały liczne wnioski pojedyncze, zarówno w „Rządach dawnych“, jak w „Rewolucji.“ — W „Rządach nowożytnych“ nadto znacznie mniej jest zużytkowanych materiałów źródłowych, a natomiast mnożą się powołania na prasę peryodyczną bieżącą („Débats“, „Rev. d. d. m.“) oraz poprzednie tomy dzieła. Jednym z najcenniejszych jeszcze rezultatów jest tutaj obliczenie, że wieśniak francuski od 1800 r. na 100 fr. zarobku płaci 21 do skarbu, a resztę 79 fr. zachowuje dla siebie. „Rég. mod.“ I, 267, 268. Ta jedna cyfra, w zestawieniu z pozyskaną poprzednio przez Taine'a dla Francji przedrewolucyjnej, przeważa wiele jego zdań pesymistycznych). Mnożą się też coraz więcej powtarzania dosłowne tych samych uwag i faktów, (np. Ib. 74 i 343, 111 i 332, 173 i 344 i t. d.). Nawet w stylu, który zachował całe poprzednie napięcie, znać pewne zmęczenie, zupełnie zrozumiałe ze względu na podszły wiek autora i ogrom wymaganą pracę.



dziej, rozbioru, a tém samém nakazywały podnieść cały szereg skomplikowanych pytań o państwie i społeczeństwie nowożytném. Tyle tylko daje się tutaj powiedzieć, że ten późny owoc, wyrosły z długoletnich badań, ma smak nader gorzki, że ostateczne konkluzye polityczne Taine'a są nawskróś ujemnej natury. — Państwo, które za rządów dawnych było „salonem“, później, czas jakiś, domem szaleńców, przekształcone zostało w końcu, jak wiemy, na „koszary.“ W tych „koszarach“ prawa osobnika oraz wszelkiego rodzaju pomniejszych skojarzeń społecznych coraz brutalniej są gwałcone i zagarniane przez państwo. Zanika energia indywidualna i zbiorowa, pochłaniana przez rosnącą państwową. Państwo, a właściwie nieliczna garstka, składająca rząd i większość parlamentarną, zostało najpierwszym i uprzywilejowanym „przedsiębiorcą“, rządzi umysłami obywateli za pośrednictwem zgromadzenia „Jezuitów świeckich“, zwanego Uniwersytetem Francyi, rządzi sumieniem wiernych drogą nadużycia Konkordatu, kieszeni opodatkowanych — z mocy wymagań budżetu, wreszcie samą osobę pełnoletniego mężczyzny zabiera w imię obowiązkowej służby wojskowej. „Odtąd obywatel rodzi się wyborcą i rekrutem... Nowy porządek rzeczy coraz bardziej się rozrasta..., jak zaraza udziela się od jednego państwa drugiemu, ogarnął już dzisiaj całą Europę lądu stałego; wszędzie obejmuje panowanie zasada obowiązkowej powszechniej służby wojskowej, wspólny ze swoim towarzyszem przyrodzonym, który ją zawsze wyprzedza, albo wstępuje w jej ślady, ze swoim bratem bliźniaczym, głosowaniem powszechném, — dwaj przewodnicy ślepi i straszliwi historii przyszłości, z których jeden każdemu pełnoletniemu kładzie do ręki kartkę wyborczą, drugi każdemu pełnoletniemu kładzie na plecy toruister żołnierski; ileż zapowiedzi rzezi i bankructwa dla XX stulecia, jakie rozjątrzenie nienawiści międzynarodowych, jak wiele zmarnowanej pracy ludzkiej, zwyrodniałych wynalazków produkcyjnych, udoskonalonych zastosowań morderczych, jaki krok wsteczny ku instynktom samolubnym i brutalnym, ku uczuciom, obyczajom i moralności starożytnych republik i hord barbarzyńskich!“ <sup>1)</sup>

Być może, raz jeszcze widzi Taine nazbyt czarno. Być może, nie wie dobrze, co to są „koszary.“ Lecz dosyć spierania się, pytańników i zastrzeżeń. Nie trzeba ich wiele wobec przeciętnego pisarza; trzeba było jaknajwięcej, gwoli własnej obrony, wobec talentu wyjątkowej miary, który łatwo na własność zagarnia umysł słuchacza. Jednakowoż, jakże niemiłą jest rzeczą tego rodzaju obrona przeciw wielkie-

<sup>1)</sup> „Rég. mod.“ I, I. I, I. III, ch. II, I. IV. — „Revue des deux mondes“ (1892) T. CXI, 253, CXII, 8 suiv. — Niektóre czysto polityczne poglądy Taine'a przedstawiłem w rzeczy o „Ideałach demokr. w oświeceniu hist.“ (w „Ateneum“, 1889, III, 442—452).

mu pisarzowi i o ileż skorzej się pragnie skończyć z nią nareszcie i niepospolitę zasłudze oddać, co jej się należy. — Taine przepelniony jest goryczą; zanadto ma gniewu dla przeszłości, pogardy dla społeczeństwach, żalu dla przyszłości. Wbrew jego własnemu orzeczeniu, w życiu regułą jest zdrowie, choroba wyjątkiem. Ale ta gorycz moralisty się rodzi z najczystszej wrażliwości etycznej, z pragnienia sprawiedliwości, ze spólcucia dla cierpień, i nieskończenie góruje po-nad tanią pogodą tyłu gruboskórych obrońców najlepszego ze światów. — Na swój szczególny sposób pojmuje on bezstronność: w równie przesadnej mierze surowym jest dla wszystkich, bez różnicy, czy uderza na Burbona, Bonaparta lub Jakobina; jedną stronność przez drugą zrównoważa i prostuje. Istnieje inny na bezstronność sposób, pewniejszy i prostszy: odrazu mierzyć rzeczy właściwą im miarą. Ale owe przesadne wnioski uczonego stąd pochodzą, że on wie bardzo dużo, że za narzędzie miernicze służy mu wyjątkowo wielki zasób materiału, który zewsząd zgromadził a w znacznej części sam dopiero wydobył. — Wreszcie, nieraz u niego dziejopisarz, z krzywdą dla siebie, odkłada na bok rylec Muzy historycznej, aby sięgnąć po pędzel malarza; artysta bierze górę i prawdę naraża dla piękna, treść nagina do formy. „Dość ciemna zawsze przeszłość, pocóż ją kunszt ciemni“, — tak przed stu laty pisał do Naruszewicza Krasiecki, w swoim wierszu rozumne dając ostrzeżenie dla historyków wszystkich czasów. Ale historia nie jest przeznaczoną wyłącznie dla uczonych, którym wystarczy ścisły i suchy wykład danych faktycznych, lecz oraz dla publiczności, która wymaga silniejszych bodźców; kunszt Taine'a takim jest bodźcem, dziwnie jest misterny i obfity, ożywia wypadki i postacie dziejowe, upamiętnia się na długo słuchającemu ogółowi publiczności, która wychodzi zbogacona, poruszona, inna jednym słowem, aniżeli była przysła: a czyż nie taki jest ostatecznie cel wszystkiego pisania? — Dzisiaj, wśród żyjących, w tym jednym pisarzu w równym stopniu zespoliły się razem: wielka i wyszukana sztuka, wiedza głęboka i wszechstronna, silne i zacne sumienie. Taine moralista, artysta, uczoney, nie należy jedynie do doby bieżącej; będzie miał swoją kartę osobną w księdze wieczystej, gdzie się zabezpiecza dorobek duchowy stulecia.

SZYMON ASKENAZY.

---

# DEPESZA EMSKA.

Przyczynek do dziejów nowoczesnych.

---

Wojna pomiędzy Prusami a Francją była koniecznym skutkiem wypadków roku 1866. Obie strony do niej się przygotowywały, tylko że Prusy, zręczniejsze, główną uwagę zwracały na wydoskonalenie wojska, gdy rząd francuski bawił się w zawieranie sojuszów, które w stanowczej chwili zawiodły. Chociaż wojna była niunikniona, na początku Lipca roku 1870 Francya nie szukała jej. W wysuniętej nagle z po-za kulis dyplomatycznych sprawie kandydatury pruskiej do tronu hiszpańskiego, Napoleon III. był-by się zadowolnić moralném zwycięstwem. Natomiast rząd pruski, uważając daną chwilę, jako dla siebie najkorzystniejszą, niejako moralnie zmusił Francję do wypowiedzenia wojny. Środkiem ku temu stała się—rzecz ciekawa i pono jedyna w swym rodzaju!—prosta depesza dziennikarska—osławiona depesza emska z 13 Lipca 1870 roku.

Zrazu nawet głównym aktorom wielkiego dramatu europejskiego, jak Grammont, Benedetti, Beust i t. d., geneza tój depeszy,—tój „*apparition sinistre*“, jak ją nazwał minister francuski,—była całkiem niezrozumiałą i do najnowszych czasów tworzyła ona jedną z zagadek dyplomatycznych. Nagle sam ex-kanclerz niemiecki, niby-to mimochodem, w rozmowie z literatem Hardenem, rozwiązał ją.

Z tém dopełnieniem, dzięki ogłoszonym powoli od r. 1870 depeszom i pamiętnikom wybitnych mężów stanu, dokładnie teraz uwydatniają się wszystkie najdrobniejsze szczegóły pamiętnego prologu wojny

francusko-niemieckiej. Możemy do godziny, niemal do minuty, oznaczyć, jak się odgrywał od 4-go do 15-go Lipca w Ems, w Paryżu, w Berlinie. Choćby tylko, aby sobie uprzytomnić, jak sztucznie czasem tworzy się casus belli i jak starannie wystrzegać się trzeba kozery, podsuniętej przez przeciwnika, warto zestawić systematycznie główne rysy wstępu najdonioślejszej wojny drugiej połowy XIX-go stulecia.

## I.

## Kandydatura hiszpańska.

Głucha cisza w świecie politycznym poprzedziła straszną burzę wojenną roku 1870. Dnia 20-go Czerwca minister Ollivier we francuskim ciebie prawodawczem był oświadczył: „Nigdy zachowanie pokoju nie było lepiej zabezpieczone, jak teraz. Gdziekolwiek spojrzeć, nie podobna dostrzedz kwestyi, która-by mieściła w sobie niebezpieczeństwo. Wszędzie gabinety zrozumiały, że każdemu narzuca się konieczność poszanowania traktatów, zwłaszcza tych, na których spoczywa spokój Europy, t. j. paryskiego z roku 1856 i paryskiego z roku 1866.“ Dnia 2-go Lipca niemiecki sekretarz stanu spraw zagranicznych, p. Thile, rezydenta austriackiego zapewniał „z widoczną przyjemnością,“ że w świecie politycznym panuje zupełna cisza i że zatém, za przykładem niemal wszystkich innych dyplomatów, którzy już opuścili Berlin, niebawem wyjedzie na kuracyę, i to do Marienbadu. Hrabia Bismarck od dłuższego czasu przebywał w Warzinie, Król Wilhelm w Ems, francuski ambasador u dworu pruskiego, hr. Benedetti, w Gasteinie, pruski ambasador w Paryżu, baron Werther, zabierał się do wyjazdu na wakacye. Dnia 3-go Lipca nowy angielski minister spraw zagranicznych, Earl Granville, przyjmując pieczęć rozmawiał z doświadczoneym, dawnym podsekretarzem stanu tego wydziału, p. Hammondem, który mu oświadczył, że, wyjąwszy sprawę bandytów greckich, taka zupełna cisza panuje w polityce zagranicznej, iż w długiej swej praktyce nie pamięta podobnej!

W dwie godziny po tej rozmowie, lord Granville otrzymał depezę o zamiarze tymczasowego rządu hiszpańskiego oddania korony Księżciu Leopoldowi Hohenzollern! <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Granville na posiedzeniu izby lordów 11-go Lipca opowiadał, że to było we Wtorek 5-go Lipca. Ponieważ jednak w Poniedziałek 4-go z rana wszystkie europejskie dzienniki ogłosiły depeze paryskie o kandydaturze Ks. Leopolda, oczywiście Granville musiał je otrzymać 3-go, nie 5-go Lipca.

W Poniedziałek 4-go Lipca cały świat dowiedział się o tój kandydaturze z depesz madryckich agencji Havasa tój treści: „*Imparcial* donosi, że wczorajsza narada ministrów zajmowała się nowym kandydatem do korony. Deputacya wyjeżdża do Prus, aby ofiarować koronę Księciu Hohenzollern, który ją przyjmuje. Kandydaturę tę postawiono pono bez porozumienia się z parlamentem.“ Polityczną doniosłość tój kandydatury, którój w szerszych kołach nikt się ani domyślał, wyjaśniał rozpowszechniony niemal równocześnie komunikat paryskiego „*Constitutionnelu*.“ Dziennik ten półurzędowy dnia 4-go Lipca oświadczył. „Z wiarogodnych doniesień wynika, że temi dniami agenci marszałka Prima udali się do Prus, celem ofiarowania korony Księciu Hohenzollernowi, który ją też przyjął. Nie wiemy jeszcze, czy marszałek Prim działał tylko w swém własném imieniu, czy też otrzymał mandat od parlamentu, lub od regenta. Czekamy więc na dalsze wiadomości, zanim ocenimy zajście, którego doniosłość jest widoczna. Jeżeli marszałek, jak się domyślamy, działał bez mandatu, sprawa ta schodzi na poziom prostój intrygi; jeżeli zaś naród hiszpański zatwierdza ten krok, musimy go rozważać z owym szacunkiem, który się należy woli narodu, rozstrzygającego o swym losie. Przy wszelkiem jednak uszanowaniu dla samodzielności narodu hiszpańskiego, będącego w tym razie jedynym kompetentnym sędzią, nie moglibyśmy stłumić w sobie uczucia zdumienia, gdyby berło Karola V-go powierzał Księciu Pruskiemu, wnukowi Księżnój z rodu Murata, którego nazwisko tak smutnie zapisało się w dziejach Hiszpanii.“

Po tój introdukcji dziennikarskiej, dnia następnego (5-go Lipca) pojawia się w parlamencie francuskim interpelacya posła Cochery i towarzyszków, na którą minister spraw zagranicznych, ks. de Gramont, odpowiada 6-go: „Prawda, że marszałek Prim ofiarował koronę Księciu Leopoldowi Hohenzollernowi, który ją przyjął, ale naród hiszpański jeszcze nie wypowiedział swego zdania i nie znamy też szczegółów tajonych przed nami układów. Proszę zatem odroczyć dyskusyę, która w tój chwili nie mogła-by się na nic przydać. Nie przestaliśmy okazywać narodowi hiszpańskiemu naszych sympatyj i unikać wszystkiego, coby mogło się wydawać, jako wmiśzanie się w wewnętrzne sprawy szlachetnego i wielkiego narodu, posiadającego zupełną niezależność. Wobec różnych pretendentów do korony zachowaliśmy najściślejszą neutralność i żadnemu nie okazaliśmy ani faworu, ani niechęci. I nadal tak się zachowamy, ale nie sądzimy, aby poszanowanie praw sąsiedniego narodu obowiązywało nas ścierpić, aby obecne mocarstwo, wysyłając jednego ze swych Książąt na tron Karola V-go, tём samém na swą korzyść zmieniło równowagę pomiędzy mocarstwami Europy (huczne oklaski) i uwłaszczało interesom i honorowi Francji

(huczne oklaski). Spodziewamy się, że taka ewentualność nie ziści się; liczymy przytém na mądrość niemieckiego i hiszpańskiego narodu. Gdyby się miało stać inaczej, silni waszém poparciem, panowie, i poparciem kraju, spełnimy bez wahania i bez słabości naszą powinność.“

Następny mówca, Picard (z opozycji), domaga się przedłożenia wszystkich dokumentów, aby posłowie mogli należycie zbadać stan rzeczy; nie wolno kraju zawikłać w nową sytuację bez pozwolenia parlamentu.

Minister spraw wewnętrznych, Chevandier, odpowiada, że nie nadeszła chwila stosowna do dyskusyi i rząd nie może jeszcze przedłożyć dokumentów.

Cremieux (z opozycji) powtarza żądanie Picard'a.

Minister sprawiedliwości, Ollivier: „Skoro członkowie izby jutro odczytają oświadczenia, złożone przez ks. de Grammont, a ustanowione na radzie ministrów, zdołają lepiej ocenić ich doniosłość. Rozważywszy tę deklarację, przekonacie się, że nie wyzywa nikogo, nie uwłacza prawom narodu hiszpańskiego, który uważamy jako zaprzyjaźniony z nami, a zwłaszcza nie zawiera żadnej dwuznaczności co do pytania: czy rząd pragnie pokoju, czy wojny? Rząd życzy sobie pokoju, życzy sobie tego namiętnie, ale pokoju z honorem. Nie mogę przystać na twierdzenie, że rząd, wypowiadając otwarcie swe zdanie o sytuacji, podaje w niebezpieczeństwo pokój Europy. Sądzę przeciwnie, że używa jedynego możliwego środka zabezpieczenia pokoju. Bo ilekroć Francya w obronie słusznego prawa okazuje się stateczną bez przekroczenia miary, może zawsze liczyć na moralne poparcie Europy. Proszę więc członków téj izby i proszę naród być przekonanym, że nie dążymy do żadnej akcyi manowcami. Otwarcie mówimy: nie chcemy wojny, nie szukamy wojny, mamy tylko nasze życzenia na oku. Gdybyśmy dnia pewnego wojnę uważali jako konieczną, nie rozpoczniemy jęj bez waszego poparcia.“

Arago (z opozycji) nie może się dobić głosu.

Równocześnie ze sprawozdaniem telegraficzném o tém posiedzeniu ciała prawodawczego, na którém odezwało się złowrogie słowo „wojna“, rozeszła się depesza madrycka téj treści: „Na zebraniu ministrów w La Granja panowała jednomyślność. Regent pochwalił krok marszałka Prima. Zapadła uchwała: rozpocząć odpowiednie dyplomatyczne układy, aby *cortesom* przedstawić kandydata według życzenia większości posłów. *Cortesy* zbiorą się 22-go Lipca, a wybór odbędzie się 1-go Sierpnia. Kandydat otrzyma około 200 głosów i przybędzie na eskadrze hiszpańskiej 1-go Listopada. Rząd postanowił uwiadomić dwory o kandydaturze Księcia Leopolda.“

Dzięki tym depeszom, wstęp wielkiej tragedyi wojennej odgrywał się przed całym ogółem europejskim, a przynajmniej przed całą czytającą dzienniki publicznością. Przychodzi nam teraz spojrzeć po-za kulisy, co wtedy było bardzo trudną rzeczą, ale teraz, wskutek licznych, autentycznych rewelacji, stało się łatwem.

Przedewszystkiem nasuwa się ważne pytanie: czy ta kandydatura pruska była nagłą improwizacją, jak się zdawało w Lipcu 1870 roku. Okólnik hiszpańskiego ministra spraw zagranicznych, Sagasty, rozesłany 7-go Lipca do wszystkich legacyi hiszpańskich, nie odsłania tajemnicy. P. Sagasta przedstawia rzeczy tak, jak gdyby dopiero na radzie ministrów 4-go Lipca była zapadła uchwała, dotycząca kandydatury Ks. Leopolda, a nie wspomina o dawniejszych odnośnych krokach marszałka Prima. Z drugiej strony główny pośrednik marszałka, Eusebio de Salazar y Mazarreda, w deklaracji, ogłoszonej 8-go Lipca, usiłował zaprzeczyć wszelkiego udziału rządu pruskiego w układach, zapewniając, że „Król pruski był zdziwiony, gdy Książę Leopold decyzyę swoją oznajmił mu do Ems, jako akt grzeczności“ (acto de cortesía). To samo twierdził hr. Bismarek w swoim sprawozdaniu, przedłożonem radzie związkowej 16 Lipca. Czytamy tam: „Wydziałowi spraw zagranicznych północno-niemieckiego związku, jako też rządowi J. Kr. Mości Króla pruskiego, te zajścia pozostały całkiem obcemi. Dopiero z rozesłanej 3-go Lipca przez agencję Havasa z Paryża depeszy dowiedzieliśmy się, że ministerjum hiszpańskie postanowiło ofiarować koronę Ks. Leopoldowi.“ Zupełną też nieświadomość całej tej sprawy udawał 4-go Lipca zastępca Bismarcka, p. Thile, wobec francuskiego chargé d'affaires, Le Sourd'a, który z polecenia ks. de Grammont przybył do niego.

Tymczasem ks. de Grammont w okólniku z 21 Lipca oświadcza: „Myśl wezwania na tron hiszpański Księcia z rodu Hohenzollernów nie jest nową. Już w Marcu r. 1869 wspomniał o niej nasz ambasador w Berlinie, który natychmiast otrzymał polecenie uwiadomić hr. Bismarcka, jak rząd cesarski zapatruje się na taką ewentualność. Hrabia Benedetti w rozmowach tak z kanclerzem północnego związku, jako też z podsekretarzem stanu spraw zagranicznych, nie taił, że nie możemy przyzwolić na to, aby Książę Pruski rządził po-za Pireneami. Hr. Bismarek zaś oświadczył, że nie mamy wcale powodu lękać się kombinacyi, którą sam uważa za niewykonalną, a gdy w nieobecności kanclerza hr. Benedetti ponownie poruszył tę kwestyę w rozmowie z p. Thilem, ten zapewniał słowem honoru, że Książę Hohenzollern nie jest i nie może się stać na seryo kandydatem do tronu hiszpańskiego.“

Depesza Benedettego z 31-go Marca r. 1869 do ówczesnego francuskiego ministra spraw zagranicznych, Lavalette'a, na którą powołał

się książę Grammont, brzmi: „W. Ekscellencya poleciła mi dowiedzieć się, czy kandydatura Księcia Hohenzollerna do tronu hiszpańskiego jest poważną? Dziś rano zapytałem p. Thilego, czy obiegającym pogłoskom można przypisać jakąkolwiek doniosłość i oświadczyłem, że taka ewentualność zbyt blisko obchodzi rząd francuski, abym nie miał zawczasu zwrócić uwagi na jej niebezpieczeństwo. P. Thile zapewnił mnie formalnie, że nigdy nie posiadał o takiej kombinacji wiadomości i że hiszpański poseł w Wiedniu (p. Rancès), podczas swego ostatniego pobytu w Berlinie, nie wspomniał o niej. Jakkolwiek nie żądałem tego wcale, zapewnienia swe stwierdził słowem honoru. Kilkakrotnie powtórzył, że o kandydaturze Księcia Hohenzollerna do tronu hiszpańskiego mowy być nie może.“

Po ogłoszeniu tej depezy, p. Thile dnia 30 Lipca oświadczył <sup>1)</sup>, że nie przypomina sobie, aby w Marcu r. 1869 rozmawiał z hr. Benedettym o kandydaturze Ks. Loopolda, ale dodał: „Nie mogę jednak na pewno twierdzić, aby podobna rozmowa nie była zaszła, przy licznych bowiem rozmowach, które miewałem codziennie z wysłańcami obcych mocarstw, mogłem łatwo zapomnieć o rozmowie, która się toczyła przed 16-tu miesiącami.“ Nikt nie uwierzy, aby dyplomata pruski na prawdę zapomniał tak łatwo o rozmowie, dotyczącej tak drażliwego przedmiotu. Przeciwnie, depeza Benedettego dostatecznie poświadcza fakt, że w Berlinie już na początku r. 1869 wiedziano o kandydaturze Ks. Hohenzollerna i że ją zatem umiejętnie pielęgnowano w ukryciu, jako wygodny casus belli z Francją.

Że nim stać się może, przewidywano powszechnie, odkąd rozeszła się wieść o tej kandydaturze. Najtrafniejszy sąd w tej mierze wypowiedział hr. Beust w swych „Pamiętnikach“ pośmiertnych <sup>2)</sup>: „Czyż dla Prus, dla Niemiec, jakkolwiek realny interes wiązał się z zajęciem tronu hiszpańskiego przez Księcia pruskiego? Nikt tego nie będzie twierdził; po stronie Niemiec nie wchodziły w grę ani materyalne korzyści, ani narodowe uczucie. Inaczej stała rzecz dla Francyi. Tam Hiszpania i korona hiszpańska z tradycyi była *une corde sensible*. Po wojnach Ludwika XIV-go o sukcesyę i jego znanych słowach: „Il n'y a plus de Pyrénées!“ Napoleon I wycieńczył się w wojnach hiszpańskich, Ludwik Filip dokazał największej sztuki w zawarciu sławnych małżeństw hiszpańskich. Nie podobna, aby o tem nie wiedziano w Berlinie; wdając się z Primem, rząd berliński musiał doskonale wiedzieć, że możliwa będzie tylko dwojaka interpretacya tego zamysłu:

<sup>1)</sup> Porównaj: „Fürst Bismarck,“ przez L. Halna, tom II, str. 73.

<sup>2)</sup> „Aus drei-Viertel Jahrhunderten,“ Stuttgart, 1887, II, 345.



albo jako lekceważenia francuskich uczuć narodowych, albo jako usiłowania zapewnienia sobie sprzymierzeńca za plecami Francyi. W jednym, jak w drugim razie, oczywista była prowokacya.“

Aby ona jednak, pomimo zrzeczenia się Ks. Leopolda korony hiszpańskiej, tak doskonale dopisała w najkorzystniejszej dla Prus chwili, na to potrzeba było wielkiej lekkomyślności po stronie rządu francuskiego, a nadzwyczajnej zřeczności i bezskrupulatności po stronie kanclerza Bismarcka.

## II.

## W E m s.

Stosownie do rozkazu księcia de Grammont, hrabia Benedetti z Gasteinu wyjechał do Ems, dokąd przybył w Piątek 8-go Lipca wieczorem. Następnego dnia po południu miał *pierwsze* posłuchanie u Króla Wilhelma. O tój rozmowie donosi księciu de Grammont w depeszy, wysłanej wieczorem tegoż dnia: „Wyłożyłem Królowi sytuacyę, wytworzoną kandydaturą Ks. Hohenzollern, i nie ukrywałem wywołanego nią we Francyi wzburzenia. Król—mówilem—może zażegnać zgubne skutki tego kroku; Książę Hohenzollern nie może przyjąć korony hiszpańskiej bez upoważnienia J. Kr. Mości; oby go Król od tego powstrzymał, a natenczas zniknie wszelkie zaniepokojenie. Odwołałem się do mądrości i serca Króla i dodałem, że rząd cesarski widział-by w tén rękojmnię utwierdzenia dobrych stosunków z rządem pruskim. Król odpowiedział, że nie trzeba fałszywie pojmować jego udziału w tój sprawie; odnośne układy toczyły się pomiędzy rządem hiszpańskim a Ks. Hohenzollern; rząd pruski nie miał o nich żadnej wiadomości; dodał, że on sam wzbraniał się przyjąć wysłannika rządu hiszpańskiego, który mu zamierzał wręczyć list marszałka Prima, że jednak uwiadomił hr. Bismarcka o tych zajściach; do udzielenia posłuchania zdecydował się dopiero wtedy, gdy Ks. Hohenzollern postanowił przyjąć ofiarowaną sobie koronę i prosił o upoważnienie, co stało się w chwili przyjazdu do Ems. Król poprzestał na oświadczeniu, iż nie stawia mu żadnych przeszkód. Tylko jako naczelnik rodu, nie zaś jako naczelnik pruski, był o tój sprawie uwiadomiony i miał w nięj udział; nie przedłożył jęj radzie ministrów, rząd pruski nie może być odpowiedzialny za sprawę, któręj nie znał i w któręj nie miał większego udziału, niż którykolwiek inny rząd.

„Pozwoliłem sobie odpowiedzieć, że ścisłego znaczenia tój różnicy nie podobna wyjaśnić opinii publicznej, która w Ks. Hohenzollern wi-

dzi tylko członka pruskiej rodziny panującej; że tak jednomyślnie pojmuję tę rzecz narodowe uczucie Francuzów, z którym rząd cesarski liczyć się musi. Wtedy Król zrobił uwagę, że terazniejszy rząd hiszpański jest niezależnym i uznanym przez wszystkie mocarstwa; trudno więc zrozumieć, jakim prawem można-by się opierać swobodnemu wyborowi Króla, dokonanemu przez narodową reprezentację hiszpańską, która ewentualnie może odrzucić tę kandydaturę, gdyby się nie zgadzała z życzeniami narodu. Następnie powtórzył, że nie zachęcał Ks. Leopolda, lecz poprzestał na tém, iż mu nie zabronił przyjęcia korony hiszpańskiej; nie może teraz nagle odwołać się do swych praw, aby go zmusić do rezygnacyi; wreszcie radził nam zwrócić nasze usiłowania do Madrytu, aby rząd tamtejszy skłonił do zaniechania tego projektu.“

W odpowiedzi na tę depeszę Benedettego 10-go Lipca nadeszły trzy depesze ks. de Grammont. W pierwszej żąda ostatecznej odpowiedzi Króla. „Nie możemy czekać, bo nas wyprzedza przygotowanie pruskie. Dzisiejszy dzień nie może się skończyć bez rozpoczęcia“ (naszych przygotowań). W trzeciej depeszy czytamy: „Czekamy tylko na depeszę, aby powołać 300,000 żołnierza pod broń. Proszę o przesłanie mi listownie lub drogą telegrafu czegoś całkiem jasnego (de bien clair). Jeżeli Król nie chce Księżciu zalecić rezygnacyi, natychmiast rozpocznie się wojna, a za dni kilka staniemy nad Renem.“

W Poniedziałek 11-go Lipca z rana hr. Benedetti był na *drugim* posłuchaniu u Króla Wihelma. „Zadałem sobie wszelką pracę, aby go skłonić do decyzji, i prosiłem, aby mnie upoważnił donieść W. Księżęcej Mości, że wezwie Księcia Leopolda do zrzeczenia się korony. Król powtórzył dawniejsze oświadczenie i obstawał przy zdaniu, że działał tylko jako naczelnik rodu. Odpowiedziałem, że we Francyi nikt nie rozumie tego dualizmu w osobie Króla i że w wyniesieniu Ks. Hohenzollern na tron hiszpański widzą tam wskrzeszenie monarchii (uniwersalnej) Karola V-go. Król zbijał takie rozumowanie i zapewniał, że wybór Ks. Leopolda nie wytworzył-by żadnego nowego narodowego węzła pomiędzy Hiszpanią a Prusami. Powiedziałem mu otwarcie, że dynastyczne związki pomiędzy dwoma krajami nałożyły-by na nas obowiązek zapobieżenia takiej kombinacyi. Król odpowiedział, że mam wygórowane pojęcie o jej doniosłości. Z oświadczeń jego wnoszę, że uważa jako niezgodne z swą powagą monarszą zmuszać teraz Księcia do rezygnacyi i że nie chce przyjąć przed narodem niemieckim odpowiedzialności za takie ustępstwo.“

„Powtórzyłem, że rząd cesarski parlamentowi i wzburzonej opinii publicznej nie może dłużej odmówić ścisłych oświadczeń. Król, widocznie żywo dotknięty, odparł, że skoro żąda tylko krótkiej zwłoki, aby wybadać zamiary Księżąt Hohenzollernów (ojca i syna), naleganie

nasze sprawia wrażenie, jakobyśmy pragnęli wywołać zatarg. „Znam — dodał — przygotowania, robione w Paryżu, i nie taję przed Panem, że i my zarządziliśmy środki ostrożności, aby nie być zaskoczonymi.“ Potém starał się złagodzić wrażenie tych słów, wyrażając ufność, że pokój będzie utrzymany. „Nie zostanie on zakłóconym, jeżeli w Paryżu zechcą poczekać i dozwoląć mi potrzebnego czasu, abym się mógł do tego przyczynić.“ Jeszcze raz ponowiłem żądanie; Król polecił mi usilnie, abym w jego imieniu doniósł W. Ks. Mości, że jeszcze tego wieczora, albo jutro rano, spodziewa się wiadomości od Ks. Leopolda, który już musiał stanąć u ojca swego w Sigmaringen, i że wtedy udzieli mi stanowczej odpowiedzi.“

Krótko po téj rozmowie, hr. Benedetti otrzymał od ks. Grammont'a doniesienie, że regent hiszpański postanowił wysłać posła do Ks. Leopolda, celem cofnięcia jego kandydatury, „Możesz Pan w potrzebie użyć téj wiadomości, ale korzystniej dla nas było-by, gdyby cofnięcie kandydatury nastąpiło wyłącznie z inicjatywy Króla.“ W drugiej depeszy, którą Benedetti otrzymał 11-go wieczorem, ks. Grammont oświadcza: Trzeba użyć dosadniejszych słów. Żądamy, aby Król zakazał obstawać przy kandydaturze, i jeżeli do jutra nie otrzymany stanowczej odpowiedzi, milczenie lub dwuznaczną odpowiedź uważać będziemy jako odrzucenie naszego żądania.“ Benedetti natychmiast odpowiada: „Jutro powtórnie udam się do Króla i stoczę ostatnią walkę.“

Wtorek, 12-go Lipca, oznacza perypetyę tego dramatu dyplomatycznego. Tego dnia z rana o godzinie 11-jej minut 28, Ks. Antoni Hohenzollern wysłał do Madrytu depeszę téj treści: „Wobec powstałych z powodu kandydatury mego syna Leopolda zakłóceń, które nie mogą nie wywrzeć pewnego wpływu na *cortes*, tak, że ich votum nie mogłoby zapaść bez współdziałania czynników, całkiem obcych osobie, o którą chodzi, w imieniu syna mego odstępuję od kandydatury do tronu hiszpańskiego.“

Do téj chwili, tak w gabinetach, jako téż w szerokich warstwach, powszechnie przeważało zdanie, że kandydatura Ks. Leopolda do tronu hiszpańskiego jest wyzwaniem Francji i że rząd francuski całkiem słusznie domagał się jej cofnięcia. Tak wyrażali się w poufnych zwierzeniach dyplomaci, jako téż najpoważniejsze organa prasy europejskiej, zwłaszcza angielskie. I tak lord Granville 7-go Lipca rozesłał do wszystkich wielkich mocarstw okólnik, w którym, uznając słusność wzburzenia umysłów we Francji z powodu kandydatury pruskiej do tronu hiszpańskiego, podnosił konieczność zachowania pokoju, oczywiście za pomocą usunięcia owej kandydatury. Hr. Beust w depeszy do austriacko-węgierskiego rezydenta w Madrycie (7 Lipca) oświadczył:

„Według doniesień posła hiszpańskiego, rząd jego postanowił *cortesom* zalecić jako kandydata Ks. Hohenzollerna. Twierdzi on, że to postanowienie, zgodne z wolą narodu, nie mieści w sobie żadnego zamiaru niepokojącego. Odpowiedziałem, że ta myśl może jest wyborna, ale efekt jój pożałowania godny. Objawy woli narodowej za kombinacją, która zagraża pokojowi Europy, nie są odpowiednie, i trzeba się spodziewać, że naród i rząd hiszpański uczynią zadość odwołaniu się Francyi do ich mądrości i przyjaźni.” W depeszy do Ks. Metternicha (w Paryżu) dnia 11 Lipca hr. Beust pisze: „Nie wątpimy, że głos całej Europy odezwie się za utrzymaniem pokoju, i zdaje nam się rzeczą niewątpliwą, że cofnięcie kandydatury Ks. Leopolda, która nie stała się dotąd przedmiotem uroczystej manifestacyi narodu hiszpańskiego i wcale nie jest konieczną, będzie najprostszym rozwiązaniem trudności, które dziś zajmują całą Europę.”

Jednakże rząd francuski nie zadowolnił się tём „najprostszym rozwiązaniem, lecz po cofnięciu kandydatury Ks. Hohenzollerna wystąpił z nowemi żądaniem, które należało stawiać tylko wtedy, gdyby istotnie był zupełnie przygotowany do wojny, ale które, skoro tak nie było, ułatwiły tylko grę całkiem przygotowanego do wojny i pragnącego jój przeciwnika.

W południe 12-go Lipca poseł północno-niemieckiego związku, baron Werther, powróciwszy przed godziną z Ems, na wezwanie ks. de Grammont przybył do pałacu ministerjum spraw zagranicznych. Wkrótce potem nadszedł tam ambasador hiszpański, Olozaga, aby okazać księciu de Grammont depeszę, oznajmującą cofnięcie kandydatury Księcia Hohenzollerna. W rozmowie z baronem Wertherem ks. Grammont oświadczył, że tę rezygnację uważa jako rzecz podrzędną, bo Francya i tak nie była-by go nigdy dopuściła do tronu hiszpańskiego, że jednak po tój sprawie pozostanie trwałe napięcie pomiędzy dwoma państwami (francuskim i pruskim). Następnie zaznaczył, że Prusy nie zachowały się w tój sprawie przyjaźnie względem Francyi, co wszystkie dwory uznają. Do przywrócenia przyjaznych stosunków posłużył-by może list Króla (pruskiego) do Cesarza, w którymby Król oświadczał, że upoważniając Ks. Leopolda do przyjęcia korony hiszpańskiej, nie myślał uwłaczać ani interesom, ani honorowi narodu francuskiego, i że, pochwalając rezygnację Ks. Leopolda, Król spodziewa się i życzy sobie, aby znikły wszelkie nieporozumienia pomiędzy dwoma rządami. Tym podobne słowa, podane do publicznej wiadomości, przyczyniły-by się do uspokojenia uczuć narodowych. W dalszym toku rozmowy ks. Grammont powiedział, że sądzi, iż Księżę Hohenzollern zrzekł się korony hiszpańskiej za inicjatywę Króla, czemu baron Werther natychmiast stanowczo zaprzeczył, zapewniając,

że Księżę uczynił to z własnej inicjatywy. Wreszcie baron Werther odmówił przesłania Królowi propozycji, dotyczącej listu Króla do Cesarza Napoleona, jednakże naturalnie poufnie zawiadomił go o tém.

Wracajmy do Ems. Tegoż dnia 12-go Lipca po południu hr. Benedetti otrzymał depezę ks. de Grammont tej treści: „Użyj całej swęj zrzęczności, aby skonstatować, że rezygnacya Księcia została ci zapowiedziana, obwieszczona lub przesłana przez Króla pruskiego lub jego rząd. Jest to niezmiernie ważnem dla nas. Udział Króla musi być koniecznie przez niego przyznany lub jasno wynikać z faktów.” Niedługo potém nadeszła druga depeza ks. de Grammont: „Otrzymałiśmy przez ambasadora hiszpańskiego rezygnacyę Ks. Antoniego, wypowiedzianą w imieniu syna. Aby ta rezygnacya wywarła zupełny efekt, potrzeba, aby Król się do niej przyłączył i dał nam zapewnienie, że téj kandydatury nie upoważni ponownie. Udaj się natychmiast do Króla, aby zażądać od niego takiej deklaracyi, któręj nie może odmówić, jeżeli nie żywi myśli ukrytych.”

Stosownie do rozkazu księcia de Grammont, nazajutrz (13-go Lipca) z rana, hr. Benedetti zagadnął po raz trzeci Króla i to na promenadzie. Donosi o tém: „Król nie posiadał jeszcze spodziewanej wiadomości z Sigmaringen. Uwiadomiłem go o oświadczeniu ambasadora hiszpańskiego. Powiedziałem, że pochwalona przez Króla rezygnacya Księcia dostarcza nam rękojmi na teraz, ale że musimy pamiętać także o przyszłości. Prosiłem zatém Króla, aby mnie upoważnił donieść w jego imieniu W. Ks. Mości, że, gdyby Ks. Hohenzollern powrócił do swego zamiaru, Król użyje swego wpływu, aby temu przeszkodzić. Król stanowczo odmówił mi upoważnienia do takiego oświadczenia. Upierałem się, ale nie mogłem zmienić jego decyzyi. Król zakończył rozmowę oświadczeniem, że takiego zobowiązania podjęć się nie może i nie chce, i że w takim przypadku musi sobie zastrzedz rozważenie okoliczności.”

W kilka godzin potém Benedetti donosi ks. de Grammont: „Król otrzymał odpowiedź Księcia Antoniego Hohenzollerna, donoszącą, że syn jego odstąpił od kandydatury do korony hiszpańskiej. Król upoważnia mnie donieść rządowi cesarskiemu, że na ten krok się zgadza. Król jednemu z swych adjutantów polecił uwiadomić mnie o tém i powtarzam dokładnie jego słowa. Ponieważ J. Król. Mość nie kazał mi nic powiedzieć względem żądanych rękojmi na przyszłość, prosiłem o ponowne posłuchanie, aby dokładnięj uzasadnić uwagi, uczynione dziś rano. Mam powody przypuszczać, że w tym względzie nie otrzymam żadnego ustępstwa.”

W nowęj depezy, nadesłanęj do Ems o godzinie 9<sup>1</sup>/<sub>2</sub>, ks. Grammont domaga się stanowczo, aby Benedetti uzyskał od Króla przynaj-

mniej oświadczenie, że na przyszłość, gdyby Ks. Hohenzollern powrócił do swęj kandydatury, zabroni mu tego; nieco optymistycznie książę de Grammont dodaje, iż ma powody mniemać, że wszystkie gabinety postępowanie rządu francuskiego uważają za „słuszne i umiarkowane.” Benedetti natychmiast odpowiada: „Na moją prośbę o ponowne posłuchanie Król przysłał mi odpowiedź, że nie może ponownie dyskutować ze mną o rękojmniach, dotyczących przyszłości. Król odwołuje się do swych porannych oświadczeń. Jak mi wysłaniec oświadczył w jego imieniu, Król wypowiada zupełne i bezwzględne przyzwolenie na rezygnacyę Ks. Leopolda, więcęć uczynić nie może.”

Nazajutrz (14-go Lipca) w południe, nie domyślając się jeszcze, że tymczasem wojna stała się niemiunikioną, hr. Benedetti przybył na dworzec, aby się pożegnać z odjeżdżającym po skończonej kuracyi do Kolblencyi Królem Wilhelmem. Król powiedział mu grzecznie, że nie może mu więcęć niczego oznajmić i że ewentualne dalsze rokowania odbędą się drogą urzędową (depesza Benedettego z 14-go Lipca). Król z ambasadorem rozstał się więcęć według wszelkich prawideł kurtoazyi. Hr. Benedetti był gorliwym zwolennikiem sojuszu z Prusami, a względem ks. Bismarcka, pomimo bolesnych doświadczeń w r. 1866, ciągle grzeszył dziwnym optymizmem. Dopiero w drodze do Paryża, z dzienników, które ogłosiły sławną *depeszę emską*, p. Benedetti dowiedział się, że... doznał afrontu w Ems i że zatarg stał się niemiunikionym. Zanim jednak przystąpimy do wyjaśnienia genezy tej sławnej depeszy, trzeba nam jeszcze udowodnić, jak się ludził ks. de Grammont, gdy przypuszczał, że wszystkie gabinety pochwalają zachowanie się rządu francuskiego.

Tak było aż do 12-go Lipca, ale z rezygnacyą Ks. Leopolda i z wysunięciem ze strony rządu francuskiego nowego żądania, sytuacja nagle się zmieniła. Wszystkie gabinety sądziły, że rząd francuski powinien się zadowolnić cofnięciem kandydatury pruskiej i nie żądać więcęć. I tak najgorętszy przyjaciel, a właściwie sprzymierzeniec Francyi, hr. Beust, w depeszy do ks. Metternicha (13-go Lipca) zaleca rządowi francuskiemu zadowolnić się osiągniętym dyplomatycznym sukcesem (rezygnacyą Ks. Leopolda) i nie żądać dalszych ustępstw. Nie mniej przychylny Francyi minister angielski, Gladstone, oświadcza przed ambasadorem pruskim, że rząd francuski, nie zadawalniając się rezygnacyą Ks. Leopolda, staje na stanowisku wyraźnie nieprawném<sup>1)</sup>. Wreszcie ks. Górczakow 13-go Lipca rozesłał do ambasad russkich

<sup>1)</sup> Depesza bar. Bernstorffa, odczytana przez kanclerza Capriviego na posiedzeniu sejmu niemieckiego 23 Listopada r. 1892.

depeszę téj treści: „Nie pojmujemy, dlaczego Francya, po dobrowolném zrzeczeniu się Ks. Leopolda, nie uważa sprawy za załatwioną”<sup>1)</sup>.

Słowem, nastąpiła dla Francyi zmiana niepomysłna, z której skorzystał ks. Bismarck.

### III. W Berlinie.

Jeszcze za pobytu Benedettego w Ems, 13-go Lipca wieczorem, berlińska agencya telegraficzna Wolffa zakomunikowała dziennikom niemieckim, tudzież zagranicznym agencyom, następującą depeszę, która nazajutrz rano ukazała się we wszystkich dziennikach europejskich:

„Po uwiadomieniu cesarskiego francuskiego rządu przez hiszpański o rezygnacyi Księcia Hohenzollerna, ambasador francuski w Ems zażądał jeszcze od Jego Król. Mości upoważnienia do wysłania depeszy do Paryża, że Król zobowiązuje się na przyszłość nie przyzwolić nigdy na to, aby Hohenzollernowie mieli powrócić do swéj kandydatury; Jego Królewska Mość na to odmówiła przyjąć ponownie ambasadora francuskiego i uwiadomiła go przez służbowego adjutanta, że Jego Królewska Mość nie ma nic do powiedzenia ambasadorowi.”

Zestawiając tę depeszę z przytoczonymi powyżéj raportami hr. Benedettego, dostrzegamy natychmiast bardzo, przynajmniej według kodeksu dyplomatycznego, ważnéj różnicy. Król Wilhelm wzbraniał się tylko ponownie dyskutować z nim o znaném żądaniu. I nietylko nie wzbraniał się przyjąć ponownie hr. Benedettego, lecz, przeciwnie, pozwolił mu nazajutrz przybyć na pożegnanie na dworzec i tam z nim rozmawiał grzecznie, choć krótko. Francyi więc powyższa depesza oznajmiała afront, którego nibyto doznał jéj ambasador, chociaż rzeczywiście nie doznał go wcale. Przeciwnie, pomijając milczeniem poprzednie trzy rozmowy Benedettego z Królem, wobec publiczności niemieckiej depesza przedstawiała rzecz tak, jak gdyby dopiero po rezygnacyi Ks. Leopolda nagle ambasador francuski był natarł na Króla z przesadném żądaniem. Słowem, autor depeszy z szatańską zręcznością obliczył efekt, który musiał być zarówno silnym we Francyi, jak w Niemczech.

<sup>1)</sup> Depesza Ks. Reuss, odczytana na témże posiedzeniu.

To też od 20-tu lat dziejopisarze i dyplomaci usiłowali dociec, w jaki sposób ta depesza powstała? Benedetti nazwał ją natychmiast fałszerstwem. Że jednak i później rzecz nie była uważana jako całkiem wyjaśniona, świadczą o tém dostatecznie uwagi hr. Beusta w jego „Pamiętnikach”, wydanych w r. 1887, a zatem w 17 lat później. Nagle sam autor—publicznie pochwalił się swém dziełem. W rozmowie z literatem berlińskim Hardenem, ogłoszonej w tygodniku „Zukunft” 27 Października r. b., ks. Bismarck, wspominając pobieżnie o sztuczках redakcyjnych, oświadczył: „Jak to łatwo zmienić myśl bez fałszowania, tylko za pomocą opuszczenia i wykreśleń! Sam raz spróbowałem tego jako redaktor emskiej depeszy. Król mi ją nadesłał z poleceniem, abym ją ogłosił w całości lub częściowo, a kiedy zredegowałem ją przy pomocy skróceń i kresek, obecny przy tém Moltke zawołał: „Przedtém była to *szamada*, teraz jest *fanfara*!”<sup>1)</sup> Tym cynicznym wynurzeniem ex-kanclerza zawdzięczamy nową powódź rewelacyi, wyjaśniających najdokładniej genezę depeszy emskiej.

Dotąd znanym był tylko raport przybocznego adjutanta, ks. Antoniego Radziwiłła, z 13 Lipca r. 1870. Raport ten, uważany dotąd za podstawę depeszy, którą p. Bismarck „zredegował” tegoż dnia po południu w Berlinie, brzmi:

„N. Pan, wskutek rozmowy z hr. Benedettym na promenadzie, raczył o godzinie 2-jej po południu wysłać mnie do hrabiego z następującym rozkazem: Jego Kr. Mość przed godziną listownie od Ks. Hohenzollerna otrzymał zupełne potwierdzenie tego, co mu hrabia z rana oznajmił względem zrzeczenia się Ks. Leopolda kandydatury do tronu hiszpańskiego. J. Kr. Mość tém samém tę sprawę uważa jako zakończoną.

„Gdy się wywiązałem z polecenia mego, hr. Benedetti oświadczył, że po swój rozmowie z Królem otrzymał nową depeszę ks. de Grammont, który mu poleca prosić ponownie o posłuchanie u Króla i przedłożyć mu życzenia rządu francuskiego, aby:

- 1) Król rezygnacyę Księcia Hohenzollerna zatwierdził; tudzież
- 2) dał zapewnienie, że także na przyszłość ta kandydatura nie będzie ponownie podjęta.

„Na to N. Pan przeze mnie kazał hrabiemu odpowiedzieć, że rezygnacyę Księcia w tym samym sensie i w tych samych rozmiarach zatwierdza, w jakich przedtém przyzwolił był na tę kandydaturę<sup>2)</sup>. Pi-

<sup>1)</sup> *Scamada* — sygnał, używany przy poddaniu się fortecy; *fanfara* — sygnał ataku.

<sup>2)</sup> To znaczy: jako naczelnik rodu, ale nie jako Król pruski.



śmienne uwiadomienie o rezygnacyi Król otrzymał od Ks. Antoniego Hohenzollerna, który do tego został upoważniony przez Ks. Leopolda. Względem drugiego punktu, zapewnienia na przyszłość, Król może się powołać tylko na to, co z rana odpowiedział hrabiemu osobiście.

„Hr. Benedetti przyjął te oświadczenia J. Kr. Mości z wdzięcznością i oświadczył, że stosownie do upoważnienia przesłał je swemu rządowi. Co jednak dotyczy drugiego punktu, ze względu na ostatni, wyraźny rozkaz ks. de Grammont, widzi się zmuszonym obstawać przy prośbie o ponowne posłuchanie u Króla, chociażby tylko celem usłyszenia tych samych słów z ust Króla, zwłaszcza, że w ostatniej depeszy znajdują się nowe argumenta, które pragnie przedłożyć Jego Kr. Mości.

„Na to N. Pan hr. Benedettemu przeze mnie po raz trzeci, po obiedzie około godziny 6-jej, kazał powiedzieć, że musi stanowczo odmówić dalszej dyskusyi względem tego ostatniego punktu (rękojmi na przyszłość). Co powiedział rano, jest ostatniem słowem w tej sprawie, i może tylko się na nie powołać.

„Uwiadomiony, że na przybycie hr. Bismarcka do Ems także na dzień następny liczyć z pewnością nie można, hr. Benedetti oświadczył, że zadawałniam się oświadczeniem Króla.”

Przytoczony raport ks. Radziwiłła zgadza się zupełnie z depeszami Benedettego, a mianowicie nie zawiera wcale twierdzenia, jakoby Król był odmówił ambasadorowi posłuchania, gdyż wzbraniał się tylko dyskutować z nim ponownie o ściśle oznaczonym punkcie. W zestawieniu z urzędowym raportem ks. Radziwiłła depesza emska zasługuje niewątpliwie na nazwę falsyfikatu.

Jednakże na posiedzeniu sejmu niemieckiego 23 Listopada r. 1892 kanclerz Caprivi odczytał drugi, nieznaný dotąd, cyfrowany raport dyrektora kancelaryi królewskiej, radcy legacyjnego Abekena, wysłany z Ems 13-go Lipca r. 1870 o godzinie 3 minut 40 po południu, oddany w Berlinie tegoż dnia o godzinie 6 minut 9. Raport ten brzmi:

„Ems, 13 Lipca 1870. J. Kr. Mość pisze mi: „Hr. Benedetti napadł mnie na promenadzie, aby nakoniec bardzo natarczywie domagać się upoważnienia do wysłania depeszy, że na zawsze (in alle Zukunft) zobowiązuję się nie przyzwolić, żeby Hohenzollernowie mieli powrócić do swęj kandydatury. Odpowiedziałem mu wreszcie dość poważnie, że nie można *à tout jamais* podejmować się takich zobowiązań. Naturalnie powiedziałem mu, że nie otrzymałem jeszcze żadnego uwiadomienia (o rezygnacyi), i że, skoro on sam wcześniej został uwiadomiony z Madrytu i Paryża, powinien się z tego przekonać, że mój rząd jest tój całej sprawie obcym.” N. Pan potém otrzymał list Księcia (Hohenzollerna). Ponieważ N. Pan powiedział Benedettemu, że oczekuje odpo-

wiedzi od Księcia, ze względu na owo żądanie, na moje i hr. Eulenburga przedstawienie, postanowił nie przyjmować więcej hr. Benedettego, lecz tylko przez swego adjutanta oznajmił mu, że od Ks. Hohenzollerna otrzymał potwierdzenie wiadomości, którą Benedetti odebrał z Paryża, i że nie ma mu nic innego do powiedzenia. N. Pan pozostawia do decyzji W. Excellencyi, czyby nie należało zaraz naszym legacyom i prasie zakomunikować nowego żądania Benedettego i odmownej odpowiedzi Króla."

Oczywiście tekst tego drugiego raportu tonem poniekąd się różni od raportu ks. Radziwiłła, ale także depesza Abekena nie zaznacza, aby Król kazał powiedzieć Benedettemu, że go więcej nie przyjmie. Postanowił na tajnej naradzie, że ambasador francuski nie otrzyma nowego posłuchania, a oświadczyć mu to publicznie — są to w zwyczajach dyplomatycznych bardzo różne rzeczy. A zatém zręczna „redakcja” hr. Bismarcka niewątpliwie wielce zaostrzyła sprawę, zwłaszcza, że Król upoważnił go *tylko* do ogłoszenia nowego żądania Benedettego i odrzucenia tego żądania. Samo odrzucenie żądania zapewne nie byłoby pociągnęło za sobą wojny; ta stała się dopiero nieuniknioną, gdy się rozeszła wieść, że to odrzucenie nastąpiło w sposób, ubliżający reprezentantowi Francji u dworu Króla pruskiego.

W jakichże więc okolicznościach odbyła się owa doniosła „redakcja” depeszy emskiej? Najdokładniej wyjaśniają tę ciekawą zakulisową pracę własne zwierzenia ks. Bismarcka na jednym z wieczorków w pałacu po-radziwiłłowskim, spisane natychmiast przez jednego z gości, zapewne członka sejmu niemieckiego, ogłoszone wreszcie w wiedeńskiej „Neue Freie Presse” z 20 Listopada r. b.

Według tych rewelacyi, książę Bismarck (przed kilku laty) oświadczył: Wokoło ważnych wypadków zawsze wije się wieniec legendy. Jest to rzeczą bardzo dobrą. Są pewne legendy, których nie należy zburzać. Król przebywał w Ems, ja znajdowałem się w Warzinie, gdy w Paryżu wybuchła wrzawa z powodu kandydatury Ks. Leopolda Hohenzollerna do tronu hiszpańskiego. Francuzi zupełnie stracili głowę. Odnosi się to mianowicie do rządu z Ollivierem na czele, który w żadnej mierze nie dorastał sytuacji i nie domyślał się wcale, czego miał nabroić swemi przechwałkami w ciebie prawodawczém. Sytuacja była nader korzystną dla nas. Znajdowaliśmy się w położeniu wyzwanym, ponieważ zaś wszyscy pojnowaliśmy konieczność wojennej rozprawy z Francją, chwila obecna wydawała się bardzo stosowną do rozpoczęcia walki. Opuściłem więc Warzin, aby się rozmówić w Berlinie z Moltkem i Roonem. W drodze otrzymałem depeszę: „Ks. Antoni Hohenzollern, celem zabezpieczenia pokoju, cofnął kandydaturę

swego syna Leopolda. Wszystko znajduje się w najpiękniejszym porządku.”

Wiadomość ta przeraziła mnie. Zapytałem się: czy kiedykolwiek nastęrczy się nam równie pomyślna okazyja? Przybywszy do Berlina, zwołałem Rolandta i rzekłem mu: „telegrafuj do domu, że za trzy dni powrócę.” Równocześnie telegrafem zażądałem od Króla dymisyi. W odpowiedzi otrzymałem wezwanie do Ems. Rozumiałem doskonale, że jeżeli się udam do Ems, wszystko się zgubi w piasku; w najlepszym razie skończy się na zgniłym kompromisie; jedynie możliwe, honorowe i wielkie rozwiązanie kwestyi będzie wtedy wykluczone; trzeba dołożyć wszelkich starań, aby sprowadzić Króla do Berlina, gdzie wyraźniej odczuje bicie pulsu ludowego, niż w Ems. W słowach najpokorniejszych odpowiedziałem więc, że w tej chwili żadną miarą nie mogę wyjechać z Berlina.

Na szczęście tymczasem rozzuchwaleni i krótkowidzący Francuzi uczynili wszystko, aby wóz ugrzązł w błocie. Żądali od Króla podpisania listu, zawierającego głębokie upokorzenie. Król w drodze telegraficznej zasięgnął mojej rady. Odpowiedziałem z najczystszeń sumieniem, że podpisanie jest niemożliwem.

Wieczorem 13-go <sup>1)</sup> byli u mnie na obiedzie Moltke i Roon. Rozbierałiśmy wszystkie ewentualności. Wszyscy żywiliśmy nadzieję, że niedorzeczne zachowanie się Francyi, dziwaczne żądanie, z którym wystąpiła wobec Króla, usunie niebezpieczeństwo małodusznego i niechlubnego rozwiązania. W tém nadchodzi depesza z Ems, rozpoczynająca się od słów: „Po nadejściu wiadomości o rezygnacyi Ks. Leopolda... ambasador francuski zażądał jeszcze od Króla przyrzeczenia...” i t. d. Następowato dłuższe wyjaśnienie w tym sensie, że Król powołał się na to, co poprzednio powiedział Benedettemu; hr. Benedetti z wdzięcznością przyjął tę odpowiedź, zapewniając, że ją zakomunikuje swemu rządowi. Tymczasem zażądał powtórnej audyencyi, chociaż tylko, aby z ust samego Króla usłyszeć potwierdzenie słów, wypowiedzianych na promenadzie. Depesza kończyła się słowami: „N. Pan odmówił ponownego przyjęcia ambasadora i uwiadomił go przez swego adjutanta, że mu nie ma niczego do powiedzenia.”

Gdy odczytałem głośno depeszę, Roon i Moltke równocześnie rzucili noże i widelce na talerz i odsunęli się od stołu. Powstała długa pauza. Byliśmy wszyscy przygnębieni. Czuliśmy: skończy się na niczem. Wtedy zapytałem Moltkego: Czy narzędzie, potrzebne do wojny,

<sup>1)</sup> Przez omyłkę w „Nene freie Presse” podana jest data 14-go Lipca; ale redakcyja depeszy odbyła się 13-go Lipca.

czy wojsko rzeczywiście jest tak dzielne, że możemy rozpocząć wojnę przy prawdopodobieństwie zwycięstwa?—Z największą stanowczością Moltke odpowiedział: Nigdy nie mieliśmy lepszego narzędzia, jak w tej chwili. Roon, któremu mniej ufałem, najzupełniej potwierdził słowa Moltkego.

— Proszę więc nie przerywać obiadu, — rzekłem do gości, przysiadłem obok do małego stolika marmurowego, odczytałem uważnie depeszę, wzięłem do ręki ołówek, wykreśliłem całe środkowe zdanie o prośbie Benedettego o nową audyencyę, i t. d. Słowem pozostawiłem tylko początek i koniec. *Teraz istotnie depesza wyglądała nieco inaczej.* Gdy ją odczytałem w poprawnym wydaniu, Moltke i Roon zawołali:

— „Wspaniale! to musi skutkować!“ (a według ostatnich rewelacji ks. Bismarcka: „Przedtém było to szamań, teraz jest fanfarą!“).

Z najlepszym apetytem spożywaliśmy obiad. Wydałem natychmiast rozkaz wysłania depeszy do dzienników i poselstw. Jeszcze siedzieliśmy przy obiedzie, gdyśmy już otrzymali pożądaną wiadomość o wrażeniu, jakie sprawiła w Paryżu. Było to wrażenie pękającej bomby.

Gdy w rzeczywistości Królowi naszemu uczyniono obrażającą propozycyę, na Francuzach depesza sprawiła wrażenie, jak gdyby ich główny reprezentant był doznał obelgi ze strony Króla. Cała hołota bulwarów wołała, że tego nie można ścierpieć. Tłumy wybuchły okrzykiem: „à Berlin, à Berlin!“ Pożądane usposobienie powstało.

Podobnież depesza oddziałała z tej strony Renu. Król, zdecydowany się na moje nalegania, przerwał kuracyę, powrócił do Berlina i był poprostu zdumiony zapałem, z jakim go witała ludność. Zrazu nie pojmował wcale, co się tym czasem wydarzyło. Grzmiące okrzyki, któremi go tutaj przyjęto, najżywiej wzruszyły sędziwego pana. Poznał, że to była naprawdę narodowa, ludowa wojna, której naród pragnął, której potrzebował.

Już przed powrotem Króla do Berlina, otrzymaliśmy od niego pozwolenie na uruchomienie przynajmniej części wojska. Wysiadając z wagonu, następcą tronu na dworcu umyślnie bardzo głośno rozmawiał o zamierzonym uruchomieniu i wtedy powtarzały się grmiące okrzyki. Gdyśmy przybyli do zamku, Król był już zdecydowany na uruchomienie całego wojska. —

Oto geneza sławnej, a raczej osławionej, depeszy emskiej. Wprawdzie powyższa rewelacya dziennika wiedeńskiego nie posiada doniosłości urzędowego dokumentu; atoli jest ona tak zgodną z tém wszystkim, co wiemy z innych źródeł, tak wiernie cechuje brutalny charakter Żelaznego Kanclerza, tak dobitnie potwierdza jego ostatnie wynu-

rzenia przed Hardenem, że bez wahania możemy ją uważać jako całkiem autentyczną.

Po nadejściu fatalnej depeszy do Paryża, rząd cesarski natychmiast wydał rozkazy zwołania obrony krajowej. 15-go Lipca odbyły się rozstrzygające rozprawy w Ciele prawodawczém, które 245 głosami przeciwko 10 uchwaliło kredyta wojenne.

Sens moralny tragicznego prologu najkrwawszej wojny wybornie tegoż dnia streścił ambasador austriacko-węgierski w Paryżu, ks. Metternich, w depeszy do Beusta w tych kilku słowach: „Wielu tutaj powiada, że rząd z nieostrożną namiętnością rzucił się na pierwszy pretekst rozpoczęcia wojny z Prusami; ale nie trzeba zapominać, że w danych okolicznościach najłżejszy pretekst musiał obudzić wszelką, zaledwie uszpiętą po r. 1866, drażliwość narodu francuskiego, i że iskra, wrzucona do tlejącego popiołu, musiała rozognić ten materiał niezadowolonia, gorzkich usposobień i zazdrosnych podejrzeń.”

E. LIPNICKI.

Wiedeń, w Grudniu 1892 r.

---

# KRONIKA GALICYJSKA.

---

W poprzedniej kronice dałem był przegląd ogólny stosunków własności ziemskiej w Galicyi. Z przeglądu tego wynikało, że własność wielka, t. j. posiadłości, obejmujące po 1,000 morgów i wyżej zajmują przeszło  $\frac{2}{6}$  całego obszaru kraju, własność drobna, przeważnie niżej 10 morgów, przeszło  $\frac{3}{6}$  obszaru kraju, na pośrednie zaś pod względem rozmiarów kategorye własności ziemskiej przypada zaledwie 6.1% obszaru kraju. Wskazałem, jak niekorzystnym jest to dla rozwoju naszych stosunków, że owe pośrednie kategorye własności ziemskiej są tak szczupło reprezentowane, i że, biorąc miarę ze zmian w szeregu lat kilkunastu, szczupłej one coraz bardziej, raz przez dokupywanie nowych majątków ze strony właścicieli wielkich, powtóre, jeszcze bardziej, przez parcelacyę średnich majątków na drobne cząstki, które nabywają włościanie, zwłaszcza w zachodniej części kraju. Wskazałem też na silny prąd emigracyjny, który od dłuższego szeregu lat występuje stale, mianowicie w zachodniej części kraju, a który znajduje swe wytłómaczenie w szybkim wzroście ludności naszej, zawierającej wczesnie związki małżeńskie i bardzo płodniej, w zwyczaju dzielenia gruntów, mianowicie w drodze spadku, który to zwyczaj popierają przepisy prawa spadkowego, a wreszcie w braku zajęć przemysłowych, które-by dawały zarobek nadwyżce ludności, nie znajdującą utrzymywania przy pracy rolniczej.

Wobec zaludnienia bardzo gęstego, jak na okolice czysto rolnicze, wobec tego, że w oddaleniu od miast większych i od znacznie większych kompleksów lasowych zarobek jest tylko przy roli i trwa tylko przez część roku, mamy w wielu okolicach Galicyi, tak na zachodzie, jak i na wschodzie, gotowy materiał emigracyjny. Stanowią go: komornicy, chałupnicy, a wreszcie i właściciele, 1, 1½ do 2 morgów ziemi, którzy zbyt mało mają, aby prowadzić porządne gospodarstwo rolnicze, gdyż bydła pociągowego nie mogą utrzymać, chyba wyjątkowo tam, gdzie jest stały zarobek z furmanki.

Obok prądu emigracyjnego ku zachodowi, a mianowicie do Ameryki, istniał u nas dawniejszy, lecz mniej znaczny i mniej też znany prąd wychodźstwa, częściej czasowego tylko, lecz w dalszym następstwie nieraz i stałego, na wschód południowy, do Mołdawii, do Bessarabii, a także i do gubernii Podolskiej lub i dalej. Ci którzy z tych stron wracali w jesieni, przynosili zarobek, który miejscowi ludzie oceniają na około 30 rubli na głowę; ci, którzy dłużej przebywali, przywozili zazwyczaj większe oszczędności, stosownie do tego, jakie zajęcie udało im się znaleźć i jaka była ich pracowitość i oszczędność.

Można się spodziewać, że prąd emigracyjny, który tak dobitnie zmanifestował się w bieżącym roku w powiatach na wschodniem pograniczu Galicyi, ponawiać się będzie w tych powiatach i w powiatach sąsiednich, których stosunki ekonomiczne są podobne, przy różnych sposobnościach, w kierunku tym lub owym, w którym zaświeci nadzieja polepszenia bytu. Zadanie społeczeństwa i władz wobec tej emigracyi jest także, jak i wobec każdej innj: o ile tej warstwie ludności, która okazuje skłonność do emigracyi, można stworzyć lepsze warunki bytu na miejscu przez otworzenie nowych źródeł zarobku, przez podniesienie produkcyi rolniczej, przez rozwój ubocznych gałęzi gospodarstwa wiejskiego, przemysłu domowego, a wreszcie większych przedsiębiorstw przemysłowych w owych okolicach, należy to koniecznie i rychło uczynić. Nie ulega żadnej wątpliwości, że właśnie ta część kraju pod temi względami w tyle pozostała, pomimo, że zaludnienie jej jest bardzo gęste. Obok tego należy ułatwić ludności wiejskiej nabywanie ziemi na dogodnych warunkach spłaty, mianowicie przez odprzedaże nazbyt wielkich a zadłużonych folwarków większej własności.

---

W usiłowaniach około podniesienia chowu bydła rogatego w Galicyi, podejmowanych przez obydwa krajowe towarzystwa rolnicze, zrazu własnymi siłami, następnie przy pomocy subwencyi rządowych,

zwiększonych znacznie po roku 1880, kiedy zamknięto granicę dla dowozu bydła stepowego, nastąpił obecnie zwrot bardzo ważny. Z dniem 10 Grudnia zaczęła obowiązywać ustawa krajowa z dnia 20-go Lipca 1892 roku o licencyonowaniu buhajów i o utrzymywaniu buhajów gminnych. Według tej ustawy wolno puszczać do cudzego bydła tylko takie buhaje, które komisye, urzędujące w każdym powiecie, uznają za zdadne do rozplodu, wystawiając dla nich licencye, ważne na rok jeden. Jeżeli w gminie niema tyłu buhajów licencyonowanych, ile komisya uważa za potrzebne, wówczas gmina obowiązana jest zaradzić temu brakowi, czy to przez zawarcie ugody z prywatnym właścicielem buhaja, czyli téż przez zakupienie i utrzymywanie jednego, a w razie potrzeby i więcéj, własnych gminnych buhajów. Sąsiadujące gminy, mające małą ilość bydła rozplodowego, mogą się łączyć celem wspólnego utrzymania buhaja. Koszta zakupna i utrzymania buhaja gminnego, o ile z innych źródeł nie były-by pokryte, będą ponosić właściciele krów i jałówek w gminie, którzy nie utrzymują własnych buhajów, a to w stosunku do ilości posiadanych krów i jałowic. Właściciele buhajów nielicencyonowanych, również jak właściciele krów i jałowic, którzy przekraczają przepisy powyższe, będą karani grzywnami pieniężnymi.

Aby ułatwić gminom nabywanie własnych buhajów, utworzył sejm fundusz osobny, z którego będą udzielane gminom pożyczki na zakupno buhajów gminnych. Fundusz ten ustanowiono na razie w wysokości 50,000 złr. Zwroty pożyczek wpływać będą napowrót do tego funduszu.

Celem przygotowania należycie gruntu dla nowéj ustawy, a przede wszystkim celem przysporzenia popisów we wszystkich okolicach kraju odpowiedniej liczby buhajów, postanowiła ustawa sześćioletni okres przejściowy, w którym poszczególne gminy, okolice, a nawet całe powiaty będą mogły uzyskiwać ulgi czasowe od przepisów tej ustawy. Równocześnie przeznaczył sejm kwotę 30,000 złr. rocznie przez lat dziesięć na podniesienie chowu bydła rogatego, zwłaszcza w tych okolicach, w których ustawa nie będzie mogła odrazu wejść w zastosowanie i wezwał rząd do przeznaczenia na ten sam cel kwoty przynajmniej takiej saméj z funduszków państwowych. Ządaniu temu rząd przyrzekł już uczynić zadość, tak, iż odtąd rozporządzać będzie praca około podniesienia chowu bydła rogatego w Galicyi, zamiast dotychczasowych 20,000 złr. subwencji rządowej, kwotą 60,000 złr. rocznie, prócz wspomnianego poprzednio funduszu pożyczkowego i oprócz kwot pieniężnych, jakie w tym samym celu przyznawały rady powiatowe z własnych funduszków.

Akcyja w przedmiocie chowu dydła rogatego zaczyna rozwijać się na szerszy rozmiar w chwili bardzo dogodnej, bo w czasie, kiedy ceny



bydła podniosły się, wskutek częściowego otwarcia granicy niemieckiej, a produkta gospodarstwa mlecznego spotykają się z coraz większym popytem. To też akcja ta została bardzo przychylnie przyjętą przez ludność włościańską, czego dowodem są znaczne kwoty, pochwalane na ten cel z funduszków powiatowych, i to przeważnie jednomyślnie.

Wydział krajowy postanowił pozostawić zarząd funduszami, przeznaczonemi przez sejm na podniesienie chowu bydła, obu krajowym towarzystwom rolniczemu, które zarządzają subwencyami państwowemi na te same cele, i zażądał od towarzystw planu użycia tych subwencyi na przyszłość. Plan, przedstawiony przez towarzystwa, jest rozwiązaniem na znacznie szerszą skalę akcji dotychczasowej. Zasadzała się ona na tém, że sprowadzano z za granicy bydło czystej krwi i zakładano u znakomitszych gospodarzy obory pełnej krwi i pół-krwi. Właściciele obór otrzymywali bydło sprowadzone, przy oborach pół-krwi tylko buhaje, za pół ceny, a natomiast poddawali się przepisany przez towarzystwo warunkom co do utrzymania obory, prowadzenia ksiąg rodowodowych, sprzedaży przychowku za pośrednictwem komitetu towarzystwa i kontroli ze strony tegoż komitetu. Przychówek obór pełnej krwi zasila obory pół-krwi, a przychówek męski tych ostatnich dostarcza materiału dla stacyi rozplodników w liczbie około dwustu, rozmieszczonych po całym kraju, a przeznaczonych dla użytku włościan i innych mniejszych hodowców; komitet towarzystwa rolniczego dopłaca za utrzymywanie stacyi właścicielom, którzy na ten cel oddają własne rozplodniki do użytku włościan, albo też komitet oddaje w tym celu swoje rozplodniki na stacye. Obecnie zakładane będą nadal obory zarodowe pełnej krwi i pół-krwi, szczególnie zaś te ostatnie, a stacye utrzymywane będą w okresie przejściowym wszędzie, gdzie przepis ustawy o buhajach gminnych, poprzednio przytoczony, nie będzie mógł być odrazu zastosowany.

Rasy obcego bydła, które towarzystwa rolnicze sprowadzają do kraju i pielęgnują w oborach zarodowych, są przeważnie dwie: rasa Berneńsko-Simmenthalska dla okolic górskich, Podgórze i równin o suchych paszach, rasa zaś Oldenburska dla okolic nizinnych. Prócz tego, na zachodnim krańcu kraju utrzymywanem bywa na Podgórzu bydło rasy krajowej, a następnie dla błotnistych i lesistych okolic wzdłuż północnej granicy kraju wychowuje komitet lwowskiego towarzystwa rolniczego w dwóch oborach bydło krajowe drobniejsze, miejscowego typu dawniej puszczy Sandomierskiej, jedyne, jakie w tamtejszych warunkach istnieć może u włościan. Te same rasy będą i nadal objęte programem hodowli. Celem zaś szybszego dostarczenia bydła poprawnego dla gmin, potrzebujących rozplodników, zamierza komitet lwowskiego towarzystwa popierać najusilniej chów bydła w tych okolicach

górkich, gdzie, podobnie jak w Szwajcaryi, warunki miejscowe szczególnie sprzyjają rozwojowi bydła rogatego, i wytworzyć tam gniazda wychowu (pepiniery), skąd poprawne bydło mogło-by być sprzedawane w inne okolice. Dwa takie gniazda wytworzyły się już wskutek dotychczasowych usiłowań lwowskiego towarzystwa rolniczego: w okolicy Kamiennój pod Nadworną i w okolicy Zarzyna w Sanockiem. W obu okolicach długoletni przykład większych właścicieli i pouczania z ich strony, a następnie subwencye, rozdzielane przez towarzystwo rolnicze, oddziaływały na włościan w tym stopniu, że z największą starannością oddają się hodowli, a bydło rozplodowe, wychowane przez siebie, sprzedają po wysokich cenach, nieraz nawet większym właścicielom, co oczywiście jest najdzielniejszą do dalszych usiłowań zachętą.

Oprócz powyżej wspomnianych, objęte są planem, przedstawionym przez towarzystwa rolnicze, jeszcze dalsze kierunki akcji, a mianowicie: premiovanie bydła włościańskiego na wystawach przeglądowych, środki, na szerokie rozmiary i z wielkim powodzeniem używano od dawna w zachodniej i środkowej Europie, a od dłuższego czasu i u nas; dalej premiovanie wzorowych stajen włościańskich; dostarczanie włościanom nasion odpowiednich roślin pastewnych; wreszcie wydawanie dzieł popularnych o chowie bydła, o gospodarstwie nabiałowym, o konserwowaniu paszy i t. p.

Należy spodziewać się, że sprawa około podniesienia chowu bydła rogatego, jeżeli konsekwentnie i wytrwale będzie nadal prowadzoną, z uwzględnieniem doświadczeń, poczynionych w latach poprzednich, wobec znaczniejszych obecnie funduszów i przymusu, jaki wprowadza ustawa, przyczyni się znakomicie do rozwoju tej gałęzi gospodarstwa rolnego i do polepszenia bytu ludności włościańskiej, w której interesie obmyślane są przytoczone tutaj środki, objęte planem akcji.

---

Do istniejących w Galicyi dwóch wyższych zakładów dla nauki rolnictwa: wyższej szkoły rolniczej w Dublanach i wydziału rolniczego przy uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, przybędzie w przyszłości trzeci zakład tego rodzaju. Zamożny obywatel tutejszy, p. Kalikst br. Hohendorff, ofiarował swój majątek Szutromińce, w powiecie Zaleszczyckim, wartości przeszło 600,000 złr., na rzecz fundacyi wyższej szkoły rolniczej, która ma istnieć w tymże majątku. Fundacyą tą, która wejdzie w życie po śmierci fundatora, zarządzać będzie Namiestnictwo przy udziale lwowskiego towarzystwa rolniczego, jako fachowego doradcy. Wszakże, na życzenie fundatora, statut organizacyjny szkoły zaraz ma być ułożony i przedłożony jemu do zatwierdzenia, i wogóle

wszelkie inne czynności przygotowawcze mają być teraz przedsięwzięte. W łonie komitetu towarzystwa rolniczego, który zajmuje się ułożeniem statutu szkoły, powstała myśl, aby, nie zmieniając w niczem intencji szlacheznego fundatora, owszem, idąc w ślad jego wskazówek, uczynić nową szkołę jeszcze pożyteczniejszą dla społeczeństwa przez to, że jej się przekaze specjalne zadanie, jakiego nie spełnia żaden z dwóch istniejących zakładów wyższych rolniczych. Zadanie to polegało-by na tém, że szkoła w Szutromińcach, której majątek fundacyjny z woli fundatora nie ma być ani sprzedawany, ani wydzierżawiany, lecz we własnym zarządzie administrowany, jako gospodarstwo wzorowe, zysk przynoszące, miała-by być wyższą szkołą praktyczną poprawnego a zarazem rentującego się gospodarstwa dla tych, którzy ukończyli bądź szkołę Dublańską, bądź wydział rolniczy w Krakowie, bądź wreszcie wyższy zakład rolniczy po-za obrębem Galicyi. Potrzebę takiego uzupełnienia studyów przeważnie lub wyłącznie teoretycznych w zakresie rolnictwa przez naukę praktyczną, pod kierunkiem wykształconych teoretycznie a doświadczonych w praktyce zawodu swego agronomów, uczuwają u nas powszechnie gospodarze wiejscy. Myśl zatem podania ku temu sposobności i ułatwienia takiej nauki przez opędzenie kosztów utrzymania dla niezamożnych uczniów znajdzie pewnie przychylne przyjęcie i okaże się dobroczynną w zastosowaniu.

---

Rozszerzenie i ulepszenie komunikacyi w Galicyi, mianowicie zaś rozszerzenie znaczne sieci kolejowej w ciągu ostatnich lat dziesięciu (długość linii kolejowych w Galicyi wzrosła z 1,685 kilometrów w roku 1880 na 2,706 kilometrów w 1891), miało między innemi ten skutek, że zwiększyło bardzo znacznie eksploatacyę lasów i wywóz drzewa za granicę. Według statystyki kolejowej niemieckiej, wywieziono z Galicyi do Niemiec drzewa i wyrobów drzewnych: w 1885 roku 14,386 ton (tonna = 1,000 kilogr.), w 1886 roku 63,106 ton, w 1887 r. 69,704 ton, w r. 1888—106,539 ton, w r. 1889—167,467 ton, w r. 1890—182,402 ton. Ujemną stroną w tym rozwoju handlu wywozowego drzewem jest najpierw nadmierne wyrąbywanie lasów, nie liczące się z zasadami racjonalnej gospodarki, zwłaszcza u tych właścicieli, którzy w ten sposób szukają ratunku w nadmierném odłужeniu, częściej zaś jeszcze u tych, którzy, kupiwszy, jak to u nas bardzo powszechnie bywa, znaczniejszy majątek bez dostatecznego kapitału, chcą przez sprzedaż lasu zyskać fundusze na pokrycie reszty ceny kupna. Na to jest rada w czujności władz administracyjnych i w odpowiedniej reformie ustawy lasowej, która jest w toku. Dalsza jednak ujemna strona leży w tém,

że sprzedający las, najczęściej na pniu, nie umieją ocenić, czy przeróbka częściowa materiału na miejscu nie była-by o wiele korzystniejszą i w jakim kierunku należało-by tę przeróbkę urządzić, słowem, nie zajął się wcale na użytkowaniu materiału drzewnego, który chcą zbyć, a nie mając nikogo, kto-by im udzielił fachowej rady w tym względzie, sprzedają na oslepek, kierując się jedynie według cen, osiągniętych w okolicy, i wybierając pomiędzy ofertami kupców tę, która im się wydaje najkorzystniejszą. Skutkiem tego dzieje się bardzo powszechnie, że drzewo sprzedawane bywa o wiele niżej ceny, jakoby można za nie osiągnąć ze względu na rosnący coraz bardziej popyt ze strony zagranicy, a szczególnie ze strony Niemiec, które nie mogą wcale obejść się bez naszego drzewa i, jak wskazują powyższe cyfry, coraz większą ilość drzewa od nas kupują, pomimo podwyższonych ceł wchodowych. Zysk, który w ten sposób ulywa właścicielom lasów, a wynosi rok rocznie bardzo znaczne sumy, w części tylko dostaje się krajowym handlarzom drzewa, gdyż i ci, będąc prostymi praktykami i nie znając się na sposobach najwłaściwszego użytkowania różnych gatunków drzewa, przyjmują ceny, ofiarowane przez zagranicę, starając się tylko o to, aby różnica między tēm, co płacą właścicielowi, a tēm, co sami dostaną za towar, była, ile możności, największą, i wyzyskując w tym celu przymusowe bardzo często położenie właściciela lasu.

W krajowej komisji dla spraw rolniczych, która jest doradczym organem Wydziału krajowego, podniesiono potrzebę zaradzenia temu niedostatkowi przez podanie sposobności do obznajomienia się z użytkowaniem drzewa, a mianowicie ze sposobami użytkowania najlepiej popłacającemi. Uznając tę potrzebę, Wydział krajowy postanowił wysłać na rok jeden za granicę, w szczególności do Francji i do Szwecji, profesora krajowej szkoły leśnej, p. Bronisława Lipińskiego, który następnie będzie mógł pracować skutecznie nad wykształceniem naszych leśników w kierunku dotąd zaniedbanym, a zarazem udzielać rady fachowej właścicielom lasów.

---

W roku 1894 ma odbyć się we Lwowie, w czasie od Maja do Października, wystawa krajowa. Komitet wystawy, zostający pod przewodnictwem prezesa towarzystwa rolniczego galicyjskiego, Księcia Adama Sapiehy, prosił Cesarza o przyjęcie protektoratu wystawy, co też Cesarz przyrzekł, zapowiadając swoje przybycie do Lwowa w r. 1893 podczas manewrów, a następnie w r. 1894 na wystawę. Komitet wystawy, podzieliwszy się na dwadzieścia ośm sekcji, rozpoczął już prace przygotowawcze.

Wystawa krajowa r. 1894 oddziaływa już teraz na miejscowe stosunki i urzędnia miasta Lwowa. Urządzenia projektowane w najznaczniejszej części nie są obliczone tylko na czas wystawy, lecz będą trwałym nabytkiem, który zbliży nasze miasto do tego stopnia urządzeń miejscowych, jakie wykazują wogóle większe miasta cywilizowanego świata. Odnosi się to przedewszystkiem do urządzeń komunikacyjnych. Miasto Lwów, zajmujące obszar bardzo rozległy, bo 31.6 kilometrów kwadratowych, ma dotąd tylko jedną linię kolei konnej, od dworca głównego do środka miasta, z odnogą do dworca na Podzamczu. Wypada tedy koniecznie pomyśleć o pomnożeniu kolei miejskich i różne już dawniej w tym względzie podniesiono projekta. Obecnie wystawa przyspieszyła urzeczywistnienie téj myśli i jest wszelka nadzieja, że z początkiem r. 1894 będziemy mieli we Lwowie drugą sieć kolei miejskiej, a mianowicie kolej elektryczną, która od dworca głównego będzie szła przez ulicę Sapielhy, zatém inną drogą, niż kolej konna, aż do rynku, a stamtąd koło Namiestnictwa aż do parku Stryjskiego i na plac wystawy (linia od parku na wystawę będzie czasowa), a z drugiej strony od Namiestnictwa do rogatki Łyczakowskiéj z odnogą do cmentarza. Prąd elektryczny prowadzony będzie ponad wozami przez druty, umocowane na słupach.

Dalszą zmianą, nad którą pracują obecnie władze miejskie, jest poprawa oświetlenia ulic. Rozbieraną jest sprawa zastąpienia światła gazowego światłem elektrycznym, i reprezentanci znakomitych firm, zajmujących się urządzeniem oświetlenia elektrycznego, przedstawiają swoje projekta i kosztorysy komisji, w tym celu wysadzonéj. Jednakże przy obecnym stanie elektrotechniki i dzisiejszych kosztach takiego oświetlenia, myśl zaprowadzenia elektrycznego oświetlenia ulic nie przedstawia się zbyt ponętnie, ze stanowiska finansowego mianowicie. Lwów znajduje się w tém położeniu, że za pięć lat kończy się układ jego z Dessauskiém towarzystwem gazowém i miasto obejmuje na własność urządzenie oświetlenia gazowego za bonifikacyą, w układzie umówioną. Wytwarzając samo gaz, będzie go dostarczać nierównie taniej, niż dotąd, i w lepszym gatunku, a zarazem obficie. Wpłynie to téż na oświetlenie elektryczne zakładów publicznych, hoteli, restauracyi, sklepów i mieszkań, ponieważ wytwarzanie światła elektrycznego za pomocą motorów gazowych wypadać będzie o wiele taniej. Natomiast dla polepszenia ulicznego światła gazowego już teraz będą użyte tak zwane siatki Auera, które czynią światło gazowe białém i silniejszym, a zarazem sprowadzać mają znaczną oszczędność w zużywaniu gazu.

Pod względem hoteli i restauracyi Lwów przedstawiał zawsze wiele do życzenia. Obecnie powstają jednak nowe hotele, a zwiększająca się konkurencya zniwala przedsiębiorców dawniejszych do więk-

szej dbałości o wygodę gości i do umiarkowania w cenach. Jeden z najdawniejszych i najbardziej renomowanych hoteli będzie przebudowany w r. 1893, a przy tej sposobności zostanie zniesiony róg tego hotelu, ścieśniający bardzo znacznie wstęp do ulicy Akademickiej, i otworzy się szeroki i piękny widok na tę ulicę, wiodącą z placu Maryackiego w stronę wystawy.

Życie towarzyskie we Lwowie, pomimo, że jesteśmy już w połowie Grudnia, bardzo mało jest ożywione i nie zapowiada większego ruchu w następnych miesiącach. Na uwagę zasługuje tym razem niezwykle liczny udział publiczności naszej, przeważnie pań, w odczytach, urządzanych na rozmaite cele dobroczynne. Przez dłuższy czas odczyty nie cieszyły się u nas znaczniejszym udziałem publiczności, którą zniechęcił był mniej odpowiedni dobór przedmiotów, a nieraz i sposób traktowania rzeczy przez prelegentów. Okazało się jednak w tym roku, że jeśli ci, którzy urządzają odczyty, poczynią starania, aby w jednym i drugim względzie zadowolnić publiczność, to sala będzie zapełniona, publiczność pośpieszy, aby posłuchać interesującego i z werwą wypowiedzianego wykładu, a cel finansowy też będzie osiągnięty.

Szczególny interes wzbudzają odczyty profesora uniwersytetu, d-ra Emila Dunikowskiego, który w bieżącym roku po raz wtóry zwiedził Stany Zjednoczone, tym razem dla zbadania stosunków żyjącej tam licznej ludności polskiej. Prof. Dunikowski, z zawodu geolog, poświęcił wstępny odczyt przeglądowi całej drogi, którą odbył; drugi odczyt zajęły opisy przyrody, zwłaszcza okolic t. zw. parku narodowego; dalsze odczyty zajmą się opisem położenia ekonomicznego i stanu umysłowego i moralnego ludności polskiej i obrazem jej rozsiedlenia na obszarze Stanów Zjednoczonych. Publiczność tutejsza z zajęciem czytała wrażenia z podróży, które prof. Dunikowski, i w tym, i w zeszłym roku, nadsyłał do jednego z dzienników tutejszych, tém chętniej tedy spieszyła na odczyty, które dużo ciekawych i zajmujących szczegółów podały. Z pośród innych prelegentów odznaczyli się korzystnie profesorowie historii, dr Finkel i dr Dembiński, tudzież ks. prałat Gnatowski.

U.

---

# Notatka do biografii Jana Andrzeja Morsztyna.

---

Przykro to przyznać, a przecież potrzeba, że w wiadomościach o życiu naszych pisarzy, zwłaszcza w. XVII, napotykamy co krok braki i muóstwo niepewności. W tym kierunku praca u nas jeszcze nie wyteczona, i potrzeba chyba przypadku, aby ta lub owa data w jaśniejszém przedstawiła się świetle.

Z téj ogólnej reguły nie jest wyjęte i życie Jana Andrzeja Morsztyna, jednego z najwybitniejszych poetów w. XVII, a głównego przedstawiciela wpływów francuskich i włoskich. Ostatniém słowem w jego biografii było studyum Tytusa Świderskiego, w r. 1878 w „Przewodniku naukowym” lwowskim pomieszczone, bo jakkolwiek po nim pisał o Morsztynie Dr P. Chmielowski we wstępie do wydania „Poezyi” (Warszawa u Lewentała 1883), nowych przecież nie podał szczegółów.

Nieznane pozostały dotąd szczegóły ważne, a mianowicie: rok i miejsce urodzenia i śmierci; miejsce i sposób kształcenia: w jakim celu bawił nad brzegami Suły? jaki miał udział w wojnie szwedzkiej? jaka była jego rola w rokoszu Lubomirskiego? kiedy został sekretarzem francuskim i jak się ta sprawa skończyła? kiedy sprawę listów traktowano? czy przyjeżdżał z Francyi do Polski?

O ile nam się udało powyższe braki wypełnić, lub gdzie-by wiadomości do nich poszukać, poniżej przedstawimy.

---

Jan Andrzej Morsztyn urodził się w r. 1613, a umarł d. 8 Stycznia 1693,—zatem *właśnie przed 200 laty*.

Dowód na to mamy w czasopiśmie politycznym w. XVII, p. t. „Theatrum Europaeum”, gdzie w t. XVII str. 518, pod r. 1693, czytamy, co następuje: „W tym czasie były Wielki Podskarbi w Polsce, p. Jan Andrzej Morsztyn umarł d. 8 Stycznia w 80 roku życia. Był przedtem nadzwyczajnym posłem we Francyi, równie jak u Jego Cesarzowskiej Mości i u Jego Królewskiej Mości Króla szwedzkiego, i u innych Książąt Rzeszy. Co zresztą zaszło w r. 1685, względem jego administracyi skarbu i innych spraw, jego urzędu dotyczących, o tém patrz między zdarzeniami tego roku w t. XII, fol. 852”<sup>1)</sup>. Jak widoczna, daty urodzenia niema wyraźnie wymienionej, lecz musimy ją tylko wykombinować ze słów „w 80 roku życia.” Jest ona zupełnie zgodna ze wszystkimi datami z życia późniejszego, najbliższa zaś hipotezy L. Siemieńskiego, który (w „Portretach literackich”) przyjmuje r. 1618, jako rok urodzenia, bo w 1638, kiedy pisał wiersz do dziadka Otfinowskiego, „*najmnie* mógł liczyć lat 20”, a podług naszych dat liczył lat 25.

*Gdzie* się urodził i *gdzie* umarł—pozostaje i nadal niewiadomym.

Co do miejsca i sposobu kształcenia się Morsztyna, możemy na razie tyle tylko zaznaczyć, żeśmy go między uczniami Akademii krakowskiej wcale nie znaleźli; a że, jak wiadomo i z listu jego do Otfinowskiego<sup>2)</sup>, i z wiersza do Stanisława Morsztyna<sup>3)</sup>, podróżował wiele i długo po Wenecyi, Włoszech, Malcie, Hiszpanii, Francyi, Niderlandach i Anglii, stąd wniosek uzasadniony, że tam wyższego nabył wykształcenia i zanętowania tak do włoskiej, jak i do francuskiej literatury.

O pobycie Morsztyna nad brzegami Semu i Suły, Psołu i Worskli nic pewnego powiedzieć nie można; niech nam jednak będzie wolno zauważyć, że ponieważ właśnie w latach 1646 i 1647 Władysław IV szukał za pomocą pieniędzy w tych okolicach sprzymie-

<sup>1)</sup> „Indessen war der gewesene Gross-Schatzmeister von Pohlen Herr Johann Andreas Morstein im 80-ten Jahre seines Alters den 8 Januarii Todes verblichen. Er war vor diesem Extraordinaire Abgesandter in Frankreich. wie auch bei Ihre Kayserlichen Majestät und Seiner Königl. Majestät von Schweden, und Anderen Fürsten des Reichs gewesen. Was auch sonst mit Ihm wegen Verwaltung des Schatzes und anderer sein Ampt belangender Stücken Anno 1685, vorgegangen, davon ist bey den Geschichten desselben Jahres in dem XII Theile fol. 852 nachzusehen.” Cytując i poniżej wiadomości, zaczerpnięte z tego pisma, będziemy je w skróceniu nazywać „Theatr. Europ.”

<sup>2)</sup> Lutniej Ks. I, 19. Wyd. warsz. z r. 1883, str. 72—73.

<sup>3)</sup> Lutniej Ks. I, 61 (str. 95—100).



rzeńców do wyprawy przeciw Turcyi, i to głównie z poduszczenia weneckiego posła Tiepolo, dosyć prawdopodobne było-by przypuszczenie, iż to właśnie Morsztyn w tym celu nad brzegi Semu jeździł i dłużej tam zabawiał. Był on już wówczas doświadczonym człowiekiem a wiernym królewskim sługą, tak, że na jego dyskrecyę i dobre wywiązanie się z zadania liczyć można było. Następne lata 1648 i 1649 pokazały, że istotnie potrzeba było dyskrecyi do *tajemnych* układów, na które się powoływano, i z powodu których w historii lat tych krwawemi głoskami zapisały się Żółte Wody i Korsuń...

Zwracamy się do udziału Morsztyna w wojnie szwedzkiej. Wiadomo, że jesienią r. 1654 z Grodna wyjechał Morsztyn w poselstwie do Szwecyi. Poseł elektora brandenburskiego, Dobrzański, donosi swemu panu ze Sztokholmu pod datą 30/1 1655, że Morsztyn znajduje się w Sztokholmie, ale ponieważ znaleziono pewne nieformalności w przywiezioném przez niego piśmie, rozgoryczenie raczej wzrośnie, aniżeli ustanie. Równocześnie donosi o zbrojeniu się Szwecyi tak na lądzie, jak i na morzu, o którym oficjalnie się nie mówi, ale które wyraźnie przeciw Polsce jest skierowane <sup>1)</sup>. Powrócił Morsztyn w Kwietniu ze Szwecyi <sup>2)</sup>, a wojska szwedzkie wkroczyły na Pomorze 14 Lipca 1655 r. Czy Morsztyn uszedł z dworem na Śląsk, czy pozostał w kraju, nie da się stanowczo oznaczyć. Być może, że było i jedno, i drugie, to znaczy, że przebywał przy dworze, ale, często w rozmaitych misjach dyplomatycznych używany, przebywał więcej po-za dworem. I tak w Sierpniu r. 1656, wraz z Bogusławem Leszczyńskim, przybywa do Wiednia do Cesarza Ferdynanda III, i zawiera układ, celem ratowania Polski <sup>3)</sup>, a zaledwo ztamtąd powrócił, wyjeżdża we Wrześniu t. r. do Frankfurtu, aby się na sejmie Rzeszy poskarżyć na Elektora Brandenburskiego, werbującego i zbrojącego wojsko przeciw Polsce w krajach niemieckich <sup>4)</sup>. Prawdopodobnie zabawiał tam dłużej, albo też tego samego roku powtórnie jeździł do Frankfurtu w Grudniu, skoro jeszcze w tym czasie we współczesnych źródłach znajdujemy wzmianki <sup>5)</sup>. W następnym roku w Sierpniu jest znowu w kraju, a mianowicie w Krakowie, i 24 Sierpnia podpisuje, jako podkomorzy, (wraz z Andr. Miaskowskim, sekretarzem królewskim, i Henrykiem Denhofem, pulko-

<sup>1)</sup> Urkunden und Actenstücke zur Geschichte des Grossen Kurfürsten Bd. VI p. 669.

<sup>2)</sup> Waliszewski. Polsko-francuskie stosunki, str. 224.

<sup>3)</sup> Berichte des Kais. Gesandten Franz v. Lisola aus den Jahren 1655—1660 (Archiv für oesterr. Geschichte Bd. 70). Des Noyers. Lettres p. 236, 240 i 317.

<sup>4)</sup> Urkunden u. Actenst. Bd. V, p. 889 (uwaga).

<sup>5)</sup> Urkunden u. Actenst. VII, p. 680, des Noyers-Lettres p. 284.

wnikiem) umowę, dla Szwedów bardzo korzystną, na mocy której opuścili Kraków <sup>1)</sup>. W układach z Rakoczym był również czynny <sup>2)</sup>, jak o tem mówi sam. (Lutnia I, 60).

Teraz zaś znowu wielkim obwołany  
 Posłem, z Koroną i Siedmiogrodziany  
 Mam zwierać ligę, i stwierdzić co mocy  
 Co ma siłę i co wierności Rakocy.  
 Przyjdzie go szukać gdzie między Multany  
 A znać i śnieżne przechodzić Bałkany” <sup>3)</sup>.

Za położone zasługi, postępując w godnościach, został Morsztyn w r. 1658 referendarzem koronnym i z wiosną tego roku odbył poselstwo do Berlina <sup>4)</sup>, podjęte głównie w celu otrzymania od Elektora przyrzeczenia, że przechodu wojskom szwedzkim przez Prusy Wschodnie nie dozwoli. Dalszy udział Morsztyna w podpisaniu kapitulacji Torunia i układaniu punktów ugody oliwskiej znany powszechnie. Z powyższego szkicu widać, że był Morsztyn bardzo czynny w tych latach i w obec dworu i polityki Maryi Ludwiki wielce się zasłużył.

Pewną niepochlebną stroną charakteru Morsztyna widzimy w listach posła brandenburskiego, Hoverbecka, pisanych do Elektora podczas układów w Oliwie. Morsztyn, chociaż jest pełnomocnikiem pol-

<sup>1)</sup> A. Grabowski. Starożytnicze wiadomości o Krakowie... str. 296, przypisek 8 Rudawski. Hist. pol. II, 258.

<sup>2)</sup> Wójcickiego. Bibl. starożyt. pis. pol. V, 183.

<sup>3)</sup> Rzecz szczególna, że na wiersz ten, „Do Jana Szumowskiego” pisany a umieszczony w „Lutni” Ks. I, nie zwrócono dotąd należytej uwagi, chociaż on zawiera szczegóły ważne do życia Morsztyna, ale w dziwny pogmatwany sposób. Po wiadomości o pobyciu w Wiedniu (czy w Budzie?) dodaje, że „niósł królewskie listy Leonorze”, co-by oznaczać mogło tylko Eleonorę, Królową, żonę Króla Michała Wiśniowieckiego, a przecież „Lutnia” ofiarowana była Opalińskiemu Łukaszowi na kołodę r. 1661? W dalszych wierszach wspomina sam Morsztyn, że „tęj zimy... biegł w Litwę do Łowicza (!) i przeszedł ją aż ku Dnieprowi, wielkiemu niosąc ordynans wodzowi.” Ten „Łowicz” na Litwie wiele daje do myślenia, a przedewszystkiem podaje w wątpliwość odczytanie rękopisu, z którego „Lutnię” przedrukowano. Może to „Stofowicze” lub „Chołmicz” nad Dnieprem? Podobnie po poselstwie do Wiednia, wspomina o swém poselstwie do Zborowa, gdzie „zwodził (sprowadzał) panów” (1649?). — Nie mogąc mieć w tej chwili przystępu do rękopisu „Lutni”, nie mogliśmy wątpliwości usunąć; faktem pozostaje, że pod względem poprawności tekstu, dokładności i zupełności spuścizny poetyckiej Morsztyna, wiele nam jeszcze do zrobienia pozostaje.

<sup>4)</sup> Des Noyers Lettres, p. 402. — Berichte Lisola's z Maja t. r. — Urkunden u. Actenst. II p. 163, 164. VIII, p. 283.

skim, sprzyja Elektorowi—za pieniądze <sup>1)</sup> i obstawanie dworu polskiego przy pewnych żądaniach otwarcie wysmiewa <sup>2)</sup>. Powróciwszy do kraju, pisze do Hoverbecka z Samborza (d. 3 Października t. r.) „z wyrazami szczególniejszego oddania się sprawie Elektora” <sup>3)</sup> i jest i nadal doradcą Hoverbecka. Dyplomatyczne jednak jego umizgi zrozumiano dobrze. Kiedy Marya Ludwika starała się o pozyskanie Lubomirskiego dla swych planów, nie próżnował i Hoverbeck, i przybył we Czwartek po Popielcu (d. 15 Marca 1661 r.) do niego. Zastał tam jeszcze Morsztyna i, pisząc o tém do Elektora, wyraźnie go demaskuje. „Ponieważ jego i jego domu nadzieje polegają na uzyskaniu jednego z wysokich urzędów koronnych, podkanclerstwa albo podskarbiowstwa, które Królowa sama rozdaje, nie można się było od niego spodziewać, aby uczynił cokolwiek, coby z jej życzeniami się nie zgadzało, tém więcej, że Rój, jego współzawodnik, gorliwie popierany przez kanclerza na urząd podkanclerzego, żadnej nie pomija sposobności, aby Morsztyna u Królowej podać w podejrzenie, że jest stronnikiem Elektora i jego zastępcy.” To téż Hoberbeck jest ostrożny w rozmowie z Lubomirskim, dopóki jest Morsztyn obecny <sup>4)</sup>; ale i później, o ile może, pośrednictwa Morsztyna używa, zwłaszcza do Królowej <sup>5)</sup>.

Udział Morsztyna w sprawie Lubomirskiego i rolę jego określają dobrze dokumenta, niedawno przez p. K. Waliszewskiego ogłoszone <sup>6)</sup>. „Pan referendarz koronny—mówi p. Waliszewski—jest poufałym, najpoufalszym przyjacielem pana marszałka i tak samo Królowej, i zadaniem jego będzie do ostatka utrzymać ten podwójny stosunek, nawet wtedy, kiedy stanie się to problematem, równie trudnym, jak skojarzenie ognia z wodą—nie trudniejszym jednak, jak ten, nad którego rozwiązaniem pracuje teraz już stale p. referendarz, kusząc się o zachowanie równej miary łask i względów w Wiedniu i Paryżu, u pana de Lumbrés i u Lisoli. Nie enigmatyczna bynajmniej ze swojej strony, ani dwoista figura, z jednego i przejrzystego, choć mętnego, kruszcu odłana: karyerowicz od stóp do głów na wielką skalę.”

<sup>1)</sup> „Doch wolle E. Ch. D. wegen der *Auszahlung dieser Honoraria* nach drückliche Verordnung erlassen, weil auch das für den lithauischen G. Kanzler nur *den Kron-Referendar bestimmte* bis heute aus Preussen nicht angekommen ist.” (Urkunden u. Actenst. IX, p. 54).

<sup>2)</sup> Urkunden IX, p. 71. (List Hoverbecka z Gdańska d. 18 Sierpnia 1660).

<sup>3)</sup> Urkunden IX, p. 145, przypisek 2.

<sup>4)</sup> Urkunden IX, p. 218—220.

<sup>5)</sup> Urkunden IX, p. 427—428.

<sup>6)</sup> „Polsko-francuskie stosunki.” Kraków, 1889.

„Pan marszałek nie ma dla niego tajemnic i tą drogą dowiadują się wprętc: Królowa, de Lumbres i Cailet, o co chodzi wielkiemu, do niedawna zupełną bezinteresowność objawiającemu, panu...”<sup>1)</sup>

I przy tej sposobności objawia się znowu charakter Morsztyna. Podług dowodu p. Waliszewskiego (str. 102), z sum, wydanych w roku 1661 przez skarb francuski na promowanie elekcji Kondensza, otrzymuje Morsztyn 27,000 liwrów, jako pensję trzyletnią, przez kardynała mu przyrzeczoną; pani Morsztynowa zaś liwrów 3000. Za rok 1662, otrzymuje znowu Morsztyn pensyi 9,000 fr....

Czy był już wtedy sekretarzem Ludwika XIV? Rzecz to bardzo prawdopodobna, skoro odtąd już stałą pobierał pensję, i skoro 20 Września 1666 on podpisuje układ, zrobiony na rzecz elekcji między Ludwikiem XIV a Lubomirskim<sup>2)</sup>.

Jego też a nie kogo innego upatrzono na posła do Francyi w roku 1667, celem uzyskania wojsk posiłkowych; on udaje się tam na koszt własny i zatrzymuje się 5 Czerwca t. r. w Berlinie, aby uzyskać od Elektora pozwolenie przeprowadzenia przez jego kraj wojska francuskiego<sup>3)</sup>. W połowie Lipca t. r. powrócił Morsztyn z Francyi i zyskał, wskutek dobrze odprawionego poselstwa, wielkie uznanie<sup>4)</sup>, za którym poszło niebawem otrzymanie dawno upragnionego podskarbiostwa jeszcze w r. 1667, albo najdalej w pierwszych miesiącach r. 1668.

W Lipcu r. 1670, występuje Wielko polska z energicznem żądaniem cytowania Morsztyna przed sejm<sup>5)</sup>. Ale pan Podskarbi był jeszcze za silny, aby mu podobne groźby zaszkodzić mogły, więc nieprzyjaciele nie tylko jego, ale całe francuskie stronnictwo, za pomocą paszkwiłów przed narodem oczerniali. W jednym z takich, p. t. „Pasya męki Mikołaja Prażmowskiego, Prym. Gniezn. wedle Lublina pisana 1672” wystawiony jest Morsztyn jako uczeń Prażmowskiego, „Machiawellista albo buntownik”<sup>6)</sup>.

W końcu tego samego r. 1672, przysłała mu na świat córka, a on sam słaby przebywał więcéj w domowém zaciszu<sup>7)</sup>, chociaż niedługo. Następnéj wiosny jest na sejmiku w Proszowicach, potem na feście urodzin Królowéj d. 31 Maja, a nareszcie w Listopadzie śpieszy za

<sup>1)</sup> Pol. fr. stos., str. 87—88.

<sup>2)</sup> Pol. fr. stos. str. 162—164.

<sup>3)</sup> Pufendorf X. 56. — Theatr. Europ. X, p. 628, b — Urkunden II, 433, 444, 446—449 (Ciekawy list Millet'a do Lionne'a).

<sup>4)</sup> Theatr. Europ. X, p. 543, a.

<sup>5)</sup> Theatr. Europ. X (cz. II), p. 293, b.

<sup>6)</sup> Rękopis bibl. Jagiell. Nr 108, str. 251—252.

<sup>7)</sup> A. Grabowski. Ojczyste spominki II, 192.

Królem ku Lwowu, ale na wieść o jego śmierci powraca do Warszawy <sup>1)</sup>).

Sprawa cytowania przed sejm, na jakiś czas pogrzebana, odżyła znowu, kiedy roku 1681 rozeszła się wieść, że Morsztyn zakupił dobra we Francyi. Na sejmie tegorocznym zakwestyjonowano votum p. Podskarbiego z powyższego powodu, ale ustąpiono namowom <sup>2)</sup>). Dopiero w następnym roku poruszono dawno zapomnianą sprawę i poddano ją pod głosowanie—30 głosów przeciw 8 sprzeciwiło się cytowaniu Morsztyna <sup>3)</sup>).

Z końca r. 1681 posiadamy dwa własnoręczne listy Morsztyna, pisane do Króla Jana III, a mianowicie: jeden z 17 Września, drugi z 22 Października <sup>4)</sup>). „Dziękuję niemniej uniżenie W. Kr. Mci—pisze M. w liście drugim—żeś niewinności mojej i wierności w usłudze swojej dał patrocinium przeciwko „zfabricowanemu Articułowi.” Chciej W. Kr. M. z miłosierdzia swego inquirere in originem, i jeśli to publica iniuria, vindicatur. Ja za to nieporuszenie do śmierci zostawać będę W. Kr. Mci., sługą... A. M.” Czy ten „sfabrykowany artykuł” to podejrzenie o sympaty dworu francuskiego, czy owe pogłoski o zakupieniu dóbr we Francyi, czy nakoniec pamflet na Króla, pod imieniem Wydźgi wydany, a Morsztynowi przypisywany — nie możemy wyrokować.

Tymczasem, mimo zaklęć wobec Króla, Morsztyn prowadził korespondencję tajną cyfrowaną z dworem francuskim, i ta dostała się w ręce królewskie. Stało się to w r. 1683, nie długo przed potrzebą wiedeńską. Morsztyn cyfr wydać nie chciał, starano się więc o nie w Paryżu. Z drogi pod Wiedeń, a mianowicie z Gliwic na Szląsku, pisze Król Jan III do biskupa płockiego, St. Dąbskiego, pod datą 22 Sierpnia: „Z Paryża, iako odbieramy z dzisieyszej od Wielm. Wojewody Czarniechowskiego (Tyszkiewicza?), Abligata Naszego, Poszty, nie masz żadney obawiania się od Morza okazyey... Tenże pisze w tymże liście, że Calliersowi, Correspondentowi Wielm. Podskarbiego, oddał List od niego o wydanie Cyfr, który nie wymowil się, jako udawał tenże Wiel. Podskarbi, ani zakazem ode Dworu, ani zginieniem Cyfr, ale że ich mu concedować nie może, aby ich nie odmieniono, i że ich (!) przez inszą umyślną przeszłe okazyą. Chcieyże tedy uważyć Prz. Wa., iako to tu error errore trudit, y iako coraz w większe P. Podskarbi cum Repub. zachodzi Labirynty...” <sup>5)</sup>).

<sup>1)</sup> Ojez. spom. II, 209, 214, 280.

<sup>2)</sup> Theatr. Europ. XII, 322, a.

<sup>3)</sup> Theatr. Europ. XII, 435, a.

<sup>4)</sup> Rękop. bibl. Jagiell. Nr 1151, list 8 i 9.

<sup>5)</sup> Rękop. bibl. Jagiell. Nr 1151, list 82 (kopia).

Nadszedł nareszcie czas sądu—in absentia, bo Morsztyn już przebywał we Francyi. Dnia 10 Kwietnia w r. 1685 zajmowano się sprawą Morsztyna, oskarżonego o zatrzymanie klejnotów koronnych wartości 20,000 dukatów i o złe sprawowanie urzędu, pozbawiono urzędu podskarbiego, nakazano zwrot klejnotów pod przysięgą, że to te same, zwrot 1½-rocznych dochodów z mennic, złożenie rachunku ze skarbu i skasowanie wszelkich zawartych z nim umów. Król złagodził nieco później ten wyrok, z uwagi na dawniejsze zasługi Morsztyna, a Podskarbiostwo oddał Marcinowi Zamoyskiemu, wojewodzie lubelskiemu <sup>1)</sup>. Morsztyn prawdopodobnie więcej do Polski nie wrócił i później dożył starości.

Tych przyczynków kilka, zdobytych przygodnie, rzuciłem na papier nie w tym celu, aby zwrócić uwagę na postać Morsztyna, ale aby w dwusetną rocznicę jego śmierci przypomnieć i wykazać, jak wiele nam do zrobienia pozostaje w części biograficznej naszej dawniejszej

<sup>1)</sup> Theatr. Europaeum XII, p. 852.

Verurtheilung *Morstenis*.

„Nach dem der wohlgeborne Johann Andreas Morstein wegen tñbler Verwaltung der Schatzes und böss geführten Amts überwiesen worden als wird das Schatzmeister-Ampts, weilen er selbst resignirt für vacant erkläret. Belangende die Königlichen Kleinodien, soll er selbige innerhalb drey Monaten, alle in specie an Zahl und Gewicht wieder einbringen, ohne etwas Meldung zu thun, von einziger auf selbe Kleinodien praectendirter Summ, worüber er und noch zween ihm an Stand und Herkommen gleich seyende Zeugen einen Eyd ablegen sollen, dass er eben die behörige und keine andere Kleinodien mit allen ihren Zubehörungen wieder erstattet habe. Was antrifft das anderthalbjährige Einkommen von den Müntzen, so wollen Ihre Königl. Majestät, dass er so viel nach Proportion dessen einbringen soll, was es für diese Zeit einträgt, und dass bey noch währendem gegenwärtigen Reichstag, bey Straff so über diejenige gesetzet die dem Bono publico zu kurz thun, so auff Künftigem Reichstag publicirt werden soll. Antelangend die Rechnung des Schatzes soler solche nach der letzten Quittantz ablegen, und das bey noch währendem diesen Reichtag (sic!), bey gleichmässiger Straff derer, welche das gemeine Beste verkurtzen. Was aber andere Puncten und Beschuldigungen, ausser der jetzt geführten Klage betrifft, selbige werden zu erörtern und zu entscheiden, biss auf die Rechnung des Schatzes aussgesetzet; Alle Handschriften, und mit ihm gemachte Contracten werden hiemit cassirt, alle andere Citirte aber von gegenwärtiger Sache frey gesprochen etc. — Jedoch moderirten hernach Ihre Königl. Majest. einiger massen dieses Urtheil, theils weil er vor diesem der Republic guten Nutzen geschafft, theils weil aus seiner Familie jederzeit und noch manche Subjecta der Republic so wol zu friedens als Kriegs-Zeiten, erspriessliche Dienste geleistet. Worauff Seine Majest. diesen Dienst dem Herrn Woywoden von Lublin allergnädigst anvertrauet haben.“

literatury. Są źródła drukowane, dawniej i teraz, z których się nie korzysta, albo o których się nie pamięta; są archiwa otwarte, do których się nie zagląda. Postać Morsztyna należy w większej części do historii politycznej narodu; nie trzeba wątpić, że jej młodzi historycy, zwłaszcza zajmujący się czasami Jana Kazimierza i Sobieskiego, nie pomną i niebawem we właściwem przedstawią ją światle.

ROMAN ZAWILIŃSKI.

# *Upadek drugiego Cesarstwa*

w romansie Zoli.

La Débâcle par *Emile Zola*.—Paris, Charpentier. 1892.

Książki Zoli dziwnemu ulegają losowi. Niema może we współczesnej literaturze powieściowej pisarza, któryby silniej chciał tego, czego chce; niema też chyba drugiego autora, któremu-by się częściej zdarzało zrobić co innego, niż to, co chciał.

Zacięty wróg romantyzmu, przekonany, że stworzył nową szkołę, wywołuje burzę namiętności literackich, nawałnicę zasadniczych dyskusyi, a kiedy opadły skłębione w tej walce tumany pyłu, przyćmiewające przeciwnikom niezbędną jasność wejrzenia, okazało się, że okrzyknięty naturalistą twórca Rougon-Macquart'ów jest w prostej linii epigonem romantyków.

Pełen nienawiści dla historycznego romansu, któremu odmawia racyi bytu w literaturze, pisze dzieje drugiego cesarstwa, zaludniając je bohaterami, z metryki swój należącymi oczywiście do przeszłości, której fikcyja „dokumentów ludzkich” żadną miarą na teraźniejszość przekształcić nie może.

Zapamiętały reformator teatru, rozmarzony ideą zbliżenia go do prostoty tragedyi starożytniej, widzi padające wszystkie swoje naturalistyczne sztuki, i musi liczyć się z faktem, że to, co w nich jest teatralnego, co działa na publiczność, przypomina starą pogardzoną „formułę” melodramatu.

Pragnie być Zola moralistą; dla urzeczywistnienia tej ambicyi staje na najryzykowniejszym stanowisku pisarza, zamierzającego zohy-



dzić czytelnikowi zepsucie nagą plastyką samego zepsucia, i sprawia, że trzy najnudniejsze pod wielu względami powieści: *Assommoir*, *Nana* i *La Terre*, dzięki właśnie szczegółom, o wiele prześcigającym *literaturę sekretną* XVIII wieku, rozeszły się w największej liczbie (124, 160 i 100 tysięcy) egzemplarzy.

Rozgoryczony zarzutami o tendencyjne znieprawianie wyobraźni swego społeczeństwa, o spekulację na podniecanym przez siebie rozmyślnie jakoby szale erotycznym, chce dowieść, że fantazya autora romansu *Une page d'amour* potrafi też w sferze marzeń szybować, pisze *Le rêve* i zdobywa się na idealistyczny obraz, w którym mistycyzm wygląda, jak przenicowana lubieżność.

Zmierzył sobie wreszcie (tak-by się przynajmniej zdawało) atmosferę zgnilizny i rozproszone wśród niej w ośmnastu malowidłach pojedyncze momenta rozkładu Bonapartystowskiej Francji; postanowił więc stworzyć wielką syntezę upadku, epopeę pogromu, dzieło silne, uzdrawiające, przeniknione miłością omdlałej chwilowo pod obuchem ojczyzny, wskazujące młodym republikańskim pokoleniom przyczyny klęski dziejowej, widnokreśli odrodzenia... i doczekał się, że go Niemiec oskarżył o niepatryotyczne fałszowanie dokumentów ludzkich“ o brak poszanowania dla nieszczęść własnego narodu.

Dodajmy, jako koronę tego osobliwszego *qui pro-quo* z ostatniej doby literackiej, sytuację, wytworzoną kandydaturą Zoli do Akademii Francuskiej. Czy autor *Nany* zasiądzie na jednym z czterdziestu foteli przy ulicy Richelieu'go, nie wiem; ma podobnie ku temu szanse dość poważne. Bądź co bądź, w gronie nieśmiertelnych, lub na drodze do nieśmiertelności, Emil Zola, wczorajszy dogmatyk i teoretyk, pogromca literatury poprzednich, zwiastun literatury przyszłości, twórca formuł, propagator metod, bieżący na starych, apostoł młodych,—staje sam, bez przyjaciół, bez uczniów, bez naśladowców, bez towarzyszków walki, którzy tak się rozproszyli po różnych szlakach literackich i Nieliterackich, a tak pozabaczali ze wskazanej przez mistrza drogi, że już ich nic z tej rozsyпки napowrót około niego nie zgromadzi. Szczególnym, nie pozbawionym ironii zbiegiem okoliczności, prawdopodobne wywyższenie Zoli do godności akademika zeszło się z upadkiem jego doktryny, i w chwili, kiedy sława historyka „rodziny z czasów cesarstwa“ dochodzi do zenitu, systemat jego traci ostatnich stronników. Zola, według definicyi dowcipnego pseudonima z „Revue bleue“, panować jeszcze może, ale rządzić już nigdy nie będzie i przedstawi współczesnym oryginalny widok pisarza-naturalisty, reprezentującego na fotelu akademickim literaturę, która naturalistyczna nie jest.

Cóż tedy reprezentować tam będzie, jeżeli to, co ma wyobrażać, właściwie istnieć przestało? Rzecz bardzo wielką—talent; że zaś talent domniemanego akademika zachował swoją żywotną siłę po-za temi wszystkimi nieporozumieniami, złudzeniami, niespodziankami i omyłkami; że przy bankructwie szyldu uratował honor pisarza i że pulsuje nie w tém, ku czemu Zola całą swoją wytrwałą wolę wyteżył, lecz w tém właśnie, co się urodziło mimo jego wiedzy—świadczy najwymowniej ostatnia książka Zoli, *La Débacle*.

Mam ją przed sobą z komentarzem krytyk w różnych językach. Traf zrządził, że komentarze pierwój poznałem, niż dzieło; kiedy przyszła kolej na książkę, owaładnęło mną przy czytaniu wrażenie czegoś tak silnie wyodrębnionego z pośród innych, mozolnie w świat puszczanych protokółarno-inwentarskich robót Zoli, że zdawało mi się, jak gdybym z nieznanym spotkał się poetą.

O krytykach zapomniałem—nie dlatego, żeby nie miały słuszności lub fałszywe na utwór rzuciły światło, ale im silniej uderzano na to, co się w książce wydaje przeniewierstwem mistrza dla jego ideałów, co wygląda na odstępstwo od „szkoły“, co ma pozór lęklivych z dawnymi „formułami“ tranzakcyi, tém wyżej rosła mi w oczach książka, w której wady naturalisty uderzały mię, jako zalety artysty.

I dlatego najwłaściwszém podobno stanowiskiem do oceny wartości ostatniej powieści Zoli będzie punkt, z którego wyświetli się stosunek między tém, czego jej autor chciał, a tém, co zrobił.

Ów „Pogrom“ ma być jedném z ostatnich, czy też ostatniém bodaj ogniwiem wielkiego powieściowego cyklu, wzorowanego na „Komedyi ludzkiej“ Balzac'a i przedstawiającego rozpadanie się stopniowe społeczeństwa francuskiego pod demoralizującemi rządami Napoleona III. Wypadło więc przedewszystkiém zaakcentować związek jakiś bohaterów lub bohatera „Pogromu“ z rodziną Rongon-Macquart'ów, której dzieje streszczają jakoby historję Francyi od zamachu stanu 2 Grudnia 1852 r. do dnia klęski sedańskiej. Czy Francya Zoli jest istotnie Francją Napoleona III-go? — tém pytaniem na razie zajmować się nie będziemy; przyjdzie na nie czas, jak przyszedł na odróżnienie, nawet wśród wielbicieli Balzac'a, jego fikcyi społeczno-politycznej we Francyi Karola X i Ludwika Filipa; nie podobna natomiast nie zaznaczyć banalności węzła, którym połączył Zola Jana Macquart'a z resztą szeroko rozgałęzionej i poplątanej w kombinacjach pokrewieństwa familii.

Istnieje gdzieś drzewo genealogiczne Rongon-Macquart'ów, a ilekroć nowy jakiś bohater czy nieznaną jeszcze heroina w nowym ukazuje się tomie, nie zapomina Zola objaśnić, że jest to mianowicie siostrzeniec albo ciotka tego lub owego. Trudno naturalnie wątpić, że każdy i każda może być czyjims siostrzeńcem i czyjąś ciotką; ale te

związki krwi w dziele takiego pokroju o tyle tylko zajmować mogą, o ile mają wyraźny, widoczny wpływ na czyny, na życie bohaterów. Otóż z temi wpływami Zola, mimo cały swój dyletancki dla teoryi dziedziczności fanatyzm, poczyna sobie wogóle dość ostrożnie. Tylu tam jest tych Rougon-Macquart'ów, z tak różnemi temperamentami i psychologicznemi zadatkami, że zawikłać-by się można w sprzeczności nie do rozwiązania. Lekkie zatém wzmianki o dziedziczeniu skłonności po tym lub owym są łatwym holdem dla doktryny — w ostateczności Zola woli odwoływać się do Troglodytów: *a beau mentir qui vient de loin*.

Główną postacią w „Pogromie“ jest chłop z dawniejszego romanstu „Ziemia“; ani jeden atoli rys nie łączy go z kapralem, którego dola i niedola zajmować nas będzie przez sześćset kilkadziesiąt stronic. Chłopem był, mówi Zola, a teraz idzie na wojnę bronić „ziemi“, drogiej francuskiej ziemi. Tym jedynie kalemburem utrzymuje autor Jana w rodzinie Rougon-Macquart'ów, przypisując widocznie wiele naiwności swoim czytelnikom. Kto wie zresztą, czy nie liczy Zola z drugiej strony na zmysł krytyczny mniejszości, unoszący się po-nad sztuczną architektoniką owęj mieszczkańskiej epopei?

Bo w gruncie rzeczy co to kogo interesuje, kto rodzi Jana Macquart'a, czyim może być siostrzeńcem albo wujaszkiem? Taki, jakim jest, ma mnóstwo cech chłopca francuskiego, włóczęgo w mundur wojskowy. Mniejsza o to, że bohater „Ziemi“ i bohater „Pogromu“ — to właściwie dwie zgola odrębne postaci; w danym razie idzie przede-wszystkiém o charakterystykę kaprała — ta zaś uderza prawdą, niezależną od wpływów jego otoczenia, témbardziej od doby dziejowej. Akcentuje wprawdzie Zola, tu i owdzie, kreśląc figurę Jana, oddziaływanie chwili: jego wojak zaciągnął się do szeregów nie z patriotyzmu, lecz po prostu nie widział po domowej tragedyi, po stracie żony, mienia, innęj dla siebie drogi — i to ma go odróżniać od poprzedniego pokolenia „wiarusów“, wykolysanych legendą Napoleońską. Czy odróżnia istotnie? Nie sędzę — a do tój wątpliwości upoważnia mię nietylko ogólna psychologia wojny, ale poniekąd i sam autor „Pogromu.“ Wśród krwawego szamotania się Francyi pod przytłaczającemi ją do ziemi ciosami, wywołuje Zola po dwakroć silne w czytelniku wrażenie artystycznym kontrastem. W samym ogniu bitwy, widzimy w głębi doliny chłopca, orzącego spokojnie i popychającego bez pośpiechu pług, zaprzężony w białego konia.

— Na co tracić dzień? Przecież dlatego, że się biją, zboże nie przestanie rosnąć i świat nie przestanie żyć.

Takich chłopów, orzących po-za doniosłością strzałów, było zawsze i będzie moc wielka; oni to streszczają w sobie nieprzerwaną ciągłość

życia, które nie chce ustać; z nich też wolna wola, konieczność, los, czy wypadek, robią bez pomocy Napoleońskiej legendy, lub Bonaparty-stowskiej korrupcyi, raz zagorziałych bohaterów, kiedyindziej obojętnych pionków, zawsze „strawę armatnią,” której nigdy, żadnej wojnie nie zabraknie. Nie jest więc Jan dla czytelnika ani Rougon-Macquart'em, ani żołnierzem specjalnie przez Napoleona III urobionym—i jeżeli interesują nas żywo losy jego, to jako przedstawiciela „przeciętnej ludzkości,” właściwej heroiny wszystkich romansów Zoli. Niema w tym reprezentancie bezimiennęj większości nic indywidualnego; ale też pierwiastek epicki „Pogromu“ tkwi właśnie w akcji zbiorowój, w którą wplątane są, a chwilami tonąć się zdają, symboliczne postacie.

Nietylko bowiem romantyk, ale i symbolista odzywa się w tym twórcy naturalizmu,—tylko że dziwną drogą tworzą się u Zoli symbole. W historycznym rozwoju literatury widzimy twórczość, idącą od ogólnych form do szczegółowój charakterystyki: symbol, typ, charakter indywidualum, taka jest zwykła tej ewolucyi kolej. Zola zdaje się, idąc odwrotnie, wracać do punktu wyjścia, i co właśnie w tém cofnięciu się jest dziwnego, że dochodzi do symbolu przez nadmiar charakterystyki, która mnogością rysów drobiazgowych, podrzędnych, rzucanych wszędzie przy lada sposobności, neutralizuje to, coby w tej charakterystyce mogło być znamienne, uogólnia nie wielkimi liniami, lecz różnorodnością obserwacyi, roztopiającą wreszcie w abstrakcyi wszelkie indywidualne kontury. W ten sposób symbolizowane są u Zoli pojedyncze objawy życia społecznego, warstwy towarzyskie, stany, powołania, nawet pewne kategorie temperamentów; tak w kilku tytułach („Dzieło,” „Ziemia,” „Pieniądz”) tkwią już symboliczne intencye autora, które usprawiedliwiły-by zmianę nazw innych powieści na zbiorowe definicje: „Miłość,” „Prostytucya,” „Polityka,” „Religia,” „Przemysł,” „Kapitał i praca;” nie inaczej wreszcie powstało przeciwstawienie ze społeczną tendencją takich typowch rozkładowój epoki charakterów, jak Jan Macquart i Maurycy Levasseur.

Serce i inteligencya Francyi, jój etyczne instynkta, drzemiące pod grubą powłoką ciemnoty, i deprewacya myśli pod wpływem wysubtylizowanėj błyskotliwój kultury — oto psychologiczne podścielisko, na którém Zola budował symboliczne postacie swego chłopca i adwokata;—względnie jednak do założenia, figura Maurycygo daje powód do podobnych jak Jan Macquart zastrzeżeń. Maurycy Levasseur sprawia wrażenie żywego człowieka, ilekroć nie występuje jako *Ideenträger*; bez charakteru, bez woli, ze spaczoném paradoksalną filozofią pojęciem o obowiązkach, ten drugi bohater „Pogromu“ przemawia prawdą do dzisiejszego czytelnika, przekonując go niekiedy zbyt łatwo — i to

mu właśnie nadaje pewien anachronistyczny koloryt. W stosunku do czasu, w którym działa, Maurycy wyprzedza swoją dobę; autor dotknął go chorobą moralną, grasującą w dzisiejszym pokoleniu, metrykę zaś jego duchową stanowią między innymi, ideały ewolucyjne, które również nie weszły jeszcze wtedy do praktyki życiowej — słowem, jest bohater o jakie dwadzieścia lat zastary, i przedstawia jeden więcej przykład owych transpozycji psychologicznych, świadczących, jak dalece Zola nie chce poddać się oczywistości, że ten dwudziestoletni okres przestał być dla niego chwilą współczesną. Jeszcze bardziej *fin-de-siècle* przedstawia się Maurycy Levasseur na tle Bonapartystowskich stosunków i rozmaite nasuwa pytania: jaki może być związek młodzieńca, *anticipative* na noworzę chorego, z epoką Napoleona III-go? dla czego idealista, mistyk w koronie, odpowiadać ma za materializm teorii ewolucyjnej? czy demoralizacja, jeżeli źródłem jej jest opacznie do życia stosowana doktryna filozoficzna, może być kładziona na karb tej lub owej na tronie osobistości? czy pewne prądy myślowe, odbijające się później w etyce społeczeństwa, czekają z objawieniem się na rządy tego lub owego indywiduum?

Na szczęście jest siła porywająca czytelnika tak nieprzepracie w tym „Pogromie,” że mu nie pozwala marnować nadaremnie czasu nad roztrząsaniem podobnych pytań — jest epickie technienie wojny, które go popycha śladem obu bohaterów przez wszystkie zawroty dezorganizacyjnego odmetu, przez wszystkie konwulsje rozszalałej klęski, wstrząsające chorym organizmem społeczeństwa pod bronią, przez wszystkie klątwy bezsilnej rozpacz, tarzającej się po polach bitwy, jęczącej po ambulansach, rozpętującej zwierzę w źdźziczących masach ludzkich; jest groza spełniającego się nieubłaganie nad całym narodem wielkiego prawa natury, które, według słów Maurycego, odnawia ludzkość, utrzymując w niej siłę przez walkę, życie przez śmierć. I znów do wywołania tego wrażenia używa Zola podobnej jak przy tworzeniu swych typów metody. Plastyki w tej wojnie, na ogół biorąc, nie wiele; kontury ludzi, rzeczy i wypadków wymykają się, falują, i mimo epizody, kreślone ręką skończonego mistrza, mimo obronę Bazailles, niezrównaną w swój prostocie, mimo Dantejskie malowidło Obozu Niedoli na półwyspie Iges, mimo rozdzierający dramat kapitulacji Sedańskiej, niepodobna utrwalić w myśli konturów obrazu; ale właśnie ten chaos ma w sobie artystyczny czynnik, sprawiający, że ponad gorączkowym nieładem marszów i kontrmarszów, ponad falą wojska, koni, kotłującą się na przestrzeni Alzacji i Lotaryngii, niby wir nad przepaścistą tonią, w zamieszaniu zasadzek, potyczek, bitew, wśród przyływu i odpływu mas, ogarniętych obłędem niezrozumiałej dla nich katastrofy, unosi się nieuchwytna dusza wojny, obecna wszę-

dzie i na każdym miejscu, lecz wdania się wysuniętych na pierwsze plany doskonałych, z jednej sztuki bohaterów, bez pomocy umyślnie dla nich wytworzonych, wyjątkowych sytuacji. Wielkie czyny, spełniane przez drobnych ludzi, nie przemawiają tam teatralnym patosem; bohaterstwo ma fizyognomię naiwnej nieświadomości, lub wygląda na mimowiedny odruch przypadkowo rozbudzonych aspiracji; małe przyczyny i nieobliczone skutki potracają się co krok, wzajemnie o sobie nie wiedząc; potworne apetyty i heroiczne instynkta trzymają się za ręce — wszystko żyje życiem tak elementarném, że aż z tych prostych żywiołów wytwarza się jakaś oderwana potęga, której tragiczność czytelnik więcej odczuwa niż widzi, i która, niby starożytne *fatum*, strąca bohaterów coraz niżej — aż na dno otchłani.

Jest ich dwoje — nie Jan Macquart i Maurycy Levasseur, jakby się zdawało, lecz Napoleon III-ci i Francya, a raczej armia, losami swemi decydująca w fatalnej chwili o doli Francyi.

Chwalono Zolę bardzo i chwalono słusznie za wstrzemięźliwość, za takt artystyczny, z jakim nakreślił sylwetkę staczającego się ze stopni tronu Cesarza. Jeden tylko krytyk miał do autora pretensję za wizerunek, który nazwał sentymentalnym, dowodząc, że inicjator wojen krymskiej, włoskiej i meksykańskiej, nie mógł się przekształcić na to widziadło, wybladłe, wynędzniałe, z oczami mętnymi i wilgotnymi świadome ciężącego na sobie przeznaczenia. „Trzeba-by było zapomnieć historii drugiego cesarstwa, — są to słowa tego krytyka, — i wykreślić z pamięci wszystkie wypadki, poprzedzające wojnę 1870 r., ażeby przypisać bohaterowi z pod Sedanu te rysy rozkliwienia, któremi go charakteryzuje Zola.“ Trzeba chyba nie znać całego cyklu Rougon-Macquart'ów — była-by na to najstosowniejsza odpowiedź, — żeby insynuować Zoli sentymentalizm względem Napoleona III-go. Kto czytał „La fortune des Rougon,“ „La curée,“ „La conquête de Plasans,“ „Son Excellence Eugène Rougon,“ kto się poczuł choćby na chwilę pod wpływem zaciętości, równie nieubłaganej, jak niekrytycznej, z jaką Zola piętrzył na barkach Napoleona III-go wiekowe odpowiedzialności za rozwydrzenie we Francyi po-rewolucyjnej mieszczańskiego materializmu, ten wie, co trzymać o tej jego czułości dla autora zamachu stanu. Jeżeli w zarzutach krytyka, któremu, nawiasem mówiąc, więcej chodziło o wojnę krymską, niż o zamach stanu, można-by dopatrzeć okruszyny prawdy, to tylko pod warunkiem, że, odwróciwszy jego pytanie, zastanowimy się nad tém, czy ów „cień mocarza, poświęconego na ofiarę przez przeznaczenie, szukającego śmierci wśród nieopisanych cierpień, z obojętnością fatalisty, z bezsilną dobrocią inteligentnego paralityka,“ czy ów niepoprawny do ostatniego tchnienia ideolog, mógł być w ciągu ośmnastu lat swój świetności osławionym

falszerzem sumienia własnej ojczyzny, winnym zatrucia zgnilizną moralną wszystkich źródeł życia narodowego? Poważniejsze we Francyi umysły zaczynają już dziś trzeźwiej rozglądać się w tej łatwej feljetonistowskiej historyzozofii, zapisującej na registr grzechów drugiego cesarstwa nawet operetkę Offenbacha; epizod „depeszy emskiej“ dał niejednemu do myślenia, a niedaleką jest może chwila, kiedy historyk na seryo badać zacznie: kto z dwóch zapaśników naszego stulecia znieprawił ducha cywilizacji europejskiej, czy „lunatyk taileryjski,“ który stworzył Włochy, czy też „pierwszy bandyta Europy,“ jak niedawno w „Revue bleue“ nazwano Bismarcka, który rzucił na Francję Niemcy, zjednoczone w nienawiści? Tymczasem w romansopisarzu odzywa się pewna litość—może coś więcej prócz litości—jakieś zaniepokojenie psychologa, któremu-by błyski katastrofy dziejowej po raz pierwszy do dna rozświeciły duszę jednego z głównych jej bohaterów. Zaglądając do tej duszy, Zola zadaje nawet od czasu do czasu fałsz swjej metodzie. Zna naprzykład najskrytsze myśli Cesarza, jak za dobrych czasów Dumasa starszego, to znów nie cofa się przed zbiegami najdziecinniejszych trafów, byle-by tylko zobaczyć sylwetkę Napoleona III-go lub usłyszeć jego słowa. Przydubawszy go na takich fortelach, można łatwo postawić dylemat: albo autor wie wszystko, jak niegdyś, a w takim razie adjutant cesarza nie potrzebuje zostawiać otworem drzwi, pod któremi służąca podsłuchuje,—albo też nic nie wie, jak to dziś jest w modzie, a wtedy nie może nam opowiadać, co sobie przyszył jeniec niemiecki myśli w skrytości ducha, a tém mniej podsuwać czytelnikowi insynuacji, jakoby Cesarzowa popchnąć pragnęła męża ku pewnej zgubie dla uratowania dynastji. Ale po-nad temi nieartystycznymi drobiazgami, pozbawionemi wszelkiego znaczenia, jest artyzm inny, wyższy, wysuwający epizodyczną niby postać Napoleona na pierwszy prawie plan obrazu. Kilka razy w ciągu opowiadania przesuwają się ta mara o ruchach ociężałych, o niepewnym spojrzeniu, w którym maluje się apatya posępnego męczennika. Raz go widać w powozie na drodze, zapatrzonego w próżnię, jakby tam jakieś niespodzianki wyglądał; to znów siedzi na skraju pola na składanem krzeselku, z miną kapitalisty-mieszczucha, „wygrzewającego na słońcu swoje bolączki,“ potem w Sedanie za szybą okna słania się jak widmo trupio blade, z zagasłemi oczami w twarzy, wykrzywionej ostatnią rozpaczą. Pod Bazeilles na placu bitwy spotykamy go na koniu, „odmłodzonego, z wąsami sterczącemi od fiksatuaru, uróżowanego jak aktor i kryjącego pod szminką barwę woskową maski, zmienionej od cierpienia.“ Pragnie umrzeć i posuwa się zwolna wśród padających naokoło kul i bomb, które nie chcą tykać ani człowieka, ani zwierzęcia. Nareszcie ukazuje się powtórnie w Sedanie, gdzie, mimo flagi kapitulacyjnej, powiewającej na szczycie fortecy, działa grzmią bez ustanku

a on chodź od kominka do okna, targany kureczem nerwowym, który mu po twarzy przebiega, przygnębiony, jakgdyby mu świat runął na barki, wołając co chwila:

— Ohi ta armata, ta armata! Słysząc ją od rana — uciszcież ją zaraz!

Nic tragiczniejszego nad owe, co pewien czas wracające ukazywania się fatalnej postaci, niby powtarzane zwrotki jakiejś krwawej epopei; nic też bardziej efektownego nad artyzm tych przypomnień, wprowadzających pewną jedność do chaosu zniszczenia.

Ofiarą tego chaosu jest druga heroina — armia; żyje ona życiem własnym, nieosobistym, zbiorowym, w którym niepodobna chwilami rozróżnić składających ją tysięcy i dziesiątków tysięcy indywidualnych egzystencji. Kiedy pod Orches armia, upadająca ze znużenia, ułożyła się do snu, słyszymy po-nad rozproszonemi obozowiskami powolny i silny oddech potwora, unoszący się w ciemnościach, jakby tchnienie samej ziemi. Dusza jej wciela się w pewnej liczbie figur typowych, skojarzonych moralnym swoim znaczeniem z ideą ogólną, która ma przenikać całe dzieło. Każda z nich streszcza pewną kategorię. Oto Loubet „Paryżanin,“ blagier, wiecznie ze wszystkiego drwinkujący; a tam Lapoulle, zwierzę, wyrosłe w bagnach Solońskich, kolos ciężki i tak ciemny, że, zaciągając się do pułku, chce widzieć Króla; dalej Pache, przybysz z wioski pikardzkiej, wywiędła ofiara całego oddziału; tu znów Chouteau, piękny Chouteau, malarz pokojowy, a w wolnych chwilach rewolucjonista, ogłupiający kolegów strzepami frazesów, połamanych na zebraniach publicznych. Między oficerami nie mniejsza różnaitość. Rochas naprzykład uosabia Napoleońską legendę o żołnierzu, który, zdobywszy świat, wędruje po różnych krajach w towarzystwie kobiety i butelki, z tłustą na ustach piosenką. Kiedy się dowiedział o klęskach pod Froeschwiller, pod Spiechern: „Pobici?— powtarza po kilkakroć,—jako, pobici, dlaczego pobici?“ I nie mu nie otworzy oczu, i zachowa aż do końca swoją fanfarońską dla nieprzyjaciela pogardę, swoją nieświadomość nowych warunków wojny i głębokie przekonanie, że żołnierz, który się bił w Afryce, w Krymie i we Włoszech, nie może być zwyciężonym. Charakterystycznym w innym rodzaju jest kapitan Beaudoin, zawsze poprawny i wytwornie ubrany, sztywny a dumny ze swemi ludźmi, nieuk zresztą w wojskowych rzeczach, ale pewny awansów przez wysokie protekcyje, które zawdzięcza wytwornemu obejściu i tenorowemu głosowi. Nie pominiemy także generała Bourgon-Desfeuilles, birbanta o rozlanej, zarumienionej twarzy, toczącego gruby kadłub na krótkich nóżkach i narzekającego od samego rana, że jest źle ulokowanym i szkaradnie żywionym.



Wspomniałem już o pierwszorzędnym w akcji aktorach: o Janie i Maurycy, których antagonizm psychologiczny przedstawiony jest ręką lekką i umiętnie obchodzącą się z delikatnymi odcieniami. Między tymi dwoma ludźmi, żyjącymi w warunkach egzystencji nieledwie pierwotnej, zwykła równowaga wyższości odwraca się na korzyść szorstkiego mieszkańca wsi: siłę moralną ma za sobą nieoświecony i on to opiekę rozciąga nad zepsutym dzieckiem cywilizacji, a serca, rozdzielone zaporami społecznymi, kojarzą się w braterskim uczuciu.

Pod względem faktycznym około nich dwóch grupują się najważniejsze sceny i epizody opowiadania, streszczającego dzieje korpusu generała Douai, od przegranej pod Wissemburgiem aż do epilogu pod krzyżem na wzgórzu Illy, po którym następuje klęska sedańska i niewola na półwyspie Iges. Ta najdłuższa i kapitalna część książki rozpoczyna się wspaniałym obrazem rozsypki w okolicach Belfortu, gdzie wszystko, co żyje, ucieka w tumanach pyłu przez bite drogi i pola.

„Na skraju szosy (cytuję dosłownie) stał dom odosobniony, mieszkanie jakiegoś biednego chłopca, którego nędzny szmat gruntu ciągnął się za chatą. Właściciel, wrośnięty w swoją ziemię, nie chciał opuszczać pola; został, bo nie mógł się oddalić, nie zostawiwszy tam strzępów swego ciała. Widać go było w niskiej izbie, zgarbionego na ławie, spoglądającego chciwem okiem na żołnierzy, których odwrót wyda wrogowi jego niedojrzale zboże. Przy nim stała młoda jeszcze żona z dzieckiem na ręku, drugie dziecko wieszano się u jej spódnic, a wszystko troje zawodziło żałośnie. Aż nagle we drzwiach, silnym pchnięciem otwartych, ukazała się babka, kobieta bardzo stara, wysoka, szczupła, z obnażonymi rękami, podobnymi do węzłowatych postronków, któremi wymachiwała zapamiętałe. Włosy jej siwe, rozwiane z pod czepka, wiechrzyły się około wychudzonej głowy, a wściekłość jej tak była wielka, że słowa, niewyraźnie wykrztuszone, więzły w zdławionej krtani.

Z początku żołnierze śmieli się. Stara waryatka miała pocziwają głowę; potem dolatywały do nich wykrzykiwane zażarcie wyrazy:

— „Kanałiel rozbójnicy! podli, podli!

„Głosem coraz nieznośniej świdrującym wypluwała im w twarz obelgę, podłości. I krzyki ustały, a zimno jakieś dreszczem przemknęło po szeregach. Żołnierze schylali głowy i patrzyli gdzieindziej.

— „Podli! podli! podli!

„Nagle, stara zdawała się rosnać. Wspięła się w swęj tragicznej chudości, owinięta szmatą sukni, i długimi rękami zakreśliła ze wschodu na zachód gest tak olbrzymi, że zdawał się wypełniać całe niebo.

— „Podli! Ren nie tutaj... Ren jest tam, podli, podli!

„Tymczasem pochód rozpoczął się na nowo, a Maurycy, którego spojrzenie zwróciło się w tej chwili na Jana, spostrzegł, że oczy kaprala były pełne łez. Serce mu się ścisnęło na myśl, że nawet bydłeta odczuły zniewagę, na którą się nie zasłużyło, a którą trzeba było znieść.“

Odtąd obaj przyjaciele odbywają wspólnie całą kampanię, biją się razem, razem dostają się do niewoli i uciekają razem, życie sobie wzajemnie parę razy ocaliwszy. Kiedy po ucieczce Maurycy powierzył rannego Jana opiece swjej siostry i żegna się z nim przed odjazdem do zagrożonego Paryża, obaj towarzysze broni ściskają się, jak bracia, a wśród roztkliwienia tego uścisku przebiegają myślą dni, spędzone bez chleba, noce bez snu, znużenie, niebezpieczeństwa i nieustanne zasadzki zaczajonej wszędzie śmierci.

Nie zapomną zapewne nigdy owego lasu Garenne pod Sedanem. Wszedłszy tam, poczuli od pierwszego kroku, że wstąpili do piekła— ale o cofaniu się ani myśleć i trzeba było jakim bądź kosztem przebrnąć przez las, jako przez jedyną linię odwrotu. Był to w tej chwili las przerażający, las rozpaczy i śmierci. Prusacy, zrozumiałwszy, że rejtterada tamtędy się skieruje, prażyli gaj kulami i granatami, i las, pełen łomotu konarów, trząsł się, wył od tej ognistej chłosty. Granaty podcinały drzewa, deszcz liści spadał od kul, jęki zdawały się wydobywać z rozszczępionych pni, szlochanie słychać było wśród gałęzi, sączących młode soki. Drżało to wszystko trwogą ciżby spętanej, krzyczało głosem tysiąca istot, przykutych do ziemi i nie mogących uciec z pod tego kartaczowego gradu. W oczach Maurycego dąb stuletni padł z tragicznym majestatem bohatera, miażdżąc wszystko naokoło siebie, a w chwili, kiedy młody człowiek jednym skokiem cofnął się w tył, olbrzymi buk, strzaskany wybuchem granatu, walił się, jak filar katedry. Dokąd uciec? w którą stronę się zwrócić? Wszędzie trzeszczą gałęzie. niby w olbrzymim gmachu, gdzie w ciągnących się szeregami komnatkach zapadały-by się sklepienia; to znów poplątana gęstwina krzaków staje zaporą, jak mur nieprzeparty; cienkie pędy okręcają się około ramion; wysokie trawy więżą kostki nóg; tuż obok obu przyjaciół, przeciskających się przez te zdradnie gąszcze, żołnierz, kulą w czoło trafiony, stoi martwy między ściśniętymi z sobą dwiema młodemi brzoźkami. W tajemniczych zaciszach, wśród rokosznego zielono zabarwionego światła, śmierć zionie brutalnym tchnieniem, mącąc samotne źródła, kładąc śmiertelnie ugodzonych na miękkie mchy, gdzie przedtém rokosz tylko kochanków nęciła. Ach, ten las zbójcecki, ten las, na całe życie pamiętny!

Podobne obrazy, tchnące artystyczną grozą, przesuwają się przed zatrwożonem okiem czytelnika co kilka stronic; imaginacya Zoli, skłon-

na wogóle do potęgowania kształtów, do wyjaskrawiania kolorytu, do wydobywania teatralnych efektów drogą melodramatycznych kontrastów i zestawień światła z cieniami, ma w samym przedmiocie nadmiar podniecającej strawy; ale ten przedmiot jest zarazem tak wielki, tak w swym tragicznym majestacie imponujący, że się wobec niego na epicki spokój nastroja nawet rozbujała wyobraźnia wizyonera, który, malując walkę z cudzoziemcem, wojnę domową, głód, pragnienie, rany, gangrenę, rzezie, zdrady, denuncyacye, paroksyzmy obłądu i pijaństwa i wszystkie miotania się rozkielznanéj bestyi ludzkiej, umie hamować swoją namiętność do pastwienia się nad nerwami czytelnika i względną zachowuje powściągliwość. Naturalizm znajduje tu oczywiście wdzięczne pole w samej materyalnej sceneryi wojny; ambulanse zwłaszcza, opisy operacyi, przeplatane wierną reprodukcją chrzęsta piła na kościach, krwawienia amputowanych członków, woni splukiwanéj ropy, przypominają chwilami bezużytecznością gromadzonych dla popisu szczegółów dawną fanfaronadę dyletanta, przekonanego, że jest w każdym fachu specjalistą; ale nawet o takiem przeciągnięciu struny zapomina się łatwo pod następującem później bezpośrednio wrażeniem prawdy innéj, podnioslejszój, która się wydobywa z wielkiéj syntezy realnych czynników, ugrupowanych według utajonych, bezwiednie może działających, praw twórczój kompozycyi.

I tu dopiero prawdziwa występuje Nemezys; przeciw téj bowiem prawdzie odzywają się protesty, podkopujące u samych podstaw doktrynę literacką Zoli. Czy tak było? — pyta nieśmiało jeden. Skądże autor wiedzieć może, że tak było — mówi odważnie już drugi, skoro sam przecie nie widział wszystkiego, co opisuje, i wszędzie na raz znajdować się nie mógł? Tak nie było — twierdzi stanowczo trzeci, — ja sam się biłem, i wiem najlepiej, że autor zmyśla. Z tym ostatnim najłatwiej pono dać sobie radę, choć, jako Niemiec, najwięcej narobił wrzawy. Wiadomo, że kapitan Tannery oskarża Zolę o fałszowanie faktów, „obrzucanie błotem armii Mac-Mahona“ i występuje we wdzięcznej roli szlachetnego zwycięzcy, schylającego głowę przed odwagą zwyciężonych. Pomijam faryzeizm tego pięknego czynu, opartego na bardzo prostém rozumowaniu, że zwycięzca nierównie korzystnie wygląda, jeżeli dowiedzie, iż pokonał przeciwnika, broniącego się po bohatersku; pomijam, że przeciwko niemieckiemu „ja tam byłem,“ postawić można francuskie „ja tam także byłem,“ wypowiedziane przez Melchiora de Vogitę, który służył w tym samym korpusie, w téj samej dywizyi, w téj samej brygadzie, co główni w powieści działacze, i świadczy, że szczegóły miejscowości i przebiegu akcji wojennéj są wszędzie ściśle prawdziwe; ale co już jest fałszem, na efekt obliczonym, to zarzut, że Zola usiłował obniżyć odwagę żołnierza francuskiego.

Przypatrzmy się śmiertelnym zapasom w parku prywatnym pod samym Sedanem. Prusacy napływali już do Pustelni, przeskakując mur ogrodowy, a takie ich było mnóstwo, że walka rozpoczęła się na bagnety. Najzaciętszy bój wrzał na werendzie. Około kanapy i foteli, jasno-niebiesko-obitych, wił się zażarcie kłęb ludzi, którzy strzelali do siebie, przykładając prawie lufy do twarzy, i szarpali się zębami, rozdzierali pazurami w braku noża, którym-by można piersi sobie dziurawić.

Wtedy trębacz Gaude'a, smutnego tajonem serca cierpieniem, ogarnął szal jakiś bohaterski. W ogniu tej ostatniej klęski, wiedząc, że cała kompania wyginęła, że nikt nie mógł przybyć na jego wezwanie, porwał trąbkę, przyłożył do ust zgorączkowanych i zatrąbił pobudkę takim podmuchem burzy, jakgdyby chciał umarłych zwołać na zmartwychwstanie. A Prusacy przybiegali, a on nie ruszał się, trąbiąc całą piersią. Grad kul powalił go, i ostatnie jego tchnienie uleciało w metalicznej nucie, która niebo drzeniem napelniła.

Rochas, osłupiały, nie myślał o ucieczce. Czekał, bąkając:

— No, cóż to jest, co to takiego?

Myśl, że to była znów przegrana, nie chciała mu wejść do głowy. Nieprzytomny, nie rozumiejąc z całej kampanii, czuł, że go obezwładnia coś wyższego, czemu już oprzeć się nie można; mimo to powtarzał machinalnie, upornie:

— Odwagi, chłopcy, tam zwycięstwo!

Szybkim ruchem ujął sztandar; ostatnią jego myślą było ukryć chorągiew, żeby jej Prusacy nie dostali, ale drzewce, jakkolwiek strzaskane, zaplątało mu się kolo nóg, tak, że omal nie upadł. Kule świ stały, Rochas czuł śmierć, zerwał jedwabną materję sztandaru, i darł ją, chcąc zniszczyć do szczętu. W tej właśnie chwili, ugodzony w szyję, w piersi i w nogi, padł między trójkolorowe sznaty, jakby w te strzepy przyodziany. Żył jeszcze jakąś minutę, z szeroko otwartymi oczami, spostrzegając może unoszące się na widnokręgu prawdziwe widmo wojny, okrutną walkę o byt, którą trzeba przyjąć sercem zrezygnowanem i poważnem, jak prawo. Potem w lekkiej czkawce skonał z wyrazem zahukanego dziecka, niby biedna, ograniczona istota, owad wesoly, zmiażdżony pod stopą obojętnej natury. Ze śmiercią jego kończyła się legenda.

Honoryusz, kanonier, jest tylko skromnym epigonem bohaterów Napoleońskiej legendy; to mu nie przeszkadza umrzeć na polu bitwy bohaterską śmiercią. Zanim się zaciągnął do szeregów, przebaczył Sylwinie jej względem siebie winę; przy pożegnaniu okno otwarte jest na nocne mroki, „ciężkie tchnienie wojsk,“ przechodzących przez rzekę, dolatuje z daleka i owiewa rozstającą się parę; żołnierz i chłopka wy-

mieniają kilka krótkich słów i pocałunek, i z tego wytwarza się jedna z najpiękniejszych scen we współczesnej literaturze. Potem spotykamy Honoryusza na wzgórzu Illy przy obsłudze baterii; bomby pruskie co chwila demontują działa, kiedy pociski francuskie pękają w powietrzu, nie dosięgając pozycyi nieprzyjacielskich. Młody kanonier cudów dowodzi w tym morderczym ogniu; celuje ciągle, strzela bez ustanku, i jednego tylko doznaje bólu, że to wszystko napróżno. Kiedy bomba strzaskała prawie koło jego ukochanej armaty, kiedy ją spostrzegł przechyloną na bok i niezdatną do niczego, ogarnęła go wściekłość i odrazu szalone powziął postanowienie: zmienić pod strzałami rozbite koło — i postawił na swoim, i posłał jeszcze kilka bomb Prusakom, dopóki na nowo baterii mu nie zdemontowano. Niepodobna było posunąć dalej heroicznego szaleństwa. Lada chwila mógł być nakazany odwrót.

— Spieszmy się, towarzysze — powtarzał Honoryusz, — zabierzemy ją przynajmniej i tamci nie będą jej mieli.

Chciał ocalić działa, jak się ocala sztandar. I mówił jeszcze, kiedy mu piorun urwał prawą rękę i otworzył lewy bok. Padł na armatę i leżał na niej, jak na honorowém łożu, z głową wyprostowaną, z twarzą nietkniętą, piękną w męskim gniewie, zwróconą tam, ku wrogowi. Z pod rozdartego munduru wysunął się list, który ścisnęła skrzwawione jego palce i przenikała krew, sącząca się po kropli.

Nie gorzej od prostego szeregowca przedstawia się pułkownik Vineuil. Wśród świszczących naokoło kul, stoi w postawie niemej rezygnacji i bohaterskiej obojętności; potem, gdy rannego zaskoczyła wiadomość o kapitulacji, podnosi się na łożku i chce złamać szpadę, ale zdradzają go ręce drżące i bezsilne. Stara, doglądająca go przyjaciółka, pani Delacherche, odgaduje myśl nieszczęśliwego i odbiera mu szpadę. „Złamała ją suchém uderzeniem o kolano z siłą nadzwyczajną, której nie przypuszczała w wątpliwych swoich rękach. Pułkownik położył się i zapłakał, spoglądając na przyjaciółkę z niewystowioną słodyczą.“

Wszystko to nazywa się u kapitana Tannerego „obrzucaniem błotem armii Mac-Mahona.“ Ale dajmy pokój niemieckiemu obrońcy czei wojskowej Francuzów, którego podobno za to wystąpienie spotkała dymisya; cóż ze stanowiska sztuki obchodzić kogo może, czy dokładniejszym w szczegółach jest officer pruski, czy francuski ochotnik? Idzie tu nie o materyalną ścisłość, lecz o rodzaj wywołanych w czytelniku wrażeń, które budzi prawda artystyczna, umosząca się po-nad wszelkimi „dokumentami“ ludzkimi i rzeczowemi. Gdyby nawet dowiedzioném zostało, że w owych słynnych zagonach kapusty, gdzie w dniu katastrofy sedańskiej leżeli żołnierze 82 pułku, nie wszystko tak się działo, jak w opisie Zoli, od chwili, kiedy ja, publiczność, mam czyta-

jąc przekonanie, że tak być mogło, a chwilami pewność, że tak być musiało—artyzm stał się prawdą, posunięty zaś jest u Zoli tak daleko, że nawet czysta fikcja przemawia, jak prawda.

Do fikcyjnych pomysłów należą dwie sceny, piękne każda sama przez się, śmiałe w zestawieniu z sobą, jako powtórzenie przy odmiennej sceneryi jednego motywu. Siostra Maurycego, poślubiona Alzatkowi Weissowi, przedostaje się łąkami i ogrodami wśród pruskich kul i granatów z Sedanu do Bazeilles, gdzie mąż jej posiada fabrykę i dom, atakowany właśnie przez Prusaków, a broniony w homerycznym stylu przez kipiącego zemstą właściciela, który w końcu, w obecności żony, pada pod ogniem plutonu egzekucyjnego zwycięskich nieprzyjaciół. Drugi taki krzyżowy pochód przedsięwzięła Sylwina, szukająca ciała Honoryusza, dopóki nie znalazła swego kochanka na wzgórzu Illy, „rozciągniętego na armacie, jak na honorowém łożu, z twarzą nie-  
tkniętą, piękną w męskim gniewie i w stronę wrogów zwróconą“—Dotychczas Sienkiewicz tylko w literaturze współczesnej pozwolił sobie na zuchwalstwo dwóch, jedna za drugą idących, przepraw: Podbiپیęty i Skrzetuskiego; Zola nie zawsze dotrzymuje kroku polskiemu autorowi—ale daleko po-za nim nie zostaje i wzbogaca powieściopisarstwo europejskie dwiema najczystszej wody perłami poezyi.

Trudniej, niż jałowy spór o faktyczną prawdę, zrozumieć zarzuty, dotyczące myśli przewodniej książki, zwłaszcza, jeżeli je stawia taki, jak Melchior de Vogüé, twórca krytycy artysty. Pan de Vogüé znajduje w powieści Zoli ważną lukę: patrząc na straszny pojedynek dziejowy, widzi tylko jedną zmagającą się stronę, brakuje mu Niemiec, drażni go zbywanie tej potężnej siły wzmianką o przesuwających się w dali „szeregach ołowianych żołnierzy z jednym na czele ołowianym żołnierzem,“ i chciał-by wiedzieć, co było w tych ołowianych żołnierzach, dlaczego Francję zwyciężyli?

Może mu nie wystarcza wyraźna w książce odpowiedź—ale odpowiedź jest, a wygłasza ją ten sam Alzatyk, który dowiódł bohaterką śmiercią, że nietylko mówić potrafi. Weiss wskazuje z jednej strony na „Prusy, spotężniałe po Sadowej, na ruch narodowy, wysuwający je na czoło innych państw niemieckich, na całe to wielkie mocarstwo, w fazie kształtowania, ożywione zapalem dokonywającego się zjednoczenia, na system obowiązkowej służby wojskowej, uzbrajający cały naród ukształcony, karny, zaopatrzony w potężne zasoby, wyćwiczony w wielkich wojnach, uniesiony jeszcze piorunującym nad Austryą zwycięstwem; na inteligencyę i siłę moralną tej armii, prowadzonej do boju przez sanych prawie młodych dowódców, posłusznej głównodowodzącemu, który zdawał się przetwarzać sztukę wojenną niezrównaną przezornością i cudownie jasnym rzutem oka;“ z drugiej strony stawia

wobec tych Niemiec: „Francję, Cesarstwo schorzałe, podtrzymywane jeszcze plebiscytem, ale zmurszałe u podstaw, z ideą ojczyzny, osłabioną brakiem wolności, z liberalizmem, który przyszedł zapóźno na zgubę systematu, blizkiego runięcia, skoro tylko przestanie zaspokajać rozpętane przez siebie żądze użycia; dalej armię, odważną, ani słowa, okrytą wawrzynami Krymu i Włoch, ale zepsutą platnóm zastępstwem, zagrzezłą w rutynie szkoły afrykańskiej, zbyt pewną zwycięstwa, ażeby się zdobyła na wielki wysiłek nowój nauki; wreszcie generałów, mierzonych po większej części, trawionych gorączką rywalizacyi, czasem zdumiewających nieuctwem,—a na czele ich Cesarza, cierpiącego i wahającego się, oszukiwanego i oszukującego siebie w straszliwej awanturze, w którą wszyscy zapędzili się, jak ślepi, bez poważnego przygotowania, niby rozpierzchnięta w nieładzie trzoda, prowadzona do rzeźni.“

Czy idea książki mogła istotnie wystąpić plastyczniej, gdyby Zola był w niej odmalował, w myśl p. de Vogüé, wieczór 1-go Września 1870 roku w obozie niemieckim: „sznur świateł, ciągnący się, niby olbrzymi różaniec, przez całą dolinę Mozy; śpiewy nabożne, któremi setki tysięcy głosów przerywały ciszę nocną; hymny do boga zwycięstw i do nieobecnej ojczyzny, intonowane przez żołnierzy, celebrujących jak księża“—nie wiem; to tylko pewna, że kontrast między majaczącymi zdaleka ołowianami żołnierzami, a wściekłą nawałą, pustoszącą Francję ogniem i mieczem, jest środkiem równie artystycznym, jak ukazywanie się w tragicznych momentach widma Napoleona III-go; sylwetka Cesarza ze swemi niepewnemi, rozplywającemi się konturami, uosabia jakby senną jakąś zmorę chaosu; czysto, dokładnie zarysowane na widnokręgu linie drobnych figurek, poruszających się z prawidłowością doskonałego mechanizmu, przypominają matematyczną ścisłość, jaką natura w pewnych zachowuje zjawiskach; w pozornym automatyzmie przeczuwa się duszę, nawykłą do organizowania nawet burzy, nawet katastrofy, i te właśnie przeczucia, ten niepokój, zdejmujący czytelnika wobec „ołowianych żołnierzy,“ działa na niego wyłącznie artystycznemi pierwiastkami.

To też jeżeli, zdaniem francuskiego krytyka, „ta gruba książka kuleje,“ to nie dlatego, że Zola zaniedbał przeciwstawić ducha Niemiec duchowi Francyi, ani dlatego, że sztucznie jakoby doprowadził aż do Komuny opowiadanie, które powinno było skończyć się na klęsce sedańskiej; ale że jego dzieło, stworzone z pretensją historyzoficzną: zbilansowania przeszłości, nauczania terażniejszości i wywróżenia przyszłości, jest w naciągniętym zaledwie związku z dniem wczorajszym, klóci się z dzisiejszym, a może być dla jutrzejszego dnia fałszywym prorokiem.

Przedewszystkiém nie bilansuje nic. „Pogrom“ jest mistrzowskim pod wielu względami utworem, o ile przedstawia ruinę „Cesar-

stwa;“ szwankuje, ilekroć usiłuje utożsamiać runięcie systematu z upadkiem narodu, a fantazyuje, dając za przyczynę temu zamroczeniu się dawniej świetności Francyi „ośmnaście lat korrupcyi“ pod Napoleonem III. Dożyliśmy czasów, w których wyraz „korrupcyja“ przestał określać monopol obyczajowy jakiejś epoki, jakiegoś narodu, jakiejś formy rządu; krytyka historyczna słyszy go tak dobrze za monarchii Ludwika Filipa, jak za cesarstwa Ludwika Napoleona, jak za prezydentury Carnot'a; wszędzie i zawsze oznacza on objaw niezależny od gabinetowych kierunków Polignac'a, Rouher'a, czy Ribot'a i tkwiący głębiej w sumieniu narodu, w którym przekształcenie się pojęć etycznych nie ma nic wspólnego z polityką; a gdyby nawet prawdą było, że gorączka użycia, główny tój „korrupcyi“ moment, doszła pod Napoleonem III-im do najostrzejszego paroksyzmu, i gdyby pewne hasła, ze stopni tronu głoszone, miały istotnie moc popychania narodu ku tym lub innym celom, to pierwsza owój gorączki przyczyna, dewiza „*enrichissez-vous!*“ odezwała się we Francyi dawniej i nie przez usta jeńca z Wilhelmslöhe. Kto-by więc teraz, patrząc na dzisiejsze w całej Europie stosunki, miał cierpliwość przeczytać uważnie cały cykl Rougon-Macquartów— a cierpliwości trzeba-by dużo, bo nudne to najczęściej zajęcie,— ten-by dopiero zorientował się, jak blade, bezbarwne w zestawieniu z chwilą bieżącą wygląda to wszystko, co w ośmnaścioletniej akcji oskarżenia miało, według intencji Zoli, przygotować Sedan; jak dalece myśl, krążąca w tym szeregu romansów, jest raczej „odgłosem ówczesnych na Cesarstwo poglądów, aniżeli przedmiotowem badaniem życia z tój doby, i jak ta sztuczna tendencyja, słabnąca w miarę rozwijania się cyklu i uciszania się namiętności, milknie prawie wobec tragedyi 1870—1871 roku, która wyglądała-by nielogicznie, gdyby aż krwią likwidować miała tak pospolite, codzienne, prawie drobne rachunki. Na tój niekonsekwencji wygrywa „Pogrom,“ bo staje w wodosobnieniu, jako coś artystycznie, po-za obrębem wszelkich dążności, skończonego i żyjącego własnym, samodzielnym życiem. Nie tego zapewne chciał Zola— ale mniejsza o to: poeci tworzą arcydzieła niekiedy bezwiednie, czasem mimowoli; nie troszczymy się w tym razie o wolę autora i oddajmy się bez zastrzeżeń wrażeniu silnej, męskiej poezyi, którą tchnie ostatnia jego książka, wtedy zwłaszcza, gdy przedstawia po mistrzowsku rozpadanie się w gruzy państwa, które tём przedewszystkiém zawiniło, że złą prowadziło politykę.

Czy powiodło się Zoli nawiązać do tój katastrofy obraz upadku narodu? Na to zapytanie znaleźć mamy odpowiedź w zakończeniu powieści, załatwiającém się odrazu z teraźniejszością i przyszłością efektownym zwrotem w stosunku między Janem Macquart'em i Maurycem Levasseurem.



Wyleczywszy się z ran pod koniec Grudnia, Jan opuszcza Sedan i zdąża do armii północnej; na nieszczęście gorączka, trwająca całe dwa miesiące, zatrzymuje go w jednym z brukselskich szpitali. Kiedy wyzdrowiał, wojna już się skończyła — ale Paryż jest w rękach Komuny, Jan zatem raz jeszcze przywdziewa kaprałskie galony. Przedostawszy się z oddziałem swoim na lewy brzeg, gdzie nakazano skoncentrować się całej armii, spotyka się z falą napływającego tam tłumu, który krzyczy, zatrzymuje go i chce rozbroić. Nagle z ciżby wybiega Maurycy, rzuca mu się na szyję i ściska po bratersku. Uległ on podczas obłęzenia epidemii, ogarniającej całą ludność. Nadmiar zawiedzionego patriotyzmu, podejrzewania, gniew, trwoga, osłabienie umysłowe, spowodowane postem we dnie, a bezsennością w nocy — wszystko to spotęgowało do szafu wrodzoną jego nerwowość. Przystał więc Maurycy do powstańców, zaprzął się sam do jednej z armat, którą lud przeprowadził na szczyt Montmartre, i słuchał bez oburzenia ohydneho opisu morderstw. popełnionych na generałach Lecomte i Thomas. Ślepa żądza zemsty i zniszczenia nurtuje mózg jego podniecony, paczy w sumieniu najprostsze zasady i oddaje go całego na pastwę jakiegś egzaltacyi wykolejonego bogaterstwa.

— Zostajesz z nami, nie prawdaż? — mówi do Jana, niespodzianie napotkanego.

Ale Jan rozważny i spokojny, silny zdrowym rozsądkiem, nie wdaje się w rozprawy. Ma rozkaz i będzie posłusznym. Rozdzieleni nagle popchnięciem tłumu, dwaj przyjaciele mówią sobie zdaleka „do widzenia“ — i spotykają się dopiero po dwóch miesiącach na barykadzie przy ulicy Lille. Maurycy, leżąc za beczkami i workami z ziemią, korzysta z łuny pożarów, ażeby trupem kłaść żołnierzy, nierozważnie wysuwających się z bram domów. Najzaciętsi nawet z jego towarzyszków umknęli po jednym, przerażeni myślą, że lada chwila wojsko tyły im zajmie. Pozostaje więc sam z jedną tylko manią: wytępić jaknajwięcej Wersalczyków, kiedy kilku żołnierzy, przedostawszy się przez dom od ulicy du Bac, rzucają się na barykadę. To Jan ze swoim oddziałem. Między dwoma workami kaprał widzi komunistę, celującego i strzelającego bez przerwy; wpada więc na niego i pchnięciem bagnetu przygważdża go do barykady. Brat zabił brata — i w tym było-by już *anankę*; Zola posuwa się dalej, bo sens moralny jest tu parafrazą Hugonowskiego: *ceci tuera cela*.

Maurycy i Jan — to, jak już nadmienilem, więcej, niż typy — to symbole, dobre, czy złe, prawdziwe, czy fantastyczne, mniejsza o to, ale symbole. Od pierwszych stron „Pogromu,“ symbolizm ten występuje na scenę i odtąd Zola trzyma się nieodstępnie tej formy, akcentując ją najdobitniej w ostatniej części książki. Z literackiego stano-

wiska rozważana ta końcowa setka kartek, zawierająca opis oblężenia Paryża i Komuny, uderza może oschłością opowiadania i ubóstwem szczegółów w porównaniu z epickim nastrojem i szerokością stylu w obrazie klęski sedańskiej; być może nawet, że sama psychologia Komuny, jednego z najciekawszych zjawisk w tej dziejowej katastrofie, zbyt ryczałtowo jest traktowaną; nie można jednak powiedzieć, żeby ostatni epizod nie był z całym dziełem w organicznym związku. Przyjawszy raz przewodnią myśl książki, trzeba zgodzić się na konieczność takiego epilogu. W Sedanie wali się tylko Cesarstwo, chcąc zaś uwidatnić nieszczęścia, nagromadzone nad Francją, jakoby przez „korrupcyę“ rządów Napoleońskich, przedstawić nietylko upadek dynastji, ale rozkład społeczeństwa, pozbawionego już rzekomo wszelkiej siły żywotnej—musiał Zola kreślić ten szereg zbrodni, to fatalne skojarzenie wszystkich ruin i wszelkiej sromoty, od zdrady Bazaine'a aż do zbójcejskich szaleństw nafiary.

Kiedy Jan i Maurycy odnajdują się w Paryżu na początku Komuny, są to w intencji autora nietylko dwaj witający się przyjaciele, ale dwie, stojące wobec siebie, Francye: zdrowa i chora. Zdrowie, jak widzieliśmy, pokonało chorobę—wypowiada to wyraźnie na łożu śmierci Maurycy:

— Przypomnij sobie—mówi do Jana, — co mi mówiłeś nazajutrz po Sedanie, gdy utrzymywałeś, że nie jest to źle dostać czasem porządną policzek. I dodałeś, że kiedy się ma coś zgnilego, jaką gdziekolwiek gangrenę, lepiej odciąć siekierą zepsuty członek, aniżeli zdychać z tego, jak z cholery... Myślałem często o tych twoich słowach—a teraz widzę, że ja to jestem zepsutym członkiem... Tak, mój stary... tyś prosty i silny... Idź, weź motykę, weź kielnię, przekop pole, odbuduj dom! a ze mną dobrze się stało, żeś mię powalił, skoro byłem wrzodem, przylgnięty do twych kości!

Dlaczego Maurycy był wrzodem na ciele zdrowej Francji? czy ten symbol rozkładu ogarnia tylko szaleństwa Komuny? Wolno o tём wątpić wobec dość łagodnie na inném miejscu scharakteryzowanej psychologii Komuny, jako „chorobliwego patryotyzmu“, sam zresztą chory stwierdza w rozmowie z Janem, że złe dalszych sięga czasów i nazywa je: *ce mal venu de loin*; cała więc chwiejność tej filozofii na tём polega, że w stosunku do przeszłości należało-by ową *dalekość czasów* głębiej cofnąć, aniżeli by Zola pragnął; terażniejszość znowu odbiera jego wywodom faktyczną podstawę, zmuszając dzisiejszego czytelnika do wykrzyku: „ależ to nieprawda, Jan nie zabił Maurycego. Macquarty ze wsi, którzy dawniej podpierali Cesarstwo plebiscytem, teraz wybierają Levasseurów na deputowanych, popychają ich na ministrów i płacą koszta sprawy panamskiej. Może-byśmy przy tej okazji pomówili coś o „korrupcyi?“

Książka Zoli ukazała się zapóźno, jak zapóźno przy dzisiejszych szachrajstwach politykującej Francyi, ukazał się „Pieniądz;“ nie trzeba było, jeżeli to miał być wyrok dziejowy, czekać z napisaniem „Pogromu“ aż się dla jednej ruiny znajdą okoliczności łagodzące w drugiej ruinie; trzeba było śpieszyć się, aby reprezentant pokolenia, wyrosłego wśród ideałów republikańskich, nie zdążył zdefiniować w *Revue bleue* swój generacji, jako „wychowanej w pogardzie dla prawa i w kulcie dla nienawiści,“ żeby James Darmesteter nie wyrzekł o ubiegłym od wojny francusko-niemieckiej dwudziestoleciu: że w niem „nie spełniło się ani jedno wielkie dzieło, nie ozwało się ani jedno płodne słowo, nie postawiony był ani jeden krok na drodze moralnego postępu!“

Napisał niegdyś Zola broszurę polityczną p. t.: „Rzeczpospolita będzie naturalistyczną, albo nie będzie jej wcale.“ Jedna połowa dylematu sprawdza się w tej chwili — nikt nie wątpi wobec Panamy, że rzeczpospolita jest naturalistyczną; tylko czy tak ją sobie wyobrażał autor „Pogromu,“ kreśląc ostatnie wiersze swój książki?

„Wtedy Jan miał myśl nadzwyczajną. Wydało mu się, że wśród tego wolno zapadającego zmroku, po-nad tym grodem w płomieniach jutrzeńka już świta. Naokoło siebie widział wprawdzie koniec wszystkiego: zawziętość losu, nagromadzenie takich klęsk, że na żaden naród równie wielkie nie spadły; ciągle przegrane, stracone prowincye, miliardy do zapłacenia, najstraszniejszą z wojen domowych, we krwi tonącą. A jednak po-za tą płomienistą czeluścią, z której wydobywały się jeszcze wycia, niezamierająca nigdy nadzieja odradzała się na tle spokojnego, przezroczystego nieba. Było to niezawodne odmładzanie się odwiecznej natury, odwiecznej ludzkości; wiosna, przyrzeczona każdemu, kto spodziewa się i pracuje; drzewo, wypuszczające silny, zdrowy pęd po obcięciu spróchniałej gałęzi. Spustoszone pole leżało odłogiem, dom spalony rozpadł się, a Jan najpokorniejszy, najbardziej zbolełały, poszedł, dążąc ku przyszłości, ku wielkiej i ciężkiej pracy odbudowania całej Francyi.“

Powodzenia w tej pracy gorąco życzyć musi Janowi każdy, kto się czuje duchem zespolony z cywilizacyjnymi zadaniami ludzkości—tylko, żeby ją pracownikom ułatwić, trzeba jeszcze napisać „historję naturalną i społeczną Rougon-Macquart’ów za trzeciej rzeczypospolitej.“ Może Zola kiedyś tego dzieła dokona; dziś stworzył rzecz, która, wraz z „Germinalem,“ zostanie w literaturze nie tylko francuskiej, ale europejskiej, jako dowód: że niema utworów artystyczniejszych nad te, które siłą utajonego w sobie talentu druzgoczą ciasne „formuły“ literackie, i że niema namiętniejszego idealisty nad naturalistę, który pisze poezyę, nie wiedząc o tém,—jak pan Jourdain pisał prozą.

---

# PARCELACYA W POZNAŃSKIEM.

---

Od chwili, kiedy rolnicy na zachodzie Europy dość nagle znaleźli się w trudnym położeniu, któremu nadano nazwę przesilenia rolniczego, na porządek dzienny, z większą niż kiedykolwiek natarczywością, weszła kwestya rozparcelowania znaczniejszych obszarów większej własności ziemskiej.

Nie mamy zamiaru badać, jakie były przyczyny przesilenia rolniczego, ani też jakie jest zasadnicze znaczenie rozdrabniania większej własności: Jedna i druga kwestya niedawno w „Bibl. Warsz.“ obszernie była traktowaną w rozprawie p. Blocha „Ziemia i jej odłuzenie,“ a na wypowiedziane wówczas przez autora wnioski w obu sprawach prawie zupełnie się godzimy. Wskazano w tej rozprawie i na konkurencyę, jaką, dzięki niezwykłym ułatwieniom komunikacyi, zamorskie produkta rolne (wełna australaska i zboże z północnój Ameryki i z Indyi) zrobiły rolnikom europejskim, i na różne inne, niekorzystne dla nich warunki ekonomiczno-społeczne, które większą niżeli kiedykolwiek dawniej liczbę większych właścicieli ziemskich zmuszają do zlikwidowania się.

Co się tyczy parcelacyi, którą téż kolonizacyą wewnętrzną nazwać można, przypomniał p. Bloch rezolucyę zjazdu prawników i ekonomistów w Krakowie we Wrześniu r. 1887, brzmiące jak następuje:

1. Kolonizacya wewnętrzna, t. j. podział pojedynczych folwarków większej własności na pewną liczbę samoistnych jednostek gospo-

darczych jest pożądaną, ponieważ wytwarza większą liczbę właścicieli ziemskich.

2. Kolonizacya nie powinna mieć na celu pochłonięcia większej własności, której istnienie, tak ze względów ekonomicznych, jako i społecznych, jest konieczne.

3. Dla zagrożonych ruiną ekonomiczną właścicieli ziemskich, kolonizacya, racjonalnie przeprowadzona, jest częstokroć jedynym sposobem zlikwidowania się bez uszczerbku dla ekonomicznych stosunków kraju.

Że kolonizacya wewnętrzna, czyli parcelacya, nie powinna mieć na celu zupełnego pochłonięcia większej własności, zaznaczył także, kilka lat temu, z wielką stanowczością, prof. Schmoller, znany jako „socjalista z katedry.“ „W liberalnych towarzystwach włościąńskich — powiedział na zebraniu stowarzyszenia „Verein für Socialpolitik“ — dyskutowano nad kwestyą parcelacyi, jak gdyby chodziło o demokratyczny lub liberalny atak przeciwko arystokracji pruskiej. Takiego charakteru nie chciał-bym nadać agitacyi za kolonizacyą. Im głębiej się zapuszczam w studia historyi monarchii pruskiej, tém bardziej wyrabia się we mnie przekonanie, że całe polityczne życie Prus i odrodzenie się Niemiec w ścisłym pozostaje związku z istnieniem rodzin i tradycyi rodowych. Nie ulega kwestyi, że i dziś jeszcze pragniemy, aby dużo było inaczej w tych kołach, ale tak samo nie ulega kwestyi, że są one jedną z najgłówniejszych części organizmu pruskiego. Chcieć je podkopać, usunąć, znaczyło-by to samo, co podkopać jedną z najważniejszych podstaw państwa pruskiego. Dlatego przestrzegałem przed wypowiedzeniem zasady, że własność większą do 20% ogólnego obszaru własności ziemskiej zredukować należy; ja chętnie pozostawię im 35—40%.“

Podobne poglądy wypowiada p. Bloch w przytoczonej powyżej, a drukowanej w „Bibliotece,“ rozprawie. „Znikanie w jakimś kraju z oblicza ziemi własności większej, i to znikanie rok na rok stałe, może mieć poważne strony szkodliwe i niebezpieczne. Posiadacze ziemscy, rozporządzający większemi środkami intelektualnemi i materialnemi, zajmujący wynioslejsze a niezależne stanowisko społeczne, mają do spełnienia zadanie poważne. Oni przechowują też zazwyczaj — co bynajmniej małoważnem nie jest — w łonie swojem pewne tradycye, przez życie wieków minionych przekazane, a bez których naród był-by, jak okręt bez balastu, w każdej chwili pozostający w równowadze niestałej. W całym kraju powinny być rozrzucone posterunki, w których znaleźć-by mogły odbicie ogniska wiedzy i postępu, rozniecane w dobie dzisiejszej w miastach; nie tylko rozwój, ale byt wymaga, aby w każdym zakątku znalazły się umysły, chcące i umiejące ocenić doniosłość

ulepszeń technicznych, zdolne wreszcie pojąć wszystkie tony hasel potężniejszej wciąż cywilizacji. Drobną własność nie wyklucza oczywiście wysokich zdolności u posiadacza, nie broni przejść przez ławy i egzamina szkół wyższych; ale drobna posiadłość wymaga całego czasu, wymaga pracy twardej, nie pozostawia chwili wolnej i myśli swobodnej, nie daje wreszcie środków na sprowadzenie udoskonaleń gospodarczych, które zawsze pociągają za sobą znaczny nakład, kosztują wiele prób i niepowodzeń czasowych.

Atoli dyskusya cała nad pytaniem: czy i w jakiej mierze parcelacya w danej okolicy i w danych stosunkach się zaleca, ma li teoretyczne znaczenie. W praktyce, przynajmniej w Poznańskim, zastosować się da trzecia z wymienionych powyżej rezolucyi zjazdu prawników i ekonomistów; większa własność ziemską znajduje się przeważnie w tém położeniu, że kolonizacya, czyli parcelacya, jest dla niej jedynym sposobem zlikwidowania się. Na szczęście zaś można powiedzieć, że się to da uskutecznić bez uszczerbku dla stosunków ekonomicznych. W Poznańskim bowiem własność ziemską ponad 100 hektarów, którą tam stanowczo do większej zaliczyć należy, obejmuje jeszcze przeszło połowę całego obszaru. Według obliczenia, dokonanego pięć lat temu, folwarki, mające więcej niż 100 hektarów (hektar równa się mniej więcej desiatynie, czyli dwóm morgom), obejmowały 1,133,900 hekt., czyli 55.3% ogólnego obszaru, osady od 10 — 100 hekt. — 664,166 hekt., czyli 32.5%, osady od 1 — 10 hektarów zajmowały razem 222,306 hekt., czyli 10.8%, a parcele niżej hektara: 27,608 hekt., czyli 1.4% ogólnego obszaru. W sąsiadujących z Poznańskiem Prusach zachodnich stosunek własności ziemskiej przedstawiał się jak następuje: niżej 1 hektara: 21,312 hekt. (czyli 1.3% ogólnego obszaru), od 1—10 hekt.: 146,719 (9.1%), od 10 — 100 hekt.: 683,485 (42.5%), ponad 100 hekt.: 758,606 hekt. (47.1%).

Ze wszystkich prowincyi pruskiej tylko Pomerania przewyższa Poznańskie co do stosunku większej własności ziemskiej, która tam obejmuje 57.4 ogólnego obszaru. Dodać atoli trzeba, że w Póznaińskim i Prusach zachodnich stosunek w ostatnich latach się zmienił przez to, iż pruska komisya kolonizacyjna, zakupując znaczniejsze obszary większej własności, podzieliła je na drobniejsze kolonie. Według ostatniego urzędowego sprawozdania komisyi kolonizacyjnej, o którem obszerniej pisaliśmy (obacz zeszyt marcowy 1892 r. „Bibl. Warsz.“), pruska komisya kolonizacyjna od Lipca r. 1891 pomiędzy kolonistów rozsprzedała 16,240 hektarów. Działający także w tym kierunku bank ziemski w Poznaniu rozsprzedał w mniejszych parcelach, od początku swego istnienia, do Lipca r. b. około 6,000 hektarów, a licząc, że drogą parcelacyi prywatnej, bez pomocy dwu wymienionych

instytucyi, także niejedną przeprowadzono parcelacyę większych folwarków, ceniny obszar większej własności ziemskiej, rozdrobnionej w ostatnich latach w dwu wymienionych prowincyach, mniej więcej na 30,000 hektarów. W stosunku do 1,892,000 hektarów większej własności, jest to procent niewielki, który poważniejszej zmiany w stosunku własności folwarcznej do włościańskiej nie spowodził. Tak tedy, trzymając się nawet zasad w przytoczonych powyżej zdaniach, prof. Schmolera i p. Blocha, co do potrzeby znaczniejszego stosunku większej własności ziemskiej w organizmie gospodarczym, dojdziemy do wniosku, że w Poznańskim jeszcze dosyć znaczne obszary, bez uszczerbku dla stosunków ekonomicznych, mogą być rozparcelowane.

Nie braknie też bynajmniej materiału na osadników i nie potrzeba go wcale sprowadzać ze znacznym kosztem z dalekich stron, jak to, ze względów politycznych, czyni pruska komisya kolonizacyjna. Jest bowiem, zarówno w Poznańskim, jak i w Prusach zachodnich, dużo ludności bezrolnej, względnie inteligentnej, która nawet w części emigruje za zarobkiem, czy to na zachód, czy nawet za morze; znaczny procent tych emigrantów nie opuszczał-by stron swoich, gdyby mu ułatwiono osiedlanie się i dorabianie na własnym kawałku ziemi. Że zaś chłop, nabywszy kawał ziemi, nawet pomimo klęsk na rolnictwo, nie łatwo ją oddaje w inne ręce, na to za dowód służyć może okoliczność, iż sprzedaże gruntów chłopskich pruskiej komisji kolonizacyjnej były i są bardzo nieliczne.

Prawodawstwo pruskie w ostatnich czasach, jak się zdaje, skutkiem przyczynienia się stowarzyszenia dla polityki socyalnej (Verein für Socialpolitik), zaczęło faworyzować dokonywające się za pomocą parcelacyi osadnictwo krajowe. Od roku 1879 kwestya t. zw. kolonizacyi wewnętrznej w Prusach zajmuje uwagę publiczną. Na praktyczne tory, niestety z nieprzyjemną domieszką tendencyi politycznych, weszła ona przez pruską komisję kolonizacyjną. Komisya, mając wielkie trudności w pozyskaniu nabywców na tworzone przez siebie kolonie, od których kupna ludność miejscową wykluczyła, z konieczności zaczęła sprzedawać kolonie takie chłopom, nie posiadającym kapitałów, nie mogącym tedy dać większego przy kupnie zaliczenia. Sprzedaży dokonywano „na rentę,” t. j. obowiązywano nabywcę do opłacania przez pewien, oczywiście dosyć długi, szereg lat, renty, która, dając procent od ceny szacunku, zarazem umarzała stopniowo szacunek.

Prawna forma do tego rodzaju sprzedaży stworzoną została dopiero w roku 1890, gdy do rządu pruskiego, na wybitne i wpływowe stanowisko ministra skarbu, wszedł Miquel, jeden z najgorliwszych członków wyż wspomnianego stowarzyszenia dla polityki socyalnej.

Miquel już podczas obrad nad utworzeniem komisji kolonizacyjnej zaznaczył, że jeżeli oświadcza się za projektem, czyni to raczej ze względów społecznych, niżeli politycznych, że chodzi o doświadczenie, o ile da się wprowadzić w życie sprzedaż ziemi ludziom, nie posiadającym znacznego zasobu kapitałów, lecz jedynie odpowiednią inteligencyą i pracowitość. W r. 1890 przedstawił rząd pruski sejmowi projekt ustawy o gruntach rentowych (Rentengüter), to jest o typie sprzedaży i kupna ziemi za opłaceniem rocznej renty, a już w Czerwen tegoż roku ustawa wraz z sankcyą królewską została ogłoszoną. Stworzyła ona rzecz zupełnie nową. Jakkolwiek bowiem renta, opłacana z ziemi, pomieszczona w drugim dziale (stałych ciężarów) hipoteki, już dawniej istniała, była ona zwykle wynikiem zobowiązań, powstałych ze zniesienia poddaństwa, pańszczyzny i t. p. Istniała też w Prusach własność emfiteutyeczna, t. zw. Erbpacht, zobowiązująca właściciela do stałego opłacania pierwotnym właścicielowi pewnej renty rocznej. Ale ta ostatnia była nieumarzalną, a dopiero przepisy prawne, pochodzące z czasów, w których dążono do tego, aby własności ziemskiej nadać charakter jaknajbardziej indywidualny, pozwoliły zamienić wszelkie renty stałe na umarzalne. Działo się to za pomocą t. zw. banków rentowych, które spłacały uprawnionego do pobierania renty z danego majątku, kapitalizując tę rentę. Wprawdzie i w dalszym ciągu dla banku rentowego nie zapisywano do hipoteki kapitału, lecz rentę, ale w takiej wysokości, iż ona całe zobowiązanie w pewnym przeciągu czasu umarzała.

Renta w formie spłaty szacunku kupna przy tranzakcyach na grunta nie była znaną, zastosowanie jej też było niemożliwe, ustawa pruska z 2-go Marca roku 1850 bowiem zabraniała nakładania nowych rent na ziemię na czas dłuższy, jak 30 lat, i przy wyższem kapitalizowaniu, jak na 4%. Otóż ustawa pruska z roku 1890 zniósła wszelkie ograniczenia w tym względzie, zezwalając przy sprzedażach i kupnie „na rentę“ na różne warunki umowy, aby tylko warunki tranzakcyi kupna i sprzedaży w księdze hipotecznej były ujawnione. Głównym warunkiem sprzedaży na rentę atoli jest, aby hipoteka sprzedanego gruntu była czysta, a mieściła się na pierwszym miejscu.

Z tém wszystkiém nowa forma sprzedaży przedstawiała jedną ważną stronę wadliwą, iż dla osób prywatnych, ze względu na istniejące położenie rzeczy, była niewykonalną. Majątki ziemskie dziś są bardzo znacznie zadłużone, a niewielu znalazło-by się zapewne wierzycieli, którzy-by, w razie sprzedaży majątku, w miejsce kapitału zechcieli przyjąć umarżającą się w 60 lat rentę. Jedynym tedy właścicielem ziemi, który mógł skutecznie sprzedaż na zasadzie nowego prawa o włościach rentowych, była pruska komisya kolonizacyjna. Zaczęto



się tedy istotnie domagać z wielu stron, aby komisya rozciągnęła działalność swoją na całą monarchię pruską. Wystąpiono nawet z zarzutem, iż dla komisji tej właściwszém było-by miano komisji polonizacyjnej, niżeli kolonizacyjnej, ograniczając się bowiem wyłącznie do kupowania majątków od właścicieli polskich, którym komisya stosunkowo wysokie płaciła ceny, umożliwiała im w dzisiejszych trudnych czasach, gdy na majątki ziemskie mało jest kupców, korzystną interesów swoich likwidacyę. Życzenia te jednak pozostały nie uwzględnione. Pruska komisya kolonizacyjna zachowała swój charakter, inaczej natomiast zaradzano potrzebie.

Rząd pruski przedstawił izbom projekt utworzenia instytucji finansowych, które-by, tak, jak to w Rossyi czyni bank włościański, niejako pośredniczyły pomiędzy sprzedającym a kupującym, wypłacając wierzycielom hipotecznym lub sprzedającemu kapitał, a zastrzegając sobie opłatę renty, oprocentowującej i umarzającej wyłożony kapitał. Właściwie nie utworzono instytucji nowych, lecz czynność tę przekazano istniejącym już bankom rentowym (Rentenbanken), o których powyżej wspominaliśmy, iż miały zadanie dopomożenia właścicielom nieruchomości do zlikwidowania ciężarów, spoczywających na ziemi z tytułu uwłaszczenia, dziesięcin, opłacanych Kościołowi i t. p., przez zamienienie opłat stałych, nieumarzalnych, na renty umarzające się.

Otóż ustawa pruska z 7-go Lipca r. 1891, przekazująca bankom rentowym ten nowy zakres działania, posunęła sprawę kolonizacji wewnętrznej za pomocą parcelacji o bardzo ważny krok naprzód. Zasady ustawy, która bez wszelkich trudności przez izby została przyjęta, są następujące: Przedewszystkiem banki rentowe odtąd otrzymują prawo przejmowania renty, zapisanej z tytułu sprzedaży na rzecz osób prywatnych, wydając w zamian tym osobom na spłatę listy rentowe, mające kurs na giełdzie; dalej te same banki mogą przeprowadzić parcelacyę i regulować stosunek pomiędzy sprzedającym większy folwark a nabywającymi go w mniejszych parcelach, nareszcie służy im prawo udzielania właścicielom gruntów pożyczek umarzalnych w listach rentowych na urządzenie gospodarstwa i postawienie budynków. Banki rentowe mogą jednakże tranzakcyje, do których ustawą są upoważnione, zawierać jedynie z właścicielami gospodarstw małych i średnich; odpowiednio do ogólnej tendencyi całej tej reformy agrarnej, własność większa od korzystania z niej bezpośrednio wykluczona.

Pozornie wydawać się może, iż pomiędzy bankami rentowemi, jako instytucjami kredytowemi dla średniej i małej własności ziemskiej, a innemi instytucjami hipotecznemi, udzielającemi téjże własności kredytu, żadnej niema różnicy. I landszafty np. udzielają włościanom kredytu w listach zastawnych, który umarza się przez opłacanie oprócz

procentu pewnej kwoty rocznie na amortyzacyę. A jednak pomiędzy pomocą banków rentowych a instytucji dla kredytu hipotecznego ważna tak w zasadzie, jako i w praktyce, istnieje różnica.

Pomoc banków rentowych opiera się na zasadzie, wygłoszonej w Prusach najwpierw przez Rodbertusa, że na własność ziemską nie można nakładać obowiązku spłacania kapitału, lecz jedynie opłacania renty, właściciel ziemski bowiem z dochodów swoich kapitału nigdy jednorazowo spłacać nie jest w stanie. Otóż przeciwko temu bardzo słusznemu pogładowi wykraczają wszystkie instytucje dla kredytu hipotecznego, nie wyłączając t. zw. landszaft. Pożyczki ich, w razie przymusowej sprzedaży własności ziemskiej, na której są zapisane, w całości są wymagalne. Inaczej rzecz się ma z pretensjami t. zw. banków rentowych. Udzieliwszy np. chłopu, który kupił sobie grunt za 5.000 marek, pożyczki w 3½%-wych listach rentowych do wysokości 3.750 marek, bank rentowy zapisuje sobie na gruncie tym rentę roczną w wysokości 150 marek, płatną przez 60½ lat w ratach półrocznych. Renta opłaca się razem z podatkami państwowemi i używa tych samych, co one, praw co do egzekucyi. Suma, udzielona właścicielowi gruntu przez bank rentowy w t. zw. listach rentowych, nigdy nie jest wymagalną. Natomiast, gdy renta z jakiegokolwiek przyczyny właścicielowi gruntu staje się niedogodną, służy mu prawo skupienia jej, przyczem uwzględnia się przy obliczaniu umorzona już według planu amortyzacyjnego suma.

Dzięki podobnym warunkom, pożyczka, udzielona właścicielowi gruntu w listach rentowych, może być wyższą od podobnej pożyczki landszaftowej. To też przyjęto zasadę, iż suma, wynikająca z pomnożenia renty przez cyfrę 25, mieścić się może w ¾ wartości gruntu-ustanowionej przez taksę landszaftową, lub generalnej komisji, prowadzącej interes banków rentowych. Tym sposobem właściciel gruntu, którego wartość oszacowaną została na 5.000 marek, otrzymać może 3.750 marek w listach rentowych 3½%-wych, gdy tymczasem landszafta dała-by mu tylko 2.500 marek w listach zastawnych, t. j. do połowy taksy. Pomimo to, listy rentowe mają kurs wyższy od listów zastawnych landszafty <sup>1)</sup>, ponieważ są to papiery przez państwo gwarantowane.

<sup>1)</sup> Dnia 20-go Grudnia 1892 roku na giełdzie berlińskiej kurs listów zastawnych i rentowych był następujący: 3½% listy zastawne Tow. kred. ziemsk. (landszafty) 96.60 za sto, 3½% listy rentowe 98.60 za sto; 4% listy zastawne 101.70, zaś 4% listy rentowe 102.75. Taki sam stosunek był pomiędzy zachodnio-pruskiemi listami zastawnymi a listami rentowemi.

Że uwaga nasza, iż istnienie banków rentowych posunęło sprawę wewnętrzną kolonizacyi za pomocą parcelacyi o bardzo ważny krok naprzód, jest słuszną, tego dowodzi praktyka. Wspomnieliśmy powyżej, iż interesa imieniem banków rentowych prowadzi t. z. komisya generalna. Dla trzech prowincyi wschodnich monarchii pruskiej, t. j. dla Poznańskiego, Prus wschodnich i zachodnich, istnieje jednak komisya generalna w Bydgoszczy. Komisya ta, od pierwszej chwili wprowadzenia w życie ustawy o bankach rentowych z 7 Lipca 1891 roku, zasypana jest wnioskami o przeprowadzenie parcelacyi najrozmaitszych folwarków i zamienienie ich na t. zw. włości rentowe (Rentengüter). Łatwo sobie wyobrazić można, do jakiego stopnia wszystkie te prace zalegać muszą, gdy się uwzględni, że komisya generalna, jako władza pruska, zorganizowana jest bardzo biurokratycznie i odpowiednią też ma procedurę.

Aby tedy reforma agrarna, wprowadzona w życie przez dwie ustawy o włościach rentowych i o pośredniczeniu banków rentowych w zakładaniu ich, należyte osiągnęła skutki, prawie niezbędnem jest istnienie osoby, czy też instytucyi, pośredniczącej pomiędzy właścicielami i nabywcami gruntów a komisją generalną, lub bankami rentowymi. W Poznańskim i Prusach zachodnich zabrało się natychmiast wielu żydków do tego pośrednictwa, ale komisya generalna utrudnia im o ile możności to pośrednictwo. obawiając się słuszenie, iż będą wyzyskiwali ludność wiejską, mającą zamiar nabywania t. zw. włości rentowych. Tém większym skutkiem tego doniosłości nabywa działalność istniejącego od czterech lat w Poznaniu banku ziemskiego. Zadaniem banku tego od początku była kolonizacya wewnętrzna za pomocą parcelowania większych folwarków. Że bank ziemski, nie wykluczający od nabywania gruntów żywołu miejscowego, jak to czyni komisya kolonizacyjna, znalazł odpowiedni grunt do spełnienia swego zadania, o tém świadczą cyfry sprawozdań rocznych, przedstawiające jego działalność od początku istnienia.

Czynność parcelacyjną rozpoczął bank ziemski właściwie dopiero w roku 1889, prowadzi ją zatem przez trzy lata. Mamy przed sobą sprawozdania za cały czas istnienia banku, przytaczamy z nich ważniejsze cyfry. W lipcu r. 1889 pisała dyrekeya: W téj chwili zajmujemy się parcelacyą na 4,400 morgach magd.; wartość tych obszarów, czyli cena żądana przez właścicieli, wynosi 697,225 marek, czyli, 158 mar. 50 f. za morgę magd.; zakontraktowanych i oddanych parceli jest 68, z ogólnym obszarem 1,645 mórg, za które nabywcy zapłacili 288,270 mar., czyli przeciętnie 175 m. za morgę. „Ziemi, szukającej nabywców—tak opiewa sprawozdanie—jest dużo w rękach właścicieli większych; nabywców, szukających ziemi, również jest dużo—pomiędzy włościanami.“

Jakoż istotnie w drugim roku ruch parcelacyjny znacznie wzrasta, a do 30-go Września r. 1890 miał bank ziemski 15 parcelacji większych i mniejszych posiadłości z ogólnym obszarem 2,708 hektarów, czyli 10,570 mórg magdeburskich, których cena przedstawiała sumę 1,574,247 marek. Sprzedanych było tedy 170 parceli, obejmujących 1,586 hektarów, za 1,076,057 marek, w biegu zaś pozostała parcelacya obszarów, obejmujących 1,121 hektarów w cenie 498,190 marek.

W roku 1890/91 cyfry te wzrastają poważnie. Od 1-go Lipca r. 1890 do 30-go Czerwca 1891 przybyło 10 interesów parcelacyjnych na obszarze 2,287 hektarów, tak iż do 1-go Lipca 1891 roku bank przeprowadzał ogółem 24 parcelacye na obszarze 4,655 hektarów. Z tego 13 obszarów było już zupełnie rozkolonizowanych i kolonie sprzedane w liczbie 90 z obszarem 678 hekt. za cenę 670,325 marek. Od pozostałych 11 obszarów było odprzedanych nowonabywcom oddanych 174 parceli, obejmujących 3,009 hektarów, których cena szacunkowa wynosiła 1,450,414 marek, tak iż 30-go Czerwca 1891 roku bank miał do rozparcelowania 967 hektarów za cenę 305,505 marek.

Nareszcie z ostatniego sprawozdania za rok 1891/2 widzimy, iż bank ziemski od początku istnienia swego do 1-go Lipca r. b. przeprowadzał parcelacyę na obszarze, obejmującym 8,677 hektarów, że z tego sprzedano w 414 parcelach 5,681 hektarów za 3,511,665 marek, to jest przecięciowo po 618 marek za hektar.

Za przyczynieniem się banku ziemskiego tedy już kilkunastu większych właścicieli było w możności zlikwidowania, pod warunkami względnie najkorzystniejszymi, posiadłości swoich, a w ich miejsce przybyło 414 nowych posiadzcicieli mniejszych, którym parcelacya dostarczyła warsztatu do pracy i zarobkowania, wstrzymując od szukania chleba za morzem. Bank ziemski ma też na oku rzeczywiste ustalenie losu kolonistów, których tworzy, nie szukając bowiem wygórowanych zysków, kontentuje się skromnym za trudy swoje wynagrodzeniem, zapewniającem akcyonaryuszom instytucyi umiarkowany procent. „Rozdzaj naszych interesów — tak opiewa sprawozdanie za rok 1890/91 — dawał-by niezawodnie możność rozdzielania pomiędzy akcyonaryuszów wyżej od proponowanej dywidendy, gdybyśmy sposobem prywatnych przedsiębiorstw chcieli parcelacyę wyzyskiwać tylko w celu pomnożenia naszych bezpośrednich dochodów. Rozumiemy jednakże, że nie taką była intencya założycieli i akcyonaryuszów instytucyi, lecz że zyskowność kapitałów złożonych miała raczej pośrednio wykazywać się w rezultatach dodatnich, jakich społeczeństwo w uzdrowieniu stosunków rolniczych przez rozmnożenie i wzmocnienie siedzib właściańskich spodziewać się ma prawo. Z drugiej strony jednakże nie rozu-

miemy zasadniczo przedsiębiorstwa akcyjnego, które-by się z góry wyrzekało zysków.“

Otóż przyznać trzeba, iż bank ziemski trzymał się stale tych zasad, a udzielając akcyonaryuszom skromnej dywidendy, nie przekraczającej 4%, dbał o to, aby pośrednictwo jego pomiędzy sprzedającym a kupującym ani jednej, ani drugiej stronie nie wypadło zadrogo. Bank zresztą miał interes w tém, aby nowonabywcy, włościanie, nie kupowali zadrogo, pozostawał bowiem ich wierzycielem, musiał więc baczyć na to, aby znajdowali się w warunkach, zapewniających im egzystencję.

Ponieważ ustawa zabrania bankowi ziemskiemu nabywania na własny rachunek majątków, celem rozparcelowania ich, przeto rozpoczęto od przeprowadzenia parcelacyi na rachunek sprzedającego, za umówioną z góry prowizję. Ale wtedy zdarzało się bardzo często, iż właściciel folwarku, rozparcelowawszy pewną część, tak wysoką ustanawiał cenę za dalsze parcele, iż albo sumy, pozostawiane nabywcom, nie były pewne, albo sprzedaż wogóle stawała się niemożliwą, a bank ziemski, uregulowawszy poprzednio hypotekę, mimowoli pozostawał wierzycielem pierwotnego właściciela. Po takich doświadczeniach, chwycił się zarząd tego sposobu, iż umawiał z właścicielem stałą cenę za całość, tem zaś, co osiągnięto ponad tę cenę, dzielił się z właścicielem. Nareszcie sprzedaże niektóre w ten sposób doprowadzono do skutku, iż zawiązywano t. zw. spółki ziemskie, z solidarną, nieograniczoną lub ograniczoną, odpowiedzialnością członków, które nabywały cały folwark na własny rachunek, a następnie rozkolonizowały go, sprzedając tak, iż każdy nowonabywca stawał się członkiem spółki. Ta forma interesu dla banku była najdogodniejszą, spółka bowiem podejmowała się sama trudu parcelacyi, bank zaś przejmował tylko przeprowadzenie czynności finansowej, co do której zresztą spółka mu przedstawiała większą gwarancję, niżeli pojedyncze osobistości. Nareszcie spółka, znajdując wogóle, z tytułu poręki członków swoich, kredyt, nie więziła tak długo, jak pojedyncze osobistości, kapitałów banku.

Niestety, na rozwinięcie takiej działalności, jaka, ze względu na ogólne położenie rzeczy w Poznańskim i Prusach zachodnich, była-by pożądaną, fundusze banku ziemskiego rychło się okazały zamale. Kapitał zakładowy banku wynosi 1,120,000 marek. Przy każdej parcelacyi musi zaś bank ziemski, celem przeprowadzenia rozdziału hypotek, wyłożyć całą cenę kupną, spłacać wszystkie hypoteki i długi właściciela, oddając mu resztę należności do ręki gotówką, która mu zwykle bardzo jest potrzebną. Z całego tego kapitału wraca się bankowi zaledwie trzecia część przy sprzedaży parceli, w formie zaliczki od na-

bywey, resztę zaś kapitału trzeba pozostawić nowonabywcom, dopóki nie zaciągną pożyczek hipotecznych z innych instytucyi, lub nie spłacą długu swego z własnego zarobku. Skutkiem tego obrót kapitałów banku ziemskiego jest bardzo powolny, a granice podejmowania interesów parcelacyjnych dość ciasne. (Zob. Sprawozdanie banku z dnia 30-go Czerwca r. 1890 str. 9).

Otóż to położenie rzeczy doznało zmiany na korzyść z chwilą wprowadzenia w życie opisaną powyżej pruskiej reformy agrarnej o włościach rentowych i regulowaniu ich interesów przez banki rentowe. Bank ziemski pisze w tym względzie w ostatniem swoim sprawozdaniu: „Dawniej, chcąc małym kapitałem starczyć jaknajdłużej, byliśmy zmuszeni wymagać od osadników znacznych zaliczek w gotówce (najmnie  $\frac{1}{3}$  szacunku), a prócz tego nalegać na spłatę jaknajwcześniejszą reszty ceny kupna, co nadwężało siły materialne nabywców, odstręczało i przerzedzało ich szeregi; pomimo to, zawsze znaczna część naszego kapitału narażoną była na nieruchome uwięzienie przez dziesiątki lat w hipotekach parcelacyjnych, od których nie możemy pobierać więcej, jak  $4\frac{1}{2}\%$ , co dla instytucyi finansowej jest miernym zyskiem, a dla rolnika wysoką opłatą. Dzisiaj  $\frac{3}{4}$  szacunku wrócić się może w gotówce z każdej parceli w krótkim czasie przez listy rentowe, tak, iż osadnik  $\frac{1}{4}$  ceny kupna wypłacić winien gotówką, nadto od reszty ceny kupna, zamienionej na rentę państwową, opłaca tylko  $4\%$  włącznie z amortyzacją, kończącą się w  $60\frac{1}{2}$  lat; jeżeli zaś bank ziemski prócz tego osadnikowi przychodzi w pomoc, dając mu kredyt na część zaliczki, lub zapomogę na budowę, to zawsze chodzi już tylko o małe stosunkowo kwoty, z krótkim terminem zwrotu.“ Sprawozdanie wyraża prócz tego nadzieję, że gdy państwo dziś wyraźnie sprzyja idei kolonizacyi wewnętrznej, ustaną trudności, które dotychczas niejednokrotnie parcelacyi stawiano, a które przyczyniały się także do powolniejszego obrotu kapitałów, lokowanych w parcelacyi.

Bank ziemski, licząc się ze zmienionem położeniem, przyszłe zadanie swoje wobec parcelacyi tak określa:

„Korzyści, wynikające z ustaw rentowych, skłaniają nas do przeprowadzenia osadnictwa zawsze na zasadzie włości rentowych i to przy pomocy komisji generalnej; tylko w wyjątkowych wypadkach odstępujemy od tej zasady, na pojedynczych parcelach, gdzie ze szczególnych przyczyn urządzenie włości rentowej jest niemożliwem, wskutek czego całe przedsięwzięcie parcelacyjne oddanego nam w komisję majątku było-by na szwank narażone. Tam hipotekę odrzuconej przez generalną komisję parceli reguluje bank ziemski dawnym sposobem kapitalistycznym. Obok tej sporadycznej pomocy finansowej, czynność banku ziemskiego przy urządzaniu włości rentowych obejmuje te wy-

działy, które komisya generalna pozostawia prywatnej inicjatywie. Podług dotychczasowych doświadczeń, można charakter tych czynności określić jak następuje:

1. Przy wszystkich majątkach, których właściciele trudów parcelacyjnych podjąć nie chcą, bank: a) załatwia wszelkie kroki wstępne i formalne wobec komisji generalnej; b) stara się o osadników i zawiera z nimi punktacje; c) dostarcza osadnikom w miarę potrzeby i możliwości środków pieniężnych na budowę; d) stosownie do potrzeby reguluje hipoteki w zamian za przekazane listy rentowe.

2. Na majątkach, których właściciele, z powodu zbyt trudnego położenia finansowego, długiej procedury urządzenia włości rentowych przetrzymać nie mogą, bank ziemski: a) skutecznie konieczne zaliczki pieniężne, a to w miarę postępów parcelacji i w zamian za spodziewany zwrot tych wykładów ze zrealizowanego później szacunku parceli; b) ewentualnie przejmuje pozostające na osadach części renty prywatnej, o ile to do zakończenia interesu jest potrzebnem.

3. Przy majątkach, których parcelacji sami właściciele podjąć nie chcą, lub których stan finansowy tak jest krytyczny, że powolna procedura parcelacji nie pokrywa potrzeb pieniężnych, bank ziemski: a) pośredniczy w sprzedaży całkowitego majątku jednej ze spółek ziemskich; b) dostarcza kapitału na pokrycie szacunku w miarę pewności, jaką mu daje odpowiedzialność kredytowa samej spółki, jak nie mniej wartość parcelacyjna danego majątku.

Rozpisałiśmy się tak obszernie o czynności banku ziemskiego, w dokonywającej się bowiem z większą własnością ziemską w Poznaniu ewolucji podobna instytucja pośrednicząca bardzo ważną gra rolę, a doświadczenia jej do pewnego stopnia za wzór służyć mogą. Ze względu na istniejące okoliczności, mianowicie na obecne przesilenie rolnictwa, któremu własność mniejsza lepiej się potrafi oprzeć, niżeli własność większa, sfery decydujące w państwach europejskich sprzyjają tej ewolucji, idącej w kierunku rozdrobnienia pewnej części większej własności. Nawet Anglia, która jej się najdłużej opierała, zaczyna się do niej przekonywać. Tak samo w Rosyi; wprawdzie Ukazy Najwyższe o urządzeniu banku szlacheckiego i o emisji premii pożyczki tegoż banku dowodzą, że sfery miarodajne przywiązują wagę do utrzymania pewnej części większej własności, ale z drugiej strony istnienie banku włościańskiego jest wyrazem sympatii dla powiększania liczby właścicieli ziemi, przez uprzywilejowanie jej kupna bezrolnym. Czynność parcelacyjna, dokonywana przez organa urzędowe, wszędzie z natury rzeczy jest i musi być dosyć skomplikowana i formalistyczna; dla interesu parcelacyjnego tedy z korzyścią jest połączone, gdy istnieje uczciwy pośrednik pomiędzy instytucjami rządo-

wemi z jednej, a sprzedającymi majątki swoje i mającymi chęć nabycia ziemi włościanami z drugiej strony, który, mniej skrepowany formalistyką, czynności te szybciej przeprowadza. Potrzebę taką zaznaczył także p. Bloch w swojej rozprawie „Ziemia i jej odłuzenie,“ a stwierdza ją ta okoliczność, iż bank ziemski w Poznaniu, pomimo, że po zaprowadzeniu t. zw. włości rentowych, czynność jego znakomicie została uproszczoną i potrzeba kapitału na pojedyncze interesa się zmniejszyła, uczuwa brak kapitału i chce przystąpić do powiększenia kapitału zakładowego.

Objaw ten najlepszym jest też dowodem, iż większa własność ziemska w dzisiejszych rozmiarach utrzymać się nie może, że częściowe rozdrobnienie jej jest niezbędne, a wszelka akcja, popierająca racjonalne przeprowadzenie podobnego rozdrobnienia, bardzo na czasie.

A. DONIMIRSKI.



---

# PIŚMIENNICTWO

## KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

---

Praktyczna Gramatyka języka polskiego. Ułożył *Hipolit Wójcicki*. Warszawa, 1892.  
Str. 101.

W ostatnich latach kilkudziesięciu, a zwłaszcza w ostatniej ćwierci wieku, nasze badania lingwistyczne bardzo wielki zrobiły postęp; ale i to również za pewnik przyjąć należy, że badania te, lubo znakomicie pogłębiły lingwistykę naszą i postawiły ją prawie na wyżynie europejskiego postępu, to jednak zakres tych badań krąży w pewnym ciasnym kółku i wcale całego ustroju języka nie obejmuje. Szczególniejszą opieką uczonych naszych cieszy się przedewszystkiem fonologia i to, co z nią w bliższej pozostaje styczności; składnia zaś w ogólności, to co nazywają *syntaxis sectionis*, a nawet bliżej—*syntaxis casuum*, od czasów pierwszego wydania Gramatyki Małeckiego odłogiem leży. Wszakże i owa, najpracowiciiej uprawiana głosownia, pomimo wielu niezaprzeconych zdobyczy naukowych i gruntownego wyjaśnienia wielu nieznanych dotąd prawd językowych, nie doprowadziła nas do ostatecznych, dostępnych dla wszystkich, wniosków, które-by się stały dla ogółu pewnikiem, między innymi wyraz swój mającym i w zastosowaniu do ortografii. Wszyscy wprawdzie wiemy, że pisownia wogóle jest wielce skomplikowaną kwestyą; oprócz podstaw naukowych (fonetycznych, etymologicznych), niezmiernie ważną gra rolę — zwyczaj, ów *usus tyrannus* starożytnych, niełatwo dający się ująć

w karby krytyczne. Wszakże, dając nawet największe uprawnienie zwyczajowi i wielowiekowym drukom, na nim opartym, do których oko nasze przywykło, trudno zaprzeczyć, że postęp językoznawstwa powinien byłby więcej niż dotąd ułatwiać te liczne, zawile i drobiazgowo niekiedy kwestye pisowni.

Stało się wszakże inaczej: bo oto za dni naszych widzimy, że *praktyka* w pisowni, zamiast skorzystać z *teorii* i subtelniejszego w niej zaciekania się naszych lingwistów, przeszła nad nimi do porządku dziennego... i ładnie się ukłoniwszy wszystkim naszym uczonym badaczom, wróciła do swoich utartych oddawna szlaków językowych... starego autoramentu. A rezultatem takiego, nie wielce pocieszającego objawu, jest to, że do zamętu dotychczasowych odcieni pisowni przybył jeszcze jeden... Obecnie więc było-by może najlepszą rzeczą, nie bacząc na wszelkie strony ujemne, przyjąć nam wszystkim do czasu proponowaną pisownię akademicką, ze wszystkimi nawet jej niekonsekwencyami; a czas byłby zrobił swoje i w szczęśliwszej chwili może-by dokonać się mogło to, co dziś tak się nam nie udało. Ale, niestety, każdy, kto nieco bliżej tej kwestyi dotknął, wie, że to jest niemożliwem z wielu względów, wie, że każdy z nas będzie pisał, jak pisał dotąd, z dodatkiem owego „regulatora” akademickiego, który również znajdzie jakieś kółko zwolenników.

I w takiej oto drażliwej chwili, kiedy poważnione z sobą *teorie* i *praktyki* lingwistyczne odwróciły wzajem od siebie oblicza, niby starożytne *Deus ex machina* przychodzi na pomoc „praktyczna gramatyka języka polskiego”, — która nietylko we wszystkich kwestyach gramatycznych, ale i w tej właśnie drażliwej sprawie pisowni obiecuje pogodzić strony poważnione, „wskazując zasady ściśle naukowe”, „praktyczne w użyciu” i „oparte na podstawie badań językowych.”

Obietnica piękna, o jakiej zaledwo marzyćbyśmy mogli! Chodzi tylko o spełnienie tej ponętniej zapowiedzi.

Niestety! rzeczywistość tak dalece nie odpowiedziała obietnicom, że Gramatyka p. Wójcickiego nietylko nie wyjaśniła nic z dotychczasowych wątpliwości i nie wykazała „praktyczności w użyciu”, ale pogmatwała je raczej i jeszcze raz przekonała czytelników, że do układu elementarnej teorii języka brać się mogą tylko prawdziwi znawcy, tylko istotni samodzielni badacze naukowci. Kompilacyjkę wprowadzić może każdy; ale robota taka ani nauce nic nie przysporzy, ani ułatwi dydaktyki lingwistycznej.

Przedewszystkiemi wiekuiścią będzie zagadką, dlaczego p. W. nazwał swoją pracę „gramatyką *praktyczną*?” Nam się właśnie zdaje, że jest ona bardzo *niepraktyczną*, a to ze względu niejasnych, nie zawsze poprawnym językiem wyrażonych, niekiedy sprzecznych z sobą defi-

nicyi, z powodu niesystematycznego i niewymiernego rozkładu szczegółów, oraz nieusprawiedliwionego pominięcia niektórych części gramatyki.

Oto szereg dowodów tych niejasności lub sprzeczności, odnotowane w kolejno w ciągu czytania jego gramatyki.

Na str. 4 p. W. mówi, że „samogłoski są to dźwięki, wymawiane bez udziału *ust*”, a nieco niżej wyjaśnia tak: „przy wynawianiu samogłosek jamę *ustną* rozszerzamy lub zwężamy.” Spółgłoski są to *szepty*, wywołane przez ruch narzędzi mównych” (tamże). Ładne *szepty!* co by powiedział na to Mierzwinski? czy nie wziął-by tego za osobistą a niezasłużoną obrazę, że sława jego europejska *szeptem* jakimś przez gramatykarzy nazwana?

Na str. 5: „hodować, zm. *godować* (?) z roku na rok.” Co to za sfinksowa zagadka?

Na str. 15: „drugi przypadek Rzecz. m. l. p. na *a* przyjmują rzeczowniki, oznaczające nazwy istot i osobników rzeczywistych i urojonych”, a jako wzory podane takie wyrazy: Boga, anioła, ptaka i t. d. Więc *Bóg, anioł, czy jest istotą czy osobnikiem*; a jeśli osobnikiem, to *rzeczywistym czy urojonym?*” Praktyczna gramatyka tego nie wyjaśnia.

Str. 56. Tryb oznajmujący określa autor, „jako fakt, nie ulegający żadnej wątpliwości.” A więc, jeżeli powiem: *wątpię, zdaje mi się* — to i to będzie faktem nieulegającym wątpliwości?”

Str. 61. Znaczenie czasu przyszłego p. W. tak omawia: „czas teraźniejszy jest jedynym czasem prostym czyli niezłożonym, czas przyszły *nieznacznie różni się* od pierwszego”, a za wzór podano: *upiekę, zrobię*. Zdawało-by się, że skoro w obu tych formach czasownika nie widzimy słowa posiłkowego, będą one przeto, podług powszechnie przyjętej terminologii, czasami prostymi; a w czém mianowicie spoczywa ta „nieznaczna różnica” pomiędzy czasem przyszłym a teraźniejszym — któż odgadnie!

W swojej „praktycznej gramatyce” p. W. ubiega się za jakimiś subtelnościami, które-by miały pozór, jak się sam wyraża, „ostatnich wyników” nauki; ale tęp właśnie zdradza zamieszanie pojęć, gmatwających najelementarniejsze zasady dydaktyki. Tak np. na str. 78 przysłówki dzieli na *przymiłkowe* i *spójniłkowe*; brakowało tylko, żeby się znalazły i przysłówki *wykrzyłnikowe*: byłby przynajmniej podówczas kompletny *chaos przysłówkowy* i wszystkich części mowy nieodmiennych.

A oto jeszcze wzór jasności stylu (str. 98): „przecinek jest granicą, rozdzielającą zdania, o ile pod względem osnowy tak ściśle ze sobą się łączą, że dłuższa pauza psuła-by pomiędzy nimi harmonię”

i t. d., i t. d. Nie zapominajmy przytem dodać, że i poprawność językowa nie zawsze bywa klasyczną, jak np. na str. 97, kiedy p. W. pisze: „Kto zwykł kłamać z celem, aby innych w błąd wprowadzić“ (zm. w celu).

Z tych oto powodów gramatyki p. W. „praktyczną“ nazwać nie możemy, bo i najzdolniejszy uczeń posiłkować się nią nie może, gdyż potrzebować będzie objaśnień nauczyciela, żeby rozwikłać liczne jego szarady definicyjne, lub obalić zachodzące sprzeczności.

Zobaczmyż teraz, o ile gramatyka ta odpowiada teoretycznym wymaganiom.

I z tego rospatrując stanowiska, dojsć musimy do przeświadczenia, że mówić o wynikach „ostatnich badań językowych“ jest łatwo, ale jakże trudno dotrzymać choćby połowę tój obietnicy!

Pan W. cały materiał nankowy, niekiedy nawet i przykłady same, jak się zdaje, streścił z książki A. G. Bema, a nie jeden tylko podział nauki na trzy części, o którym wspomina w przemowie. Nie będziemy wszakże porównywali jednej książki z drugą, bo chcąc całość we właściwem przedstawić świetle, musielibyśmy tak obszerną napisać recenzję, jak sama Gramatyka pana W.; będziemy wprost oceniali, o ile p. W., jako zwykły kompilator, umiejętnie korzystał z prac cudzych. Owóż, w książce jego nie objęta zwykła całość wiedzy gramatycznej: jest tu bowiem nieco o głosowni, o pisowni, trochę etymologii i składni, stosunkowo dość obszerna nauka odmian, a niema właściwej składni rzędu i choćby wzmianki o prozodyjnej stronie języka, chociaż niezniom pana W. będą może zadawane *wiersze*, o których budowie może-by coś wiedzieć należało? Pan A. G. Bem, lubo osobnego działu tój części języka nie poświęca, ale wyjaśnia przecie we wstępie (str. VI i dal.) i w rozdziale, p. t. „*Alcentowanie*“ (str. 40—53) niektóre główne zasady. Pan W. oba te ustępy przeoczył.

We wszystkich wymienionych częściach gramatyki widzimy rażąca niewymierność: nauka odmian, albo raczej tak nazwana nauka o wyrazach, obejmuje największą część książki, bo od str. 7 do 83; nauka o zdaniach od 83 do 101; najskromniejszego zaś udzielono miejsca głosowni i pisowni, bo tylko po jednej karcie... Cóż się tyczy przeto tych dwu ostatnich działów nauki, nie może być mowy o jakiemś, nawet w elementarnym zakresie, wyczerpaniu przedmiotu; ale chodzi choćby o to, by autor umiał wymienić przynajmniej jakieś pierwszorzędne, najkardynalniejsze prawa językowe. A oto co widzimy: mówi p. W. o fizyologicznej różnicy samogłosek od spółgłosek (a *jak* mówi, wspomnieliśmy o tem wyżej), niema zaś wykazanej różnicy etymologicznej; uczeń nie dowie się, co to za własność, kiedy się mówi od *lew* — *lwa*, a nie *lewa*; *okno* — *okien*, a nie *okn* i t. d. Następnie jest mowa o zwątleniu

i natężeniu samogłosek, a nie niema o zasadach pochylenia, choćby samogłoski *ó*. Podział spółgłosek wymieniony bez żadnego objaśnienia i zastosowania do prawideł pisowni.

Nie naprawił autor tego błędu i w rozdziałiku p. t. *pisownia*: mowa tu bowiem tylko o spółgłosce *h*, o niewłaściwym podwajaniu spółgłosek (jak klasa, kolega), o przenoszeniu wyrazów, oraz o pisowni wyrazów obcych na: *yja, ija*, (względnie na: *ja, ia*), — wszelkie zaś inne kwestye pominięto. Ale za to p. W. obszernie się zastanawia nad pisownią tych ostatnich wyrazów i uważa nawet za stosowne w tak maluczkiej książeczce elementarnej mówić dzieciom „O pracach filologicznych“ i powoływać się na autorytet Baudouin'a, Kryńskiego i Lucyana Malinowskiego, usprawiedliwiając się z przyjętej przez się pisowni. Wspomniani lingwiści nasi nie będą chyba wdzięczni mu za to, że imiona ich figurują w tak zagadkowej natury książeczce, w której autor nie nauczyłszy dzieci, jak pisać *uf* czy *ów*; *Buk* — *Bug* czy *Bóg*; *robio, mówio*, czy *robią, mówią* i t. d., — każe im natomiast dowiadywać się o istnieniu uczonych „Prac filologicznych...“

Stosunkowo lepiej ułożona nauka o „wyrazach“ a w niej o rzeczownikach i słowach, lubo i z tą częścią książki nauczyciel z wielką ostrożnością postępować powinien, bo i tu niekiedy nowy nasz prawodawca polszczyzny umie na manowce zaprowadzić ucznia. Tak np. sili się autor uzasadnić naszą kwadraturę koła — t. j. kiedy rzeczownik męski w l. p. kończy się na *a*, a kiedy na *u* w dopełniaczu. Jest to robota całkiem zbyteczna w takiej książce, bo tylko zamąci głowę ucznia, a istoty rzeczy nie wyczerpie; wysilali się nad tą kwestyą nasi badacze naukowci, jak: Muezkowski, Sztochel, Łazowski, Małecki i in. i do pożądaných rezultatów dojść nie mogli; cóż więc lepszego zrobić mógł kompilator? To też mówi np. p. W., że na *a* mają imiona miast i wiosek polskich, a jak się mają kończyć nazwy nie polskie? — zapytuje uczeń. — Czy na *u* (Rzymu, Londynu, Akwizgranu, Neapolu); czy na *a* (Paryża, Bromberga, Adrianopola)? I na te pytania odpowiedzi u niego nie znajdzie. Mówi dalej, że imiona rzek kończą się na *u*; a więc formy: Dunajca, Wieprza, Buga, Muchawca — to nie gramatyczne? i t. d.

Wielce niefortunną, a przedewszystkiem nie elementarną czytamy stylizacyę pana W. o zakończeniu rzecz. męś. mianownika l. mnogiej na *a*: prawidła swoje ułożył p. W. tak niezręcznie, że uczeń nie będzie ostatecznie wiedział, czy formy: bileta, kajeta, komplementa, będą poprawne czy nie? A co gorsza, ten zamęt stosuje się nawet do rzeczowników swojskich, p. W. bowiem tak się wyraża: „w końcu utworzyły się na wzór ten (t. j. na wzór słów cudzoziemskich) i wyrazy polskie, jak: pomysł, przedmiot, kłopot, już to przyswojone, jak okręt,

interes, charakter...“ Proszę zrozumieć, jak sobie ma radzić uczeń według tej „praktycznej“ gramatyki? Niepotrzebnie wcale uprawnia p. W. formę „dniów“ zam. dni (str. 15), nikt bowiem z ludzi poprawnie mówiących czy piszących nie powie: „pięć dniów.“ Toż samo powiedzieć trzeba i o wyrazie „oczów“ zam. oczu, lubo ta ostatnia forma bywa przez lingwistów usprawiedliwiana, ale w każdym razie zostaje w sprzeczności z klasyczną poprawnością.

Na str. 36 i nast. mówi p. W. o rzeczownikach ułomnych i wylicza ich pięć pozycyi, a takie np. wyrazy, jak: ojcowizna, pańszczyzna i t. d. pozostały po-za obrębem jego teoryi; a co najważniejsza, to nie usunął autor błędu najwięcej u nas rozpowszechnionego i nie nadmienił, że rzeczowniki słowne (jak: czytanie, szycie, odzienie) również nie mają liczby mnogiej. Więc chyba i dalej będziemy spotykali „magazyny odzień rozmaitych!“... W dziale przymiotników pominął p. W. genezę ich rozwijania się i nic nie mówi o tak nazwanej deklinacji ściągniętej, którą przecież jeszcze Małeckci tak dokładnie wyjaśnił. O genezie czasowników, albo raczej o pochodzeniu czasów mówi wprawdzie p. W., ale zbyt ogólnikowo, a więc wcale „niepraktycznie“; np. (str. 56): „tryb warunkowy“ składa się z imiesłowu na *ł* i uproszczonych form konjugacyi czasu przeszłego chwilowego od słowa: być (napisał-bym, byś i t. d.) Kto nie nie słyszał o aoryście polskim i jego czasowaniu, z powyższych słów nic nie zrozumie. Uprawnia autor formę „będę robić“ zam. robić będą i powołuje się na język czeski, że w nim taki układ spotykamy. Nadto, wyjaśnienia p. W. w innych kwestyach są tego rodzaju, że jasną samo przez się rzecz umieją splątać i zaciemnić, np. gdy mówi (str. 60): „spano—zam. spali“ „slyszano—zam. slyszeli“ i t. d. Po co te niewłaściwe analogie, kiedy one istoty nieosobistego zwrotu wcale nie wyjaśniają.—„Zapłakany“, podług p. W. to ma znaczyć—*dlugo płaczący*. A wszyscy wiemy, że można krótko płakać i być *zapłakany*.—Albo też p. W. uprawnia formy, których zwyczaj językowy (literacki) nie przyjął, jak np. (str. 72) *padnął* zam. padł, *uszczypp* (str. 62) zam. uszczyppnij i t. d. i utożsamia to z formą *patrzaj* i *patrz*, kiedy w tym ostatnim przykładzie forma *patrzaj* pochodzi od staropolskiego *patrzam*, *asz*, *a*; a *patrz*—od współczesnej formy: *patrzę*, *ysz*, *y*. Wolno przeto używać takich tylko skrótów, które w historii języka uprawnienie znajdują, w przeciwnym bowiem razie damy niebezpieczny impuls do skażenia języka gwarą ludową.

W stosunku do innych części gramatyki p. W. mówi o zdaniach bardzo szczegółowo, tak szczegółowo, że wyczerpawszy w nich całą swoją wiedzę, nie miał nic do powiedzenia o *gatunkach* okresów—przyczynowych, warunkowych, wnioskujących i t. d. A przecież okres jest ostatniem słowem składni i gramatyki całej! w nim, jak w ognisku,

zbiegają się wszelkie poszczególne zasady szyku, zgody, rządu. Pan W. obrał sobie niewdzięczną drogę i dlatego o tych trzech częściach składni mówi dorywczo, łała gdzie przyczepiając to parę uwag o zgodzie, to o szyku wyrazów; ale przy braku systemu umiejętnego, najczęściej mówi o drobiazgach, a pierwszorzędnej wartości prawidła pomija milczeniem. Niema np. wyjaśnienia, kiedy to się mówi: zrobili, a kiedy zrobili; ale za to jest mowa o tém, że przy kilku podmiotach orzeczenie może być i w liczbie pojedynczej i w liczbie mnogiej; jest to subtelność, bez której wybornie-by się obejść można, a coś ważniejszego dokładnie powiedzieć. Albo np. spotykamy takie *nieprawidłowe* prawidło: „apozycya następuje zazwyczaj po wyrazie określanym, np. Wiedeń, stolica Austrii“ (str. 89); a przecież komu z nas nie wiadomo, że pewną siłą stylistyczną nadajemy mowie, używając naprzód apozycyi, np. Stolica Austrii—Wiedeń. Nieuważnie p. W. czytał gramatykę Małeckiego.

W wysokim stopniu niedbale i niejasno mówi p. W. o zwrotach iniesłowowych, które obecnie tak często kaleczą poprawność języka a więc ze strony prawodawcy językowego wymagały-by szczególniejszej bacności. Tymczasem uczeń pana W. nie będzie mógł np. wyjaśnić sobie takiego oto absurdu językowego (autentycznego), który tu do *jego* wiadomości podają: „Syn mój wczoraj przechodząc ulicą, kawał lodu spadł mu na głowę i nie może przybyć na lekcję, gdyż głowa się okłada wodą.“ Podług gramatyki p. W. będzie to chyba poprawna polszczyzna, bo nigdzie nie spotykamy uwag, kiedy się takie zdania skracają, a kiedy nie.

Ze wszystkich powyższych uwag, jak sądzę, czytelnik dostatecznie mieć będzie pojęcie, jaką ma wartość naukową i pedagogiczną rozbiórana przez nas gramatyka polska.

B—cz

---

Dr Matlakowski: „Budownictwo ludowe na Podhalu.“

Książka dra Matlakowskiego, przy ścisłości obrobienia, przy zachowaniu w całym wykładzie stanowiska czysto naukowego, zbudowana jest na podstawie gorącego umiłowania objawów życia Podhalan, nie pozbawiona serdecznej zamaszystości, unoszącej szanownego doktora aż na poetyczne sfery, z których niejeden snop światła pada w mroki wiejskiej chaty górala. Ktokolwiek zresztą zwiedzał Podhale Tatrzańskie, nie mógł nie być uderzony ani pięknoscią przyrody, ani oryginalnemi cechami, jakimi odznacza się lud, zamieszkujący długie szeregi

domostw, rozłożonych nad strumieniami; nie mógł nie zauważyć, że te północne stoki Tatr, spadkiem wód swych obficie zasilające równiny, rozpościerające się aż do morza, przechowały i *przechowują*, jak to dobrze wyraża p. Matlakowski (str. 77), zabytki stariej cywilizacyi, obyczajów i etnograficznych właściwości, które tu znalazły od wielu wieków bezpieczne i ciche schronienie.

Dla silniejszego zaznaczenia tego pojęcia rzeczy, o które p. M. potrąca, pozwolimy sobie dodać, iż to, co autor „Budownictwa ludowego“ zanotował: że w języku potocznym Podhalan przechowały się wyrazy i wyrażenia, jakie w mowie polskiej drukowanej wieku XVI-go napotyamy, i to, czego nie zanotował, że wymowie tój towarzyszy, właściwe ludowi małopolskiemu i Mazurom, tak zwane mazurzenie, ma ważne znaczenie, zwłaszcza gdy dodamy, że w niektórych sposobach ubierania się Podhalan odnaleźć można zabytki obyczajowości klas wyższych narodu polskiego, sięgające dawnością wieków XIII-go i XIV-go <sup>1)</sup>. Z czego ostatecznie wynika, że wyrażenie d-ra M. o *przechowaniu* sposobów budowania za zasadnicze w sprawie obserwowania Podhalan uważać należy. O czem zresztą już w czasopiśmie „Wiśła“ miałem sposobność zosobna zdanie swoje wyrazić, uzasadniając je rysunkami dołączonemi konstrukcyi odrzwi chat włościańskich i domów po starych miastach Małopolski i Mazowsza.

Tak określiwszy nasz punkt zapatrywania się na to zajmujące budownictwo Podhalan, będące przedmiotem książki d-ra M., zastanowimy się obecnie nad doniosłością przysługi, jaką autor wyświadczył etnografii i sztuce krajowej wyczerpującą przedmiot pracą swą, następnie wnioski, co do artystycznej strony budowania tego, postawimy.

Do etnografii należy cała część gospodarcza budowań, o jakich mówimy—układ wzajemny chat, stodół i wogóle budowli gospodarskich, do niej rozejrzenie się w warunkach podziału chaty na części białą i czarną, to jest na izbę, w której jest piec biały, i na drugą, w której trzon kuchenny, służący do gotowania strawy, ma nad sobą wykrojony w pułapie (zamykany zasuwą) otwór, przez który dym ulatuje, tłukąc się po-pod stropem na poddaszu, skąd całym dachem i dymnikami uchodzi <sup>2)</sup>. Dla artystycznej strony założenia d-ra M., opisującego budowlę Podhalan, z tój właściwości chat góralskich należą tylko dymniki, pomieszczone w szczytowych ścianach i w spadku dachu, jako też małe okienka; konstrukcyja bowiem pierwszych, a zakroje drugich mają pewną artystyczną wartość, przypominając nam zarazem, że bez *przecho-*

<sup>1)</sup> „Legenda obrazowa o św. Jadwidze.“ Kraków, 1880.

<sup>2)</sup> Takie kurne chaty spotykałem 40 lat temu w Krakowskiem, we wsi Szykach.



wania się w chatach Podhalan dynników istotnych nie mogli-byśmy zrozumieć, czemu w dachach murowanych domów naszych wielkomijskich znajdujące się otwory, daszkami osłonięone i do wietrzenia poddaszów służące, a częstokroć będące oknami mieszkań, tém starem mianem jeszcze nazywamy. Doniosłość przysługi, jaką dr M. etnografii i sztuce krajowej wyświadcza, wyraźniej i szerzej oczom naszym przedstawia się, gdy wnikamy w wyjaśnienie tajników konstrukcyi chat i ściśle związanej z nią ornamentyki, wypływającej bądź z samych warunków konstrukcyjnych budowli, bądź strojącej członkowania budynku w sobie właściwy sposób, a tak zajmujący i oryginalny, iż powinien-by stać się przedmiotem oddzielnego badania i oddzielnego tój materyi obrobienia.

Gospodarcza część z artystyczną, konstrukcyjną, jest w pewnym związku, jak to wskazuje podział chaty na dwie izby sienią, łączącą je, podział, skutkiem którego owa biała zapehiona jest tem, co ozdobę życia górala stanowi, więc wycinanemi belkami, pięknemi krojami drzwi i okien, meblami, składającemi się z szafki, wiszącej na ścianie, stołów, stołków wyrzynanych, łyznika ozdobnego i ławy, otaczającej izbę. Wszystkie tóż przedmioty użytku codziennego, aż do kubków rzeźbionych i skrzyni, pomieszczanych na wyżkach, noszą na sobie cechę ozdobości.

Sam pozór zewnętrzny chaty zależy od upodobań i warunków konstrukcyjnych, od wiązania kątów na węgiel nie w słupy, od ukrytego oparcia krokwi, wpływa tóż na proporcye budowli, na jój cechy charakterystyczne. Ta strona opracowania p. M. jest wynikiem bardzo starannego zbadania warunków konstrukcyi drewnianej Podhalan, co stanowi nie małej wagi zalety książki, a zasługę autora, że zwrócił uwagę światłego ogółu na prastare, dawniej na całym północnym stoku Karpat prawdopodobnie używane, sposoby budowania, odpowiadające warunkom klimatycznym i najobfitszemu, najpodatniejszemu w kraju naszym materiałowi budowlanemu—drzewu.

Nie jest ten materiał wprawdzie jedynym, lubo jest głównym, na Podhalu, wyjątkowo bowiem można się spotkać z chatą całą murowaną <sup>1)</sup>,—nie jest tóż wyjątkową cechą budownictwa Podhalan wiązanie ścian na węgiel, spotykamy się z niem na całym stoku północnym Karpat, to jest i na Mazowszu, i na Kurpiach. Znajdujemy tu i sozręby, z inną tylko nazwą: sistrzanów lub podcięgów.

Stylowe cechy, jakie w książce rozbieranej znajdujemy oznaczone i wytknięte, nie wyczerpują wszystkiego, coby w tój materyi powiedzieć

<sup>1)</sup> Taką mam narysowaną w Chochołowie w r. 1860.

można o budowaniu polskiem drewnianém, ku zaokrągleniu całości, atoli robota ta wybornie rozpoczęta i postawiona na właściwych zrębach, a w fakta niezmiernie obfita.

Podzielając z d-rem Matlakowskim zdanie (str. 82): „iż jest sama pora, aby otoczyć te zabytki samorodnej kultury opieką, ocalić od zaguby, zaszcześcić wśród napływającej corocznie na Podhale publiki miłość tej skromnej sztuki, a wzięwszy ją w swoje ręce, rozwinąć i uszlachetnić w powstających, jak grzyby po deszczu, domkach i willach,“—radzi-byśmy widzieć te złote słowa zastosowanemi do budowni, mającej służyć za wzór tego zastosowania, stawianej właśnie w Zakopanem znacznym nakładem, podług rysunku znajdującego się w muzeum Tatrzańskiem.

Dwie szczególnie formy należało-by ściślej do stylowych zarysów budowania Podhalan przystosować, a mianowicie: otoki drzwi, które mają konstrukcyę, wziętą z innych zupełnie rodzajów drzwi, a ozdobienie gwoździ z innych, zatem z zakrojami sprzeczne; drugą zaś — daszek dymnikowy, użyty jako ozdoba szczytu przysionka, który należało-by przenieść, albo przynajmniej powtórzyć na szczycie gmachu głównego, tam bowiem jest jego miejsce — i tak go znajdujemy zanotowanym w atlasie d-ra M. na tablicy XX pod Nr 4. A forma ta dymnika, najpiękniejsza i najbardziej godna zaznaczenia, jest arcydawną, widziałem ją bowiem w Chocholowie w roku 1860 i z tego czasu mam jej notatkę przechowaną. Rzeczą było-by ze wszech miar ważną, aby przynajmniej jedna z nowych budowli była zupełnie zgodna z formami, skryształizowanymi w dawnych chatach,—aby nowe formy (bo nowe muszą być, gdyż inne są potrzeby gazdów na Podhalu, a inne, obszerniejsze wymagania ludzi szerszej i wyższej kultury), aby te, mówię, te nowe, nie były *spaczeniem* dawnych, ale ich *rozwiniciem*. Książka d-ra Matlakowskiego jest wybornym zbiorem wiadomości dla tych właśnie, którzy ten rozwój dalej prowadzić mają—wobec nię żaden budowniczy nie może się już wymawiać brakiem materiału do dalszych pod względem estetycznym ulepszeń, do urozmaicenia kombinacyi danych form; są one bowiem w głównych zarysach tak postawione, że na nich oprzędzić się można, i czy to weźmiemy ogólny zarys chaty, czy otoki drzwi, czy okna z zakrojami wewnętrznymi, rozszerzającymi promieniowanie światła przez skąpe otwory, czy wsporniki, rysiami zwane, tak malowniczo zdobiące chatę nazewnątrz, — we wszystkich tych częściach składowych znajdziemy albo początkowanie form, jakie w następstwie czasu przeszły do budownictwa kamiennego i ceglanego, lub też materiały do zużytkowania i do zmienienia go na kamień i cegłę. Ta droga jest otwarta i nieomylna.

Tylko brak zdolności pomysłowej może temu twierdzeniu zaprzeczyć. To mnóstwo twórczych popędów niewątpliwie też podsunęło któremuś z estetyków zdanie, jakoby budowanie w słupy jedynie było i mogło być pierwowzorem budowania kamiennego, wiązania zaś na węgiel jakoby nie mogły niemi być, jakoby były na bezdzietność skazane. Twierdzenie to istotnie mogło-by podkopać cały nasz zasób estetycznego materiału, tkwiącego w chacie ludowej, gdyby było prawdziwe; na szczęście jest tylko niedołęstwem nacechowane i tém ocala przyszłość rozwoju form estetycznych budowania drewnianego ludowego, pchniętego na dobry tor przez d-ra Matlakowskiego.

W. GERSON.

---

**W cieniu i w słońcu.** Obrazki *Sewera*. Nakładem Teodora Paprockiego i S-ki. Warszawa, 1893 r.

Ilekróć spotkać mi się zdarzy nową książkę *Sewera*, tyle razy z uczuciem zadowolenia biorę ją do ręki; wiem bowiem z góry, że znajdę w niej dużo prawdy, jeszcze więcej serca, sporo poezyi, no i moc słońca. Cień, dla pozornego chyba tylko kontrastu widać w niej wprawdzie, ale na okładce jeno i w tytule.

Ciepłe to wszystko i słoneczne, co z pod pióra wychodzi Maciejowskiego, i nie znam w beletrystyce naszej pisarza tej pogody, pisarza, w którego utworach tyle-by się szczerego umiłowania świata i ludzi, tyle spokoju i pobłażania wobec pierwszego i drugich przebijalo.

Ale bo też to prawdziwy, z Bożej łaski talent, posiadający swój wrodzony punkt widzenia i własne dotknięcie przedmiotu. Typem jest artysty pióra, w którego rękach zasada „sztuka dla sztuki“ pełne znajduje uświęcenie.

Siadając przed ćwiartką papieru, Sewer ani myśli powiastką pchać ludzkość na nowe tory, ani też wmuszać w czytelnika pewnych teoryi, dobierając głośno brzmiących a pustych lub oklepanych haseł; bierze pióro do ręki, bo mu je w nią talent wkłada, bo, sam odczuwając wiele, wiele ma do powiedzenia.

W omawianym przez nas tomie, na wstępie zaraz spotykamy nowelą „Nad brzegiem Rudawy“, która sama sobą tłómaczy jasno źródła i pobudki twórczości Maciejowskiego i najdokładniej charakteryzuje pisarza.

Ktoby się w powiastce tej spodziewał skomplikowanej fabuły, wiodącej do posągowego morału, a bodaj nawet do zdawkowego epi-

logu, tego zupełny czeka zawód. Trochę żydów, trochę chłopów, uwijających się za codziennymi sprawami życia po brzegach mętnej Rudawy i okolicy—ot i wszystko. Ale w plataninie téj, przyznajemy, jako kompozycya, bezładnej nieco, szczegół za szczegółem, niemal perłą jest obserwacyi, podanej czytelnikowi przez autora z dziwną pogodą oczu, serca i umysłu. To téż chwytają nas i zajmują owe figury: żydówki Wałowój, tak przypominającej typem Chawę Rubin Świętochowskiego, małego Joska, dominującej pracowitą matkę bezczynnością, snuciem projektów na przyszłość, pewnością siebie i sprytem wrodzonym, przyszedłego handlarza i krętacza w zarodku; Zyzmy i Kasi, których anormalny na pierwszy rzut oka stosunek (żydziak kocha się w dziewczynie, ale tylko przyjaźń zyskuje w zamian), tłómaczy się antecedenjami pierwszego, a zdobywa szczerością i prostotą uczucia. Bieganina Wałowój za groszem, rywalizacya jej z Bartkiem Czarnikiem, rodzajem wioskowego lichwiarza, wycieczka Zyzmy na jarmark szczurowski i t. p., oto szereg epizodów, składających się na nowelę, napisaną li tylko z owéj potrzeby wypowiedzenia się, ja-kiéj doznaje każdy talent wobec nagromadzonych w sobie zmysłami, a odczutyh duszą i sercem, materyałów.

— Ot posłuchaj, com ja widział i co czułem!

Nic więcéj, ale że autor widział i czuł prawdziwie, czuje i widzi czytelnik.

W tém cała sztuka.

Że, o ile barw jasnych na palecie Sowera nie braknie nigdy, o tyle w obrazkach jego o cień trudno, świadczy niezbitie druga w zbiorze z kolei nowela „Jedna noc w Londynie“. Bohaterem jej p. Fleet, wiolonczelista, członek jednéj z orkiestr koncertowych, którego w czasie popisu ściąga z estrady 13-letni syn jego wiadomością: „matka umiera i chce cię widziéć, ojaze“. Dokoła umierającej zgromadziła się cała rodzina: Fleet, zimny jak glaz, wyłącznie oddany trosce o chleb powszedni, małowówny i zamknięty w sobie syn Albionu, i troje dzieci—córka i dwóch synów wyrostków.

— Samuelu—mówiła chora—przysięgnij mi, że dzieci swe codzién będziesz całował, i że rano i wieczór będziesz pił razem z niemi przy tym kominku herbatę.

— Przysięgam—odpowiedział mąż uroczyście.

— Samuelu—prosiła dalej umierająca:

— Przysięgnij mi, że będziesz z twemi dziećmi rozmawiał..

Panu Fleet przesunęło się przez głowę pytanie: co i o czém on może ze swemi dziećmi rozmawiać...

Chora domyśliła się opozycyi.

— Patrz—dodała—dobre są i łagodne. Słowa uczciwego człowieka i słowa ojca dla sierot... pojmujesz, czém będą? Pozwól im mówić głośno, myśleć głośno w obecności ojca... czyżbyś sobie tego nie życzył?

— Pragnę...—szepnął pan Fleet.

— A więc się zgadzasz?

— Przysięgam!

A po chwili:

— Sekstet—szepnął—i solo drugiej wiolonczeli—dodał cicho.

Chora zrozumiała wyrazy, chodziło o chleb, czas było wracać na estradę.

— Pocałuj mnie—rzekła po przerwie.—Dziękuję ci za dwadzieścia lat pracy i spokoju.

Pan Fleet pocałował usta kobiety i nie wiedział, co robić dalej... Odwrócił się, postąpił parę kroków, obejrzał się i stanął.

Aż dzieci same przyszły mu z pomocą i kolejno, po raz pierwszy może, ucałowały go serdecznie.

Pan Fleet biegł wyciągniętym kłusem do sali koncertowej. Dusilo go w gardle, paliło w sercu... Żegnał żonę, a witał dzieci, na które do tego czasu pracował, nie myśląc o nich. Rostworzył szeroko powieki—rozjaśniło mu się w oczach, a może w umyśle...

Ten zimny, zapracowany Anglik, tak dosadnie w przytoczonej powyżej scenie scharakteryzowany, który, jakby odrodzony u łóżka umierającej matki, odzyskuje nagle poczucie ojcostwa, rzuca figurą swoją na ciemne tło garść świetlanych promieni, o wiele przeważających cienie. Tak tu umiał autor zrównoważyć śmierć życiem, że cała groza pierwszej utonęła w nadziejach drugiego. Pogoda, zawsze pogoda.

Zaopatrzona w dedykację powiastka „Pozytywizm w praktyce“ mniej się od pozostałych udatnie przedstawia. Pomijając już monotonię rozwałkowanego zbyt mocno motywu, razi ona wymuszoną tendencją, która wszakże bodaj czy się dedykacją nie tłumaczy. Autor pisał może nowelę *ad usum delphini*. Mowa w niej o dwóch braciach, z których Władek, idealista, nie zwracając uwagi na twarde wymagania życia, zaręczył się z panną bez posagu, drugi zaś, Kazio, pozytywista, stara się nieopatrny związek rozerwać. Pomaga mu w tym wujaszek i zabiera Władka do Warszawy, aby go ta urokami swojemi z niewczesnych amatorów wyleczyła, Kazio zaś wyjeżdża do majątku matki narzeczonej, w celu gładkiego, o ile się da, wykręcenia brata. No i pokazuje się, że tak idealizm Władka, jak i pozytywizm Kazia, dobre w teorii, pryskają jak bańki mydlane—w praktyce; rozkochał się bowiem pozytywista w narzeczonej idealisty, podczas gdy ten ostatni pocieszał się

w Warszawie konkurami o pannę posażną. Osłabia przytem wartość powiastki, naciąganej treścią, figura Zosi, narzeczonej bez posagu, nie sprawiająca wrażenia postaci zaobserwowanej.

„Pan Piotr“ to także mniej udatny urywek z dziejów karyerowicza i parweniusza, pnącego się na pańskie salony i żadnego zażyłości z panami. Brak ostrza satyry w piórze Sewera wpłynął na bladłość, niewyrazistość rysunku bohatera, czyniąc zeń postać mdłą, bezbarwną. Pomieszczona w ramach względnie szablonowych, wytwarza całość, po-nad którą chętnie przechodzimy do dwóch najlepszych w zbiorze omawianym, a może i w całości prac Sewera, powiastek: „Konkurów“ i „Wiosny“.

Perełki te dwie należą do kategorii, przez samego autora tak określonej: „Obrazków malowanych w słońcu“, a wiadomo, czem słońce dla Maciejowskiego.

W pierwszej spotykamy pyszną postać malarza-cygana, w drugiej dziewczyny wiejskiej, której wiosna uczuć i natury nie pozwalają przedzierzgnąć się w kapeluszową w „Srebrnej sali“ damę. Każdy tu wiersz chwyta poprostu za serce i już to humorem, już to uczuciem i prawdą olśniewa.

Radbym obiedwie te, jedne z najlepszych w literaturze naszej bieżącej powiastki, przepisać dosłownie, co gdy niemożliwe, odsyłam czytelników do książki, do Sewera „najczystszej wody“, do obrazków „malowanych w słońcu“.

W. KARCZEWSKI.

---

## KRONIKA MIESIĘCZNA.

---

Rok ubiegły nie zostawia po sobie miłych wspomnień. W kronice niektórych państw zapisał się obojętnie; w kronice wielu innych ujemnie; a czy są takie, co go do pomyślnych zaliczą, nie wiemy. Był to rok cholery, a to odbiło się na życiu publiczném. Stosunki handlowe między państwami utrudnione, ruch na kolejach zmniejszony, myśl ludzka zwrócona ustawicznie ku drobnym sprawom dezynfekcyi, higieny i wogóle ochrony zdrowia. Przez znaczną część roku skutkiem tego sprawy polityczne zajmowały publiczność mniej, niż w latach bez zarazy. Ale znowu gdy się zrobi rachunek tych spraw politycznych, wypada on w przekonaniu interesowanych niezadawalająco. Rok 1892 przyniósł Francyi sprawę panamską. W Niemczech zapisał się, jako rok projektu ustawy wojskowej, nadzwyczajnie obciążającej budżet. W Anglii torysi utracili władzę, a wigowie, którzy ją dostali do rąk, słabi liczbą, rozdarci wewnątrz, zdemoralizowani opozycją społeczeństwa angielskiego, wiją się w trudnościach sprawy irlandzkiej, której każde załatwienie, i radykalne, i połowiczne, prowadzi do groźnych wewnętrznych powikłań. Dla Austrii był to rok rządów bez stałej większości, dla Belgii rok zawziętych bojów o głosowanie powszechne, które nie doprowadziły do tryumfu tój zasady. Włochy dostały nowy gabinet i nowy parlament, ale nie pozbyły się finansowych kłopotów. W Grecyi wdanie się osobiste Króla pozbawiło władzy De-

lyanistów i przeniosła ją w ręce Trikupisa; w Serbii interwencya re-gencyi usunęła od rządów stronnictwo radykalne. Prócz tego, z wra-żeń ogólnie interesujących, zamachy dynamitowe, liczne zwłaszcza we Francyi, jako echo nurtującej społeczność anarchii; w Niemczech roz-kwit bujniejszy, niż kiedykolwiek, antysemityzmu, zapełniający prasę odgłosami nienawiści rasowej i nietolerancyi; nareszcie wszędzie zalew dzienników przez opisy przekupstw panamskich, wprowadzający umy-sły czytelników w zetknięcie z brudami. I to właśnie zetknięcie z bru-dami było z łaski Francuzów ostatniem wrażeniem roku dla całej Europy.

Mysł o powtórny silnym wybuchu epidemii na wiosnę coraz bardziej zajmuje uwagę stróżów zdrowia publicznego i pobudza ich do przeciwdziałania zawczasu: szeroko zaś nakreślony program na-rad zjazdu lekarzy w Petersburgu dowodzi, że ważne znaczenie jest przypisywane najróżnorodniejszym warunkom bytu warstw ludności, najbardziej uległych epidemiom. Wiedza lekarska, na podstawie ze-szłorocznj cholery, wzniosła wyżej i utrwaliła wielką teorię „prze-cinka,“ zbadała dokładniej jego naturę, warunki rozwoju i zaniku i od powiednie do tego zaleciła środki walczenia z zabójczym drobnoustro-jem. Lecz oto nagle, pod wpływem nowych doświadczeń i odkryć, ten gmach, mozolnie zbudowany, zaczyna nieco się rysować. Najpierw słyśmy higienista niemiecki, powaga naukowa, Max Pettenkoffer, spo-żył w szklance wody miliony bacyllusów cholerycznych czystej hodowli i doznał tylko bardzo lekkich zaburzeń w organach trawienia; nastę-pnie dr Nencki wyłożył nową teorię bakteryologiczną, zbudowaną na zasadzie badań podczas epidemii zeszłorocznj w głębi Cesarstwa. Iat-em do Baku i Astrachania delegowano czterech lekarzy, którzy na miejscu pozakładali stacye bakteryologiczne. Pracujący w jednej z nich, dr Blossstein, drogą mozolnych doświadczeń, czynionych na zwierzętach, przyszedł do przekonania, że oprócz przecinków Kocha jeszcze inne elementy razem wzięte stanowią właściwą przyczynę cho-rob. Jakoż badaczowi udało się otrzymać w czystej hodowli jeszcze dwa mikroorganizmy. Według zapewnień prof. Nenckiego, oddzielnie ani bacyllus Kocha, ani żaden z nowych mikrobów choroby nie spro-wadza. Dopiero występując w trójprzymierzu, wywołują wszelkie typowe objawy zakażenia. Tak więc nowe odkrycie może wywołać ogromny przewrót w przeciwdziałaniu zarazie. Jeżeli się ona rozwinie w roku bieżącym uczeni będą mieli szerokie pole dla prób w tej mierze. Kosztem licznych ofiar z czasem nauka zdobędzie silną broń do poko-nywania wroga, którego dotąd znała tylko w pojedynczej postaci.



Zanim nauka da ludziom broń w ręce przeciwko groźnym chorobom, rolę tę stara się poniekąd wypełniać — filantropia. Karmi ona głodnych, przyodziewa zziębniętych i chwilowo udziela dachu bezdomnym. Sezon jesienny i obecny zimowy tém się właśnie u nas zaznacza. Ruch towarzyski się ożywia, a dążeniem inicjatorów jest wprowadzenie do odwiecznych programów działań dobroczynnych chociażby niewielkich zmian i nowości. Loterye fantowe, bazy, sprzedaże w sklepach z wystawą pięknych pań, bale, rauty, odczyty — wszystko to już spowszedniało. Trzeba było-by rozrywki filantropijne urozmaicić. Pocą się nad tem wodzireje, i jeżeli się uda chociaż nową nazwę nadać zabawie, już są bardzo zadowoleni. Szkoda, że dotąd nie obmyśliли połączonego z rozrywką sposobu zbierania stariej odzieży dla ubogich. Czynności tej, skromnej na pozór, podjęła się gorliwie jedna z filantropiek warszawskich. Korzyść będzie taka, że biedacy otrzymają darmo ubranie, a tandeciarze stracą znaczną część zysków, ciągnionych z warstw najbiedniejszych. Jednocześnie z zażegnywaniem ubóstwa sezonowego, nie drzemie komitet opieki nad dziatwą ubogą, wysyłaną zwykle na świeże powietrze latem. Dla tych małych mieszkańców suterenu i poddaszy uśmiechają się pomyślne warunki na przyszłe lato, dzięki nowej ofiarności. Zmarła przed kilku tygodniami hr. Tyszkiewiczowa przeznaczyła dla ubogiej dziatwy warszawskiej wygodny dom w majątku Sucha nad Pilicą, w bardzo zdrowej leśnej okolicy, gdzie sama przez lat kilka zażywała ciszy i świeżego powietrza. Ofiarodawczyni wyraziła przed śmiercią życzenie, zwrócone do komitetu kolonii letnich, iżby z tego ustronia korzystały przez lat trzy dziewczynki, przyczem coroczny zasiłek na ten cel wynosi 100 rs. Nowa kolonia może pomieścić jednorazowo 40 dzieci czyli 120 w ciągu lata. Dzięki zatem nowej ofierze, w roku bieżącym znacznie większa, niż zwykle, liczba dziatwy będzie mogła wzmacniać wątłe ustroje na wsi. Ogółem organizatorowie kolonii letnich dociągną tym sposobem do tysiąca liczbę małych „letników.“ Jest to znaczny postęp w ciągu kilkoletniego istnienia tej instytucji, usiłującej bronić młode pokolenie warstw ubogich od zwyrodnienia fizycznego i niemocy. Wprawdzie mała to zaledwie cegiełka w podstawie przyszłego gmachu zdrowia powszechnego, ale możemy owo działanie nazwać racjonalną formą filantropii, gdyż stanowi ono pewną organizację, popieraną przez społeczeństwo i mającą na celu stałe opiekowanie się nie jednostką ubogą, lecz ciągle rozszerzającą się gromadą dziatwy. Jeżeli mamy szukać ratunku w dobroczynności publicznej, to sięgajmy zawsze po wzory tam, gdzie ona się rozpościera na szerokich podstawach i ma na celu przynajmniej względne poprawienie bytu całych warstw, upośledzonych

moralnie i materyalnie. Tam gdzie tego rodzaju filantropia jest uprawiana, jałmużnę, a tém samém popieranie żebractwa, uznano nietylko za uczynki bezcelowe, ale nawet szkodliwe.

U nas już nieraz zwracano uwagę na ciągły wzrost zastępów żebraczy, a prasa codzienna bardzo często notuje charakterystyczne fakta oszustwa i wyzysku, bezwiednie tolerowanego przez zwolenników jałmużny, którzy chętnie rozdają dziesiątki, złotówki a nawet i ruble, żebractwu, w tém przekonaniu, że robią uczynki miłosierne. Warto, ażeby tego rodzaju dobroczyńcy zapamiętali następujące słowa H. Fawcetta: „Jałmużna, dawana bez rozwagi, demoralizuje tych, którzy ją otrzymują, i powiększa ciężar złego. Korzystają przeważnie z miłosierdzia prywatnego ci, którzy umieją najskuteczniej rozbudzić dla swjej niedoli współczucie. Tym sposobem żebractwo staje się rzemiosłem i często największe z niego zyski ciągną ludzie, jaknajmniej na politowanie zasługujący...“ Obecnie na proceder żebraczy zwrócił uwagę p. Oberpolicmajster warszawski i przy pomocy wydziału śledczego wykrył ciekawą tajemnicę zupełnie zorganizowanego wyzysku. Okazało się, iż w mieście naszym istnieje gromada oszustów pod wodzą niejakiego Wentzla i jego współpracownicy, Justyny Drozd, poddanych austriackich. Pierwszy miał u siebie poprostu szkołę żebractwa; proceder tego wyuczył dwoje dzieci i posyłał je do rozmaitych domów po jałmużnę. Używane były przytem najrozmaitsze sposoby oszustwa. Falszowane świadectwa ubóstwa, lub wyroków sądowych na wyrugowanie tródziców sieroty za zaległe komorne, różne listy rozpaczliwe, obliczone na zjednanie osób miłosiernych, — wszystko to wybornie pomagało do ściągania datków. Ale to był zaledwie początek. Z czasem oszust zdołał do swego procederu wciągnąć znaczną liczbę dzieci, które, zaopatrzywszy w mundury gimnazyalne, posyłał ze świadectwami i listami fałszowanymi. Zwykle taki uczeń nie miał ani rodziców, ani opiekunów, i z braku środków zagrożony był usunięciem ze szkoły. Ołóż p. Oberpolicmajster ostrzega mieszkańców przed takimi oszustami, a policji zaleca rozciągnąć pilne baczenie na wszelkiego rodzaju żebraków. Robione są przytem starania około założenia w Warszawie specjalnego przytułku dla nich. Jednocześnie czytamy coraz częściej w pismach russkich wzmianki o opracowywaniu w sferach właściwych przepisów prawnych, dotyczących racjonalniejszej organizacji dobroczynności publicznej.

Walka z żebractwem za granicą datuje się od dawien dawna, a jakie są jej przebiegi i skutki — zobaczymy. Najtypowiej zjawisko to się zaznacza w Anglii, możnej, przodującej w rozwoju materyalnym.

Żebractwo i włóczęgowstwo, nadmiernie rozpowszechnione, pobudziły parlament do wprowadzenia środków prawnych, które wyróżniały ubóstwo rozmysłne i nie pochodzące z winy danego osobnika. To ostatnie było traktowane przez władzę z pewną wyrozumiałością i życzliwością. Do pierwszej zaś kategorii stosowano możliwie najsurowsze środki, szczególnie za panowania Ryszarda II-go i paru jego następców. Żebraków z zawodu karano chłostą. Za powtórném złapaniem na gorącym uczynku kazano winnemu obcinać jedno ucho, za trzecim zaś razem—wieszać go, „jako nieprzyjaciela kraju.“ Nie pomogły atoli nawet tak niesłychanie surowe przepisy; żebractwo i włóczęgowstwo mnożyły się coraz bardziej i dokuczały społeczeństwu. Prawodawcy w końcu się przekonali, że sianie największego postrachu nie zmieni stanu rzeczy; postanowili więc wypróbować inne środki. Po skasowaniu kościołów i klasztorów, służących za przybytki jałmużny i miłosierdzia, rząd bardziej niż społeczeństwo zajął się ubóstwem. Na mocy dwóch dekretów Henryka VIII, każda miejscowość stała się odpowiedzialną za utrzymanie swych ubogich. Żebraków niedołączonych odsyłano do miejsca urodzenia, z traktowaniem atoli „w sposób jaknajbardziej ludzki.“ Dla żebraków zawodowych wyszukiwano pracę, za jej zaś pogardzanie winni karani byli surowo. Jałmużnę ujęto w pewne karby; kto chciał nią wspierać ubogich, obowiązany był składać ofiary do ogólnego funduszu pod opieką duchowieństwa. Nie wypełniający tego przepisu podlegali karze pieniężnej w stosunku dziesięć razy większym, niżeli wynosił datek ubogiemu. Wszelako i te środki zawiodły, fundusze bowiem nie wystarczały na utrzymanie całego w kraju żebractwa. To też za panowania Elżbiety (1691 r.) prawo o ubogich znacznie rozszerzono. Dla zebrania funduszu odpowiedniego obłożono podatkami ziemię i domy. Ubodzy zdrowi podlegali obowiązkowej pracy, w razie zaś uchylania się od niej, tracili prawo do wsparcia. Parafie posiadały inspektorów (*overseers*), odpowiedzialnych za pobór podatków i obowiązanych do sprawdzania wsparć. Przepisy te podlegały następnie kilkakrotnym uzupełnieniom. Za panowania Jerzego I-go (1723 r.) upoważniono parafie i ich związki do zakładania słynnych domów roboczych (*workhouses*), co się przyczyniło do ograniczenia i w końcu zupełnego zaprzestania wsparć po domach. Zwolennicy prawa Elżbiety, między innymi Fawcett, utrzymują, że gdyby ono w całej swój pełni nadal przetrwało, nędza w Anglii znikła-by zupełnie <sup>1)</sup>. Wnioski takie opierane są poniekąd na pozornych faktach osłabienia pauperyzmu. Max Schippel, na podstawie poważnych spostrzeżeń,

<sup>1)</sup> „Praca i zarobki.“

opartych na licznych grupach faktów, właściwiej tłumaczy tego rodzaju zjawiska: „Czy zmniejszenie się liczby otrzymujących jałmużnę jest rzeczywiście skutkiem zmniejszenia się rozmiarów ciężkiej nędzy, pozbawionej pomocy, czy przeciwnie, jest ono raczej zawstydzającym bardziej, niż na pochwałę zasługującym, rezultatem obchodzenia się z biednymi, dosięgającego barbarzyńskiej surowości? Niezaprzeczonym jest faktem, iż angielski zarząd nad biednymi wydaje coraz mniej zapomóg zewnątrz domu roboczego i że coraz więcej podnosi do zasady niudzielanie biednym jałmużny, lub zapędzanie ich do znienawidzonego, zniesławiającego domu roboczego. Tak więc biedakowi pozostaje do wyboru: większa nędza, lub większa hańba, i jakkolwiek ciężkiem może być dla niego zdecydowanie się, wybiera częściej pierwsze. W taki sposób budżet zarządu nad biednymi coraz się zmniejsza, i im więcej rozwijać się będzie poczucie honoru u ludzi pracujących, tém więcej znikać będą żądania wsparć publicznych“<sup>1)</sup>. Pokrewne zdania wypowiada inny autor. Hyndmann: twierdzi on, iż, skutkiem środków prawodawczych, pobieranie jałmużny zmniejszyło się w samej rzeczy, ale jednocześnie wzrosła nędza.

W wieku XVIII (1782 r.) ubogich zdolnych do pracy nie zmuszano już do pobytu w domach roboczych, dozorecy natomiast obowiązani byli wyszukiwać im pracę w pobliżu miejsca zamieszkania, a zarobki zbyt niskie uzupełniano z miejscowego podatku. W roku 1815 nowe prawo (*d' East's Act*) zniósł ustanowione za Jerzego I-go *workhouse test* i uwolniło już wszystkich ubogich od pobytu w domach zarobkowych, sędziów zaś pokoju upoważniło do udzielania wsparć w domach. Był atoli w tém prawie zasadniczy błąd: ściśle wydzielanie miejscowości do zarobkowania. Ponieważ utrudniono przepisami wędrówki ubogim robotnikom, więc tam, gdzie ich dużo się skupiało, zarobki spadały do najniższej skali. W roku 1834 nowe prawo (*New Poor Law*), bardzo zbliżone do przepisów z roku 1601, przywróciło dawny dowód piśmienny z pobytu w domu zarobkowym (*workhouse test*), konieczny dla otrzymania wsparcia; nadto zniósł zasiłki, jako dopełnienia zarobków, na ojca włożyło odpowiedzialność za utrzymanie dziecka nieprawego, zamiast praktykowanego dawniej wynagrodzenia matki, tudzież uwolnienia ojca od wszelkich zobowiązań materyalnych; wreszcie więcej swobody nadało ubogim pod względem zamieszkiwania. W roku 1838 wydano także dla Irlandyi, a następnie dla Szkocyi, tego rodzaju prawo. W pierwszej i drugiej zakaz wydawania wsparć

<sup>1)</sup> Nędza dzisiejsza i dzisiejsze przeludnienie.“

po domach był o wiele surowszy, niż w Anglii. Ogólne zasady prawa o ubogich, które parę wieków przetrwało, mają i dziś zastosowanie w całej Wielkobytanii; podlegają one tylko od czasu do czasu pewnym zmianom. Jakże atoli skutki wywołało i jakim podlegało zbroczeniom owo zażegnywanie nędzy?—Wedle sprawozdań delegatów komisji królewskiej, utworzonej do zbadania skutków prawa o ubogich (1832 r.), w wielu miejscowościach państwa wspierano po domach ludzi zdrowych nadzwyczaj szczerze, tak dalece, iż żebractwo stało się zajęciem zyskowym. Oto wymowny przykład: W Eastbourne ubodzy w domach zarobkowych dostawali po 16 szylingów (20 fr.) tygodniowo, podczas gdy średni zarobek w danej miejscowości nie wynosił 12 szylingów (15 fr.). Tym sposobem robotnicy zwyczajni, pracujący nie pod przymusem prawnym, lecz ekonomicznym, pozostawali w gorszych warunkach, niż ubodzy. „Mężowie nasi mieli-by znośny byt — mawiały kobiety, — gdyby się podali za potrzebujących jałmużny.“ Żebracy cieszyli się jeszcze jednym przywilejem: tworzyć mogli ogniska rodzinne bez przeszkód, gdyż za każde nowonarodzone dziecko dawano znaczny zasiłek. Wykryto pewną rodzinę, której trzy pokolenia pobierały jednocześnie zapomogi od parafii ogółem na sumę 100 funtów (2,500 fr.). Tak więc pauperyzm stał się ponętnym zajęciem i wywołał silne niezadowolone mas, po-za jego uprawnionem znamieniem stojących. Urzędowe sprawozdania komisji wykazują, iż koszt utrzymania ubóstwa w wielu miejscowościach pochłaniał całkowity dochód ziemi z potrąceniem kosztów uprawy, skutkiem tego folwarki opuszczano. Pewien rolnik w pobliżu Cambridge, właściciel folwarku 500-akrowego (300 morgów), płacił tego rodzaju podatku 250 fst. (6,250 fr.). Dzierżawcy musieli przyjmować na robotę pewną liczbę ubogich, w stosunku do obszaru ziemi uprawnej. Użalali się oni, iż ci robotnicy nietylko im pożytku nie przynosili, lecz narażali ich na straty. Praca niechętna pod przymusem nie mogła nawet w małej części dorównać robocie zdolnego i chętnego parobka. Fawcett jest tego przekonania, że prawo o ubogich, ściśle stotowane, jest środkiem wielce zbawiennym, i w ograniczeniu wsparć szuka potwierdzenia swych przypuszczeń. Szkoda, że ten ekonomista, tudzież inni, zapominają, iż masy włóczęgów i żebraków, posługujących się opieką i zasiłkami, przedstawiają zaledwie część istotnej nędzy. Zwróćmy na to uwagę, że ta część, według wykazów Badtera, wynosiła ogółem w Anglii i Walii r. 1866 trzy miliony i że należała prawie wyłącznie do warstwy robotniczej, liczącej podówczas 16 milionów. Piąta więc ich część posiłkuje się jałmużną.

Na imych o wiele racjonalniejszych podstawach rozwinęła się dobroczynność w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej. Panuje

tam niemal powszechne przekonanie, iż nawet głód chwilowy nie jest szkodliwym dla człowieka w tym stopniu, co pomoc doraźna, jałmużnicza. To też zadania filantropii są tam rozwijane na szerszych podstawach. Nie jałmużna prywatna, lecz systematyczna poprawa bytu ubogich, wnikanie w ich stan moralny i zabezpieczenie przyszłości — są ideą przewodnią organizatorów dobroczynności amerykańskiej; powstały więc tam liczne instytucje, szkoły rzemieślnicze przy kościołach, kółka dla zaopatrywania szpitalów w książki i kwiaty, kluby i czytelnie dla parafian ubogich, wykłady wieczorne dla młodzieży, zajętej w ciągu dnia pracą. Dziewczęta i mężczyźni z bogatych rodzin arystokratycznych chętnie przyjmują na się rolę nauczycieli, przynajmniej raz na miesiąc. Oprócz znacznego odłamu urzędzeń dobroczynnych pod opieką duchowieństwa, rozwija się także filantropia świecka. Jednostki zamożne tworzą najróżnorodniejsze instytucje tego rodzaju. Po-za tém wtzyskkiem istnieje jeszcze jeden dział filantropii, górujący nad innymi szerokim zakrojem. Przed paru laty zawiązało się w Nowym Yorku „Towarzystwo zwalczania nędzy“ (*Anti Poverty Society*) pod kierunkiem d-ra Mac-Glinna. Ma ono na celu przygotowanie opinii publicznej drogą pokojową i legalną do utrwalenia pojęcia, iż wszelkie środki istnienia powinny być przystępne dla ogółu. W tym przedmiocie odbywają się odczyty co niedziela, dla zapoznania ogółu z dążnościami i zadaniem Towarzystwa i dla zjednania pomocy moralnej społeczeństwa. Zrazu inicjatora przyjęto z nieufnością. Dziś atoli zdobył on powszechny szacunek, a jego zaparcie się osobiste, oddanie całego majątku (30,000 dolarów), zebranego z pracy dziennikarskiej, na użytek nędzarzy, dowodzi, że człowiek ten działa nie z pobudek próżności, lub fantazyi. Wogóle działalność filantropijna w Ameryce, na wielką skalę stworzona, obejmuje licznymi ramionami coraz szerzej olbrzymie obszary Stanów. Utworzone w r. 1882 „Towarzystwo organizacyi dobroczynności“ dziś liczy przeszło 60 oddziałów w tyluż miastach, zawierających ogółem 8 milionów ludności. W 28 miastach mają one 3,228 osób, pełniących obowiązki wizytatorów (*friendly visitor*). W 1887 roku 20 takich towarzystw wyzwoliło 3,342 osoby z zależności mi osierdzia publicznego i ułatwiło im samodzielne stałe zarobkowanie. Tym sposobem zaoszczędziły one w ciągu jednego roku 1,800,000 dolarów, które trzeba było-by wydać w postaci jałmużny. Mają owe instytucje dobroczynne swoje wady i niezawsze zbyt szerokie zapatrywania się na ogólny stan rzeczy, w każdym atoli razie dziś, jako środki, znieczulające najważniejszy odłam niedomagań moralno-materyalnych, mogą stanowić wzór dla całego świata cywilizowanego. Podnosić upadłych, wcielać wydziedziczonych do gromady społecznej drogą ułatwiania im zarobków, wyrabiać dzielność i rozbudzać poczucie godności

tam, gdzie ona łatwo może być sponiewieraną, — to są zasadnicze dążenia filantropii amerykańskiej.

Jakże wobec nich są skromne nasze cele w tym zakresie! A przecież ruszamy się, nie brak nam jednostek, całkowicie niemal oddanych na usługi miłosierdzia publicznego, nie brak dość hojnych nawet zapisów; brak tylko odczuwania potrzeb, istotnie pilnych. Często naprawiamy gorliwie szwy trochę tylko rozprute i niewidoczne, podczas gdy świecą olbrzymie dziury, wymagające łatania niezwłocznego. Natomiast nie brak pomysłów i projektów, rzadko kiedy możliwych do urzeczywistnienia. Trudno było-by zliczyć, ile już zaprojektowaliśmy przytułków różnorodnych. Jest to, zdaniem wielu, jedyne rozwiązanie kwestyi usunięcia ubóstwa. Nietylko starców i ludzi chwilowo niezdolnych do pracy każemy zamykać w przytułkach, ale nawet zalecamy ten środek dla dzieci, pozbawionych opieki. Słusznie ktoś zrobił uwagę, że gdyby tych słów słuchać zawsze, to w końcu trzeba było-by podzielić całe społeczeństwo na utrzymujących przytułki i utrzymywanych w owych zakładach. Opieka nad dziećmi opuszczonemi jest wielce pożądana, ale w innej formie. Przedewszystkiem trzeba im dać naukę, ażeby potrafiły być jednostkami produkcyjnymi w społeczeństwie. Ale i przysposobienie do pracy nie jest dostateczne, skoro niema sposobów jej zdobycia. Wspominaliśmy już kiedyś na tém miejscu o braku pośrednictwa w wyszukiwaniu zajęcia. Zanim się ono kiedyś zorganizuje w sposób względnie zadawalniający, pożądane jest zwrócenie bacznj uwagi na stręczycielstwo pokątne, którém się zajmuje ciżba ludzi, niemających nic do stracenia pod względem moralnym. To też słusznie jest zapowiedziane rozciągnięcie dozoru nad działalnością faktorów i rajfurów obojęt płci, pośredniczących w interesach cudzych. Do tego rodzaju wliczono osobniki, obchodzące hotele dla ofiarowania swych usług przyjezdnym, pokątnych agentów i komisyonerów, nie oplacających żadnych podatków i niewykupujących świadectw handlowych, stręczycielki i stręczycieli slug; w związku z tém będzie zwiększona odpowiedzialność kantorów stręczeń służących, oficyalistów, nauczycieli i nauczycielek. Za wszelkie przekroczenia w tym względzie winnych czeka surowa odpowiedzialność karna. Ten hamulec pożądaný może choć w części okiełzna procederzystów i oszustów, zajmujących się różnego rodzaju usługami. Niedawno „Przegląd Tygodniowy“ i „Wędrowiec“ podniosły głos w sprawie wytępienia jednego tylko rodzaju owych wyzyskiwaczów — agentów, zbierających ogłoszenia. W szeregi ich weszli ludzie kryminalnie karani, odważni i zuchwali; fałszują oni tak zwane „deklaracye“, niby wydane przez kupców, podrabiają liźbę wierszy zamówionych, błędnie informują kupców o pi-

smach, do których można, lub nie, dawać ogłoszenia. Ci, którzy podnieśli alarm w sprawie szkodliwości takich agentów, radzą rozstać się z nimi zarówno kupcom, przemysłowcom, jak i pismom, przyjmującym ogłoszenia, a natomiast posługiwać się uczciwie urządzonym biurem. Przy takiej zmianie rzeczy, zyskali-by nie tylko przedsiębiorcy, kupcy, właściciele kantorów, redakcyje, ale i publiczność, która częstokroć nie wie, gdzie ma szukać potrzebnych przedmiotów, podczas gdy interesowany przedsiębiorca jest pewny, że go klient znajdzie z ogłoszenia w jakiejś efemerydzie, kalendarzyku, albo innym spekulacyjnym wydawnictwie, skazanem na zbutwienie lub makulaturę. Otóż zdaje się, że i tego rodzaju agenci, działający dotąd bezkarnie, będą nadal skrepowani odpowiedzialnością.

Pożądane było-by zastosowanie takich środków do starszych robotników łódzkich, Niemców, szerzących demoralizację wśród zależnych od nich kobiet. „Majstrowie, tudzież podmajstrzy takich oddziałów fabrycznych, gdzie pracują kobiety—pisze jeden z korespondentów,—z brutalną rozwiązłością wypasionego chłopca potworzyli sobie seraje, czy haremy z ofiar, którym w razie oporu grozi szybka utrata miejsca. Podobnego zepsucia niema tam, gdzie pracuje majster krajowiec, bardziej wykształcony, ogladzony, ceniący godność ludzką w sobie, oraz innych.“ Korespondent przypuszcza, że zło się zmniejszy, gdy żywioł niemiecki w fabrykach osłabnie po egzaminach, od których zależą losy przybyszów. Nie zwalajmy atoli wszystkiego złego na Niemców. Demoralizacya takaż znana jest oddawna wszędzie. Niewiele zatem może skarcenie „brutalnych“ i „nieogladzonych“ jednostek, gdzie na smutny stan rzeczy wpływają poważniejsze czynniki, niełatwe do wypełnienia. W każdym jednak razie pewien rygor prawny, przypominający winnym o odpowiedzialności, mógł-by poniekąd powstrzymać szerzenie się owęj demoralizacyi.

Owa potrzeba rygoru i opieki prawnej na każdym kroku jest znamieniem dzisiejszej doby. Domagają się jej nie tylko jednostki lub grupy zawodowe, lecz wszystkie warstwy społeczne, zarówno konsumenci, jak i przedstawiciele wszelkich gałęzi wytwórczości. Największe brzemień na swych barkach odczuwają spożywcy. Wszelkie przesilenia, spekulacye, walki ekonomiczne, muszą ich żywo zajmować, bo o ich własną skórę chodzi. To też w swoim czasie wielki niepokój obudził syndykat cukrowy. Ale chociaż cukier stał się produktem pierwszej potrzeby, dalsze jednak miejsce zajmuje, niż opał i światło. Całkiem więc uzasadniony jest niepokój z powodu nagłego podrożenia tych przedmiotów. Węgiel nie jest wyłącznie opałem zwyczajnym; wpra-



wia on w ruce setki fabryk, koleje żelazne i różnorodne przedsiębiorstwa przemysłowe. Trudno więc obliczyć rozmiary klęski, którą mogłoby spowodować przesilenie w przemyśle węglowym. Na szczęście jesteśmy obecnie daleko od tej chwili. Przeszkody chwilowe znikają, a produkcja kopalniana stara się zaspokoić wzrastające potrzeby, i dziś, jeżeli jakie silniejsze alarmy będą wstrząsać ogół, należy przedewszystkiem szukać źródła w łonie spekulantów, którzy nie przebiegają w środkach, działających na podnoszenie cen.

Na znaczne natomiast podrożenie nafty wpływają już nie działania przekupniów, lecz wielkich wytwórców zmowa, którą przed paru tygodniami zawarli najpotężniejsi przedsiębiorcy. Pod wodzą Rotschildów i Noblów utworzył się syndykat naftowy, którego program nie może być obojętny dla szerszego ogółu. Na razie związek obejmuje ośm firm najwybitniejszych w Baku. Wszyscy pomniejsi wytwórcy mogą, a zdaje się będą nawet musieli przyłączyć się do nich. Handel naftą w Rosyi całej będzie pozostawiony wyłącznie towarzystwu „Nobel,” a dział wywozowy jedynie firmie „Rotschild.” Ogólna ilość wytworzonej nafty dostarczana będzie delegacyi, wybranej przez zjednoczonych przemysłowców, obowiązkiem zaś jej ma być wyznaczanie właściwym fabrykom materiału surowego, normowanie cen i t. d. Z góry już oznaczono cenę nafty na 6 kop. za pud, podczas gdy jej koszt obecny wynosi  $1\frac{1}{4}$ — $2\frac{1}{2}$  kop., cenę zaś tak zwaną „kerosiny” — na 23—25 kop. na miejscu, zamiast 7. Przy produkcji przeciętnej 300 milionów pudów rocznie, stowarzyszeni osiągną z tej podwyżki 15 milionów rubli więcej z kieszeni spożywców, którzy będą musieli tę sumę co rok na czem innem zaoszczędzać. Część tylko powyższych zysków będzie wypłacana uczestnikom w postaci dywidendy, reszta się wcieli do kapitału rezerwowego, który nadto ma być zasilany karami za przekraczanie warunków umowy, jak np. wszelkie operacje pokryjome poza syndykatem, sprzedawanie produktu po cenach niższych i t. d. Jednocześnie z powstaniem konwencji zaszedł również doniosły dla ogółu fakt: rada państwa bez żadnych zastrzeżeń zatwierdziła projekt podwyższenia akcyzy od nafty od 13 Stycznia r. b. Kto wie, może z czasem syndykat naftowy wywoła zagadkowe dla przyszłych badaczyw zjawisko: po latach kilkudziesięciu powrót do łuczywa, kaganków, łójówek, krzesiwa i hubki. Miasta mają jeszcze pod tym względem pomyslniejszą przyszłość; broni je poniekąd gaz obecnie, a z czasem może szersze zastosowanie elektryczności skutecznie będzie współzawodniczyło nawet z syndykatem naftowym; ale biedna prowincya, zdana na łaskę spekulantów, którzy mają teraz wyborny pretekst nalożenia na własną korzyść wielkiego haraczu, — będzie chyba popierać fabryki

przetworów tłuszczowych i smołowych, tudzież spożywać większą, niż dotąd, ilość drzewa sosnowego, dopóki dostarczyciele i tych produktów nie utworzą syndykatu.

Konwencya cukrowników wywołała silne niezadowolenie wśród plantatorów buraków, którzy na szpaltach „Gazety Warszawskiej“ stoczyli zaciętą szermierkę z przeciwnikami i ujawnili ze swych stosunków wiele stron zakulisowych. Ów charakterystyczny protest ziemian, plantujących buraki, zasługuje na bliższą uwagę. Przedewszystkiem przyjrzyjmy się obrazowi warunków dostarczycieli produktów surowych we własnym oświetleniu interesowanych. Właściciele cukrowni w stosunku z plantatorami usunęli wszelkie możliwe współzawodnictwo. Drogą wzajemnych porozumień rozdzielili pomiędzy siebie majątki ziemskie, z góry nakreślili cenę buraków i warunki kontraktów. „W ten sposób — twierdzi jeden z pokrzywdzonych — każdego pojedynczego plantatora oddali na łup pewnej fabryki, a silni przewagą kapitału, solidarnością interesu i ubezwładnieniem plantatora, rozpoczęli dzieło wyzysku, i to tém łatwiejszego, że wskutek niekorzystnych urodzajów w latach ostatnich, niskich cen zboża i znacznego zmniejszenia się zamożności rolników, plantator z konieczności przyjąć musi narzucone mu warunki.“ Dawniej, przy systemie parowym fabrykacji, buraki dawały połowę obecnej ilości cukru. Pomimo to, za korzec 200-funtowej wagi płacono 1 rs. 20 kop., z zastrzeżeniem w kontrakcie, ażeby na nawozach i nowinach nie sadzono buraków: nadto, hodowca otrzymywał pewien procent wytłocznyn, jako bardzo dobrą paszę dla inwentarza. Dzisiaj za korzec 300-funtowy plantator pobiera z dostawą własną 90—95 kop., cukrownicy zaś wymagają, ażeby buraki były sadzone na nawozach. Plantatorowie są związani zaliczkami, udzielanymi im kilka razy do roku przez fabrykantów. Jest to niewątpliwie zapomoga dla nich znaczna, gdyż tym sposobem zyskują kapitał obrotowy, nie tylko na plantacye buraków, w chwilach najkrytyczniejszych. Ziemianie oceniają dobrze znaczenie takich zaliczek, wiedzą o tém doskonale, że bez nich istnienie częstokroć było-by nie możliwe; jeszcze bardziej to sobie zapewne uświadamiają zaliczkodawcy i dlatego chętnie śpieszą z pomocą. W gruncie rzeczy plantatorowie nie mogą narzekać na te zasilki, więc tylko się uskarżają na zbyt wygórowane procenta, chociaż, mówiąc szczerze, nigdy one dorównać nie mogą odsetkom, opłacanym wszelkiego rodzaju dobroczyńcom, czyhającym na subhastacyę. W długim szeregu warunków ujemnych plantatorowie kładą jeszcze nacisk na złe, niesumienne wazenie, udzielanie przez cukrowników nasion buraczanych tylko o wysokiej procentowości cukru, które wymagają wielce staramiej uprawy, żyznej ziemi

i wyjątkowo przyjaznych warunków atmosferycznych. Po za tém buraki potrzebują o wiele większej liczby rąk roboczych, niż inne ziemniaki, lepszego inwentarza i udoskonalonych narzędzi. Przy wielkich nakładach i niepewnym urodzaju, plantator rzadko kiedy wychodzi szczęśliwie, bardzo często ponosi znaczne straty i tylko się ratuje... zaliczkami.

Wobec tego wszystkiego, plantatorowie żądają podwyższenia cen buraków i krok ten usprawiedliwiają krytycznym położeniem. Rzecz prosta, żądanie takie nie może być na rękę wytwórcom cukru, więc się starają obalić twierdzenia dostarczycieli produktu surowego dowodami o wiele mniej uzasadnionemi, niż twierdzenia rolników. Obronę przemysłowców osłabiają fakta niezbite olbrzymiego rozrostu cukrownictwa. Prawda, że ono ożywia inne odrośle przemysłu, daje zajęcie tysiącom ludzi, posługuje się materyałami prawie wyłącznie krajowemi, przynosi znauzny dochód skarbowi; wreszcie, ze względu na plantacye buraków, wiąże się ściśle z rolnictwem. Ale to ostatnie jest zanadto zależne od wytwórców cukru i, zamiast rozwoju przy ich pomocy gospodarki rolnej, zaledwie przedłuża nieco swe niepewne istnienie.

Owe alarmy, podniesione przez plantatorów, byłyby niczem, gdyż nieraz już mieliśmy podobną wrzawę w prasie, przemijającą bez żadnego śladu w życiu praktycznym. Tym atoli razem rzecz się ma całkiem inaczej: żądania, wyłuszczone na szpaltach dziennikarskich, rolnicy ujawniają w czynie, i to w sposób dotąd niebywały. Postanowili użyć na cukrowników takiej broni, jakiej ci ostatni się chwytają dla ubezwładnienia spożywców i opróżnienia ich kieszeni. Oto są dotąd dwa znamienne fakta: Plantatorowie w pow. Kutnowskim postanowili oznaczyć na naradach wspólnych możliwe ceny za buraki, upoważnić jednego w imieniu wszystkich do zawarcia umowy z fabryką na rok następny i — w razie lekceważenia ich żądań, — nie plantować więcej buraków, jako nieprzynoszących żadnego dochodu, w końcu obmyślić sposoby zupełnego wykreślenia z gospodarki tego produktu i wprowadzenia natomiast innego, który-by się przy mniejszych nakładach lepiej opłacał. O wiele charakteryczniejszy fakt drugi: Na zebraniu gminnym w Opolu 296 plantatorów postanowiło za pomocą porozumienia się wzajemnego uregulować ceny buraków. Ponieważ cukrownia tamtejsza popiera tylko większych plantatorów i drożej im płaci, więc drobni właściciele (między nimi znaczna liczba włościan) zabronili zawierać umowy oddzielne z fabryką. W tym celu wybrali przedstawicieli i ich zastępców od szlachty, mieszczan i włościan i dali im upoważnienie do zawierania kontraktów dla wszystkich bez wyjątku właści-

cieli ziemskich o plantacye buraków, po jednakowej cenie i na korzystniejszych, niżeli dotąd, warunkach. Umowy mogą być zawierane na rok; za samowolne zaś robienie kontraktów przez plantatorów pojedynczych wyznaczona jest kara na rzecz kasy gminnej po 50 kop. od każdego korca, dostarczonego fabryce.

Tak przywykliśmy do sennaści rolników, do powolnego traktowania wszelkich spraw bliżej ich obchodzących, że powyższy objaw zbiorowego przeciwdziałania warunkom niekorzystnym w podziw nas wprawia. Prawda, że ta zmowa rolników jest tylko motyką, którą usiłują uderzać w kolos silnie zorganizowanego przemysłu na podstawach wielkiego kapitału. Podczas gdy cukrownicy mają do rozporządzenia olbrzymie środki, szerokie drogi, oddawna utorowane, a wielu z nich zdobywa się na własne plantacye, — skromni, borykający się z niedostatkiem wytwórcy rolni w dwóch okolicach kraju wypowiadają im walkę gromadną, ufni w swe siły. Mogą oni tym sposobem wytargować bardzo mało; fakt ten atoli jest wielce pomyslnym, jako świadectwo przebudzania się ziemian, chęć gromadnego ratunku przed zagładą ekonomiczną. Nie chodzi nam o to, czy swoją zmovą wyjednąją dwie lub trzy kopiejki na pudzie buraków: cieszy nas tylko nowy zwrot w poszukiwaniu polepszenia warunków bytu. Czas wielki, ażeby rolnicy uświadomili sobie dostatecznie doniosłość pracy wspólnej. W ten bowiem tylko sposób można osiągnąć ideał taniego wytwarzania, a zatem zwiększonej produktyjności i wzmocnienia zachwianych podstaw ekonomicznych. Wszelkie oczekiwanie pomocy nadzwyczajnej, w postaci konwersyi i t. p. operacyi, może tylko zbliżyć ruinę.

Tyle już w ostatnich czasach przesunęło się i poszło w zapomnienie projektów kredytu i ulg w spłacie długów, że, zebrawszy je, można było-by stworzyć pokaźną bibliotekę. Z tej masy cyfr i cudacznych kombinacyi nie dotąd nie wyciśnięto dla zastosowania w życiu praktycznym. Natomiast doczekamy się wkrótce bardzo ważnej reformy banku państwa, a raczej rozszerzenia jego działalności. Jak wiadomo, dotąd w całym państwie istnieją tak zwane „kasy skarbowe“ i jest ich ogółem 646, w tej liczbie 66 gubernialnych i 580 powiatowych, czyli przeszło sześć razy więcej, niż oddziałów banku. Instytucye te, niegdyś jako tako pożyteczne, dziś już są zupełnie przestarzałe i wcale nie odpowiadają istotnym potrzebom. Według zapewnień rzeczoznawców, paralizują one nawet działalność finansową skarbu państwa. W dobie rozwoju przemysłu i handlu, tudzież gwałtownej potrzeby taniego kredytu, kasy te odgrywają rolę zabytków starożytnych, trzymanych w zbiorach pod szkłem. Nadzwyczajna formalistyka i system ściśle

biurokratyczny utrudniają ogółowi korzystanie z tej formy kredytu. Tymczasem liczba filii banku państwa jest stosunkowo niewielka (około stu) i wzrasta bardzo powoli. Na to właśnie inicjatorowie reformy zwrócili uwagę i kładą nacisk na potrzebę wprowadzenia systemu bankowego kas skarbowych. Za granicą taka postać kredytu datuje się od wieku XVII (kolebką jego—Anglia), najbardziej zaś jest rozwinięty w Belgii. Tamtejszy bank narodowy z 45-ciu oddziałami odpowiada potrzebom ludności we wszystkich zakątkach tego państwa, nadto daje znaczne dochody, a prostym systemem rachunków umożliwia jasne obejmowanie ogólnego stanu finansowego w kraju. Dziś za Belgią dążą inne państwa do uproszczeń i udogodnień w tym zakresie; o ile zaś wnosić możemy z przebiegu projektu, Rosya również chętnie zastosuje u siebie system belgijski. Ze względu na doniosłe znaczenie reformy dla całego państwa, słuszne jest rozszerzenie koła rzeczoznawców, nie tylko ze sfer finansowych. Komisya zaprosiła też do współdziałania przedstawicieli wszystkich ognisk przemysłu i handlu. Oddział warszawskiego Towarzystwa zajął się także tą sprawą, w celu wyświetlenia potrzeb Królestwa w tym zakresie. Między innymi ujawnia się żądanie kredytu nie tylko dla przemysłowców, lecz i dla rolników; a więc jeżeli sfery właściwe takie rozszerzenie programu uwzględnią, powinny również wysłuchać uwag światłych ziemian, wniknąć w ich potrzeby istotne, tudzież charakter gospodarstwa. Być może, iż właśnie tą drogą dał-by się wprowadzić w czyn oddawna projektowany kredyt melioracyjny.

Zresztą niech ten odłam interesowanych poczeka cierpliwie i wszelkie nowe projekta zatrzyma przy sobie aż do chwili utworzenia ministerium rolnictwa. Coraz częstsze i poważniejsze traktowanie tej sprawy u steru każe przypuszczać, że myśl owa nie będzie, jak inna, przelotną, témbardziej, że program przyszłej instytucji naczelniej jest już jasno wyłożony z możliwem uzasadnieniem jej istnienia. I tym razem przykład i wskazówki płyną z za granicy. Ministerium rolnictwa w Prusach istnieje od r. 1848 z bardzo szerokim zakresem; między innymi jego kompetencji podlegają: kredyt rolny, melioracyjny, hipoteczny, zarząd lasów i stadnin. Takięj samęj instytucji w Austrii, oprócz spraw czysto rolniczych, podlega także górnictwo. Francya, Anglia, Stany Zjednoczone, również ześrodkowują w takięj organizacji sterniczej sprawy przemysłu rolnego w najszerszém pojęciu. Komisya, pracująca nad utworzeniem nowego ministerium w Rosyi, nakreśla następujące jego zdania zasadnicze: Urządzenie sieci elewatorów i inspekyi zbożowęj, wzmocnienie i unormowanie handlu zbożowego. Program niełatwy do wykonania i wymagający pewnych przygotowań, jak

np. zbadania rynków zagranicznych, stworzenia dokładnego obrazu produkcji krajowej. „Ścisła znajomość różnorodnych warunków gospodarstwa wiejskiego — twierdzi komisya — jest rzeczą konieczną, ażeby do rozmaitych potrzeb miejscowych przysposobić organizację kredytu rolniczego i system tariff kolejowych. Uiszczenie podatków ze zboża oraz wznowienie systemu szarwarków wymaga także przekształcenia urzędów podatkowych. Wreszcie koszta nawodniania, osuszania, zadrzewiania, urządzania ferm wzorowych (zapewne i szkół specjalnych, *przyj. aut.*), — wszystko to jest niemożliwe bez pomocy państwowej.“ Program ten każe się domyślać, iż, wobec różnorodnych warunków olbrzymich obszarów państwa, przyszłe ministeryum stworzy specjalne instytucje miejscowe, przynajmniej w okręgach zasadniczo się różniących pod względem warunków klimatycznych i topograficznych. Naturalnie, instytucje takie powinny być doradcze, w których skład weszliby rolnicy danego obrębu. Może-by wówczas nie dla jednego ze zdolnych i wykształconych ziemian sposobność skutecznego rozszerzania racjonalnych wskazówek i uwag była bodźcem do pracy samodzielnej i poszukiwań o wiele silniejszym, niżeli dzisiaj forsowne rozbudzanie ich zdolności teoretycznych za pośrednictwem konkursów.

Koniec roku ubiegłego zaznaczył się taką sztuczną hodowlą talentów i pobudzaniem istniejących do płodności na niwie literacko-artystycznej. Konkurs „Kuryera Warszawskiego“ wprawdzie nie wynalazł nowych pisarzów z zadatkami talentu, nie wycisnął arcydzieł, ale zrobił to, o co prawdopodobnie najbardziej chodziło twórcom pomysłu: dał teatrowi „sztuki kasowe“ i zaciekał nimi publiczność. Z pomyslnym rezultatem rozstrzygnięto prawie jednocześnie konkurs galicyjski im. Wołodkowicza, na którym zajaśniała nowa gwiazda autorska (nie wiemy tylko jakiej wielkości), panna Helena Ceysinger, rodem z Lubelskiego. Otrzymała ona pierwszą nagrodę za dramat, osnuty na tle historii Słowian południowych, p. t. „Zwalczeni.“ Sztuka ta w r. b. zasili repertuar teatru krakowskiego.

Smutnego losu doznał jeden z dawniejszych laureatów konkurso-  
wych, Galasiewicz, aktor i autor dramatyczny. Po długiej chorobie musiał uleść amputacji nogi. Dla artysty więc działalność na zawsze skończona, dla autora, wyłącznie piszącego utwory sceniczne, pozostaje praca niechlebodajna, gdyż stałą być nie może. Człowiek ten wszakże, który od wieku pacholącego szedł przebojem przez niepowodzenia życiowe, zasługiwał na rzetelniejszą ocenę swęj pracy przez ogół i tych którzy mu ją ofiarowywali. Czy klęska ostatnia i dalsza walka o chleb powszedni da mu możność tworzenia rzeczy wartościowych?

Dziś wybitne twory ducha, wychodzące z pod pióra ludzi zdolnych i utalentowanych, a wprzęgniętych do wiecznej pracy obowiązkowej dla podtrzymania bytu, należą do rzadkości. To też słuszne są uwagi p. Świętochowskiego, wypowiedziane z powodu jubileuszu S. Kramsztyka: „Jeżeli taki człowiek napisze dzieło naukowe lub poemat, jeżeli z bogaci wiedzę lub wyrzeźbi posąg, pamiętajcie, że dokonał tego w ciężkich zapasach z życiem, że wyteżył wszystkie swoje siły aż do zupełnego wyczerpania, że odmówił sobie odpoczynku, snu, rozrywek, tych przyjemności lub pokrzepień, których używa najzwyczajniejszy robotnik... Jeżeli przeto spostrzeżecie czyjeś dzieło nie dość opracowane, czyjs utwór nie dość wykończony, jeżeli jakiś badacz lub artysta daje wam mniej, niż żądacie lub oczekujecie od jego uzdolnień, nie mówcie, że jest niedbały lub leniwy, dopóki nie poznacie warunków jego publicznej działalności.“ Czy jest chociaż jeden z naszych poważnych pracowników umysłowych w inném, szczęśliwszym położeniu? Jeżeli kto z nich, przy nawale zajęć dla chleba, przy ciężkich obowiązkach rodzinnych, wiecznych troskach, zawodach i zgryzotach, napisze w ciągu mozolnego życia kilka dzieł cennych i po długich latach jeszcze siły zachowa, zjawisko takie całkiem słusznie ogłaszamy światu i działalność pożyteczną pracownika obchodem jubileuszowym czcimy.

Uroczystości takiej na schyłku roku ubiegłego doczekało się właśnie dwóch naszych pisarzy poważnych: Stan. Kramsztyk i P. Chmielowski. Pierwszy skończył trzydzieści lat działalności na niwie naukowej. Wzbogacił on literaturę przyrodniczą kilkoma dziełami, których miarą wartości i powodzenia jest to, że się doczekały po parę wydań. Oprócz wielu prac mniejszych i artykułów prawdziwie dla czytelnika pożytecznych, umieszczanych przeważnie we „Wszechświecie“, napisał „Fizykę“ i „Początki fizyki“, spolszczył „Meteorologię“ Morin'a, wreszcie przed kilku tygodniami wydał sporą książkę p. t. „Szkice przyrodnicze“, o której obszerniejszą wzmiankę czytelnicy znajdą w dziale bibliografii. Nieoceniony i niezmordowany ten popularyzator posiada dar jasnego i pięknego wykładu, co robi ponętnym najbarażiej suchy i ciężki przedmiot. Działalność literacka Piotra Chmielowskiego dobiegła dwudziestopięciolecia; zanadto atoli jest ona znaną szerszemu ogółowi, ażebyśmy mieli w obecnej chwili robić jej szczegółowy przegląd. Obu tym pracownikom szczerze życzymy, ażeby jak najdłużej zasilali piśmiennictwo ku pożytkowi ogółu i żeby na tworzenie dzieł swoich nie potrzebowali zużytkowywać czasu, niezbędnego na wypoczynek, i sił wyteżać aż do wyczerpania.

Wiele sił poświęcił i pożytku nauce, a jeszcze więcej Francyi, przyniósł niezmordowany podróżnik i badacz, Jan Dybowski, którego

trudów owoce Paryż obecnie podziwia na wystawie specjalnej. Zre-sztą, jak nie ma podziwiać i obdarzać sympatją śmiałka wytrwałego. skoro ten się przyczynił do rozszerzenia politycznego wpływu Francyi na obszarach afrykańskich? Komisya Afryki francuskiej powierzyła mu drugą misję dla odszukania i połączenia się z pierwszą, na której czele stał Crampel. Ten jednak zginął w potyczce z oddziałem muzułmanów sudańskich, towarzysze zaś jego bądź polegli, bądź zdołali uniknąć, zostawivszy amunicję i wszelkie zapasy na łup nieprzyjaciół. Nieustraszony tém, Dybowski, odważnie się naprzód posuwał i w Lipcu r. 1891 zapuścił się rzeką Ubangi do niezbadanych głębi. Po zbadaniu zaś dopływów powyższej rzeki, rozpoczął najciężliwszą podróż przez stępy, gęstwiny, góry i bagna. W końcu, natarłszy na muzułmanów, rozbił ich z 42 strzelcami swęj eskorty i pomścił tym sposobem śmierć Crampela. Tryumf ten ułatwił Francyi zdobycie protektoratu nad całą przestrzenią pomiędzy rzekami Ubangi i Szari. Na zakończenie swego dzieła Dybowski dał początek panowaniu tam w przyszłości kapitału: założył kilka stacyi handlowych. Półtora roku trudów, silnych wrażeń i niebezpieczeństw nadwątliły chwilowo jego zdrowie, musiał więc wrócić do Europy, ale ze sławą i trofeami. Przywiózł z sobą do „stolicy świata“ 110 pak, zawierających 7,000 okazów, przeważnie z zakresu etnografii. Znaczna część tych przedmiotów znalazła miejsce w Muzeum historii naturalnej w Paryżu. Kolekcyje licznych gatunków broni, wszelkie przedmioty domowego użytku, fajki, instrumenta muzyczne i wszystko, co tylko daje pojęcie o bycie mieszkańców głębokiej Afryki, skrzętnie zebrał niestrudzony podróżnik. Prócz tego okazy z zoologii, botaniki i mineralogii, wreszcie rysunki i fotografie dają plastyczny obraz natury i typów. Dziełny przywódca misyi nie zapominał nawet zabrać paru czaszek pokonanych zabójców Crampela. Z czasem, gdy już nie będzie kąta nieznanego dla Europejczyka w dzisiejszej „tajemniczej”, a jeszcze bardziej ponętną Afryce, gdy na nieznanych i niedostępnych dzisiaj obszarach rozlegną się świsty lokomotyw, parostatków, sygnałów fabrycznych i warczenie kół wielkoprzemysłowej produkcji, przez Europejczyków utrwalonej, gdy obecni ludzery, broniący się łukami i tarczami przed białym najeźdźcą, będą obsługiwali hałaśliwe maszyny, może wówczas w rzędzie pionierów cywilizacyi i kultury, na jakim wspaniałym placu znacznego miasta afrykańskiego, stanie pomnik dla pogromcy fetyszystów, tłumy zaś Uaddów, Tokbasów, Languasów i Krumasów, w tużurkach, cylindrach i bluzach, snuć się będą w gorączkowym pośpiechu u podnóża monumentu, wzniesionego na pamiątkę ich przerożenia. Kto wie, czy w duszy Dybowskiego i wdzięcznych mu Francuzów nie rodzi się pod świeżym urokiem tryumfów ten prawdopodobny obraz przyszłości.



Z końcem roku zeszło z tego świata kilku pracowników na niwie społecznej, literackiej i naukowej. W Niemczech zmarł ubiegłego miesiąca znany elektrotechnik, autor i przemysłowiec, Siemens. Jego życie pogodnie było szeregiem czynków, mających na celu polepszenie doli tych, którym urządzenia dzisiejsze pozwoliły zaledwie z drobnej cząstki darów ziemskich korzystać. Zawsze pełen dobrych chęci, nie przenikający atoli do głębi twardych warunków życia, starał się łagodzić niedomagania i wyrównywać wszelkie chropowatości środkami doraźnymi; miały one w jego mniemaniu całkowicie zapewnić szczęście tym, którymi się opiekował. Przy wielkiej fabryce „Siemens i Halske“ urządził wzorowe szpitale dla chorych, niezdolnych robotników, szkoły fachowe dla zdolnych a ubogich chłopców, ochronki dla dzieci robotniczych, wreszcie sporo kas dla pracowników. Na parę tygodni przed śmiercią wyszły pamiętniki Siemensa, w których się maluje dosadnie cała pogoda jego ducha, cały optymizm, towarzyszący mu przy wszelkich zadaniach, podejmowanych dla polepszenia warunków bytu. Z wielu jego marzeń zarysowywało się wybitnie jedno: zdobywanie wiedzy dla uszczęśliwienia ludzkości. „Może wspomnienia moje w serce niejednego młodzieńca wleją otuchę, odwagę i chęć do pracy; — pisał w pamiętniku. — Bo życie i działalność moja są dowodem, że i bez środków materyalnych, odziedziczonych po ojcu, bez wpływowych protektorów, ba! — nawet bez odpowiedniego rozumnego wykształcenia początkowego, jedynie pracą można dobić się znaczenia i choć w małych rozmiarach przyczynić się do uszczęśliwienia ludzkości.” Z żalem starzec 76-letni żegnał życie, które dlań było piękne. „Chętnie-bym jeszcze popracował, o ile-by sił starczyło, nad rozwojem nauk i nad zdobyczami stulecia, które kiedyś nazwą ludzkie stuleciem nauk przyrodniczych.”

Naszemu światu prawniczemu ubył zdolny i pożyteczny pracownik. W d. 21 Grudnia zakończył życie Leon Krysiński, ceniony powszechnie adwokat. Urodzony r. 1844, gimnazjum ukończył w Lublinie r. 1861. Następnie odbył studia prawne w b. Szkole Głównej ze stopniem magistra prawa i administracyi, poczem r. 1867 wszedł na aplikację do Trybunału Cywilnego w Warszawie. Bardziej atoli skłonny do zawodu obrończego, niż do pracy urzędniczej, przysposabiał się w tym zakresie pod kierunkiem mecenasa Kazimierza Brzezińskiego. Roku 1869 mianowany został patronem przy Trybunale Cywilnym, we trzy zaś lata potem — adwokatem przy Sądzie Apelacyjnym Królestwa Polskiego. W końcu, po wprowadzeniu reformy sądowej, wstąpił do szeregu adwokatów przysięgłych. W tym ostatnim okresie swój działalności dał się najbardziej poznać, jako wybitny, bystry

umysł i człowiek obdarzony wyjątkowym jasnym darem wymowy. Nie-skazitelny charakter zjednał mu szacunek powszechny. Ufny w swe siły, nie wahał się obarczać różnorodnymi obowiązkami publicznymi. Nadmiar pracy przyczynił się do przecięcia pasma jego życia w sile wieku.

Zmarła Celina z Wołowskich Gładkowska, występująca na polu beletrystyczném pod pseudonimem Juliana Morosza. Była to niewątpli-wie zdolna autorka, której atoli warunki nieprzyjazne, bezustanne bo-rykanie się z troskami życiowymi nie pozwoliło dostatecznie wzmocnić i rozwinąć daru pisarskiego. W sporój garstce jej nowel znaleźć można błyski głębokiego uczucia. Na konkursie nowelistycznym „Ziarna“ była uwieczona nagrodą, ostatnia zaś jej powiastka wyszła nakładem redakcyi „Głosu“ p. t. „A kiedy ono nie takie.“ Zmarła liczyła zaledwie lat trzydzieści kilka.

Zgasł wreszcie Ludwik Niemojewski, którego bajki, powiastki i wierszyki zaprzętały umysły młodociane przez długi szereg lat w „Przyjacielu dzieci.“ Pisywał on również powiastki dla ludu i probo-wał dawniej uprawiać niwę publicystyczną. Nie pozostawił atoli po so-bie śladu wydatnego w piśmiennictwie.

---

---

## Wiadomości bibliograficzne.

---

— Komisya historyi sztuki w Akademii Umiejętności odbyła w dniach 24-go Listopada i 7-go Grudnia 1892 roku dwa posiedzenia. Przewodniczący, prof. Maryan Sokołowski, poświęcił na pierwszej sesyi słowo wspomnienia zmarłym badaczom: A. Essenweinowi w Norymberdze i ś. p. Antoniemu Jodko-Narkiewiczowi w Wolicy na Wołyniu. Następnie prof. Władysław Łuszczkiewicz przedłożył rezultat badań swych nad polichromią kościółka drewnianego w Dębnie pod Nowym Targiem, dokąd, stosownie do życzenia komisyi, odbył w lecie r. z. wycieczkę. Kościółek, oprócz polichromii sufitu, posiada interesujący rzeźbiony tryptyk. Robota ciesielska sufitu i ścian jest bardzo prostą i mało staranną. W malowidłach ściennych niema ciągłości i wyższego arcyzmu, a przeważa charakter wyłącznie ornamentacyjny. Motywy ornamentacyi są późno romańskie i gotyckie. W figuralnych przedstawieniach kostiumy obcisłe w duchu XIV-go stulecia. Malarz dokonał polichromii za pomocą patronów z grubego papieru, które odbijał farbą czarną lub wyjątkowo ceglastą na ścianie, pomalowanej ogólnym tonem szaro-białym, a potem kładł barwy inne pędzlem szerokim. Jakkolwiek motywy są bardzo wczesne, to malowidło odnosić się może tylko do XVI-go stulecia.

Prof. Łuszczkiewicz podał wiadomość krótką o ruinach kościoła w Idziejow w Inowłodzi. Kościół, którego fundacyę odnosi do Władysława Hermana, datuje z XVII-go wieku i stał pierwotnie

w obrębie zamkowym. Wreszcie prof. Wł. Łuszczkiewicz odczytał rozprawę p. t. „Ruiny zamku Herburt“. Autor scharakteryzował typy grodów polskich i zwrócił uwagę na charakter fortalicyi w ziemiach ruskich, na podstawie zabytków XVI i XVII wieku. Zamek Herburt, znany w literaturze pod niewłaściwą nazwą zamku Dobromińskiego, jest dawną fortalicją, zamienioną na zamek mieszkalny. Autor wykazał dowodnie, na podstawie zdjęć rysunkowych, dokonanych na miejscu, jak dobudowy późniejsze pokoi mieszkalnych dokonane zostały kosztem pierwotnego systemu obronności. Budynek mieszkalny był pierwotnym belluardem o dwu kondygnacjach strzelnic, wewnątrz próżnym, z drogą straży na piętrze. Autor tłumaczy, w jaki sposób i kiedy dobudowano do niego piętro z pokojami mieszkalnymi i front przyozdobiono attyką. Badania na miejscu nie przyniosły dowodów na istnienie także malowań ściennych. Tak zwane „malowania Dobromińskie w domu p. Herburta,“ wedle opisu, drukowanego w Sprawozdaniach komisji (V, str. LXXI), nważać należy za malowania zamku mieszkalnego w samém mieście Dobromilu. Ten ostatni zamek Dobromiński dotrwał rzeczywiście do końca zeszłego wieku, czyli do czasu, w którym zamek Herburt był już dawno w ruinie.

Dr J. Korzeniowski zwrócił uwagę komisji na dwa rękopisy, znajdujące się w muzeum Ks. Czartoryskich w Krakowie, z których pierwszy zawiera akta starostwa Spiskiego, dotyczące przebudowy zamku w Lubowli z czasów Augusta III-go, drugi mieści rachunki wydatków sum Króla Stanisława Augusta na artystów, spisy obrazów, listy hr. Augusta Moszyńskiego, korespondencye, dotyczące zakupu obrazów w Rzymie, projekt utworzenia Akademii sztuk pięknych w Warszawie i t. p., jednym słowem, dokumenta, odnoszące się do sztuk i przemysłu w tej epoce.

Na drugiem posiedzeniu, sekretarz p. Lepszy zdał sprawę z nadesłanych Akademii publikacji, dotyczących historii sztuki.

Prof. Władysław Łuszczkiewicz odczytał część pierwszą „Sprawozdania z wycieczki“ z uczniami szkoły sztuk pięknych, jaką odbył funduszem ministeryalnym w r. z. w okolice Czechowa. Zwiedzono najprzód Zakliczyn, założony przez Jordanów Spytków w XVI wieku. Kościół parafialny w tej miejscowości przechowuje zabytki, pochodzące z zamku Melsztyńskiego: ołtarzyk marmurowy z XVII-go stulecia, renesansową pasyjkę brązową i biurko do pisania, wykładane drzewem różnobarwném. Klasztor Reformatów zachował pomnik Zygmunta Aleksandra Tarły, wykonany prędkiej przez kamieniarza, niżeli artystę rzeźbiarza, — zatem dziełem Canavazego, jak się domyślano, być nie może, — następnie pamiątki z zamku Melsztyńskiego i intarsye roboty braciszka zakonnego przed 150 laty.

Wieś Lutosławice posiada nagrobek Faustyna Socyna. Kościół w Domoślavicach odznacza się renesansowym tryptykiem z obrazami po Melsztyńskich, chrzcielnicą kamienną z roku 1490 i świecznikami mosiężnymi. Stąd wycieczka udała się do Czchowa, gdzie turma, kościół niegdyś romański ze swém sklepieniem gotyckim, bardzo charakterystyczną chrzcielnicą z roku 1506 i herbami cechów i kolatorów ówczesnych, tudzież dwoma pięknymi pomnikami renesansowymi, z których pomnik Kaspra Wielogłowskiego z 1564 r. mógł-by być dziełem Jana Maryi Padovany, stanowiły przedmiot badania.

W Przydonicy w kościółku filialnym, oprócz niepośledniej roboty ciesielskiej portali z r. 1527 i malowideł ściennych, przechowały się dwa tryptyki, z których jeden posiada bardzo piękny obraz Najś. Panny Niepokalanego Poczęcia. Wreszcie w Zbyszycach budowa kościółka murowanego z XV w., pomnik Kempnińskich, stalle i chrzcielnica zostały przerysowane i opisane.

P. Jerzy hr. Mycielski przedstawił następnie rozprawę p. t. „Dwa portrety Królowej Anny Jagiellonki nad kaplicą Zygmuntofską na Wawelu.“ Prelegent zastanowił się naprzód nad portretem Zygmunta I-go, pomieszczonym nad wejściem do kaplicy Zygmuntofskiej. Przedstawia on Króla jeszcze z brodą, choć nie siwą; ale zupełnie odmienny od późniejszego, który wyszedł z pracowni Cranacha młodszego, w muzeum Ks. Czartoryskich. Obrazy, które obok tego portretu wiszą, wyobrażają: jeden niewiastę w stroju koronacyjnym, drugi postać kobiecą w szatach wdowich, w późnym już wieku. Biskup Łętowski uważał oba za portrety Anny Jagiellonki, Al. hr. Przeździecki zaś drug z nich za portret Bony. Domniemanie Przeździeckiego ogólnie przyjętém zostało i pociągnęło za sobą zmianę dawniejszej determinacji portretów Anny Jagiellonki w Willanowie. Przeciwno temu twierdzeniu wystąpił teraz prelegent, i skreśliwszy sylwetę historyczną Królowej Anny, cytuje oryginalny jej list z datą 22-go Marca 1586 roku, pisany do ks. Zająca w Krakowie, w którym skreślony jest dokładnie sposób umieszczenia portretu Anny w stroju koronacyjnym w kaplicy Zygmuntofskiej. Bliższe określenie wartości artystycznej, rozbiór cech charakterystycznych portretu, oznaczenie czasu powstania jego między r. 1582 a 1586, gdy Anna już przekracza 60-ty rok życia, zajęły ostatni ustęp pierwszej części tej interesującej rozprawy, której część druga ma być przedstawiona na przyszłym posiedzeniu komisji.

— Wydział historyczno-filozoficzny krakowskiej Akademii Umiejętności wydał tom III (serya II) rozpraw, zawierający: Bolesława Ulanowskiego „O założeniu i uposażeniu klasztoru Benedyktynów w Staniątkach,“ Feliksa Konecznego „Walter von Plettenberg, Landmistrz

Inflancki, wobec Zakonu, Litwy i Moskwy (1500—1525);“ Franciszka Piekosińskiego „Uwagi nad ustawodawstwem wiślicko-piotrkowskiem Króla Kazimierza Wielkiego;“ Juliusza Łatkowskiego „Mendog.“

— *Stanisław Kramsztyk*. „Szkice przyrodnicze z dziedziny fizyki, geofizyki i astronomii.“ Warszawa. Wydawnictwo redakcyi „Prac matematyczno-fizycznych.“ 1893.

Jest to zbiór prac, ujętych w całość, dawniej już drukowanych we „Wszechświecie“, „Ateneum“ i „Bibliotece Warszawskiej.“ Na treść tej sporęj książki (347 stronic) składają się następujące przedmioty: Czas, Zagadka wnętrza ziemi, Wymiary i budowa wszechświata według pojęć obecnych, O ruchu gwiazd stałych, Gwiazdy zmienne, O wazeniu ciał niebieskich, O wielości światów zamieszkalnych, Historia gazów i ich znaczenie w nauce dzisiejszej, O naturze pierwiastków chemicznych, Energia, Perpetuum mobile, O wysokości atmosfery, Balony po stuletnim rozwoju, O przepowiedniach w nauce, i wreszcie— Człowiek i przyroda. Dla uplastycznienia przystępnie i barwnie wyłożonej treści, książka zaopatrzona jest w figury i rysunki. Niech zadanie tego dzieła tłómaczą własne słowa autora, umieszczone we wstępie: „Rzecz popularna od wykładu ścisłego tém się przedewszystkiém różni, że winna mieć na uwadze czytelnika, dla którego przedmiot rozważany nowym jest zupełnie i obcym. Winna tedy wątek swój snuć od początku samego i od zasad najprostszych, winna usuwać szkopyły, jeżące się w postaci terminów naukowych, a gdzie ich uniknąć nie zdoła, podsunąć winna wyjaśnienie. Wykład popularny ma być tylko tłómaczeniem, czy téż przekształceniem kunsztownych form i mozolnego języka naukowego na mowę jasną i zrozumiałą dla wszystkich... Nie treścią swoją, ale formą różnić się tylko może nauka popularna od ścisłej, a przez tę formę swoją wiąże się ona z literaturą ogólną.“ W tym właśnie duchu i takiej formie jest napisana książka S. Kramsztyka.

— *Stanisław Kramsztyk*. „Fizyka bez przyrządów.“ Pierwsze zasady fizyki w prostych doświadczeniach dla dzieci i młodzieży. (Książeczka II). Warszawa. Wydawnictwo redakcyi „Prac matematyczno-fizycznych.“ 1893.

Zadaniem autora było stworzyć „książkę do zabawy.“ W tym celu ugrupował zbiór doświadczeń (opatrzonych rysunkami), które wykonać można bez szczególnych przyrządów. Młodzież czytająca łatwo może robić wskazane doświadczenia za pomocą najprostszych środków, które prawie zawsze w domu pod ręką znaleźć można. Ażeby rozmianami nie przestraszać młodocianych czytelników, autor podał objaśnienie

nia jaknajtreściwsze. Doświadczenia zaczerpnięte są z różnych źródeł; niektóre są pomysłu znanych fizyków współczesnych: Mennsbrugghego, Boysa, Hopkinsa, tudzież z pism specjalnych, jak: „La Nature,“ „Scientific American,“ „Illustration française.“ Wogóle doświadczenia, zebrane w tej książeczce, dotyczą wszystkich działów fizyki, oprócz elektryczności.

— *Wilhelm Bogusławski.* „Dzieje słowiańszczyzny północno-zachodniej.“ Tom III (str. 689), z mapą. Poznań.

Jest to dalszy ciąg dzieła, uwiecznzonego przez poznańskie Towarzystwo przyzaciół nauk. Autor, korzystający z wielce poważnych źródeł, podaje nowe szczegóły o piśmie głosowém, o języku ksiąg liturgicznych, tudzież o apostołstwie św. Św. Cyryla i Metodego. Polityka czeska, działania Węgrów na obronę przed germanizacją, są to kwestye, traktowane przez autora szczegółowo i poparte licznymi dowodami źródłowemi.

— „*Wisła.*“ Tom VI (Lipiec, Sierpień i Wrzesień), 1892 r.

Na treść tego zeszytu składają się następujące artykuły i materiały: Wycieczka po Wiśle, przez Zygmunta Głogera. Wskazówki do badań antropometrycznych nad ludem, przez Kazimierza Daniłowicza-Strzelbickiego (z rysunkami), Słowacy i Hanacy w Morawii południowej (według dzieła Jana Herbena), przez Bronisława Grabowskiego. Folklorystyka chorwacko-serbska (przegląd historyczno-bibliograficzny), przez Stanisława Ciszewskiego. Szopka i „Herody,“ materiały do dziejów teatru ludowego, przez Zygmunta Wasilewskiego. Powieści z tysiąca i jednej nocy w przeróbce ludu naszego, przez Stanisława Ciszewskiego. Pieśni ludu sycylijskiego (według dzieła Józefa Pitrégo), przez Waleryę Marroné. Kronika geograficzna za rok 1891, przez Wacława Nałkowskiego. Wierzenia mazurskie, przez M. Toeppena, przekład Eugenii Piltzówny. W dziale *poszukiwań* czytamy: I. Lecznictwo ludowe. Przyczynki ks. Wł. Siarkowskiego, Leona Hempla i d-ra Józefa Pelczyńskiego. II. Obszar etnograficzny. III. Kula. Przyczynki L. L. IV. Chata. Przyczynki Stefanii Ulanowskiej i M. Wawrzeńckiego (z rysunkami). VIII. Pismo obrazowe, Al. P. i M. D. Sylwestrowicza (z rysunkami). IX. Pojęcia ludu o przyrodzie. Przyczynki ks. Wł. Siarkowskiego, Erazma Majewskiego i Szczęsnego Jastrzębowskiego. XIV. Pisanki, przez B. W. K. XVII. Czytelnictwo ludowe, przez W. Karlińskiego. B. W. K. i H. K. Bibliografia, krytyka i wiadomości bieżące wypełniają resztę zeszytu.

— Plon wydawniczy gwiazdkowy jest dość obfity. Oprócz kilku książeczek, wymienionych w zeszycie grudniowym „Biblioteki,” wyszły jeszcze następujące: Z. Morawska: „Powiastki dla małych dzieci.“ Z 6-ma rysunkami. Warszawa, 1893. Mayne Reid: „Wygnańcy w lesie.“ (Wydanie trzecie). Warszawa, 1893. „Biblioteka dla młodzieży:“ 54. M. J. Zaleska: „Gwiazdka dla grzecznej dziatwy.“ 55. M. J. Zaleska: „Świątek Zosi.“ 56. Mayne Reid: „Porwana siostra.“ 57. Dr Bird: „Duch puszczy,“ w obrobieniu Władysława Anczyca. Wydanie nowe. Warszawa, 1893. Oprócz tego. „Złote abecadło dla dzieci.“ Warszawa, 1893. Jest to książeczka bardzo wykwintna i ozdobna, obejmująca 24 litery chromolitografowane w obrazkach. — Z wydawnictw T. Paprockiego i S-ki między innymi zasługują na uwagę trzy książki: 1) „Botanika i mineralogia“ w 269 kolorowanych obrazkach z tekstem Feliksa Wermińskiego. (Książka ta stanowi właściwie część drugą „Historii naturalnej, w obrazach.“ Pierwsza zaś część, poprzednio wydana, obejmuje królestwo zwierząt z objaśnieniami Adolfa Dygasińskiego). Wydawnictwo to ozdobione jest licznymi tablicami, pięknie kolorowanymi. 2) Anny Załęskiej: „Dobre dzieci.“ Ośmnaście opowiadań ozdabiają rysunki J. Pankiewicza. 3) Edward Laboulay: „Bajki i opowiadania dla dzieci,“ z 76 rysunkami w tekście. Przełożyła Teresa Prażmowska. Są to to opowiadania fantastyczne z podań różnych narodów. Oprócz tego nakładem firmy powyższej wyszło: „Przez szkła czarodzieja“ Arabeli Buckley.

— *Maryja Weryho.* „Ias.“ Książka przeznaczona dla dzieci od lat 6 do 10. Warszawa, 1893.

Jest to zbiór opowiadań, przeważnie z dziedziny przyrody, ubarwiony rysunkami.

— „*Teatr amatorski*“ znowu się wzbogacił kilku jednoaktówkami wydanymi przez firmę Gebethnera i Wolffa. Edwarda Lubowskiego: „Przez wdzięczność,“ drobnostka sceniczna. Leopolda Świdarskiego: „Jesienią.“ Zygmunta Przybylskiego: „(Kancelarya otwarta.“ J. Normanda: „Podarunki“ („Les petits cadeaux“), przekład z francuskiego. Leona Gozlana: „Deszcz i pogoda.“

— *Kalendarze.* W powodzi tego rodzaju wydawnictw wyróżniają się: „Kalendarz Polski,“ zawierający, oprócz działu treściwych informacji—literacki, na który się złożyli następujący autorowie: J. Heppen, Maryan Jasińczyk, Julian Łętowski, Wincenty Kosiakiewicz, Or-ot (Artur Oppmann), Wincenty Ślepowron Ronisz, Antoni Orłowski, Paweł Kościński, Al. Messyng, J. Kuczyński, A. Lange, J. Grajert,



H. Piątkowski, Kazimierz Pufke, dr. Józef Zawadzki, dr. O. Bujwid. Kalendarz ozdubiony jest ilustracyami: Masłowskiego, Stankiewiczowej, Fałata, Kochanowskiego i Kozakiewicza.

— „*Gazeta rzemieślnicza*“ wydała po raz pierwszy własny kalendarz na rok 1893. Oprócz wyciągu z ustawy cechowej, zawiera on dział informacyjny, literacki i kwestye, dotyczące rzemieślników.

— „*Bazar*“, wydany przez M. Kazimierowskiego (rok czwarty).

— „*Noworocznik Radomski*“, kalendarz, wydany nakładem księgarni L. Jakubowskiego i T. Wędrychowskiego w Radomiu. Zawiera między innymi kronikę życia miejscowego za rok ubiegły, artykuł, poświęcony kasie pożyczkowej przemysłowców miejscowych, notatkę o cechach, bardzo praktyczne informacye co do wyboru podręczników dla przedgimnazyalnego nauczania, artykuł, skreślony przez jednego z lekarzy miejscowych p. t. „Stanowisko lekarzy w społeczeństwie dawniej i dzisiaj“, dalej o znaczeniu gimnastyki, wreszcie trochę belletrystyki i poezyi. Dział informacyjny poświęcony jest wyłącznie gubernii Radomskiej.

— „*Kalendarz Handlowy*“ (rok 25-ty), w formie grubej książki, poświęcony jest wyłącznie informacyom (tablice miar, monet, wag, obliczenie procentów, wartość kuponów, terminy losowań papierów, tabele amortyzacyjne, wykaz miast i osad, opłaty gildyjne, stemplowe, akcyza, podatki i t. d.).

— „*Tydzień*“ Piotrkowski wydał numer gwiazdkowy, który właściwie stanowi spory podręcznik informacyjny gub. Piotrkowskiej. Na czele umieszczony jest rys geologiczny, topograficzny, geograficzny, przyrodniczy i ekonomiczny tej części kraju. Podział administracyjny, sądowy, instytucye skarbowe, leśnictwa, okręgi górnicze, poczty, telegrafy, zakłady naukowe, drogi i mosty, biblioteki, czytelnie, zakłady dobroczynne i t. d.—wszystko to jest zamknięte w dziale informacyjnym. Osobny rozdział poświęcony jest sprawom przemysłu i handlu (przemysł tkacki, kopalniany, hutniczy, drobny, szkoły fachowe). Oddzielnie również traktowane są sprawy rolnicze (wartość pieniężna produkcji rolniej w gubernii Piotrkowskiej, Towarzystwo kredytowe ziemskie, parcelacye banku włościańskiego, układy o służebności). Wreszcie dział informacyjno-adresowy zamyka broszurę, która tym sposobem nie jest wydawnictwem okolicznościowym.

— „*Bławatek*“, noworocznik damski, ukazał się we Lwowie. W dziale literackim znajdują się utwory: Maryana Gwałewicza, Mi-

chała Bałuckiego, Pauliny Kraków, Zmorskiego i innych. Wydawnictwo odznacza się nadto piękną formą zewnętrzną.

— *Henryk Wasniewski*. „Charakter zwierząt.“ Nakładem redakcyi „Gazety Rolniczej.“

Autor wskazuje, w jaki sposób można dostrzedź zmiany w usposobieniu zwierząt chorych; obszernie mówi o zwierzętach wściekłych.

— *Dührsen A.* „Krótki podręcznik chorób kobiecych.“ Przekład d-ra W. Janowskiego i d-ra A. Karczewskiego. Piotrków, w drukarni i litografii E. Pańskiego.

Rzecz ta, pomimo szczupłych rozmiarów, wyłożona treściwie, zapatrzona jest w 19 tablic litografowanych.

— *Hammer B.* „Die Franciscaner in den Vereinigten Staaten Nordamerica's von der Entdeckung durch Columbus bis auf unsere Zeit“ („Franciszkanie w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej od czasów Kolumba aż do obecnej doby“). Kolonia, 1892.

Autor opisuje działalność tego zakonu na misjach we Florydzie, Texas, Nowym Meksyku, Kalifornii, w koloniach angielskich i francuskich. Między innemi jest także wzmianka o polskim klasztorze w Wisconsinie. Obok dziejów misyi, autor mówi także o zamieszkałych tam ludach, kresli szkic historyczny zapanowywania Europejczyków w Ameryce. Na szesnastu rysunkach wyobrażone są klasztory, świątynie, tudzież misye ważniejsze.

— *Kucharzewski Feliks*. „Bibliografia polska techniczno-przemysłowa.“ Zeszyt 7. Warszawa. Nakładem redakcyi „Przeglądu Technicznego.“ 1892.

Obejmuje koniec działu o pokarmach i napojach, dział ekonomii przemysłowej i wystaw (cechy, drogi handlowe, estetyka przemysłowa, fabryki, handel, higiena przemysłowa, kapitał, kredyt, znaczenie machine, poczty, prawodawstwo przemysłowe, przemysł i rzemiosła wogóle, rachunkowość i statystyka przemysłowa, rzemieślnicy i wynalazki). Dział ostatni: biografie, szkoły, towarzystwa (biobibliografia, biografie, muzea, nekrologi, prospekty, sprawozdania, słowniki, szkoły, towarzystwa). Zeszyt ostatni (8-my) wyjdzie w roku bieżącym i zawierać będzie wykaz alfabetyczny czasopism polskich, tudzież autorów i tłumaczy, wynalazców, techników i fabrykantów.

— *Huxley Rosenthal*. „Zasady fizyologii.“ (Dodatek kwartalny „Prawdy“).

Nadto nadesłano do Redakcyi „Biblioteki Warszaw.” następujące książki:

- *Estreich Emil.* „Rocznik pszczelniczo-ogrodniczy na rok 1893.“ Warszawa.
- *Hening Michäelis Teofil de.* „Piotrowiak.“ Rocznik informacyjno-adresowy z kalendarzem na rok 1893.
- *Śliwowski Józef.* „Notatnik dla wszystkich.“ z dodatkiem kalendarza. Zawiera: miary i wagi krajowe, monety porównawcze, tabelkę opłaty stempłowej, budżet domowy, wykaz zobowiązań, bilans dochodów i wydatków i t. d.
- *Belmont Leon.* „Tamten człowiek“ (z notatek waryata), studjum psychologiczne. Ozdobne wydanie, druk M. Lewińskiego.
- „Odczytów klinicznych“ zeszyt 11-ty zawiera pracę d-ra Z. Kramsztyka p. t. „Jaskra“ (glaucoma).
- Nakładem i drukiem St. Niemiry wyszły następujące książki religijne:  
 „Modły po mszy św.“ „Okaż nam oblicze Twoje,“ „Ojcowie i pisarze Kościoła,“ „Kilka mszy śpiewanych przez wiernych w katolickich kościołach,“ „Jak się pani Jędrzejowa spowiadała, a jak się spowiadać trzeba“ (część pierwsza).
- *Edward Koliński.* „Strzecha rodzinna.“ kalendarz na rok 1893.

---

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

**Józef Weyssenhoff.**

---

# SIOSTRY.<sup>1)</sup>

---

Późną jesienią, wraz z posepniejącym krajobrazem, na niebie Zygmunta ukazała się pierwsza chmurka. Mania oświadczyła, że spędzenie zimy w Zarębiu jest dla niej rzeczą niemożliwą, bo kiedy trzy dni zimnego deszczu tak ją okropnie zmudziły, to coby ona poczęła przez kilka miesięcy zimna i brzydkiego czasu na wsi.

— A mnie tu tak dobrze—rzekł Zygmunt.

— To ci się tylko tak zdaje... Co-byśmy robili we dwoje, zamknięci w tym domu, odgradzeni od reszty świata...

— Zobaczysz, jak się to do wsi przyzwyczaić można... to tylko z początku zima na wsi trochę przykrą być może, ale zobaczysz, że ma ona swoje powaby.

— Nawet konno jeździć nie można, po błocie, śniegu i ślizgawicy!

— To taka rokosz kochać się, jak my się kochamy, i wspólnie przy ogniu kominka czytać dobrą książkę, a potem o niej rozmawiać. W lecie niema się na nic czasu... oddawna marzę o przeczytaniu ci głośno wielu rzeczy, które dopiero wtedy nabiorą dla mnie wartości. Nie-raz, czytając coś, co mię zachwycało, oglądałem się za tą kobietą, którą kiedyś żoną nazwać miałem. Słowa autora budziły we mnie tyle myśli, które jej zwierzyć pragnąłem! Maniu, co to za rokosz zachwycać się we dwoje tem, co literatura ma najpiękniejszego!

---

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt styczniowy „Biblioteki.“

— Dobrze, przypuszczam, że to przyjemne na godzinę, ale co robić z całym dniem?

— Znajdziesz sobie zajęcie. Tyle kobiet spędza życie na wsi.

— Mają inną naturę! Ja się krów boję, świń nie lubię... cóż ja mogę na wsi robić?

— Mamy tylu służących, tylu robotników przy cukrowni, włościan na wsi... Moja matka zajmowała się biednymi, chorymi...

— To było-by doskonale dla Józki, ale ja nie cierpię wszelkiego kalectwa i choroby... przecież dwa razy na tydzień przyjeżdża tu doktor?

— Widzisz, kochanie, chorzy potrzebują nietylko lekarza, ale wsparcia, posilnego jedzenia, napoju; potrzebują często dobrego słowa, obrony przed barbarzyńskim obchodzeniem się z nimi otaczających.

— Nie, nie, nie, siostrą miłosierdzia mię nie zrobisz! Na zimę pojedziemy albo za granicę, na południe, albo przynajmniej do Warszawy.

— Możemy pojechać do Warszawy na czas jakiś, na parę tygodni, do matki, do Józki, której się należą nasze odwiedziny, ale mieszkać w Warszawie nie możemy.

— Przecież na to-by nam wystarczyło!

— Nie o wydatek tu chodzi; ale ja nie mogę opuszczać moich obowiązków, interesów, pracy... nie mogę w moim wieku pędzić bezczynnego życia... Musisz się z tem pogodzić, kochanie.

— Nie pogodzę się nigdy! Jabym się stąd urwała, gdy nas błoto zaleje... śnieg zasypie. Mówisz, że mię kochasz; zrobisz dla mnie to poświęcenie.

— Uczynię wszystko do ostatecznych granic możebności, ale nie zrobię tego, co niemożliwe. Widzisz, kochanie, jesteśmy młodzi, nie możemy sobie pozwalać na próżniactwo. Przytem, przecie nas stać na szczęście nawet w samotności, nawet na pustym, nie prawdaż?

Zygmunt wziął żonę w objęcia, patrząc jej w oczy z wyrazem miłości i prośby, ale Mania odwróciła twarz, odymając usteczka. Grymas ten wydawał się do tej pory Zygmuntowi cudownym. Pierwszy raz nie znalazł go godnym zachwytu.

— Pomówimy o tem jeszcze — rzekł pojednawczo, — zobaczysz, wszystko się wyśmienicie ułoży... sama przyznasz, że miałem słuszną

Mania nie odpowiedziała, wszakże wyraz jej ust odętych stał się jeszcze bardziej zaciętym. Widocznie nie myślała ustępować.

— Może pojedziesz ze mną na folwark?—zapytał Zygmunt, chcąc odwrócić rozmowę na inny temat. — Czy wolisz pojechać konno, czy wolantem?

— Dziękuję, nie pojedę; co mi za przyjemność grzęznąć w błocie!

Zygmunt nie powiedział więcej ani słowa; wyszedł na ganek i wsiadł spiesźnie na czekającego konia. Pokłusował ku lasowi, a potem jechał stępią zadumany, ze spuszczoną głową. Jak tu było postąpić, by ocalić Manię i siebie od sprzeczki, walki, zobopólnej niechęci i potrzeby zaznaczenia władzy mężowskiej, jako niengiętego prawa? Jak było zażegnać tę gromadzącą się nad ich głowami burzę? Postanowił nie wspominać o dzisiejszej rozmowie. Może Mania zrozumie, że, wracając do niej, wystawiła-by się na kategoryczną odmowę... Czuł głęboki ból, zadany mu przez tę pierwszą sprzeczkę z żoną; odęte usta Mani wyraźnie rysowały się przed jego wzrokiem, ale małe spory małżeńskie były, jak słyszał, rzeczą nieodzowną, a łatwo topiącą się w uścisku, zapomnianą przy jednym pocałunku... Nie mógł się wszakże pozbyć żalu do Mani. Karmił nim swe serce przez cały czas przejażdżki; dopiero wracając do domu, zapragnął przebaczyć Mani, w uścisku dać jej dowód, że już zapomniał urazy. Wbiegł prędko do mieszkania.

— Maniu, Maniu!—wolał, szukając żony,—chodź prędzej! Prawda, że nie możemy powiedzieć, iż dzisiaj zaszła nasza pierwsza sprzeczka? Sprzeczki właściwie nie było... i już nigdy żadnej nie będzie! Żeby dwoje ludzi kochających się, jak my, miało się sprzeczać!

Okrywał usta i ręce Mani pocałunkami, ona jednak pocałunku nie oddała. Była nadąsana i milcząca. Kropelka goryczy pozostała w sercu Zygmunta.

W kilka dni potem usłyszał Manię, wydającą służącej rozkaz wydobycia z letniego upakowania futrzanego, miastowego okrycia: „Zabiorę je do Warszawy.“

W Zygmuncie zakiepał gniew. Użył wysiłku, żeby się powstrzymać. Nie chciał pierwszy rozpocząć wojny, udał, że nie słyszy odezwania się żony.

Nadzieja zajęcia jej wieczorem głośnem czytaniem zawiodła go. Miało ono dziwną moc usypiającą dla słuchaczki. Jeszcze powieść wesołą, barwną, lub wzruszającą, zajmowała ją czasem, ale artykuł miesięcznika, opis podróży, studium historyczne, przyprawiły ją o ziewanie. Zygmunt śmiał się z niej, całował jej zaspane oczy, czasem się niecierpliwił.

— Czy cię to nic a nic nie zajmuje?

— Zajmuje mię, dopóki mi się oczy nie skleją.

— Często pierwsza stronica wywołuje ten skutek!

— To nie moja wina. Cóż ja na to poradzę, że jestem stworzona do tańca, do zabawy, a wszelkie nudziarstwa mię zabijają.

— Dziwna z ciebie istota, Maniu!

— Mówiłam ci jeszcze przed ślubem, że dziwna. Wiedziałeś, że do cichego, samotnego życia nie jestem stworzona i że nie znoszę sprzeciwienia. Sam widzisz, że nie jestem zła, tylko mieć muszę to, czego mi się zachce.

— Wszelkie zachcianki są doskonałe, o ile dogodzenie im jest możliwe.

— O, ja miewam tylko takie, którym dogodzić można. Nie pragnę wycieczki na księżyc, ani królestwa całego, ani nawet połowy. Tylko tak we dwoje przesiedzieć zimy nie jestem zdolna. To-by było istne życie więźnia.

Przysunęła się do Zygmunta z przymileniem:

— Kiedy wyjedziemy do Warszawy?

— Pojechać tam możemy choćby jutro, na dni kilka, ale ci powtarzam...

— Więc jedziemy jutro?

Zerwała się, jakby jej skrzydła urosły.

— Pojedziemy, kiedy zechcesz, na cały tydzień.

— Z tygodnia zrobi się miesiąc, a z miesiąca pół roku.

— Nie, tydzień tylko, nie więcej!

Mania nie dosłuchała tej odpowiedzi.

— Trzeba kazać pakować rzeczy!—zawołała, wybiegając.

Zygmunt westchnął. Przypomniały mu się czerze frazesa o urobieniu żony wedle własnej modły, które niegdyś z takim zapałem powtarzał sobie. Czy potrafi choćby małe ustępstwo wymódl na Mani? Z boleścią myślał, że mała na pozór przyczyna rozerwać może ich zgodę i spokój pożycia.

Nazajutrz dwa duże kufry Mani stały w przedpokoju.

— Tyle rzeczy zabierasz z sobą? Zmiłuj się, aż dwa kufry!

— Widać, żeś nigdy z kobietami nie jeździł. Cóż to znaczy dwa kufry? Tylko parę sukien biorę z sobą... Nie mogę przecie pokazać się byle jak znajomym warszawskim!

— To trzeba pod to osobną furę do stacyi!

— A naturalnie!

Zygmunt siedział w powozie obok Mani milezący i głębiej dotknięty, niż było warto. Powtarzał sobie: iż młodej, rozbawionej kobiecie można było przebaczyć zachciankę spędzenia dłuższego czasu w stolicy, gdzie się wychowała. Ale on na tę zachciankę mimowoli patrzył z wysokości swych dawnych marzeń o zlaniu się dwóch istnień w jedno i nie mógł się oprzeć wielkiemu smutkowi. Pół roku zaledwie upłynęło od chwili, gdy, upojony szczęściem, wprowadził Manię pod dach swój, a oto siedział obok niej stroskany, z żalem w sercu, czując chwilami podnoszący się w niem gniew na nią. Przynurzył sobie, że jak-

najdalej odsunie wyraźną sprzeczkę i wymówki, które mu się cisnęły na usta; milczał więc. Od dzieciństwa były mu wstrętne klójące się małżeństwa, w sobie więc zamykał wyrzuty względem Mani. Zaledwie kilka miesięcy przebyli z sobą, a miała już dosyć jego towarzysztwa... nigdy nie chciała wejść w głąb żadnej poważniejszej myśli... nie rozumiała wcale, że, oprócz pięknego Zarebia, wykwintnego mieszkania, młodości, dziarskości i wdzięku zewnętrznego, posiadał on jeszcze skarby ducha, bez porównania cenniejsze.

— Ciekawam, jaka też tego roku najmodniejsza forma na okrycia? — ozwała się Mania. — Pewno już nikt nie nosi takich dolmanów, jak mój... Będę musiała kupić sobie nowy paltot ciepły, albo futerko... co tam noszą. Szłam za mąż na wiosnę i nie chciałam kupować nowego zimowego okrycia do wyprawy. Zawsze się trzeba stosować do ostatniej mody.

— O, tak, to konieczny warunek — odparł ironicznie Zygmunt.

— Pamiętasz to okrycie, co miała Felcia przeszłego roku?

— Moja Maniu, jakże ty chcesz, żebym ja pamiętał okrycia twoich przyjaciółek!

— Kupię sobie coś w tym rodzaju, jeżeli jeszcze noszą takie materały.

Coraz większe zniecierpliwienie dusiło Zygmunta za gardło, ale milczał, czując wyraźnie i dokładnie, że Mania bynajmniej-by nie rozumiała jego rozdrażnienia przy rozmowie o okryciu, że wydało-by się jej niesprawiedliwością. Może też w istocie niesprawiedliwością było? Czy w innej chwili nie był-by jej powiedział: „Kupimy okrycie! Wybierzemy coś takiego, co cudnym ramionom mojej żony nie będzie ciężkiem, a da im ciepło i wygodę. Niech się na to składają najlżejsze pułchy i futra... najmiększe plusze i aksamity!...“

Dlaczegoż więc teraz nie stawiała mu przed oczami postać Mani, otulonej w miękkie futra, lecz go szarpał gniew na nią, że nie odczuwa jego cierpienia, że, siedząc obok niego, nie znalazła słówka, płynącego z duszy, a myślała tylko o błahostkach mody i stroju.

— Dla szczupłej i wysokiej osoby niema, jak rotunda.

Prawda. Przypomnił sobie, że rotundy były dla niego ideałem okryć dla kobiet. Kazały się tylko domyślać ramion, osłaniały kształty w sposób tajemniczy, działający na wyobraźnię. Pod rotundą kobieta mogła ukrywać skrzydła, rączki jej były zawsze małe... rotunda była takim grubym kokonem, z którego za chwilę wylecieć miał motyl...

Przypomnił sobie te swoje zachwyty dla długich płaszczy bez rękawów, tak wdzięcznie osłaniających postacie kobiece, i zdjął go jakiś żal za dawnym stanem duszy własnej. Jeszcze tak niedawno, wśród przesuwających się sylwetek kobiecych, przeczuwał tę istotę wyjątko-



wą, którą natura ulepiała z czaru ziemskiego, a której Bóg dał duszę, dla duszy jego stworzoną... tę kobietę, o której marzył, jako o towarzysze nie tylko dla ciała swego, ale dla serca, dla ducha... Teraz towarzysza, przez niego wybrana, z dziedziny fantazyi przeszła w rzeczywistość i coraz bardziej w jego oczach w nią wkraczała. Z pod obłon powierzchownego wdzięku, toalety i wszystkich czarów, w które ją sam stroił, wyłaniała się coraz bardziej kobieta, jaką była w całej nagiej prawdzie swej indywidualności. Czarowna postać, oglądana jako zjawisko po przez sny i zachwyty miłości, okazywała mu się nagle bez obłon, po-za któremi mogły się ukrywać skrzydła anielskie.

— Wszak mówiłeś mi niegdyś, że lubisz rotundy?

— Kup sobie rotundę—rzekł Zygmunt z obojętnością człowieka, którego myśli są o sto mil od przedmiotu, o którym mówią usta.

— Ciekawam, czy też się tego roku będą bawić w karnawale. Obmyśliłam bardzo oryginalny sposób przerobienia mojej sukni ślubnej. Jest prawie zupełnie czysta, ale ją oddam do pralni chemicznej.

Przed oczyma Zygmunta stanęła Mania z kwiatem pomarańczowym i welonem na głowie. Wielkie rozrzewnienie wyгнаło nagle z serca jego gniew i rozdrażnienie. Wyciągnął rękę żony z mufki, w której ją trzymała i, przyciskając ją do ust, zawołał:

— Maniu, dałaś mi sześć miesięcy takiego szczęścia, którego nie zatrzeć, nic mi zasłonić nie potrafi! Sama pamięć tych sześciu miesięcy zdolna okpić nie wiem jakie przykrości!

— Ach, mój Boże!

— Co takiego?

— W tej chwili dopiero sobie przypomniałam, że nie wzięłam z sobą pudła z koronkami! Ta niedołęga, Emilia, nigdy mi nic nie przypomnia!

Zygmunt puścił rękę Mani. Pomimo uczynionego przed chwilą zapewnienia, wydało mu się, że zachwyty dla żony, które go całe sześć miesięcy kołysały do szczęścia, były czemś dalekiem, co już powrócić nie może.

W mieszkaniu pani Bielmońskiej był zawsze pokój, przeznaczony dla syna, czekający na jego przyjazd. Pokój ten zajęła teraz młoda para.

Mania od pierwszego dnia wpadła w ten wir miastowy, wciągający najspokojniejszych i najsystematyczniejszych ludzi, który zabiera swobodę działania i zjada czas... żywi się nim, zostawiając go bardzo mało swoim ofiarom. Zygmunt z niezadowoleniem widział ją wciąż pochłoniętą przez jakieś projekta, kupna, spaceru, odwiedziny, wycieczki.

Sam towarzyszyć jej wszędzie nie mógł. Miał interesa do załatwienia, chciał czasem parę godzin przebyć z matką, miał też wstąpić do okazania się zazdrosnym mężem, kładącym tamę upodobaniom żony i trzymającym ją przy sobie bez wyraźnego powodu.

— Moja Maniu, ty ani z mamą nie pobędziesz nigdy, ani z Józią... przecież dla nich szczególnie przyjechaliśmy.

— Cóż ja zrobię? Ta Warszawa taka absorbująca... ja rzeczywiście nigdy nie mam czasu... Co prawda, to nie bardzo mam o czym mówić z Józią i mamą. One z sobą najlepiej się rozumieją, a gdy ty jeszcze się do nich przyłączysz, to już mnie wcale wśród was nie potrzeba.

— Ja-bym właśnie chciał, żeby się bez ciebie obejść nie mogło.

— Może na starość tak będzie, ale teraz ja nie umiem całymi godzinami rozmawiać ze starszemi paniami!... Żebyś wiedział, co za pyśzna ślizgawka! Kupiłam sobie łyżwy nowego systemu... Dziś urządzamy wielką wyprawę z Felcią, Minią i jej braćmi... będzie też Edzio Kuryński. Łyżwowanie to jego specjalność.

— To i ja pójdę z wami. Nie lubię, jak ty tak sama bujasz, jakbyś męża nie miała... Te ślizgawki to dobre dla panien... młode mężatki nie powinny się narażać na upadnięcie...

— O, chwała Bogu, ja mogę!

— Chwała Bogu?

— Naturalnie. To-by mi się dopiero moje projekta popsuly!

— Nie wiem, jakie masz projekta, ale mi przykro, że nie pragniesz zostać matką. To takie ogólne pragnienie młodych kobiet...

— Ej, to im się tak zdaje! Taka tylko między mną a nimi różnica, że ja mówię szczerze, a one sentymentalizują, jak Józia, która wечно wzdychała nad tem, że nie ma dzieci! Kup-że sobie łyżwy... po prostu poslij po nie posłańca...

— Nie wiem, czybym łyżwować potrafił... od kilku lat nie próbowałem... będę się przyglądał waszej jeździe. Lubię patrzeć na dobrych łyżwiarzy.

— Zobaczysz mnie i Edzia! Byliśmy sławni zaprzeszłej zimy.

Mania nie przesadzała w pochwałach dla siebie. Po lodzie bujała z niezrównanym wdziękiem. W białym, puszystym ubraniu wyglądała, jak łabędź na falach. Śmiała się, szczebiotała z towarzyszkami, z Edziem i trzema innymi młodymi ludźmi, którzy się do ich grupy przyłączyli. Rozrzuconym ruchem i zabawą wyglądała prześlicznie. Miłość własna Zygmunta, patrzącego na nią z brzegu, uczuła się zadowoloną i nakarmioną do syta. To śliczne stworzenie, ciągnące za sobą spojrzenia, to była jego żona, którą on posiadał na wyłączną swą własność, którą on jeden miał prawo okryć pieczyotami i nazwać swoją! Miłość wła-

sna zabijała w nim ozywającą się zazdrość. Mania w tej chwili wprawdzie zapomniała była o nim, oddawała się cała zabawie i zachwyconym spojrzeniom otaczających, ale nie było jej winą, że była ładna i wesoła, że lubiła ruch i zabawę. Śmiesznie-by było, by on zazdrościł tym, co swój wzrok nią nasycali i którym ona rzucała uśmiechy. A jednak chciał-by już być wziąć Manię za rękę i zabrać ją tym obcym ludziom, którzy ją otaczali.

Dwóch mężczyzn przechodziło koło niego:

— To jest siostra Rzeweckiej—rzekł jeden z nich,—niedawno poszła za męża.

— Śliczna kobieta!—odparł drugi.—Za kogo poszła?

— Za Bielmońskiego. Zrobiła milionową partyę.

— Szczęśliwy człowiek, że miał miliony na kupno takiej żony!

Rozmawiający oddalili się. Zygmunt znowu gonił wzrokiem za Manią, ale tło jego myśli się zmieniło. Rozmowa przechodniów usposobiła go filozoficznie. Małżeństwo i rodzina! To była niezawodnie podstawa społeczeństw i osobistego szczęścia każdej jednostki, a jednak natura chciała, żeby przy połączeniu się na zawsze mężczyzny i kobiety przewodniczyło najczęściej czysto zmysłowe upodobanie. Wszak można było zapłonąć miłością dla Mani, patrząc, z jaką zręcznością i wdziękiem się ślizgała, i jak się śmiała, rozrzucona od wiatru i mrozu. Natura stawiała zasadzki, przy których świętość związków rodzinnych wyglądała na czezy frazes. Oddawało się kobiecie życie dlatego, że była piękną, a nawet często dlatego tylko, że się ślicznie ubierała i czesała, i że miała obuwie i rękawiczki bez zarzutu, że z pod futrzanej czapeczki, jak w tej chwili u Mani, uciekała i wiała się nad czołem puszysta aureola jasnych włosów. Gdzie byli ci, co w kobiecie szukali matki dla swych dzieci?

Zygmunt poczynał się niecierpliwić. Znajdował, że ślizgawka trwała dosyć długo i że czas było wracać do matki; ale Mania nie widziała znaków, które jej dawał. Niecierpliwość, a także i zazdrość, do której się przecież nawet sam przed sobą nie przyznawał, sprawiły to, że uczynił tem mocniejsze postanowienie wywieźć Manię co najprędzej z Warszawy.

Wieczorem rzekł do żony:

— Czy już załatwiłaś sprawunki? Po jutrze, a najdalej za dwa dni, pojedziemy do domu.

— Gdzie?... Do Zarębia?

— Tak, to jest nasz dom.

— Ah, nie, nie, nie pojedziemy!... ja tak tę Warszawę lubię!... tu przecież widzi się ludzi... czuje, że się żyje! Ja do Zarębia nie pojedę!

— Pojedziesz, kochanie, bo ja cię o to bardzo poproszę!

— To prawdziwa fantazyja z twojej strony! Na co się zdało być bogatym i młodym, kiedy się jest zakopanym na wsi i nie ma się nawet dla kogo ubrać!

— Będiesz się ubierała dla mnie. Musimy jechać... i to nie fantazyja z mej strony, ale konieczność, ale obowiązek. Bądź pewna, że dla fantazyji nie zrobił-bym ci najlżejszej przykrości.

— A jednak czynisz mi przykrość ogromną!

— Muszę ci ją uczynić, wierz mi, że muszę!

Mania nadąsana, z odętą wargą, z nachmurzonym czołem, rozbiegała się, milcząc. Dnia tego młoda para nie uściskała się na dobranoc. Zygmunt, rozdrażniony, długo usnąć nie mógł. Gdy zgasił świecę, usłyszał, że Mania szlochała. Pierwszym popędem jego było przygarnąć ją do siebie, rzucić się do nóg jej, ale wymógł na sobie pozorną obojętność. Udawał, że śpi i że szlochania Mani nie słyszy.

Nazajutrz, gdy się obudziła, Zygmunta nie było już w pokoju. Wczorajszy gniew i wczorajsze łzy napadły ją znowu, przyszła do śniadania z napuchniętymi oczami. Gdy weszła do stołowego pokoju, Zygmunt, rozmawiający z matką, zbliżył się do niej i pocałował w rękę, mówiąc: „Dzień dobry!“ Pani Bielmońska z pocałunku ręki, z chłodnego tonu wyrzeczonych wyrazów, z zapłakanych oczu Mani wyczytała, że jakieś nieporozumienie zaszło między jej dziećmi. Patrzyła z przestachem na milczącą parę, usiłując rozmową zatrzeć przykre wrażenie. Mania zaraz po śniadaniu pożegnała matkę. Miała mnóstwo sprawunków do zrobienia i Felcia na nią czekała. Zygmuntowi nie dostało się od żony ani jedno słówko. Po jej odejściu począł chodzić po pokoju wielkimi krokami; był bardzo rozdrażniony, choć usiłował zapanować nad sobą. Wreszcie przyszedł do przekonania, że nie powinien był pozwalać na samotne wycieczki Mani i przyzwyczajając jej do bujania po Warszawie bez jego opieki.

Włożył spiesznie paltot, czapkę i wybiegł na miasto. Po kilku godzinach wrócił do domu, myśląc, że zastanie Manię, była to bowiem pora obiadowa. Nie było jej jeszcze.

— Naraziłem się tylko na najwyższą śmieszność — myślał gniewny i rozżalony, — jeździłem i łapałem ją po całej Warszawie, jak zadrośny, zdradzany mąż! Na jakie fałszywe postęпки mię ona wystawia! Byłem w tylu domach, wszędzie z głupim, udanym uśmiechem pytając swobodnie niby: „Czy tu niema czasem mojej żony?“ Wehodziłem do dziesięciu sklepów...

Okolo szóstej Mania wpadła w przyjaciółką swą, Felcią, jak uragan. Zostawało już niewiele czasu, a trzeba było ubrać się przed teatrem. Nie widziała Zygmunta dzień cały, nie mogła się więc z nim

naradzić... na swoją rękę przyjęła propozycję wzięcia wspólnej łoży z Felcią i jej mężem...

— Wszak masz wieczór wolny? Pójdiesz z nami do teatru?

Zygmunt, wzburzony, miał na ustach odmowną odpowiedź, opamiętał się jednak. Przypomniał sobie, że wobec Felci musiał grać komedję swobody i zadowolenia.

-- Jeżeli mię panie weźmiecie...

— Ah, jaki pan skromny! — zawołała Felcia. — On pewno udaje tylko pokornego męża—dodała,—powiedz prawdę, Maniu... W gruncie to pewno despota, jak każdy z nich!

— Nie mam czasu na zwierzenia—odparła Mania,—muszę się jeszcze przeczesać i przebrać.

Pobiegła do swego pokoju.

Zygmunt chciał-by był pójść za nią, ale się wahał. Jakim językiem miał przemawiać do tej roztrzepanej kobiety, która stroiła się w tej chwili przed lustrem i myślała o czekającej ją przyjemności. Czy pojmie ona jego wymówki co do dnia, spędzonego zdala od niego? Czy, gdy na jej rozbawiony umysł padną jego poważne uwagi, nie powie ona jednego z tych słów, które już na zawsze ciemniejszym czynią horyzont małżeński, dotąd jasny?

Postanowił zostawić rozprawę na później. Wysiłał się na swobodną rozmowę z Felcią. Wreszcie Mania zawołała przeze drzwi, że zaraz będzie gotowa, że już kładzie rękawiczki. Poczęto się wybierać i wkrótce znaleziono się w czekającym przed bramą powozie. Mąż Felci miał przyjść do teatru piechotą.

Zygmunt usiadł w głębi łoży za Manią, a że przedstawienie zaczynało się właśnie, więc mógł milczeć swobodnie. Patrzał na kształtną głowę żony, na jej obfite jasne włosy, skręcone z tyłu bardzo nisko i opadające aż na kołnierzyk sukni. Wdzięk młodej postaci działał na niego bez jego wiedzy i zeznania. Wśród świateł, ruszających się przed nim na scenie marynetek, których głos tylko jako dźwięki bez znaczenia do niego dochodził, różnobarwnego tłumu postaci, zapelniających salę, wpadł w jakąś melancholiczną zadumę, z której stopniowo dopiero się otrząsnął. Co on tu robił wśród tego zbiorowiska obcych ludzi, gdy chciał-by był wyjaśnić położenie własne i dojść, jakie właściwie w sercu Mani zajmował miejsce w stosunku do żądy rozrywek, do upodobania w bezmyślnem próżnowaniu? On tu przyszedł, jak idzie niejeden mąż dla decorum, dla osłonienia młodziutkiej żony. Przed czem? Czy mógł ją osłonić przed natrętnym wzrokiem ludzkim, uzbrojonym w szkła, który ją w tej chwili ze wszystkich stron ścigał. Był to antrakt i Mania różowa, uśmiechnięta, z błyszczącemi oczami, zdawała się kwitnąć w ciepłe tych spojrzeń ludzkich, jak kwiat w słońcu pogodnego lata,

Jakby słodkiej pieszczocie, poddawała się zachwytowi, odgadywanemu z wymierzonych ku sobie szkieł lornetek. Była tak rozpromieniona, jakby była odnalazła stracone szczęście. Zygmunta przejął smutek bezgoryczy ni zazdrości. Parę dni temu tryumfy Mani na ślizgawce nasycały jego miłość własną, teraz czuł się jakby obcym świadkiem, przyglądającym się tej próżności, którą życie stołeczne, powoli, od dziecka, wyradza w sercu kobiet. Zdawało mu się, że widział prawie dotykalnie przebiegające po sali te pierwiastki zepsucia, które niosą duszom skarłowacenie. Czuł dobitnie, że tego właśnie, czem się w tej chwili poila Mania, brak jej było w cichem Zarebin. Czytał kiedyś bajkę o źródle, które było suche dla wszystkich. Ludzie marli z pragnienia, prosząc o kroplę wody, matka dla dziecka w gorączce nie mogła wyebrać ni odrobiny; lecz gdy na źródło patrzył piękny król, wytryskała z niego obficie czysta, ożywcza woda, którą mogli wszyscy pić do syta. Niech się odwróć oczy królewicza, źródło wysycha natychmiast; niech spojrzą, znowu źródło poi ludzi, zwierzęta, ptaki, pszczoły i drobne owady. Gdy król wszedł na wojnę, ludzie marli tysiącami i wysyłali do niego posłów, żeby wracał co prędzej, bo deszczu Pan Bóg nie daje, a źródło stoi suche i niezem ubłagać się nie da, jak serce złego człowieka... Ta bajka przyszła teraz na myśl Zygmuntowi. Mania była źródłem, król, król, król, męskie zachwyty, które do jej piersi pełnię życia sprowadzały. Źródło wtedy gotowe było ochłodzić spieczoną usta chorego, gotowe było hojnie obdzielać nawet pszczołki i owady... I on mógł-by był pewno nigdy suchem dla siebie go nie znaleźć, gdyby mu nie odejmował spojrzeń królewicza. Gdyby wraz z Manią rzucił się w wir zabaw, podróży i życia, w którym przyjemność jest celem, możeby ją zawsze widział wesołą, łagodną, zadowoloną, uśmiechniętą i laskawą dla siebie! Dostyc było spojrzeć na nią w tej chwili, by odgadnąć, co było jej szczęściem i czego jej brakło w Zarebin.

— Maniu—rzekł nazajutrz,—czy ci wszystko ze sklepów poodnoszono? Pamiętaj, że jutro jechać musimy.

— Powiedziałaś ci, że nie pojedę! — zawołała gwałtownie Mania. — Nie na to poszłam za męż. żeby ciągle, jak dziecko, być wychowywaną i w niewoli trzymaną! Dostyc mię nanudziła Jozia! Ja zimny w Zarebinu nie wytrzymam! Rozchoruję się, albo zwaryuję!

— Moja Maniu, smutno mi, ale w tym razie ustąpić nie mogę. Gwałtem cię stąd nie zabiorę... zostaniesz więc beze mnie. Wszakże muszę cię ostrzedz, że położenie młodej mężatki, która w kilka miesięcy po ślubie opuszcza męża dla zabawy stolicy, staje się bardzo dwuznaczną. Ludzie zaraz o tem mówić będą, prawie jak o skandalu!

— A, niech sobie mówią, co chcą! to mię nic nie obchodzi. Zresztą to nie będzie moja wina, ale twoja. Wszak cię proszę, żebyś został ze mną!

— Tłumaczyłem ci już, dlaczego uczynić tego nie mogę.

Rozdrażniona oporem, Mania, w coraz większy gniew wpadała. Doszło w końcu do tego, że wyrzuty jej dla Zygmunta przeraziły go tonem i formą.

Ściskając głowę rękami, błagał, żeby zaprzestała:

— Cicho bądź, na miłość Boską, cicho bądź!

Skończyło się na płaczu gwałtownym Mani, na ucieczce Zygmunta, który w przyległym pokoju przez pół nocy chodził rozdrażniony.

Nazajutrz służąca dostała od Mani rozkaz pakowania rzeczy i o godzinie naznaczonej wszystko gotowe było do wyjazdu. Mania, kryjąc pod gęstym woalem twarz zapłakaną, towarzyszyła Zygmuntowi. Miała uczucie, że jest istotą prześladowaną, nieszczęśliwą, godną litości; Zygmuntowi się zdawało, że ciągnie za sobą ofiarę. Nie doznawał wcale uczucia zadowolenia i tryumfu ze zwalczenia oporu żony; po wczorajszym jej wybuchu została mu w duszy boleść i przykrość ogromna. Żłudny czar, który dotąd, jakby aureolą, otaczał głowę Mani, prysł nagle, jak bańka mydlana. Czuł, że nie odnajdzie już w Zarębiu ani tych uniesień, ani tego rozrzewnionego szczęścia, jakiem oddychał, ani tej nadziei życia, opromienionego słońcem miłości. Zdawał sobie dokładnie sprawę z tego, że w paśmie jego uczuć i myśli zerwało się coś bezpowrotnie. Tak niedawno patrzył z nadzieją w przyszłość, teraz patrzył w nią ze strachem. Bał się samotności z Manią w Zarębiu, tak, jak dawniej owej samotności pragnął. Siedząc w wagonie, naprzeciw żony, która uparcie gęstego woalu nie podnosiła, łamał sobie głowę nad tem, czego miał próbować, by ją powoli wciągnąć do życia, jakie wiódł, by jej tak zapelnąć egzystencję wiejską, żeby ją ona w końcu interesować zaczęła. Chciał do Mani przemówić, by zawrzeć z nią pokój, lecz ona widocznie jego zamiar dostrzegła. Udawała teraz, że śpi, choć Zygmunt widział wyraźnie po jej oddechu, że czuwała.

Józefa też do głębi zraniona była postępowaniem Mani względem siebie. Młoda kobieta uciekała formalnie od smutnego domu siostry. Zaledwie wpadła wystrojona i roztargniona, już wynajdowała pretekst ucieczki. Ktoś na nią czekał... miała przymierzać suknie w magazynie...

Józefa, która była do niej po macierzyńsku przywiązana, nie mogła bez cierpienia zniesć jej obojętności. Udawała, że wierzy w jej wykrety i wybiegi, i patrzyła za uciekającą Manią swemi wymownemi oczami, w których smutek malował się z wyrazistością niezwykłą. Tak-by teraz potrzebowała gorącego, siostrzanego uścisku! Obok

smutku po śmierci męża i wyrzutów, które sobie czyniła, miała obecnie przykrości bez liku, z powodu rodziny męża, pomawiającej ją o ukrycie jakichś kapitałów. Rzewecki umarł bez testamentu. Po jego śmierci okazało się, że jego dość znaczna fortuna w większej części była znikła bez śladu. Nieład w interesach był ogromny. Szwagrowie Rzeweckiego podejrzewali, że Józefie dostały się po mężu wartościowe papiery, o których nie wspomniała. Zraniona postępowaniem rodziny Oskara, o których nie wspomniała. Zraniona postępowaniem rodziny Oskara, o których nie wspomniała. Zrzekła się urzędownie spadku po nim i, zabrawszy rzeczy, wyłącznie tylko do niej należące, przeniosła się do małego mieszkania, na jakie teraz stać ją było jedynie. Była rozżalona i chora, miała wstręt do widywania obcych ludzi, nie wiedziała jeszcze, co z sobą pocnie. Mała suma posagowa, którą była wniosła mężowi, umieszczona była na majątku ziemskim, którego właściciel był bliskim ruiny. Odebranie półrocznego procentu nie obeszło się bez wielkich trudności. Dłużnik prosił o zwłokę, Józefa musiała się upominać. Doradca jej prawny przewidywał zupełne urwanie się dochodu, aż do subhastacyi majątku przez innych wierzycieli.

Zygmunt chciał ją uprosić, by zamieszkała przy siostrze, w Zarębiu, ale odmówiła stanowczo. Da sobie radę wybornie... będzie swego dłużnika tradować... Proces, to musi być rzecz interesująca!... czuła, że miała odziedziczoną po przodkach żyłkę do pieniądza... Będzie miała przynajmniej zajęcie! Nie jest zresztą bez zasobów i żaden niedostatek jej nie grozi!

Musiała wszakże wkrótce potem szukać zarobku. Dłużnik jej nie płacił, wymawiając się tem, że miał siedmioro dzieci. Podała do Kuryera ogłoszenie o osobie, pragnącej udzielać lekcyi rysunku.

Po powrocie do Zarębia zły humor Mani trwał jeszcze czas jakiś. Na każdym kroku okazać pragnęła mężowi swoje niezadowolenie; z nadejściem wszakże karnawału, okolica ożywiła się znacznie. Organizowały się dwa bale, Mania postanowiła wydać u siebie tańczącą zabawę. Rozruszała się. Kazała staw oczyścić i ślizgała się po nim, robiła wyprawy sankami ze zgrają psów, biegnącą za nią; wreszcie podczas wizyty jednego z sąsiadów, zapalonego myśliwego, oświadczyła, że chce należeć do polowań i obław, zapowiadających się w okolicy. Dobrała sobie młodego sąsiada, który obiecał uczyć ją strzelać i pod jego kierunkiem prawie codziennie do celu strzelała. Przyniesiono jej z Warszawy kostium myśliwski, w którym wyglądała, jak młody chłopak, i w którym było jej prześlicznie.

Poczęto bardzo wiele mówić o niej w okolicy. Zdania były podzielone. Niektórzy ją wychwalali, inni ganili. Stała się modną. Powtarzano jej słówka, urządzano dla niej polowania, szlichtady. Z początku kwaśna, nadęta i nieprzejednana dla Zygmunta, wróciła stopnio-



wo do dobrego humoru. Źródło dawało wodę, bo i w prowincjonalnym kącie znalazło sobie oczy pięknego królewicza, które na nie patrzyły.

Zygmunt lubił polowanie, ale hałaśliwe zebrania męskie męczyły go, życie ciągłego ruchu i ciągłych projektów było zupełnie niezgodne z jego usposobieniem. Zabawa była wyborna po pracy, ale zabawa, jako cel życia, była zabijająca. Rzadko kiedy mógł wieczór spędzić w ciszy, bo Mania ściągała do domu towarzystwo męskie. Było śmiechu i wesołości pełno, a jemu bywało coraz smutniej. Bil się z myślami. Czy należało może ludzi tych rozpędzić na cztery wiatry, spalić strój myśliwski Mani i karty, które jej służyły do gry w bakarata? I cóżby to było pomogło? Czy uczyniło-by to z Mani kobietę, oddaną obowiązkom? Tak przynajmniej widział ją wesołą i zadowoloną. Niecierpliwił się jednak czasem, choć sobie był przyrzekł wielkie umiarkowanie. Drażniła go szczególnie jej próżność i żądza zaćmienia innych kobiet. Nie mogła się zdecydować na wybór balowych toalet, łamała sobie głowę nad barwami i krojem.

— Ah, Maniu, zlituj się nade mną i nad sobą i porzuć już te żurnale, które mi kością w gardle stoją!

— Cóż ci one szkodzą?

— Zajmują cię tak zupełnie, że już nie dla nikogo ani w twej myśli, ani w twym sercu nie zostaje! Straszna rzecz nie widzieć przed sobą na świecie nic, prócz toalety balowej!

— A o czemże mam myśleć, jak nie o tem, żeby trochę użyć życia, pókim młoda. Jak będę stara, to może, jak Józia, będę laziła po strychach dla wspierania biednych rodzin; ale póki młoda jestem, póty będę się stroiła, będę się bawiła, a nareszcie i ciebie przekonam, że z taką żoną, jak ja, stokroć przyjemniej życie płynie, niż z jakąś zapłakaną dewotką. Zobaczysz, jaki będziesz kontent, gdy za królową balów ogłoszoną zostanę!

— Cóż mi z tego przyjdzie? Mówiłem ci już nieraz, że ja mojej żony nie sądzę bynajmniej podług tego, jak się ona innym podoba... ja chciał-bym ją mieć dla siebie, ty zaś, Maniu, należysz tak mało do mnie!

— Czego chcesz ode mnie więcej?

— Ja tak marzyłem, żeby posiadać duszę mojej żony!

Powoli, z dnia na dzień, Zygmunt tracił nadzieję zdobycia Mani dla swych przekonań. Motyla nie zaprzęga się do ciężkiego pluga. Nie rozumiała go nawet często, lub myślała o czem innym, gdy mówił do niej poważnie. Obowiązki rodzinne przedstawiały jej się, jako rzecz bardzo luźna i niejasna. Miała rodzaj zadziwionego lekceważenia dla młodych matek, oddających się swym dzieciom. Żywiła tak wygóro-

wane pojęcie o potrzebie elegancyi i szyku dla ładnej kobiety, że z prawdziwą pogardą mówiła:

— Ah, ta Wierzevska! miała rękawiczki na dwa guziki zapinane... aż mi się niedobrze robiło, patrząc na nią... Ale cóż tu się dziwić?... ona nawet nie wie, co się nosi... gotowa włożyć białe pończochy... Siedzi w powijkach, poduszkach, pieluchach, kaszkach na mleku... czuć ją dziecinnym pokojem! Taka kobieta, żeby miała rysy pięknej Heleny nawet, ładną być nie może!

— Dla mnie jest ładną.

— To czemuś się z nią nie ożenił? Wszak podobno miała dla ciebie tkliwe uczucie.

— Czy to się mężczyzna żeni z kobietą dlatego tylko, że jest ładna?

Przy tych słowach rumieniec niespodziany ukazał się na twarzy Zygmunta. Ah, tak, żeni się dlatego jedynie, wyłącznie dlatego, że kobieta jest ładna. Czy on uczynił co innego? Micia Wierzevska podobała mu się niegdyś, bo była ładna. Że była pełna prostoty i z prostotą okazała mu swoje upodobanie i uczucie, więc się od niej odwrócił, jako od zdobyczy zbyt łatwej. To, co mu się teraz przytrafiło, to była zasłużona kara. Mówił i myślał o wyborze towarzyszki dla swej duszy, a gonił tylko za ładnymi profilami i wdzięcznymi en-face... Był-by sobie może i Manię sprzykrzył i skrytykował, jak inne, gdyby mu nie była okazywała obojętności i gdyby w drodze nie był mu stanął ten pusty Edzio Kuryński.

— A dlaczegoż się kobieta podoba, dlaczego się o nią ubiegają, jeżeli nie dlatego, że jest ładna i dobrze ubrana?

— Masz słusność. Ubiegają się o nią dlatego jedynie i z tego powodu popełniają tyle pomyłek.

— Nie prawdaż, że ty myślałeś, że ja jestem jakaś Kornelia, matka Grachów, albo pani de Chantal, albo św. Teresa, albo Józia Rzevecką?

Mania śmiała się białymi zębami, stojąc nad Zygmuntem i patrząc mu figlarnie w oczy.

— Powiem ci szczerze... myślałem, żeś wosk, żeś dziecię, z którego miłość potrafi ulepić kobietę... wreszcie, żeś marmur, podatny dla dłota... Takem to sobie w mojej niemądrej, marzycielskiej głowie ułożył.

— A znalazłeś?

— Żeś porcelanowa figurka, z której nie innego nad to, czem jest, zrobić się nie da.

— Cóż to zlego porcelanowa figurka, jeżeli całować umie?

Mania podniosła ku sobie twarz męża i pocałowała go, potem gładziła jego wąsy i zakręcała je.

— A ja dlaczego za ciebie poszłam? Podobały mi się szczególnie twoje wąsy... Nie zakochałam się w tobie, jak bohaterka tkliwej powieści, o, nie, nie!... tylko mi się sprzykrzyły morały Józi... trochę mi już biedny Oskar nudził swoim opowiadaniem, że byłam jego wychowanką... Masz śliczne wąsy... i śliczne oczy... tańczysz dobrze, rozmawiasz doskonale... Pomyślałam sobie, że się z tobą nudzić nie będę, że jesteś bardzo dobrą, nawet doskonałą partyą, i poszłam za ciebie. Pocałuj-że żonę!

Zygmunt uściśkał Manię. Daleko już wszakże były pocałunki pierwszych chwil. Uścisk Zygmunta nie miał w sobie cienia zapału. Był to jeden z tych pocałunków automatycznych, uświęconych zwyczajem, w których serce postępuje wedle przepisu ewangelii dla ręki lewej:—nie wie, co czynią usta.

Karnawał nie zawiódł oczekiwań Mani. Bawiono się w okolicy zawzięcie i z rodzajem szalu. Zygmunt, zmuszony do towarzyszenia Mani, brał z początku udział w skocznej zabawie. Lubił dawniej tańczyć i ochota ta odzywała się w nim jeszcze niekiedy; wszakże gdy się zabawa przeciągała i gdy wieczory tańczące poczęły się mnożyć zbyt, ogarnęło go wielkie zmęczenie moralne. Podskoki mazura i walca poczęły mu się wydawać czemś głupiem, czemś, nie mającem ni sensu, ni wdzięku, jakimś zapomnieniem człowieczej godności. Sam na siebie gniewał się za taki nastrój reformatorski, ale gdy po przetańczeniu walca lub polki stanął w gronie tancerzy i patrzył, jak ludzie czynili to, co on tylko co czynić przestał, ogarniał go jakiś dziwny niesmak. Niegdyś na balach zachwycał go i upajał szczególnie świat kobiecy. Tancerki, z obnażonymi ramionami, wydawały mu się żywymi kwiatami, zaciekawiającymi, pełnemi czaru. Zbliżał się do nich, jak do istot, które, oprócz piękności i wdzięku, miały duchowe skarby, indywidualność, której przyjrzeć się było warto; teraz świat ten przestał go interesować. Zdawało mu się, że wszystkie one mówiły tak samo, patrzyły tak samo, myślały tak samo. Swoim dzisiejszym jednostronnym sądem pomawiał je wszystkie o lekkość, bezmyślność, kokieterię. Gdy, oparty o framugę drzwi, widział te barwne, kobiece motyle, fruujące po sali, w objęciu czarnych koników polnych—mężczyzn, myślał z niesmakiem:

— Każda z nich myśli jedynie, jak się wydaje jej suknia, jej figura, jej uczesanie, jej taniec. Nie mają szczerości nawet w zabawie. Wszystko w nich służy jedynie próżności i kokieterii. Nawet te, co mają wykształcenie i dowcip, robią z tych darów jedynie towar dla kupca!

Mania bywała zwykle najlepiej ubrana, co jej dawało prawo do uważania się za najpiękniejszą. Przyjmowała hołdy, rozdawała uśmiechy, nigdy się jej to królowanie nie przykrzyło. Zdawało jej się niezmiernym tryumfem to, że ludzie zaciekawieni byli naprzód, jaką też ona włoży toaletę, jak się uczesze; że po balu dopytywali się, co też miała na sobie; że wedle jej sukien sądzili o ostatnim wyroku mody. Strojenie się zabierało jej mnóstwo czasu.

— Skończ-że już tę naradę z lustrem! — wołał zniecierpliwiony Zygmunt, — nie rozumiem piękności, która zależy od jednego loczka, czy karbu mniej lub więcej na czole! Kobieta powinna być taką boginią, która tylko raczy przywdziać strój ziemski... nie powinna dawać się opętać: modzie, fiokom, lokom, grzywkom, kokardkom... Jesteś młoda, ładna, masz czoło jasne, a nad niem bogactwo włosów!... Czego więcej potrzeba? Bądź szczerą! Szczerosc i w znaczeniu fizycznym jest piękna! Zbyt wiele sztuki okropnie psuje szlachetny wdzięk piękności! No, Maniu, zrób to dla mnie, wstań już od tego lustra!

— Zaraz, zaraz!... bo widzisz... próbuję dziś nowego uczesania! To nielada praca!

W małych rzeczach upór Mani był jeszcze silniejszy, niż w wielkich. Czasem w drobnostce ani na jotę ustąpić nie chciała. Samowola jej była czemś chorobliwym, na co nie było lekarstwa.

Cudowny grymas jej ustek powoli począł się Zygmuntowi wydawać mniej uroczym, potem był mu niemiłym, w końcu stał mu się wstrętnym. Mania z wyrazem niezadowolenia i złego humoru wydawała mu się wprost brzydka.

Powoli wyobraźnia poczęła mu ten grymas rysować na ustach Mani nawet wtedy, gdy młoda kobieta się śmiała i była wesoła. Miał ją przed sobą w pełni dobrego humoru, a widział taką, jaką ją czyniły usta, przez złość odęte i oczy o schmurzonym wejrzeniu. Gdy ją widział otoczoną młodymi i starszymi sąsiadami, patrzącymi na nią z zachwytem, serce jego jeszcze bardziej się od niej oddalało. Miał takie uczucie, jakby w nim jakiś głos mówił: „Dla was ma uśmiechy, dla was się stroi, dla was jej marzenia, jej spojrzenia, zatem wasza ona, nie moja!“ Źródło dawało wodę obficie, ale on już nie był spragniony i pić wody nie miał ochoty. Czasem się zdarzało, że gdy Mania bawiła się z gośćmi w salonie, lub grała z nimi w karty, Zygmunt uciekał do swego pokoju. W ciszy czytał lub pisał. Czuł, że nie powinien był opuszczać młodej żony, nie mógł wszakże żyć ciągle pustem jej życiem, musiał dawnym upodobaniom poświęcić choćby chwil kilka.

Miał też ogromny nawał prac i interesów, które go często zmuszały do opuszczania domu. Po odziedziczeniu fortuny stryja, gospodarstwo rolne złożył w ręce rządców, których musiał kontrolować, miał

dwie cukrownie, z których jedna o wiorstę tylko od Zarębia leżała. To sprawiło, że obijało się o niego mnóstwo spraw większych i mniejszych, próśb, zatargów, skarg słusznych i niesłusznych, sporów do rozstrzygnięcia, interesów do przeprowadzenia. Zostawił sobie był dyrekcyę nad wszystkim i do pewnego stopnia lubił nawet tę rozległą pracę, do której czuł się obowiązany. Dawał chleb całemu mrowisku pracowników rozmaitego stanu i powołania. Czuł się odpowiedzialnym wobec przyszłości tych ludzi, wiedział, że musiał umiejętnie prowadzić całość spraw, by nie wywołać ruiny, która-by pociągnęła za sobą tyle egzystencyi. Znajdował zadowolenie w przekonaniu, że nie był bezużytecznym, że warsztat, na którego czele stał, rozsiewał dobrobyt na cząstkę kraju i wnosił spokój do wielu rodzin pewnych jutra, na zasadzie wiary w jego rozum i sprawiedliwość.

Musiał się teraz lękać o tych ludzi. Nie wiadomo, skąd powiał wiatr, niosący głowom gorączkę emigracyjną. Wielu robotników wybierało się do Brazylii.

Wiosna przyniosła Zygmuntowi inne jeszcze wstrząśnienia. Mania wyznała mu, że miała zostać matką. Napełniło go to radością niezmierną, a zarazem trwogą o zdrowie żony, nie chcącej uwierzyć, że szanowanie się było koniecznem w jej położeniu.

Napisał do Józefy. Błagał ją o przyjazd do Zarębia. Mania miała zostać matką, nie była zupełnie zdrową, a popełniała tysiące szaleństw, mogących narazić ją i dziecko. Potrzebowała czujnej opieki i macierzyńskiej troskliwości. On, Zygmunt, musiał czasem dom opuszczać, a umierał z niepokoju, gdy zostawiał Manię samą.

Takiemu wezwaniu Józefa odmówić nie mogła. Pożegnała uczennice, którym dawała lekcye rysunku, i spieszenie wyjechała do Zarębia.

— Dziękuję ci, Józiu — mówił Zygmunt, siedząc z siostrą żony w powozie, którym po nią przyjechał na stację kolei. — Przychodzisz mię wesprzeć w bardzo ciężkiej chwili... Mam kłopotów bez liku... Naprzód Mania taka nieuważna i niebardzo zdrowa, powtóre, przykrości z robotnikami... Opanował ich istny szal... prawdziwa epidemia... idą do Brazylii!

— Niema sposobu wstrzymać ich?

— Kiedy to jest jakaś zaraźliwa choroba unysłowa... to pożar, z którego ludzie, jak owce, żadną siłą wyprowadzić się nie dają. Z Zarębia nie poszedł jeszcze nikt, ale w Obrowcu dezercya okropna... Nie uwierzysz, jak mię to martwi! Bywam czasem bardzo strapiiony, a nie chciał-bym moim smutkiem zatruwać wesołości Mani...

— O, co do wesołości! możesz liczyć na mnie!

Józefie serce się krajało. Na widok Zarębia stanął przed jej oczami orszak pogrzebowy człowieka, względem którego tak bardzo zawiniła.

— Widzisz... Mania to koliber, dla którego słońcem jest zabawa, wesołość, ruch... Radziłem się lekarza... zaleca on utrzymanie jej w dobrym humorze... Stan nerwowy matki bardzo wpłynąć może na dziecko.

Zygmunt, będący sam jedynem szczęściem matki, widzący we wspomnieniu dzieciństwo swoje i całą młodość, opromienioną miłością macierzyńską bez granic, marzył o ojcowstwie z rostkliwionym zapalem. Było ono obleczone dla niego urokiem nieco marzycielskim i zniechęcającym. Mania z nadzieją macierzyństwa wydawała mu się prawie kapłanką. Jej lekkość wrodzona urastała teraz w jego wyobraźni na rzeczywiste świętokradztwo.

Miała prawdziwą manię ukrywania swego stanu. Przyciskała gorset, by włożyć suknię z ciasnym stanikiem, potem wśród towarzystwa bladła nagle i słabo jej się robiło.

Zygmunt na klęczkach prosił, by kładła strój luźniejszy. Ofiarowywał się jechać po strój taki, gdzie Mania każe, choćby do Paryża. Młoda kobieta występowała z uporem wytrwałym.

— Może-byś chciał, żebym włożyła kaftan, jak Wierzeńska, u której taki stan, jak mój obecnie, jest stanem normalnym, i bym wyglądała, jak kokosz z rozstawionemi skrzydłami, pod którymi zawsze siedzi gromada dzieci! Ja wiem, że tobie wszystko jedno, jak ja jestem ubrana, ale mnie nie wszystko jedno.

— Ah, jak ja ciebie pojąć nie mogę, Maniu!

Uciekał z pokoju, żeby nie powiedzieć więcej, żeby żonie nie zepsuć humoru, zaleconego przez lekarza. Jechał do Obrowca, do drugiej fabryki cukru, do folwarków, zmuszał się do czynności i do interesowania się wszystkim, przesadzał w drobiazgowości, żeby przekonać samego siebie o tem, że nie zaniedbywał niczego, pomimo gniewu, żalu, oburzenia i smutku, który nim miotał na myśl, że Mania lekceważyła zdrowie i rozwój jego syna.

O dziecku swem przyszedł myślał bowiem, jako o synu; nie dlatego, by mieć dziedzica nazwiska i mienia — takie względy były mu obce; on chciał wychować duszę męską w zdrowem i silnem ciele... Myślał już, jaką drogą będzie prowadził naukę dziecka, jak będzie kształcił jego wolę, by nie wyrosło na słaby charakter... jak wczesnie wprowadzi do wychowania gimnastykę, konną jazdę.. Chciał mieć tęgiego, dziarskiego chłopaka, nie bojącego się niczego, z ciałem z żelaza, z sercem ze złota...

Mania ułożyła sobie plan postępowania z siostrą. W jej upartej głowie wyległa się obawa, że Józefa zechee nią rządzić, czynić jej uwagi, kępować jej ruchy swemi radami. Trzeba więc było na pierwszym zaraz kroku dać uczuć dawnej opiekunce, że położenie i okolicz-

ności się zmieniły, że obecnie Mania była zupełną panią siebie. Józefa odczuła jej myśli i postanowiła unikać nieporozumień z siostrą.

Pewnego dnia, gdy Zygmunta nie było w domu, Mania ułożyła spacer w towarzystwie kilku młodych ludzi z sąsiedztwa. Ona sama miała powozić, posadziwszy obok siebie w amerykańce jednego z panów. Inni mieli towarzyszyć konno.

— Przepraszam cię, Józiu, że ci uciekam na parę godzin, ale ty wiesz, że ja bez ruchu żyć nie mogę... zrobimy z tymi panami małą wyprawę...

Józefa spojrzała na Manię przenikliwie. Dostrzegła w jej źrenicach wyraz takiej samowoli, że się wstrzymała od wszelkich uwag. Chciała powiedzieć: „Zygmunt tak prosił, byś się nie narażała... powożenie jest rzeczą męczącą” ale rzekła z uśmiechem:

— Może i na mnie znajdzie się miejsce?

— Konie są młode i niespokojne... boję się, że ten spacer nie sprawi ci przyjemności.

— Jeżeli mię weźmiesz, pojedę.

Józefa usiadła obok powożącej Mani. Z tyłu, ze skrzyżowanymi rękami, siedział furman; obok jechało czterech sąsiadów konno. Mania wyprostowana, w obcisłym paltociku, z podaną naprzód figurą, usiłowała ukryć zmianę kształtów, codzien trudniej ukryć się dającą. Była trochę blada. Józefa była pewna, że wołała-by była w tej chwili usiąść w fotelu lub pójść do ogrodu na spokojną przechadzkę, ale ona, z rękami na lejcach kierowała niespokojnymi, młodemi końmi, z ciągle zwróconą uwagą na to, co było jej wiecznym zajęciem — na wygląd własny. Nie miała przed sobą lustra, zastępowała je więc wyobraźnią. W wyrazie jej twarzy, w całej postawie znać było tę myśl, nie opuszczającą jej ani na chwilę.

Był to początek Maja. Droga była sucha, powietrze bardzo zimne, ale pola i drzewa już zielone.

— Chcecie panowie... pojedziemy do Wardzynia na stację? Może kto znajomy z Warszawy jechać będzie—rzekła Mania.

Przyjęto propozycję. Podczas drogi śmiano się wesoło. Jeden z nierozdzielnych braci Zlewskich wybornie naśladował głos i sposób mówienia niektórych znajomych i uwydatniał ich śmieszności. Ofiarą dowcipu wesołego grona była owa Wierzeńska o białych pończochach, rękawiczkach o jednym guziku i dziecku, które karmiła chronicznie lub na świat wydać miała.

Przybywszy na stację, czekano jeszcze kilka minut na przybycie pociągu. Mania stała na peronie, poprawiając rozwianą grzywkę, żeby się ukazać pasażerom w całym blasku młodej piękności; panowie, otaczający ją, też nie byli obojętni na wrażenie, jakie oni sami i ich stroje

do konnej jazdy uczynią na podróży. Józefa w żałobie czuła się jakby złapana wśród tego rozbawionego grona.

Uwagę jej uderzyło dość liczne zbiorowisko ludzi, przeważnie mężczyzn. Ludzie ci nbrani byli, po większej części, jak rzemieślnicy lub mieszczenie małomiasteczkowi. Choć dzień był zimny, mieli na sobie prawie wszyscy lekkie, wyszarżane surduty. Niewielu miało cieplejsze ubranie. Prawie każdy dźwigał na kiju przewieszonym przez ramię zawiniątko, niektórzy siedzieli na skrzynkach drewnianych. Było między nimi kilku parobczaków w wieśniaczych strojach. W mniejszej liczbie znajdowali się mężczyźni starsi i kobiety.

Józefa zbliżyła się do posługacza, który z ręką na taśmie od od dzwonka oczekiwał nadejścia pociągu, i spytała:

— Co to za gromada ludzi?

— Ha, idzie to to bydło do Brazylii... ale im tam jeszcze jakichś papierów brakuje... podobno dopiero nocnym pojadą.

— Jak ja lubię podróżować — mówiła Mania — gdy wsiadam do wagonu, już mi się lekko na sercu robi i ogarnia mię dobry humor. Gdybym mogła, podróżowała-bym całe życie, w każdej miejscowości mego wyboru spędzając po parę miesięcy.

— To wtedy my, sąsiedzi Zarębia, przywdzielibyśmy żałobę — zawołał jeden z braci Zlewskich.

— Krótszą rzeczą było-by jechać za panią Maryą — ozwał się drugi. — Było-by nas sześciu takich, eobyśmy posprzedawali nasze ruchome i nieruchome majątki i w świat!... gdzieby nas poprowadziła gwiazda!

Mania rzuciła mówiącemu spojrzenie nawpół pogardliwe i dumne, nawpół zalotne, odymając usteczka z tym wyrazem, który niegdyś się tak Zygmuntovi podobał.

— Za wiele zaszczytu! — rzekła, śmiejąc się.

Pociąg dążył ku stacyi. Przebiegła dysząca lokomotywa, za nią długi szereg wagonów, lecz między podróżnymi żadna znajoma twarz nie ukazała się oczekującemu towarzystwu.

Po odejściu pociągu, Mania, którą dreszcz przebiegał w lekkim paltociku, nagliła do powrotu. Prędko przeszedłszy salę stacyi, towarzystwo wróciło do pojazdu i koni, a następnie, wyciągniętym kłusem, prawie w milczeniu wracało do Zarębia.

W pobliżu wsi spotkał je Zygmunt, jadący z fabryki, i patrzył na Manię wyprostowaną, z rękami na lejcach. Oczy jego wyrażały wymówkę i przestrach. Józefa odczuła spojrzenie szwagra, jako wyrzut dla siebie. Zygmunt myślał zapewne, że zawiodła położone w niej zaufanie. Było jej bardzo przykro. Mania klasnęła batem przejeżdża-



jąc koło męża z miną wyzywającą i pewnym rodzajem furmańskiej brawury.

Takie jedno klaśnięcie, cóż to jest w gruncie? Nic nieznaczący żart, wybryk dobrego humoru, młodzieńcza werwa, potrzebująca ujawnić się w wesołej ochocie. A jednak Józefa odczuła ten żart Mani aż w głębi duszy. Ludzkie szczęście składa się często z nieznaczących dcieni, z drobnych objawów, niedostrzegalnych dla mniej bystrego oka... Tak samo ludzkie nieszczęście... Z nowym wyrzutem sumienia przypomniła sobie, jakim wstrętem przejmowała ją najniewinniejsza błaga Oskara, jak z jego słabości utworzyła dla siebie wyraźne nieszczęście.

Z uczuciem zadowolenia znalazła się przed gankiem w Zarębiu. Młode konie były spienione. Pędziły do domu jak wiatr i ledwie utrzymać je było można od zajechania wprost przed stajnię. Otrzymanie od nich posłuszeństwa kosztowało Manię wiele wysiłku. Całym ciężarem ciała przechylała się w tył, trzymając wyteżone lejce i nie przyjmując pomocy furmana. Krew uderzyła jej do twarzy, ale dopięła celu. Wskoczyła z amerykana, rzucając lejce furmanowi. Obejrzała się potem z tryumfem dokoła, myśląc w duchu, że rozrzuconiona, zeskakująca lekko z wysokiego siedzenia, musiała czynić wrażenie siły i wdzięku. Tak było z pewnością. Czytała to we wzroku tych panów.

W parę minut po Mani i jej towarzystwie zajechał przed dom Zygmunt. Wyglądająca oknem Józefa widziała go wysiadającego i zauważyła jego błądź, jego zacięte usta. Za pędzącą i zacinającą jeszcze konie Manię i on pędził, widocznie myśląc, że lada chwila mogło się zonie jego wydarzyć nieszczęście, że niewprawna kobieca ręka mogła ją zawieść, że szalone konie mogły ją ponieść, że lada chwila mógł ujrzeć wywracający się powóz, niosący nadzieję rodziny.

Późny obiad zgromadził wszystkich w jadalnym pokoju. Przy obiedzie rozprawiano o winach, delikatesach, kuchni w rozmaitych krajach. Mania lubiła mówić o jedzeniu. Pozowała na wykwintnisię we wszystkim, a zatem i w stole. Wyczytała też w jakimś francuskim romansie, że ładna kobieta powinna być łakotnisią, że jej to dodaje wdzięku. Pracowała nad tem, by wiedzieć, jakie są obecnie upodobania i mody w jedzeniu, jakie w podaniu półmisków wyrafinowania. Skarżyła się sąsiadom swoim, że na wsi miało się za mało różnaitości w jedzeniu i nawet z pomocą doskonałego kucharza trudno było zadysponować przyzwoity obiad. Z przyjemnością błyskała kulinarną erudycją, cytując różne nowe nazwy francuskie potraw modnych. W Polsce szczególniej brakuje ryb. Tam, gdzie się ma ryby morskie...

Bracia Zlewscy cytowali *menu* niektórych obiadów w pierwszej restauracyi w Paryżu. Zdaniem ich, wielka ilość potraw i urozmaicony

ich dobór był wprost dowodem cywilizacji i wykształconego gustu we wszystkich kierunkach. Siada się do stołu nie tylko dlatego, żeby głód zaspokoić, ale żeby jedząc używać, doświadczać przyjemności... Tak, jak jest koncert lub opera dla zmysłu słuchu, tak jest wykwintny obiad dla zmysłu smaku. Je się wszystkiego po trochu, występując raczej w roli lubownika, niż człowieka zgłodniałego. Ludzie, jedzący dla nasycenia głodu, są tylko dzikimi gburami.

Zygmunt był milczący. Rozprawy kulinarne niecierpliwiły go. Byłby z ochotą wyrzucił za drzwi braci Zlewskich, a nawet i dwóch innych gości swej żony.

Po czarnej kawie, spożytej w salonie, i chwilowem usiłowaniu ogólnej rozmowy, Mania zaczęła partycję bilardu z jednym z gości, inni poszli za nimi do sali bilardowej, Zygmunt zbliżył się do Józefy.

— Moja droga — zapytał — czy nie można było wyperswadować Mani tego spaceru? Takie szalone konie mogły was przyprawić o nie-szczęście...

— Nie była-by odstąpiła od swego projektu. Wszystko, co mogłam uczynić, to usiąść obok niej i lecieć z nią bez celu pędzącemi jak wiatr kołmi.

— Widzisz, Józiu, jaka ona jest! — szepnął Zygmunt z wyrazem bólu.

— Byłam dla niej niegdyś władzą, więc teraz się boi, bym nie zapomniała, że jest ona już wyemancypowana z pod mojego despotyzmu... nie była-by mię usłuchała... Dziecko!... Ma takie uczucie, jak chłopiec, który włożył pierwsze buty, lub pensyonarka, której uszyto pierwszą długą suknię... Stanie się giętszą, gdy się przekona, że ja już abdykowałam z praw starszej siostry... Chwała Bogu, że ta karkołonna podróż skończyła się szczęśliwie... Jeździliśmy na pociąg do Wardzynia.

— Tak, aby tylko mieć na sobie jak najwięcej spojrzeń!

— Widziałam tam tłum wychodźców, wybierających się do Brazylii. Gdy się pomyśli, że połowa tych ludzi, po większej części młodych, skazana jest na śmierć może jeszcze w tym roku... że druga połowa nigdy już kraju rodzinnego nie ujrzy...

— Dziś miałem nowe zmartwienie i nowy dowód, że tylko pokątni doradcy i wyzyskiwacze mogą mieć wpływ na lud... Mam furmana od lat kilku, którego bardzo lubię. Od chwili, kiedy się zaczęło wychodźstwo, jeżdżąc z nim, mówię mu prawie codziennie o tem, co za szaleństwo popełniają ludzie idący za kraj świata... Dziś przychodzi do mnie, prosi, żebym mu przebaczył, ale on musi iść do Brazylii. Nie mogłem wierzyć uszom własnym. Przecież ze śmiechem opowiadał mi, jakie baśnie nieprawdopodobne krążą między ludem, i zawsze kończył:

„Ha, lud ciemny, proszę pana... wierzy we wszystko, co kto wymyśli.” A teraz on sam rzuca kraj, zarobek, mienie... Powtarzał ciągle, jak nakręcony: „Ha, cóż robić... kiedy wszyscy idą, to i mnie trzeba... Żal mi i jasnie pana, i łąbytku, i wszystkiego, ale nic nie pomoże, kiedy już taka dola! Nic nie pomoże, trza iść!”

— Ależ to istny szal!

— Zupełny obłąd. Coś tych ludzi zmusza do emigracyi, jak gdyby byli ptakami, na które przyszła pora odlotu. Ale ja nie mogę patrzeć na to spokojnie... we mnie się wszystko burzy... złość mię ogarnia i upakarzające uczucie bezwładności wobec tajemnych podżegaczy... Furmana mego starałem się przekonać, potem porwał mię nagły gniew na ten głupi upór, nie umiejący nawet wynaleźć niesprawiedliwienia dla siebie, na owe „nic nie pomoże”, doprowadzające do wściekłości. Wyrzuciłem tego szaleńca za drzwi!... I wiesz, co on teraz będzie opowiadał?... Że ja go gwałtem chciałem przyniewolić... chciałem go zmusić do pozostania w służbie!... Dziś przypadkiem słyszałem robotnika fabrycznego, mówiącego o mnie do towarzysza: „On to chciał się ludziom przypochlebić... to ogródki dawał, to po dwie izby, to tam dla starych przytułek... on pewno przewąchał, że w Brazylii ludziom gruntu będą dawać...” Myślałem, że kij na grzbiecie tego człowieka połamię, taka złość we mnie zawrzała...

W tej chwili z sali bilardowej wracała Mania i jej satelici.

— Cóż macie takie miny powarzone, i ty, i Józia? — zapytała męża. — Pewno byłam tu zaocznie kamienowana.

— Mówiliśmy o wychodźstwie do Brazylii — odparła Józefa. — Zygmunt dziś się dowiedział, że traci furmana, którego lubił.

— On go nie lubił — zawołała śmiejąc się Mania — on go kochał! Bał się o jego zdrowie, dbał o opinię jego! Co Marcin powiedział, to było mądre, to było święte! Zygmunt zwierzał mu się ze swoich powodzeń i niepowodzeń... ze swoich miłości i miłostek...

Było coś w tonie Mani, co dotknęło Zygmunta. Uważał on, że młoda kobieta nie powinna mówić lekko o miłościach swego męża i wymawiać wyrazu „miłostki.”

— To się nie dziwię, że ten człowiek idzie do Brazylii — zawołał jeden z braci Zlewskich — tacy ludzie zaraz się psują. Ja z moim furmanem nigdy nie rozmawiam. Mogę z nim jechać mil dwadzieścia i nie przemówić do niego ani słowa!

Miał minę taką, jak gdyby przykład jego godnym był naśladowania dla całego społeczeństwa.

Zygmunt, rozdrażniony całodziennymi przykrościami i odezwaniami się żony, znalazł Zlewskiego nieznośnym. Zinarszczka gniewu wystąpiła na jego czoło.

— Doprawdy, cieszę się, że Marcin idzie do Brazylii — zawołała Mania. — Przynajmniej się Zygmunt przekona, czego warte jego furmańskie przyjaźni i sentymentalizowania na temata chłopskie! Jabyam zwołała wszystkich naszych ludzi, robotników, parobków i powiedziała-bym im, że ich od św. Jana odpędzam wszystkich, co do jednego! Na ich miejsce sprowadziła-bym Niemców, choćby mię mieli kosztować dwa razy drożej.

— No, i byłabyś zupełnie zadowolona i spokojna?

Zygmunt zadał to zapytanie głosem drżącym, w którym dźwięczała ironia. Stał przed Manią z wzrokiem utkwionym w jej pięknej twarzy, jak sędzia, który-by chciał dojrzeć głęb duszy, a dla którego wdzięk zewnętrzny byłby zupełnie obojętnym.

— Była-bym zadowolona, bo miała-bym spokój — odparła Mania.

— Czy teraz ci go brak? — zapytał Zygmunt zimno.

Bracia Zlewscy wzięli na siebie przerwanie rozmowy, która zakrawała na sprzeczkę małżeńską. Poczęli jeden przez drugiego opowiadać śmieszne epizody emigracyjnego dramatu. Chłopi opowiadali sobie powszechnie w całej okolicy: że Papież przegrał w karty do Królowej angielskiej sto tysięcy ludu i powiedział tak do Angliczki: „No, trudna rada, kiedy przegrał, to muszę dać sto tysięcy ludu nie byle jakiego, jeno niezciwego, robotliwego, jak się patrzy!” i kazał jej se brać tyle polskiego chłopą, aż se sama naliczy sto tysięcy. Teraz się ona spuszcza na takiej maszynie, co leci powietrzem, i zabiera kogo chce... kto jēj się spodoba.

— Czy pani uwierzy — dodał opowiadający — że u mnie we wsi chłopci przysięgali, że się Angliczka spuściła na maszynie tu w Zarebni, że zabrała u pana Bielmońskiego w lesie dwa sęgi drzewa, a potem wzięła ludu co się na maszynę zmieściło i odleciała.

— Czy to może być, by oni w to naprawdę wierzyli? — zawołała Józefa. — Jakież to przedział wielki, niczem niezapełniony, leży między człowiekiem kształconym a człowiekiem zbliżonym do natury... jeden drugiego nigdy zrozumieć nie jest zdolny, jeden dla drugiego mus zawsze pozostać tajemnicą.

— I to jest nieszczęście człowieka kształconego — ozwał się Zygmunt — że sobie w końcu musi zdać sprawę z tego niczem zapełnić się nie dającego przedziału, zdobywszy doświadczenie kosztem tysiąca zawodów... Człowiek nie kształcony, z nie obudzoną duszą, uzbrojony w podejrzliwość, jest pewien, że odgaduje swego bliźniego, stojącego na wyższym szczeblu oświaty...

— Czy chcecie, panowie, żebyśmy sobie urządzili małą partyjkę? — zawołała Mania, korzystając z przerwy w rozmowie.

Zygmunt spojrział na żonę z wyrazem żalu. Obraziła go znowu, wyrażnie dając mu do poznania, że to, co mówił, nudziło ją.

— Darujcie mi panowie — rzekł — że muszę was opuścić. Mam taką masę listów do pisania na jutrzejszą pocztę... nie miejcie mi za złe...

— A pani do gry naszej należeć raczy? — zapytał Józefy jeden z panów, po wyjściu Zygmunta.

— Nie umiem grać w żadną grę, ale może się zdołam nauczyć... będę się starała być pojętną uczennicą... może który z panów zechce wziąć na siebie trud nauczycielstwa...

— Wiesz, kto nas wczoraj ograł? — rzekła nazajutrz przy śniadaniu Mania do Zygmunta — Józia. Miała szalone szczęście! Pan Zlewski jej pomagał... Zobaczysz, jak my ją tu grać nauczymy... Ona musi mieć naszą rodzinną pasyjkę do kart!

— Józia grała?!..

— Grała i ograła wszystkich... Nie rozumiem tych panów, wcale im to zwycięstwo Józii nie daje pragnienia odwetu... zostawią ją na laurach... Wszyscy chcą nas zaraz opuścić...

W istocie, po śniadaniu goście rozjechali się, pomimo uprzejmego nalegania gospodyni. Dzień był ciepły, prawdziwie majowy, zachęcający do spaceru.

Józefa wyszła do ogrodu.

Była w rozterce sama z sobą, czuła się w Zarębiu niepotrzebną. Nie opuścił jej był jeszcze niesmak po wczorajszym wieczorze, spędzonym do pierwszej po północy na grze w karty, przytem nie umiała sobie odpowiedzieć na pytanie, czy dobrze zrobiła, siadając do gry. Najprzykrzejszemi były jej wszakże spostrzeżenia nad pożyciem Bielmońskich. Ci ludzie byli niedobrani. Zygmunt był zniechęcony, zniecierpliwiony... Mania go męczyła i nudziła... Józefa знаła dobrze historię takiego tracenia po jednemu wszystkich złudzeń, znała tę uciekającą nadzieję szczęścia, którą się chwyta rozpaczliwie, którą się jeszcze sądzi posiadać chwilami, a która stopniowo wraca coraz rzadziej, zawsze umniejszona, coraz to niepewniejsza, aż wreszcie znika zupełnie i na zawsze. Biedny Oskar, on jeszcze miał w sobie więcej zalet moralnych, niż Mania. Był pracowity, miał żądzę działania, usługowości... A ta piękna, ta wesola i pociągająca Mania, była tak pusta, jak bańka mydlana! I czy był na to jaki sposób ratunku? Mania nigdy nie zdołała być towarzyszką moralną Zygmunta, ani Zygmunt zadowolnić się ciasnym intelektualnym horyzontem Mani. Tak niedawno jeszcze mówił: „doskonałość mi moją Manię wychowała, tak właśnie, jak

do mego szczęścia trzeba było." Tego-by już dziś nie powtórzył z pewnością!

Idąc ścieżką, biegnącą brzegiem rowu, otaczającego park, Józefa usłyszała odgłos prędkiego klusa końskiego. Przestraszyła się. Jak błyskawica przebiegła jej przez głowę myśl, że to może Mania zachciało się jeździć konno. Wszak wczoraj słyszała ją mówiącą, że wiosna i jesień są najlepszą porą do konnej jazdy i że ona dopiero na koniu żyje. Józefa przedarła się śpiesznie przez żywopłot, przebyła głęboki rów i znalazła się na gościńcu. Odetchnęła. To nie była Mania; przed nią zatrzymał konia Zygmunt z wyrazem zdziwienia.

Józefa śmiała się teraz z własnego przestachu.

— Wyobraź sobie... usłyszałam klus konia i, nie wiem dlaczego, wydało mi się, że to Mania... dopiero teraz wiem, jaka to była myśl niemądra... Mania-by przecie nie jechała bez masztalerza...

Zygmunt śmiał się także. Patrzył na zarumienioną twarz Józefy, na jej podartą przy przeprawie parasolkę.

— Widzę tylko, że park bardzo źle zabezpieczony żywopłotem, skoro się tak łatwo można wydostać na gościńiec.

— O, to wcale nie było łatwo!

— Spróbuję uczynić ci powrót mniej niebezpiecznym... Może ocaleje choć połowa twojej parasolki...

Zygmunt przywiązał konia do drzewa i, wskoczywszy w rów, podał rękę Józefie, pomagając jej zejść a potem przebyć wał. Mieli teraz więcej kłopotu, niż gdy Józefa sama się do gościńca dostawała.

— Strach to doskonały motor — mówiła Józefa — nie wiedziałam, kiedy stanęłam przed twoim koniem.

— Teraz rozumiesz moje obawy o Manię. Zawsze się lękam, że popelni jakie szaleństwo... niedowierzam jej rozsądkowi...

— Jest dziecinna i bardzo żywa...

— Józiu!

— Słucham!

— Czy chcesz, byśmy z sobą zawarli traktat zupełnej szczerości? Jeszcze za czasów, gdym się starał o Manię i gdy ona flirtowała z Edziem, miałaś na mnie wpływ wyjątkowy, któremu poddawałem się z pewnym rodzajem gorliwości... Czulem się lepszym, gdym rozmawiał z tobą... rozświecałaś mi w duszy jakies jej strony piękniejsze... Zdawało mi się, rozmawiając z tobą, że ja jestem coś wart, że ja coś w życiu uczynić potrafię...

— Cóż moja biedna pomoc dla ciebie stanowić może?... Ale, jeżeli chcesz szczerości, jeżeli chcesz przyjaźni...

— Tak, Józiu, pragnę twojej przyjaźni... Mów mi wszystko, co myślisz, co czujesz, co mi masz do zarzucenia... Ja tak potrzebuję

jakiegoś jednego serca, jakiej jednej istoty, do której-bym mógł przychodzić po dobre słowo. Taką duszę-pocieszycielkę miałem w mojej matce; ale teraz ja przed nią muszę udawać spokój i szczęście... nie mogę być szczery... szczerością zabił-bym ją... Nawet jej tu mieć przy sobie nie mogę, choć to było moje marzenie... jedno z moich niemądrych marzeń, żeby moja żona była dla mej matki córką prawdziwą...

— Dobrze — przerwała Józefa — będę twoją przyjaciółką, będę z tobą mówić szczerze i słuchać twych zwierzeń, i czynić ci zarzuty.. usłyszysz zawsze prawdę ode mnie, tylko jedną materję musimy wykluczyć z naszych rozmów — nie będziemy mówili wcale o Mani. Ja widzę jej wady, widzę wszystko... Gdy się Mania przekona, że nią rządzić nie chcę, powiem jej, co jej postępowaniu zarzucam, ale krytykować jej za oczy nie mogę. To się czasem staje stanem chronicznym rodziny, że jeden z jej członków jest wiecznie przedmiotem nagany dla drugich... Było-by coś przykrego w tem, gdybyśmy za plecami Mani mówili o niej w sposób niepoehlebny. Ty to czujesz, prawda?

— Jest więc między nami zaporą do szczerości... Niech będzie i tak!... Ale to jedyny zabroniony temat?

— Jedyny... Gdy stąd odjadę, będziemy pisywali do siebie.

— Gdy stąd odjedziesz?... Dlaczego miała-byś odjeżdżać?

— Nie mogła-bym tu żyć.

— Prawda, prawda, Józiu! to nie jest życie dla ciebie! Wy z Manią jesteście siostrami z krwi, nie z charakteru i wyobrażeń... ty tu żyć nie możesz!... Ten wieczny ruch, niepokój, karty... Po co ty wczoraj siadłaś do kart, Józiu?

— Bo twoja ucieczka z salonu była takim wyraźnym protestem, że ja wobec tych panów nie mogłam czynić Mani drugiej demonstracyi. Oni-by byli moją odmowę wzięli za naganę dla Mani... Widzę, że nasza przyjaźń zaczyna się od czynionych sobie wzajemnych zarzutów... Ty, Zygmuncie, nie dość masz spokoju... Wczoraj wobec tych panów zrobiłaś Mani prawie wyraźną scenę.

— Miałem siebie za człowieka łagodnego, wesołego... teraz dopiero się przekonuję, że jestem popędliwy i zgrzyźliwy... Józiu, gdybyś mię jeszcze kiedy widziała złym i gotowym do wybuchnięcia, to tylko spojrzuj na mnie... ty tak wymownie patrzeć umiesz... zobaczysz, zapanuję nad sobą i stłumię w sobie gniew...

Józefa podniosła ku niemu oczy pełne blasku. Nie odpowiedziała, lecz czuła w tej chwili głęboką wdzięczność dla człowieka, który ofiarował jej swą przyjaźń i chciał pod wpływem jej spojrzenia dążyć do doskonalenia się. Była kobietą, a zatem matką z powołania. Potrzebę

jej duszy była opieka nad kimś droгим, ktoby się jej powierzył, ktoby jej ufał i komu-by ona była niezbędną.

— Chciałbym, żebyś ty mi, Józiu, syna mego wychowała — rzekł nagle Zygmunt, postępujący obok niej w milczeniu.

— Widać nie byłam godną wychowywać dziecka, — odparła Józefa — kiedy mi Bóg macierzyństwa odmówił. Zresztą dziecko, to zbawienie Mani. Zobaczysz, może będzie obojętna z początku, ale małośćwo oplącze powoli jej serce... stanie się ono celem w jej życiu. Zapomni, że jest piękną kobietą, a poczuje się matką.

— To jest moja nadzieja!... Dlatego tak drzę, gdy Mania popełnia nieostrożności, mogące ją pozbawić spodziewanego błogosławieństwa... Józiu, jestem dziś ogromnie szczęśliwy! Tak sobie wiele, wiele obiecuję po naszej przyjaźni... Przynajmniej będę czuł obok siebie jedną duszę... Ale teraz muszę się pożegnać. Mój koń się niecierpliwi i w fabryce na mnie z rachunkami czekają.

Zygmunt, oddalając się, myślał o wdzięku i pociesze, jakie na jego życie spłyną z przyjaźnią Józefy. Ona, idąc ku domowi, mówiła sobie, że skoro on jej ufał, skoro jej potrzebował, ona nie zawiedzie jego zaufania. Będzie się wznagała na rozum, na takt, na siłę, na dobroć, żeby Zygmunt, póki ona będzie w Zarębiu, nigdy nie odniósł się napróżno ani do jej serca, ani do jej rozumu! Gdyby jej się tylko udało wynaleźć w Mani, w tej kobiecie, którą on kochał, choćby jedną taką strunę duchową, którą-by można było poruszyć i od której można-by było zacząć pracę nad młodą kobietą. Żeby w ten umysł, zatopiony w próżności i egoizmie, wprowadzić choćby jedną myśl, zbliżającą go do poglądów Zygmunta. Trzeba tylko było postępować bardzo oględnie, nie spłoszyć niczem zaufania Mani i czekać cierpliwie chwili sposobnej.

Ponieważ dnia tego nikt się na obiad nie zjawił, więc Mania postanowiła jechać na wieczór w sąsiedztwo. Czas był prześlizchny, trzeba było z niego korzystać... należało też koniecznie pooddawać wizyty.

— Jak już żadnego stanika nie będę mogła włożyć, to wtedy będę siedziała w domu!

Zygmunt poruszył się niecierpliwie, ale spotkał błagalne wejrzenie Józefy, odparł więc:

— Pojedziemy, jeżeli cię to bawi.

— Każ zaprzęgać, ja tylko trochę ubiór poprawię.

— Może chcesz — rzekła Józefa po wyjściu Mani — bym ja pojechała zamiast ciebie? Taka stara kobieta, jak ja, jest doskonałym porte-respect.

— Czybyśmy nie mogli spokojnie dziś w domu siedzieć! Pójść sobie na spacer we troje... Mania mogła-by raz zrobić to dla mnie!



— Bądź wyrozumiałym dla niej... w jej naturze leży taka wieczna potrzeba ruchu... ale się to zmieni, zobaczysz!... Ja i teraz widzę w niej postęp ku dobremu: Jest łagodniejsza... tylko nie wymagajmy od niej więcej, niż dać może... Powoli przerobi ją miłość dla dziecka i miłość dla ciebie!

— Oo...

— Po swojemu, ale cię kocha. Może nawet sama nie zdaje sobie z tego sprawy, jednak ma ona dla ciebie uczucie.

— Smutna rzecz, gdy mężowi wnawiać to potrzeba!

Zygmunt ostatnie słowa wymówił z ironią i goryczą.

— Kocha mię, mówisz — ciągnął dalej — a nie zrobi mi nigdy najłżejszego ustępstwa! Czyż ona nie widzi, że ja takiego życia, jakie ona lubi, pędzić nie mogę!... Toć w końcu stałbym się takim głupcem, jak Zlewscy! Dawniej ci panowie u mnie nie bywali... to Mania sprasza sobie takie towarzystwo! Ale ja nie mogę czasu tracić bez końca na rozmowy, z których najmniejszej korzyści wyciągnąć nie można, ani na gry i zabawy, które tylko służą do zabicia godzin, dni, tygodni, miesięcy... takich próżnych, takich bezmyślnych miesięcy, po których tylko niesmak pozostaje!

— Tak, ale masz obowiązek...

— Nie, nie mam obowiązku znizać siebie moralnie i umysłowo dla dostrojenia się do tonu tego towarzystwa, które mi dom zachwascza. Mąż nie ma obowiązku zaniedbywać wszystkiego, co było jego przyzwyczajeniem, jego zamiłowaniem, jego pracą, dlatego, że musi pilnować flirtującej żony. Ty nie wiesz... całą zimę miałem taką!... Gdybym chciał nie opuszczać Mani, gdy się przy niej znajduje głupi młodzieniec, tobym musiał zaniedbać mego gospodarstwa, fabryk, wszystkiego!

— Nie możesz jednak żyć na swoją rękę... młoda, żywa kobieta, łatwo coś nietaktownego popełnić może...

— Kiedy ja jej nawet do nietaktowności przeszkodzić nie potrafię! Mnie takie próżne i próżnujące towarzystwo tak ogłupia, że się staje jakimś manekinem.

— Manekin męża już bardzo dużo znaczy dla kobiety.

— Dziękuję ci za rolę, jaką mi przeznaczasz w życiu Mani!

— Zaraz pierwszego dnia uchybiamy naszym przyrzeczeniom. Mieliśmy nie mówić wcale o tym przedmiocie...

— Kiedy to jest przedmiot, będący moją myślą wyłączną! Jakże być szczerym, nie mówiąc o nim? Nie mogę spokojnie przechodzić na rolę manekina w tym domu, na rolę pantofla!... dogodnego męża!... Chciałem Manię przeciągnąć na moje wiary, ale gdy mi się to nie udało pomimo usiłowań, musimy iść każde swoją drogą. Nie mogę

przecie rozpoczynać otwartej wojny domowej! Znasz Manię: nie ustąpi, chyba pod przemocą. Cóż wreszcie robić będzie, gdy rozpędzę jej towarzystwo? Doprowadził-bym ją do szaleństwa, gdybym jej wolę moją narzucał przemocą... Ja zresztą nie mogę żyć w walce, w kłótni, w nienasce z tymi, którzy mię otaczają; to przechodzi moje siły! Może trochę za miękko byłem wychowany. Hasłem mojej matki było: *wszystko przez miłość*. Tak chciałem postępować z Manią, ale w tym razie teorye mojej biednej matki okazały się płonne. Probowałem kłótni i gniewu, w tem przecież wytrwać nie umiem. Zresztą Mania na gniew odpowiada gniewem! Jestem od niej silniejszy fizycznie, ale bić jej przecie nie mogę! Trzeba więc żyć, jak można, i raczej być pantoflem, niż gburem, albo się z nią rozłączyć.

— Rozłączyć? Zygmuncie, co ty mówisz?

— Ah, tak, przysiągłem, że jej nie opuszczę aż do śmierci! Żonę bierze się na całe życie! Czy jest lalką bezduszną, czy kobietą wedle naszych marzeń, trzeba z nią spędzić wszystkie dni żywota!... Daruj mi, Józiu... widzisz, uniosłem się znowu... Jestem strasznie rozdrażniony, kiedy nie umiem już mówić spokojnie... Staję się nawet niesprawiedliwym! Dzisiejszy powód do gniewu nie usprawiedliwia mego uniesienia. Przecież każda kobieta ma prawo chcieć pojechać w sąsiedztwo... Tylko nie można ludziom pokazywać takiego zgryźliwego jegomości, jakim ja jestem, i dlatego przyjmuję twoją ofiarę, Józiu. Jedź z Manią do Szarogórskich!

— Jesteś przepehiony goryczą i musisz skończyć na tem, że będziesz niesprawiedliwy! Pamiętaj, że żona twoja to dziecko prawie. Ma lat dwadzieścia zaledwie... potrzebuję wesołości, śmiechu, zabawy...

— Lat dwadzieścia... Czy byłaś taką, jak Mania, w tym wieku?

— Byłam może inną, ale lubiłam się śmiać, lubiłam się bawić...

— Byłaś inną Józiu, byłaś inną!

Zygmunt zamilkł nagle, spuścił oczy ku ziemi. Po jego twarzy przebiegł wyraz smutnej zadumy. Mówiąc do Józefy, przypominał sobie Rzeweckiego, i jakiś ból ogólnoludzki, oderwany, ale pełen goryczy, przejął jego serce. Przeznaczenie wydało mu się złośliwą jakąś siłą, stawiającą na drodze każdego życia zaporę do szczęścia. Józefa była inną kobietą, niż Mania, a czy ona zaznała tej dobrej, kobiecej doli, w której miłość jest drogowskazem? Nad jego głowę zaciężyło straszne przeświadczenie o cierpieniu, przeznaczonem każdemu. Niedawno jeszcze nadzieja młodzieńcza mówiła mu o wianie pomysłności, przygotowanem dla wszystkich; teraz strach go przejmował na myśl o fatum, kładącym najczęściej cierpienie w kołyskę dziecka, cierpienie, które przez życie wyboleć trzeba było do ostatka, jak się do kropki wypija napój ze szklanki.

Zygmunt sam pomógł wsiąść do powozu żonie i Józefie, potem stał u drzwiczek przez chwilę, przyglądając się Mani. Włożyła jasną suknię i kapelusz, które coś radośnego dodawały do jej rozradowanej twarzy. Wyjeżdżając z domu, miała zwykle ten wyraz wesołości.

— Z taką radością ucieka, jak ptak z klatki! — pomyślał Zygmunt. — Ona nie kocha ani tego domu, ani naszej przyszłości, ani mnie! Myśli o olśnieniu Szarogórskiej nową wiosenną suknią i o wywołaniu w jej mężu zachwytu swemi wdziękami. Kocha i podziwiała tylko siebie!

Zamysłony poszedł do ogrodu.

Wieczór był ciepły, wonny, pełen wiosennych odgłosów i wiosennej poezji. Zygmunt odczuł to wszystko jako wspomnienie. Jakże on niegdyś lubił podczas takiego wieczoru puścić wodze marzeń i układać sobie przyszłość własną wedle ideałów noszonych w piersi. Zawsze myślał, że dopiero wtedy poczuje pełnię życia, gdy będzie mógł wziąć pod ramię rękę kobiety ukochanej, kobiety, którą nazwie żoną, i zwierzyć jej wszystko, co mu na sercu leżało; że dopiero wtedy skończy się dla niego tymczasowość, a zacznie się życie konsekwentnej pracy i czynu. On i ta kobieta mieli oddychać jedną myślą, jednemi celami, jednemi nadziejami. Miłość miała im być siłą, miała być słońcem ich żywota.

Zygmunt rozśmiał się gorzko, tym śmiechem, który sprawia ból. Jaki on był śmieszny, jaki litości godny z temi marzeniami, z których rzeczywistość zdrwiła sobie tak okrutnie!

Mania wróciła późno. Spała jeszcze nazajutrz, gdy Zygmunt wymknął się cicho z pokoju. Lubił gospodarstwo rolne, zajmował go świeżo w odziedziczonych majątkach wprowadzony płodozmian. Postanowił przed śniadaniem objechać konno pola. Od paru lat jego rządów widoczny był wszędzie postęp. Wzorowa orka radowała oko znawcy, ulepszenia poczynały wydawać owoce.

— Jak się to kocha kąt ziemi, na którym się pracuje... każdą prawie skibę! — myślał Zygmunt, rozglądając się po zielonych obszarach, błyszczących w słońcu. Radość rozlana w naturze objęła i jego serce. Nawiedziły je jakieś mary słonecznych chwil w przyszłości, jakichś uciech, które mu jeszcze życie przynieść mogło.

Gdy wyjechał na małe wzgórze, przez które prowadziła droga polna ku domowi, oko jego uderzonem zostało szeregiem furmanek i pieszo idących mężczyzn i kobiet. Przypomniał sobie, że to był dzień dorocznego jarmarku w Werechowie. Lud okoliczny czekała rokosz przebycia dnia całego w miasteczku, na targach z żydami i rozmowie ze znajomymi. Od Zarebia ku gościńcowi, jakby dopływ rzeki, dążyli też ludzie odświętnie ubrani. Zygmunt, jadąc śpiesznie, począł ich wy-

mijać, gdy ujrzał z daleka, na zawrocie drogi, biegnącej ku zabudowaniom dworskim, kobietę, ciągnącą z całych sił dwie krowy za rogi. Krowy opierały się, rycząc, kobieta, krzycząca i przeklinająca je głośno, biła je powrozem i chciała zmusić do posłuszeństwa. Zygmunt, zbliżywszy się, poznał Marcinową, żonę furmana. Prowadziła krowy swoje i cielę na jarmark.

Ujrawszy pana, przestała bić krowy, jedną ręką tylko trzymała powróż, do którego były przywiązane, drugą wzięła się pod bok i patrzyła na Zygmunta wyzywająco. Widywał ją zawsze pokorną i uniożoną, zastanowiła go więc jej arogancka mina. Zatrzymał się tylko na mgnienie oka i, nie pytając o nic, pojechał dalej. Zrozumiał wymowę tej niezwyklej postawy. Marcinowa szła do Brazylii i czuła się panią, czuła się niezależną. Jutro jej mąż przestanie służyć, więc ona już dziś nie uznaje żadnej władzy; może sobie stanąć z pięścią wpartą w bok i nie usunie się z drogi nikomu. Tryumfująca jej mina dostatecznie podkreślała jej myśli. Biedny Marcin! Ta niewiasta była zapewne dla niego najwyższą instancją we wszelkich sprawach życiowych. Emigracja do Brazylii było niezawodnie przez nią postanowionem.

W Zygmuncie zawrzał gniew nagły. Miał szaloną ochotę zawrócić i na plecach Marcinowej, której razy zadawane krowom słyszał znowu za sobą, spróbować giętkości swej szpicruty. Ścisnął jednak tylko konia ostrogami i pogalopował do domu.

Przy stole, zastawionym do śniadania, zastał Józefę, trochę bladą i zmęczoną, i Manię w niebieskim szlafroku, różową, wypoczętą, prześliczną. Miała wyraz rozradowania i uciechy; rumiane usta zdobił uśmiech.

— Wiesz — zawołała, wybiegając naprzeciw mężowi — urządzam tu dzisiaj majówkę! Zastałyśmy wczoraj u Szarogórskich liczne towarzystwo... przyszło mi na myśl zaprosić wszystkich na dziś do lasu... Wiesz, na tę śliczną polankę, na którą mię wozileś przeszłego roku! Przypomniałam sobie, że się to przecie w maju urządza majówki. Zadysonowałam już wszystko, tylko mi będzie potrzeba fur do przewiezienia mebli, dywanów, naczyń stołowego i jedzenia.

Zygmunta, patrzącego na żonę, wyglądającą prześlicznie w ranem ubraniu, przejęło nagle wspomnienie chwil poślubnych i owego dnia, kiedy jej pokazywał w lesie śliczną miejscowość, o której właśnie wspominała. Przycisnął Manię do piersi z jakimś uczuciem wdzięczności i zapalu.

— Pamiętasz, Maniu?... — szepnął — jacyśmy byli szczęśliwi...

Ona spojrzała zadziwiona nagłym wybuchem.

— Pamiętasz? Proponowałam ci, że wystawię tam domek i że będziemy tam przyjeżdżać, żeby być zupełnie sami... żeby nie słyszeć

nawet odgłosu ludzkich kroków i mowy... Byliśmy wtedy tak szczęśliwi!

— A cóż nam teraz brakuje? — odparła Mania roztargnionym tonem. — Ah! a jakże my oświecimy las wieczorem? Toby trzeba kolorowych latarni! Żeby tu był Edzio, to onby mi zaraz poradził we wszystkim! Trzeba posłać do Datnowa po latarnie! Cztery mile tam, cztery napowrót, to ośm godzin... O, będzie jeszcze na czas! A mogłam była zapomnieć przy tylu rzeczach, które mam na głowie!

Wybiegła z pokoju. Zygmunt z westchnieniem usiadł przy stole.

W domu rozpoczął się rozruch. Służba biegła, rozsyłano posłańców po sprawunki i z zaproszeniami. Mania była w swoim żywiole.

— Najprzyjemniejsze takie improwizowane zabawy — mówiła do Józefy, przebiegając koło niej. — Nic się wtedy nie wymaga, ze wszystkiego jest się zadowolonym... Swoją drogą, mojej majówce nie brakować nie będzie... nawet Szarogórska nic nie znajdzie do zarzucenia, choć wiem, że będzie zła!

— Będzie zła? Dlaczego?

— Bo sobie obmyślałam toaletę... no zobaczysz... trochę oryginalna, ale na majówkę w lesie...

Wszystkie starania Mani uwięzione zostały pomyslnym skutkiem. Toaleta była prześliczna, bawiono się, pito szampana, palono ogień, chodzono po lesie przy dopisującej pogodzie. Kwartet męski, prowadzony i wyuczony przez jednego z sąsiadów, dobrego muzyka, dał się uprosić i wykonał kilka pieśni. Pani Szarogórska była tak dobrze ubrana i tak jej w żółtym kolorze było do twarzy, że nie zazdrościła nikomu powodzenia. Była to brumetka, o nieregularnych rysach, lecz bardzo pięknych oczach; o manierach trochę zbyt śmiałych, mowie zbyt głośnej. Bywała bardzo grzeczna i czuła w oczy, lecz za oczy wszystkich obmawiała, lubiła skandale, dwuznaczniki, rozmowy, przy których panny obecniemi być nie mogą, romanse francuskie, najbardziej naturalistyczne, i wino, które piła jak wodę, doznając tylko małego podniecenia i ożywienia. Pochodziła ze znanej rodziny i odebrała staranne wychowanie; przybierając najgorsze maniery, czyniła to przez wyraźne upodobanie i z zupełną świadomością tego, co czyniła. Obie z Manią, zachwycone pomysłem majówek, postanowiły urządzić cały szereg. Kawalerskie domy powinny też były złożyć swoją daninę zabawy. Obie panie zgodziły się na to, że na początek bracia Zlewscy powinni byli wybudować u siebie w lesie salę balową i dać bal.

— Tylko żeby to było jak najprędzej — mówiła Mania — bo pani wie... mój czas jest drogi.

Starszy z braci Zlewskich, zagadnięty przez Manię, zgodził się na urządzenie tańczącej majówki, ale jeżeli Mania przyjmie ją wyłącznie dla siebie i uzna, że ją przyjmuje i pojmuje w ten sposób.

— Sprawa wygrana! — zawołała Mania, podbiegając ku Szarogórskiej i otaczającemu ją gronu. — Pan Zlewski daje nam majówkę, stawia salę balową, bez ścian, ale z wyśmienitą posadzką... zgadza się na wszystko, tylko pragnie, bym ja się uznała inicjatorką i wogóle patronką tego balu. Oświadczam więc głośno, że majówkę przyjmuję jako dar dla siebie, dzieląc się nim ze wszystkimi, którzy tańczyć lubią!

— Doskonale! — zawołała Szarogórska — niech to będzie hołd, złożony pani Bielmońskiej! Nie będziemy się obrażać ani formalizować!

Zygmunt, który słyszał odezwanie się Mani, zmarszczył czoło. Nie podobała mu się ta majówka, przyjmowana przez jego żonę, jako hołd dla siebie. Mania powinna była wyżej nosić swą godność kobiecą, nie naśladować Szarogórskiej w swobodzie słowa i przyjmowaniu grzeczności.

Zbliżył się do żony:

— Maniu! Chodź ze mną na chwilę.

A kiedy byli sami wśród zarośli:

— Nie życzę sobie, byś tę majówkę przyjmowała od Zlewskiego. Jeżeli chcesz, wybuduję ci salę balową tu, na tej polance, i dasz bal, ale nie pojedziesz do Koprzewina.

— Ty mi do wszystkiego zawsze musisz przeszkadzać — zawołała Mania. — Przyjmowanie u siebie zawsze męczy, a tam pojechała-bym na gotową zabawę! Przecież to żart, że ta majówka dla mnie! Bal jest dla wszystkich, co na nim tańczą! Ty się zawsze przyczepisz do lada słowa! Zmiluj się, nie róbcie mi tu scen i komedyi!... nie podawaj się w śmieszność!... Czy jest co nieznośniejszego, jak zazdrośny mąż!

— Maniu, ja ci nie chcę robić scen, ale nie mogę pozwolić, by moja żona narażała się na obmowę... by przybierała pozory kobiety lekkiej...

— Ach, Boże, przecie się nie kocham w żadnym z braci Zlewskich! Ułożyłyśmy sobie z Szarogórską, że wprowadzimy w modę majówki, dawane przez kawalerów, i postanowiłyśmy namówić Zlewskich, a ty zaraz występujesz, jak jakiś tragiczny Otello! Daj mi przynajmniej teraz pokój! Patrz, Szarogórska tu spogląda! Niechże się po okolicy nie rozniesie, że ty mi sceny o najmniejszą rzecz robisz.

Wróciła do gości. Zygmunt ze zwieszoną głową poszedł w las. Czyż on doprawdy dochodził do kłótliwego pożycia z żoną? on, który marzył niegdyś o stworzeniu kobiecie swego wyboru rajy na ziemi? Może za surowo obszedł się z Manią? Czy warto tak dbać o sądy ludzkie, gdy w gruncie rzecz była żartem tylko? Ale gdyby Mania go kochała, tak jak on miłość rozumiał?...

— Czy mnie szukasz, Zygmunco? — ozwał się obok niego głos Józefy. — Przychodzisz ze światła i nie widzisz. Ja ciebie widzę bar-

dzo dobrze. Co za przesłiczna noc. Znalazłam sobie doskonale siedzenie tu niedaleko... na wywróconej sośnie...

— Gdzież to jest?

— Ot tu.

— Usiądźmy trochę. Tak mię to towarzystwo męczy...

Usiedli. Przez długą chwilę milczeli. Od oświeconej polanki dochodziły ich dźwięki zmieszanych głosów. Potem wyraźnie zadzwonił śmiech Mani.

— Józiu!

— Co?

— Jak długo zwykle kobieta kocha męża?

— Nie rozumiem cię.

— Jak długo po ślubie trwa miłość żony dla męża?

Józefę wspomnienie pożycia jej z Oskarem ścisnęło za gardło. Nie odpowiedziała. Wśród ciemności Zygmunt nie mógł widzieć jej zmieszania. Nie doczekawszy się odpowiedzi, ciągnął dalej:

— Chciałbym to wiedzieć przez prostą ciekawość...

— Takie mi dziwne zadałeś pytanie... Miłość żony trwa zwykle całe życie.

— Całe życie? — Zygmunt zaśmiał się gorzko. — Masz mię za dziecko, które trzeba utrzymywać w słodkich i moralnych złudzeniach! To był system matki mojej. I ona mówiła mi o tych istotach, oddanych obowiązkom swoim, kochających do grobu... o tych aniołach stróżach ogniska domowego... ale mistyfikacya skończona. Udała się wysnienicie, trzeba jednak wyznać w końcu, że była tylko obliczona na chwilowe zamydlenie oczu. Całe życie! Jakto? do grobowej deski nie usiłować nigdy podobać się innemu, nie wzbudzić nigdy żywego zajęcia, nigdy, pokazując białe ramiona, nie myśleć o wrażeniu, jakie czynią na obcym mężczyźnie, nigdy nie pragnąć wyczytać w jego wzroku pożądliwości... Ach, Józiu, na jaki ty post, na jakie szalone umartwienie chciała-byś skazać te panie! Nie można im tego odbierać! Umarły-by z nudów i z głodu! A nie mów mi, że one kochają swych mężów, kokietyując innych. Widzisz, miłość jest to takie uczucie, które człowiek w sobie szanuje; bo to jest siła, bo to jest godność! Ale one, już odchodząc od ołtarza, przy którym brały ślub, myślą o zawróceniu głowy družbom, przyjaciółom pana młodego! Dopiero niedawno zrozumiałem zwyczaj zapuszczania pannie młodej welonu na twarz. Ma ją to ochronić od rzucania spojrzeń zalotnych przez jeden dzień w życiu!

Józefa patrzyła na towarzysza z przestraszaniem. Nie mógł widzieć jej wzroku, ale go odczuł wśród ciemności.

— No, przyznaj Józiu — zawołał — iż to twoje „całe życie” jest tak zabawne, że się z niego śmiać trzeba!

I zaśmiał się jakimś przykrym głosem.

— Mówisz tak, jak gdybyś nie miał matki! — zawołała Józefa.

— Matka moja jest to taki wyjątek nadzwyczajny, który potwierdza tylko regułę! I pokazuje się, że natura wyjątków nie lubi, stara się po swojemu zaradzić wypadkom wyjątkowym... Matka moja została młodo wdową... i ty Józiu także... ty, która też nie była-byś zdolną zdradzić męża swego...

Józefa bardzo wzruszona wstała z siedzenia i rzekła przytłumionym głosem:

— Mylisz się... nie chcę byś mię sądził inaczej, niż na to zasługuję... byłam złą żoną...

— To nieprawda!... ja temu nie wierzę... tyś do zdrady niezdolna!

— Serce moje zdradzało Oskara, bo go nie kochało! Ach, poco mię zmuszasz do takich wyznań? Nie kochałam innego, nie myślałam o podobaniu się, ale nie umiałam ocenić Oskara... Wyszukiwałam w nim strony słabe... jego małe ułomności urastały w moich oczach do rozmiaru wad potwornych i wstrętnych... nawet powierzchowność jego stała mi się nieznośną! Byłam bardzo, bardzo złą żoną i kłamliwą kobietą, bo przed ludźmi udawałam przykładność... Dopiero na łożu śmiertelnem Oskar wydał mi się tem, czem był: człowiekiem z wadami, nie usprawiedliwiającemi jednak mojego z nim postępowania. Byłam z nim przez cały prawie ciąg naszego pożycia zimna, nieprzystępna, zamknięta w sobie, ze skąpstwem kryjąca przed nim wszystko, co było moim światem wewnętrznym... Byłam gorszą żoną, niż te panie, które lubią się bawić, lubią się podobać, ale nie krytykują, nie poniżają męża ciągle i zawsze we własnych myślach! Byłam hypokrytką ze ze wszystkimi; pozwalałam na to, by mię sądzono inaczej, niż zasługiwałam. Oszukiwałam wszystkich..., oszukiwałam i ciebie, który masz mię za przykładną kobietę! Jedno tylko... Żałoba moja dzisiejsza nie jest kłamstwem! Ja naprawdę oplakuję tego człowieka, względem którego obowiązki moje spełniałam tak źle... i... i żałuję za grzechy!

Józefy głos się urwał, zakryła twarz rękami.

— Poco ja tę rozmowę wywołałam — zawołał Zygmunt. — Daruj mi, Józiu! Ja to wszystko, coś mi powiedziała, powinienem był wiedzieć... ja to wiedziałem, domyslałem się... Ja co innego chciałem powiedzieć... Na myśli miałem inną zdradę, zdradę dobrowolną, której ty nie dopuściła-byś się, wiem to dobrze.

— Zapewne. Miałam zawsze wstręt do miłości zakazanych i tajemnych... do tych tysięcy oszukaństw, które pociągają za sobą... do okradania innych kobiet z miłości ich mężów... do zabierania pannom młodych ludzi, którzy się im, nie nam mężatkom, należą... Ale nie



miałam w tem zasługi... Nie lubiłam kokietować... brakło mi zamiłowania i talentu... To była cnota bezwiedna, za którą nie należy mi się żadne uznanie! Nie przeszłam też nigdy przez żadną walkę wewnętrzną... nie potrzebowałam czynić wyboru między cnotą a występkiem... Nigdy żaden mężczyzna nie zainteresował mnie żywiej od czasu małżeństwa mego.

— A gdyby cię był zainteresował?

— Zdaje mi się, że była-bym w porę przed pożarem uciekła! Wyobraźnia moja nie była nigdy podstępna współniczką występku... Nie poddawała mi nigdy rojeń niebezpiecznych... Nie marzyłam o miłości... Miałam Manię, moje zakłady dobroczynne, składki moje... Nie pragnęłam być kochaną, ani kochać miłością. Zdaje mi się, że nie była-bym sobie pozwoliła na to, co Stendhal nazywa „krystalizacją miłości”

— Nie znam tego orzeczenia.

— Krystalizacją nazywa on pracę imaginacyi nad zrodzonym uczuciem miłości. Okruszyna zeschniętego drzewa w grocie wilgotnej pokrywa się błyszczącymi solami i staje się lśniącem kryształem. Miłość z początku bywa taką martwą okruszyną... powoli wyobraźnia, marzenie, czynią ją tem świetnem zjawiskiem, które w końcu absorbuje całą uwagę, wszystkie siły jednego istnienia... staje się twardym kryształem, nie dającym się już zniszczyć. Otóż we mnie była-by się może znalazła przewaga uczciwości, nie pozwalającej na taką pracę imaginacyi.

— Przepraszam cię, Józiu! — rzekł Zygmunt pokornie. — Daruj mi, żem cię doprowadził do takich wyznań...

— Ja ci owszem dziękuję! Pomimo hypokryzyi, którą żyłam, miałam zawsze potrzebę szczerości i dobrze mi jest, żem po naszym przyjacielskiem przymierzu pokazała ci głębi duszy mojej. Przykro-by mi było pozować zawsze przed tobą na cnoty, których nie miałam... Dobrze się stało, żeś moje zamknięte serce zmusił do szczerości. Teraz już masz mię bez maski... zrzuciłam ją przed tobą i jest mi lżej! Dziękuję ci!

Zygmunt wziął ręce Józefy.

— Nie doznałem żadnego rozczarowania, Józiu! Owszem, bardziej cię jeszcze szanuję! Powiedziałaś mi prawdę o sobie... byłaś szczerą ze mną... ja tego tak pragnąłem. Jeszcze tylko jedno. Więc nie kochałaś nigdy nikogo?

— Idąc za Oskara, wymarzyłam sobie w nim ideał... ideał ten kochałam. Miłość moja osłabła wkrótce, potem znikła... A teraz, Zygmunco, idź do gości swoich... mnie zostaw tu jeszcze chwilę... tak mi się wspomnienia podniosły w duszy tłumnie...

Zygmunt odszedł, lecz nie zaraz wrócił do gości. Wśród ciemności nocnych szedł znaną sobie leśną ścieżką. Jakieś zadowolenie niejasne a nagle napełniało mu piersi. Spowiedź Józefy dała mu zadowolenie, gdyż stwierdzała ich wzajemną szczerłość i przyjaźń. Wkrótce jednak sam przed sobą zeznał, że radowało go szczególnie to, że Józefa nie kochała męża swego, a zatem teraz nie mogła kochać jego wspomnienia. Jakże to było dobrze, że ona w sercu nie miała żadnej miłości!

— Biedny Oskar — mówił sobie Zygmunt — jakże ja go nie lubiłem w głębi duszy, kiedy mię to cieszy, że on nie posiadał miłości tej kobiety.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ZOFIA KOWERSKA.

---

# ŹRÓDŁA

## DO DZIEJÓW LITERATURY I OŚWIATY POLSKIEJ.

---

### V. Wiersze polskie średniowieczne.

Dziwnym zaiste nazwie ktoś pomysł odrywać uwagę czytelnika, czy to od zgiełku spraw bieżących, czy od zajęć wdzięczniejszych, aby skierować ją w czasy odległe, na pola jałowe, z których zdawało-by się prace poprzedników już wszystko wycisnęły, a żadne ważne odkrycia do nowych badań nie nawołują. Mimo to, skłonił nas niejedyn wzgląd do kreślenia następującego szkicu, zajmującego się początkami poezyi polskiej. Że badacz chętnie ku początkom się zwraca, że ciekawie pyta, skąd pierwsze nasienie wiatr przyniósł, na jaką naprzód zapadło ono glebę, czy nie można w kiełkującym zarodku jakich rysów znamienych na przyszłość się dopatrzeć—łatwo zrozumieć, tembardziej, jeśli chodzi o początki literatury, skarbnicy języka i myśli przodków, świadka najwiarogodniejszego ich życia i czucia, niestety, skazanego nader często na zagładę przez niedbalstwo współczesnych, a niebaczność późniejszych. Jeszcze więcej zaś nęci takie zadanie, jeżeli zdołamy przytem usunąć uprzedzenia i oddać przeszłości, co jej przynależy, choćbyśmy mieli późniejszym wawrzynów nieco uszczuplić.

Wszechstronne badania piętnastego wieku, mianowicie liczne źródłowe publikacje, pogłębiają i rozświecają coraz to więcej jego tło

historyczne, wyjaśniają charaktery, sytuacje, stosunki ekonomiczne, kościelne, państwowe; ale przeszłość to zakłeta niby, własnem żywem słowem, zdaje się, nie odezwała się nigdy,—grube warstwy łaciny przykrywały ją tak szczelnie, że się z pod nich język narodowy wydostać nie mógł. Ale to uprzedzenie, którego się pozbyć należy, chcąc w dziejach kultury tego wieku narodowemu językowi przynależne wskazać stanowisko: wszechwładza łaciny jest uludą, przesłaniającą stosunki rzeczywiste; panowała ona, nie przeczymy, ale tylko na piśmie, nigdy w mowie, tylko w kaście uczonej, nie w narodzie, w szkole, nie w życiu. Stosy łaciny, jakie wiek piętnasty w Polsce zapisał, kroniki, akta, kazania, wiersze, każą nam zapominać, że znajomość łaciny w tym wieku o wiele mniej ogólną być mogła, niż w następnym, gdzie tyle szkół i ksiązek nabycie jej nawet kobietom i rzemieślnikom ułatwiało. Jeszcze na początku XVI-go wieku, w r. 1515, kanclerz Krzysztof Szydłowiecki, zaproszony i powitany przez rektora wszechnicy w języku łacińskim, odpowiada po polsku słowami: „ja, jako Polak, a więc w polskiej rzeczy (t. j. mowie), niż w łacińskiej, zwyczajony i t. d.“; jeżeli tak mówi o sobie pierwszy urzędnik państwa, jakżeż było niżej? Ludzie świeccy, kobiety mianowicie, łaciny nie używali, ale ich raptularze, książki do nabożeństwa i podobne polskie rzeczy zaginęły; zostały tylko owe akta i folianty, które spisywali wyłącznie żacy, t. j. klerycy, a dla nich-to, niby odciętych od narodu, łacina jedynie istniała, jako język, którego użycie samo o wykształceniu, o studiach świadczyło; ich-to wzrokiem patrzymy dotąd i my na wiek XV i jego polszczyznę. Rzeczami w mowie „pospolitej“ (vulgaris) oni gardzili; przepisując np., który podał łaciński tekst wiersza o Grunwaldzie, zaznaczył wprawdzie, że następuje teraz polski, ale ani pomyślał o tem, by go również przytoczyć. Łacina, język ogłady, nauki i świata, całą ich uwagę pochłania, i gdyby ktoś około r. 1470 towarzystwu Długosza i podobnych mu mężów podał był ówczesny wiersz polski o śmierci i pokazał, że i po polsku można coś pięknie, mądrze i pobożnie wysławić, był-by ich nie mniej zadziwił, jak—wedle opowiadania Jeza—około r. 1840 Zamoyski towarzystwo polskie, gdy, uznającemu tylko francuskie, polski romans Kraszewskiego pierwszy odczytał. Dodamy nawiasem, że nawet między żakami i mistrzami, mimo jednostronnego zaślepienia w łacinie, odzywała się przecież jakaś miłość i poszanowanie narodowego języka, jakieś ciężenie od sztucznej sfery łacińskiej ku narodowej, inaczej nie umiemy sobie wytłómaczyć liczących głos polskich w tekstach nawet takich utworów łacińskich, do których przystępował, kto już zupełnie władał łaciną; te głosy nie wyjaśniały mu niczego, chodziło mu raczej o to, jakby coś podobnego i po polsku wyrazić.

Dowiedliśmy w pierwszym naszym szkicu („Bibl. Warsz.“, 1891, I, 241—258), że w XV wieku kazania mówiono, z pewnemi wyjątkami, wyłącznie po polsku, pisano je zaś wyłącznie po łacinie; brak polskich pisanych kazań niczego więc nie dowodzi; podobnie brak polskich wierszy pisanych nie wyklucza możliwości, że wiek piętnasty znaczną ich liczbę posiadał; dowód zaś tego przeprowadzimy niżej.

Otóż jedno uprzedzenie, które sami współcześni wywołali, pisząc wyłącznie po łacinie; inne powstało później, dla krótkiej panięci szesnastego wieku i żywej a trwałej niechęci, jaką ku piętnastemu odczuwał. Przyczyny tej niechęci jasne: czy protestant, czy humanista, obaj gardzili wiekiem piętnastym, ów dla zabobonów, ten dla barbarzyństwa; ale szczególnie zarzut ostatni zupełnie niesłuszny: żaden wiek poprzedni nie zrobił tyle dla wiedzy i światła, co właśnie piętnasty, a o upadku nauk i wykształcenia chyba ten mówić może, kto wieku tego w jego pracy nigdy nie śledził. Niepomny na to i uiewdzięczny humanista od siebie i swoich nową erę liczy; w Polsce występuje nawet z pretensją, że dopiero od jego czasów polski wiersz nastal. I rzeczywiście, chętnie przyznamy Kochanowskiemu, że na skale pięknej *Kalliopy* „dotychczas nie było znaku polskiej stopy,“ ale niepamięć mu wytkniemy, gdy, poprzedników wyliczając, tylko Reja, Trzecieckiego i Górnickiego wymienił. Poczył przed nim rzeczywiście nie było, ale wiersze takie, jak tych trzech, dawno przed nimi pisano; wręcz zaś razi wzmianka o Górnickim, którego wtedy chyba grzeczność i *camaraderie* poetą nazwać mogły. Otóż znowu uprzedzenie, które od Reja wierszopisarstwo datuje, jakby ono z głowy jego, niby nowa *Minerwa*, samorzutnie wystąpiło; Rej tymczasem przejął wiele gotowego od poprzedników, a zasługa ogranicza się do tego, że niez mordowanie tyle tak różnorodnych rzeczy pisał, że o wielkie kompozycje pierwszy się kusił, że światła, jak poprzednicy, pod korzec nie chował.

Warując więc już piętnastemu wiekowi pierwsze wyćwiczenie wiersza polskiego, stworzenie dla niego formy i wysłowienia, postaramy się ogarnąć tę spuściznę literacką, te jej szczegóły głównie uwzględniając, do których wyjaśnienia czemś nowem przyczynić się możemy.

Spuściznę tę wypadalo-by podzielić na dwie grupy: wierszy świeckich i religijnych; powstaną przez to bardzo nierówne działy, a przy religijnym nastroju, jakiego produkcya literacka średniowieczna tak łatwo nabiera, trudno nieraz wiersz świecki od religijnego odłączyć. Uporawszy się więc w krótkości z grupą pierwszą, zajmiemy się przeważnie drugą.

Między wierszami treści świeckiej najwięcej było tych, które dzisiejsze gazety, a raczej nadzwyczajne ich dodatki, zastępowały; każde ważne, wstrząsające zdarzenie, ujęte w relacyę wierszowaną, rozcho-

chodziło się po kraju. Zatargi z Zakonem, Grunwald, Chojnice i Toruń, Warnę, wyprawę Wołoską, walki z Tatarami i t. d., aż do zabicia Tęczyńskiego r. 1461, lub ścięcia Krzysztofa Szafranca r. 1482, wszystko ogłaszały pieśni, z których nam prawie nic nie ocalało; sam nagłówek lub urywek jakiś, jeden tekst, pierwszy odgłos niechęci stanowej w Polsce, oto co dotąd z nich znamy, gdyż treść ich do rękopisów ascetycznych, których najwięcej z tego wieku posiadamy, wcale się nie nadawała; autorów tych pieśni nawet społeczeńsi z trudem-by mogli byli odszukać; formą ich był najczęściej ów uświęcony epiki średniowiecznej ośmiozgłoskowy dwuwiersz rymowany, np. w Grunwaldzkiej:

Hej, Polanie, z Bogiem na nie,  
Już nam Litwy nie dostanie,

lub w jakiejś Tureckiej: nasi

Byli Turkom groźni kiedyś,  
A cóż po tem, kiedy nie dziś.

Oprócz wierszy historycznych, zaczynały może już krążyć pierwsze „ballady“ między ludem, do których motywów głównie Zachód dostarczał, ballady o uwodzicielu, jak pani pana zabiła, o powrocie upiora-kochanka i podobne.

Miłośnemi pieśniami rękopisów również nie profanowano; zachowały nam się więc przypadkowo luźne strofy, np.

Ach, miłość, coś uczyniła, Eżeś mię tak oślepiła,  
Eżeśm się na miłość podał, Jako bych nikogo na świecie znał;

inna:

Miłuj, miła, miłuj wiernie;  
Miej go w sercu zawždy pewnie.  
Wiernie mienim, nie przemienim,  
Kto to wzdruszy,  
Dyabeł bądź pan jego duszy.

może też wiersz, poczynający się:

Nigdy temu wierzyć nie chciał, Bych kiedy tak miłować miał i t. d.

Znamy też wiersz miłośny żaka krakowskiego, mieszający polskie z łacina, ale w dalszym ciągu zupełnie łaciński. Tu też wspomnieć można o piosnkach ludowych, O słowiku, Lipka, z których tylko nazwa lub melodia zaznaczona; przeciw całej zaś masie pieśni ludowych, weselnych, śpiewanych przy tańcach, dożynkach, w noc świętojańską i t. d. walczy duchowieństwo energicznie, jako przeciw utworom bał-

wochwalczym, dyabelskim. Z wierszy dydaktycznych posiadamy wiersze Parkosza, polecające jego abecadło; wiersz Złoty o zachowaniu przy stole, o którym niżej pomówimy; wiersze o małżeństwie w urywkach, które z kazań wyjęliśmy w owym szkicu na str. 252; wiersze kalendarzowe, wymieniające główne święta doroczne lub posty; rymowane przysłowia tu także należą,—przytacza je najczęściej dopiero wiek XVI, ale że krążyły o wiele dawniej, dowodzą rękopisy XV wieku, w których czytamy np.

Gorze temu na dworze, komu się leczyć, gorzel

(gorze tyle, co biada), lub pod r. 1447:

Tak mówi sówka: sobie rzył łowka.

Więcej naturalnie wierszy satyrycznych, w których wiek piętnasty tak się lubował; najdawniejszy ów niedokończony, z samego początku wieku:

Kapłanie, chcesz polepszyć dusze swej  
Nie mów często piwa nalej,  
Boć piwo jest dziwny olej i t. d.;

najcięższy wiersz Jędrzeja Gałki za Wiklefem, pełen dosadnych wyrażeń, bystrego toku, z czasu przed r. 1449:

Lachowie, Niemcowie, wszyscy językowie,  
Wątpicie li w mowie, w wszego pisma słowie,  
Wiklef prawdę powie,

w którym szósta strofa brzmi:

Chrystowi kapłani, od Chrysta wezwani.  
Jegoż naśladowają, skutki ukazują,  
Co sam rozkazują,

(t. j. którego naśladowają, czynami ukazują, co tutaj lub raczej nam przykazują). Dalej, z końca stulecia, wiersz na chłopów, jak „chyttrze bydlą (t. j. żyją) z pany... a robią silno obłudnie;“ znaleźliśmy w znacznie młodszym rękopisie petersburskim około r. 1600 podobny wiersz, zmieniony i rozszerzony, który tu podajemy, chociaż to może nie wyrób piętnastego wieku, w każdym razie bardzo do niego zbliżony, najstarsza pewnie satyra szlacheckiej Polski:

**Opisanie przechernej i sztucznej natury chłopskiej przeciwko panom swoim.**

Kmiecie są dziwne stworzenie, Bo w nich żadnego statku nie.  
Widzą się wielkiej prostości, Ale w nich wiele chytrości.

Chodzi jako prawy wolek, Ale jest chytry pacholek.  
 Chytrszy niżli człowiek iny Nosi rad chybne nowiny.  
 Czyni sobie dziwne kroje, Gdy wywodzi pana w pole.  
 Masz wprzód do kmiecia każdego, Żąda mieć pana nowego.  
 Pochlebstwem się rad obchodzi, Pana swego często szkodzi.  
 Kiedy panu dzień odrabia, Co gorszy dobytek wprzaga.  
 A robi zawsze obłudnie, Idzie robić pod południe.  
 Na roli często postawa, Inszym pogorszenie dawa.  
 Pług przewróci, tyłcem klekce, Rzekomo pług robić nie chce.  
 Wyrzęsa namyślnie kliny, By szedł do lasa po iny.  
 Albo je wgrzebie pod bródę, By iść do lasa po różgę.  
 A gdy pana nie na roli, Lichmani kmieć po swej woli.  
 Gdy pan przygląda roboty, Robi kmieć dla swej sromoty.  
 Przeciaw wić do chrósta bieży, Za krzem wyglądając leży.  
 Lecz gdy blisko pana czuje, Tedy wielmi przytyskuje.  
 Ale kiedy daleko pan, Tedy woły stanowi sam.  
 A gdy panu rolę orze, Tylko z wierzchu onę porze.  
 Gdy pan podle pługa chodzi, Kmieć się na parobka grozi,  
 Aby tym rychlej poganiał, Iżby mu pan nie przyganiał.  
 Czeladź od pana odwabia, Do innego ją przywabia.  
 Przyniesie panu kur dwoje, A chce zapić tyle troje.  
 Drugi zerwie z gniazda kwoczkę, Przyniesie panu za pocztę.  
 Z plewami rad owies nosi, Gdy za winę pana prosi.  
 Zagrodnicy też łotrowie Kradną w gumnie i w stodole.  
 A tak to już wiedz pewnie, Żeć kmieć nieprzyjaje wiernie.  
 Przed oczyma rzekomo przyjaje, W nim nie przyjaźni za jaje <sup>1)</sup>.

Ekonomska to wprawdzie poezya, ale cały wiek przetrwała, przynajmniej ustępy, wydrukowane kursywem, powtarzają się we wspomnianym powyżej wierszu, pochodzącym pewnie z końca XV wieku. Tu, zdaje się, nawet nazwisko autora wskazać-by można; przynajmniej w wierszu łacińskim z czasu około r. 1490, między wielkopolskimi panami wymieniony też Ścibor niejaki (Poniecki?):

Za nim śpieszy ów Ścibor, wesoly i dworny,  
 Co wierszami polskimi żarty stroić umie,

który więc mógł i tę skargę panów na przebiegi chłopskie, pierwszy odgłos walki socyalnej w polskim języku, ująć w wiersz, choć niefore-

---

<sup>1)</sup> Nie znaczy tyle, co niema; *przyjaje* = sprzyja; *lichmanić* = robić лихо, mitrężyć; *przeciaw*, w rękopisie *przeciawszy*; *wielmi* = bardzo; *za krzem* = za krzakiem.



mny, z lichemi rymami, niedbale sklecony. Po Ściborze należy na tem polu wymienić owego Korybuta Koszyrskiego, zmarłego r. 1528; opój to i kostera, ale zarazem muzyk i poeta, zwany wówczas roskoszą dworu i cudem natury, którego żartami i figlami całe księgi napehnić-by można; w ciągu nieprzerwanym, po Koszyrskim nakoniec i Rej występuje, na którego może niejeden żart lub rys z Koszyrskiego przeniesiono.

Za te olbrzymie luki i braki wierszy treści świeckiej wynagradza nas sownie poezya religijna, której pomniki tak liczne i różnorodne, tak ściśle czasem, treścią i formą z sobą złączone, że pozwalają nam poruszyć i rozwiązać cały szereg pytań ogólnych, do których teraz przystępujemy.

I tak, by najdalej się cofnąć, pierwsze ich wzory przybyły z Czech jeszcze w czternastym wieku, na czele ich pieśń *Bogurodzica*, którą niebawem ogólnie śpiewano, w kościele i namocie, pod Grunwaldem i w katedrze krakowskiej, gdzie ją ósmego Marca 1440 r., po powołaniu Warneńczyka na tron węgierski, „biskup po *Tedeum laudamus* zaintonował, a cały kler i lud w nadmiarze radości wtórowali,“ jak to Koniecpolski w tydzień później w liście opisał. Przechowano nam tę pieśń w pięciu odpisach piętnastego wieku, pochodzących ostatecznie z jednego odpisu; z nich najstarszy krakowski około r. 1407, drugi krakowski między r. 1420 a 1430 pisany; inne dopiero z drugiej połowy wieku pochodzą. Późna tradycya XVI wieku, zaczepiająca, jak zwykle, o najgłośniejsze imiona, cofnęła powstanie jej aż do X-go wieku i przyznała św. Wojciecha autorem, gdy tymczasem język i treść raczej w XIV wskazują, kiedy to kult Maryi stanowczo się rozszerzał. Imie nieporozumienie zaszło jeszcze w XV wieku: pierwotny tekst, jak tego odpis z r. 1407 dowodzi, składały tylko dwie strofy Maryjne, obie zakończone odwiecznem wezwaniem *Kirye elejzon*, ale już w następnym odpisie doczepiono do tych strof zupełnie inną, pieśń wielkanocną w dziewięciu strofach, powtarzając w dziesiątej wezwanie Maryi: do tak przypadkowo sklejonej pieśni (w rękopisie pewnie następowała po *Bogurodzicy* bezpośrednio pieśń wielkanocna) z czasem nowe dodawano strofy, głównie z pieśni o Wszystkich Świętych. W rozmaitych zbiorach kazań drugiej połowy XV-go wieku zdarzyło się nam czytać, jak kaznodzieja wzywał pobożną gminę do odśpiewania z nim razem *Bogurodzicy*, czyli, jak ją już wtedy zwykle zwano, *Bogurodzicy*; była to więc pieśń, znana powszechnie.

Ale nietylko w czternastym wieku przedostawały się do Polski pieśni z Czech; powtarzało się to przez cały piętnasty, przyczem nieraz żywcem czeskie brzmienia, formy i słowa zachowywano; dopiero z czasem pozbywał się taki czesko-polski wiersz tych obcych naleciałości.

Znaleźliśmy np. legendę o św. Dorocie, napisaną około r. 1420, w której czeszczyzna zupełnie jeszcze przeważa:

Dorota, cna dziewczko czysta, Ciebie czei cyrkiew święta,  
Boś ty panna wyborna, Bogiem zwolena i t. d.,

*zwolena*, t. j. wybrana, jak w Bogurodzicy. Kancyonał Jana Przeworszczyka z r. 1435, może najdawniejszy zbiór większy pieśni, obfitował również w czesko-polskie wiersze; jego tekst np. hymnu *Salve Regina* prawie zupełnie czeski. Klerycy, wracający z Pragi, przynosili później i pieśni husyckie; o takiej może mowa pod r. 1449, kiedy na kapitule plockiej oskarżono plebana w Baboszewie, że „śpiewa w publicznych zebraniach pieśni tej treści, iż lud pod obiema postaciami komunikować należy.“

Po takich próbach, gdy się już nieco oswojono z językiem narodowym w pieśni kościelnej, gdy przełamano trudności wierszowania, zaczęto niebawem, już około r. 1400, łacińskie hymny tłumaczyć lub tworzyć polskie samoistnie. Nazwiska kilku autorów przetrwały do nas z ich dziełami; raz wymieniają oni samych siebie, nie dla próżności autorskiej, ale by się modłom tych polecić, których ich „składanie“ zbuduje. Chociaż akrostychów, t. j. wierszy, których początkowe litery imię „składacza“ wyrażają (zwyczaj odwieczny, naśladowali go u nas Rej, Trzeciecki i inni) dotąd nie znaleźliśmy; to znowu tradycja przechowała nam niekiedy imię autora. Poznajmyż kilku; są to sami kapłani, mnisi, klerycy; hołd kobietom dla Maryi, skłonność ku dydaktyce—znamienne ich cechy, powtarzające się przez następne wieki.

Najdawniejszy z nich, *Złota*, który w stu czterestu krótkich wierszach opisał, jak się przy stole zachować należy, przeplatając nauki gorącymi pochwałami poci pięknej, nad które „nie lepszego niema, boć paniami stoi wiesiele i ot nich wszystkę dobroć mamy, bo nas ku wszej czei przywodzą; tęć ma moc każda cna pani, przepaść-by mu, kto ją gani;“ wezwaniem do Boga-Gospodna zaczyna i kończy, a wtrąca prośbę do Matki Bożej. Kilka rysów trafnie uchwycił: o tym np., co za stołem siedzi, „jakby w ziemię wetknął kół,“ lub co „pełną misę nadrobi, jako on, co motyką robi“ i in.; zwroty niektóre wcale gładkie, tok łatwy. Mogli-byśmy *Złocie* po takiej próbie i legendę o św. Aleksym przypisać; odpis jej niezupełny posiadamy wprawdzie dopiero z drugiej połowy XV-go wieku, ale liczne jego myłki i wtręty dowodzą, że pierwowzór o wiele starszy; autorstwo *Złoty* stawiamy jako domysł tylko, choć niektóre wskazówki językowe za tem przemawiać się zdają, np. użycie partykuły *le* w znaczeniu *kolwiek* (*który le, kogo le* w legendzie, *któle* u *Złoty*).

Z pierwszej połowy piętnastego wieku możemy dalej wymienić dwóch autorów pieśni Maryjnych: Słopuchowskiego — jeśli tylko Gołębiowski nazwiska źle nie odczytał — i mistrza Macieja; o obu szczegółów żadnych przytoczyć nie umiemy; nie oparli-byśmy się nawet twierdzeniu, że to tylko jedna osoba. Z pieśni ich „wykład“ Słopuchowskiego mniej udatny, w dwudziestu siedmiu strofach czterowierszowych opowiada głównie, co o nawiedzeniu P. Maryi podał św. Łukasz w pierwszym rozdziale ewangelii:

Radości wam powiedam, Iżęć nową pieśń składam  
O Królowie niebieskiej Ku uciesze krześcijańskiej.  
Izajasz prorok nasz Uczynił nam barzo wczas,  
Wzjawił nam wielką radość, Rzekąc: przydzie niebieski gość

i t. d., kończy się:

Wykład Słopuchowskiego, Początek pieśni nowej  
Ku czei matuchny bożej, Wszech nakrasszej rajskiej różej.  
Śpiewajmy ją wiesiele, Boć w niej dobrego wiele,  
Iż w każdej wiernej duszy Sierce się k Bogu ruszy.  
Kto ją będzie śpiewaci Albo pilnie słuchaci,  
Panie Boże racz mu dać, Co w ciebie będzie żądać.

(Tę ostatnią zwrotką zastąpił Słopuchowski inną:

W końcu śpiewania Dla naszego zbawienia  
Daj szczęście, zdrowie, Panie, Przy śmierci dobre skonanie).

„Początek pieśni nowej,“ kiedy pieśń już do końca dobija, razić-by mógł czytelnika; ale nie trzeba nawet zamiany słowem „Postępek;“ „wykład,“ t. j. składanie i „początek pieśni nowej,“ t. j. poczęcie, przedsięwzięcie, podejmują w końcu myśl pierwszej zwrotki i tworzą niby ramy całości. Pieśń w rękopisie poprzedzająca, Płacz Matki Bożej w Wielki Piątek, może tegoż autora.

Udatniejszym jest wiersz mistrza Macieja, tak pełny naiwnego uczucia wiary, nadziei i miłości, że nie wahamy się przytoczyć go, jako okaz takiej poezji:

Mocne boskie tajemności o Maryey wielebności,  
Krześcijaństwo wierze wierne I nabożne a i śmierne  
Racz tego posłuchać.  
Mistrzowie w piśmie badali, Co prorocy powiadali,  
Iż w figurach ją widali, Duchem świętym ją poznali  
Matkę swego pana.

Ot wieku w radzie przejrzana, Bogiem oćcem przeżegnana  
 By jego synu matką była, Coby smutne ucieszyła  
 Adamowo plemię.

Na zyskanie tego świata Przez owoc swego żywota,  
 Panna wielmi święta.

Anna w smutku swego ciała Tego na Bodze żądała,  
 By ją Bóg płodem nawiedził, Przez nią wszystek świat ucieszył,  
 Joachim smutnego.

Anioł gdy się jej ukazał, Radość jej wielką powiedział:  
 Będziesz w rychle pannę miała, Matkę swego stwórcy  
 Ku wiecznej uciesze.

Wszemu światu będzie radość, Gdy przydzie ten wielebny gość,  
 Panna wielmi cudna.

Z skarbu boskiej głębokości Wyszła krasną swą cudności.  
 Między kapłany w świętości, Między pannami we cności  
 Rosła ku obrzędu.

Panną będąc barzo młodą Już prosiła wiernie Boga,  
 By tej panny służą była. Co by Krysta porodziła  
 I panną została.

Sama o sobie nie wiedząc A już matką Bożą będąc  
 Przez Ducha świętego.

Angioł Gabryel knioj posłan, By jej ty dary zwiastował  
 Z tajemnice świętej Trójce, Jez wykupią święte oćce  
 Z ciemności niewolstwa.

Marya dzieweczka śmierna Stała jak róża czyrwiona,  
 Lękała tego pozdrowienia, Iż nie chciała mieć poznania  
 Plemienia męskiego.

Pozdrowienie gdy jej dawał, Śmiernie się z nią jest rozmawiał  
 Archangioł Gabryel.

Nie lękaj się już Maryja, Miłości jeś Bożej pełna  
 Duchem świętym nawiedzona, Łaską Bożą obrządzona  
 Porodzisz zbawiciela.

Z obłoku promień wystąpił, Słońce z siebie jest wypuścił  
 Słońce światłe przez zachoda, Gwiazdę jasną przez zapada,  
 Obojej światłości.

Bo słońce wiecznej światłości Skłoniło się k jej cudności  
 Ot korów angielskich.

Ani lilija białością, Czyrwona róża krasnością,  
 Ani nardus swą woniością, Zamorski kwiat swą drogocnością  
 Maryjej się równa.

Maryja między kwiaty kwiat, Służbę jej dawa wszystek świat  
 Z jej wielkiej wielebności Szukajmy u niej miłości  
 Wszelkny wierny sługa.

Już Maryja swą płodnością Okrasila wielką enością  
 Wszystkie inne panny.  
 (Mając panny ucieszenie Ku swej eności obronienie  
 Z Maryjej żywota).  
 Krasna jeś panna w śliczności, Użyczy nam swej miłości,  
 Uciesz człowieka smętnego, Iże żąda widzieć twego  
 Oblicza świętego.  
 W mojem rozumie pytałem I takżeż w piśmie czytałem,  
 Żadnej takiej nie slychałem We wszem mieście Jeruzalem  
 Panny miłościwszej.  
 Nie masz nad nią żadnej jinnej Tako panny miłościwszej  
 Między wszemi pannami.  
 (O Maryja miłościwa Nad cię nie jest żadna jinna  
 Panna tak łaskawą).  
 Jedno miłuj jej widzenie, Najdziesz u niej ucieszenie  
 Wszelkny wierny sługa.  
 Mistrz Maciej o tobie pisze Wszemu ludu ku uciesze,  
 By się ktobie uciekali, Swoje krzywdy powiadali,  
 Boś ty jich rzecznicą.  
 Tego domu racz być stróżą, Ty jeś panno rajska róża,  
 Panno miłościwa.  
 A kto tobie służbę dawa, Swoim grzechom odpust jima  
 I wieczną koronę.  
 O Maryja panno czysta, Raczy nam być miłościwa  
 Ku swemu synu rzecznicą.

Mistrz Maciej nie zadowolił się widocznie pierwszym rzutem, do-  
 rabiał i przerabiał niektóre zwrotki; — takie wzięliśmy w nawias; — inną,  
 dodaną u samego początku, przytaczamy z późniejszego odpisu:

Z początku świata prorocy pisali we dnie i w nocy,  
 Kako by to mogło byci, By ta panna miała mieci  
 Zbawiciela świata.

Może również dziełem mistrza Macieja wiersz poprzedzający  
 w rękopisie, poczynający się zwrotkami:

Posłał przez angiola Twórzec swo poselstwo,  
 Dziewec archangiola, Przez jeż nam królestwo  
 Już się otworzyło.  
 Co przepowiednicy Nam przepowiadali,  
 O takiej dziewicy Z pisma wykładali,  
 To się nam zjawiło.

Co i profecyjej Rzekł jest Izajasz:  
 Bądźcie ot Maryjej Nam wierny Mesyjasz,  
 Wierz człowiecze wszelki

i t. d., por. hymn łaciński „Mittit ad Virginem.“ W drugiej połowie XV-go wieku błogosławieni Szymon z Lipnicy i Władysław z Gielniowa składali pieśni nabożne; obaj Bernardyni, Szymon, wychowanek wszechnicy, umiera w klasztorze na Stradomiu r. 1482; Władysław, syn Piotra, wstępuje do tegoż klasztoru r. 1462 i umiera r. 1505. O ich pieśniach łacińskich wiemy skąd inąd; wniosek, że i po polsku pisali, tem bliższy, że istotnie wedle wiarogodnej tradycyi miał r. 1488 bł. Władysław złożyć pieśń o męce pańskiej, jakby do śpiewania przy stacyach przeznaczoną, obejmującą kiedyś tylko szesnaście lub siednaście strof, o wierszu długim, trzynastozgłoskowym, później o jedenaście lub dwanaście strof rozszerzoną; w pierwotnym układzie każda strofa od imienia Jezus się zaczynała; strofy, później dorabiane, opisujące szczegółowo scenę w ogróju, tego nie zachowują i po tem je poznać można. Pierwsza jej zwrotka brzmi:

Jezusa Judasz sprzedał za pieniądze nędzne;  
 Bóg ociec syna wydał na zbawienie duszne.  
 Jezus kiedy wiczerzał, swe ciało rozdawał,  
 Apostoły swe smutne swoją krwią napawał,

a ostatnia:

Jezusów żołtarcz czcicie, często ji śpiewajcie;  
 Maryję pozdrawiajcie, k niej się uciekajcie:  
 Maryja przez boleści, które jeś cierpiała,  
 Oddali ot nas złości, daj wieczne radości.

Pieśń to była ulubiona w szesnastym i siedmnastym wieku; widzimy ją przedrukowaną w ówczesnych kantyczkach; znamy anegdotę, jak żak, śpiewając bezmyślnie, wstęp przekręcił, a wojewoda to osądził. Układ wiersza przypomina nieco inny, parafrazę hymnu „Salve Regina,“ w której każda zwrotka od „Zdrowaś“ się zaczyna, a słowami „Chrysta Nazareńskiego“ kończy, ale to będzie raczej utworem mistrza Macieja.

Tyle o autorach tych pieśni. Dla kogoż je oni pisali? Przedewszystkiem dla tych, którym hymny łacińskie niedostępne były, dla kobiet więc, lub dla ludu. Jak polskie modlitewniki w XV wieku przeważnie tylko dla kobiet spisywano i mowa w nich zawsze o grzesznicy, nie o grzeszniku, podobnie i pieśni późniejsze, zachowując nieraz rodzaj żeński, włożone w usta kobiety. Lud je również chętnie przyjmował i wdzięcznie przechowywał; niepisane krążyły one szczególnie w ustach dzia-

dów i bał kościelnych, i jeszcze w siedmiastym wieku powtarzają się, jako najbardziej cenione w repertuarze dziadowskim; np. w Peregrynacyi dziadowskiej z r. 1614 radzi jeden żebrak innym:

Onę starą (pieśń) możemy zaśpiewać o Jopie,  
 Albo jeżliże nie tę, tedy o Potopie;  
 Owej też tam (w Prusiech) więc radzi słuchają o Sądzie,  
 To dadzą na czworo, kiedy w dobrym rządzie.  
 Jeszcze gdy im zaśpiewa Boże Przykazanie,  
 Pieniądze jak za woły może liczyć za nie,

albo na innem miejscu:

Wolisz ty tu (w Polsce) za szeląg kilka razow śpiewać,  
 Albo za kromkę chleba tę Bogarodzącę i t. d.

Pieśni te, w które religijne czucie autora się wylewało, miały budować i wskruszać ludzi, śpiewane, czy słyszane; miały też rugować owe pieśni świeckie, ludowe, które duchowni, tak samo jak taniec, ale również napróżno, zwalczali. Kiedy i gdzie śpiewano je głównie? Niedługo pieśni kościelne w narodowym języku wcale nie istniały; gmina powtarzała tylko wołanie: „Kiryje elejzon,“ czyli „Gospodynie pomiłuj ny,“ ale w XV wieku stosunki się zmieniły. Teraz śpiewał lud przy jasełkach kolędy, których posiadamy krótsze z XV, liczniejsze i dłuższe z początków XVI wieku; dalej pieśni wielkanocne; pieśni w zielone święta; w dni krzyżowe, obchodząc w procesyi pola, — „nasi krzyżownicy, gdy po polu z chorągwiami się włócząc śpiewają,“ mówi Mączyński w Słowniku r. 1564, podczas pielgrzymek do miejsc odpustowych, „do Częstochowej, Sierpeca, Prostyniej, Jarosławia, Świńce, Szczepanowa i innych miejsc“ (wedle M. Krowickiego w Apologii z r. 1560), dodajmy na Skalkę; dalej podczas nieszpórów, lub przy nabożeństwach i pobożnych ćwiczeniach bractw rozmaitych, mnożących się w drugiej połowie piętnastego wieku; nakoniec podczas kazań. Kaznodzieja bowiem, jak z rękopisów wypływa, na wstępie kazania, po wezwaniu łaski Maryi, intonował z gminą „Bogarodzącę“ np.; w kazaniach adwentowych, wielkanocnych, o Duchu św., również śpiewał z gminą odnośne pieśni. Tu dopiero zużytkujemy wiadomość, pozwalającą nam rok oznaczyć, w którym po raz pierwszy polska pieśń religijna zabrzmiała: było to r. 1261, kiedy biczownicy po kraju przeciągali. Religijne uczucie trzynastego wieku, niesłychanemi dotąd kłóskami wzburzone do egzaltacyi, znalazło obok kościoła wyraz w tej sekcie i jej praktykach; pochody jej, śpiewy, pełne samooskarżania i skruchy, żebrzące litości, elektryzowały masy; z ich pieśni, zapisanych gdzieindziej, u nas, niestety, nie się nie zachowało. Albo mamy może odgłosu ich szukać

w „Bogurodzicy,” lub jakiej dodatkowej jej zwrotce, np. odnieść do nich owę nie wiążącą się z niczem „Już nam czas godzina, Grzechów się kajaci, Bogu chwałę daci Ze wszemi silami Boga miłowaci.” W każdym razie, że owo wystąpienie biczowników lody przełamało, potrzebę pieśni kościelnych narodowych wywołało, których liczniejsze wzory z Czech później napływały, wydaje nam się pewnem.

Rozbiór melodyi tych pieśni, których się kilka przechowało, np. do „Bogurodzicy,” do pieśni Słowuchowskiego, do pieśni o siedmiu radościach N. P. Maryi, do kilku wielkanocnych, nie może być naszą rzeczą; natomiast wspomniemy nieco o ich formie i języku. Wykwintnemi wprawdzie ich nie nazwiemy; największą zasługą pozostaje tok prosty, wysłowienie łatwe; ale rymowanie zawsze niedołążne. Rymy męskie rzadkie, zazwyczaj żeńskie; przeważają gramatyczne, a więc na—ego, —ają i t. d.; niedokładności często, tak dalece, że nawet uchodzą za rymy: młoda—Boga, śmierna—czyrwiona i podobne. Miary wierszowe najrozmaitsze, od pięcio-, sześć- do trzynastozgłoskowych; najpospolitsza, szczególnie w utworach dłuższych, ośmiozgłoskowa, typowa, jak już wspomnieliśmy, dla poezji średniowiecznej; środek i koniec wiersza rymują nieraz. Zwrotki bywają różnej ilości i budowy wierszy, od dwóch lub trzech do sześciu wierszy, dalej trójdzielne i inne; rymy w nich bywają parzyste, lub też przedstawiane wedle rozmaitych szematów (a b a b, a b b a i t. d.); ale najużywanszą zwrotką pozostaje jednolita o czterech wierszach, niekoniecznie tym samym rymem wiązanych. Następstwo akcentów w wierszu dowolne, średniówka nie zawsze zachowana; wiersz ośmiozgłoskowy rozpada się nieraz w nierówne części. Jedyłą, wcale ściśle stosowaną zasadą, pozostaje liczenie zgłosek; w ośmiozgłoskowych wierszach dopuszcza się tylko niekiedy, np. dla zaznaczenia ustępu, większej lub mniejszej liczby zgłosek; dla tego samego celu skupia się nieraz więcej rymów, np. trzy, zamiast dwóch. Ale ta prawidłowa budowa wierszy w odpisach naszych często naruszona; czytamy wiersze dłuższe i krótsze, np. w legendzie o św. Aleksym, a to samo tyczy się innych utworów, utykamy co chwila na wierszach dziewięcio- i kilkunastozgłoskowych. Otóż w oryginałach nie było takich błędów nigdy; to przepisywacze tylko tekst skazili, odczytując źle słowa, modernizując formy i wyrażenia, wciągając do tekstu, co z boku lub na górze przez jakiegoś czytelnika dla objaśnienia lub zamienienia dopisanem było, opuszczając nakoniec niejedno; im odpis późniejszy, tem liczniejsze takie braki. Weźmy dla przykładu kilka popsutych wierszy tej legendy i starajmy się formę pierwotną odgadnąć: otóż czytamy np. w odpisie:

A gdy to ociec usłyszał ta słowa Tedy jego żalosc była nowa,  
oryginał brzmiał pewnie:



Gdy ociec słyŝał ta słowa Jego łałość była nowa;

lub:

Swstawszy sobie ociec jego Prze swego syna jedyneho

w oryginalne było:

Steskwszy (t. j. stęskniwszy) sobie ociec jego Prze swego syna jedyneho

lub:

Ostawiam cię (ś. Aleksy swoje łaonę) przy tym dziewstwie,

Wróć mi ji (pierścień) gdy będziewa oba w niebieskim królestwie,

ale pierwotnie:

Ostawiam cię przy twym dziewstwie Wróć ji w niebieskim królestwie;

lub w odpisie:

Potkał na zórawiu óca swego I jął przed grodem go prosić:

W jimię syna bożego I dla syna twego Aleksego,

a pierwotnie:

Potkał na zórawiu swego Oóca i jął prosić jego

U jimię syna bożego I dla syna Aleksego;

(*w* czyta się samo, lub spółgłoskowo, wedle potrzeby, tak, jak w cze-  
skich wierszach); nakoniec:

Tu się wzbrał jeko mogę Wsiadł na morze w boga,

zamiast:

Tu się wezbrał jeko mogę (mogąc) Wsiadł jest na morze u koge

(*koga* okręt), i t. d. i t. d.

Czasem jednakże tekst już tak zepsuty, że trudno go poprawić i zrozumieć, np. początek drugiej zwrotki „Bogurodzicy,“ pomyłony w pierwotnym odpisie, pozostał nam dotąd zagadkowym, mimo usilnych starań i prób naszych filologów.

Języka tych pieśni starożytnym nazwać nie można, są pewne brzmienia i formy, słowa i zwroty, dziś nam już obce, ale całość, szczególnie pieśni lirycznych, przemawia do nas językiem zupełnie zrozumiałym; podstawą jego ogólną narzecze małopolskie, krakowskie, tylko bez wszelkich cech lokalnych, np. bez tak zwanego mazurzenia. Do form dawnych należą tryby bezokoliczne na -ci, *daci*, *byci* i t. p., pierwszy przypadek *kry* zamiast krew, aoryst *odpowiedzie* (odpowiedział) w pieśni Słopuchowskiżgo i t. d.; do wyrazów *gospodzin*, w dalszych przypadkach też *gospodna* i t. d., zamiast pan, *mir* pokój, *śmiertny* śmiertelny, *trud* męka, cierpienia, *zbożny* pobożny i t. d.; do zwrotów *Bogurodzica*, później Bogarodzica, *nas dla* zamiast dla nas i inne; *pleichny*,

dzisiaj piekielny, *tworzec*, dzisiaj stwórca, *ociec oóca*, dzisiaj ojciec ojca, *ot*, dzisiaj od, *wszyciek* lub *wszytek*, dzisiaj wszystkim i t. d. i t. d. znane każdemu, ktokolwiek dawniejszym tekstom się przypatrywał. Czechizmy zachodzą nieraz, np. *zwoľić* zamiast wybrać, *niezbędny* zamiast obrzydły, *žadający* zamiast pożądaný, i in. Ogółem biorąc, język pieśni nie obfituje obrazami i zwrotami jego tak nielicznymi, a tak utartymi, że to ciągle przetasowywanie tych samych niemal wyrazów jednostajnością swą czasem prawie nuży; barwniejszym za to staje się język w legendach, żywszą myśl w wierszach dydaktycznych, które nieraz również barwność języka cechuje, o czym nas znakomity przykład niżej pouczy.

I gdzie przechowały się nam wszystkie te wiersze? Rękopisów zbiorowych, tak częstych po naszych bibliotekach dla hymnów łacińskich, dla polskich niema wcale; jedyny, znany dotąd, kancjonał Jana Przeworszczyka z r. 1435, znowu zaginął, tym razem, zdaje się, bezpowrotnie. Pieśni polskie zazwyczaj spisywano tylko dorywczo, na ostatniej karcie kodeksu, lub przylepiano kartę z pieśnią do okładek (np. odpis „Bogurodzicy“ z r. 1407 i in.), lub notowano pieśń na jakim próżnym miejscu wewnątrz kodeksu, więc najczęściej po jednej pieśni tylko; ledwie że posiadamy dwa lub trzy rękopisy, w których kilka, cztery lub więcej pieśni skupiono. Ale właśnie ostatnie i pierwsze karty kodeksów ulegają najłatwiej zniszczeniu, nie dziw więc, że tyle tych wierszy zaginęło; inne, na okładkach, starły się zupełnie, tak, że np. o jednym, bardzo starym tekście, z czasu około r. 1400, nie mogliśmy wyrozumieć, czy ta modlitwa do Matki Boskiej prozą, czy wierszem. Ponieważ więc rękopisy XV-go wieku nie zawsze dopisują, należy się nam obejrzeć za innymi źródłami, które-by pewne luki poniekąd zapełniły; są zaś nimi druki i rękopisy szesnastego i siedemnastego wieku.

Z druków wymienimy nie wiele; najpierw znany dawniej już zbiorek p. t. „Pieśni Postne starożytnie, Człowiekowi Krześciańskiemu należące; Które w wielki Post śpiewane bywają, dla rozmyślenia Męki Pańskiej. Z przyczynieniem piosnek wyrobione“ (bez roku i miejsca druku, w małej ćwiartce karty od A—H4), z którego z bogatych zbiorów kórnickich korzystać mogliśmy. Wiele tych pieśni jeszcze z XV wieku; np. Pieśń trzecia o Męce Pańskiej, jest to znany nam już wiersz Władysława z Gielniowa; jest tu „Bogurodzica;“ jest pieśń o s. Stanisławie w 23 strofach, ta sama, której pierwsze trzy strofy wypisał ktoś r. 1460 ze wzmianką, że dalszego jej ciągu nie posiada (w drugiej strofie czytamy w druku: Który wyszedł rodem z Szczepanowa, w rękopisie r. 1460: Jenże wyszedł z Szczepanowa; w trzeciej druk: Vczył się sprawiedliwości, rękopis: Wyknał wszej sprawiedliwości); dalej pieśń o s. Jopie w 32 strofach,—dawności jej dowodzą omyłki tekstu i ów legendowy szczegół:

Gdy za skórę rękę wetknął, Garść robaków z ciała wyjął;  
Gdy je też tam w skrzypce wrzucił, Pan Bóg je w złoto obrócił.

Dalej również stara pieśń o św. Katarzynie (27 strof); pieśń o Potopie nowa, Kochanowskiego; z innych, wymienionych w Peregrynacyi, znachodzimy tu pieśń o sądzie („Raczie posłuchać tej sprawy, Która się w on czas obiawi, Gdy Pan Chrystus na swym sądzie Złym i dobrym płacić będzie”, 22 strofy; w dalszym ciągu walczą przed Panem sprawiedliwość i miłosierdzie, zwykły motyw średniowieczny) i wianek różany (w Peregrynacyi: Abo wianek różany siadłszy zaśpiewają, Co słuchając prosty lud a to im (babom) też dają) p. t. „Pieśń bractwa różanego wianka”, strof 18.

Z pomocą Boga miłego W Trójcy świętej iedynego  
Každy z serca gorącego Chwał Boga wszechmogącego i t. d.  
Ale nasz Wianek Różany Wdzięezen jest u milej Panny,  
Bo woniej niepospolitej Z Liliej rajskiej uwity i t. d.

Starszą nakoniec jest pieśń o św. Sebestyanie (przeciw morowi, 9 strof: „Już knam morowe powietrze przychodzi i t. d., Raczysz oddalić św. Sebestyanie To złe powietrze przez nasze krainy Między pogany i t. d.). Dalej znachodzimy po drukach wzmianki o innych pieśniach: Knapski np. w Słowniku przytacza trzy wiersze z „bardzo dawnej” pieśni o Łazarzu; w najstarszym katechizmie litewskim, drukowanym w Królewcu 1547 r., dwie pierwsze pieśni ułożone „wedle starych nut polskich, jak się śpiewa O Anno pany sslachetna spokolenia i Poprośmy świętego ducha”; w kancyonale Seklucyana (r. 1559) wymieniono również dawne nuty, oprócz już przytoczonych jeszcze „Wszechmocny Boże, panie miłościwy”, „Trzy Marye poszły, drogie maści niosły”, „Ach mój smutku”, „O święta Barbaro bądź z nami”, a powtórzono dwie stare pieśni wielkanocne: „Wesoły nam dzień nastal”, „Przez twe św. zmartwychwstanie” i rzeczywiście pojawiają się obie w odpisach XV wieku. Pieśń o św. Barbarze wspominają u nas często, np. Klonowie we Flisie:

Tam mądry rotman siedząc na swej barce  
Złożył onę pieśń o świętej Barbaree;  
Tej pieśni, jadąc imo Sarkowiec,  
Nauczał fryce.

lub Szot Andrzej Locchius w Muzie gór wielickich (r. 1608): spuszczać się do saliny żup: Już i drudzy o świętej Barbarze śpiewają.

W rękopisie petersburskim Komedyi o mięsopuście (po 1550 r.) następują po dyalogach pieśni; druga z nich „Pieśń nabożna ublagania cz gniew panski w powietrze tak się spiewa iako o św. Barbarze”, następna tamże „Pieśń o przyszcziu panskim spiewa się iako Zbawienie człowieka każdego.” O innych drukach, Opeciu i t. d. nie wspominaamy.

Zbiory pieśni większe i mniejsze, których w XV wieku prawie doszukać się nie mogliśmy, mnożą się w rękopisach XVI wieku. I tak tłumaczenie polskie łacińskiego modlitewnika, poświęconego Zygmuntowi pierwszemu, *Szczył duszny*, mieści na końcu kilkanaście hymnów i pieśni, między innymi pieśń o św. Annie (Anno matko matki bożej), dalej modlitwę „Ku piętnastu świętym pomocnikom” (Świata wszego stworzyciela), której autorem mógł-by być np. bł. Władysław z Gielniowa, mszę bowiem ku (czternastu) pomocnikom, która tę modlitwę wywołała, przywiózł do Krakowa z Włoch mistrz Bokszyca r. 1476.

Friese twierdził, że widział rękopiśmienne kancjonały z lat 1546, 1552, 1558; Biblioteka Kórnicka posiada między swojemi skarbcami taki kancjonał, o którym już Wiszniewski w historii literatury polskiej (VI, 524) wspominał; ponieważ, dzięki nadzwyczajnej uprzejmości jej dyrektora, szanownego Dra Z. Celińskiego, mogliśmy z rękopisu korzystać, podajemy tu bliższą wiadomość, by krążące o nim pogłoski raz sprostować.

Jest to mały tomik in quarto, w starej oprawie, liczy kart papierowych 183, pisany starannie kilkoma rękami; największa część kodeksu napisana ręką Hieronima r. 1551, jak podpis na ostatniej karcie wyraża; inne części pisane r. 1550 i 1555. Zaczyna się modlitwą w prozie do Panny Maryi, poczem idą od K. 1 do 70 Pieśni nabożne czasu narodzenia dzieciątka namilejszego a nasłodszego pana miłościwego Jezusa; na K. 71 i 72 *Te Deum laudamus* polską prozą; od 73—95 pieśni głównie Maryjne; K. 96—118 zawiera „Żywot i zakon braciej i siostr pokutujących ustawiony od bogosławionego Franciszka”, zgadzający się nieraz dosłownie z innymi dwoma tekstami (jeden z r. 1523), jakie ta sama biblioteka przechowuje. Na K. 119—151 głównie „Kancye” o męce Pańskiej, z tych powtarza się druga (Placzy dzisiaj duszo wszelka łzy wylewaj obficie, Rozmyślajże mękę wielką Pana swego serdecznie i t. d.) jako „pieśń siódma” w owych drukowanych Pieśniach postnych; trzecia Krzyżu święty nadewszystko drzewo naszlachetniejsze), także jako „pieśń szósta”; czwarta (Ojczy Boże wszechmogący, Który z miłości gorącej Zesłałeś na ty nizkości Syna Twego z wysokości i t. d.), także jako „wtóra pieśń”, ale w rękopisie brak kilku strof z końca druku. Dalej „O zwiastowaniu Panny Mariej nabożna piosnka”—(jest to owo przytoczone u góry „Zbawienie

człowieka wszelkiego, Któż też przewyższa skarby jego. Toć się nam dzisiaj jawnie ukazało Gdy wziął Pan Bóg z Panny Marijej ciało i t. d.) i inne pieśni adwentowe. Na K. 152—158 przepisana, pewnie z druku 1531 r., tak zwana powieść o papieżu Urbanie, a raczej „modlitwy barzo pożyteczne wszelkiemu człowiekowi przy sobie je mającemu dla rozmaitych przyczyn”; również karty 159—163 będą może powtórzeniem z tegoż druku ustępów „o pozdrowieniu wszystkich członków Pana Jezusowych.” Od K. 165—183 Siedm psalmów pokutnych za siedm grzechów śmiertelnych, prozą; poprzedza je modlitwa do Pana Jezusa i Veni Creator; tekst psalmów przeznaczony dla kobiety (Rzekłam sama w sobie i t. p.). Nadmieniamy jeszcze, że pieśń na K. 10 i 11 powtarza się bez zmian na K. 35 i 36; podobne powtórzenie na K. 57 pieśni z K. 8 przerwał pisarz uwagę „Już ta piosnka jest na początku ksiązek”; dalej, że kilka razy podana nuta jak „O słowiku”, „Koronka Panny Marijej” (K. 85—88, brak końca) zupełnie odmienna od drukowanej w Pieśniach Postnych pieśni o Koronce P. M.

Odnacza się więc zbiór ten głównie pieśniami na Boże Narodzenie, kolędami; czy i które z nich wieku piętnastego sięgają, trudno powiedzieć, choć niejedna sprawia wrażenie starożytnie, np. „Druga pieśń o narodzeniu Bożym obyczajem historii” (Bogu Ojcu chwałę dajmy, Synu bożemu śpiewajmy, Ducha świętego wzywajmy i t. d.,—przedrukował ją Wiszniewski na o. m., ale szczególnie pieśń na K. 6, którą dlatego całą przytaczamy:

### Druga pieśń barzo nabożna przy jasiłkach Pana Jezusewych.

Witaj, Witaj, żądający, Nad angioly królujący.  
 Dzisiaj cię wszytey witamy, Widzieć twe przyszcze żądamy.  
 Witaj lekarstwo grzesznego, Witaj pociecho smętnego;  
 O Liczko witaj niebieskie, Wita cię dziś człowiek grzeszny.  
 Słuchaj tego duszo wszelka, Nieopuszczaj pana twego  
 W jasiłach leży narzekając, Na cię patrzy rzowne płacząc.  
 Oto słodka to godzina, Tedy gdy panna powiła,  
 Kwiatek śliczny porodziła, Jezusa bożego syna.  
 Nuż my wszysej zakonnicy, Sprawiedliwi i grzesznicy,  
 Dzisiaj Bogu chwałę dajcie, Pannę z tego syna chwalcie.  
 Wesel się wszelki niemocny, Raduj się każdy nabożny,  
 Iż Pan Bóg choć jest od wieka, Zstąpił z nieba dla człowieka.  
 Nie czytał nikt tego pisma, Ani słyszał tego iście,  
 By panna od wieka była, Co człowieka porodziła.  
 Już ja nie pytam człowieka, Bo ta wola jest od wieka,

By ta Panna porodziła; Trójca święta to sprawiła.  
 Nie jest niemoc ani rada, Krzywda, szczęście ani szkoda,  
 By kto dzisiaj jął się smęcić, Angielskie pienie opuścić.  
 O liczko Krola naszego, Racz uweselić kóźdego  
 Spiowaka twego dworaka, Nicopuszczaj żebraka.  
 Nicopuszczaj dziś grzesznego, Nieopuszczaj malutkiego,  
 Ubogiego, wzgardzonego, Składacza pienia nowego  
 Żądam by cię miłowali, Młodzi, starzy a i mali.  
 Alleluja dziś śpiewamy, O Twą cię łaskę żądamy.  
 Dzisiaj cię wszyscy witają, Mnodzy na organiech grają,  
 W niebie cię widzieć żądają, Którzy przy jasiłkach bywają.  
 Amen rzeczny, alleluja! Śpiewajmi mu dziś; o Maria,  
 Daj nam rada syna swego, Bo jeś matka iusz grzesznego.

„Żądający” wiersza pierwszego, jest czeskie żądouci ukochany. Ze cały zbiór przeznaczony był dla bractwa franciszkańskiego, dowodzi np. pieśń na K. 27—30. (Toć jest miejsce duchowne, święte i nabożne, Które wybrał służebnik Jezusów osobny Franciszek krześcijański, Wszemu światu jawny, Cnotami okraszony, Pokorny i spokojny i t. d.); że głównie dla sióstr bractwa, dowodzą pieśni, jak np. na K. 45—50 (Stała się nam nowina: tego to księżyca Panna nam porodziła sličznego panica; W pieluszki go nadobnie Rączkoma powiła, W jaslki go położyła, Bo była zimna chwila i t. d.), którą kobieta śpiewa, Ach niestojce (tyle co niestety) grzeszney mnie Czemu w on czas nie była i t. d.

Wykazaliśmy więc szereg źródeł, z których korzystać powinien, kto bogactwo średniowiecznej poezji religijnej ogarnąć-by chciał; pozostaje nam przypatrzeć się treści tych pieśni: nie ich myślom i obrazom, czerpanym z hymnów łacińskich, lecz przedmiotom i osobom, ku którym się zwracają.

Odpowiednio duchowi wieku, kiedy kult Maryi stanowczą odniósł przewagę, wielka ich część poświęcona Matce Boskiej, mianowicie najgłębszej i najradośniejszej tajemnicy wiary, poręce zbawienia naszego, Nawiedzeniu N. Panny; szereg tych pieśni, Słopuchowskiego, mistrza Macieja i in. poznaliśmy u góry. Z imych Maryjnych pieśni wymienimy jeszcze raz najstarszą ze wszystkich, Bogarodzie; dalej przechowany w kilkunastu odpisach hymn Salve Regina, w samym początku XV wieku z czeskiego przełożony prozą, i wierszowaną tegoż przeróbkę; pieśni o siedmiu radościach i o siedmiu smutkach Maryi; przeróbki hymnów Ave maris stella, Regina coeli lactare i wiele innych, między niemi też urywek pieśni o Wniebowzięciu, której treść wzięta ze znanej legendy.

Z pieśni do Zbawiciela są najstarsze owe krótkie wielkanocne „Chrystus zmartwychwstał jest, Nam na przykład dan jest i t. d.”, „Przez twe święte zmartwychwstanie”, „Wesoły nam dzień nastał”; dalej pieśni o meście Pańskiej, a na ich czele tłumaczenie słynnego hymnu „Patris sapientia”, który w każdej średniowiecznej literaturze, nawet tak ubogiej, jak węgierska, się powtarza, który jeszcze w XVI i XVII wieku naśladowano; posiadamy go w trzech odpisach, najstarszy z początku XV wieku, powtarzamy tem bardziej, że jest to najdawniejszy okaz trzynastozgłoskowego wiersza, a o formie tej mniemano, że to rodzima, polska; nasza hymna zaś dowodzi, że i ta forma tylko z naśladowania obcej wypłynęła. Pieśń, ułożona wedle godzin kanonicznych, brzmi:

Jezus Chrystus Bóg człowiek, mądrość Ojca swego,  
Po czwartkowej wieczery czasu jutrzeźnego  
Gdy się modlił w ogrodzie Bogu ojcę swemu,  
Zdradzon, jęt i wydan jest ludu żydowskiemu.

Tę wszę noc policzkowan, plwan, uędzon do świata,  
W piątek pirwej godziny wiedzion przed Piłata,  
Tamo nań powiedziano świadectwo nieskładne;  
On stał jako baranek, zwierzątko pokorne.

Na dzień trzeciej godziny żydowie niezbedni  
Wołali, by krzyżowan, pirwi i pośledni.  
Piłat ji kazał biczować, bezewszej lutości  
I cirnim koronować, tuć miał trudu dości.

Na dzień szóstej godziny na krzyż wiedzion z miasta  
Tej biady rozmaitej plakała niewiasta.  
Na krzyż wzbiwszy nagiego o suknią jigrano;  
Żółcią z octem napawan, jak prorokowano.

O dziewiętej godzinie wołał Jezus Heli;  
Ci coż ji krzyżowali, żydowie się śmieli.  
Janowi polecena matka jego miła.  
Tu się dusza Krystowa z ciałem rozdzieliła.

Włócznią ślepy włodyka bok otworzył jego;  
Krew z wodą popłynęła zbawienia naszego.  
Z krzyża sjęt o mieszporech prosiwszy Piłata;  
Takoć za nas ucępniał otkupiciel świata.

O kompletnej godzinie ciało grobu dano,  
Ot miłostnych przyjaciół mirą pomazano.  
W sobotę zwojowała dusza pkielne koćce;  
W niedzielą wywiodła jest wszystkie święte oćce.

Prze wszę siedm świętych godzin umęczenia twego,

Jeż Chryste wspominamy z nabożstwa naszego,  
Racz użyzyć zbawienia, bydlenia dobrego  
A po śmierci domieść nas stadła niebieskiego.

Daj na śmiertnej pościeli pomnieć twą mękę;  
Naszą duszę poleci oćcu Bogu w rękę.  
Tego świata jimienie, srebro, złoto, kamienie,  
By się nam niesłodziło, rzeczmy wszyscy Amen.

Dodajemy, że *niezbędni* znaczy przebrzydli, *lutość* litość, *włodyka* rycerz, *piekielne koćce* (kojce) piekielne zamknięcia. Z tego samego czasu pochodzi przepisany r. 1407 krótki wiersz:

Wszego świata wszytek lud Patrz ninie na Krystów trud.  
Jest li tak wielka żalność, Jąż widziała świata włość?  
Jiż ji imieli miłować I wszegdy nogi całować,  
Ninie ji smieli wkrzyżować.

Inne wiersze liczne, pozdrowienia Krzyża św., pieśni na Niedzielę Palmową, na Boże Ciało, Kolędy i t. d. pomijamy; wspominamy tylko o jednej adwentowej, którą po zbiorach kazań średniowiecznych trzy razy znaleźliśmy, najdawniejszy jej odpis z r. 1424 w kazaniach Czecha Szczekny, który przed Husytami do Krakowa ustąpił; dwa inne znacznie późniejsze, wszystkie ciekawe tem, że znowu dowodzą, jak wiersz gładki, myśl jasna, układ prosty w dalszych odpisach coraz bardziej się psują; zaczynają się:

Zdrów bądź królu angielski, Knam na świat w ciele przyszył!  
Tyś zajiste Bóg skryty, W święte czyste ciało wlitý i t. d.

Pieśni o Duchu św., których kilka jest, pomijamy.

Przechodzimy do pieśni o Świętych. O obszernej legendzie o św. Aleksym, liczącej dwieście kilkadziesiąt wierszy (końca brak) mówiliśmy wyżej, innej podobnej dotąd nie odszukano. Zato istnieją krótsze; o czeskopolskiej św. Dorocie wspomnieliśmy wyżej; innych kilka, lub może kilkanaście, wyszło około połowy piętnastego wieku z pod pióra jednego autora; przynajmniej wiersze o św. Stanisławie, Jopie, Katarzynie tak są podobne fakturą, że można je śmiało jednemu autorowi przypisać. Patronowie krajowi, św. Stanisław, św. Wojciech stoją tu na czele; wiersza o pierwszym posiadamy początek, przepisany około r. 1460:

Chwała tobie Gospodynie, Iż o twych świętych cześć słyńie,  
Która nigdy nie zaginie I na wieki nie przemienie.  
Wiesiel się polska korono, Iż masz takiego patrona  
Dostojnego Stanisława, Jenże wyszedł z Szczepanowa i t. d.,



strofy wiązane są nieraz rymem. Dalej były pieśni o św. Mikołaju, Łazarzu, Annie, Barbarze, Sebastyanie, o piętnastu pomocnikach, a pewnie liczba ich tem się nie ograniczała.

Do wierszy religijno-dydaktycznych należy rymowane Dziesięcioro przykazań, które w dłuższej i krótszej formie w kilkudziesięciu odpisach posiadamy; każde przykazanie bądź dwoma, bądź jednym wierszem wyrażono, np.

Pirzwa każń twórea naszego: Nie masz mieć boga jinego.  
Po próżności niestatku twego Nie bierz jimienia bożego i t. d.

lub krócej.

Nie miej boga jinego Ani bierz nadarmo jimienia jego i t. d.;

wiersz obszerniejszy ulega z czasem nowemu rozszerzeniu, szczególnie nie zgadzają się odpisy w końcowych zwrotkach. Tekst jednakże, o którym przy końcu XV wieku i w Peregrynacji dziadowskiej (zob. wyżej) wzmiankę uczyniono, zdaje się być owem obszerniejszem Dziesięciorgiem, które w rękopisie z początku XVI wieku odszukano, zaczynającym się:

Słuchaj tego wszelka głowo, Napisz to w swym siercu słowo:  
Peñni boże przykazanie, By nie wszedł w piekielne łkanie;

potem jeszcze strof dwadzieścia, w których przy każdym przykazaniu wymienieni są ci, co przeciw niemu wykraczają; jeszcze inne Dziesięcioro wydrukowano r. 1545. Wiersze te mogą nam służyć za przejście do dwóch najciekawszych utworów średniowiecznych, któremi ten przegląd zakończymy.

Pierwszy z nich, tak zwane „pieśni Sandomirzanina”, które dotąd mylnie rozważano; jest ich bowiem tylko dwie, nie pięć, albo na wiele je tam części dzielono. Jedna, zwykłym ośmiozgłoskowym wierszem napisana, strof 21, zaczyna od siedmiu słów Chrystusa na krzyżu, dodając przy każdym odpowiednią naukę, wspomina o „testamencie” jego, a wzmianką „Katom odzienie swoje dał, Judasz piekło też otrzymał” zyskuje przejście do upominania:

Kostyrowie a łotrowie, Zbójce, złodzieje, katowie,  
Cię Chrystusa z sukniej łupią, Za swe grzechy piekło kupią

i opowiada o strasznym przykładzie, jaki się wydarzył w Budzynie: dwóch grało, jeden przegrawszy w imię boże wszystko, zelżył Boga i dyabli go pochwycili:

Zły to cynek kostyrza zjadł, Gdy po uszy do piekla wpadł;  
Nie pomogą mu i dryje, Już tam w piekle smołę pije

(*cymek, dryja*—rzuty w kostkach); kończy, jak zaczął, pobożnem wezwaniem; tekst tej pieśni dobrze zachowany. Znacznie więcej od ciągłych wtrętów ucierpiała następna w 20-tu pięciowerszowych zwrotkach, którą-byśmy mogli nazwać pieśnią „o gniewie pańskim”: wywołujemy ten gniew naszymi przestępkami; Pan nas karze głodem, morem, rozlaniem krwi; karał tak zawsze; za przykład niech służą żydzi, pobici na pustyni, Sandomierz od Tatar spustoszony, Troja, gdzie szesnaście królów o Helenę zabito, Hannibal, który trzy kadzi pierścieni z pobitych Rzymian pobrał; bacząc na to, polepszymy się krześcianie, idźmy na pogany,

Przodków mężność wspomienimy, Krzyż z włócznią w swem sercu miejmy;  
 Jezu zmiłuj się! śpiewajmy, K Marię się uciekajmy,  
 Grzechy, złości opuszczajmy;

„składacz” wyraża teraz nadzieję zlitowania Bożego i kończy:

Ten który tę pieśń jest złożył, K czei twej Chryste ją wyłożył;  
 Daj mu, by w królestwie twym był, Boć jest twoim kapłanem był.  
 Na końcu rzecz każdy Amen.

Na dowód, jak tekst skażono, przytoczymy jedną strofę, drukując kursywem, co po odpisach później wtrącano:

Sześć set tysięcy z Egipta *Żydów* ziemi obiecanej wyszło  
 Krom dziątek, wdów; tam zupełna, *Nieprzyszli* krom dwu Josuo a Kaleph,  
 Wszystkie pobił niebieski lew;

w każdej strofie podobne wtręty znajdujemy; oczyściwszy tekst, otrzymujemy tok prosty, a gładki i należyty rozwój myśli; niepotrzebnie tylko rozwinął „składacz” epizod o Sandomierzu i jego odpustach, ale odczuł też ten brak i wyraźnie nadmienił, że pewne strofy opuścić, albo też podobne dorabiać można. Po tej pieśni idzie w rękopisie łaciński nagłówek nowej „Następuje bardzo piękny wiersz, nowo złożony, żalosciwy a do rozmyślenia i pobożności wcale przywodzący”—na tem urywa, niestety, rękopis; zalety poprzedniego wiersza „o gniewie pańskim” obudzają tem żywsze oczekiwania co do wartości nowego, który zdaje się zaginał; a może i nie?

Przypuszczamy bowiem, że w rękopisie następował jako „nowy wiersz” ów wiersz o śmierci „de morte prologus”, szczyt polskiej poezji średniowiecznej, którego-by się i Rej nie powstydzil; już samo skażenie tekstu, zupełnie takie, jak w wierszu „o gniewie”, mogło-by na ten domysł naprowadzić; dalej określenie w nagłówku, zupełnie do naszego wiersza przystające, choć różni się objętością — jest to najdłuższy poemat, liczy bowiem, choć niedokończony, 493 wiersze; pisany

też nie w strofach, lecz ciągłym ośmiozłóskowym wierszem rymowym. Całość znamionuje wcale bystrego spostrzegacza, mianowicie śmiesznych stron życia, umiejącego je w jędrnym wystąpieniu przedstawić; autor wprawdzie nieznan, ale wychwalanie dobrego mnicha (wiersz 403—431) i kreślenie obrazu złego mnicha (432—459) zdaje się bardzo za tem przemawiać, że był mnichem. Wiersz jest dyalogiem między śmiercią a mistrzem: po wezwaniu Boga „Gospodzina wszechmogącego” o pomoc w tem dziele „ku rozmnożeniu twej chwały a polepszeniu ludzkiemu” opowiada, jak pewien mistrz Polikarp Boga prosił, by mu śmierć w jej właściwej postaci ukazał; gdy się raz został na modlitwie w kościele, ujrzał ją nakoniec; opis jej zdjęty widocznie z obrazów średniowiecznych, na których śmierć nie jako kościotrup, lecz w obrzydliwej ludzkiej postaci występować zwykła:

Ujrzał człowieka nagiego Przyrodzenia niewieściego,  
Wzraza wielmi szkaradego, Łoktuszą przepasanego;  
Chuda, blada, żółte lice Leści się jako miednica;  
Upadł ci jej koniec nosa, Z oczu płynie krwawa rosa.  
Przewiązała głowę chustą, Jak samojedź krzywousta;  
Nie było warg u jej gęby, Poziewając skrzyta zęby;  
Miccie oczy zawracając, Głośną kosę w ręku mając.  
Goła głowa, przykra mowa, Z wszech stron szkarada postawa.

Mistrz, przerażony zjawiskiem, mdleje; śmierć natrzęsa się z niego, zapewnia, że mu tym razem nie zaszkodzi (nie da mu „czyść, t. j. czytać epistoly”);

Wstał mistrz, jedwo lelejąc się (ledwie, chwiejąc się);  
Drzę mu nogi, przełknął się

i pyta najpierw, skąd się śmierć wzięła; ona opowiada o upadku pierwszych ludzi; dalej, czego tak na ludzi zawzięta, oni-by jej chętnie „poczty” (dary) nosili, sam

Dalbych dobry kołacz upiec, Bych mógł przed tobą uciec;

ale jej są dary obojętne, moc swą ma od Stwórcy:

Morzę na wschód, na południe A uniem to działo cudnie;  
Ot północy do zachodu, Chodzę nie pytając brodu;

wylicza wszystkich, których zabiera, młodych i starych, mądrych i „wil” (błaznów), ubogich i bogatych, rzemieślników i oraczy,

Karczmarze źle piwa dają, Nie często mię wspominają.  
Jako swe miechy natkają, W ten czas mą kosę poznają.  
Kiedy nawiedzą mą szkołę, Będę jim lać w gardło smołę;

wylicza dalej pojedynczych ludzi, których pożyła: mądrego Salomona, nadobnego Absalona, mocnego Sampsona, obrzymskiego (t. j. olbrzymiego) Wietrzycha (Dytryk z Werony, bohater eposu niemieckiego), tylko Chrystus jej „kosę zwyciężył, iż trzeciego dnia ożył.” Mistrz jej znowu przedkłada:

Jać nie wiem, z kim się ty zbracisz, Gdy wszystkie ludzi potracisz;  
Wźdyć trzeba ludzkiej przyjaźni, By cię zgrzeli w swojej łaźni,  
Aby się w niej napociła, Gdyby się już urobiła.

Śmierć oburzona jego „dworowaniem”, grozi mu, powtarza jeszcze raz, że o żadne ludzkie mienie nie dba i wylicza znowu, jak „każdego morzę, lupię, o to nigdy nie pokupię” (zapłacę winy):

Kanonicy i proboszcze, Będą w mojej szkole jeszcze,  
I plebani z mięszą szyją, Jiżto barzo piwo piją

(*mięszy* tyle co gruby). Jeżeli tak, pyta mistrz, a cóż lekarze i ich zachwalone zioła pomagają? Mało, odpowiada śmierć:

Otoć każdy lekarz faści, Nie pomogą jego maści.  
Pożywa mistrzostwa swego, Poty nie tu czasu mego  
A wźdy koniec temu będzie, Gdy lekarz w mej szkole siędzie,  
Bowiem przeciw śniertnej szkodzie, Nie najdzie zioła w ogrodzie.

I wylicza dalej swe ofiary, zwracając się teraz ku sędziom:

Morzę sędzie i podsędki, Zadam jim wielikio smętki;  
Gdy swoje rodzinę sądzą, Często na skazaniu błędzą.  
Ale gdy przyjdzie sąd boży, Sędzia w miech piszczeli włoży;  
Już nie pojedzie na roki, Czyniąc niesprawnie otwłoki i t. d.,

*Piszczełi w miech włoży*, spuści z tonu — tego samego zwrotu używa Rej w *Józefie* r. 1545. I jeszcze pyta mistrz, czy nie mógłyby ująć śmierci, gdyby się w ziemi chował? Ale niczemu żywemu śmierć nie przepuszcza; wylicza teraz zwierzęta, którym również nie folguje:

Sama w lisie jamy łażę, Wszystkie liszki w zdrowiu każę;  
Za kunami łażę w dzienie, Kupieże dam na odzienie.  
Ja dawię i gronostaje I wiewiórkam się dostaje;  
Jać też kosą siekę wilki; Sarny łapam drugiej filki,  
I przez płoty gonię chłopie, Żórawie, takież i dropie;  
Gęsi z koćca też wypędzam, Pierze na poduszki dawam i t. d.

i jeszcze raz wraca do ulubionego motywu o nieuchronności przed śmiercią:

By się podniósł na powietrze, Musisz płacić świętopietrze.  
 Ten ma grody i pałace, Każdy przed mą kosą skacze.  
 By też miał żelazna wrota, Nie ujdzie ze mną kłopotu.  
 Wszystkie sobie za nie waże, Z każdego duszę wydlążę.  
 Stoić mi za mało papież I naliższy zebrał takżeż;  
 Kardynały i biskupy, Zadam jim wielkie łupy;  
 Poginatam ci kanoniki [brak wiersza]  
 Proboszcze, sufragany, Ani mam o to przygany.  
 Wszystkie mnichy i opaty, Posiekę przez wszej zapłaty.

Ale dobrzy mnisi nie boją się mnie; następuje teraz gorąca pochwała tych, którzy, wysniani i wzgardzeni na ziemi, „idą w niebieskie radości a nie w piekielne żalości”, jaśni nad słońce. Inaczej ma się ze złymi mnichami, i tu podany drastyczny opis dość częstego w XV wieku zjawiska, gdzie przy rozluźnionej karności kościelnej zbiegły mnich lub zakonnica wiele broić mogli; mowa więc o mnichach:

Co z klasztoru uciekają a swej wolej pożywają.  
 Gdy mnich pocznie dziwy stroić, Nikt go nie może ukoić;  
 Kto chce czynić co na świecie, Zły mnich we wszystko się miecie.  
 Jestli wsiedzie na szkapicę, Wetknie zanadra kapieć,  
 Zawodem na koniu wraca, Często kozielec przewraca.  
 Kiedy mnich na koniu skacze, Nie weźrzał-by na kołaczce.  
 Umaże się jako wiła, Wždy mu ta rzecz barzo miła.  
 Gdy picelhotą imie biegać, Muszę mu naprzód zabiegać.  
 Aż ci ci czarci nosą, Jedwo ji poganiam z kosą.  
 Nie dba iż go kijem biją; Zawód biega, skaziw szyję;  
 A drugdy mu zbiją plece, Wždy się w niem coś złego miecie.  
 A wždy za nim biegać muszę, Aż z niego wypędzę duszę.  
 Mówię to przez kłamu, wierę, Dam ji czartom na ofierę.

Następuje ostatnie wyliczenie ofiar, które śmierć teraz i z klasztoru porywa:

Kustosza i przeora, Wezmę je do swego dwora.  
 Z opata zejmę kapieć, Dam komu na nogawicę.  
 Z szkaplerza będą pilśnianki, Suknia pachotkom na lanki;  
 Odejme mu torpot kuni A nie wiem, gdzie się okuni.  
 Odejme mu kozuch lisi I płaszcz co mu nazbyt wisi.  
 Koniecznie zejmę infule, I dam za szyję poczpułę <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Kilka przestarzałych wyrazów tu i w poprzednich wierszach należy jeszcze objaśnić: *torpot* oznacza futro, suknię futrzaną, częściej w XV wieku; *poczpułę dać*

Wysławiając przedtem pochwałę dobrego mnicha, każe teraz autor mistrza pytać „jako się u Boga mają panie, co czystość chowają?” Śmierć wystawia z podziwieniem stałość pań świętych, nieustraszonych mękami nawet.

Dziw jest nie dbać okrutności, Cirpiąc tak ciężkie boleści.

Na tych wierszach urywa się w rękopisie najciekawszy zabytek polskiej średniowiecznej literatury, oczywiście niedokończony. W dalszym jego ciągu pytał może mistrz, jak śmierć działa; ona mu szczególnie opowiadała, jak od stóp do głowy władzę odbiera, jak członki mrozi, serce przeraża i t. d.; opisywała może ostatnie chwile, pogrzeb nawet, wierszami, które znaleziono w innym rękopisie kazań łacińskich, należącemi do tego lub podobnego poematu:

Oto usta już zamknięta, Co wczora się targowała.  
 Już na marach milcząc leży, Co przekraczał zakon boży.  
 Już k niemu bractwo zbiera, Przyjaciele się targają,  
 A dziatki żałośno płaczą, Póki ośca w domu baczą.  
 Żona splotszy ręce krzyczy, Póki zwoy zwońc słyży.

Kończył się zaś poemat może zapewnieniem śmierci, że po pięciu latach przyjdzie po mistrza, który, wrzuszony wszystkim, co widział i słyszał, zmienił tryb życia, dobra rozdał, wstąpił do klasztoru i umarł „dobrym mnichem.”

Skąd możemy właśnie takich szczegółów się domyslać? Poemat polski, jak każdy inny średniowieczny zabytek literacki, nie jest produktem oryginalności, na którą się wtedy nikt jeszcze nie silił; przeciwnie, każdy szukał powag, o które-by się oparł, mianowicie owych budujących tekstów łacińskich, których żakom człowiek nieuczony zazdrościł. I nasz poemat więc musi być przeróbką: znaleźliśmy istotnie traktacik łaciński we współczesnych rękopisach, nazywany w nich rozmaicie, ale najstosowniej „o śmierci wszystkich”, w formie dialogu między śmiercią a mistrzem Polikarpem z Irlandyi,

---

zda je się tyle co uderzyć, por. czeskie *czpuliti* i *czpouliti*=kręcić np. ustami, marszczyć i t. p.; *okuníc się* zagapić się (od *okunia*, jak *gapić się* od *gapy* to jest wrony pochodzi); *lanek*=szata zwierzechnia, por. w obronie postyli Grzegorza z Żarnowca, gdzie o jezuitach mowa: *lanek* ich dokostkowych; *faćcić* musi znaczyć zwodzić, durzyć; *koniecznié* tyle co w końcu; *wierę*=zaprawdę; *wydlazę*=wycisnę (to samo co *wydlabię*); *lazę* lęzę; *dzienni*=dziupła, nory, *łupięze*=skórki; *dawię* duszę; *silka*=chwilka (jak *faćcić* tyle co chwasić, od chwastu); *nie tu czasu mego*=nie przyszedł czas mój i in. Niektórych z tych barwnych a żywych wyrazów w innych pomnikach polskiego języka dotąd jeszcze weale nie odszukano.

kraju, który w średnich wiekach za uprzywilejowane miejsce wszelkich wizyi, mianowicie zagrobowych, uchodził, którego legendy formowały materyał, zużytkowany i przetopiony w Boskiej Komedyi. Z łacińskiego traktatu pożyzył nasz autor nietylko głównego pomysłu i ramek jego wykonania, ale przejął i to ciągle, nieco niedołążne, nawracanie do właściwej treści, do wyliczania ludzi, stanów, zwierząt nawet, które wszystkie śmierci nie uchodzą, do kreślenia jej potęgi i skutków; przejął też wiele zwrotów, np. ów częsty o szkole śmierci, o lekarzach i ziołach i inne; ale wiele szczegółów, np. o pierwszym upadku, o męczennicach i t. d., wciągnął w treść nasz anonim samoistnie; na jego też karb przypadają wszystkie rysy ówczesnego życia, choć grube, ale charakterystyczne. Rubaszny sposób wystąpienia przypomina Reja, który byłby mógł śmiało podpisać np. następane wiersze:

Gdy przyde namilszy k tobie, Tedy barzo zeckniesz sobie;  
 Zableszczysz na strony oczy, Eż ci z ciała pot poskoczy;  
 Rzucę się jak kot na myszy, Aż twe sierce ciężko wdyszy.  
 Odechceć się z miodem tarnok, Gdyć przyniosę jadu garnek.  
 Musisz ji pici przez dzięki, Gdy pożywiesz wielkiej męgi.  
 Będziosz mieć dosyć tesknice, Odbędzisz swej miłośnice.  
 Ostań tych wszech, tobie wiele, Przez dzięki cię z nią rozdzię.  
 i t. d.

(*wiele* rozkazują; *przez dzięki* gwałtem; *eż iż* i t. d.). Jeżeli zważymy, że od wierszy tych dzieli nas z górą czterysta lat, niechybnie przyznamy, że się wcale gładko czytają; porównywając je zaś z wierszami Reja, przyznamy im nawet, że, pomijając kilka przestarzałych form i wyrazów, łatwiej je niemal rozumieć; one przypominają chyba wiersze Grochowskiego, tak potocznym, przejrzystym językiem wyrażają przejrzyste myśli i rzeczy potoczne. Niema tu bowiem żadnej głębokości; autor prostaczek do prostaczków przemawia, dlatego tak rozumiały, a że wycieczek satyrycznych nie szczędzi, leży to we właściwości wieku, który, widząc koła życia ówczesnego tak rozbiegłe, tak się oddalające od nieba i Boga, zawsze karciał i gromił, lub zrzedził i sztydził. Wzory, na których-by się mógł kształcić, miał autor gotowe, od wiersza Złoty i legendy o św. Aleksym począwszy, w nieprzerwanym ani na chwilę ciągu przez wszystkie religijne i świeckie wiersze aż do swej doby; może też czytał rzeczy czeskie, satyryczne i dydaktyczne, wierszem i prozą, których i po polskich klasztorach nigdy nie brakło zupełnie; jednym z częściej traktowanych przedmiotów tej literatury był właśnie spór duszy z ciałem w chwili śmierci, lub satyryczne dziesięcioro i t. p.

W tym samym rękopisie, z którego ów dyalog polski wyjęto, znajduje się jeszcze jeden krótki wiersz o śmierci, w strofach zaczynających się literami wedle alfabetu, może tego samego autora; ale brak mu wszelkich cech charakterystycznych dłuższego wiersza; jest to niby monolog umierającego, oskarżającego siebie i świat, który go zwodził, skruszonego i przestrzegającego innych: wpływ wspomnianych właśnie wierszy o sporze ducha i ciała jest tu już całkiem widoczny. Ale mniejsza o to, czy oba wiersze (a może i trzeci, jeśli wyżej przytoczony fragment o pogrzebie do innej całości należał) są dziełem jednego autora czy kilku: że tyle poematów chwilom ostatnim, grozie śmierci poświęcono, odpowiada znakomicie nastrojowi literatury piętnastego wieku, nie znachodzącej dosyć silnych wyrażań, by wystawiać marność świata i życia.

Stanęliśmy u kresu; rzućmy jeszcze raz okiem na materiał, który zdobyliśmy. Uderza nas przedewszystkiem jego nadspodziewana obfitość; ubożuchna wprawdzie literatura średniowieczna polska wobec innych, np. wobec najbliższej czeskiej, która od XIII wieku zasobna w dzieła, nieraz niepospolite; ale choć jeden dział, liryka religijna, bogato się i w polskiej rozwinął, tak, że za innymi zbyt w tyle nie pozostaje; liczymy tu cały szereg autorów i wierszy. Dalej widoczny postęp, który od wiersza Złoty do dyalogu o śmierci o wiele znaczniejszy, niż od tego dyalogu do Reja znowu; niedołączne jeszcze wysłowienie Złoty, jego urwane zdania, niejasne spojenia, ustępują gładkości i przejrzystości dyalogu; język nabiera giętkości i śmiałości, ustala się składnia poetycka, rozwija całe bogactwo miar i zwrotek; razi nawet wobec takich wierszy piętnastego wieku niedołączność wierszy, rozsianych po pierwszych drukach polskich. Nie zamilczymy jednakże, że od poezji piętnastego wieku dziwnie jego proza odbija w utworach pisanych: tak sztywna i ciężka, tak nieokreślona i chwiejna w wiązaniu zdań, tak walcząca z brakiem wyrazów, że nie zawsze-byśmy ją dokładnie zrozumieć mogli, gdybyśmy samych źródeł nie znali, które przyswajając się starała; winą tego stanu owe ciągłe tłumaczenia z łaciny (czasem z niemieckiego), które język na uwięzi obcego toku, obcych wyrażań trzymają, z czego pieśń już samą odmiennością rymów i miar wyzwolić się musiała; poezya też najpierw, nie proza, do samostnego polotu się wznosi: zjawisko, powtarzające się w średnich wiekach częściej, np. zaraz znowu u Czechów. O prawdziwej poezji, przed Kochanowskim, mowy jeszcze niema; umyślnie też wystawiliśmy w nagłówku tego szkicu wyraz inny, mówiliśmy tylko o „wierszach”, ale nikt już nie będzie ich początku dopiero od Reja datował; w wierszach tych znaleźliśmy też niejedyn wyraz rzewnej, ujmującej prostoty, wdzięk naiwnego wysłowienia, lub barwny, wyrazisty rys otaczającego życia.



I jeszcze jedno. Literatura średniowieczna od szesnastego wieku zapada w martwość, z której sztucznie ją wskrzesza dopiero wiek dziewiętnasty; nader mało jej utworów, które-by po-za jej dobę sięgały, a u nas jeszcze mniej, niż gdzieindziej; tylko w biblii Leopoldy r. 1561 i kilku pomnikach drobnych nie urwała się natychmiast tradycja średniowieczna. Ale pieśń kościelna stanowi i tu wyjątek: ona jedyna z utworów tej literatury sięga jednym ciągiem od średnich wieków do naszych czasów; ludzie rozsypali się w prochy, dzieła ich, które wszystko przetrwać miały, zmarniały; ale Bogarodzica, ale inne pieśni rozbrzmiewają dziś jeszcze, jak przed wiekami, nie zmienione.

A. BRUCKNER.

---

# KRONIKA PARYSKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

---

Zwykłym porządkiem rzeczy w końcu zeszłego roku odbyło się w Akademii Francuskiej ogłoszenie prac literackich, uwieczonych konkursową nagrodą. Liczba ich wzrasta z każdym rokiem, w miarę szczodropliwości coraz to nowych fundatorów.

P. Doucet, sekretarz Akademii, rozpoczął sprawozdanie od prac, nadesłanych na tak zwany *konkurs wymowy (prix d'éloquence)*, ustanowiony razem z Akademią. Pozostał mu tylko tradycyjny tytuł. Dawniej wymagano panegiryku dla osobistości, wybitnej w dziejach lub literaturze, dziś apoteozę zastąpiła krytyczna rozprawa. Na zadany przedmiot o dziełach filozoficznych De Maistra odpowiedziało trzydziestu siedmiu kandydatów. Z ich prac Akademia wybrała dwie równej wartości: profesora Rocheblave'a i młodego prawnika, Michała Revou. Pierwsza odznacza się drobiazgową dokładnością; druga, pełna życia i nowych spostrzeżeń, zapowiada świetną przyszłość nieznanemu dotąd autorowi.

Akademia dała dowód eklektyzmu, gdy po De Maistrze, żarliwym głosicielu katolickich doktryn, podała do przyszłego konkursu ocenienie utworów literackich pani Georges Sand, która blaskiem stylu zapalała wyobraźnię, a gradem paradoksów psuła serca i krzywiła etyczne pojęcia współczesnych. Miejmy nadzieję, że przyszły konkurs przyniesie nam surową rozprawę krytyczną, a nie panegiryk autorki.

Trzy najważniejsze konkursy odnoszą się do historii, fundatorami ich: Gobert, Therouanne i Thiers. Przy obudzonym dziś popędzie do badań historycznych, nie brakło kandydatów; z pomiędzy pięćdziesięciu nadesłanych dzieł Akademia wybrała siedm najcelniejszych. Pierwszą nagrodę przysądzono Karolowi Lomenie za trzy ostatnie tomy, dopełniające pomnikowej pracy o Mirabeau, którą rozpoczął Ludwik Lomenie, ojciec autora, zmarły przed laty piętnastu. On sam ogłosił drukiem dwa pierwsze tomy, do trzech następnych pozbierał luźne dokumenta, kiedy śmierć wytrąciła mu pióro z ręki. Syn podjął niedokończoną pracę i nadał jej blask nowy. Zgromadzone materiały posłużyły mu za wątek do dzieła, objętego w trzech wielkich tomach; podał je do konkursu, nie w swoim, lecz w ojca imieniu. Akademia zaszczyliła dzieło pierwszą nagrodą Gobert'a, przyznając ją w zupełności synowi, który umiał z zebranych dokumentów utworzyć dzieło, wysoko artystyczne.

Drugą nagrodę Gobert'a zdobył Laferrière, autor zajmującej historii Małgorzaty z Angoulême i wydawca ciekawych korespondencji Katarzyny Medyceuszki, z historycznym komentarzem.

Akademia przyjęła za zasadę: sędzić nadsyłane na konkurs prace wyłącznie według ich literackiej wartości, nie wchodząc bynajmniej w polityczne opinie autorów. Dzięki tej bezstronności, otrzymał premium hrabia Antioche, biograf generała Changarnier'a, inne znów, hr. Estournel Constant, który w studyum nad polityką francuską w Tunisie umiał zręcznie unikać wszelkich nieporozumień z państwem włoskiem.

Nie napotkał takich trudności imy laureat, August Moreau, w dziele pod tytułem: „Historia Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej“ od odkrycia nowego kontynentu aż do dni naszych. Mógł on z całą swobodą rozwinąć żagle i wypłynąć na pełne morze, bez względu na ukryte pod wodą skały. Przedstawia naprzód szczegółowo osiedlenie się pierwszych kolonistów angielskich na stałym lądzie Ameryki, przechodzi potem do utworzenia konstytucyi i uorganizowania rządu narodowego, pokazuje zacięte walki stronnictw, od epoki dwóch pierwszych prezydentów, Washingtona i Adamsa, aż do tryumfu demokracji. Tę wielką pracę dociągnął tylko autor do początku bieżącego stulecia: historia dziewiętnastego wieku tworzyć będzie osobną całość.

Nagrodę fundacyi Thiers'a rozdzielono między dwóch laureatów: 2,000 fr. z niej otrzymał Godfred Cavaignac, autor ważnego dzieła p. t. „La formation de la Prusse contemporaine.“ Z godną pochwałą wytrawnością i zupełnym spokojem, bada on organizację polityczną i społeczną nieprzyjaznego narodu, pokazuje początek i wzrost tej, dziś tak olbrzymiej, potęgi. Odczytał on niezliczone dokumenta w księgozbio-

rach i archiwach niemieckich; wsparty na nich, skreślił w pełnym życia obrazie wypadki polityczne, zaszłe pomiędzy 1806 a 1815 rokiem, które wydobyły z Prus siłę żywotną i spowodowały odrodzenie. Praca ta, bezstronna i umiarkowana, może się stać wielką nauką dla Francyi.

Drugą część nagrody Thiers'a otrzymał markiz de Courcy, autor dzieła p. t. „Hiszpania po przymierzu Utrechckiem.“ Jest to dalszy ciąg uwieńczonego dawniej dzieła, w którym autor wyjaśnił zrzeczenie się francuskiego tronu przez Burbonów hiszpańskich. Sprawa ta obchodzi Francję; wiadomo, że po śmierci hr. Chambord, garstka zaciętych legitymistów, zwana *Blancs d'Espagne*, popiera jeszcze pretensye Don Karlosa.

Te historyczne dzieła, pełne erudycyi, zbijają wymownie zarzuty krytyków niemieckich, jakoby na niwie literackiej we Francyi rosły wyłącznie same kwiaty. Do najpoważniejszych prac, nagrodzonych w tym roku, należy dzieło głębokiego erudyty, p. Ravaisson-Mollien, o „manuskryptach Leonarda da Vinci.“ Już w roku 1888 otrzymał on premium za trzy tomy in folio tej pomnikowej publikacji. Na tegoroczny konkurs przedstawił autor trzy nowe wolumina, zakończone bibliograficznym spisem wszystkich dzieł artystycznych mistrza z epoki Odrodzenia.

Inny koryfeusz szesnastego wieku wystąpił tu znów na widownię w uwieńczonem dziele historycznem Ferdynanda Busson. Jest nim Sebastyan Castellion, Genewczyk, zacięty propagator reformy. Wokoło tej postaci autor ugrupował wypadki ówczesne. Odtworzył on wierny obraz obyczajów, oraz sporów religijnych i literackich tej ważnej w dziejach epoki.

Z pomiędzy monografii dalekich krajów dwie zwróciły szczególną uwagę Akademii: dzieło o Ameryce Pawła de Rousiers i o Indyach wschodnich Andrzeja Chevrillon. O pierwszym mówiliśmy obszernie w kronice z Sierpnia r. z., drugie, nazbyt ważne, aby je zbyć pobieżną wzmianką, zostawiamy je do bliższego rozpatrzenia.

Otrzymał zarówno nagrodę uczony ksiądz Ricard, profesor fakultetu w Aix, za wydanie korespondencji politycznej i pamiątek kardynała Maury. Pozostałe po nim papiery spoczywały dotąd w familijnem archiwum w Awinionie; spadkobiercy nie śpieszyli się z ich ogłoszeniem, nie chcąc stawiać przed sądem współczesnych działań człowieka, który tak sprzeczną odgrywał rolę, jako trybun zgromadzenia prawodawczego podczas rewolucyi i arcybiskup za Cesarstwa. Wydobył je nakoniec ksiądz Ricard, wydał w dwóch wielkich tomach, wzbogaciwszy publikację obszernym komentarzem. Te listy i wspomnienia, pełne werwy, rzucają nowe światło na dzieje tej epoki.

Bliską styczność z tą publikacją ma inne, zarówno nagrodzone dzieło, Franciszka Piquavet, p. t. „Historya Idei i Teoryi naukowych, filozoficznych i religijnych we Francyi od 1789 roku.“ Autor wyjaśnia doktryny ówczesnych filozofów, poczynawszy od Condorcet'a, których Napoleon przezwiał ideologami.

Na konkurs Montyona nadesłano, jak zwykle, mnóstwo dzieł rozmaitej treści; Akademia wybrała z nich dwadzieścia. Pierwsze dwie nagrody przypadły dwóm głośnym podróżnikom, którzy w dziwnie zajmujący sposób opisali zwiedzone, a nieznanne dotąd, strony świata.

Jeden z nich, młody kapitan inżynierii, Binger, wysłany był przed kilku laty do Afryki, w celu nakreślenia planu drogi żelaznej od Senegalu do Nigru. Upojony afrykańskiem powietrzem, po trzykroć tam powracał. Przez kraje całkiem nieznanne dotarł do zatoki Gwinejskiej. Nagle znika przed okiem ludzkim; przez dwa lata nikt o nim nie wie; przyjaciele oplakują go, pewni, że padł ofiarą; aż tu zjawia się, przynosi w upominku Francyi zdobytą przez siebie część Sudanu. Akademia nagrodziła opis podróży, pełen ciekawych szczegółów, pod tytułem: „Z Nigru do zatoki Gwinejskiej.“

Drugi laureat, Gabryel Bouvalot, opisał podróż z Paryża do Tonkinu, przez nieznaną część kraju tybetańskiego; podróż tę odbył w roku zeszłym, opowiada ją wesoło w humorystyczny sposób. Młody książę, Henryk Orleański, podzielał, jak wiadomo, trudy tej niebezpiecznej wyprawy, wśród podbiegunowych prawie mrozów i zasp śnieżnych, dotąd niedeptanych ludzką stopą.

Oto szereg innych dzieł w rozmaitych przedmiotach, uwieńczonych na tymże konkursie:

Z działu pedagogii: Studya filozoficzne p. t. „Młodość,“ przez C. M. Wagnera. Autor usiłuje zwrócić młodzież do życia wewnętrznego, rozbudzić w niej wiarę religijną i poczucie wyższego ideału.

„Szkoly i kolegia,“ przez Augusta Franklina.

„Dawne liceum Harcour, przemienione obecnie na liceum św. Ludwika,“ przez księdza Bouquet, kapelana tej instytucyi.

„Dzieci w więzieniu,“ przez G. Tomela.

Z wydziału wojskowości: Raport pułkownika Fray z walki, prowadzonej w Tonkinie r. 1891 przeciw rozbójnikom morskim, tytuł dzieła: „Pirates et Rebelles dans la Région de Gou-The.“

„Dziennik podoficera Delorme.“

Z pola krytyki literackiej: Dzieło Maurycego Albert'a p. t. „Literatura francuska podczas wielkiej rewolucyi, za Cesarstwa i Restauracyi.“

Leona Claretie: „Studya nad Lesage'em, popularnym autorem Gil-Blasa.“

Studia pani Darmstetter nad podaniem o Fańście p. t. „Les Marguerites des temps passés.“

Z prac historycznych: Dzieło Piotra de Nollac p. t. „Królowa Marya Antonina.“

Badania pani Witt z domu Guizot nad „miłosierdziem we Francyi w paśmie wieków.“

Z pomiędzy licznie nadesłanych powieści pięć otrzymało nagrodę: „Ayora.“ przez Brande St. Paula; „Głęb serca“ (le fond du coeur), Marka Champlaix; trzy i to najcelniejsze, nakreślone piórem utalentowanych kobiet: „Konstancya“ pani Teresy Bentzon, „Nowenna Koletki“ Joanny Schultz, „Rok próby“ Maryi Florau.

Z tegoż konkursu Montyona za pożyteczne prace zasługuje na szczególną uwagę dzieło Ludwika Barrou p. t. „Autour de Paris.“ O tej pięknej publikacyi mówiliśmy obszernie w jednej z zeszłorocznych kronik.

Lira poetów nie zadzwoniła na tegorocznym konkursie. Specyalna nagroda fundacyi Archona Deperousse'a za najcelniejszy utwór poetyczny odłożoną została na rok przyszły.

Szczęście lepiej sprzyjało tłumaczom, niż poetom oryginalnym. Pierwszy wieniec otrzymał Mirmont, profesor fakultetu literatury w Bordeaux, za wytworny przekład „Argonautyk“ Apoloniusza z Rodosu, drugi p. Lugol, tłumacz „Ód barbarzyńskich“, włoskiego poety Carducciego. Ten współczesny poeta, którym chlubią się Włochy, uganiający się za oryginalnością, usunął rym z utworów swoich i wprowadził rytm starodawnych mistrzów, stąd przekład wielkie nasuwał trudności, zwłaszcza na język francuski, nie oswojony z białym wierszem i trzymający się niewolniczo przyjętej formy. Tłumacz wyszedł jednak zwycięsko.

Akademia zaszczyliła także chlubną wzmianką przekład Ballad i ludowych pieśni węgierskich przez Jana Nettoy. Pod tym pseudonimem kryje się bratanka słynnego poety austriackiego, Anastazyja Grün, hrabina Auersperg.

Oprócz tych konkursowych fundacyi, akademia rozporządza kilku innymi dowolnie, bez zastrzeżenia ze strony donatorów. Z tych cztery przypadły laureatkom: pani Gérin-Cassol, za wspomnienia z Sundgan (wyższej Alzacyi); pani Feugère, za śliczną Legendę o świętym Ireneuszu; hrabinie Houdentot, autorce zajmującego tomiku p. t. „Lilie i ciernie“ i pani Maryi Holl za rzewną powieść „Młoda Teodora.“

Z fundacyi Vitet'a, przeznaczonej na zachętę dla młodych, utalentowanych pisarzy, sąd przyznał połowę Emilowi Faguet'owi, który wykazał zasługi pani de Maintenon, założycielki domu wychowania dla pańien. Drugą połowę nagrodzono Maurycego Buchora, autora dramaci-

ków w rodzaju dawnych misteryów, osnutych na obrazkach biblijnych i legendach. Misterya te, odgrywane przez marynetki, zachwycały Paryż w roku zeszłym.

Do tych fundacyi przybywają coraz to nowe. Po raz pierwszy w tym roku Akademia rozporządzała zapisem zmarłego miłośnika sceny, p. Tuaraga, przeznaczonym na nagrodę dla autora najpiękniejszego dramatu lub komedyi, jakie przedstawiono w ciągu roku. Otóż sąd akademicki uwieńczył jednomyślnie fantastyczny dramat Armanda Sylwestra „Grizeldi,” oparty na podaniu średniowiecznym. O dramacie tym mówiliśmy szczegółowo, kiedy poetyczny utwór Sylwestra wywoływał grzniące oklaski Paryżanów.

Po raz pierwszy także Akademia rozporządziła fundacją pani Calman Lewy, wdowy po znanym wydawcy, na rzecz niezmordowanego pracownika, Ernesta Daudet'a, za całość prac jego na polu historii, krytyki literackiej i powieści.

Na tem samym posiedzeniu akademickim, słynny z wymowy, Emil Olivier, wygłosił imiona skromnych laureatów, którzy, jeśli nie wzbogacili niwy literackiej, w inny za to sposób zasłużyli się Francyi. Mówimy tu o tych cichych pracownikach w winnicy pańskiej, którzy czynami, pełnemi poświęcenia, świadczą wymownie, że ta Francya, zbląkana pod tyłu względami, kryje przecież w łonie swoim cnoty, uświęcone tradycją, a szczególnie cnotę miłosierdzia.

Z poszanowaniem przebiega Olivier długi szereg tych ludzi serca, którzy, sami obznajomieni z ubóstwem, wzięli sobie za cel ocierać łzy chorym Łazarzom, lub wrywać dziatwę ze zgniłego topieliska, w jakie wtrąca je nędza. W konkluzyi potrąca o pytania socyalne, leżące dziś na porządku dziennym.

„W którąkolwiekbyś stronę — mówi on — obrócimy oczy, tak w przyrodzie, jak w społeczeństwie ludzkim, widzimy, że skutkiem wyższego rozporządzenia, z którego Opatrzność zda nam gdzieindziej sprawę, nierówność ukazuje się, jako prawo konieczne; w mocy naszej złagodzić je do pewnego stopnia, nacechować braterstwem, ale nie podobna go zniszczyć. W lesie ludzkim są też drzewa, panujące ogromem nad innymi, pochłaniające więcej soków pożywnych i więcej światła, niż inne, które na małym poprzestają.

„Na pytanie myślicieli, dlaczego ta nierówność między ludźmi? odpowiem z socyalistą Prudhomem <sup>1)</sup>: „Ubóstwo podstawą jest spo-

<sup>1)</sup> „De la guerre et de la paix,” t. II, p. 131—143.

ecznego porządku, powołaniem człowieka na ziemi, nieuchronnem prawem naszej natury i społeczeństwa naszego. Niepodobna nam uchronić się od tego prawa.“

„Nie powstajemy przeciw temu, dopóki rzecz idzie o ubóstwo, nakazujące oszczędność, trzeźwość i pracę, o ubóstwo, które nie odbiera nam poczucia godności osobistej, ani niepodległości. Takie ubóstwo nie jest nieszczęściem. Stoik w starożytnych czasach miał w pysznym pałacu swoim izdebkę ubogiego; niekiedy usuwał się tam, przywdziewał grubą odzież, karmił się czarnym kęsem chleba, i odnajdował człowieka w bogactwie i mówił sam do siebie: „Takie to życie jest dla ludzi postrachem, a przecież łatwo je znosić!“

„Ubogi—ciągnie mówca—nie potrzebuje odgrywać komedyi, aby się czuć człowiekiem i wyrzec w duchu: „to przecież nie tak trudne do zniesienia!“

„Ubóstwo—mówi dalej—to poezya ziemi; dzięki ubóstwu, gromadzi się zwolna, przez szereg milczących pokoleń, ten prąd żywotny, z którego rodzi się geniusz. Ubóstwo uświęca człowieka, bo oswobadza duszę, umacnia ją, oczyszcza, dodaje sił, popycha ją na strome wyżyny. Tym, co śmiało patrzy mu oko w oko, ubóstwo zapewnia spokój, chroni od nudów, tej plagi przesyconego użyciem bogactwa. Tym, którzy je dobrowolnie przyjmują, jak święty Franciszek z Assyżu, Wincenty a Paulo, daje widzenia dalekich widnokręgów, przeczucie chwały wśród światłości bez końca.

„Nieszczęściem zaś jest nędza, drżąca od zimna, wybladła od głodu, gnieźdząca się po ciemnych zaułkach, która wyciąga dłoń po jałmużnę, wzywa litości i powątpiewa o niej. O! nie mówmy, że ta nędza musi trwać wiecznie! Społeczeństwo nie może oddychać pełną piersią, dopóki w jego łonie jęczą uczeni ludzie, którzy chcą pracować rękoma lub umysłem, a budzą się rano, nie wiedząc, jak przetrwają do wieczora, jak nakarmią głodną rodzinę!

„Społeczeństwo troskliwiej dziś, niż kiedykolwiek, pragnie zapewnić pracę tym biedakom. Nasz wiek, rozpoczęty sławną w dziejach epopeją bohaterską, wiek, który odtąd nowe otworzył widnokreśli badań historycznym, poezji, sztukom pięknym, który wydarł z łona przyrody ukryte w niej tajemnice, nasz wiek ugania się gorliwie za urzeczywistnieniem pomysłu społecznego. Droga pracy otwarta dziś dla wszystkich!

„W naszych włościach miliony pracowników, te główne podstawy narodu, wydobywają z ziemi coraz to nowe bogactwa i nie skarżą się na los, jaki im padł udziałem. W wielkich rękodzielniach naszych istnieją opiekuńcze instytucje, zapewniające dziatwie naukę, chorym pomoc lekarską, starcom chleb i utrzymanie do śmierci.“



Tu Olivier zaznacza wielką działalność w celu zaradzenia nędzy ludzkiej, jaką pochlubić się może wiek obecny. Przypomina na tem polu zasługę Montyona, który nietylko że utworzył wielką instytucję, ale, co więcej, utorował drogę nieprzeliczonym naśladowcom. „Wiele rzeczy—dodaje w konkluzji—pozostaje do uczynienia, ale to, co dotąd spełniono, z jaśniejszej strony pokazuje wiek dziewiętnasty, i daje niejaką gwarancyę przeciw burzliwym prądom, grożącym społeczeństwu!“

---

Epoka pierwszego Cesarstwa niewyczerpanym jest dotąd przedmiotem studyów historycznych. Ktokolwiek jej dotknie, znajdzie zawsze nieznaną materyał, uzupełniającą jej historję. Jeśli sama postać Napoleona, czy to pod piórem apologistów, czy wrogów, przedstawia zawsze olbrzymie rozmiary, inaczej rzecz się ma z najbliższem jego otoczeniem. Znany pełną wdzięku Cesarzową Józefiną, samolubną i zimną Maryę Ludwikę, piękną Paulinę Borghese, uroczą Hortensyę; ale matka Cesarza, Letycya, dotąd pozostała, rzecz można, nieznaną. Podczas gdy jedni przedstawiali ją jakoby rzymską Kornelię, matkę Grachów, lub jako bajeczną Niobę, oplakującą zmarłe dzieci, inni pokazywali w niej kobietę, przyrosłą do ziemi, chciwą na złoto. Jedna tylko Księżna d'Abrantès, która czas jakiś przebywała na jej dworze, mówiła o niej z wielkiem poszanowaniem i współczuciem, ale pochwały te utonęły w chórze nieprzychylnych jej głosów.

Dziś dopiero, w pięćdziesiąt lat po skonie, Letycya znalazła poważnego historyka. Doktor Larrey, syn słynnego chirurga cesarskiego, podjął mozolną pracę, zebrał liczne dokumenta, listy i ustne podania, i z tych danych ułożył pomnikowe dzieło w dwóch wielkich tomach pod tytułem: „Madame Mère“ (Napoleonis Mater).

Doktor Larrey, krzepki dotąd i pelen życia, odwiedził Rzym w r. 1834. Poznał tam ośmdziesięciokilkolletnią Letycyę, ociemniałą i skaleczałą skutkiem złamania kości w biodrze. Poważna ta matrona, pełna spokoju i religijnego poddania, obudziła w nim cześć głęboką. Wówczas-to umyślił poświęcić jej dokładny zarys historyczny, ale ze względu na rozproszoną rodzinę Bonapartych i na obowiązki lekarskiego zawodu, któremu oddał się w ślad za ojcem, praca szła zwolna, a rosnące materyały utrudniały ją coraz bardziej.

Patrząc na spokój matrony, nieprzygnębionej takim nawalem nieszczęść, Larrey wypytywał bliższych jej osób, co mogło utrzymywać w niej taką siłę? Powtórzono mu wtedy słowa, wielokrotnie przez nią wygłaszane w gronie poufnem: „Jeżeli się trzymam dotąd, zawdzięczam

to przyjętej metodzie: wstając od stołu na pół zaledwie syta, a po każdym nowem nieszczęściu poddają się z pokorą woli Bożej.“

Nie podobna nam iść za autorem wielkiego dzieła, obejmującego przeszło tysiąc stron. Opuszczamy więc całą genealogię Bonapartych i Ramolinich, protoplastów Letycyi, którzy w Korsyce ważną odgrywali rolę. Zaczynamy od krótkich wspomnień matki cesarskiej, dyktowanych w późnym wieku nieodstępnej towarzysze, pannie Mellini, w języku włoskim, przeplatany gwarą korsykańskich tubylców. Mimo całej bowiem miłości dla Francyi i długiego w niej pobytu, nie pisała nigdy listów po francusku, w mowie nawet zachowała akcent włoski. Oto początek jej notatek:

„W trzynastym roku życia poszłam za Karola Bonapartego. Był to człowiek piękny, wysokiego wzrostu, jak Murat. W trzydziestu dwóch latach zostałam wdową; Karol umarł, przeżywszy lat trzydzieści pięć, w Montpellier, na chorobę żołądkową. W ciągu dziewiętnastu lat małżeństwa miałam trzynaścioro dzieci, z tych troje umarło w dzieciństwie, dwoje zaraz po urodzeniu. Zostawszy matką rodziny, poświęciłam się całkiem dla niej; wychodziłam tylko z domu na mszę co niedziela i święto.“

Tyle tylko mówi Letycya o sobie. Nie wspomina nic o swej niepospolitej urodzie, o której świadczą popiersia i portrety, wykonane w latach dojrzałych, pędzlem i dłotem najstynniejszych mistrzów. Przemilczała też całkiem o wojennych przygodach, w których brała czynny udział przy boku małżonka. Miała zaledwie lat dwadzieścia, kiedy Korsykanie pod przewodnictwem Paolego podjęli przeciw Genuńczykom zaciętą walkę o niepodległość. Niejedną noc przepędziła Letycya pod gołym niebem; nie przerażały jej kule, świszczące nad głową, sama dodawała otuchy mężowi; ale kiedy obcy wmieszali się do zapasów, kiedy pokonany Paolo szukał ocalenia pod sztandarem angielskim, widzimy wtedy, jak dzielna Korsykanka zachęca męża do przyjęcia francuskiej opieki, mimo ścisłej przyjaźni, łączącej go z Paolim.

W tych-to burzliwych czasach przyszedł na świat Napoleon w Ajaccio. Po gwałtownem wstrząśnieniu nastąpiła chwilowa cisza. Pani Letycya zamyka się znów przy ognisku domowym. W miarę, jak dzieci rosną, wyrabia się energiczna jej działalność. Ale powróćmy do dyktowanych przez nią notatek.

„Obecność moja—mówi—konieczną była w domu, aby utrzymać rygor pomiędzy dziećmi. Dopóki były małe, mąż mój i jego matka pobażali im aż do zbytku. Na każdy ich krzyk, na najmniejszą reprimendę z mojej strony, nadbiegali im w pomoc, obsypywali je pieścotami. Co do mnie, byłam surowa lub pobażliwa, lecz wszystko w swo-

im czasie, to też dzieci kochały mnie i słuchały zarazem. Nawet gdy wyrosły, okazywały mi zawsze miłość, połączoną z uszanowaniem.

„Ze wszystkich dzieci moich, Napoleon okazywał się od pierwszych lat najzuchwalszym. Aby otworzyć im pole do rozwinięcia siły, wyprzątnęłam w domu obszerny pokój. Tam w dni slotne, podczas rekreacyi, dziatwa bawiła się, każde według upodobania swego. Starsi wyprawiali skoki, malowali arlekinów na ścianie. Napoleon, któremu kupiłam bębenek i szabelkę drewnianą, malował tylko żołnierzy, ustawionych w szyku bojowym.

„Gdy cokolwiek podrośł, kazałam prowadzić go do szkoły Jezuitów. Zabierał z sobą na śniadanie kawałek białego chleba. Raz jeden z domowników mówi mi, że spotyka na ulicy pana Napoleona, zjadającego czarny chleb żołnierski. Pytam chłopca o powód: on mi odpowiada, że co rano zamienia chleb swój z żołnierzem, bo przeznaczony też na żołnierza, powinien przywyknąć do czarnego chleba, który zresztą bardzo mu smakuje.

„W ośmiu latach chłopiec tak pilnie uczył się arytmetyki, że kazałam przybudować dla niego małeńki pokoik z desek na tarasie, aby mu bracia nie przeszkadzali w pracy. Opuszczał go tylko późnym wieczorem, wychodził na ulicę rostargniony, odziany niedbale, z półczochą, najczęściej opadł na bucik.“

W dziesiątym roku życia Napoleon otrzymał stypendyum szkoły wojskowej w Brienne, jako kandydat korsykański. Nim opuścił dom, matka poprowadziła go do ojców Lazardów w Ajaccio, z prośbą o błogosławieństwo. Dyrektor skreślił krzyżyk nad głową ucznia, wtedy matka, poruszona głęboko, położyła rękę na czole chłopczyzny: „Jest tu—rzekła—Boża iskierka geniuszu!“

Ojciec zabrał z domu dwóch synów: Józefa zostawił w kolegiu w Autin, Napoleona zawiózł do Brienne. Przy pożegnaniu, domownicy i krewni zalewali się łzami, matka tylko ukrywała, jak mogła, smutek. „Dalej chłopcy! nie traćcie odwagi!“—powtarzała co chwila.

Napoleon wybornie się uczył. Bracia zakonnicy, przewodniczący szkole, obsypywali go pochwałami, to podniecało zazdrość w towarzyszach. Szydlił też oni bez litości z jego włoskiego akcentu, bogatsi panie pogardzali jego ubóstwem. Przychodziło nieraz do starcia. Listy chłopca do rodziców pełne były zażaleń. Te skargi tak poruszyły matkę, że postanowiła udać się z mężem do Brienne. Nie mając pieniędzy na drogę, pożyczyci od przyjaciela 25 luidorów. Dług ten podczas konsulatu splecony został hojnie.

Te odwiedziny rodzicielskie wspominał Napoleon na wyspie św. Heleny. „Kiedy matka zobaczyła mnie—mówił do generała Montholon,—tak ją przeraziła moja wybladła cera i wychudła postać, że wa-

łała się z powitaniem, sądząc, że mnie zamieniono. Jakoż w rzeczy samej zmienilem się okropnie; pracowałem nawet w godzinach rekreacji; nieraz całą noc spędziłem bezsennie, rozmyślając nad lekcją dnia poprzedniego. Nie mogłem znieść myśli, by nie być pierwszym w klasie. Matka moja miała wtedy lat dwadzieścia dziewięć, nadzwyczaj była piękną.“

Pobożna matka spostrzegła z radością, że syn zachował głęboko uczucia religijne, zaszczerpione mu w domu, powtórzył to dyrektor szkoły, ojciec Karol, który go przygotował do komunii. Tenże dyrektor za konsulatu otrzymał pensję dożywotnią, z pełnym wdzięczności listem dawnego ucznia.

Po pięcioletnim pobycie i ukończeniu nauk przygotowawczych w Brienne, Napoleon przeszedł do szkoły wojskowej w Paryżu. Ojciec, chory już, postanowił odwiedzić go w roku następnym, zdrowie matki nie pozwalało jej oddalić się z domu: w tym czasie właśnie przyszedł na świat najmłodszy jej syn, Hieronim. Wybrał się ojciec sam do Paryża; w Montpellier stan jego nagle się pogorszył. Otoczony troskliwą opieką rodziny Permon, umarł w jej domu r. 1784.

W rok potem Napoleon otrzymał stopień podporucznika w pułku artylerji, konsystującym na przemian w Walencji i w Lionie. Pokój panował we Francji; artylerja była bezczynną. Snadno przychodziło oficerom otrzymywać półroczny urlop. Napoleon przepędzał wolny czas w domu matki. Podjął tam z zapałem pracę nad historją swobód korsykańskich; wykonał również kilka strategicznych planów; dla wypoczynku tworzył literackie obrazki, odczytywał je matce.

W tym domu korsykańskim dnie upływały po klasztornemu: modlitwa, spoczynek, obiad, wieczerza, rozrywki, przechadzki, wszystko to następowało po sobie jednostajną koleją. Życie takie odpowiadało usposobieniu Napoleona. Obok prac naukowych, wszystko go zajmowało, nawet rachunki domowe; pod okiem gospodarnej matki nabrał, jak nieraz powtarzał, wiadomości praktycznych, których nie uczył się w szkole, a które na przyszłość wielce mu posłużyły.

Spokój ten przerwała burza rewolucyjna. Płomień, roztlony w Paryżu, ogarnął daleką Korsykę. Paoli, korzystając z zamieszania, przybywa do Ajaccio, zbiera dawnych stronników, zamierza wyrwać wyspę z rąk francuskich, a rzucić ją na łup Anglii. Z rodziny Bonapartych sama Letycya pozostała w domu z dziatwą. Daremnie Paoli to namową, to postrachem usiłuje skłonić ją na swą stronę, lub pochwycić ją w zakład. Dzielna kobieta, otoczona garstką górali, uzbrojonych w noże i strzelby, przedziera się przez lasy i wąwozy ku wybrzeżom, gdzie na statku czeka Napoleon; już nie ustrasza Letycyi ani pogoń wysłanego za nią oddziału, od którego zasłoniły ją skały, ani widok

domu jej w płomieniach. Gdy jeden z wiernych ukazał unoszące się nad nim kłęby dymu, odrzekła najspokojniej:

— Mniejsza o to, odbudujemy piękniejszy! Niech żyje Francya!

Matka z dziećmi schroniła się do Marsylii, wśród twardych prób zachowała moc duszy niezłomną. Z pomiędzy dzieci, sam tylko Napoleon przynosił jej drobną pomoc, lecz to nie mogło wystarczyć. Zaprawna do ścisłej oszczędności, urządziła się odpowiednio, zamieszkała na czwartym piętrze, wstawiała przed świtem, każdej z córek przeznaczając osobne zajęcie: jedna chodziła na targ za kupnem prowiantów, druga pilnowała porządku domowego, trzecia prowadziła rachunki. Oko matki czuwało nad wszystkim. Wieczorem rodzina zasiadała wokoło stołu: panienki szyły, dwaj chłopcy, Ludwik i Hieronim, czytali na głos dzienniki; matka, kręcąc w rękę wrzeciono, opowiadała niekiedy działy korsykańskie legendy, lub zapasy, w których przed laty kilkunastu brała czynny udział z małżonkiem.

Anglicy tymczasem zajęli Korsykę, poczem wylądowali na brzeg Francji, opanowali Tulon. Nie będziemy tu opisywali znanych faktów, jak Napoleon oswojeniem Tulonu zdobył pierwsze wawrzyny; jak bezprzykładne tryumfy włoskie wytknęły mu drogę do konsulatu, jak promień austerlickiego słońca otoczył go blaskiem potęgi.

Pod wpływem tych cudownych zmian losu, Letycya pozostała zawsze jedną. Prostota w słowach i obejściu cechowała głównie jej charakter. Drażniło to niekiedy Napoleona; pragnął on, aby matka, stosownie do nowego położenia, podniosła głos o jeden ton wyżej, lecz nie mógł przełamać jej woli. Tak samo, obok pierwszego w świecie tronu, jak w skromnym dworku w Ajaccio, jak na ubogiem poddaszu w Marsylii, zawsze i wszędzie była rządną gospodynią, wzorową matką rodziny: kochała dzieci duszą całą, nie pobłażała im w niczem, łajała je, wytykała wręcz słabości i usterki, godziła poważnionych, rozniecała pokój i zgodę. Nic jej nie zawróciło głowy, nic nie olśniło oczu. Nie cierpiała pochlebców, wstrętą jej była ostentacya, unikała uroczystych wystąpień, czuła tylko chwilę wytchnienia w kółku najbliższej rodziny, tak w Paryżu, jak w letniej rezydencji Pont sur Seine. Utyskiwała nie raz, że będąc matką czterech królów, żadnego mieć nie może koło siebie. Trwożyła się bez ustanku o tych synów, w wiele lat później poddyktowała te pełne znaczenia wyrazy:

„Świat mienił mnie najszcześniejszą z matek, życie moje tymczasem było jednym pasmem trosk i udręczeń. Ilekroć kurjer przybył z obozu, drżałam na myśl, azali nie oznajmi śmierci Cesarza na polu bitwy!“

Głos powszechny oskarżał Letycyę o skąpstwo; sam Cesarz wyrzucał jej niekiedy zbytnią oszczędność. Z tego zarzutu uniewinnia ją

autor. „Przezorność—mówi on—stanowiła cechę jej charakteru. Od młodu znała wartość pieniędzy. Niezamożna matka ośmiorga dzieci, żona nieogłędnego męża, musiała liczyć się z każdym soldem. Później, widząc, jak synowie, a zwłaszcza córki, hojnie rozsiewają złoto, bez względu na to, że może go zabraknąć, tem bardziej ograniczała swe wydatki, myśl o przyszłości przejmowała ją trwogą. Przy całej czci dla geniuszu syna, lękała się, aby go nie nadużył. „Wszystko to—mawiała—skończyć się może, a co będzie z zaślepionymi, co nie patrzą naprzód, ani za siebie? Wtedy niechże mnie znajdą!“

Przy całej oszczędności, Letycya szczerze udzielała wsparcia ubogim, ale czyniła to cicho, bez ostentacyi; mało kto o tem wiedział. Cesarz, oceniając zdolność jej administracyjną, oddał pod jej zarząd wszystkie dobroczynne instytucye w kraju: szpitale, domy sierot i t. p. Z tych obowiązków wywiązywała się wybornie. Dzięki jej zabiegom, siostry zakonne, usunięte podczas rewolucyi, wprowadzono znowu do szkółek i szpitali. Kiedy w miarę ubóstwa, szerzącego się skutkiem wojen, zasoby wystarczać nie mogły, opiekunka zapelniała brak własnymi dochodami.

Kłęski, jakie pociągnęła za sobą kampania 1812 roku, w nowem świetle pokazują tę kochającą matkę. W końcu grudnia Napoleon przybył do Tuileries chory, złamany trudem. Nie tracąc chwili, matka pośpiesza ku niemu, wręcza mu milion franków, przezornie oszczędzonych. W ciągu krwawych zapasów przeciw skoalizowanej Europie daje mu nowe dowody poświęcenia. Pomijamy ten ustęp bohaterskiej epoki: przejdźmy na wyspę Elbę. Matka z córką Pauliną nie opuszcza jeńca, osładza mu, jak może, chwile smutnej bezczynności, nie odwołuje go bynajmniej od zuchwałego zamiaru. Zobaczmy, co mówi w zapiskach:

„Kiedy przebywaliśmy w Porto Ferrajo, Cesarz jednego wieczoru weselszym był, niż zwykle. Zasiadł ze mną i Pauliną do partyi *Ecarté*. W chwilę potem porzucił grę, wstał od stolika, zamknął się w swoim gabinecie. Widząc, że długo nie wraca, poszłam za nim, aby mu przypomnieć, że partya nie rozegrana. Szambelan oznajmił mi, iż Cesarz jest w ogrodzie. Piękny to był wieczór wiosenny, księżyc jasno przyświecał przez rozłożyste konary drzew. Napoleon przechadzał się sam szybkim krokiem wzdłuż alei ogrodu. Nagle stanął, oparł głowę o gałąź figowego drzewa i wyrzekł sam do siebie:

— „Bądź-co-bądź, muszę uwiadomić o tem matkę moją!

„Na te słowa przystąpiłam ku niemu, zagadnęłam z żywym zajęciem:

— „A więc powiedz mi, co ci jest, powiedz mi zaraz, bo widzę, żeś bardziej, niż zwykle, zannysłony.

„Cesarz przycisnął rękę do czoła, wahał się chwilę, nakoniec rzekł:

— „Tak, matko, muszę wszystko wyznać, ale tego, co ci powierzę, nie powtarzaj nikomu, nawet Paulinie.

„Tu uściskał mnie, uśmiechnął się i ciągnął dalej:

— „Otóż więc uprzedzam cię, że opuszczam wyspę tej nocy!

— „Dokąd-że śpieszysz?

— „Do Paryża, ale przedewszystkiem pragnę zasięgnąć rady twojej.

— „O! pozwól mi—przerwałam—zapomnieć na chwilę, że jestem matką twoją.

„Zatrzymałam się nieco i dodałam:

— „Bóg nie dopuści, abyś miał umrzeć przez truciznę, lub też w spoczynku,—taka śmierć niegodną ciebie,—raczej z orężem w dłoni!“

Cesarz odpłynął tejże nocy. Matka pośpieszyła za nim do Paryża. Tu czekała ją najsrozsza boleść: ostatnie pożegnanie z synem. Chwilę tę opowiadał naoczny świadek, Talma.

Po klęsce pod Waterloo i ostatniej abdykacji, Napoleon usunął się na kilka dni do Malmaison, gdzie niedawno skołała Józefina. W ostatnim dniu po pożegnania z rodziną i garstką wiernych, pozostał sam z matką, nieodstępną do końca. Uślągana straż nie wzbrowiła Talmie przystępu: Napoleon przyjął go i pożegnał ze współczuciem. Talma usunął się na bok, lecz nie opuścił sali. Nazajutrz opowiadał okropną scenę, której był naocznym świadkiem; powtarzamy tu jego słowa:

„Jakaż to cudnie straszna scena to pożegnanie matki z synem! Cesarz milczał, z ust jego nie wybiegło słowo, ale jakież to żal głęboki wyrażało oblicze i cała jego postać! Boleść matki objawiały dwie ciche łzy, ściekające zwolna po jej wybladłym licu. Wyciągnęła ku niemu rękę. „Żegnaj mi synu!“ — rzekła. — Cesarz odparł: „Żegnaj matko moja!“ I uścisnęła się oboje!“

W wiele lat potem, Letycya kończy dyktowane wspomnienia temi słowy:

„Życie moje skończyło się z upadkiem Cesarza. Od tej chwili rzekłam się wszystkiego na zawsze. Zaniechałam wszelkich odwiedzin. Napróżno dzieci moje chciały mnie skłonić do towarzyszenia im na jakie widowiska, wiedząc, że dawniej, w chwilach, nawet smutnych, szukałam rozrywek w teatrze. Odmawiałam stanowczo; to ich nalegania uważałam jako zniewagę. Nie mogły, jak ja, zrozumieć głębokiego upokorzenia, w jakie śmierć cesarza pogrążyła nas wszystkich.“

Napróżno kochająca matka pragnęła podzielić z synem wygnanie. Spotkał ją w tem stanowczy opór. Wówczas-to udała się do Rzymu,

gdzie Papież Pius VII przyjął ją najlaskawiej; odwiedził ją zaraz po przybyciu i kilkakrotnie powtórzył odwiedzin.

Dwadzieścia jeden lat przebyła w Rzymie Letycya. Coraz to nowa boleść godziła w macierzyńskie jej serce. Naprzód umarła starsza jej córka, Eliza Bacciochi, w rok potem Napoleon zakończył dni męczeńskie na dalekiem wygnaniu. Za nim poszła Paulina Borghese i dwie synowe: Hortensya i Katarzyna Wirtemberska, a wpośród grona zmarłych wnucząt, syn Napoleona, książę Reichstadt, na którym ostatnie spoczywały nadzieje.

„Wszystcyż pomrą zdala ode mnie! — powtarzała matrona, przycięnięta brzemieniem coraz to nowych krzyżów, — jam skazana, by ich grzebać i opłakiwać! Już mi łez nie starczyło; wyplakałam je wszystkie. Boże, bądź wola Twoja!” — dodawała z głębokiem poddaniem się. Słowa te ukrzepiały ją na duchu.

Nieodstępną towarzyszką jej przez lat dwadzieścia była panna Millini, którą upodobała sobie podczas pobytu na Elbie. Pokładała w niej zupełną ufność, dyktowała jej listy i wspomnienia. W krótkich i pełnych prostoty listach odbija się praktyczny jej rozum. Upomina w nich synów, aby umieli walczyć z nieszczęściem, utrzymać godność osobistą, zastosować się do położenia swego. „Kto przestał być królem, godzien śmiechu, jeśli chce uchodzić za króla.“ Takiej trzymała się zasady, tę zalecała synom.

Do tych udręczeń przyłączyły się w końcu i cierpienia fizyczne. Na sześć lat przed skonem, przechadzając się w okolicach Rzymu po ścieżce krzemienistej, upadła, złamała kość w biodrze. Środki chirurgiczne nie przyniosły jej ulgi. Odtąd nie mogła poruszyć się o własnej mocy. Wkrótce potem na oczy jej padła nieuleczona katarakta. „Słonko — mawiała — zagląda do mnie czasami, ale ja już go nie zobaczę!“

W takim-to stanie odwiedził ją baron Larrey, niegdyś naczelny chirurg napoleońskiej armii; towarzyszył mu młody syn, dziś poważny autor dzieła o matce cesarskiej. Opowiada on głębokie wrażenie, jakie sprawił na nim ponury pałac Rinuccini, ciemny, wpośród poblizkich, błyszczących światłem, gmachów, prawdziwy przybytek żałoby. Kardynał Fesch, brat przyrodni pani Letycyi, wyrobił u niej posłuchanie przybyłym. Oto ciekawy opis tych odwiedzin:

„Wchodziny z poszanowaniem w progi, stąpamy cicho po wschodach, mijamy przedpokój i dwie, czy trzy, całkiem puste sale. Odgłos kroków naszych rozlega się o ściany. Niema tu szambelanów, ani odźwiernych, wreszcie występuje ku nam kardynał, prowadzi nas dalej w milczeniu; przez drzwi otwarte ukazuje nam siostrę.



„Otóż i ona. Widzimy ją w głębi wielkiego, czworobocznego salonu, wybitego jedwabną materią, z ogromnem oknem od strony Kapitulu. Przy tem oknie stoi małe, żelazne łóżko, zasłonięone białą franką. (To łóżko obozowe Napoleona). Na niem spoczywa stuletnia blisko kobieta; siedzi raczej, niż leży, nieruchoma chwyta uchem każdy ruch, najlżejszy poszept. Głowa jej, pochylona nieco na piersi, ręce złożone jakby do modlitwy. Promyk słońca upada na nią, ogrzewa ciało jej wychudłe, napół skrzepłe, lecz nie oświeca zagaszłych już jej źrenic.

„Otóż i ona!—powtarzam sobie w duchu.—Stoję pełen uszanowania wobec tej czcigodnej matrony, tej matki wielkiego Napoleona, bohatera wieku, z którym ojciec mój przebiegał wszystkie pola bitwy, począwszy od Włoch i Egiptu, aż do Waterloo. Stoję wobec tej, co przeżyła blask rodziny, chwałę i męczeństwo syna, a ze śmiercią wnuka ostatnie pogrzebała nadzieje.

„Kardynał uprzedził siostrę, ukazał ojcu memu krzesło u jej węgłowia. Ona zwróciła się ku niemu.

— „Baronie Larrey — rzekła wzruszonym głosem, — dziękuję ci całym sercem za odwiedziny. Widzę cię w myśli mojej takim, jak byłeś dawniej; ponnę, jak Cesarz kochał cię i poważał, wiem, co mówił o tobie w listach i pamiętnikach ze Świętej Heleny!

„Tu cień smutku przebiegł po jej ustach, wyciągnęła do ojca mego wyschłą i drżącą rękę.

„Ojciec, poruszony do gruntu tak życzliwem przyjęciem, przedstawił mnie Jej Cesarskiej Mości. Pochyliłem się, aby ucałować rękę, łaskawie mi podaną.

— „Zbliź się—wyrzekła,—dziecko moje, niech cię uściskam i dotknę dłonią twojej twarzy, skoro zobaczyć jej nie mogę.

„To rzekłszy, chwyciła mnie w objęcia, potem wypytywała o matkę, o siostry, o moje nauki, o zamiary na przyszłość.

„Umilkła na chwilę, ja utkwilem w nią oczy. Szlachetne to oblicze, napiętnowane długoletniem cierpieniem, zachowało przecież wyraźny ślad dawnej piękności. Rysy nieco pociągłe, nos prosty, kształtny, powtórzyły się w typowej postaci Bonapartych. Na czole wpół odkrytem spoczywała myśl głęboka. Oczy, niegdyś czarne, pełne życia i blasku, dziś przybrały szarawą barwę, skutkiem podwójnej katarakty. Na wychudłem jej licu nie wiele było zmarszczek, usta drobne, pięknie zarysowane, ściśnięte nieco, wyrażały smutek i rezygnację, broda lekko wystająca, dopełniała profilu niby rzymskiej matrony.

„Mileczała długo, znać zbierała w myśli dawne wspomnienia. Rospoczęła wreszcie pierwszą rozmowę z ojcem moim. Wypytywała o dzisiejsze jego stanowisko we Francyi i ostatnią jego wyprawę z Napoleonem. Chwytała pilnie każdą odpowiedź. Ojciec, w obawie zbyt nie-

go dla niej utrudnienia, powstał, chcąc się oddalić. Zatrzymała go jeszcze, umilkła, aby nabrać sił nowych.

„Korzystając z chwilowego jej spoczynku, obejmowałem bacznym wzrokiem otaczające ją przedmioty. Były tam portrety i popiersia wszystkich członków rodziny, wykonane przez pierwszych artystów współczesnych; mistrzów pędzla przedstawiali: David, Gerard, Girodet, Gros, Isabey, mistrzów dłota: Canova, Chaudet, Bertolini.

„Kolosalny biust Napoleona górował po-nad wszystkim. W górze nad wezglowiem pomieszczony był wielki portret w całkowitej postaci Karola Bonapartego, protoplasty rodu. Otaczały go portrety pięciu synów w mundurach lub monarszej odzieży i trzech córek w okazałym stroju dworskim. Dalej były portrety Jozefiny, Hortensyi, Eugeniusza i ostatniego z synów, Ludwika, wreszcie zmarłego niedawno wnuka, podwójnego sieroty, gdyż portret matki jego, Maryi Ludwiki, nie znalazł miejsca w pośród innych. Marmurowy biust tegoż księcia, jako króla rzymskiego, pomieszczony był u stóp łoża, na nim w chwili skonu spoczyły oczy Napoleona. Z polecenia Cesarza, odesłano go matce. Pokój ten był, rzec można, panteonem rodziny Bonapartych. Matka wiedziała, gdzie każdy zamieszczony, mówiąc o nich, wskazywała ich ręką.

„Po chwili spoczynku, pani Letycya mówiła ojcu o swoich cierpieniach. Brak wzroku nie tyle jej był dokuczliwy, co zupełna bezwładność, ale tak na jedno, jak na drugie kalectwo, nie było żadnej rady.

„Nasze odwiedziny przeciągnęły się do dwóch godzin. Pożegnaliśmy nakoniec matkę cesarską, składając jej dzięki za tak łaskawe przyjęcie. Pobłogosławiła nas i uściśnięła przy rozstaniu.

— „Bądźcie szczęśliwi!—rzekła.—Skoro jedziecie na Florencyę, zobaczcie tam moich. Mówcie im o mnie; oni wiedzą, że ich nie zapominam.

„Była tu mowa o hrabi St. Leu, byłym Królu holenderskim, Ludwiku, i o hrabinie Lipona, b. Królowej neapolitańskiej.

— „Żegnajcie mi—powtórzyła pani Letycya, słysząc, że się zbliżamy ku drzwiom.—Żegnaj mi, mój poczciwy baronie Larrey, dziękuję ci, żeś mnie odwiedził z kochanym synem twoim. Te odwiedziny pokrzepiły mnie na duchu, pamiętajcie o mnie za powrotem do Francyi. Żegnam was!

„Te ostatnie słowa stosowały się również do kraju, który dla niej zamkniętym był na zawsze.

„Kardynał wyprowadził nas z sali. Wręczył ojcu memu upominek siostry, tabakierkę złotą, z jaspisową kameą, wyobrażającą głowę

Minerwy, dodał do tego dwie nowożytnie kamee z profilem Napoleona jedną dla ojca mego, drugą dla mnie.

„Wieczorem i nocą zapisałem najwierniej wrażenie moje z tych odwiedzin. Zapiski te przez lat wiele spoczywały w ukryciu. Zbierałem skrzętnie materyały, lecz nie prędko mogłem zabrać się do pracy, obmyślanej od dawna, do której zachęcał mnie przed śmiercią drogi ojciec.“

W rok po tych odwiedzinach, na początku roku 1836, skołała matka Napoleona, syta lat i udęczeń. Przytomna do ostatniej chwili, śmiercią, pełną religijnego poddania, uwieńczyła godnie swój żywot.

Doktor Larrey wspaniałym obrazem historycznym zbudował piękny pomnik wielkiej matce wielkiego bohatera wieku.

---

Od historii przejdźmy do powieści, która w literaturze tak poważną odgrywa dzisiaj rolę. Do koryfeuszów na tem polu należy bez wątpienia Emil Bourget, świetny zarówno stylistą, jak głęboki psycholog. Te zalety przyćmiewał dotąd chorobliwy pesymizm. Autor przez czarne szkiełka spoglądał w serca ludzkie, szczególnie w serca kobiet, widział w nich tylko i wydobywał na jaw same ujemne strony. Otóż proste przysłowie nasze: „Kto się ożeni, ten się odmieni,“ sprawdziło się na utalentowanym powieściopisarzu. Drugi rok dobiega, jak stanął przed ołtarzem, i odtąd świat rozpogodził się jakoś w oczach psychologa. Pomyślną tę zmianę dostrzegamy wyraźnie w ostatnim jego utworze p. t. „Cosmopolis.“

Jak świadczy sam tytuł, autor wprowadza nas w ten świat rozpróżnionych samolubów, bez stałego ogniska, cheiwy coraz to nowych wrażeń, rozsypujący złoto pełną garścią, co w skwary letnie ncieka na szczyty Alp lub Pirenejów, zimą szuka słońca pod afrykańskim lub włoskim niebem.

Jesteśmy w Rzymie: tu zbiegło się liczne grono owych kosmopolitów. Autor wprowadza między nich utalentowanego Francuza, Juliusza Dorsenne. Zdobył on rozgłos, jako sarkastyczny malarz kończącego się wieku. Aby utrzymać sławę swoją i wystąpić godnie z nowym utworem, biegły psycholog zatrzymuje się w tem rojowisku, znalazł tu bowiem szerokie pole do nowych obserwacji i obiecuje sobie zebrać obfite plony.

Dorsenne spotyka w Rzymie innego Francuza, markiza de Montfanon: postać to typowa, niby wykuta z jednolitej bryły marmuru dółtem biegłego mistrza. Stary markiz nie należy bynajmniej do grona kosmopolitów, to Francuz starej daty, wierny tradycyom narodowym.

Służył on jako żuaw pod dowództwem Charette'a, utracił rękę w bitwie. Gorący chrześcjanin, osiadł w Rzymie na późne lata, żyje tu samotnie, istny zakonnik w celi, z pogardą patrzy na ten tłum samolubów, dla których użycie jedynym celem.

Mimo różnicy wieku i niesłychanej różnicy w pojęciach, dwaj Francuzi przystali do siebie. Młody psycholog z upodobaniem bada typową osobistość starego wiarusa, ten ze swej strony nie unika młodego pessimisty, pewien, że go pociągnie wpływem swoim: szukają się też nawzajem, długie z sobą prowadzą rozprawy.

Taką-to rozprawą autor rozpoczyna swą powieść; przytaczamy w treści ich słowa, te bowiem wprowadzą nas od razu w ów świat kosmopolitów, tak wstrętny dla markiza, tak ciekawy dla młodego psychologa.

Wystawiono właśnie na sprzedaż pałac Castagna, ostatni szczątek ogromnej spuścizny, roztrwonionej przez młodego Księcia Ardea, potomka słynnego rodu Castagnich. Całe grono kosmopolitów w umówioną godzinę zwiedzić ma ów starodawny pomnik, niegdyś rezydencję Urbana VII-go. Dorsenne pośpiesza tam za innymi, w drodze spotyka markiza.

— Ty tam nie pójdziesz—zawoła stary wiarus, chwytając go za rękę.—Co tobie patrzeć na haniębną ruinę szlachty rzymskiej; smutny, przerażający obraz!

— Ależ mnie tam czekają — odrzeczże Dorsenne. — Rad jestem, markizie, żem cię spotkał, ja tak lubię kontrast! Chcesz pan, wyliczę osoby, składające ów świat, który za chwilę spotkam, nie przerywaj mi tylko. Będzie tam piękna nieprzyjaciółka twoja, Fanny Hofner, z ojcem swoim baronem, ci reprezentują w części Niemcy, a w części Holandję: matka barona pochodzi z Rotterdamu. Będzie hrabina Steno, reprezentantka Włosey z epoki dożów, i śliczna jej córka, Alba. Znajdzie się tam i malarz, słynny Linkoln Waetland, wyobraziciel Ameryki, nowy ulubieniec hrabiny Steno, który zastąpił w jej względach Bolesława Górkę, podczas gdy ten wyjechał do Polski. Zobaczymy też żonę malarza, Lidę Waetland, i brata jej, Floryana Chapron, w części wyobrazających Francję, w części Amerykę, a nawet Afrykę, dziad ich bowiem, sławny półkownik Chapron, z czasów napoleońskich, po roku 1815 został plantatorem w Alabamie i tam ożenił się z mulatką. Anglię uosabia pani Górkowa, żona Bolesława. Paryż znalazł reprezentanta w służbie twoim, markizie. Gdybyś pan chciał przyłączyć się do nas, jako przedstawiciel starego feudalizmu, byłby wyborny komplet. A co?

— Nie szczydził-byś z mojej siwej głowy — rzecze Montfanon. — Ależ ten chłopiec ma talent—dodał, mierząc wzrokiem Dorsenne'a,—na-

piisał o Rodosie dziesięć kartek, godnych Chateaubriand'a. Bóg hojnie go uposażył, dał mu iskierkę poezji, zmysł historyczny, a on takie upodobał sobie towarzystwo! Otóż powiedz mi, co cię pociąga do tej błyszczącej złotem cygani, gdzie nikt nie zajmuje właściwego sobie stanowiska? Pomijam już tego łotra Hofnera i córeczkę jego, istną komedyantkę. Ależ ta hrabina Steno, kobieta przeszło czterdziestoletnia, z dorosłą córką u boku, nie lepiej-żeby jej siedzieć w pałacu swoim nad kanałem, niż tu otwierać salon i zmieniać raz po raz kochanków; po Niemcu brać Polaka, po tym Polaku Amerykanina. A ów Amerykanin, co trwoni milionowy posąg na pół czarnej metyski! A ta znów kobieta! okropne jej położenie, jeśli zgaduje zdradę; smutniejsze, jeśli nie wie o niczem! A owa pani Górkowa, uczciwa i sympatyczna kobieta, która od dwóch lat nie zgaduje, że mąż jej uplątany w sidła hrabiny! Wreszcie ta biedna Alba Steno, kwiatek, tarzający się w tej bezecnej kałuży. A ów Florenty Chapron, czemuż nie skarci przykładowie szwagra? Znam go, przychodził do mnie po radę, chce zbudować pomnik na cześć dziadka, szanuje pamięć umarłych, schwycił mnie tem za serce. To jedna z ofiar tej obrzydliwej komedyi; nie rozumiem, co cię pociąga do tej błyszczącej złotem hałustry!

— Co mnie pociąga do tej mozaiki ludzkiej—przerwie Dorsenne,— powiem ci zaraz, markizie. Nie mówmy o moralności, to sprawa czysto intelektualna. Ja nie myślę być sędzią życia ludzkiego, lubię je tylko rozpatrywać, pragnę zrozumieć, a tu nie brak do tego wątku. Jest nas oto przy stole dziesięć osób, wszystkie wyrażają się tym samym językiem, wszystkie ubrane jednakowo, z małą zaledwie zmianą, wszystkie czytały z rana tenże sam dziennik, mają na pozór jednakie idee i podobne uczucia. Tylko że te osoby przybyły z rozmaitych krańców ziemi, wybarwione odmienną tradycją. Badasz je według tego, co wiesz o ich rodowodzie, i oto pomaleńku, pod pokostem kosmopolityzmu dostrzeżasz cechy plemienne, niezatarte niczem. W osobie pani domu, wytwornej, uprzejmej, wysoko ukształconej, jaką jest hrabina Steno, odkrywasz dziedziczkę starych dożów, patrycyuszkę XV-go wieku, istną królową morza, energiczną w wewnętrznych porywach, spokojną w życiu rozkielznanem. We Florentym Chapron i siostrze jego, Lidy, uderzają plemienne cechy czarnego niewolnika, niewyswobodzonego jeszcze z odwiecznych więzów. W Bolesławie dostrzeżesz zapalczywość, cechę rodową; w żonie jego, Angielce, pod łagodnym uśmiechem, dojrzysz szczątki purytanizmu; w Linkolnie Waetland, przy całym wyrafinowaniu artystycznym, poznasz brutalnego Yankesa. Te plemienne znamiona nikną prawie zupełnie w człowieku ucywilizowanym, który mówi trzema lub czterema językami, spędza życie swobodnie w Paryżu, w Nicei lub Florencyi, ale niech namiętność wstrząśnie człowiekiem do

gruntu, niech zapali krew w żyłach, wtedy rodowe cechy występują z całą gwałtownością. I wówczas-to dramat, odegrany w salonie, przybiera cechy prawdziwej walki plemiennej. Owóż dlatego — dodał z uśmiechem Dorsenne—przebyłem sześć miesięcy w Rzymie, nie widząc prawie Rzymu, zajęty wyłącznie obserwacją małej grupy, która tak cię oburza, mój markizie. Po tem wyznaniu, czy będziesz dla mnie pobłażliwym? czy pozwolisz mi odejść?

W tem-to kółku kosmopolitów odgrywa się najsmutniejszy dramat, pod splotami kwiatów pelza jadowita gadzina; to Lidya, żona malarza amerykańskiego, czarnooka metyska. Jej bezimienne listy, rzucając podejrzenie w serce biednej Alby, zamąciły jej pokój. Miłość Linkolna dla hrabiny nie ukryła się przed zawistnem okiem Lidyi; uwiadomiony przez nią, Górka, powraca na gwałt do Rzymu. Przekonany o zdradzie Wenecyanki, wytrzeźwiony z obłędu, korzy się przed żoną, która przebacza mu wspaniałomyślnie. Dorobkiewicz Hofner ciężko ukarany za oszustwo i próżność: marzył dla córki o mitrze księżęcej, gotów opłacić ją milionami zrujnowanemu potomkowi Castagnich, a oto piękna Fanny dowiaduje się o nikczemnych sprawach ojca, zrzeka się milionów, obłanych łzami ofiar, chroni się do Styryi, tam żyje samotnie, oddana modlitwie i czynom miłosiernym.

Nieszczęśliwa Alba, wychowana przez niegodną matkę, nie ma tej wiary religijnej, gotowej stawić czoło na wszelkie zewnętrzne pociiski. Pragnie umrzeć, wprzód jednak chwyta ostatnią deszczułkę zbawczą. Serce jej uderza tajemnie dla Dorsenne'a. Zaślubiona z nim, mogła-by jeszcze być szczęśliwą. Zdobywa się wreszcie na krok stanowczy, — daje mu odgadnąć uczucie swoje. Ale psycholog z wystygłym sercem nie ukochał pięknej Alby, wyznaje to z całą szczerością. To wyznanie wyrokiem śmierci dla niej.

Po ostatniem pożegnaniu z Dorsennem, Alba kazała powieźć się na brzeg jeziora, ukrytego w zapowietrzonej kampanii Rzymu. Tam wybiega z powozu, widzi łódkę, wsiada w nią, chwyta za wiosła, odbija od brzegu. Już ma rzucić się w głąb wody, ale, wiedzona szlachetną myślą, zatrzymuje się nagle. Samobójstwo jej rzuciło-by na matkę płamę, niczem niestartą. Obiera więc inny rodzaj śmierci, nierównie boleśniejszej; zrzuca ciepłą odzież, chwyta pełną piersią zatrute powietrze; w kilka dni zabiła ją gorączka, parę zaledwie lez potoczyło się na trumnę nieszczęśliwej.

Rozmowa psychologa z markizem stanowi epilog dramatu. Montfanon stoi niewzruszony, jak opoka; inaczej burza oddziaływała na umysł pessimisty, który z prostego widza stał się mimowoli aktorem. Śmierć Alby dotknęła go głęboko, myśl jego popchnęła w nieznaną dotąd sferę.

— Czy pamiętasz ten poranek — rzecze Montfanon, — kiedy tak wesoło określiłeś mi teorię kosmopolityzmu? Bawiłeś się tem jako dyletant, patrząc na dramat, w którym brały udział jednostki, zebrane tu z różnych stron świata, wychowane pod wpływem odrębnych tradycji. Wypadki usprawiedliwiły nakreślony przez ciebie program. Pani Steno pokazała się prawdziwą Wenecyanką z czasów kwitnącej republiki. Lidya wylała z piersi jad, nagromadzony pod długoletniem jarzmem. Hofner wystąpił, jako nikczemny lichwiarz niemiecki; Górka, jako dzielny, ale bezmyślny Polak; żona jego, jako prawa, ale zimna, jak lód, Angielka; Waetland pozytywny, samolubny, pokazał się istnym Amerykaninem. Panny przeszła oczekiwanie moje, to święta, przed nią uchylam głowę. Biedna Alba padła ofiarą, a mówiłem ci nieraz: czyliż tam niema duszy, którą warto-by podnieść. Nie mogłeś mnie zrozumieć, śmiałeś się ze mnie, chciałeś być prostym spektatorem dramatu, patrzeć przez szkiełko na sceny, rozgrywające się przed twem okiem; trudno ci było dotrwać w tej biernej roli. Człowiek działa zawsze i wszędzie, chce, czy nie chce, musi działać wtedy nawet, kiedy, jak Poncyusz Piłat, umywa sobie ręce i pyta: gdzie prawda? Prawdą była i jest, i wiecznie będzie, powinność do spełnienia.

— Co budzi we mnie pogardę i nienawiść do tych kosmopolitów — ciągnie stary wiarus, — oto, że, jak dęby, podcięte do korzenia, marnotrawią zasoby soków żywotnych, które inni dla nich przysposobili. Naddziadowie ich pracowali zawzięcie; obowiązek pracy przechodził spuszczoną z pokolenia na pokolenie. Z tych trudów i ofiar powstały rodziny, z tych rodzin powstały społeczeństwa. Wasi kosmopolici nie budują nic, nie posiewają nic, nie wiedzą, czem poświęcenie, użycie wszystkim dla nich. Kiedy to użycie ściąga się wyłącznie do wrażeń i uczuć, w tem dopiero połowa złego, ale kiedy czepi się myśli, jak u was dyletantów nowej szkoły, staje się to grzechem przeciw Duchowi, a takie grzechy nie otrzymują przebaczenia!

— Prawda — odrzecze Dorseme, — ależ my gorzko przyplacamy to nadużycie myśli. Co czynić, niestety! to choroba wieku zbyt wyrafinowanego; niema na nią lekarstwa!

— Jest jedno — przerwie Montfanon, — lecz widzieć go nie chcesz. Nie zaprzeczysz mi, że Balzac najzuchwalszym był z waszych nowoczesnych pisarzy, a on-to wyrzekł wielkie słowo: „Myśl, główne źródło utrapień i pociech ludzkich, nie może być ujarzmioną i skierowaną inaczej, jedno przez religię!“

— Patrz oto — dodał markiz, pochwycawszy ramię towarzysza, — rzuć okiem na tę aleję parku, oto lekarz, który posiada niechybne środki przeciw tej chorobie duszy, jak przeciw wielu innym. Nie po-

kazuj się, znać przepomnieli o nas, lecz przypatrz się z ukrycia. Szczególny zbieg rzeczy zaprawdę!

Nagle poważna postać ukazała się na tle smutnego i pustego ogrodu, w sposób niemal cudowny, obecność jej bowiem to żywy komentarz do słów, tylko co wyrzeczonych. Był to sam Ojciec święty, zbliżał się do pojazdu, miał odbyć codzienną przejażdżkę.

Dorsenne nie widział nigdy Leona XIII-go, znał go tylko z portretów. Spostrzegł starca, pochylonego, złamanego, w sutaniu białej, błyszczącej pod szkarłatnym płaszczem, wspartego z jednej strony o ramię dworskiego prałata, z drugiej o ramię jednego z oficerów swej służby. Ukrył się Dorsenne o ile można, by nie zwrócić uwagi na siebie. Badał pilnie delikatny profil Ojca świętego, gdy się zatrzymał przed grządką róż rozkwitłych i rozmawiał z kłęczącym ogrodnikiem; dostrzegł łagodny uśmiech tych ust, pełnych mądrości, widział błyskawicę tych oczu, tak zgodną ze słynnym proroctwem, mieniącym go *Lumen in coelo*, wprzód, zanim został wyniesiony; widział tę rękę bladą i niemal przezroczystą, która z takim majestatem zwykła podnosić się do uroczystego błogosławieństwa, wyciągniętą dziś do pięknej, żółtej róży, lekko, aby jej nie uszkodzić. Papież odetchnął chwilę jej wonią i poszedł dalej w stronę powozu, czekającego w cieniu zielonych dębów. Kare konie puściły się truchtem, a Dorsenne zwrócił oczy na starego majora, spostrzegł grube łzy, tryskające mu z pod powiek.

— Oto—rzekł Montfanon—jedyna uciecha następcy pierwszego z apostołów: woń róży i przejażdżka powozem! Wymierzono mu przestrzeń czterech kilometrów; obiega ją wokoło, patrzy na szeroki, niedostępny mu obszar. Widziałem wiele tragicznych scen w życiu mojem, brałem udział w wojnie, spędziłem noc całą na polu bitwy rannych, przysypany śniegiem wśród trupów, widziałem, jak szeregi zwycięskie, z pieśnią na ustach, defilowały po krwi, świeżo wytoczonej. Nic mnie tak nie poruszyło, jak ta przejażdżka starca, uwięzionego na jednym morgu ziemi, z którego ust nie zbieży nigdy skarga! Święty mąż pamięta słowa Tertuliana i skreślił je kiedyś pod wizerunkiem swoim, ofiarowanym pobożnemu misjonarzowi; to słowo tłómaczy nam jego życie: *Debitricem martirii fidem* (wiara zobowiązuje do męczeństwa!).

— *Debitricem martirii fidem*—powtórzył Dorsenne,—piękne zaprawdę słowa!—a potem dodał głosem poruszonym:—Schłostałeś ostro przed chwilą dyletantów i psychologów, mój markizie, ale czy myślisz, że jest pomiędzy nimi jeden, który-by nie przyjął męczeństwa, gdyby niem zdobył wiarę!

Z miłością autor zbadał i odmalował postać Dorsenne'a. Łatwo odgadnąć, że w tej osobistości odtworzył obraz duszy własnej, odkrył jej walki, jej rany, jej tęsknotę i długą pogoń za ideałem, który coraz



to jaśniej błyska mu przez chmury pesymizmu, rozpostarte nad widnokregiem kończącego się wieku. Słusznie też utrzymują wielbiciele Bourget'a, patrząc na ogromny przeskok od pierwszych jego utworów do dwóch ostatnich, jak „Ziemia obiecana“ i „Cosmopolis,“ że głęboki psycholog zrzuca się roli dyletanta, jaką w czasie swoim odegrał Piłat, rozwiąże zagadkę i odpowie sobie na pytanie: Gdzie prawda?

Powiedzmy tu jeszcze słówko o innej powieści, zaznaczającej bardzo pomysłny przełom w tej gałęzi literatury. Znana autorka, pani Greville, patrząc na przerażającą liczbę rozwodów we Francji w ciągu dwóch lat ostatnich, wykazuje smutne rozprzężenie węzłów rodzinnych, do jakiego doprowadza nowe prawo. Pełna dramatu powieść „Chenerol,“ wydana niedawno pod firmą Plon, należy do najcenniejszych utworów autorki. Oto treść w kilku zarysach:

Jerzy Chenerol i Jan Villeroy, mimo różnicy wieku i majątku, żyją od dawna w najściślejszej przyjaźni, opartej na szacunku wzajemnym. Villeroy, dziś blisko sześćdziesięcioletni, pojął w małżeństwo przed dwudziestu laty młodziankę Klotyldę; jedyna ich córka, Magdalena, zaczęła rok siedmnaście. Chenerol, zaledwie pięćdziesięcioletni wdowiec, ma dwoje dzieci, córkę Margarytę, niedawno zaślubioną, i syna Henryka, zakochanego w Magdalenie Villeroy. Panienka odpląca mu wzajemną miłością. Marzą oboje o przyszłym szczęściu, czekają chwili połączenia; nagle niezłomna zapora staje pomiędzy nimi.

Pani Klotylda, kobieta próżna, niespokojnego umysłu, chce wrażeń, upodobała sobie bogatego Chenerola, czaruje go, doprowadza do szachu, opuszcza męża i córkę, rozwód pozwoli jej zawrzeć nowe, świetniejsze związki. Obrażony mąż z mocą duszy przyjmuje cios tak niespodziewany, usiłuje przynajmniej ocalić pozory, sprowadza żonę do domu, żąda, aby została przy nim, dopóki rozwód ułożony nie będzie. Ale dobry ojciec, pomimo przywiązania do córki, nie zezwoli jej na związek z Henrykiem.

Mija czas, prawem zakreślony, Chenerol zaślubia Klotyldę,—ale szczęście ich krótko trwało! On wyrzuca sobie czyn haniebny; ona, kobieta próżna, olśniona blaskiem, jaki ją otoczył, nie czuje nawet wyrzutu. Jednej nocy zimowej, za powrotem z opery, wpada w silną gorączkę i w trzy dni potem umiera na pleurę. Śmierć ta nie rozwiązuje rzeczy: z boleścią patrzy Villeroy na gasnącą we łzach córkę, z nie mniejszą boleścią patrzy Chenerol na zlaną przyszłość Henryka. Młodzian ukończył właśnie nauki przygotowawcze do zawodu dyplomatycznego, zamierza opuścić Paryż, popłynąć daleko za morze. Ojciec przystaje na to, lecz pragnął-by przedewszystkiem połączyć go z Magdaleną, gotów sam na wszelkie ofiary. Siostra Henryka, młoda,

wesoła Margaryta, występuje tu jako pośredniczka, działa zręcznie, ale nie w mocy jej przełamać opór znieważonego ojca Magdaleny.

Chenerol zdobywa się wreszcie na krok stanowczy: staje, jako winowajca, przed dawnym przyjacielem, a dziś wrogiem nieprześląganym.

Na widok Chenerola, Villeroy oniemiał, stoi osłupiały.

— Czego pan chcesz?—zapyta wreszcie ochrypłym głosem.

— Przeszedłem błagać przebaczenia—odpowie drżący Chenerol,—nie dla mnie; przecierpeliśmy obaj bardzo wiele; rany takie, jak nasze, nigdy się nie zagoją. Gdybyśmy przecież mogli uszczęśliwić te dwoje dzieci, nie byłoby-by w tem dla nas ulgi?

— Powiedziałem raz i nie cofnę się nigdy. Córka moja nie poślubi Chenerola!

— A gdybym ja żyć przestał? czyż śmierć moja nie przełamie zapory?

— Bynajmniej.

— A więc posłuchaj mnie pan — zagadnie Chenerol, — nie mam zamiaru tłumaczyć się z winy mojej, nie mam nic na usprawiedliwienie.

Villeroy pomyślał o Klotyldzie: znał jej podstępny, jej czarodziej-skie sidła, nie próżno przeżył z nią lat dziewiętnaście.

— Żądaj pan ode mnie jakiej chcesz ofiary — rzecze błagalnie Chenerol, — przed żadną się nie cofnę, ależ miej litość nad dziećmi naszymi. Jam bardzo nieszczęśliwy, córka moja zaślubiona, ona już nie należy do mnie; mam syna, widzę, ile cierpi z winy mojej... Czy wiesz, co on zamierza? Stara się o miejsce w konsulacie gdzieś na krańcach zapadłego wschodu.

— Ma słuszność—odpowie Villeroy.

— Czyżbyś mu nie dał córki?—zawoła Chenerol z zapalem,—tam nikt nie słyszał o nas obu!

— Córka moja nie zaślubi Chenerola—powtórzył Villeroy.

— A więc jest na to sposób, jam gotów na wszystko. Wyrobiłem sobie imię, dzięki długiej i wytrwałej pracy; miałem nadzieję, że mój syn otrzyma je prawem dziedzictwa i nosić je będzie z godnością. Otóż z tego imienia czynię dzisiaj ofiarę. Poczyniłem już właściwe kroki, aby je urzędowo zmienić na imię matki. Czy zezwolisz pan, aby córka twoja została panią Savignac?

Na te słowa pierś jego wybuchła głośnie łkaniem, patrzył w ziemię, drżący czekał na wyrok.

— Zgadzam się—odparł Villeroy i odwrócił oczy, aby nie spotkać wzroku dawnego przyjaciela.

Ten to sam Chenerol, który walczył dzielnie podczas ostatniej wojny, który podczas zмовы swych robotników obszedł się z nimi po ludzku i pozyskał ich miłość. Villeroy zrozumiał wielkość ofiary.

— Zgadzam się—powtórzył stanowczo.

Powstali obaj, serca ich uderzyły. Jakże pragnęli podać sobie ręce, jak to dawniej bywało!

Henryk z razu stawiał opór woli ojcowskiej.

— Synu — rzekł ojciec, tuląc go do piersi, — nie skazuj mnie na wieczny wyrzut, żem zagroził wam drogę do szczęścia. Ja żądam, abyś poślubił Magdalenę.

Henryk ustąpił. W parę miesięcy potem, pod błękitnem niebem Japonii, na chwilę przed zachodem słońca, Villeroy, Henryk i Magdalena stali na wybrzeżu: wielki parowiec odpływał do Francji; na kilka dni przedtem tenże parowiec przywiózł Magdalenę i jej ojca, za chwilę Villeroy sam puścił się w podróż. Z całej Japonii widział tylko kaplicę konsulatu, o resztę mu nie idzie. Tegoż poranku młoda para stanęła przed ołtarzem. Imię Savignac zapisano w książce urzędowej.

— Opuszczasz nas, ojcze — zagadnie Magdalena. — Czemuż nie możemy powrócić razem z tobą!

— Bądź spokojna o mnie — rzecze ojciec, — mam, jak wiesz, zasiąść w senacie, nie braknie mi zajęcia. Ale otóż i sygnał, żegnam was, drogie dzieci! Henryku, co mam powiedzieć ojcu twemu? Każdy z nas w innej pracować będzie izbie, ale polityka przybliży nas czasami.

— Dzięki, ojcze! — zawołała Magdalena. — Powiedz mu, żeśmy szczęśliwi!

Statek odpłynął; mrok zapadł. Młodzi małżonkowie powrócili do domu. Z okna, wychodzącego na morze, długo ścigali wzrokiem parowiec, błyszczący światłem elektrycznym, dopóki ślady jego nie zniknęły na widnokręgu.

Mamy przed sobą jedną z najciekawszych i najświetniejszych publikacji noworocznych, wydanych pod znaną firmą Didot. Ogromny ten wolumin, ozdobiony rysunkami w liczbie około pięciuset, z dodatkiem szesnastu fotograficznych tablic, godnym jest dopełnieniem wielkiej publikacji, wydawanej w ciągu lat kilkunastu, przez Pawła Lacroix. Wiadomo, że zasłużony ten pisarz, pod pseudonimem Bibliophile Jacob, przedstawiał społeczeństwo francuskie w różnych epokach, począwszy od średnich wieków, do końca XVIII-go stulecia.

Tekst do nowego woluminu ułożył p. Grand-Cartenet. Zebrał tu główne rysy charakterystyczne bieżącego wieku, taką uderzającą różnaitością, z powodu wielkich przewrotów politycznych i społecznych, jakim ten wiek ulegał. Mamy tu przed oczyma cały szereg monarchicznych dworów, zaczynający od pierwszego cesarstwa do dzisiejszej prezydentury. Widzimy stopniowy rozwój nauk, sztuk pięknych i prze-

mysłu, słowem stuletnią ewolucję w literaturze, w dziennikarstwie, w zewnętrznej postaci Paryża, w zwyczajach, urządzeniu domowem, strojach, zabawach i t. p.

Dzieło takiego znaczenia zasługuje na szczegółowy rozbiór, zostawiamy to do przyszłej kroniki naszej. Pobiezną wzmiankę dzisiejszą zakończymy tylko ostatniemi słowy autora:

„Początek wieku pokazuje nam społeczeństwo świeżo odbudowane, koniec wieku daje widzieć społeczeństwo w stanie rozprężenia. W roku 1800 społeczeństwo wprowadza w czyn zasady 1789 roku; blask osobisty zdobywa władzę najwyższą. W r. 1892 społeczeństwo traci wiarę w wielkie zasady, przybiera formę bezimiennej reprezentacji. Wszyscy panują w polityce, nikt wywrzeć nie może dodatniego i odradzającego wpływu.

„A obok tego dziś, jak dawniej, widzimy Francję, jak pracuje, jak się modli, jak posiewa ziarnem rolę, jak czuwa z orężem w ręku. Widzimy wobec siebie dwa światy, całkiem odrębne: jeden świat rzeczywisty, jaki istniał od głębokiej starożytności, i świat fikcyjny, objawiający się w coraz nowej formie, zmieniający się bezustanku.

„Czas obecny niewłaściwie nazwano *końcem wieku*, wypadło-by go nazwać raczej *końcem danego społeczeństwa*, chwilą wyczekiwania, kiedy nieprzewidziany wypadek odbuduje naród i na nowych wesprze go podwalinach!“

---

---

# Nowe poglądy w bakteriologii.

---

Druga połowa XIX-go wieku odznacza się nadzwyczajnym postępem w dziedzinie odkryć, rozszerzających wiadomości nasze o naturze chorób epidemicznych i zakaźnych.

Owe miazmy, w ziemi powstające i roznoszone prądami powietrznymi po całym świecie, uważane niegdyś za zarazek, wywołujący śmiertelne choroby, zmieniły się dla nas w żyjątka mikroskopijnych rozmiarów. Nazwaliśmy je mikrobami lub bakteriami i pod tą nazwą do wiadomości wykształcenijszego ogółu całego świata podaliśmy. Nauka wykazała, że choroby zakaźne są wybitnym przykładem zaciętej walki o byt, jaka się wszędzie w przyrodzie odbywa. Rozwój i życie niewidzialnych okiem tworców — to choroba i śmierć gospodarza, w którego organizmie one się pasorzytnie osiedlają.

Pierwsze odkrycie bakterii, jako czynnika, wywołującego jedną chorobę zakaźną, niezwykle szybko pomnożone zostało niezbitymi dowodami, że i w innych przyczyną patologicznego stanu jest wtargnięcie i rozmnażanie się mikrobów. Wydoskonalenie metody hodowli w czystej rasie niewidocznych mikroorganizmów ułatwiło niezmiernie zadania medycznej bakteriologii. Wprawny badacz ma w rękach łatwe środki do oddzielenia patogenicznych osobników z pomiędzy licznych gatunków i sprawdzenia przez szczepienie, czy istotnie posiadają one zdolność wywoływania w organizmie danej choroby.

Dowiadaliśmy się raz po raz o istnieniu mikrobów karbunkułu (węglika), zakażenia krwi, ospy, suchot, zapalenia płuc, róży, dyfteryi cholery i t. d. Pierwsze odkrycia mocno świat cały interesowały,—dalsze coraz mniejszy budziły entuzjazm. Nauczyliśmy się już z góry wierzyć, że każda choroba zaraźliwa ma swoje właściwe mikroby, zatem odkrycie dotychczas nieznanych uważamy za coś wielce naturalnego.

Istnieje choroba — muszą być i bakterye. Skoro nie dały się jeszcze rozpoznać, to dlatego tylko, że się nie udało dotąd w sztucznych kulturach dać im tych warunków, których niezbędnie potrzebują dla bytu na zewnątrz żywego organizmu zwierzęcego. Znajdzie się szczęśliwszy w pomysłach badacz i przyjmijemy jego odkrycie, jak przystało ludziom cywilizowanym XIX wieku, których nic nie dziwi, zwykłem: to było do przewidzenia.

Większe zainteresowanie, niż odkrycie nowych gatunków bakteryi chorobotwórczych, obudziło w ostatnich latach spostrzeżenie, że nie tylko bakterye, lecz i inne rodzaje grzybów mogą być przyczyną rozpowszechnionych chorób ludzkich. Malaryczna febra do niedawna przypisywaną była bakteryom. W rzędzie patogenicznych mikrobów stał już *bacillus malariae*, który znaleziono w malarycznych miejscowościach Włoch, a który, zaszczipiony królikom, miał wywoływać u nich charakterystyczne objawy tej choroby. Tymczasem teraz zaczyna się bardzo rozpowszechniać przekonanie, że febrą malaryczną obdarzają ludzkość żyjątką, pokrewne amebom, osiedlające się w ciałkach krwi. Przy malaryi chronicznej spostrzeżono występowanie innych odmian tych pasorzytów, niż przy malaryi ostrej. Nazwaniami plasmodium, haematophyllum, haemamoeba, haemotobium, obdarzono pasorzyty, znalezione w krwi chorych na febrę malaryczną o ostrym przebiegu, zaś napotykanę przy formie chronicznej nazywają *Lavernia* i *Polimitus*.

W całej jednakże nowej teorii chorób malarycznych niepodobna nie dopatrzeć się pewnych słabych stron. Dotychczas w licznych spostrzeżeniach stwierdzono wprawdzie w krwi chorych na malaryę obecność amebowatych organizmów, ale to nie stanowi jeszcze dostatecznego dowodu ich patogenicznej czynności. Równoczesne istnienie malaryi i ameb w ciałkach krwi nie wyklucza jeszcze zupełnie przypuszczenia, że tych faktów nie łączy żaden przyczynowy związek. Ameby mogą być przyczyną choroby, albo też zachowywać się całkiem niewinnie. Kwestyę ostatecznie mogło-by rozwiązać sztuczne zakażenie organizmu ludzkiego przez zaszczipienie amebowych żyjatek. Ale to się dotychczas nie udawało.

Wyznawcy amebowej natury malarycznego zarazka pozyskali teraz nowe, wcale przekonywające, argumenta w spostrzeżeniach Dani-

lewskiego nad malaryą ptaków. Stworzenia te chorują zarówno na ostrą febrę, jak i na chroniczną utajoną malaryę. W czasie choroby w krwi ptaków pojawiają się amebowe pasorzyty, zupełnie podobne do znalezionych w ciałkach krwi ludzkiej. Danilewski uważa je nawet za identyczne, tak pod względem patogenicznym, jak i zoologicznym. Zapowiedziane były przez niego próby szczepienia ptasiej malaryi ludziom i odwrotnie. Danilewski jest skłonny nawet uznać istnienie jednego tylko rodzaju ameb malarycznych, który miał-by zdolność przybierania różnych form, zależnie od warunków w krwi napotkanych, i wywoływania różnych objawów samej choroby. O ile te przypuszczenia są słuszne, zapewne niedaleka przyszłość okaże.

Nowe poglądy na przyczynę chorób malarycznych znalazły już pewne praktyczne zastosowanie w medycynie. Tak, jak stwierdzenie obecności w płwocinach cierpiących na choroby płucne laseczników tuberkulicznych przekonywa lekarza stanowczo o rozpoczynających się u chorego suchotach, tak samo ma być ułatwioną i umożliwioną dyagnoza utajonej malaryi przez zbadanie mikroskopowe, czy istotnie w ciałkach krwi chorego znajdują się amebowe malaryczne pasorzyty.

Nie jest to niezawodnie bez korzyści dla cierpiącej ludzkości; bez porównania większą przeciw niewątpliwie może zapewnić bakteriologiczna dyagnoza, zastosowana w dyfterytycznych chorobach gardła.

Odleglejszych już czasów sięgają spostrzeżenia, że pewne bakterie tworzą na błonach śluzowych krtani białe plamy z błon narastających, zupełnie podobne do tych, jakie wytwarza prawdziwy lasecznik dyfterytyczny, daleko jadowitszy, zatem nierównie groźniejszy.

Trudność nieomyślnej dyagnozy, stąd wynikająca, osobliwie w początku choroby, może mieć bardzo smutne następstwa, szczególnie w szpitalach dzieciennych. Pomyłka łatwa i zupełnie usprawiedliwiona może sprawić, że dziecko, nie mające prawdziwej dyfteryi, zostanie umieszczone w pawilonie, przeznaczonym dla chorych dyfterytycznych. Jakie niebezpieczeństwo mu wtedy zagraża przy chorobowym stanie gardła, łatwo zrozumieć.

Pomoc w zapobieganiu bolesnym skutkom tego rodzaju omyłek dyagnozy lekarskiej przynosi sam lasecznik dyfterytyczny. Można go bowiem łatwo wyhodować na surowicy krwi, na której tworzy charakterystyczne kolonie w postaci szarawo-białych plamek, w środku mniej przezroczystych, niż na obwodzie. Na szkiełku mikroskopowym zasuszone dyfterytyczne laseczniki, zabarwione błękitem Loefflera lub fioletem gencyanowym, można łatwo odróżnić od innych bakterii. Przedstawiają się one uzbrojonomu w mikroskop oku, jako pałeczki o końcach zaokrąglonych, lekko zgięte i gruszkowato lub maczugowato nabrzmiałe. Obecność ich w błonkach, zdartych z gardła chorego, świad-

czy o prawdziwej groźnej dyfteryi. Wprawdzie niekiedy w jamie ustnej zdarzają się nieszkodliwe mikroby, zupełnie podobne do dyfterytycznych, ilość ich jednak bywa bardzo niewielka, podczas gdy dyfterytyczne przy chorobowym stanie bardzo obficie się pojawiają. I to je pozwala od nieszkodliwych odróżnić. Wątpliwość ostatecznie rozstrzyga szczepienie na zwierzętach.

Ponieważ bakteryologiczna dyagnoza dyfteryi jest łatwą do wykonania i nie wymaga wiele czasu, słusznie Roux i Yersin zachęcali lekarzy do zastosowania jej w praktyce, a w szczególności do zaprowadzenia w szpitalach dzieciennych przedwstępnego badania w chorobach gardła z objawami dyfterytycznemi.

Wedle zdania tych badaczy, należało-by w takich wypadkach kawałek białego nalotu z gardła zbadać pod mikroskopem. Wykrycie charakterystycznych bakteryi dyfterytycznych w obfitej ilości uprawniało-by do odesłania odrazu chorego dziecka do oddziału dyfterytycznego. W razie zaś nieobecności laseczników, odpowiedniejszem pomieszczeniem był-by pokój obserwacyjny, gdzie choremu, nie mającemu dyfteryi, nie groziło-by niebezpieczeństwo zarażenia się tą chorobą.

Rady to wielce pożyteczne i godne w istocie wykonania. Bez wątpienia i w prywatnej praktyce zastosowanie bakteryologicznej dyagnozy mogło-by często zapobiedz niepewności strasznej i pełnej niepokoju. W pomoc lekarzom mogły-by tu przychodzić laboratoria bakteryologiczne, boć nie można żądać, aby każdy praktykujący lekarz znał zdobycze bakteryologicznej wiedzy, nietylko teoretycznie, lecz był także praktycznie wykwalifikowanym bakteryologiem i rozporządzał środkami do prowadzenia samodzielnie badań nad patogenicznymi mikrobami.

Rozszerzenie się zakresu naszej wiedzy przyrodniczej zmusza koniecznie do coraz dalej idącego podziału pracy. Z dniem każdym staje się trudniejszym informowanie się dokładne o najważniejszych nowych zdobyczach nawet w zakresie jednej tylko nauki. Czas z jednakową szybkością upływa, długość czynnego życia człowieka się nie zwiększa, a materiał naukowy z progresywną szybkością rośnie. Łączność więc badań na różnych polach z konieczności musi się rozluźniać. Jest to niemiuniknione następstwo pełnej energii i płodnej pracy na polu nauki. Niemiuniknione—ale dla postępu wiedzy szkodliwe.

Trudność objęcia dla jednego umysłu całości nowoczesnej przyrodniczej wiedzy jest niewątpliwie jedną z głównych przyczyn, że ze świetnych odkryć na polu bakteryologii patogenicznej ludzkość nie odnosi dotąd zupełnej praktycznej korzyści. Postęp na jasnych i szerokich drogach, prowadzących do wykrycia środków uwolnienia ludzkości od strasznej przemocy niewidzialnych sprawców epidemicznych i zakaźnych chorób, tamują aż nadto często przeszkody, które zwalczyć będzie



niezawodnie mogła dopiero połączona praca bakteriologii, chemii, fizjologii i medycyny. Odrębnie pracującym przedstawicielom tych różnych gałęzi wiedzy przynosi postęp coraz częściej zagadki, do których rozwiązania sami nie są zdatni.

Temu niezawodnie przypisać trzeba niedość szybki, jak na nasze wymagania, postęp sprawy szczepień ochronnych, oraz niezaraźliwości naturalnej ludzi lub zwierząt chorobami zakaźnymi. Wiele bardzo usiłowań w tym kierunku, szczególnie w ostatnim dziesięcioleciu, poczyniono, a kwestya daleką jest jeszcze od ostatecznego rozwiązania. Trwa walka sprzecznych pojęć, a prawda dotąd na jaw nie wyszła.

Przed setkami lat wiedziano już na Wschodzie, że sztucznie zaszczepiona ospa jest mniej złośliwą, niż naturalnie nabyta. Spostrzeżenie pastuchów, że zarażenie się ospą krowią chroni przed dostaniem ospy ludzkiej, było wskazówką, którą niezapomniany Jenner spożytkował dla wynalezienia, tak obecnie rozpowszechnionego, ochronnego szczepienia ospy, zanim jeszcze wiadomem było, że powód do tej choroby dają żywe mikroby. Wyprobowana długoletnią praktyką skuteczność tego środka profilaktycznego musiała po wykryciu bakteryjalnej natury wielu chorób zakaźnych obudzić nadzieję, że rychło od wszystkich chorób będzie można się za pomocą szczepień ochronić, a nawet je leczyć. Dotychczasowe owoce przecie genialnej pracy nie ziściły w zupełności oczekiwań. Zaszliśmy daleko, ale czy jesteśmy już blisko ostatecznego celu, to bardzo wątpliwe.

Rok 1880 przyniósł nam ważne odkrycia Pasteura, które sprawę szczepień oparły na naukowej podstawie. Dzielności umysłu tego pioniera wiedzy zawdzięczamy wyzyskanie spostrzeżenia, że w kulturach sztucznych, w odpowiednich warunkach prowadzonych, można jadowitość chorobotwórczych mikrobów osłabić lub zatracić. Co ważniejsza, dowiedzieliśmy się równocześnie, że wprowadzenie do organizmu osłabionego zarazka czyni go odpornym przeciw złym następstwom wtargnięcia bakterji, mających pełną siłę zaraźliwości. Odkrycia te doprowadziły do wydoskonalonej metody szczepień ochronnych żywymi mikrobami w chorobach zwierzęcych — karbunkule i cholera kurzej. Później obdarzył nas Pasteur leczniczem szczepieniem wodowstrętu, choroby, wywoływanej życiem nieznanego mikroba.

Po upływie lat dwunastu od chwili ogłoszenia pierwszych prac, stanowiących zaczątek teorii szczepień, w dniu uroczystego obchodu, przy współudziale przedstawicieli wszystkich narodów, 70-letniej rocznicy swych urodzin, mógł sędziwy badacz z zadowoleniem wspomnieć, jak dalece rzucone myśli jego bystrego i umięjącego sięgnąć w odległą przyszłość umysłu pod wieloma względami w zupełności się sprawdziły.

Pierwsze spostrzeżenia wskazywały, że stopień jadowitości bakteryi patogenicznych zależy od warunków, w których odbywa się ich wychów. Zmiana odpowiednia warunków powinna więc umożliwiać wytwarzanie odmian o osłabionych w dowolnej mierze patogenicznych własnościach. Sam Pasteur dowiódł, że wpływ powietrza w odpowiedniej temperaturze na sztuczne kultury, jako też wychów w organizmach zwierząt odpowiednio wybranych, osłabiają trwale jadowitość chorobotwórczych mikrobów. Badania uczniów jego szkoły odkryły wiele innych czynników, wywierających w sztucznych kulturach wpływ osłabiający. Ciepło, światło, tlen zgęszczony, substancje antyseptyczne, wysuszenie—oto środki, za pomocą których bakteriologia tegoczesna może hodować patogeniczne mikroby, mniej lub więcej jadowite, przytem zdolne przelewać na potomstwo przynioty, nabyte w kulturach. Dziedziczność taką, niezbędną dla mikrobów szczepionki ochronnej, uzyskuje się przy pomocy powolnego działania środków osłabiających.

Nauczylśmy się zatem wytwarzać odmiany chorobotwórczych mikrobów. Możemy je hodować tak samo, jak hodujemy rasy różnych zwierząt, użytecznych człowiekowi. Zdawało się, że na tej drodze szybko postąpimy i zyskamy osłabione zarazki żywe wszystkich chorób zakaźnych, przez których szczepienie organizmy nasze będą zyskiwały odporność przeciwko najgroźniejszemu mikrobom. Uśmiechała się nam—absolutna niezaraźliwość.

Dotąd nie doszliśmy przecie do tej doskonałości. W wielu chorobach szczepienie żywych bakteryi okazało się zupełnie bezskutecznem. W zawilych jednakże badaniach napotkane niepowodzenia zawsze czegoś nowego uczą. I w dziedzinie też bakteriologii sztuczna hodowla mikrobów niespodziewanie doprowadziła do wykrycia nowych a ważnych faktów.

Można było z razu sądzić, że do szczepień ochronnych lub leczniczych mogą służyć wyłącznie żywe osłabione bakterye. Tej metodzie szczepienia, którą mogli-byśmy nazwać biologiczną mikrobową, postęp wiedzy dodał szczepienie, które w przeciwstawieniu nazwać trzeba chemicznem. Szkoła Pasteura zasłużyła się znowu ludzkości odkryciem, że odporność przeciwko zakażeniu nadaje nietylko wprowadzenie do organizmu żywych mikrobów osłabionych, lecz również zastrzyknięcie w odpowiedniej dozie samej pożywki, w której bakterye zostały wyhodowane, od żywych bakteryi oddzielonej.

Taka szczepionka chemiczna może naturalnie działać tylko za-wartemi w pożywce produktami chemicznymi, które hodowane bakterye wytworzyły i wydzielily. Do dziś dnia w kulturach licznych patogenicznych mikrobów stwierdzono już istnienie tego rodzaju wydzielin,

szkodliwych dla tworzących je organizmów. Bakterye cholery kurzej, karbunkułu, ropni, tężca, róży, zapalenia płuc, dyfteryi, wyrabiają substancje, obdarzone zdolnością przeciwdziałania zakażeniu temi chorobami.

Odkrycia te otworzyły nowe drogi badaniom nad istotą chorobotwórczego działania mikrobów. Rzuciły one również pewne światło na sposób, w jaki wprowadzone w szczepionkach do organizmu bakterye o osłabionej jadowitości obdarzają go cennym przymiotem niezaraźliwości. Skoro ten cel szczepienia ochronnego da się osiągnąć przez zastrzyknięcie związków wydzielinowych bakteryi, to logiczne rozumowanie prowadzi prosto do hipotezy, że osłabione mikroby czynią organizm odpornym, niezaraźliwym jakąś chorobą, przez produkcję w nim tych samych związków, które wydzielają w pożywkach.

Hipoteza taka miała istotnie wiele za sobą. Liczono, że rychło stanie się pewnikiem. Tymczasem dalsze doświadczenia, prowadzone w celu udowodnienia jej wiarygodności, wzbogaciły patogeniczną mikrobiologię w spostrzeżenia, świadczące o tem, że sprawa działania szczepień ochronnych nie jest wcale tak prostą i oczywistą. Rozwiązanie zdawało się już być blizkiem, gdy nowo odkryte fakta znowu obudziły wahanie i niepewność.

Wyjałowiona, to znaczy pozbawiona żywych osobników, pożywka od sztucznej kultury chorobotwórczego mikroba, posiada nietylko własność nadawania naszym lub zwierzęcym organizmom odporności przeciwko zakażeniu, lecz również jest zdolna wywołać stan chorobowy—w objawach zupełnie identyczny z wywołującym się po wtargnięciu nieosłabionego zarazka. Niezaraźliwość albo choroba—mogą być następstwem zastrzyknięcia jednego i tego samego środka. Różnica w działaniu często zależy tylko od wielkości zaszczipionej dozy. Oto ciekawe fakta, w nowych badaniach zdobyte!

Spostrzeżenia takie wprowadzają na nowo pewien zamęt w pojęciach o sposobie działania szczepionek ochronnych, czy to mikrobowych, czy też chemicznych. Równocześnie przecie przyczyniają się one do lepszego zrozumienia, w jaki sposób drobnoustroje mogą wywoływać u ludzi lub zwierząt ciężkie choroby. Tu znowu prosta logika każe przypuszczać, że choroba zakaźna jest wpływem szkodliwego działania na organizm jakichś związków, wytwarzanych przez mikroby. Nie sama więc obecność bakteryi bezpośrednio sprowadza stan chorobowy lub zabija, lecz substancja wydzielinowa. Choroby zakaźne—to poprostu zatrucia trucizną, wewnątrz organizmu przez mikroby wytwarzaną.

Na tym punkcie więc, jak to każdy łatwo spostrzeże, zbliżamy się do dawnych pojęć o przyczynach chorób zaraźliwych. Przypisywano

je mistycznym miazmom. Tegoczesna nauka chce sprowadzić stany chorobowe do chemicznych reakcyi, a na miejsce tajemniczych miazmów podstawia produkowane przez bakterye więcej konkretno trujące toksyny lub toksalbumozy.

Ale te, na pozór zupełnie prawdopodobne i zrozumiałe, przypuszczenia, znowu wypada opatrzyć znakiem zapytania, gdy wspomnimy, że wydzielinowe produkta chorobotwórczych bakteryi mogą nadawać organizmowi zwierzęcemu przymiot niezaraźliwości, a zatem są dla samych bakteryi szkodliwe. Więc mikroby tworzyły-by związki, wywołujące choroby w organizmie żywiącego je gospodarza, oraz takie, które im samym szkodzą a gospodarza bronią przed napastującym pasorzytem? Tu mimowoli zaraz nasuwa się pytanie: czy jeden i ten sam związek zależnie od ilości tak różne działanie wywiera, czy też może mikroby tworzą odrębne substancye, jedne zabójcze dla siebie samych, drugie—dla ludzi lub zwierząt. Tuż zatem staje przed oczami ważna a nierozwiązana kwestya: kiedy jedne a kiedy drugie produkta się tworzą i jak można zmusić bakterye, aby w swej pracy działały na nasz pożytek, a nie na szkodę?

Poważną komplikacyę w pojęciach musiały także wprowadzić spostrzeżenia, że w trupach, uległych zakaźnym chorobom zwierząt, znajdują się związki chemiczne, które, wstrzyknięte w małych ilościach zdrowym osobnikom, zapobiegają ich zakażeniu. Tak w ciele królików, padłych na zapalenie płuc, znaleziono substancyę, nadającą się dobrze do ochronnego szczepienia. To samo spostrzeżono co do krwi lub miazgi ze śledziony zwierząt, zdechłych na karbunkul. Wobec tych spostrzeżeń stajemy przed nowem, czekającym na wyjaśnienie pytaniem: dlaczego nie są zdolne zwierzęcia, ulegającego chorobie, uratować te same substancye, które, wprowadzone w maleńkich dozach do organizmu innych osobników, czynią je niezaraźliwemi?

W tych zawiłych kwestiach bakteryolog i lekarz muszą się uciekać do pomocy chemii. Ta nauka ma zbadać dokładnie istotę i własności zabójczych i ochronnych związków, wytwarzanych przez mikroby. Jakkolwiek jednak praca jej może być płodna w owoce zbawienne dla całej ludzkości, bo zbadanie chemiczne sprawy prawdopodobnie ułatwi w przyszłości leczenie chorób zakaźnych i skuteczną walkę z epidemiami,—nie można się spodziewać, aby korzyści dały się prędko ciągnąć. Niepospolitą trudność dla badań stanowi produkcya zagadkowych połączeń w bardzo niewielkich ilościach. Trudno je przytem oddzielić i otrzymać w stanie czystym. Z razu mniemano, że są to ciała, należące do grupy tak zwanych alkaloidów, pokrewne trującym silnie ptomainom, które pewne bakterye tworzą przy gnicciu mięsa i ryb. Nowe spostrzeżenia wykazują u wielu toksyn charakter ciał białkowych.

Stąd powstała też nazwa—toksalbumoza. Niektórzy uczeni uważają je za substancje enzymowe, czyli t. zw. dawniej fermenty, i stawiają w jednym rzędzie z ptyaliną—składnikiem śliny, scukrzającym skrobię (krochmal), pepsyną, zamieniającą w żołądku nierozpuszczalne ciała białkowane pokarmu na rozpuszczalne peptony, diastazą, zawartą w słodzie i t. p. Jako cechę powinowactwa z enzymami podnoszą głównie zdolność wywierania wielkich skutków nadzwyczaj małą masą własną. Pożywka z kultury mikrobów, będąca silną trucizną, zawiera często toksyny w ilości, nie dającej się na najbardziej czulej wadze oznaczyć. Trudność w badaniu napotyka się także z powodu pewnego rodzaju kapryśności bakterji w wytwarzaniu toksynowych związków. W tej pożywce sztucznej odbywa się ich produkcja, w owej zupełnie ustaje. Pewne chorobotwórcze bakterje niezawodnie wytwarzają trujące toksyny tylko w organizmach, w których pasorzytnie żyją, a hodowane w sztucznych kulturach—zupełnie, lub prawie zupełnie, ich nie wydzielają.

Wykrycie chemicznych substancji, które wywołują objawy chorób zakaźnych, lub też im przeciwdziałają, musiało obudzić nadzieję, że szczepienie ochronne żywą mikrobową szczepionką da się w praktyce lekarskiej rychło i z daleko lepszym skutkiem zastąpić zastosowaniem wstrzykiwania pod skórę wydzielinowych związków odpowiednich bakterji, wyprodukowanych w sztucznych kulturach. To przecież, czegośmy się dotychczas o przymiotach tych substancji dowiedzieli, nie zwiastuje wcale rychłego uznania ich użyteczności dla terapii. Jak dotąd, zbyt obosiecznymi wydają się te środki; o skuteczności można się w zupełności upewnić dopiero po zastosowaniu. To zaś wcale nie zachęca, osobiwie zdrowego, do poddania się niepewnej w skutkach próbie.

Pierwszym odważniejszym krokiem w stosowaniu terapeutycznym nowych zdobyczy bakteriologicznej wiedzy było wprowadzenie przez Kocha do praktyki lekarskiej tak głośnej tuberkuliny. Środek ten, trzymany z razu w tajemnicy, jak to świadomi postępu na polu bakteriologii mogli przewidzieć, zawiera produkta, wydzielane przez laszczyniki gruźliczne w sztucznych kulturach. Zanim Koch zdecydował się ogłosić sposób przyrządzania tuberkuliny, wielu bakteriologów samodzielnie znalazło drogę, którą się do tuberkuliny dochodzi.

Pod koniec 1891 roku ogłosił nareszcie sam Koch przepis na przyrządzanie tuberkulinowej limfy. Ktokolwiek wierzył jeszcze wówczas, że do wyprodukowania tuberkuliny doprowadziło Kocha jakieś nadzwyczajne, zupełnie nowe odkrycie, i sądził, że przyrządzanie połączone jest z wielkimi trudnościami, które tylko ludzie wyjątkowo uzdolnieni mogą przezwyciężyć, doznał zupełnego rozczarowania.

Istnieje rzeczywiście wiele, bardzo wiele zadań, nierównie trudniejszych do spełnienia, niż fabrykacja tuberkuliny. Postępowanie jest w istocie bardzo proste. W wyjałowionym przez zagotowanie rosole cielęcym, zawierającym 4% gliceryny i 1% peptonu, umieszcza się na powierzchni małą ilość tuberkulicznych laseczników, wyhodowanych w czystej kulturze. Laseczniki, rozmnażając się, toczą błonkę na całej powierzchni płynu. Po sześciu do ośmiu tygodniach odparowuje się pożywkę do dziesiątej części, filtruje—i tuberkulina gotowa.

Po opublikowaniu tego przepisu, objawiło się zupełnie usprawiedliwione zdziwienie. Cel zachowywanej z początku tajemniczości jest istotnie dosyć niezrozumiały. Opis całej czynności nie usprawiedliwia wcale wyrażonej obawy, że wyjawienie sekretu może ułatwić fabrykację bezskutecznego lub szkodliwego lekarstwa na suchoty. Koch daje obecnie do zrozumienia, jakoby zachowanie tajemnicy miało na celu wyprobowanie bystrości umysłu i zręczności uczonych, zajmujących się bakteriologicznymi studjami. Miało chodzić mianowicie o sprawdzenie, czy znajdują się domyślni, którzy sami sekret odkrywają. Takie jednak tłómaczenie przyjmuje się z niedowierzaniem i mimowoli nasuwa się na myśl inny cel tajemnicy. Po tuberkulinie bardzo wiele się spodziewano. Więc może chodziło, aby materyalny zysk z odkrycia nie odrazu musiał się rozdzielić pomiędzy liczniejszych specjalistów?

Gdy nie ziściły się wcale nadzieje, obudzone po oznajmionem przez Kocha na kongresie medycznym w Berlinie odkryciu substancji, która zdrowe świnki morskie może ochronić przed zarażeniem suchotami, a u chorych powstrzymuje rozwój choroby—potrzeba tajemnicy ustała.

Przeciwnie, stała się nawet pożądaną jawność, aby w jak najliczniej podejmowanych próbach można było poznać, w jaki sposób skuteczność leczenia tuberkuliną da się podnieść i jak ochronić chorych przed groźnym niebezpieczeństwem, które stosowanie tuberkuliny często za sobą pociąga.

Że niebezpieczeństwo istnieje, o tem bardzo rychło się przekonano. Wkrótce po kongresie berlińskim, słynni lekarze niemieccy ostrzegli przed leczeniem tuberkuliną chorych od dłuższego czasu na suchoty, u których rozwój choroby dał się powstrzymać i którzy czują się dosyć dobrze, pomimo, że z choroby się nie wyleczyli. U takich chorych możliwe polepszenie stanu zdrowia po zastosowaniu tuberkuliny jest nic nie znaczącem w porównaniu z ryzykiem, na jakie się ich naraża. Ryzyko jest wielkie, bo zadawalający stan zdrowia może się w skutek kuracyi na długo pogorszyć.

Zdanie to stało się prawie powszechnem. Ale i nadzieja skutecznego leczenia tuberkuliną chorych w początkowym stadium choroby

się nie ziściła. Próby nietylko nie dowiodły, że w takich przypadkach tuberkulina jest niezawodnym środkiem leczniczym, lecz, przeciwnie, natrafiono na wypadki, które tuberkulinie, jako lekarstwu, wystawiły bardzo złe świadectwo.

Zapiski szpitala berlińskiego jeszcze w 1890 roku upamiętniły np. następujący smutny rezultat leczenia tuberkuliną. Młodego 25-letniego człowieka przywieziono do szpitala ze słabem stłumieniem lewego szczytu płuca. W płwocinach znaleziono laseczniki, znamionujące gruźlicę. Po dziewięciu iniekcjach, w ciągu trzech tygodni zadanych, chory popadł w gorączkę i wkrótce zmarł. Tak nieszczęśliwy przypadek nie był, niestety, w praktyce lekarskiej jedynym.

Przy leczeniu wilków skórnych, do których tuberkulina zdawała się najczęściej nadawać, natrafiano również na zrażające przypadki. Kroniki szpitalne notują nawet wypadki nagłej śmierci chorych na wilka po zastrzyknięciu tuberkulinowego preparatu.

Doznane niepowodzenia zrodziły przypuszczenie, że używana w terapii tuberkulina zawodziła lub nawet działała szkodliwie, w skutek zanieczyszczenia innymi wydzielinowymi produktami gruźlicznych lasieczników. Objawiło się więc dążenie do otrzymania tuberkuliny oczyszczonej. Starania jednakże do niczego dotąd nie doprowadziły. Tuberkulina, oczyszczona przez Koeha, posiada silniejsze przymioty trujące, ale nie lecznicze. Małańka doza 2 do 5 miligramów wywoływała już u zdrowych ludzi poważny stan chorobowy. Siła tej substancji tem wyższą się wydać musi, gdy się zważy, że oczyszczona tuberkulina, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, składa się przeważnie z niewinnych ciał białkowatych i bardzo małej domieszki nieznanej bliżej czynnej substancji.

Jak widzimy, leczeniu ludzi za pomocą tuberkuliny dotychczas się nie bardzo powodzi. Więcej pożytku może przynieść zastosowana w chorobach zwierzęcych. Stwierdzono już, że, jak u ludzi, tak samo i u bydła rogatego, tuberkulina wywołuje o wiele silniejszą reakcję u osobników dotkniętych suchotami, niż u zdrowych. Może się więc nadać w wypadkach podejrzanych do rozpoznania gruźlicy w oborach, ułatwiając wyłączenie sztuk chorych, których mięso i mleko tylko przy zastosowaniu właściwych ostrożności może być spożywane bez niebezpieczeństwa zarażenia.

Jeszcze więcej teoretyczną wartość mają próby nad ochronnem szczepieniem przeciwko dyfteryi. Choroba ta nie jest jeszcze szczęściem tak rozpowszechniona, aby szczepienie ochronne miało rację bytu. Szczegóły jednak podjętych przez Fraenkla doświadczeń są tak ciekawe, że warto im słów parę poświęcić.

Próby nadawania odporności przeciwko dyfterytycznym lasecznikom za pomocą wszczepiania osłabionego przez kulturę w jadowitości zarazka do niczego nie doprowadziły. Nie zdołano uzyskać osłabienia trwałego, dziedzicznego — lecz tylko chwilowe. Hodowane laseczniki odzyskiwały bardzo prędko naturalną jadowitość. Lepszym skutkiem uwieńczone były próby chemicznego szczepienia. Po pierwszych nieudanych wypadkach spostrzeżono, że pożywka z kultury bakteryi, ogrzewana przez godzinę w temperaturze 65—70°, da się użyć, jako szczepionka. Dziesięć do dwudziestu centymetrów sześciennych tak traktowanego bulionu z trzytygodniowej kultury dyfterytycznych bakteryi, po wstrzyknięciu pod skórę świnkom morskim, czyniły je niezaraźliwymi nawet najbardziej jadowitemi mikrobami. Ale odporność taka objawia się, co najwcześniej, dopiero po 14 dniach. Jeżeli zaś wcześniej zakażenie nastąpi — ochronne szczepienie okazuje się zupełnie bezskutecznem. Przeciwdziała zaś po pewnym czasie tylko lasecznikom pod skórę wprowadzonym, lecz zupełnie nie zapobiega zarażeniu dyfteryą na innej drodze.

W ogóle z podejmowanych dotychczas usiłowań widać, że sprawa szczepień ochronnych i leczenia produktami chemicznymi bakteryi nie jest jeszcze wcale dojrzałą. I może długo jeszcze pożytek nowych odkryć ograniczy się do próbnych przedwstępnych doświadczeń w organizmach zwierząt, których coraz więcej cierpi i ginie po pracowniach bakteriologicznych w imię dobra ludzkości. Nie zadawałające dotychczas wyniki przypisują temu, że nie potrafimy skutecznie niszczyć w pożywkach od kultur mikrobów wpływu trującego bez naruszenia przymiotów uzdrawiających. Chyba nagły skok w postępie wiedzy nauczy, jak dadzą się praktycznie spożytkować te liczne nowe odkrycia, które na razie przyczyniły się prawie wyłącznie do rozszerzenia horyzontów teoretycznych dociekań. Trzeba też nie spuszczać z uwagi, że najdokładniejsze rozwiązanie kwestyi, dlaczego chorujemy, nie prowadzi jeszcze wprost do wykrycia sposobu zapobiegania chorobom i ich leczenia.

W usiłowaniach uczonych zdobycia na tem polu prawdy ludzkość nie zawsze przychodzi z gotową pomocą. Wymownie skarży się na to pewien badacz, któremu studia nad powrotną gorączką tyfoidalną utrudniła zbyt wielka odporność chorych. Niestety — odzywa się ten uczony — zbyt mało miałem potrzebnych do badań zmarłych, gdyż podczas epidemii śmiertelność była bardzo nieznaczna. Pod tym przecie względem społeczeństwa chyba nigdy nie będą jednomyslnego zdania z tak gorliwymi pionierami wiedzy w dziedzinie patogenicznej bakteriologii. I za złe im tego nikt nie może poczytać.



Z żalem wspomnieć już wypadalo, że nie doznajemy w obecnej chwili ze spostrzeżeń nad życiem patogenicznych mikrobów tej pełnej korzyści, jaką w dalszym rozwoju wiedzy odniesie medycyna przyszłości. Bezsilność jednak czasową pod tym względem stara się nam obecnie bakteriologia wynagrodzić płodnymi owocami badań nad przyczynami sztucznie wywołanej i naturalnej niezaraźliwości. Spostrzeżenia, poczynione przy próbach szczepienia mikrobowego i chemicznego, były punktem wyjścia dla tej nowej drogi, po której nauka chce dojść do poznania wzajemnych wpływów patogenicznych bakteryi i wyżej uorganizowanych organizmów zwierzęcych.

Tu nastroczają się do rozwiązania liczne zagadki. Do najważniejszych należy naturalna odporność niektórych zwierząt wobec chorób bakteryalnych, zabójczych dla innych. Karbunkułowe mikroby, zarażające człowieka, wołu, owcę, królika i mysz, zachowują się zupełnie niewinnie wobec psa lub żaby. Rasa tu nawet znaczy, bo owca algierska chorobie karbunkułowej nie ulega. Kura nie podlega tężcowi (tetanos), ani też czerwonce. Bakterye tyfusu powrotnego są szkodliwe tylko dla człowieka i małpy. Cholera jest tylko ludziom właściwą chorobą.

Bakteriologia pragnie usilnie odkryć przyczyny tej naturalnej niezaraźliwości. Bodźcem do energicznej pracy jest przewidywanie, że poznanie dokładne przyczyn doprowadzi do wykrycia terapeutycznych środków przeciwko wszelkim zakaźnym chorobom.

Liczne grono poświęcających się obecnie nauce może zbierać szybko spostrzeżenia, potrzebne do wyjaśnienia nowo postawionych kwestyi. Do tej pory mamy więc już dosyć szczegółowo opracowane dwie teorye niezaraźliwości, zasobne w przekonujące argumenta.

W Niemczech zdobywa sobie licznych zwolenników przekonanie, że niezaraźliwość nabyta, albo też wrodzona, jest zawsze wynikiem szkodliwego działania dla patogenicznych bakteryi pewnych substancyi, znajdujących się w sokach zwierzęcych. Skoro chorobliwy stan jest wywoływany przez wydzielinowe substancye bakteryi, skoro wytwarzane przez mikroby związki mogą służyć do ochronnego szczepienia, — to każdy stan niezaraźliwości musi być bezpośrednim skutkiem istnienia w organizmie składników, które bądź tamują rozwój chorobotwórczych napastników, bądź też zubożniają wytwarzane przez nich trucizny. Choroba i przeciwdziałanie organizmu nie mogą być czem innym, jak wpływem reakcyi natury czysto chemicznej. Oto główne rysy teoryi, przyjmującej mikrobobójcze własności soków ciała ludzkiego lub zwierzęcego. Dużo też zyskano już faktów, popierających jej wiarygodność.

Odkrycie prawdy wydawało się nadzwyczaj blizkiem, gdy spostrzeżono, że surowica krwi bywa obdarzoną w wysokim stopniu antyseptycznymi przymiotami. Kwestyę zdawało się już ostatecznie rozwiązywać spostrzeżenie Beehringa i Niessena, że surowica krwi świnki morskiej, zarażającej się mikroblem, zwanym wibryonem Miecznikowa, nie jest dla niego szkodliwą, podczas gdy surowica osobnika, zabezpieczonego przez szczepienie, zabija chorobotwórcze wibryony w bardzo krótkim czasie. Silniejszy jeszcze dowód przybył w późniejszych badaniach Beehringa i Kitasaty nad tężcem i dyfteryą. Krew królików, w skutek szczepienia ochronnego nie podlegających tężcowi, jak się okazało, posiada własność zobojętnienia trującej substancyi o patogenicznych przymiotach, wydzielanej przez tężcowe mikroby. Co więcej, krew taka, lub wydzielona z niej surowica, może służyć do ochronnego szczepienia myszy przed tężcem. W krwi zatem zwierząt odpornych znajdowała-by się silna odtrutka na toksynę tężca. Taką samą substancyę, przeciwdziałającą toksynowemu zatruciu dyfterycznymi bakteriami, mają, wedle Beehringa, posiadać w swym organizmie zwierzęta, niezarażające się dyfteryą.

Te fakta w istocie tworzą dosyć silną podstawę dla mniemania, że niezaraźliwość naturalna pozostaje w związku przyczynowym z działającymi jako antidotum substancjami krwi, surowicy, wysięków i t. p. soków zwierzęcych. Nierozpoznane jeszcze dokładnie związki ochronne nazwano aleksynami.

Ale wśród zgodnych z tą teorią faktów wykryto inne, które się jej wprost sprzeciwiają. Laseczniki karbunkulowe giną szybko w surowicy, otrzymanej z krwi królika. A przecie królik należy do zwierząt, bardzo łatwo ulegających tej chorobie. Surowica z krwi psa, który posiada przyrodzoną niezaraźliwość wobec karbunkułu, bynajmniej nie truje mikrobów tej choroby. Kura nie zapada weale na czerwonkę, a jednak w jej krwi niema substancyi, za pomocą której można-by osiągnąć niezaraźliwość u myszy lub gołębi. W krwi żaby, wobec której najjadowitsze laseczniki karbunkulowe zachowują się niewinnie, niema nic, co-by mogło zwierzęta, podlegające karbunkulowi, uczynić odpornemi. Mikroby karbunkulowe, wyhodowane w organizmie psa, albo też żaby, zachowują pełną swą jadowitość dla innych zwierząt, a często nawet ją wzmacniają.

Spostrzeżeń takich można-by wiele jeszcze przytoczyć, a wszystkie one wykazują istnienie naturalnej niezaraźliwości, której nie towarzyszy własność soków zwierzęcych, ani zabijania bakteryi, ani ich osłabiania, ani też zobojętniania tworzonych przez mikroby szkodliwych toksyn. Wyzyskują je skrzętnie przeciwnicy teoryi, przyjmującej protekcyjny wpływ aleksyn. Nie chcemy zaprzeczać—powiadają oni,—że

są choroby mikrobowe, przeciw którym organizm walczy za pomocą aleksynowych odtrutek. Być może, iż do takich zaliczyć trzeba teżec i dyfteryę. Ale to są choroby odrębnego typu. Mikroby swoiste tym chorobom nie wnikają w organizm, nie rozchodzą się po jego organach, lecz mnożą się w miejscu zakażenia i trują organizm przez wydzielane toksyny. W innych chorobach mikrobowych przyczyny niezaraźliwości nie są niezawodnie całkiem analogiczne. Gdzieindziej należy ich szukać.

Z energiczną opozycją, pod wieloma względami uzasadnioną, występują mianowicie przedstawiciele szkoły francuskiej, będący zwolennikami teorii Miecznikowa o fagocytach.

Teorya ta, powstała jeszcze w 1883 roku, i po dziś dzień znajduje się w bezustannym rozwoju. Niezaraźliwość lub uleganie chorobom zakaźnym stara się ona wyjaśnić zażartą walką o byt pomiędzy patogenicznymi bakteriami a pewnymi wędrownymi komórkami organizmów. Najżywszy udział w tej walce mają brać białe ciała krwi, t. zw. leukocyty. Wszystkie komórki, zdolne do walki, obdarzone są amebowemi ruchami, dzięki czemu są zdolne chwycić drobne obce ciała, a w szczególności mikroby. Bakteryę pochwycone zmieniają powoli swój wygląd i w końcu ulegają strawieniu. Komórki, tak się zachowujące w organizmie, nazwał Miecznikow fagocytami, a ich pożyteczną działalność—fagocytozą.

Znaczenie ważne fagocytowych komórek ma wykazywać bardzo wyraźnie obserwacya losów bakteryi chorobotwórczych w organizmie zwierzęcym, zachowującym się ulegle lub odpornie wobec jakiejś choroby zakaźnej. Weźmy naprzykład karbunkuł. U królika, podlegającego tej chorobie, w kilka godzin po zakażeniu laseczniki są już w rozwoju i obrzęk uformowany. Zawiera on ciecz przezroczystą, w której pływają mikroby i białe ciała krwi obok nich. Wrzód rośnie, poblizkie gruczoly nabrzmiwiają, laseczniki karbunkułowe dostają się do krwi i wtedy śmierć wkrótce przychodzi. Inny natomiast obraz przedstawiają skutki zarażenia królika szczepionego. I w jego ciele w pierwszej chwili mikroby się mnożą. Tworzący się w miejscu zakażenia wysięk, zrazu przezroczysty, mętnieje w skutek obfitego napływu fagocytów wędrownych. Równocześnie ubywa laseczników, wolno w cieczy pływających, a coraz ich więcej widać wewnątrz leukocytów. Uwięzione ulegają powoli zniszczeniu i zwierzę wcale w chorobę nie popada. Zupełnie podobne zjawiska, jak w tym ostatnim wypadku, można obserwować u psów, które posiadają wobec karbunkułu naturalną niezaraźliwość. Sprawdzono je również na bardzo licznych innych chorobotwórczych mikrobach.

Znajomość takich faktów pozwala łatwo wyjaśnić przyczyny nie-zaraźliwości lub popadania w chorobę. Jeżeli fagocyty wychodzą z walki zwycięscami — organizm jest uratowany. Skoro zaś mikroby zwyciężą, stan chorobowy się wywiązuje. Szczepienia ochronne działają przez wzmocnienie akcyi fagocytów.

Przyznać niezawodnie trzeba, że teoria o fagocytozie odznacza się wielką prostotą i zdolną jest obudzić otuchę w ludziach, przekonywając ich o czynnym udziale organizmu w obronie przed niewidocznymi przeciwnikami zdrowia. Sam widok uwieczonych przez komórki naszego ciała patogenicznych mikrobów w naturze lub na rysunkach sprawia pewną przyjemność. Ale pomimo bardzo licznych, popierających wiarogodność, spostrzeżeń, nie zdołała dotychczas teoria Miecznikowa usunąć wszelkich wątpliwości, z jakimi przeciwnicy ją przyjęli.

Istnieją przecie choroby—twierdzi opozycya,—przy których mikroby można znaleźć głównie w fagocytach, a które jednakże śmiercią się kończą. Obserwować to można przy suchotach, czerwonce u nierogacizny, zakażeniu krwi u myszy, trądzie. Tu więc zjawisko fagocytozy jest bez znaczenia. Prawda—odpowiada obrona,—ale teoria o fagocytach twierdzi tylko, że w organizmie odbywa się walka pomiędzy fagocytami a mikrobami, lecz nie przesądza o zbawiennym dla organizmu wyniku walki. Komórki walczące mogą być czynne, próbują działać w obronie, nie zawsze jednak muszą wychodzić z walki zwycięsko. Samo schwytywanie mikrobów jeszcze nie wystarcza. Trzeba niezbędnie, aby nastąpiło strawienie. Argumentacya taka wprawdzie nie jest nieprawdopodobna. Można ją istotnie przyjąć i uwierzyć w fagocytozę—ale nie pozekonywa w całej pełni.

Zrobiono dalej zarzut, że fagocyty Miecznikowa żywym mikrobowi żadnej szkody nie czynią, a tylko chwytają zabite bez ich współdziałania bakteryje. Na tym jednak punkcie fagocytoza w sporze zwyciężyła. Badania udowodniły stanowczo istnienie w fagocytach do pewnego czasu mikrobów żywych i przytem jadowych. Przed nagromadzonemi trupami bakteryi leukocyty często nawet uciekają, zamiast się zbliżać, a to wskutek obawy przed trującemi toksynami.

Ale nic może silniej nie przemawia na korzyść fagocytozy, jak spostrzeżenie, że najniebezpieczniejszym jest zakażenie przy pewnych chorobach w miejscu, gdzie fagocytów niema. Gołębie dosyć trudno zarażają się karbunkulem. Jeżeli jednak zarazek karbunkulowy zostanie zaszczipiony w przednią komórkę oczną, może wywołać niebezpieczny stan chorobowy. Mikroby wówczas zaczynają się swobodnie mnożyć, bo w cieczy, wypełniającej oczną komórkę, niema fagocytów. Zanim one nadbiegną na ratunek organizmu i przeszkodzą rozwojowi mikrobów, zgubne skutki zakażenia mogą już wystąpić.

Nadzwyczajnie ciekawe są również doświadczenia nad zakażeniem szczepionych ochronnie zwierząt w taki sposób, aby napływające fagocyty nie mogły się zetknąć z wprowadzonymi do organizmu mikroorganizmami. W tym celu umieszczano pod skórą chorobotwórcze bakterie w kłaczku waty lub w małym woreczku z papieru. Soki zwierzęcia z łatwością przez papier i watę przechodzą, podczas gdy fagocyty przez pewien czas są zatrzymywane. W takich warunkach wszczepione bakterie szybko się mnożą. Tymczasem wprowadzone bez żadnego okrycia stają się rychło pastwą fagocytów.

Fakta, popierające teorię Miecznikowa o fagocytozie, w istocie w coraz większej ilości się gromadzą. Czy można jednakże już dzisiaj stanowczo twierdzić, że jest ona wiarogodna? Przeważnie nakazuje odpowiedź—przecząca. Tegoczesna nauka jest wobec nowych teorii bardzo wymagająca. Prawdą niezawodną jest tylko to, z czem w sprzeczności nie pozostaje żaden ze znanych faktów, dotyczących danej kwestyi, i co bezwzględnie wyklucza wszelkie inne wyjaśnienie. Tę stopnia doskonałości teoria fagocytów nie osiągnęła, nie może więc jeszcze rościć sobie prawa do zaszczytnego uznania, jako naukowy pewnik.

Obecnie wyznawcy fagocytozy muszą odpierać nawet takie zarzuty, jak zrobiony przez Emmericha, że komórki fagocytowe nie tylko nie chronią organizmu przez chwywanie i niweczenie mikrobów, lecz przeciwnie, roznosząc je po całym ciele, przyspieszają ogólne zakażenie. Tu pod pewnym względem niepodobna zaprzeczyć opozycji słuszności. Są wypadki, w których spostrzeżono roznoszenie w organizmie przez fagocyty żywych mikrobów patogenicznych. Tak mianowicie ma się rzecz przy suchotach! Ale nierównie prędzej roznosi gruźliczne laseczniczki krążenie krwi. Przypisywanie więc bardzo szkodliwego wpływu fagocytom nie zupełnie jest uzasadnione.

Co do tej kwestyi, ciekawe spostrzeżenia przyniosły badania Pawłowskiego nad gruźlicą stawów. Okazało się, że laseczniczki, mnożące się w gruźlicznym ognisku, powoli rozchodzą się w naczyniach limfatycznych. Białe ciała przyjmują udział w tym transporcie. Rozszerzanie się gruźlicy jest jednak daleko powolniejsze, niż przy wprowadzeniu mikrobów wprost do naczyń krwionośnych. Wobec tego zdaje się, że chirurgia będzie musiała liczyć się z niebezpieczeństwem, jakie przy operacjach umiejscowionych tuberkułów grozi choremu, z powodu łatwości przedostania się mikrobów do krwi. Spostrzeżenia Pawłowskiego tłómaczą również przyczynę bardzo szybkiego postępu choroby u suchotników po przebytych krwotokach.

Zarzucają również teorię o fagocytozie, że tamuje postęp terapii. „Jeżeli zapytamy — mówił Beehring na ostatnim kongresie higienicznym w Londynie, — jak spożytkować fagocyty przy leczeniu chorób,

jak kierować ich czynności, aby uzdrowić chorego, to odpowiedź będzie bardzo kłopotliwa.“

Tu teoria zaczeptiona broni się wyjaśnieniem, w jaki sposób fagocyty ochronnie działają. Jeżeli chwytają mikroby, to dlatego, że przyłączają je wydzieliny tych mikrobów. Gdy zabijają i trawią mikroby, to działaniem własnych produktów. Gdy stronią od mikrobów, to w skutek odpychającego działania wydzielanych przez nie szkodliwych toksyn. Działają tu głównie siły, które nauka nazwała chemotaktycznymi. Wobec tego trzeba tylko starać się poznać wszystkie czynniki fizyczne i chemiczne, które mogą pobudzić akcję fagocytów, jako też ich produkta zabijające i trawiące mikroby chorobotwórcze, aby pozyskać środki do ułatwienia fagocytom w walce zwycięstwa.

Początek na tej trudnej drodze już zrobiony—powiadają obrońcy fagocytozy,—bo odkryto, że ciepło leczy ropne zapalenie oka, zarażonego mikroblem, zwanym stafylokokusem, przez pobudzenie ochronnej akcji fagocytów. Przybywają też dowody, że tuberkulina Kocha, jeżeli przyczynia się do polepszenia stanu zdrowia, to tylko przez wzmocnienie komórek, chwytających gruźliczne laseczniki.

Ale dosyć już może o tej ponętnej, a tyle jeszcze wątpliwości nasuwającej uczynym, teorii. Na zakończenie dodajmy jeszcze, że probowano już szukać w fagocytach substancji, szkodliwych bakterjom. Twierdzą, że je nawet znaleziono. W każdym razie nazwa dla nich już istnieje. Nie tak łatwa do spopularyzowania, bo — myxosociny i myxophylaxiny.

Przejdźmy teraz na pole teorii o powstawaniu groźnych epidemii.

Stwierdziliśmy wielką niezgodność poglądów na przyczyny niezaraźliwości, nadanej sztucznie i wrodzonej. W kwestyach etyologii chorób epidemicznych—cholery i tyfusu—pod wieloma względami opinie mocno się różnią. Spór zacięty mianowicie trwa między stronnikami tak zwanych teorii berlińskiej i monachijskiej.

Przed kilku miesiącami dzienniki rozniosły po całym świecie wiadomość o odważnej próbie, jaką podjęli sędziwy higienista monachijski Pettenkoffer i Enmerich. Uczeń ci mieli odwagę przyjąć napój, który zawierał wyhodowane w jak najczystszej kulturze przecinkowe bakterie cholery azyatyckiej. Równocześnie, przez sztuczne zobojętnienie kwasów żołądkowych, wytworzyli w swoich przewodach pokarmowych warunki, jakich te mikroby potrzebują do dobrego rozwoju. Oślawiona jadowitością cholerycznych bakterii kazała mniemać, że odwagę ukarze ciężka choroba lub śmierć—tymczasem skończyło się na lekkiej niedyspozycji.

Celem tego niebezpiecznego eksperymentu nie było wcale, jak to z krótkich opisów można-by wywnioskować, wydemonstrowanie *ad ocu-*

los, że przyczyną cholery nie są odkryte przez Kocha mikroby. Szkoła monachijska, której twórca i główny przedstawiciel, Pettenkoffer, na niebezpieczeństwo się narażał, nie powątpiewa o mikrobowej naturze cholery. Chodziło tylko o uzyskanie potrzebnego do walki z poglądami stworzonej przez Kocha szkoły berlińskiej argumentu, że bakterye, rozmnożone w organizmie chorych na cholere, nie są jadowite i nie przyczyniają się do szerzenia epidemii.

Teorya Pettenkoffera o etyologii cholery i gorączki tyfoidalnej istnieje już od kilku dziesiątków lat. To i owo w skutek postępu wiedzy musiało się w niej zmienić—myśl zasadnicza została. Powstała po spostrzeżeniu, że wybuchom epidemicznym cholery często towarzyszą znaczne zmiany w stanie wody zaskórnej w ziemi. W roku 1854 w Monachium pojawienie się cholery poprzedziło nagłe podniesienie się poziomu wody zaskórnej, po którym przyszło nagłe opadnięcie. To samo spostrzeżono w roku następnym w Zurychu. Naprowadziło to zaraz Pettenkoffera na myśl, że przyczyny epidemicznego występowania cholery należy szukać w ziemi. Pewien stopień wilgotności i przewiewności gruntu miał-by być koniecznie potrzebnym do przygotowania epidemii.

Istotę tego przyczynowego związku pomiędzy atmosferycznymi stosunkami ziemi a epidemią określał bliżej Pettenkoffer w czasie, gdy jeszcze nic nie wiedzano o patogenicznych mikrobach, w sposób następujący. Dla zarazka, zawartego w wydzielinach chorego na cholere, nie wystarcza opuszczenie zarażonego organizmu w nieuszkodzonym stanie. Aby odzyskał on całą swą moc i mógł nową ofiarę zarazić, potrzebuje dojrzeć, przejść nową fazę swej egzystencyi w przyjaznem otoczeniu po-za organizmem człowieka. Warunki, odpowiednie do tej przemiany, znajduje w ziemi dosyć wilgotnej, przewiewnej i zamożnej w szczątki organiczne. W skutek tej natury zmiennej zarazka, cholera jest chorobą zwykle miazmatyczną, a rzadko wprost zakaźną, to jest przenoszącą się bezpośrednio z człowieka na człowieka. Gdy poziom wód gruntowych się podniesie a następnie opadnie, powstają w ziemi warunki, potrzebne do wytworzenia jadowitego zarazka i epidemia wybuchu. W dalszym rozwoju teoryi Pettenkoffera mistyczny zarazek zamienił się na patogeniczne mikroby. Ale utrzymał się w zupełności pogląd, że na powstawanie epidemii cholerycznej wpływają głównie dwa czynniki—czas i miejsce. Przy waleczeniu z epidemią, wedle Pettenkoffera, nie tyle trzeba zwracać uwagę na same mikroby, ile na warunki, które je czynią jadowitemi i istotnie groźnemi.

Oprócz wzmiankowanych obserwacyi nad stanem wody zaskórnej w Monachium i Zurychu, a także i innych miejscowościach, na poparcie tej teoryi przytaczano również spostrzeżenie, że w Indyach, w miejsco-

wościach o suchym klimacie, wybuch cholery przypada zwykle na porę wilgotną, podczas gdy w okolicach, gdzie padają częste deszcze, cholera pojawia się w czas posuchy. Niedawno zyskała znowu poparcie w zapiskach miejskich kronik Peterhofu. Miasto to od 1837 roku wyrobiło sobie sławę oszczędzanego przez cholere. Dwie przecie epidemie, mianowicie w latach 1848 i 1854, je nawiedziły. Przyczyny wyjątkowego pojawienia się choroby dopatrują teraz, w myśl teorii Pettenkoffera, w następujących faktach:

Peterhof zasilą się w wodę z odległych źródeł. Nadninar doprowadzonej wody spływa i zbiera się w najniższej części miasta w licznych sadzawkach, komunikujących się między sobą za pośrednictwem wody zaskórnej, zatrzymywanej na nieprzepuszczalnym podłożu gliniastym. Woda ta utrzymuje zwykle ziemię w tak wilgotnym stanie, że choleryczne mikroby nie mają w niej tego przyjaznego otoczenia, jakie jest wedle Pettenkoffera potrzebnem do wyrobienia jadowitości. W latach 1848 i 1854, wskutek zatargu z właścicielem zasilających źródeł, obfity dostęp wody został odcięty i poziom wody zaskórnej się zniżył, a zewnętrzne warstwy ziemi obeschły. Mikroby zyskały to, czego im potrzeba i—cholera się pojawiła.

Jak widzimy, monachijska teoria szuka poparcia i znajduje je w danych statystycznych. To słaba jej strona. Dwa fakta, równocześnie lub w bliskim odstępie czasu zachodzące, niekoniecznie muszą pozostawać z sobą w takim związku, w którym jeden musi być przyczyną, a drugi skutkiem. Trzymający się zasady—*post hoc ergo propter hoc*,—aż nazbyt często, osobliwie przy opracowaniach materiału statystycznego, schodzą na manowce.

Berlińska szkoła, która również cheiwą dłonią zbiera dowody w statystyce, o wpływie ziemi na hodowlę jadowitych mikrobów cholerycznych nic wiedzieć nie chce. Dopóki mogła być mowa—twierdzą przedstawiciele tej szkoły,—o tajemniczych miazmach, jako przyczynie cholery, przyjęcie wpływu wody zaskórnej było jako tako usprawiedliwione. Wobec mikrobów żadną miarą już się ono nie da utrzymać. Miazmatyczne wyziewy mogły być w wyobraźni naszej wypychane z ziemi przez podnoszące się zwierciadło wody zaskórnej, porywane prądami powietrznymi i roznoszone po całej kuli ziemskiej. Taka wędrówka żywych mikrobów jest zgoła nieprawdopodobną. Cholera nie może się różnić od innych chorób zakaźnych. Przenosi się z chorego na chorego zazwyczaj za pośrednictwem wody do picia, a na wielkich obszarach rozchodzi się po drogach wodnych. Jeden chory może stworzyć epidemię. Dojrzewania, czy wykształcania się w ziemi, mikroby choleryczne nie potrzebują.



Same bakterye cholery nie znaczą bez współdziałania wpływów zewnętrznych — odpowiadają w obronie zwolennicy szkoły monachijskiej, — a na dowód słuszności po naszej stronie, spróbujemy się nimi żywić.

Próba już dokonana. Podziwiać można głęboką wiarę w prawdziwość głoszonych poglądów, prowadzącą do narażenia na poważne niebezpieczeństwo własnego życia — dla zyskania na poparcie teorii wcale nie silnych argumentów. Gdyby rezultat próby był smutny, równocześnie runęła-by teoria i zginął jej twórca; osiągnięte zaś powodzenie nie pozwala tryumfować. Przeciwnicy mogą powiedzieć: — udało się, bo mikroby przez sztuczną kulturę były zbyt osłabione. Nie twierdziliśmy nigdy, aby każdy, kto do swego przewodu pokarmowego dostanie mikroby choleryczne, musiał koniecznie na cholere chorować. O istnieniu indywidualnej odporności wcale nie wątpimy.

Walka więc argumentów nie ustanie. Złagodzi ją może most łączący, na którym Hueppe próbuje sprowadzić adwersarzy do wspólnego porozumienia.

Punktem wyjścia dla pośredniej teorii Hueppego jest przypuszczenie, że mikroby cholery, tak jak większość bakteryi patogenicznych, mogą żyć saprofitycznie, żywiąc się martwą materją organiczną. Wtedy są ustrojami aerobicznymi, czyli bez tlenu atmosferycznego żyć nie mogą. W pewnych warunkach nabywają złośliwych patogenicznych przymiotów i wówczas są zdolne przez czas pewien żyć w ludzkim przewodzie pokarmowym anaerobicznie, czyli obchodzić się bez tlenu. Wówczas produkują obficie te silne toksyny, któremi wywołują właściwy cholere stan chorobowy. Życie bez tlenu osłabia mikroby i, opuszczając organizm ludzki, nie posiadają już one groźnej jadowitości. Po odrodzeniu się w kilku pokoleniach w zetknięciu z tlenem, gdziekolwiekby — na bieliźnie chorego, czy w wierzchnich warstwach ziemi, na nowo stają się dla ludzi niebezpieczne.

Do ziemi dostają się zatem choleryczne bakterye w stanie najwyższego osłabienia. Jeżeli znajdą w niej wiele wilgoci, zatem mało powietrza, giną szybko. Skoro wilgotność nie będzie zbyt mała, a dostęp powietrza łatwy, żyją aerobicznie kosztem martwej organicznej materji. Utrzymanie się przy życiu następuje tem pewniej, im bardziej odpornym jest zarazek w chwili opuszczenia organizmu ludzkiego. Opadnięcie poziomu wody zaskórnej stwarza w ziemi warunki wilgotności i przewiewności najprzyjaźniejsze rozwojowi cholerycznych mikrobów. Wówczas mnożą się, zyskują w najwyższym stopniu zdolność do życia bez tlenu i epidemia może się pojawić. Nieodzownym jednak warunkiem jest, aby istniała lub mogła się wytworzyć dostateczna ilość jadowitych i odpornych mikrobów. Zakażenie następuje po do-

staniu się mikrobow do przewodu pokarmowego w wodzie, w pokarmach, w połykanej ślinie, lub przez organa oddechowe. Jeżeli zwierciadło wody zaskórnej się podnosi, wilgotność ziemi w górnych warstwach wzrasta, a przewodność się zmniejsza. Wtedy mikroby przestają się mnożyć i zależnie od stopnia posiadanej odporności przetrzymują złe warunki lub giną. Epidemia albo zupełnie wygasa, albo też ustaje na czas jakiś, poczem znowu się pojawia.

Nowa teoria, jak widzimy, przejęła bardzo wiele z bronionych przez Pettenkoffera poglądów. Uwzględnia ona jednakże wiele faktów, któremi szkoła berlińska przeciw monachijskiej walczyła. Wpływ zewnętrznych warunków na rozwój epidemii jest daleko lepiej w teorii Hueppeggo określony, a zakażenie bezpośrednio bez współdziałania ziemi nie odrzucone. Może więc z czasem doprowadzi do zgody. Sięgający okiem w daleką przyszłość twierdzą, że kiedyś teorię o cholerycznej epidemii uzupełnią wiadomości o bezpośrednim wpływie ziemi na człowieka, zwiększającym lub zmniejszającym odporność organizmu przeciw zakażeniu.

Przy przeglądzie tegoczesnych poglądów na etyologię chorób epidemicznych stają na myśli przewidujące słowa, przed kilkunastu laty przez Pasteura wypowiedziane. Warto je tu powtórzyć. Czemże są—zapytywał już wówczas słynny badacz—nieszkodliwe dla człowieka lub zwierzęcia drobnoustroje? Istotami, które nie mogą się rozwijać w ciele naszym, lub danego zwierzęcia. Ale nic nie dowodzi, że, natrafwszy na odpowiedni gatunek w królestwie zwierzęcem, mikroby te nie zdołają nim owładnąć i wtargnąć go w chorobę. Jadowitość ich, wzmacniana wówczas przez przejście z osobnika na osobnika, może się stać tak silną, że wreszcie ulegnie jej człowiek, lub które z pożytecznych mu zwierząt domowych. W ten sposób powstają wielkie epidemie. Pasteur wskazywał także, że w przyrodzie przy wielowiecznym rozwoju nie wyczerpały się jeszcze wszystkie sposobności tworzenia zaraźliwych mikrobow. Można się więc spodziewać w przyszłości groźnych chorób, dzisiaj nieznanych.

Wobec tak miłych widoków, trzeba zawczasu zbroić się w środki przeciwko wtargnięciu nieprzyjaciela. Zobaczmy też, co na tem polu nauka zdziałała.

Dla skutecznego zapobiegania chorobom epidemicznym, wywołanym przez niewidzialne dla oka mikroby, jest bardzo ważną wiadomością, gdzie znajdują one schronienie po-za żyjącym organizmem. Częste pojawianie się chorób zakaźnych w pewnych domach musi prowadzić do przekonania, że na ścianach lub podłogach ukrywają się nieprzyjaciele zdrowia ludzkiego, czekając chwili, w której skuteczna napasć będzie możliwą. Badania w tym kierunku uwieńczyły rezultaty

zupełnie zgodne z przewidywaniami. W pokojach, zajmowanych przez chorych, znaleziono bakterye gruźlicy, tyfusu, tężca, róży, zakażenia krwi, ropnia i t. p.

Niebezpieczeństwo, zagrażające zdrowiu ludzi i zwierząt, z powodu ukrywania się mikrobów na ścianach i w podłogach, wystąpiło bardzo jaskrawo, gdy poznano, ile-to żywych, mikroskopijnych tworów ukrywa się na najmniejszej powierzchni murów. Bakteryologia posługuje się w tym celu specjalną metodą. Ścianę na powierzchni 5 cent. kw. obciera się małą wilgotną gąbeczką, wyjałowioną przez gotowanie w wodzie i przechowaną w sposób uniemożliwiający dostanie się bakteryi. Potem wrzuca się gąbkę do płynnej pożywki żelatynowej i kłóci w celu równomiernego rozdzielania w cieczy przyczepionych do gąbki mikrobów. Liczba kolonii, tworzących się na rozlanej żelatynie, wskazuje, ile bakteryi gąbka ze ściany zebrała, bo każdy żywcem schwytyany osobnik rozmnaża się w kolonię. W taki sposób postępując, znaleziono na murach tajni pewnego higienicznego instytutu na 5-centymetrowej powierzchni 2 — 14 tysięcy rozmaitych żywych bakteryi. Mniej ich bywa na wyższych częściach ściany, bardzo mało na suficie. Mniej również znajdowano na ścianach przeciwległych oknom, a to w skutek nieprzyjawnego dla mikrobów wpływu światła. Na ścianach czysto utrzymanych mieszkań ilość bakteryi jest zwykle znacznie mniejsza, często na takiej samej powierzchni setki nie przenosi. I to jednak więcej, niż wystarcza do wywołania choroby, jeżeli wśród nieszkodliwych znajdują się pasorzytne chorobotwórcze bakterye i trafiają w ludzkim organizmie na grunt podatny.

Takie zdobycze wiedzy może nie są wcale pożądane dla spokoju życia ludzkiego. Lepiej chyba było-by żyć w nieświadomości istnienia w naszym otoczeniu tylu ukrytych wrogów, gdyby wiedza, wykrywając niebezpieczeństwo, nie była zdolna równocześnie wskazać sposobu chronienia się przed jego grozą. Tak jednak na szczęście nie jest. Tegoczesna higiena wzbogaciła się we wskazówki, jak uniknąć zakażenia, grożącego zdrowym w pokojach chorych. Usunięcie niebezpieczeństwa jest zadaniem dezynfekcyi.

Równocześnie z odkryciami zatrważającymi w dziedzinie patogenicznej bakterjologii postępowały badania nad środkami dezynfekcyjnymi. Celem tych badań było znalezienie środka taniego, łatwego i nieprzykrego w użyciu, a przytem, o ile możności, niezawodnego.

W Niemczech bardzo się rozpowszechniło wycieranie ścian skórka od chleba, która dostatecznie czyści ścianę za jednym pociągnięciem. Niedogodność jednak wielką sprawia kruszenie się chleba na podłogę, potrzebującą następnie silnej dezynfekcyi. Do tego celu zalecają mycie 5% rozcynem kwasu karbolowego, który na długo pozostawia nie-

przyjemną woń. Tę samą niedogodność przedstawia dezynfekcja przez rozpylanie w mieszkaniach silnych rozczyńców kwasu karbolowego lub modnego lysolu. Niepożądany jest również dosyć wysoki koszt tego rodzaju dezynfekcji.

W poszukiwaniach praktyczniejszej metody dezynfekowania zwrócono w ostatnich czasach uwagę na dwuchlorek rtęci, czyli t. zw. sublimat. Preparat ten chirurgia stosuje od wielu lat z wielkim powodzeniem, jako środek dezynfekcyjny przy operacjach. Sublimat jednak jest bardzo silną trucizną, sądzono więc z razu, że z tego powodu nie nada się do dezynfekcji mieszkań. Próby przekonały jednakże, że bez szkody dla zdrowia ludzkiego można go używać. Podczas ostatnich epidemii cholerycznych dezynfekowano w wielu miejscowościach mieszkania i okręty sublimatem bez żadnych szkodliwych następstw. W Luizyanie używano do dezynfekcji okrętu po 26 kilogramów i nikt nie doznał zatrucia.

W badaniach nad stężeniem rozczyńcu sublimatu, potrzebnem dla skutecznej dezynfekcji, wykazał niedawno Bordoni-Uffreduzzi, że dla dezynfekcji ścian potrzeba rozczyńcu, zawierającego w litrze 3 gramy sublimatu i 5 gramów kwasu solnego. To samo stężenie wystarcza do zmywania gładkich posadzek kamiennych, cementowych, asfaltowych, oraz drewnianych, woskowanych, porządnie utrzymanych. Zwykła posadzka z cegły, niczem nie napuszczona, wymaga nawet 0.7% rozczyńcu (7 gr. na 1 litr). Do dezynfekcji ścian używa się wielkiego rozpylacza, którym skrapia się ściany, dopóki rozczyńcu nie pokryje ściany kropelkami. Poprzednio zlać trzeba podłogi, aby wszystko, co ze ścian opadnie, dostało się do dezynfekcyjnego rozczyńcu. W pokojach chorych na ospę, szkarlatynę, odrę lub tyfus płamisty, trzeba i sufit dezynfekować. Warto nadmienić, że przedmioty złożone przy tej operacji czernieją, więc je należy usuwać.

Końcowe wiadomości, to próbka dowodu, że postęp wiedzy bakteriologicznej, prócz teoretycznych zdobyczy, przynosi i praktyczną korzyść. Dawał-by większą, gdyby wykształcony ogół lepiej ją pojmował i starał się w większej, niż dotąd, mierze zapoznawać z nowymi odkryciami nauki. W walce z chorobotwórczymi mikroorganizmami nie wystarczają ochronne przepisy i zarządzenia. Trzeba, aby każdy pojmował istotę niebezpieczeństwa i rozumiał dokładnie, jak je powinien zawczasu usuwać.

DR STEFAN JENTYS.

---

I.

# W M a j u.

---

Słońce majowe w ognia koronie  
Za las się czarny chowa,  
Strzechy i sady, pola i błonie  
Owiała mgła różowa.

A w tej złocistej blasków powodzi,  
W sukience z gwiazd utkanej,  
Jakaś powiewna postać wychodzi  
Na szmaragdowe łąny.

Białą się zdala śnieżne jej szaty  
Po łąkach i po lesie,  
A wietrzyk za nią chodzi skrzydlaty  
I rąbek szat jej niesie.

Drobne na piersi złożyła ręce  
I płynie po przezroczu,  
Jakby zdumienie jakieś dziewczęce  
Z jej dużych patrzy oczu.

Czasem kosiarzy, co trawę sieką,  
Na łąkach widzi w dali,  
Albo rybaków zgiętych nad rzeką,  
Co się od zorzy pali.

Czasem kobiety mija nad strugą,  
Piorące białe chusty,  
Patrzy za niemi rzewnie i długo  
Z uśmiechniętymi usty.

A gdy po drodze dziecko napotka,  
Co w polu pasie krowy,  
Wtedy podchodzi cicha i słodka  
I włos mu gładzi płowy.

Wierzby garbate przy każdej strzesze  
Kornie się przed nią kłonią;  
Kwiatów u nóg Jej klękają rzesze,  
Modląc się do Niej — wonią.

Grają koników polnych kapele,  
Z chórami żab złączone,  
Echo rozwiejne do stóp Jej ściele  
Tę dziwną antyfonę.

I przez wieczorną ciszę się niosą  
Litanje te olbrzymie;  
Płynie po świecie z wilgotną rosą  
Jej wniebowzięte imię.

---

## II.

# Wieczera Pańska.

---

Był wieczór Paschy. W milczeniu głębokiem  
Siedli napoju pożywać i jadła —  
Wieczernik szarym napełniał się mrokiem.

Półjasność zmierzchu, mglista i wybladła,  
Na stół, białemi zasłany rańtuchy,  
I na ich twarze łagodnie się kładła.

I cisza była; a w tej ciszy głuchej  
Przez kratę okna powiew coraz rzadszy  
Gnał z pól zielonych wiosniane podmuchy.

Wpśród rybitwów tych ubogich siadszy,  
Chleb w obie ręce wziął i kielich wina  
I zadumany w twarze uczniów patrzy.

A w tych źrenicach Człowieczego Syna  
Mistycznych brzasków grała światłość złota  
I myśl ogromna jakaś i jedyna...

Z ich oczu — serca patrzyła prostota,  
Pierwsi pić mieli z kielicha Miłości,  
Pierwsi pożywać mieli Chleb Żywota,  
Iż byli jako ptaki leśne — prości.

---

III.

## Chryste, o Chryste!

---

Z barłogu mego, z czarnej nędz otchłani,  
Do Ciebie wołam krwawym serca płaczem;  
Jak ci żeglarze wichrami chłostani  
I jak pielgrzymi w zbłąkaniu tułacem,  
Z głębi mej duszy w przestwory gwiazdziste  
Do Ciebie wołam krwawym serca płaczem,  
Chryste, o Chryste!

I choć przesytem zmaczone aż do dna,  
Serce ku Tobie drży i Ciebie pragnie,  
Jak ta spragniona rosy lilja wodna,  
Co, lodygami grzęznąc w mętnej bagnie,  
Twarz tęskną zwraca na zorze ogniste —  
Serce ku Tobie drży i Ciebie pragnie,  
Chryste, o Chryste!

Krom Ciebie niebo i ziemia mi zbrzydły,  
Ty jeden koisz smutki dusz sieroce,  
Więc jak ptak błędny z podartemi skrzydły,  
Do nóg Twych padłszy, duch mój się trzepoce  
I wznosi na cię oczy bólem szkliste...

Ty jeden koisz smutki dusz sieroce,  
Chryste, o Chryste!

Usta do stóp Twych przebitych przyłożę,  
Słodki Twych oczu spokój mię ogarnie —  
Znękany jestem: — w nadchmurne przestworze  
Rwałem się myślą i spadałem marnie,  
Ściągałem ziemskich złud ogniki mgliste...

Słodki Twych oczu spokój mię ogarnie,  
Chryste, o Chryste!

Chwytam się Ciebie rękoma drżącemi,  
Nie daj mi zginąć w ciemnościach bezbrzeźnych!  
Prochem jest ziemia, a jam prochem ziemi,  
Lecz mię nie strząsaj z bieli szat swych śnieżnych —  
Stwórz we wnętrzościach moich serce czyste,

Nie daj mi zginąć w ciemnościach bezbrzeźnych,  
Chryste, o Chryste!

Jam kwiat więdnący na życia łodydze,  
Weź mię do siebie, bom już pójść stąd gotów:  
Dość mi obłądów, które wkoło widzę,  
Dość mi już własnych upadków i wzlotów,  
Weź mię na ciszy łono wiekuiste,

Weź mię do siebie, bom już pójść stąd gotów,  
Chryste, o Chryste!

LUCYAN RYDEL.



---

---

# Wolność woli wobec życia i wiedzy.

---

Człowiek czynu, historyk, poeta, krytyk lub moralista,—każdy styka się z zagadnieniem wolności woli i rozstrzyga je zwykle praktycznie. Rozwiązanie takie nie wymaga wcale głębszego przygotowania, tylko zastosowania prostej reguły, którą „zdrowy rozum“ posługuje się instynktowo w tych wypadkach, układając pojęcia empiryczne według zasad empirycznych.

„Czuję się wolnym; wiem, że kiedy zechcę poruszyć ręką, ręka mnie słucha; gdy zechcę krzyżeć—krzyżę; gdy chcę stłumić objawy bólu, mogę to uczynić do pewnego stopnia, a nawet z uśmiechem znieść operację. Wiem, że jeśli nie zawsze robię to, co chcę, to jednak mógłbym zawsze tak postępować—i cóż mnie mogą obchodzić teorye i doktryny, zgodność lub sprzeczność ostatecznych wyników filozofii? Trzymam się mocno faktu danego poczucia mojej wolności, faktu najbardziej bezpośredniego, a wyrzec się tego poczucia nie mogę tak samo, jakbym nie mógł wmówić w siebie, że cały świat jest tylko mojem marzeniem.“

Takie jest stanowisko nietylko człowieka, który nie chce lub nie umie filozofować, ale i każdego filozofa, skoro tylko na chwilę przestaje być filozofem i zostaje po prostu człowiekiem. A od iluż-to niedorzeczności ocala ludzkość ta niekonsekwencya zdrowego instynktu moralnego! Fakt dany bezpośrednio w poczuciu, fakt niewątpliwy wolności nie potrzebuje uzasadnienia, jak go nie potrzebuje pewnik matema-

tyczny; przeciwnie, on-to służy za podstawę, na której buduje się cały gmach zasad moralnych. To też nie w samym potocznym życiu, lecz w każdej umiejętności, w której zakres wchodzi analiza czynności ludzkich: w historii, czy w etyce, w krytyce lub w prawodawstwie, nie tylko zasadnym, ale jedynie możliwym jest podobne stanowisko.

Czyn jest tym zakresem, w którym świat wewnętrzny człowieka, jego wola, wdziera się w „rzeczywistość“ zmysłową, w którym konieczność i swoboda ścierają się z sobą, a jest zarazem najwyższym objawem życia. Człowiek czynu ani ma prawa, ani potrzebuje czekać na to, by filozofowie zakończyli odwieczny spór pomiędzy wolnością a determinizmem; przecina on węzeł tak, jak się to zwykle dzieje, przez niekonsekwencję. Więcej nawet, bo te wysiłki myśli nad chytrze zwikłanymi splotami uważa za rodzaj próżniactwa duchowego, za zbytek umyłowu: po co to wszystko, skoro miecz przetnie od razu rzemień?

Na takim stanowisku staje Hartpool Lecky (w przedmowie do swojej „Historii oświaty“), gdy, przytoczywszy słowa Locke'a: „Nie powinniśmy pytać, czy nasza wola jest wolną, ale czy *my* wolni jesteśmy,“ dodaje: „Wolnością bowiem nazywamy możliwość postępowania zgodnego z naszą wolą, lub, innymi słowy, świadomość, że przy wykonaniu pewnego czynu mogli-byśmy byli obrać dowolnie inną drogę. Jeśli, analizując dalej, zapytamy: co powoduje wolą naszą? to zdaje mi się, że najwyższe zasady wolności, do których ta analiza doprowadzić może, spoczywają na dwóch faktach: naprzód, że wola nasza jest władzą, odmienną od namiętności naszych, i powtóre, że nie jest rzeczą bierną, której siła i kierunek zależały-by wyłącznie od przyciągania lub odpychania przyjemnych lub nieprzyjemnych wrażeń.“

Taki sposób zapatrywania się ma wielką doniosłość praktyczną; czy to w kwestyach moralności codziennej, czy w zagadnieniach, dotyczących stosunku naszego do życia dziejowego, pierwszorzędne znaczenie ma przeświadczenie nasze, wiara w możliwość chcenia i wypełnienia woli swojej. Gdybyśmy chociaż na chwilę mogli w życiu rzeczywistym przejść się doktryną konieczności, doktryną, która widzi w czynnościach człowieka objawy mechanizmu automatycznego, z życia naszego wypadły-by od razu wszystkie czynności świadome i dowolne, wszystko, co zaszczycamy nazwą *czynu*, w przeciwstawności do *odruchów*, wszystko to, co w życiu naszym wypływa ze świadomości pewnych celów, z pragnienia pewnych ideałów, z poczucia odpowiedzialności moralnej. Cała ta czysto ludzka sfera czynności została-by nagle wstrzymana, jak staje zegarek, którego główna sprężyna pękła. Podobni do tych kur i gołębi, którym Flourence wycinał półkula mózgowe, odbywalibyśmy szereg funkcyj automatycznych i odruchowych, ale nie były-by to *nasze* czyny. To, co nadaje ludzki i osobowy charakter postępowania

niu memu, co podnosi je z zakresu prostych ruchów do godności czynu świadomego, celowego i moralnego, jest przeświadczenie, że czyn ten jest *moim*, że płynie z mego osobowego *ja*; a przeświadczenia tego nie zastąpi żadne wnawianie w siebie, że jesteśmy koniecznym kółkiem w mechanizmie dziejowym, tak, jak niewolnikowi nie zastąpi utraconej wolności przekonanie, że praca jego przysparza dochodów właścicielowi plantacyi cukrowej.

Nie sama wola, o której mało co wiemy, ale przekonanie, że wolni jesteśmy, że każda czynność nasza jest istotnie wynikiem naszej osobowości, a czemś odmiennem od pociągów zachcianek lub wstrętów zmysłów i uczuciowości naszej, to przekonanie jest sprężyną czynu, tak w ciasnym zakresie stosunków prywatnych, jak i tych, które wkraczają na szerszą widownię życia dziejowego. Niszcząc to przekonanie, sparaliżowalibyśmy siebie, jako jednostkę czynną. Na szczęście dla nas nie możemy się tak łatwo pozbyć poczucia wolności; wbrew wszelkim doktrynom, które wygłaszamy, postępujemy jako wolni. Przeświadczenie wolności osobowej urąga rozumowaniom deterministów, tak, jak poczucie rzeczywistości narzuca człowiekowi niezachwianą wiarę w prawdziwość świata, wbrew doktrynom idealizmu filozoficznego, jak instynkt zachowawczy śmieje się w oczy pesymizmowi i jego propagandzie Nirwany. Nie mniej jednak z doświadczenia codziennego wiemy, że siła tego przekonania wykazuje pewne wahania. Również i siła, z którą przewyciężamy zachcianki lub wstręty nasze, jest przedewszystkiem zależną od stopnia przekonania o konieczności tego oporu; dalej siła ta wzmaga się w miarę jej częstszego zastosowania, w miarę, jak nabieramy ufności w to, że władzę tę istotnie posiadamy.

To, co nazywamy „siłą woli,” nie jest jednakowe ani u wszystkich ludzi, ani nawet u jednego człowieka w różnych chwilach jego życia często się spotykamy z objawami spotęgowanej lub osłabionej woli nie tylko w jednostce, ale i w całych pokoleniach; pierwsze najczęściej odpowiada chwilom zapалу, entuzjazmu, wiary; drugie — chwilom refleksyi, analizy, zwątpienia, tak w życiu jednostki, jak i w życiu ludzkości. Skoro więc siła ta ulega wahanom, a pragniemy ją podnieść do najwyższej potęgi, powinniśmy starać się usunąć czynniki, które ją osłabiają. Wiara więc filozoficzna w swobodę woli dla tych, którzy nie mogą się obejść bez filozofowania, i przeświadczenie o prawie moralnem, bezwzględnie obowiązującym — mniejsza o to, jaką treść w to prawo włożymy, bo to już jest rzeczą pewnej epoki historycznej i dotyczy poziomu wymagań moralnych, nie zaś czysto formalnej władzy woli, — są dwoma postulatami zdrowia moralnego społeczeństwa, stanowiąc warunek niezbędny do wytworzenia pokoleń o silnej woli, ludzi

czynu <sup>1)</sup>. Oczywiście, podobny skutek wyrzucić może usunięcie wszelkiego filozofowania, ale ten warunek staje się coraz mniej wykonalnym w społeczeństwach ucylizowanych, a nie sądzę, żeby ktoś widział w tem zło.

Stanowisko człowieka czynu, człowieka praktycznego, nie usuwa bynajmniej możności, a z pewnego stanowiska nawet konieczności badania umiejętnego kwestyi. Bo gdyby nawet badanie to nie posłużyło celom praktyki, jest ono wynikiem i objawem tej żądzy poznania, tej chęci doprowadzenia do jedności i harmonii całego naszego poglądu na świat, z którą ani możemy, ani powinniśmy walczyć, gdyż stanowi ona najwyższy objaw umysłowości ludzkiej.

Badanie może odbywać się na dwóch polach rozmaitych: na polu psychologii i na polu filozofii.

Badanie psychologiczne, które ma przed sobą drogę dwojaką— obserwacje nad sobą, nad stanami swego ducha, lub też doświadczenia psycho-fizjologiczne, wyjaśniające związek pomiędzy zjawiskami w układzie nerwowym, a stanami podmiotowemi,—badanie to może dać wiele cennych poszczególnych wskazówek, które znajdują zastosowanie w pedagogice i medycynie chorób i zaburzeń umysłowych, ale oczywiście nie mogą rozstrzygnąć zagadnienia: czy człowiek jest wolny?

Samo pojęcie woli, skoro zechcemy je bliżej określić ze stanowiska psychologicznego, okazuje się bardzo nieokreślonem i wieloznaczącym; a gdy poddamy je analizie, pokaże się, że to, co w znaczeniu psychologicznem nazywamy wolą, jest najczęściej wypadkową wszystkich innych pobudek, oprócz tej jednej, którą wyszczególniamy i przeciwstawiamy, woli. Jeśli, czując ból, stłumię wolę jego wyraz, to pobudką do krzyku będzie tu tylko ból; cały zaś szereg tych innych, które mnie wstrzymują od krzyku: wstyd okazania słabości, niechęć narażenia się na śmieszność, obawa zrobienia przykrości obecnym i t. d., wszystko to razem składa się na postanowienie mojej woli. W takim przedsta-

<sup>1)</sup> Wypowiedziane przeze mnie gdzieś indziej („Atencum,” 1892, X) na podstawie tego spostrzeżenia twierdzenie, że dogmat moralny, to jest niezachwiane założenie, z którego—byśmy mogli wysnuć prawidła postępowania, jest koniecznym warunkiem zdrowia moralnego, t. j. wychowania pokoleń, posiadających silną wolę, posłużyło za powód do licznych komentarzy lub zarzutów, które jednak wszystkie przeoczyły, jasno, o ile mi się zdaje, zaznaczony, czysto formalny charakter mego twierdzenia, podstawiając bądź określone dogmata, bądź też mówiąc o *poziomie moralności*. Kiedy ja miałem na myśli (w danym artykule oczywiście) przeważnie jeśli nie wyłącznie *poziom charakter*.

wieniu wola maleje do prostej nazwy pewnej wypadkowej sił i zasobów naszego *ja*; to też dokładniej będzie, gdy powiem (zgodnie z wymaganiem Locke'a), że nie wola moja tłumi krzyk, lecz ja sam to czynię, a rzecz wygląda tak, jakby owo *ja* było biernym mechanizmem, na którym rozmaite pobudki wygrywają, jak palce muzyka na fortepianie.

Jeśli znowu przyjrniemy wole, jako coś niezależnego, decydującego pomiędzy dwiema pobudkami przeciwnymi, powinniśmy, będąc konsekwentni, zapytać, dlaczego wola decyduje raczej na korzyść jednej, niż drugiej z tych pobudek, a więc znowuż znaleźć pobudkę do tej decyzji i t. d. bez końca. Słowem, w jednym i drugim wypadku wpadamy w owo błędne koło, które zawsze się tworzy, skoro pojęcia empiryczne stosujemy do kwestyi ostatecznych, to jest po-za granicami ich właściwego zastosowania, wszystko jedno, czy tu idzie o powstanie świata, czy o wyszukanie motywu postępowania. Kategoria przyczynowości, występująca tu w postaci motywacyi i konsekwencyi logicznej myśli, każe nam zawsze tworzyć to, co Voltaire nazwał śrubą bez końca.

Mamy jednak fakt psychologiczny, który rzuca światło na tę kwestyę, dowodząc wpływu woli nawet na taką pozornie bierną czynność, jak poznanie. Faktem tym jest to, co Wundt nazywa *apercepcją*, a co w języku potocznym nazywamy uwagą, t. j. czynny udział naszego *ja* w przyjęciu wrażeń. Oprócz bowiem zwyczajnego biernego ulegania wrażeniom (*percepcyi*), posiadam zdolność skupienia uwagi na pewnych wrażeniach, wydzielenia słabszych i mniej bijących w oczy, z pominięciem silniejszych i t. d. Cała systematyczna wiedza kształtuje się pod wpływem tej władzy; w ostatecznej więc analizie jest do pewnego stopnia wynikiem naszej woli. Nie więc dziwnego, że nie znajduje się w niej miejsca na samą wole, jak i wogóle najmniej widziny w niej siebie samych, dopóki analiza filozoficzna nie wykryje tam śladów naszej umysłowości. Sam więc fakt istnienia wiedzy więcej świadczy na korzyść wolności, niż jej treść przeciwko tej ostatniej. W dziedzinie, w której rzeczywistość zdaje się narzucać bezwzględnie swoje prawa, w istocie wszystko zależy od sposobu, w jaki *chcemy* poznawać.

Z tem wszystkiem badanie psychologiczne nie może doprowadzić nas do wyników zadawalniających, bo też kwestya wolności woli nie należy do zakresu psychologii. Jest ona zadaniem metafizycznym, a jak do wszystkich zagadnień metafizycznych, tak i tu, kłecza szukać winniśmy w teoryi poznania <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Ze stanowiska przeważnie psychologicznego stara się udowodnić wolność woli E. Naville („Le libre arbitre,” 1890. Fischbacher), przytaczając jako dowody na

Może tu na miejscu będzie kilka słów o książce, która, wyjaśniając drogą analizy psychologicznej wpływ rozmaitych czynników na osłabienie woli, powszechnie uznawane za charakterystyczną cechę dzisiejszego pokolenia, służy za przykład, w jakich granicach psychologia może być użyteczną dla praktycznego rozwiązania zagadnienia. Mam na myśli dziełko Raoula Alliera („Les défaillances de la volonté au temps présent“), zawierające 3 odczyty, miane w Genewie i Paryżu.

Oslabienie woli, objawiające się w niezdolności do postanowienia i czynu, wypływa z trojakiego źródła: bądź z braku pobudek—stępionej wrażliwości; bądź zależy od wrażeń przygnębiających, paraliżujących wysiłek, bądź wreszcie z obfitości walczących i wzajemnie paraliżujących się pobudek. Wszystkie trzy typy anemii moralnej są wynikiem doprowadzonej do zbytku analizy, wpatrywania się w siebie samego. Poddając wszystko analizie, pozbawiamy rzeczy tego, czem nas pociągały, oddziaływając na uczuciowość naszą; odzieramy świat z poezyi. Siła naszych uczuć zależy w ogromnym stopniu od czynności niższych, które się w nas odbywają nieświadomie dla nas; zbyt uważne przyglądanie się sobie przeszkadza tym nawpół świadomym objawom.

Skąd płynie ta dążność do analizowania siebie? Źródłem jej—próżność: „w analizie odnajdujemy to, co jest dla nas najdroższego, nasze ja.“ Nie można zaprzeczyć słuszności tej uwagi. Dość jest przypomnieć, z jaką dumą Płoszowski, który jest skończonym typem takiego pozerającego siebie analityka, osłania się dziurawym płaszczem swego niedołęstwa, mówiąc naprzykład: „Wiem, że to źle jest, ale nie umiem nie myśleć!“ Jakie to poczucie wyższości w tem „nie umiem nie myśleć!“ I czyż nie świeci też sama niemądra próżność z pod maskaradowego stroju, którym daremnie usiłują okryć rzeczywistą nędzę talentu przedstawiciele niektórych nibyto nowych kierunków estetycznych? Czyż nie umieli myśleć ci geniusze czynu, których wola wstrząsała całe narody, i ci poeci, którzy przedstawiali nam typy olbrzymów woli? Nie sądzą, aby zdolność do analizy sama przez się była przyczyną, osłabiającą siłę uczucia. Muzyk, który, słysząc symfonię, nie tylko oddaje się bezpośredniemu wrażeniu dźwięków, ale śledzi uchem i myślą rozwój i krzyżowanie się tematów, nowe kombinacye harmoniczne lub niespodziewane efekta instrumentacyi, odbiera niezawodnie wrażenie silniejsze i zupełniejsze, niż zwykły słuchacz. Ale chorobliwa

---

jej korzyść: ruchy dowolne, uwagę, poczucie swobody, ideje możliwości, ideje grzechu i cnoty, poczucie obowiązku, uczucie żalu i skruchy, poczucie odpowiedzialności i t. d. słuszną jest uwaga krytyczna Pillona, że wolność jest tu cokolwiek zanadto dowiedziona.

skłonność do analizy, którą autor francuski bierze, jako przyczynę słabości woli, sama jest niezawodnie wynikiem pewnych warunków osobliwych naszej epoki, bo oczywiście nie jest ona tylko objawem wyższego rozwoju umysłowości, a mimo woli nasuwa się podejrzenie, czy nie wzięto za przyczynę skutku. Czy nie jest raczej skłonność do zastanawiania się i badania siebie samego wynikiem sparaliżowanej zdolności do czynu?

W czynie wychodzimy po-za zakres swego *ja*; gdy nie pełnimy czynu, praca myśli skupia się z konieczności na tem *ja*, a im płytsze jest ono, tem mniej zadowolenia daje człowiekowi niewdzięczna ta praca. Robiąc sobie boga ze swego samolubnego *ja*, *ja* swoich zachceń, apetytów, przyjemności, odnosząc do niego wszystko w świecie moralnym, nie uznając nietylko nic nad niem (prawa moralnego, lub dogmatu społecznego), ale i po-za niem—nie kochając nic, oprócz siebie, zamykamy sobie drogę do czynu, bo to, co nas pobudza do wykroczenia po-za granice swego *ja*, może być albo nakazem, płynącym z poczucia obowiązku, albo pociąganiem, którego źródłem jest miłość. Jeśli wrócimy do tego typu, który jest artystyczną ilustracją do rozprawki p. Alliera, bez trudności dostrzeżemy, że Płoszowski jest wyrafinowanym i skończonym samolubem, dla którego „świat się zapada“ razem z nim. Skłonność do analizy nie jest więc wynikiem wyższego rozwoju umysłowego, ale, przeciwnie, pewnej ślepoty duchowej, ograniczenia zakresu interesów jednostki, wyłączości intelektualizmu. Niezaprzeczenie ma słuszną p. Allier, gdy twierdzi, że literatura pesymistyczna (mowa tu przeważnie o literaturze pięknej francuskiej doby obecnej, która szczęściem niewielu u nas znajduje naśladowców) i determinizm podsycają tę chorobę woli. Przewaga władzy poznawczej nad innymi każe wszystko podciągać pod kategorie poznania; stąd ubóstwianie wiedzy i szukanie w niej haseł do czynu; analiza zamiast uczucia w poezyi; pomieszanie faktu z prawem w życiu społecznym i moralnym. Takie są, według autora francuskiego, przyczyny społeczne osłabienia woli. A gdy autor powiada: „Patrzmy w przeszłość nietylko jako krytycy, ale i jako utopiści. Kto marzy o tem, co powinno było być, przygotowuje to, co ma nastąpić,“ dodamy tylko, że takim właśnie okiem powinniśmy spoglądać i w przyszłość. Pewna idealizacya w dziejach jest nietylko rzeczą naturalną, ale i usprawiedliwioną z punktu widzenia teoryi poznania. Jak niedokładności wykonania budowli, rysy ścian, potłuczone szyby znikają w miarę oddalenia się od niej, zostawiając tylko czyste i dokładne linie zarysu, tak szczegóły, rażące nas przy bliższem wejrzeniu, znikają dla oka dziejopisa, ogarniającego całość przez perspektywę wieków; a nie inaczej postępuje i wiedza przyrodnicza, gdy kreśli idealną zaokrągloną linię prawa na miejscu nieregularnego i zygzagowatego narysu faktu.

Lecz w dziejach nietylko poznajemy, ale i sądzimy; a wyrok nad przeszłością staje się modłą dla myśli o przyszłości. Krytyka pierwszej nie pozbawi nas wiary w przeznaczenie ludzkości, która jest niezawodnie jednym z najwznioślejszych bodźców do czynu, jeśli obok analizy, skierowanej ku minionym czasom, oddamy się pracy syntezy w zastosowaniu do przyszłości.

Godzimy się też najzupełniej na radę, którą podaje autor: „budzić w młodzieży litość, a przez nią potrzebę sprawiedliwości, przez tę zaś ostatnią—oburzenie na widok niedoli społecznej i niesprawiedliwości, z którą się solidaryzujemy.“ Niezawodnie ma on słuszość, gdy twierdzi, że kto ma przed oczyma postać Chrystusa, temu własne ja wyda się zbyt małym, aby mogło zajmować uwagę. Ale i tu muszę zrobić uzupełnienie: chrześcijaństwo zawiera w sobie wiele żywiołów postępu, których jeszcze nie wyczerpały dzieje; ale ta myśl—myśl owej względnej nicości człowieka, należy do przeszłości, do wieków średnich. Dziś nie może być ona skutecznem lekarstwem na owo wywyższanie swego ja. Natomiast inną stroną wiąże się bliżej chrześcijaństwo z naszym czasem: nie przez poniżanie siebie, lecz przez podniesienie innych do równej z sobą godności, t. j. „kochając innych, jak siebie samego,“ zmniejszy możemy zamilowanie do własnej osoby. Nauka o braterstwie ludzi, o równości ich wobec Boga, a jako jej wynik—wymaganie równości na ziemi, stanowią tę część chrześcijaństwa, przez którą ono zapewnić sobie może wpływ na przyszłość, a która jest zarazem najskuteczniejszym przeciwdziałaniem rozkoчанию się w sobie samym i płynącemu stąd upadkowi woli.

---

Poczucie swobody i przeświadczenie o ścisłej przyczynowości we wszechświecie ścierają się, jak wspomniałem, w czynię. Dopóki rozważam zjawiska świata zewnętrznego, świata materialnego, jak się zwykle mówi, nic mi nie przeszkadza widzieć w nich ścisłej prawidłowości, uważać ich, jako nieskończony łańcuch przyczyn i skutków, w którym żadne ogniwo nie jest dowolnem, ani też może być dowolnie usunięte. I ten porządek, ta zgodność z prawem zjawisk nie przerywa się nawet wtedy, gdy myślą przechodzimy do ruchów, odbywających się w naszym własnem ciele. Ruchy te są wynikiem tych samych praw fizycznych, chemicznych lub mechanicznych, które rządzą całym światem nieorganicznym. Ale tak rzecz się przedstawia jedynie póty, dopóki rozważamy ruchy niezależne od woli naszej, objawy biernie. Skoro tylko bierzemy pod uwagę ruch dowolny, czynny objaw naszego ja, staje nam przed oczyma dylemat: albo ten ruch, również jak i każdy inny w świecie zewnętrznym (bo jest on przecież zjawiskiem cielesnem), jest tylko ko-



niecznem następstwem jakichś innych, poprzedzających go, ruchów we wszechświecie—i w takim razie nie jest dowolny; albo łańcuch przyczyn i skutków urywa się tu nagle, ustępując miejsca dowolności. Do tej samej sprzeczności dochodzimy, gdy rozważymy dowolną czynność człowieka ze stanowiska jej oddziaływania na całość wszechświata: każda czynność nasza—choćby polegała tylko na przesunięciu krzesła z jednego kąta do drugiego—zmienia porządek zjawisk we wszechświecie. Więc ten porządek albo nie jest stały, ulegający ścisłym prawom, albo czyni nasze nie są dowolne.

Ponieważ czyn ludzki jest środkowym punktem filozofii społecznej i filozofii dziejów, łatwo więc zrozumieć, że jeśli nie rozwiązanie, to przynajmniej należyte oświecenie tej sprzeczności stanowi niezbędny warunek dokładnego pojmowania wymienionych umiejętności.

Rozstrzygnięcie odwiecznego sporu pomiędzy swobodą a koniecznością w duchu myśli Kanta (nie idąc jednak ściśle za jego nauką) możemy uzmysłwić z gruba za pomocą następującego porównania. Przyczynowość i wolność są to dwie miary, dwa rozmaite łokcie, które nadane są umysłowi naszemu do mierzenia świata. Przy pomocy pierwszej przebiega on świat zewnętrzny, świat materyalny; przy pomocy drugiej—świat wewnętrzny, duchowy. Każda z tych miar jest dobra na swoim miejscu i zła w niewłaściwym. W czynie te dwa światy ścierają się i wkraczają jeden w dziedzinę drugiego; zdaje się więc nam, że możemy zastosować i jedną, i drugą miarę, stąd właśnie wynika sprzeczność: bo tu w rzeczywistości mamy punkt, w którym żadna nie jest właściwą—punkt, leżący po-za granicami zastosowania obudwu.

Istotnie łatwo zrozumieć, że przyczynowość zjawisk nie jest wynikiem wiedzy, ale jej postulatem, wymagalnikiem. Nie jest to założenie, które się otrzymuje na końcu badań, lecz takie, które powinno poprzedzać wszelkie badanie umiejętne. Wiedzieć, to znaczy umieć przewidzieć, przepowiedzieć, obliczyć naprzód; a te czynności możliwe są tylko wtedy, jeśli przyjmiemy zawczasu, że wszystko we wszechświecie odbywa się według stałego porządku, regularnie, jak w zegarze.

Jak przyczynowość dla świata fizycznego, tak wolność jest postulatem koniecznym dla świata moralnego. Podstawą tego ostatniego jest odpowiedzialność, czyli ocena czynu według jego wartości, a odpowiedzialnym nie może być, kto nie jest wolny.

Biorąc więc rzeczy empirycznie, t. j. o ile pojęcia wolności i konieczności używamy w zakresie zwykłego ich zastosowania, postępujemy zasadnie. Każde ma tu swoją rację bytu. Lecz skoro chcemy oddać któremukolwiek z nich wyłączną przewagę i całość świata z jednego z tych ograniczonych punktów widzenia oglądać, popelniamy

błąd, gdyż pojęciom empirycznym, potocznym i względnym, nadajemy znaczenie bezwzględne, pozazjawiskowe.

Zarówno więc nie mieli słuszości ci, którzy probowali zbić konieczność na drodze empirycznej, jak i przeciwnicy ich, zaprzeczający wolności woli na podstawie przyczynowości, jak to uczynił naprzykład Buckle. Już Kartezjusz nadał wyraz matematyczny postulatowi przyczynowości co do ruchów we wszechświecie, w twierdzeniu, że ilość ruchu (t. j. iloczyn z masy przez prędkość =  $m \cdot v$ ) jest stałą. Twierdzenie to jest tylko nieco odmienną formą dzisiejszej zasady zachowania energii i nazywa się zasadą zachowania ilości ruchu. Ale Kartezjusz przyjmował, że dusza, nie zwiększając ilości, może jednak kierować tym ruchem. Leibnitz dowiódł, że do kierowania ruchem potrzebna jest pewna siła. W nowszym czasie Cournot i St. Venant starali się usunąć trudność za pomocą t. zw. teorii odczepień. Wiadomo, że można spowodować olbrzymi skutek za pomocą bardzo małej siły, jeśli energia została poprzednio nagromadzoną: przyciskając guzik przewodnika elektrycznego, dziecko może wysadzić górę, jeśli założona pod nią mina zostanie zapalona tem przyciśnięciem. W matematycznej formie podobna nieproporcjonalność pomiędzy przyczyną a skutkiem wyraża się tem, że pierwszą oznaczamy jako nieskończenie małą, co w niektórych razach znaczy tyleż, co zero. Ale tych symbolicznych wyrażen matematyki nie możemy przenosić do rzeczywistości: tu, jakkolwiek nieskończenie mała, przyczyna jest zawsze czemś, i większa jest przepaść pomiędzy nieskończenie małym bytem a niebytem (zerem), niż pomiędzy nieskończenie wielką a nieskończenie małą ilością. Boussinesq probował również uzasadnić swobodę w kierowaniu ruchami na tej podstawie, że całki zrównań różniczkowych przybierają niekiedy kształt nieokreślony co do kierunku ruchu. Nie znaczy to jednak, żeby ruch był nieokreślony; lecz tylko, że warunki przyjęte nie były wystarczające do jego określenia dla nas, t. j. dla naszej wiedzy o nim. Rezultaty podobne często się nadarzają, zwłaszcza tam, gdzie wchodzą w zagadnienie linie równoległe. Każdy matematyk wie o tem, że nie możemy dać określonej formuły dla rozkładu ciśnienia ciężaru, leżącego na stole, na jego cztery nogi, gdy przeciwnie zadanie z łatwością się rozwiązuje w wypadku stołu o trzech lub pięciu nogach. Wiemy jednak dobrze, jesteśmy o tem przekonani, że ciśnienie na każdą z 4-ch nóg stołu jest w rzeczywistości zupełnie określone w zależności od wielkości ciężaru i jego położenia, tak samo, jak i na stole o trzech nogach. Sprzeczności takie świadczą tylko o pewnym słabym punkcie w podstawach metody; dla wziętego tu przykładu tkwi on prawdopodobnie w tylokrotnie kwestyonowanym jedenastym pewniku Euklidesa o równoległych liniach, którego odrzucenie posłużyło do licznych spekulacji

w zakresie geometryi. Przyjęcie wyniku Boussinesq'a w znaczeniu dowolności kierunku było-by zaprzeczeniem zasadniczego postulatu wiedzy, t. j. że każda określona przyczyna ma swój określony skutek.

Umysł ludzki nie jest jednak skazany na wyłączne posługiwanie się tym postulatem. W samej dziedzinie wiedzy matematycznej znajdujemy jedną gałąź, która wychodzi z założenia wprost przeciwnego. Jest nią rachunek prawdopodobieństwa, przyjmujący o każdym wypadku, że może zarówno zdarzyć się, jak i nie zdarzyć się. Mamy więc tu zupełne zaprzeczenie przyczynowości w zasadniczem założeniu. Nic to-by nie świadczyło oczywiście przeciwko jej realności, gdyby było tylko przypuszczeniem; ale wyniki otrzymane z tego założenia również dobrze zgadzają się z rzeczywistością, jak i pojęcie przyczynowości. Dzięki dziwnemu nieporozumieniu, ta zgodność z rzeczywistością rachunków, wychodzących z założenia nieprzyczynowości, stała się dla Buckle'a podstawą zaprzeczenia wolności w dziejach. Mam tu na myśli t. zw. prawo wielkich liczb i jego stwierdzenie przy pomocy statystyki przez Quetelet'a.

Rachunek prawdopodobieństwa daje możność obliczyć szansę jakiegokolwiek wypadku; tak jeśli mamy w urnie jedną kulę czarną na dwadzieścia białych, to prawdopodobieństwo wyciągnięcia tej czarnej kuli wyniesie  $\frac{1}{21}$ . Ta liczba wyraża tylko stopień naszej podmiotowej wiary w możliwość wypadku. Ale jeśli ciągnięcie będzie się powtarzało wielokrotnie, ilość wyjść czarnej kuli będzie mniej więcej w tym samym stosunku do ilości ciągnięć, jaki wyraża ten ułamek, t. j. np. na 2100 ciągnięć wyciągniemy czarną kulę około stu razy. Skoro więc mamy wielką ilość wypadków, wynik rachunku prawdopodobieństwa przestaje być tylko problematyczną podmiotową wiarą, ale nabiera charakteru prawa obiektywnego, rządzącego wypadkami.

Statystyka wykazuje, że ilość wszelkich zbroczeń od normalnego typu, np. ludzi, przewyższających przeciętny wzrost w danym kraju lub niedosięgających jego, ilość listów bez adresów, kradzieży i t. d., nie tylko jest stałą, ale i zgodną z obliczeniami rachunku prawdopodobieństwa. Ta prawidłowość zjawisk, pozornie przemawiająca na korzyść nieswobody, była w tem znaczeniu nieraz wyzyskiwana przez pisarzy obozu materialistycznego, jakkolwiek sam Quetelet zaznacza, że regularność w całości nie zaprzecza swobody w indywidualnym wypadku, gdyż właśnie prawo wielkich liczb, zobojętniając pojedyncze zbroczenia, pochodzące od wolnych czynów jednostek, nadaje całości pozór jakoby wszystko było naprzód oznaczone. Możemy przyznać słuszność zarzutowi Langego <sup>1)</sup>, że wolność, która tu się utrzymuje, nie jest tą, jaką-by

<sup>1)</sup> Historia filoz. mater. T. II, str. 379.

chciał ocalić Quetelet. Istotnie wolność ta nie jest niczem innym, tylko niepodobieństwem dla nas przyczynowego ujęcia każdego pojedynczego wypadku, stoi więc na równi z tą wolnością, a raczej nieoznaczonością, jaką posiadają ruchy pojedynczej cząsteczki gazu, kiedy wspólną wypadkową wszystkich obejmuje ściśle oznaczone prawo stosunku ciśnienia do temperatury. Ale zgodność wyników statystycznych z prawem wielkich liczb ma inne znaczenie, tkwiące w samej metafizyce rachunku prawdopodobieństwa. Dowodzi ona, że możemy sobie wytworzyć zgodne z rzeczywistością pojmowanie świata, wychodząc z założenia czy to dowolności wypadków, czy też ich konieczności, pozwalającej je naprzód obliczyć <sup>1)</sup>).

Nie na drodze więc empirycznej szukać powinniśmy rozwikłania sprzeczności pomiędzy wolnością a koniecznością; za klucz do tego zagadnienia, jak już zaznaczyłem, służy teoria poznania, wykazująca względność obudwu pojęć, a przy tem sprzeczność upada sama przez się.

„Pomiędzy wolnością, jako formą podmiotowej świadomości, a koniecznością, jako faktem badania przedmiotowego, tak samo sprzeczności być nie może, jak pomiędzy barwą a tonem. Jedno i to samo drganie struny daje dla oka naszego—obraz wydającego dźwięk ruchu, dla rachunku oznaczoną liczbę drgań na sekundę, a dla ucha ton jednolity. Ale ta jednolitość i tamta wielorakość nie są z sobą w sprzeczności; a jeżeli pospolita świadomość przypisuje liczbie drgań wyższy stopień rzeczywistości, aniżeli tonowi, to z tem liczyć się niema potrzeby <sup>2)</sup>).

Na gruncie teorii poznania stanął również jeden z młodych filozofów francuskich, p. Bergson, usiłując w wydanej przed paru laty rozprawie doktorskiej (p. t. „Essai sur les données immédiates de la conscience”, Paris 1889) wniknąć głębiej w zagadnienie wolności przez analizę naszych wyobrażeń czasowych.

<sup>1)</sup> Renouvier, w swoim świeżo wydanem dziele („Les Principes de la nature”: Paris 1892), zawierającem powtórne wydanie jego „Troisième essai” (pod nowym tytułem „Essai de critique générale”) umieścił zamiast wstępu rozprawę p. t. „Résumé des principes de la psychologie rationnelle”, w której, o ile rozumiem, prześciga cokolwiek stanowisko Quetelet’a, zbliżając się do wynoszonego. tu w tekście, gdy mówi „Stwierdzenie doświadczalne prawa wielkich liczb dowodzi, że jeśli swoboda jest rzeczywistą, to istnieje szereg faktów z niej pochodzących, a ulegających jedynie temu osobliwemu prawu, nie tylko dopuszczającemu, ale wymagającemu nawet, ażeby fakta te nie były naprzód oznaczone. Jeśli zaś wolność jest pozorem, jeśli wszystkie fakta możliwe są naprzód określone, konieczność powszechna powoduje, że pewna klasa faktów ulega prawu, któremu-by ulegały, gdyby nie dopuszczały żadnego oznaczenia z góry” (str. XLII). Pojęcie prawa tu rozszerza się do objęcia bezprawia. Wynik postawiony w tekście zostaje w zupełnej harmonii z zasadniczą myślą Kanta.

<sup>2)</sup> Lange, l. c. str. 380.

Stara się on przede wszystkim wykazać, że nie mamy bezpośredniego poczucia napięcia (siły) wrażenia, lecz wytwarzamy je sobie, że tak powiem, drogą analogii, zostając pod przeważnym wpływem wyobrażeń przestrzennych, od których zapożyczony wyobrażenie wielkości rozległej (przestrzeniowej, geometrycznej) przenosimy na nasze wrażenia jako wielkość intensywną (siła światła, dźwięku i t. d.). Staje w ten sposób p. Bergson w sprzeczności z prawem psychofizycznym, które poddaje szczegółowej krytyce <sup>1)</sup>.

Poddając następnie krytyce nasze wyobrażenia czasowe, autor przychodzi do wniosku, że zostają one również pod wpływem wyobrażeń przestrzennych; że biorąc za wzór linię prostą, układamy w jeden szereg wypadki i otrzymujemy w ten sposób następstwo i ideę ciągłego *trwania*, t. j. czasu. W rzeczywistości pojedyncze momenta tego trwania nie leżą jeden koło drugiego, nie idą jeden za drugim, jak to sobie wyobrażamy, ale przenikają się nawzajem, jak to moglibyśmy uświadomić (znowuż za pomocą wyobrażenia przestrzennego!), wyobrażając sobie rozmaite ciała geometryczne w jednym i tem samym miejscu; np. sześciąt, z którego wychodzą krawędzie i ściany ośmiościanu, dwunastościanu i t. d. Dopiero myśl nasza rozwija te przenikające się nawzajem momenta w nieprzerwany szereg.

Stosując wyrobione w ten sposób wyobrażenie czasu do naszych uczynków, dochodzimy według Bergsona do sprzeczności pomiędzy wolnością a koniecznością. Nie możemy tu iść śladem autora w jego subtelnej, ale nadto ryzykownej krytyce determinizmu naukowego, a zwłaszcza rozszerzania zasady zachowania energii na cały wszechświat. Błąd determinizmu psychologicznego, również jak i tych, którzy na gruncie psychologii bronią wolności, da się uzmysłwić za pomocą następnego porównania: wyobrażają sobie zwykle, że świadomość w chwili, gdy ma się zdecydować na czyn, jest jak wędrowiec, który, doszedłszy do pewnego punktu, ma przed sobą dwie drogi. Może wybrać którąkolwiekbądź, powiadają jedni, jest więc wolny. Ale wybrał osatecznie jedną, więc coś go do tego zmusiło, odpowiedzą determiniści. Jedni i drudzy rozumują tak, jak gdyby cała figura była zawczasu narysowaną, zapominając, że skoro czyn już raz nastąpił, nie można wró-

<sup>1)</sup> F. Pillou, w krótkiej notatce bibliograficznej o pracy p. Bergsona („Année philosophique” 1, 1891, str. 227) domaga się prawa pierwszeństwa co do tego poglądu, powołując się na swoje artykuły o liczbie w „Critique philosophique.” Zapowiedziane przez tego autora obszerne studyum na temat poruszony przez Bergsona dotąd nie wyszło, i jak dowiadujemy się z listu tego autora, nie ukaże się w prędkim czasie. Artykuł zaś krytyczny o książce Bergsona w „Revue philosophique” niezupełnie stała na równi z zadaniem swyjem.

cię znowu do punktu rozdzielenia drogi (jak to może zrobić rzeczywisty wędrowiec w przestrzeni) i obrać inną drogę, gdyż wypadki w czasie stanowią nieodwracalną seryę.

Jedni rozumują tak: „Droga nie jest jeszcze nakreślona, można więc obrać kierunek dowolny.” Na co można odrzec: „Zapominasz Pan, że o drodze mówić będzie można dopiero, gdy czyn zostanie wykonany, a wtedy będzie już nakreślona.” Drudzy powiadają: „Droga została wytknięta w ten sposób; możliwy jej kierunek nie był więc dowolny, lecz zawczasu oznaczony.” Na to odpowiemy: „Wpierw nim droga została nakreślona, nie było ani możliwego ani niemożliwego kierunku, dla tej prostej przyczyny, że nie mogło być jeszcze mowy o drodze.” — Innemi słowy, argumentacya zwolenników konieczności redukuje się do twierdzenia: „czyn, raz będąc wykonany, jest wykonany”, ich przeciwników do tego innego: „czyn przed wykonaniem nie był wykonany.” Jedni i drudzy pozostawiają na uboczu zagadnienie wolności.

O ile świetnym jest w krytycznem oświeceniu zagadnienia p. Bergson — a zbliża się on więcej w niem do stanowiska Kanta, niż sam sądzi — o tyleż niezadawalniająca jest pozytywna część jego pracy: w rozwiązaniu zagadnienia zbliża się on do zaznaczonego już na początku tego artykułu stanowiska Locke'a. Akta wolne są te, które wynikają z całości naszej istoty, naszego *ja*; te czyny, do których ojcówstwa się przyznajemy. Nie należy szukać wolności w codziennych, mechanicznie dokonywanych czynnościach, ale w ważnych postanowieniach naszego życia” <sup>1)</sup>).

Jakikolwiek będzie sąd nasz o pierwszej części pracy Bergsona, której dążeniem jest zredukowanie naszych wyobrażeń czasowych do zapożyczonej od przestrzeni formy, sama myśl, że w podmiotowości czasu szukać należy rozwiązania zagadnienia wolności, zdaje mi się zupełnie słuszną, i z tego stanowiska próbę Bergsona uważać możemy jako dalszy ciąg analizy Kanta.

Godnem jest zaznaczenia, że jak w podmiotowości czasu prawdopodobnie znajdziemy klucz do podstawowego zagadnienia filozofii moralnej, tak podmiotowość przestrzeni pozwoli nam rozwikłać główną

1) Takie samo prawie stanowisko zajmuje Ricardou („De l'Idéal, étude philosophique” 1890, Alcan). Jesteśmy w niewoli materji, ale i własnej myśli, powiada on; w tej nowej i wyższej formie przymusu jesteśmy wciąż niewolnikami, ale niewolnikami siebie samych, ideału, który sobie założyliśmy i o który waleczymy... Wolność jest w istocie zagłębieniem naszego *ja* w samym sobie... Stajemy się wolni w miarę tego, jak uwalniamy się od rzeczy zewnętrznych, jak zagłębiamy się w siebie, w miarę jak żyjemy życiem własnem, jak stajemy się sobą samymi” (str. 189).

zagadkę metafizyki przyrody — działanie siły w odległości. „Jak może ciało wywierać wpływ tam, gdzie go niema?” to jest pytanie, na które empirycy wprawdzie odpowiedzą z łatwością, przecinając węzeł, tak samo, jak go przecina moralista w zagadnieniu wolności woli; powiadają oni, że doświadczenie przekonywa nas, iż tak się dzieje zawsze. Istotnie dwa ciała nigdy nie mogą być w tem samym miejscu — to jest założenie podstawowe, tkwiące w samym określeniu pojęcia ciała fizycznego, — nie mogą więc inaczej działać, jak z odległości. Gdy mamy dwa ciała, stykające się dla oka, to jeszcze odległość ich dla matematyka jest nieskończenie wielką w porównaniu z wielkością ich cząsteczek.

Ale filozofa sam fakt nie zadawalnia: nie szuka on *stwierdzenia* ale *zrozumienia*. Tu właśnie nasuwa się odpowiedź Carlyle'a (przytoczona przez Milla): „Powiadasz Pan, że ciało nie może działać tam, gdzie go niema? Zgoda; ale gdzież ono jest?”<sup>1)</sup> Trudność siły, działającej w odległości, stworzyliśmy, nadając bezwzględne znaczenie i realność przestrzeni otaczającej ciała, tak samo, jak wytworzyliśmy kwestyę wolności woli przez niewłaściwe użycie formy ujęcia, którą nazywamy czasem.

Czy jednak zagadnienie wolności woli jest ostatecznie rozwiązane? Czy filozofia nie ma tu już nic do czynienia?

Dalecy jesteście jeszcze od tego. Stanowisko Kanta i Bergsona daje nam tylko możliwość przeprowadzenia analizy; jest to stanowisko krytyczne. Analiza poznania wykrywa źródło pozornej sprzeczności pomiędzy koniecznością a wolnością, a wykazując nieracjonalność sporu o determinizm lub swobodę, uprawnia użycie każdej z tych kategorii we właściwych granicach. Daje więc pewien wynik teoretyczny i praktyczny. Ale teoretyczny wynik nie przechodzi po-za granice teorii poznania: rozumiemy dlaczego nam się wydaje raz, że jesteśmy wolni, drugi raz, że nie jesteśmy; ale nic nie wiemy o tem, jak jest w istocie, a nawet domyślać się wypada, że nie moglibyśmy sobie w żaden sposób wystawić i zrozumieć rzeczywistego stanu, gdyż w sferze pojęć naszych nie możemy wyjść z kategorii konieczności lub wolności. Metafizyczna więc strona zagadnienia zostaje na uboczu. Nie mamy syntezy, która-by uzupełniała analizę. Dlatego też, skoro przechodzimy z zakresu krytyki do próby pojęcia, w jaki sposób jesteście

<sup>1)</sup> Stallo. „The concepts and theories of modern physics.” New York 1882, str. 145. Prawdopodobnie Carlyle rozumiał to pytanie w znaczeniu idealizmu, t. j. dając na nie w myśli odpowiedź: „ciała wcale niema, jest tylko nasze wyobrażenie”; niemniej możemy je przyjąć i w znaczeniu kantowskiej podmiotowości przestrzeni, dając odpowiedź domyślną: „wazędzie i nigdzie.”

wolni? wpadamy zawsze w tę banalność, jaka cechuje odpowiedzi dwóch ostatnio przytoczonych autorów francuskich: wolność pozostaje tylko słowem.

O dokonanie tej syntezy domaga się nietylko ta dążność ku jedności i konsekwencji w pojęciu o świecie, która jest źródłem filozofii. Syntezy tej potrzebujemy jako klucza do sklepienia, na którym spocznie cały gmach umiejętności niezmiernie ważnej—filozofii społecznej. Dotąd rolę umiejętności uogólniającej o społeczeństwie ludzkim pełniła filozofia dziejów, a rola ta słusznie jej się należy, głównym bowiem objawem życia społecznego jest czyn dziejowy. Wszelako zapatrząc się przeważnie ze stanowiska całości sprawy dziejowej, szukając ogólnej formuły dla wielokształtnej i żywej treści dziejów, filozofia historii musiała zostawiać na uboczu cały szereg bardzo ważnych zagadnień.

Zadość uczynić brakowi temu miała inna umiejętność, dla której zresztą dotychczas stworzono tylko nazwę—socyologia.

Filozofia dziejów, opierając się na pewnych danych filozoficznych, tak lub inaczej rozstrzygała zagadnienie wolności, które, jak widzieliśmy, występuje w całej sile w zakresie czynu; ale ponieważ głównem jej zadaniem była całość dziejów, wobec której pojedyncze wypadki znikają, jak znikają pojedyncze zboczenia w prawie wielkich liczb, więc tylko w niektórych kwestjach poszczególnych musiała się liczyć z tem zagadnieniem. Socyologia, pomyślana przez Comte'a w duchu naturalistycznym jego filozofii, w próbach urzeczywistnienia swego wcale się z tą kwestyą nie liczyła; przyjąwszy, że życie społeczne ulega takim samym prawom, jak bieg planet niebieskich, szuka — jak dotąd bezowocnie — tych praw.

Możliwa jest jednak umiejętność, która-by nietylko jak filozofia dziejów usiłowała dać formułę ogólną dla tego, co już było, ale i objąć cały zakres tego, co jest lub może być, w jakiejś kategorii umiejętności, jak to usiłowała uczynić dotąd przy pomocy kategorii prawa (konieczności przyrodniczej) socyologia. Taka umiejętność, ogólniejsza od historii, prawa i nauk społecznych, musiała-by się koniecznie oprzeć na filozofii, a przede wszystkim na teorii poznania, gdyż, mając do czynienia z człowiekiem jako istotą dwoistą—podmiotem i przedmiotem zarazem, ustawicznie przekraczała-by granice każdego z dwóch empirycznych światów: wewnętrznego i zewnętrznego. Dlatego też nazwałem ją filozofią społeczną. Kamieniem węgielnym tej umiejętności byłyby oczywiście czyn ludzki, a widzieliśmy już, że czyn jest tym zakresem, w którym (biorąc rzecz filozoficznie) ani pojęcie wolności, ani pojęcie konieczności, nie dają się dokładnie zastosować. O ile-by więc filozofia społeczna miała spocząć na szerszej podstawie naukowej, unikając cia-



snoty prób socyologicznych dzisiejszych, powinna-by spocząć na syntezie tych dwóch pojęć, t. j. na zupełnem rozwiązaniu zagadnienia wolności woli.

Zagadnienie więc to zostaje wdzięcznym polem do wysiłków myśli twórczej filozofów, a pracę tę ułatwia i drogę do niej toruje wykonana dotychczas analiza.

Zagadnienie filozoficzne wolności jest czem innym, niż wolność w znaczeniu prawnem i politycznym, a była epoka, w której zaprzeczenie wolności woli umiano pogodzić z gorącym pragnieniem swobód. Wiek XVIII umiał pogodzić wiele sprzeczności przez swoją wiarę w godność ludzką, przez swoje dążenie do wolności. W gruncie rzeczy jednak obadwa pojęcia są w blizkim związku nie tylko psychologicznym, ale i logicznym. Jak materializm filozoficzny łatwo usposabia umysł do doktryn materializmu moralnego, tak nauka nieswobody w jednej dziedzinie nasuwa chętnie analogiczną doktrynę w drugiej. Gdybyśmy nawet umieli oprzeć się temu mimowolnemu pociągowi myśli do analogii, to, zaprzeczając wolności woli, usuwamy ten grunt logiczny, na którym wysnuty został gmach prawa przyrodzonego.

Nie należy więc dziwić się, że Schiller połączył obadwa pojęcia w jednej zwrotce swoich „Słów wiary”:

Der Mensch ist frei geschaffen, ist frei,  
 Und würd er in Ketten geboren;  
 Lasst euch nicht irren des Pöbels Geschrei,  
 Nicht den Missbrauch rasender Thoren!  
 Vor dem Sklaven, wenn er die Kette bricht,  
 Vor dem freien Menschen erzittert nicht.

W. M. KOZŁOWSKI.

---

# Listy nieznane Juliusza Słowackiego.

---

Pisząc kilkakrotnie o niewydanych listach Juliusza Słowackiego, zwracałem uwagę na nieznaną dotychczas jego korespondencję z przyjaciółmi, lub tymi, z którymi pozostawał w jakichkolwiek stosunkach. Cenne to nadzwyczaj materiały do charakterystyki człowieka i poety, albowiem w nich zapewne dopatrzeć można innych rysów, niż te, które poznajemy z serdecznych i poufnych zwierzeń w listach do matki. Lecz do tej pory w ukryciu pozostaje reszta listów do Zygmunta Krasieńskiego, Kornelego Ujejskiego, Cypryana Norwida, pani Bobrowej i innych. Przy powrocie zaś do kraju ks. arcybiskupa Felińskiego w 1851 r., przepadł, może bezpowrotnie, całkowity zbiór listów pisywanych do niego do Ischlu i do Monachium w 1848 i początku następnego roku.

Może z biegiem czasu, gdy w mogile spoczną ci, których by listy Słowackiego niemile dotknąć miały, lub też inne ustanaą względy, które ich ogłoszenie krępować mogą, poznamy się z onemi przyczynkami do biegu życia, dziejów uczuć i rozwoju twórczości wielkiego poety. Tymczasem zadawałniam się trzeba okruciami, które przypadkowo spadają z tego niedostępnego dla nas stołu biesiadnego.

Oto zmarły niedawno w Paryżu Leonard Niedźwiedzki był jednym z tych niewielu wybranych, z którymi Słowacki żył w serdecznych sto-

sunkach i zwierzał się ze wszystkich swoich trosk, zmartwień i nczuć osobistych. Poeta poufale nie nazywał go inaczej, jak „Niedźwiedziem“, pozostawił mu podobno mnóstwo autografów, o które nie postarali się dotychczasowi wydawcy pism Słowackiego, a różne drobne wierszyki słał do niego pod takimi np. tytułami: „Jeden z orłów siedzących na trumnie Napoleona, Niedźwiedziowi“.

Trzy własnoręczne listy Słowackiego, pisane przez poetę po francusku z Frankfurtu nad Menem, w maju i czerwcu 1841 r., ofiarował Niedźwiedzki w r. 1886 bibliotece Jagiellońskiej z zastrzeżeniem, żeby ich przez czas dłuższy nie oddawać na użytek publiczny. Zastrzeżenie to polegało na przypuszczeniu, że niewymienione nazwisko osoby, o której w nich mowa, nie było wiadome publiczności polskiej. Na krótko jednakże przed śmiercią, Niedźwiedzki warunek ów cofnął, bo, jak pisze w liście z dnia 23 sierpnia r. z., nazwisko to dzienniki wyjawily i rozniosły po świecie.

Listów z 1841 r. mamy pięć zaledwie, ogłoszonych w zbiorze listów do matki; z tych pierwszy z d. 15 lutego, ostatni z 10 listopada, a trzy pozostałe bez daty, tylko na autografach rok 1841 oznaczony ręką pani Bécu. Wszystkie pisane z Paryża, chociaż pierwszy datowany jakoby w Podhorcach, dochodziły do Krzemieńca nie przez pocztę, lecz drogą prywatną <sup>1)</sup>.

„Najdroższa moja! — pisze do matki w jednym z tych listów. — Dawno, dawno już nie pisałem do Ciebie, ale ty, droga, wiesz, że mi to było boleśnie tak milczeć, ty wiesz, że ciebie kocham, ty wiesz, że serce moje ma coś w sobie wiecznie trwałego, że nigdy nie zapomina, ani się nie zmienia. Teraz szczęśliwszy jestem, niż kiedykolwiek w życiu: wszystko się tak składa, jakby Bóg nade mną czuwał i kochał mię, i błogosławił mię. Serce moje, długo zimne i ostygłe, doznało teraz, że jeszcze może wiosnianem oddychać powietrzem, i charakter mój, zimny tak długo, zaczął mi znów figle płatać; szalałem, kochałem się, latałem za marą szczęścia w różne strony, płakałem, śmiałem się, jak człowiek szczęśliwy, żyłem“.

Ta ostatnia miłość Słowackiego przypada na pobyt jego we Frankfurcie, a listy z owego czasu są świadectwem najszcześniejszej może, po podróży na Wschód, chwili w życiu poety. Całą wiosnę spędził tedy w tem mieście, gdzie jak „szaleniec był bardzo dręczony przez pewną osobkę“.

<sup>1)</sup> Podhorce na Wołyniu, są miejscem urodzenia Euzebiusza, ojca poety.

Była nią pani Joanna Bóbr-Piotrowicka, przedmiot pierwszej, gorącej miłości Zygmunta Krasińskiego.

W listach, które poniżej podajemy, Słowacki opisuje Leonardowi Niedźwiedzkiemu szczegóły pobytu swego we Frankfurcie, z którymi łatwiej było zwierzyć się przyjacielowi, niż matce. Materiał ten posłużył p. Ferdynandowi Hösickowi za tło do zajmującego artykułu „O Słowackim i pani Bobrowej“, który drukuje obecnie „Tygodnik ilustrowany“. Korzystając z łaskawie udzielonego mi odpisu, podaję listy rzeczzone na ten miejscu po raz pierwszy w całości i w oryginale. Są one tem ciekawsze, że rzucają trochę światła na nieznaną zupełnie biografom dobę w życiu Słowackiego, o której w korespondencji z matką skąpe zaledwie znajdują się wzmianki.

*Mardi — Francfort.*

1. J'ai reçu vos deux lettres — et toutes les deux m'ont pénétré de joie — la pensée de te savoir directeur à ma place, occupant la chaise senatoriale au cercle, me fait porter ma tête bien haut — quel personnage suis-je donc pour être remplacé par un homme de poids comme vous?! Je vous ai écrit il y a quelques jours, et ma lettre était remplie des plaintes sur l'état malheureux où je me suis placé moi même, en suivant cette bulle de savon, qui se nomme amour. — Mon martyre ne finit pas — cependant j'avance à petits pas, et j'espère que l'habitude fera, ce que n'a pu faire l'amour.... Je ne me repens pas cependant d'être venu... mes journées se passent agréablement ... je la vois, je sens les battements accélérés de mon coeur et du sien... son visage se colore d'une rougeur qui me rappelle la clarté diaphane de l'aurore en Grèce — j'apprends à parler le langage d'amour, je vis — et je rayonne... que faut-il de plus?..

Avant hier je lui ai lu ma Beatrix C... (enci) et la commotion électrique qu'elle en a ressentie ne peut se comparer qu'à celle qu'on reçoit en se baignant d'une torpède... Elle a trouvé la passion supérieurement bien peinte; il est vrai, qu'en lisant je trouvais des inflexions de voix qui faisaient vibrer toutes les cordes de son âme ... Mais que t'importe l'amour et ses égarements... Aussi pardonne-moi mes lettres, qui ne peuvent être d'aucun intérêt pour toi ... et souviens-toi que je suis dans une ville, dont la description ne pouvait nullement t'intéresser. Je ne suis pas tenté de faire connaissance avec les hommes de lettres d'ici.... ce sont tous des gens décrépits, usés, et sans aucune force vitale.... Hier, quand on m'a parlé d'un savant fort grave, fort maladif — et fort profond penseur, et que des gens qui m'en parlaient croyaient

me pénétrer de respect, je leur ai répondu... per Bacco! donnez-lui des cantharides, une jeune fille, et qu'il essaye d'être homme!

Tu conçois bien que des préceptes comme celui-là et des doctrines de ce genre, ne me font pas des prosélytes...

Adieu, cher ami... je te renvoie la lettre de Michelsen... <sup>1)</sup> elle est bonne... Je t'écrirai plus au long prochainement, aujourd'hui il faut, que je me borne à ces quelques mots pour ne pas manquer le courrier... Adieu donc et aime ton

Aimé.

Adres:

à Monsieur

Monsieur

Léonard Niedźwiecki

à Paris

Rue du Faubourg du Roule, 25.

Stempel pocztowy: Francfort 18 Mai 1841.

Cher Léonard...

2. J'ai reçu la lettre dans laquelle vous m'annoncez de m'avoir expédié l'exemplaire du livre pol..., et je m'étonne de ne l'avoir pas encore, vu que nous sommes aujourd'hui au 22 du mois, et que le livre a dû être expédié le 18 <sup>2)</sup>. Peut-être ne saviez vous pas que les imprimés qu'on envoie à l'étranger ont besoin d'être affranchis; autrement ils restent au bureau de la poste, comme on dit en souffrance, semblables aux âmes en purgatoire, et attendent que quelque âme charitable les aide à en sortir...

La Comtesse polonaise <sup>3)</sup> pour laquelle je fais venir ces livres les attend avec impatience, et moi qui voudrai lui être agréable je ne suis pas moins inquiet de leur retard. Veuillez donc mon ami vous assurer, si les livres en question ont été expédiés de Paris, ou bien envoyez moi encore un exemplaire qui sera peut-être plus heureux que les autres... Je vois qu' Eustache <sup>4)</sup> se fâche contre moi; je n'en suis pas du tout chagriné — mieux d'avoir un ennemi déclaré qu'un ami faux et nuisible;

<sup>1)</sup> W owym czasie Słowacki drukował w Paryżu u Maulde'a poemat swój *Beniowski*, który wyszedł nakładem Leopolda Michelsena, księgarza lipskiego.

<sup>2)</sup> Mowa tu o „Beniowskim“.

<sup>3)</sup> Pani Bobrowa.

<sup>4)</sup> Eustachy Januszkiewicz, księgarz w Paryżu.

j'espère cependant qu'il donnera les 40 fr.. malgré le silence morose avec lequel il en a reçu la demande.

Voulez ne me dites pas, si vous recevez régulièrement mes lettres, je vous en ai déjà écrit deux — et je crains qu'elles ne soient égarées... Votre diable de nom est si difficile à écrire et à lire, que je serai peut-être obligé de vous écrire dorénavant sous l'enveloppe de votre ami Anglais, ou bien à M-r Léonard tout simplement — Je vous dirai même, que je ne comprends pas assez bien le polonais, pour être sûr de bien comprendre vos lettres. Servez-vous donc de quelque idiome moins barbare, Anglais si vous voulez ou Cochinchinois, cela m'est tout égal.

La dame de mes pensées ne me laisse pas un instant de repos, et les calmes sont rares sur la mer où je vogue à pleines voiles... Je souffre, et je ronge mon frein en écumant... Votre conseil d'oser et de tout oser n'est pas bon à suivre; je l'ai essayé et j'ai manqué de périr — un instant de plus et tout aurait été fini pour moi. Maintenant je suis plus prudent et elle aussi. Que Dieu nous garde et nous sauve!

Il y a des jours où je ne la vois presque pas; ce sont ceux, où sa fille vient à la maison — ces jours-là sont un véritable enfer pour moi — je suis obligé de les passer tout seul avec mes livres allemands et mon piano, qui est tout discord, et une petite servante allemande, qui est amoureuse de moi. Vous sentez bien, que j'enrage et que je ne touche souvent ni à mes livres, ni à mon piano, ni à la petite fille, mais je reste plongé dans mes noires pensées comme Corsaire ou Lara.

Aujourd'hui, samedi, je suis précisément dans la position ci-dessus décrite, — j'ai encore douze heures à passer, je ne sais comment... Heureux ceux qui comme vous restent tranquilles et calmes en regardant couler l'eau, et qui prennent en pitié leurs amis devenus fous. Adieu cher... Je vous remercie mille et mille fois pour tous les services, que vous me rendez avec une amitié si parfaite, et je vous prie encore une fois de vous bien assurer de la poste à l'égard de mes imprimés. Je sais, qu'on les affranchit un sous par feuille, et qu'on le fait au grand bureau depuis midi jusqu'à une heure; sans cela les paquets ne partent pas. Je t'embrasse.

Votre Aimé

Patteg <sup>1)</sup>

22 Mai 1841.

<sup>1)</sup> Dla wiadomych względów ostrożności Słowacki nie podpisywał tych listów wcale lub używał zmyślonego nazwiska.

En m'envoyant un exempl., faites-le en sorte de l'envoyer en même temps que la lettre qui me l'annonce, pour que je puisse le réclamer, — Ecrivez-moi, ce qu'on dit de l'ouvrage <sup>1)</sup>.

NB. List ten zaadresowany tak, jak poprzedni.

### 3. Mon très cher Léonard <sup>2)</sup>.

J'ai enfin reçu le livre attendu avec tant d'impatience et je m'empresse de vous en remercier — non cependant sans vous dire, que les fautes nombreuses de typographie ne m'aient fait quelque peine... Il y en a tant et tant! quelles m'ont fait l'effet des puces qui sautillent sur un drap de lit... A peine ai-je ouvert le livre, j'en ai vu des milliers et des grosses, je vous en assure... A mon retour je me propose de corriger les exemplaires avec un crayon, vu, que souvent il manque des syllabes et quelquefois le sens même d'une strophe en souffre.

Ainsi dans la dernière strophe du chant second — *tez* au lieu de *tez...* <sup>3)</sup>. Ainsi dans la dernière strophe du chant V *gmyłem* au lieu *obmyłem...* <sup>4)</sup>. Sur le titre *Micheison* au lieu de Michelsen. Enfin mon ami je crains même, que la critique ne s'en empare et ne me fasse mauvais jeu en mettant toutes ces fautes typographiques sur le compte de l'auteur... Mais enfin la chose est faite, et il n'y a qu'un seul remède, que nous puissions y apporter, c'est de faire écouler promptement la première édition de l'ouvrage pour pouvoir en faire une seconde, dont pour vous punir, je vous ferai encore éditeur, en vous chargeant vous

<sup>2)</sup> Mowa o *Beniowskim*.

<sup>2)</sup> List ten w przekładzie polskim ogłosił w N. 12 „Prawdy“ z 1884 r. p. Dr. Henryk Biegeleisen.

<sup>3)</sup> . . . . .  
 I demokracją i arystokracją  
 Do *tez* głębokich trzecią pieśnią wzruszę,  
 Wziąwszy następnie za rymów dewizę:  
 Jeżeli gryzę co — to sercem gryzę.  
 (*Beniowski*, koniec pieśni II).

<sup>4)</sup> Odnosi się to do słów owej zwrotki, wymierzonej przeciwko Mickiewiczowi:  
 . . . . . Bądź zdrów wieszczu!  
 Tobą się kończy ta pieśń, dawny Boże.  
*Obmyłem* twój haur w słów ognistych deszczu  
 I pokazałem, że na twojej korze  
 Pęknięcie serca znać — a w liści dreszczu  
 Widać, że ci coś próchno duszy porze —  
 Bądź zdrów! — A tak się żegnają nie wrogi,  
 Lecz dwa na słońcach swych przeciwnych — bogi.

même de la préface, dans laquelle vous serez obligé d'avouer votre péché et d'en prendre la responsabilité sur vous. Que cela ne vous chagrine pas trop mon ami, je prends la chose moi-même avec une grande philosophie, et je ne pense pas, que la critique soit assez bête pour se frotter à moi après l'échantillon, que je lui ai donné de mon savoir-faire et de ma rage canine. Je me propose bientôt de revenir à Paris, plusieurs causes m'y obligent. La vie que je mène ici est insupportable; — je suis seul — à sa merci — ayant les entrailles déchirés par elle. Il est impossible que je souffre plus longtemps une torture pareille — il faut que je parte; aussi dans dix jours tout au plus — mon petit appartement d'hirondelle me reverra <sup>1)</sup>. Oh! qu'il y a de désespoir dans cette pensée!

J'ai vu ici le vice-directeur de notre cercle, qui passait par Frankfort pour se rendre à Posen, toujours gai, rouge, et bien portant; il m'a apporté le premier la nouvelle de la mort de notre bon vieillard J. U. N. <sup>2)</sup> *Invideo!* Et moi bientôt je me coucherai comme lui — mais sans cette tranquillité que donne une vie longue et bien passée. Mon testament sera plus court que celui du bon vieux poète; un soupir à ceux, qui m'ont aimé, une malédiction à ceux qui m'ont haï, et mon bonnet de nuit à Witwi: <sup>3)</sup>, pour se couvrir le chef toutes les fois qu'il mettra la robe de chambre, qui a été léguée par Moïse. Ainsi ce diable d'homme est destiné à devenir l'héritier des poètes. Il est dommage cependant, que Niemcewicz n'ait pas pensé à lui léguer ses jambes, pour pouvoir aller à l'enterremet.

Je suis très fâché pour Eustache <sup>4)</sup> que ses espérances de mariage aient été aussi cruellement déçues. Les bas-bleus ne valent jamais rien; je le sais par expérience. Il faut, qu'il se console cependant et qu'il oublie cette année si malheureuse pour lui — tout lui a tourné contre; il n'y a que Romus, qui lui reste et le joli appartement aux échaudés... C'est encore beaucoup pour un homme que les Dieux ont abandonné.

Saluez de ma part Błot. <sup>5)</sup> et priez le de ne pas mal juger — je suis bon au fond. Et ma franchise passionnée ne doit pas me nuire toutes les fois qu'elle se montre en grand et qu'elle m'allume une étoile au front.

Écrivez moi encore une fois, si vous pensez, que votre lettre puisse m'arriver avant le 8 de c. m.; si non, gardez moi votre amitié et at-

<sup>1)</sup> W Paryżu zajmował Słowacki podówczas mieszkanie na szóstym piętrze — malutkie dwie kłateczki, na rue *Castellane*, 11. (Ob. list z kwietnia 1840 r.).

<sup>2)</sup> Jul. Ursyn Niemcewicz

<sup>3)</sup> Stefan Witwicki.

<sup>4)</sup> Januskiewicz.

<sup>5)</sup> Hipolit Błotnicki, pierwszy nauczyciel Słowackiego.



tendez moi avec un coeur d'ami. J'en ai bien besoin! bien besoin!—  
Adieu.

Votre Aimé.

le 1 mai 1841 <sup>1)</sup>

Adres: A Monsieur

Monsieur Léonard Niedźwiecki

à Paris

Rue du Faubourg du Roule 25

Pieczęć pocztowa: „Frankfurt 1 Juni 1841. 1—2. T. T. R. 2. Paris 4  
Juin 41“.

LEOPOLD MĚYET..

---

<sup>1)</sup> Data ta, jak przekonywa pieczęć pocztowa, jest błędną. Winno być 1-go czerwca.

---

# O poprawności języka.

---

Zdarza się często, że podawane przy ocenach książek zdania o stylu i języku autora bywają zupełnie przeciwne w dwu różnych czasopiśmiech. Co jeden recenzent nazywa błędem, drugi uzna za zwrot wyborny, żywy, plastyczny; co więcej: co u jednego jest prawidłem gramatycznym, u drugiego tylko rzeczą — gustu...

Dla piszących jest to nieraz obojętne, i stąd sądy takie nie robią na nich wrażenia; każdą podobną uwagę uważają za pedantyzm tylko, a nie za opartą na stałych zasadach prawdę, skoro ona u każdego z recenzentów inaczej wygląda. Ale dla uczących i dla ludzi nieobojętnych na przyszłość rozwoju języka rzecz to fatalna, kiedy się dozna zamieszania pojęć i pod wpływem takich wyroków straci zupełnie poczucie, co złe a co dobre, co poprawne a co niepoprawne. Zabierając głos w tym przedmiocie, nie mam zamiaru przedstawienia jakichś oryginalnych pomysłów, ale w ogólnych rysach zdanie przedewszystkiem sprawy z cennego artykułu Szweda, prof. A. Noreena, który w niemieckim przekładzie pomieściły „Indogermanische Forschungen” (z r. 1891) z dodatkowemi uwagami Arwida Johannsona.

Przedewszystkiem uważam za stosowne przedstawić, co rozumiem przez „poprawność języka”, abym nie był źle rozumiany. Nie mieszczę bowiem w tem pojęciu tylko poprawności ortograficznej i gramatycznej, ale i poprawność stylistyczną, i ozdobność, jeżeli do danego przedmiotu zastosowaną być powinna. Mowa, którą wyrażamy nasze

myśli, nie tylko powinna być poprawna, gramatycznie dobra i logicznie jasna, ale powinna być i piękna, zwłaszcza w przedstawieniu piśmiennem. Tak rozumieją Niemcy swoją „Sprachrichtigkeit”, a mnie się wydawało, że inaczej tego pojęcia oddać nie można, jak przez „poprawność języka.” Pojęcie to obejmuje zatem więcej, niż zwykle w niem mieścili pisarze, piszący „O skażeniu języka polskiego”, jak Skobel, i Szczerbowicz-Wieczór, lub o „Błędach naszych w mowie i piśmie” jak A. Walicki, lub wprost o „Barbaryzmach i dziwolągach językowych”, jak Bliźniński, bo im z nielicznymi wyjątkami chodziło tylko o używanie wyrazów lub zwrotów obcych, t. zw. germanizmów lub galicyzmów, a nawet rusycyzmów. Przeciwno takim też błędom występował już w r. 1808 X. O. Kopeczyński w broszurce „O poprawie błędów w ustnej i pisanej mowie polskiej”, wołając o upamiętanie.

Stanowisko, jakie w sprawie poprawności zajmowali dotychczas nasi uczeni i literaci, było tego rodzaju, że za normę brano usus językowy jakiegoś minionego okresu literatury i podług niego oceniano język dzisiejszych pisarzy. Trwa u nas dotąd prawie powszechne mniemanie, że język pisarzy w. XVI, a przedewszystkiem Skargi, jest niedoścignionym wzorem, tak jak język „wieku złotego” dla języka łacińskiego, a czasy Woltera dla języka francuskiego. Kto się w tem źródle przeczystem skąpał, ten posiada sekret nie tylko poprawnego, ale i pięknego stylu. Największą pochwałą, jaka pisarzowi dostać się u nas może w udziale, jest przyznanie, że język swój „wzorował” na pisarzach Zygmuntofskich i im zawdzięcza nieporównaną powagę stylu obok piękności klasycznej. „Poznać z bliska — mówi Witwicki <sup>1)</sup> — onych pierwszych kształcicieli i samowładców, onych ojców i hetmanów polskiej mowy, z nimi ustawicznie przestawać, pod rękę iść, do nich się przypoić — jest to odprawić jakby chrzest literacki, konieczny i jedyny, na oczyszczenie się z grzechu cudzoziemszczyzny, w którym teraz wszyscy się rodzimy i wyrastamy. W posilaniu się u autorów jagiellońskich mamy położyć uwagę nie tak na pojedyncze wyrazy, jak raczej na ruchy i obroty całych frazesów, a zwłaszcza na pojęcie i obejrzenie ducha językowego.” — Wobec tych wzorów za błędne uznaje się wszelkie nowotwory, zwłaszcza powstałe na drodze analogii, a uważa się za zaletę w stylu poważnym wskrzeszanie archaizmów, naturalnie zręcznie, „z wywiczonym już smakiem”, zastosowanych. Takim wiedziony poczuciem, wskrzeszał Lucyan Siemieński w przekładzie *Odysei: paiże, żertwy, rubieże, postoby* i t. p., a chociaż je musiał objaśniać, jakby obce wyrazy, przyznano mu zaletę zręcznego ich użycia.

<sup>1)</sup> Wieczory Pielgrzyma I, 344.

Ponieważ zaś niema człowieka, któryby zdołał przestudyować wszystkie dzieła, od najdawniejszych do najnowszych, w języku polskim pisane, a studjom dawnych pisarzy pod względem języka poświęcają się tylko specjaliści — badacze historii języka, stąd pochodzi, że do tych nielicznych jednostek apelujemy w kwestyach wątpliwych i namaszczeni ich na prawodawców języka, i to nietylko w zakresie składowi i frazeologii, ale nawet w wątpliwościach ortograficznych i t. zw. gramatycznych.

To *historyczno-literackie stanowisko* ma jednak bardzo wiele przeciw sobie. Pomijając już ten zarzut, że nie powinniśmy szukać normy dla języka dzisiejszego po-za nim, i to w odległej epoce, zaznaczyć trzeba, że ta epoka jest zwykle dosyć dowolnie wybrana i nie ujęta w ścisłe granice. Mówimy pospolicie o czasach Skargi, zapominając o tem, że w czasach największego rozwoju wymowy już nie było Kochanowskiego, a język i styl poetyczny już upadały, że to jest język retoryczny, i że krzywdę byśmy wyrządzili nietylko Górnickiemu, ale nawet Orzechowskiemu, stawiając ich co do stylu znacznie niżej od Skargi. Przyjąwszy nawet pewne granice okresu, język pewnych pisarzy, a nawet choćby pewnych tylko ich dzieł, nie możemy uważać ich języka *bez zmiany* za ideał naszych czasów i dążyć koniecznie choćby do zbliżenia się do niego. W nadaniu nakoniec językowi pewnej uroczystej powagi na wzór zygmuntońskiego języka, pomijamy dowolnie pewne jego właściwości, a inne dowolnie sobie przyswajamy. Jeżeli zaś zważymy, że w dziełach pisarzy w. XVI zachowany mamy tylko język piśmienny, a całej większej części jego, żyjącej w ustach mówiących, brak nam zupełnie, przyznać musimy, że sąd o nim posiadany bardzo jednostronny, a znaczenie nad miarę przeceniamy. Gdybyśmy się opierali na stanowisku skreślonym powyżej, musielibyśmy na każdym niemal kroku gwałcić prawa naturalnego rozwoju języka, pozwolić mu na skostnienie w pewnych formach, bez wolności życia i stosowania się do nowych warunków.

Wzmianka o życiu i rozwoju języka prowadzi nas do wprost przeciwnego stanowiska, t. zw. *przyrodniczego*, z jakiego niektórzy zapatrują się na językową poprawność. Przyrodnicy językowi — że ich tak nazwiemy — opierając się na tej zasadzie, że mowa jest żyjącym organizmem, uważają za dobre wszystko, co powstało, bo ono, żyjąc, ma przez to samo prawo do życia. „Tak się mówi” — twierdzą oni i mniemają, że tak samo można i pisać. Gardząc dlatego językiem literackim, jako utworem sztucznym, widzą w narzeczeniach i gwarach, a po nich w mowie potocznej, tę mowę naturalną, w której tętno życia najregularniej bije. To też im swobodniej mowa rozwijać się może, tem jest lepsza, a zmiany najrozmaitsze nie znaczą jej upadku, ale ciągly roz-

wój. W ten sposób terażniejszość codzienna jest ideałem języka, a o dobroci pewnej formy mowy rozstrzyga większość tych, którzy jej używają, czyli stanowi statystyczna przewaga. Badacz prawodawca języka, pragnący w tej kwestyi głos zabrać, musiał-by policzyć tych, którzy pewnej właściwości używają w mowie i na stronę większości szalę przechylić.

Nie trudno tu zastrzedz się przeciwko tyranizowaniu mniejszości przez większość, prawa przez siłę, i przeciwko przewadze statystyki urojonej, bo niemożliwej, nad łatwemi do poznania wzorami. A jeżeli statystyka wykaże, że dwu wyrażeń czy zwrotów równa ilość ludzi używa, któremu dać pierwszeństwo? Odwołując się do powszechnego zwyczaju, należało-by, równie jak na stanowisku literatury historycznej, tylko w ciasnych obracać się granicach języka powszechności, zwykle niewielkim wyrazów rozporządzającego zasobem, a unikać wszystkich nowotworów. A przecież nie co innego, jak tylko nowe przenośnie, porównania i wyrazy dają językowi koloryt poetyczny, i one dają językowi żywotną siłę i popęd do rozwoju — bez nich nastąpił-by zastój i skostnienie. Przyrodnikom języka zwłaszcza dziwić się należy, jak mogą tak fałszywe mieć pojęcie o istocie języka, jako „produktu natury.” Wszak wiedzą dobrze, że nie każde drzewo dziko rosnące jest najlepsze i że pędy nie obcięte, wybudajwszy, gubią nieraz roślinę, zaszczepione zaś dają jej to, czego potrzebuje. Wszak roślina przez zdrową i właściwą uprawę lepiej się rozwija, aniżeli w stanie dzikim, a więc stoi wyżej i jest pożyteczniejsza — jak np. winna latorośl. Ideałem dobrego gospodarza i ogrodnika jest uprawa roślin, zastosowana do ich natury i przeznaczenia, i to samo powinno być ideałem przyrodnika w zakresie językowym, a nie przycinanie i obećnianie rośliny.

Nakoniec jeszcze jedno. Patrząc ze stanowiska przyrodniczego na język i tłómacząc wszystko aksyomatem, że co żyje ma prawo do życia, skoro się to słyszy w ustach wielu, to jest dobre — zapomina się o tem, że język jest nietylko wytworem gardła, ust i nosa ludzkiego, ale zarówno wytworem rozumu i ducha ludzkiego, słowem, że to nietylko produkt fizyologiczny, ale i psychologiczny. Jednostronność pojmowania zjawisk językowych na takiej podstawie jasna dla wszystkich.

A zatem z tych dwu sprzecznych kierunków, który wybrać przy ocenianiu poprawności języka, lub jak pogodzić dwa te przeciwnie kierunki?

Na to odpowiada prof. Noreen w sposób następujący:

„Nie możemy inaczej patrzeć na język, jak ze stanowiska jego celowości. Jest on środkiem czy narzędziem porozumiewania się ludzi między sobą, a więc takie formy i zwroty językowe są najlepsze, które

najlepiej spełniają zadanie języka. Przy porozumiewaniu się uwzględnić musimy mówiącego i słuchacza: bo mówiący musi się starać o to, aby myśli swoje wyraził jasno i był przez słuchającego zrozumiany należycie; jeżeli albo nie został zrozumiany, albo zrozumiany fałszywie, musiał widocznie użyć niewłaściwych wyrazów i zwrotów. Widzimy to bardzo wyraźnie w pismach, przeznaczonych dla ludu; nikt tam nie będzie mówił o „niwelacyi chrystyanizmu, negacyi indywidualności, o afirmacyi absolutnej monarchii.” Pisarze unikają nie tylko pojęć obcych ludowi nieoświeconemu, ale nawet wyrazów, choćby polskich, jednak nie powszechnych, bo one dobre-by były tylko w piśmie, dla inteligentnych ludzi przeznaczonem. Zatem co tu dobre — tam złe i naodwrot. Ze względu na słuchającego uważać tedy należy za stanowczo *niepoprawne* takie wyrażenia i zwroty, które albo nie mogą być wcale, albo mogą być źle zrozumiane, lub tylko zrozumiane z trudnością; ze względu na mówiącego gorsze jest z dwu wyrażen to, które *cacteris paribus* jest trudniejsze do wymówienia lub wyszukane mozolnie i nie łatwo się w myśli kojarzące. Nie wiem już, kto usiłował np. zastąpić wyraz obcy „zainicyować”, „dać inicjatywę” wyrazem „zapoczątkować.” Przyznaję, że wyraz ów obcy niedobry, ale czy ten polski lepszy, a przedewszystkiem zrozumialszy — pozwalam sobie wątpić. Wiadomo, że forma *wziąć*, stanowczo za niegramatyczną uznana, pomimo wszystkich wysilen, utrzymuje się stale w mowie, a powszechniejsza jest w piśmie, niż etymologicznie prawidłowa *wziąć*. Dlaczego? bo jest łatwiejszą do wymówienia, a w myśli przechodzi pod kategorię wyrazów *prząść, siąść, grząść*. Podobnie rzecz się ma z imiesłowami zaprzeszlami na *szy*, w których z mozołem tylko przed tem *szy* a po spółgłoskach wymówić możemy *t*, chociaż je mocą nawyku piszemy. Pomimo usunięcia z ortografii *é*, każdy prawowitny Mazur powie „mléko”, „kobiéta”, bo mu łatwiej to wymówić w tem połączeniu, niż *e*. Tu ortografia pójdzie swoją, a usus swoją drogą. Czy dlatego mamy uważać to lub owo brzmienie za niepoprawne, skoro oba zarówno są zrozumiałe?

Niema nic gorszego dla języka, jak mędrkowanie, które Niemcy tak dobrze nazywają „Naseweisheit.” Otóż ktoś, rozumując, uznał zwrot „mieszkam na ulicy” za zły, co więcej — w danym razie za ubliżający, bo na ulicy mieszka tylko wyrzucony z mieszkania, a porządny obywatel mieszka „przy ulicy.” Na oko jest to ludzące, zwłaszcza nieznającego właściwego wyrazów znaczenia, a wszak *ulica* to droga, z obu stron ujęta w rzędy drzew lub domów. Domy tedy są integralną częścią ulicy, bez niej jest ona tylko *drogą*, a mówiąc mieszkam „na ulicy” nie mogą mieć na myśli tej tylko drogi.

Bez względu na mówiącego czy słuchacza, co nie jest pożyteczne, jest szkodliwe: więc wyrażenie dłuższe, nie mówiące nic więcej od krótszego, jest gorsze; więc gorsze jest niepotrzebne wyróżnienie subtelności, lub zmiana, przez którą się nic nie zyskuje. Dążenie np. do usunięcia z języka wyrazów obcych i zastąpienia ich swojskimi jest nie tylko patriotyczne, ale ze wszelch miar chwalebne; jeżeli jednak wyrazy swojskie, *ad hoc* ukute, potrzebują dopiero komentarza, musimy dać pierwszeństwo obcym. Wielokrotnie zastanawiałem się nad tem, jakby oddać po polsku obce wyrazy „cywilizacya” i „kultura”, i przyszedłem do przekonania, że ani „poświata”, ani „rozświata” nie są kulturą lub cywilizacją, potrzebują komentarza, a nie budzą w umyśle tych pojęć, które pod wpływem tamtych wyrazów budzą się żywo.

Mimowolnie i wcześniej niż pragnąłem wszedłem ostatnimi przykładami na bardzo sporne pole wyrazów obcych. Kwestya to tak rozległa, że wymagała-by osobnego opracowania i wielostronnej dyskusyi — poprzestaną więc tylko na zaznaczeniu stanowiska prof. Noreena w tej sprawie. Co się tedy tyczy imion własnych obcych, które zwłaszcza w geografii i historii są nienniknione, poleca Noreen, aby pamiętać o tem, że się w ojczystym języku przemawia zawsze do rodaka a nie do cudzoziemca. Imiona przyswojone tedy należy zachowywać w tej przyswojonej formie — tylko imiona, prawie wyjątkowo tu i owdzie przytaczane i to może wyłącznie w dziełach naukowych, należy zachować w niezmiennej ich postaci.

Johansson ujmuje te poglądy bardzo słusznie w dwie grupy i powiada: „Zatrzymać należy wyrazy obce:

1) jeżeli one do nas przeszły z dawnych wieków i przyswoiły się już zupełnie, np. koncerz, szabla, — ołtarz, msza...

2) jeżeli niema zupełnie dobrego swojskiego, np. biuro, komisyja, konferencya, preliminarz;

3) jeżeli to są wyrazy techniczne w umiejętności, sztuce lub przemyśle;

4) jeżeli potrzebne do cieniowania znaczenia, np. motto — a go dło — napis, fotel — a stołek — krzesło.

Tępić je zaś bezwarunkowo:

1) jeżeli je przyjęto w czasach upadku języka: apartament, żaluzya, ewenement;

2) jeżeli trudne do zrozumienia i niepotrzebnie zastępują wyraz swojski, np. pudor zam. wstyd, terror zam. zgroza;

3) jeżeli chodzi o jednolitość w języku.

Na wstępie zaznaczyłem, że do poprawności liczą i piękność języka. Prof. Noreen sądzi, że dla zdrowego smaku ten język będzie piękny, który spełnia swe zadanie, a więc który jest poprawny. Ponieważ

jednak bogactwo form, różnorodność i barwność przyczyniają się do podniesienia piękności, należy nie tylko nie unikać *nowych* wyrazów i zwrotów, ale uważać je za dobry objaw, byle tylko to były nowotwory, utworzone przez mistrzów słowa, a nie przez tłumacza telegramów w pierwszym lepszym dzienniku. Nie należy też stanowczo rozciągać kordonu cholerycznego przed importem wyrazów obcych, jeżeli one przychodzą z nowymi pojęciami lub przedmiotami, i byle nie zapominać o tem, że lepiej zapożyczać się u blizkich, niż u zupełnie obcych. Niewyczerpaną skarbnicą dla wzbogacenia języka literackiego są gwary ludowe, zawierające nie tylko nadzwyczaj trafne *nazwy i wyrażenia*, ale zwroty, porównania i przenośnie.

A zatem jednym słowem: wszystko, co jest w języku, jest dobre i poprawne, skoro się twierdzi, że chodzi tylko o porozumienie się? Tak nie jest. Nie ten sposób mówienia i pisania jest poprawny, za pomocą którego np. dwie osoby porozumieć się potrafią (bo czasem słaby gest na to wystarczy), ale ten, który da możliwość porozumienia się wszystkim jednostkom, na tym samym stopniu oświaty stojącym. Za normę poprawności należy wziąć język współczesnej prozy, pisanej przez wzorowych pisarzy, a pamiętać o tem, że język, jako konwencyonalny sposób porozumiewania się ludzi, musi z biegiem czasu zużywać się, ulepszać, poprawiać, jednym słowem, musi pod pewnym względem podlegać nawet potędze — mody. O ile człowiek należy do ziemi, i język podlega prawom natury, ale w tym kulcie natury przesadzać nie należy.

Prawodawcami języka nie są tedy *tylko* gramatycy, ale są nimi za ledwo *poniekąd*. „Der Sprachforscher hat keineswegs die Aufgabe die Gesetze der Sprache zu schreiben, sondern sie nur zu beschreiben.” (Es. Tegner) — i całkiem racjonalnie. Natomiast filozof języka, który lepiej niż inni zastanawiał się nad idealnymi zadaniami języka, i panujący nad formą pisarz, który w najrozmaitsze szaty języka myśli swoje zręcznie ubrać potrafi, rozporządzając mistrzowsko środkami — to są nasi prawodawcy. *Ten pisze dobrze i poprawnie, kto pisze tak, jak wielcy nasi klasyczni pisarze*. I to jest stanowisko prof. Noreena, które on nazwał sam *racyonalnem*.

Nie jest on zresztą w tym względzie odosobniony; z niemieckich uczonych to samo przekonanie wyrazili Raumer, Paul, a ostatniemi czasy Behaghel. Tłumacz tego artykułu, Arwid Johannson, prostując w niektórych miejscach poglądy Noreena, dodaje jeszcze ciekawe zasady, na których podstawie pisarza za wzorowego uznać możemy. *Sposób pisania — mówi on — musi być przede wszystkim zrozumiały, bez dwuznaczności, a przytem zwięzły i logiczny; musi być piękny przez stosowanie wyrazów do rodzaju stylu, przez świeżość i plastyczność wyrazów i wielką ich różnorodność*.



Tak tedy ani dawnych, nawet znakomitych, pisarzy wzory, ani język potoczny, jak go codziennie słyszymy, ani gust subiektywny, nie mogą być miarą poprawności, lecz „mistrze słowa” których (podług Słowackiego):

język giętki

Wypowie wszystko, co pomyśli głowa,  
A czasem jest jak piorun, jasny, prędki,  
A czasem smutny jako pieśń stepowa,  
A czasem jako skarga nimfy miętki,  
A czasem piękny jak aniołów mowa...

ROMAN ZAWILIŃSKI.

---

# PIŚMIENNICTWO

## KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

---

*Henryk Sienkiewicz.* „Listy z Afryki.” 2 tomy. Warszawa. Nakładem redakcyi „Słowa.” 1893.

Zdaje mi się rzeczą pewną, że nasza publiczność więcej wymaga od literatury, niż jakakolwiek inna. Nie zawsze są to jednak wymagania, oparte na wyższych kulturalnych potrzebach społeczeństwa, ale zbyt często na wybujałych osobistych upodobaniach. Każdy z nas ma swoje, mniej więcej oryginalne, zdanie o artyźmie i o celach literatury. Ruch umysłowy może na tem zyskiwać, ale rodzi się też zamęt pojęć i sądów, z których później dopiero urasta opinia trwalsza i poważna. Na razie nikt prawie nie przyjmuje dzieła za to, czem ono jest, nie szuka jego zalet rodzajowych, ale porównywa je dopiero z wymarzonym jakimś typem, doznaje zadowolenia lub rozczarowania, w miarę jak dzieło odpowiada, lub nie odpowiada temu typowi. Przyznać jednak trzeba, że, o ile sądy nasze literackie zgietkliwe są i często bezzasadne, o tyle łatwo przez zgietk przebija się górująca sprawiedliwa opinia, bo też pojętności nam nie brak, ani finezyi, ani rozsądku. Można-by tu tak sparafrazować przysłowie: „mądry Polak po krzyku.”

Trochę się tak stało i z „Listami z Afryki.” Po podróży Sienkiewicza jeden spodziewał się powieści o niewolnictwie, drugi ładnej książki naukowej, trzeci wprost dziennika w rodzaju Lotiego, — aż,

gdy te słiczne listy zaczęły się ukazywać w odcinkach „Słowa“, przyjęto je ze zdziwieniem i oziębłością, jako zupełnie coś innego. Czytano jednak pilnie i chciwie, bo któż-by się przyznał, że nie zna jakiego utworu Sienkiewicza? I powoli, rozglądając się po feljetonach, ten i ów zauważył jakiś blask, jakąś barwę niezwykłą, — poznał się na perle. Ci, co wołają dyamenty lub rubiny, wołali wprawdzie „chcemy dyamentów, chcemy rubinów“, ale perły zadowolili jednak wielu, a dzisiaj, ułożone rzędem, prościej mówiąc, listy, wydane w osobnej książce, zyskują sobie bez wątpienia wielu szczerych, a nawet zagorzałych zwolenników. Bo jeżeli nie są tak dokładnem studyum kraju, jak dawniejsze „Listy z Ameryki“, jeżeli przypadki i czas trwania podróży nie dozwoliły autorowi dzieła różnostronnej rozwinać; to wędrówka ta przez Egipt, morze Czerwone, przez ocean do Zanzibaru i wgląd Czarnego lądu, dała Sienkiewiczowi dosyć wrażeń, aby z nich utworzył najpiękniejsze swoje krajobrazy, i w tych opisach przyrody, a nie w obserwacyach naukowych, leży wielki urok i artystyczna wartość książki.

Rzecz taka, jak literacki opis podróży, jest, bardziej niż inne rodzaje, popisem stylu. Mniej tu chodzi o budowę, o fabułę, o sytuacje;—jest to ostatecznie sprawozdanie z szeregu prawdziwych zdarzeń; trzeba tylko tak je opowiedzieć, aby czytelnik z autorem wędrował, z nim patrzył, z nim czuł i mógł wreszcie wyznać, że nie tylko przeczytał ciekawą książkę, ale przeżył dobry dzień.

Każdy, kto się lubuje w wybornej polskiej prozie, kto czuje i kocha przyrodę, przeżyje taki dobry dzień w Afryce, skrócony z wypadków i wrażeń egzotycznej podróży. A rokosz tę artystyczną sprawi mu nadzwyczajny i nowy sposób malowania krajobrazów.

Malarstwo literackie, jak i plastyczne, przebyło w ostatnich czasach wiele ewolucyi. Jak na płótnie, tak i w książkach, pisanych przez artystów, krajobraz zdobył sobie duże, zaszczytne miejsce i zabrały się do opisów przyrody największe pisarskie talenta. Tylko w technice zaszły wielkie zmiany. Mniej chodzi o zarysy i wymienienie wszystkich szczegółów obrazu, niż o plamy światła i barw, o charakter ogólny, a przedewszystkiem o udzielenie czytelnikowi specjalnego wrażenia, które autor odczuł przed danym widokiem, w danej chwili dnia i chwili życia. Bo widoki, jak i zdarzenia, działają nie tylko na oczy, ale na duszę człowieka, a dusza może być bardzo rozmaicie do przyjmowania wrażeń usposobiona. Otóż oddać to wstrząśnienie osobiste przy zetknięciu się człowieka z przyrodą otaczającą jest ulubionem zadaniem nowożytnych. Ta „wrażeniowość“ położyła swe piętno i na „Listach z Afryki“, w których opisy przyrody należą do najlepszych w literaturze europejskiej.

Ażeby zdanie to moje podzielić, trzeba uważnie i w cichem jakimś ustroniu przeczytać całą książkę. Tymczasem dam tu kilka próbek, śledząc koleje podróży.

Kiedy z Neapolu wypłynął Sienkiewicz statkiem do Egiptu, „zatoka była gładka, nie tak niemilosierne modra, jak bywa czasem morze Śródziemne, ale raczej koloru niezapominajki, z odbłaskami pereł, opalu, miedzi, dymnego srebra. Blaski owe, migocąc, łącząc się i rozbiegając, tworzyły jakby jakąś irytującą się sieć na wodzie, pełną drgań i zmian nagłych... Słońce stacza się zwolna na Ischię. „Ravenna“ ani pyta, tylko bije śrubą na białą miazgę turkusy, perły, opale i, pochylona cokolwiek na bok, sunie, jak rybitwa. Mijamy Sorrento, następnie przemykamy się między wyniosłością Campanelli i stromym wiszarem Capri i na pełnej rostoczy zasuwamy się zwolna w mrok nocny.“

Takim tonem wesołym i lekkim przemawia Sienkiewicz najczęściej; jest to także jego styl przeciętny—barwny i prosty, a odznaczający się tylko tem, że dosadniej i lepiej powiedzieć tego niepodobna. Można się złapać, twierdząc, że styl i ton taki nadto jest łatwy albo zaniedbany. Bo chociaż nie przestaje autor niby gawędzić, przebywamy z nim specjalne wzruszenie wyjazdu, złożone i z żalu, i z tęsknej jakiejś ciekawości; widzimy znowu wschodnią pstrokaciznę w przystani Port-Saïd, a teraz, przepływając kanał Sueski, mamy przed oczyma afrykańską pustynię.

Widok ten uderza Sienkiewicza specjalnie, działa na niego bardziej może filozoficznie, niż malowniczo, zaczem i opis, słusznie już sławny i często przytaczany, wypadł inaczej, niż inne; pojęcie bardzo podniosłe tej duszy pustyni, która nie mieści się ani w piasku, ani w niebie, ale w niesłychanej martwocie, — pojęcie to wyraża autor, jakby we wspaniałym wykładzie o charakterze pustyni; przychodzi jednak i wrażenie osobiste, a wtedy udziela się czytelnikowi przy takich np. zwrotach: „Niebo szkli się, jak oczy umarłego człowieka, przez które nie patrzy dusza“, albo: „W pustyni odczujesz wszystko, z czego się składa śmierć, nie odczujesz tylko miłosierdzia. W stężalych wydmach i tem stężałem niebie tkwi coś nieubłaganego. Poprostu mówiąc, ma się to niesłychanie gnębiące wrażenie, że z tego umarłego nieba nikt nie patrzy, że wśród tych płowych piasków nikt nie słyszy i że na pustyni próżno-by rozpacz wołała o ratunek. Stąd ucisk, stąd niepokój, stąd strach.“

Po chwilowem podniesieniu, ton znów spada, jakby autor odpoczywał. Ale to nie drzemka homeryczna, tylko właściwa Sienkiewiczowi cecha i odrębność od innego np. wielkiego pejzażysty, jak Piotr

Loti. Ten nadzwyczajny marynarz-poeta stara się całą książkę dostroić do jednego tonu; to też panuje w jego opisach jednostajny, senny smutek i zmysłowe jakieś podniecenie. Loti nie uśmiechnie się prawie nigdy, wybiera same wrażenia dziwne, jakby pachnące egzotyzyzm, drażni się z czytelnikiem, wdzięczy się do niego, jak zalotna kobieta. Mimo cały urok Lotiego, widać na każdej karcie drobną jego, nerwowo chorą postać i manierę stylową, którą mu się tylko dla wielkiej artystycznej rokoszy wybaczają.

Ima, większa patrzy dusza z kart „Listów z Afryki“ i bardziej męski talent. Imy też wcale jest Sienkiewiczowski sposób pisania. Podkładem jego opisu jest dobry humor i wielka, nieznaną nigdy żadną pozą, prostota. Jak dawniej, w swych „Listach z Ameryki“, gawędzi on raczej, niż gra na nerwach czytelnika; nie chodzi mu o branie sztucznych tonów, o zadziwianie filistra; jak żółtej febry, nie lubi Sienkiewicz wykrzykników i zdań pretensjonalnie zakończonych kropkami; przedewszystkiem zaś — nie udaje nigdy rozrzewnienia. Tylko kiedy rzeczywiście pierś mu wzbierze uczuciem, naprzykład wobec Sfinksa, wychodzącego z piasków pustyni do księżycy, to pisze tak:

„Sfinks, to olbrzymia istota. Stanąwszy przed nim, mimowoli przypuszczasz, że w tem głuchem milczeniu on coś rozważa i myśli o rzeczach wielkich i tajemniczych.“

„Księżyc wytoczył się z za zrębu chmur na czyste niebo i wówczas zaczęła się dla mnie jedna z najpiękniejszych nocy, jakie w życiu widziałem. Głowa Sfinksa, z czarnej, stała się ciemno-zieloną, niby stary bronz; płaszczyzna twarzy wypełniła się ludzkimi rysami, zbudziła się jakby ze snu i roześmiała do księżycy. W oczach naszych spełniają się czary; w jednej chwili tworzy się jakiś mistyczny związek między Sfinkssem a księżycem. Zapominam o dzisiejszym świecie i zdaje mi się, że żyję w dawnym Egipcie. Oto Izys na niebie, oto Sfinks szepece coś do niej; oto za chwilę nadejgnie od Piramid szereg białych hierodulów i pocznie się jakiś obrzęd święty i tajemniczy. To, co było dla mnie tylko teorią książkową, zmienia się w taką rzeczywistość, że aż jakaś trwoga zabobonna przejmuję duszę..

„Widać teraz rozkopane piaski, które pokrywały ciało Sfinksa, ale w nocy czyni to takie wrażenie, jakby on sam je odrzucił i podniósł się z pod ziemi, aby powitać księżyc i pogadać z nim o dziejach tak dawnych, jakich nikt, prócz nich, nie widział, nie zapamiętał i nie zapisał.“

„Bo czego on nie widział ten Sfinks — on, którego początek jest tajemniczą zagadką — on, którego już Cheops naprawiał? Stał już, gdy wznoszono Piramidy, i tenże sam Cheops chronił się zapewne w jego

cień przed skwarem słońca. Potem widział Mojżesza i Kambyzesa, Aleksandra i Ptolemeuszów, Cezara i Marka Antoniusza, Kleopatę i Najświętszą Pannę, łunę pożaru Alexandryi i dzikiego Amru, świętego Ludwika i Napoleona. Wszystko to widział i uśmiechał się tak samo nocami do księżyca. Wszystko to przeszło — on jeden został. Jest tak odwieczny, że się go prawie nie uważa za dzieło rąk ludzkich — i mimowoli widzi się w jego ogromie coś pierwotnego, coś niemal kosmicznego, jakby był stworzony z tego samego żywiołu, co i ten księżyc, z którym rozmawia w jasne noce.“

„I patrzę tak obaj na siebie, w srebrnem świetle, wśród śpiącej pustyni. Płowe jej piaski stają się teraz jasno-zielone; opodal błyszczą się Piramidy, za niemi przestrzeń pusta bez końca. W stosunku rzeczy ze sobą istnieje zgoda lub niezgoda. Tu wszystko dobrane. Ogrom, tajemnica, samotność i wielkie groby, a prócz nich naokół nic — żadnej różnorodności przedmiotów, żadnej możności porównań, jeno w krąg pustynia, zalana blaskiem uroczystym i ogromnie smutnym. Ale w owej melancholii niema nic przykrego. Przeciwnie, jest to wielka i nad wszelki wyraz doskonała symfonia, której pojedynczemi akordami są: Piramidy, Sfinks, księżyc i pustynia...“

„Do świtu było jeszcze daleko, bo ni księżyc, ni gwiazdy nie bladły; ale noc ubiegała. W namiotach beduińskich, leżących w głębi pustyni, ozwał się pianie koguta, a za tym pierwszym ozwał się drugi trzeci, dziesiąty; nagle dało się słyszeć skrzywienie piasku i jakieś głosy: widocznie ktoś się zbliżał. Jakoż po chwili, na piaszczystem wzniesieniu, za Sfinksem, zarysowała się sylwetka wielbłąda, a pod zgiętą jego szyją dwóch beduinów, przybranych w długie, białe szaty.“

„I ten biblijny wielbłąd, oraz ci dwaj, podobni do nocnych widziadeł, ludzie, byli jakby ostatnim akordem nokturnu.“

Nie można większej roskoszy wymagać od pisanego słowa. Przepiękny ten obraz wywołany jest i zaklęty jakimś czarem, którego tajemnicy pospolity pisarz nigdy nie posiędzie. A wrażenie tem jest potężniejsze, im sąsiednie tło listu bardziej szare, bo czytelnika zaskakują nagle słowa większe, potężne; głos opowiadacza rośnie i śpiewa, aż porwie cię, oczaruje — i znów „z hymnu sprowadzi do prostej powieści.“

Tego szarego tła jest szmat nieco większy w czwartym i piątym liście pierwszego tomu, gdzie rozdrażnienie, pochodzące z komplikacji w planie podróży i nieszczególny stan zdrowia autor pokrywa sztuczną nieco werwą, tem, co Niemcy nazywają „Galgenhumor.“ Ale wiele znów jest tam rzeczy informacyjnych, potrzebnych.

Obrawszy ostatecznie Zanzibar za cel podróży, przepływa Sienkiewicz morze Czerwone, z przystankiem w Aden, i wydostaje się na ocean, rad, że go już nie „kułakuje“ krótka fala w zatoce Adeńskiej... Ocean jest rozkołysany, jednak „ten szeroki ruch sprawia podwójne zadowolenie, bo naprzód nie nuży, a powtórę widzi się w nim jakby wielmożność oceanu w porównaniu do małych mórz, które, gdy chcą być potężne, są przedewszystkiem złośliwe.“

Uwaga ta wystarczyła-by chyba za odprawę recenzentom „Bez Dogmatu.“

Skoro tylko wrażenia podróżnika mnożą się, listy jego błyszczą opisowemi pięknościami. Do najpiękniejszych należy opis nocnego zjawiska, zwanego „światłem morza, przejmujący zagrobowym jakimś smutkiem.“ — „Cisza była zupełna; woda leżała ciężko, bez ruchu, jakby powierzchnia oceanu skrzepla pod śniegiem. Poszliśmy na przerzutkę (la passerelle), by oczyma objąć większy widnokrąg. Wszędy cicho, biało! Kapitan oświadczył nam, że to jest światło morza, ale, właściwie mówiąc, w tej białości nie było najmniejszego światła, ani jednego połysku; była ona tak matowa, jak całun. Księżyc nie świecił. Gwiazdy czyniły pozór srebrnych gwoździ, ponabijanych w żałobne obicie, albowiem niebo, w przeciwieństwie do morza, wydawało się czarne, jak kir. Było w tem coś mistycznego, a zarazem przeraźliwie smutnego. Mieliśmy takie uczucie, jakby już nas przeniesiono z ziemi na inną planetę, gdzie wszystko jest odmienne — i morze, i niebo, gdzie panują tylko te dwie trupie barwy i gdzie wśród tajemniczych mroków życie płynie w dusznym ucisku, w niepokoju i zabłąkaniu.“

Niesłychana giętkość pióra pozwala Sienkiewiczowi przerzucać się ciągle z tonu w ton i obok takich wrażeń malarsko-poetycznych bawić czytelnika humoreską, jak opis uroczystości przebycia równika, lub hotelowemi sylwetkami rodziny Lazarewiczów. A nie zaniedbuje też scharakteryzować sprawozdawczo kraju i mieszkańców, podaje nawet ciekawe spostrzeżenia własne o społecznych uzdolnieniach Indusów, Arabów i Murzynów. Treści naukowej i społecznej najwięcej w listach z czasu pobytu w Zanzibarze, gdzie Sienkiewicz zatrzymuje się dość długo. Najszerzej i z wyraźnem upodobaniem rozwodzi się nad niemiecką misją katolicką „Braci Białych,“ oddając poświęceniu i genialnej niemal akcji cywilizującej tych cichych księży hołd równie szczery, jak wymowny. Ale niema w tych opisach i wywodach ani echa kaznodziejskiego tonu, ani szczypty retoryki; wzruszenie autora udziela się poprostu czytelnikowi — i przekonywa.

Tak samo w spostrzeżeniach naukowych trudno-by gdzie zauważyć cień pedanteryi, magistralności. Płynie to swobodnie, bez żadnej pretensyi, jak jakie przyjacielskie zwierzenie, ubrane w humor i poezyę.

I chodzisz tak sobie z autorem po Afryce, jak prowadzony za rękę, trochę się uczysz, a dzielisz ciągle nietylko jego wewnętrzniesze nastroje, ale prawie i przyjemności. Podglądasz pod cień mangowego drzewa, skąd pierzcha nagle stado dziewcząt, świeżo wykąpanych w lagunie, o ciałach ciemnych, połyskujących w jasnym blasku miesięcznym zielonawo, jak stary bronz. Kto jest smakoszem, będzie ślinkę połykał, czytając pochwałę afrykańskich owoców; kto myśliwy, przebędzie z autorem prawdziwie łowieckie emocje przy opisach polowań na hipopotamy i nocnych głosów, dolatujących pod namiot, otoczony dziką rzeszą, wychodzącą na żer.

Ale co najważniejsza, że każdy, choć nie smakosz, zrozumie przyjemność jedzenia; choć nie myśliwy, odczuje urok poetycznej awantury, a każdemu zrobi się gorąco przy takim opisie skwaru:

„Nadeszły godziny największego upału i bezwzględnej ciszy. Nawet ptactwo pochowało się gdzieś pod gałęzie drzew i ucichło. W powietrzu nie było najmniejszego powiewu, niebo pobieleło na krańcach; ziemia utonęła w blasku tak silnym, że aż przeraźliwym. Woda w rzece wygładziła się zupełnie i zdawała się usypiać; arumy po drugim brzegu rzeki stały nieruchome i jak gdyby stężałe. U nas w chwili takiej ciszy wszystko się koi i to ukojenie stanowi duszę przestworza—tu tego niema. Tu wydaje się, że całą naturę przejmuje smutek i strach przed niemiłosiernem słońcem, że żadna żywa istota nie śmie drgnąć i zataja oddech w piersiach, a owo słońce wyteża się, jakby w złości, i wypatruje tylko, kogo-by zabić.“

To znów potrafi cię autor oslepić prawie gamą czerwonycń blasków w Zanzibarze, o zachodzie, kiedy „białe mury szamb i świątynki indyjskiej wyglądają, jakby z różowego światła ulepione; pióropusze palm palą się, jak zawieszzone w powietrzu ogniska; na mangach leżą krwawe odbłaski, nawet błękit nieba jest rumiany.“

Obok takich krajobrazów, czysto fizycznych, są opisy, charakteryzujące pewien nastrój i wzięte z innego zupełnie tonu, napoły malarzkie, napoły „pomyślane.“

„Pobożność nie ma tu twarzy surowej, ascetyzm nietylko nie jest pouury, ale poprostu wesoły. Też samą ewangeliczną sielankę, która nderzyła mój zmysł artystyczny w Zanzibarze, odnalazłem i w Bagamoyo—dalsza zaś obserwacya nauczyła mnie, że to jest stały nastrój wszystkich misyi. Prostota tu tak wielka, jak i praca. Wśród tej bajecznej roślinności, przypominającej opisy z *Paul et Virginie*, w cieniu tych palm, bambusów, pod girlandami ljanów, spostrzegasz pogodne twarze księży, pogodne twarze Murzynów i uśmiechy dzieci. Małeńkie żółto-czarne remizy zawieszają tuż przed drzwiami tysiące gniazd na drzewach, jakby i one wiedziały, że najspokojniej przy misyi; inne, róż-



znobarwne ptactwo nawołuje się łagodnie w gąszczach; do wtóru rozlegają się głosy dziecinne, mruczą warsztaty, czasem odezwie się dzwonek, a czasem w głębi ogrodu rozlegnie się głos organów, który, porwany przez powiew morski, leci nad dziką krainą, póki się nie rozproszy i nie ściemnie wśród puszczy.

Nawet w najbardziej informacyjnych częściach książki, jak np. w trzecim liście 2-go tomu, gdzie autor zapowiada na wstępie, że zajmować się będzie geografją, okrasy stylowe ożywiają jednostajność wyliczenia rzek, zwierząt i roślin. Wśród przepychów nowożytnego malarstwa, oczywiście te skromne karty bledną, ale czasem uderzą czytelnika nadzwyczajne rysunkowe pomysły:

„W miejscach niższych woda zalewa zarośla, tworząc pod ich sklepieniem całkiem niedostępne, ciemne łąchy, doły i drzemiące jeziora, prawdziwe mateczniki dla wszelkiego rodzaju gadów o beznymślnych czaszkach, przygasłych oczach a straszliwych paszczach—dla krokodyłów, żółwi i pytonów, które tam wśród śmiertelnych wyziewów lęgną się, grzeją, drzemią i pożerają wzajemnie.“

Te krokodyle leniwe i zdradne, o kształtach „elementarnych,“ te „ropuchy powolne, pełne melancholii, rzekł-byś, zmartwione własną brzydotą,“ albo nosorożec „paliwoda,“ który, mimo ogromu i siły, jest jednak figurą humorystyczną, „wygląda bowiem, jakby miał szlafrok na wyrost i jakby go opadały pewne, poniżej leżące, części ubrania“—takie oświetlenia oryginalne, na które tylko oko i pióro artysty zdobyć się mogą, utrwalają obraz lepiej i stalej, niż najdokładniejsze opisy.

Podróż w głąb lądu od Bagamoyo przez rzekę Wami do ludożerczej osady Muene-Pira, wioski Tebe, Mandera, M'Pongwe; odwrót z powodu zbliżającej się massiki, czyli pory dżdżystej, febra, szpital w Zanzibarze, wreszeie szczęśliwy powrót do zdrowia i do kraju — oto dalsza kanwa książki; ale treścią jej prawdziwą pozostają ciągle krajobrazy. Na zakończenie przytoczę jeszcze jeden, tak fantastystyczny w pomysle, a przez fantazyę i transpozycję tak jednak realne dający wrażenie, jak jakie płótno owego ojca impresjonistów, największego może poety między malarzami — Arnolda Boecklina. Musiało błąkać się tam śród puszczy imię szwajcarskiego mistrza, skoro się nawet wymyka Sienkiewiczowi z pod pióra:

„Brzegi Wami pokryte są w tem miejscu przez prawdziwy las dziewiczy...“ „Upięcia ljanów, poprzerzucane z drzewa na drzewo, zwieszające się—i tuż nad wodą i dalej, w głębi—tworzą pozór kotar nad drzwiami mrocznych świątyń leśnych. We wnętrzu ich światło jest uroczyste i przyémione, jakby przechodziło przez gotyckie okna; pnie drzew majaczeję nakształt kolumn w oltarzach, głąb całkiem jest zakryta dla oka; wszędy spokój, milczenie; wody ocembrowane murem

drzew — dziwne, prawie mistyczne zacisze! Pograżony w niem człowiek mniema, że wdziera się w jakąś tajemnicę i że kogoś obraża. Wszelka nadprzyrodzona istota wydała-by się tu rzeczywistą, tak, jak w obrazach Boecklina. Mimowoli słuchasz, czy w głębinach leśnych nie rozlegnie się krzyk dryady. Zdaje ci się koniecznie, że tu ktoś czasem śmieje się, woła, i że gdy żadne oczy ludzkie nie szpiegują lasu i rzeki, wówczas z pod firanek ljanów wysuwają się jakieś nadzwyczajne twarze, naprzód oglądają się bystro naokół, a potem dziwaczna rzesza wyskakuje z gęstwiny i pluska się rokosznie w zacienionych wodach.“

Po nużącym pochodzie do Gugurumu, gdzie Sienkiewicz i towarzyszy jego spodziewali się użyć do syta polowania, — autor „Listów“ dostaje febry, psuje się podróż — i książka zaczyna się kończyć. Sienkiewicz zabiera się do powrotu i, jakby na dobitkę żalu i zawodu, ostatniej nocy przed wyruszeniem do Zanzibaru, ten podróżnik-poeta, ten zapalony myśliwy, teraz chory i śmiertelnie znużony, słyszy wyraźnie po raz pierwszy — stękanie lwa.

I czytelnika tutaj zbiera serdeczny żal...

Zdając sprawę z książki, której wartość główna zasadza się na stylu i języku, umyślnie przepisałem jak najwięcej słów Sienkiewicza. Łatwiej mi teraz twierdzić, że za dzieło to skromnego zakroju nie tylko należy się autorowi wdzięczność, jako artyście za szlachetne estetyczne zadowolenie czytelnika, ale że „Listy z Afryki“ są nowym i cennym nabytkiem dla naszego piśmiennictwa.

Trwałą ich zaletą pozostanie naprzód język, tak bogaty i czysty, że można go chyba nazwać wzorem nowożytnej polszczyzny. Wielcy tylko władcy języka umieją tak się z nim obchodzić, jak Sienkiewicz. Odmładza on archaizmy, tworzy nowe wyrazy z takim smakiem i taktem, że czytelnik odrazu rozumie ich znaczenie i potrzebę. Nie jest to dowolny zbiór wyrażeń starych i nowych, klasycznych i ludowych, z których mozaikę ułożyć można jaskrawą, ale nietrwałą i makaroniczną. Sienkiewicz tworzy wyraz tam, gdzie go brak (*przerzutka, chwiejba, pluskość, rozwidlać się*), odrzuca niepotrzebne suffiksy (*przezroczy zamiast przezroczysty*), powołuje niesłusznie wycofane z obiegu słowa, jak *tuzać, dłużyć się, rostocz* morska, *napiętki* butów, *podłoże, podcienie* i t. d. Dało-by się z tych nowości ułożyć cały słowniczek.

O stylu wnosić można nie tylko z tego, com powiedział, ale dużo łatwiej z licznych przytoczonych ustępów. Wybrałem je jednak umyślnie w innym jeszcze celu, dla uzasadnienia uwagi, położonej na wstępie, o nowym sposobie malowania krajobrazów.

Przyzwyczajaliśmy się do faktu, że we wszystkich rodzajach literackiej prozy Sienkiewicz dawał nam dzieła najlepsze i „Listy z Ame-

ryki były przez lat kilkanaście ulubionym wzorem opisów podróży. Dzisiaj jednak prześcignięte zostały przez samego ich autora i trzeba je odczytać, żeby zobaczyć, jakim ogromnym wzlotem poszedł wyżej talent Sienkiewicza-pejzażysty. Nie będę się tu sprzeczał z tymi, którzy mi powiedzą, że amerykańskie listy składają pełniejsze studjum o kraju i obyczajach, że humor w nich jaskrawszy (może nawet zbyt jaskrawy), ale afrykańskie opisy przyrody są tak dalece od tamtych wyższe i bardziej przejmujące, że musi w tem tkwić zasadnicza prawie różnica. Nie mówiąc już o bogactwie wyrażen i dobitności zdań, pozornie bardzo prostych, a tak dobranych i dźwięcznych, że zadawałniamy słuch i umysł odrazu, można powiedzieć—ostatecznie,—trudno nie zauważyć nacisku, jaki Sienkiewicz w swych opisach podróży do Afryki kładzie na koloryt, na cechy subtelne, a specjalnie uderzające. Sienkiewicz *wraża* dzisiaj bardziej krajobrazy w uczucie, niż je szczegółowo przekazuje pamięci czytelnika. Sposób to trudny, a dopiero wtedy nadzwyczajnie skuteczny, kiedy nim kto tak, jak autor „Listów z Afryki,” owdłanie, — no, i bardzo nowożytny. Było-by jednak nietylko dowolnem, ale z gruntu fałszywem twierdzenie, że Sienkiewicz cokolwiek pożytył od francuskiego impresjonizmu. Owszem—nie zatracił on nic ze swych zalet oryginalnych, ani humoru, ani prostoty, ani tego niezłomnego moralnego zdrowia, przez które nad wszystkimi chyba współczesnymi artystami góruje;—skorzystał tylko z nowych zdobyczy literackiego malarstwa.

Bo powiewy, przechodzące przez wierzchnie dusze w Europie, nie mogą ominąć i naszego pisarza. Biją w nim wszystkie nowożytnie tętna, hamowane przez miarę, smak i indywidualną, wybitną odrębność,—krótko mówiąc—przez ogromny talent. Jak ta zdrowa, samoistna potęga talentu wchłania w siebie każdy większy głos, płynący przez ludzkosć, jak mu harmonijnie oddzwiecza, choć go po swojemu przetwarza, najlepszym chyba dowodem poemat „Pójdźmy za nim,” ta wspaniała odpowiedź echowa na mgliste, nieokreślone jeszcze nawoływania nowochrześcijan zachodnich. Tylko echo większe tu i czystsze od samego wołania.

JÓZEF WEYSSENHOFF.

---

*Edmund de Amicis. Ze szkoły i z domu. Nowele dla rodziców i nauczycieli. Przetłóżyła Marya z Siemiradzkiej Obrąpalska. Warszawa u Teodora Paprockiego i Sp. 1893 r.*

Książka pod tym napisem obejmuje ośm nowel (niektóre są tylko obrazkami), które, z wyjątkiem jednej — „Nieznany poeta”, odnoszą się

doświata dzieci, rodziców, nauczycieli i t. d., a ze wszecch miar zasługują na to, aby je sobie odczytał każdy, kto ma do czynienia z wychowaniem. Jest to prawdziwa gwiazdka dla starszych, nadzwyczajnie zajmująca czytanką, a jaka pożyteczna! Chciało-by się więcej i więcej takich poważnych kwestyi mieć przedstawionych w ten wysoko artystyczny sposób. Trudno, *Amicis* jest tylko jeden. Po przeczytaniu owych nowel, każdy sobie musi powiedzieć: „zwracamy uwagę na same tylko dzieci, a przecież ci, którzy je wychowują, tak nieuchronnie powinni wchodzić w rachubę.” Autor jest za wielki artysta, aby potrzebował tę naukę wypowiadać wyraźnie; spostrzega się ją tylko w tem mi-szrowskiem oświeteniu, które on zwykł pracy swej nadawać. A poruszył sprawy nadzwyczajnie ważne. Piędź wiedzy i rozumu więcej, czy mniej, nie wiele znaczy; ale cnota, charakter — to musi być całe i musi być szczere, jak złoto. Skąd-że się to ma wziąć u dzieci, kiedy w ich otoczeniu panuje anemia moralna? Jeden zgryźliwy, drugi dziwak, trzeci egoista, inny maniak — i chcą, żeby dzieci były chodzącą cnotą. Podobnie jak głupiec nie wychowa mądrego, tak i tem bardziej szwankujący na charakterze nie zdoła wychować człowieka z charakterem: wychowujemy tylko sobą, to jest tem, co w sobie mamy. Jeżeli się i znajdzie dziecko z dobrą naturą, to ono przepadnie wśród złych wpływów otaczającej je starszizny; natomiast złe dziecię musi się koniecznie uzacnić. Albo należy nieograniczenie w tę prawdę wierzyć, albo wcale nie wychowywać — środka tu żadnego niema. Nowele *Amicisa* czyta się z rokoszą już z powodu ślicznej formy i stylu; ale ta jego trafność spostrzeżeń, to odrzeźbianie życia szkolnego, dają umysłowi, po przeczytaniu książki, nieprzerobiony materyał do rozważania. No, i serce ma tu tyle pokarmu, że nie może pozostać bezczynnem. Więcej takich książek!

*Księgarz szkolny* jest bohaterem pierwszego obrazka. W małym sklepiku, za kantorkiem, człowiek ten, pracując na rodzinę, stracił zdrowie, zgorzkniał, stał się marudnym pessimistą. Żactwo szkolne, kupujące u niego książki, kajety, stalówki, bibułę i t. d., jest nadzwyczajnie wybredne, dokuczliwe, a — powiedzmy szczerą prawdę — zdarzają się też mali oszuści. Ci malcy: klótnicy, zawalidrogi, swawolnicy, wszelkiego gatunku lekkoduchy, zupełnie rozstroili nerwy księgarza, w gruncie rzeczy uczciwego i dobrego człowieka. — „Proszę o zeszyt — numer drugi!” — woła rozkazującym głosem jakiś wstępniak, mający chytrą minę. — Księgarz spełnia wolę kundmana. „Proszę dodać stalówkę, dekalkomanję i arkuusz bibuły!” A kiedy księgarz i to dodał, wyzyskiwacz żąda jeszcze czterech pieczętek, bo jak nie, „to pójdzie do innego sklepu i kolegom powie, aby tu więcej nie kupowali.” — „Dłużej już nie wytrzymam z nimi! Niszczą mię, minują, zabijają!” —

Wolał biedny księgarz.— Inny znowu chłopak wpada do sklepu i woła: „Proszę o arkusz bydła!” (Arkusz z malowanymi zwierzętami domowymi). Księgarz myśli, że to obelga, lecz daje; malec zaś pyta: „A osieł jest?...”

— „Całe to pokolenie młode.— na nie! To tłum łotrów, niegodziwców! Włochy zgubione!” — Przez otwarte drzwi wrzucają mu z ulicy do sklepu ogryzki owoców, różne śmiecie; przylepiają mu na szybie czerwono malowaną głowę osła i t. d. — Mieć takie całe życie— to przecie nie wesoło.

*Dramat w szkole* ukazuje całą galeryę wybornych typów nauczycielek, dwie matki i dwóch ojców. Widzimy tu nauczycielkę praktyczną, gosposię taką, co to sama ma dużo dzieci i uczennicom daje rady gospodarskie, wie jakie ceny na targu, objaśnia, jak latać, cerować, nicować a grosza oszczędzać. Inna znowu zamilowana w strojach, usiłująca się podobać, wsadzająca miłość w wypracowania piśmienne i francuszczyznę przeplatająca swe rozmowy. Jeszcze inna chełpi się wysokim dyplomem naukowym, nosi złote okulary, dba nadzwyczajnie o czystość języka, dumna jest z tego, że udziela lekcyi w hrabskich domach i ciągle zbiera składki na wydanie podręcznika literatury, przez siebie napisanego. Spotykamy tu także nauczycielkę starego typu, ubraną „jak klasztorna furtyanka”, zimną w obejściu z uczennicami, a taką konserwatystkę, że przez dziesięć lat nie wprowadza w nauczanie żadnego ulepszenia; zowią ją „szkolną nudą.” Jest też tu żywa, wesoła aż do urwisostwa nauczycielka, której się przeciwstawia inna—poważna, czarno ubrana, w czarnym woalu, zajmująca się spirytyzmem, a zwana „tajemniczą.” Albo znowu — okragluclna, posiadająca zdumiewającą łatwość naśladowania ruchów i mowy każdego, tak, że najpoważniejsze jej koleżanki muszą śmiechem wybuchać. Każdy z tych typów oddziaływa w szkole po swojemu i wychowuje w dzieciach swoje własne niedostatki lub przyniooty. Szkołą zarządza przełożona, stara panna, istny „żandarm w spodnicy”, sztywna, ostra, wyniosła, „parasolką prostująca szeregi uczennic.” Na takim tle rozwija się dramat w szkole, który atoli ma źródło swe w domu rodzicielskim. Matka uczennicy Julci, dziewczynki dwunastoletniej, dobrej i bardzo wrażliwej, prowadzi życie niegodne kobiety, a przytem tyranizuje męża i jedyne dziecko. Julcia cierpi skrycie z powodu złych stosunków domowych i w szkole znajduje przyjaciółkę Giorginę, córeczkę kobiety z tłumu, nadzwyczajnie wstrętnej pijaczki, a prócz tego Julcia przywiązuje się bardzo do swej nauczycielki, dobrej i szczerze miłującej dzieci, panny Faustyny. Matka tej dziewczynki utrzymuje podejrzane stosunki z oficerem, hulaką, znanym podbijaczem sere niewieścich, a także ojcem Maryi, koleżanki Julci. Ta Marya jest prawdziwą

zmijką, posiada złośliwość, przebiegłość i przewrotność już dojrzałej i zepsutej kobiety. Ona-to puszcza w obieg po klasie kartkę, obwieszającą, że matka Julci „wdaje się z pierwszym lepszym”, i kartka zniesławiająca matkę dostaje się nareszcie do rąk córki. Julcia odebrała cios śmiertelny. Biedne dziecko nigdy już potem nie wróciło do szkoły. „Tyle cierpiałam i od tak dawna cierpię, od chwili, gdy rozumieć zaczęłam, a zrozumiałam tak wcześnie!” — Mówiła Julcia na łożu śmierci do swej nauczycielki i przyjaciółki, Faustyny. — „O, droga pani, ileż ja to wstydu, ile katuszy widziałam i odgadłam! Żadne dziecko głodne, bite, zmuszone zebrać po ulicach, nie cierpiało więcej ode mnie!” — Aniołek ten poniósł do grobu swą boleść, a ojciec, nad życie kochający dziecko, dostał obłędu; matka nie przestała być tem, czem była. Mamy tutaj zestawienie złego wychowawczego wpływu domowego z dobrym wpływem w szkole. Nauczycielka lub nauczyciel, o ile dają dziecku to, czego mu dom odmawia, odbierają sowitą nagrodę w miłości i wdzięczności dziecka.

W *Latinorum* autor przedstawia górala prostaka, który syna swego, chłopca bardzo małych zdolności, oddał do gimnazjum klasycznego. Tym pomysłem natchnęła go może „Grecya, gdzie dwa lata pracował przy robotach kamieniarskich”, a może mu kto wbił w głowę, że „człowiek, nie umiejący po łacinie, nie może umieć po włosku.” Góral, dręczący nauczycieli swoją krytyką sposobów wychowywania, wszedł w zatarg z uczniami gimnazjum, ponieważ częstokroć wyczekiwał na syna przed szkołą. Stąd sytuacje pełne komizmu. Ostatecznie przekonał się, że klasycyzm nie wart i chłopca odebrał z gimnazjum — to właśnie, co mógł zrobić najlepszego. Iluż-to takich górali-ojców i u nas!... Nie wiedzą oni zupełnie, czego i po co się uczą ich dzieci.

Podróżując po Ameryce południowej, Amicis był i w Argentynie. Kiedy wrócił do ojczyzny, posyła dzieciom z drugiej półkuli, po przez Atlantyk, życzenia — „Do dzieci z *Rio della Plata*.” W dużym stylu są piękne te życzenia: „Wesołych świąt, pomyślnego roku!... Bądźcie szczęśliwi i kochajcie się nawzajem: wy, mali kreole, podajcie dłoń metysom; wy, Europejczycy, wyciągnijcie ręce do małych Indyan; zwijcie się braćmi, wzrastajcie w zgodzie i miłości!” i t. d. Prześliczne w tem posłaniu są obrazy różnych dziecięcych postaci, odtworzone ze wspomnień podróżnika autora, a rysowane na wspaniałem tle zaoceanowych krajobrazów.

W noweli *Miłość i gimnastyka* chodzi widocznie o zaznaczenie, jak wielką doniosłość dla społeczeństwa ma gimnastyka szkolna. Ażeby przedmiot uczynić poważniejszym, autor wziął tu za bohaterkę nauczycielkę gimnastyki, entuzjastkę pod względem ćwiczeń fizycznych, co jej jednak nie przeszkadza być tak dobrą, szlachetną, pełną niewie-

ściego wdzięku, że chyba tylko aniołom mogła-by ustąpić pierwszeństwa. Jej fizyczna budowa doskonałością swą przypomina kształty posągów greckich. „Światło nadawało jej cerze taki blask młodości, iż zdawać się mogło, że każdy pocałunek, wyciśnięty na jej twarzy, może człowieka o cały rok odmłodzić; ręce, nieco od ćwiczeń gimnastycznych zgrubiałe, były długie, piękne, zgrabne i silne; pierś—drgająca pełnią życia, szeroka; głos miała piękny, lecz zadziwiający prawie męskim brzmieniem: cała postawa odznaczała się spokojem i pełną wyrazu godnością.” Ten i ów kochał się w niej; ale aż do szaleństwa zapalał miłością dla tej nauczycielki sekretarz Celzani, człowiek pospolity, może nawet śmieszny, który jednak pod wpływem uczucia stawał się coraz szlachetniejszy. Cóż z tego, kiedy pani jego serca ani przez myśl nie przeszła miłość. Ona żyła wyłącznie swoim zapalem dla sprawy, widziała, iż we Włoszech na trzysta tysięcy rekrutów przypada osmdziesiąt niedołągów, — że po gimnazyjach pełno chłopców bladych, słabowitych, z wąskimi piersiami, z ramionami jak patyczki,—że na dziesięć panienek trudno znaleźć dwie, któreby nie były wadliwe fizycznie. Nie jest to, naturalnie, zwolenniczka tej gimnastyki linoskoków i atletów, ani owej teatralno-literackiej, co urządza jedynie zjazdy, bankiety i widowiska. Nasza bohaterka zna tylko gimnastykę jako środek wychowawczy, gimnastykę wyrozumowaną, opartą na zasadach anatomii, fizyologii, higieny, dającą dzieciom zręczność, siłę, zdrowie, wdzięk, wesołość, a podnoszącą ich zdolności umysłowe i moralne. Nie dziwnego, iż kobieta piękna i dobra natchnęła męczyzną miłością; ponieważ sama atoli nie miała czasu myśleć o miłości, przeto raz po raz odrzucała oświadczenia. Nieszczęśliwy zalotnik stracił posadę, przyjaciół; chcąc się przypodobać, czytywał dzieła o gimnastyce, a nawet potajemnie brał lekcyc gimnastyki. Wszystko na próżno! Ona tymczasem udzielała lekcyi, miewała odczyty, pisywała wyborne artykuły, w których zwalczała ciemnotę, nierozsądną obawę urojonych niebezpieczeństw, opieszalność, złą wolę względem gimnastyki i t. d. I ktoby się spodziewał, że właśnie wtedy, kiedy zbierała najobfitsze wawrzyny, kiedy ją wielbiono powszechnie i otaczano hołdem, powzięła szlachetne współczucie dla biednego sekretarza Celzaniego i oddała mu swą rękę. „W szalonej radości, w bezbrzeżnym raju, do którego niosła go niby olbrzymia siła wichru, wydał stłumiony okrzyk: Wielki Boże!”

Jest to najpiękniejsza z nowel w tym zbiorku.

*Nauczycielka robotników* stanowi znowu nowelę z innym pedagogicznym założeniem. Mamy wieczór, przed ósmą roją się po alei czarne gromadki robotników, a w ciemnościach błyskają ich fajki i cygara, jak ogniste oczy. Oni idą do szkoły, wchodzą pojedynczo po trzech, po pię-

ciu, z książkami, z zeszytami, tupią nogami z zimna, robią hałas trzewikami o drewnianych podszwach. Są to uczniowie różnego wieku— od lat dwunastu aż do pięćdziesięciu: robotnicy z fabryk, mularze, rzeźnicy, parobcy wiejscy, pasterze, którzy na zimę przybywają z Alp do Turynu. Czupryny rozczochrane, najeżone, wielkie brody, niestrzyżone włosy, twarze czarne, koszule brudne, grube kurtki, z których rękawów wyglądają kaftany. Tam oto siedzi człowiek, wyglądający na Herkulesa, ma lat około czterdziestu, przygarbiony, o niskiem czole, o wielkiej, niekształtnej głowie i ustach przypominających wołu; za obsadkę służy mu klucz, w który włożył pióro stalowe. Jest to czeladnik rzeźniczy. W innej ławce siedzi mężczyzna pięćdziesięcioletni, wysoki, z gęstą siwiejącą brodą, z dobroduszną, zmęczoną twarzą uczciwego robotnika. Dalej widzimy innego robotnika, porządnie uczesane go, z miną prawie pańską, z oczyma połyskującymi inteligencją i dumą; jest on zarozumiały, na wypracowaniach szkolnych podpisuje się „Lamagna Ludwik, równy panu, nie-sługa.” Szauują go towarzysze, którym w fabryce żelaza opowiada *słowo nowe*. W pierwszej ławce znowu siedzi niejaki Muroni, jeden z tych barabbi, co to nie wahają się użyć noża, ilekroć przyjdzie zaspokoić uczucie zemsty. Ma on głowę małą, uczesaną po kobiecemu z przedziałem przez środek, twarz— sinawo-błądą, z dwojgiem czarnych, przenikliwych oczu, z zimnym a stanowczym wyrazem mściwej i bezlitośnej złości; usta jego wąskie, prawie warg pozbawione, mające w sobie coś niewieściego a okrutnego zarazem; cała postać—proporcjonalna, sucha, zdradza muskulaturę żelazną i zwinność linoskoka. Jest on głośny na przedmieściu Turynu i pięści jego, równie jak noża, lękają się wszyscy, którzy zachodzą do oberży „Pod kwoką.” — Ale skończmy już wyliczanie tych ciekawych uczniów, do których wychowywania zwykła pedagogika nie wystarcza. Któż prowadzi tę szkołę? Kto potrafi ugłaskać te szorstkie, prawie dzikie natury,—przemówić do tych surowych i zaniebanych umysłów? Oto, nauczycielka, kobieta delikatna, wątła, bardzo starannie wychowana, skromna, nieśmiała, dwadzieścia parę lat licząca, panna Varetti. Fleż ona tu musi wycierpieć, ile razy rumieni się jej przyjdzie!—Muroni z początku traktuje ją tak, jak junak tej kategorii zwykł traktować wszystkie znane sobie kobiety: z bezczelnym cynizmem ordynaryjnego gburą. Można-by go wprawdzie ze szkoły usunąć; ale któż wówczas uchroni biedną nauczycielkę przed zemstą skończonego opryszka, który na wszystko gotów, zwłaszcza gdy się upije? Varetti taktem swoim, szlachetnem obejściem, naturalnością i godnością kobiety, doprowadza do tego, że ów gbur uznaje ją naprzód za jakąś istotę wyższą, a później ucuwa dla niej miłość, lecz miłość połączoną z czcią i szacunkiem. On, który z razu był przyczyną nieporządku w szkole i pier-



wszy uwłaczał nauczycielce, staje się najpierwszym stróżem i przestregaczem porządku przyzwoitości. Uczucie jego jest tak wyraźne, że koledzy zaczynają z niego szydzić, nie oszczędzając przytem nauczycielki. Straszne sceny rozbijania szcęk po lekcyi, łamania żeber, są na porządku dziennym, gdyż Muroń nie przebacza uraz. Trwa to do czasu tylko, gdyż ostatecznie znawia się nań kilku i Muroń ginie od noża. Umierającego jedna z Bogiem nauczycielka.

Rozpisaliśmy się może nieco za długo o nowelach Amicisa, ale to tylko dlatego, że książki podobne bardzo rzadko się pojawiają. Powieść pedagogiczna dla nauczycieli i rodziców ma teraz utartą drogę.

ADOLF DYGASIŃSKI.

---

**Dzieci szczęścia.** Powieść, przez *Waleryę Marrené*. Warszawa. Nakładem S. Lewentala.

Niewybrednych widocznie czytelników miała na oku pani Walerya Marrené, pisząc „Dzieci szczęścia.” Znana w literaturze naszej autorka, tak w twórczych, jak i krytycznych pracach swoich, tyle razy dawała nam świadectwo talentu w sobie i poczucia go w innych, iż nie przypuszczamy zgola, aby omawianą tu powieść sama do przednich liczyła.

Pocziwe to, no i *czyta się*, choć napisane „za receptą”, ale jakże nie wspólnego nie ma z talentem i wymaganiami ostatniej chwili.

„Dziećmi szczęścia” — o ironio! — zowie autorka wychowane w zbytku dzieci mecenasa Sawińskiego: Marcelę, Jadwigę i Stanisława, którym po nagłej, jak z bicia trzasł, śmierci nieopatrzego ojca, usuwa się grunt pod nogami i giną: Marcela w szablonowym „*grande canale*” weneckim, Jadwiga w szpitalu a Stanisław w kryminale.

Lekkomyślność rodziców ciężko ukarana w dzieciach. Stało się zadość „pocziwej” tendencji, ale czy zgodnie z prawdą i życiem, które zwyczajnie nieopatrznie wychowywane dzieci samo już w powną dozę odporności wyposaża.

A przytem zmarniało tak wszystko troje! Żeby się choć jedno ostało! Czy nie za wiele?

Bo że ginie Stanisław, próżniak i hulaka—zgoda; że milionom i nadszkakiwaniu prezesa, pozbawiona nagle środków do życia a we

wszystkiem wiotka i „wychuchana”, ulega Marcela, a nie mogąc znieść pogardy ludzkiej, przepada samobójczą śmiercią w kanale weneckim — i to jeszcze pojmujemy; ale po co było Jadwigę, ową najtrzeźwiejszą, a nawet tkliwą duszę w rodzinie Sawińskich, wspartą przecie na ramieniu praktycznego a dzielnego narzeczonego w osobie Gustawa, pojmującą położenie i szukającą zbawienia w pracy i uczciwym zarobku, zabijać suchotami, choćby tak wyidealizowanemi, iż: „śmierć sprowadzają lekką, wśród marzeń szczęścia, cichą jak sen”, — choćby *takimi* suchotami?...

Wszakże to dziś czytelnicy, a przynajmniej pewna ich warstwa, nie „na wiarę” autorów nie przyjmują, a przypadkowa niemal śmierć Jadwigi nie obroni w oczach ich tezy przewodniej.

Gdyby życie ludzi tracących dobrobyt gnębiło w rzeczywistości tak, jak to czyni z „dziećmi szczęścia”, zabrakło-by w końcu i kanałów, i szpitalów, i kryminalów, potrzebnych raczej tym, którzy nigdy dobrobytu nie zaznali. Wszak zresztą, jeżeli chodziło autorce o „danie nauczki” lekkomyślnym rodzicom, dość było rodzinę Sawińskich skazać na ciężką walkę o byt, bez wysilania się na tragiczne epilogi. Uprawdopodobniło-by to sytuację, dając założeniu powieści piętno realizmu, tak niezbędnego dziś w belletrystyce, zwłaszcza tendencyjnej.

Świadoma niezbędności warunku tego, autorka, realizm ducha powieści starała się zastąpić realizmem formy, w długich, nudnych a nie ratujących położenia opisach: balu np. u Sawińskich lub pogrzebu mecenasa. Przeblyski te robionego realizmu tanują nawet w niektórych punktach tok powieści, wciskając do niej nad miarę przewlekłe epizody, choćby nawet tak udatne, jak cały ustęp, poświęcony pobytowi Jadwigi u starych panien Obrańskich, u których zamieszkała, uciekwszy od siostry, skompromitowanej częstemi odwiedzinami prezesa. Epizod ten, z wybornie scharakteryzowanemi sylwetkami panien Praksedy i Lucyny i otoczenia ich, mógłby sam w sobie udatną stanowić nowelę, a nawet tło całej powieści, ale w „Dzieciach szczęścia” nieproporcjonalnym jest tylko balastem.

Wszystkie inne figury w powieści, kreślone szablonowemi rysami, nie uwypuklają się należycie, z wyjątkiem może jednego Czerezy. Młody ten, wielkie rokujący nadzieje, ale bez grosza adwokat, za życia jeszcze Sawińskiego narzeczonej Marceli, zwraca jej słowo po śmierci ojca, ponieważ, pozbawiony nagle wpływów tego ostatniego, nie zdołał-by otoczyć ukochanej zbytkiem, bez którego nie było dla niej szczęścia.

W ogóle w „Dzieciach szczęścia” nie spotykamy się, z wyjątkiem wymienionego epizodu, ze śladami „lwiego pazura” talentu; powieść płynie szara, mdła, stereotypowo utartymi ścieżkami i ostatecznie tonie, jak Marcela w kanale, w szablonie.

Ani tak zła, aby jej prawa bytu odmawiać, ani tak dobra, aby ją czytelnikowi zalecać.

Jak rzekliśmy: „czyta się.”

WACŁAW KARCZEWSKI.

---

## KRONIKA MIESIĘCZNA.

---

Polityka wciąż stoi pod znakiem Panamy. Od dwóch miesięcy Francya żyje tylko Panamą; inne kraje tylko nią się interesują. Wszystko zresztą zbladło i przestało zaciekawiać, może dlatego, iż spodziewano się po „skandalu panamskim“ doniosłych następstw, zmian w całym układzie stosunków międzynarodowych. Istotnie, gdyby rzeczpospolita we Francyi ustąpiła miejsca monarchii, albo gdyby bez tego przewrotu Francya straciła ów zagraniczny punkt oparcia, jaki od pewnego czasu posiada i do którego wielką przywiązuje wagę, skutki stąd mogły-by wyniknąć wielostronne. W Paryżu mówiono dużo o możliwym upadku republikańskiej formy rządu; Berlin zacierał ręce na myśl, że Francya znowu może popaść w stan politycznego osamotnienia. Nasłuchaliśmy się wszyscy o tych ewolucjach tyle, że ci i owi zaczęli w nie wierzyć; kto nie wierzył, musiał jednak zgodzić się, że nastąpiła chwila przejściowa, chwila niepewności, i że nikt nie jest zdolny określić, czy wynikną z niej, lub nie, jakie polityczne i dyplomatyczne przewroty.

Dziś, po dwóch miesiącach delacyi, śledztw i niepokoju, aczkolwiek do końca ich jeszcze daleko, można przecież orientować się w stosunkach. Komisya śledcza i sądy pracują wśród coraz większego spokoju w atmosferze, wśród coraz większej obojętności. Gdy nie nastąpił wybuch odrazu, w pierwszej gorączce oburzenia, zapewne nie nastąpił wcale. Zwłoka wyczerpuje nerwy ludzkie i sieje znużenie. Wielu

jeszcze finansistów, przedsiębiorców i polityków przesunąć się może przed kratkami sądu. To nie przeszkadza jednak, że wszelkie nadzwyczajne oczekiwania polityczne, na przekór wróżbom alarmistów, wydają się już teraz nienzasadnione. Niektórzy publicyści francuscy, pragnący upadku Rzeczypospolitej, miotają z tego powodu pioruny we własną społeczność. Według nich, nie wypadało jej spokojnie znosić i przebaczać takich rządów. Powinien był wstrząsnąć narodem dreszcz oburzenia i obalić Rzeczypospolitą za winy jej przedstawicieli. Że się tak nie stało, dowód to powszechnego spodlenia charakterów. Żaden z dawniejszych rządów francuskich w bieżącym stuleciu nie był-by przetrwał takiego wypadku, jak skandal panamski, bo ludzie byli inni, bo poziom moralny był wyższy, bo pojęcia polityczne były czystsze. Teraz widać jad przeniknął do krwi narodu, skoro patrzy on bezmyślnie na wszystko, co się dzieje, i nie podnosi ręki dla usunięcia zhańbionych instytucji.—Może w tych narzekaniach być trochę prawdy; jest niezawodnie i wiele przesady. Nie chodzi nam jednak w tej chwili o analizę przyczyn, lecz o sam fakt, który z nich ostatecznie wynika. Rzeczypospolita stoi. Społeczność ciekawie przygląda się usuwaniu jednostek, które uległy korupcyi; ale z tem jakby przekonaniem, że gdy przekupni zostaną wykryci i ukarani, nie przeszkodzi innym, uczciwym, uczciwie rządzić Francją przy tej samej republikańskiej konstytucyi. Społeczność nie kładzie przekupstw francuskich na karb systemu politycznego, pod którym zostaje Francya od dwudziestu dwóch lat. Dlaczego tak robi, różne są powody. Częściowo dlatego, że było-by to niesłuszne. Nie system zarażał społeczeństwo, lecz odwrotnie. Jacy byli ludzie, takie musiały być rządy. Ze zmianą formy nie-by się jeszcze nie naprawiło. Oszuści oszukiwali-by tak dobrze w monarchii, jak w Rzeczypospolitej. Gdyby stronnictwa monarchiczne umiały były zachować do dziś wysoką reputacyę moralną i polityczną, kto wie, może przyjęło-by się na ich korzyść przekonanie, że one są zdolne dostarczyć państwu personelu rządzącego w lepszym gatunku, niż stronnictwa republikańskie. Może wówczas Francya, przy takiej okazji, jak obecna, wyciągnęła-by do nich rękę i powierzyła im swoje losy. Stało się atoli, że monarchiści, na inny sposób wprawdzie, ale zaszargali swoją opinię jeszcze przed republikanami. Związki, w jakie weszli w okresie bulanżyzmu, skompromitowały ich polityczną dobrą wiarę. Chcieli Rzeczypospolitą obalić, a nie mieli odwagi do tego się przyznać. Działali podstępnie, jako niby „nawróceni“ na republikanizm. Zawarli na ten cel przymierze z szumowinami politycznemi wszystkich stronnictw, z ludźmi bez zasad, bez honoru, z malkontentami, żądnymi kariery, którą spodziewali się wyłowić w zamęcie wstrząśnień rewolucyjnych. W takich szeregach znalazłszy się, monarchiści musieli przejść od

nich kondotyerskie sposoby działania. Walczyli oszczerstwami i kłamstwami. Nie byli lojalni ani w planach, ani w taktyce. Szli po błocie, wraz z gawiedzią, która im się sprzedawała, bądź za gotówkę, bądź w nadziei późniejszych zdobyczy. To też kiedy przegrali kampanię, pokazało się, że bezimienna gawieź rozpierzchła się po kryjówkach, a oni zostali na placu zabłoceni. Mieli wtedy postać odstraszącą. Republikanie skorzystali z tego, żeby mniej zapalonym otwierać oczy na zużycie się stronnictw monarchicznych i na potrzebę powszechnego uznania rzeczypospolitej. Poparł ich w tem głos Papieża, który zalecił katolikom francuskim akces do istniejącej formy rządu. A takie zachowanie się Papieża samo było pośrednim wyrazem dyskredytu moralnego, na jaki narazili się monarchiści. Skandal panamski zaskoczył ich w okresie szybko postępującego rozkładu. Nietylko republikanie, lecz oni sami przestawali wierzyć w przyszłość. Najwybitniejsi przywódcy jeden za drugim składali publicznie broń przed rzeczpospolitą; kiedy raptem przyszła na stół sprawa panamska, ci, co pozostali jeszcze na wyłomie, rzucili się do organizowania niedobitków. Ale społeczność nie była zdolna przywrócić w sobie niedawno przed tem do szczętnie utraconej wiary w wyższość moralną przedstawicieli idei monarchicznej i — nie wyciągnęła do nich ręki. Powiedziała ona sobie, i słusznie, że jest to walka złych ze złymi. Ci, co pierwsi wnieśli oskarżenia przeciw parlamentowi, ci, co je popierają po kropki nowemi dowodami, i ci, co chcieli-by je wyzyskać na rzecz przewrotu, są tyleż warci moralnie, lub prawie tyle, co podlegający oskarżeniom. Nie próbował też nikt robić wyboru, bo nie było w czem wybierać.

Żeby choć jeden wybitniejszy człowiek, jeden poważny i szanowany pretendent dochował się był wśród powszechnego rozdzicia, jeszcze można-by bez śmieszności mówić o widokach restauracyi. Lecz nie widać ani jednego, i myśl o królestwie lub cesarstwie zgoła nie ma się o kogo zaczepić. Więc nie zaczepia się wcale, a co najwyżej przesuwają się po głowach w formie zupełnie abstrakcyjnej, jako jedno z wielu pojęć, będących w obiegu, ale bez materialnych szans urzeczywistnienia. To też nawet rozsądniejsi monarchiści nie robią sobie złudzeń pod tym względem. Nie wywieszają oni i teraz otwarcie sztandaru monarchii, w najlepszym razie liczą na jakiś niespodziewany i nieokreślony przewrót z niewiadomym „zbawcą“, którego wskaże i namiętności chwila. Wyraźne usiłowania przewrotowe ograniczyły się do niudanej manifestacyi paryskich komitetów socyalno-rewolucyjnych, które 10 stycznia, w dniu otwarcia posiedzeń parlamentu, miały „coś“ wywołać; ale z powodu deszczu komitety i ich rewolucyjna armia pozostały w domu. Ciekawa wskazówka siły politycznych namiętności.

Gdy niema poważnego pretendenta, gdy niema poważnego stronnictwa monarchicznego, gdy społeczność przytem uważa przejście pańskie za kryminał wprawdzie, ale nie specjalnie republikański, gdy nadto skandal zjawił się w czasie zwycięskiego wybijania republikanizmu, o którym zakorzeniło się w masach pojęcie, jako o jedynej możliwej dziś we Francyi formie rządu, rzeczpospolita może się chwiać przez czas jakiś, ale trudno, żeby upadła. Sama nie obali się, tak ma szeroką podstawę. Trzeba-by mocnego potrącenia z zewnątrz, którego niema komu wykonać. A tymczasem kilka potężnych czynników ochrania ją, dając wzburzeniu czas, aby ustało, i chwiejącemu się gmachowi możność wrócenia do spokojnej równowagi. Temi czynnikami są: przede wszystkim apatya tłumów, która, bez względu na powody, jest jednak niewątpliwym faktem; powtórne armia karna, posłuszne w rękach rządu narzędzie; dalej sam ten rząd, gotowy rzeczpospolitej bronić; nareszcie prezydent Carnot, jeden z niewielu ludzi publicznych z dawnych szeregów, który zachował szacunek narodu i który prawością swoją osłania do pewnego stopnia reputacyę rzeczpospolitej. W takich warunkach sądy spokojnie skazą tych, których winę wykryje śledztwo; ich usunięcie z życia publicznego będzie jedynem politycznem następstwem procesu. Na ich miejsce wyborcy obiorą innych, może lepszych, a może tylko ostrożniejszych. Dopiero zresztą przyszłość wyjaśnić może, czy przekupni deputowani poprzedniego parlamentu byli wyrazem zakorzenionego już w społeczeństwie zepsucia, czy też dopiero pionierami zepsucia. W pierwszym wypadku każdy nowy parlament będzie zdolnym do przekupstwa tak samo, jak był za czasów Reinacha i Hertza; w drugim—proces obecny mógł-by stanowić zadatek uzdrowienia przez energiczną kuracyę. W obu nareszcie rzeczpospolita zdaje się być tym wyrocznym dachem, pod którego osłoną dokona się, co się ma dokonać. Urok jej w oczach zagranicy mocno się skuli, powaga jej w stosunkach międzynarodowych na razie może bardzo ucierpieć; ale stosunki wewnętrzne tak się ułożyły, że, bez względu na stopień kompromitacyi, jaki spadnie na rzeczpospolitą, nie wywróci się ona. Będzie się musiała czyścić w oczach świata, może długo, zanim zmyje plamy i zatrze niekorzystne dla siebie wrażenia. Francya jednakże woli poddać się temu czyszczeniu plam republikańskich, jako republika, niż w zmianie formy rządu szukać pozorów odrodzenia. Może ma słuszość, bo naprawdę odrodzenie przez zmianę formy rządu byłoby tylko pozorne.

Reforma wojskowa w Niemczech trafiła na tak twardą opozycyę w parlamencie i w specjalnej jego komisji, że w tej chwili niepodobna jej wróżyć pomyślnie. Postępowcy i centrum na całość ustawy zgodzić się nie chcą. Rząd ze swej strony odpycha wciąż myśl o ustę-

stwach i o kompromisie. Cesarz Wilhelm na przyjęciu noworocznem oświadczył się stanowczo za koniecznością uchwalenia całej ustawy bez zmian. Hr. Waldersee, w mowie na bankiecie urzędowym, wyraził się za przykładem Cesarza w tym samym duchu. Gdy jedna strona równie stanowczo żąda reformy, jak druga jej odmawia, położenie musi być niewyraźnem. Swoją drogą jest wskazówka, acz subtelna, że rząd w końcu przystał-by na kompromis, gdyby udało się znaleźć dobrą dla niego formę. Upatrujemy tę wskazówkę w pewnej miękkości, z jaką kanclerz rzecz traktuje. Nie wywiera on na parlament nacisku tak mocnego, jakby mógł; nie stawia kwestyi rozwiązania, o którym dotychczas urzędownie wcale mowy nie było. Nie grozi, nie straszy, nie używa innych środków przekonywania nad spokojne argumenta cyfrowe. Niezawodnie postępował-by z większą brawurą, gdyby był zdecydowany, w razie odmowy, parlament rozwiązać i odwołać się do wyborów. Ta większa brawura była-by w takim wypadku niezbędnym środkiem agitacyjnym, jako wstęp do kampanii wyborczej. Trzeba-by rzucić wówczas jakieś hasła, trzeba-by się starać poruszyć unysły. Tymczasem wszystko robi się ślamazarnie, wolno, bez temperamentu, bez gorączkowego ożywienia, jakie zwykle poprzedza zaciętą walkę. Parlament odczuwa to i czerpie w tem pobudkę do uporów. Jeśli, pomimo takiej taktyki, kanclerz nosi się z myślą rozwiązania, to trzeba powiedzieć, że źle się do niego przygotowuje. Ale jej niema. W takim razie kompromis był-by tylko kwestyą czasu. Dziś niepodobna jeszcze określić, na jakich mógł-by nastąpić warunkach.

Wśród zastoju dyplomatycznego, jaki dość dawno panuje, zdarzył się nareszcie wypadek interesujący. Spowodował go młody kedyw egipski, Abbas-pasza, do współpracy z Anglią. Kedyw, uległszy namowom sfer nieprzyjaznych Anglii, pewnego poranku (18 stycznia) dał dymisyę urzędującemu gabinetowi i mianował nowy z pośród ludzi nastrojonych „autonomicznie“ i niechętnych okupacyi. Poprzedni gabinet prowadził politykę reform, według planów rządu angielskiego. Nominacja nowego była protestem przeciwko reformom, przeciw bytności wojsk angielskich w Egipcie, w ogóle przeciw kurateli, jaką Anglia wykonywała nad tym krajem.

„Zamach“ kedywa sprawił nad Tamizą bardzo silne wrażenie, ale też i wywołał bardzo energiczną odpowiedź. Nazajutrz zaraz, lord Cromer, rezydent angielski w Kairze, doręczył kedywowi ultimatum, tak zredagowane, że nowy gabinet został niezwłocznie usunięty, a dawny z małemi zmianami przywrócony. Na tem się jednak sprawanie skończyła.

Pokazało się, że kedyw swoim śmiałym postępkami trafił w usposobienia ludności. Stał się on, pomimo doznanego upokorzenia, odrazu wielce popularnym. Mieszkańcy Kairu zaczęli mu robić owacye przy



każdem spotkaniu. On z początku nie wiedział, jak je przyjmować. Aż niespodziewanie odbiera od sultana, zwierzchnika swego, depeszę z powinszowaniem za piękny postępek i z zapowiedzią daru sześciu koni. Ta sultańska pochwała była zarazem zachętą, daną wszelkim żywiolom opozycyjnym. Teraz kedyw zaczął z upodobaniem szukać okazji do ukazywania się tłumowi i do zbierania objawów jego sympaty. Anglicy ze swej strony przyszli do wniosku, że ten nowy nastrój ludności jest niebezpiecznym dla „Europejczyków,” w Egipcie zamieszkałych, i postanowili—powiększyć swój korpus okupacyjny, o czem gabinety zostały w drodze urzędowej zawiadomione. Rząd francuski, po wspomnianem wyżej ultimatum, domagał się w Londynie odpowiedzi, jakim prawem Anglia krępuje kedywa w wyborze ministrów. Kiedy go zawiadomiono o powiększeniu korpusu okupacyjnego, kazał swemu ambasadorowi pytać, z jakich się to stało słusznych motywów? Oba te zapytania, przychodzące *post factum*, wyjaśniają drażliwość sytuacji, ale nic w niej nie mogą zmienić.

Zważmy, że był to rząd Gladstone'a, rząd liberalny, który na mniemany zamach kedywa odpowiedział zamachem istotnym, ograniczając jego autonomię, i rozkazał nowym pulkom płynąć do Aleksandryi. Francuzi spodziewali się po wigach ewakuacji; tem przykrzejszego doznali zawodu. Teraz nie mogą się ludzi co do zamiarów Anglii. Prawda, że gdyby nawet Gladstone miał być zamiar opuszczenia Egiptu, kedyw postępkami swoim utrudnił mu zadanie. Gladstone w żadnym razie nie mógł pozwolić wypędzić się kedywowi z Egiptu i przerwać pasmo niedokończonych reform wtedy, kiedy się Abbasowi podobało mianować nowy gabinet. Okoliczności więc, towarzyszące tej chwilowej zmianie rządu w Kairze, musiały-by utrudnić ewakuację i odwlec ją, nawet gdyby była szczerze zamierzona. Na nieszczęście dla kedywa, opóźnienie, dokonane w takich warunkach, zmniejsza w ogóle widoki ewakuacji, mianowicie z dwóch powodów: naprzód przez to, że, utrzymując się siłą w Egipcie, Anglia już teraz nadaje rządowi swoim w tym kraju coś z cech podboju, że nabywa tam „pozycję zdobytą,” której państwo nie opuszcza nigdy dobrowolnie; powtórę, że opinia publiczna angielska, nawet w kołach liberalnych, skojarzy teraz i interesa, i honor Anglii z kwestyą utrzymania się w Egipcie, a to tem wyraźniej, im bardziej wpływy francuskie i tureckie manifestują chęć wyparowania stamtąd Anglików. To, co się teraz stało, jest tedy zapowiedzią przyszłych zatargów, może poważnych starć, i w tym charakterze zasługuje na pamięć.

W drugiej połowie Stycznia odbyły się dwa śluby książęce, na które zwróconą była uwaga świata. Cesarz Wilhelm wydał siostrę swą, księżniczkę Małgorzatę, za księcia Hesskiego. Na uroczystość

przybył do Berlina Jego Cesarska Wysokość, Cesarzewicz Następca Tronu, i był nadzwyczaj serdecznie przez dwór pruski podejmowany.

Drugi związek zawarł rumuński następca tronu z księżniczką Maryą Edynburską. Obie te uroczystości, pierwsza przez okoliczności towarzyszące, druga przez połączenie domu panującego rumuńskiego z angielskim, komentowane były przez prasę, jako ciekawe momenta polityczne chwili.

Styczeń zamroził i zaśnieżył całą Europę, sprawił niespodziankę nawet Włochom i Hiszpanom. Nieprzygotowani południowcy do 10°—12° niżej zera wiją się z chłodu; tu i owdzie ludzie i ptaki padają martwe pod działaniem surowej temperatury, pociągi grzęzną w zaspach, druty telegraficzne, jak nitki pajęczę, ulatują, porwane wicherą. Depesze z Zachodu codzien przepelnione są szczegółami o działaniu ciężkiej zimy. Jedna tylko północ milczy, uzbroiwszy się w niedźwiedzie, barany, wilki, lisy, sobole, piece, kominki i ogniska na placach miejskich. Każdy się grzeje, jak może, więc jedni w podskokach mazurowych i handelkach, drudzy w przytułkach noclegowych, poczekalniach, taniach garkuchniach i szynkach. Kogo i na to nie stać, kto się przy ognisku domowym ani społecznym rozgrzać nie może, bo go nie ma, garnie się do... drewna, tlejącego na bruku. Wszystko tężeje i krzepnie, nawet rtęć na dalekiej północy; jedna tylko cholera nie boi się mrozu i, od czasu do czasu zgarniając kilkanaście lub kilkadziesiąt nieraz ofiar w miastach niemieckich, szerzy popłoch i każe pamiętać o sobie. To też troskliwi stróże zdrowia publicznego ciągle suszą głowy nad sposobami ratunku w razie silnego wybuchu epidemii na wiosnę. Na zjeździe lekarzy nic nowego nie uradzono, ale już samo czuwanie i krzątanie się wobec drzemającego niebezpieczeństwa stanowi pewną otuchę dla ogółu, a utworzony w Warszawie komitet ratunkowy, w którego skład wchodzi obywatele miasta, ofiarujący pomoc materialną dla przeciwdziałania groźnemu widmu, świadczy, żeśmy jeszcze dalecy od zniechęcenia w walce z zarazą, pomimo, iż jej istota jest nietylko dla profanów, ale i dla specjalistów—dotąd zagadką niezgłębioną. Komitet przedewszystkiem marzy o polepszeniu warunków istnienia klas ubogich i w tym celu składki zbierać zamierza. Na prowincyi również daje się spostrzec ruch w tym zakresie, dążność do zawiązywania komitetów obywatelskich w niektórych miastach. Ślepy tylko nie widział-by w tem krzątaniu się objawów dodatnich, świadczących o pewnej, acz w małym stopniu, solidarności społeczeństwa, usiłującej jeżeli nie zgładzić, to przynajmniej znacznie osłabić zabójcze działanie minkrobów, drogą najracjonalniejszą—uprzystępnienia środków bytu. Nie idzie o to, jaka tam setna czy tysiączna częśćka dobrych chęci da się

ureczywistnić; już sam fakt stałej organizacyi obywatelskiej, która ma czuwać nad tymi, co najmniej siły odpornej posiadają, wiele sam za siebie mówi.

Ci, których zima swym zgrzytem mroźnym nie przeraża i nie gnębi, starają się wyzyskać wszelkie jej dodatnie strony i na tle śpiącej przyrody rozbudzić życie sportowe. Częstką jego jest także myśliwstwo. Zniknęły dziś „mateczniki“ i gromady zapalonych do szaleństwa Nemrodów. Gruby zwierz nie chodzi stadami, myśliwy nie ma więc sposobności wykazania swego bohaterstwa wobec tysięcznych niebezpieczeństw. O łosiach, sarnach, dzikach i wilkach, chodzących w zimie gromadnie, mogą jeszcze coś powiedzieć tylko mieszkańcy bardzo oddalonych od kultury kątów, niedźwiedzie zaś nawet i tam są tylko przypadkowymi gośćmi, których ślady i leże natychmiast potrafi zbadać argusowe oko stróża leśnego i szczęśliwemu właścicielowi pušczy donieść. Moźni starają się przypomnieć tradycyjne polowania z wieku przeszłego chociaż zabawą myśliwską na polu Mokotowskiem pod Warszawą, gdzie dzik i daniel ważną rolę grają. I to sport, prawdziwie pański i zarazem przypominający nędzę przyrody, zrabowanej i zniszczonej przez nieogłędną rękę ludzką. Wraz z wytępieniem lasów zniknęły niezliczone roje zwierzyny i ptastwa. Resztki, rozproszone po polach i zaroślach, znalazły nieprzejednanego wroga w kłusownikach, i gdyby nie przeciwdziałanie prawodawstwa, ograniczającego polowanie w niewłaściwych porach, tudzież troskliwość Towarzystwa łowieckiego, może-by w krótkim czasie znikła najpospolitsza zwierzyna z powierzchni kraju. Wielką zasługą oddziału warszawskiego Towarzystwa rozmnażania zwierzyny łowczej i racjonalnego polowania jest urządzenie miejsc ochronnych. Rada rzeczoney instytucyi, porozumiawszy się z właścicielami dóbr prywatnych, urządziła w ich majątkach owe miejsca na ogólnej przestrzeni 60,759 morgów i wyznaczyła 187 stróżów leśnych. Zwierzęta zatem mają w różnych zakątkach Królestwa bezpieczne schronienia przed największym niszczycielem — człowiekiem. Tam się rozrodzą i zapełnią imie knieje, mniej pilnie strzeżone.

Już dziś skutki tej ochrony są widoczne. Według doniesień członków Towarzystwa, od czasu jego działania ilość zwierzyny drobnej, szczególnie zajęcy i kuropatw, znacznie wzrosła. Sarny, zjawiające się z razu pojedynczo, dziś wędrują nietylko parami, ale nawet w stadka się łączą, obfita zaś pasza i bezpieczeństwo pozwolą im bardziej się rozmnażać. Towarzystwo łowieckie nie ogranicza atoli swey działalności tworzeniem i pielęgowaniem miejsc ochronnych; odważyło się

ono wypowiedzieć walkę niepokonanym dotychczas i niekrępowanym w zuchwałstwie kłusownikom. Przed ich rabunkiem nie mogli się zabezpieczyć ani miejsca ochronne, ani lasy i pola prywatne, ani nawet zwierzyńce. Prześcigający w drapieżności wilka, polują oni w każdej porze roku, w dzień i w nocy; nadzwyczajna zaś celność ich strzału i niespożyta energia w tropieniu sprawia, iż każdy kłusownik w ciągu paru godzin więcej może upolować, niż wprawny a oględny myśliwy przez tydzień cały. Szkodników tych są dwa rodzaje: nieposiadający biletów na broń i ci, którym przez pomyłkę je wydano. Pierwsi są ostrożniejsi i polują tylko w nocy, drudzy—nie mają granic w zuchwałstwie. Z tymi więc ostatnimi wobec pozorów legalności walka jest nierównie trudniejsza. Władza policyjna nie zawsze posiada o nich dokładne wiadomości, prywatni zaś oficyaliści wiejscy z obawy zemsty nie stawiają oporu zuchwałcom. Taki stan rzeczy pobudził zarząd instytucji łowieckiej do samodzielnej z nimi walki. Posiadając swych członków we wszystkich zakątkach kraju, ściągają oni od nich wiadomości o szkodnikach i przesyła je naczelnikom powiatów, ci zaś broń im odbierają. Dzięki takim krokom, od września r. 1891 do kwietnia r. 1892 (jak głosi sprawozdanie Towarzystwa) straż ziemską odebrała przeszło 4,000 strzelb, tajemnie utrzymywanych. Według atoli przekonania zarządu, przedstawia to zaledwie małą część tej broni myśliwskiej, która w rękach nawet znanych kłusowników jeszcze pozostaje, i dla osiągnięcia pożądaných rezultatów bardzo długą trzeba będzie jeszcze prowadzić walkę. Na pozór imponująca ilość strzelb odebranych jeszcze nie dowodzi poskromienia zupełnego szkodników, gdyż się zdarzają dość często wypadki, iż pozbawieni broni zaopatrują się w nią po raz drugi, trzeci, czwarty, a nawet i piąty i posiadają niesłychaną zręczność w jej ukrywaniu. Pozbawienie więc kłusownika sposobu tępienia zwierzyzny jest rzeczą niełatwą, a częstokroć i niebezpieczną dla straży ziemskiej. To też Towarzystwo łowieckie dla zachęty nie będzie zapewne szczędziło nagród tym, którzy się narażają, gdy fundusze znacznie wzrosną. Już dziś suma na ten cel przeznaczona wynosi 1,000 rs. Jest jeszcze jedna plaga: psy wałęsające się, które największe szkody wyrządzają w czasie rozmnażania się zwierzyzny, na wiosnę. Prawie każda wieś liczy dziesiątki takich psów zgłodniałych, wychudzonych. Otóż zarząd Towarzystwa wyjednał pozwolenie tępienia tych szkodników czworonożnych i pociągania do odpowiedzialności ich właścicieli za niedozór. Wreszcie zadaniem instytucji jest zapobieganie niszczeniu kuropatw zimą sposobami wzbronionemi. Tych kilka szczegółów dostatecznie chyba wyjaśnia znaczenie i pożytek Towarzystwa łowieckiego, które dziś już w Królestwie liczy 1,360 członków, a między nimi znaczną większość mieszkańców wiejskich. Tym

sposobem wśród sfer inteligentnych całego kraju szerzy się zamiłowanie do racjonalnego myślistwa, a uświadomienie potrzeby oszczędzania zwierzyny niewątpliwie z czasem się rozbudzi w warstwach nieoświeconych. Wzbogacenie zwierzostanu drogą powyższych działań nie tylko będzie miało znaczenie pewnego rodzaju humanizmu lub przysposabiania pola do rozwoju sportu myśliwskiego, lecz w dzisiejszej dobie utylitaryzmu da posiadaczom ziemskim nowe źródło dochodu. Jeżeli tuczenie trzody chlewnej lub wołów tworzy oddzielne gałęzie przedsiębiorstwa zyskowego, to dlaczegoż-by dostarczanie różnorodnej zwierzyny spożywcom miejskim nie mogło dać dochodów, nie tak wielkich, ale w każdym razie—znaczących?

Jeszcze nie zbyt dawno rybołówstwo również było uważane przez wielu za sport, ziemianie zaś w gospodarstwie bądź je lekceważyli, bądź traktowali jako urozmaicenie tylko własnego stołu. Dziś przemysł rybny zagarniają towarzystwa akcyjne, z których, jak czytelnikom wiadomo, w Królestwie istnieją dwa, złożone prawie wyłącznie z właścicieli ziemskich. Wogóle rybołówstwo coraz szersze wywalcza sobie miejsce w dziedzinie przemysłu, a w ostatnich czasach doczekało się nawet, gwołi racjonalnemu rozwojowi, ochrony prawnej. W ubiegłym miesiącu rada państwa zatwierdziła nową ustawę, która niebawem wejdzie w wykonanie. Zaleca ona, ażeby wszelkie zbiorniki wód podzielone były na otwarte i zamknięte. Łowienie w tych ostatnich karane będzie, jako wykroczenie przeciw własności prywatnej. Rzecznicy mają określać, które zbiorniki powinny być bezwzględnie zamknięte dla łowienia, jako najdogodniejsze dla rozmnażania. Również jak w przepisach dla myśliwskich, ważną rolę odgrywają terminy polowu. Z wprowadzeniem ustawy zorganizowana będzie kontrola nad zbiornikami wód rybnych, tudzież powstaną specjaliści inspektorowie rybołówstwa, podlegający władzy ministerium dóbr państwa.

Jednocześnie z dążnością do przeradzania się niektórych sportów na odłamy działalności utylitarnej, rozrastają się inne, dające, obok znacznej sumy przyjemności i rozrywek, sporo pożytku organizmowi. Ludzie ukształceni, w ogóle należący do warstw inteligentnych, coraz chętniej wysuwają się z dusznych klubów, resurs, salonów tanecznych na świeże powietrze; po trudach całodziennych w ciasnych, przepełnionych biurach, kantorach i sklepach, żwawo mijają przesiąknięte dymem, kurzem i miazmatami ulice i, bądź na łodzi, bądź na bicyku, oddalają się chociaż na krótkie chwile jak najbardziej od murów miejskich, pobudzają zarazem krew zleniwiałą do żywszego ruchu, a mięśnie zanikające—do rozrostu. Obecnie w zimowej porze cykliści i wioslarze przedzierzają

się w łyżwiarzy. Wszelkie stawy, glinianki, wgłębienia i płaszczyzny, polane wodą, zapełnione są miłośnikami tej jazdy nożnej do późna w nocy. Tym sposobem trzy sporty na wolnem powietrzu w różnych porach roku przynoszą swym miłośnikom pożytek, z jakiego może nie zawsze zdają sobie sprawę. Chociaż więc to jednostronna forma gimnastyki, pożądane jest jak najszersze jej rozpowszechnienie.

Jużeśmy kiedyś zaznaczyli na tem miejscu fakt budzenia się wśród ogółu tej świadomości, iż racjonalna gimnastyka w obecnych warunkach życia jest potrzebą pierwszorzędną. Szkoda tylko, że od uświadomienia do zaimplementowania jest jeszcze bardzo daleko. Ćwiczenia mięśniowe, wprowadzone w szkołach, jeszcze się dobrze nie utrwaliły. Ludzie zaś dorośli, nie posiadający już elastyczności muskularnej, towarzyszącej wiekowi młodzieńczemu, przyznają gimnastyce wpływ zbawienny, ale są za leniwi do prób osobistych. Pozostając przez kilka godzin dziennie w bezruchu przy stołach biurowych, wolą resztę czasu spędzić na krzesłach lub ławkach ogrodowych. Stopniowo dochodzą oni do takiego stanu, że już przejście pieszo paru ulic uważają za trud wielki i czują zmęczenie po takim spacerze. A przecież wiosłarstwo lub sport bcyklowy są również forsujące, jest to także swego rodzaju praca mięśniowa. Pomimo to, więcej mamy cyklistów i wiosłarzy, niżeli ludzi, uprawiających gimnastykę racjonalną. Cała tajemnica przyciągania ukrywa się w uroku stowarzyszenia klubowego, w oznakach zewnętrznych, zabawach i wielce urozmaiconych rozrywkach. Otóż warto-by wyzyskać tę słabą stronę upodobań ludzkich i urządzić klub gimnastyków.

Wielką jest zasługą działalność p. Heleny Kuczalskiej, która usilnie ratuje organizm kobiet naszych od zaniku fizycznego. Wyuczwszy się zasad pedagogicznych w Szwecyi, panna K. jeła zdobytą praktykę szerzyć na gruncie warszawskim i w swoim zakładzie zgromadziła sporo działwy płci żeńskiej, tudzież pańien dorastających i dorosłych. Nie poprzestając na tem, stara się zachęcić szwaczki do gimnastyki. Czy jednak uda się jej pokonać przeszkody, wynikające z rodzaju zajęcia tych pracowni. Kończą one robotę dość późno wieczorem i muszą wracać do domów, na odległych krańcach miasta położonych, aby się tam posilić herbatą. Wobec tego większość nie może nawet marzyć o rozprostowaniu swych mięśni i członków, skulonych przez dzień cały przy maszynie. Bądź-co-bądź, radzimy p. Kuczalskiej nie zrażać się trudnościami w tej mierze, zadanie bowiem, na pozór skromne, należy do najpiękniejszych. Wzmocnienie sił pracowni igły i wogóle wszelkich sklepowych, możeby usunęło potrzebę szukania

przyluków dobroczynnych w tym wieku, który kobietom, uposażonym sumą lepszych warunków, pozwala jeszcze cieszyć się rozkwitem i pełnią energii.

W gorączce życia karnawałowego kobiety „z towarzystwa“ mają jeszcze czas na myśli i projekta poważniejsze. Nie wnikamy w to, czy one pochodzą z chęci zwiększenia liczby balów na cele dobroczynne. W naszym mniemaniu zasługuje na uwagę sam fakt—chęć dopomożenia tym, którzy w obecnym sezonie gorliwie pracują nad uświetnieniem strony dekoracyjnej karnawału. Otóż między kontredausem a mazurem powstał projekt utworzenia towarzystwa, do którego były-by przyjmowane wszystkie bez wyjątku kobiety, pracujące jako sklepowe, buchalterki, korespondentki i t. d., z wyłączeniem atoli pracownic fabrycznych. Myśl, co prawda, niejasna i nieokreślona, znać, że powstała w krętaninie karnawałowej; ale nie idzie za tem, iżby ona nie miała znaczenia głębszego, ażeby jej przy rozmyślaniach wielkopostnych nie można było rozsunąć i ocenić, o ile w praktyce była-by możliwą. Stowarzyszenie pracownic sklepowych, to znaczy — jakaś instytucja na wzór wielu innych, gdzie się składają drobne oszczędności, zasilane funduszem pracodawców, karami, dochodem z balów, koncertów, widowisk i t. d. To instytucja, z której stowarzyszone mogły-by czerpać pożyczki, wsparcia, opłacać pogrzeby, pomoc lekarską i t. d. W jakich rozmiarach będą ustanowione składki od zarobków miesięcznych 5, 10, 15 i 20-rublowych, to już rzecz inicjatorek. W każdym razie, o ile ten środek paliatywny możeby jest do urzeczywistnienia, radzimy projektodawczyniom doprowadzić do skutku myśl, przelotnie rzuconą. Wszakże próby, mające znaczenie społeczne, często się udają i cieszą się stałym powodzeniem. Mamy wyborny przykład: Towarzystwo opieki nad biednymi matkami, które bardzo prędko zdobyło ogólne uznanie i poparcie materyalne. Dzięki temu, rozporządza dziś ono dość znacznymi środkami tak dalece, że nabyło dom na własność przy ulicy Hożej, gdzie można będzie wprowadzić wszelkie konieczne ulepszenia. Przylutek ten zasługuje na uwagę czystością, wygodą i nadzwyczaj staranną opieką, roztaczaną nad choremi. Znaleźć tam mogą pomoc nietylko położnice ubogie, ale nawet średnio-zamożne. Miejmy nadzieję, że z czasem zniknie przesąd, iż do takich szpitalów uciekać się mogą tylko kobiety z gminu, że dla ubogich, a należących do „towarzystwa,“ było-by to wstydem. A jednak stosunkowo nigdzie niema tak małej liczby zakaźni i śmiertelności, jak w tego rodzaju przylutkach. Nasze atoli kobiety inteligentne a ubogie wolą wyczerpać wszelkie środki materyalne rodziny i częstokroć, z nieumiejętnego lub niedbałego zachowywania się specjalistek, umierać w domu, niżeli czekać

szczęśliwego rozwiązania w zakładzie wygodnym, bezpiecznym i niekosztownym. Ponieważ takie uprzedzenia szybko i łatwo nie dadzą się przełamać, można więc było-by znaleźć drogę pośrednią, t. j. w zakładzie Towarzystwa opieki nad ubogimi matkami stworzyć oddział dla kobiet niezamożnych i średniozamożnych ze sfer inteligentnych, gdzie za umiarkowaną opłatę mogły-by one znaleźć sumienną pomoc. O ileżby takie udogodnienie utrwaliło dobrobyt młodych małżeństw, oszczędziło im trosk, cierpień i rozgoryczenia!

Ważne i oddawna pożądane przytułki dla rekonwalescentów przy wszystkich szpitalach są obecnie przedmiotem uwagi warszawskiej rady miejskiej dobroczynności publicznej. Jak wiadomo, w najpomysłniejszym okresie zdrowotności publicznej szpitale mają chwilowo zaledwie po parę łóżek wolnych. Zdobycie więc miejsca w tych zakładach nawet przy poważnej chorobie nie jest rzeczą zbyt łatwą. Wobec tego gospodarze szpitalni, ciągle atakowani przez nowych kandydatów, bardzo chętnie się pozbywają tych, którzy, zwlóklszy się z łoża, jako tako mogą już ustać na nogach i pójść do domu. Otóż ci zawczasie wykreśleni z listy chorych bardzo często dostają recydywy z błahych nawet powodów, ale, wróciwszy znowu do szpitala, bardzo często otrzymują odmowę z istotnego braku miejsca. Rozpoczyna się więc w nie-normalnych warunkach uciążliwa walka z niemocą, która jeszcze przy niedostatku staje się zupełnie niemożliwą. W końcu chory, zrujnowawszy i zmęczywszy swą rodzinę, umiera po długich męczarniach. Otóż takie przytułki dla rekonwalescentów mogą w znacznej mierze zapobiedz tym smutnym wypadkom. Chory będzie przechodził z łoża szpitalnego do oddziału, w którym znajdzie troskliwą opiekę lekarską, strawę odpowiednią do stopniowego przybywania sił i wszelkie wskazówki higieniczne. Dopiero gdy niebezpieczeństwo zupełnie przeminie, gdy zmiana ani temperatury, ani pożywienia, ani mieszkania i trybu życia nie zaszkodzi, całkowicie uzdrowiony będzie mógł śmiało wrócić do domu i zajęć. Tym sposobem nie tylko się ograniczy śmiertelność, ale i wzrośnie powszechne zaufanie do szpitali, przejmujących obecnie strachem chorych i ich blizkich.

Szkicowo zarysowany przed kilku miesiącami projekt przytułku dla zestarzałych i niedołężnych rzemieślników i robotników wyraźniejszą przybrał obecnie formę w sekcji Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. Projektodawcy obliczają fundusz potrzebny na 50,000 rs. Do zakładu tego mają być przyjmowani tylko kandydaci chrześciance, nie młodszy nad lat 60, stali mieszkańcy Warszawy. Dzielą się oni na trzy kategorie: opłacający wpis do 100 rs. rocznie, wnoszący 500 rs.



jednorazowo i—pensjonarze, utrzymywani na koszt zakładu. Pierwszeństwo atoli mają ci tylko, którzy zadość uczynią powyższym warunkom pieniężnym. Otóż całkiem słuszne są zarzuty, czynione tym punktom ustawy przez p. Rednera w „Kuryerze Codziennym.“ Dla wielu zawodów wiek 60-letni jest prawie niedościgły. W fabrykach np., używających w swej produkcji rtęci, siarki, arseniku, fosforu i t. d. robotnicy starzeją się nadzwyczaj szybko, tudzież podlegają przewlekłym nieuleczalnym chorobom, które organizm ich rujną i zniechęcają przedwcześnie. Zdaniem więc opponenty, należy w takich wypadkach za normę przyjąć nie wiek, ale liczbę lat, strawionych w pracy. „Sądzimy, że 30, lub w najgorszym razie 35-cio-letnie zatrucie się fosforem, jeśli tylko „kandydat“ zniesie je tak długo, było-by aż nadto wystarczającą rekojmią jego praw do emerytury. Takie zaś ograniczenie czasu wobec wczesnego rozpoczynania przez rzemieślników ich pracy zawodowej (w 18—20 r.), skróciło-by termin oczekiwania na „przytułek“ o lat 5—7. W przeciwnym razie zdarzy się często, że najbardziej zmęczeni pracą—spoczynku na tej ziemi nie zaznają. Chyba, że, osłabieni i znękanii przedwczesnym trudem, zaliczeni będą do kategorii „kałek...“ Ale takie rozszerzenie kwalifikacji „kalectwa“ mogło-by zrodzić chaos, a co gorsza, dowolność pewną w przyjmowaniu lub odrzucaniu kandydatów.“ Paragraf, określający kategorie kandydatów, zmienia—jak słusznie utrzymuje p. B.,—charakter instytucji i czyni ją zakładem, obsługującym potrzeby względnie zasobnych rzemieślników-rentyerów. To też opłatę roczną i sumę jednorazową należało-by zmniejszyć. W wysokości obecnej, wystarczającej, według obliczeń projektodawcy, na całoroczne utrzymanie pensjonarza, — będzie to prosta zapłata, która wobec opinii publicznej niesłusznie uchodziła-by za *wynagrodzenie* długoletniej pracy. Słaba jest jeszcze jedna strona: formalna. Zarząd przytułku ma się składać z 9 członków, z których trzech wybierani są z łona właścicieli fabryk, pozostałych zaś siedmiu — ze starszych i podstarszych zgromadzeń rzemieślniczych. Wobec różnorodnych źródeł dochodów jest to całkiem niewłaściwe. Fundusze mają się tworzyć, między innymi, z balów publicznych i t. p. sposobów ściągania ofiar ogólnych, z potrącania przy wpisach do cechu i—procentów od zarobków. Otóż szczególnie te ostatnie dwa źródła wymagają równomiernego udziału pracodawców i pracowników w kontroli kapitałów, tudzież w przyjmowaniu lub odrzucaniu kandydatów. Ogólne zainteresowanie się warstw rzemieślniczych sprawą schroniska dowodzi jej żywotności i potrzeby; instytucja taka złagodzi chociaż w części zło istniejące. Między głosami doradcami dało się słyszeć zdanie bardzo słuszne, że nie jest konieczną rzeczą, jak chcą projektodawcy, urządzenie tego przytułku w obrębach murów miejskich. Niewygodne to

i kosztowne. Mamy już mnóstwo zakładów dobroczynnych dla ludzi, którym miasto może być zupełnie obojętne i niepotrzebne, a nawet, ze względu na warunki higieniczne—szkodliwe. Po co więc się tłoczyć tam, gdzie jest niewygodnie i drogo? Schronisko dla inwalidów pracy, daleko za rogatkami miejskimi, przedewszystkiem można było-by urządzić kosztem prawie o połowę mniejszym, niż obliczono. Organizatorowie przyszłej instytucji niewątpliwie zechcą dokładnie rozważyć te wszystkie okoliczności i pójść za wskazówkami praktycznemi.

Obok powyższej sprawy żywo obecnie zajmuje rzemieślników i drobnych przedsiębiorców wystawa wyrobów skórzaných, zapowiedziana na połowę lutego. Jeżeli będzie umiejętnie urządzona, jeśli przytem wytwórcy w danym zakresie zrozumieją swój interes i zechcą liczny wziąć udział, wystawa będzie miała praktyczne znaczenie na przyszłość, gdyż przybywający właśnie w obecnym sezonie kupcy ze wschodnich krańców państwa będą mogli się rozejrzeć w przedmiotach produkcji tutejszej i zawiązać trwałe stosunki z jej przedstawicielami. Poprawienie tą drogą opinii wobec rynków dalekich jest rzeczą bardzo pożądaną dla naszych rzemieślników, szczególnie szewców, którzy wypychaną pośpiesznie tandetą zabili dobrą niegdyś sławę obuwia warszawskiego. To też sumienni szewcy, chcąc zaradzić złemu, projektują stemplowanie urzędową pieczęcią cechową swych wyrobów dobrych i trwałych, przeznaczonych na rynki Cesarstwa. Nadto majstrowie cechowi zamierzają zawiązać spółkę wywozową. Stemplowanie będzie niewątpliwie ważną rękojmnią dobroci, jako poniekąd solidarna poręka całego zgromadzenia.

Malarze nasi już od lat paru także myślą o zawiązaniu spółki wywozowej dla zaopatrywania w swe plody rynków amerykańskich, gdyż popyt w kraju coraz bardziej się zmniejsza i, rzecz dziwna, pomimo smutnego doświadczenia, artyści nie chcą zrozumieć tak pospolitego zjawiska z dziedziny ekonomii, że dla zwiększenia pokupu trzeba uprzętnieć ceny towaru. Przeciwnie,—w uporze swoim są nieporównani, o czem świadczą obrazy, wiszące na wystawach długie lata, ocenione po kilka tysięcy rubli. Nawet człowiek zamożny, przyszedłszy z zamiarem nabycia najmniejszego i najtańszego obrazka, straci ochotę, gdy pod główką rozczochraną, krową, karczma, lub innym widoczkiem półłokciowym z natury, przeczyta: cena rs. 500, albo 800! Nie dziwny się, że wobec tego chcą swe dzieła wywozić za ocean, w nadziei zyskania klienteli wśród nababów amerykańskich. Ale tamci patrzą nie tylko na ceny, lecz i na wartość rzeczy, i pomimo zaprzętania się życiem realnem mają w sobie wyrobione poczucie piękna. Więc

niech nasi malarze pamiętają o tem, ażeby nie potrzebowali później wyszukiwać jakiego stempla... cechowego dla poprawienia sławy zepsutej. Trzeba przyznać, że w znacznej większości tak bardzo na nią nie pracują. Stały gość naszych wystaw artystycznych łatwo dostrzeże pewne lekceważenie, czy też niedbalstwo; coraz mniej dzieł wartościowych i prawdziwie pięknych, takich, które-by przeciętnego widza, o wyrobionym choć trochę smaku estetycznym, zadowolily. Kto wie, czy nie jest to objaw zniechęcenia, pochodzący z wygórowanych cen obrazów. Jeżeli tak, to uczestnikom wystawy w Chicago życzę jak największego powodzenia; niechaj dolary amerykańskie rozgrzeją talenta ospałe i złamane niepowodzeniem materyałnem.

W tym turnieju wszechświatowym nasze kobiety chcą także wziąć udział. Jaki stąd będzie dla nich pożytek, trudno doprawdy zrozumieć; bo przecież fachowa praca niewieścia nie doszła u nas do takich rozmiarów, żeby jej płodami zapełniły się rynki krajowe i europejskie, tak dalece, że trzeba aż do antypodów sięgać. Może Amerykanin, zobaczywszy pracowite wzory lub hafty amatorki z nad Wisły, pochwali lub kupi, ale jakież to będzie miało znaczenie dla ogółu, który bezustannie jest informowany przez różnych a raczej różne inicjatoryki próżności o „pracy kobiet,“ mających wziąć udział w wystawie amerykańskiej. Jedyną dobrą stroną tej całej agitacji jest urządzenie w Warszawie tymczasowej wystawy okazów, przeznaczonych do Chicago, z której najpożyteczniejszy plon—dochód z biletów, pójdzie na rzecz Muzeum rzemieślniczego.

Nie wiemy, na jaką korzyść ktoś zamierza urządzić w Warszawie wystawę amerykańską w miniaturze, z zachowaniem wszelkich jej charakterystycznych rysów. Prawdopodobnie będzie to spekulacyjna próba skorzystania z uwagi publiczności i wyłowienia grosza od tych, którym środki nie pozwoliły na wycieczkę za ocean. Człowiek rozumny, śledzący wszelkie objawy rozwoju i postępu powszechnego, niewątpliwie odniesie większą korzyść z sumiennych i obszernych sprawozdań o wystawie, niżeli z owej miniatury, która zapewne będzie tylko prostym figielkiem. Taka wystawa, jak Kolumbowska, powinna być niejako katedrą dla ukształconych i wytrawnych korespondentów. To też tylko bogate pisma zagraniczne potrafią się zdobyć na specjalnych sprawozdawców. Tam, gdzie się skupią świadectwa zdobywcy materyalnych i intelektualnych we wszelkich odłamach życia bieżącego wieku, — dyletant uniwersalny, traktujący wszystko pobieżnie i powierzchownie, nie wielką korzyść ogółowi czytelników przyniesie. Wszakże Chicago stanie się olbrzymią wszechnicą z setkami katedr,

na których zasiądą uczeni całego świata i rozstrzygać będą najbardziej palące sprawy doby obecnej we wszystkich dziedzinach. Niezliczone okazy będą poniekąd ilustracją rozstrzyganych zagadnień. Materiał zatem nagromadzi się bogaty, którego nie przeżuje żaden korespondent w luźnych sprawozdaniach. Obok zdumiewających postępów elektrotechniki, tudzież innych środków, przyspieszających i ułatwiających wszelkiego rodzaju produkcję, obok szeregu kwestyi w zakresie istnienia moralno-materiałnego, na tej wystawie olbrzymiej niewątpliwie wybitne miejsce zajmie higiena, zarówno w przedmiotach jej dotyczących, jak i roztrząsaniach teoretycznych specjalistów. Ten warunek rozwoju powszechnego pochłania dziś za wielką część uwagi świata, ażeby miał przeminąć lub utonąć w powodzi spraw i przedmiotów wystawowych.

Pierwsze próby wykładów higieny dla warstw pracujących u nas wywołała cholera. W wielu wszakże zakładach wytwórczych przedmiot ten traktowany był okolicznościowo. Obecnie zaś dobry przykład dała jedna z fabryk na Powiślu w Warszawie, gdzie przerwane odczyty postanowiono w dalszym ciągu prowadzić. Żeby zaś słuchaczy jak najwięcej ściągnąć, czas prelekcji oznaczono w soboty na godzinę przed wypłatą zarobków. Za granicą publiczna nauka higieny w miastach przemysłowych jest zwyczajem stałym; ale tam owa popularyzacja na innych podstawach się rozwija. W Anglii ogromne mają powodzenie towarzystwa szerzenia oświaty uniwersyteckiej (*University Extension*). W roku ubiegłym jedno z nich — oksfordzkie — przy pomocy 55 prelegentów urządziło 393 kursa w 279 miejscowościach; ogólna zaś liczba słuchaczy wynosiła 27,969 osób.

My o takiej organizacyi wiedzy wędrowniej marzyć nie możemy; zabrakło-by i słuchaczy, i prelegentów, gdyż ludzie, zajęci pracą obowiązkową, lub nie mający środków na wędrowki, nie mogli-by się podjąć tego zaszczytnego zadania. Nie idzie wszakże za tem, iżby zaniechać wszelkich usiłowań w tej mierze. W Cesarstwie tu i owdzie istnieją już odczyty dla warstw pracujących z zakresu różnorodnych a niezbędnych dla nich gałęzi wiedzy. W Warszawie odczyty z higieny mają powodzenie, a więc i z innych odłamów nauki, niezbędnej w życiu praktycznem pracownika, mogły-by również znaleźć grunt przyjazny, tem bardziej, że i sfery urzędowe dla takiej działalności pożytecznej przychylnie są usposobione, czego mamy przykłady w głębi państwa. Odczyty atoli dla warstw tak zwanych „inteligentnych“ w ostatnich latach straciły u nas powodzenie. — Dlaczego? — Może tu poniekąd działa lenistwo myśli, osłabiające również czytelnictwo. Nie

ulega wszakże wątpliwości, że ważnym czynnikiem odstręczającym jest częstokroć treść banalna, zwietrzała, albo znowu zanadto sucha i specjalna, lub wreszcie w ogóle błada, nie mająca nic wspólnego ani z życiem bieżącym, ani z nauką. Jeżeli więc prelegent nie cieszy się popularnością, jeżeli przytem nie potrafi wybrać zalotnej i efektownej treści, niechaj nie liczy na powodzenie. A przecież w warstwach średnio ukształconych jest sporo takich ludzi, którzy-by chętnie uzupełnili swą wiedzę, w szkołach nabytą, tem bardziej, że braki w swych umysłach częstokroć dotkliwie odczuwają w życiu praktycznym. Ludzie tacy, za starzy i za leniwi do szkolnej rutyny, dużo-by skorzystali z wykładów popularno-naukowych, ułożonych systematycznie z różnych dziedzin wiedzy, najniezbędniejszej dla każdej jednostki myślącej. Subjekci handlowi, z powodu ujawnienia braku uzdolnień do pracy wśród kandydatów, postanowili jeszcze w lecie urządzić wykłady popularne z zakresu rachunkowości i innych niezbędnych w dziedzinie handlu i przemysłu przedmiotów. Pomimo, iż upłynęło od chwili urodzenia się tego projektu przeszło pół roku, nie słyszeliśmy jakoś, ażeby ta myśl miała już w praktyce zastosowanie. A szkoda! był-by to wyborny przykład dla innych uczestników życia klubowego, którego programem są dotychczas tylko rozrywki i zabawy. Odczyty popularno-naukowe, ujęte w systematyczną całość, prowadzone nie dorywczo lecz stale, miały-by niewątpliwie powodzenie. Ponieważ dla specjalistów z różnych gałęzi nauk opracowanie przedmiotu i jego wykład w formie odczytów były-by zanadto uciążliwe, a częstokroć nawet niemożliwe wobec nawału chlebobajnych zajęć obowiązkowych, można było-by ich trud wynagrodzić niewielkim procentem przystępnej opłaty za prawo wstępu na odczyty. Lwią zaś część dochodów można było-by obrócić na cele dobroczynne i z bogaciej tą drogą fundusze o wiele łatwiej i skuteczniej, niżeli za pośrednictwem balów, bazarów sklepowych i t. d. Tym sposobem chromające z braku środków materialnych instytucje publiczne zyskały-by nowe źródło stałych zasiłków, a ogół słuchaczy, zdobywszy potrzebną w życiu praktycznym wiedzę, zmniejszył-by szeregi owych kandydatów do wszystkiego i niczego, poszukujących „jakiegokolwiek zajęcia“ i najczęściej narażających pracodawców na zawód, a samych siebie na rozgoryczenie. Wygłaszane w Towarzystwie popierania przemysłu i handlu pogadanki cokolwiek zbliżają się do typu takich wykładów. Zebrana bowiem grupa ludzi rozwija mniej lub więcej systematycznie plan swych zadań w życiu praktycznym, poszukuje różnych dróg rozszerzenia i udoskonalenia swej pracy w danych gałęziach, i chociaż pogadanki te często szwankują, chociaż nieraz poświęcane bywają rozwiązaniu zagadnień dawno już rozwiązanych, w każdym jednak razie są zjawiskiem dodatniem.

P. Marya Weryżanka próbuje za pomocą odczytów rozpowszechnić kult froeblowszczyzny. W tym celu zaznajomiła publiczność lubelską ze znaczeniem tej wybornej metody wychowania przedszkolnego. Ślady działalności panny W. u nas w tym zakresie są już bardzo widoczne; ona-to przysposobiła dziesiątki nauczycielek, zdolnych do tego zawodu, i przyczyniła się do rozpowszechnienia szkółek Froebła nie tylko w Warszawie, ale i w prowincjonalnych miastach Królestwa. Nie dość atoli osiąść zasadnicze formy metody. Trzeba mieć dar poznawania i zgłębiania natury dziecka, najsubtelniejszych jego rysów psychologicznych. Tego najgenialniejsza nauczycielka nie potrafi przełać w kandydatki do kierownictwa szkółek. To też pamięć W. nie przynosi ujmę narzekanie, iż nie wszystkie uczennice obdarzone są dostateczną sumą uzdolnień wrodzonych, że zatem szkółki ich nie mogą być wzorem doskonałości. Jak temu zaradzić? Należało-by wybierać takie kandydatki, które traktują trudny zawód z zamiłowaniem, których uciążliwa praca nie zniechęca. Było-by ich może o połowę mniej, niż obecnie, ale za to wychowanie przedszkolne dało-by większą sumę rezultatów dodatnich. Z licznej rzeszy kobiet, poszukujących chleba, sporo jest takich, które jednakowo traktują nauczanie muzyki, malowanie na szkle, roboty majolikowe, szycie krawatów, ubieranie kapeluszy i kierowanie szkółką Froeblowską. Otóż było-by pożądané, aby w takim wybieraniu fachu za pomocą stukania w palce był pomijany jeden zawód: wychowywanie przedszkolne.

Ileż dotychczas ujemnych stron posiada system nauki w szkołach średnich, o wiele zgubniejszy w skutkach, niżeli drobne niedokładności w wychowywaniu dzieci metodą Froeblowską! Władza ministeryalna od dawna pracuje nad usunięciem wszelkich braków w tej dziedzinie i, dzięki gorliwemu poszukiwaniu, wykrywa coraz nowe wady, które przyczyniają się częstokroć do wykołajenia młodzieży. To też ile razy tylko się ujawni pomyslny zwrot lub przedsięwzięcie jakichś kroków zaradczych w tej mierze, zawsze skrzętnie notujemy takie fakta, doniosłe dla całego ogółu. I tym razem mamy do zaznaczenia nowy szczegół z zakresu pedagogii. Świeżo rozesłano właśnie kierownikom szkół średnich okólnik, którego najważniejszych ustępów pominąć nie możemy: ... „Ilość złych stopni z tego lub owego przedmiotu bywa czasami w klasie tak znaczną, że gdyby według tego sądzić o postępach uczniów, można-by dojść do wniosku, że całe gimnazjum lub szkoła realna składa się z mnóstwa zatwardziałyh leniuchów, nie ulegających żadnym środkom pedagogicznym i nie mogących przejść kursu tych zakładów naukowych. W rzeczywistości okazuje się zwykle, że stopnie, zapisane w tabelach kwartalnych, dziennikach i t. p. dokumentach

urzędowych, bynajmniej nie mają tego znaczenia, jakie mieć powinny na zasadzie istniejących pod tym względem przepisów i rozporządzeń ministerjum oświaty. Stopnie te nie wyrażają oceny postępów i umiejętności ucznia, jego uwagi i pilności, jak tego wymaga paragraf 3-ci przepisów o egzaminach, lecz zjawiają się w dziennikach bardzo często z motywów, nie wspólnego z taką oceną nie mających, przyczem wielu nauczycieli sypie, jak z rękawa, „palki“ (1), używa najrozmaitszych znaków (plus i minus), a wreszcie wprowadza nowy zupełnie stopień—zero (0). Nadmierna ilość jedności i dwójek, notowanych codziennie, wywiera przygnębiające wrażenie na uczniów i ich rodziców. Pierwsi, którzy niezasłużenie otrzymują złe stopnie, tracą całą chęć do nauki i lekceważą następnie swoje obowiązki, rodzice zaś tracą zaufanie do zakładu naukowego. W takich zaś warunkach nie może być mowy o skuteczności wykładu. Od nauczyciela wymaga się wielkiej umiejętności i wielkiego taktu, ażeby odpowiedź ucznia była należycie oceniona.“ Często-kroć nauczyciel złą odpowiedź ucznia przypisuje jedynie jego lenistwu. Tym sposobem nieraz najpilniejszy może być stanowczo potępiony, z tej prostej a niewzględnionej przyczyny, że nieborak nie umie sobie w pewnych wypadkach poradzić. Niezadawniająca odpowiedź ucznia zależy od bardzo wielu przyczyn. Nauczyciel powinien starannie je wyszukiwać i zaszczeniać pilność, szczególnie w klasach niższych. Niezdolność, słaby rozwój umysłowy malca, są to pojęcia bardzo względne i rozciągliwe. „Zanim nauczyciel zaliczy ucznia do kategorii niezdolnych lub mało rozwiniętych i w ten sposób wyłączy go z grona kolegów, powinien długo nad nim pracować i cierpliwie wyczekiwać powolnego wzrostu jego sił duchowych, nie śpieszyć się z oceną jego wiedzy za pośrednictwem dwójki lub jedności.“ Niektórzy z pedagogów szkolnych mniemają, że ich obowiązkiem jest tylko objaśnić zadane lekye, zapytać ucznia i zaznaczyć stopień w dzienniku. Odpowiedzialności zaś za małe postępy nie chcą wcale brać na siebie. Tymczasem niniejszy cyrkularz wyższej władzy szkolnej kładzie właśnie nacisk na tę odpowiedzialność i zaleca nauczycielom stosować odpowiednie środki pedagogiczne bezpośrednio na lekyi, ażeby nauczyć malca tego, czego właśnie nie umiał. Wobec szeregu wyłuszczonej wadliwości okólnik zapytuje: Czy istnieje potrzeba rycałtowego stawiania złych stopni i czy nadmierna skwapliwość w tym względzie osiąga jaki cel pożyteczny? Jeżeli nauczyciel, zapytując po kolei kilku uczniów, nie otrzymuje odpowiedzi, to widocznie z jakiejś przyczyny, może nawet niezależnej od ich woli, nie mogli oni nauczyć się lekyi, lub nie zrozumieli jej treści. Zamiast więc stawiania złych stopni, władza wyższa zaleca w rzeczonym okólniku powtarzać jeszcze raz treść lekyi w klasie i zbadać, gdzie się kryje trudność. „Liczne

stopnie niedostateczne dowodzą zwykle, że nauczyciel nie umie odpowiednio wyklądać powierzonego mu przedmiotu. Od niego przecież zależy dyscyplina, uwaga, pilność, wreszcie postępy uczniów.“ Wytrawny więc nauczyciel zawsze znajdzie środki właściwe dla podniesienia poziomu umysłowego swych uczniów, bez uciekania się do dwójek lub jedności. Słuszna jest uwaga, że im rzadziej będą stawiane zlestopnie, tem silniejsze zrobią wrażenie na uczniach. Okolnik powyższy, rozesłany w trzecim kwartale szkolnym, najbardziej decydującym o postępiach i zdolnościach uczniów — jest na dobie i prawdopodobnie zaznaczy swój wpływ w systemie szkolnym przynajmniej o tyle, że zannim zalecane zasady utrwałą się w pedagogii, obecnie przynajmniej ważniejsze wskazówki będą rzetelnie rozważone przez nauczycieli i wpłyną na promocyę niejednego z leniuchów, od początku potępionych i stanowczym wyrokiem, bez wglądania w istotne przyczyny złego. Powyższy krok ministerium oświaty jest niewątpliwie zapowiedzią dalszych pożądaných reform w systemie nauczania szkolnego. Pierwsze próby przygotowawcze widzieliśmy w roku zeszłym po zwiedzeniu przez ministra p. Delianowa ważniejszych szkół w całym państwie. Spodziewać się zatem należy, iż rok bieżący zaznaczy się zasadniczymi zmianami, — zastosowaniem w praktyce szeregu wskazówek, ułatwiających młodzieży zdobywanie nauki bez nieprodukcyjnego tracenia czasu i sił na zwalczanie przeszkód, mimowolnie zbudowanych przez wadliwą metodę pedagogiczną.

Wielu przeszkód, straty czasu, zawodów i znacznych kosztów unikną liczni interesanci, poszukujący w Warszawie pomocy adwokatów, dzięki pomysłowi czterech obrońców (Flamma, Kokelego, Świderskiego i Kornfelda), którzy założyli biuro porady prawnej. Będzie ono prawdopodobnie spełniać takie zadanie, jak lecznice dla przychodzących chorych z warstw niazamożnych. Każdy biedak, lub człowiek o skromnych funduszach i dochodach, którego zwykle odstrasza wygórowane wymaganie adwokatów znanych, będzie mógł śmiało się udać do tych samych prawników w biurze, gdyż tam żądanie wynagrodzenia ich trudu będzie niewątpliwie zastosowane do kieszeni klientów. Pożądana była-by jak największa popularność tego biura, tak dalece, ażeby mogło ono skutecznie współzawodniczyć z faktorem, czeredą wyzyskiwaczy, pokątnych doradców, którzy umieją w swe sieć łapać ciemnych klientów, zanim ci zdążą przebyć rogatki lub przedmieścia. Otóż, zdaniem naszym, dla rozszerzenia w takich granicach sumiennej porady przez doświadczonych prawników, biuro, obsługiwane tylko przez cztery osoby i umieszczone w jednym punkcie miasta, nie wystarczy. Starsi adwokaci, z wyrobionem imieniem, zwykle są przywa-



leni ogromem pracy, więc mogli-by zaledwie jakich parę godzin miesięcznie poświęcić uboższym klientom w miejscu przystępnej porady. Ale przecież szeregi naszej palestry z rokiem każdym rosną, jest sporo jej członków nowicyuszów, młodych i sumiennych, dla których rozszerzenie klienteli wśród warstw niezamożnych i ciemnych było-by wyborną sposobnością wyrobienia zdolności i stanowiska trwałego pod względem materialnym. Usługi zaś, oddane przez nich za niewielkie wynagrodzenie tym warstwom, które wyzyskiwacze rujnują do ostatka,—były-by nieocenione. Oby zatem biuro warszawskie było zawiązkiem takiej porady, o jakiej tu mówimy. Niechaj także i miasta prowincjonalne pójdą za tym przykładem, gdyż nigdzie pokątne doradztwo tak bezkarnie i szeroko się nie rozgąęziło, jak na partykularzu. Stworzenie więc biur przystępnej porady prawnej, przynajmniej we wszystkich miastach gubernialnych Królestwa, wpłynęło-by na ocalenie dobrobytu nie setkom, ale tysiącom ludzi nieoświeconych i łatwowiernych, oddających czterokrotnie całe swe mienie i losy sprytnemu oszustowi.

Walka prawników ukształconych z wydrwigroszami tego gatunku tak jest trudna, jak przeciwdziałanie lekarzy wpływowi fclcerów. Pod jednym tylko względem ludzie ciemni coraz większego nabierają zaufania do medycyny,—gdy chodzi o zapobieganie wścieklicznie. Od czasu, gdy Bujwid, po odbyciu studyów u Pasteura, ofiarował swe usługi naszemu ogółowi, zjeżdżają do Warszawy pacycenci ze wszystkich stron kraju, z razu pod wpływem namowy ludzi ukształconych, później—po udzieleniu tylko adresu lekarza-specjalisty. Dzięki temu, wypadki śmierci na wścieklicznę, jak wykazują dane statystyczne, coraz są rzadsze, ogół zaś błogosławi pogromcę groźnej bakteryi, który pierwszy wskazał radykalne sposoby ratunku za pomocą zobojętnienia jadu szczepieniem. To też wielki uczony doczekał się zasłużonego hołdu w stolicy świata przed kilku tygodniami, z powodu 70-jej rocznicy urodzin. Gdy setki uczniów, rozproszonych po świecie, idą dalej po drodze przez niego wytkniętej i błogosławią pierwsze wskazówki, mistrz Pasteur na obchodzie jubileuszowym odpowiedział skromnie na składane mu dowody uznania: „Co mogłem—zrobiłem.“ Jeszcze atoli nie zatarły się w pamięci ogółu te wycieczki i szykany niby uczonych, którzy we wszelki sposób, godziwy i niegodziwy, starali się obalić teorye znakomitego bakteryologa, oparte na długoletnich mozolnych badaniach. W skromnej pracowni, zawierającej przestrzeń zaledwie trzech metrów sześciennych, zbudował wspaniałe podstawy nowej nauki, zburzył teoryę samorodztwa, przed którą długo czoła schylano, i wzniósł na jego gruzach nową—teoryę fermentacyi. Oto, co mówi o swym mistrzu dr O. Bujwid: „Nie wiem, czy wśród badaczy dawniejszych i współcze-

snych znajdzie się ktoś równy Pasteurowi pod względem teoretycznej i jednocześnie praktycznej doniosłości prac. To pewna, że rzadki w dziejach wypadek, ażeby człowiek zdołał umieścić się za życia, słusznie przypadł mu w udziale.“ Znakomity uczony spełnił już swe zadanie, i dziś, gdy w wieku podeszłym po długoletnich trudach siły duchowe zaczynają mu odmawiać posłuszeństwa, może z zadowoleniem spoglądać na dalszy rozwój swego dzieła, prowadzonego przez liczną rzeszę uczniów na wszystkich krańcach świata cywilizowanego.

Z początku roku bieżącego na karcie żałobnej przybyło kilka imion pracowników z dziedziny naukowej i literackiej. Warszawa straciła (2-go Stycznia) jednego ze zdolniejszych praktyków, d-ra Józefa Rosego. Zanim ratowanie chorych całkowicie go pochłonęło, napisał wiele dzieł i rozpraw z dziedziny chorób wewnętrznych. Do najważniejszych należą: „Dyagnostyka fizyczna chorób płuc i serca“ (Warszawa, 1860), tudzież „Kurs patologii i terapii szczegółowej“ (Warszawa, 1861). Dr Rose urodził się 12-go Kwietnia 1826 r. w Poznaniu, gdzie ukończył gimnazjum; następnie odbył studia na uniwersytecie w Berlinie i w r. 1854 otrzymał stopień doktora medycyny. Wreszcie przeniósł się do Warszawy i po złożeniu egzaminów państwowych został adjunktem Akademii medyczno-chirurgicznej, a potem profesorem patologii i terapii w b. Szkole Głównej, w której wykładał do r. 1869. Do roku 1871 był ordynatorem w szpitalu Dzieciątka Jezus. Jako doktor sumienny i niepospolity, zdołał sobie wyrobić ogólne uznanie i szeroką praktykę, która pochłaniała mu niemal wszystkie czas w ostatnich latach aż do końca życia. To też żal szczerzy szerokiego ogółu i dobrą pamięć pozostawił po sobie.

Dnia 11-go Stycznia zmarła w Warszawie Adela z Wieczorkiewiczów Kirchnerowa w 27-ym roku życia. Młody wiek i prace literackie wróżyły rozwój jej talentu. Pierwsze kroki na niwie publicystycznej rozpoczęła niedawno, bo r. 1886 w „Gazecie Rzemieśniczej“, do której pisywała powiastki, artykuły wstępne i stały feljeton p. t. „Złe i dobre.“ Prace jej drukowały także: „Zorza“, „Dziennik dla wszystkich“ i „Gazeta Lubelska.“ Zmarła przedwcześnie żywo się interesowała wszelkimi objawami rozwoju i postępu społecznego, tudzież gorąco odczuwała wszelkie niedomagania moralno-materyalne.

Dnia 23-go Stycznia zmarł w podeszłym wieku Józef Korytkowski, były gubernator gubernii Augustowskiej. Urodził się we wsi Zalesie pod Łomżą r. 1805. Szkoły wojewódzkie ukończył w Łomży, następnie kształcił się w uniwersytecie warszawskim na wydziale pra-

wym i otrzymał medal złoty za rozprawę, napisaną po łacinie p. t. „O stosunku praw rzymskich do dawnej Polski.“ W roku 1826 wstąpił do trybunału cywilnego b. województwa mazowieckiego, jako aplikant sądowy. Dość szybko przechodząc różnorodnie szczeble, doszedł roku 1861 do stanowiska referendarza stanu b. rady stanu, a w r. 1862—gubernatora cywilnego ówczesnej gubernii Augustowskiej. Otrzymał r. 1867 uwolnienie od tych obowiązków, został regentem gubernialnym r. 1874 i otworzył w Warszawie kancelaryę notaryalną. Po-za działalnością administracyjną, Korytkowski napisał: „Gramatykę, czyli zasady języka łacińskiego“ (r. 1829), był współredaktorem pisma prawnego p. t. „Themis polska,“ które wychodziło w Warszawie do roku 1830. Nadto pisał rozprawy i luźne artykuły w różnorodnych sprawach.

Francuzom ubył pisarz, Albert Delpit. Zmarły pochodził z Nowego Orleanu (Ameryka); wysłany przez rodzinę w celach handlowych do Paryża, pozostał już tam nie jako przedsiębiorca, lecz adept literatury, która nęciła go silnie ku sobie i ostatecznie przykuła, gdy został sekretarzem Aleksandra Dumasa. Podczas ostatniej wojny z Niemcami, walczył w szeregach francuskich. Uprawiał publicystykę, pisywał poezye i powieści; z tych ostatnich sporą liczbę przyswoiła nasza literatura. Jako ofiara „końca wieku,“ zmarł przedwcześnie, w 43-im roku życia, wyczerpany bezsennością i chlorałem.

---



kaszt, korekty i rewizyi, opis narzędzi zecerskich i sposób ich używania, klasyfikację pism, łamanie i rozstawianie kolumn, składanie okładek, grzbietu i t. d. Starannie jest również opracowany rozdział o nutach. Po-za tem książka obejmuje wiadomości o kompozycyi trzcionek, cen-  
nik robót zecerskich, wyciąg z ustawy cenzuralnej, życiorys Guten-  
berga, wykaz giserski, spis drukarń w Królestwie Polskiem. Wreszcie  
autor podał prawidła pisowni, z pominięciem atoli najnowszych uchwał  
Akademii Umiejętności.

— *Dr Jan Jankó* umieścił w „Ungarische Revue” pracę p. t. Graf Moritz Benyowsky als geografischer Forscher (Maurycy hr. Beniowski jako badacz-geograf). Autor zwraca uwagę, iż Beniowski pod wielu względami wyprzedził zdania Reclus’a, Nordeskjolda i innych.

— *Tymoteusz Łunicewski*. „Drobna szlachta. Przyczynek do poglądu na stan ekonomiczny i potrzeby małej własności ziemskiej w Królestwie Polskiem.” (Odbitka z „Niwy”). Warszawa 1892.

Autor zaczyna od pochodzenia drobnej szlachty, opierając swe wywody na pracach naszych historyków. W cyfrach z ostatniego okresu powołuje się na Załęskiego „Statystykę Królestwa Polskiego”, pracę J. Blocha, drukowaną w „Bibliotece Warszawskiej”, tudzież między innymi—na źródła oficjalne. Cała rzecz ma charakter statystyczno-informacyjny. Własność drobnej szlachty „wytworzyła się przed wiekami, przetrwała i rozszerza się pomyślnie na drodze samodzielnego rozwoju i jeszcze dziś wśród niej dopatrzeć można w szczątkach pozostałe, lecz w żywej praktyce będące, zaginione gdzieindziej odwieczne formy władania ziemią; studia zatem nad ustrojem drobnej zagonowej szlachty są dla ekonomii i historii rolnictwa doniosłego wielce znaczenia.” Temi słowy kończy autor swą broszurkę.

— „Podług systematu prof. Kocha przyrząd do domowej sterylizacji wody i mleka, zbudowany przez dra F. Stępniewskiego w Warszawie.”

Oprócz opisu przyrządu i sposobu jego używania, książeczka zawiera wskazówki lekarskie co do karmienia niemowląt. Dużo jest także uwag w ogóle z zakresu higieny. Przyrząd opisywany posiada nieporównaną wyższość nad wszelkimi innymi sterylizatorami, jest bowiem bardzo prostej budowy, tani (cena 8 rs.) i łatwy w użyciu. Broszurka zaopatrzona jest w rysunki objaśniające tekst.

— „Kalendarz księgarsko-literacki” (rok III). Warszawa. Nakład księgarni Centnerszvera.

Znajdujemy w nim ciekawą notatkę o ruchu naszym wydawniczym za rok ubiegły. Przybyło: z dziedziny filozofii (dzieł i broszur) 20, nauk przyrodniczych 76, medycyny i higieny 101, geografii i podróży 24, nauk społecznych 38, historii i archeologii 82, technologii i rolnictwa 47, pedagogiki i szkolnictwa 7, filologii i językoznawstwa 33, sztuk pięknych 16, poezyi i dramatów 82, powieści i romansów 113, książek dzieciennych i ludowych 57, religijnych 96, dzieł zbiorowych i encyklopedyi 2, kalendarzy i roczników 41. Ogółem książek i broszur 835. Znaczniejszych księgarń, zajmujących się wydawnictwami, było w Warszawie r. z. 47.

— „Kalendarz Lubelski” ukazał się po raz 25-ty. Na treść literacką rocznika ostatniego złożyli się: Kościński, Or-ot, Rafał Lubicz, Klemens Junosza, W. Dawid i inni. Szeroki dział informacyjny uwzględniła przedewszystkiem stosunki gubernii.

— *Jan Kleczyński*. „Słownik wyrazów używanych w muzyce.” Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1893.

Książka zawiera wyrażenia muzyczne polskie, tudzież spolszczone i całkowicie cudzoziemskie, używane w nutach, w teorii muzyki i kompozycji, wreszcie—znaki. Pierwszy to u nas podręcznik w tym zakresie po wyczerpanym i dziś już niedostatecznym słowniczku Schuberta z r. 1857.

— *Mathias Bersohn*. „Quelques mots sur un tableau inconnu d'Andrea Vincentino, représentant l'entrée d'Henri III de Pologne et de France à Venise en l'an 1574.” Rzym.

Rozprawa ta, ozdobnie wydana, była czytana w Akademii Umiejętności w Rzymie r. z. w październiku. Piotr de Nolhac korzystał z niej w dziele swem, również tam wydanem, p. t. „Il viaggio in Italia de Enrico III, re di Francia” (Podróż we Włoszech Henryka III króla Francyi). Książka p. Bersohna przyozdobiona jest cynkograficzną reprodukcją obrazu opisywanego.

— „Medicinische Reform”, pismo poświęcone wyłącznie sprawom bytu lekarzy, zaczęło wychodzić w Berlinie od 1 stycznia r. b.

— „Johannes Janssen, ein Lebensbild, entworfen vom Ludwig Pastor.” (Jan Janssen, życiorys). Fryburg 1892.

Jest to treściwa biografia znakomitego historyka niemieckiego, skreślona również przez wytrawnego znawcę dziejów. Jakże takie pojęcie o zakresie przedmiotu da wyszczególnienie rozdziałów: I. 1829—1849 (młodość Janssena); II. 1849—1854, studia uniwersyteckie; III.

stosunek Janssena do Bötzmara i jego szkoły; IV. 1854—1863, prace literackie; V. 1863—1864, święcenia kapłańskie i podróż do Włoch; VI. Działalność literacka w okresie 1863—1873; VII. początek „Historji Niemiec” r. 1875; VIII. 1875—1878, pobyt w Berlinie i praca o Stalbergu; IX. 1878—1882, drugi i trzeci tom „Historji Niemiec”; X. spory z krytykami i stosunek do protestantów; XI. 1883—1888, czwarty i piąty tom „Historji Niemiec; XII. 1888—1891, ostatnie prace i zgon. Ogromną sławę za życia Janssenowi zjednała jego wzmiankowana powyżej „Historja Niemiec” od końca wieków średnich, w sześciu dużych tomach („Geschichte des deutschen Volkes seit dem Ausgang des Mittelalters”).

— *Dr Fr. Koehler*. „Estlandische Klosterlecture” (Czytelnictwo w klasztorach estońskich). Rewel, Kluge 1892.

Autor opracował tę rzecz na podstawie resztek z dawnych księgozbiorów klasztornych w Estonii, zgromadzonych w archiwum rewelskiem. Właściwie szperacz miał do czynienia z urywkami, strzępkami owych ksiązek, z których zakonnicy swoją wiedzę czerpali. Są tam ustępy z kazań, rozpraw z dziedziny ascetyzmu i dogmatów, medycyny, nauk przyrodniczych, filozofii scholastycznej i t. d. Autor na podstawie tych danych bezładnych snuje wnioski własne o zakomikach i ich zadaniu cywilizacyjnem, wogóle zaś całą ich działalność i dążenie do światła przedstawia dodatnio.

— „Ozdobne album widoków salin wielickich” wydał p. Szubert w Wiedniu. Autor uzyskał specjalne pozwolenie ministeryum skarbu na zdjęcia fotograficzne. Zadanie to było zbyt trudne, gdyż saliny należało bardzo rzęsiście oświetlać, ażeby fotografie wyszły dokładnie i odtworzyły wiernie wspaniałe widoki. P. Szubertowi udało się to zrobić doskonale, acz z wielkim trudem.

— Jeden z ostatnich zeszytów „Pamiętnika warszawskiego Towarzystwa lekarskiego” umieścił pracę dra Rothego p. t. „Rys dziejów psychiatrii w Polsce”, skreśloną na mocy poważnych badań.

— „Rocznik farmaceutyczny” na r. 1893, wydany przez W. Malesszewskiego i opracowany pod kierunkiem p. A. Jaworowskiego. Fachowcy mogą w nim znaleźć sporo praktycznych wiadomości.

— *Nikodem Krakowski*. „Rzut oka na rozwój przemysłu i najpilniejszą jego potrzebę.” Warszawa, 1893.

Autor zwraca głównie uwagę na to, iż kredyt, t. zw. „przemysłowy”, udzielany na zwiększenie kapitału zakładowego i stopniowo

umarzany, nie ma u nas zastosowania w praktyce; kredyt zaś handlowy wobec rozwoju przemysłu nie wystarcza. Otóż organizacja takiego kredytu, który-by odpowiadał istotnym potrzebom i sprzyjał rozwojowi produkcji, jest konieczną. Uskutecznić to można, zdaniem p. K., za pośrednictwem specjalnej instytucji. Zanim atoli powstanie ona, rolę tę mógłby przyjąć warszawski Bank handlowy, przez założenie filii w Łodzi i Sosnowicach, tudzież możliwe przystosowanie swej działalności do wymagań przemysłu.

— *Stanisław Witkowski*. „De vocibus hybridis apud antiquos poetas romanos. Cracoviae. Sumptibus Academiae litterarum.” (Spółka wydawnicza). 1892.

— *Tomasz Achelis*. „Rozwój etnologii nowoczesnej” tłumaczyła Wanda Karłowicz. (Odbitka z tomu V „Wisły”) str. 130, 1892.

Przekład rozprawy niniejszej zachęci niezawodnie do poznania gałęzi wiedzy tak wielkiej doniosłości, jak ludoznawstwo, której organem jest szacowne wydawnictwo „Wisły.” Autor, Niemiec, pałający szlachetnym uwielbieniem dla zasług dyrektora muzeum etnograficznego w Berlinie, Adolfa Bastiana, ex-lekarza i podróżnika, wynosi może kosztem innych badaczy jego działalność. W 3-ch rozdziałach kreśli przebieg nauki i rysami „z grubszego” stara się odtworzyć sylwetki wydatniejszych etnologów. Co do nas, wolelibyśmy, aby pominął w początkach ludoznawstwa takie postaci, jak np. J. J. Rousseau, którego „Umowa społeczna” zgoła jest tu niepotrzebną wobec takiego, bądź co bądź, badacza nie marzyciela, jak Klemm. W 2-gim rozdziale (gruby błąd drukarski str. 51 Socyologia zamiast *Etnologia* właściwa) nie wiadomo z jakich powodów omawia długo działalność Augusta Comte'a i Schäfflego. Jeżeli kto z pozytywistów, to niezawodnie H. Spencer więcej zużytkował etnologię dla badań społecznych, niż Comte. Schäffle zaś dostał się tu—stosunki dawne z tym uczonym upoważniają nas do oświadczenia tego—jak *Pilat w Credo*. Z 4-tomowej encyklopedyi „*Bau und Leben der socialen Körper*” należała się jedynie wzmianka uzupełniająca (w czwartym tomie). Za to pominięto zupełnie Comte'a Karola, który połowę traktatu swego o Ustawodawstwie (1834) „*Traité de Legislation*”, vol. II cały i vol. III 1—196 stron., poświęcił właśnie zużytkowaniu badań ówczesnych etnograficznych—we Francji, wówczas zgoła leżących odłogiem—do założeń i wniosków teorii politycznej. Zgoła zaś nie do darowania autorowi jest milczenie o takim badaczu, jak Vollgraff, dziwak, co prawda, nieraz sofista we wnioskach polityczno-naukowych, lecz mąż żelaznej pracy i wytrwałości skrzętnej a zdumiewającej. Jego „*Versuch einer Begründung*



einer allgemeiner Ethnologie durch Anthropologie wie auch der Staats- und-Rechtsphilosophie durch die Ethnologie oder Nationalität der Völker" (1851—53) jest, mimo owych nakręcań i formułek, pomnikową pracą. Pośmiertne wydanie w 1864 przez prawnika Józefa Helda w II części zmienia nawet nagłówek „Wissenschaftliche Völkerkunde”, o co nieboszczykowi chodziło. Snadź jednak młodociany filozof niemiecki nie zna wcale lub mało zna piśmiennictwo nauk państwowych. W dziele o dziejach ludoznawstwa należała się też wzmianka, gdy i antropologię (Tylor) autor wciąga, szwajcarowi Perty, (Grundzüge der Ethnographie 1859, Winter”), że już zamierzamy o Gobineau „Essai sur l'inégalité des races humaines” 4 tomy 1853—1855. Oczywiście wszystkie braki te obchodzą autora nie zaś tłumacza polskiego. Przekład jest zresztą staranny, choć mnóstwo błędów drukarskich odstręcza czytelnika. Najudatniej oceniono Peschela, Müllera Fryderyka i Waitza.

J. B. O.

— *Dr B. A. Hirszbund.* „Ueber Kshemendra's Darpadalana.” Petersburg, 1892, w drukarni Cesarskiej Akademii Umiejętności.

Jest to studyum nad starożytnym poetą indyjskim, który był pisarzem wielce wszechstronnym. Do dzieł jego wprawdzie nie należy stosować kryterium wysokiej poezji — brak mu bowiem prawdziwego natchnienia i wytworności stylu, którą się np. Kalidasa odznacza. To też Kshemendra występuje głównie jako moralista, i w „Darpadalamie” stara się dydaktycznymi opowiadaniem lub przysłowiami dowieść, jaką marnością są w ogóle ludzkie zabiegi.

Nadto nadesłano do Redakcyi „Biblioteki Warszaw.” następujące książki:

— *Zygmunt Niedźwiecki.* „Jedyne dzieło.” Warszawa. Ten ogólny tytuł właściwie pierwszej noweli nosi cały zbiorek, w którym oprócz naczelnego mieszczą się następujące obrazki: „W cyrku”, „Malcństwa”, „Swarliwa”, „Zazdrość”, „Uznanie”, „Świstki”, „Schadzka”, „Wanna”, „Spotkanie”, „Cholera”, „Wygrana”, „Sprzeczką”, „Wakans”, „W obłądzie.”

— *Julian Fętuowski.* „Stary mąż.” Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1893. Oprócz obszerniejszej powiastki z życia starszych robotników fabrycznych, noszącej tytuł całego zbioru, są jeszcze: „Cierń”, „Nasz stół” i „Wicher.”

— *W. Kosiakiewicz.* „Rodzina Łatkowskich.” Powieść. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1893. Utwór ten, zanim się ukazał w osobnej książce, był przed paru miesiącami drukowany w „Gazecie Polskiej.”

- *Sewer*. „Dzielną kobietą.“ Powieść. Warszawa. Nakład i druk S. Lewentala.
- *Józef Łabuński*. „Bolko Szczędry.“ Tragedya. Warszawa, 1893.
- *Jan Marcin Zaleski*. „Fatum.“ Obrazek z życia. Lwów. Nakładem rodziny, 1892. Rzecz napisana wierszem.
- *Jules Samson*. „Wychowanie dziewcząt w rodzinie“ praca uwieńczona przez Akademię Francuską. Przekład Jadwigi Sadowskiej. Warszawa. Nakładem S. Lewentala.
- 

---

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

**Józef Weysenhoff.**



# MONARCHIZM ELEKCYJNY I KONFEDERACYE

## W DAWNEJ POLSCE.

1) „Volumina legum.“ — 2) „Dyaryusze zjazdów rokoszowych w r. 1606“ (manuskrypt, wydrukowany w IX, X, XI i XII tomach wydawnictwa Ordynacyi hr. Krasieńskich.—3) Lengnich: „De polonorum confoederationibus“—i „Prawo pospolite Królestwa Polskiego.“—4) Bodin: „De republica libri sex.“—5) Stadnicki: „O tronie elekcyjnym w dawnej Polsce.“—6) Szujski: „Jeszcze o elekeji w domu Jagiellonów w Polsce“ i „Artykuł o wypowiedaniu posłuszeństwa.“ Przyczynek do dziejów konstytucyi polskiej. — 7) Raczynski: „Archiwum tajne Augusta II.“ — 8) „Materialien zur Geschichte polnischer Landestheile unter preussischer Verwaltung.“ — 9. Łoborzewski: „Zaszczyt wolności polskiej angielskiej wyrównywający.“ — 10. Caro: „Das Interregnum Polens im Jahre 1587 und die Parteikämpfe der Häuser Zborowski und Zamoy-ski.“—11. Hube: „O znaczeniu prawa rzymskiego i rzymsko-byzantyjskiego u narodów słowiańskich.“—12) Krasieński: „Geschichte des Ursprungs, Fortschritts und Verfalls der Reformation in Polen.“ — 13) Zakrzewski: „Powstanie i zwrot reformacyi w Polsce.“ — 14. Bobrzyński: „Z dziejów ludu.“ — 15) Chomętowski: „Materiały do dziejów rolnictwa w Polsce w XVI i XVII wieku.“ — 16) Stroynowski: „O ugodach dziedziców z włościanami.“—17) „Pawłów od roku 1767—1795 od jednego domowego przyjaciela opisany.“ — 18) „Akta Komisji Boni Ordinis“ (Archiwum magistratu miasta Warszawy. Protokół B 1, Nr 3/a). — 19) Balzer: „Początek sądów kapturowych.“ Studya nad prawem polskiem. — 20) Prochaska: „Konfederacya lwowska 1464 r.“ — 21) „Krótki respons na dyskurs przeciwko konfederacyom przedrukowany.“—22) Koltowski: „Historya panowania Jana Kazimierza.“ — 23) Górnicki: „Włoch, to jest trzech dni rozmowa na electey Króla Zygmunta III.“—24) August Bielowski: „Pisma Stanisława Żółkiewskiego.“—25) Opaliński: „Satyry albo przestrogi do naprawy rządu y obyczajów w Polsce należące.“ — 26) „Votum Mikołaja Spytka Ligęzy z Bobrku,

które miał oretens w senacie in publico na sejmie pierwszym koronacyi Zygmunta III,“ „Votum tegoż na seym walny w roku 1635 i 1637“ (Turowski). — 27) „Naprawa R-tcy do elekcji nowego Króla“ (1573), wydanie Turowskiego. — 26) „Konfederacya lwowska z r. 1622“ (wydanie Turowskiego).

### Monarchizm elekcyjny.

W dawnej Polsce cała władza publiczna spoczywała w rękach królewskich. „Rex viva lex erat“ i monarchizm, uważany za najwyższego hetnana, sędziego i t. p., był piastunem funkcyi rządowych, których powoli ustępował na rzecz potężniejszych stanów, za pośrednictwem nadań specjalnych: immunitetów, czy przywilejów. Jeszcze Lengnich ośmiela się wyrazić zdanie następujące: „Jeżeli-by zaś trafiło się co takiego, czegośmy nie dotknęli, a była jaka wątpliwość, czy król sam przez się, czyli też ze zgodą stanów ma o tym stanować, wierzył-bym: że jeżeli nie masz żadnego o tym prawa, że to w królewskiej mocy ma być, w czym jej ani prawo pisane, ani zwyczaj nie opisuje. Bo powaga królewska jest dawniejsza, jak powaga stanów, która im nie cała razem, ale powoli, różnemi czasy i po części była udzielona; stąd można miarkować, co się w całości zostało, czego wspólności stany nie nabyły.“ Mimo to, z końcem XVI-go stulecia, stany sejmikujące i sejmujące zdobyły duży zakres przywilejów, wkraczających w sferę prerogatywy królewskiej, i słusznie Bodin zaliczał w owej epoce monarchizm polski do rzędu bardzo określonych i ograniczonych przez szlachtę.

Zdaniem Stadnickiego: „Odkąd na widowni dziejów Polska w wybitniejszych rysach występuje, t. j. od drugiej połowy X-go stulecia, była ona przez lat czterysta monarchią dziedziczną, w całym tego słowa znaczeniu, jeżeli pod tem rozumie się kraj, w którym najwyższą władzę piastuje jeden — syn po ojcu, wnuk po dziadzie, w braku tych, brat młodszy po starszym. Przeciwno temu absolutnemu przyznaniu zasady dziedziczności tronu w dawnej Polsce czynił pewne zastrzeżenia Szujski, wykazując ślad idei elekcyjnej w rytuale kościelnym koronacyi Łokietka, przechowanym dotąd w archiwum kapituły krakowskiej, a podług którego prymas zapytywał zgromadzonych: chcecież mieć Królem N?— na co odpowiadali antyfoną: „Radzy, radzy, radzy.“ Miał jednak słuszność Szujski, nie przywiązując do owych słabych śladów elekcyi wielkiej wagi. Ostatecznie bowiem nie zaprzeczały one Piastom prawa dziedziczenia tronu, i tylko w miarę rozkładania się Polski na coraz liczniejsze dzielnice, sprawa sporna elekcyi i sukcesyi ustąpiła wydzieleniu spadków według prawa prywatnego.

Na Jadwidze dopiero skończyło się prawo dynastyczne. Jagiełło dnia 18 lutego 1386 roku był jeszcze tylko „dominus et tutor regni Poloniae,” a jakkolwiek w tymże roku, w czerwcu, na przywileju Nowokorczyńskim tytułował się królem, zamęt pojęć i niewykształcenie idei monarchicznej było zawsze tak wielkiem, że królestwo jego mają za wygasłe ze śmiercią królowej Jadwigi i podtrzymują je nieuznanem wprzód prawem wnuczki Kazimierza W., Anny Cylejskiej. Dynastia Jagiellonów utrzymała się na polskim tronie nie bez pewnych trudności, ale już pierwiastek elekcyjny wzmógł się znacznie, i nietylko że rady koronne, czyli senat polski i litewski, wybierały króla z domu Jagiellonów, ale na sejmie elekcyjnym w roku 1446—ażeby wywrzeć nacisk na królewicza, dawniejszego elekta, stawiono mu przed oczy, jako kandydata do tronu, Fryderyka, księcia Brandenburgii, zaręczonego w r. 1431 z Jadwigą, jedyną córką Władysława Jagiełły. Metropolita gnieźnieński, Wincenty, pierwszy wniósł ową kandydaturę, a Zbigniew z Oleśnicy, uchodzący za najcelniejszego męża stanu, jakiego kiedykolwiek Polska wydała, w świetnej mowie przedstawił zgromadzeniu: że za życia jeszcze Władysława Jagiełły, sędziwi doradcy chcieli go mieć następcą Króla na polskim tronie. Przrzekał bowiem kandydat, że miasta zakładać, przystanie morskie tworzyć będzie, Ruś i Podole z gruzów podniesie, a że samo królestwo, dręczone różnemi nadużyciami, mianowicie podwodami (rozumie się, miał tu na oku dobra duchownych), pod łagodnem jego berłem odżyje.

Zygmunt I, pragnąc uniknąć zamieszania i niepokojów, towarzyszących zwykle wakującemu tronowi, zdołał za życia swego przeprowadzić wybór królewicza Zygmunta Augusta w roku 1529, czyli, że elekcyja przeszła w fazę „designationis,” będącej na zachodzie Europy wstępem do utrwalenia się dziedziczości tronu. Po śmierci jednak Zygmunta Augusta w roku 1572 nastąpiła epoka tak zwanych „wolnych elekcyi,” czyli wyboru królów, nieograniczonego względami na dynastję, dawniej w kraju panującą. Gdy więc Bodin chlubił się, że we Francyi królowie właściwie nigdy nie umierają, a ta oryginalna fikcyja prawna służy ku temu, aby wszyscy zrozumieli, że z chwilą śmierci jednego monarchy drugi bezzwłocznie obejmuje rządy i że tylko tym sposobem unika się niepewnej sukcesyi tronu, owej „incerta regni successio—qua peste nulla perniciosior in republica existere potest,” o Polsce, opierając się na opowieści kanclerza Zamoyskiego, miał tylko to do nadmienienia, że: „ipse interregnum habet anarchiam” i że podczas tych bezkrólewii „nihil tam sacrum, et tam sanctum, quod non foedissime solet et cum summa impunitate contaminari.”

Wolne elekcyje utrwały przedewszystkiem w Polsce konfederacyjne sejmowanie, doniosłości zaś konfederacyi dla ustroju państwo-

wego poświęcony będzie następny rozdział. Obecnie zastanowić się należy jedynie nad wpływem, jaki wolne elekcye wywarły na istotę monarchizmu w Polsce. Poznanie bowiem tego wpływu rozjaśni w naturalnym rzeczy biegu inną, równie doniosłą kwestyę, a mianowicie: dlaczego władza królewska nie była w stanie wystąpić w Polsce z tą siłą wobec stanów sejmikujących i sejmujących, jak na zachodzie Europy?— i dlaczego w następstwie nie mogła spełnić wysokiej misji politycznej, której zwiastunem był monarchizm oświecony i absolutny? Jakkolwiek Kościół nie cofnął elektom namaszczenia i nie odjął im tym sposobem charakteru „Pomazańców Boskich“ (divini, nie humani juris), a nawet wolno wybranemu królowi udzielił zaszczytny przydomek „orthodoxus,“ kładąc go tym sposobem na równi z bratnią drużyną monarchów katolickich; to jednakże elekcyjni monarchowie od 1573 r. wydawali się zawsze czemś niezupełnem i anormalnem w ukoronowanem gronie. Sam akt elekcji musiał stanom dawać poczucie siły i jedności wobec elektów, co się też niewątpliwie objawiło przy pierwszym wyborze w zastrzeżonej możności wypowiedzenia królowi posłuszeństwa. Nie nie pomogły ograniczające interpretacye tak niebezpiecznego prawa, powoływano się na nie następnie niejednokrotnie i one służyły za podstawę federacyjnym związkom w XVII-ym i XVIII-ym wieku.

Jeżeli stany sejmujące zdobywały się na poczucie jedności wobec grozy „niebezpiecznego czasu“ elekcji, to po dokonany wyborze łączyła je znowu trwoga i podejrzenie, że nowy elekt zacznie przemyślać o dziedziczości tronu, która stanie się prędzej lub później wrogą dla przywilejów stanowych. Sejmujące stany znajdowały w obu razach potężnego a naturalnego sprzymierzeńca w mocarstwach ościennych, którym elekcye otwierały szerokie wrota do ubezwładnienia Rzeczypospolitej i do wyzyskania jej słabości na rzecz dobra własnego państwa. Kiedy też praktyka XVII-go wieku odsłoniła głęboką ranę elekcyjną w organizmie Rzeczypospolitej, potencye ościenne przyszły do przekonania, że nie dla nich nie było-by niebezpieczniejszego nad sukcesyjny tron w Polsce. Wobec niego bowiem zniknąć-by musiały jedna po drugiej kardynalne wady, osłabiające państwo polskie, a tego sobie ościenne mocarstwa, dążące do własnego dobra, życzyć nie mogły. Nawet wolny wybór następcy za życia króla został osławiony, jako pośrednio dążący do absolutnej władzy, a ostatnie zamysły i pokuszenia się Augusta II-go o tron dziedziczny miały, podług przebiegłej rady Fleminga, odbyć się w tajemnicy przed obcemi mocarstwami, gdyż należało przewidywać ich opór przeciw podobnej reformie.

Od 1717 roku, jak zauważył Hofman, winy nasze się kończyły, a rozpoczynały cudze, choć właściwiej należało powiedzieć, że błędy nasze przeistaczały się w cudze dobro. Zasadnicze wady ustroju Rze-

czypospolitej, a między innymi w pierwszym rządzie wolne elekcyje, stały pod gwarancją prawa międzynarodowego i wytrącały królom wszelką moc przeprowadzania niezbędnych reform. W końcu XVI i w XVII wieku, mocarstwa ościenne nie zdołały jeszcze zapobiedz temu, że po trzykroć korona pozostała w rodzinie Wazów, a w końcu XVII-go i w XVIII-ym wieku po dwakroć w rodzie Sasów. Nawet, jeżeli szczerze można wierzyć, nie sprzeciwiały się mocarstwa temu, aby Jakób Sobieski wstąpił na tron po swym bohaterskim ojcu. Z tem wszystkim obca interwencya zakreślała wokół państwa polskiego coraz to ciaśniejsze pierścienie i po zgonie Augusta III-go postanowiono do tronu przypuścić tylko Piasta bez znaczenia, a przytem dobrać mu w danym razie małżonkę po-za rodami dynastów, oraz nie dozwolnić na zmianę kardynalnych zasad ustroju państwowego. Fryderyk II pruski uważał się już za specjalnego obrońcę anarchicznych swobód republikańskich wraz z „liberum veto.“ Wszelkie zamiary reform w tym kierunku uważał za „schädliches Dessenin,“ któremu wszelkimi siłami zapobiegać należy, a nawet zapewnienia Panina nie zdołały uspokoić jego nieufności i zdobyć zezwolenia na częściowe usunięcie „liberum veto.“ uchwalone przez sejm z r. 1764. Jak bitwę pod Warszawą w r. 1656, tak i wybujałe swobody republiki polskiej, uważali monarchowie pruscy za kolebkę pruskiej mocy, oraz pruskich zwycięstw (Wiege der Preussischen Kraft und der Preussischen Siege) i nie dopuścili nawet do tych reform, które innym mocarstwom wydały się nietylko bezpiecznymi, ale i niezbędnymi dla utrzymania jakiegokolwiek wewnętrznego ładu.

Wobec stanów sejmikujących i sejmujących znajdował się monarchizm polski w położeniu trudnem i krępującem. Stany bowiem nie obradowały kuryami, lecz w dwóch izbach, a zarówno w senacie, jak i w izbie poselskiej, choć nie mógł jeden stan uchwalić nic takiego, coby było przeciwnem przywilejom drugiego, ale w każdym razie głosowanie odbywało się „viritim,“ a nie stanami—czyli, że wszystkie głosy były sobie równe. Jeżeli więc „liberum veto“ nie popsulo od razu całego dzieła, rozstrzygała w prawodawstwie prosta większość votów. Po roku 1573, wbrew temu, czego Karnkowski żądał i czego oczekiwał, powaga senatu coraz bardziej topniała, nietylko wśród rzeszy sejmikującej, ale i na sejmie. Powoli bowiem wyrobił się zwyczaj prawny, który dogmat troistości stanowej przeistoczył zupełnie. W połowie XVI-go wieku uważano jeszcze króla i senat za stany, czyli pierwiastki składowe sejmu, bez których zgody żadna ustawa nie mogła przyjść do skutku, a jednak już wtedy dawały się słyszeć narzekania, że posłowie: „pany i króla nic sobie nie ważą i sami tylko chcą być „totum.“ W XVII i XVIII stuleciu większość izby poselskiej decy-



dowała już o wszystkim i, jako organ najliczniejszy, zdolną była przełamać opór monarchy i senatu.

Stan więc rycerski zapanował na sejmikach i sejmach wyłącznie, a monarchizm, nie mając za sobą silnego mieszczaństwa, nie był w mocy rozdzielić szlachtę i pozyskać trwale jedną jej część dla swej władzy. Nie da się zaprzeczyć, że królowie wytwarzali bezprzestanku własne stronnictwo wśród grona sejmikującego i sejmującego, i że posiadali nawet potężny na pozór środek w szafowaniu łaskami, w rozdawnictwie urzędów i królewszczyzn; ale sam pr. Caro, który temu środkowi przypisywał duże znaczenie, wykazał, że tkwiło w nim także nasienie złego w postaci niewdzięczności obdarowanych, a zawiści pominiętych, zwanych zazwyczaj malkontentami. Zaszczepienie też trwalszego nieporozumienia między szlachtą a panami, w celu uczynienia po-nad nimi króla arbitrem, nie udało się nawet Augustowi II, pomimo to, że miał własny skarb i własne wojsko do dyspozycji. Stronnictwo więc królewskie w sejmie było ciągle zmienne, a nad osłabieniem jego pracowały wytrwale obce wpływy, przyrzekające w imieniu przyszłego elekta hojne wynagrodzenie, bądź to za odstępstwo, bądź to za opozycję.

Inne źródła, z których monarchizm na zachodzie Europy czerpał siłę, okazały się w Polsce również nikłemi i małoważnemi. Nauka polityczna, występująca pod wpływem reformacyjno-religijnych prądów w Polsce XV-go wieku i powtarzająca wczesnie Ostroroga starotestamentowe twierdzenie, że serce króla znajduje się w ręku Boga (*cujus cor in manu Dei situm est*), zdobyła się na prace, zachwalające teorye Machiavella, wraz z dziedzicznym monarchizmem. Jeszcze w XVII wieku spotkać się można z cytowaniem Machiavella, jako powagi naukowej, ale to rzadko, i aż do drugiej połowy XVIII-go stulecia trzeba było czekać na otwarte i bezwzględne potępienie wolnych elekcji. W końcu XVI-go stulecia, mimo wolnego obioru, dowodził wprawdzie Karnkowski: że każdy król chrześcijański „*in suo regno*“ tak się ma, jak dusza w ciele, która „*movet universum corpus*“ jako słońce, które świat oświeca i ożywia, jako „*imago Dei*“, mądrość Boska „*filius Dei*“, który „*a fine usque ad finem pertingit et disponit omnia suaviter*.“ Pragnął też Karnkowski, aby od niego, jako od głowy Rzeczypospolitej, poczynał się „*motus, ordo et progressus actionum*“ na sejmie i aby nikomu innemu nie przynależało kończyć ich i do skutku przywodzić, jeno królowi, czyli żeby jemu samemu konkludować wypadalo. Później jednak do nauk politycznych zakradło się duże balamuctwo w pojmovaniu władzy królewskiej, a „Głos wolny“ St. Leszczyńskiego najlepszym pozostanie dowodem, jak górujący w wielu razach po-nad swą epoką umysł uległ teoryom rozkładowym, wytworzonym powoli przez wolne elekcye.

Prawo rzymskie, które zachodniemu monarchizmowi wykształciło legiony wiernych i sprawnych urzędników, nie było w stanie oddać królom elekcyjnym w Polsce tychże samych usług. Pomimo rozpowsechnionej u nas nauki prawa rzymskiego, obawiano się rozszerzenia i ustalenia jego zasad. Lękano się niektórych absolutystycznych jego reguł i pryncypiów, kępujących swobodne rozwinięcie krajowych instytucji. Dość wspomnieć Orzechowskiego, który głosił: „*Quod principi placet legis vigore habet*,” to jest owa pierwsza reguła prawa cesarskiego, dla której samej brzydzą się Polacy prawem cesarskiem; a dalej o samej zasadzie mówi: „*romanae servitutis sunt illa carmina*.” Zebrawszy też wszelkie po temu szczegóły, oświadczył Hube bez wahania, że prawo rzymskie w zakresie polskiego prawa ziemskiego, tak cywilnego, jak i kryminalnego, prócz kilku rozporządzeń z niego wziętych, nie miało znaczenia legalnego, a w praktyce nie zaszczycało się siłą prawa pomocniczego. Znaczenie jego na tem polu było tylko znaczeniem nauki, która ciągle była wysoce szanowaną i skrzętnie uprawianą tak w szkole, jak i w literaturze prawniczej. Inaczej się rzeczy miały jedynie w sferze prawa miejskiego; tu bez zaprzeczenia miało prawo rzymskie przyznana u nas siłą prawa pomocniczego.

Niewątpliwie królowie posługiwali się w swej kancelaryi daleko chętniej takimi, których mogli uważać jako: „*juris caesarei ac pontificii consultissimi*,” ale gdy w końcu XVI i w XVII w. monarchizm zachodni organizował coraz to liczniejsze władze administracyjne, walczące z reprezentacją stanową, w Rzeczypospolitej polskiej, jak to już poprzednio zaznaczonem zostało, czy to do sądów królewskich, czy do kancelaryi królewskiej, wcisnął się żywioł niewydyscyplinowany szlachecki, który egzekutywie monarszej odejmował w stanowczych chwilach niezbędną siłę. Dodać jeszcze należy i tę okoliczność, że, jakkolwiek ministerya i wszelkie znaczniejsze urzędy otrzymywały nominacyę od króla, to jednakże na szafowanie urzędami wywierały stany sejmujące różnolity a skuteczny nacisk, a prócz tego i sprężystość rządu podkopaną była tem, że król ministra niesfornego lub niezdolnego nie mógł oddalić od urzędu, w imię zasady prawa angielskiego „*durante beneplacito*,” lub jak w sądzie „*quandiu bene gesserit*,” lecz w danym razie trzeba było obejść trudność pozornem wynagrodzeniem i targowaniem się z opornym dygnitarzem. Niektóre też urzędy ministeryalne, jak np. hetmaństwo, uważała szlachta za mediatora „*inter majestatem et libertatem*,” a samodzielność hetmańskiej władzy i jej znaczenie zapewniały z góry pobłażanie hetmanom, a często i bezkarność w razie nieposłuszeństwa królowi.

Jedną z przyczyn wzrostu władzy monarchicznej na zachodzie Europy była niewątpliwie reformacja religijna i ona-to ustaliła zasadę:

„*cujus regio, illius religio*,“ zapewniającą panującym protestanckim w ich kościele stanowisko biskupa „*quoad externa*.“ Pomimo tego jednak, że dosyć wczesnie zawitały do Polski prądy reformacyjne, nie zdołały wszakże przyjąć się głębiej i wywołać w społeczeństwie większego rozdzielenia. Gdy pewna ilość magnatów i szlachty porzuciła Kościół katolicki, a stan rycerski począł nazywać króla „zwierzchnim wszechpasterzem.“ duchowieństwo zaś obarczać zarzutami, mającemi zazwyczaj świeckie motywy, Zygmunt August nie pomyślał ani na chwilę o korzystaniu z waśni i zapewniał podniosłemi słowy: „Niech mię też żaden tak nie rozumie, abym kogo miał przywozic do wiary okrucieństwem abo też srogoszczią jaką, czyje summienie obciążacz. Iście i nie jest też intencya moja, bo też wiari nie moja rzecz budować i wiem, że to sprawa Ducha ś-go.“ Nie była też owa waśń tak głęboką, a strony poważnione nie posiadały równej siły, aby można było na poróżnieniu się ich trwałem oprzeć system politycznej akcji. Pamiętnemi pozostaną słowa Zamoyskiego, wyrzeczone do jednego z adeptów reformy: „Kiedyby to mogło być, abyście wszyscy byli Papiężnikami, dał-bym za to połowę zdrowia mojego, żebym drugą połowę żyjąc, cieszył się z tej świętej jedności. Ale jeśli kto będzie wam gwałt czynił, dam wszystko swe zdrowie przy was, abym na tę niwołę nie patrzył.“

Zresztą ze śmiercią Zygmunta Augusta nastąpił zwrot stanowczo niekorzystny dla protestantyzmu. Jeżeli w przededniu obioru nowego króla udało się pozyskać dysydemtom upragnione równouprawnienie przez konfederacyę z r. 1573, to, jak zapewnia prof. Zakrzewski, nie powinno nas to zwodzić. Konfederacya, nigdy przez duchowieństwo za prawo, cały naród obowiązujące, nie uznawana, była prawie czerem słowem i zapewniała równouprawnienie, dopóki protestanci byli dosyć silnymi w kraju, aby się było potrzeba z nimi rachować. Ponieważ jednak od śmierci Zygmunta Augusta protestantyzm począł niknąć, zrazu powoli, potem coraz szybciej, przeto w misyi pojednawczej, godzącej dwa potężne rozłamy społeczne, nie mogli Królowie elekcyjni znaleźć siły, wzmacniającej ich władzę.

Monarchizmowi zachodnio-europejskiemu udało się jeszcze pozyskać większy wpływ za pośrednictwem odosobnienia deputacyi stałych od stanów sejmujących i sejmikujących, oraz przez zaszczerpienie tym sposobem zobojętnienia w klasach uprzywilejowanych dla instytucyi reprezentacyjnych. Wybieralnym królom w Polsce było powyższe zadanie zbyt trudnem do wykonania, i nawet ryzykowny Fleming nie śmiał podobnego projektu podsunąć Augustowi II-mu. Wprawdzie często zrywane sejmy pozwalały przypuszczać, że rada senatu zajmie z czasem stanowisko trwałych deputacyi sejmowych i stanie się powol-

nem narzędziem w rękach energicznego monarchy; ale zaporę nieprzebytą uformowały sejmiki, wśród których niknęła powaga senatu, i żadna deputacya, ani kolegialna władza, nie dała się odosobnić od wiecznie czujnego i ruchliwego tłumu szlachty. Sejmiki też podtrzymywały w uprzywilejowanych klasach chęć do sejmowania w pełnym komplecie, a z ową chęcią szło w parze podejrzenie i nieufność do wszelkich deputacyi trwalszych, które podkopywały najkardynalniejszą zasadę konstytucyi republikańskiej: „nie na nas, bez nas.“

Monarchizmowi zachodnio-europejskiemu udało się po wielu usiłowaniach roztoczyć opiekę nad poddanymi klas uprzywilejowanych, oraz powoli zrobić wyłom w twierdzy, jaką własność dominialna, ubezpieczona władzą patrymonialną, stanowiła. Królowie elekcyjni w Polsce rozumieli wybornie doniosłość misyi, zwiastującej sprawiedliwość i zgodę między stanami, ale nie mogli podołać zadaniu, któremu zaledwie w części zdołał sprostać monarchizm oświecony, lecz absolutny. Nie należy zapominać, że pierwszy wolno wybrany król spotkał się na wstępie swych rządów z uzurpowaną, pełną władzą patrymonialną nad włościanami, a to w rzeczach zarówno świeckich, jak i wyznaniowych. W roku bowiem 1573 szlachta w zakresie dominiów i względem własnych poddanych zapewniła sobie zasadę: „cujus regio, illius religio,“ czyli, że zdobyła dla siebie to, czego monarchizm nie zdołał pozyskać dla korony. Usunięcie przywilejów, wybujałych w tak potężną pasorzytną roślinę, przechodziło siły królów elekcyjnych, choć pośrednio wpływali wedle możności na złagodzenie doli włościanina, zapewniając mu przynajmniej troskliwą opiekę i wymiar sprawiedliwości w obrębie królewszczyzn. Na oświeceniszą część szlachty musiało też dodatkowo wpłynąć gorące współczucie i szczerza modlitwa, jaką „Pomazańcy Boscy“ zanosili pod postacią wotów przed ołtarzem, aby uprosić dla włościan lżejszą dolę. Niema też prawie dłuższego okresu, w którym-by możnowładcy nie nakładali własnowolnie hamulca władzy patrymonialnej. Panowie, uzurpujący sobie w XVII wieku na wzór monarchów tytuł: „z łaski Bożej,“ okazywać zaczęli coraz częściej troskliwość o dobro swych poddanych, a w drugiej połowie XVIII-go w. zwrot powyższy potężniał coraz bardziej i stał się prawie powszechnym. W XVIII wieku, równie jak i w poprzednich, należy elekcyjnym królom przypisać lwią część w zasłudze wymierzania sprawiedliwości przeciążonym włościanom. Nawoływali bowiem nieustannie do reform, a podjęte przez magnatów dzieło emancypacyi włościan podnosili, jako szczególną, im osobiście świadczoną łaskę, składając na każdym kroku dziękczynienia.

Co się zaś tycze miast wolnych królewskich, dotkniętych ciężko rabunkowem gospodarstwem starostów i wojewodów w XVII i XVIII

wieku, to i w tym razie wybieralny monarchizm czynił wszelkie możliwe wysilenia, aby zapobiedz ekonomicznej ruinie mieszczaństwa i uratować od szlacheckiego wyzysku, co się tylko uratować dało. Jan III dekretem z roku 1663 uzupełnił organizację miasta Poznania, w roku zaś 1756 wydano nową ordynację w sądach asesorskich dla tegoż miasta, a w roku 1764 zniesiono wszelkie jurysdykcyje duchowne i świeckie po miastach. Panowanie Stanisława Augusta zawiera cały szereg reform, dążących do wskrzeszenia i zabezpieczenia samorządu municypalnego. Zaraz w pierwszym roku rządów (1 Junii 1765), król mianował dla starej i nowej Warszawy Komisję Boni Ordinis dla przejrzenia y przeczytania praw, przywilejów y ordynacyi dawnych i innych dokumentów i t. d. i t. d. Prócz tego Komisya Boni Ordinis miała rozpoznać wszelkie krzywdy i nadużycia, bezpośrednio dotyczące miasta i o tem sądy asesorskie zawiadamiać. Sejm z 1768 roku upoważnił monarchę do wyznaczenia dla wszystkich miast królewskich Komisji Boni Ordinis, które-by się zajęły reformą praw municypalnych. Zdaje się jednak, że choć następne sejmy zezwalały na podobne Komisye, myśl reformatorska Stanisława Augusta urzeczywistnioną została na większą skalę dopiero w roku 1777, i z tej myśli przekonać się łatwo, jak wybornie pojmował monarchizm swe zadanie względem stanów uposledzonych.

W stosunkach międzynarodowych monarchizm elekcyjny nie był w stanie oddawać Rzeczypospolitej tych usług, co królowie dziedziczni na zachodzie Europy. Elektom trudniej było pozyskać wysokie związki rodzinne wśród dynastów i wyzyskać w następstwie pokrewieństwo na rzecz państwa. Nie uszły uwagi Roschera niedogodności, płynące z tego względu dla Rzeczypospolitej, a Łobarzewski przypominał jeszcze w XVIII wieku, że, jak Polska miała elektów, posiadających własne dziedziczne państewko, wówczas doznawała poszanowania od ościennych i liczono się z nią nawet w dyplomatycznych stosunkach. Piast nie mógł już rachować na powyższe względy, i gdy monarchizm oświecony w stosunkach międzynarodowych powoływał się otwarcie na zasadę, głoszącą, że: „das Recht des Stärkeren ist die Jurisprudenz der Souveräne,“ elektom piastowskiemu przypadła z natury rzeczy rola zupełnie bierna, wsparta jedynie na chwiejnej podstawie równowagi europejskiej.

Monarchizm elekcyjny w Polsce mógł się niewątpliwie pochlubić wyjątkowymi osobistościami, pragnącemi być rzeczywistym władcą i panującym. Zdobi go również szereg świetnych czynów, które nie przestaną po wsze wieki oświecać niebieskich stropów gwiazdzistą tarczą (tarcza Sobieskiego); ale we współzawodnictwie z sejmami i sejmikami uledz musiał z tego powodu, że nie było ciągłości i tradycyi w jego

pracy, że zwykle jedno panowanie, choćby takie, jak Batorego, było za krótkie do spełnienia dzieła reformy, a elekcyja następna niszczyła owoce polityki nawet najzdolniejszego monarchy. W tejsze samej więc dobie, w której monarchizm oświecony stał się skalą bronzową, roztrącającą gmach reprezentacyi stanowej, w Polsce można było o królach elekcyjnych zaledwie powiedzieć, że byli-by niewątpliwie spełnili taką samą misyę polityczną i stali się zwiastunami silnego rządu, gdyby nie stracili wraz z domem Jagiellonów dziedzicznej korony.

### K o n f e d e r a c y e .

W drugiej połowie XV-go stulecia poczęła się reprezentacya stanowa w Polsce coraz to wyraźniej formować i z każdą chwilą prawidłowej oraz stalej funkcyonować. Nie mniej jednak sprzysiężenia, spiski, czyli konfederacye w dawniejszem znaczeniu, pojawiały się jeszcze w roku 1464, w którym to czasie: „tak ziemia Lwowska, jako też powiat Żydaczowski, tudzież miasto Lwów, ponieważ od lat wielu aż po dziś dzień mnogo cierpią nieprawości, ucisku, ciężarów, krzywd i wiele szkód ponoszą, że pod brzemieniem tychże wytchnąć nie mogą, przeto, chcąc temu zapobiedz i w przeciwnościach naszych mieć podostatkiem siły, jako też dorady, my, wymieniona szlachta, połączyliśmy się z mieszczaństwem Lwowa węzłem braterskiej unii, przyjmując tychże za współbraci i współspiskowców (conjuratos) i t. d.“ Za Zygmunta I-go, w r. 1537, pospolite ruszenie, zamiast walczyć przeciw nieprzyjacielowi zewnętrznemu, przypomniało sobie szereg pretensyi do króla i, chcąc wymódz na nim ustępstwa, „zaczęli schacki między sobą przyjacielskie... o rzeczach uczciwych, o wolnościach, jak: pod Opoką, Nieaszawą, Czerwińskiem.“ Dekret sejmowy z r. 1538 nazwał głównych konspiratorów „rokoszanami.“ Pomimo, że się uciekali do łaski J. K. Mości, „aby w sąd z nimi nie wchodził, za więźnie poczytani według miłosierdzia i łaski J. K. Mości.“

W roku 1563, opierając się podatkom, nałożonym przez sejm, wyraża się szlachta województwa Sandomierskiego w instrukcyi sejmikowej: „aby żadna angaria przez urzędy wkładana być nie mogła, aż wszystkim ku wiadomości ustawa ta przyjdzie, która gdyby była przeciw wolnościom, aby ich na sobie rozciągać nie dopuścili, stądże urosły te spiski, które my kaptury zowiemy, w których stoi, jako się przysięgą przodkowie nasi sprzysięgli, nietylko duszę przed Bogiem krzywoprzysięstwem obwiązując, ale też i ciało przed ludźmi poczciewością tak każdy bronić był powinien praw tych i t. d.“ Na sejmie w Piotrkowie w roku 1565 posłowie znowu zgodnie oświadczyli, że: „Nie mamy w Pol-

sce, ani wiemy o żadnym stanie, jedno jako o jednym Panu, tak i o jednym prawie, którego strzedz powinniśmy, bo przodkowie nasi kaptur na to sobie spisali.“ Najważniejszym jednak źródłem, odświeżającym w społeczeństwie ideę federacyi, były elekcye królów, i dlatego słusznie Lengnich nazywa konfederacye podczas bezkrólewii najstarszemi (quod eadem omnium antiquissima).

Żywioł związkowości, czyli federacyi, nie rozwinął się wszakże w XV wieku w takiej imponującej pełni, jak podczas wolnych elekcji od roku 1573. Dawny sposób obierania króla (modus eligendi regis) składał nasamprzód w ręce senatu władzę elektorską; następnie sejm cały uczestniczył w funkeyi wyborczej, a mimo to, że podczas wakującego blisko rok tronu, przed objęciem rządów Kazimierza Jagiellończyka, stany Królestwa nie zawiązały konfederacyi, jak to miało miejsce w r. 1572, zwykle jednak zapytywano miasta o zdanie i rzeczypospolite miejskie wykazywały w szeregu swych przywilejów niezaprzeczonego udział w elekcji królów i to od najdawniejszych czasów. Przez to samo jednak, że obiór króla polegał głównie na określeniu prawa sukcesyjnego panującej dynastyi, i że sama doba bezkrólewia trwała zazwyczaj krótko, niebezpieczeństwa i zamieszanie pokoju publicznego w kraju nie były ani tak powszechne, ani tak groźne, a przedewszystkiem nie dawały pola do nieustającej interwencyi postronnej, narzucającej państwu polskiemu cudze interesa. Porównywając też dawne elekcye z późniejszymi wolnemi, Lengnich zauważył: „et quae in annalibus eorum temporum occurrunt electiones, si cum hodiernis conferantur, simulacra potius electionum quam electiones habendae i t. d.“

Z tem wszystkiem nie musiały i dawne elekcye korzystnie wpływać na ustrój państwowy, kiedy Zygmunt I tak usilnie starał się o wybór syna za swego panowania, i to nie dlatego bynajmniej, ażeby się obawiał, iż narody, pod jego berłem złączone, odsuną dom Jagiellońców od tronu, lecz z wyraźnie wymienionego powodu: że tym sposobem uniknie się zamieszania i rozterek w kraju. Zygmunt Stary doznał już niefuności sejmujących stanów, które w roku 1537 domagały się natarczywie i wymogły na wybranym od dość dawna Zygmuncie Augustcie uznanie: „że nikt z poddanych naszych nie winien nam posłuszeństwa, dopóki wszystkich praw nie potwierdzimy,“ a później w roku 1550 drugie przyznanie: „a jeśli byśmy sami przeciwko temu co uczynili, tedy nie inaczej rozumiane być ma, jeno żeśmy w tem przeciw przysiędze naszej wykroczyli.“ Sejm jednak w roku 1537 wymógł na Zygmuncie I daleko znaczniejsze i dla przyszłości donioślejsze ustępstwa. Na mocy przywileju z tego roku, senatowi przysługiwała inicjatywa w zwołaniu sejmu elekcyjnego, a do aktu wyboru króla przypuszczono wszystką szlachtę; jej też dostało się w udziale orzeczenie aktu unii, że w elekcji

ma brać udział Litwa i Polska, oraz że sejm elekcyjny ma się odbyć w Koronie.

Jeżeli Zygmunt I dostrzegł złowróżbną groźbę dla państwa polskiego w elekcyach ograniczonych, to Zygmuntowi Augustowi stała się ona nieustannie dręczącym widmem zagłady. Podtrzymywał królewskie obawy Przyłuski, który za dziedzicznym monarchizmem a przeciwko elekcyom przytoczył tyle przekonywających racyi stanu, że dojrzałego jego sądu i przenikliwości spostrzeżeń nie powstydzil-by się nawet sam Bodin. Zygmunt August uważał usunięcie elekcyi za zadanie niemożliwe do osiągnięcia. Zresztą, dopóki go nie opuszczała nadzieja dochowania się potomstwa, elekcyi samej nie uważał zrazu za akt zbyt groźny dla ustroju państwowego, pod warunkiem naturalnie, że dokonywanym będzie za życia panującego monarchy. Najważniejszym więc praktycznym celem dla Zygmunta Augusta było osiągnięcie dezygnacyi dla następcy, takiej, jakiej sam doznał w r. 1529. Dopiero gdy monarcha nabył pewności, że sukcesora państwu nie zostawi, troska jego o zorganizowanie należyte elekcyi wzrastała z każdą chwilą. Na sejmie w roku 1558 podkanclerzy w imieniu króla ostrzegał o niebezpieczeństwach, które-m-by Rzeczpospolita zginąć mogła przez to, iż żadnego porządku „de successione et electione regis nie masz dostatecznie opisanego. Król się tedy stara, aby po swem zejściu usunąć niebezpieczeństwa, w które ją przywieść jeśli co tedy, to najrychlej może.“

W odpowiedzi posłowie wspominają o przywileju, uzyskanym od Zygmunta I-go i zapobiegającym niebezpieczeństwu bezkrólewia, a ów: „przywilej sławny do tego należący o złożeniu seymu po odumarciu Króla dał (Zygmunt I), którym przywilejem wolni wolienie Króla nam wsitkim obywatelom koronnym, zdawna używane, zatwierdzić raczył,“ a w końcu żądają lepszego i dokładniejszego opisanie owego seymu elekcyjnego. Senat jednak, czyli panowie, dotknęli największej trudności, jaka w akcie elekcyjnym spoczywała, i wykazali posłom w odpowiedzi: „że to rozumieją być w tym przywileju (Zygmunta I-go 1538) szkodliwym, iż do tej elekcyi wszyscy się zjechać i wszyscy króla obierać mają, a gdyż to jest rzecz niepodobna, aby „in tanta multitudine“ porządek i zgoda być miała, bo każdy autoritatem sobie uzurpować będzie chciał, a stąd confusio i faccie byłby musiały, przeto się JMościom widziało, abyście WMość o tem radzili, jakoby żadnego stanu od tego nie odciskając, był mianowany poczet ludzi, którzy-by się na tę elekcyę zjechać mieli, naznaczać ze wszech stanów, bo inaczej trudnoby zgoda być miała i granice-by się zewsząd ogoliły, gdyby się na jedne kupe wszyscy obywatele zjechać mieli.“



Podług opracowanego na tymże sejmie sposobu elekcji króla, dokonać aktu wyborczego powinien był sejm, a „posłowie wybrani na ów sejm walny mieli mieć od braci swej osobę mianowaną na elekcyę Królestwa, którą by proponować mieli między drugiemii, a to aby pod pieczęcią od szlachty mieli, gdy się innym wszem która inna osoba zdać będzie, jeno aby wiedzieli od wszech intencyę wspólną. Na sejm wojewoda może mieć 20 osób pocztu, kasztelan 10, a poseł 6.“ „Mieszczanie krakowscy aby sub obedientia byli tych panów, którzy na zamku będą: Rajcy krakowscy aby przysięgali Regno et Regi, na potem zawsze: ci, którzy teraz są, poprawić mają przysięgi swej, bo nie przysięgają jeno regiae personae tylko, przeto tempore interregni mogli-by się z powinowactwa wymawiać. A na potem rajcy nie mają być wybierani, jeno Polacy, których jeśli by tak wiele nie było, tedy jednak aby na większą połowę zawždy było Polaków a nie Niemców, a także we wszystkich innych mieściech i w Gdańsku“ (potem zrobiono dla Gdańska wyjątek).

Projekt sejmowy z roku 1558 przejęty był dużą nieufnością i podejrzaniem względem przyszłego grona elektorów. Pełno też znajdujemy przepisów drobnostkowych, zabezpieczających wolne elekcyę od postronnych wpływów. Na sejmie walnym będący, tak panowie, jak i posłowie: „żaden listów ani cudzoziemskich, ani domowych, ani z wojska przyjmować ma, jeno publice in coetu omnium ad electionem pertinentium. Ani nikt listów odsyłać nie może.“ Przedewszystkiem jednak potężne brzemie nieufności przytłoczyło episkopat Rzeczypospolitej. „Jakiego strachu pełni my być musimy, jeśli byśmy takowe ludzie ku tej elekcji przypuścić mieli, którzy się przysięgą obowiązali we wszystkim i przeciw każdej osobie autoritatem ich mandata Papieżów rzymskich bronić omnibus viribus suis, a jeśli by sami obecnie nie mogli, tedy bez omieszkania wszystko, coby się przeciw nim działo, by też najtajemniej im to było zwierzone, jemu oznajmić przysięgają, a k'temu jego ustaw papieskich nanosili do nas, któremi uciskają nas, a ku poddaństwu swemu nas nuczą, a sroższemu daleko niż W. K. Mość, który nam rozkazować raczysz wedle prawa naszego pisanego.“ Powołując się też na liczne dowody, że: duchowni nietylko jaśnie nieposłuszeństwo samemu majestatowi sejmowemu okazują i że sami opowiadali się, że: „w takiej radzie być nie chcą, gdzie się dzieje przeciw Papieżowi abo jego władzy a pożytkom i jaśnie go zwali Panem i dobrodziejem swoim.“ Tymczasem „ten pan rzymski raczej to widzi, aby się Korona wniwecz obróciła, aniżeli by z jego władzy i powagi co najmniej się umniejszyć miało.“

Nietylko episkopat polski wobec zbliżających się elekcji otoczono podejrzaniem; temu samemu losowi uległa na sejmie w r. 1558 władza hetmańska, choć co do niej pocieszano się przynajmniej moty-

wami bardzo ogólnej i niepewnej natury. „Jeśliby się tego bali, aby hetman którykolwiek natenczas będzie, nie przychylił się z wojskiem temu, komu-by życzył, iżby go królem obrał, tedy ponieważ ziemia takie wojska-by miała chować, aby przeciw swemu narodowi będąc Polaki mieli co czynić, jeszcze się ta zdrada w Polsce nigdy nie znajdowała i ta niewiara nigdy w rodzie polskim nie bywała, abyśmy sami przeciw sobie tej niewiary używać mieli, jako to u Wenetów.“

Projekta sejmowe z r. 1558 spełzły na niczem, ale obawa i niepewność: czem się staną przyszłe wolne elekcyje dla państwa, wznastala. Na sejmie w r. 1565, zacięta polemika, jaką Siennicki przeprowadził z duchowieństwem, była złowróbnym zwiastunem odmętu, jakim groził Rzeczypospolitej najważniejszy akt prawa państwowego. Gdy episkopat wspomniał na rzeczonym sejmie o elekcyi: „że początku opisanego nie masz,“ Siennicki oświadczył: „że to prawda i pięknieby o tem namiawiać, bo to nasze zginienie rychlejsze już skądinąd. Ale obaczcie WMość, kto to rozpierał na sejmie Piotrkowskim trzyletnim—temeście nas WMość odprawili, niechajże po staremu będzie. Ano podobno na to stare już kto sobie drogę ściele, boć już o tem ludzie popolicie szepeczą, że smać WMość Księża o Panie już sobie zamysłiwacie, jakiego wam jurisdycyeki waszej potrzeba.“ Na to biskup krakowski odparł: „Ale jako więc byśmy mieli o takowym się starać, jakiego wam potrzeba, a nie nam, o takowym się starać będziem pewnie, jakiego nam potrzeba“ i wzamian odebrał zapewnienie od Siennickiego, że: „my (szlachta) też obierzemy sobie takiego, jakiego nam potrzeba, nie jakiego wam.“

Na sejmie w r. 1569 posłowie uważali za stosowne przypomnieć monarsze: „że Król Jagello odstąpił prawa successyi i dziedzictwa swego, któregokolwiek miał w W. X. Litewskiem, wieczniemi czasy i darował them koronę polską i t. d.“ „Modum zaś electionis Regis, przez pana Reja in privato colloquio nostro podany, aby każdy ślacheć po oznajmieniu śmierci królewskiej, do dwie niedziel powinien in armis do przedniejszego miasta onego województwa jechać, a tam posły so-wite obrać, aby jechali do Krakowa, gdzie korona, a panowie rady wszyscy aby byli powinni być do tej niedzieli w Krakowie na sejmie, a tam połowie posłów z pany radzić, a kiedyby się nie zgodzili panowie z onymi posły, tedy do drugich posłów apellacya ma być, a na kogo się ci zgodzą, ten ma być królem polskim.“ Zygmunt August z dziwną przenikliwością umysłu ostrzegal i napominal sejmujących, aby: „modum electionis ulozicz szybko, bo jeśli tego nie opatrzyacie, tedy ta praca moja i WMość wszystkich, bodaj bych bil falszywym prorokiem, życze sobie tego, tedy by się wnywecz obróciła.“ Radzi też monarcha, aby skarb stały ufundować na wypadek elekcyi i mieć na oku hetmana,

aby się nie mieszał do samego aktu obioru, a w końcu jeszcze raz przekonywa, że „jeśli WMość nie najdziecie zwyczaju obierania nowego króla tempore interregni, bo tha sprawa pewnie tho rozerwie thi zjednoczenia. Żebyście trudnoszy około obierania panów swich nie mieli, gdy to wielką trudnosz na wsitkich państwach czyni. Abi wolne obieranie bilo a nie poniewolne, gdyż się to y za przodków moich dziewało, że nie kogo wszyscy, alie kogo kielka obrali, panem zostawał. Na wsem tedy wolnoszy trzeba strzedz Rzeczypospolitey, a zwlaszcza w gruncie, jako to jest modus electionis.“

Sejm w roku 1570 poruszył jeszcze sprawę sukcesyi tronu: „która namowa z wotum p. Leckiego i p. Szremskiego, koncludowana jest przez p. marszałka: aby prośba do WM. Panów koronnych uczyniona była, aby Król JMość tej sukcesyi zaniechać raczył, a w domniemaniu narodu polskiego do cudzoziem nie przywodził, gdzieśmy zawždy tę wdzięczność panom swym okazowali, iż potomstwo pana swego nie opuszczali, a wszakże i swą przestrogą prosić, aby już pismem tego nie ruszano, coby nam na potomne czasy szkodzić mogło. A tak, jeżeli Pan Bóg potomka dać raczy, gotową rzecz po sobie będzie miał, iż gdzieby ten nie był wzięt na królestwo, opatrzon być ma, a drudzy dołożyli, gdyż Panem jest wszystkiego.“

Im więcej prawdopodobieństwo bezpotomnego zejścia Zygmunta Augusta zmieniało się w pewność, tem gorętsze dawała szlachta zapewnienia, iż nie zapomni o potomku królewskim, ale o wyborze następcy za życia monarchy lub o określeniu prawa elekcyjnego nie chciała poważnie pomyśleć. Tymczasem bezkrólewie zapowiadało się jak najgorzej. Nieufnością otoczyła szlachta zawczasu episkopat, rajców miast królewskich i hetmańską władzę, a na sejmie w r. 1570 Lecki bardzo trafnie oznajmił królowi, że: „przypatrujemy się temu dobrze, iż jako dziś na nas, tak przed tem i na przodki nasze frasunki i trudności rozmaite przychodziły, jednak przodkowie nasi mieli tę pociechę w frasunkach swych, że potomstwo panów swych zawždy w oczu mieli, że gdy ich co kiedy dolegało, a Pan z nich tej doległości przecie, mimo sprawiedliwości nie zdejmował, skromnie to na się naznaczali, będąc pewnej nadzieje, iż kiedy czego Pan nie dokonał, potomek pewnie dokonać mógł. Teraz my tej pociechy nie mając, bo potomka W. K. Mości nie widzimy, ustawicznie w żalości i w smutku być musimy, bo to dobrze patrzemy, jeżeli W. K. Mość tego zajątrzenia, które między nami jest, prze niesprawiedliwość, uśmierzać nie będziesz, przyjdzie do tego, gdzieby śmierć Pan Bóg na W. K. Mość przypuścić raczył, że jeden drugiemu oczy łupić musi.“ Marszałek zaś Biecki, żegnując Króla, konstatował, że: „nad Polską wisi gniew Boży, bo Król sprawiedliwości nie czyni i wielka jest różność w chwale milego Boga.“

Jakkolwiek na razie nie zdawano sobie jasno sprawy ze wszystkich konsekwencji prawno-państwowych, jakie zniknięcie na czas dłuższy władzy królewskiej za sobą pociągnąć musi, to jednakże przeczuwano, że do organizmu Rzeczypospolitej wprowadzi bezkrólewie rozstrój, do pojęć prawnych zamęt, a swobodę indywidualną, i tak już zbyt wybujałą, przeistoczy w wyuzdanie i swawolę. Nie też dziwnego, że za życia Zygmunta Augusta, jak świadczy Heidenstein, biegały po kraju dziwne przepowiednie, jakoby po śmierci jego państwo całe razem z nim zginąć miało. Umysł wielu przejmował strach i obawa, które, jak wiadomo, nie były bez podstawy. W ostatnich bowiem czasach, Zygmunt August, z powodu słabości zdrowia, sądów odprawiać nie mógł, a swawola wielu ogromnie rosła. Gdyby razem tedy ze śmiercią króla bojaźń prawa ustała, jak przewidywał Heidenstein, wszystko rzuciło-by się na rozboje i mordy. Takie były obawy, a rzeczywistość po śmierci Zygmunta Augusta bynajmniej im kłamu nie zadała. Za ledwie w dwa tygodnie po śmierci króla, wyraża się zjazd łowicki publicznie w urzędowym dokumencie: „gwałty, najazdy, mordy i łupieże już się na wielu miejscach naczynają.“

Wobec roznamiętnienia klas uprzywilejowanych, spotęgowanego brakiem wymiaru sprawiedliwości, gdy się rozeszła przygnębiająca wieść o wygaśnięciu domu Jagiellonów, przypomniano sobie konfederację, która wszystkich powołuje do przymierza w celu uniknięcia wspólnych niebezpieczeństw, a przytem i dla zapewnienia wszystkim trwałego i, jak się wyrażano, wiecznego pokoju. Nienblagana konieczność nakazywała stanom uprzywilejowanym uciec się do dawnych „kapturów“, przechowywanych we wspomnieniach i w praktyce ubiegłych stuleci. Zaznaczyć bowiem należy, że żadnej organizacji bezkrólewia w chwili śmierci Zygmunta Augusta nie było. Sejm bez monarchy tracił prawodawczą moc, a urzędy, wykonywające namiestniczą władzę królewską, uważano za stosowne pozbawić na czas interregnów siły egzekucyjnej. Jedynie ogólnikowy przywilej Zygmunta I (1537) składał prawo obierania króla w ręce całej szlachty, bez żadnego bliższego określenia. Cała więc prawno-państwowa organizacja bezkrólewia musiała być dopiero w dobie wolnych elekcji wytworzona, a ponieważ praktyka wskazywała coraz liczniejsze i nieprzewidywane niebezpieczeństwa, przeto: zwyczaj prawny był chwiejnym i wypełniał się powoli, prawie z każdą nową elekcją. Zrazu senat próbował zagarnąć kierownictwo bezkrólewem, co by w następstwie organizację najdonioślejszego aktu prawno-państwowego poddało jego doświadczeniu i rozwadze. Województwa wszakże, mając w pamięci przywilej Zygmunta I-go i strwożone zamieszaniem w kraju, zawiązały w obrębie swych ziem konfederację, zobowiązując się wspólnymi siłami utrzymać bezpie-

czeństwo na zewnątrz, a pokój wewnątrz i powstać wspólnie przeciw każdemu, coby się z pod prawa wylaływał.

Ośloniwszy jakby wspólnym kapturem życie, mienie i spokój wojewódzkich stanów, należało zaspokoić potrzeby całego Królestwa, zabezpieczając też same pożytki Rzeczypospolitej i wybierając jej nowego króla. Zasada wszakże „nie na nas, bez nas“ dawała się jedynie przeprowadzić w ciśniejszym obrębie jednej ziemi, o bezpośrednim zaś udziale wszystkich w konfederacyi generalnej ani mowy być nie mogło. Trzeba się zatem było z konieczności udać do systemu reprezentacyjnego; a ponieważ sejmy walne przedstawiały już gotowe wzory, przeto się nimi posilkowano, wprowadzając modyfikacye, nakazane przez niezmierną doniosłość aktu elekcyi. Nasamprzód sejmiki konfederacyjne w r. 1573 wybrały posłów na sejm konwokacyjny w większej liczbie, niż na zwykłe sejmy walne. Później wrócono do normalnej cyfry, ale trudno stanowczo orzec, czy się utrwalił zwyczaj, wzbraniający wyboru liczniejszych reprezentantów. Sejm konwokacyjny zwał się konfederacją generalną: odbywał się „sub vinculo confederationis“, czyli że liberum veto jednego posła lub mniejszości sejmowej rozerwać go nie było w możności. Wprawdzie probowano w r. 1696 i tej jadowitej broni przeciwko konwokacyjnemu sejmowi, lecz, jakkolwiek sejm uważano na razie za zerwany, nie miało to żadnej praktycznej doniosłości, albowiem podpisano konfederacyę generalną, a na sejmikach relacyjnych posłowie oznaczyli dzień elekcyi, umówiony na konwokacyi, i sejmiki przedelekcyjne zostały w odpowiednim czasie zwołane.

Do jakiego stopnia wolne elekcye nie miały żadnej ustalonej formy prawnej, dowodzi najlepiej fakt, że w roku 1573 powstał spór między prymasem a marszałkiem w. k. o to, komu przysługuje zwołanie uniwersałem sejmików i sejmów podczas bezkrólewia. Stany oświadczyły się za uprawnieniem prymasa, ale zaledwie usunięto jedną kwestyę wątpliwą, wystąpiła na widownię druga, daleko ważniejsza: kto ma brać udział w wyborze króla i jaki ostatecznie ustrój nadać elekcjom? Jak na konwokacyi, tak i na elekcyi, posilkowano się z musu zwyczajami reprezentacyjnymi, przejętymi od sejmów walnych; ale szlachcie, powołującej się na przywilej Zygmunta I-go, wydał się pośredni udział w tak ważnym akcie państwowym niedostatecznym i, poparta teoryami Jana Zamoyskiego, postanowiła, o ile okoliczności na to pozwalały, wprowadzić w życie zasadę: „nie na nas, bez nas.“ Przyjął się tedy zwyczaj, że każdy szlachcic, niezależnie od posłów swego województwa, mógł wziąć udział w elekcyi, a później ten zwyczaj ujęto w pełniejszą formę tym sposobem, że każde województwo, jeżeli uznawało za stosowne, uchwalalo „pospolitem ruszeniem“ wybierać nowego króla. Chociaż żadna elekcya nie skupiła wszystkich ziem po-

rządkiem pospolitego ruszenia, nie mniej jednak tak licznych zjazdów nie zdołano ująć w formę walnego sejmowania i zamieniły się też raczej w obozowiska, wśród których niemożliwym prawie było utrzymać jakikolwiek porządek, nie mówiąc już nic o karności i ładzie.

Pospolite ruszenia trudno było zużytkować należycie do wypraw wojennych, coż dopiero mówić o wspólnych naradach i o zgodzie, potrzebującej spokoju i rozwagi. Chcąc więc elekcyi dać choć pozór prawidłowego ustroju, oddzielono sejm od tłumu szlachty, zgromadzonego pospolitem ruszeniem, i postanowiono, że sejm kieruje przygotowaniami do elekcyi, a szlachta oddaje wyłącznie głosy na nowego króla. Dopiero też w ostatniej chwili udawali się senatorowie z posłami do swych województw, obozujących w polu, na stanowiskach wyznaczonych przez marszałka w. k., i łącznie ze szlachtą głosowali na króla. Stany, skonfederowane w związkach wojewódzkich, zarówno jak w kapturze generalnym, przeświadczone były o niedostatecznym ustroju bezkrólewia, o czem zresztą wszystkich nieustające bezbrawia przekonywały. Proszono więc Stefana Batorego, aby obmyślił bezpieczniejszy modus electionis, ale jednocześnie wzrastało podejrzenie, że tego sposobu może elekt użyć do zapewnienia sobie dziedziczności tronu. Gdy Jan Kazimierz w imię dobra Rzeczypospolitej domagał się wyboru nowego króla za swego życia, szlachta obróciła w niwecz jego zamiary, właśnie z tego powodu, że w Czechach i w Węgrzech od dezygnacyjnej elekcyi rozpoczęła się dziedziczność tronu.

Najwyraźniejsze dowody, przekonywające o zgubności wolnych elekcyi i o tem, że się po nich tylko coraz to większych zawieruch spodziewać było można, nie zdołały przekonać szlachty, że owa największa wolność jest bardzo wątpliwej wartości. Przynajmniej pomysłano dość wcześnie o jednym zapobiegawczym środku, a mianowicie o tem, aby ukrócić bezprawia i nieporządki za pośrednictwem ściślejszego wymiaru sprawiedliwości. Sądy, wymierzające w imieniu króla sprawiedliwość, po jego śmierci traciły władzę; należało zatem, przejściowo na czas trwania bezkrólewia, wytworzyć organ, który-by sprostał tak trudnemu i nadzwyczajnemu zadaniu. Zrazu województwa pozostawiały starostów w sądach grodowych, lecz później sejmiki całe pełniły funkcję sądowo-karną, a gdy trybunał w tak licznym i swarliwym składzie okazał się niepraktycznym, wybierał sejmik znaczną liczbę deputatów, którzy sądzili przestępstwa ważniejsze, stanowiąc sąd kapturowy. Sądy konfederacyjne wojewódzkie, skutkiem tego, iż były zbyt licznymi, spełniały źle swoje zadanie i, jak to prof. Pawiński potwierdza, nie zdołały zapobiedz licznym nadużyciom. „Doprowadzono bowiem liczbę sędziów do potwornych rozmiarów. Bywało stu i więcej deputatów, jak opiewa konstytucya z 1764 roku. Ta „nieumiarowana

liczba—są słowa tejsze uchwały—bywała częstokroć przyczyną uciążliwości chywateli, ale co więcej, raczej tamowała, niżeli ułatwiała bieg sprawiedliwości, bo wywoływała—jak twierdzi taż ustawa—między sędziami poróżnienie. Bardzo też wczesnie straciły sądy kapturowe swą powagę, a wartość ich musiała być bardzo wątpliwą, kiedy je uprzątniono zaraz przy pierwszych usiłowaniach reform za Stanisława Poniatowskiego.“ Konfederacya generalna z roku 1588 unormowała stosunki sądowe miast i miasteczek królewskich podczas bezkrólewia, o czym sejmiki i konfederacye kilku województw przepomniały zupełnie. Miasta i miasteczka zachowały swoje prawa i jurysdykcyę karną podczas interregnów. Tylko, gdyby szlachcie był pojmany w mieście na gorącym uczynku, wtedy nie urząd miejski ze starostą lub podstarościm sądzić go miał, jak uchwalił statut toruński z roku 1520, ale sąd kapturowy z miejskim urzędem, a wyrok stawał większością głosów sędziów kapturowych.

Na polu elekcyi okazała się wczesnie jeszcze gwałtowniejsza potrzeba specjalnych i energicznych sądów. Wprawdzie szlachta województw, udająca się pod Warszawę na elekcyę, posiadała w organizacyi pospolitego ruszenia sąd, ale, niezależnie od tego, niezbędnem było potężne ramię sprawiedliwości, które-by wszystkie wojewódzkie obozy, przytykające do siebie, w rygorze utrzymać potrafiło. Marszałkowi w koronnemu polecono uformowanie sądów generalnych kapturowych, zwanych „*judicium compositum*“, które składało rycerstwo z trzema senatorami, po jednym z każdego narodu. (Małopolska, Wielkopolska i W. Ks. Litewskie). Jak sądy kasztelańskie nie zdołały w pospolitych ruszeniach wojewódzkich utrzymać dyscypliny militarnej, tak samo i sądy kapturowe generalne nie zapewniły masie elektorów nawet względnego spokoju. Jak to Górnicki wczesnie przepowiadał: kto miał większy poczet i kto był mocniejszy, ten nie tylko wybierał, ale mógł sztydzić z sądów bezkarnie, a dzieje wolnych elekcyi przypominały raczej federacyę obozów, aniżeli sprzysiężenie się stanów Rzeczypospolitej. Przepiękny obraz elekcyi króla Michała, jaki nam pozostawił w pamiętnikach swych J. Ch. Pasek, nie jest bynajmniej wyjątkowym. Rozważny i uczony Lengnich, choć musiał elekcyę uważać za najdonioślejszy akt prawa państwowego polskiego, nie mógł jednak zaprzeczyć temu, że: „elekcyja rzadko bywa bez zamieszania, ale trafiają się zabójstwa, rąbania bez kary, sami nawet senatorowie bywają w niebezpieczeństwie, co ledwie kiedy może bydź inaczej, na tak wielki zjazd ludzi, oprócz tego, że wolność narodu w niektórych rzeczach to pozwałać się zdaje, która się nigdy nie wydaje bardziej, jak podczas interregnum. Przy obieraniu Zygmunta III-go, pole krwią zbroczone, żołnierz do boju uszykowany y szopa senatorska spalona była. Przy obie-

ranii króla Michała, pod wałami ognia dawano, tak, że kule po polu latały, senatorowie i posłowie, uchodząc z życiem, bramami uciekać chcieli, lecz gdy do nich ognia dać chciano, na swoje miejsca nie bez wstydu powrócić musieli. Przy obieraniu Augusta II-go z pałaszami na marszałkowskich żołnierzy y na pole uderzyć chciano, tak, że marszałek koronny o tę krzywdę uskarżać się musiał. Dobyto szabel i w samem kole poselskiem, przy marszałku samym poselskim, szlachcie kulą zabity i sam marszałek ledwie niebezpieczeństwa uszedł.“ Pomi-mo, że doświadczenie uczyło, iż tak wielkich mas żadna organizacya w rzye utrzymać nie potrafi, dopominało się w roku 1622 wojsko korporacyjnego udziału w elekcyi. Nie przystały skonfederowane stany na podobne żądanie, ale pozwoliły każdemu żołnierzowi-szlachcicowi korzystać indywidualnie z praw wyborczych.

Bezkrólestwo i zamęt, sprowadzane peryodycznie przez bezkrólewia, zamiast skłonić konfederacye do skrócenia tej nieszczęsnej doby, wywołały przeciwny skutek. Gdy bowiem na pierwszych elekcyach król obejmował rządy, zaraz po ogłoszeniu go elektem na polu przez prymasa, i znosił tem samem bezkrólewie, później odroczone ów pożą-dany moment aż do sejmu koronacyjnego i zaprzysiężenia pactów conventów. Trzy, stosunkowo dość prędko po sobie następujące, elekcye, (Henryka, Stefana Batorego i Zygmunta III) przeistoczyły obieranie króla w niewzruszalny akt prawa państwowego i ustaliły nieco zwy-czaj, organizujący bezkrólewia. Doświadczenie, wytworzone owemi pierwszymi trzema elekcyami, było w stanie rozwiąć wszelkie złudzenie głębszych umysłów, ale stanowi rycerskiemu bezkrólewie właśnie dawało poczucie wszechwładności, oraz świadomość, że za pośrednic-twem powtarzających się interregnów, a w następstwie konfederacyi generalnych, przewaga władzy monarchicznej i senatu nie będzie w przyszłości możliwą. Owocem zaraz pierwszej elekcyi były artykuły Henryczyańskie, uwalniające od posłuszeństwa monarsze w razie złama-nia lub niedotrzymania przysięgi. Jakkolwiek artykuły powyższe uległy z czasem łagodniejszej interpretacyi, jednakże wszystkie następne pacta conventa piętnowały elektów znamię odrębnego stanu, który z innymi stanami zawierał quasi-prywatną umowę. Powaga senatu na polu elekcyjnym topniała zupełnie. W dobie obierania monarchy, senatorowie, złączeni z województwami, znaczyli tyle, co każdy szarak szlachecki, a nawet prymas, zwany konwencyonalnie (interrex) międzykrólem, musiał się liczyć ze względami równości szla-checkiej i unikać nawet drobnych pozorów wynoszenia się nad „panów braci.“

Sejmy konfederacyjne, stanowiące uchwały większością głosów i nadające przewagę izbie poselskiej, dbały troskliwie o to, aby moc



wykonawcza, pozostająca z natury rzeczy w rękach prymasa i hetmanów, była jak najbardziej ograniczoną i pod nieustającą kontrolą sejmową. Postanowiono też drobniejsze jedynie sprawy bieżące oddać prymasowi, a ważniejsze pozostawić do decyzji samego sejmu. Prócz tego, dodano do boku prymasa i hetmanów deputacye sejmowe, złożone z senatorów i posłów, które-by nad ich działalnością czuwać mogły. Nawet to kardynalne złudzenie, że przynajmniej na polu elekcyjnym szlachta, zebrana z całego kraju, urzeczywistni zasadę: „nie na nas, bez nas“ i zgodnie wybierze króla, rozwianem zostało bezpowrotnie przez pierwsze trzy elekcyje. Pokazało się, że zebranie wszystkiej szlachty z tak obszernego państwa w jedno miejsce jest niepodobieństwem i że zawsze pewna ilość województw nie przybyła z umysłu lub dla poważnych przeszkód. Następnie zaś owa sławiona ogólna zgoda przeistoczyć się musiała w zgodę większości, czyli w decyzję mocniejszego. Ponieważ jednak w stanowej konstytucyi mniejszość nie zwykła ulegać większości, przeto podwójny wybór monarchy był nieuniknionym i brutalnej sile przychodziło decydować o zwycięstwie. Ażeby mniejszości ułatwić zgodę na elekta większości, zwoływano niekiedy przed koronacją sejm walny (*sub vinculo confederationis*), zwany poparciem konfederacyi, i na nim przystępowali opponenci do aktu obioru, dokonanego przez większość województw.

Zaraz też pierwsze trzy bezkrólewia wywołały pisma broszurowe, potępiające konfederacyę, zarówno jak i bezrządne elekcyje, które sfederowana Rzeczpospolita doprowadzała do skutku. Pierwsza konfederacya generalna po śmierci Zygmunta Augusta nazwaną została przez Solikowskiego rozprzężeniem jedności religii, najgorszą swywolą, która ludziom złej woli otwiera drogę do zamieszania, a nawet królom daje sposobność pod płaszczykiem religii do wymówienia się od dochowania przysięgi. Macicą wszelakiej licencyey zwie, prócz Solikowskiego, konfederacyę jeszcze inna broszura z 1622 roku. Anonimowy autor nawołuje, aby tym środkiem „nie zabijano ojczyzny,“ i pragnie dać naukę konfederatom, „aby się przejrzeni w swej konfederacyi, a obaczyli: jako na piekło, utratę sławy swej, na zniszczenie ojczyzny, korony polskiej robią.“ „Ze złego gniazda urodziła się ta konfederacya, naprzód wieków naszych odłączeni od Kościoła katolickiego ludzie w Niderlandzie, swoją konfederacyą popisować się, zmocniać poczęli. Od nich wzięli miarę oziębli i źli katolicy. Korzeń złego zbytnia wolność albo raczej swawola, której póki sobie dobrowolnie sami nie ujmą na sejmie, ażeby ich wielu rządziło, nie zabronią, ani karności złego, ani nadzieje lepszego nigdy nie będzie. Plewiarza obcego, uchoway Boże.“

Była jeszcze na początku wieku XVII-go broszura, p. t. „Diskurs przeciwko konfederacyej,“ która zwie konfederacyę „przeciwną bo-

skim y ludzkim prawom y rozumowi przeciwną.“ Na ową broszurę „Krótki respons“ odpowiedział, że: „związki pokoju y przymierza, nie tylko z bracią, jedney ojezyny synami, ale by nie wiem z jakim nieprzyjacielem, choć Żydem, choć poganinem, sanctissime zawarte y solemni juramento naywyższych głów stwierdzone, nie powinny być targane.“ Tlumne elekcye znowuż nie wydały się „największą wolnością, jakiej na całym świecie nie masz,“ przebiegłemu Włochowi, którego do rozmowy Górnicki wprowadził. „Gdzie bowiem na świecie obierają porządnie pany sobie, jako w Rzymie y w Wenecyey, poganów nie wspominam, gdzie też jest elekcyja, tam nie w polu obierają, ale w murze y jeszcze tych dobrze zawrą, którzy go obierają, aby nie wyszli stantąd, aż Pana obiorą. A przecie póki nie obierą Pana, jest ten, kto rządzi a zbrodnie karze.“ Co najgorszego zaś jest w polskiej elekcyi, to obieranie króla w polu — „a cóż to innego jest jeśli nie to, żeby go ten obrał, kto będzie możnym?“

Nie pomogły jednak rozumne i rozważne głosy, upominające, że: konfederacye są tylko wygodnym płaszczykiem, osłaniającym egoizm stanów, oraz że elekcye niezgodne doprowadziły Węgry do upadku. W dobie pierwszego bezkrólewia konfederacya zapewniła szlachcie pełną władzę patrymonialną nad włościanami i przekonała zarazem rycerstwo, iż może być na przyszłość wygodnym środkiem, zapewniającym mu przewagę nad senatem i nad królem. Najgorszem też następstwem wolnych elekcyi było przeistoczenie konfederacyi w instytucyę prawa państwowego, zastępującą w bezkrólewiu sejmy walne koronne. Rzeczpospolita sejmująca, w której monarcha był stanem, czyli pierwiastkiem składowym nieodzownym, zamieniała się na czas bezkrólewia w Rzeczpospolitą skonfederowaną, posiadającą tę samą moc, co poprzednia, a tylko związaną „modo aretius et in certam rem.“ Kaptury, sprzysiężenia, spiski, które w XIV i XV-ym wieku występowały na widownię w celu utrzymania pokoju i bezpieczeństwa publicznego, przybierały, dzięki bezkrólewiom, powagę coraz trwalszego i uświęconego zwyczaju, budząc zarazem wśród rycerstwa silne przeświadczenie, że to samo sprzysiężenie się, czyli konfederacya, może być wybornem narzędziem do osiągnięcia ważnych zadań politycznych, nawet za życia króla. Ile razy więc za rządów monarchy poważne niebezpieczeństwo groziło Rzeczypospolitej, a sejmy walne, zrywane coraz częściej, nie dawały należytej gwarancyi ocalenia państwa od wewnętrznych, czy zewnętrznych wrogów, konfederacya nasuwała się rycerstwu, jako nadzwyczajny środek, wywołujący dużo zlego, ale mający zapobiedz jeszcze gorszym kłęskom.

Gdy Jan Kazimierz opuścił, jako wygnaniec, ziemie Królestwa i państwu zdawała się grozić ostateczna zagłada, rozpaczliwe położenie

zdawało się usprawiedliwiać sprzysiężonych, którzy, nie ufając sejmom zależnym od uporu lub przedajności jednego posła, zapewniali, że: „dopóki łaskawy Bóg gruntownie ojczyzny naszej nie uspokoi, zostawać w jedności i w tej poprzysiężonej konfederacji obiecujemy i obowiązujemy się jednostajnie wszyscy w tem przedsięwzięciu pozostawać, sprzyśęgamy się i ligujemy się stateczną konspiracją.“ Jeżeli też na usprawiedliwienie Tyszowieckiej konfederacji można powtórzyć słowa Lengnicha, że: „erat eo tempore misera Reipublicae facies, cum Rege quasi exule, princeps externus, Regnum gravi servitute premeret, omniaque ad victoria leges referret.“ I w tym celu — „in hunc finem pro religione, rege et juribus, adversus hostem, qui sacra et profana turbaverat, initum foedus, cui omnes accedebant, qui salvam volebant patriam etc.“, to nie o wszystkich sprzysiężeniach można było powiedzieć, że były „stateczną konspiracją.“ Zdarzały się wypadki, że szlachta, wiążąc się w konfederację, stawała przy majestacie królewskim i niby to w obronie jego władzy, ale w rzeczywistości po to jedynie, aby go jeszcze bardziej skrępować, a nie brakło i takich wydarzeń, że jednocześnie zawiązywały się dwie konfederacje z celami i zadaniami wprost sobie przeciwnymi.

Ponieważ konfederacje za życia króla powstawały zawsze w czasach wielkiego zamieszania, gdzie o sejmowaniu walnem mowy być nie mogło, przeto zawiązywały się zwykle nie na sejmie, tak, jak konfederacje generalne na sejmie konwokacyjnym, i jeszcze mniej, niż tamte, posługiwały się zwyczajami sejmowania walnego. Czasami niewielka liczba rycerstwa i senatorów zawiązywała konfederację w miejscu, które wyjątkowe okoliczności czyniły chwilowo dogodnym, a później dopiero przystępowały do niej województwa (Tyszowiecka). Innym razem znowu województwa, uzurpując władzę królewską, ruszały własnowolnie „pospolitem ruszeniem” na wskazany punkt i tam zawiązywały przymierze (Gólab). Organizacja konfederacji przy królu nie była również ustaloną, i gdy raz główna władza powierzona była hetmanom, w innych wypadkach marszałkowie konfederacji przeważną odegrywali rolę. W każdym razie, konfederacje przy królu nosiły cechę daleko wyłączniejszą szlachecką, niż związki generalne za czasów bezkrólewia. Zwano je też niekiedy konfederacją szlachecką, a o powoływaniu i przyjmowaniu do nich „innych stanów,” czyli niektórych miast królewskich, nie było wzmianki. Zato miały konfederacje przy królu z sejmami walnemi to wspólne, że stały przy królu, t. j. że go uważały za pierwiastek składowy związku, ale wobec zasady: że najważniejsze sprawy państwa decydowały się absolutną większością głosów, a wota senatu i zdanie królewskie tworzyły zawsze znakomitą mniejszość, zyskiwał związek trwałą przewagę nad monarchją, któremu nie

pozostawało nic innego, jak mu uledez, lub go zwalczać przy pomocy drugiej konfederacyi.

Jeżeli też konfederacya generalna na sejmie konwokacyjnym przekraczała zwykle zakres zwyczajowo ustalonych atrybucyi, to cóż dopiero mówić o konfederacyi przy królu, zawiązywanej w wyjątkowych okolicznościach i niedopuszczającej do utrwalenia się jakiegokolwiek zwyczaju. „Że zaś na konfederacyi nietylko radzą, ale y wojnę prowadzą przeciwko nieprzyjacielowi, albo obcemu, albo domowemu, albo przeciwko obydwu, nie trzeba się dziwować, że się w ten czas to dzieje, co w każdym zamieszaniu: zabójstwa, pustoszenia, rabunki, y insze które prawo wojny wymaga. Dlatego dobry obywatel nie zawsze sobie konfederacyi życzyć ma, ani bez potrzeby do konfederacyi nie przystąpi, jeżeli publiczna całość zwyczajnym radzenia sposobem może być zabezpieczona. Jakkolwiek też konfederacye zawiązywane były w obronie króla i Rzeczypospolitej, królowie nigdy obywateli do niej nie nzywali,“ a łącząc się z wytworzoną mimo ich woli, starali się zakończyć ją jak najrychlej przez sejm pacificationis, który czasami, dla nierozzerwania go, odbywał się „sub vinculo confederationis.“ Nawet konfederacyi sandomierskiej, której tyle zawdzięczał August II, nie pozwolono istnieć, dopóki się jej główny cel nie urzeczywistnił, i rozwiązano ją w roku 1717, a niejednokrotnie prócz tego zakazywano na przyszłość tworzenia podobnych związków, widząc ich bezmierną szkodliwość dla kraju.

Wadliwy ustrój sejmów wywoływał w chwilach niebezpieczeństwa konfederacye i to wówczas, „gdy tego niebezpieczeństwa stany oddalić nie mogły, albo dlatego, że nie mogły sejmu mieć, albo że sejm nie doszedł y o drugim nie masz nadziei.“ Z tem wszystkim jednak jeszcze trudniej było wynaleźć ustrój prawny dla przymierza całej szlachty, która, stając pozornie przy królu, pragnęła coraz konsekwentniej i natarczywiej, aby zasada: „nic na nas, bez nas,“ urzeczywistnioną została w najdrobniejszych szczegółach. Pod względem ekonomicznym były konfederacye dla kraju rujnującemi. Jak twierdzi Hofman: naród, który zazdrościł rządowi dwu milionów rocznie zwyczajnego podatku, zapłacić od razu musiał konfederatom w r. 1611—140 milionów, w r. 1618—20 milionów, w r. 1662—10 milionów, a w roku 1717 — 190 milionów. Jakiegokolwiek jednak były straty materialne, które Rzeczpospolita ponosić musiała dzięki konfederacyom, nie stanowiły one jeszcze najgorszego owocu rabunkowej gospodarki konfederatów. Prawdziwą klęskę dla życia państwowego przygotował rozkładowy wpływ konfederacyi, które dla coraz blahszych pozorów chciały przeistoczyć Rzeczpospolitą sejmującą w Rzeczpospolitą skonfederowaną. Jeżeli też w r. 1573, wobec wygaśnięcia domu Jagiellonów, wskrze-

szo na wielką skalę wspomnienie dawnych kapturów, to nie ograniczono następnie związków przymierza na dobie bezkrólewia lub na wypadek ostatecznego niebezpieczeństwa, grożącego królowi i Rzeczypospolitej, ale rozszerzono zwyczaj sprzysięgania się do niemożliwych konsekwencyi i starano się nadać cechę prawną nawet związkom przeciw królowi i przeciw Rzeczypospolitej sejmującej. W związkach powyższych już nie cały stan szlachecki, ale jego cząstka uzurpować zwykła „*potestatem plus quam comitalem*,” a przytem rościła do tego pretensyę, że w niej się utożsamia majestat całej Rzeczypospolitej.

### Rokosz i związki wojskowe.

Z mianem „rokosz” spotkaliśmy się już w r. 1538, albowiem dekret sądu sejmowego, przytoczony poprzednio, nazwał głównych przywódców wojny kokoszej rokoszaniem. W manuskrypcie, wydrukowanym w IX, X, XI i XII tomach wydawnictwa ordynacyi hr. Krasieńskich, znajdują się wzmianki, utrzymujące: że „bywały konstytucye takowe, które starodawni Polacy i Węgrowie rokoszami nazywali. Rokosz zaś, jest wielkie rugowe prawo, na którem sądzi się *generalitas cum officialibus*. Sądzić tedy ma rokosz króla o *perjurium*, o kontempt prawa pospolitego, o *crudelitatis*, o *severitatis* opressyę. Sądzić senatory i urzędniki o arogancyę, *assentacyę* i perfidyę; sądzić bracią o *prodicyę*, coby widzieli w nich *fraudis et doli*. I dlatego egzekucya rokoshu szlacheckiego nazwana jest kapturem, że wojsko sądzi — wielka potencya mniejszą potencyę. A stąd ów obyczaj, jak mają, kiedy się na sejmiech senatorowie oponują, także i posłowie drudzy, kiedy się do braciej o co referują i pozwalają na co nie chcą, albo i artykułami gardzą, kapturem szlacheckim królowi potrzęsają, bo oni wojewody i króla postanowili i po wojewodach zasię króle rokoshem zbierali i starsze prawo rokoshowe, niż król.“

„Rokosz jest ostatnia prawie kotwica, do której się ludzie czasu gwałtu i w ten czas, kiedy tego *extrema necessitas Reipublicae* exigit, kupić mają. I jest rokosz *unum ex violentis remediis* *antimonium* własne, którego jeśli winien i ten czas, kiedy potrzeba i jak jako potrzeba, będziec użyteczne, jeśli i nie w czas i lada jako, twoja to śmierć, twoje to zginienie. A naprzód, wiadoma to jest rzecz, że takie poczucie nasze i konfederacya taka, ostatnia jest pociecha naszej miłej ojczyzny. Dobrzem nazwał na początku rokosh *sacram anchoram*, to jest ostatnią obroną każdej wolnej Rzeczypospolitej. Rokosh powinien mieć powagę większą od sejmowej (*authoritatem plus quam comitalem*) i reprezentować całą Rzeczypospolitą, a przytem trzeba, aby wszystkie *in genere*

potrzeby Rzplitej, na tym miejscu, bez żadnego odkładania, obmyślone, namówione i konkludowane były: eo et non alio scopo. Ruszywszy się bowiem wszystkiego nie zawrzeć, albo zostawić coby drugim rokoszem (a ten co wiedzieć kiedy), poprawować, jest to rzecz *extremae dementiae*. K'temu takowemu zjazdu nie masz pamiętnika jako w Polsce był i co wiedzieć, jeśli dziatki nasze drugiego doczekają. Takie tedy zjednoczenie serc ludzkich, takie prace i nakłady *ludibrio irrisioni* (jedno minąwszy, drugie zminąwszy) *hominum exponere*, a tylko *imagine libertatis optatae*, rozjechać—zaprawdę nie godzi się.“

„Powinien tedy stan ślachecki bronić swych praw na sejmie, representabiliter autem, ale gdyby już widzieli, że król prawa gwałci, senator *annuit*, coby się miał *opponować*, to on pozwala, a to już na takową *oppressyję* od królów i senatorów, ma stan rycerski swoje *representalia*, ma *faedus*, ma wielkie *rugowe* prawo, co go rokoszem zowią, ma *egzekucyę*, ma *kaptur*, ma *wolną* zawsze *kommocyę* do niego, *tempore interregni et tempore regni*. To tu jest król, jest senator, jest duchowny, jest świecki. Jest na króla *paena*, jest na senatora *paena*, jest na urzędnika *paena* a *egzekucya* jest przy wojsku. Przodkowie nasi zabiegając temu, aby ubożsi od możniejszych *wzgardy* i *krzywdy* nie odnosili, chcąc między niemi postawić *aequalitatem et statum mutuae reverentiae*, temu stanowi rycerskiemu *fundamenta custodiendae libertatis commiserunt*, dali im *eam facultatem in republica*: że mogą *zwierzchność* karać, o *gwałt* praw i *wolności* swoich i dosyć *piękną* *rationalem reciprocationem* *sprawiedliwości* uczynili, w tej *porządnej* *Rzeczypospolitej* na *zadzierżenie* *praw* jej i *wolności*, że ma stan rycerski *króla* w tej *Rzplitej* i *senatorów*, których powinien karać i sądzić. O co? O *rebeliję* *prawa* *pospolitemu*.“

„Zagarniając *jura majestatica plus quam regiae et comitiales* rokosz *wymawiał* się od *wszelakiej* *odpowiedzialności*. Na tym bowiem rokoszu, każdy co kto *zadawa* *komu*, *reprezentuje* *wszytką* *Rzeczpospolitą* w *osobie* *swjej*, a *Rzeczpospolita* *karana* *być* *nie* *może*. Jakie *przyczyny* *jednak* *skłoniły* *rokoszan* *do* *utworzenia* *związku*, który, *uzurpując* *sobie* *prawie* *absolutną* *władzę* *państwową*, *chciał* *sądzić* *i* *karać* *króla* *wraz* *z* *całym* *senatem*? *Naznaczenia* *tego* *zjazdu* *i* *zjechań* *tu* *się*, *są* *wielkie* *przyczyny* *i* *żaden* *nie* *jest*, *ktoby* *nie* *czuł* *jako* *samo* *postanowienie* *Rzplitej* *żalośnie* *każe* *nam* *radzić* *o* *sobie* *i* *o* *dobrym* *jej*. *Gdziekolwiek* *oczy* *obrócimy*, *zewsząd* *żał*, *strach* *i* *bojaźń* *następuje*. *Dom* *ten* *Rzplitej* *śmiercią* *wewnątrz* *podnicony*, *ale* *i* *z* *zewnątrz* *jawnie* *jest* *zesromocony*, *w* *każdym* *stanie* *corruptio*. *Klejnot* *on* *wielki*, *którym* *narody* *wszystkie* *ubiczeliśmy* — *wolność* *i* *swoboda* *nasza*, *per* *contemptum*, *temeritatem* *et* *per* *potentiam* *oprymowana*, *przez* *praktyki* *nachylona* *ad* *interitum*. *Cudzoziemskich* *ludzi*

rady nastąpiły. Ludzie dobrzy opuszczeni i bez nagrody są, wszystkie stany wątleją, a ci co mieli przestrzegać praw, albo per socordiam opadli i zlenieli, albo dla prywat i wakancyjej oniemieli, że sami stróżo Rzplitej stali się nieprzyjaciołmi jej."

Po-za obrębem ogólnikowych i nieco urojonych wyrzekań, znajdujemy jednak gruntowniejsze usprawiedliwienie rokoshu. „Choćby nie było innego motivum do mówienia w tym kole, sejm przeszły per vim zawarty, non obstantibus protestationibus, wielu przednich województw całe na to zezwolonych. Przytem jako nas ślacheiców koronnych głosy były oprymowane, nuż gwałty, łapania ślacheiców i to same wielkie jest, o czym należy mówić i zgoła radzić o sobie." Jeszcze wyraźniej wyłuszcza powody zawiązania rokoshu Stadnicki (dyabel). „Pociągnął mnie do tego sejm przeszły, na który byłem posłem, gdzie obsadzono mnie hajdukami, rajtarami, lancknechtami, cudzoziemcami, przeciw prawom i wolnościom naszym i przysiędze. Tu tedy przyjechałem praw ojczyzny i wolności naszych bronić, nie dla buntów, turbacyjej, jeśli by kto był i ja sam jeśli byście to o mnie rozumieli WMość, abym miał być przeciw pokojowi i prawom naszym i tę dobrą robotę rozrywać, roznieście mnie na sablach i psom rozrućcie." Rokoshanie kilkakrotnie w ciągu obrad, a przedewszystkiem w swych uniwersałach zaznaczali z naciskiem: „że ponieważ sejniki i sejmy, jako środki lecznicze zwyczajne, zamieniły się w truciznę i trudno się na nie spuszczać (tanquam ordinaria remedia versa in venenum), w tym tedy zamieszaniu Rzplitej dziwować się nie trzeba, w tym rady potrzeba nie pojedynkowej, ale społecznej, jako wolnemu narodowi, lecz fundament ten cel zgromadzenia, który, że Pan Bóg in tanta frequentia chciał mieć. Czasu gwałtu do kupy zbiegać się potrzeba, tylko iż to narodu naszego vitium największe, po szkodzie być mądrym. Nie mogą tedy te rzeczy być uspokojone, jeno rokoshem, aby winnica pańska była z kąkolu wpleniona." Dlatego Stadnicki nie wahał się oświadczyć, że dla niego „król Zygmunt III już umarł civiliter, i niechaj kto chce co czyni, on się z tym opowiada, że króla Zygmunta za pana nie uważa i poddaństwo mu wypowiada."

Jakkolwiek zjazdy rokoshowe w r. 1606 były dość liczne i kierownicy sprzysiężenia zaznaczali z zadowoleniem, że rzadko które elekcyje mogły się taką mnogością szlachty pochlubić; to jednakże nie ulega wątpliwości, że groźny rokosh Zebrzydowskiego, pragnący sądzić i karać króla oraz dygnitarzy, obejmował tylko część stanu rycerskiego i to część znakomicie mniejszą. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że lojalna szlachta zawiązała bezzwłocznie konfederacyę przy królu, a większość senatorów dopomogła do opracowania teoryi przeciwrokoshowej, która tradycyjnym i normalnym instytucyom reprezen-

tacyjnym, oraz władzy królewskiej, pragnęła przywrócić pierwotną moc i siłę, oświadczając zarazem, że rokosz jest przeciw prawu, lub z gwałtu praw. Wojewoda Jazłowiecki wypowiedział też: „Ja rokoszu nie wiem, quo fine, nie wszytka Rzplita była pod Lublinem, ale siła nas jeszcze szlachty w Polsce, co też tak szable możem mieć jak i drudzy.” Stadnickiego zwie Jazłowiecki Nalewajką i życzy mu takiego samego losu. Arcybiskup lwowski przypomina rokoszanom, że „do poparcia tych rzeczy siła tych środków zażywano, jakich przodkowie zażywali nasi, którzy z stolców wstawali, mówiąc: Królu, zawołamy na bracią, nie wołali jednak, woleli errata principis postrachem hamować, aniżeli tumultem leczyć. Ostry był też zaraz z przodku postępek w tej sprawie, bo dignitas regia prawem Bożem jest umocowana, consensu orbis aprobowana, ale i prawa nasze przysięgą nas obowiązują. Gostomskiemu, wojewodzie poznańskiemu, jako zrazu tak i teraz nie podobał się taki proces naprawowania zepsowanych praw i w klubie poprawowania rzeczy powaryowanych, gdyż mamy przykłady, jakimi sposoby i drogami tego dochodzić per justa media. Rokoszanie z Rzeczpospolitą uczynili tak, jakoby lekarz uczynił, kiedy-by terecjane (febry), na którą nigdy żaden nie umarł, leczyl desperato, tak jakoby ich więcej pomorzyła niż pozdrowiła. Było w Rzplitej coś nierządu, wyszło było to i owo z kluby, ale przecie nie było śmiertelnego, żyliśmy w niej nietylko commode, nietylko feliciter ale i gloriose, doma we wczasiech i dostatkach, u postronnych w sławie, a nieprzyjacielowi postrachem.”

Wojewoda sieradzki przestrzegał rokoszanów, że łatwiej zwieść ludzie, ale dyrygować i rozwieść, nie będzie to w ich mocy, zresztą, zwracając się listownie do Zebrzydowskiego, wypominał mu, iż „na swój rozum się nie sadząc, ani tego sobie arroganter przypisując, abys W Mość miał więcej od nas ojczyznę miłować. A komuż się najmniejsza krzywda w tym zamieszaniu od Pana (króla) tak od nas dzieje (po bitwie Guzowskiej)? Nie z naszej strony ludzie z rapinii żyją i teraz ludzi trapią. Zaczyn i okrutne swawoleństwo nastąpiło ludzi, którzy się z tamtej gromady (rokoszu) rozwiniawszy, jako nieprzyjaciele miasta palą. Ludzie okrutnie mordują, łupią, najeżdżają domy słacheckie, gwałty czynią uczciwym panienkom i mężatkom nie przepuszczają, że już prawie bezpiecznymi w domach naszych, że w temże zamieszaniu Rzplita, co rusz w większe niebezpieczeństwo i w długi wpada.” Wojewoda wileński wyraził wątpliwość: czy zjazd rokoszowy zdoła zapobiedz nadużyciom i wzmożni rząd, ale żadne votum senatorskie nie przeniknęło tak do głębi złej natury konfederackich zjazdów wszelkiego rodzaju, jak to, które hetman Żółkiewski wygłosił na sejmie w Warszawie w r. 1607. „W tym zamieszaniu Rzeczypospolitej,—wyrzekł słynny i tylekroć zwycięski wódz — nie widzę inszego sposobu do



uspokojenia i pogodzenia, jeno sejm, którego *authoritas* u przodków naszych była w wielkiem poszanowaniu i wszystkie prawa i wolności swe na nim sobie stanowili. Tymże sejmem co złego jest w ojczyźnie, co z prawa i porządku domowego wypadło naprawić. A od tego po-  
 cząć, co jest *urgens*, co bardziej dolega ojczyznę, co uraża braci naszych animusze i tak wiśnickim artykułem jako i rokoszowym ja nie przyznawam legitimitatem. I nie byłbym słacheicem wolnym, ale *mancipium*, kiedybym postanowieniu rokoszowemu podpadać miał i jako oni na nas, tak my na nich nic stanowić nie mogli i nie stanowiliśmy, aleśmy my to wszystko referowali do zgody sejmują.

Szlachta, skonfederowana przy królu, wyrzekła także gorzko na zjazd braci, „które oni mimo wiadomości J. Król. Mości, prawa naszego i nasze zwyczaje w prawie opisane, składają i na nich *authoritatem plus quam comitaliaem* sobie uzurpują. Czym iż prawo *popolite* i porządek w naszej Rzeczypospolitej, zwyczajny pomieszany jest i wolność się *popolita* gwałta, to że w równej wolności będąc, bez nas, na nas, co się JMościom zda, stanowią. Konfederacya w Wiśni upraszała też hetmana Żółkiewskiego, ażeby z tym żołnierzem, który na ten czas jest zebrany, ku granicy od Węgier, bliżey Króla JMości przymknął i *provideret securitati R-cae* i J. Król. Mości, gdzie i sami JMościowie chętnie i radzi jedziemy i zdrowia nasze przy Królu JMości poniesiemy.”

Jeżeli rokoszanie zdobyli się w r. 1606 na zręcznie wymotywaną teorię, usprawiedliwiającą związki, które króla pociągały do odpowiedzialności, to stromiectwo, pragnące powrotu do zwyczajnego sejmowania, nie zaniedbało swej sprawy. Przeciwko doktrynie rokoszowej wystąpiono z wybornemi traktatami, które z niezwykłym talentem i dojrzałym rozumem stanu dowodziły, że rokosze jedynie zgnęb państwu przynieść mogą. „Zjazd jest potrzebny kedy jest niebezpieczeństwo nagłe, któremu się zabezpieczyć inaczej nie może, umysłnym, szczerym, ku obronie nie swego nie szukając. Bo z drugiej strony kedy nie trzeba zwodzić armatam *multitudinem*, nie jedno przeciw prawu, ale i rozumowi, bo gdzie ludzie zbrojni, tam przypadki niebezpieczne. Nic też lepszego jako sejm, bowiem stany, na sejmie bywają zgromadzone. Praktykuje król, mówić mu na sejmie, król na sejmie jest. Praktykuje duchowny, na sejmie mówić, bo tam duchowni praktykują. Jako przeciwko tatarskim strzałom, polskie kopije w polu, tak przeciwko praktykom na sejmie ich odkrycie. Ztąd pewno: że pan kanclerz nieboszczyk pod Jędrzejowem więcej nie zawarł, jedno starać się: aby sejm był. Tak tedy *sicut aqua ignem extinguit*, tak sejm gasi praktyki wszelakie.”—Niewiadomy autor wybornego traktatu przyznaje: „że nie wszystkie *pacta conventa* są wypełnione, ale też czas nie jest

w nich naznaczony, kiedy wypełnione być miały." Twierdzi zaś, „że szlachtę chudą od inszych równych sobie i mniejszych, więcej potyka na rok tyrannidis, niż jej Król. Mość za te 18 lat uczynił."

„Rokosz zatem, to jest rzeczypospolitej rozwiązanie jakieś i porządku wszystkiego pomieszenie. Naprawy taki sposób jest bardzo niebezpieczny, dlatego też od przodków naszych używany rzadko, tak, iż o jednym tylko własnym czytamy Rokoszu Zygmunta Starego, przed 70-u laty pode Lwowem (1537). Lecz kto się onemu dawnemu, a terażniejszemu przypatrzy rokoszowi, a urazy won wiek pierwszy i terażniejszy, przyznać słusznie musi, nierówno być ten w Rzeczypospolitej niebezpieczniejszy niż on pierwszy. Wiek on był prosty w obyczaje, w dostatki, nie rozróżniała chęć w ludziach i religio, nie popsowane były obyczajów dobrych postępkami i dostatki, ani do obcych narodów przejażdżki częste, umysłów górności, rozruchy także, jakież u nas często narodziły, elekcyjej nie było. Pan był Polak, król z ojca zasiadł, trzydzieści lat już panował w Polsce, gdy do rokoshu przyszło, sposób nawet zaczęcia na on czas rokoshu przeciwko nieprzyjacielowi koronnemu z Panem. Tu wszystko inaczej, ztąd też niebezpieczeństwo musi być większe, a tym większe, iż na on czas o jedno zgodnie powstali wszyscy, różność tylko między senatem a rycerstwem była, tu i senatu część wiąże się do rycerstwa i rycerstwo niezgodne z sobą, a znać część większa rokoshowi przeciwna. Niech jako kto chce cukruje i chwali tego terażniejszego rokoshu złożenie i tak nagłe i gwałtowne wewnętrznego pokoju et status Rzplitej poruszenie, trudno to jednak baczny pochwalić może, bo ani przyczyny do tego tak wielkiej nie baczymy. Prywatne urazy, wielu prywatne inter potentiores z ambicyjej nieprzyjaźni et contentiones pochodzące, res laxiores z jednych, et honoris ambitio, a u drugich inopia, a zatym nowych rzeczy chciwość i snadniejsze peratowanie, w zamieszanie nadzieje. Owo odkryto mówiąc, przyczyną my wszystkiego sami, potrzeba-by Boskiego niż ludzkiego rozumu wiecej, któryby i w serca i w myśli patrząc, umiał o takowy rząd różności wszystkich dogodzić humorum i ukontentować wszystkich. Ale to niepodobna było wszędy i zawždy narzekanie na to. Bo nie wiem jako to rokoshem nazwać, który złożą mimo 144 senatorów, mimo wszystkiego rycerstwa pozwolenia i wiadomości ich, tylko 148, którzy się w Lublinie podpisali, stanowią na nas, bez nas, rzeczy tak wielkie, gdzie libere non emittebantur voces, ale kto ad placitum nie mówił, fuki, luki zachodziły, ubliżenia ludzi zacnych potykały, zaczym jedni odjeżdżać, a drudzy nieprzychodzić musieli. Cóż to takowy za rokosh prze Bóg? gdzież tu wszystkich na jedno zgadza i tak, że to za jednego króla, królów inszych nad sobą mamy wiele? a nie opresyaż to? a zatym civile bellum? Non desunt nobis

ordinaria media, dlatego są sejmy, niechże go nam temu tylko gwoli teraz złożą. I większych rzeczy przodkowie nasi i za nas dopinali już na sejmach. Sejmu tedy potrzebujemy, o sejm prosimy, rokoshu i tak gwałtownego zjazdu ani widzimy być potrzeba, ani my paccati cives pozwalamy.”

Zjazdy rokoshowe starały się usilnie o zniweczenie uroku, jaki majestat królewski zawsze w Polsce wywierał. Ułożono też zręcznie „Rady Kallimachowe“, któremi, naśladowując Olbrachta, miał się nibyto Zygmunt III powodować, a podobnego Kallimachowi Machiavella zohydzano, utrzymując, że: „Machiavellum zwykli czytać, co sadzą brata na brata, przyjaciela na przyjaciela.” Namiętne porywy Stadnickiego nie zdołały jednak uspić sumienia samych rokoshan. Wśród burzliwych obrad daje się też w samym kole rokoshowem słyszeć niekiedy głos rozważny i spokojny, przypominający, że „urazy wprawdzie są i te mamy leczyć, ale tego się bojemy, aby nam subtelnościami nie spychano Pana — nie mówię znieść Pana, ale corrigere, często impossibilitatem na Pana kładzicie, suspicjami go otaczacie” i t. p., i t. p. Rady duchowne z obowiązku swego przypominały prawo Boskie, osłaniające „Pomazańców Pana“ i wzbraniające wypowiadać im posłuszeństwo. Co jednak najważniejsza, to że w dobie, „gdy się ten straszliwy grzmot uczynił w Rzeczypospolitej“, czyli, gdy się zorganizował Rokosh Zebrzydowskiego, znaczna część rycerstwa nie dała się skusić hazardownym teoryom Stadnickiego i, wbrew wszelkim tentacyom, oświadczyła wprost rokoshanom: „jeśli ganicie, że Machiavellus uczy — jeden rozumnie panował, nie wiem jeśli będziecie chwalić, kędy ślachta przeciw królowi, a chłopci przeciwko ślachcie powstaną i wybiwszy ślachtę, sami chłopci jako w Hollandyi będą.”

Zygmunt III używał zrazu negocyacyi dla usmierzania niepokojów i przypominał rokoshanom, że: „nadzieją karmiąc, miłą każdemu chęcią wolności uwodząc, pożądliwej poprawy nawet, władze hetmańskie i wojenne przywłaszczywszy sobie, trybunałskim sądom, któremi się sprawiedliwość i pokój popolity twierdzi, suspendować rozkazawszy, subselia nowe sądów niezwyuczajnych postanowili et temerariis egzekwowali decretis.” Rokoshanom też zarzucał monarcha: „że nie tak kochane wolności w sercu, jako concepta odia się szerzyły, nie prawa, wolności, ale żądza rządzenia, nie rozum ale afekt, oczy, usta, serce rządziły. To też nie bacząc, że sami znioważywszy swobody, nawiedli przeciwko Panu dział; przeciwko swobodom cudzoziemców, przeciwko wolnościom wojsk, przeciwko Panu nieposłuszeństwa, przeciw zwieruchości swywoli. Gdy zaś rokoshanie umyślnie królowi drogę zajechali, bitwę dali i niezbożnie na niego rękę podnieśli i do takowego, którego się zawsze strzeżł krwie rozlanie, uporem i natarciem swym go przy-

wiedli i teraz się znowu do gromady zbierają i nowe w Rzeczypospolitej mieszaniny i sedycyje, porozumiewając się z obcemi Pany, zniecają” — uważał Zygmunt III za stosowne winnym zagrozić dekretem, odsadzającym od dóbr dziedzicznych i odsyłającym ich do sądu sejmowego.

Chcąc wyobrażać całą Rzeczypospolitą i zagarnąć ster rządów, musiał Rokosz przyjąć z konieczności pewną formę obrad. Konfederacye generalne w czasach bezkrólewia były dlań w tym wypadku najdogodniejszym wzorem. Województwa wzywano też na zjazdy rokoszowe albo pospolitem ruszeniem, albo, gdyby to było zbyt uciążliwym, proszono o przysłanie deputatów. Dla umożliwienia obrad, delegowano z pośród pospolitego ruszenia także deputatów do koła, ale nie bardzo było dla nich bezpieczeniem brać jakąś uchwałę „do większej gromady“, bo rokoszanie mieli nieprzewyciężony wstręt do neutralistów i ostrzegali, że takowych w Atenach ścinano. Obradom deputatów asystowały województwa w pewnem oddaleniu, biorąc jednak niekiedy bezpośredni udział w naradach. Sądy rokoszowe, zastępujące trybunały, nie wzbudzały w szlachcie żadnej ufności i oświadczano też otwarcie: „przyjadę na rokosz, jedno niechże mam takowe sędzie, coby rozsądni byli, a nie coby sabłami koło szyi szeptali.” Zresztą koło rokoszowe zagarniało wszelkie prawa, bądź to królewskie, bądź sejmowe, i nie miało najmniejszego względu na panujący w Rzeczypospolitej ustrój. Organizacyi jednak dobrej i sprężystej nie wytworzyło, o czem zresztą sami rokoszanie byli przeświadczeni, narzekając: jest-ci kim, ale rządów nie dostaje.

Ponieważ Rokosz czuł się słabym, a wiedział, że od energii i śmiałości zależy osiągnięcie zamierzonych przezeń celów i zadań, przeto starał się sterroryzować spokojniejsze i rozważniejsze rycerstwo, za pośrednictwem wprowadzenia, jak słusznie Żółkiewski zauważył: „iście nalewajkowskich zwyczajów.“ Sędziwy hetman, czerpiący naukę z arystotelowskich źródeł, nie omieszkał też nawet w testamencie zalecać synowi: „z temi się nigdy nie łącz, jeśliby kto chciał do odmiany rzeczy przywozić i owszem, przy Panu, królu swym, wedle możności się zastawiaj. Takowe odmiany Panów, daleko nie chodząc, węgierską ziemię i wołoską do zniszczenia i do upadku przywiodły i u nas najciężej by to raz począć, nie byłoby temu końca, jeno upadkiem Rzplitej. Pomnąc na to, że wszelka zwierzełość od Pana Boga, choćby też i nie dostatki, jakie w Panu, lepiej jest do jedności, niżli na odmianę, która jest szkodliwa i bardzo niebezpieczne rzeczy przywozi. I królowie mają nad sobą większego króla, który ich będzie sądził, jeśli się co od nich perperum, ku krzywdzie ludzi im od Pana Boga powierzonych dzieje.”

Statyści antyrokoszowi z r. 1606 pojmowali już wybornie różnicę, jaka zachodzi między zjazdem z r. 1537, a rokoszem Zebrzydowskiego; Lengnich zaś, przyjmąwszy raz za zasadę, że rokosz jest wystąpieniem całego rycerstwa przeciw królowi wraz z senatem, nie mógł się następnie w dziejach Polski typowego rokoszu dopatrzeć, albowiem zarówno w r. 1606, jak i późniejszymi czasy, tylko część rycerstwa, w połączeniu z niewielką liczbą senatorów, występowała przeciw królowi. Rokosze jednak, w szeregu różnych konfederacji i sprzysiężeń, odróżnia ta właściwość, że pewna część rycerstwa z kilkoma senatorami pragnęła sprzymierzeniu swemu nadać majestat Rzplitej, w tym celu, aby króla wraz z dygnitarzami do odpowiedzialności za niedotrzymanie pactów conventów i ukrzywdzenie wolności pociągnąć. Nie chodziło tu o liczbę rycerstwa, tylko o cel spisku i ten nadawał odrębny charakter rokoszowi, czyniąc zeń konfederację przeciw królowi, kiedy inne, choćby pozornie, stały przy królu lub zawiązywały się w czasie bezkrólewia.

Naśladując stan rycerski, przyuczyło się i wojsko zawiązywać konfederację, gdy skarb pusty nie był w możności wypłacenia im wysłużonego żołdu. Marszałkowie, wybrani przez związkowych, usuwali wojsko od władzy hetmanów i przedstawiali monarsze artykułowane prośby, wśród których znajdowała się dość często nagana, mniej lub więcej wyraźna, dla jego rządów. Za Jana Kazimierza, związek wojskowy, któremu marszałkował Świderski, wyrzucał między innymi monarsze, że dobra Tykocińskie konferował Czarnieckiemu. „Nie czyniło tego wojsko z zazdrości, albo żeby nie uznawało zasług Czarnieckiego, ale że dobra Rzplitej żołnierskie w dziedziczne obrócono i co mogło siłą ukontentować, jednemu się dostało, a zatem obawia się wojsko związkowe, aby temi largicyjami dobra ojezyny i chleb żołnierski nie wyskrzył się.“

O konfederacji lwowskiej z r. 1622 znajduje się w broszurze pod tymże samym tytułem wzmianka: „że jest ludzi niektórych z wojny tureckiej pozostałych kupa, złą przysięgą związanych i na złą rzecz. Ci ludzie, choćby im zapłacono, chcą jednak w konfederacji sejmu czekać, aby Rzeczpospolitą naprawili.“ Sprzysiężenia jednak nie zwykły były czekać na zaspokojenie swych potrzeb i na zapłatę należnego żołdu, lecz, przywłaszczywszy sobie prawo królewskie i Rzeczypospolitej, wszystkie intraty, tak z królewskich jako i duchownych dóbr pochodzące, czy to ekonomie, czy starostwa, jako też biskupów, opatów, kapituł i całego duchowieństwa dobra opanowawszy, żupy solne wielkie, bocheńskie, samborskie, jako cła wodne i portowe inwenkty, ewekty, monopolie, akeyzy, wszystkie Rzplitej rzeczy i królewskie prowentu zagarnęli, nie dlatego, żeby rozszarpać mieli, lecz żeby w jedną

masę komputowane, prędszą żółdu mogli odebrać exolucyę i rekompensę za niesłuszne rozszafowanie w skarbie żołnierskich pieniędzy.

Bywały wypadki, że żołnierze po siedm lat czekać musieli na wysłużony żołd i że w nieszczęśliwych czasach, za panowania Jana Kazimierza, wymagano od nich niekiedy za wiele poświęceń. Być bardzo może, że Kochowski miał racyę, wyrzucając, że: „żadnej nacyi nie masz na świecie tak niemiłosierniej na żołnierza, jak Polska. Piechoty z głodu umierają, bosą nogą, jak drwa od mrozu padają, niema względu i komizeracyi onych przyodziać, odziać, kawalkiem chleba posilić i t. d., i t. d.” Z tem wszystkiem, jednak rokosze wojskowe były najgroźniejsze ze wszystkich i, sprowadzając na kraj nieobliczone klęski materyalne, demoralizowały wojsko, które powinno było świecić przykładem karności i poświęcenia. Związki wojskowe uważały się za potencję lekceważącą króla i sejmy, a odbierającą drogą samopomocy swoje należności. Volumina legum zabraniają dość często „nietylko konfederacyjej żadnych i buntów czynić, ale ani kół, ani schadzek żadnych, krom kiedy za rozkazaniem hetmańskim, do namów i usłużenia J. Król. Mości i Rzeczypospolitej będą wezwani y dla przełożenia popotrzeb swych albo nie doszcza zapłaty. Gdy zaś na potym do takowych (przez hetmanów niedozwolonych) i tym podobnych związków, buntów, spisków i konfederacyjej, quocunque praetextu uczynionych, ktokolwiek przystępować ważył, albo ich fovere, protegere i z nimi correspondere śmiał, takowemu żadna amnystya na potym nie będzie dana, a dana pro vana et nulla censebitur. Owszem, królowi przeciwko takowym gwałtownikom praw i pokoju pospolitego, wszystkiemi swemi i Rzplitej silami, gdyby tego potrzeba była i pospolitym ruszeniem powstaną, et nullo clementiae loco relicto, takowych na zdrowiach, honorach, substancyach karać będą.”

Częste powtarzanie konstytucyi przeciwko konfederacyjom wojskowym (1609, 1623, 1624, 1662) przekonywa dostatecznie o ich bezskuteczności. Uwzględniwszy też okoliczności, towarzyszące rokoszom wojskowym, przyjść należy do przekonania, że królowi wraz z sejmem nie pozostawało nic innego, jak ugoda z kołem wojskowym, i przy pomocy owej ugody, odtargowanie czegoś z uroszczonych pretensyi, lub potrącenie tego, co z sekwestru majątku Rzplitej samowolnie pobranem zostało. Rokosze wojskowe bowiem zawiązywały się w dobie uciążliwych i nieszczęśliwych wojen. Związkowi reprezentowali zazwyczaj poważną siłę wyćwiczonego żołnierza, który niekiedy, mimo swych pretensyi i związku, dawał się namówić do nowej wyprawy przeciw nieprzyjacielowi. Poskromienie więc takiej potencji za pomocą pospolitego ruszenia można było zaliczyć do przedsięwzięć bardzo ryzykownych. Jak groźnemi zaś dla kraju były owe „święcone związki“, naj-

lepszy dowód stanowi ten fakt, że one utorowały na czas krótki drogę podatкови pogłównemu, którego postrach turecki na szlachcie wymódcz nie zdołał. W jaki sposób rokosze wojskowe prowadziły obrady, jak rozsiekowały lub rozstrzeliwały podejrzanych sobie rotmistrzów i hetmanów, na to znajdują się najwymowniejsze świadectwa w pamiętnikach Kochowskiego i Paska. Nawet tak wybujałej fantazyi żołnierzowi, jakim był J. Chryzostom Pasek, wydał się srogi związek Świderskiego środkiem wątpliwej legalności, a że wojsko doszczętnie pustoszyło królewszczyzny i dobra duchowne, to wszystkie źródła współczesne stwierdzają zgodnie.

Przynajmniej konfederacye wojskowe, uzurpując sobie prawa królewskie i zagarniając skrupulatnie prowenty kraju, nie przystrajały się w majestat Rzeczypospolitej. Oświadczały one swe wierne służby królowi, dopominając się jedynie o wypłacenie im należnego żołdu. Naprawianie Rzeczypospolitej małą u nich odegrywało rolę i rokosze wojskowe zachowały swój ściśle militaryny charakter. W rządzie konfederacyi, jakie wypełniały karty historii polskiej w XVI, XVII i XVIII wiekach, dostrzegać się daje wyraźnie stopniowanie, odbijające się także na ich doniosłości prawnopaiństwowej. Nasamprzód, konfederacye generalne, podczas bezkrólewia, obejmowały poza szlachtą i insze stany uprzywilejowane (miasta królewskie), oraz dobiły się w prawie państwowem znaczenia instytucyi normalnej, działającej w ściśle określonej dobie życia państwowego. Konfederacye, za życia króla i przy królu zawiązane, zawarły się wyłącznie w stanie szlacheckim, nie obejmując go jednak w całości. Monarchowie nie uciekali się nigdy do powyższego środka, jakkolwiek zmuszeni byli przyjmować go i ponosić gorzkie nieraz owoce jego działań. Konstytucye usiłowały wprawdzie zakazać zawiązywania podobnych konfederacyi, ale okazywały się bezsilnym wobec dawnych nawyknień, podtrzymywanych gorliwie przez ościenne mocarstwa, których interesom się owe konfederacye często nieświadomie wysługiwały.

Konfederacye wreszcie przeciw królowi, t. j. pociągające go do odpowiedzialności i grożące mu degradowaniem, zarówno jak i związki wojskowe—ponieważ obejmowały małą część rycerstwa, a ośmielały się utożsamiać z Rzplitą lub uzurpować sobie prawa królewskie, nie zdołały pozyskać nawet skromnych znamion legalności i napiętnowane zostały nazwą spisku, buntu, sprawiającego zamieszanie w kraju i nalewajkowski obyczaje. Dodać jeszcze należy, że konfederacye, w razie bezkrólewia i za życia króla przy nim zawiązywane, przetrwały aż do sejmu czteroletniego, który dopiero rozstał się z owym nadzwyczajnym organem prawodawczym, uznając jego przestarzałość.

## Konfederacye płynęły z natury konstytucyi polskiej.

Z poprzednich rozdziałów przekonać się było można, że konstytucya Rzeczypospolitej polskiej z wieków XVI, XVII i XVIII-go powstawała z wolna i urobiła się, równie jak i na zachodzie Europy, pod wpływem i działaniem konfederacyi z XIV i XV-go stulecia. W związkach owej wczesnej doby historycznej tkwiło już poczucie zasady, że sprawami, obchodzącemi wszystkich, wszyscy zajmować się powinni, i że dobro oraz spokój publiczny stanowią nieodzowną troskę każdego obywatela. Z tej zasady zaś wypłynęła imna, często powtarzana w XVII w.: „nic na nas, bez nas“, która odmiennemi tylko słowy wyraziła myśl zasadniczą pierwotnych sprzysiężeń. Konfederacye jednak XIV i XV-go wieku mogły pragnienie bezpośredniego udziału wszystkich w sprawach publicznych urzeczywistnić zaledwie w ciasnych granicach województwa lub ziemi. Nawet w tak szczupłym terytoryalnym obszarze, organizacya sprzysiężeń nie wytrzymała ognia próbnego na czas dłuższy. Tem mniej więc oczekiwać było można, ażeby zasada: „nic na nas, bez nas“ w obszernem państwie ściśle urzeczywistnioną być mogła.

System reprezentacyjny okazał się zatem niuniknionym, ale, tak samo jak na zachodzie Europy, pozostał nawskróś przesiąkniętym żywiołami federacyjnymi, które dla organów reprezentacyjnych przechowywały nieufność, a nadzieje wszystkie pokładały w ziemiach, powiatach i województwach, gdzie wszyscy uprzywilejowani mogli brać bezpośredni udział w naradach. Duch federacyjny nie obumarł bynajmniej w ustroju państwowym polskim z XVI-go wieku. Pominąwszy bowiem tradycyę kapturów, która się żywo przechowała w pamięci stanu szlacheckiego, przypomnieć należy, że instrukcyje poselskie, darzące reprezentantów wojewódzkich ograniczoną władzą i nakazujące uchwały odnosić do braci, nadawały sejmom walnym charakter federacyi ziem i województw. Tym sposobem wszystko, co sejm uchwalił, stawało się ważnem dopiero wtedy, gdy się na to województwa zgodziły, bądź uprzednio, bądź następnie, a ponieważ w sejmikach wojewódzkich brała udział prawie cała szlachta, przeto urzeczywistniała się pośrednio w wielkiem państwie zasada: „nic na nas, bez nas.“ Żaden też podatek z majątku lub krwi nie mógł być nałożonym lub powiększonym z pominięciem tej wszechwładnej zasady. Wszystko, czego tylko Rzeczpospolita śmiała się domagać od swych obywateli, musiało się odbywać w imię zgody wszystkich, tak samo jak i na zachodzie Europy.



Odrębność województw, uważających się nasamprzód za samodzielny całość, a nie za część całości, podkopywała nieustannie powagę organów reprezentacyjnych, nie pozwalając utwalić się zasadzie, nakazującej mniejszości uległość i posłuszeństwo dla większości. W takim położeniu rzeczy, gdy zabrakło tronu monarszego, który się mógł uważać prawie za dziedziczny, i gdy zabrakło tej silnej spójni, jednoczącej wszystkie ziemie, nosabiającej majestat Rzeczypospolitej i nakazującej powagą swą uległość sejmowym mniejszościom, powrócono do związków federacyjnych, pod których wpływem wytworzyła się konstytucya stanowa i jakie tkwiły, mniej lub więcej utajone, w jej naturze. Sejm walny uważał się bez króla za organizm bez głowy, bezkrólewie groziło państwu chaosem niepojętym i rozpadnięciem się na atomy; pozostawało jedynie, jako środek zapobiegający gwałtownym niebezpieczeństwom, sprzymierzenie się wszystkich, czyli konfederacye różnych odcieni, z których najlegalniejsza i niemuikniona, bo prowadząca do obioru nowego króla, wydała się Opalińskiemu „piekłem czy chaosem jakimś.“

Konfederacye nietylko przeistoczyły istotę dawnych zjazdów urzędniczych, oraz przyczyniły się do wyrobienia systemu reprezentacyjnego, ale stały się zarazem konsekwentnem uzupełnieniem reprezentacyi stanowej i należy je uważać za niemuikniony jej wpływ. Przypomnieć też wypada, że konfederacye XIV i XV-go wieku, podobnie jak i na zachodzie Europy, przyczyniły się w Polsce do utrwalenia przywilejów i rozwinięcia odrębności pojedynczych stanów. Bratanie związki tychże stanów (*fraterna unio*) między sobą, w celu zabezpieczenia pozyskanych swobód i spokoju publicznego, dążyły przeważnie do ograniczenia władzy monarszej. Od samego więc początku istnienia, organa reprezentacyjne nosiły podwójne federacyjne piętno, t. j. czyniły wrażenie sprzymierzenia się ziem i sprzymierzenia się stanów. Te same objawy stworzyły długotrwałą zapórę rozwojowi instytucyi reprezentacyjnych na zachodzie Europy i, powołując się na nie, nie dozwalał żaden stan ograniczać swych przywilejów, ani monarsze, ani reprezentacyi stanowej, a w razie odkrytych zamiarów, uciekał się do konfederacyi, jako do środka, który stanowił „*sacram anchoram*“ porządku stanowego.

Pozostaje jednak wątpliwość dla niektórych badaczy: czy istotnie konstytucya dawnej Rzeczypospolitej polskiej, począwszy od XVI-go, a skończywszy na XVIII wieku, była stanową, w tem znaczeniu państwowo-prawnem, jak na zachodzie Europy? i czy sejmy polskie można nazwać reprezentacyą stanową, gdy powszechnie wiadomo, że tylko jeden stan był na sejmach reprezentowanym, a tym stanem było rycerstwo. Wątpliwości powyższej wyrażonej nadaje pewną siłę

przekonania i ten wzgląd, że jeżeli ograniczymy porównanie do formy prawno-państwowego ustroju, wtedy istotnie nie znajdziemy na kontynencie europejskim żadnej konstytucyi, nie wyłączając nawet węgierskiej, która-by była podobną do dawnej polskiej. Dlatego też w części pierwszej powyższego studyum starałem się wykazać: że gdyby definicya konstytucyi, oraz reprezentacyi stanowej, miała uwzględniać jedynie różnolitość form państwowo prawnych, to stworzyła-by tyle gatunków tejże konstytucyi, ile tylko było ziem i powiatów, posiadających odrębną reprezentację stanową. Nietylko bowiem, że każda konstytucya stanowa w całym państwie posiadała bogatą i oryginalną ornamentykę prawną, którejbyśmy daremnie szukali choćby w sąsiednim kraju, ale w temże samem państwie stany prowincjonalne jednej ziemi posługiwały się zwyczajami, odrębnymi od używanych w sąsiadującej prowincyi.

Pojęcie zatem konstytucyi oraz reprezentacyi stanowej na zachodzie Europy powstało niezależnie od wybijającej różnolitości form prawa państwowego. Urobiło się ono na podstawie tożsamości rozwoju społecznego, która w odmienne formy wlała tę samą treść prawa państwowego. Pod wpływem i oddziaływaniem konfederacyi, wyrobiła się też w Polsce, zarówno jak i na zachodzie Europy, konstytucya oraz reprezentacya stanowa. Powstały także za czasów Jagiellońskich trzy rzeczypospolite, czyli stany w zachodnio-europejskiem znaczeniu, a każdy z tych stanów wspierał się na specjalnej twierdzy przywilejów, które, czy to własność dominialną, czy municypium królewskie, przeistaczały w państewko, szczyzące się własnymi poddanymi. Należy bowiem przypomnieć, że miasta królewskie, posiadające dobra ziemskie „in commune“, a zdaje się, że tym tytułem posiadały je wszystkie, miały swych poddanych, zarówno jak duchowieństwo i szlachta.

Konstytucya dawna w Polsce zdobyła najkardynalniejsze podwaliny stanowości, wraz z odosobnieniem się możnowładztwa patrymonialnego od duchowieństwa i miast wolnych i wraz z pozyskaniem przez te trzy stany rozległego samorządu. Rozwój samej reprezentacyi jest już mniejszego znaczenia, chociaż i w tym kierunku najważniejsze znamiona są niezaprzeczenie wspólne z zachodem Europy. Zwyczaje, powołujące organa reprezentacyjne do bytu, wytwarzały się w Polsce tak samo, jak i gdzieindziej, powoli, i tak samo nie pozbyły się ani chwiejności, ani nie nabrały z biegiem czasu jednolitości. Dość tylko przypomnieć, że Prusy królewskie zachowały do ostatniej doby dużo właściwości w swej konstytucyi prowincjonalnej, a w kwestyach drugorzędnych, prawie każdy sejmik uważał za możliwe uzupełniać zwyczaj, który bardzo często przeświecał brakami i niedostatkami. Zwy-

czaj, urabiający szczegóły konstytucyi oraz reprezentacyi stanowej, rozwijał się z początku w Polsce dość powoli i męźniał dopiero z końcem XVI wieku, gdy życie państwowe wywoływało nieustannie kwestye palące na porządek dzienny. Władza sejmów i sejmików, organizacya elekcyi, rozwijały się niejako w oczach w coraz to ściślej określone organa Rzeczypospolitej, a nawet niedogodne chwile obozowania pod Pskowem przyczyniły się do dokładniejszego odgraniczenia atrybucyi hetmańskich od marszałka W. Koronnego.

Zwyczaj prawno-państwowy nie rozwijał się także w Polsce jednostajnie, ale dostrzegać się dawało ciągłe wahanie i zwroty w kierunkach wprost przeciwnych. Gdy w chwilach nagłego niebezpieczeństwa ofiarność i poświęcenie dawały większą siłę organom reprezentującym całość nad częściami, w dobie spokoju egoizm partykularny i stanowy starały się wydrzeć przejściowe ustępstwa i powrócić do dawnej przewagi. Konstytucya państwowa w Polsce przyswoiła sobie także wiele pojęć z prawa prywatnego i skutkiem tego skłoną była do przeistoczenia praw, swobód, oraz dobra publicznego, w prywatne. Co się zaś tycze reprezentacyi stanowej w Polsce, to, mimo wszelkiej odrębności form prawnych, przedstawia ona niezaprzeczone podobieństwo z zachodnio-europejskimi instytucjami. Zgodnie z tem, co można było spotkać gdzieindziej, każdy stan w Polsce zyskał taki zakres przywilejów i tak obszerny udział w reprezentacyi wojewódzkiej i krajowej, jaką posiadał siłę społeczną. W XVI stuleciu zdobyły sobie w Polsce moc sejmowania i sejmikowania trzy stany, a ponieważ potęgę socyalną posiadały różną, przeto stopień udziału w reprezentacyi musiał być odmienny. Jakkolwiek jednak od początku XVI-go wieku duchowieństwo z rycerstwem otrzymało w porównaniu z miastami królewskimi przeważne stanowisko, nie mogło słabszemu odebrać, ani ograniczyć jego przywilejów i każdy z monarchów musiał zaprzysięgać nie tylko szlachcie i duchowieństwu, ale i miastom królewskim dawne swobody.

Wszędzie też dostrzegany objaw wypierania słabego stanu przez mocniejsze, a przynajmniej ograniczania jego udziału w reprezentacyi, pojawił się również i w Polsce. Miasta królewskie, zasiadające na sejmach ordynaryjnych, po śmierci Zygmunta Augusta, widząc bierną rolę, jaka im przypadła w udziale, zaniechały swego przywileju, ale pamiętały o przysługującym prawie i w najważniejszych aktach obioru króla (konwokacya i elekcyja) brały udział, składały suffragia i wykonywały sądy kaptarowe, a to głównie dlatego, aby elekta skłonić do zaprzysiężenia im przywilejów i zarazem, aby przypomnieć stanom innym, podczas uroczystego ceremoniału, towarzyszącego koronacyom, że są zawsze ich współbraćmi. Przewaga stanu rycerskiego nad duchow-

wnym i mieszczańskim, jaka się w Polsce XVII i XVIII-go wieku nadmiernie rozwinęła, nie jest w możności nadania konstytucyi republikańskiej innego charakteru, jak ten, który się objawił na zachodzie Europy. Nie może tego tem mniej dokonać różnica w formie ustroju reprezentacyi, jak np. w ilości kuryi, w wotowaniu wirylnem, i t. p., albowiem najkardynalniejsze pojęcia władzy monarchicznej, sejmowania i sejmikowania, a nadewszystko tenże sam ustrój społeczny, utrwalony typowym samorządem stanowym, przemawiają za podobieństwem i wspólnością zasad prawno-państwowych z zachodem Europy.

Historja konstytucyjna dawnej Rzeczypospolitej polskiej może się poszczycić także niejednym objawem, nie licującym z egoizmem i prywatą stanową, a wota sejmujących, zarówno jak i prace statystów, pragnęły niejednokrotnie, aby konstytucye na sejmach stawały, jak dekreta trybunałów, większością głosów, ażeby posłowie reprezentowali Rzplitą a nie województwa, instrukcye zaś były życzeniami a nie nakazami, aby do obrony Rzeczypospolitej przykładały się wszystkie majątki ziemskie; jednym słowem, aby był stały skarb, stałe wojsko, a równość prawna, tak wysoko pod względem etycznym posuniętą, że mocniejszy pociągany miał być do surowszej odpowiedzialności za swe czyny, niż słabszy. Pomimo jednak, że zawsze występowała na widownię spora ilość wyższych umysłów, które, składając Rzeczypospolitej dojrzałą radę, wieszowały zarazem: „aby się nieustannie w starości swojej tak odnowiła, jak się stary orzeł odmładza“, odmładzanie owo było zazwyczaj chwilowem umiesieniem, a nie usunięciem trwałem wadliwych instytucyi. W dobie też, kiedy na zachodzie Europy oświecony monarchizm zwalczał coraz potężniej gmach stanowych przywilejów i na jego miejsce przygotowywał nowy porządek, wszczepiający poczucie dobra państwowego we wszystkie warstwy społeczne, w Polsce, powtarzając słowa Opalińskiego: „My opak, bo privatam libertatem lubiem — O publicam nie dbamy, ztąd też prawa nasze — Pod naszą własną władzą, a nie my pod onych — Które żeśmy już dawno z tey egzekucyey — Obnażyli y rządu y prawa nie mamy.“ Cały organizm Rzeczypospolitej zdawał się wysilać i wyczerpywać na rozwój wybujałych swobód indywidualnych, a w dodatku, dobrym chęciom monarchizmu elekcyjnego stanęły na przeszkodzie interesa mocarstw ościennych, które wszystkie błędy stanowej organizacyi, całe niedołęstwo owej lichy maszyny, której wszyscy popychać nie chcą, a jeden zawsze zatrzymać zdoła, osłoniły gwarancją międzynarodową.

Zachodzi pytanie: czy statysci polscy XVIII-go wieku pojowali, jak np. De Lolme we Francyi, różnice, zachodzące między konstytucją polską a organizmem politycznym Anglii, i czy nie łudzili się

pozorami, mniemając, że ich porządek państwowy nie wyrodził się bynajmniej, lecz może być porównany z najdoskonalszym wzorem, za jaki uchodziła wówczas konstytucya brytańska. Z traktatu Olizara Wołczkiewicza dowiadujemy się, że rząd angielski, „tak wychwalony y wielbiony od najślawniejszych polityków, jako y od wszystkich światłych pisarzów wieku XVIII-go, był także osobliwie od polityków w naszej Rzplitej za model najzupełniejszego wzoru, do przyjęcia nam w tylu pismach uprzemie i patryjotycznie zalecany y najgorliwiej radzony, co do sposobu przyjęcia na sposób angielski dziedzictwa tronu, jako w Rzplitej najzbawienniejszego.“ Chociaż istnieje wiarogodne świadectwo, stwierdzające wielość pism polskich, polecających konstytucyę angielską swemu krajowi do uwzględnienia, z powodu, że broszury z tej epoki są rozproszone i trudne do odszukania, poprzestać muszę jedynie na przejrzaniu kilku z nich. Pierwsze miejsce należy się niewątpliwie Konarskiemu, który w swym monumentalnym traktacie, p. t.: „O skutecznym rad sposobie, albo o utrzymaniu ordynaryjnych sejmów“, przytaczał niejednokrotnie swemu społeczeństwu za wzór instytucye i zasady reprezentacyi angielskiej. Konarski utrzymywał, że: „w Anglii, Szwecyi y u nas, stany zgromadzone na sejmie, mają moc w sobie całych Rzeczypospolitych y absolutnie decydują, bo nasze prowincye nie przywłaszczyły sobie, każda osobno, supremum dominium, ale poddane są panowaniu całej, zgromadzonej w Królu, w senacie y posłach, Rzeczypospolitej.“ Porównanie powyższe nie sprowadzało jednak Konarskiego na manowce i pozwalało mu wszędzie dostrzegać kapitalne różnice. „Prócz reprezentacyi, zdaniem jego, najwyższej w każdym państwie, zawsze bezprzestannie potrzebnej, prócz Rady, rezolucyi y decyzyi w rzeczach między seymem a seymem przychodzących, ile które do sejmu odwlec-by się nie mogły, równie potrzebnej, jeszcze potrzebna jest taka władza w Rzplitej, która-by prawa i rzeczy ustanowione na sejmach przez powinność swoją utrzymywała, przypilnowała, doglądała y do exekucyi skutecznie przyprowadzała między seymem a seymem, aby na następujących seymach stany Rzplitej mogły być informowane: czy przeszłych i ostatniego seymu ustawy wykonane są, lub dlaczego niewykonane. Ta najpierwsza straż i władza egzekucyi między seymem a seymem należy w Anglii do króla cum ministerio, a w Szwecyi do senatu.“ Gdy zaś idzie o przekonanie zaślepionych, że jednomyślność na sejmach stała się chimera nawet w Holandyi, oraz że większość wotów przyniosła wszędzie błogie owoce, wtedy dla Konarskiego Anglia była najświetniejszym wzorem i jej dziejami przekonywał, że nigdy król większości przekupić nie zdołał. Za to Olizara Wołczkiewicza nie potrafił w zupełności olśnić geniusz konstytucyi angielskiej, choć przyznawał

w końcu swego traktatu, że zapewnia krajowi „rząd umiarkowany.“ Jakkolwiek Fryderyk II pruski w „mężney szczerości“ utrzymywał, że „chyba Szwaycary, dla położenia tylko swego, dłużej w systemie europejskim rzetelną wolność, t. j. rzeczpospolitą zachować będą mogły“, a słowa tego „pismami w Europie chcącego gurować puł Bożka“, robiły na Olizarze pewne wrażenie, to jednak nie przestał utrzymywać, że: „co bezpiecznem jest w Anglii, nie było to w Holandyi, nie będzie tym bardziej w Polsce i śmieszna przy tych stosunkach stawiać nam Anglią za model: iż tronu dziedzicznego uzurpacya nie znajdzie tak jak w Anglii z wezwania sił obcych (y u nas pomocy). Lepiej-by zatem poprawić elekcyę królów według rad wielkiego Russa, Wielhorskiego, Rzewuskiego. Nie dla tronu obieralnego była Polska strząsiona, lecz dla nierządu, niemocy wewnętrznej, nieoświecenia, prywaty, niedostatecznych praw y sposobów co do elekcyjej.“

Trzeci traktat, przypisywany Łobarzewskiemu, zawiera dla badaczów literatury politycznej prawdziwą niespodziankę. Z tytułu bowiem pracy można było wnosić, iż autor podtrzyma i usprawiedliwi zdanie, że: zaszczyt wolności polskiej wyrównywa w pełni angielskiemu; tymczasem wykazane zostały różnice z tak wyborną znajomością prawodawstwa angielskiego, że śmiało traktat Łobarzewskiego można stawić na równi z dziełem De Lolme'a. Przedstawiwszy wielką władzę egzekucyjną monarszą i przekonawszy, że, mimo tylu atrybucyi Korony, „Angielczykowie tak są wolni, jak powietrze pod niebem,“ Łobarzewski pisze następujące słowa: „Prawda, iż zapatrzywszy się na wielkie prerogatywy Króla angielskiego, wojskiem, prawem i skarbem władającego, zdrzędę musi natura przemocy się bojąca, przeto roztropna ustawa rządu angielskiego jedną sprężyną zagroziła Królowi swemu stania się uciążliwym narodowi, a ta sprężyna którą sam naród włada, nie insza jest jak podatek, którego ustanowienie izba mniejsza sobie rezerwowała. Każda władza nie nie znaczy bez skarbu, dlatego naród angielski w ten czas Królowi swojemu ofiaruje subsidia, gdy tego widzi potrzebę, a odmawia mu, gdy Król bądź dla passyi swojej, lub ambicyi, a nie dla dobra powszechnego, onych użyć zamysła.“

Łobarzewski rozumie pożytki, płynące z odpowiedzialności ministrów, ale pragnie silnej i dziedzicznej władzy monarszej, bo mieć Króla wcale bez mocy jest zostawić rząd bez głowy, jest wprowadzić zamieszanie w radach, chęć ustawicznej rządu poprawy i tyle przypuszczać członków do rządu, ile pierwszych się znajduje panów w kraju, a znowu dziedzictwo tronu jest ustawą z swej natury najroztropniejszą, a osobliwie w tym czasie, gdy naród polski otoczony mocnymi sąsiada-

mi. Żeby zaś na obradach publicznych nie było niechęci jednej ziemi do drugiej, a stąd wynikający punkt honoru, że jedna ziemia sady się nad drugą, każdy z reprezentantów obranych nie reprezentuje w izbie poselskiej miasto, dystrykt, lub prowincye, lecz cały naród. Nie dość zaś, że każdy poseł reprezentuje członek wielowładnej udzielnosci, ale pluralitas formuje ciało. A jako chory zdaje się zupełnie na doktora, klient na patrona, tak i lud oddaje ufność tym, którzy z talentów znani, posiadają znajomość obrotów politycznych. Tam, gdzie prawa aż nadto ubezpieczają wolność dla każdego, wypływa opressya dla wszystkich. Wolność narodu angielskiego na tem się zasadza, aby czynić to, co prawa nakazują, a nie czynić, co mu się sprzeciwia. Konfederacya dała wprawdzie jestestwo tej sławnej angielskiej konstytucyi, nazwanej „la grande charte,” jako fundament wolności, taż konfederacya wymogła od różnych następców tronu potwierdzenia teyże samej konstytucyi i zjednała tron familii Brunświckiej — ale w Anglii rzeczy widocznie (jawnie) bywają robione. Dlatego jest szkodliwa i będzie w każdej rzeczypośpolitej konfederacya, w której wolność druku nie jest prawem ubezpieczona i lękać się trzeba w każdej rzplitej sekretnych związków, bardziej na uciemczenie jednej partyi przeciwko drugiej służących a nie dla dobra powszechnego. Anglia ma więc w tem wielki awantaż, którego choć przy wielkiej usilności rzadko inne wolne rzeczypośpolite dostąpić mogły, to jest, że reformować może rząd swój peryodycznie. Środek zaś, którego parlament angielski wynalazł, jest tym pewniejszy, że nie prosto zmierza do swego celu. Nie będzie się często oponował parlament directo przeciwko uzurpowanej powadze Króla, nie będzie ją attakował w ten czas, kiedy ją egzekwuje, nie zmierza nigdy, iżby obalić zupełnie moc egzekwującą, bo wie, że naród wolny bez niej obejść się nie może, lecz usiłuje, ażeby osłabić tylko sprężyny, a przez to nie irytując tron posiadających i partyzantów onego, nie staje się okazyją domowego zakłócenia. Wszystkie też potrzebne do dobrego uaprawienia rządu okoliczności układają się z nowym Królem, którego nie mając żadnej do czynności influencyi, w czasie gdy antecessor panuje, nie zna też uporczywości lub urazy przeciw nikomu własnej. Delikatność zaś takowa postępowania narodu z Królem prowadzi za sobą ufność, która pobudza Króla do natężenia wszystkich sił swoich, aby ludowi uszczęśliwienie, a panowaniu swemu chwałę przyniósł, a naród przymusza do wdzięczności Królowi.

Przytoczyłem tylko donioślejsze poglądy Łobarzewskiego, wszakże dodać winienem, że praca jego zawiera prawdziwe bogactwo obserwacyi cennych dla nauk politycznych. Pozwolę też sobie jedynie, w uzupelnieniu wytkniętych przez rozumnego statystę XVIII-go wieku

różnic, zauważyć: że ustroj społeczny Anglii, zarówno jak i jej samorząd hrabsko-parafialny, nie były podobne do ustroju społecznego dawnej Polski, ani do jej tak zwanego samorządu lokalnego. W Rzeczypospolitej polskiej możnowładztwo pozyskało władzę absolutną nad swemi dominiami i ludnością na nich zamieszkałą. Samorząd lokalny zatem był zawisłym od panów patrymonialnych i przejawiał się, zarówno jak i na kontynencie europejskim, w formie, którą Stein nazwał samorządem własności ziemskiej, kapitału i zawodu. Miasta dziedziczne w nie o wiele lepszym znajdowały się położeniu, a miasta królewskie pozyskały wprawdzie samorząd bardzo rozległy, ale dlatego właśnie przeistoczył on municypalność w zamknięte przed Rzeczpospolitą państwo, które pragnęło wykonywać funkcje publiczne, nie tylko lokalnej, ale i ogólniejszej natury.

Samorząd lokalny brytański nie stracił swego czysto publicznego charakteru na rzecz patrymonialnego możnowładztwa, lub potężnych municypalności. Od opłat na rzecz gminy, tak samo, jak od podatków na rzecz państwa, nie zdołała się uwolnić własność widoczna i przynosząca pożytki (*the visible and profitable property in the parish*), bez względu na stan, do jakiego należała. Każdy z płacących podatek (*ratepayer*) miał prawo brać udział w naradach parafialnych; nadto, zarówno wsie, jak i miasta, podzielone były na parafie, a wszystkim parafiom mógł parlament poruczyć zadania publiczne do spełnienia i sędziowie pokoju (*justice of the peace*), najważniejsi urzędnicy królewscy w organizmie samorządu, byli zawsze w stanie zmusić opornych do wykonania nałożonego przez władzę prawodawczą obowiązku. Skutkiem tego, samorząd lokalny w Anglii łączył w imię dobra publicznego wszystkie klasy społeczne w codziennej, wytrwałej pracy. W samym zarodzie niszczyły instytucje gminne wszelkie odrębności stanowe, nie dopuszczając do wytworzenia się odosobnionych twierdz możnowładczych i municypalnych. Na trwałej opoce *selfgovernmentu*, który nie zatracił charakteru publicznego, stanął też spoisty gmach parlamentarny, jednoczący wszystkie stany w politycznie urobiony naród, gdy tymczasem samorząd lokalny w Polsce można było nazwać co najwyżej nieswobodnym, czyli typowo-stanowym, a samoistność ziem, powiatów i województw nie była wcale samorządem w pojęciu administracyjnym, lecz, jak to trafnie prof. Pawiński zauważył, samorządem niemal równorzędnym z państwem, z którego podobizną można się było spotkać na kontynencie Europy.

W końcu uważam za stosowne nadmienić, że twierdzenie prof. Bobrzyńskiego, jakoby ustawa polska z roku 1505, uświęcając udział szlachty w życiu państwowem, stworzyła parlamentaryzm, może wy-



wołać nieuzasadnione porównanie konstytucji polskiej z angielską i w nauce o państwie spowodować tylko zamieszanie pojęć. Gdy bowiem w dobie powstawania reprezentacji stanowej w Polsce, zjazdy wszelkie nazywano „conventus, comitia lub consilia,“ nadanie im w chwili, gdy szlachta w nich udział wzięła, nazwy parlamentaryzmu, może mimowolnie nasunąć myśl, że sejmy polskie od roku 1505 rozwijały się w odmiennym kierunku, niż na zachodnim kontynencie Europy, a ożywione były prądami pobratymczymi, właściwymi parlamentom angielskim. Parlamentaryzm polski z roku 1505 stanie się jeszcze ciemniejszym i niezrozumialszym, gdy zwrócimy uwagę na to, że pod wyrazem „parlamentaryzm“ rozumie nauka polityki, zgodnie z historykami prawa państwowego angielskiego, system rządzenia, czyniący ministerjum zawisłem od poparcia większości izby gmin. System powyższy wyrobił się i utrwalił w Anglii dopiero na początku XVIII-go wieku, a z państw kontynentalnych w owej epoce, nie wyłączając Polski, żadne go sobie nie przyswoiło.

Tak samo prof. Bobrzyński utrzymuje, że w r. 1505 „z sejmików i sejmów (w Polsce) wydobywała się gwałtownie nowa idea państwa prawnego, łamiącego polityczną odrębność stanów i pociągającego wszystkie stany do tych samych ciężarów publicznych. Pozostawiam na uboczu kwestyę: czy istotnie polityczna odrębność stanów została zniweczona w roku 1505, a zajmę się pokrótce pytaniem: czy odpowiedniem jest zastosowywanie do dawnego porządku państwowego w Polsce nazwy państwa prawnego. Pojęcie państwa prawnego (Rechtsstaat), przejęte z nauki niemieckiej, nie jest dotąd zupełnie ustalone. Nasamprzód u pisarzy XVIII-go wieku spotykamy się z myślicielami (Puffendorf, Kant), uważającymi państwo jako instytucyę, przymuszającą do urzeczywistnienia prawa (Zwangsanstalt zur Verwirklichung des Rechts). W nowszych czasach uznano ów pogląd jednostronny za niewystarczający i państwo prawne, lub jak je trafniej przezwiał prof. Oczapowski — praworządne, miało być postulatem, ndoskonalającym konstytucyjne nowożytne państwa. Ów doktrynerski „Rechtsstaat“ stanie się zrozumialszym, jeśli przypomnimy sobie, że konstytucye XIX-go wieku kładły główny nacisk na określenie ściśle organów prawodawczych, a administracyi pozwalały często samowolnie wkra-  
czać w dziedzinę praw indywidualnych. Państwo praworządne pragnęło usunąć powyższe niedostaki, a to takim sposobem, że miało nadal rządzić się ściśłym wymiarem sprawiedliwości, i to nie tylko w zakresie prawa cywilnego, ale i publicznego wogóle; podług zaś Steina: „Der Rechtsstaat ist die durch das Gericht verwirklichte verfassungsmässige Verwaltung.“ Prawdą jest, że zaczątki państwa praworządne-

go znalazł Gneist w odległych dziejach Anglii i Niemiec, ale były to zaczątki, które bynajmniej nie zawdzięczały swego pojawienia się udziałowi rycerstwa w sejmach i sejmikach. Ze względu więc, że naukom politycznym, zarówno jak i innym, zależy wiele na ścisłej terminologii, nie wydaje mi się stosownem nazywanie dawnego państwa polskiego czysto nowożytnym terminem, nierozdzielnym niejako z prawem państwowem XIX-go stulecia.

A. REMBOWSKI.

---

# SIOSTRY.<sup>1)</sup>

---

Wiadomość, że Marcin idzie do Brazylii, zrobiła istną rewolucję wśród służby dworskiej i wśród robotników fabrycznych. Umysły doszły do jakiegoś szału wolności, niezależności i pragnienia zmiany dotychczasowego bytu. Marcin, ulubieniec pana, mający pensję, ordynaryę i ogrody większe, niż wszyscy okoliczni furmani, Marcin, któremu dziedzic pozwolił trzymać cztery sztuki bydła, szedł do Brazylii! To przekonało najbardziej zatwardziałych i niedowierzających. Opowiadano sobie najdziwniejsze legendy o ilości rozdawanych w Brazylii gruntów, o żyzności tamtejszej ziemi, o wygodach i bogactwie, czekających na wychodźców. Zaręczano, że jakiemuś chłopu objawiła się Matka Boska i powiedziała mu: „idź do Brazylii”; działy się jakieś cuda, ludzie miewali sny nadzwyczajne, ukazywały się im jakieś postacie w bieli, stukające do okna... słyszeli jakieś głosy, wołające na nich... Opanowała wszystkich istna gorączka, podniecana ciągle zabo-  
bomością, ciemnotą i pragnieniem używania.

— Dosyć się już biedny lud nacierpiał — mówili robotnicy — przyszła i na niego kolej, że się nie będzie tulał z kąta w kąt, jak ta sierota bez ojca i matki, jeno będzie siedział na swojej ziemi!... na własnej ziemi!...

Ogarnęło ludzi lenistwo bez granic. Nie dbali o zarobek, wyciągali ze skrzynek i węzełków grosz zaoszczędzony w pocie czoła i prze-

---

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt za m. luty „Biblioteki.“

pijali go w karczmach, włóczyli się po dalekich odpustach i jarmarkach, sprzedawali za bezcen kozuchy i sukmany na rachunek ciepła w Brazylii, krowy i świnie na rachunek wyjazdu w dalekie strony. Kobiety przepędzały czas na rozmowie, nie myślały ani o sadzeniu kapusty, ani o okopywaniu kartofli. Sprzedawały wszystko, co mogły, żydom, włóczącym się po wsiach, i żyły z dnia na dzień, czekając podróży, urastającej w ich oczach na coś wykrojonego z bajki, bo mężczyźni mieli płynąć morzem, a kobiety i dzieci miały lecieć powietrzem na maszynie.

Zbierano się w kółka, radzono, rozprawiano, krzyczano. Byli tacy, co, brodę w kulak wsunawszy i spuściwszy oczy ku ziemi, stali zamyśleni i niepewni; insi, krzycząc, starali się wmówić słuchaczom najdziwniejsze bajki. Nie brakło utrzymujących, że na własne oczy widzieli takiego, co wrócił z Brazylii i przywiózł z sobą jabłko, większe niż głowa ludzka, co sami słyszeli czytany list, w którym znajomy im wychodziec opisywał dziwy o Brazylii. Panowie mówią i w gazetach drukują, że tam ludzie chorują i cierpią biedę, ale wiadomo, panowie... nie chcą tracić robotnika... Pan stoi na chłopie; jak chłopą zabrać, to i pan zginie.

Od robotników, wyrobników, rzemieślników i wogóle ludzi nie posiadających ziemi, zaraza rozciągnęła się i na włóścian właścicieli. Sprzedawali grunta za bezcen i szli w świat z zawiniątkiem na plecach i trochę gotówki w węzélku chustki. Szał emigracyjny szerzył się, jak płomień pożaru.

Do niejednej rodziny zajrzała już była nędza. Żona, obarczona drobnymi dziećmi, została była w domu, mąż poszedł naprzód do Brazylii, żeby lepszych gruntów przed nim nie rozebrano. Obiecał pisać, obiecał przysłać pieniędzy, tymczasem nie dawał znaku życia, zginął bez wieści, a rodzina, żyjąca z dnia na dzień, czekająca gorączkowo wieści o zdobytych bogactwach, cierpiała głód... zaczęła żebrać.

Stosunki z dnia na dzień stawały się trudniejsze i coraz mniej normalne. Wyzyskiwacze obdzierali lud, rozbałamucając go do najwyższego stopnia, wsie się wyludniały, roboty w polu zalegały, stan rzeczy stawał się oplakany.

Zygmunt był jak człowiek, któryby własnem ciałem chciał zatrzymać wylew. Fala odtrąciła go, zepchnęła i toczyła się, niedbająca o pojedyncze wysiłki. Służących swoich chciał początkowo zatrzymać przemocą. Wynikły z tego istne bunty. Parobcy i fornale nie chcieli iść do roboty, wreszcie przyszli przed ganek i, krzyżąc i grożąc, upominali się o uwolnienie i należącą się im pensję. Kobiety krzyczały najgłośniej. Między nimi Marcinowa zabierała głos najczęściej i posuwała się do słów obelżywych. Gdy Zygmunt spróbował jeszcze przy swojej

woli się utrzymać, służący jego poczęli znikać w nocy, zostawiając w jego rękę należące się im pieniądze. Niektórzy, znikając, wyrzekali się nawet sprzętów i zapasów, byle wędrować prędzej do krainy ciepła i nieprzebranych bogactw.

Skończyło się na tem, że Zygmunt musiał ludzi uwolnić. Niektórzy z nich nie poszli wcale do Brazylii, tylko, przeproszawszy kilka tygodni, przepiwszy i przejadłszy pieniądze, wzięte za krowy, przyszli prosić, by ich napowrót do służby przyjęto. Wyszli ludźmi zamożnymi, dobrze odzianymi i wyglądającymi, a wracali nędzarami, wybladłymi i obdartymi.

Sprawa brazylijska wyczerpywała wszelką cierpliwość Zygmunta i wszelką siłę panowania nad sobą. Gryził się, wpadał w gniew, nie mógł patrzeć na szaleństwo ludzi, pozbywających się mienia, dobrobytu i biegnących ku nędzy, może ku śmierci, z otwartymi ramionami. Pożegnanie z Marcinem kosztowało go wiele. Marcin płakał, w chwili odejścia przypominał sobie dobrodziejstwa swego pana.

— Czy to jabym kiedy stąd odszedł — wołał szlochając — ale z kobietą niema rady!... Póty mi głowę kotłowała, póty nade mną wydziwiała, póki całkiem nie zgłupiałem!... Wszyscy, powiada, będą panami, rozbiorą ziemię co najlepszą, a ty jeden, głupi, będziesz w służbie i zginiiesz w służbie!... A jak wzięła płakać, to choć ty z domu uciekaj!... Teraz już za późno, trza nam już iść, bośmy wszystko sprzedali i niema nawet do czego głowy przytulić!... Ja to idę, jak bydlę, co go na powrozie na rzeź ciągną.

Stosunki z dnia na dzień stawały się smutniejsze. Niepokój i groza na widok ludzi lecących w przepaść udzieliły się nawet najbardziej obojętnym i samolubnym. Okolice przestała myśleć o zabawie. Dwory pustoszały coraz bardziej, służba emigrowała lub nie chciała spełniać obowiązków, pijąc i włócząc się rozbałamucona. Do obrabiania pól musiano sprowadzić ludzi z dalszych okolic, Zygmunt zamówił robotników fabrycznych na Szląsku. Dla przykładu musiał odmówić mieszkań i zasiłków kobietom z dziećmi, których mężowie wyemigrowali. Okrucieństwo to bolało go, odbierało mu sen i rozstrajało go do najwyższego stopnia. W pierwszej chwili, odmówiwszy łzom i błaganiom, czuł pewien rodzaj zadowolenia na myśl, że na twardą wolę zdobyć się mógł i umiał, lecz potem wspomnienie niedoli osieroconych rodzin przesładowało go i każdą chwilę mu zatrzuwało.

Jedną z żebrzących i płaczących kobiet Józefa wsparła, czem mogła. To jej sprowadziło mnóstwo prośb, którym zadosyćczyniła małąmi datkami i trochę chleba i słoniny, wyproszonemi u Mani.

Zygmunt spotkał raz kobietę z dzieckiem na rękę, bladą i obdartą. Poznał w niej żonę jednego z parobków. Zapytana, czego chce,

odpowiedziała, że tylko tak... do pani Rzeweckiej... Pani Rzewicka nie opuszczała biednych ludzi... tak się do niej ściągali...

Poszedł szukać Józefy. Była w swoim pokoju, zapukał więc do niej. Nastroił twarz surowo:

— Co to znaczy, Józiu,—rzekł, udając gniew—ja ludzi wypędzam, a ty ich przyjmujesz? Powiadają mi, że się ubodzy do ciebie ściągają...

Józefa z oczu jego wyczytała, że grał komedię.

— Ja ich jednymi drzwiami wypędzam, a ty ich wpuszczasz drugimi — mówił dalej.

— Nie bój się — odparła, śmiejąc się — nie zbogacą się oni moimi datkami... Twój system nic nie ucierpi... nawet ich od głodu uchronić nie potrafię, ale...

— Jest jakieś ale?

— Ale chciałabym ich wspierać skuteczniej i liczę na ciebie, że mi w sekrecie przed samym sobą, tak, żeby właściciel Zarembia nic o tem nie wiedział, dasz możność ratowania tych ludzi od nędzy.

— A to prawdziwie kobieca logika — wołał Zygmunt rozweselony — mogę nawet dać, ale tobie, Józiu, ile zechcesz, tylko nie tym ludziom.

— Właśnie tym ludziom... inaczej przyjąć datku nie mogę.

— A więc tym ludziom, dlatego, że to są twoi ubodzy, twoi protegowani!

— O, jaki-by to był nędzny powód! Dasz dlatego, że już tyfus głodowy między nimi się rozpoczyna, że tam są głodne dzieci, niewinne szalowi rodziców...

— Nie mów mi już nic więcej, Józiu! Czy ty myślisz, że ja się sam nie wstydzilem we własnem sumieniu przed tym człowiekiem, przed tym marzycielem, który chciał żyć dla drugich, dla tych szczególnie, którzy, pracując dla niego, byli jakby w opiekę mu oddani. A więc dam ci dla ubogich, ile ci będzie potrzeba. Wspieraj ich, byle nie w mojem imieniu. Ja muszę być konsekwentny, ale przecie na głód i chorobę obojętnie patrzeć nie mogę! Ah, Józiu, czemu człowiek musi tak często kłamać sobie samemu i innym? Czy mógłby być żywot tak ubłogosławiony, który-by się nigdy fałszem nie splamił, ani w słowach, ani w czynach? Czy są na świecie ludzie, którzy-by żyli swoim własnem życiem, to jest, nigdy nie kłamiąc swoim wiarom i przekonaniom? Jeżeli są tacy, to im zazdroszczę z całej duszy!

— Twój datek nie doprowadzi nikogo do kłamstwa. Powiem ubogim, że im wręczam ofiarę dobrego człowieka... \*

— Ty nie będziesz kłamać, ale ja kłamię od rana do nocy! Łąję nieszczęśliwych, którym chciałbym powiedzieć słowo pociechy, udaję okrutnego... Przed samym sobą pozuję na człowieka silnego, a jestem

slaby, slaby, slaby... Kieruję tu i rządę wszystkim energicznie, ale to energia aktora! Ja samego siebie stawiam w położeniu człowieka silnego duchem i staram się postępować, jakby on postąpił...

Józefa się śmiała.

— Ależ człowiek, który-by całe życie udawał świętego, mógłby być kanonizowany najsluszniej!

— Zawsze mi się zdawało, że kiedyś osiągnę prawdę w życiu... zawsze do tego tęskniłem!... Ja do małżeństwa dlatego tak wzdychałem, żem pragnął jawności i prawdy w miłości... Wszelkie związki krótkotrwałe upokarzały mię, bo były kłamstwem. Wmawiałem sobie upodobanie, postępowałem, nie kochając, tak, jakbym kochał... Marzyłem o małżeństwie, jako o głośnem uświęceniu uczuć, którym człowiek oddaje się na zawsze!... Tymczasem prawda ode mnie ucieka... nie chce mojej duszy... Ja obecnie kłamię przed Manią, bo z nią dyplomatużuję; kłamię przed matką, której chcę wmówić, żem zupełnie szczęśliwy; kłamię przed tymi nieszczęśliwymi, którym wmawiam, żem bezlitośny i obojętny; kłamię przed rządcami, dyrektorami i urzędnikami, żem stanowczy, energiczny i silny... kłamię przed tobą, Józiu!... Tak, ja przed tobą kłamię! Przyrzekłem ci szczerłość, a szczerym nie jestem, bo wstyd mi skarżyć się przed tobą, wstyd mi, tobie, kobiecie, użalać się na to, co mię boli i pokazywać ci się wiecznie cierpiącym, wiecznie godnym litości... Sama zresztą zabroniłaś mi dotykać materii, która mię najbardziej zajmuje... Więc kłamię i przed tobą, bo nie mówię wszystkiego, bo często udaję spokój, którego nie doznaję! Ale już tak być musi, i ja, kochający prawdę, skazany jestem na kłamstwo. Z twojej łaski pozbędę się wyrzutów sumienia, bo ty tych biedaków, których ja odpycham, przytulisz i nie zostawisz ich bez pomocy. Odbiorą ją z twojej ręki, którą błogosławię!

Wziął rękę Józefy i patrzył na nią z tkliwością.

— Jaką ty masz ładną rękę, Józiu!

— Taka bezużyteczna ręka człowieka, który nigdy nią nie pracował... Ah, prawda, nawet użyteczna do pewnego stopnia, bo z pomocą ołówka pozwoli mi żyć niezależnie.

Jakaś nagła przykrość i żal ogarnęły duszę Zygmunta.

— Józiu, nie mów mi o twoim wyjeździe! — zawołał — ja tego po prostu słuchać nie mogę!

— Jakże uniknąć konieczności?

— Czyż to-by było niepodobieństwem dla ciebie przyjąć od przyjaciela, od szwagra, ten kawałek dachu nad głową, który tu masz?

— Niepodobieństwem, Zygmuncie.

Na twarzy Zygmunta odmalował się ból i zawód. Wyszedł, nie mówiąc.

— Nie mogę tu zostać — powtarzała sobie Józefa — nie mogę!

Ale cierpiąca. Ten człowiek, który przez jej ręce świadczyć chciał dobre uczynki, który ofiarował jej przyjaźń i do niej zwracał się po pomoc moralną, musiał pozostać sam jeden. Ona go zostawi wśród trudów bardzo ciężkiego życia, bez żadnej istoty, oddanej mu i pomocnej.

Wezwano ją do kobiety z dzieckiem. Udzieliła jej pomocy i obiecała przekonać się naocznie o jej nędzy. Kobieta głośno ją błogosławiła:

— Niech jaśnie pani Bóg najwyższy wynagrodzi! Niech Matka Boska zesle pani wszystko, co jeno sobie pani zamyśli... co jeno sobie pani życzy!

Zygmunt, przechodzący przez kurytarz, w którym stała kobieta, cofnął się. Nie chciał jej złapać na gorącym uczynku przyjmowania jałmużny, ale słyszał błogosławieństwa. Wzruszyły go one. Wydało mu się, że na głowę Józefy w istocie spływa łaska Boża z błogosławieństwa ubogiej. „Co jeno se pani zamyśli.“ O czem mogła marzyć Józefa dla siebie, o jakim szczęściu, o jakiej pomysłowości? Była jeszcze młoda, a życie jej wyglądało tak, jakby nie żądało już niczego od przyszłości.

Józefa wzięła się naprawdę do zaradzenia nędzy w Zarębinu i innych folwarkach, należących do Bielmońskiego. Miała wprawę w organizowaniu pomocy, w umiejętnem rozdzielaniu środków. Teraz, gdy już głodni chwilowo byli nakarmieni, największe niebezpieczeństwo przedstawiał tyfus, napastujący przeważnie najbiedniejsze rodziny. Józefa stała się opatrzącością chorych i dostarczycielką wszystkiego, czego im brakło.

— Ah, ta Józia — mówiła Mania do męża — zawsze ta sama! Zobaczysz, ona nam tu jeszcze tyfusu do domu naniesie! Poco ona do tych ludzi chodzi?... przecie sprowadza aż do nich doktora... Zawsze egzaltowana i koniec!

— Moja Maniu, ludzie bez żywszych uczuć zwykle zarzucają egzaltację żywiej czującym. Tak było i tak będzie do końca świata. My, egoiści, nie możemy pojąć uczuć Józji. To darmo, my i ona jesteśmy zupełnie różnymi ludźmi.

— Ona jest doprawdy drapieżnie dobroczynna. Obdarła-by wszystkich ze wszystkiego dla swoich ubogich. I tak było zawsze. Wiecznie jakieś składki, prośby... Ażem się za nią wstydziła. Raz podsłuchałam, jak stary Dersowicz, opodatkovany przez Józję, mówił: „Gdyby Rzewicka była mniej ładna, toby trzeba było od niej uciekać.“

— Stary Dersowicz znał się na rzeczy, skoro spostrzegł wdzięk Józji.



— Uciekał od niej, bo jest jeszcze większym skąpcem, niż wielbicielem piękności. Zresztą... czyż ty doprawdy znajdujesz Józję tak ładną?

— Moja Maniu, od jakiegoś czasu straciłem zupełnie moje dawne, banalne pojęcie o piękności.

— Mianowicie?

— Nie umiem ci tego określić dokładnie. Życie zmienia wyobrażenia człowieka o wszystkim, więc i o tej rzeczy nieuchwytniej, która się pięknnością nazywa.

— I ta zmiana wyobrażeń wpłynęła na upiększenie Józji w twoich oczach?

— I tego nie wytłumaczę ci dokładnie... Ja nie widzę Józji piękną, ale raczej czuję ją piękną. Może nie oczy moje zachwycają się nią, tylko umysł mój uderza harmonia, w niej zawarta, i to coś nieuchwytnego, co jest piękniejsze, niż piękność sama.

— Prawda, że to dziwnie zawile.

— A widzisz, niepodobna tego zrozumieć.

— Przytem strasznie poetyczne: „coś piękniejszego, niż piękność sama.”

— Pięknem jest naprzykład oko niebieskie lub czarne, wielkie, osadzone wedle przepisów natury i estetyki. Ale przytem wyraz jego może być martwy lub bezmyślny. Spojrzenie, owo coś, co nie leży w samym kształcie, jest tą pięknnością wyższą... Józja cała jest uosobieniem takiej właśnie piękności, której się nie widzi, a którą się odczuwa.

— Nie wiem, co ty tam w niej widzisz! Jeszcze teraz, w tej czarnej sukni... z tem skromnem uczesaniem... wygląda, jak zakonnica!

Mania nigdy znieść nie mogła pochwał, oddawanych piękności innej kobiety. Napelniało to jej serce goryczą i gniewem. Odeszła z odętymi ustami, była obrażona na męża i miała jakiś żal do Józfy. Pobieгла do lustra i, stojąc przed niem, patrzyła na siebie uważnie.

Przecież była od siostry piękniejszą! Porównania nawet żadnego uczynić nie było można. Była o kilka lat młodszą, była świeższą, miała regularniejsze rysy, efektowniejszą postać. Ręce tylko większe i mniej piękne.

Poco też Józji jakakolwiek piękność, kiedy żadnego użytku uczynić z niej nie potrafi! Poco ładne ręce osobie, która niemi podnosi głowy tyfoidalnych i wlewa do ust spieczonych lekarstwo! Wszelki wdzięk zewnętrzny był już jej niepotrzebny. Będzie biegać z lekcyi na lekcyę, jako nauczycielka rysunku... Dobrze, że Józja wyjedzie z Zarębia!

Mania niedokładnie wiedziała, czego zazdrościła Józefie, ale czuła do niej żal za to, że była dobroczynna, że jej nie interesowały przyjemności młodszej siostry; bo choć udawała zajęcie się toaletami i zabawami Mani, ta ostatnia przeczuwała dokładnie, że to było tylko powierzchowne ustępstwo. Chór błogosławieństw, wznoszący się ku Józefie z ubogich izb, nawiedzonych nędzą i tyfusem, przyprowadził Manię o gniew. Sama nie lubiła proszących, widok biedy ją niecierpliwił i napełniał odrazą. Nie było to skąpstwo, gdyż lubiła wyrzucać pieniądze bezmyślnie, ale wrodzony brak sympatii. Krzywiła się ze wstrętem na widok łachmanów i ręki błagalnie wyciągniętej, pewna zaś uparta szczerłość i niepodległość uczuć broniła ją od udawania fałszywej litości.

— Ja tego nie rozumiem — mówiła — żeby jedna ręka odmawiała tego, co druga daje! Zygmunt powypędzał rodziny wychodźców, a teraz, gdy one na wsi u chłopów poosiadały, to je Józia obsypuje darami. Jabym im zabroniła pokazywać się i nawet zapomniiała-bym o ich istnieniu.

— Moja Maniu, miałaś zawsze namiętność, wydawania się gorszą, niż jesteś — rzekła Józefa, która się starała wobec Zygmunta osłaniać siostrę od jego krytyki.

— O, ja wcale nic nie udaję! Poco-bym też miała robić sobie ten kłopot!

Postępując w duchu owej bezwzględnej szczerości, oświadczyła Zygmuntowi, iż wolała-by, żeby jego matka nie przyjeżdżała pilnować jej w chorobie:

— Ja tak nie cierpię dopytywania się, co mi jest, troskliwości, chodzenia koło mnie na palcach, rad, ubolewań, czułości, wzruszeń, a za tem wszystkim twoja matka przepada. Może-by mogła przyjechać potem... później...

Dopiero prośbom Zygmunta uległa.

— Kiedy pragniesz tego koniecznie... Już sobie powiedziałam, że tę całą historję przecierpię, zaciąwszy zęby. Niech więc będą i sceny rozczulenia, i rady, na doświadczeniu oparte... Zniosę wszystko, kiedy innego sposobu niema!

To wszystko wypowiedziała tonem nawpół lekkim, nawpół ironicznym, z wyraźnym odcieniem złego humoru.

Zygmunt nie odpowiedział nic. Coraz rzadziej teraz wybuchał, czując dobitnie, że to było zużywanie sił na próżno, że Mania nie miała w duszy nic takiego, do czego jego uwagi mogły-by się odwołać.

Napisał do matki, iż pragnie jej obecności w strasznej chwili, już tak blizkiej... że Mania czeka na matkę z otwartymi rękami...

Czuł ból, pisząc te słowa. Popelniał znowu kłamstwo, i to kłamstwo względem osoby, przed którą dawniej nie miał tajemnic. Zaadresował list i rzucił pióro z bardzo gorzkim uczuciem. Oszukiwał wszystkich wkoło siebie, to była teraz jego dola.

Wyszedł w pole, żeby być samotnym, żeby nie widzieć nikogo... Natura bywa też pocieszycielką.

— Natura i praca! — zawołał, wmawiając sobie, jako teorię, uczucia, które nie leżały w jego duszy. Miał przed sobą naturę bujną, zdrową, której dzieła były mu znajome, jak rysy ukochanej twarzy, miał pracy tyle, że czasem sił mu nie starczyło, a czuł się rozdrażnionym, niezadowolonym, gniewnym.

Na gościńcu, przez który przejść musiał, żeby się dostać do robotników, koszących owies, ujrzał siedzącą przy drodze kobietę z czworogiem dzieci. Nie potrzebował pytać, od razu wiedział, że to były ofiary brazylijskiego wychodźstwa. Nędzne łachmany, wybladłe twarze, coś w spojrzeniu, co wyrażało ból, zgnębienie, rozpacz... Chciał przejść, nie pytając o nic, gdy nagle wynędzniała kobieta podniosła się z wielkim, rozdzierającym jękiem. Przypadła do kolan Zygmunta:

— Marcin umarł! — wołała łkając. — Jeden gałgan, co był pono gdzieś leśniczym, miał *leworwel*... I on szedł z nami do Brazylii... jakoś tam w zabawie przestrzelił rękę Marcinowi... Dojechaliśmy do Hamburga... Marcina wzięli do szpitala, dostał gorączki... O, Boże, Boże! jak mi te krowiny nie chciały iść na jarmark, to ja se zaraz myślałam, że nas nic dobrego nie czeka, jeno sama zgryzota!... Najmłodsze dziecko mi też pomarło!... A to się tak nazad do obory ciągnęły, że ani ich było przepomódz... a ryczały, że aż mi się serce krajało... zaraz wiedziałam, że to nic dobrego z tej Brazylii nie wyniknie!

— A męża gwałtem zmusiłaś do rzucenia tu wszystkiego i do pójscia na kraj świata! — zawołał Zygmunt z bólem i gniewem.

— Bo to ludzie!... jak zaczęli szczeakać...

— Nie, to nie ludzie, to ty namawiałaś wszystkich i sprowadziłaś nieszczęście, nie tylko na siebie, ale i na innych! Ty Marcina zabiłaś!

— Mój panie złoty, niech się pan nie gniewa, niech pan ma litość nad biednymi sierotami! Do kogóż ja się teraz udam nieszczęśliwa? Dach nad głową z dziećmi nie mam! Ten, co nas prowadził, pokazywał jakieś papiery... pono Marcin od niego nabrał pieniędzy... potem ode mnie odbierał... wszystko wyciągnął, cośmy jeno mieli... jeszcze u niego jakiś dług został za szpital!

Na wspomnienie, że ta kobieta, która teraz przed nim na kolanach się czułgała, najgłośniej krzyczała, gdy on wychodźcom stawiał

przeszkody, że to ona zabiła Marcina, na to wspomnienie gniew i jakaś twardość i oschłość opanowały Zygmunta.

— Nie mam tu mieszkań dla żebraków — zawołał — idź i zaznaj nędzy za tę zbrodnię, którą popełniłaś!

Kobieta płakała i błagała jeszcze. Zygmunt odszedł z zaciśniętymi gniewnie ustami. Zdawało mu się, że potrzebował tej zemsty za śmierć człowieka, którego szczerze żałował, że jakaś żądza okrucieństwa zaspokojoną w nim została, że dał ujście jakiemuś wybuchowi, który się w nim długo przygotowywał. Dopiero po dłuższej chwili poczuł wielką przykrość. Nigdy w sobie nie podejrzewał barbarzyńcy, mogącego znaleźć w okrucieństwie choćby chwilowe tylko zadowolenie. Czyżby do tego dojść miało, by musiał sobą pogardzać?

— Ty jesteś tu aniołem stróżem naszym — rzekł do Józefy, wróciwszy do domu — jeszcze pod swoje skrzydła musisz przyjąć Marcynową z dziećmi... Trzeba jej dać kwotę, potrzebną do najęcia mieszkania na wsi i do zaspokojenia pierwszych potrzeb... jest to zawsze żona przyjaciela... Obszedłem się z nią okrutnie, tak okrutnie, że mię to aż upokarza... Tobie będę zawdzięczał, że nie będę potrzebował rumieni się przed sobą samym.

— Jestem twoim jałmużnikiem, szafarzem łask...

— Bylebyś tylko chciała na urządzie tym pozostać...

— Stanie się on niezadługo zbyt cennym. Stosunki się ułożą normalnie... Wychodźtwo się skończy... Los Marcynowej i wieści dochodzące odstręczą ludzi od wędrówki... Zresztą jesień się zbliża, ludzie w tej porze domów opuszczać nie będą...

— Nie wyjedziesz, Józini! Zatrzymają cię jęki tutejszych biednych... Boję się, że między owemi jękami i mój głos rozróżnisz.

Zygmunt chciał zawołać, że pobyt jej w Zarębiu był jałmużną dla niego, ale był w jednej z chwil, w których дума zamykała mu usta i czyniła mu niepodobną wszelką skargę.

Matka jego przybyła do Zarębia. Oboje z Józefą użyli wszelkich wysiłków i cudów dyplomacyi, by nie spostrzegła złego humoru i oschłości Mani, która, powtarzając, iż sobie powiedziała, że „tę całą historię“ przebedzie cierpliwie, bywała znudzona i kwaśna. Nie wyjeżdżała już w sąsiedztwo, obcisłych sukien nosić nie mogła, nie zapraszała swoich satelitów, bojąc się, by jej nie znaleźli mniej piękną, czas dłużył jej się niezmiernie.

Pani Bielmońska bała się synowej. Zdawało jej się, że jednym spojrzaniem, jednym odezwaniem się niebacznem może zepsuć coś w szczęściu syna.

Gdy w pierwszych dniach października przybył jej wnuk zdrowy i silny, usuwała się z pokoju chorej, by jej nie być natrętną, nie chciała

wziąć na siebie żadnych dyspozycji, ani zarządu, by niczem Mani, nawet nie chcący, w drogę nie wejść.

Na ramieniu matki popłynęły łzy Zygmunta, łzy szczęścia, gdy ciężkie przejście skończyło się pomyślnie i gdy dał się słyszeć krzyk dziecka — jego dziecka!

Ucałował nogi Mani, która mu się w tej chwili wydała odrodzona i godna najwyższej miłości. Przysięgał sobie w duchu, że z pomocą maleństwa, leżącego w poduszkach, on zdobędzie sobie nakoniec duszę tej kobiety, która, blada, spoczywająca z przymkniętymi oczami, wydała mu się piękniejszą, niż kiedykolwiek. Ona i dzieciątko, to były jego skarby, jego przyszłość cała! Szeptał więc matce, nie wstydząc się łez swoich:

— Jaki Bóg dobry... jaki ja jestem szczęśliwy! Mamo, żeby ją tylko ustrzedz teraz od wszystkiego, coby jej zaszkodzić mogło!

Kilka dni spędził na usługach Mani, otaczając ją staraniem najwyższem, bojąc się dla niej każdego hałasu, każdego wzruszenia. Postanowił zapomnieć na ten czas o wszystkim innym, o odstawie buraków, która się odbywała już na wielką skalę, o najmowaniu robotników fabrycznych, o niezliczonych interesach cukrownianych. Gdy Mani przestało grozić niebezpieczeństwo, interesa te wzięły go naraz szturmem. Kłopotów namnożyło się sporo.

Pewnego dnia, przy obiedzie, który dla Mani noszono jeszcze do jej pokoju, Zygmunt opowiadał matce i Józefie o swoich „fabrycznych biedach“, jak je nazywał. Robotnicy, ściągani ze wszystkich stron, okazali się, po większej części, ludźmi z pod ciemnej gwiazdy. Wynikało stąd spraw tysiące. Jeden z dyrektorów był chory, obawiano się dla niego tyfusu... Na domiar wszystkiego, kasyerka fabryki Obrowieckiej szła za męża i prosiła o uwolnienie.

— Ta kasyerka — mówił Zygmunt — to był jeden z najlepszych moich urzędników. Stara panna, pedantka, obowiązkowa do najwyższego stopnia... Moja fabryka ucierpi na tej spóźnionej miłości panny Idalii. Niełatwo znajdę odpowiedniego człowieka na jej miejsce.

— Czy to są trudne obowiązki? — zapytała Józefa.

Zygmunt spojrział na mówiącą. Ujrzał ją okrytą szkarlatnym rumieńcem. Oczy jej błyszczały, widocznie myśl jakaś nagła i nowa przemknęła przez jej głowę.

Wzruszenie to wytlómaczonem mu zostało, gdy po obiedzie, wzięwszy go na stronę, zapytała cicho i nieśmiało:

— Czy ja nie mogła-bym zająć miejsca panny Idalii?

— Ty, Józiu, ty?... To jest obowiązek, przykuwający do miejsca... zmuszający do stosunku z różnymi ludźmi...

Nie dokończył litanii zastrzeżeń, porwał nagle ręce Józefy i, rozpromieniony, wrzuszony propozycją, która coraz głębiej w umysł jego zapadała, zawołał:

— Że mnie też to na myśl nie przyszło, że ty-byś mogła, że ty-byś chciała!... Prawda, wszak to taki sam zarobek, jak dawać lekcye rysunku! Józiu, jakaś ty dobra, jakaś ty rozumna! Przecie znalazł się środek na to, byś ty między nami została! Już teraz wierzę, że się zły los ode mnie odwróci i zacznę być szczęśliwym, szczęśliwym!...

Radość Zygmunta wrzuszyła Józefę. Więc on naprawdę czuł aż w głębi duszy tę przyjaźń, którą jej zaprzysiągł? Patrzyła na niego rozrzewniona, z jakimś słodkim uczuciem, mającym w sobie coś macierzyńskiego. Ona mu w przyjaźni swojej da wszystko, co jedno serce drugiemu dać może, i strzedz będzie interesów jego, jak własnych. Dopiero teraz wiedziała, że to niezaspokojone pragnienie, które nosiła w sercu, było potrzebą przywiązania się gorąco do istoty, dla której przywiązanie to było-by błogosławieństwem. Wiedziała to teraz, gdy stał przed nią człowiek, którego oblicze promieniało niewysłowionem szczęściem dlatego, że obiecywała pozostać blisko niego.

Zygmunt prosił o tajemnicę jeszcze przez dni kilka, co do projektu Józefy. Przejęła go zabobonna trwoga, by nie stanęła nagle przed nimi jaka nieprzewidywana przeszkoda. Chciał obmyślić wszystko, przygotować umysły, Manię uprzedzić...

— No, Józiu, pamiętaj, między nami teraz na życie i śmierć!

Uśmiechnęła się, rzucając mu jedno z tych spojrzeń, które go przenikały do głębi.

— Teraz, Józiu, będę już miał siłę na wszystko, i odwagę, i wytrwałość!

Tego dnia odzyskał swoją dawną wesołość, na której zanik skarżyła się pani Bielmońska. Podczas posiedzenia wieczornego obok szeszlonga Mani, opowiadał jakieś epizody z czasów uniwersyteckich, które pobudziły wszystkich do śmiechu i wesołości. Matce jego zdawało się, że to jeszcze ten chłopiec w studenckim mundurze, którego śmiech tak wesoło dźwięczał w mieszkaniu, które z nim podzielala.

Coś z dawnego, dzieciennego prawie wesela, odżyło w nim w istocie. Było mu w duszy tak jasno, jak gdyby przeczuwał jakieś przed sobą jutro radośne, pełne słońca i nadziei.

Józefa, patrząc na niego, myślała:

— Czyżby doprawdy odżył tak dlatego, że pozostaje przy nim? Nie, nie, to widok żony zdrowej, dziecka, matki... Jakaś cząstka przypada i na mnie, ale to tylko drugi plan życiowy.

Jednak uparcie wracała jej myśl pierwsza: „Ta cała wesołość, to szczęście strzelające z oczu, to dlatego, że ja zostaje.” Gniewała się na siebie. Poco dawać do głowy przystęp jakimś mrzonkom? Przyjaźni nie miewa w życiu tak wybitnej roli...

Mrzonka urosła powoli na przekonanie, które krytyka napróżno wyrugować usiłowała. W uczuciach Józefy rozlało się jakieś słodkie roztkliwienie. Była więc doprawdy komuś do szczęścia potrzebna?

Nadjechali Szarogórscy, ożywieni i gorączką podróżniczą owiani. Pozwalali sobie tego roku na wielką przyjemność. Mieli najbrzydsze miesiące spędzić na południu i zabawić się trochę rozsądną i umiarkowaną grą w Monte-Carlo, gdyż oboje hazard lubili.

— Szczęśliwa jesteś — ozwała się Mania do przyjaciółki, której od niedawna *ty* mówiła — ja tak zawsze marzyłam o ucieczce od tej naszej zimy szkaradnej. Mam też ogromną ochotę zobaczyć przecie raz, co to jest ruleta.

— Dlaczegoż-by pani pojechać też nie miała? — zapytał Szarogórski.

— Dlaczego? Bo Zygmunt wyobraził sobie, że on pracować musi, że tu bez niego wszystko do góry nogami się wywróci!

— Żeby też ludzie, tak bogaci jak państwo, nie przebywali tam, gdzie im się podoba... Zdrowie pani tego wymaga i koniec!

— Trzeba-by udawać chorobę, podszeptać doktorowi, gdzie ma mię wysłać...

Zygmunt, nieobecny przy tej rozmowie, wszedł pod jej koniec.

— Ułożyliśmy tu plan bez pana — rzekł Szarogórski do wchodzącego. — Państwo oboje jedziecie tego roku na zimę do Monte-Carlo.

— Tak, tak — zawołała Mania — to już nieodwołalne!

Zygmunta odezwanie się Szarogórskiego i Mani objęło płomieniem. Coś zawołało w nim głośniejsz, niż wszelkie rezonowania, niż wszelkie względy: Nie pojedę, nie ruszę się z Zarebia, żadna siła do tego mię nie zmusi!

— Mania nie może teraz dziecka odjechać — rzekł spokojnie. — I ja-bym moich interesów opuścić nie mógł... Z powodu emigracyi mam rozliczne kłopoty.

Pani Bielmońska, na boku, mówiła Szarogórskiej o tyfusie dyrektora fabryki, o małżeństwie kasyerki... Pocziwa kobiecina chciała usprawiedliwić syna, opowiadając o jego troskach.

Mania, siedząca przy Szarogórskiej, zawołała:

— Co? Ta wyzółka panna Idalia idzie za mąż?

— Idzie za wdowca z dwojgiem dzieci — rzekł Zygmunt.

— Nie będzie więc już kasyerka?

— Nie.

— Masz już kogoś na jej miejsce?

— Mam.

— Znowu kobietę?

— Tak.

— Kogóż takiego?

— Kogoś, kogo znasz dobrze, ale nazwisko powiem ci później.

— Znajoma? To mię wcale nie cleszy. Tego rodzaju stosunki są okropnie krępujące. Taka osoba wiecznie-by chciała należeć do naszego towarzystwa... nie rozumie swego stanowiska... Ty wiesz, jak ja się nie umiem naginać do żadnego przymusu... Rozumiesz mię?

— Niebardzo.

— Ale ja Manię rozumiem doskonale — podchwyciła Szarogórska. — Taka kasyerka jest to, bądź co bądź, osoba niższego stanowiska, a z takimi jedyny możliwy stosunek jest wielka grzeczność, ale trzymanie na pewnej odległości, inaczej stosunek ów powoli zaczyna cię żyć... Zawsze się jest w strachu, by się taka osoba nie obraziła... Zwykle bywa gorzka i zazdroszcząca dostatków, toalety, zabawy... Czuje się upokorzoną, wyszukuje plam na słońcu, wszystko, co się mówi, bierze do siebie... najłatwiej ją zadrasnąć niechęć... Może to jeszcze stara panna?

Zygmunt z Józefą zamienili spojrzenie i uśmiech.

— Nie stara, nie panna, nie obraźliwa, nie zazdroszcząca ani dostatków, ani toalety, nie wyszukująca plam na słońcu — rzekł Zygmunt, śmiejąc się.

A gdy się znalazł sam z Manią:

— Chciałem w cztery oczy z tobą pomówić o nowej kasyerce w Obrowcu... Józia chce nią być.

— Józia? Cóż znowu? Cóż to za niemądry projekt? Ja się na to nigdy nie zgodzę!

Zygmunt zaciął zęby. Znowu, jak parę godzin temu, poczuł w sobie siłę i wolę nieprzepartą. Stawi czoło wszystkiemu, wszystko pokona, a Józefą musi osiąść w Obrowcu. Niema takiej przeszkody, której-by nie zwalczył, i tak być musi, jak on chce! Spokojnie zapytał.

— Dlaczego wydaje ci się to tak dziwnem?

— Ja nie chcę mieć siostry na takim stanowisku! — zawołała Mania. — Do czego to podobne, by ona brała pensję od ciebie i pracowała tu w ten sposób! To jest upakarzające dla mnie! Powiedzą, że moja siostra zmuszona jest na chleb zarabiać! Niech sobie obejmuje



miejsce, gdzie chce, byle nie tu! Wreszcie dajmy jej rocznie jaką kwotę, z której-by w Warszawie żyć mogła!

— Nie znasz jej! Ona od nas takiej kwoty nie przyjmie.

— To niech sobie pracuje w Warszawie, ale nie tu! W całej okolicy powiedzą, że ja pochodzę z Bóg wie jakiej rodziny, że mię wzięłeś z nędzy!... To-by mię upakarzało!

— Słuchaj, Maniu, mówię teraz do ciebie poważnie i stanowczo: Józia sama zaproponowała mi objęcie przez siebie miejsca Idalii. Ja się na to zgodziłem z radością i projektu tego nie zmienię. Będzie to dla Józii miejsce spokojne i dające jej pracę znośną, przyjemniejszą daleko, niż praca nauczycielska. Zatem tę pracę jej dam!

— Już ja sobie z nią poradzę!—zawołała rozgniewana Mania.— Powiem jej po prostu, że nie życzę sobie mieć pod bokiem siostry na podrzędnem stanowisku... że miłość własna moja na tem cierpi...

Zygmunt zbliżył się do Mani z zaiskrzonym wzrokiem, z pobladłemi ustami. Nie widziała go nigdy takim dotąd.

— Nie powiesz jej tego—rzekł przyciszonym, drżącym głosem— bo ja ci tego zabraniam!

— Zabraniasz mi? Jakie prawo masz zabronić? Myslę, że mogę mówić siostrze mojej, co mi się podoba!

— Maniu! — głos Zygmunta drżał coraz mocniej — ty nie żartuj ze mną! Przyrzekłem Józii miejsce u siebie i miejsce to jej dam!

— Zobaczymy!

— Jeżeli stawisz ku temu przeszkody...

— Stawię jej!

— To pożalujesz tego!

— Ciekawam, co zrobisz.

— Dotąd ulegałem twoim zacheiankom, ale potrafię być nieubla-ganym.

— To się nazywa ulegać zacheiankom! Nie pozwoliłeś mi nawet spędzić zimy w Warszawie!

Zygmunt z wręczym w piersi gniewem usiłował zapanować nad sobą. Musiał zapanować! Nie chciał i nie mógł obchodzić się grubiańsko z żoną, z kobietą.

— Choćbyś Józję osadził tu, pomimo mej woli — mówiła dalej Mania — to ja potrafię ją stąd wysadzić! Józia—to czułek, dwa słowa dla niej wystarczą.

Czoło Zygmunta pokrywało się coraz większą chmurą; chodził po pokoju, zagryzając usta, by nie wybuchnąć. Stał wreszcie przed Manią i patrzył na nią przez chwilę posępny i zamysłony:

— Zawsze pragniesz tego karnawału w Warszawie? — zapytał wreszcie.

— Naturalnie.

— A ja pragnę—głos jego drżał—pragnę Józję samotną i ubogą przytulić do naszych serc... zapewnić jej zadowoloną i spokojną przyszłość.

— A więc — zawołała Mania, patrząc przenikliwie w oczy Zygmunta — więc staje między nami umowa dobrowolna. Ja będę milczeć i nie powiem Józji ani „tak” ani „nie”, ale za to spędzimy zimę w Warszawie! To jest moje ostatnie słowo.

— Przecież masz dziecko!

— Dziecko możemy zabrać z sobą, lub zostawić tu z mamką i boną. Chcesz tak, to dobrze! Inaczej nie pozwolę na to kasyerstwo Józji.

Zygmunt uczył się bardzo przygnębionym. Gniew i jakaś energia nieznana opadły w nim, jak spienione fale po przejściu burzy. Był zmęczonym walką i, jak zawsze, bezbronnym wobec bezduszości Mani.

— Jeżeli moje interesa nie postawią mi nieprzewyciężonej przeszkody, pojedziemy na karnawał do Warszawy.

Mania klasnęła w ręce z radością.

— Najmiemy apartament!... coś takiego się znajdzie... zaraz napiszę do Felci!

Była cała przemieniona w wesele i radość.

— Widzisz, jakiś ty dobry! — zawołała, rzucając się mężowi na szyję — teraz już nie do mego szczęścia brakować nie będziesz!

Zygmunt przyjął uścisk żony z chłodem bezmiernym. Nie odepełnął jej, choć miał do tego ochotę. Stał w jej objęciu, zimny jak kamień.

— Zobaczysz, że i ja umiem być dobrą dla tych, co się mnie nie sprzeciwiają! — wołała Mania. — Tak nam będzie dobrze w Warszawie, zobaczysz!

Uwolnił się od jej uścisku i wyszedł, milcząc. Gdy się znalazł u siebie ukrył twarz w dłoniach. Czuł jakby ciągle podstępującą mu do gardła gorycz pożycia swego z kobietą, tak bardzo różną od niego charakterem. Objęło też jego duszę niewysłowione upokorzenie. On kupował u żony zgodzenie się na to, co przeprowadzić pragnął! On po prostu nrządzał nędzne handle moralne! Chciał Józję zapewnić byt i zadowolenie, i to była chęć szlachetna, ale jednocześnie, dla doprowadzenia myśli tej do celu, gotów był podkopywać powagę swoją względem żony. Rok temu przemocą prawie wywiózł ją z Warszawy, a teraz zgadzał się na zamieszkanie tam z nią na czas karnawału.

Zaraz potem powiedział sobie na swoją obronę, że rok temu ufał jeszcze możności uczynienia z Mani moralnej towarzyszki swojej, dziś zaś wiedział, że, odsunięta od flirtu w stolicy, znaleźć go sobie potrafi na wsi... że dla niej w życiu już nigdy nie innego, prócz zabawy i zadowolenia próżności, wartości mieć nie będzie.

Powoli rezonowanie usprawiedliwiające jego postępek coraz głośniej odzywać się zaczęło i zagłuszyło w końcu skrupuły prawie zupełnie. Radość przemawiała w nim najgłośniej. Zwalczył zatem przeszkody i odtąd będzie miał zawsze blisko siebie tego dobrego ducha swego, tę jedyną istotę, która go rozumiała. Już jej od siebie nie uwolni teraz nigdy, nigdy! Będzie odtąd zawsze jego moralną własnością. Czuł, że taką stać się dla niego gotowa, że jej przyjaźń należała do tych, co się przed żadnem poświęceniem nie cofają. Warto więc dla niej uczynić wszystko, warto nawet znieść rumieniec wstydu i to przykre poczucie, że ścieżki, któremi się chodzi, nie wszystkie są proste.

Mania tryumfowała w duszy. Mówiła sobie, że powoli tak męża pokona, iż przeprowadzi z nim, co zechce. Poszła za niego, żeby używać jego dóbr i używać ich będzie.

— Na przyszły rok — mówiła nazajutrz do Józefy — pojedę na południe... to już z pewnością. Tę zimę przepędzimy w Warszawie. Muszę się tego karnawału wytańcować za ten cały nudny czas, który przebyłam na oczekiwaniu choroby i na chorobie.

Zygmunt mówił już teraz głośno wszystkim, że siostra jego żony będzie kasyerką w Obrowcu. Chciał to zaznaczyć jak najmocniej, miał bowiem ciągle uczucie, że coś drogiego, coś, co mu było skarbem, musiał ratować od niebezpieczeństwa. Prosił pannę Idalię, by się przeniosła na ostatni miesiąc urzędowania do innego domu, chciał bowiem odświeżyć mieszkanie, które dotąd zajmowała.

Urządzeniem siedziby dla Józefy cieszył się, jak dzieciak. Usiłował przypomnieć sobie jej upodobania. Pamiętał, że lubiła ogień na kominku, sprowadził więc śliczny kominek, który wmurować kazał. Po dwa razy na dzień jeździł oglądać pracę robotników, żył naprzód zdumieniem i zadowoleniem Józefy, gdy się ujrzy w mieszkaniu, małym ale ślicznym.

Józefa przysłała trochę mebli i sprzętów z Warszawy, dokąd pojechała dla zwinięcia domu. Meble jej Zygmunt własną ręką rozstawił, czując w sercu roskosz służenia i uścielania gniazda istocie kochanej. Oglądał okna, by z nich nigdzie nie wiało, spoglądał przez nie na widok, na który patrzeć miały oczy Józefy, uśmiechał się, widząc ogień płonący na kominku.

— Jak tu będzie miło, ciepło i ślicznie, gdy ta dusza tu zamieszka — mówił sobie.

Przysunął przed kominek dwa fotele, widząc naprzód ją i siebie rozmawiających, jak dwoje przyjaciół. Rozrzewniło go to. Tęskno mu było do tej rozmowy, do zamienionego z Józefą spojrzenia. Czemu ona tak długo w Warszawie siedziała? Tak tu było źle bez niej! Czy tylko nie zmieniła projektu?

Ogarnął go strach nagły. Nie, nie, ona mu zawodu nie zrobi!

Już teraz nie rozumiał, by Józefa mogła być daleko, by fotel, który widział obok swojego, nigdy przez nią do cichej, szczerej rozmowy nie miał być zajęty. Nie, to się stać nie mogło, to-by było zbyt okrutnem z jej strony!

Mania już była powróciła do zdrowia zupełnie. Wszyscy utrzymywali, że wypiękniała jeszcze. Z nowym też zapałem wróciła do życia dawniejszego. Zapraszała znowu do Zarębia licznych gości, wszakże zabawy źle się kleiły, bo czas i drogi były fatalne.

Między małżeństwem wynikły zatargi. Mania chciała do Warszawy jechać zaraz, Zygmunt utrzymywał, że obiecał jej tylko pobyt w karnawale. Nie mógł teraz opuścić cukrowni, Mania się gniewała. Najszybką drogą, najkrótsze dni kazano jej spędzać na wsi. Nie miała nawet toalet zimowych, bo sprawunki wszystkie odkładała do własnego pobytu w Warszawie. Felcia już najęła mieszkanie. Doskonale się zdarzyło, że jedna rodzina, której dorosła córka zachorowała na suchoty, wyjechała do Włoch...

— Dziecko miało być jej zbawieniem! — powtarzał sobie w duszy Zygmunt z najwyższą goryczą. Stawał się względem żony coraz mało-mówniejszym, coraz zimniejszym.

Mania nie zdawała sobie sprawy ze zmiany w obejściu się Zygmunta, nie domyślała się jego uczuć, ani przypuszczała, że rozdrażnienie, żal, ból, rozczarowanie, zastępowała w nim obojętność, ta zimna jak śmierć pocieszycielka, na którą, jak na śmierć, niema ratunku. Po zachwytach miłości nastąpiła była dla niego epoka żalu i gniewu. Teraz z tych szalów i goryczy wyrastał kamienny spokój obojętności. Zamiast dawnych walk, perswazyi, prośb, zaklęć, gniewu, przychodziła teraz apatyczna oschłość i chłód. Zygmunt z pewnym rodzajem zadowolnienia zeznawał przed sobą, że świat jego moralny stał przed Manią zamknięty na wszystkie zamki i pieczęcie. Była to cicha zemsta, której bynajmniej nie odczuwała Mania. On wszakże z rodzajem złej uciechy widział, jak jego serce mściło się za niego, za jego zawody i cierpienia. Nie powiedział nigdy żonie, że jej już nie kocha, tylko patrzył na nią czasem z wyrazem bezgranicznego chłodu, powtarzając w duszy:

— Nie kocham cię, nie kocham, nie kocham!

W tych niemych wyrazach, rzucanych ku niej, mieściła się jego zemsta za to, że przy jego boku zabierała miejsce tej wysnionej niegdyś istoty, która miała być poezją, wdziękiem i dobrem, która miała mieć tak piękną duszę, by jej powab zewnętrzny wydawał się tylko tej duszy wyrazem.

Przyjechała wreszcie Józefa i, po paru dniach pobytu w domu Mani, przeniosła się do swego własnego mieszkania. Zygmunt wprowadził ją tam z bijącym sercem, rozrzuwiony, jak gdyby była narzeczoną, rozpoczynającą nowe życie. Pragnął, by ją na progu owiały wszystkie jego troskliwe myśli i, wszystkie marzenia o jej szczęściu i spokoju wśród tych ścian.

Dwa fotele stały przed kominkiem tak, jak je postawił, roślin z pięknym liściem pełne były kosze.

— Jakże tu ślicznie! — powtarzała Józefa — jak mi tu będzie dobrze, jaka ja tu będę szczęśliwa!

Osadziwszy swojego „dobrego anioła” w Obrowcu i dawszy mu lekcye panny Idalii, oświadczającą z nowym obowiązkiem, Zygmunt, nagłony przez Manię, musiał pomyśleć o podróży do Warszawy. Naznaczył ją na połowę grudnia. Przychodziło mu do głowy wysłanie Mani samej, jakkolwiek czuł całą niestosowność takiego pomysłu. Chociaż... czy to nie było wszystko jedno, czy Mania bawiła się i czas na niczem traciła sama, czy też miała dla decorum obok siebie znużonego męża?

— A gach — myślał z ironią — a kochanek, to wieczne niebiespieczeństwo, zawieszony nad głowę młodych kobiet! Ha, Mania gotowa zapewne była wziąć go dla zabawy, dla rozrywki, dla zmiany, a on, mąż, musiał pilnować i strzedz, by do tego nie doszło! To był jego obowiązek i to jest przecie najgłówniejsze zajęcie, jakie go czekało w Warszawie. Na tem musi spędzić trzy miesiące zimowe, śledząc bacznie i oglądając się na wszystkie strony, który z próżniaków, otaczających jego piękną żonę, ma największą szansę zabawienia się z nią w miłostkę. Co za rola wstrętnej podejrzliwego męża! Musi on jak smok pilnować skarbu! O, bo to skarb! Takiej płci jasnej, takiej atlasowej skóry, takich ust rumianych nie znajduje się na każdym kroku! Wszak nieraz podsłuchiwał słów: „szczęśliwy człowiek” odnoszących się do niego ze względu na piękność Mani. Szczęśliwy człowiek! Niech więc swego szczęścia strzeże jak oka w głowie, by czasem nie spłynęło w ramiona innego mężczyzny. Niech opuści wszystko inne, wszystko, co ma za swoją powinność, bo jedne rumiane usta mogą w pocałunku przystać do innych ust...

Na to przypuszczenie, zazdrość poruszyła sercem Zygmunta. On już nie kochał Mani, ale była jego własnością i nie odstąpi jej nikomu

innemu! Głupia, nędzna natura ludzka! Samemu odsuwać się uczuciem coraz więcej od kobiety, a drżeć na myśl, że ktoś inny uczucie to dać jej może!

Kajdany! kajdany! I ma to swoje głębsze znaczenie, niż pospolite pojęcie, przywiązane do tego wyrażenia. Kajdany! Nietylko prawo je tworzy. Wiązą się w nie jakieś nici tajemnicze, w najciemniejszych głębiach duszy. Często składają się na nie najnielogiczniejsze, najsprzeczniejsze uczucia. Wszystko zresztą jest nędzą i nielogicznością w sercach ludzkich.

Zygmunt obiecywał sobie tak wiele po uczuciu ojcowstwa, że go rzeczywistość zawiodła. Ta maleńka, bezwładna, automatyczna istota, którą zwykł odwiedzać codziennie po parę razy, tak mało była podobna do chłopca o złotem sercu i żelaznych mięśniach, o którym marzył, że wobec niej czuł tylko interes względny, dotyczący raczej przyszłości... Dziecko było takie brzydkie, choć wszyscy mówili, że śliczne! Maleńka, pomarszczona, krzywiąca się buzia... ciało niekształtne... Nie rozumiał prawie, że stara matka jego obsypywała to stworzenie pieczytami i najczulszemi słowami. Pani Bielmońska nie opuszczała Zarębia. Ułożono się, że gdy Zygmunt z żoną wyjadą do Warszawy, ona zostanie przy dziecku, które do chrztu trzymała i któremu poświęcała większą część czasu swojego.

Tak, jak to Zygmunt przewidywał, w mieszkanku Józefy zamieszkała jej dusza. Gdy do niego wchodził, czuł się odrazu owianym innym powietrzem. Prawie codzień wpadał tam na chwilę wieczorem, gdy po zamknięciu rachunków i kasy Józefa była wolna od pracy. Zwykle sam rozpalał ogień na kominku, gdy ona patrzyła na niego tym wzrokiem, który teraz sam przed sobą nazywał „talizmanem” swoim. Wśród zajęć dnia, układów z interesantami, uwag nad złym humorem Mani, czuł w sobie coś odrębnego, co było jakby jego prawdziwym tajemnym życiem, ogniem wewnętrznym, czuł chwilę, w której wieczorem znajdzie się u Józefy. To był jego *talizman*, jego *ka-walek nieba*, *zwrotka poezyi* w jego prozaicznym życiu.

Bytność jego codzienna u Józefy trwała zwykle chwilę tylko. Mówili o ubogich, nazywających teraz Józefę „pani kasyerka” i przychodzących do niej z zaufaniem, o książkach, których sobie wzajemnie udzielali, czasem jakieś zagadnienie ogólniejsze zajmowało ich myśli. Nie mówili już ani o przyjaźni wzajemnej, ani o żadnych zobowiązaniach, jakie na nich nakładała. Nie wątpili o sobie.

Powoli duchowe życie Zygmunta przeniosło się zupełnie do Obrowca. Gdy teraz czytał coś zajmującego lub pełnego talentu, co jego umysł jakby płomieniem obejmowało, nie oglądał się już wkoło siebie z tęsknotą za bratnim duchem, zdolnym pojąć zachwyt jego

lub wzruszenie, ale myślał zaraz o swej wieczornej wizycie, o chwili, w której zawiezie Józefie książkę i przeczyta jej ten rozdział... ten ustęp... podzieli się z nią tą lub ową myślą. Dla Józefy zakresłał czytając i naprzód odczuwając wywołane w niej wrażenie. Coraz bardziej opanowywał go czar dzielenia z kobiecym, subtelnym i pełnym intuicyi unysłem myśli i poglądów własnych. Czuł w sobie obudzony na nowo interes życiowy i rozkosz bycia młodym.

Niewdzięczność ludzi, którym chciał zapewnić przyszłość, ich ucieczka do Brazylii, była zawsze dla niego kwestyą bolesną, ale przestała być mu ciągłą trucizną. Zaczynał poznawać nowych ludzi i interesować się nimi, obmyślać znowu kasy pożyczkowe, wsparcia i wygodę życia. Razem z Józefą układali projekta i wprowadzali je w życie.

Z Warszawy, gdzie nareszcie osiadł z Manią na zimę, przyjeżdżał miał na dwa dni w tygodniu do Zarębia. Bez tego nie mogły obejść się jego interesa. Przystępując próg mieszkania, które Felcia najęła, powiedział sobie, że pięć dni, długich pięć dni próżniactwa i nudy w każdym tygodniu, poświęci na bawienie żony i na pilnowanie, żeby zabawa trzymała się granic kokieteryi godziwej, to jest tej, która wszystko obiecuje, ale którą od spełnienia obietnic ustrzedz musi nadzór i opieka. Będzie tu miał czas po temu! Wszak dla roli „chińskiego smoka”, straszącego nieprzyjaciela, znajduje się tu przy boku żony. Żony? Często teraz zapytywał siebie ze śmiesznym przestraszeniem, czy ta kobieta była doprawdy żoną jego. Tak sobie niegdyś sam wyraz *żona* i istotę, na którą nim zawoła, wyidealizował, że teraz nie mógł z marzeniem pogodzić rzeczywistości. Chłód i spokój kamienny nie odstępowały. Propozycye Mani, tyczące się zabaw i urzędzenia domu na stopę wykwintną, spotykały się najczęściej ze słowami nawpół obojętnemi, nawpół roztargnionemi:

— Dobrze, jak chcesz!

— Jak się twój mąż zmienił!—mówiła Felcia do Mani.—To teraz inny człowiek!

— Widzisz, jakem go przez dwa lata przerobiła. Trzeba tylko umieć wziąć się do rzeczy. Zobaczysz, że go powoli tak ugłaskam, tak go wytresuję, że się stanie ideałem męża. Co ja z nim miałam z początku!

— Co, sceny zaraz w miodowym miesiącu?

— Nie, miesiąc miodowy był najnudniejszy. Nie widywaliśmy nikogo i on był taki czuły, taki słodki, jak lukrecya. Mówię ci, nuda

bezmierna; ciągle pocałunki już mi się wtedy przejadły!... Na śniadanie, na obiad, na kolację, zawsze tylko czułość i admiracya! I poetyczne zachwyty, i porównania rąk moich z różanemi listkami, a oczu moich już nie wiem z czem... Ale byłam cierpliwa, jak anioł... Potem cierpliwości mi zbrakło, gdy mi zaczął mówić o „bratnich duszach“, o „wspólnej pracy“, o życiu „z oczami utkwionemi w celjeden“, o kształceniu się wspólnem, o czytaniu poważnem i o *ludzie!* Bo ten *lud*, to jego choroba! Dobrali się z Józją, która też zawsze jakichś obdartsów protegowała. Więc wyobraź sobie, ja miałam „kochać lud.“ Szeroko miałam sobie wykładane, że powinnam go poznać, przypatrzeć się nędzom jego, życiu jego... że obowiązkiem moim jest to i owo... nosić lekarstwa po chałupach, zaglądać do szkółki... no, nie wiem... uczyć abecadła! Na początku zeszłej jesieni brał mię, jak ofiarę swoją, sadzał przy sobie i czytywał mi takie nudziarstwa, żem ziewała, a wkońcu spałam, jak zabita! No, wyobraź-że sobie takie wieczory, spędzane we dwoje na czytaniu! To można oszaleć. Pomyślałam sobie nareszcie: „Eh, tak dalej być nie może...“ i jakem zaczęła po swojemu, tak pan mąż tańczy teraz tak, jak mu zagram! Już niema nigdy między nami mowy o „kochaniu ludu.“ Prawda, ten ludek zrobił mi niespodziankę, bo się wyniósł do Brazylii, zebrawszy się poprzednio w rodzaj zbuntowanej kupy i powiedziawszy Zygmunutowi kilka frazesów mało parlamentarnych. I to, zdaje mi się, trochę go oblało zimną wodą, dość, że powoli przerobiłam go na swoje kopyto.

Mania mówiła to wszystko lekko i z pewnym rodzajem oryginalnego wdzięku. W jej pięknych ustach cały ten dramat, opowiedziany żartobliwie, wydawał się wesołą zabawką.

— Ja wiedziałam, że się tak skończy—mówiła Felcia.—To tylko brzydkie żony mają czasem krzyż pański z mężami. Chyba, że są bardzo bogate. Ale, ale... wiesz, Edzio... żeni się z panną z Ukrainy, córką marszałka Obelskiego, brzydką, ale podobno krociovą. Dzień ślubu już naznaczony.

Mania spłonęła rumieńcem na wspomnienie Edzia. Był to jeden z tych rumieńców, które okrywają podstępnie lica młodych kobiet, gdy te ostatnie przypuszczają, że ktoś w ich obecności wymówił umyślnie imię, które je żywiej interesuje.

Mania, czytając czasem w powieściach historyę rozdziału dwóch serc, wyobrażała sobie przez chwilę, że to były dzieje jej i Edzia, że ich rozłączył los nieubłagany, że ta bohaterka, znosząca katusze, to była ona sama. Te chwile przelotnego marzenia i pozowania przed sobą na heroinę romansu były skromną daniną, składaną przez Manię światu mistycyzmu i wyobraźni. Pozytywne rozmyślania o kombinacjach toaletowych i projektach rozrywek rozpraszały prędko te ma-



rzenia i umiały je zdmuchnąć tak lekko, jak wiatr morski zabiera słomkę z pokładu. Jednak powoli dorywcze rojenia, których źródło zdawało się znajdować w wezglowiu szezlongu, na którym do czytania kładła się Mania, zdołały wreszcie zająć część jej głowy, gdyż teraz, gdy Felcia wynówiła imię Edzia, runieniec, któremu Mania zażdziwiła się sama, wywołał je w jej pamięci. Edzio tak się pomieszał w jej głowie z bohaterami, którym było na imię Raul, Gaston, lub Robert, że postać jego przybrała w jej umyśle jakieś kształty niepewne i mgliste.

— Bardzo zakochany?

— W jej krocjach! On tu lada dzień wpadnie... przecie jego dawna miłość, to ty!

Mania odeła usta.

— O, przy konkurach nie stanie mu czasu na stare znajomości!

— A słyszałaś, co mówią o starszej siostrze Edzia?

Mania z młodemi kobietami, z którymi się spotykała, przepędzała czas na owych typowych rozmowach, w których żądza zabicia czasu łączy się z chęcią obmówienia bliźniego i poznania wszystkich spraw jego, mianowicie tych, które-by chciał w tajemnicy zachować... Miała swój dzień, w którym przyjmowała. W dniu tym i Zygmunt nie opuszczał solonu. Wychodził do progu naprzeciw gości, a następnie do progu ich odprowadzał. Panie i panowie zasiadali na chwilę i powtarzały się po tysiąc razy słyszane komentarze, o jakimś małżeństwie zawierającym się, o spodziewanym lub odbytym raucie lub balu, o jakiejś ekscentrycznej toalecie, o słówku lub dowcipie modnym w obecnym sezonie. Po chwili wychodzili jedni goście, wchodzili drudzy, którzy z małemi wariantami powtarzali to samo. Jedni drugich obmawiali, o ile można dyskretnie, lecz jednocześnie, o ile można, głęboko. Sztylety chowano między róże, wedle starożytnej tradycji.

Zygmunta dławiała nuda. Nauczył się na pamięć uśmiechów i ruchów niektórych pań, pozy niektórych panów, a potem to wszystko dużyło go, jak wstrętne potrawa, której przelknąć trudno.

— Jak wy możecie tak żyć?—zawołał raz, gdy Mania z Felą obmawiały przyjaciółki i przyjaciół swoich.—Nie robić nic, nic! Ubierać się, rozbierać się i obmawiać bliźnich. Toć ja nie wiem, czyście choć jedną osobę z waszego towarzystwa oszczędziły!

— Przecież im to nic nie szkodzi, że się trochę z nich pośmiejemy—odparła Felcia.—Cóżby się nareszcie na świecie robiło, gdyby nie można było dotknąć śmieszności ludzkich? A pan-by wołał, żebyśmy mówiły... no, o czym? Załóżmy się, że zgadnę... o „ludzie,“ o „zadaniu niewiasty, jako kapłanki ogniska domowego.“ Ha, ha, ha! Prawda? Jakież to nowy i zajmujący temat! A co to takich zabawnych przed-

miotów się przedstawia? Maniu, mówny o *cnocie*, o *zastudze*, o *pracy*! Ha, ha, ha! to-byśmy się ubawiły! Pan to pewno rozmyśla, dajmy na to... o niewoli Murzynów afrykańskich, albo o osadach rolnych, gdy my tu trochę plotek warszawskich Mani znosimy... Niewinne ploteczki! Tylko tyle, ile potrzeba, żeby nie umrzeć z nudów! Panowie macie swoje winty ukochane, swoje kluby, a my co? Plotki i trochę tego flirtu, a i to idzie, jak z kamienia!

— Plotki, czy flirt?

— Naturalnie, że flirt. Każdy woli karty, albo tam jakieś... niż kobietę z towarzystwa.

— O, niewdzięczni!

— Poprostu im się nie chce, bo to trzeba trochę zachodu, trochę kłopotu... trzeba czasem wyrzec się winta lub baka, albo przyjacielskiej kompanijki... trzeba być na usługach... towarzyszyć na koncert, do teatru... znosić kwiaty, nowości muzyczne... zgadywać myśli... to wszystko praca dla tych apatycznych próżniaków... Zresztą, ja panu powiem... oni się boją poprostu.

— Czego? Cnoty tych pań?

— Ale gdzież tam! boją się, bo to przecie różne rzeczy się zdarzają. Wystrzały, pojedynki, sceny, rozwody... słowem, nie mają tej odrobiny odwagi, jakiej koniecznie potrzeba przeciętnemu donżuanowi. Powiadam panu, wolą spać spokojnie, po mieszczańsku, niż mieć myśli zakłócone możliwością takiej brzydkiej i niemiłej zabawy, jak pojedynek amerykański.

— Więc ci panowie boją się poprostu mężów? Boże, boją się tych nieszkodliwych istot, tych ludzi, dobrze wychowanych! Wybaczcie mi panie, ale ochota donżuanów musi być bardzo słaba, skoro siły nasze mizerne wystarczają do jej odparcia!

— Mówię panu, że tak jest!—wołała, zapalając się Felcia.—Tchórzostwo sprawia, że są nieporuszeni, jak skały! Trzeba-by miny pod nich podsadzać!

— Ah, moje panie, jakże was żałuję!

— Pan mówi z ironią! Przecie ja niczego złego nie miałam na myśli! Flirt, to sobie taka zabawa, jak każda inna, ale trzeba na to koniecznie dwojga ludzi. Zresztą, jakim sposobem można dać dowód cnotliwości kobiecej, jeżeli się nie było zdobywaną, jeżeli nikt tej cnoty nigdy na próbę nie wystawił!

— Aa... cel jest tak szlachetny, że macie panie moje całe uznanie i sympatyę!

Mania wszakże skarżyć się nie mogła. Jej piękność tak ją z ogółu młodych kobiet wyróżniała, że wszędzie jej dawano pierwszeństwo. Widocznem to było szczególnie na wieczorach tańczących, które ją

upajały. Za grube pieniądze dostarczano jej tak szczęśliwie pomysła-nych toalet, że stały się sławne. Opisywane były w „Kuryerze“ i wzbu-  
dzały zazdrości kobiece. O każdej mówiło się bez końca. Młoda ko-  
bieta była uważaną za najszczęśliwszą istotę na ziemi. Dziwiono się  
trochę, że opuściła dziecko... ale je przecie zostawiła pod opieką matki  
mężowskiej...

Na jej horyzoncie był mały, czarny punkcik. Podobno panna,  
o którą starał się Edzio, zasłyszawszy o jego dawnej miłości, dała mu  
do zrozumienia, że gdyby ośmielił się powrócić do Mani, krocie jej po-  
zostały-by dla niego rajem niedoścignionym. Edzio więc unikał Mani,  
nie bywał w jej domu, a spotkany czasem na chwilę, był grzeczny, ale  
sztywny.

Felcia zapytała go po prostu:

— Panie Edziu, pan jest do najwyższego stopnia niestały. Gdzie  
się podziła wielka miłość pana dla Mani?

— Pani Bielmońska jest zanadto piękna i zanadto powabna—od-  
rzekł Edzio sztywno,—żeby można było zbliżać się do niej bezkarnie.  
Zatem uciekam od niej.

— Ah, to przez cnotę? Zawsze mówię, że jesteście tchórze  
i konieci!

— Ja się z tem nie taję, że się boję pani Bielmońskiej. Bardzo  
się jej boję i dlatego właśnie w domu jej nie bywam.

Uciekał od Mani ostentacyjnie. To drażniło i gniewało młodą  
kobietę. Czasem tupiała nogą z gniewem, myśląc o pozie Edzia. Felcia  
powtórzyła jej słowa jego, wcale tem nie wpływając na jej uspokojenie.  
Mania nie badała w tym razie swych uczuć, nie powiedziała sobie, że  
pragnie miłości Edzia, a mniej jeszcze zeznawała przed sobą, do czego-  
by ta miłość doprowadzić mogła; ale była gniewna i rozdrażniona. Gdy  
go spotkała, miała dla niego dumnie odęte usta, spojrzenie, jak lód zim-  
ny, i uszczypliwe słowa. Spotykała go wszakże bardzo rzadko i jakoś  
tak się zdarzało, że go na ulicy upatrywała napróżno.

Edzio nie odstępował swojej marszałkówny. Miał długi; wierzy-  
ciele ścigali go i zatruli mu życie. Nie było żartów, trzeba było do-  
bijać targu, a z Manią unikać nawet najłżejszych pozorów.

Spokojna, zimna głowa młodej kobiety zapalała się coraz żywiej.  
Żądza podobania się innym wzrastala z myślą, że Edzia dochodzą za-  
pewne wieści o jej tryumfach, o jej piękności, o jej toaletach. W tea-  
trze udawała, że nie widzi Edzia w łoży Obelskich, ale dla niego pro-  
mieniała pięknosciami i ubiorem, dla niego rzucała uśmiechy innym, dla  
niego przynosiła do teatru taki duży bukiet fijołków, że zapach ich do-  
chodził aż do łoży rodziny marszałka. Narzeczonej Edzia rzucała spoj-

rzenia dumne i tryumfujące, bo panna była brzydka, a Mania w poczuciu swej piękności czuła się wielką panią, gdy tamta była nędzarka.

Zygmunt towarzyszył Mani wszędzie, o ile znajdował się w Warszawie. Obracał się wśród stosunków nie go nie interesujących, mając swój „kawalek nieba“ w duszy i czując go tem wyraźniej w każdej chwili. Często, patrząc na ludzi otaczających go, myślał:

— Czyżby każdy z tu obecnych miał tak, jak ja, duchową tajemnicę, której strzeże przed okiem ludzkim... której nikt się nie domyśla... taką skrytkę z zakopanym skarbem, o który drży w dzień i w nocy? Czy przeznaczeniem ludzkim jest to kłamanie czynów uczuciu i uczucia czynom... to podwójne życie, w którym myśli i marzenia idą inną drogą, niż słowa i czyny? Czy każdy musi znosić upokorzenie dwulicowości i czy każdą duszę na tortury kładzie żądza prawdy, której życie wciąż zaprzecza?

Na dwa dni w tygodniu wykradał się do Zarebia, jak uczeń, jadący na wakacje. Chciał-by był przyspieszyć godzinę odejścia pociągu... serce mu biło na odgłos trzeciego dzwonka... Gdy dojeżdżał do Wardzunia, stacyi, na której czekały go konie, wyglądał przez okno, upatrując swego furmana... Wyskakiwał z wagonu, jak człowiek, biegnący do szczęścia. Musiał jechać przez Obrowiec, i choć była już godzina dziesiąta wieczorem, gdy przejeżdżał pod oświeconemi oknami Józefy, wstępował do niej i prosił o szklankę herbaty.

Przyjmowała go uśmiechem. Mówiła mu zaraz o matce, którą często odwiedzała, o małym Jasiu, o swoich chorych, o swoich protegowanych...

W chwili, w której przestępował jej próg, uciszała się w nim wszelka walka, gasł niepokój, niecierpliwość i oczekiwanie. Było mu dobrze, dobrze! Niczego więcej nie pragnął, jak gdyby był rozbitkiem, którego-by nagle otoczyły rodzinne, ukochane ściany. Czasem stawał się dziwnie małomówny. Pozwalał Józefie służyć sobie, nalewać herbatę... Nie zrywał się dla odebrania jej filiżanki z rąk, noża, którym małemi swemi rączkami krajała dla niego chleb, patrzył tylko na jej ruchy, na jej postać...

— Co za dobra rzecz przyjaźń—rzekł raz do Józefy,—człowiek czuje się bezpiecznym... ufa i wierzy... Żebym był wolnym i kochał się w tobie, starał się o ciebie, tobym przed tobą pozował na usługomość, na dowcip... a ja sobie zasiadam u ciebie po mieszczańsku i pozwalam ci usługiwać... Nie stroję się do ciebie, nie usiłuję wydać ci się ani piękniejszym, ani lepszym... Grzech śmiertelny-byłbym ci wyznał, wziął-bym od ciebie jałmużnę bez upokorzenia... Moja miłość własna nie cierpi od żadnej prawdy, wychodzącej z ust twoich...

Józefa bywała teraz tak wesola, jak jej nigdy nie widywał dawniej. Łada drobiazg wywoływał jej uśmiech, będący błyskiem, ozywającym jej twarz, a nigdy wybuchem głosu, jak u Mani. Zajęcia jej nowe zajmowały ją. Była szczęśliwa, że mogła im zadosyćuczynić. Miała między rodzinami robotników coraz więcej znajomych. Ludzie przychodzili do niej ze swojemi nędzami.

— Tylko już nie wiem, co mam robić z jajami! Nie mam ani jednej kury, a jaj bez liku.

— Znoszą ci jaja? Wdzięczność chłopska dla człowieka, jadającego mięso, zawsze w mendel, pół kopy lub kopę jaj się przemienia.

Przywoził Józefie nowe wydawnictwa, książki...

— Jakie to jest okrucieństwo losu, że ja z tobą nie mogę spędzić wszystkich zimowych wieczorów... Tyle jest książek, które-bym koniecznie chciał przeczytać razem z tobą... są nawet takie, których bez ciebie za nic w świecie czytać nie chcę. Mam już długą listę tytułów.

— I kiedyż to mają przyjść te zimowe wieczory, które będziemy spędzać razem?—pytała nawpół smutno, nawpół żartobliwie Józefa.— To już chyba będzie w drugim życiu.

— W drugim także, Józiu, o naturalnie, że i w drugim, ale jeszcze i w tem musimy te wszystkie dzieła przeczytać razem. Dam ci ich spis i przyrzekniesz mi, że żadnego z nich nie ruszysz beze mnie.

Zygmunt przyjeżdżał zwykle w sobotę. Całą niedzielę przebywała zawsze Józefa w Zarębiu. Jechano razem do kościoła, potem przychodził tłum interesantów, przyjeżdżali rządcowie, Zygmunt miał pracę do samego wieczora. Wieczór spędzał między matką i Józefą i to była jego nagroda za wszystkiek przymus warszawski.

Na jednym z przyjęć Mani znalazła się strawa rzadka—nowa, bardzo sensacyjna plotka. Pewna panna, przebywająca przy zamężnej siostrze, uciekła naraz ze szwagrem do Ameryki.

— To nie pierwszy w świecie wypadek podobny!—wołała Felcia,— już słyszałam o kilku takich, co woleli siostrę żony, niż żonę!

Przy słowach Felci w duszę Zygmunta zapadł jakiś ciężar, którego cały dzień pozbyć się nie mógł. I on wołał siostrę żony, niż żonę. Nie myślał uciekać do Ameryki, kochał Józefę tylko gorącą, fantastyczną przyjaźnią, ale ta przyjaźń była dziś jego zbawieniem, jego radością i jedynem uczuciem, przywiązującem go do życia. Wołał siostrę żony, niż żonę, i Felcia mogła go śmiało zaliczyć w poczet tych, o których mówiła! Ta panna, uciekająca ze szwagrem do Ameryki, powracała mu na myśl, nurtowała jego umysł! Aż się na siebie gniew-

wał, że jej zapomnieć nie mógł i że od tej ucieczki jakiś cień zdawał się rozciągać aż ku niemu. Co on mógł mieć wspólnego z tą parą, okrywającą rodzinę skandalicznym rozgłosem? Jak śmiał myśleć o Józefie łączyć z myślą o tej awanturze? Ruszał ramionami, zdumiony dziwactwem własnej wyobraźni, ale, pomimo to, słowa Felci wracały mu do myśli i jakaś gorycz wyrastała z nich i zalewała mu serce. Potem nagle nastąpił w nim bunt samolubny przeciw wszelkim krępującym go więzom. A więc tak! Wolał siostrę żony, nietylko niż żonę, ale niż wszystko na świecie, i było mu to wolno! Nie czynił tem nic złego nikomu! Wszak siedział przy żonie przez pięć dni w tygodniu, a gdy wracał do Zarebia, załatwiał interesa, wypłaty, wydawał dyspozycje... Z Józefą spędzał tak mało czasu! Cóż był winien, że te krótkie chwile były mu wszystkim? Każdy potrzebuje przecie żyć dla czegoś na świecie. On żył dla przyjaźni swojej z Józefą i już teraz żyć inaczej nie mógł.

Gdy następnej soboty zatrzymywał się o dziesiątej wieczorem przed domem Józefy, ujrzał przechodzącą śpiesznie obok siebie parę. Przy blasku księżyca poznał chemika cukrowni, wracającego z żoną z jakichś odwiedzin i kłaniającego mu się nisko. Na twarzy tych ludzi zdał mu się igrać uśmiech złośliwy, w ich oczach ciekawość i złe uczucie, będące zadowoleniem z odkrytej tajemnicy bliźniego. Krew uderzyła mu do głowy; gniew, ból, żal, szarpnął jego piersi. Dlaczego ci ludzie uśmiechali się złośliwie? Więc oni śmieli!..

Wbiegł do Józefy, lecz już jej nie przyniósł radości, z jaką tujechał, a i jej uśmiech zamarł na ustach, gdy na niego spojrziała. Po gorącym rumieńcu bladeść okryła jego policzki i sinemi obwódkami podkroiliła mu oczy. Józefa patrzyła na niego, nie mając odwagi o nic pytać. Usiadł milczący przy płonącym ogniu, w ogień zapatrzony, z zaciętymi ustami. Nie był jeszcze zdolny nad gniewem zapanować. Ludzie śmieli może dotknąć podejrzeniem najczystsze, najświętsze uczucie, jakie było na ziemi, uczucie, ratujące dwie dusze od osamotnienia, dwom duszom dające odwagę do życia! Czego oni się domyślali, co podpatrywali? Więc może sądzili, że on kochał Józefę namiętnością, że biegł do niej jako kochanek... że on, który pragnął jawności, prawdy w życiu, kochał siostrę swej żony miłością występłą? O podli, nędzni ludzie, nie mogący nawet przypuścić uczuć czystych, nie mających na celu grubego zadowolenia! Spojrzał na Józefę, która, milcząc, podawała mu herbatę. Przez długą chwilę wzroku z niej nie spuszczał. Śmiano może pomawiać ją!.. Prawda, ona była ładna, pełna fizycznego wdzięku, ale on nic o tem nie wiedział. Kochał duszę tej kobiety! To, czego doznawał, żeniąc się z Manią, to było inne uczucie: kochał jej białe ciało, jej czerwone usta; ale ta kobieta, która była starsza od jego żony,

której blada twarz nie miała już świeżości młodzieńczej... Ludzie chcieli mu zatruć najpiękniejsze uczucie... takie, z którego był dumnym, bo mu dawało same czyste rokosze! Ale może mu się tylko zdawało! Chemik i jego żona mieli na ustach uśmiech, wywołany rozmową o czem innym, ani myśleli podejrzewać Józefy, a jemu tylko został w duszy jakiś strach, zbudzony opowiadaniem o owym występny szwagrze... Z pewnością tak było! Ludzie nie złęgo nie myśleli, tylko on im przypisywał podejrzliwość!

— Józiu, czy ty bardzo dbasz o sądy ludzkie?

— Jakoś nigdy nie myślę o tem, co ludzie powiedzą... Przecie nie mówią, że ja myślę o ucieczce do Ameryki z twoją kasą?

— O ucieczce do Ameryki?

Zygmunt usiłował się śmiać, ale właśnie ostatnie słowa Józefy przypomniały mu inną ucieczkę i zawołał z gniewem:

— Obmowa, to rzecz straszna, bo nieuchwytna... to taka broń, z którą niema walki! Łatwo było błędnym rycerzom bronić honoru swych dam, gdy nikt na ten honor nie napadał, ale gdzie szukać kłamliwego słówka, które wyrzekły nieżyczliwe usta i które, rosnąc, powtarzane jest przez ust tysięcy?

— Nie gonić za niem, nie chwytać, pogardzić niem!

— Masz słuszność, Józiu, pogardzić niem, nie myśleć o niem, iść swoją drogą, zapomniawszy, że kiedykolwiek wyrzeczonem zostało!

Pomimo tego wykrzykniku, czuł ból wewnętrzny, świadczący, że nie tylko słówka obmowy wyraźnej, ale uśmiechu podejrzanego nie będzie mógł zapomnieć.

— Muszę cię pożegnać, Józiu.

— Tak prędko? Nie możesz mi już ofiarować ani jednej chwilki?

— Muszę dziś wcześniej być w domu.

Kłamał. I tak niepotrzebnie!

Zaledwie był za progiem, poczuł to dobitnie. Poco tak śpiesznie uciekał z jedyne go miejsca, gdzie mu było dobrze? Zostawił tam wszystkie myśli i pragnienia swoje, a sam, nie wiedząc dlaczego, uchodził jakby przed wyrzutem sumienia. Czy dłużej, czy krócej przebywał u Józefy, było to wszystko jedno. Dla obmowy ludzkiej wystarczał cięń pozoru. Wszak go zapewne widziano wysiadającego przed domem kasyerki, wchodzącego do jej mieszkania? A czy przebył w niem godzinę mniej, lub więcej, było wszystko jedno. On jednak skłamał swęj przyjaciółce, że się śpieszył do domu, skłamał przed sobą potrzebę ucieczki. Furmana nie było przed domem, zapewne pojechał był do zajazdu na kieliszek wódki, więc Zygmunt podniósł wzrok ku oknom Józefy, wycężając myśl ku niej i mówiąc jej wzruszone, rozrzewnione: „Dobranoc.“ Tak, niech jej noc będzie dobra, spokojna, cicha... niech

przed uśnięciem nie dotknie jej umysłu żadne smutne wspomnienie, żadna obawa o jutro! Jej jutro, on, Zygmunt, miał w swoich rękach, bo je mógł i chciał otoczyć wszystkim, co jedna dusza ludzka drugiej dać może. On będzie przed jej progiem stał na warcie, by tego progu nie przestąpiło żadne słówko uchybienia dla niej. Niech śmiało oprze rękę na jego ramieniu, bo to ramię uczciwego człowieka!

Podczas tego rozmyślania doleciał uszu jego jakiś szelest. Był to przebiegający pies, ale Zygmunt drgnął całym ciałem i poprzednia obawa ogarnęła go. Jak iskra elektryczna umysł jego przebiegła myśl, że go ktoś widzi stojącego z okiem utkwionem w okna kasyerki. Boże, on się lękał własnego cienia!

Józefa pozostała zaniepokojona jego zachowaniem się i słowami. Dotknęła go jakaś obmowa? Jaka? To pewno Mania popełniła jakąś niedorzeczność, dała jakieś pozory, które urosły na plotkę!

Zygmunt poszedł ku zajazdowi, gdzie się spodziewał zastać furmana. Bał się własnego cienia, prawda, ale gdy kto ma w jakim kąciku na ziemi wielkie szczęście, przy którym może się od czasu do czasu ogrzać, jak przed płomieniami kominka, to się o to szczęście lęka w dzień i w nocy... drży, jak matka o jedynaka... Bo gdyby mu to szczęście odjętem zostało... Nie, czegoż się on bał, czego drżał? Był po prostu śmieszny i zdenerwowany.

Następnej soboty nie wstąpił wcale do Józefy. Już na stacyi powiedział furmanowi, by jechał, co koń wyskoczy, prosto do Zarembia, nie zatrzymując się w Obrowcu. Przejeżdżając, spojrział tylko w górę na światło jej lampy. Przecież takiego spojrzenia nikt nie mógł wziąć za asumpt do podejrzeń? Gdyby je nawet widziała żona chemika...

Przywitał się z matką z roztargnieniem, zamysłony spożył kolację i wcześniej poszedł do siebie, nie zajrawszy do kołyski śpiącego syna. Cierpiał i nieznośnego niepokoju pokonać w sobie nie mógł. Wystawiał sobie Józefę, czekającą na niego z herbatą, nasłuchującą jego przyjazdu, zawiedzioną za każdym turkotem, wyobrażającą sobie może, że był chory i nie mógł przyjechać, lub że wstąpić nie chciał! Tak też było. On wstąpić nie chciał, a teraz tęsknił bez miary, z siłą dotąd mu nieznaną, do tej jedynej! Jedyna? On miał żonę, dziecko, matkę... Nagle złożył głowę na rękach wspartych o biurko, przy którym siedział, piers jego podniosła się czemś bardzo podobnym do łkania i zawołał z mieszaniną bólu, radości, zadziwienia, trwogi i oczekiwania:

— Jedyna!... Bo ją kocham, kocham, kocham!

Nazajutrz wyszedł naprzeciw Józefy sztywny i zimny. Nigdy go takim nie widziała. Przywitał ją konwencyonalną formułką. Nie mógł wczoraj zajechać, bo...



— O, skoro cię widzę zdrowym... Przecie nie złego się nie stało? Mania dobrze się ma?

— Doskonale. Tylko się tu tyle zajęcia nazbierało... same listy, które zastałem w Zarębiu... dziś mam pracę tak absorbującą...

Józefa rzuciła mu jedno z tych spojrzeń, które aż na dno jego duszy zstępowało. Czyżby ona poczuła, że udawał i wykręcał się?

— Żałuję, że ci w pracy pomódz nie mogę—rzekła z prostotą.

W godzinę potem, gdy siedział w swym gabinecie, nic nie robiąc, zamyślony, z oczami zapatrzonemi w przestrzeń, a nie widzącemi, weszła do niego z dzieckiem na rękę. Jaś był taki śliczny, taki rumiany po śnie, że nie mogła oprzeć się pokusie pokazania go ojcu.

— Patrz, jak się do ciebie śmieje!

Podniósł ku niej wzrok zamyślony i, milcząc, śledził jej ruchy, gdy huśtała dziecko, nucąc.

— Masz zupełnie miłą młodą, szczęśliwą matkę, Józiu — rzekł jakimś głosem, który mu się urwał przy końcu zdania.

Własne jego słowa zadławiły go, bo po raz pierwszy, jak ostrze, przeniknęła go myśl, że to dziecko mogło być jego i Józefy dzieckiem, że ta kobieta, usmiechnięta radośnie, mogła być jego... Krew uderzyła mu do głowy, niosąc jego wyobraźni dokładne widzenie rajy, który utracił na zawsze. Ta kobieta z dzieckiem na rękę! Przestraszył się. Żeby tylko Józefa nie dostrzegła cierpienia na jego twarzy i tego dziwnego pomieszania.

— Józiu — ozwał się stłumionym głosem, — mam doprawdy myśl tak skłopotaną, że nie mogę się zająć nawet Jasiem.

— Chodźmy, Jasiu—rzekła Józefa do dziecka, tuląc je do siebie, — tatuś nas nie chce, wypędza nas, obejdziemy się więc bez niego.

— Możeby się ona mogła obejść beze mnie — myślał Zygmunt z niewysłowionym bólem,—ale ja, czy się potrafię obejść bez niej? Ja siebie oszukiwałem w dobrej wierze... wmawiałem sobie przyjaźń dla niej... schodziłem powoli po pochyłości, łudząc się ciągle... Dziś widzę, że ją już od dawna kochałem! A teraz co czynić dalej? Wyznać jej wszystko i tym sposobem wypędzić ją stąd?

Już w chwili, gdy w myśli czynił sobie to zapytanie, podniósł się w nim jakiś szal przestachu. On miał istnieć bez Józefy? W ślad za przestachem stanęła w nim nagle, bez przygotowania, jakaś moc, która była buntem wszystkich jego sił żywotnych. Józefa zostanie przy nim, zostać musi, bo on tak chce! Choćby z całym światem miał stanąć do walki, choćby miał utracić wszystko! Przecież ona jedna jest mu konieczną do życia. Wszystko inne jest niczem! Wszystkiego wyrzec się może, tylko ona mu zostać musi!

A więc będzie znowu klamał. Będzie udawał, że wszystko między nimi pozostało na dawnej stopie, że dobra, słodka przyjaźń jest jedynem jego uczuciem dla niej... Niczego wreszcie więcej, prócz przyjaźni, od niej nie żąda, niczego więcej nie potrzebuje. Być z nią pod jednym dachem przez jeden dzień w tygodniu, widzieć ją, tak, jak przed chwilą, z jego dzieckiem na ręku... mieć jej przywiązanie, jej ufność, jej spojrzenie... słyszeć jej głos, widzieć jej twarz rozblyskującą przy uśmiechu... To może człowiekowi wystarczyć na całe życie. Jemu przynajmniej to wystarczy! Tylko musi być niesłychanie ostrożny, nawet przebiegły... musi stąpać, jak po węglach, żeby jej zaufania nie spłoszyć, żeby się ona nie domyśliła nigdy, nigdy! Ona, taka czysta w życiu i myślach... pewno nieprzystępna namiętności... Będzie też przed ludźmi strzegł się wszelkiego pozorów. Nigdy nikt się nie domyśli, nie zobaczy... Jeżeli razi jego urzędników to, że w sobotę wieczorem zajeżdża on na chwilę do siostry swej żony, to wstępować przestanie zupełnie, lub wstępować będzie czasem, na chwilę. Potrafi udąć spokój, cichą przyjaźń, potrafi niczego nie wymagać i niczego nie pragnąć. A więc, kiedy miłość jego jest tak zupełnie bezinteresowna, tak wszystkiego wyrzec się umiejąca, nie może przeto szkodzić nikomu i nawet w gruncie złem nie jest. Poco więc przed chwilą wyprawił Józefę z dzieckiem i co mu przeszkadza iść ku niej, jak dawniej, gdy był jej przyjacielem jedynie. To ci szwagrowie są winni, którzy z siostrami swych żon uciekają do Ameryki. On nie tylko o żadnej ucieczce nie myśli, ale miłość swoją uczyni niemą nazawsze. Był poprostu śmieszny ze swym przestrachem, ze swym bólem. Odkrył w swem sercu kopalnię czystego złota i nie odrazu poczuł się wybranym i najszczęśliwszym z ludzi.

Poszedł, szukając Józefy po domu. Zastał ją, kąpiącą Jasia. Bawiła się, lejąc z kubka wodę na małe ciało i śmiejąc się z usiłowań dziecka pochwycenia rączkami lejącej się na nie wody.

— Biedny Jaś, patrzaj, jak wczesnie bawi się w chwytywanie rzeczy niepochwytanych. To już zła ludzka natura... jeszcze z pieluch nie wyszedł, a już mu się zachciewa niemożebności! Pochwycić w rękę i zabawić się strumieniem wody, płomieniem, to są teraz jego pragnienia. Cóż to będzie później! Ej, Jasiu, strzeż się!

— Śliczny tworzyście obrazek — rzekł Zygmunt, z chmurnem jeszcze czołem i z jakąś obawą przystępując do Józefy.

— A widzisz, żeśmy ciebie zwyciężyli—mówiła Józefa z uśmiechem, który jej rysom nadawał prawie dziecinny wyraz.—Byłam pewna, że rumiana twarzyczka Jasia będzie cię póty ciągnąc do dziecinnego pokoju, aż przyjdiesz i złożysz broń, i przeprosisz... A może дума

męska nie pozwoli ci przyznać, że byłeś w błędzie, przekładając jakieś gniewne rozmyślenia nad nas.

Mamka i bona wyjmowały dziecię z kąpieli, Józefa z Zygmuntem przeszli do biblioteki, gdzie oboje najlepiej przesiadywać lubili.

— Więc składam broń, przyznaję, że byłem w błędzie, przepraszam i obiecuję poprawę—rzekł Zygmunt ze drżeniem w głosie, które zadziwiło i jakimś strachem przejęło Józefę. Spojrzała na szwagra uważnie, potem zawołała z wybuchem szczerości, który ją często napadał:

— Bo nie trzeba być brzydkim zazdrośnikiem i tworzyć sobie mar urojonych z lada przemykającego się cienia.

— Nie rozumiem cię.

— O, rozumiesz, rozumiesz! Nie udawaj spokoju, kiedy go w twojej duszy niema. Domyślam się doskonale, co ci jest.

— A możesz mi swój domysł powiedzieć?

— Oto jesteś zazdrośny o Manię. Ktoś ją otacza grzecznościami, ona się bawi kokieteryą, ludzie utworzyli z tego plotkę, a ty cierpisz, dręczysz się... gdy tu do nas przyjedziesz, masz nawał interesów, ale siedzisz w fotelu zamysłony i nic nie robisz... myślisz, czy w tej chwili przy Mani nie znajduje się ten, który w twojej wyobraźni wyrósł na rywala.

— Ah, Józiu, jakaś ty domyślał!

Jakaś radość przeniknęła Zygmunta. Radość człowieka, mającego tajemnicę, który widzi, że podejrzenia są na śladzie fałszywym.

— A widzisz, nie trudno cię odgadnąć, nie trudno też się domyślić, że w tem wszystkim istoty rzeczy niema, a tylko jest ze strony Mani próżność i chęć zabawy, z twojej miłość, która się podobno tak łatwo zazdrością zatrnuwa. Już wtedy, gdyś przede mną na plotkarskie języki narzekał, wiedziałam, o co ci chodzi.

Rozmowę przerwało wejście matki Zygmunta. Józefa została przy swoich domysłach.

Po obiedzie, gdy grała na fortepianie walca dla Jasia a bona tańczyła z dzieckiem po salonie, Zygmunt pomyślał, że w jego sercu pomieszały się dziwnie pojęcia. Oto był jego dom, jego stara matka, oparta w fotelu, jego syn na ręku piastunki i jego wybrana, patrząca na dziecię wzrokiem matki. Tu więc było jego ognisko rodzinne, tu było dla niego życie serca i to schronienie przed światem, do którego ludzie dążą, jak wygnaniec do ojczyzny.

Upłynęło parę tygodni, przebytych dla Zygmunta w jakiejś mięszaninie snów rokosznych, obaw bez zasady, tęsknoty i postanowień najwyższej ostrożności. Mógł mieć swoją radość, swoje szczęście nawawsze, całe życie, tylko trzeba mu było być oględnym, czujnym, panu-

jącym nad sobą. Nawet idąc z żoną na zebranie proszone, lub z wizytą, myślał: niech mię ludzie widzą jak najczęściej przy boku Mani... niech im się moja wesołość rzuca w oczy... niech mnie mają za zaślepionego, nawet za zazdrośnego męża... Kto ma skarb, musi go zakopać głęboko i przykryć tak, by go się żadne ludzkie oko nie domyśliło!

Mania coraz więcej się przekonywała, że męża zupełnie na swoje kopyto przerobi.

— Dziś chyba nie pojedziesz do Zarębia — rzekła mu pewnej soboty, — patrz, co się dzieje na dworze... świata nie widać od tumanów śniegu... pociąg się spóźni lub wykolei... nie dojedziesz z Wardzyna do domu... po prostu szaleństwem-by było jechać i nie pojedziesz.

— Pojadę.

W głosie Zygmunta była owa stanowczość i twardość nieugięta, z którą Mania zaledwie parę razy się spotkała.

— Kiedy ja cię proszę... będę niespokojna...

— Nie jesteś nerwowa, Maniu, będziesz spokojna, bo mi nic nie grozi. Zajmiesz się swoją toaletą balową... Gdybym dziś nie wyjechał, nie mógł-bym wrócić w poniedziałek... sama nie byłabyś na balu...

— Ah, ten bal...

— Co? nie masz ochoty być na nim?

— Ale gdzież tam! Tylko moja toaleta balowa... Koniecznie-by do niej potrzeba naszyjnika z ametystów... Już moje wszystkie naszyjniki sto razy wszyscy widzieli...

— Cóż więc na to poradzić?

— Widziałam u jubilera...

— I cóż to kosztuje?

— O, dużo, bo jest fermoar brylantowy... ale możnaby fermoar odjąć...

— A z fermoarem?

— Trzy tysiące rubli.

— Weź ten naszyjnik. Pieniądze wręcę ci, wyjeżdżając.

— Ah, jakiś ty dobry!

Mania rzuciła się mężowi na szyję, lecz on odtrącił ją lekko. Pieśczoty jej były mu teraz nieznośne.

A skoro były mu nieznośne, skoro i serce jego odsunęło się od niej nazawsze, więc niech jej toalecie balowej nie braknie żadnego dopełnienia... pieniędzy gotów jej dostarczyć na wszystko... nie będzie skąpił na żadne jej zachcianki!

Była to w nim bezwiedna i nie wyrezonowana potrzeba zadosyć-uczynienia żonie za zdradę serdeczną.

Zaśmiał się gorzko, gdy bezwiedne uczucie wytłómaczył sobie w słowach:

— A, tak! Naszyjnik za zdradę!

Potem zawstydział się sam przed sobą, gdy inna, brzydsza jeszcze myśl przebiegła mu przez głowę.

— Niech ludzie mówią: Jak on ją kocha! Obsypuje ją kosztownymi prezentami!

To była myśl brzydka i podstępna, ale... cóż wreszcie dodaniem lub njętem będzie samemu faktowi obojętności, a nawet wstrętu dla żony, gdy ludzie fałszywie rzecz sądzić będą? Naszyjnik uszczęśliwił Manię, a o jej szczęście tu chodzi.

Tamtej, jedynej, nie śmiał zawieźć nic. Przechodząc koło wystawy sklepu z kwiatami miał szaloną ochotę na bukiet gardenii, które były ulubionymi jej kwiatami, ale nie śmiał. Bał się własnego wzroku w chwili, gdy jej kwiaty oddawać będzie... Nie zawiezie jej nic... Opowie jej o naszyjniku, który tak uszczęśliwił Manię... nie, nie opowie jej tego, bo możeby się domyśliła, że to był okup za szczęście uściśnienia jej ręki i przebywania z nią pod jednym dachem przez dzień cały.

Zadymka szalała na dworze, ale jemu było dobrze zasuniętemu w kąk wagonu, marzącemu z zamkniętymi oczami... Biedni ci ludzie, którzy obok niego rozmawiali o jakiejś gorzelni, cenie okowity... Boże, jacy oni byli ubodzy, jacy od losu upośledzeni, jeżeli ich to zajmowało, że z kartofli robi się okowita, z okowity pieniądze... Marna rzecz, pieniądze! A, prawda, można za nie dać naszyjnik żonie, której się nie kocha...

W stanie dziwnego i nieznanego mu dotąd rozmarzenia dojechał do stacyi. Tak pragnął obecności Józefy, że siłą pragnienia i wyobraźni prawie sobie obecność jej stwarzał. Zamykał oczy i widział jej postać, jej uśmiech...

Na stacyi furman oświadczył, że w taką zadymkę niepodobna było jechać. Ślad zawiany, jedzie się bez drogi... w dzień ledwie dojechać było można... w nocy nikt nie trafi...

— Pojedziemy, Tomaszu!

— Proszę jasnie pana, ja się nie podejmuję.

— Pojedziemy, bo dziś muszę być w Zarebinu.

I znów na samą myśl niemożności jechania podnosiła się w nim ta wola zwalczania, przełamania wszystkiego, nawet niepodobieństwa. Józefa czekała i on musiał być przy niej. Dziś mógł nawet nie obawiać się złośliwego spojrzenia. Żona chemika siedziała z pewnością w domu, rada, że się na szaloną zadymkę wystawiać nie potrzebuje. Jego koni, stojących przed domem, nikt nie spostrzeże, więc będzie mógł posiedzieć chwilę dłużej...

Ledwie opuściwszy stacyę, furman poznał, że błędzi. W dziesięć minut po wyjeździe nie wiedział już, gdzie jest. Chciał, nie mówiąc nic

panu, wrócić, nie mógł już wszakże rozpoznać żadnego kierunku. Zostawił koniom odpowiedzialność za wszystko, popędzając je tylko, by nie ustawały. Pół nocy błądził z rozmaitemi przypadkami, pragnąc się oryentować, a nie mogąc znaleźć żadnych wskazówek. Około trzeciej po północy ujrzeni przed sobą jakieś światło i dyszlem uderzyli w coś twardego. Była to ściana domu. Zygmunt doszukał się drzwi i dobijając się do nich począł. Otworzyła mu Józefa.

Do przedpokoju jej wszedł nie człowiek, lecz jakaś góra śniegu, nastroszona na kohierzu futra, na czapce, na plecach. Józefa domyślić się w nim tylko mogła szwagra.

Zziębłemi, sinemi i trzęsącemi się ustami Zygmunt ozwał się:

— Byliśmy pewni, że zmarzniemy wraz z furmanem. Nie wystawisz sobie, cośmy mieli za drogę... Kopaliśmy się po śniegu... wywróciliśmy się trzy razy... jestem po prostu skostniały... chciałem, idąc piechotą, namacać twarde tor drogi... znęczyłem się i spociłem, potem zziębłem, jak nigdy w życiu. Nie mam nawet siły zdjąć tego wszystkiego z siebie.

— Pomogę ci.

Wspinała się ku Zygmuntowi, zdejmowała mu czapkę, futro... Gdy się od tego ciężaru uwolnionym poczuł, mógł już sam pozbyć się futrzanego obuwia, pełnego teraz śniegu i prawie przymarzonego do nóg.

— Każ zawołać furmana do kuchni... dajcie mu wódki lub herbaty... on naprawdę potrzebuje ratunku... konie muszą zostać na łasce Bożej...

Józefa pobiegła obudzić służącą, wydać rozporządzenia... Wróciwszy, zastała Zygmunta siedzącego w przedpokoju na ławce, opartej głową o ścianę, bladego, prawie omdlałego. Dała mu się napić starego wina, potem śpiesznie przyniosła brzemień drzewa i rozpałała ogień na kominku. Gdy, klęcząc, dmuchała na płomień, usłyszała kroki Zygmunta. Przysunęła śpiesznie fotel do kominka.

— Usiądź tu — zawołała, — zaraz cię ogień rozgrzeje! A, mój Boże! Tyś cały drżący!

Przyniosła szal, koldrę i poczęła otulać Zygmunta, jak dziecko. Szal owinęła koło jego ramion, koldrą otoczyła nogi. Nie sprzeciwiał się jej. Zdrętwiały od zimna i zmęczenia, nawpół przytomnie patrzył na ruchy Józefy, poddając się jej troskliwości, jakby mu się troskliwość od niej należała. Śledził jej poruszenia, gdy na kominku, przy płonącym teraz jasno ogniu, postawiła garnuszek z wodą, pragnąc co najprędzej przygotować mu herbaty. Ciepło ogarniało go powoli, zaczynał zeznawać przed sobą, że mu jest dobrze, wargi jego przestały się trząść. Prosił jeszcze o wino, które, jak mówił, wlewało w niego życie.

— Furman już w kuchni—mówiła mu Józefa,—i on dostał wina... Ignacowa napaliła też ognia na kominie... Tomasz mówi, że nie pomogła koronka do Matki Boskiej, ani do świętego Antoniego, dopiero jak zaczął mówić *Żaczka uczonogo*, takeś zaraz ty zobaczył światelko wśród burzy.

Zygmunt wziął rękę Józefy. Przechyliwszy głowę na poręcz fotelu, patrzył na mówiącą, chwycił dźwięki jej głosu. Zdawało mu się, że go oblewa nie tylko ciepło kominkowego płomienia, ale także jakieś ciepło, przejmujące jego istotę moralną.

— Dlaczego jeszcze nie spałaś, Józiu, i byłaś zupełnie ubrana?

— Czulałam, że nie potrafię usnąć wśród tego szturmującego i świszczącego wiatru.

— O czym myślałaś?

— O tobie, Zygmuncie.

Józefa powiedziała ostatnie słowa z zupełną prostotą i szczerością, patrząc prosto w oczy szwagra.

— O mnie myślałaś? Widzisz, Józiu, myśl twoja mię zbawiła... Byłaś zapewne niespokojna o błędzące wśród zawieruchy i nie gasiłaś światła... Gdyby nie to światło, był-bym prawdopodobnie zmarł wraz z furmanem... Mogliśmy byli sto razy przejść lub przejechać koło tego domu, nie domyśliwszy się nawet, że jest blisko nas. Brnęliśmy na oślep i bylibyśmy jechali dalej, zabijając zmęczone konie, gdyby nie twoje okno oświetlone. Ocaliło nam ono życie. Nie żartuję, Józiu; jeszcze godzina takiej drogi, a był-bym już nie miał siły bronić się śmierci. Twoja myśl o mnie ocaliła nas.

Po dreszczach, które przed chwilą trzęsły ciałem Zygmunta, przychodziła lekka gorączka. Był też podniecony przez stare wino, mówił z trochę nienaturalnego pośpiechu i drżenia w głosie!

— Widzisz, jak ludzkości trzeba było zbawienia, tak go trzeba każdej egzystencji... moje życie go też potrzebuje i może mi ono tylko przyjść od ciebie... Ja zawsze wiedziałem, że mogę je otrzymać tylko przez kobietę... tą kobietą jesteś ty jedna...

Józefa patrzyła z przestrachem na rozgorączkowane policzki Zygmunta. Była pewna, że był nieprzytomny.

— Tak—rzekła,—zbawienie przyjdzie ci przeze mnie, bo kazałam przygotować ci łóżko, kazałam je wygrzać, a tobie koniecznie trzeba się położyć i to natychmiast.

— Kiedy mi tu tak dobrzel... nie pamiętam, by mi kiedy w życiu tak dobrze było... Chodź, Józiu, usiądź tu przy mnie... bliźniutko... daj swoją rękę... będziemy rozmawiać... Prawda, jak to dobrze rozmawiać tak we dwoje, gdy wszystko w domu spoczywa, a na dworze wiatr huca? Wtedy dwoje przyjaciół... takich dobrych przyjaciół, jak my, le-

piej czuje, jakim szczęściem jest mieć na świecie jedną taką duszę, przed którą można nie mieć ani tajemnic, ani podejrzeń, ani wątpliwości, ani żadnej obawy...

— Na jutro zostawmy rozmowę. Teraz idź do łóżka. Musi tam już wszystko być gotowe.

— Nie, proszę cię, nie wypędzaj mię...

— Ty masz gorączkę, Zyguncie.

— Nie, ja mówię przytomnie, zupełnie przytomnie... mam trochę gorączki, czuję to, ale jestem trzeźwy, zupełnie trzeźwy!... a tak mi potrzeba z tobą porozmawiać!

— Rozmawiajmy więc.

Józefa stała przed kominkiem, poprawiając głównie i dokładając drzewa. Blaski płomienia padały na jej twarz bladą, dając jej pozór wielkiego ożywienia i odbijając się w jej wzroku, jakby zdwojonemi błyskami.

— Józiu, jakaś ty ładna!

— O, widzisz, że masz gorączkę! że ci potrzeba co najprędzej spać się położyć!

— Wcale nie! Nie sądz tylko, że ci chciałem powiedzieć głupi komplement, jaki się mówi próżnym kobietom... to była prosta szczerłość. Wydałaś mi się w tej chwili prześliczna, stojąca tak w blaskach płonącego ognia... Ale to jest bardzo obojętne, czyś ładna, czy nie... Powiedziałem głośno, com myślał, i koniec!

— Dobrze. Przypuścimy, że jestem ładna. Ale oto i herbata gotowa.

Zygmunt patrzył jakimś mętnym wzrokiem na Józefę, której wyszukle kształty w fałdach szlafroka wyglądały wdzięczniej, niż zwykle. Przysuwała mały stoliczek do ognia, znosiła rozmaite jedzenie, zachęcając zgłodniałego podróżnego do posilenia się. Niepokój jej o niego ustał. Śmiała się, opowiadając, że w pierwszej chwili nie poznała Zygmunta i myślała przez mgnienie oka, że jakiś rabus chce ją okraść, zmusiwszy ją przemocą do otworzenia kasy. Podczas takiego wichru nikt-by nawet krzyku nie usłyszał.

Śmiech opowiadającej zamarł na jej ustach, Zygmunt powstał nagle z jakimś pomieszanyim wyrazem twarzy:

— Bądź zdrowa, Józiu!—rzekł drżącym głosem.

— Co to ma znaczyć?—zawołała.

— Nie mogę tu zostać ani chwili dłużej. Pójdę na nocleg do zajazdu.

— Cóż znowu? Żartujesz chyba?

— Nie, nie żartuję i widać, że uczynić tak muszę, skoro tak czynię. Nie zatrzymuj mię!



Spojrzała w jego oczy surowe z niepokojem i trwogą.

— Dobrze. Pójdiesz, ale ja cię odprowadzę.

— Ty mię odprowadzisz?

— Tak, bo ty jesteś nieprzytomny, Zygmuncie.

Rozśmiał się przykro, aż go ten śmiech zabolął.

— Właśnie dlatego iść muszę, że nie jestem trzeźwy, choć nie wino mię upajał. Nie bój się o mnie. Dojdę do zajazdu, trzymając się ściany domów. Co-byś ty mi pomódz mogła? Nie miała-byś siły kopać się w śniegu po ramiona. Musiał-bym cię chyba nieść. I co-byś ty w zajęździe robiła?

— Myślałam cię odprowadzić z latarnią i wrócić tu zaraz... Mój Zygmuncie, łóżko dla ciebie gotowe... nie bądźże dzieckiem!

Ujrzała w jego wzroku wyraz takiej stanowczości, że zamilkła. Nie rozumiała wcale przyczyn Zygmunta, ale była teraz przekonana, iż był trzeźwym zupełnie. Odprowadziła go, milcząc, do przedpokoju, i milcząc też patrzyła, jak przywdziewał podróżne ubranie.

— Jutro, jak zwykle, przyślę po ciebie—rzekł jej od progu.

Znalazłszy się znowu na dworze wśród szalejącej zadymki, pomyślał:

— Nie powiedzą przynajmniej, że ja tu nocę przepędzam.

Józefa po jego wyjściu została jakby oszołomiona zdziwieniem i pełna niepokoju o jego zdrowie, które narażał na nowo, pomimo gorączki. Jaki on był dziwny tym razem! Z początku był z pewnością trochę pijany, gdy mu przyszło na myśl pięknością jej się zachwycić, lecz później nagły zamiar ucieczki wytrzeźwił go. Ale dlaczego uciekał? Tego zupełnie zrozumieć nie mogła. Wytężyła myśl, czyniła najdziwniejsze przypuszczenia, ale nie prawdopodobnego wymyślić nie mogła.

Nazajutrz, w Zarębiu, Zygmunt zaraz na wstępie powiedział jej:

— Czyś darowała temu obrzydliwemu pijakowi, jakim byłem wczoraj? Może twoje stare wino ochroniło mię od choroby, ale mię uczyniło zupełnie niepoczytalnym. Pokazuje się, że należę do rzędu mężczyzn, którzy po pijanemu każdej kobiecie się oświadczają, bo zdaje mi się, że ci prawil jakieś grzeczności, a potem, Bóg wie, dlaczego, szedłem całą godzinę do zajazdu, brnąc po śniegu i z trudnością się kierując, kiedy u ciebie miałem postanie przygotowane.

Był cały dzień trochę sztywny dla Józefy.

— Zwykła logika ludzka—myślała młoda kobieta—postąpił wczoraj niewłaściwie i ma za to żal do mnie!

Wieczorem, przy lampie, gdy matka Zygmunta usiadła na swoim miejscu w salonie, usłyszano zdaleka odgłos płaczu dziecinnego. Józefa pobiegła do pokoju Jasia. Po chwili weszła z dzieckiem na rękę i usia-

dła z niem na kanapie, stojącej w rogu, zdala od lampy, mogącej razić oczęta Jasia.

— Niedobra niania — mówiła do malca — poszła sobie... dziecko zostawiła samo w kołysce, a dziecko lubi towarzystwo...

Zygmunt usiadł też na kanapie, żartując z dziecinnie spieszczonej mowy Józefy, bawiąc się usiłowaniem Jasia osiągnięcia do jego wąsów, wreszcie, zamiast przysunąć twarz do rączek malca, wyciągnął ramię i, otoczywszy niem kibić Józefy, przybliżył ją wraz z dzieckiem ku sobie.

Uczynił to bez namysłu, bezwiednie, i dopiero gdy Józefa była tuż obok niego, a mały Jaś szarpał go za wąsy, zmieszał się i ukrył zmieszanie, udając, że zabawa syna ból mu sprawia.

— Aj, to boli!

Ale co się stało z Józefą? Jej twarz, zwykle bladą, oblał płomienny rumieniec, jakiś nieoczekiwany, niepojęty rumieniec, za który gniewała się na siebie. Rumieniec ów dostrzegł Zygmunt i radość, szczęście, rokosz bezmierna opanowały nagle jego serce. Po chwili zeznał przed sobą wyraźnie, że, właśnie z powodu zmieszania Józefy, powinien był odsunąć się od niej, było wszakże dyplomatyczniej udawać zupełny spokój. Wszak o kilka kroków siedziała jego matka, której sama obecność była gwarancją czystości jego zamiarów. Rozmawiał więc z jakąś nienaturalną wesołością, doznając przytem w głębi duszy niezmiernego wzruszenia.

Józefa miała uczucia ptaka złapanego. Chciała-by była uciekać, a bała się okazać trwogę, czy zadziwienie. Co-by pomyślał Zygmunt, gdyby za drobną poufałość, której szwagrowi i przyjacielowi za złe mieć nie mogła, okazała mu swoje niezadowolenie? A może powinna mu je była okazać? Co znowu? Ona o dziesięć lat starsza od Mani, ona w czarnej sukni bez żadnej ozdoby, z gładko uczesanemi włosami... Siedziała chwilę, czując opasujące ją ramię Zygmunta, z płonącemi policzkami, przejęta jakimś dziwnym niepokojem, wreszcie wzięła Jasia i poszła z nim do dzieciennego pokoju. Zygmunt zasunął się w głąb kanapy, nie słyszał nic, co matka do niego mówiła. Był wzburzony i szczęśliwy. Przed chwilą miał w objęciu kobietę ukochaną i ta kobieta, czysta w myślach i intencjach, zadrżała przytulona do niego... Twarz jej płonąca miał jeszcze przed oczyma, a w żyłach własnych niepokój, który w niej odgadł przed chwilą.

Nie gniewało go to bynajmniej, że długo nie wracała od Jasia. Czuł, że pragnęła się uspokoić, że odwlekała chwilę wejścia do salonu ze spokojnem na pozór czołem i udanym uśmiechem na ustach... ze spojrzeniem, które się ku niemu podniesie pogodnie, choć je zmieszanie ciągnąć będzie ku ziemi. Jakaś zła radość ogarnęła go na myśl, że i ona

udawać będzie musiała i kłamać tak, jak on kłamał. Ha, więc będą udawać oboje, udawać obojętność, choć w sercach ich... I w jej sercu? Jaki z niego był śmieszny marzyciel! Co on sobie śmiał wyobrazać? Rumieniec Józefy niczem innym nie był, tylko wygórowaną wstydlivością młodej kobiety... taką nadczołością dumy niewieściej, która jest uczuciem mimowolnem, bezwiednem. Był szalony, że na jedno mgnienie oka wziął je za co innego... Przejął go żal za tą złotą chwilą, którą tylko co przeżył, za tą mrzonką niezwykłego szczęścia, która mu duszę porwała.

Gdy Józefa wróciła do salonu i poczęła spokojnie rozmawiać z panią Bielmońską o kształcie pantofelków włóczkowych dla Jasia, Zygmunt ze swego ciemnego kąta patrzył na pobladłą już twarz młodej kobiety, myśląc z mieszaniną niepokoju, zazdrości i ciekawości: „Czy ona jest spokojna i obojętna, czy namiętna i gwałtowna?“ Potem, jak zaciśnięcie się szponów, chwycił go za pierś ból zazdrości na wspomnienie Rzeweckiego. Sama mu wyznała, że nie kochała tego człowieka, ale był jej mężem, jej właścicielem przez lat dziesięć... miał przez lat dziesięć prawo nazywania jej swoją! Jakieś nieznośne halucynacye, dokładne widzenia, dotyczące przeszłości Józefy, czepiły się wyobraźni Zygmunta. Spostrzegał bohaterską postać Oskara, jego wydatną pierś, mięśnie, które tak chętnie pokazywał i porównywał ze stalą... Postać tę zbliżał w myśli do wykwintnej Józefy i drżał z gniewu i oburzenia. Ile ten Herkules trywialny i gruby musiał w niej podeptać delikatności, jak sponiewierać jej dumę i wstydlivość niewieściej, jak on się musiał obejść brutalnie z naiwną nieświadomością młodej dziewczyny, jak on, mówiący wiecznie o swych zdobyczach w świecie niewieścim, musiał nie pojmować różnicy, zachodzącej między subretką a taką, jak Józefa, kobietą. Zygmunt cierpiał za tę przeszłość, a jednocześnie doświadczał szalonej zazdrości.

— Jedziesz jutro rano, jak zwykle? — zapytała syna pani Bielmońska.—Jest zwierzyna do zabrania i różne zapasy...

— Ah, prawda! — zawołał, — Mania właśnie upomina się o sarnę! W duchu pomyślał:

— Co za dobra rzecz te potrzeby codzienne, te pospolite troski o jedzenie, ubranie... Można-by zwaryować, gdyby się puściło wodze wyobraźni i pozwoliło myśli wyłącznej żywić się naszym mózgiem!

— Jaką zwierzynę mi mama daje?—zapytał, czepiając się tematu zwierzyny, jako wybawienia od męki obrotu wyobraźni około owej myśli wyłącznej.

Gdy Józefa, nocująca w Zarębiu z powodu zadymki, znalazła się w swoim pokoju, opanował ją na nowo wstyd mimowolnego rumieńca i doznanego wzburzenia. Jak zwykle, poczęła w myśli szydzić z siebie

samej: Moznaby myśleć, że pozowała na wylękle dziewczę, rumieniące się przy zbliżeniu się lada mężczyzny! Dlatego, że szwagier opasał jej kibić ramieniem, drżała, jak liść! Wdowa, mająca za sobą dziesięć lat małżeństwa, bawiła się w skromnisiostwo! Gdyby była usłuchała pierwszego swego natchnienia, była-by się wyrwała z objęcia Zygmunta i uciekła, jak spłoszona sarna! Była po prostu śmieszna, śmieszna! Dobrze, że w tym kącie kanapy było ciemno i nikt nie mógł dostrzedz tego głupiego rumieńca i załęknięcia!

Pomimo tych żartów z samej siebie, czuła minowolne zaniepokojenie. Coś w niej zostało z tego dreszczu, który ją przebiegł, z tego zmieszania, z tego strachu, który ją ogarnął przytuloną do piersi tego człowieka. Wszedłszy do łóżka, owinęła się kołdrą, jakby szukała ochrony nie tylko przed zimnem, ale przed jakimś groźcem jej niebezpieczeństwem.

— Nerwy! — myślała, wpadając znowu w żartobliwy nastrój względem samej siebie, — taka skromnisia, jak ja, musi być nerwowa! To wypływa z natury rzeczy! Że wiatr huczy na dworze i świszcze w kominie, więc zaraz jakieś strachy, złe przeczucia, obawa przyszłości i głupie marzenia, czepiające się głowy, jak puch źle zaszytej poduszki!

(Dalszy ciąg nastąpi).

ZOFIA KOWERSKA.

---

# NAUCZANIE POCZĄTKOWE.

Z POWODU DZIEŁA J. W. DAWIDA <sup>1)</sup>.

---

## I.

### Stan kwestyi u nas.

Moda i reklama—zamiast nauki i krytyki,—wywierają, niestety, dotąd jeszcze równie silny wpływ na nasz rozwój umysłowy, jak na ubiór naszych elegantek i dandysów. Nie napróżno od bardzo dawna narzekano na naszą skłonność nie do postępu, lecz do powierzchownych „nowinek.“ Lada teoryjka, wymyślona przez Francuza, Anglika, Niemca lub Włocha, znajduje u nas, jako nowość, rozgłos entuzyastyczny, z zaniechaniem najistotniejszych potrzeb naszego normalnego rozwoju umysłowego. Stroimy się tylko dla pozorów w pawie piórka obcej „nauki,“ a zresztą grzebiemy spokojnie w naszym śmietniku, nie troszcząc się na seryo o nadanie mu porządniejszego wyglądu.

Smutną ilustracją takiego położenia rzeczy są nasze stosunki wychowawcze, a szczególnie nauczanie początkowe i wychowanie przedszkolne. Tutaj mieliśmy sposobność pokazać, czego własnym ro-

---

<sup>1)</sup> „Nauka o Rzeczach. Rys jej historycznego rozwoju, podstawy psychologiczne, metoda, oraz wzory lekcji.“ Wydawnictwo „Przeglądu Pedagogicznego.“ Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1892. Str. 691.

zumem dokonać możemy przy krytycznem zastosowaniu wyników prawdziwej nauki do naszych potrzeb indywidualnych; tutaj otwierało się szerokie pole działalności dla poważnej pracy i sumiennej dbałości o własne dobro i o dobro naszych dorastających dzieci. Tymczasem, cóż w samej rzeczy zrobiono u nas na tem polu w ostatnich dziesiątkach lat? Porzuciliśmy dawny patryarchalny sposób wychowania, prawda, że pozbawiony podstaw teoretycznych, nieudolny, błędny pod wieloma względami, lecz naturalny, wytworzony przez zdrowy instynkt, dobrą wolę i tradycje, oparty na wzajemnej, serdecznej miłości rodziców i dzieci, nauczycieli i uczniów,—a natomiast, dzięki modzie i reklamie, zastosowaliśmy do praktyki niezrozumiane i nieprzetrawione samodzielnie teorye, z mętnych źródeł zaczerpane!

Ledwo usłyszeliśmy, że za granicą nabrała pewnego rozgłosu „metoda pogładowa,“ a wnet obdarzaliśmy nasze dzieci wszelkimi możliwymi i niemożliwymi obrazkami, bez myśli o tem, że obrazek nie daje dziecku dokładnego wyobrażenia samej rzeczy,—o co właśnie chodzi przy zastosowaniu metody pogładowej. Dalej, w naszym ferworze realistycznym wykresliliśmy bez żalu ze słownika pedagogicznego wszelkie wyrazy, nie dające się uwidocznic „pogładowo,“ więc wszelkie pojęcia „oderwane“ i wytwory „fantazyjne,“ — a zapomnieliśmy przytem, że różne bajki, powiastki i legendy dostają się do uszu dziecka przez mamki i nianki, lub wytwarzają się nawet w umyśle jego samorodnie z własnych jego doświadczeń, jak u ludzi pierwotnych, że zatem takie objawy fantazyi, bez odpowiedniej opieki, wyrastają chwastem w duszy dziecięcej, przytłumiając rozwój najzdrowszych zarodków samodzielnych uczuć i dążeń.

Z „metodą pogładową“ poszła w parze „nauka o rzeczach“ w znaczeniu najtrywialniejszym. Nauki przyrodnicze stały się i na tem polu najgłośniejszym hasłem. Uczą się dzieci od małego przedewszystkiem i prawie wyłącznie przedmiotów, zaczerpanych z zakresu zoologii, botaniki, mineralogii, fizyki, chemii, anatomii, fizjologii i t. p. Wpoić w dzieci pojęcie porządku i praw „natury“—oto ideał nawet pierwszego nauczania! Znam takich rodziców i pedagogów, którzy w imię zasad metody „pogładowej“ nie mówią już dzieciom nic o Bogu wszechmogącym i wszystko widzącym, oddając rozwój wewnętrzny młodocianego umysłu, a szczególnie jego poczucie moralne, na los szczęścia, to jest właściwie bezpośrednim instynktom i przypadkowym zewnętrznym okolicznościom. Potem się dziwią, że synek, według najnowszej mody „dobrze“ wychowany, przywykły kierować się wyłącznie „pogładowym“ sądem swych zmysłów, pozbawiony poczucia odpowiedzialności za swoje czyny przed wyższym, moralnym porządkiem świata, schodzi na niebezpieczne bezdroża i przez żaden wzgląd na „prawa natury,“ na

„fizyczny porządek“ świata, nie daje się zwrócić na drogę choćby „honoru,“ lub „względności“ dla swoich, lecz dalej brnie w brudzie moralnym, wiodącym prędzej czy później do zupełnego upadku! Czyż można się spodziewać sumiennego spełnienia obowiązków, szlachetnego nastroju ducha, poświęcenia i cnoty bez odpowiedniego zasiewu moralnego, bez kształcenia dziecka w tym kierunku podczas owej epoki życia, która ma znaczenie zasadnicze dla całego dalszego rozwoju człowieka, dla całego jego sposobu myślenia i uczucia w dojrzałym wieku?

Nie wiele lepiej działo się z „metodą froeblovską“ nauczania dzieci przy pomocy *zabawy*. Z chwilą, gdy metoda ta weszła w modę, narodziło się u nas moc domorośłych zwolenników i zwolenniczek zasady wychowawczej *utile dulci*, doprowadzonej do ostatecznych granic... karykaturalności. Już teraz nie istniało wyższego i lepszego w pedagogice nad zabawę naukową i naukę zabawną! Dzieci, zaledwie zaczynające chodzić i mówić, już się uczyły tańczyć i śpiewać,—tańczyć przede wszystkim—bo jakże to dobrze łączy się nauka gimnastyki z przyjemnością, gdy np. chłopczyk czteroletni wywija ohocho mazura z panienczką tegoż wieku! Więc dalej kinderbale, baliki, wieczory i wieczorki tańczące dla naszych „buziaków“ w salonach, w ogrodach zoologicznych, na majówkach—gdziebądź, byleby tylko dziatwa wczesnie przyzwyczaiła się do trudnego obowiązku przepędzania czasu zabawą! Że w następstwie młodzież taka już w szesnastym roku życia z góry patrzeć musi na wszelką wogóle zabawę, że w przesyceniu swem szukać musi nowych, silniejszych rozdrażnień nerwowych, a wskutek tego więdnąć przed dojrzaniem, — o tem nie pomyślano wcale. Podobnie nie pomyślano o tem, że rozwój umysłowy dziecka wiąże się jak najściślej z jego *pracą myśli* i samodzielnem nateżeniem uwagi, z właściwym użyciem władz umysłowych, podobnie jak wzrost i zdrowie ciała zależą od ruchu i pracy fizycznej. Dziecko, bawiąc się, uczyło się patrzeć na rzeczy i ludzi, sądzić o sobie i świecie; z uśmiechem na ustach przebyło naukę pisania, czytania i rachunku, a uwzględniając przytem metodę „poglądową,“ przyczepiano i „naukę“ innych przedmiotów do wesołego oglądania podobizn zwierząt, roślin, minerałów lub do opowiadań „Robinsona.“

Pomimo tego wszystkiego, pomimo tej staranności, aby nauka była dla dzieci jak najpożądniejszą, dziwiono się w końcu, że chłopcy i dziewczynki w późniejszym czasie nie nabierali zamiłowania do poważnej nauki, że ich męczyła, że wołać czytać pierwszą lepszą powieść, a szczególnie romanse denerwujące, aniżeli historję, lub jaką książkę istotnie nauczającą, do ich wieku zastosowaną. A jednak były to tylko skutki niemniejnego i bezwzględnego stosowania owej „metody“ uczenia zabawą. Dziecku, które, dzięki ciągłym rozrywkom, nawykło

do nieprzerwanego zadowolenia swoich zachcianek, nie przyuczywszy się nigdy do wyężdżania swych sił i władz unysłowych, do *pracy* na serwo, nie przyszło nigdy na myśl, że życie nie jest wcale szeregiem zabaw, lecz *zadaniem* do rozwiązania, *obowiązkiem*, że zatem i nauki przyswoić sobie nie można bez usilnej pracy, bez przyniesienia jej w ofercie rozlicznych przyjemności życia. Nie przeczuwali nawet w swej zniechęcałości, że jedyne szczęście człowieka polega na sumiennem spełnieniu swych zadań życiowych, że przyjemności i zabawy mają dla nas wartość tylko wtedy, gdy wypełniają chwile wolne od zajęć poważnych, gdy są podobne do dni świątecznych po pracy tygodniowej, lub do słodyczy, dodawanych do właściwych a posilnych pokarmów codziennych. Więc jakiemż owocami mogła nas obdarzyć ta modna metoda nauczania przy pomocy „zabawy,” inaugurowana u nas bębenkami i trąbkami dziećmi, pozawieszanemi na szyi i ramionach naszych wychowawców i wychowawczyń.

Najsmutniejsza to, że, pomimo całego owego hałaśliwego ruchu na polu naszej praktyki pedagogicznej, aż do chwili wyjścia powyżej zaznaczonej książki p. J. Wł. Dawida, nie było u nas ani jednej pracy, która-by poddawała owe głośne „metody” krytycznemu rozbirowi, która-by, dotykając tych ważnych spraw, nie była poprostu objawem sugestyi hipnotycznej, wywołanej przez bezwzględne ubóstwienie wszystkiego, co modne, nowe, a przytem obce.

Sąd ten może się wyda zbyt surowym, szczególnie w obecnych czasach tak zasłużonego pod wieloma względami pedagoga, jakim jest A. Dygasiński, który w r. 1882 ogłosił wykłady pedagogiczne p. t. „Pierwsze nauczanie w domu i w szkole.” A jednak owego sądu cofnąć nie mamy powodu, bo właśnie i w tej pracy autor, według własnego zeznania w przedmowie, starał się jedynie być wiernym duchowi czasu i nie myślał ani na chwilę rozpatrzeć krytycznie wewnętrznej racyi owego „ducha czasu.”

Pierwszorzędną zasługą p. Dawida jest to, że przerywa nasze gołosłowne gadania o „nauce” u obcych, o ich wielkich postępkach w zakresie metod wychowawczych, a zmusza nas raz przecie do samodzielnego zastanowienia się nad kwestyą wychowania i nauczania początkowego, do rozpatrywania tej ważnej kwestyi wszechstronnie, krytycznie, ze stanowiska nie samego tylko „ducha czasu,” lecz ze stanowiska racjonalnych potrzeb i zasad wychowania.

Na podstawie skrzętnie zebranych materiałów, dotyczących zarówno historii rozpatrywanego przedmiotu, jak i danych z zakresu psychologii i dydaktyki, autor daje wykształconemu czytelnikowi możność wzniesienia się po-nad wszechwładną modę i wyrobienia sobie własnego dojrzałego sądu w tych sprawach. Co prawda, mamy powody oba-



wiać się, że nawet tak gruntowne dzieło nie usunie odrazu wszystkich zaznaczonych wad wychowania początkowego naszych dzieci, bo iluż to się znajdzie u nas ojców, matek, nauczycieli lub nauczycielek, którzy-by chcieli na seryo przestudyować książkę poważną, prawie o 700 stronicach, choćby przytem szło o dobro ich dzieci lub uczniów? Zresztą i autor sam, według naszego zdania, nie wyzwolił się jeszcze do tego stopnia z pod wpływu pewnych, z góry powziętych doktryn, aby mógł służyć za nieomylnego kierownika w sprawie reformy naszych stosunków wychowawczych. Ale, budząc zmysł krytyczny tych rodziców i pedagogów, którzy uwielbiają bez miary wszystko, co ma rozgłos, uczynił pierwszy krok ku poprawie owych stosunków i dlatego praca jego zasługuje pod tym względem nietylko na szczere uznanie, lecz przede wszystkim na szczegółowszy rozbiór, bez którego uznanie przybrało-by znowu charakter tak ulubionych u nas frazesów bez myśli.

## II.

### Różne poglądy pedagogów.

Treść pracy p. Dawida ujawnia się widocznie już w samym tytule. Co do jej układu zaznaczyć należy, że, podług pierwotnego planu autora, całość miała się rozpaść na trzy główne działy: „Wstęp historyczno-krytyczny,“ następnie część I-sza: „Psychologiczne i dydaktyczne podstawy nauki,“ część II: „Wykład przedmiotu praktyczny.“ Taki podział zaznacza autor na str 8. W samej zaś książce napotykamy rażące odstępstwo od tego podziału, wykazujące, że autor podawał do druku pracę swoją przed jej ostatecznem wykończeniem, i samego układu nie zastosował ściśle do pierwotnego planu. W rzeczywistości bowiem po owym wstępie historyczno-krytycznym (str. 129—278) następuje *jeden* tylko dział, zatytułowany: „Część teoretyczna,“ a obejmujący siedm rozdziałów (str. 279—685), traktujących *o celu pierwszego nauczania, o danych psychologicznych* i wreszcie o samej *nauce o rzeczach*.

Z pierwszego wejrzenia mogło-by się zdawać, że dzieło nie jest skończonem, że ta część teoretyczna obejmuje tylko powyższą część *pierwszą* psychologiczno-dydaktyczną i że brak jeszcze części *drugiej, praktycznej*. Tymczasem, trzy ostatnie rozdziały książki, mające od str. 446 specjalnie za przedmiot *układ i metodę nauki o rzeczach*, zawierają w sobie zarazem: „*wzory lekcji metodycznych*,“ więc zapewne odpowiadają owej *drugiej* części pierwotnego planu. Chociaż treść pracy na tej sprzeczności w podziale nie ucierpiała, żałować jednak wypada,

że dzieło p. Dawida nie jest jednolitem ze względu na swoją konstrukcję architektoniczną.

Na str. 213, mówiąc o pedagogice W. J. Choynackiego, autor krytykuje „niefortunny“ podział jego pracy na część *teoretyczną* i *praktyczną*, „z których druga powtarza tylko i rozwija pierwszą.“ Czyżby doświadczenie, że w pedagogice, która jest nauką i sztuką zarazem, tych dwóch części nie można traktować w odosobnieniu, było powodem, że p. Dawid w toku pracy odstąpił od swego pierwotnego, czysto abstrakcyjnego podziału?

Wstęp historyczno-krytyczny zaznajamia czytelnika wyczerpująco z poglądami wydatniejszych pedagogów na sprawę początkowego nauczania, a szczególnie na naukę o rzeczach. Autor rozbiera tutaj główne zasady, stanowiące o celu i zadaniach nauczania początkowego i kładzie przez to fundament do własnego poglądu na tę sprawę. Niepoślednią zasługą tej części historycznej jest szerokie uwzględnienie swojskiej literatury pedagogicznej (str. 183—278), co nawiązuje na nowo przerwana nić tradycji z lepszą naszą przeszłością i na polu pedagogicznym. Okazuje się bowiem w samej rzeczy, że większość naszych pedagogów z końca XVIII-go i pierwszej połowy bieżącego wieku stosunkowo przewyższa znacznie dzisiejszy poziom naszego wyrobienia pedagogicznego.—Ustawy Komisji Edukacyjnej (1783), oraz prace A. Kamińskiego (1774), M. Krajewskiego (1777), G. Piramowicza (1787), W. J. Choynackiego (1815), A. Kiszewskiego (1847), A. Marcinowskiego (1851) i innych, zawierają w sobie bez wątpienia zdrowsze i racjonalniejsze poglądy na sprawę nauczania początkowego, aniżeli te, jakie dzisiaj u nas cieszą się największą popularnością. Pan Dawid, który zna zapewne dobrze nasze stosunki pod tym względem, wyznaje np. otwarcie (str. 213), że praca Choynackiego odpowiada „najzupełniej ówczesnemu poziomowi wiedzy pedagogicznej,—poziomowi, do którego, niestety, i dziś jeszcze większość naszych nauczycieli się nie wzniosła.“ A do tego od siebie dodać możemy, że, ze względu na zasady wychowania *moralnego*, sam p. Dawid mógł być więcej skorzystać z owych prac naszych pedagogów, aniżeli to uczynił w istocie. W każdym razie, nie mamy powodu pogardzać naszym własnym dorobkiem naukowym, a karmić się wyłącznie okruchami, spadającymi z obcych stołów,—jak to się dzieje od tylu lat pod wpływem lekceważenia swojskiej tradycji i przesadnej uległości dla importowanego towaru.

Krytyka różnych celów i zadań początkowego nauczania, podana przez p. Dawida, odznacza się wogóle rozwagą, spokojem, samodzielnością sądu i opartą jest nie tylko na szerokiej wiedzy, lecz i na doświadczeniu życiowym. Nawet i tam, gdzie czytelnik, idąc za własnym

zdaniem, z krytykiem się nie zgadza, argumenta jego dają zazwyczaj do myślenia i zmuszają do głębszego rozpatrzenia kwestyi spornej.

Z pomiędzy wielu uwag krytycznych, wypowiedzianych w tym wstępie historycznym, a świadczących o pewnej niezależności sądu autora od rozgłoszonych haseł, zaznaczamy tu tylko kilka, godnych szczególnego uwzględnienia.

Rozpatrując zasadę kształcenia mowy dziecka i wspomagania nauki języka, bronionej przez Pestalozzego i jego zwolenników (Grossmann, Vogl, Klauwell, Kehr i inni), autor wykazuje wysoką doniosłość mowy w nauczaniu i przyznaje, że jednym z najważniejszych zadań pierwszego nauczania będzie zawsze uzdolnienie dziecka do rozumienia, wymawiania i posługiwania się odpowiednim zasobem słów, oraz nauka czytania. Ale słusznie dowodzi, że wyrazy, wymawiane, pisane lub drukowane, są tylko znakami pewnych rzeczy i że nie można zapoznawać dziecka ze znakami wtedy, gdy obcą mu jest rzecz oznaczona. Mowa jest tylko *narzędziem* myśli, z którego dziecko nie będzie mogło zrobić użytku, jeżeli mu nie podamy treści do wyjaśnienia, udokładnienia lub utrwalenia. A treść taką dziecko znajduje tylko w samych rzeczach, więc od nich zacząć należy. Z tego też stanowiska krytykuje autor głośną metodę *wyrazów podstawowych* i dochodzi do wniosku, że ćwiczenia językowe i nauka czytania powinny się opierać na zużytkowaniu przedmiotów, poprzednio metodycznie w nauce o rzeczach przez dziecko poznanych (str. 15 i nast.).

Większą jeszcze doniosłość mają uwagi autora ze względu na zasadę kształcenia *zmysłów* (Rousseau, Basedow, Guts-Muths, Fröbel, Delher i inni), oraz *zdolności postrzegawczej* (Stoy, H. Spencer, Finger, Miss Youmans, Dygasiński). Autor wykazuje dowodnie całą powierzchowność tej zasady w stosunku do nauczania początkowego. Ponieważ zmysły są środkiem poznawania rzeczy, mówi autor, więc zwolennicy owej zasady sądzą, że, kształcąc zmysły, uzdalniają umysł zarazem i do poznawania rzeczy. Jest to jednak błąd logiczny, gdyż jeden z warunków bierze się tutaj za ogół. Bez zmysłów rzeczy poznawać nie można, ale czyż stąd wynika, że kto ma dobre zmysły, ten umie już poznawać rzeczy? Wrażenie zmysłowe jest tylko punktem wyjścia, bodźcem, który wywołuje w umyśle określoną grupę pojęć; nie jest ono obrazem rzeczy, odbijającym się w oku lub w innym organie zmysłowym, lecz jest raczej *symbolem* tylko, pod który podłożyć dopiero trzeba obrazy właściwe, jest *znakiem*, który trzeba rozumieć. Podobnie jak nie ten dobrze czyta, kto ma dobry wzrok, lecz ten, kogo nauczono czytać, tak też i postrzegać umiemy rzeczy nie w miarę doskonałości naszych zmysłów, lecz wedle tego, ile i jakie posiadamy wyobrażenia, odpowiadające znakom, przez zmysły dostarczanym. Postrzeżenie nie

jest tedy prostem wrażeniem czegoś istniejącego wogóle, jako pewna barwa, forma i t. p., lecz jest to złożona *świadomość* rzeczy, mającej pewną barwę, kształt, wielkość, położenie, nazwę i t. p. Więc też, nie ulegając z góry powziętemu „filozoficznemu doktrynerstwu,“ ani „mętnym pojęciom,“ należy dziecko wprost zapoznawać z rzeczami, nie zaś kształcić osobno przygotowawcze warunki takiego poznawania (str. 55 i następne).

Z równą trafnością ocenia autor niewłaściwe zastosowanie zasady *poglądowej*. Wykazuje on całą niedorzeczność owej praktyki, dowodzącej, że wszystko jedno, na co, byle tylko poglądać, gdy niektórzy pedagogowie (np. Wiedemann) poświęcają siedm do dziesięciu stronic dużej ósemki na „nauki“ o krześle, o szklance, o garnku! Karci też autor surowo brak szczególnie u nas zrozumienia właściwych zasad metody *poglądowej*, a zarzut ten dotyczy nie tylko publiczności, lecz i osób z profesyi nauczających. Kontentowano się u nas, mówi autor, po większej części „frazesem“ o nauczaniu *poglądowym*. Pojawił się nawet osobliwy rodzaj „postępowych“ nauczycielek, tak zwanych „z metodą *poglądową*,“ ale w praktyce ta *poglądowość* stawała się śmieszoną „farsą,“ szkodliwą dla dzieci, i służyła tylko za środek „bałamucenia“ publiczności (str. 70 i nast., 270 i nast.).

Wreszcie nie oszczędza krytyk i przesady, jaka się wytworzyła wskutek jednostronnego rozwoju *realizmu* w początkowem nauczaniu, polegającego na udzielaniu dziecku wiadomości faktycznych, rzeczowych, zamiast średniowiecznego wpajania w umysł pojęć ogólnych i wyrazów. Wymaganie w zasadzie słuszne, wygłoszone już przez Komeńskiego, Locke'a, Rousseau i innych. Lecz cóż z niego, za przykładem Basedowa, zrobili współcześni przedstawiciele zasady udzielania dziecku *pozytywnych i użytecznych wiadomości!*

A. I. Bain w programie nauki o rzeczach chciał-by widzieć nie tylko lekcye o roślinach, zwierzętach i mineralach, lecz i lekcye z mechaniki, fizyki, chemii, jak o ruchu, ciężkości, ciepłe, elektryczności, świetle, magnetyźmie, o zjawiskach atmosferycznych i t. p., niemniej z technologii, o kredzie, wapnie, szkle, siarce i t. p., wogóle domaga się on, aby otworzono dziecku jak najwcześniej „trzy wielkie dziedziny: historii naturalnej, nauk fizycznych i sztuk użytecznych, czyli wszystkiego, co służy do potrzeb życia codziennego.“ N. A. Calkins dodaje do tego osobne lekcye o pieprzu, cynamonie, gwoździkach, imbirze, sago, sodzie, mydle, świecach, kamforze, fiszbinie, kicie szklarskim i t. p. Sheldon uzupełnia te wiadomości „realne“ jeszcze lekcyami o korku, kauczuku, laku, opłatku, wosku, oleju, bawelnie, wełnie, dalej o fabrykacyi szkła, materyi jedwabnych, fajansu, porcelany, igieł, gwoździ, nożów, piór stalowych i t. p. A francuski pedagog, d-r Safray, w swoich „Le-

cons de choses“ (5-te wyd. 1882) sprowadza nauczanie początkowe do popularnego wykładu nietylko technologii, lecz poprostu towaroznawstwa, z uwzględnieniem wszystkich prawie gałęzi rękodzielnictwa, przemysłu i handlu. Nie brak tam i takich „ciekawych“ wiadomości, jak np., że spożycie cukru wynosi we Francyi rocznie 5 kilogramów na osobę, w Anglii 15, a w Rosyi i Hiszpanii tylko zaledwie 800 gramów. Chcąc przytem posiłkować się metodą poglądową, d-r Saffray zaleca usilnie, aby objaśniono dzieciom wszystkie te „użyteczne“ wiadomości przy pomocy „zbiorów okazów i próbek.“

Wiadomo, że takie zbiory okazów, ponaklejanych na kartonach i poukładanych w skrzyneczkach, pojawiały się i u nas, wywołując wielkie uznanie publiczności i pedagogów, przepadających z zasady za „nowościami;“ ubolewano nad tem tylko, że takie użyteczne i piękne rzeczy sprowadzać trzeba aż z zagranicy. Na to nasz autor odpowiada ironicznie, że istotnie wyrobem takiej „poglądowości“ trudnią się przeważnie Niemcy, choć tylko—na wywóz, dla krajów bardziej naiwnych, gdyż w ich programach szkolnych napróżno-byśmy czegoś podobnego szukali (str. 90 i nast.).

Cały ten przesadny realizm i utylitaryzm zbija p. Dawid drastyczną uwagą, że wspomnieni pedagogowie podobni są do człowieka, który sądzi, iż, chcąc utyć, powinien jeść dużo—słoniny. W samej rzeczy, mówi, wśród pewnych szczególnych okoliczności, np. gdy chodzi o pracę zarobkową, może być człowiekowi bardzo pożytecznem, lub nawet potrzebnem, wiedzieć, jak się drukują płócienka, z czego się otrzymuje batyst, a z czego perkal, jak się robi atrament lub drukują książki i t. p. Ale w chwili, gdy wiedzieć nie możemy, czy wychowaniec nasz robić będzie płótna, czy książki, czy jeszcze co innego, kwestye te nie mają dla nas bezpośredniego znaczenia. Nauczanie początkowe musi mieć charakter *ogólny*, udzielać powinno takich wiadomości, które potrzebne są *każdemu*, z tytułu, iż jest człowiekiem i członkiem społeczności. Nadto nauczanie początkowe nie ma celu w samem sobie,—nie chodzi tu o nauczanie tego lub owego, dlatego, ażeby człowiek to umiał; lecz jest ono tylko *środkiem* wychowania. Dla nauki takiej wyobrażenia, pojęcia, wogóle wiedza pozytywna, jakiej udziela, jest jednym tylko terminem stosunku, którego terminem drugim i głównym jest: *wola i charakter* wychowawca i jego przyszła dzielność umysłowa. Stąd zadanie nauczania, według autora, polega na tem, aby przez wprowadzanie do umysłu wyobrażeń, czyli tak zwanej wiedzy, w określonym wyborze, uporządkowaniu i formie: 1) oddziaływać na wolę i w sposób trwały urobić *moralny charakter* wychowawca; 2) umysłowi jego nadać tę dzielność, dzięki której będzie on chciał i umiał tę szczerą wiedzę, jaką nauczanie początkowe dać mu może, samoistnie zastosować

i pomnażać wedle życiowych wymagań. Dlatego też autor słusznie twierdzi, że przedmiot nauczania początkowego odpowiadać musi dwom warunkom jednocześnie, t. j. posiadać winien *wartość etyczną*, przedstawiać punkta oparcia dla pewnych *idealnych* uczuć i kierunków woli, i powtórę, być dość elementarnym, prostym i podstawowym, czyli z każdej sfery dawać tylko *pierwiastki* wiedzy (str. 103 i nast.).

Oto zdrowe, racjonalne zasady, które autor przeciwstawia jednostronnemu realizmowi w naszej sprawie, zasady, do których będziemy musieli powrócić przy bliższem rozpatrzeniu celu i treści początkowego nauczania.

Krytyka rozlicznych poglądów na zasady początkowego nauczania doprowadza autora do przeświadczenia, że żaden z zaznaczonych powyżej celów specjalnych tego nauczania, wydobywających się na jaw w historycznym rozwoju nowoczesnej pedagogiki, nie daje się z doktrynerską wyłącznością zastosować do praktyki. W tych różnych celach i zadaniach p. Dawid widzi tylko *zasady ogólne*, które przy właściwem ich rozumieniu znaleźć winny zastosowanie we *wszelkiem* nauczaniu, a zatem nie charakteryzują należycie celu i zadań owego początkowego, przedszkolnego nauczania. I tak, jeżeli *realizm*, jak widzieliśmy, zwraca przede wszystkim uwagę na materiał faktyczny nauczania, to zasada ta, według naszego autora, nie określa specyficznej treści nauczania początkowego, lecz dotyczy w istocie wszelkiego wogóle nauczania. Albo gdy Pestalozzi i jego zwolennicy, występując przeciwko metodzie mechanicznej i pamięciowej, domagali się kształcenia zdolności myślowych dziecka przy pomocy „nauki mowy, ćwiczeń zmysłów, zdolności postrzegawczej, rozumu i t. p.“, a zatem bronili zasady *formalnego rozwoju* umysłu dziecięcego, to nasz autor nie widzi w tem żadnej szczególnej właściwości początkowego nauczania, lecz ogólny czynnik metodyczny, którego w pedagogice nigdy z oczu spuszczać nie należy. Nareszcie i nowoczesna zasada *poglądowości* nie zaznacza rysu charakterystycznego nauczania przedszkolnego, jak to sądzą niektórzy pedagogowie, mówiąc o osobnej „nauce poglądu“ (*Anschauungsunterricht*), lecz jest ona także tylko ogólnem wymaganiem dydaktycznem, obowiązującym w równej mierze nauczycieli małych dzieci, jak i nauczycieli szkół średnich i wyższych. Całe nauczanie, mówi autor, powinno być *realnem, formalnie rozwijającym i poglądowem*, a więc i nauczanie przedszkolne. W tem wszystkim niema nic, coby dało dokładne pojęcie o specjalnym celu i zadaniach pierwszego nauczania.

Po-za zakresem powyższych wielce doniosłych *zasad ogólnych* nauczania, jedynym pozytywnym wynikiem, co do naszej kwestyi, wyprowadzonym przez autora z historyczno-krytycznego rozbioru dotyczą-

czasowych poglądów na tę sprawę, jest to, że przedstawiciele najrozlicniejszych kierunków uznają zasadniczą ideę nauki przedszkolnej o charakterze *przygotowawczym* i *podstawowym*. Wszyscy zgadzają się, mówi autor, że jedyną pierwszą nauką dziecka nie może być nauka czytania i pisania, że przedmiot ten poprzedzić winno pewne inne nauczanie, „lepiej odpowiadające danemu momentowi umysłowego rozwoju i zaczepiające o koło dotychczasowych interesów i wyobrażeń dziecka.“

Doszedłszy do takiego wyniku, autor obiecuje we własnym rozborze naszej kwestyi przyjąć za punkt wyjścia owe wspólne i żywotne pierwiastki dotychczasowego rozwoju pedagogiki, które, pracą wielu znakomitych umysłów wyrobione a doświadczeniem stulecia wyprobowane i stwierdzone, dają możność wyjaśnić rzeczywisty cel nauczania początkowego. Nadto zamierza w sposób należyty uwzględnić prawa życia psychicznego, stanowiące podstawę wszelkiej racjonalnej działalności pedagogicznej. Jedno i drugie poda i nam sposobność do rozpatrzenia tej sprawy ze stanowiska różnego pod wieloma względami od poglądów autora.

### III.

#### Dane psychologiczne.

Cechą charakterystyczną współczesnego nastroju umysłowego narodów oświeconych jest górowanie *nauki*, więc teoretycznych i abstrakcyjnych funkeji myśli, nad resztą czynników życia psychicznego, nad objawami uczucia i woli. Rys ten można nazwać *intelektualizmem* w różnicy od romantyzmu poprzedniej doby. Brak nam bezpośrednich, elementarnych porywów uczucia, więc i objawów jego twórczości, — geniuszów, prawdziwie wielkich poetów i mistrzów piękna; brak nam również silnej, energicznej woli, więc napróżno szukamy wielkich charakterów, opatrnościowych reformatorów na polu religijnem, społecznem, państwowem, mężów, działających otwarcie z bezwzględną energią i porywających za sobą masy do działania.

Wielkość nasza polega na naszej *wiedzy* i jej wielostronnem zastosowaniu. Ale po-za zakresem naszej *wiedzy*, *nauki*, jesteśmy mali, bardzo mali! W poezyi i sztuce znać wszędzie wysiłek, tworzenie według teoretycznego szablonu, drobnostkową refleksyjność. Niema między nami śmiałków, chwytających odważnie Pegaza za złote cugle i rzucających z wyżyn obłocznych pioruny i błyskawice na ziemię. W praktyce życiowej kontentujemy się chwiejnym oportunistem, a heroizm nasz występuje na jaw prawie wyłącznie tylko w awanturach

podróżniczych i przemysłowych, lub, co najwięcej, w skrytych przedsięwzięciach samobójców i zbrodniarzy!

Za to *wiemy* jak najlepiej, jak się to wszystko odbywa; na wszystko mamy gotowe naukowe teorie; wzniosłe uczucia i wielkie czyny objaśniamy przy pomocy mechanicznej gry najprostszych czynników psychicznych; sprowadzamy nawet do wspólnego mianownika *geniusz* i *obłąkanie!*

Otóż, ten-to intelektualizm zawładnął i współczesną pedagogiką. Wiedza, wiedza, wiedza! oto jej hasło prawie wyłączne, zastosowane nie tylko do wyższego i średniego, lecz i do początkowego nauczania. Poimy dzieci nasze od maleństwa *wiedzą*, niby eliksirem życiodajnym, który ma wątlą ich duszę napelnić odwagą do późniejszej twardej walki o byt. Napychamy ich żołądki umysłowe śmietanką, zbieraną skrzętnie z najnowszych zdobyczy nauki, i przekonani jesteśmy, że, dzięki temu posilnemu pokarmowi, nie uczują już nigdy żadnego głodu duchowego na drodze swego żywota. Toteż nasza młodzież męska i żeńska już w średnich zakładach naukowych tak jest mądrą, tak gruntownie obeznaną ze wszystkim, co na świecie przed milionami lat się działo, co się dziś dzieje i co w najodleglejszej przyszłości dzieć się będzie, — że nic dla niej nowego pod słońcem już niema, że wszystko, czem-by się jeszcze mogła z bogacić umysłowo, jest tylko drobnostką w porównaniu z tem, co już wie, z czem ją już mistrze wiedzy zapoznali w zasadniczych podstawach. Przecież wie ona już, że wszystko na świecie podlega stałym, niewzruszonym prawom *natury*, i poznała też główne artykuły tego kodeksu natury, — więc cóż jeszcze może być dla niej nowego, co-by nie dało się podporządkować pod ściśle określone prawa, co-by się nie dało przy ich pomocy przewidzieć z większym lub mniejszym prawdopodobieństwem? Nawet historia, twórczość dziejowa ludzkości, już jej nie interesują, bo to także nic innego, jeno jeden z objawów, poddanych znanym prawom „natury.“

Jak we wszystkim, tak i pod tym względem, lubujemy się w przesadzie, i albo nie kierujemy się w wychowaniu żadnymi racjonalnymi zasadami, albo też doprowadzamy zastosowanie zasad „naukowych“ do karykaturalnej ostateczności.

Ten fetyszizm wiedzy pociąga za sobą zupełne zaniedbanie i nawet zdziwienie objawów uczucia i woli w dzisiejszem pokoleniu. Osławiona „nerwowość“ naszych czasów w tem zdziczeniu ma swoje źródło psychiczne. Człowiek, pozbawiony zdrowego uczucia i normalnej energii woli, jest w oczach lekarza zawsze „nerwowym,“ bo, nie mając w samym sobie opory psychicznej, staje się igraszką rozdrażnień, wywoływanych przez byle jakie podniety zewnętrzne. Więc też nie dziw, że, pomimo wszelkiego wykształcenia intelektualnego, ta „nerwowość,“



to zdziczenie uczucia i woli popycha dzisiaj nawet delikatne panie z wyższego świata do najbrutalniejszych zbrodni, a takich mędrców, jak np. Fr. Nietzsche, który otwarcie z zasady zaprzeczał wszelkiej moralności, nawet prawu sądenia zbrodniarzy, doprowadza do domu obłąkanych.

Prawda, że i w dawniejszych czasach nie dbano w sposób zbyt racjonalny o wykształcenie uczucia i woli młodzieży. Ale ogólny nastrój estetyczny i etyczny czasu ożywiał i te strony życia umysłowego, a nadto młodzież nie była do tego stopnia absorbowaną wymaganiami szkolnemi, samą tylko *wiedzą*, jak obecnie. Miała ona więcej czasu do zaspokojenia potrzeb uczucia i woli, mogła z większą swobodą oddawać się swym idealnym porywom, zbierać na wzór pszczoły słodycze z różnobarwnych kwiatów literatury nadobnej, sztuki pięknej i życia. Dzisiaj, wobec wymagań „nauki,” wciskających się do pokoiów dziecięcych, o tem wszystkim mowy już być nie może. Dziecko ma dzisiaj ciągle nad sobą nauczyciela lub nauczycielkę; nawet bawić się nie może na swój sposób, według *swejej* fantazyi, lecz i pod tym względem podlegać musi „naukowym” zasadom. Policyant wiedzy naukowej śledzi każdy jego ruch, każde słowo jego i dba tylko o to, aby doprowadzić do sztucznego rozkwitu zdolności intelektualne, *myśl* drobnej dziecięcy!

Tymczasem nie *myśl*, lecz *uczucie* stanowi rdzeń naszego ustroju psychicznego. W niem, a nie w abstrakcyjnej myśli, ześrodkowywa się indywidualność żywej istoty. Jak się *czujemy*—to stanowi główną treść naszego bytu, a nie to, jak o sobie myślimy.

Myśl jest światłem, uczucie ciepłem życia psychicznego. Któż zaprzeczy wielkiej doniosłości światła fizycznego i psychicznego, ale ciepło fizyczne i psychiczne są czynnikiem bez porównania żywotniejszem w ustroju wszechświata. Bez światła, w bezwzględnej ciemności żyją miliony istot, i najwyższe organizmy mogą żyć, pozbawione światła, — ale zimno bezwzględne równa się śmierci; bez pewnego stopnia ciepła niema życia. Więc ciepło jest koniecznym warunkiem, a może i współczynnikiem życia. Toż samo powiedzieć należy o *uczuciu* w stosunku do życia psychicznego. Życie psychiczne może istnieć i bez myśli, ale bez uczucia go niema. Istota, pozbawiona samoczucia, nie żyje psychicznie. Sen przerywa działanie świadomej siebie myśli, ale uczucie nie śpi; czuwa ono zawsze w głębi naszego jestestwa, stoi na jego straży, zrywa się w każdej chwili, gdy tego wymagają potrzeby życia.

Doniosłość uczucia dla życia psychicznego wzmaga się jeszcze w skutek tej okoliczności, że wola, ruchy i działanie, zależą w znacznej części od jego impulsów. Jeżeli myśl rozpatruje i wyjaśnia cele działania, to uczucie podnieca wolę ciągle na nowo, stanowi sprężynę, pobudzającą naszą energię i wprawiającą w ruch jej objawy na ze-

wnątrz. To też właściwą istotą naszej indywidualności, naszą *osobą*, *jaźnią*, nie jest *świadomość myślowa*, *samowiedza*, ten sporadyczny kwiat życia psychicznego, występujący na jaw tylko peryodycznie, wśród szczególnych warunków, lecz istotą tą jest bezpośrednio poczucie naszego indywidualnego bytu, nasze *samoczucie*, podobne do korzeni, które nadają roślinie moc i trwałość, i nadto, łącząc ją z gruntem życiodajnym, warunkują jej wzrost i rozwój.

Uczucie jest to bezpośrednio przejęcie się żywej istoty własnymi swymi stanami. Zmiana tych stanów, wywoływana bądź przez bodźce zewnętrzne, bądź przez wewnętrzne czynniki, pociąga za sobą i zmianę uczuć. We wszystkich tych zmianach działa jednak jedna zasadnicza dążność, wypływająca z natury każdego ustroju,—a mianowicie dążność do pozostawania sobą, czyli tak zwany popęd *zachowawczy*. Ale przez ten termin nie należy rozumieć tylko dążności do zachowania bytu, istnienia, życia wogóle, lecz daleko szerszą i donioślejszą dążność do wszechstronnego rozwoju złożonych w danej istocie zarodków, do przejawu całej pełni jej sił żywotnych. W tem znaczeniu popęd zachowawczy odnosi się nie tylko do teraźniejszości, lecz obejmuje zarazem całą przyszłość żywej istoty; nie ma na oku tylko tego, czem ona jest obecnie, lecz i to wszystko, czem być może, odpowiednio zarówno do swego przyrodzonego typu, rodzaju, jak i do swych zdolności i aspiracji indywidualnych. Z tego szerszego stanowiska, popęd zachowawczy daleko właściwiej należało-by nazywać *popędem życiowym*.

Z istotą uczucia łączą się bezpośrednio objawy psychiczne *woli*. To nie jest jakaś odrębna władza lub zdolność, dająca się oderwać od uczucia, lecz jest jego nierozdzielalnym współczynnikiem, jak to się już wykazuje z łączności uczucia z popędem życiowym. Różnica pomiędzy uczuciem i wolą polega tylko na różnym stopniu rozwoju jednego i tegoż samego czynnika psychicznego, a w istocie na różnostronnych objawach owego popędu życiowego. Przejęcie się danym żywym stanem jest *uczuciem*, a dążność do jego zmiany jest *wolą*. Póki zatem oddajemy się naszym stanom podmiotowym, przyjemnym lub nieprzyjemnym, miłym lub wstrętnym, póki te stany zmieniają się wskutek warunków od nas niezależnych, bez naszej własnej dążności do ich zmiany, dopóty pozostajemy w zakresie *uczucia*. Z chwilą zaś, gdy uczuwamy sami *dążność* do zmiany danego stanu faktycznego, bądź w celu przejścia od nieprzyjemnego stanu do przyjemnego, lub od przyjemnego do przyjemniejszego, lub wreszcie w celu zmiany dla zmiany,—wnet uczucie staje się *wolą*, bo przechodzi w popęd, dążność, działanie, ruch, a wreszcie w czyn, zmieniający zewnętrzne warunki bytu, więc i podmiotowe stany danego żywego jestestwa.

Nie trudno wskutek tego zrozumieć, że źródłem naszej woli i naszych czynów są zawsze nasze *uczucia*. Każdy człowiek tak działa, jak czuje w głębi swego jestestwa. Może on często, dla względów ubocznych, zamaskować prawdziwe dążności swego uczucia i czynami swemi okłamywać innych co do tych uczuć, — ale i te kłamliwe czyny stają się w gruncie rzeczy objawami obłudy, jako nastroju uczuciowego człowieka, i nadto, przy każdym silniejszym poruszeniu uczucia występuje na jaw jego treść prawdziwa i zadaje sama kłam owym czynom obłudnym, potwierdzając prawdę o bezwzględnej zależności czynów od uczuć.

Stosunek objawów *myślenia*, a zatem wyobrażeń, pojęć, sądów, wniosków, rozumowania do uczucia i woli przedstawia się tak jasno, że błędne w tym względzie poglądy, które były panującymi w psychologii aż do niedawnego czasu, mogły powstać tylko wskutek doktrynerstwa, przechodzącego bezmyślnie koło najoczywistszych faktów życia psychicznego. Myśl jest wyższy wytwór rozwoju umysłowego, zależy w swych zasadach od działania poprzednich czynników uczucia i woli. Jeżeli ze stanowiska przedmiotowego mogliśmy porównać myśl wogóle ze światłem, — to w ustroju psychicznym istot myśl ma toż samo znaczenie, jak *wzrok* w ustroju fizyologicznym. Można nawet, zdaje się, twierdzić, że myśl, a w szczególności pierwiastkowe jej objawy, to jest wyobrażenia, zjawiają się dopiero u istot, obdarzonych wzrokiem. Uczucie i wola mogą istnieć bez światła myśli, ale myśl żadna faktycznie nie istnieje bez odpowiedniego, czynnego udziału uczucia i woli <sup>1)</sup>.

Psychologia asocjacyjna, sprowadzająca całe życie umysłowe do mechanicznego kojarzenia się pojęć według praw tożsamości, kontrastu, współlistnienia i następstwa, zapomina, że działanie tych praw, odnosząc się wyłącznie do sfery *wrażeń* zmysłowych, nie jest zdolnem objaśnić najelementarniejszych objawów myśli *logicznej*. Łączność bowiem logiczna myśli wypływa z odrębnych praw ustroju umysłowego i dokonuje się zawsze tylko pod wpływem pewnych podmiotowych impulsów uczucia i pewnego naprężenia energicznej woli. Tutaj zatem nie może być już mowy o procesie, odbywającym się sam przez się, mechanicznie, lecz jest to proces, wynikający zawsze z samodzielnej czynności istoty

---

<sup>1)</sup> Jeśli niektórzy psychologowie (np. Höfding) przyjmują działanie *myśli* nawet u najniższych żyjątek, to czynią to tylko dlatego, że nie mogą sobie wyobrazić elementów uczucia lub dążenia bez myśli. Ale jest to tylko wynik przeniesienia subiektywnych doświadczeń na pole obiektywnych danych. Obdarzeni wzrokiem nie mogą sobie wyobrazić poglądu na świat niewidomych. Podobnie trudno nam wyobrazić sobie uczucia bez myśli, — a jednak faktycznie u najniższych istot śladów myśli, wyobrażeń i pojęć o rzeczach nie napotykalmy.

czującej i chcącej, rozpatrującej rzeczy wskutek osobistego w nich udziału. To też nie można wywierać wpływu na obce myśli, na *przekonanie* innych ludzi, przy pomocy samej tylko działalności myśli, nie oddziałując zarazem na ich uczucie i wolę, na cały ich nastrój psychiczny.

Brak wyrobionej *myśli*, a zatem jasnych i prawdziwych wyobrażeń, pojęć, sądów, w rozwoju umysłowym człowieka porównać tylko można z brakiem *wzroku*, jasnego poglądu na świat. Człowiek taki chodzi jakby omackiem, nie widząc dobrze, co go otacza. Ale jeżeli taki człowiek posiada zdrowe uczucie i dobrą wolę, to daje sobie radę w życiu, podobnie, jak niewidomi często bardzo oryentują się wśród swego otoczenia, chodzą i dokonywają różnych czynności, kierując się innemi zmysłami, a szczególniej dotykem. Przeciwnie, brak wyrobienia *uczucia* i *woli*, nienormalność ich rozwoju lub ich przytępienie równa się paraliżowi częściowemu lub całkowitemu systematu nerwowego, bo pozbawia człowieka możności naprężenia swych sił na korzyść własnej swej kultury i działania wogóle w jakimkolwiek pożytecznym kierunku.

Oto dane psychologiczne o największej doniosłości życiowej. Jesteśmy dla siebie, dla rodziny, dla społeczeństwa, dla świata, w gruncie rzeczy tem, czem się być czujemy. Wartość nasza istotna sprowadza się do naszych uczuć, bo wszystko, co tylko posiadamy: nasze życie, nasze siły fizyczne i zdolności umysłowe, nasze środki materialne i naszą władzę, jednym słowem, cały zasób naszych dóbr, używany na dobre lub złe, z pożytkiem lub szkodą dla siebie lub innych, stosownie do naszych *uczuć*, zależnie od ich rozwoju i kultury. Wszystko w życiu jest dla nas tylko *środkiem* wobec *celów*, wypływających z nastroju naszych uczuć. Dlatego też wewnętrzną, etyczną wartość człowieka oceniamy nie wedle samych czynów, lecz przede wszystkim wedle *motywów*, powodujących czyny jego. A motywami są zawsze tylko *uczucia*.

Ponieważ uczucia wyrażają bezpośrednio stany, w których się znajdujemy, a stany te zależą nietylko od przyrodzonego nastroju naszego jestestwa psychicznego, lecz i od rozlicznych warunków zewnętrznych, wśród których żyjemy, przeto te warunki zewnętrzne są potężnym czynnikiem rozwoju i kultury naszych uczuć. Zmieniając warunki bytu danej istoty, zmieniamy zarazem i jej nastrój uczuciowy, a nadając tym warunkom bytu charakter stały, wywołujemy i stały nastrój uczuciowy, który, równoważąc się z nastrojem przyrodzonym jestestwa, stać się może z czasem jego drugą naturą. Świadczy o tem najdobitniej nastrój psychiczny zwierząt oswojonych w porównaniu z takimże nastrojem ich dzikich przodków.

Z powyższego wynika, że najpotężniejszym czynnikiem wychowania, to jest kształcenia samej istoty wychowawca, wyrobienia z niego człowieka, przybliżającego się do naszego ideału, nie jest *wiedza*, napełnianie jego umysłu choćby najpożyteczniejszymi wiadomościami, lecz postawienie go wśród takich realnych warunków życia i rozwoju, które, wpływając na jego nastrój psychiczny w sposób stały, nadały-by również charakter stałości pewnym zasadniczym uczuciom, zdolnym unormować w duchu właściwym jego dążności, a z czasem nawet i całe jego samodzielne postępowanie w życiu.

W dziecku od maleństwa wytwarza się pewne *samoczucie*, zależne w znacznej części od warunków jego bytu i od zachowania się względem niego otoczenia. Dziecko może się np. czuć panem, despotą swego otoczenia, choć nie ma *wiedzy* o tem, co to jest pan, despota, jeżeli otoczenie we wszystkim mu ustępuje, jeżeli w niczem nie ogranicza jego zachcianek, samowoli. W takim położeniu czuje się dziecko, jako punkt środkowy dostępnego dla niego świata i sądzi, że wszystko około niego tylko się obraca. Nie przywykając do ograniczania swych bezpośrednich popędów uczuciami, wywołanymi przez otoczenie, np. uczuciem uległości dla starszych, posłuszeństwa, szacunku dla nich i t. p., staje się z czasem chwiejnem w sobie, kapryśnem, bez wyraźnego kierunku w swych dążnościach, bo jego życie wewnętrzne pozostawało w ciągłej wibracyi, w ciągłym ruchu i niespokoju, pod wpływem zmiennych warunków zewnętrznego bytu, a wśród tego niespokoju nie mogły się w niem rozwinąć żadne uczucia wytyczne, kierownicze, zdolne w niem wyrobić charakter stały, z energicznie określonymi dążnościami. Z drugiej znowu strony, przy pomocy realnego ustosunkowania indywidualności dziecka do jego otoczenia, zaszczepić możemy w jego sercu pewne stałe uczucia, np. uczucie zależności od wyższego, stojącego nad niem, porządku rzeczy, przywiązania do rodzeństwa, domu, kraju, współczucia, zadowolenia z usług, okazywanych innym, z porządku, ładu i piękności, ze spełnienia obowiązków, z poznawania rzeczy i t. p. i przez to zdolni jesteśmy samo *źródło* jego życia psychicznego ująć w pewien kształt normalny i wyźłobić koryto jego dalszego biegu. A wtedy wychowanie nie ma już charakteru zewnętrznej tylko przeróbki wychowawca, nie nadaje mu tylko ogłady konwencyonalnej, ani też nie bogaci go tylko zasobami obcej wiedzy, lecz wnika w samo jądro jego bytu, kształci go tak, że on sam w sobie staje się innym, że z własnego popędu, wskutek swobodnych porywów własnej istoty, czyni zadość racjonalnym wymaganiom wychowawcy. Kultura nie dotyka już teraz tylko zewnętrznego wyglądu ludzkiej latorośli, nie uszlachetnia tylko jej widocznych i dotykalnych objawów, lecz obejmuje zarazem korzenie, z których wyrasta, i grunt, na którym rośnie, a wskutek

tego poprawia jej soki, staje się procesem organicznym, życiowym, zamiast mechanicznego wzrostu zaszczeplonej obcej róższki na dzielku drzewie.

Nie chcąc odbiegać zbyt daleko od naszego przedmiotu, nie możemy tutaj rozwinąć szczegółowiej powyższego poglądu na zasadnicze znaczenie uczucia i woli w życiu umysłowym. Po wszechstronne wyjaśnienie tej kwestyi odsyłamy czytelnika do prac Nahlowskiego <sup>1)</sup>, Horwicza <sup>2)</sup>, Volkmana <sup>3)</sup>, Krausego <sup>4)</sup>, Wundta <sup>5)</sup> i innych.

Wracając do p. Dawida, z żalem zaznaczyć tutaj musimy, że chociaż w dziele swoim obszerne rozdziały poświęca *danym psychologicznym* (str. 297 do 445), i mówi szczegółowo o *przyswajaniu umysłowym*, o *rozwoju umysłowym* i o *dziecku*, to jednak ledwo tu i owdzie wspomina pólslówkiem o uczuciu i woli. Zdawać-by się mogło, że te objawy psychiczne dla niego mają znaczenie zupełnie podrzędne. *Przyswajanie* umysłowe, asymilacja treści zewnętrznej, oto prawie jedyny proces psychiczny, który dla niego ma doniosłość pedagogiczną, który uwzględnić należy przy nauczaniu. Nie myślimy bynajmniej lekceważyć tego czynnika i ze szczerem uznaniem wspominamy o pouczających wywodach autora pod tym względem. Ale kwestya: jak treść zewnętrzna oddziaływa na *uczucie* dziecka i w jakim stosunku się znajduje do *życiowych* objawów jego *woli*, a przede wszystkim: jak należy *kształcić* uczucie i wolę dziecka, jest dla nas nie mniej ważną; kwestya zaś ta naszego autora prawie wcale nie zajmuje. Nawet przy rozpatrzeniu *rozwoju umysłowego* autor zastanawia się głównie nad „rozwinięciem elementarnych zdolności *przedmiotowego poznawania*,” a przechodząc następnie do rozbioru warunków rozbudzenia umysłowego *interesu*, znowu jedynie dla „rzeczy i zjawisk konkretnych,” ogranicza się zaznaczeniem, że przez uwagę, będącą głównym czynnikiem zainteresowania,

<sup>1)</sup> J. Nahlowsky: „Das Gefühlsleben.“ 2-ie wyd. 1884.

<sup>2)</sup> A. Horwicz: „Psychologische Analysen.“ T. I. 1872, str. 231 i nast. 350 i nast., a szczegółowiej druga część t. II-go: „Analyse der qualitativen Gefühle.“ 1878.

<sup>3)</sup> W. Volkman: „Lehrbuch der Psychologie.“ 2-gie wyd. 1876. T. II, str. 289 i nast.

<sup>4)</sup> Alb. Krause: „Die Gesetze des menschlichen Herzens.“ 1876.

<sup>5)</sup> W. Wundt: „Physiologische Psychologie,“ 2-gie wyd. T. I, str. 494 i nast., T. II, 327 i nast., tegoż „Ethik,“ 1-sze wyd. 1886, str. 372 i nast., tegoż „Vorlesungen ueber die Menschen- und Thierseele.“ 2-gie wyd. 1892, str. 225 i nast. 14 i 15 lekcye.

Zauważmy tutaj, że i H. Höfding uznaje, iż myślenia bez udziału uczucia i woli niema, i że łączność pomiędzy uczuciem i wyobrażeniem jest *głębszą*, aniżeli łączność wyobrażeń pomiędzy sobą. Zob. jego „Psychologie,“ 2-gie wyd. niemieckie przy udziale autora, 1893, str. 123, 219, 412 i następne. Przekładu polskiego nie ma pod ręką.

„wypowiada się *niejako* wola nasza“ (str. 403), i że interes umysłowy, nadając *wiedzy* wartość uczuciową, jest jednym z najdonioślejszych czynników tego wpływu, jaki *wiedza* wywiera na postępowanie i moralne udoskonalenie człowieka (str. 414).

Wogóle w swych poglądach na życie umysłowe trzyma się p. Dawid nie tylko *utartego*, lecz dziś już bardzo *wytartego* szablonu Herbartowsko-asocjacyjnej psychologii. Cytuje on wprawdzie czasem Horwicza, a zna niewątpliwie dzieła Wundta, ale, niestety, nie korzysta, szczególnie z tych ostatnich, w sposób należyty. Gdyby tak nie było, nie traktował-by tak ubocznie objawów uczucia i woli, a nawet na polu objawów intelektualnych, myśli, zwrócił-by bacniejszą uwagę na zaznaczoną powyżej różnicę zasadniczą pomiędzy tak zwanymi prawami kojarzenia się pojęć, czyli *asocjacji*, a prawami ich *logicznej* łączności pod wpływem *apercepcji*. Odnośne dowody Wundta są tak przekonujące, że nie wiem, czy można się powoływać na „współczesny“ stan nauki, ignorując te dowody, jak wogóle ostateczne wyniki specjalnych badań najznakomitszego „współczesnego“ psychologa. Również nie sądzę, aby się godziło tak ważne kwestye, łączące się jak najściślej z całym poglądem na człowieka, jego wychowanie, jego rozwój intelektualny i moralny, zbywać powierzchowną uwagą, w rodzaju tej, jaką napotykamy na str. 409 książki p. Dawida. Mówi on: „*Przyjmujemy* tu *apercepcję* w znaczeniu ustalonym przez Herberta i po części filozofów angielskich w przeciwstawieniu do szkoły Wundta, w której *apercepcja* jest jednoznaczna *prawie* z pojęciem woli.“ Rozumiem dobrze, że jest rzeczą arcy wygodną trzymać się ślepo tej lub owej doktryny szkolnej; ale czyż się godzi w kwestyi zasad z całą świadomością „przyjmować“ tak sobie, z niechęcią, dla wygody, teorye, których sprzeczność z oczywistymi faktami dowodnie wykazaną została? Czy to nie doprowadza do dogmatycznego scholastycyzmu, uniemożliwiającego wszelki „postęp“ ku lepszemu? <sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Co do różnicy kojarzeń asocjacyjnych i *apercepcyjnych* zob. W. Wundt: „*Physiologische Psychologie*.“ 2-gie wyd. 1880, t. II str. 219 i nast., 309 i nast. tegoż „*Logik*.“ t. I, str. 10 i nast., dwa pierwsze rozdziały; tegoż „*Vorlesungen ueber die Menschen- und Thierseele*.“ 2-gie wyd. 1892, str. 252 i nast., 319 i nast., 334 i następnne. Podobnie i Höffling wykazuje dowodnie faktyczną różnicę pomiędzy bezpośrednią *asocjacją* pojęć i tem, co on nazywa „*swobodną* ich kombinacją“ i „*właściwym* myśleniem.“ „Nowsza psychologia, mówi on, zaznaczając aktywno momenta poznawania, wystąpiła z reakcją przeciwko jednostronnej psychologii asocjacyjnej, która poznawanie starała się sprowadzić do mechanicznej łączności biernych czynników wrażeń zmysłowych.“ Zobacz l. c. str. 124 i nast., 214, 237 i nast., 243, 431 i następnne. H. Münsterberg, jeden z najgłośniejszych psychologów eksperymentalnych młodszej generacji, rozchodzący się pod niejednym względem z Wundtem, w pracy: „*Studien*

## IV.

## Cel i treść nauczania początkowego.

W zasadzie p. Dawid mówi bardzo pięknie o celu wychowania i kładzie z całą stanowczością nacisk na jego zadania *moralne*. Toż samo wymaganie stosuje on i do zadań nauczania. Widzieliśmy to już po części powyżej. Rozwija on tę zasadę, jako zasadę, bliżej w rozdziale, poświęconym rozbirowi *celu* pierwszego nauczania. „Nauczanie—mówi (str. 281)—jako jedna z czynności wychowania, dąży do tegoż celu, co i to ostatnie,—w określony sposób kształcić *charakter* wychowawca, a mianowicie utrwalić w człowieku *uczucia* i *popędy moralne*, tak jednostkowe, jak społeczne, oraz do urzeczywistnienia ich w życiu zdolnym go uczynić.“

Lepiej celu nauczania i wychowania określić nie podobna. To też określenie to akceptujemy w zupełności i przyjmujemy za punkt wyjścia do dalszego rozpatrzenia tego przedmiotu.

---

zur Associationslehre,“ w „Beiträge zur experimentellen Psychologie,“ zeszyt IV-ty, 1892, czwarte studjum, str. 23 i nast., zaznacza, że doświadczenia jego, w których czterem osobom poddawał cztery razy 400 znanych wyrazów, dowiodły, że ani jeden z tych wyrazów nie wywołał u dwóch osób cztery razy tej samej asocjacji, a z tego wyprowadza wniosek, że „sama asocjacja żadną miarą nie może być zasadniczem prawem życia naszych wyobrażeń,“ gdyż nie przedstawia żadnej *stałości* (Konstanz) w kojarzeniu się pojęć nawet u jednej i tej samej osoby w różnym czasie, a tem mniej u różnych osób. „Prawa“ asocjacji Münsterberg zastępuje prawem „konstelacji,“ polegającej na wytworzeniu pewnych centrów, czyli ośrodków myśli, w około których gromadzą się szeregi innych myśli. *Stałym* kojarzeniom, według tego, mają podlegać tylko takie wyobrażenia, które wpadają w zakres dwóch konstelacji. Jak się wytwarzają same „konstelacje,“ tego nie wyjaśnia bliżej, nie może jednak zaprzeczyć, że w nich biorą udział pewno czynniki *logiczne*. Nawet taki skrajny przedstawiciel sensualizmu w psychologii, jak Fr. Paulhan, również zmuszony jest zmodyfikować zwykłe prawa asocjacji pojęć i mówić o prawie *systematycznej asocjacji*, według którego „każdy fakt psychiczny dąży do wywołania takich faktów psychicznych, które-by się z nim harmonizowały i mogły z nim dążyć do wspólnego celu i wytworzyć *system*.“ Łatwo spostrzedz, że taka „asocjacja“ już się bardzo mało różni od kojarzeń *apercepcyjnych* Wundta. Zob. Fr. Paulhan: „L'activité mentale et les éléments de l'esprit.“ 1889, str. 87 i nast. Nareszcie nie można zapomnieć, że do „współczesnych“ objawów nauki należą i prace Alfreda Fouillée, np. jego „L'évolutionisme des idées forces,“ 1890, które już bardzo daleko odstępują od ciasnych formulek teorii asocjacji. Czyż to zawsze w sposób niepoprawny wygłaszać będziemy za naukę „współczesną“ to, co gdzieindziej już się odkłada ad acta, już się zaczyna przeżywać? Tak było z heglizmem, z materializmem i pozytywizmem u nas, a teraz toż samo się powtarza z psychologią asocjacyjną!



Ale nie dość uznawać w teorii tak piękne i prawdziwe zasady—choć i tego lekceważyć nie chcemy; chodzi zarazem i głównie o to, aby zasady te urzeczywistniono w praktyce, aby ów cel najwyższy wychowania i nauczania miano ciągle na oku i do niego dążono po drodze możliwie prostej i dobrej. A tego właśnie powiedzieć nie można ani o p. Dawidzie, ani o większości współczesnych pedagogów, stojących pod wpływem jednostronnego intelektualizmu.

Już bliższe określenie treści nauczania, podane przez naszego autora, pomimo pozornej łączności z powyższą zasadą, odstępuje od niej na korzyść jednostronnego *panowania wiedzy, myśli*, nad czynnikami, zdolnemi przedewszystkiem współdziałać do osiągnięcia owego celu—kształcenia *charakteru*, utrwalenia uczuć i popędów moralnych wychowawca.

Otóż p. Dawid pod tym względem mówi dalej (str. 282): „Treścią nauczania jest albo *wiedza* o moralnej istocie człowieka, albo o życiu przyrody. Oba te działy postępują w pewnym stopniu równolegle, uzupełniając się wzajemnie w osiągnięciu ogólnego celu wychowania: ukształcenia moralnej woli. Pierwszy, rozsnuwając obrazy ludzkich uczuć, dążeń i czynów, stwarza dla woli określone cele i motywa, zespała nową jednostkę z moralnemi ideałami społeczności i do działania w kierunku tych ideałów skłonną ją czyni. Drugi—to jest nauka o przyrodzie, poznać jednostce tej daje środki i warunki skutecznego działania; przedstawiając człowieka, jako *cząstkę przyrody*, okazuje, jakim w tej wielkiej całości jest jego rzeczywiste stanowisko, jakie są jej siły i prawa, do których stosować się musi, chcąc osiągnąć swoje, ludzkie cele.“

Mogło-by się zdawać, że zdania te czynią wszechstronnie zadość wymaganiom zarówno pedagogiki, jak i etyki. Tymczasem śmiemy powiedzieć, że tak nie jest bynajmniej, że zdania te sprzeciwiają się właśnie bardzo rażąco tak racjonalnej pedagogice, jak i prawdziwej etyce, i dlatego doprowadzają do praktyki, rozchodzącej się zupełnie z ową piękną zasadą o kształceniu *charakteru, moralnych uczuć i woli* wychowawca.

Naprzód pytamy, czy to w istocie treścią nauczania, a szczególnie nauczania początkowego, jest tylko *wiedza*? Czy nie możemy i nie powinniśmy nauczyć dzieci i takich „rzeczy“, które nie dają się sprowadzić do nazwy wiedzy, bo są objawami, od *wiedzy* różnemi? Jeżeli np. uczymy je chętnego spełniania naszej woli, posłuszeństwa, szacunku dla starszych, względności dla rówieśników, zgodności z rodzeństwem, porządku, ograniczania swych pragnień, panowania nad sobą, wdzięczności, niesienia pomocy potrzebującym, współczucia (współradości i współból), ofiarności, obojętności oddania się zajęciom, pracowitości,

znoszenia trudu, mówienia prawdy, słowności, wystrzegania się złego i na samotności, bez względu na dozór starszych, sumienności, szczerości i t. p., jednym słowem, jeżeli uczymy je *czuć szlachetnie i chcieć dobrze*, — czy można powiedzieć, że treścią wszystkich tych nauk jest *wiedza*, choćby wiedza o „moralnej istocie człowieka!“ *Wiedza* o tem wszystkim tak jest różną od rzeczywistego nauczania dziecka tego wszystkiego, jak różną jest wiedza o istnieniu milionów od ich posiadania!

Gdyby nawet dziecko mogło przejąć od nas *wiedzę* o tem wszystkim — t. j. zrozumieć przyczyny i znaczenie wszystkich powyższych wymagań moralnych, — czego chyba żaden pedagog nie uzna za możliwe—to i wtedy nic-by nam zgola ta wiedza w dziecku nie pomogła, nie przybliżała-by nas ani o krok do naszego celu: wyrobienia jego *charakteru*, prawidłowego rozwoju jego *uczuć i woli*. Wiedza taka równała-by się tylko okularom, wsadzonym na nos niewidomego, lub świeczce, wciśniętej w jego rękę! Dziecko nie *może*, choćby i chciało, kierować się w swych uczuciach i działaniach *wiedzą* o tem, jak czuć i jak działać powinno. *Tego* właśnie dopiero *nauczyć się* musi. Ono musi przede wszystkim, drogą życiowego doświadczenia, *faktycznie przywyknąć* do wymaganego przez nas nastroju psychicznego i do różnych jego objawów, a dopiero wtedy zrozumie, o co *nam* w naszej *wiedzy moralnej* chodzi. Bez tej *praktycznej* nauki, żadna wiedza nie czyni człowieka *skłonny* „do działania w kierunku moralnych ideałów społeczności,“ jak sądzi p. Dawid. Skłonności bowiem nie rozwijają się przy pomocy *wiedzy*, lecz wyłącznie wskutek *navylnień życiowych*.

Co więcej, *wiedza* w sprawach moralnych przestaje być dla nas treścią obcą, z zewnątrz nam narzuconą, dogmatyczną, lecz staje się *naszą* wiedzą, naszym własnym *przekonaniem* tylko wtedy, gdy odpowiada rozwojowi życiowemu naszych uczuć i dążeń, gdy natrafia na grunt psychiczny, należycie uprawiony, znajdujący się na tej samej stopie kultury, co i *wiedza*. Najpiękniejsze nauki o ideałach moralnych ludzkości, a choćby proste wymagania dekalogu, pozostają niezrozumiałemi dla ludzi o zdziczałych uczuciach, a budzą tylko uśmiech ironiczny w ludziach, wyzutych ze szlachetniejszych poruszeń serca.

Czyż to wszystko nie oczywiste dowody bezsilności teoretycznej *wiedzy* na polu *moralnego* rozwoju człowieka? Czyż tedy zdrowa, racjonalna pedagogika nie powinna odwrócić porządku, zaprowadzonego w sprawie wychowania przez jednostronny intelektualizm, t. j. zaczynać wychowanie nie od *wiedzy*, od wpajania w młodociany umysł teoretycznych wiadomości, choćby „o moralnej istocie człowieka,“ lecz zaczynać od *nauczania praktycznego* przez wytworzenie dla dziecka takich warunków *życiowego* rozwoju, aby *przywykło* do spełniania wymagań

moralnych, aby nabierało faktycznie szlachetnych i dobrych skłonności; a dopiero w następstwie, gdy będzie posiadało rzecz, o którą chodzi, udzielać mu *wiedzy* o moralnej istocie człowieka? Przecież to metoda poglądowa słusznie dowodzi, że nie należy mówić dziecku o rzeczach, których nie zna z własnego doświadczenia. Więc też zasadę tę powinniśmy zastosować i do *moralnego* rozwoju dziecka. Naprzód musimy dziecko nauczyć czuć moralnie i działać moralnie, a potem dopiero na tej podstawie mówić mu o istocie moralnej człowieka.

Toż samo odnosi się i do strony *estetycznej* wychowania i nauczania początkowego, o której p. Dawid już wcale nawet nie wspomina, chociaż jej przecież tak bezwzględnie zaniedbywać nie można. Ponieważ jednak kształcenie estetyczne uczuć dziecka, jego zmysłu dla piękna, łączy się jak najściślej to z ukształceniem jego poglądu na świat zmysłowy, to z nauką języka, to wreszcie z jego rozwojem moralnym, przeto nad niem się tutaj również szczegółowo nie zastanawiamy, odsyłając czytelnika w tym względzie do pouczającej pracy B. Pereza o sztuce i poezyi u dziecka <sup>1)</sup> i do rozpraw prof. H. Struvego o wychowaniu estetycznym <sup>2)</sup>.

Wobec zarzutów powyższych, p. Dawid może powie, że tu zachodzi tylko spór o słowa, że on bynajmniej nie wyłącza z zakresu wychowania początkowego owej *praktycznej* nauki, o której mówimy, że jednak nauczanie w ścisłym znaczeniu ma zawsze do czynienia z pewną *wiedzą*. Ale argument ten pozbawiony jest racyi wobec dalszych poglądów pedagogicznych naszego autora, a szczególnie wobec jego poglądu na *rozwój moralny* dziecka w okresie przedszkolnym.

Otóż, specjalizując dalej *treść* nauczania początkowego, p. Dawid dowodzi (str. 286 i nast.), że interes i uwaga dziecka zwracają się głównie do przedmiotów świata zewnętrznego, wyznaczając *uczuciowości* i *moralnej refleksyi* „podrzędną tylko rolę.“ A z tego wyprowadza wniosek, już wcale nie liczący z jego własną zasadą moralną wychowania, a mianowicie, że punkt ciężkości w nauczaniu okresu przedszkolnego leżeć nie może w części jego, obejmującej *moralną naukę* o człowieku;

<sup>1)</sup> B. Perez: „L'art et la poésie chez l'enfant.“ 1888. Autor traktuje szczegółowo, na podstawie psychologicznych danych i wielu przykładów, z życia dzieci zaczerpniętych, o ich guście w strojach, o ich zamiłowaniu do piękna, przyrody, o sztuce przypodobania się (grzeczność, gadatliwość, kokieterya), o muzyce, rysunku, sztuce dramatycznej, poezyi i literaturze nadobnej.

<sup>2)</sup> H. Struve: „Estetyka i wychowanie estetyczne,“ w Encyklopedyi wychowawczej, tom III, str. 558—610,—oraz jego „Sztuka i piękno.“ 1892, str. 199 i nast.: „Poezyna, muzyka i rysunek, jako środki wychowania estetycznego;“ i str. 231 i nast.: „O zadaniu i wychowaniu estetycznym kobiety.“

że zatem treścią główną nauczania tego *nie mogą być*, jak chcą niektórzy, powiastki, baśnie, wierszyki, sentencje *religijno-moralne*, pobudzające i zajmujące czynność dziecka uczuciową, refleksyjną i fantazyjną, lecz przeciwnie, że *przewagę i wytyczne stanowisko otrzymać powinna przedmiotowa nauka o przyrodzie*.

Jakiż to zwrot wymuszony, naciągany ku doktrynom najtrywialniejszego naturalizmu! Jakto, więc dla dziecka od trzeciego do siódmego roku życia, uczuciowa i moralna strona jego stosunku do ludzi nie ma pierwszorzędnej doniosłości, ustępuje na plan dalszy wobec przedmiotów przyrody? Więc może kamień, drzewo, pies, kot, więcej je zajmuje, budzi bardziej jego *interes* i *uwagę*, aniżeli matka, ojciec, brat lub siostra! Może dziecko objawia żywsze uczucia i dążności, patrząc na okazy przyrodnicze, aniżeli w obcowaniu ze swymi najbliższymi? Może nauka o roślinach i minerałach podnieca bardziej jego ciekawość, aniżeli opowiadania o innych dzieciach i ludziach! Zresztą, które z tych „rzeczy“ posiadają większą „wartość etyczną“, o której przecież sam p. Dawid wspominał powyżej?

Więc proszę powiedzieć, z jakiego źródła wypływają właściwie wszelkie poruszenia duszy dziecięcej, jej smutki i radości, jej obawy i nadzieje, jej zachcianki i niechęci, jej upodobania i wstręty,—czy nie przedewszystkiem z warunków *społecznych*, w których ono się rozwija? Skąd czerpie dziecko główną treść do swych zabaw z lalką, z innymi dziećmi, jeśli nie ze swoich stosunków życiowych i z uczuć estetycznych i moralnych, wywoływanych przez te stosunki? Cóż tu ma za znaczenie *przyroda* i do tego przyroda, pojęta nawskroś materialistycznie! Jakiem prawem miał-by pedagog dla doktryn naturalizmu zmuszać dziecko do gwałtownego skoku z łona macierzyńskiego w wielki świat zewnętrzny, bez owego naturalnego łącznika, jakim jest *rodzina*? Czyż ona w tym okresie nie jest *całym światem* dla dziecka; czy ono nie patrzy na świat cały przedewszystkiem przez pryzmat rodziny, z której nie wyłoniło się jeszcze na żaden grunt... wielkiej przyrody! Czy uczuciowość, subiektywizm, jak najściślej związany z życiem rodzinnem dziecka, nie górują w niem po-nad wszelką tendencją „przedmiotowego poznawania“ przyrody?

Jakżeż można tedy mówić wogóle o wychowaniu i nauczaniu dziecka, a w szczególności o kształceniu jego uczuć i popędów moralnych, nie zaznajamiając go przedewszystkiem ze stosunkami *rodzinnymi*? A jeżeli uważamy za potrzebne przy pomocy tak zwanej „nauki o rzeczach“ wyrobić wyobrażenia dziecka o różnych przedmiotach, i jeżeli ta nauka o rzeczach traktuje według planu p. Dawida między innymi o psie, kurze, kaczce, żabie,—to trudno zrozumieć, dlaczego pod tą nazwą nauki o rzeczach nie miano spożytkować materiału doświad-

czalnego duszy dziecięcej i nie traktować poglądowo o matce i ojcu, o bracie i siostrze, o nauczycielce i towarzysze, o słudze, o robotniku, o ubogim i zamożnym, o lekarzu, księdzu i t. p. W każdym razie śmiało powiedzieć można, że „rzeczy“ te bardziej obchodzą dziecko i bliżej się stykają z jego stosunkami życiowymi, aniżeli powyższe, i nadto mogą być równie przystępnie i metodycznie traktowane, a nawet zapewne przystępniej, aniżeli np. lekcye o funkcyach fizyologicznych roślin, o parowaniu liściowem i t. p. Wprost nawet wyznać należy, że interes dziecka dla przyrody łączy się jak najściślej z jego życiem rodzinnem, a w oderwaniu od tego życia staje się wiedzą abstrakcyjną, nie mającą dla dziecka rzeczywistej wartości, ani zastosowania życiowego. Tymczasem p. Dawid, za przykładem naturalistycznych pedagogów, wyłącza z zakresu nauki o rzeczach poglądowe wyjaśnienie stosunków moralnych dziecka i zaniedbuje zupełnie tej najdonioślejszej strony nauczania początkowego, wymagającej szczególnego uwzględnienia, właśnie ze stanowiska i przez p. Dawida w zasadzie uznanego celu wszelkiego wychowania, t. j. kształcenia charakteru, uczuć i woli wychowawca.

Prawda, w końcu swej książki (str. 673 i nast.) p. Dawid przypomina sobie znowu, że taki jest i według jego własnego poglądu zasadniczy cel wychowania, i mówi na kilku stronicach o nauczaniu *humanitarno-etycznem*, ale tylko na to, aby zaznaczyć jego związek z nauką języka, a zatem, aby nadać temu przedmiotowi w gruncie rzeczy tylko znaczenie drugorzędne, dodatkowe. A że nadto domaga się, aby wyobrażenia dziecka *natury moralnej* nie były odosobnione i *niezależne* od jego wyobrażeń, dotyczących *rzeczy i zjawisk fizycznych*, więc wszystko sprowadza się ostatecznie do zapoznania wychowawca z przyrodą i do wcielenia go w zupełności w przebieg jej praw fizycznych. „Historya naturalna“ człowieka stanowi też szczyt nauki o rzeczach p. Dawida (str. 545). Naszemu pedagogowi chodzi w gruncie rzeczy o to tylko, aby jego wychowanie, według słów powyżej przytoczonych, rozumiał, że jest „częstką przyrody“ i aby poznał, „jakiem w tej wielkiej całości jest jego rzeczywiste stanowisko.“ To jest w istocie najwyższy cel wychowania i nauczania według p. Dawida, wszystko zaś inne, a szczególnie *moralna kultura uczuć i woli wychowawca*, jest zadaniem drugorzędnem, albo raczej zadaniem, rozwiązującym się samo przez się, gdy tylko ów cel najwyższy osiągniętym zostaje.

Gdybyśmy chcieli powyższy wynik poddać wszechstronnej krytyce, musieli-byśmy napisać cały traktat o etyce, a w szczególności rozebrać kwystę: czy istniał-by wogóle wśród ludzi objaw życiowy, nazywany *moralnością*, gdyby człowiek uważał siebie *tylko* za „częstkę przyrody,“ gdyby się nad nią nie wynosił i nie czuł się być członkiem wyższej całości, niż jest *byt fizyczny*, wyższego świata, poddanego nie

prawom ruchu cząstek materialnych, lecz odrębnemu porządkowi rzeczy, to jest właśnie *porządkowi moralnemu*? Musieli-byśmy rozpatrzyć kwestyę: czy można wogóle zbudować jakąkolwiek etykę na gruncie naturalizmu? Nie mogąc się tutaj tą kwestyą zająć szczegółowo, wypowiemy w tym względzie tylko kilka uwag, niezbędnych do ostatecznego wyjaśnienia naszego poglądu na *treść* nauczania początkowego.

Według naszego przekonania, zgodnego już nie tylko z nauką Kanta, lecz i z zasadniczymi poglądami najznakomitszych myślicieli świata, nie wyłączając ojców nowoczesnego empiryzmu, Bakona i Locke'a; według przekonania, złączonego jak najściślej z całą kulturą moralną ludzkości, a sprzecznego tylko z teoryami niewielkiej garstki doktrynerów naturalizmu;—według tego przekonania, dającego się jak najściślej naukowo udowodnić: — *porządek moralny*, któremu człowiek podlega, jest czemś zupełnie różnym od porządku fizycznego; jego prawa i wymagania nie dają się wyprowadzić z praw fizycznych, lecz stanowią odrębną całość, odrębny świat, do którego człowiek należy wskutek swej natury moralnej, który przyswaja mu pewną wyższą wartość, nie dającą się porównać z jego wartością fizyczną. Dlatego właśnie człowiek czyni siebie zależnym od tego wyższego porządku moralnego, czuje się zobowiązanym poddać się pewnym wymaganiom, rozkazom moralnym, — o ile je odczuwa lub poznaje, stosownie do stopnia swego rozwoju umysłowego. Porządkowi *fizycznemu* człowiek, jak i zwierzę, podlega z *konieczności*; porządek zaś *moralny* świata *szanuje* i *czci*, przeczuwając lub pojmując jego wartość wewnętrzną i wyższość. Od praw fizycznych odstąpić nie może, ale im się nie poddaje dobrowolnie, lecz, przeciwnie, stara się nad nimi zapanować, choćby przy ich własnej pomocy. Od praw zaś moralnych, uznanych przez samego siebie, odstąpić może i często faktycznie odstępuje; pomimo to nie czuje się być ich panem, lecz ich sługą; potępia samego siebie, gdy z nimi się rozchodzi, a ucuwa swą godność, gdy się do nich stosuje i w ich duchu rozwija. Dowodzi tego fakt psychiczny, nazwany *sumieniem*.

Wiem dobrze, że naturalizm tę odrębność praw *moralnych* chciałby wyprowadzić z łączności jednostki z ustrojem *społecznym*. Ale tu chodzi o przyczyny psychiczne i zasady samego uspołecznienia człowieka, a nadto o źródło owego poczucia moralnego, domagającego się od nas nawet pewnego moralnego sposobu *czucia* i *myślenia*, a nadto działania, wynikającego, niezależnie od legalności lub konwensu społecznego, z szacunku i czci dla pewnych wymagań wewnętrznych, obowiązujących bezwzględnie. Tymczasem tego właśnie wyjaśnić nie można bez uznania *moralnego porządku*, stojącego i po-nad ustrojem społecznym, nadającego i jemu dopiero sankcyę moralną, a wnikającego zarazem w najgłębsze tajniki życia psychicznego jednostki, bez względu

na wymagania społeczne. Co bowiem obowiązuje nas iść za głosem *suumienia*, naszego poczucia moralnego i wtedy, gdy względy społeczne utracają swą siłę, lub gdy nawet narażamy się na przykrą reakcję społeczeństwa?

Jak w zakresie przyrody dochodzimy do zrozumienia zjawiska dopiero przez jego sprowadzenie do pewnego prawa ogólnego, będącego wyrazem porządku fizycznego świata; jak prawdę lub fałsz tego lub owego poglądu na rzeczy ocenić możemy tylko wtedy, gdy uznajemy istnienie pewnego logicznego porządku, wyrażającego się w tak zwanych prawach logicznych naszego umysłu, jako objawów treści logicznej świata rzeczywistego (np. prawidłowość matematyczna przyrody); tak również fakt poczucia moralnego, jako odrębnego zjawiska, zjawiska *sui generis*, może być objaśniony tylko na podstawie uznania pewnych praw moralnych, występujących na jaw w tem poczuciu, zaznaczających odrębny porządek rzeczy, któremu dany szczegółowy objaw podlega i za wyraz służy.

Oto ostateczne źródło moralności, do którego dotrzeć należy, a bez którego uznania istnieć nie może naukowa *etyka*, jak bez uznania porządku *fizycznego* świata istnieć nie może *fizyka*, jak przy zaprzeczeniu *logicznego* porządku świata mowy być nie może *o logice* <sup>1)</sup>.

Wracając do naszej kwestyi pedagogicznej, w imię powyższych uwag powiedzieć musimy, że cel wychowania: kształcenie charakteru, kultura uczuć i dążeń moralnych wychowawca, osiągniętym być nie może w zupełności ani przez naukę o przyrodzie fizycznej, jak chce p. Dawid, ani przez dodatkową naukę o istocie moralnej człowieka, lecz wymaga koniecznie zarazem i nauki o wyższym porządku moralnym

<sup>1)</sup> Wspomniany powyżej Hugo Münsterberg, myśliciel nawszkroś empiryczny, w osobnej pracy „O początku moralności,” zmuszony jest wyznać, na podstawie antropologicznych i psychologicznych danych, że moralność nie wypływa z uczucia zadowolenia, łączącego się z pożytkiem lub dobrem, osobistym lub społecznym, jak to uczy popołita etyka utylitarystyczna, lecz że moralność polega zawsze i wszędzie na uległości i czci dla pewnego wewnątrznie obowiązującego *rozkażu* (Gebot), bez względu na następstwa. Zob.: „Der Ursprung der Sittlichkeit,” 1889, str. 25 i nast., 61 i nast. Na szczególną uwagę zasługują tu również wywody Wundta, co do *ideału moralnego porządku świata* i co do *praw moralnych*, w jego „Etyce,” l. c. str. 82 i nast., 462 i nast., oraz jego ogólne wnioski z psychologii empirycznej, co do wewnętrznej *wartości* nieskończonego duchowego rozwoju, w ostatniej lekcyi przywiedzionego powyżej nowego wydania jego książki o *duchu człowieka i zwierząt*. Zobacz też pod tym względem rozprawę prof. H. Struvogo: „Psychologie der Sittlichkeit“ w I i II zeszycie czasopisma „Philosophische Monatshefte,” z r. 1882, szczególnie rozdział 2-gi, traktujący o psychologicznym początku prawa moralnego. Skorzystaliśmy pod wieloma względami z tej rozprawy, jak i z innych prac tego autora.

świata, do którego człowiek wskutek swej istoty moralnej należy, którego jest członkiem. Tylko ta nauka, udzielana dziecku bądź przez wychowawców, bądź przez życie, rozbudza w niem najgłębsze uczucia i dążności moralne. Ona tylko czyni, że moralność staje się jego wewnętrznym udziałem, że wypływa z jego własnej duszy i zadawala najistotniejsze potrzeby jego serca i umysłu. Bez przejęcia się tą nauką, moralność zawsze i wszędzie przyjmuje tylko charakter konwencyonalny i nie łączy się organicznie z całym nastrojem psychicznym człowieka.

Rzecz oczywista, że pedagogowie naturalizmu, nadający nawet nauce o moralnej istocie człowieka „podrzedną tylko rolę“ z powodu jakoby braku moralnej refleksyi i uczuciowości w dziecku, tylko z ironicznym uśmiechem spoglądać mogą na to wymaganie zaznajomienia małych nawet dzieci z *wyższym moralnym porządkiem świata*. Przecież to, według nich, nie jest żaden realny przedmiot, dający się wyłożyć *pojętowo*, jak np. nauka o musze, lub żabie. A jednak dobre matki od wieków znają tę naukę i umieją ją wpajać w swe dzieci, nie jako *wiedzę*, z zewnątrz umysłowi narzuconą, lecz jako *prawdę*, głęboko *odczutą*, o bezpośredniej życiowej doniosłości, złączoną organiczną spójnią z całym bytem i rozwojem dziecka. Każdy rozumie, że mamy tu na myśli *naukę o Bogu*, będącym takim samym realnem uosobieniem porządku *moralnego* świata, jak *idea przyrody*, sięgająca dalej, aniżeli nasze teleskopy i mikroskopy, staje się dla nas reprezentantem zjednoczonych zjawisk materyi, więc porządku fizycznego świata.

Krytyczna teoria poznania od czasów Kanta wykazała dowodnie, że obie te idee umysłu ludzkiego: idea *wszechświata*, *przyrody* i idea *Boga* mają zupełnie też samą *wartość logiczną*, bo obie są środkami jednolitego wyjaśnienia pewnych szeregów zjawisk, przez doświadczenie danych. Przyrody, wszystko obejmującej, wszechświata, jako *całości*, nikt nie widział; jest to *idea*, wyjaśniająca łączność i prawidłowość zjawisk fizycznych. A że, obok zjawisk fizycznych, doświadczamy zjawiska o charakterze odrębnym, nie dającym się wyprowadzić z własności zjawisk fizycznych, t. j. doświadczamy i zjawiska o własnościach duchowych, które zmuszeni jesteśmy oceniać z odrębnego stanowiska ich rozumu lub nierozumu, prawdy lub fałszu, dobroci lub przewrotności, t. j. ze stanowiska *logicznego* i *moralnego*, więc wszystkie tego rodzaju zjawiska umysł nasz jednoczy również w jedną całość, jako świat *moralny*, *duchowy*, którego wyrazem jest *idea Boga*, będąca koniecznym warunkiem objaśnienia łączności i prawidłowości zjawisk moralnych, duchowych, podobnie jak *idea przyrody* niezbędna jest dla objaśnienia łączności i prawidłowości zjawisk fizycznych. W jakim stosunku znajdują się do siebie te dwa szeregi zjawisk, a zatem te dwie zasadnicze



idee, jednoczące je w sobie, — to jest przedmiot osobnych poszukiwań, których tutaj dotykać nie możemy. Tu wystarcza w zupełności ów wynik krytyczny teorii poznania, że idea Boga nie jest bynajmniej naukowo mniej uzasadniona, aniżeli idea przyrody, gdyż obie wypływają z jednego źródła, z potrzeby umysłu sprowadzenia niewątpliwych faktów wewnętrznego i zewnętrznego doświadczenia do pewnych zasad ostatecznych, zdolnych te fakta w sposób odpowiedni wyjaśnić.

Co do Boga, p. Dawid zachowuje w całym swym dziele dyskretnie milczenie. Nie chce on znać ani rzeczy, tym wyrazem oznaczonej, ani nawet samego wyrazu. Jemu wystarcza zupełnie przyroda fizyczna i, co najwięcej, człowiek, jako „cząstka przyrody;“ — więc poco nawet mówić o Bogu. Przecież to ateizm konsekwentny nie zadaje sobie nawet trudu zaprzeczać Bogu, lecz go poprostu ignoruje. Zresztą „wiedza współczesna“ nie spogląda łaskawie na ten przedmiot; rada-by go wysunąć po-za nawias naszej myśli, — a jeśli go nie może zupełnie wykreślić z pamięci ludzkiej, to uznaje go przynajmniej za rzecz niepoznawalną, leżącą gdzieś daleko po-za zakresem naszej pojętności, wielce skromnej w tym jedynie względzie. To też pedagog, stojący na wysokości tak zwanej „współczesnej nauki,“ nie ma powodu rozpatrywać nawet kwestyi, czy należy mówić dzieciom o Bogu, czy ta „rzecz“ może być wogóle przedmiotem nauczania. Niech sobie wierzący w Boga pod tym względem radzą, jak chcą, to już nie zajmuje „postępowego“ pedagoga!

Ze wszystkiego, cośmy powyżej powiedzieli, wynika, iż tego zdania podzielać nie możemy. Przeciwnie, przekonani jesteśmy, że nie mówiąc dziecku o Bogu, nie można najpiękniejszymi nawet zasadami wniknąć w jego duszę, przyczynić się skutecznie do jego rozwoju moralnego, skłonić go do działania moralnego, bez względu na sąd ludzi, z czystej miłości dobra, z szacunku dla ideału moralności.

Dziecko bardzo wczesnie zaczyna rozumieć, że wszelkie wymaganie, dotyczące jego działania, powinno mieć jakąś podstawę, i podstawę tę uznaje tylko w wyższości stawiającego wymagania, t. j. prawodawcy. Ono ulega rodzicom, starszym, bo doświadcza bezpośrednio naprzód, że są *silniejsi*, a następnie, że są *mądrsi*, *lepsi* od niego. Ten ostatni czynnik nabiera coraz większej doniosłości wraz z rozwojem umysłowym dziecka. Siła fizyczna nie zażywa u niego zbyt długo powagi. Siła próbuje ono z czasem przeciwstawiać siłę, a ulega dobrowolnie osobom, nad niem stojącym, jedynie z poczucia ich wyższości moralnej. Więc szacunek dla prawodawcy, przekonanie o jego stronach dodatnich, miłość ku niemu, — oto pierwsze źródło *moralnego* nastroju dziecka. A że znów sami wychowawcy nie mogą przed dzieckiem odegrywać roli *prawodawców* w kwestyach moralnych, lecz prędzej, czy później, muszą

przed niem usprawiedliwić swe wymagania wyższem, po-nad nimi stojącym prawem, któremu i oni dobrowolnie się poddają, szanując treść jego, — przeto powołanie się na najwyższego prawodawcę moralnego staje się rzeczą konieczną. Tylko uznanie takiego najwyższego prawodawcy, który sam jest *ideałem doskonałości moralnej*, i szacunek dla niego, uzasadnić może w sposób zadawalający wymaganie *dobrowolnej uległości* prawom moralnym. Niema, bezmyślna *przyroda*, pozbawiona rozumu i charakteru moralnego, nie jest żadną powagą, mogącą obowiązywać człowieka w kwestyach jego samodzielnego działania, w kwestyach *moralnej wartości* jego uczuć i dążeń. Podobnie, powagi takiej nie ma i sam człowiek, jako „częstka przyrody,“ z cechami moralnej słabości i niedoskonałości. W nim działa prawo moralne, — to prawda, — ale nie jako jego własny wytwór, nie jako objaw jego *prawodawczej* godności, lecz jako czynnik, *dany* mu wraz z jego życiem umysłowem, a pochodzący z samej istoty wszechbytu, podobnie jak prawa logiczne jego ustroju umysłowego, jak prawa jego fizycznego organizmu.

Nauczyć dzieci czcić i kochać tego najwyższego prawodawcę, Boga, jako ideał wszelkiej doskonałości, nie jest znowu rzeczą tak trudną, jak się to wydaje pedagogom naturalistycznym. Prawda, pokazać Boga dziecku nie możemy, bo się spreparować na okaz nie daje. Ale jeśli można obudzić w dziecku miłość do kraju rodzinnego, do społeczeństwa, do ludzkości, do natury, których mu przecież także przedstawić nie można jako widzialne i dotykalne *całości*, to dlaczegóżby tego nie można było uczynić i odnośnie do niewidzialnego, lecz wszystko obejmującego Boga? Punktów oparcia w życiu wewnętrznem dziecka, w jego uczuciach i dążeniach nie brak; podobnie nie brak i wielu widzialnych i dotykalnych objawów w stosunkach moralnych rodziny i w przyrodzie, mogących służyć za środki do przystępnego wyjaśnienia idei Boga. Jeden rzut oka na niebo nieskończone, jedno pojęcie o mądrości w ustroju najmniejszego żyjątka, zawierają w sobie bogaty w tym względzie materiał, zdolny w sposób naoczny uzupełnić religijno-moralne uczucia dziecka. Chodzi tu tylko o dobrą wolę i szczerę przekonanie, bez którego naturalnie niczego dziecka nauczyć nie można. Przy tych warunkach zaś umiejętny pedagog, mający na oku zasadę o *moralnym* celu wychowania, znajdzie dostateczną sposobność do wyjaśnienia dziecku idei Boga, nawet w „nauce o rzeczach,“ bez nadwężenia przytem najsurowszych wymagań „wiedzy tegoczesnej.“

W imię tej nauki o Bogu nie myślimy bynajmniej lekceważyć treści nauczania początkowego, zaczerpanej z bezpośredniego otoczenia dziecka, a więc i z *przyrody*. Chętnie też uznajemy zasługi nowszej pedagogiki na tem polu i nawet takim wychowawcom, którzy nie zapo-

minają, jak to czyni p. Dawid, o moralnych zadaniach wychowania, szczerze polecić możemy jego lekcye metodyczne o różnych „rzeczach,” będące wzorami umiejętnego uprzystępnienia dzieciom poglądu na przyrodę. Niechże tedy nauka o przyrodzie nie ulegnie zaniedbaniu! Ale przy tem wszystkim nie przyznajemy pedagogice prawa wyrzeczenia się w sprawie wychowania tych środków kultury moralnej, które doświadczenie wieków i umiejętne zgłębienie duszy ludzkiej wykazały, jako jedynie skuteczne. Człowiek, nie czujący się uczestnikiem wyższego, duchowego świata, nie widzący żadnego wyższego celu istnienia po-nad swój byt fizyczny, pozbawiony jest nietylko szlachetniejszych motywów moralnego działania, polegających na dążeniu do najwyższej doskonałości, lecz nadto pozbawionym zostaje racjonalnych podnieć popędu życiowego wogóle. Rozczarowanie, niechęć do życia, brak energii do spełnienia obowiązków, wreszcie pesymizm i cynizm, stają się z konieczności jego udziałem. Czyż to ma być ostatecznym wynikiem wychowania, uznającego w zasadzie potrzebę „kształcenia charakteru, utrwalenia uczuć i popędów moralnych wychowańca!”

Napoleon I kazał włożyć buławę marszałkowską do tornistru każdego żołnierza. Nie odmawiajmy naszym dzieciom podobnych środków zachęty do wielkich czynów! Nie przytępiajmy ich poczucia bo-skiej godności! Excelsius!

FL. K. GĄSIOROWSKI.

---

# KRONIKA LONDYŃSKA.

---

Rok ten ma być dla Anglii rokiem szczególnej doniosłości. Przepowiedział to o nim, przed więcej niż półtrzecia wiekiem, słynny jasnowidz i astrolog, doktor Day, i nazwał go „wielkim rokiem ostatnim—*magnus novissimus annus*.“ Nieco późniejsza, mądra babka — *Mother Shipton* — zapisała w swych „Proroctwach,“ że... „pysznić się będzie w długie lata wszystko roku tego macierzyństwo.“ Wreszcie i słynny Tom Moore, dawno umarły autor „wieczystego kalendarza,“ zapewnia, iż „największe w stuleciu zmiany zajdą tego roku na brytańskim tronie i w brytańskich lepiankach.“ Nie brak i mniej uroczystych wróżb i przepowiedni, a najogólniejszą—bo wyrażoną w noworocznych artykułach dziennikarskich—jest zapowiedź, uzasadniona dość rozumnie: tak się wszystko źle działo w ciągu r. 1892-go, że jużcić nastąpi niechybnie zmiana na lepsze. *Di faxint!*

To pewna, że już od swego poczęcia znaleźli ten *annus mirabilis* dużo w Anglii pierwiastków, mogących usprawiedliwić jego pretensye. Przedewszystkiem—jest coś w każdym niemal kierunku tutejszego życia, co się niby zużyło, poniekąd wyczerpało, co-by chciano zastąpić jak najwcześniej innym, świeżym czynnikiem. W gospodarstwie społecznem, w dążnościach obcowania towarzyskiego, w pojmowaniu obowiązków doczesnych, w rozmyślaniach nad tem, co było, i nad tem, co będzie — w całym sposobie zapatrywania się na rację bytu wszech rzeczy jest coś, czemu nie śmie urągać pesymizm czasu, a co zdumiewa

entuzjastów swem działaniem systematycznym i bez wątpienia dodatnien. Jest wreszcie to *coś* tak wybitnie brytańskiem, tak odrębnem od czynników przyczynowości innych społeczeństw, tak ściśle zespolonem z wielkiem *ego* rasy, że zapewne czas upłynie długi, zanim duch cywilizacyi innych ludów odczuje należycie prądy tutejsze... że tyle dziś omawiana dążność ludzkości do zatarcia w sobie różnic plemiennych znów się okaże fałszywą i ujawni się nieomylność zasady, każącej ludziom i narodom wyrabiać przyszłość swoją samodzielnie i ze swojskich żywiołów. Anglii—Anglii wyspiarskiej—praca ta odśrodkowa przychodzi nierównie łatwiej, aniżeli ludom stałego lądu. Truizm to oczywisty: wiemy doskonale, jak położenie geograficzne wpływa na charakter i na rozwój narodów; mogli-byśmy nawet wyobrazić sobie, jakby to lub owo plemię w bycie swym się ukształciło, gdyby—tu graniczne swe góry i wąwozy znieść mogło, a tam się szerokimi rozgraniczyć dokoła wodami.

Ów czynnik potężny, szeroko rozlany, choć jeszcze osłoniiony ogromnym kompleksem drugorzędnych przyczyn i skutków—to świadomość, mniej lub więcej wyraźna, wyższych odpowiedzialności i obowiązków, nie ulegających kontroli ludzkiej. Brakuje mi dosadnego wyrażenia: nie mogę powiedzieć, by czynnikiem tym była religijność; nie jest nim nawet, mówiąc ściśle, reakcyja religijna; jest może jej zapowiedź, a jest bezwątpienia to, co spostrzegamy dziś na całym świecie: nateżona ciekawość i nienasycone dociekanie tajemnic duchowego pierwiastku w człowieku i—w przyrodzie. Tylko... kiedy po-za Anglią ciekawość ta zdaje się być podżeganą bodźcem materyalizmu, lub, co najmniej, szukać wyjścia z założenia ogólnie negatywnego, kiedy zdaje się dążyć—chcieć dążyć—do obalenia i zburzenia wszystkich systemów dotychczasowych i wszystkich podwalin moralnego bytu; w Anglii ciekawość ta ma charakter wybitnie religijny i uroczysty: tutaj zdaje się ona wypływać z wszechstronnego doświadczenia systemów połowicznych, dążyć—chcieć dążyć—do przekonania się i do przekonania świata, że, jak każda zdobycz wiedzy, tak każdy nawet domysł, byle rzetelny i uzasadniony, stawia ludzkość w jaśniejszem świetle prawd katechizmowych, jedynych i ostatecznych.

Czytelnik daruje mi, że „Kronikę,” która powinna być lekką, nielekkim rozpocząłem wstępem. Zechce też czytelnik wierzyć, iż nie obracam się, nie żyję tu w atmosferze wyłącznej, nie ogarniającej całości angielskiego społeczeństwa. Jeżeli już koniecznie o to chodzi komukolwiek, to powiem otwarcie, że żyję i pracuję w otoczeniu swojskiem, nietutejszem. Ale z kółka tego wychodząc codziennie—czy mnie powoła obowiązek pracy, czy zwabi potrzeba rozrywki umysłowej, lub towarzyska konieczność, gdziekolwiek zajdę, wszędzie się przekonywam,

że społeczeństwo w rozmaitych swych warstwach inaczej jest nastrojone, aniżeli było nie tylko za mej dawnej, ale i za niedawnej pamięci. By nastroje nie to było miłem—nie powiem; przeciwnie, jest ono dla mnie i dla wielu wręcz nieznośnem. Jest w tutejszej atmosferze, w atmosferze salonów i klubów, teatrów i drukarni, parlamentu i targowiska pracy—jest *wyczekiwanie*, przeświadczenie o jakimś coraz bliższym przełomie we wszystkich kierunkach i warunkach bytu i pracy. Andrzej Lang, filozof trzeźwy, pisał niedawno w „Nowym Przeglądzie,” że czas wielki, by się stulecie nasze skończyło, bo ludzie zdają się być przekonani, że wiek XX musi od samego początku przynieść światu organiczne zmiany wszechstronne; i „ludzie przyjęli stanowisko wyczekujące, *an attitude of expectancy*.”

ANO, jeżeli istotnie *nova progenies coelo demittitur alto*, jeżeli „rodzi się nowy porządek” jakiś — to niechby zawitał tu czemrychlej, bo dość już mamy mglistych niepewności.

Do takichże należy przedewszystkiem wielka kwestya irlandzka, większa dziś, aniżeli była kiedykolwiek dla Anglii i dla całego ustroju potęgi wielkobrytańskiej. Sądzę, że, zanim kronika ta dojdzie do czytelnika, przyszłość billu Gladstone'a zarysuje się wyraźniej. W tej chwili to tylko można powiedzieć o nim, że, jak każda doniosła reforma początkująca, nie jest on doskonałym, zawiera niemało punktów, potrzebujących jaśniejszego określenia, ma swoje wady i braki. Inaczej być nie może. Tylko w praktycznem zastosowaniu projektowanych ustaw leży sposób poprawienia ich, wzmocnienia, lub zmienienia. I z tego właśnie powodu, czego-by należało życzyć prawodawcom westminsterskim najwięcej, to—wiary w przyszłość i odwagi. Projekt zgrzybiałego bohatera wieku dlatego się spotyka z zaciętą opozycją, że stromictwa brytańskie *wszystkie* podejrzewają dobrą wiarę reprezentantów Irlandyi: są przekonane, że, otrzymawszy samorząd ściśle ograniczony, politycy irlandzcy nie ustaną w zabiegach, dopóki nie wydrą Anglii ostatnie ustępstwa, nie zmuszą jej do zrzeczenia się nawet pozorów jurysdykcyi w celtyckiej krainie. Nie tu miejsce rozpatrywać szczegółowo zasady i szczegóły billu Gladstone'a ze wszystkimi zagadnieniami, jakie stawia dziś i jakimi grozi w przyszłości; ale dziś już możemy być pewni, że projekt (jakkolwiek zmodyfikowany) przejdzie w izbie niższej i... *swego czasu* otrzyma sankcyę izby lordów i tronu. Kwestya samorządu dla Irlandyi nie może już zejść i nie zejdzie z pola praktycznej polityki tutejszego parlamentu, i ona-to, w swej fazie aktualnej, otworzyła na rozcień wrota olbrzymim niepewnościom, jakie czekają oddawna na głos decydujący rządów i przedstawicieli rasy anglo-saskiej. W rdzeniu trudności gladstońskiego billu: w sprawie rozgraniczenia interesów ogólnobrytańskich od irlandzkich i za-

kreślenia atrybutów, jakie posiadać ma reprezentacya Irlandyi w parlamencie imperyalnym, spoczywa cały problemat przyszłych stosunków wzajemnych między cesarstwem i jego składowemi częściami. Gladstone zapoczątkował reformę w duchu decentralizacyi administracyjnej i federacyi politycznej; Józef Chamberlain zdaje się być wskazanym na przeprowadzenie jej.

Czytając orędzie królewskie bieżącej sesyi i przyjmując do wiadomości programowe zapowiedzi p. Gladstone'a, członkowie izb westminsterskich zrozumieli odrazu, że sędziwy mąż stanu nie miał zamiaru ogłosić porządku prac parlamentarnych, tylko raczej chciał, by to orędzie oświadczyło Anglii i światu: Oto są ostatnie życzenia, ostatnie rozporządzenia testamentowe człowieka, sługi narodu, który lat z górą sześćdziesiąt stał rzetelnie i sumiennie na straży interesów państwa i społeczeństwa, kierował je według—nieraz błędnego może, lecz uczciwego rozumienia odpowiedzialności i potrzeb stanu, który ma niebawem zejść do grobu i z sobą pochować ostatnią żyjącą tradycję dawnego układu stronnictw rządzących, a po sobie zostawić zapalone światła, wskazujące ścieżki, jakimi nowe pokolenie zdążać ma do wielkiego gościńca odmiennej ery dziejowej. Że się Gladstone nie myli w czytaniu horoskopu przyszłości swego narodu, dowodzi fakt, że, z wyjątkiem kwestyi irlandzkiej, wszystkie inne, żywotnego dla Anglii znaczenia, tak są pojmowane i ważne przez olbrzymią większość opinii i jej nawet ultrakonserwatywnych reprezentantów, jak on je waży i pojmuje. Zgodność ta nie odbija się rzeczywiście tak wyraźnie w izbach prawodawczych, gdzie, prócz osobistych ambicyi, tyle innych działa wpływów; lecz odbija się na fizyognomii społeczeństwa towarzyskiej i prześwieca w jego ruchu umysłowym.

Pisarze nasi posługują się jeszcze przestarzałemi i całkiem nieczesnemi nazwami głównych stronnictw tutejszych: piszą o torysach i whigach, zapominając, że pierwszych pogrzebał Benjamin Disraeli, a drugich William Ewart Gladstone. Obóz zachowawczy wyrzekł się toryzmu; whigizm istnieje w dziejowej tradycyi niektórych wielkich rodów magnackich. Prasa demokratyczna obrzuca wprawdzie swych przeciwników owem mianem „torysów,“ które z zaszczytne go stało się dziś niemal obelżywem nawet w pe-torysowskim obozie; ale prasa wojująca pisze „na efekt,“ gdy chce straszyć masy widmem ekonomicznej i kościelnej reakcyi. Tak samo o whigach słyży się dziś tylko w północnej Irlandyi, gdzie prasa narodowa nazwą tą cechuje radykalistów protestanckich i katolickich, odrzucających wszelki projekt krajowego samorządu. W samej zaś rzeczy—jeśli pominiemy posłów irlandzkich—członkowie izby gmin rozdzielają się na dwa wielkie stronnictwa: zachowawcze i postępowe; każde z nich ma swoje skrzydło skrajne:

w pierwszym zasiadają ultra-postępowi przeciwnicy autonomii irlandzkiej (Chamberlain, Henry James), oraz t. zw. „neotorysi demokraci,” stawiający kwestyę robotniczą przed wszelkimi innymi (Gorst, Howard Vincent i Randolph Churchill). W skrajnem skrzydle postępowem, obecnie ministeryalnem, widzimy antagonistów tej polityki zagranicznej, która dąży do wytworzenia nowych zależności brytańskich i utwierdzenia „interesów państwa” w dotychczasowych. Wielce zdolnymi i dla rządu niewygodnymi są przywódcy tego skrzydła, Labouchère i Karol Dilke, zasiadający ponownie w izbie, mimo ciągłego protestu Steada, redaktora „Przeglądu Przeglądów” i reprezentanta narodowej partii obyczajowej, *Social Purity Party*. W tem samym skrzydle zasiada kilku, bardzo zresztą przyzwoitych i łagodnych „anarchistów,” kilkunastu republikanów i dziewięciu przedstawicieli pracy ręcznej. Mówcami ich są: mechanik John Burns, członek rady hrabstwa stołecznego, i Keir-Hardie, mularz, zasiadający ostentacyjnie w codziennem ubraniu prostego wyrobnika. Dodać należy, że ta frakcyja robotnicza, choć stoi w izbie przy obozie liberalnym i postępowym, głosi jednak otwarcie, że jest niezależną i że nie dowierza żadnemu stronnictwu, mając je oba za „gniazda obludy, oszustwa i nieprawości...”

Punkt ciężkości w izbie gmin dzisiejszej (tak niepodobnej do izby z przed lat ośmiu!) leży bezwątpienia w skrajnem skrzydle konserwatywnem, chociaż prawodawstwo nie prędeż uczuje całą jego wagę, aż po załatwieniu kwestyi irlandzkiej, po wychyleniu się z pod tego młyńskiego kamienia. Skrzydło to godzi się prawie na cały program Gladstone'a, potępiając „Gladstonizm;” na sporą część programu Labouchère'a i Dilkego, obstając przy idei imperyalistyczno-federacyjnej; na znaczną liczbę postulatów frakcyi robotniczej, której zaufanie usiłuje pozyskać i poniekaż już sobie zdobyło. Innemi słowy: Gorst, Vincent, R. Churchill i bez zaprzeczenia sam Balfour—to politycy konserwatywno-postępowi, patrzący w przyszłość najtrzeźwiej i najpoważniej, przekonani, że: ekonomiczne warunki 40-milionowej ludności Zjednoczonego Królestwa wymagają utrzymania kolonialnej potęgi wielkobrytańskiej — i że społeczne prawodawstwo wewnętrzne, odwołane, zapierane i uniemożliwiane zbyt długo przez kwestyę irlandzką, wymaga reform doniosłych w duchu demokratycznym. W obozie gladstońskim najwybitniejszym zwolennikiem tego samego kierunku jest hr. Rosebery, któremu dziś już naród cały przeznacza stanowisko, zajmowane przez „wielkiego starca.”

I jest dziś znów w Londynie dom, skupiający pod swym dachem najznakomitsze i zarazem najrozmaitsze osobistości, reprezentujące prąd konserwatywno-demokratyczny w dziedzinie politycznej i społecznej, towarzyskiej, literackiej i artystycznej. Czem dla Anglii początku



naszego stulecia były salony wielkich dam takich, jak lady Holland i lady Blessington, hrabiny Jersey i baronowej Willoughby de Eresby, tem dla Anglii końca wieku jest ów niewymownie brzydki zewnątrz, a po królewsku wspaniały wewnątrz, pałac książąt Devonshire'u, stojący na Piccadilly, schowany za ohydnie posępnym murem. A wielką była potrzeba takiego w stolicy domu, takiej jego gospodyni. W ciągu ostatnich lat 30-tu nie było tu ogniska towarzyskiego, przygarniającego z najdalszych kół społecznych ludzi najuczciwszych i najzdolniejszych, kobiety wpływowe i z rozmaitych względów stojące na widowni. Wielka arystokracja saska i normandzka wzięła rozbrat *des couches nouvelles*, odstęczona od nich... wonią kuponów, piwa i bawelny. Rody takich Percy, Stanley, Howard, St. Mau, Granville, reprezentowane przez książąt Northumberland, Norfolk, Somerset, Sutherland, przez hrabiów Derby, Essex, baronów Cholmondeley <sup>1)</sup>, Stafford i t. p.—rody te, biorąc w pewnej mierze udział w sprawach publicznych, nie brały żadnego w tem życiu towarzyskiem, które, choć zwane *high-life*, choć biorące swe światło i ciepło z pewnego pałacu ulicy Pall-Mall, schodziło coraz chyżej i coraz niżej do najpospolitszego poziomu. Nie zatrzymam się nad opisem różnych stron tego życia, bo, co było do powiedzenia o niem, to wypowiadałem na tem miejscu w dawniejszych Kronikach; dość przypomnieć, że jeśli źle było przed ukazaniem się książki „hrabiego Vasili,” to po niem jeszcze „się wszystko niżej pochyliło.” *Society in London* stało się wyuzdanem w swym cyniźmie, w pogardzie, z jaką zaledwie uznawało byt warstw „niewtajemniczonych,” czyli warstw, skazanych na pracę dobrowolną lub przymusową; wyuzdanem w sposobach, jakich szukało na pozbycie się swych niewyczerpalnych zasobów majątkowych; wyuzdanem w formach obejścia się i zachowania w kółkach własnych i przed opinią. Pewne rozgłośne skandale zapoczątkowały reakcyę, lub poradziły ściślejszą dyskrecyę; narodowa żałoba niedawna, z którą się wiąże różnie omawiana tajemnica, a z tą nie bez łącznika jest blizki ślub książęcej pary—ona także, i może najwięcej, przyczyniła się do obudzenia z letargu obojętności niejednej rodziny obywatelskiej: wielkopańskiej, gdzie jej zaszła potrzeba, skromniejszej na skromniejszych posterunkach.

*Devonshire House* jest stołeczną rezydencyą naczelnika rodziny Cavendish, wyniesionej do porządku magnackiego przez Wilhelma Orańskiego i Maryę w r. 1694,—rodziny, wywodzącej się z niderlandzkich Bentincków. Oddała ona niepomierne usługi dynastji hanowerskiej, a w parlamencie, stanąwszy od początku pod sztandarem whigów, objęła

<sup>1)</sup> Wynawia się: Czómlij!

z czasem główne kierownictwo interesów tego stronnictwa. Dzisiejszy książę, ósmy z rzędu, Spencer Compton Cavendish, przypomni się czytelnikowi lepiej pod nazwiskiem i tytułem margrabiego Hartington, jakie nosił za życia ojca. Urodzony w r. 1833, wykształcony w Cambridge, osiągnął stopień magistra *artium* w roku 1854, a doktora praw w ośm lat później. Służbę publiczną zaczął w r. 1863, kiedy, za rządów hrabiego Derby, został jednym z „lordów admiralicyi,” czyli odpowiedzialnym w parlamencie członkiem komisji dla spraw marynarki wojennej; równocześnie przeto zasiadał w izbie gmin, jako reprezentant północnych obwodów hrabstwa Lancaster (1857—1868). Był następnie podsekretarzem w ministerjum wojny, ministrem wojny, pocztmistrzem generalnym, sekretarzem stanu dla spraw irlandzkich (1871—1874), ministrem spraw indyjskich i znów ministrem wojny od roku 1882—1885. Do tegoż ostatniego roku, nie tylko kolegował z Gladstonem w każdym gabinecie whigów, liberalnym, nie tylko łączył się z nim węzłami najzażyłszej przyjaźni i wzajemnego szacunku; ale był przez niego obrany i wskazany z góry na naczelnika historycznej partji w izbie i w kraju, a nawet działał już w tym charakterze, kiedy, przed 10-ciu laty, starzec 74-letni ustąpił na czas pewien z areny parlamentarnej i miał zamiar skończyć pracowity żywot w zacisznej księżnicy zamku Hawarden. Mawiał wtedy Gladstone, że żaden mąż stanu nie może myśleć o podołaniu pracom pierwszego ministra W. Brytanii po przejściu—siódmego krzyżyka!

Obok Gladstone'a był lord Hartington najpopularniejszym w Anglii mężem stanu—aż do wiosny r. 1886-go. Był też najpopularniejszym filarem stronnictwa whigów, a choć magnat z rodu i wielki pan, „arystokrata“ w najszerszem znaczeniu ludowem, choć mający w sobie więcej zimnej i bezwiednej dumy, aniżeli lord Salisbury (któremu ją tak wyrzucają i stronnicy, i przeciwnicy), był Hartington ulubieńcem mas narodu i posiadał ich zaufanie bezgraniczne. Znano bowiem na wskroś jego zaeny, prawy i niezawisły charakter. O Gladstone wie się dziś i wiedziało się przed dziesięciu laty, że jest politykiem namiętnym z naturalnego usposobienia: nie zarzucano mu nigdy złej wiary, nie rzucano nigdy cienia na bezwarunkową czystość jego zamiarów; ale i to wiadomo, że Gladstone jest więcej niewolnikiem, niż panem swej uczuciowości—idealistą i, w wielu kierunkach, marzycielem. Dlatego jest też dziwnie zaciętym w swych zdaniach i teoryach, nieznoszącym opozycyi. Wszakże to własnej jego małżonki zdanie: „*We never contradict Mr Gladstone*“—my nigdy nie przeczy my jego słowom! Naród angielski nie może nie być serdecznie przywiązany do męża, noszącego rasową zaciętość, obstawanie przy raz powziętym zamiarze

z entuzjazmem, z religijnym zapalem, który przeszkód żadnych widzieć nie chce.

Hartington uzupełniał swym charakterem to wcielenie jaźni rasowej. Z temperamentu flegmatyk, nie zapalający się nigdy i niczem, maż zasad pewnych, silnych i jasnych, a wpływających z niewzruszonego przeświadczenia o istnieniu moralnych obowiązków, o wyższej odpowiedzialności człowieka, długoletni ten kolega i przyjaciel Gladstone'a odznacza się chłodną trzeźwością i bystrością rozumowania, rzadką sumiennością w szukaniu bezwzględnej prawdy, sądem wreszcie niezależnym i stanowczym. Jeżeli w Gladstonie uczuciowość przemaga nieraz nad siłą praktycznych rozumowań, to Hartingtonowi zarzucić da się tylko zbytek tego sceptycyzmu, który płodzi tchórzliwość pewną, bojaźliwą oględność i nieuznawanie dobrej wiary w ludziach.

Rozeszli się ci mężowie i obrali skrajnie przeciwne stanowiska w kwestyi irlandzkiej, tej właśnie, której jakiebądź załatwienie rozumne wymaga obustronnego zaufania, a wymaga go, mojem zdaniem, więcej, niż nie wiem jak genialnie obmyślonych zabezpieczeń i protektacyi, ograniczeń, rękojmi i wzajemnych ustępstw. Gladstone zaklinał ciało prawodawcze 8-go kwietnia 1886 r. tą samą prośbą uroczystą, którąśmy z ust jego usłyszeli 13 lutego 1893 r.: *„Niechże mi będzie wolno błagać was—jakbym was błagał, gdybym stąd ostatnim przemawiał tchem życia—zostawcie umarłym grzebać swoich umarłych! Odrzućcie precz od siebie wszelkie przypomnienie dawnych zbrodni i złości — a kochajcie się, szanujcie i wspierajcie wzajemnie poprzez wszystkie przygody i przemiany spraw ludzkich w czasach, co przyjsć mają“*<sup>1)</sup>. Ani lord Hartington przed siedmiu laty, ani dzisiejszy książę Devonshire'u nie zdobył się na tyle odwagi, by zaufać dzisiejszym mężom stanu irlandzkim, ludziom wyprobowanego rozumu politycznego, doświadczonym w ogniu długoletniej pracy parlamentarnej, zdolnym opanować niebezpieczne żywioły w swej ojczyźnie. Nikt nie ośmielił się powiedzieć, iżby szef rodziny Cavendishów zachował, lub chciał zachować w umyśle mściwą żalobę po nieszczęśliwym swym bracie, lordzie Fryderyku, ofercie dublińskich morderców; ale dziedziczny reprezentant stronnictwa, które sprowadziło do W. Brytanii drugiego zdobywcę Irlandyi, należy wybitnie do szkoły polityków, głoszących darwinistowską teorię selekcyi naturalnej i koniecznego zaniku żywotności twórczej, konstrukcyjnej, w ra-

<sup>1)</sup> „Let me entreat you—if it were with my latest breath I would entreat you—to let the dead bury its dead. Cast behind you every recollection of bygone evils, and cherish, love, sustain one another through all the vicissitudes of human affairs in the times that are to come.“

sach, które żywotność tę musiały w sobie tłumić i nią się dławić poprzez długie wieki.

Do 58-go roku życia był lord Hartington bezzennym — i Anglia, i świat cały wiedział, dlaczego. Podobno w swych latach uniwersyteckich jeszcze, zakochał się on był w czarowni pięknej hrabiance d'Alten, córce hanowerskiego ministra stanu, i zdobył jej serce. Ale zaszły okoliczności, które młodą parę poróżniły: z jednej strony miała tam być prosta *bouderie*, z drugiej była zadraśnięta duma. Hrabianka oddała rękę szkockiemu magnatowi, Wilhelmowi Drogo Montagu, siódmemu księciu Manchesteru, z którym pożycie jej było smutne. Jedyny syn tego związku, wicehrabia Mondeville, lepiej był znany doróżkarzom londyńskim, aniżeli rodzicom, a przezwisko „wujaszka Kim,“ jakim go obdarzyły stołeczne szansonistki, cenił wyżej od dziedzicznych tytułów. Umarł nareszcie stary książę i *uncle Kim* nastąpił po nim. Wtedy też zaczęto się pytać po klubach i salonach, rychło się skończy bezżeństwo Hartingtona? Wiedziano, że księżna była Zenobią margrabiego, że radził się jej i rad jej słuchał we wszystkich trudnościach parlamentarnych; w ciągu niejednego przesilenia ministerialnego, w klubach Carlton i Reformy pytano się wzajem: naprzód—co zrobi królowa? a zaraz potem: *what will the Duchess say?* co powie księżna? Nie było komeraży ujemnych, było niemało współczucia dla pary, tak „dla siebie stworzonej,“ tak nieszczęśliwie rozdzielonej. To też nie zadziwiło nikogo, kiedy, po śmierci ks. Manchesteru, dzienniki rozniosły wiadomość o zaręczynach jego wdowy, liczącej wtedy (1891) lat 56, z najwybitniejszym po Gladstonie członkiem izby gmin. Ślub odbył się w 15 miesięcy później; na kilka tygodni przed nim umarł stary książę Devonshiru, a w trzy dni po ślubie—skojarzone małżeństwo doprowadziło do przedwczesnego grobu biednego „wujaszka Kima...“

*Le roi est mort — vive le roi!* Ósmy książę Devonshire'u uczynił już dużo z pomocą takiej małżonki, by odżywić dawne tradycje pałacu na Piccadilly. Pan rozległych majątków w hrabstwach Derby, Lancaster, York i Sussex, kasztelan starożytnego zamku Lismore w Irlandyi, rozporządzający nadto wielkimi kapitałami, które ojciec nagromadził w ciągu długiego i bardzo czynnego życia, szef znacznej familii dziejowej, skoligaconej po mieczu i kądzieli z najlepszą połową arystokracji brytańskiej, mąż niespożytych zasług na arenie politycznej i naczelnik potężnego stronnictwa, popularny wśród mas, mimo swego antagonizmu względem irlandzkiej polityki Gladstone'a, a przytem zapalony miłośnik sportu (co tu ma zawsze urok swój i znaczenie)—książę stworzył swe komnaty wszystkim, którzy, jakimkolwiek jest ich stanowisko społeczne i polityczne, wierzą z nim w naglącą potrzebę stworzenia w Londynie tego, czego Londyn nie ma od lat zbyt wielu: *towarzystwa*

*światowego, reprezentującego naród angielski.* To, co dziś uchodzi za *society in London*, jest wszystkim, tylko nie wyrazem społeczności londyńskiej, tem zaś mniej angielskiej. Odznacza się ono przedewszystkiem tanim cynizmem, cynizmem najwstrętniejszym, nieskończenie dalekin od tego, który podziwiamy wszyscy, który oddziaływa dodatnio, jest bodźcem społecznych reform. Współczesny cynizm tak zwanego „towarzystwa“ londyńskiego jest—niedołężnie błazeński: wyśmiewa on wszystko i w równej mierze. Dla niego rozwód jest żartem, żartem jest związek małżeński, żartem — miłość. Patriotyzm?—żart! Nie przypuszcza się na chwilę, by ktoś chciał lub mógł działać z innych, jak z samolubnych pobudek, w celach innych, jak bezwzględnie osobistych. Jeżeli, jak wielu chce, cynizm ten ordynaryjny jest chorobą wieku, jeżeli na niego cierpią i inne społeczeństwa w swych warstwach wyższych; to jednak nie ulega wątpliwości, że w Anglii nie zaraził on bynajmniej kół szerokich, kół, z powołania swego, z położenia i z obowiązku, naczelných. Jest on wykwitem „finanseryi:“ chciwości, zawiści, gorączkowych zabiegów, pospolitej pretensjonalności, przesytu; ma charakter kosmopolityczny, czyli, co na jedno wychodzi, żydowski i brutalny.

Księżna Devonshire'u, *grande dame* w najlepszem tego określenia znaczeniu, należy dziś jeszcze do najpiękniejszych kobiet w Europie. Brunetka, wyniosłej postawy, miękkich, a jednakże bardzo regularnych rysów twarzy, z oczyma, z których przeglądają łagodność i spokój, przyćmione nieco melancholią—lat długich nastrojem—księżna jest przedewszystkiem kobietą, pełną wdzięku kobiecej prostoty, tego, co Angliacy zowią *unaffectedness*: niezdolnością do afektacyi. A kobiet takich jest coraz mniej w Anglii! Z jednej strony wtargnął do salonów tutejszych śmieszny i zarazem nieprzyjemny maskulinizm, zdradzający się nie tyle w modach toaletowych, ile... w swobodzie obyczajów, w braniu udziału w rozrywkach męskich, a najwyraźniej w swobodzie konwersacyjnej z mężczyznami. Z drugiej strony, przeważnie amerykańskiej, spostrzegać się daje owa bostońska, buduarowa pogarda mężczyzny, która i tu już głosi, że kobieta będzie geniuszem i inspiratorką cywilizacyi w nadchodzącej erze, iż mężczyzna ustąpi ze wszech pól dotychczasowej działalności, stanie się tak samo niewolnikiem kobiety, jak ona jego była niewolnicą w przedchrześcijańskich czasach. Idąc w parze z szaloną zbytkownością zewnętrzną, z szukaniem i nabywaniem ile możności wszechstronnej erudycyi, pogarda ta jest niezawodnie wielce pocieszną w niektórych względach—i z tego też powodu wabi i ęci specjalne koło zcyniczających dekadentów; o ile zaś ten rodzaj „towarzystwa londyńskiego“ zaznacza byt swój nieprzebranem bogactwem materyalnym, oryginalnością swych poglądów na ogólne pod-

stawy etyki, wreszcie rozgłosem i szukaniem rozgłosu w literaturze i sztuce, o tyle też wpływa demoralizująco, rozkładowo, na bardzo szerokie koła.

O przelicznych, nie cieniach, lecz jaskrawych, rażących odmianach tego kompleksu, który jest dźwignią towarzyskiego życia w Anglii, dużo-by pisać można, dużo, coby rozświeciło zagadkę: dlaczego trudno spotkać dwóch cudzoziemców, którzy-by o charakterze naczelnych kół tutejszych zgodne mieli zdanie? By nie przeładować Kroniki zbyt, odkładam to ponętne zadanie do stosowniejszej pory. Tymczasem poprzestaną na przytoczeniu w oryginale odpowiedzi, danej przez autora „Robinsona:“

A true-born Englishman's a contradiction,  
 In speech an irony, in fact a fiction.  
 These are the heroes that despite the Dutch,  
 And rail at new-come foreigners so much;  
 Forgetting that themselves are all derived  
 From the most scoundrel race that ever lived.  
     The Pict, and painted Briton, treacherous Scot,  
     By hunger, theft, and rapine hither brought,  
     Norwegian pirates, buccanering Danes,  
     Whose red-haired offspring everywhere remains,  
     Who, joined with Norman French, compound the breed  
     From whence your true-born Englishman proceed.  
 From this amphibious ill-born mob began  
 That vain, ill-natured thing, an *Englishman*.  
 The customs, surnames, languages, and manners  
 Of all these nations are their own explainers:  
 Whose relics are so lasting, and so strong,  
 They have left a shibboleth upon our tongue,  
 By which with easy search you may distinguish  
 Your Roman-Saxon-Danish-Norman English <sup>1)</sup>.

Salony księstwa Devonshire'u wypełniają się każdego czwartku osobistościami najrozmaitszemi, ale, jak trafnie powiedział Edmund Yates: „*sans reproche* nawet w towarzyskiem pojęciu moralności i przyzwoitości, a *sans peur*, bez fałszywej tchórzliwości, w wypowiedaniu swych zdań.“ Schodzą się więc tam politycy i dziennikarze najskrajniejszych przekonań: Gladstone'a wyręczają synowie i spotykają się z pułkownikiem Saundersem, najzaciętszym i w izbie gmin najzjadliw-

1) Defoe: „True-Born Englishman.“

szym mówcą antygladstońskim; p. Balfour prowadzi zwykły długie, poufne i, zdaje się, wesołe rozmowy z Williamem O'Brienem, który eks-ministra nazywał w swych dziennikach „krwiożerczym infamismem“ i gorzej...; Chamberlain szuka Morleya, lord Randolph Churchill debatuje z Harcourtem, a radykalista i republikanin Labouchère dowcipkuje w zawody z którymś księciem krwi. Tak samo schodzą się tam anglikańscy prałaci z luminarzami nonkonformizmu, głośne artystki dramatyczne zapoznają się z ascetycznymi biskupami i predykantami, Stead rozprawia głośno i namiętnie o sposobie fotografowania „duchów“ z najznakomitszym kuglarzem i przeciwnikiem spirytystów, panem Maske-lyne—i t. p.

Zapyta kto: czy i w jaki sposób zyskuje na tych zebraniach ten ogół towarzystwa, który nie chce, lub nie może zjawiać się w pałacu książęcej pary, czy jest stąd korzyść jaka dla najszerszej społeczności? Otóż jest korzyść istotna, nawet dotykalna, bo, należy to do idyosynkrazji tutejszych, że o czem się dziś mówi w którymś bądź kącie, a mówi do rzeczy, o tem nazajutrz piszą dzienniki, nad tem komentują sobotnie tygodniki, to dostarcza materiału mniej lub więcej poważnym myślicielom, zasilającym półtora tysiąca miesięcznych czasopism krajowych. Niechże kilka osób powźmie w klubie, salonie, jakąś nową ideę—to nazajutrz osoby te zwiążą się w specjalne towarzystwo, a pierwszym krokiem tego towarzystwa będzie—założenie specjalnego pisma, krzewiącego ową ideę. Czytelników i gotowych, mniej lub więcej powołanych, krytyków, nie zbraknie nigdy w kraju, którego ludność, w sobie zaklepią, czyta, jak nie czyta żaden naród.

Ale czas już wielki przejść do księgarni i teatrów.

Pochlebię sobie przypuszczeniem, że czytelnik nie zapomniał, co niejednokrotnie o teatrach londyńskich i o publiczności ich pisałem na tem miejscu: ta publiczność, o której pieniądze chodzi przedsiębiorcom, uczęszcza do teatrów w celu jedynym — by znaleźć w nich leniwe wytchnienie po całodziennej pracy. Dla niej-to piszą autorowie—piszą farsy, naszpikowane tem, co Niemcy zowią *Galgenhumor*, i piszą melodramata, zwane u nas „bombami.“

W zachodnich dzielnicach Londynu, w dzielnicach mody i zbytku, jest z górą 30 teatrów, w których przedstawienia bywają najrozmaitszej wartości, lecz zawsze—farsy, lub „bomby.“ Jakoś autorowie dramatyczni nie rachują się z faktem, że jest przecież w samej stolicy, jak w narodzie angielskim, z górą 30 rozmaitych klas społecznych, z których każda ma swoje, wiele odrębne, obyczaje i ideały, odrębny smak i nawyknięcia. Dramatycy piszą na jedną modłę, według jednego sza-

blonu i... w zupełnej niezgodzie z codziennością życia publiczności. Nie myślę się zapewne, twierdząc, że, koniec końców, zawodzą się ci, którzy się spodziewają zbyt wiele od sztuki dramatycznej, jako bezpośrednio moralnej i dydaktycznej mentorki. Dramat powinien uczyć, jak nas uczy życie: milcząco, bez ostentacji i z wyższym celem nad proste wskazanie moralnego dogmatu. Przecież nas życie nie uczy prawdomówności — natychmiastowem pogrążaniem kłamców w otchłań nieszczęścia! Życie codzienne pełne jest nauk nieubłaganej moralności, wskazywanych daleko wymowniej i tem dosadniej, im bliżej i poważniej, lub wierniej patrzymy na jego fazy. Wierząc w to, lub nie wierząc, pisarze angielscy układają swe dramatyczne sztuki i naiwnie, i brutalnie: naiwnie, bo gdzież jest widz, słuchacz angielski, który-by się budował zwycięstwem cnoty nad nieprawością?—brutalnie, bo z obrażeniem miłości własnej tych, co nie potrzebują, lub co nie lubią widzieć... jaskrawych podpisów pod każdym szczegółikiem obrazu.

To też któż tu uczęszcza na melodramat? Ha! Jesteśmy w Anglii. Czytelnicy Taine'a rozumieją. Jest przecież nad Tamizą publiczność wielosettyśięczna, znana jako *the Exeter Hall public* <sup>1)</sup>. Kochająca się w tego rodzaju bohomasach scenicznych, jak się kocha w średniowiecznych ilustracyach zbrodni, zbrodniarzy, i oprawców ich, i kaźni. Jest to publiczność średnio-klasowa, mniej lub więcej zamożna, lecz bytu materialnego niepewna: świat, zostający na bezustannym dorobku, którego rezultaty uwidoczniają się tylko w coraz liczniejszej rodzinie, w ambicyi uchodzenia za coś lepszego, ambicyi, uprawianej i skrzętnie, i oszczędnie, wreszcie w zdobyciu na starość najskromniejszej niezależności. Świat to po największej części nie religijny, ale „religiancki“ i we wszech rzeczach brytańskich niesłuchanie szowinistowski, biegający w niedziele za kaznodziejami, tymi nadewszystko, którzy głoszą ponure i ciasne teorie eklektyczne, neo-kalwińskie i swedenborskie, świat, słuchający we wtorki odczytów z dziedziny spirytyzmu i teozofii, wierzący w szczerłość i powołanie W. T. Steada, redaktora „Przeglądu Przeglądów,“ świat najposępniejszy w świecie, którego płęć męska ma osobny dekalog *in the City*, przy zarobku, a osobny *at home*, przy domowem ognisku, którego płęć żeńska, nie potrze-

<sup>1)</sup> W ulicy Exeter, przy Strandzie, jest gmach olbrzymi tego nazwiska, w którym się mieści zarząd centralny „Stowarzyszenia młodzieży chrześcijańskiej,“ rozległe sale klubowe dla członków płci obojej, sale do nabożeństw i t. d. Wymażenie, którem się posługują w tekiecie, choć utarte i ogólnie przyjęte do charakteryzowania bigoterii protestanckiej, mało lub nie ma wspólnego z instytucjem samym. Cele jego <sup>1</sup> środki zasługują na wszelkie uznanie. Poświęćmy mu przy sposobności osobny artykuł.



bując pracować, gnuśniej nad powieściami z biblioteki *Family Herald*, zatrnuwa się wiecznem (i najczęściej uzasadnionem) podejrzeniem mężów i braci o wielce czynną obłudę, w końcu: albo sentymentalizuje do upadłego, lub się przenosi za pomocą morfiny czy *brandy* w stan płaczelivej rezygnacyi. Świat ten przepada za melodramatami. Roskoszuje on od początku bieżącego roku w takim „Straconym Raju“ (w teatrze Adelphi), w „Naszych Chłopcach“ (Vaudeville), „W Mieście“ (Gaiety), lub w takim „Srebrnym Królu“ (w teatrze Princess's).

Ale obok tego świata daleko więcej jest setek tysięcy w Londynie, które, zarabiając grube pensye i zasługi, szukają wieczorem najłatwiejszego wytehnienia: śmiechu—dla śmiechu. Publiczność to młoda, przenosząca farsę nad najznakomiciej obsadzone areydziała Shakespeare'a. Dla niej to, i dla całego świata sportującego, i... powiem otwarcie: dla wszystkich „błogosławionych prostego serca“ i zrównoważonego umysłu, slyną pewne teatru tutejsze farsami, jakich nie widziałem nigdzie po-za Anglią. Układają je najznakomitsi artyści-komicy—i oni też sami je odegrywają. Sztuki te nie mają ani cienia pretensyi do jakiejbądź wartości literacko-artystycznej, tem mniej do znaczenia dydaktycznego, a są tylko karykaturowaniem wszystkiego, co w różnych narodowego życia położeniach jest śmiesznem, lub śmiechu godnem. Rzecz jasna, że dla cudzoziemców, nie zżytych z życiem tutejszem, farsy te i wszystka ich frazeologia i mimika są i być muszą chińszczyzną. Przechodzą nad nimi do dalszego porządku.

Grasuje i tu Ibsenizm, a zwolennicy jego, nieliczni wprawdzie, biorą się z tej samej kategorii pessimistów i pessimistek *à outrance*, która na stałym lądzie rozdzwając się zaczyna na: adeptów, pragnących szczerze i usilnie odkryć w Ibsenizmie tajemnicę przyszłości dla sztuki dramatycznej, i tych, którzy (zwłaszcza po „Budowniczym Selnessie“) pytają się wzajem, czy tylko mistrz skandynawski nie jest... *a consummate impostor*, skończonym zwodzicielem i wyzyskiwaczem schorzałych umysłów, kpiącym sobie wyśmieniecie ze świata i jego krytyków.

Mówi się tu, a mówi słusznie, że artyści angielscy przewyższają o całe niebo francuskich—wykształceniem ogólnem i zawodowem, zdolnościami, sumiemością i pracowitością; przewyższają ich także stanowiskiem, przyznawanem im prawie jednozgodnie, w towarzystwie społecznem. Stanowisko to zdobywa się w dzisiejszej Anglii dość łatwo: pieniędzmi. Ale, co w Anglii jest wielce trudnem do zdobycia, to właśnie pieniądze, wielkie pieniądze, takie, jakieby umożliwiały branie udziału we wszystkim, co robi świat wielki, świat, niewyczerpanie bogaty. Kiedym opowiadał artystom naszym we Lwowie, że taki Harry Nichols, komik, pobiera z górą 3,000 funtów rocznej pensyi; że miss Ellen Terry, nierozłączna koleżanka Irvinga, czerpie z kasy teatru Ly-

ceum 4,000 fst., że... rozgłośna szansonistka i taneczna akrobatka miss Lottie Collins, zarabia więcej, niż p. Gladstone, bo do 6,000 fst.; kiedy to opowiedział w Kole literackim, obstała mnie rzesza wielka, a gdy przekonano się o zdrowiu mem umysłowym i fizycznym, jedni pytać zaczęli o najlepszą metodę wyczerzenia się angielszczyzny, a drudzy zażądali wyjaśnienia tak potwornie bezproporcjonalnego stanu rzeczy. Zadowolony ciekawość pierwszych, drugim odpowiedziałem, jak następuje:

— Łaskawi Państwo! Na wczorajszym przedstawieniu waszem (graliście zaś „Zbójców“ Schillera) puste były jedne miejsca, drugie zajmowali niechrześcianie; zapytałem przyjaciela mego, Henia, ile ta publiczność była warta na austryacką walutę? Henio odrzekł bez wahania: „Półtora miliona.“ Dzisiaj odegraliście państwo „Straszny Dwór,“ odśpiewaliście go ze współludzią najczcigodniejszych talentów; teatr był nabit — pocziwą burżoazją i studenteryą — niechrześcianie zaledwie się docisnęli do najwyższej galeryi. Publiczność ta, według Heniowego obliczenia (a Henio jest prawnikiem i ekonomistą, dziennikarzem zaś *nie jest*), posiada wszelkiej gotowizny do wysokości około 80 złr. i 15 centów w. a. Dobrze. Przejdźmy teraz do jednego z 36-ciu teatrów londyńskiego Westendu; nie do Lyceum, ani Covent Garden, ani Drury Lane, lecz do najmniejszego z tamtejszych przybytków sztuki: do Adelphi. Na jego scenie przedstawiają koledzy wasi „Stracony Raj,“ a przedstawiają każdego wieczora, prócz niedzielnego, dodając co sobota przedstawienie poranne; koledzy wasi dają ten „Raj“ stale od 9-ciu miesięcy, i dawać go będą przynajmniej jeszcze przez 15 miesięcy. Teatr jest przepelniony codzien: gdy się zajdzie przed jego bramy w kwadrans po rozpoczęciu „Raju,“ bramy są zamknięte, a olbrzymie transparenty, efektownie umieszczone i górą, i dołem, oznajmują Londynowi, że: *No room anywhere*—niema miejsca nigdzie. I cóż sobie państwo myślicie: ileż warta owa publiczność w „Raj“ zagapiona, licząca głów wszelakich najwyżej 850? Obliczając najskromniej i tylko roczny jej dochód, warta jest od półtora do dwóch milionów funtów, czyli od 16 do 22-ch milionów papierków w. a. <sup>1)</sup>. A kapitałów nie policzono.

To jedno.

Dalej — powiedział mi Henio (który dziennikarzem *nie jest*), że.. i t. d., i t. p. Łaskawi Państwo, przejdźmy teraz do W. Brytanii i Ir-

<sup>1)</sup> Według autora (G. H. Malvern) broszury „Bogactwo i ubóstwo Londynu“ (1892), z której to obliczenie cytuję, Covent-Garden mieści na jednym wieczorze opery włoskiej publiczność, wartującą z kapitałami i pensjami od 180—200 milionów fst.

landyi nawet. Wielki Henryk Irving, który jest doktorem wszechniczy oksfordzkiej <sup>1)</sup>, znakomitym myślicielem i najtrzeźwiejszym (nawet obok Ruskina) estetykiem, Irving powiedział niedawno temu <sup>2)</sup>, że zauważył, jak od lat 15—20-stu, garnie się do zawodu dramatycznego młodzież zasobna, gruntownie wykształcona, często wysoko skoligacona familijnie i posiadająca w każdym razie wszelkie warunki bezpiecznego i wygodnego w świecie bytu. Prócz młodzieży tej, szukającej artystycznych wawrzynów dla rodowych nazwisk, skądże się biorą angielscy koledzy wasi i koleżanki? Natłok kandydatów jest tak ogromny, że dyrekeye mają bezustanny kłopot wyboru: wybierają więc, kierując się dwiema wskazówkami: 1) by talent był niewątpliwy; 2) by osoba, nawet utalentowana, nie była bez takich zasobów materyalnych, jakie ułatwiają pracę sumienną i zabezpieczają od ewentalności, od przypadków, co „po ludziach chodzą.“ To też mylicie się państwo, sądząc, że aktor londyński poczyna zawód z kasową gażą—trzech tysięcy papierków miesięcznie! Poczyna i ciągnie dość długo—bez wszelkiej gaży. Waruję sobie, by mnie nikt nie posądził, jakobym chciał widzieć na scenie, choćby nawet waszej, łaskawi państwo!—wojewodzców i podkomorzanki, starościanki i miecznikowiczów! Dalekim od tego, choćby z tej jednej racyi, że i na londyńskich scenach nie widziałem do tej pory jeszcze ani autentycznych książąt, ani prawdziwych hrabianek.

Pytacie się państwo, z jakiejże warstwy społecznej rekrutują się koledzy wasi i wasze w Anglii koleżanki? Odpowiadam: ze wszystkich tych, jakich u was niema. Z jednej strony są to synowie i córki rodzin zamożnych (jak już się rzekło), lecz ani magnackich, ni chłopskich, ani mieszczkańskich, ani rzemieślniczych—rodzin zasię rozsiedlonych po drobnych willach podmiejskich i wiejskich, rodzin duchownych, ekskupieckich, eksficerskich, synowie i córki anglo-indyjskie i anglokolonialne. „Irving“ (nazywający się właściwie: John Henry Brodrib) urodził się w r. 1838 z ojca kapitalisty; pani Langtry jest córką kościelnego dygnitarza z wyspy Jersey; pani Kendal córką municypalnego „rycerza“ londyńskiej City; Wilson Barrett synem znakomitego mary-

<sup>1)</sup> Nietylko smutny proces krakowski, ale i inne a częste wzmianki dziennikarskie polskie mogły-by dać komu do wierzenia, że o tytuł doktorski (filozofii, prawa, teologii lub medycyny) tak łatwo w Anglii, jak o nowy kapelus. Faktycznie tu właśnie o stopień ten jest najtrudniej, a żadne go pieniądze same przez się nie kupią. Wszechnice dają wprawdzie, tak samo jak zagraniczne, stopień doktorski *honoris causa*, lecz tylko w „prawie międzynarodowem“ i tylko osobistościom skądinąd znakomitym, wysoko zasłużonym i szeroko znanym.

<sup>2)</sup> 12-go lutego, na dorocznym bankiecie „Funduszu prasowego“ dla wdów i sierot po dziennikarzach.

narza; Edward Terry synem manchesterskiego bankiera-bawelniarza; a nestor komików brytańskich, John Lawrence Toole, urodził się przed 60-ciu laty w Londynie z ojca kupca anglo-australskiego. Większa może liczba znakomitości dramatycznych oglądała za młodu rodziców swych tryumfy przedkulisowe, a za kulisami—chowała się w otoczeniu jeżeli nie zbyt kownem, to z pewnością i wykwiśnionem, i wykształconem. Młodzież ta obrała zawód rodzicielski z zapamiętaniem do sztuki i z prawdziwego, wrodzonego uzdolnienia. Panie: Ellen Terry, Bancroft, Brandon, Florencia St. John; pp.: Grossmith, Terris, A. Roberts, Karol Warner i Karol Wyndham—by o najgłośniejszych tylko wspomnieć—to dzieci, często wnuki, nieraz prawnuki artystów. Są nakoniec i meteory, są i stałe gwiazdy, błyszczące świetnie na widnokręgu sztuki dramatycznej, o których się nic ziemskiego nie wie.

Wreszcie zwrócę uwagę państwa na okoliczność najważniejszą: Z publicznością stolicy milionową i bogatą, tą, która do teatrów uczęszcza najpilniej, z bezustannym natłokiem wyborczych sił artystycznych i z ciągłą z tego powodu, a „szaloną“ konkurencją, mogą sobie dyrekcje pozwolić na zbytek pozostawiania artystów przy jednych i tych samych charakterach.

Wszystkie zaś te cechy i powody sprawiają, że artyści angielscy są po największej części *specjalistami*, każdy i każda, nie tylko w odtwarzaniu charakterów, lecz w ich cieniowaniu i podcieniowywaniu, specjalistami nie tylko do ról naczelnych, lecz z najpracowitszym artyzmem i do ról najdrobniejszych.

Był-bym dalej w ten sposób opowiadał lwowskiemu artyście, gdyby mnie byli słuchali... Lecz jedni, wzruszywszy ramionami, odeszli, a drudzy, stojąc, lub siedząc... spali. Czegom im więc nie dopowiedział, to tu dopiszę.

Artyści i artystki w Anglii, specjalizując bezustannie, rozmijają się oczywiście z istotą zadań i celu swej sztuki. A to najgorsza, że nabierają manieryzmu, nie są zdolni do ukrycia swej tożsamości. Irving-Hamlet jest Becketem tak samo, jak Irving-Lear jest... Mefistofelem; Ellen Terry gra szekspirowską Juliettę z temi samymi ruchami, z tą samą dykcją, z jaką gra Rosamundę Tennysona i niemiecką Grätchen. Toole jest do znudzenia... Toolem wszędzie i zawsze. Podobny sąd wydać należy o wszystkich wielkich artystach tutejszych, z jedynym wyjątkiem Beerbohma-Tree, w którym wielu widzi prawdziwą potęgę twórczą.

Jeżeli przypuścimy jednak, że nie zbywa Anglii na artystach, to, z drugiej strony, litować się nam przychodzi nad oplakany brakiem—artystycznych dzieł. Rzecz jasna, że publiczność takie ma dramata i komedye, na jakie zasługuje. Można-by przecież wymagać, by ktoś

się ulitował nad publicznością. Przed trzema laty dużo się tu mówiło i pisało o potrzebie i o metodach wykształcenia smaku „narodowego,” chciano zakładać szkoły dla pisarzy dramatycznych. Dziś nikt już reformatorskich planów nie wnosi: przekonano się wreszcie, że o doskonałości sztuki, o dążeniu do tej pewnej doskonałości mowy być nie może w specjalnych stosunkach tutejszych. Dopóki ognisko ruchu artystycznego jest w Londynie, zamieszkałym przez kilkadziesiąt warstw narodowych, tak od siebie odmiennych, że można-by je słuszenie za odrębne uważać społeczności, dopóty też dyrekcye takie sztuki wystawiać będą, jakie są zdolne podobać się publiczności „przeciętnej,” tą zaś jest w kraju nadtamizańskim zlew osób, pod wszelkim względem najsprzecznieszego charakteru, zlew, w którym przeważa liczba kobiet i to kobiet z klas zamożnych, które są w fotelach i łóżach dlatego, że w domu się nudzą, a po-za nim, po-za ciasnem kółkiem niewielu znajomych, nigdzie nie bywają. „Rozglądając się po najlepszych miejscach w teatrze londyńskim, widzimy, jak we francuskim kościele, górujący pierwiastek uczuciowy” — powiedział Max O'Rell przed kilku laty <sup>1)</sup>, i mógł-by to zdanie powtórzyć dziś z większym naciskiem: „pierwiastek” nie tylko jest „uczuciowy,” lecz jest i dziecinny. Konsekwentnie bardzo—artyści płci męskiej stoją tu daleko więcej na widowni, aniżeli ich piękne, istotnie piękne, koleżanki: Londyn ma jedną artystkę, wybitną gwoli tylko swego talentu, miss Ellen Terry; inne muszą poprzestawać na reputacyi swych szwaczek, fryzyerów, jubilerów, lub protektorów. Pani Langtry, talent szczególny, zarazem rzeczywisty, nie znoszący na scenie obok siebie drugiego „charakteru”—angielska Sara Bernhardt—zwykła używać zręcznego fortelu na zwabienie „oplacającej się publiczności:” oznajmia na afiszach, ile razy zmieni tualetę w ciągu sztuki, i kto jej suknie wymyślił i wypracował

Dodajmy, że krytyka, że recenzja dramatyczna w organach prasy jednym się tylko powoduje celem: kupieckiej reklamy. Ale tu już powtarzać nie będę, co zaznaczyłem swego czasu <sup>2)</sup>, a co się w równej poniekąd mierze odnosi do kwestyi niniejszej.

No, mówią nam przecież wielkie powagi—Saintsbury i Lang, np.—że zajaśniała jutrzeńka nowej i lepszej doby; a mówią tak, bo wystawia nam Beerbohm-Tree „Hypatyę” w teatrze Haymarket, a w Lyceum Irving „wyscenizował” Tennysonowego „Becketa.” O pierwszej tragedji rozpisać się niepodobna pod koniec Kroniki, o „Bekecie” zamilczeć nie wolno.

<sup>1)</sup> „John Bull i jego Wyspa.”

<sup>2)</sup> W artykule: „Angielscy krytycy i pisarze:” zeszyt „Biblioteki” z czerwieca 1891 roku.

Przed Tennysonem probowało już kilku udratyzować epizod, częścią historyczny, częścią legendowy, którego środkową postacią jest kantuaryjski biskup - męczennik. Żadna atoli próba nie znalazła przyjęcia—może z tego powodu, że pisarze poszli nadto wiernie za wskazówkami historyków (Stanleya, Robertsona, Froude'a), których poeta-laureat do współpracownictwa nie przypuścił. Ani też nie napisał Tennyson „Becketa“ dla sceny <sup>1)</sup>, tem mniej zaś dla Lyceum, teatru Irvinga—jak mylnie rozgłoszono. „Becket“ ukazał się w druku po raz pierwszy w r. 1875, kiedy Irving nie zdobył sobie jeszcze sławy „jedynego Anglii aktora.“ W cztery lata później, stojąc w okolicznościach wyjątkowych na stanowisku wyjątkowem, otrzymał Irving rękopis oryginalny „Becketa“ z listem, w którym poeta, po wyrażeniu najwyższego uznania dla artysty, zapytał: czy możliwem było-by na scenie Lyceum „przedstawienie głównych części“ dzieła? Irving odpowiedział twierdząco i zajął się stosownem przerobieniem tragedyi. Dlaczego jej nie wystawił za życia autora—nie wiadomo; próby u scenizowania dwóch innych pematów dramatycznych Tennysona, „Czary“ i „Królowej Maryi,“ nie wypadły świetnie, dowiodły raz jeszcze tylko, że tego rodzaju operacye nie osiągają zamierzonego celu: nie zapoznają z istotną wartością i z artystycznymi rozmiarami pracy oryginalnej, i tem więcej ujmują jej, im ona jest wyższą w oderwaniu.

Irving wywiązał się z trudnego zadania rozsądnie i szczęśliwie: epizod dziejowy, posiadający tyle i takich pierwiastków dramatycznych, miał zapewnione z góry powodzenie moralne; materyalne zaś zależało od zręcznej adoptacyi, takiej, która-by zachowała dziełu najwyraźniejsze cechy tennysonowskie, a zarazem uczyniła je i zrozumiałem dla londyńskiej publiczności, i, przedewszystkiem, efektownem. Irving więc skrócił tragedję więcej, niż o połowę, zachowując niemal wszystkie momenta doniosłe. Tylko dokonać nie mógł uproszczenia akcyi, która jest poetycznie epizodyczną, przytem rozstrzeloną po zbyt rozmaitych kątach Francyi i Anglii. Czytelnik zechce sobie teraz uprzytomnić przepyszne dekoracye, skrupulatnie historyczne stroje niewiast, szaty mnichów i zbroje rycerskie—wyobrazić sobie najznakomitszą obsadę ról, choćby najmniej znaczących <sup>2)</sup>, wyniosłego postawą, ascetycznego twarzą Irvinga w roli tytułowej, a oto przebieg tragedyi:

<sup>1)</sup> W dedykacyi dzieła lordowi Selborne pisał wyraźnie: „W tej oto swej formie nie jest „Becket“ przeznaczony do zadowolenia wymagań naszych teatrów współczesnych.“

<sup>2)</sup> Rolę Rozamundy objęła miss Ellen Terry; Henrykiem jest Terris; Eleonora miss G. Ward; Fitz-Ursem,—Frank Cooper. Role, tak mało znaczące, jak wieśniaków, spotykających Eleonorę na ścieżce do lasu, jak nawet czterech siepaczy, obsadzone są przez wcale niepoślednich artystów sceny Lyceum.

Krócintka scena między Eleonorą, żoną Henryka II (rozwidzioną z Ludwikiem VII, francuskim, dziedziczką Akwitanii), i potężnym baronem Fitz-Urse: królowa, zazdrosna o przywiązanie męża do „pięknej Rozamundy,” podnieca przeciw niej barona, wiedząc, że Fitz-Urse jest aż nadto skłonny do szukania zemsty za otrzymanego od dziewczyny odkosza. Niebawem patrzymy na zewnętrzne mury zamku w Normandii; z obszernego tarasu, na którym Henryk gra w szachy z swym kanclerzem (Becketem), widok jest rozległy na górzysto-lesistą okolicę. Kanclerz — jeszcze wtedy nie arcybiskup — odziany jest bogatą szatą purpurową, płaszczem zielonym, rękawice obrzuconym złotem i drogiejmi kamieniami; wyraz twarzy poważny i smutny: dygnitarz przeczuwa od dawna ostatnią katastrofę swego życia, wie, że odwrócić ją mogła-by tylko ofiara własnego sumienia — jest więc przeświadczony o niepodobieństwie zażegnania straszного losu. Król, młody, dumny i porywczy, ma umysł zajęty walką z rosnącymi wpływami Kościoła: „Kościół — woła uniesiony — skorzystał z zamieszek dni króla Stefana, na sam tron wstąpił i po samą sięgnął naszą koronę!” Zniecierpliwiony trudnością gry, obala stół, rozrzuca figury; „mój biskup — rzecze kanclerz — do muru przywalił waszego króla.” Henryk jest atoli szczerze przywiązany do Becketa, uspokaja się więc i — prosi, by kanclerz strzegł Rozamundy, ukrytej w leśnym zaciszu, którego mapkę rysuje król na pergaminie. Rozmowa toczy się dalej o sprawach angielskiego królestwa; blizkim śmierci był ówczesny arcybiskup kantuaryjski, więc Henryk błaga kanclerza o przyjęcie tego dostojęństwa. Kiedy, po odejściu Becketa, królowa schodzi na taras i widzi zapomniany na stole rysunek, z wypisanymi słowami „jej zacisze,” Henryk zapewnia, że pergamin jest własnością kanclerza. Kłopotliwą chwilę przerywa wejście posłańca, oznajmującego zgon arcybiskupa; kanclerz oplakuje stratę przyjaciela, a Henryk, odpowiedziałwszy, że „starzy ludzie muszą umierać, inaczej-by świat zaplesniał!” — przeskakuje stół i śpieszy do ptaszników na łowy.

W obrobieniu Irvinga część ta jest prologiem. Początek zaś tragedji ukazuje nam Becketa w Londynie, w domowisku kanclerskiem, do którego wrócił właśnie — po intronizacji na stolicę prymasowską. Wielkie znaczenie tej sceny ujawnia się w słowach, jakimi arcybiskup opisuje swoje widzenie wiernemu Herbertowi. Nie pokuszę się o oddanie piękności i siły białego wiersza poety, ale otóż przekład: „Alboż ja jestem tym człowiekiem? Śpiącemu, zdało mi się, iżem stał w kantuaryjskiej świątyni, i do Bogam Pana mówił, i takem mówił: Król Henryk był mi przyjacielem, był bratem, był tym, co mnie podźwignął w tym świecie, i obral mnie na to Twoje wielkie arcybiskupstwo, mniemając, iżbym tedy gotów był pójść z nim przeciw Kościołowi, a ja jużei

pójdę przeciw niemu z Kościołem. Alboż ja tym jestem człowiekiem?— I Pan mi odrzekł: „Tyś jest zaiste człowiekiem tym, i więcej, niż „tym człowiekiem.“ Zaczem, wydało mi się, Pan przystąpił do mnie i powalił mnie na ziemię w świątyni, i ległem.“ Opowiadając sen, święty stoi z podniesioną ku niebu twarzą, z rozwartymi ramionami: widać w nim, nie tak egzaltację, jak rezygnację męczennika, bolejącego, że cios spaść ma z ręki przyjaciela i brata.

Ale do izby wbiega Rozamunda, szukająca kościelnego schroniska przed ścigającym ją Fitz-Ursem: baron, zmuszony ustąpić, tym sroższym staje się wrogiem arcybiskupa...

Efektowną i malowniczą jest następna scena w starożytnej ulicy miasta Northampton, wiodącej do królewskiego zamku: Między domownikami i mieszczańskimi stronnikami Eleonory z jednej, a Becketa z drugiej strony, przyszło do kłótni i bójki. Jest to obrazek tylko, zaznaczony przez Tennysona kilku słowami, mającemi nastroić wyobraźnię czytelnika do następnej sceny, ale obrazek, odtworzony przez artystów sceny Lyceum z archeologiczną prawdą, z realistyczną grubością obyczajów epoki. Ważnego tu nie zachodzi nic, rozumiemy tylko, że Becket odrzuca pomoc królowej, ofiarowaną mu pod warunkiem pokazania Eleonorze owego rysunku z napisem: „jej zaćsisze.“ Tymczasem w zamkowej halli stoją i siedzą różnie ugrupowani baronowie, zajęci żywymi rozprawami. Patrzymy i słuchamy wrzasku pomieszanych głosów, chrzęstu zbroi. Lecz nagle ucichają barbarzyńcy królewicza: do halli zstępuje poważny, spokojny i zdecydowany arcybiskup-kanclerz. Odczytuje on niebawem akt słynnych i przez koło monarsze wygotowanych *Constitutiones Clarendoniana*e, a czytając, zaznacza po każdej artykule, czy się w imieniu Kościoła zgadza, czy nie: „A i tego podpisać nie mogę“ — powtarza łagodnie i stanowczo. Natrząsa się z niego potężny York, przymawiają mu szyderczo biskupi, dobytymi mieczami wygrażają się baronowie; ale kanclerz odmawia swej pieczęci konstytucyom. Ustępuje częściowo, złożeniem swego podpisu na akcie, kiedy z błagającymi go o to Templaryuszami łączy głos wielki jałmużnik papieski. Wspaniała ta scena kończy się przepysznie i wrażliwie: arcybiskup, stojąc na schodach granitowych, któremi ma odejść do górnych izb królewskich, dobywa krzyża swego pasterskiego i trzyma go wysoko nad tłumem możnych i hardych panów. Ci zaś—prałaci w mitrach i złocistych *cappae magnae*, baronowie w zbrojach żelaznych — stoją przed nim, głęboko schyleni i jakby uroczyście trwożą zdjęci. Zastłona opuszcza się zwolna.

Po tym burzliwym epizodzie przenosi nas geniusz sztuki do leśnego zacisza uroczej Rozamundy, tak heroicznie przywiązanej do Henryka, tak przez niego wielbionej i kochanej. Nie pospolita to miłość,



nie pospolita kochanka! Wszakże ona jest córką brytańskiego Cliforda, potężnego barona Herefordu, matką dwóch synów królewskich. I otóż młodszy z nich, małeńki Geoffroy (później arcybiskup Yorku) wybiega w początku tej sceny, czysto sielankowej, prowadzi Henryka do ukrytej w gąszczach chaty, a zostawiwszy tam „pięknego rycerza,“ wraca do zabawy z siostrzyczką Małgosią. Małgosia śpiewa. Wszystko tu wonieje lasem, ziołami—wonieje dzieci niewinnością. Dla rozumiejących język przepisuję tu przesłiczne w swej onomatopiecznej prostocie strofki Małgosinej piosenki:

Babble in bower  
Under the rose!  
Bee mustn't buzz,  
Whoop—but he knows.

Kiss me, little one,  
Nobody near!  
Grasshopper, grasshopper,  
Whoop—you can hear.

Kiss in the bower,  
Tit on the tree!  
Bird mustn't tell,  
Whoop—he can see.

Stąd akcja przerzuca nas do Francji, do Montmirail, gdzie król Ludwik VII stoi obozem, gdzie Henryk toczy zaciętą i namiętną walkę słów z Becketem: arcybiskup jest niezłomny; król podziwia go, chciałby żyć z nim w dogodnej zawsze zgodzie, waha się, dręczy, unosi—wreszcie pada w jego ramiona i w obliczu rycerstwa celto-saskiego jednia się z nim uroczyście. Ale Tomasz wiel wie, że do Anglii wróci—po śmierć. Znowu zmiana sceny: jesteśmy przed lasem, w pobliżu zaciśza królewskiej kochanki. Przybyła tu Eleonora z Fitz-Ursem, spotkała zabłąkanego Geoffroya, a rozpoznawszy jego rysy, łatwym fortem znajduje drogę do chaty, staje przed Rozamundą. Królowa daje rywalce do wyboru: lek na... bezsenność, lub sztylet. Już, już ma ugodzić, gdy (tu słabość pomysłu), rękę jej wstrzymuje zjawiający się niespodzianie arcybiskup... W akcie czwartym, na zamku w Normandji, Henryk znowu pokłócony z Becketem: wymawia mu gwałtownie ekskomunikę, rzucaną na biskupów; woła, oszalały z gniewu: „Czy nikt mnie nie uwolni od tego mnicha?“—a niebawem znajduje czterech gotowych wykonawców domniemanej woli.

Wiadomo, że Tomasz złożył swe dostojenstwa i ustąpił do zakonnej celi. Tu go więc znajdujemy, w klasztorze 8-go Augustyna, w Canterbury. Cienie śmierci w tej ubogiej celi. Becket, nieświadomy królewskiego wyroku, ale zawsze przekonany, że umrze śmiercią gwałtowną, oblicza się z czystym swem sumieniem i boleje nad niepodobieństwem pogodzenia obowiązku z wymaganiami ukochanego Henryka. Rozmyślania te przerywa Rozamunda: przychodzi usłyszeć z ust samego Tomasza, czy prawdą jest, co rozgłoszono o kłatwie, rzuconej przez niego na króla. Obecny w celi John of Salisbury rozprasza te wątpliwości, Becket wyraża się o Henryku z niewysłowioną rzewnością, a widząc smutek Rozamundy i jej przywiązanie do króla, dodaje: „Byłem raz w polu z Henrykiem w czasach onych, kiedy mnie Henryk kochał, i naszliśmy na przepiórkę, siedzącą na gniazdku, siedzącą nieruchomie; wyciągnąłem ramię, dotknąłem jej dłoń, a ona się nie ruszyła. Śnieg zamarzył był dokoła niej—i siedziała tak skamieniała, umarła, na kupce jajek, jak lód zimnych. Patrz-no! jak ta miłość, ta rodzicielska, przenika wszystkich świat Bożego stworzenia, nawet zwierzę—ptaszę!”

O ostatniej scenie tragedyi w bocznej nawie katedry kantuarijskiej, pod normandzkimi łukami i wzorzystemi w swych barwach oknami — parę słów tylko: Tomasz, wstający z modlitwy, majestatyczny w pogodzie męczeńskiej rezygnacyi, widzi onieśmielonych siepaczy. Cios morderczy zadaje ręka Fitz-Urse'a — i święty pada na granity, błogosławiąc...

Rozbiór krytyczny dzieła uwydatnił-by jego wady i usterki, przypisali-by je atoli—scenizatorowi, który, jak czytelnik teraz pojął, musiał się łamać z niemałemi trudnościami. Ale rozbiór taki uwydatnił-by zarazem przedziwne piękności dzieła, kryształową prostotę a potęgę myśli, odzianych formą najczystszej poezyi, któremi, niby obfitą strugą blasków drogich kamieni, mieni się i jaśnieje utwór ostatniego... może ostatniego Anglii poety-laureata.

EDMUND S. NAGANOWSKI.

---

# PRZYSZŁA WOJNA

## JEJ EKONOMICZNE PRZYCZYNY I SKUTKI.

---

### W S T Ę P.

---

#### I.

Meteorologowie utrzymują, iż czasami do atmosfery naszej dostaje się pył kosmiczny: zmienia kolor nieba, krwawą barwą nasycą promienie słońca, dostaje się do mieszkań i do płuc naszych, wrogo oddziałując na organizmy; nie chronią przed nim nawet wyżyny szczytów górskich, dostaje się tam i brucez białosć śniegów dziewiczych, przez nic innego nigdy nie zbrukanych.

W życiu publicznem, a w części i w prywatnem naszego społeczeństwa i Europy całej czems podobnem jest w tej chwili wojna. Nią wyłącznie przesycona jest myśl narodów, od mężów stanu, u steru stojących, poczynając, a kończąc na pracownikach, cały dzień troską o kawałek powszedniego chleba zajętych.

O konieczności wojny w przyszłości bliższej lub odleglejszej mówią w salach posiedzeń i na kurytarzach wszystkich parlamentów, w gabinetach i salonach, w buduarach i na poddaszach. Przerażające widmo wojny nie tylko dręczy wyobraźnię — pod jego fatalnem tchnieniem cale życie społeczne w niektórych państwach Europy środkowej medykkuje się, kureczy, a nieraz nawet ścina: przemysł lęka się rozwinąć swe skrzydła, energia jednostek, niezbędna dla wytwa-

rzania nowych bogactw, zamiast podniety widzi wszędzie przeszkody i hamulce, każdy zasoby swoje chowa na czasy lepsze. Handel zmniejsza promienie swych obrotów i ogranicza się do załatwiania tylko niezbędniejszych potrzeb na najbliższe terminy. Obawa, że jutro burzę przynieść może, pęta każdego oględniejszego rolnika, przemysłowca i kupca.

Czy jednak to zaniepokojenie umysłów nie jest złudzeniem, nie jest rodzajem epidemii, w chorych nerwach swój początek biorącej, czy też to rzeczywistość naprawdę tak groźna? Na to pytanie odpowiedzieć z całą pewnością nikt chyba nie potrafi. Każdy-by wołał, aby ta zmosfera tylko była i po ocknięciu się minęła. Któż nie pożąda twórczego technienia pokoju? Ale czy pożądanie, choćby powszechne nawet, zdoła zmienić bieg rzeczy!

Wprawdzie w chwili obecnej horyzont polityczny znacznie się wyjaśnił i nie widać chmurki, która-by mogła w krótkim czasie burzę sprowadzić; pomimo to jednak, pozbyć się całkowicie obaw, mając szczególnie na uwadze przeszłość i stan rzeczy obecny, niepodobna.

Zastanawiając się głębiej nad samym przedmiotem, przyszliśmy do wniosku, iż szale pokoju i wojny chwieją się na obie strony w równowadze niestałej, a może tylko pozornej; lada wstrząśnienie, lada wypadek drobny i nieprzewidziany pełnąć może fatalnie drugą ku dołowi.

Badanie charakteru przyszłej wojny, oraz jej ekonomicznych przyczyn i skutków zawiera specjalne trudności tak znaczne, że, nie będąc z zawodu wojskowym, autor tej pracy nigdyby się do przedmiotu tego nie wziął, gdyby nie względy i pobudki bardzo doniosłe, natury ekonomicznej, a z pomysłowością kraju naszego jak najściślej związane.

## II.

Warszawa jest w tej chwili pierwszorzędną twierdzą, a wskutek połączenia i pokombinowania z fortyfikacyami Nowogrodzka i Iwangrodu, nabrała znaczenia bardzo ważnego punktu strategicznego.

Niemoże ulegać wątpliwości, iż z chwilą wybuchu wojny miasto nasze, wskutek bliskości granicy i wskutek tego, że w murach swoich posiada pół miliona mieszkańców, zwróci na siebie szczególną uwagę rządu i stanie się przedmiotem jego opieki. Ludność będzie musiała przebyć ciężkie koleje oblężenia, lub w najlepszym razie zniesie przerwanie regularnej komunikacji i dowozu żywności.

Przed kilku laty autor znalazł się był w potrzebie opracowania memoriału, w którym bardzo szczegółowo była roztrząsana kwestya potrzeb miasta Warszawy w razie wybuchu wojny. Ponieważ rdzeniem kwestyi w danym razie był stan, jaki wojna wytworzy, to przede wszystkim wypadło zrobić przypuszczenie, iż z chwilą wkroczenia wojsk którego z państw ościennych komunikacya Warszawy z resztą kraju zostanie utrudniona lub nawet przerwana, a wskutek tego i działalność przemysłowa niezmiernie osłabnie.

Naturalnie miasto nasze i cała jego ludność półmilionowa znajdzie się w całkiem zmienionych i bardzo trudnych warunkach. Nie dosyć, że trzeba mieć znaczne zapasy, aby uchronić mieszkańców od głodu, ale zarobki się urwą i ludzie, żyjący z pracy, pozbawieni zostaną możliwości zaspokojenia swych potrzeb, gdyby nawet zapasy istniały.

Wobec tak poważnego zagadnienia, zdawało nam się, iż należało kwestyę usunięcia lub przynajmniej złagodzenia grożącej klęski w czasie pokoju, kiedy nie ma się spokoju i wszechstronnego sądu należycie zbadać, a więc przede wszystkim poznać charakter wojny współczesnej i przypuszczać jej przebieg, a następnie na tej podstawie przewidzieć i obmyślić, co najpożyteczniejszego da się zrobić.

Wojna francusko-pruska roku 1870—71 dostarcza nam jedyne przykłady oblężenia miasta z wielką liczbą ludności, będącego punktem środkowym życia intelektualnego, przemysłowego i handlowego dla całego kraju. To też, chcąc poznać możliwe następstwa ewentualnego w razie wojny położenia Warszawy, należało zbadać stan i warunki Paryża przed i po osaczeniu go przez armie zjednoczonych Niemiec.

W 1870 r. w Paryżu nie było żadnego doświadczenia, któreby mogło ułatwić zadanie; trzeba było błądzić niemal po omacku, domyślać się, zamiast postępować wedle planu z góry ułożonego, a opartego na faktach. O potrzebach dowiadywano się wtedy dopiero, gdy one dotkliwie cisnąć poczęły; łatano wiele rzeczy wprzód nieprzewidzianych, co przy ciężkich warunkach oblężenia wśród pośpiechu narażało ludność na wiele przykrości i braków. Dziś, ponieważ się już można oprzeć na doświadczeniu cudzym, grzechem było-by nie uniknąć wielu błędów, z powodu których tyle wycierpieli paryżanie.

W tym celu badać należało zjawiska ekonomiczne nie tylko w samym osaczonym Paryżu, kiedy normalne warunki i wymagania podaży i popytu istnieć przestały, lecz i na całym teatrze wojny, zarówno lądowej, jak i morskiej, gdyż stan oblężonej stolicy, w chwili zamykania się dokoła niej żelaznego pierścienia wojsk niemieckich, zależał od ogółu warunków i skutków, przez wojnę wytworzonych.

## III

Wynikająca konieczność poznania całokształtu zjawisk kampanii francusko-niemieckiej, a następnie i wogóle charakteru wojny współczesnej, warunkowanego przede wszystkim postępami broni, udoskonaleniami technicznymi środków pomocniczych i zależnymi od nich zmianami taktyki, musiała nas wprowadzić na grunt całkiem inny, niż zjawiska ekonomiczne. Może nawet część czysto wojenna zbyt się rozrosła w stosunku do przedmiotu, będącego punktem wyjścia i celem pracy całej, lecz to stało się sposobem bardzo naturalnym. W poprzednich pracach (wpływ dróg żelaznych na ekonomiczny stan Rosyi, Finanse Rosyi w wieku XIX) wypadło nam rozpatrywać ekonomiczne skutki zarówno tych wojen, które Rossya prowadziła sama, jak i tych, które jej dotknęły pośrednio. Ztąd też przedmiot ten nie był nam już zupełnie obcy. Co zaś najważniejsza, dobrześmy wiedzieli, iż bez dokładnej znajomości technicznej strony kwestyi, która stanowi w danym razie przyczynę lub bezpośrednio wpływa na przyczyny, warunkujące skutki ekonomiczne wojen, objęcie całokształtu zjawisk i trafne ich pod każdym względem ocenienie było-by niemożliwe.

Dotychczas zawsze wywody nasze staraliśmy się opierać na cyfrach, uważając je w sprawach społecznych za świadectwo najwiarodniejsze, bo najbardziej zabezpieczone od błędów i złudzeń subiektywizmu. Napoleon I. powiedział: „Rien d'aussi brutal que les chiffres. La statistique c'est le budget des choses, et sans budget point de salut”.

I w tym razie od przyjętego zwyczaju nie odstępujemy; bierzemy je za punkt wyjścia i za pierwszy środek zorientowania się wśród istniejących w Europie stosunków i sił. Gdzie tylko liczba mogła nam coś powiedzieć, pomocy jej wezwaliśmy, dokładając wszystkich starań, aby cyfry były dokładne. Ale jak wogóle, tak i tu, same nagie cyfry nie wiele-by nas nauczyły, czasem były-by niezrozumiałe, czasem nie wystarczające. Nie wszystko przytem daje się ująć w rachunek arytmetyczny. Trzeba było powoływać się na fakta i na dokumenta innego rodzaju.

W ostatnich kilku dziesiątkach lat w sztuce wojennej zaszły pod każdym względem wielkie zmiany, przewroty można powiedzieć. Przede wszystkim przekształcił się rdzennie stosunek pomiędzy pierwiastkami, które w wojnie uczestniczą i od których przebieg jej zależy.

Jeszcze przed laty trzydziestu liczebność armii na stopie wojennej nie różniła się bardzo od kontyngensu pokojowego. Wojny prowa-

dzone były przy pomocy wojsk stałych, a te się składały z żołnierzy zawodowych. Obecnie większość szeregowców i przeważną część oficerów utworzą ludzie, dopiero w chwili wybuchu wojny oderwani od czynności najzupełniej pokojowych. A przytem do szeregów powołani zostaną i ludzie starsi, którzy pozostawiają w domu rodziny, nieukończone interesa, opuszczone warsztaty. Na pole walki wylegną całe narody.

Jest rzeczą całkiem naturalną, iż przy takiej masie rezerwistów, przychodzących do szeregu z szerokich gościńców życia, gdzie wszystkie powiewy i podmuchy hulają swobodnie, do armii w państwach Europy zachodniej łatwo bardzo przedostać się może agitacja antywojenna, a nawet propaganda socjalizmu.

W wielu tych państwach zaznaczyć się dają we wszystkich warstwach społecznych nie tylko teoretyczne, lecz nawet praktyczne usiłowania usunięcia wojny z dziejów ludzkości. Filozofowie i filantropi, mężowie stanu i agitatorowie rewolucyjni, poeci i artyści, parlamenta i kongresy, coraz bardziej i bardziej nabierają przeświadczenia, iż należy powstrzymywać potoki krwi i zapobiedz klęskom, z wojny wynikającym. Była chwila, że protesta przeciwko wojnie mnożyły się i potężniały, zdawało się, iż cel usiłowań niebawem już da się osiągnąć. Nowe wojny, wywołane polityką Żelaznego Kanclerza, zwróciły i uwagę, i uczucia narodów europejskich w inną stronę. Niemniej jednak myśl całkiem nie zamarła, kielkuje i działać na umysły nie przestała.

Głosy uczonych i starania filantropów, skierowane przeciwko wojnie, znalazły niebawem ucho i wśród niższych warstw ludności. Ale każda myśl, idea, pojęcie, inaczej wygląda w umyśle oświeconym wiedzą, wyrobionym pracą naukową, inaczej zaś w głowie prostaka, który jest zdolny dojrzeć skutki, ale nie może wznieść się do pojmowania przyczyn, nie rozumie względów społecznych, nie wie, co to konieczność historyczna, nie potrafi myśleć abstrakcyjnie. Niedokładna wiedza, tak jak przyćmione światło, rodzi widziadła fantastyczne.

#### IV.

Groza wojny stała się w ostatnich czasach daleko straszniejszą z powodu niesłychanych udoskonaleń narzędzi zniszczenia. Ręczna broń niemiecka w r. 1870niosła na 1000 m., obecnie zaś bije na 4000. Za granicę celności strzałów uważano wówczas przestrzeń 600 metrów, dziś zdołano ją posunąć do 2500. Znaczy to, że donośność strzałów wzrosła 4 razy. Siła i szybkość strzałów zwiększyła się trzy ra-

zy. Żołnierz ma dziś przy sobie 150 ładunków zamiast 90-u. Te, wszystkie ulepszenia stanowią, że każdy karabin jest obecnie kilkadziesiąt razy potężniejszy, niż był 20 lat temu.

Działanie armat jest dzisiaj 4 do 5 razy straszniejsze, niż było w r. 1870. Mogą one utrzymać ogień niesłychanie morderczy na odległość 2500 do 3000 metrów, a niektórzy autorowie zapewniają nawet, że działa dzisiejsze razić mogą skutecznie na 7000 metrów odległości. Szybkość strzałów armatnich wzrosła nadto jeszcze  $2\frac{1}{2}$  raza. Wynaleziono nowe pociski, napełnione materiałami wybuchowemi, o potężnem działaniu.

Rany od nowych kul w stalowych lub niklowych koszulkach, zwłaszcza na odległości bliższej nad 400 kroków, będą daleko straszniejsze. Siła uderzenia kul trzy do czterech razy większa, aniżeli w r. 1870, czyli okropność bitwy i z tego powodu wzrośnie.

Gdyby nawet uwzględnić twierdzenia niektórych autorów, że ulepszenia broni powiększają raczej ilość strzałów chybionych, niż śmiertelnych, że morderczość walki zmniejszy się wskutek uniemożliwienia bitew na bliską metę, ataków kawaleryi i starć na bagnety, że wskutek oddalenia od siebie stron walczących i konieczności zasłonięcia się szalicami, wycofanie się z pola bitwy będzie łatwiejsze; pozostanie mimo to rzeczą niewątpliwą, iż wrażenia psychiczne i moralne, jakich doznawać muszą uczestnicy przyszłych bitew, będą o wiele silniejsze i, wobec bezdymności pola bitwy, odmienne niż dawniej.

Dobrym żołnierzem, obojętnym na los swój własny i towarzyszków, może być tylko wojak z zawodu. Dziś zaś, przy obecnym systemie służby wojskowej, takich wojaków z rzemiosła jest bardzo niewiele. Nawet dla tych, których kule oszczędzą, przebycie wrażeń wojny jest przerażającą okropnością.

Przyszłe starcie międzynarodowe zapowiada się bardzo krwawo. Broń straszniejsza, a więc więcej ofiar i mniejsza możliwość pomocy, ulgi, ratunku. Większe niebezpieczeństwo — a więc potrzeba wyższego bohaterstwa, większego poświęcenia, większego zamiłowania do mordu, kiedy umysły i serca kierowane są w stronę wprost przeciwną. Pobojuwisk nie będą już zakrywały kłęby dymu, grozy wojny nie już nie osłoni. Żołnierz nie dojrzy nieprzyjaciela, często nie usłyszy wystrzału, który go drogiego życia pozbawi, ale widzieć będzie towarzysza wijącego się w boleściach konania, słyszeć będzie jęki, jak długo i szeroko rozciągnie się pobojuwisko. Zbieranie ramych podczas bitwy stanie się daleko mniej możliwem aniżeli dawniej. To też, mówiąc o przyszłych zapasach międzypaństwowych, zapominać nie należy, na jak straszną próbę narażone będą nerwy nie wojskowych z fachu i popowolania, lecz obywateli, od biurka, szydła i kopyta pod broń powo-



łanych, którzy i tak tych nerwów nie mają dosyć silnych, nawet na potrzeby życia spokojnego.

Wobec nowych warunków walki zachodzi większa potrzeba chronienia żołnierza po-za szańce, okopy i mury. Ale tem trudniej będzie skłonić wydelikacyonnych żołnierzy do wychylenia się z po-za tej zastony, do wycieczki w otwarte pole. Zapał bohaterski w imię idei w państwach zachodnich będzie dziś wywołać trudniej niż dawniej, zwłaszcza jeżeli wojna nie będzie czysto obronną.

W Niemczech np. pokolenie dzisiejsze jest o wiele sceptyczniejsze niż to, które gromiło Francję w r. 1870. Wtedy (przyświecała wojownikom wielka idea zjednoczenia poszarpanej ojezyny. Tymczasem po osiągnięciu tego celu warunki ogólne pogorszyły się. Zresztą, jak twierdzi Hoenig, nawet żołnierz niemiecki nie jest zdolny ogarnąć umysłem idei, za którą walczy.

Trzeba więc liczyć tylko na to, że w nawykłym do karności żołnierzu siła bezwładności przeważa nad refleksją i pobudkami natury moralnej. Te armie, w których dyscyplina i bezwzględne posłuszeństwo silnie są rozwinięte, posiadać będą przewagę.

Nie mogła nie podziałać na armię, długo, poważna i umiejętnie prowadzona, agitacja uczonych, humanistów i socjalistów przeciwko armiom stałym i krwawemu rozstrzygnięciu sporów międzynarodowych, a przytem groźba wojny musi przestraszać nawet spokojnych obywateli, nie stawających osobiście w szeregach obrońców ojezyny. Niezależnie bowiem od ruiny i strat ekonomicznych, od widnia głodu, obawą napełniać ich musi myśl o okropnościach, połączonych z oblężeniem i bombardowaniem miast, o brutalstwie i bezwzględności najeźdźców, o zniweczeniu na czas pewien wszelkiego porządku prawnego, o zachwianiu bezpieczeństwa osobistego i majątkowego, nieodłącznem od wszelkich głębokich wstrząśnięć społecznych.

Te wszystkie względy oddziałują w duchu odwleczenia o ile możności chwili wybuchu wojny.

## V.

Ale z drugiej strony ludność czuje dotkliwie nadmierny ciężar militarizmu. Nie tylko pochłania on znaczną część owoców pracy wszystkich klas i stanów, lecz jednocześnie także paraliżuje rozwój życia i pracę utrudnia. Co zaś najgorsza, przy dzisiejszym stanie stosunków nie podobna mieć nadziei, aby nastąpiła zmiana na lepsze; w tej chwili Europa stoi wobec konieczności wydania no-

wych miliardów na broń bardziej udoskonaloną. Karabiny małokalibrowe są wprawdzie wynalazkiem bardzo świeżym, ale wprzód nim cała Europa zdołała się w nie zaopatrzyć, wprzód zanim żołnierze do nich przywykli, już technika pokazuje nowe wynalazki—potężniejsze. Chęć zaś posiadania przewagi nad przeciwnikiem u jednych, a konieczność dorównania współzawodnikom u drugich, zmuszają wszystkie narody bez wyjątku do rzucenia tak niedawno jeszcze podziwianych magazynówek do tyglów na szmelc i nabywania nowych karabinów 5 milimetrowych, które wyrzucać będą pociski z siłą dwa razy większą niż karabiny obecne, a każdy żołnierz w ładownicy pomieścić zdoła nie 150, jak obecnie, lecz 250 nabojów. Rumunia i Włochy już się zaopatrują w tę broń najnowszą, w Niemczech, Austrii, Francji lada dzień sprawa ta wejdzie na porządek dzienny. Naturalnie, ani technika, ani państwa na 5-ciomilimetrowej broni się nie zatrzymają, jest to tylko jeden szczebel dużej drabiny.

Lecz naturalnie i artylerya w miejscu nie stoi. Dzisiaj chodzi przede wszystkim o zaopatrzenie się w takie działa, aby mogły zużytkować całą siłę nowego prochu bezdymnego. Zadanie zostało rozwiązane, działa takie już wyrabia w Niemczech Krupp, Canet we Francji; trzeba je kupować, pomimo nadzwyczajnych sum, bo inni wyprzedzą.

Patrząc na to, co się w Niemczech dzieje obecnie, pomimo woli zadajemy sobie pytanie, czy parlament wiecznie zgadzać się będzie na coraz nowe i coraz uciążliwsze wydatki? Już obecnie widzimy, że parlament obawia się okazać zbyt powolność ze względu na swych wyborców. Wreszcie powstawać mogą wątpliwości, czy wogóle społeczeństwa, obrabiane przez agitacje, niosąc niestananne i tak obfite ofiary dziełu zniszczenia, nie dojdą do kresu, po-za którym obecny aparat wojenny, oparty na służbie obowiązkowej wszystkich zdolnych do noszenia broni, okaże się niemożliwością?

Nie tylko więc na wojnę przyszłą wpłyną i obecnie wpływają zmieniające się liczebnie i jakościowo kontyngensy wojsk, nowa udoskonalona broń, lecz także i czynniki moralne, które dawniej słabo tylko na bieg wypadków oddziaływały. Mianowicie usposobienia i dążenia opinii publicznej stanowią dziś w Europie zachodniej pierwiastek, z którym kierownicy państw nie mogą się nie liczyć. Wobecnej chwili opinia ta znajduje się w stanie wyraźnego wzburzenia, obawy bliższej wojny coraz bardziej ją niepokoją.

Wskutek zawarcia „potrójnego przymierza”, kwestya możliwej wojny pomiędzy Niemcami i Austrią a Rosją stała się powszechnym przedmiotem rozpraw i wniosków, zarówno ustnych, jak i pisanych, w prasie i w broszurach, a nawet grubych dziełach.

Wobec przewidywań w kwestyi tak ściśle związanej z pomysłnością narodów, niewątpliwą przysługę w każdej europejskiej literaturze mogła-by oddać praca bezstronna, w której czytelnik znalazłby ściśle i prawdziwe pojęcie o charakterze przyszłej wojny, o jej obecnych warunkach, a dalej zarys główniejszych stosunków politycznych i społecznych, które wpłynąć mogą na przebieg kampanii, wreszcie wskazówki co do prawdopodobnych jej skutków. Tem zaś praca ta jest ważniejszą i potrzebniejszą, im dane społeczeństwo mniej jest poinformowane i z tendencyjnych głosów chwytta tylko niedokładne echa.

Wykonanie zadania podobnego w całej jego rozciągłości przechodzi, rzecz prosta, nasze siły. To też pierwotnym zamiarem naszym było wyświetlić, jakie warunki znalazła-by w kraju naszym wojna, ciągnąca z zachodu, i jakieby zjawiska wywołała. O studyach czysto wojskowych nie myśleliśmy. Prędkośmy się jednakże przeknali, iż jeżeli się nie wie ściśle, co jest wojna, jaką ona będzie, jakie ona ma środki i jaką metodę, to niepodobna dokładnie wymiarkować jej skutków, niepodobna wytworzyć sobie żadnego pewniejszego pojęcia, jak długo ona potrwa i w jakim stosunku stać będzie względem mieszkańców — a to są pytania doniosłości w danym razie pierwszorzędnej.

Zbadanie wszystkich kwestyi, ściślej lub luźniej z naszym głównym tematem związanych, zajęło nam już około dwu lat czasu. Niektóre części zostały już całkowicie ukończone, inne wymagają jeszcze pewnego czasu. Uważałem za właściwe, nie zwlekając do chwili, kiedy cała praca będzie mogła ujrzeć światło dzienne, zaznajomić ogół z jej ważniejszymi rozdziałami.

Gdy przejdziemy do kwestyi specjalnie wojskowych, czytelnik znajdzie wszędzie powołanie się na uznane powagi i z ich sądów będzie mógł wytworzyć sobie pojęcie o rzeczy; część ekonomiczna zaś jest rezultatem studyów samodzielnych. Pochlebiamy sobie, iż ogół nasz inteligentny znajdzie w niej wiadomości, wyjaśnienia i oceny, nietylko interesujące i ciekawe, lecz także pożyteczne ze względów nawet czysto praktycznych. Przedewszystkiem chodziło nam o wyświetlenie zjawisk i faktów, które w danym razie odegrywać będą rolę ważną, a z pod uwagi powszechnej się usuwają.

## ROZDZIAŁ I.

## Porównanie sił armii lądowych.

## I.

Porównawcze badanie różnorodnych kwestyi, dotyczących siły zbrojnej państw europejskich, jest tembardziej interesujące i naucezające, że wobec wzajemnej konkurencyi w tym zakresie, każda ważniejsza zmiana, dokonana w jednym państwie, natychmiast odbija się i w innych, pobudza je do przedsięwzięcia reform w swoich armiach. W ten sposób studia porównawcze dają z jednej strony wyobrażenie o panujących w danej chwili ogólnych poglądach na organizację siły zbrojnej i celach, jakie przytem miano na widoku, a z drugiej wyjaśniają, w jaki sposób, pod wpływem warunków miejscowych, modyfikuje się praktyczne zastosowanie tych poglądów.

Ażeby się przyczynić do rozjaśnienia zagadnień powyższych, nie dosyć jest rozpatrzeć obecny stan uzbrojeń, trzeba poznać siły militarne w przeszłości, oraz ich rozwój aż do chwili ostatniej. Dla porównania postępów zbrojenia się różnych państw, za punkt wyjścia wziąć należy wojnę francusko-włosko-austriacką, gdyż od tej daty rozpoczyna się szereg wojen, powikłań, pretensyi i zamiarów, pozahaczanych o siebie, niby ogniwa jednego łańcucha.

Wprawdzie sama wojna 1859 r. stała się możliwą wskutek kampanii krymskiej; ale dopiero po Magenta i Solferino tak się stosunki ostatecznie ułożyły, takie się odsłoniły widnokreśli polityczne, iż cała Europa powołaną została do czuwania z karabinem na ramieniu.

Pogrom Austrii w r. 1866 w znacznej też części był skutkiem wojny włoskiej, a z drugiej znów strony, jeżeli nie spowodował, to w każdym razie umożliwił katastrofę r. 1870—71.

Piorunujące tryumfy oręza pruskiego w r. 1866 przeraziły przedewszystkiem Napoleona III. Spostrzegł niebezpieczeństwo i widział, że powiększenie i zreorganizowanie armii francuskiej jest koniecznością pilną i nieodzowną. Według projektu, wypracowanego w r. 1868 przez marszałka Niela i przyjętego przez izby, zamierzone dzieło miało być ukończone zaledwie w 1879 r. (w 1879!), i wtedy wojsko liniowe z rezerwami liczyło-by 800,000 ludzi, ruchoma zaś gwardya narodowa, przeznaczona do służby w kraju, wynosiła-by do 400,000 głów. Ale nawet dla tak dalekiego terminu reformę prowadzono opieszale, niedbale i nieumiejętnie, to też po wybuchu wojny, w początkach sierpnia 1870 roku, armia wraz z gwardyą narodową liczyła niewiele więcej nad  $\frac{1}{2}$  miliona ludzi, liniowe zaś pułki posiadały zaledwie 330 do 340 tysięcy

żołnierzy. W Niemczech zaś w lipcu i sierpniu t. r. do armii liniowej, do wojsk załogowych i oblężniczych, powołano pod broń 1,183 tysiące ludzi. Piechota liniowa liczyła przeszło 462 tysiące. Konnica zaś blisko 57 tys. głów. W końcu wojny w lutym 1871 r. pod bronią znajdowało się prawie 1,351 tysięcy ludzi, z tego zaś w armii czynnej było 937 tys. W obec takiej przewagi sił, o której sztab niemiecki wiedział doskonale, nic dziwnego, iż generał Moltke mógł powiedzieć na radzie wojennej przed samym wybuchem: „Jeżeli Francuzi za dni pięć (t. j. 21 lipca) nie wejdą na nasze terytoryum, to nigdy Renu pomiędzy Kolonią a Moguncją oglądać nie będą”.

Niewątpliwie też, chociaż talent strategików i wzorowa administracya Niemiec zaważyły wiele, przyczyna główna tak stanowczych zwycięstw od pierwszej chwili tkwiła w wielkiej przewadze liczebnej wojska niemieckiego.

Nadto okazało się, iż wojska niemieckie, złożone przeważnie z ludzi, tylko co od pracy codziennej pod broń powołanych, nie ustępują w niczem zawodowym żołnierzom armii francuskiej.

Przykład był nietylko uderzająco wymowny, lecz wprost przerażający: miliony bagnetów stały się niezbędnym warunkiem bytu narodów.

To też wszystkie państwa Europy musiały pójść za przykładem Prus i tworzyć armie, nie, jak dawniej, z określonej liczby żołnierzy zawodowych, lecz poprostu z ogółu zdrowej ludności męskiej.

Pobita Francya, marząc o odwecie, szukała wzorów u zwycięzcy, a skutkiem tego było nowe prawo o kompletowaniu szeregów, którego ścisłe przeprowadzenie zapewniało młodej republice skompletowanie w krótkim czasie armii, równej militarnym siłom nowego cesarstwa.

Akcya wywołała reakcyę. Bismarek pragnął zniszczyć możliwą potęgę sąsiada w zarodku, i dlatego w r. 1875 szykował się do nowego najazdu, straszniejszego niż poprzedni, który-by zadał Francyi cios ostateczny. Do wojny nie doszło wskutek stanowiska cesarza Aleksandra II, militarizm jednak w Prusach, natrafiwszy w zaborecznych swoich planach na opór ze strony Rosyi, zrobił wtedy dość znaczny krok naprzód. Prawo wojskowe z r. 1874 o kompletowaniu armii, obowiązujące w Prusach, zostało rozciągnięte do wszystkich państw związku niemieckiego.

Dlatego też do bezpośredniego porównania z r. 1859 uważaliśmy za właściwe wziąć cyfry z roku 1874; do porównania cyfr tych dwu dat używamy urzędowej pracy pruskiej barona Firksa. Potem bierzemy rok 1884, aby poznać postęp militarizmu w ciągu ubiegłego dziesięciolecia; przytem jest to rok ważny w dziejach polityki europejskiej, bo rok zjazdu w Skierniewicach. Wreszcie bierzemy dane najnowsze z roku zaprzeszłego, 1891.

Naturalnie, porównywać będziemy stan i zmiany uzbrojeń tych tylko państw europejskich, których głos ma znaczenie w sprawach międzynarodowych, które zatem wpływać będą na bieg politycznych wypadków, a więc nas mogą obchodzić.

## II.

Z tego pobieżnego zarysu czytelnik przekonać się może, iż to Niemcy zapoczątkowały ruch w kierunku uzbrojeń; one wytworzyły wir, który, potężniejąc z roku na rok, porywał jednego za drugim, aż do ostatniego, bliższych i dalszych sąsiadów; one przykładem i groźbą narzuciły militarizm Europie.

Siły zbrojne na stopie pokojowej państw, które nas interesują, t. j. Rosyi, Niemiec, Austrii, Francyi, Anglii i Turcyi, w roku 1859 wynosiły 2,590 tysięcy ludzi, w r. zaś 1874—3,266 tysięcy, przyrost więc osiągnął 27%.

Twierdzenie to łatwo się daje udowodnić cyframi. (Włochy tymczasem w porównaniu musimy opuścić, gdyż ukonstytuowały się one dopiero po r. 1859).

*Siły państw europejskich na stopie pokojowej.*

PAŃSTWA	r. 1859		r. 1874		liczebność armii, w r. 1874, jeżeli liczbę 1859 r. oznaczymy przez 100
	t y s i ę c y l u d z i				
Rossya. . . . .	769	1254	856	1491	111
Francya . . . . .	485		635		131
Niemcy . . . . .	547	1053	847	1410	155
Austria . . . . .	506		563		111
Turcyja . . . . .	200	283	272	365	136
Anglia. . . . .	83		93		112
Ogółem. . . . .	2590		3266		127
Włochy . . . . .	—		379		—

Cyfry te całkiem wyraźnie mówią, kto w Europie w dziele przetwarzania sił narodu na potęgę militarną prym trzyma. W żadnym innym państwie potęga sił zaczepnych nie urosła tak, jak w Niemczech, t. j. 1½ raza.

Powiększenie liczebne szeregów armii pociąga za sobą wydatki: na umundurowanie, na uzbrojenie, na obfitsze zaopatrzenie magazynów w żywność, jednym słowem wymaga wielkich nakładów. Pomimo to, siły militarne państw europejskich rosły stale i bardzo szybko. Dotrzymać kroku Prusom nie było łatwo, gdyż sąsiedzi mieli zawsze pewien kłopot z wynalezieniem źródła na pokrycie nowych wydatków, oraz z uzyskaniem pozwolenia ciał prawodawczych. Przytem wywoływało to w każdym razie pewien rozgłos, oczywiście w podobnym wypadku nie pożądany. Ministrowie w Berlinie nie byli krępowani niczem, bo pocichu czerpać mogli z części olbrzymiego funduszu 5 miliardów, powstałego z kontrybucyi francuskiej i przeznaczonego na rozchody wojenne. Dotrzymać jednak kroku, wobec takiej przewagi, trzeba było, pod groźbą niechyłnej klęski w niezbyt odległej przyszłości.

## II.

Gorączkowy ruch uzbrojeń wystąpi jeszcze wyraźniej, jeżeli porównamy siły zbrojne, utrzymywane na stopie pokoju, z liczbą wojsk, które powołane będą w razie wybuchu wojny.

W r. 1859 ogół sił zbrojnych w 6-ciu wziętych przez nas państwach (Włochy znowu z porównań wypuszczamy) wynosił na stopie wojennej 4,426 tysięcy ludzi, czyli od liczby wojsk zaczepnych (2,590 tysięcy) wyższy był o 71%, wtedy, kiedy w r. 1874 przewyżka przenosi już 90% (6,272 tysięcy ludzi na stopie wojennej i 3,266 tysięcy sił zbrojnych).

*Ogół sił zbrojnych na stopie wojennej.*

PAŃSTWA	1859	1874	liczebność armii w r. 1874, jeżeli cyfry z r. 1859 oznaczymy przez 100	
	t y s i ę c y l u d z i			
Rossya. . . . .	1447	1652	114	128
Francya . . . . .	737	1135	154	
Niemcy . . . . .	918	1471	160	151
Austria . . . . .	710	999	141	
Turcya . . . . .	348	500	143	165
Anglia. . . . .	266	515	238	
Ogółem. . . . .	4426	6272	142	
Włochy . . . . .	—	672	—	

Okazuje się więc, że wzrost ogólnej liczby wojsk w Niemczech był jeszcze większy, niż wzrost armii zaczepnej, chociaż już tamten wynosił 55%. Powtóre, wzrost militarizmu w Niemczech odbywał się tempem szybszem niż we Francyi, Turcyi, Austrii i Rossyi. Aczkolwiek dla Anglii otrzymaliśmy liczbę większą, niż dla Niemiec, to jednakże pamiętać trzeba, iż Anglia do militarynych potęg bynajmniej nie należy, i absolutna liczba wojsk, tam istniejących, bardzo jest niska; przy wielkim więc wzroście stosunkowym armia angielska wielokrotnie pozostaje mniejszą od niemieckiej, rossyjskiej i francuskiej.

Najbliżej Niemiec pod względem postępów militarizmu trzyma się Francya. Celem zrównania wojsk swoich z armią wschodniego rywała, zrobiła ona po wojnie 1870 r. wysiłki nadzwyczajne.

W Rossyi okres od 1859—1874 r. stanowi przedewszystkiem epokę rozwoju wewnętrznego: budowały się w niej wtedy drogi żelazne, wznosiły się kominy fabryczne, to też pod względem uzbrojeń nie dostrzymywała ona wtedy kroku państwom ościennym, a przez to nawet stosunkowo słabła.



Gdyby wszystkie pierwszorzędne mocarstwa skoalizowały się były przeciwko Rossyi w r. 1859, siły jej wynosiłyby 49% sił nieprzyjaciół, w roku zaś 1874 już tylko 36%.

Różnica, jak widzimy, znaczna.

Przechodząc do porównań z teraźniejszością, jeżeli liczbę żołnierzy w r. 1874 oznaczymy przez 100, wtedy liczebność armii rozpatrywanych państw w następujących latach, wziętych do porównania, wyrazi się następującymi cyframi:

	Stopa pokojowa	stopa wojenna
1874 r.	100	100
1884 r.	107	113
1891 r.	114	199

Z zestawienia powyższego okazuje się, iż w ciągu 7-miu lat ostatnich armie obu rodzajów wzrosły znacznie więcej, niż przez czas poprzedzającego je dziesięciolecia. Powtórę, armie stopy wojennej wra-  
stają znacznie szybciej, niż armie stopy pokojowej. Jest to konieczny skutek powszechnej służby wojskowej i stwierdza zrobioną wyżej uwagę, iż wojny przyszłe prowadzone będą przez cały naród, przez wszystkie jego siły, najbardziej uzdolnione do pracy.

### III.

We wszystkich prawie państwach europejskich ogół sił zbrojnych składa się z trzech części, z trzech pokładów, niejako bardzo odmiennie posiadających pod wieloma względami znaczenie. Pierwszą część stanowią wojska, pozostające obecnie pod bronią,—tworzą one *stopę pokojową* sił zbrojnych. Drugą część stanowią rezerwy, składające się z wyćwiczonych dawniej żołnierzy (t. z. w Rossyi urlopowani); wraz z armią czynną mogą one być wysyłane po-za granicę państwa i dlatego tworzą z nią *siły zaczepne*. Wreszcie w każdym państwie po-za temi dwiema najgłówniejszemi częściami sił zbrojnych istnieje trzecia—milocya, mająca mniejszą doniosłość; tworzą ją ludzie do poprzednich części niezdatni, mniej wyćwiczeni lub zbyt już starzy: jest to pospolite ruszenie („opólczenie”) i jednorocznicy, t. j. którzy tylko rok jeden przeszli pod bronią w Rossyi, „armia terytoryalna” we Francyi, „landsturm” w Niemczech, „honwedzi” na Węgrzech i t. d. Pułki, z takich żołnierzy złożone, przeznaczone są do obrony własnego terytoryum w razie wielkiej potrzeby, dlatego też ogół sił zbrojnych może być użyty tylko w razie kampanii obronnej, na wojnę zaś zaczepną

wyruszyć mają tylko dwie pierwsze jego części; trzecia kategoria używana będzie chyba tylko do posług drugorzędnych. Nieco niżej wracamy raz jeszcze do tego podziału.

Powody, które skłaniają państwa do powiększenia raczej stopy wojennej niż pokojowej, są następujące: Pomimo, że obecne armie pokojowe stanowią właściwie tylko kadry, wypełniane dopiero przy mobilizacji i nie wystarczające do objęcia całej ludności, zdolnej do noszenia broni, jednakże koszta utrzymania tych kadrów pochłaniają  $\frac{1}{6}$  do  $\frac{1}{4}$  a nawet jeszcze większą część (przeciętnie 28%) budżetów państw europejskich. Prócz tego znaczna część ludności (około 1%) zostaje oderwaną od pracy produkcyjnej i żyje na koszt ludności pozostałej. Przeciwnie, utrzymanie milicyi w czasie pokoju kosztuje względnie tanio: wydatki ograniczają się do przygotowania broni, amunicyi, umundurowania i t. d., urządzania ćwiczeń i utrzymywania bardzo nieznacznej liczby stopni kadrowych <sup>1)</sup>. Milicyoniści tylko na krótki czas ćwiczeń odrywani są od swych pokojowych zatrudnień. Zresztą milicye nie są co do swej liczebności określonych kadrów ograniczone i mogą się składać ze *wszystkich* obywateli kraju, zdolnych do noszenia broni. Nakoniec, jako dobrą stronę milicyi, wskazują tę okoliczność, że uczyni ona niemożliwemi wojny zaczepne; wojsko będzie zwolowane tylko do obrony ogniska domowego, a więc będzie przejęte patriotyzmem niedostępnym dla armii stałych.

Profesor Rediger, który te wszystkie argumenta rzeczników milicyi przytacza, uznaje za słuszny tylko pierwszy z nich, t. j. że armie stałe kosztują daleko drożej, aniżeli milicye <sup>2)</sup>. Ale ze stanowiska czysto wojennego, milicye o wiele ustępują wojskom stałym, mianowicie pod względem przymiotów bojowych.

„Siła armii—powiada prof. Rediger—zależy nietylko od jej liczebności, ale i od wewnętrznych jej przymiotów, od jej przydatności do poważnych działań wojennych. Pod względem zaś dyscypliny, spoistości, wyćwiczenia, *przymiotów bojowych*, milicye będą oczywiście zawsze ustępowały armiom stałym; zapał, patriotyzm, któremi się milicye odznaczały dawniej od armii kompletowanych za pomocą werbunku lub

---

<sup>1)</sup> Najbardziej typowy przykład milicyi stanowi armia szwajcarska; stopa wojenna tej armii prelimitowana jest na 200,000 ludzi, w czasie zaś pokoju utrzymywanych jest stale tylko 173 oficerów i 39 żołnierzy instruktorów.

<sup>2)</sup> Jeden z najgorętszych obrońców armii milicyjnych, zmarły już pułkownik w służbie szwajcarskiej, Rüstoff, twierdził, że armia stała kosztuje 6 do 7 razy drożej niż milicya. Prof. Rediger uważa te cyfry za przesadzone, gdyż armia włoska i francuska kosztują stosunkowo tylko 3 razy drożej, niż szwajcarska.

innemi sposobami z najgorszych żywiołów społecznych i które w milicyi muszą zastępować dyscyplinę — obecnie ożywiają równie dobrze i armie stałe, kompletowane z całej ludności. Zapal zresztą jest rzeczą przemijającą, trudną do utrzymywania przez czas dłuższy, wobec wszystkich przygód życia obozowego; nie może więc on wynagrodzić braku dyscypliny.

„Historya daje wiele przykładów olbrzymiej przewagi armii stałych nad milicyą, że wspomniemy tu tylko o bezskutecznej walce zaimprowizowanych w r. 1870—71 oddziałów francuskich z armią niemiecką<sup>1)</sup>. Waszyngton, niewątpliwie dobrze wiedzący, czego się można spodziewać po milicyi, mówił „compter sur les milices c'est la même chose que vouloir s'appuyer sur un bâton cassé.”

„Rzecz oczywista—pisze prof. Rediger—iż w takich warunkach, pomimo, iż utrzymywanie dzisiejszych armii jest nader rujnujące, żadne z tych państw (prócz tych, które się znajdują w warunkach wyjątkowych) nie może się zrzec ich, ograniczyć, ani myśleć o zastąpieniu ich przez milicyę. Oddziały milicyjne będą tylko siłą pomocniczą, przeznaczoną głównie do służby wewnątrz kraju, na tyłach, i tylko w ostateczności—na teatrze działań wojennych”<sup>2)</sup>.

Dla pogodzenia zaś wymagań wojennych z ekonomicznemi, każde z państw stara się powiększać liczbę ludzi wyćwiczonych za pomocą zwiększania corocznego kontyngensu rekrutów, przy jednoczesnem zmniejszaniu terminu służby czynnej. Ostatnim wyrazem tej tendencji jest nowy projekt wojskowy w Niemczech.

We wszystkich krajach w ostatnich dziesięcioleciach liczba wojska w czasie pokoju wzrasta stosunkowo nieznacznie, w Anglii i Austrii od roku 1874 stale nawet się zmniejsza, we Włoszech zaś, chociaż od roku 1884 spotykamy powiększenie się, w r. 1891 znowu mamy liczby mniejsze.

Tymczasem rozwój potęgi zbrojnej na stopie wojennej jest wszędzie olbrzymi, szalony nawet. We wszystkich niemal krajach pociągnięto już dawno do szeregów, na wypadek wybuchu wojny, możliwe maximum ludności; liczniejszej rekrutacyi nie zniósłaby ani produkeya kraju, ani finanse państwa. Z konieczności więc musiano doskonalić

<sup>1)</sup> Historia nowożytna podaje wprawdzie kilka przykładów zwycięstwa wojsk nieregularnych nad regularnemi (jak np. pobicie Anglików przez Boerów pod Amadżub w r. 1881, albo przez Afgańczyków w r. 1842, 1879 i 1880), ale są to wszystko wypadki wyjątkowe, w których porażka była skutkiem mylnych dyspozycyi, braku rekonesansów i t. p. (Löbell, Jahresberichte 1881, str. 540).

<sup>2)</sup> Loco citato, str. 11.

sposoby mobilizacji, aby przejście od jednej stopy do drugiej odbyło się jak najspieszniej i jak najłatwiej.

Z tego-to przedewszystkiem powodu największy i jedyny znaczny wzrost armii na stopie pokojowej znajdujemy w Rosyji (30%), gdzie olbrzymie obszary państwa stanowią naturalne przeszkody i utrudnienie mobilizacji.

Siła zbrojna na stopie wojennej najprędzej wzrasta w Niemczech: w ciągu lat 17-tu, które obejmuje nasz rachunek, spóżyła jej liczba przeszło  $2\frac{1}{4}$  razy (127%)! Potem idzie Francya, gdzie wzrost wynosił 118%, Rosyja zajmuje miejsce trzecie — siły jej na stopie wojennej od r. 1874 urosły o 104% <sup>1)</sup>.

Jeżeli rozpatrywać będziemy tylko dziesięciolecie od roku 1874—1884, to największą liczbę przyrostu znajdziemy w Rosyji. Pochodziło to stąd, iż, po kongresie berlińskim w całej Rosyji rozwinęło się głębokie przeświadczenie o ukrytych i nieprzyjaznych planach ówczesnego kierownictwa polityki niemieckiej księcia Bismarcka. I rzeczywiście polityce ks. Bismarcka przypisywano odjęcie na kongresie Berlińskim Rosyji większej części nabytków, zapewnionych przez traktat w San-Stefano, jak również, co najważniejsza, wdarcie się w głąb półwyspu Bałkańskiego Austryi przez zajęcie Bośni i Hercegowiny bez straty jednego naboju, jednego żołnierza. Zjawily się podejrzenia, obawy, a wreszcie, po opublikowaniu traktatu z Austryją i Włochami, pewność nawet, iż pokój Rosyji zakłócony być może od strony zachodniej. Traktat ten, może rzeczywiście początkowo odporny, coraz bardziej nabierał charakteru groźnego i niebezpiecznego, i najwyraźniej ostrzem zwracał się, jeżeli nie wyłącznie, to przynajmniej głównie przeciwko Rosyji.

We wszystkich państwach, z wyjątkiem Anglii, szybkość wzrastania sił zbrojnych na stopie wojennej większą jest po r. 1884, niż poprzednio. Sama ta różnica szybkości, taka gwałtowna — chociaż i poprzedni okres pokojowym nie był — świadczy, jak gorączkowo, z jakim wysiłkiem szykują się wszysecy w latach ostatnich do jakiejś katastrofy.

---

<sup>1)</sup> Obliczenia te, zarówno jak i powyższe, oparliśmy na liczbach, znalezionych w dziełach: *S. Rau*: „L'état militaire des principales puissances étrangères au printemps de 1891”, Paris 1891 (oraz roczniki poprzedzające). *Löbl*: „Militärische Jahresberichte.” *Weil*: „Les forces militaires de la Russie”, Paris 1880. *M. Block*: „Annales de l'économie politique et de statistique.” Wreszcie liczne odpowiednie statystyczne wydawnictwa rosyjskie.

## IV.

Ażeby łatwiej zorientować się w kwestyi liczebnego składu armii europejskich, wypada podzielić je według wyżej wzmiankowanych kategorii, a mianowicie: 1) na armię stałą na stopie pokoju, 2) rezerwy i 3) milicyę, czyli pospolite ruszenie (opółczenie). Ostatnią kategorię podzielimy jeszcze na dwa poddziały: do pierwszego zaliczamy ludzi niezupełnie wyćwiczonych, którzy przesłużyli w szeregach niespełna rok, „Ersatzreserve“ i landszturm I-go powołania w Niemczech i Austryi, oraz t. zw. „ratników opółczenia“ I-go powołania w Rosyji; do drugiego zaś ludzi zupełnie nieobeznanych ze służbą wojskową, którzy napewno, o ile przypuszczać można, nie będą wcale wezwani do służby czynnej, gdyż dwie pierwsze kategorie dostarczą niewyczerpanego prawie zasobu sił, dochodzącego do kilku milionów ludzi, z których można kompletować wojska zaczepne i pospolite ruszenie.

Liczebność armii, według wyżej omówionych trzech kategorii, przedstawia się jak następuje <sup>1)</sup>:

PAŃSTWA	Armia w czasie pokoju	Rezerwy	M i l i c y a		Ogół sił za- czepnych	Ogół ludzi wy- ćwiczonych	Ogół sił zbrojnych
			wyćwi- czona	niewyćwi- czona			
t y s i ą c e y l u d z i							
Rosyja . .	830	2500	1300	5500	3330	4630	10130
Francya . .	520	1000	1000	1250	1520	2520	3770
Niemcy . .	490	2400	716	3584	2890	3606	7190
Austrya . .	283	900	810	4400	1183	1903	6193
Włochy . .	260	650	810	1000	910	1720	2720
Anglia . .	215	55	30	325	270	300	625
Turecja . .	150	335	—	—	485	485	485

<sup>1)</sup> Przy układaniu tej tablicy korzystaliśmy z powyżej przytoczonych źródeł, a zwłaszcza z cytowanego wyżej dzieła prof. Redigera.

Zaznaczyć tu musimy, iż obrachunki ogólne, jak również porównania, łatwe nie są i mogą nieraz podlegać wątpliwości. Niedokładność pochodzi stąd, iż organizacja wojskowa w Europie nie jest jednakową; każde państwo posiada swój odrębny podział na kategorie, odrębną metodę i specjalne warunki kształcenia żołnierzy, przytem czas służby zależnym jest od kategorii, do jakiej dany osobnik zaliczonym został.

*Czas trwania służby wojskowej:*

PAŃSTWA	Coroczny kontyngens rekrutów	Rok powołania	Służba w armi czynnej lat	W rezerwie (na urlopie w „zapasie”) lat:	W landwerze 1-go powołania lat:	W landwerze 2-go powołania lat:	Razem lat służby:
	tysiący						
Niemcy . . .	180	20	3	4 <sup>1</sup> / <sub>2</sub>	5	6	18 <sup>1</sup> / <sub>2</sub>
Austria . . .	101	21	3	7	2	—	12
Włochy . . .	95	20	3	5	4	7	19
Francya . . .	238	21	3	7	6	9	25
Rossya . . .	230	20	5 <sup>1</sup> )	13	4	od r. 21 do 43	22

V.

Z powyższego zestawienia liczebności armii europejskich wynika, że siły zaczepne trójprzymierza nieznacznie tylko przewyższają odpowiednie siły Rossyi i Francyi.

Dla działań zaś wojennych, mających na celu jedynie tylko obronę terytorjum, Rossya sama jedna bez Francyi posiada prawie takąż liczbę żołnierza, jak i trzy państwa ościenne, należące do t. zw. ligi pokoju.

Prof. Rediger zastrzega wprawdzie, iż powołanie do szeregów wszystkich zdolnych do noszenia broni (możliwości takiego powołania

<sup>1</sup>) W ostatnich latach tylko w kawalerji i artylerji konnej służba czynna trwa 5 lat, w innych zaś rodzajach broni tylko 4 lata. Nadto corocznie uwalnianych jest 30 tysięcy ludzi po wysłużeniu tylko jednego roku. Formują oni osobną kategorię t. zw. „jednorocznych.” (Rediger str. 109).

dowodzą stronnicy armii milicyjnych) jest tak nadzwyczajnym wysiłkiem sił państwowych, a utrzymanie podobnej armii i zaopatrzenie jej we wszystko niezbędne przedstawia tak nieprzewyciężone trudności, że wątpić należy, aby podobny środek mógł być kiedy użyty. Niemniej przewaga liczb wiele znaczy; żadne też państwo nie zrzeka się możliwości wzmocnienia swojej armii czynnej zaimprovizowanymi oddziałami pospolitego ruszenia; wszędzie po wypowiedzeniu wojny mają być formowane podobne oddziały, jako aryergarda armii czynnej; ostatnia, zatrzymując przeciwnika, może dać czas na sformowanie i wyćwiczenie wewnątrz kraju oddziałów pospolitego ruszenia. Szczególniej, gdy państwo zechce zająć stanowisko obronne, liczebność wojsk nawet mało wyćwiczonych odegrywać może rolę niepospolitą.

„Przy akcji obronnej — powiada von der Goltz <sup>1)</sup> — zadanie jest daleko prostsze; łatwiej zachować jedność zarządu zwierzchniego; wewnątrz armii daleko mniej dowódców działa samodzielnie.

„Zaopatrywanie wojska w amunicję i wcielanie rezerw do szeregów walczących nie napotka tylu trudności, gdyż wypadnie bronić tylko jednej dokładnie określonej linii; przy posuwaniu się naprzód nie trzeba będzie dzielić wojsk, rozpraszać ich, zmieniać pozycyi, kierunków, w jednym punkcie osłabiać napad, a w drugim go popierać, jak to się dzieje przy każdym ataku.

„Niezależnie nawet od korzyści taktycznych, stanowisko obronne daje pewną przewagę. Zaopatrywanie wojska, dokompletowanie szeregów ludźmi i końmi, dowóz rozmaitego rodzaju przedmiotów — wszystko to bardziej jest zabezpieczone, gdyż strona broniąca się nie oddala się od źródła swoich zapasów, jej linie komunikacyjne nie rozciągają się wciąż dalej i dalej.

„Zjawia się także przy systemie obrony możność korzystania z większej liczebnie siły wojska, gdyż do działań wojennych można używać i tych kategorii, których strona atakująca prowadzić z sobą nie może. Fortece, znajdujące się na teatrze wojny, odciągają i absorbują znaczną część wojsk nieprzyjacielskich.”

Za najlepszy przykład korzyści, wypływających ze stanowiska obronnego, może służyć Plewna w wojnie 1877 r.

Miasto Plewna na początku kampanii nie miało żadnych fortyfikacyi. W dniu 7 lipca zajęła je bez oporu *sołnia* kozaków i dopiero potem wyparł ją oddział czerkiesów. Nie przywiązywano do tego żadnego znaczenia. We dwa dni potem do Plewny nadsięgnęło 6 taborów

<sup>1)</sup> „Volk im Waffen.“

(batalionów) piechoty tureckiej i sześć armat. Dowodzący temi siłami przystąpił natychmiast do wznoszenia szańców i ściągania wojska. Roszanie pragnęli tę pozycję odzyskać, lecz już było za późno.

Obrońcy Plewny składali się z żołnierzy, tylko co powołanych pod broń; nie umieli oni strzelać, nie byli wyćwiczeni faktycznie <sup>1)</sup>, a jednak za okopami Plewny i Górnego Dubniaka bronili się zawzięcie. Tymczasem w polu otwartym, szczególnie przy atakach, wojska tureckie nie mogły wcale dotrzymać kroku rosyjskim, pomimo, że ostatnie były gorzej uzbrojone: miały i strzelby, i armaty starego typu. I rzecz to bardzo naturalna. Posłuchajmy, jak fakt ten objaśniają specjaliści:

„Przy akcji obronnej — powiada von der Goltz <sup>2)</sup> — wymaga się od żołnierzy przymiotów daleko mniej, niż przy akcji zaczepnej.

„Żołnierz przy obronie staje się maszyną, ma on wyznaczone swe miejsce i określoną czynność; utrzymywanie silnego ognia i wytrwałość wśród niego stanowią warunek najgłówniejszy, któremu uczynić zadość mogą i młodzi, mało wyćwiczeni żołnierze, oraz rezerwiści, jeszcze na dobre nie wciągnięci do wojaczki. Samodzielność, rwanie się naprzód, pomimo jawnie grożącego utratą życia niebezpieczeństwa, spryt i przytomność umysłu są tu daleko mniej potrzebne; wystarcza, gdy przytomność te posiada nieznaczna część zwierzchników.

„Dyscyplinę prócz tego przy obronie utrzymać daleko łatwiej niż podczas ataku.

„Dzięki udoskonalonej broni, strona 'działająca odpornie będzie mogła zmieść wszystko, co tylko ukaże się na doniosłości jej strzałów, gdy atakujący tymczasem zmuszony jest przebywać straszne pole śmierci. Ochrona, którą daje miejscowość, i punkta ufortyfikowane — wszystko to służy broniącemu się.”

W dalszym ciągu pracy naszej wypadnie nam jeszcze powrócić do tego przedmiotu, lecz już obecnie, ażeby nie być mylnie zrozumianymi, musimy dodać, iż nie może być nawet mowy o tem, by jedna ze stron ograniczyła się tylko działalnością obronną. „O broniącym się — mówi generał Leer — nie można powiedzieć, że *prowadził wojnę* — on ją tylko *przebrzympwał*. Prowadzić wojnę — znaczy napadać.”

Zasadą jednak wojny obronnej nie jest i nie powinno być ograniczenie się jedynie do działalności biernej, lecz zachowanie dążenia do ruchu i boju, aby w chwili odparcia szturm, albo przy innej dogodnej

<sup>1)</sup> H. Hinze. „Gurko und Sulejman Pascha.” Berlin, 1880.

<sup>2)</sup> Volk im Waffen.”



sposobności zmienić stanowisko odporne na zaczepne i, zamieniwszy się z przeciwnikiem na rolę, płacić mu pięknem za nadobne.

W tem miejscu z konieczności tylko wypadało nam objaśnić, że strona, która zajmie pozycję obronną, będzie mogła powołać pod broń ludzi nawet słabo wyćwiczonych i tym sposobem zwiększyć liczebność swej armii.

## VI.

Łatwo zrozumieć, że pod względem społecznym wielka zachodzi różnica pomiędzy żołnierzami różnych kategorii. W armii czynnej znajduje się młodzież, nie sięgająca 25 lat, lub nie o wiele wiek ten przekraczająca. Są to więc ludzie pojedynczy, w społeczeństwie nie zagospodarowani jeszcze niejako. Wielu z nich, wobec potrzeby spędzenia kilku lat w koszarach, ostateczne obranie zawodu i utrwalenie stanowiska odkłada na później, reszta zajmuje stanowiska podrzędne, łatwe do zastąpienia, niewywierające ważnego a nawet i żadnego wpływu na ogólny bieg spraw społecznych.

Co innego w kategoriach dalszych. Do rezerw czynnych we Francji np. należą dziś jeszcze ludzie, którzy z szeregów wyszli w r. 1875, a ponieważ wtedy liczyli lat 25, więc dziś mają rok 43. Rezerwy terytorjalne sięgają po rok 1866, a więc najstarsi żołnierze do nich należący przeżyli już lat 51.

Są to więc przedewszystkiem ojcowie rodzin, odpowiedzialni za byt i dobrobyt wielu istot, a następnie kierownicy przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych, naczelnicy całej wytwórczej pracy społeczeństwa. Nieobecność właściciela lub kierownika już jest okolicznością niepomysłną, a nawet nieraz nieszczęściem; śmierć może być poprostu hasłem do popłochu: pomocnicy rzucają się do ucieczki, pamiętając, o ile się da, o sobie, wierzyciele rozdrapią resztę.

Wobec tego obrachujmy, ilu rezerwistów czynnych, oraz ludzi, należących do armii terytorjalnych, przypada na 100 żołnierzy pozostających pod bronią. To nam da pojęcie o stopniu niebezpieczeństwa społecznego, na jakie z tego względu będą narażone różne państwa:

PAŃSTWA	Pod bronią	Rezerwy czynne	Ogół wojsk
Niemcy . . . . .	100	490	1467
Austria . . . . .	100	318	2187
Włochy . . . . .	100	250	1046
Rossya . . . . .	100	300	1220
Francya . . . . .	100	192	725
Anglia . . . . .	100	26	290
Turecya . . . . .	100	223	323

W razie tedy wojny zaczepnej w najlepszym położeniu będzie Anglia, gdyż w jej armii większość stanowi młodzież bez wpływu i znaczenia społecznego. Anglia jednak państwem militarnem lądowem nie jest i porównywaną wprost z innymi mocarstwami być nie może. Najgorsze liczby widzimy w Niemczech, gdyż tam w armii zaczepnej starsza generacya jest przeszło 5 razy liczniejsza, niż młodzi żołnierze z szeregu. Potem idzie Rossya i Austria, gdzie ten stosunek wyraża się liczbą bliską 3; dalej Włochy, gdzie starszych ludzi będzie w szeregach prawie  $2\frac{1}{2}$  raza więcej, niż młodzieży; wreszcie Turcya i Francya (prawie 2 razy).

Inaczej nieco rzecz się przedstawi, gdy pod uwagę weźmiemy ogół obywateli, którzy tak do służby czynnej, jak i do obrony terytorium w charakterze landszturmu, opołączenia i t. p., powołani być mogą. We Francyi na 100 żołnierzy pod bronią wypadnie rezerwistów wszelkiego rodzaju 725, w Anglii 290 i we Włoszech 1046. Liczba dla Niemiec 1467 i dla Austrii 2187, wypadła większa, niż dla Rossyi (1220). Lecz jasnym jest dla każdego, że cyfry dla Rossyi są tylko wynikiem działań arytmetycznych, gdyż o rzeczywistem powołaniu pod broń 10 przeszło milionów żołnierza mowy być nie może.

Odskok pomiędzy siłą zaczepną i całością obywateli, którzy mogą być powołani pod broń w Rossyi i w Niemczech, jest dość znaczny; w Rossyi siła zaczepna stanowi 33% ogółu sił zbrojnych, w Niemczech

zaś 40%. Różnica ta pochodzi stąd, że Rosya corocznie zalicza do zapasu znacznie większą ilość żołnierzy, aniżeli Niemcy.

Chociaż coroczny kontyngens nowozaciężnych w Rosyi stanowi znaczniejszą liczbę, aniżeli w Niemczech (230 tys. przeciwko 180), jednak w pierwszej w stosunku do ludności jest on o połowę prawie mniejszy, a nadto w Rosyi daleko łatwiej można uwolnić się od służby. Z liczby powołanych przyjętym zostaje do służby następujący procent młodzieży:

We Francyi 76%, w Niemczech 45%, w Austrii 34%, we Włoszech 31% i w Rosyi 31%.

Z liczby uwolnionych od służby rzeczywistej z rozmaitego powodu na zupełnie zdalnych przypada 4%, którzy nie wchodzą do szeregu z powodu nadmiaru powołanych. We Francyi, Niemczech i Austrii nadmiaru takiego nie spotykamy wcale. Dodać należy, iż w Rosyi większość niezaliczonych do służby uwalnianą bywa wskutek stosunków rodzinnych (51%), w Niemczech zaś (42%) z przyczyny braków natury fizycznej <sup>1)</sup>.

Dla łatwiejszego wyświeatlenia tych nadzwyczajnie ważnych stosunków co do wieku żołnierzy w armiach europejskich, podajemy poniżej jeszcze jedno obliczenie, w którym czytelnicy znajdą, jaki procent armii zaczepnej i wogóle sił zbrojnych stanowi armia, pozostająca pod bronią:

PAŃSTWA	Armia pod bronią stanowi %	
	całej armii zaczepnej	ogółu sił zbrojnych
Niemcy . . . . .	17	6
Austria . . . . .	24	5
Włochy . . . . .	29	10
Francya . . . . .	34	14
Rosya . . . . .	25	8
Anglia . . . . .	80	34
Turcya . . . . .	31	31

<sup>1)</sup> Rediger, loco citato str. 131.

Prócz tego, wobec znaczenia społecznego wieku żołnierzy podczas wojny, o czym mówić będziemy niżej, zwrócić należy uwagę, o czym zresztą już wspominaliśmy, iż jakiegokolwiek rozmiary przybrało-by przyszłe starcie międzynarodowe, niepodobna przypuścić, aby w Rosyi, wobec ogromu ludności, całe „opólczenie“ ze wszystkich koińców państwa, lub nawet część jego poważna, mogła być wciągnięta do działań wojennych. Wreszcie i o tem pamiętać należy, iż Rosya pozostaje na niższym szczeblu kultury, niż państwa zachodnie, i jest krajem przedewszystkiem rolniczym. Wskutek tego życie i działalność jednostek posiada w niej o wiele mniejsze znaczenie. Do przedmiotu tego wskutek jego wielkiej doniosłości wrócimy w innem miejscu.

---

## ROZDZIAŁ II.

### Trudności zaspokojenia pierwszych potrzeb ludności podczas wojny.

Do dnia dzisiejszego powtarzane bywają, jako niepodlegająca żadnemu podejrzeniu prawda, słowa Montecuculego, iż do prowadzenia wojny potrzebne są trzy rzeczy: po pierwsze pieniądze, po wtóre pieniądze i po trzecie wreszcie... również pieniądze!

To też w celu wysnucia wniosków o przebiegu i rezultacie przypuszczalnej wojny, przedewszystkiem robione bywają, szczególnie przez polityków niektórych mocarstw, obrachunki środków finansowych państw różnych.

Nie chcemy roztrząsać, czy twierdzenie Montecuculego było kiedykolwiek słuszne; w każdym razie stosować się mogło do tych tylko czasów, kiedy żołnierza trzeba było najmować, a kredyt państwowy wcale nie istniał.

Dziś warunki prowadzenia wojny są pod każdym względem odmienne. Inną i o wiele ważniejszą rolę odegrywają dziś czynniki ekonomiczne i społeczne, nie mówiąc już o wojennych, które już przekształciły się nadzwyczajnie i przekształcają się jeszcze nieustannie.

#### Środki finansowe.

##### I.

Przedewszystkiem zwrócić należy uwagę na tę okoliczność, że żadne państwo nie może posiadać tak kolosalnych zapasów gotówki, ja-

kich utrzymanie armii podczas wojny wymagać będzie: mocarstwa z najbardziej bogatym obiegiem monety metalowej, wobec ogromnych kosztów, które wojna wywoła, będą musiały uciec się do wypuszczenia pieniędzy papierowych i zaciągania pożyczek wewnętrznych. Prusy w r. 1866, a w r. 1870 Prusy i Francya musiały uciec się do emisji biletów i zobowiązań krótkoterminowych. Lecz jakkolwiek słabą była-by siła kredytowa jakiegoś państwa, na przebieg przyszłej najbliższej wojny będzie to miało wpływ zaledwie podrzędny.

Austria, która już tyle razy bankrutowała, zawieszała wypłaty asygnat, nie dotrzymywała zobowiązań, na prowadzenie wojen zawsze znajdowała pieniądze. Nawet Turcyja z tak fatalnie rozstrojonymi finansami, zaprzestać walki musiała bynajmniej nie dla braku środków pieniężnych.

Bliższe przyjrzenie się tej sprawie całkowicie nam ją wyjaśni. Chociaż kosztta prowadzenia wojny dziś będą 6—8 razy wyższe, niż dawniej, jak to wyjaśnimy w jednym z następujących rozdziałów, niemniej jednak obecnie łatwiej, niż w przeszłości, mogą one być pokryte.

Wojna będzie albo obronna wewnątrz własnego państwa, albo zaczepna na ziemiach sąsiada. W wypadku pierwszym, wszystko, co kraj posiada, da się otrzymać od własnych poddanych w drodze rekwiizycyi, na kwitki, banknoty i t. d.

Na pierwszy rzut oka wydać się może dziwną okoliczność, iż państwa, posługujące się monetą papierową, w chwili krytycznej narażone będą na mniejsze zakłócenia obiegu pieniężnego, niż kraje z systemem pieniędzy metalowych: pierwsze, wskutek nabytego przyzwyczajenia do wahań waluty, łatwiej zniosą wstrząśnienia.

Nieunikniony gwałtowny spadek kursu pieniędzy papierowych nie wywoła tam zbyt wielkiego alarmu, jako zjawisko znane i przewidywane. Dowodem tego fakt, wykazany już przez nas w innem dziele <sup>1)</sup>, iż chociaż podczas wielkich kampanii 1812, 1855, 1877 r. kłopoty finansowe Rossyi były znaczne, a emisye asygnat i biletów kredytowych dochodziły do kolosalnych rozmiarów, to jednak wywoływane wstrząśnienia na przebieg wojny nie wpływały, a zamieszania wewnętrzne były na razie nieznaczne.

Dzisiaj za fakt niewątpliwy uważać można, iż po wybuchu przyszłej wojny, wskutek panicznego strachu, jaki ogarnie mieszkańców całej prawie Europy, moneta złota wszędzie zostanie wycofana z obiegu i głęboko chowana na czarną godzinę, gdyż nikt, wobec przewidywa-

<sup>1)</sup> „Finanse Rossyi w XIX stuleciu.“

nych rozmiarów przyszłego starcia narodów, nie będzie wiedział, co jutro przyniesie.

Moneta brzęcząca wyjdzie więc z obiegu, a jedynym środkiem wymiany pozostaną bilety bankowe, których wartość, szczególnie na początku kampanii wobec niepewności rezultatów walki, we wszystkich krajach, z wyjątkiem może Anglii, zbyt wielkiego zaufania wzbudzać nie będzie.

I rzecz to więcej, niż naturalna. Z zaburzeń wojen przeszłych wnioskować o doniosłości wstrząszeń przyszłych z powodu różnicy napięcia sił niepodobna.

Podczas kampanii 1866 i 1870 r. bilety banków państwowych w Prusach i w innych państwach niemieckich poczęły spadać, za złoto trzeba było płacić ażio, lecz trwało to niezbyt długo, wskutek prędkiego i stanowczego na korzyść Niemiec przebiegu kampanii i pewności, że wojna będzie zlokalizowaną.

We Francyi również cały szereg sprzyjających okoliczności wstrzymywał zbytni spadek kursu. Kasa państwa we Francyi wypuściła wprawdzie asygnacy (Bons du Trésor) na miliard franków, prócz tego rząd upoważnił bank francuski, aby powiększył emisję biletów do wysokości 2.4 miliarda, —lecz ponieważ złoto i srebro zniknęło, brak monety obiegowej wystąpił tak silnie, iż zarządy miejskie i powytwarzane wskutek potrzeby specjalne syndykaty, musiały same wypuszczać rodzaj monety papierowej w sztukach od jednego franka do dziesięciu, opierając bezpieczeństwo emisji na papierach państwowych. Jeżeli wstrząśnienie nie przybrało wyższych rozmiarów, to naprzód dzięki stosunkowej krótkotrwałości wojny, a powtóre dzięki temu, że ludność Francyi jest bardzo zasobna, a przytem zamknięcie centrum obrotów przez oblężenie Paryża tranzakcyje niezmiernie zmniejszyły; nadto bilety banku francuskiego kursowały z całą swobodą, a to wskutek nadzwyczajnego zaufania, jakie posiada bank francuski, jako instytucya prywatna, akcyjna. Nawet na giełdzie berlińskiej była chwila, że dostawcy armii niemieckiej woleli nabywać banknoty banku francuskiego, niż złoto dwudziesto-frankówki.

Tak więc przewidywać należy, że nawet w tych krajach, gdzie dziś w obiegu znajduje się moneta metalowa w dostatecznej ilości, za złoto trzeba będzie płacić ażio, co znowu pociągnie za sobą konieczność ustanowienia przymusowego kursu pieniędzy papierowych.

Lecz w przyszłej wojnie spotkamy się jeszcze na początku kampanii z brakiem znaków wymiennych wogóle, który wprawdzie, według wszelkiego prawdopodobieństwa, trwać będzie czas krótki, niemniej jednak może spowodować klęski dotkliwe.

## II.

Wiele przyczyn wpływać będzie na to, iż natychmiast po wypowiedzeniu wojny da się czuć brak pieniędzy.

Wskutek powszechnej paniki, zarówno przedsiębiorstwa handlowe i przemysłowe, jak i publiczność, zechcą zaopatrzyć się na wszelki wypadek w gotowiznę. Prócz tego, powołani do armii zmuszeni będą pośpiesznie gromadzić środki celem uregulowania interesów i zabrania nieco pieniędzy z sobą na wojnę. Nie obejdzie się naturalnie nigdzie bez tego, aby się nie znaleźli skrzętni spekulanci, którzy potrzebować będą na razie znaczniejszych sum, celem porobienia zakupów wprzód, nim się ceny produktów podniosą, a to z zamiarem później zyskowej odprzedaży. A oprócz tego, nie małą będzie i liczba ludzi przewidujących, którzy zechcą nagromadzić pewną ilość zapasów na potrzeby własne.

W czasie zwykłym pieniądze za poczynione zakupy poszły-by zaraz w obieg i dość szybko wracały-by do banku. Wiemy z doświadczenia, że corocznie po żniwach, kiedy poczynają się czynić zakupy, powstaje u nas brak gotowizny. Lecz trwa to tylko kilka miesięcy. Tymczasem po wybuchu wojny, wskutek utrudnionej komunikacji, powrót do cyrkulacji odbywać się będzie i wolniej, i trudniej.

Nadto kurs papierów państwowych i walorów nagle i silnie z chwilą wypowiedzenia wojny spaść musi. Wobec tego, że dużo papierów wartościowych pozostawianych jest w bankach, w razie niemożności dołączenia dodatkowych zabezpieczeń, nastąpią przymusowe sprzedaże, a tymczasem znośna realizacja stanie się dla ogromnej większości walorów niemożliwą.

W dalszym ciągu kampanii, wskutek nadzwyczajnych wydatków na cele wojenne, cyrkulacja pieniężna w państwie wzrośnie i przystosuje się do nowych warunków, równowaga pomiędzy podażą a popytem na pieniądze wróci. Pierwszy strach paniczny po pewnym przeciągu czasu przeminąć winien, a wtedy kurs papierów publicznych może się podnieść i to nawet znacznie, szczególnie zaś tych, których wartość opiera się na nieruchomościach i dochodach, z powodu wojny zbyt nie narażonych. Z początku jednak najpewniejsze nawet walory mogą nie znaleźć nabywców, wskutek braku środków wśród ludności.

Oczywiście, że z żądaniem pieniędzy ludzie przedewszystkiem zwrócą się do banków i bankierów i wiele zależeć będzie od tego, o ile oni będą mogli zadosyć uczynić wymaganiom.

Gdyby w tym czasie firmy bankowe i przemysłowe nie były w możności reeskontowania znajdujących się u nich weksli i zobowiązań,

z konieczności następowały-by odmowy, a te wywołać-by mogły poważną klęskę. W „Historji Finansów Rossyi w XIX wieku“ opisaliśmy zupełnie podobne zjawiska, poprzedzające wojnę 1877 roku.

Że zaś rzeczy nie zaszyły wtedy dalej, to tylko dzięki tej okoliczności, że szanse pokoju i wojny ważyły się w ciągu długich miesięcy, a mianowicie od chwili mobilizacyi, która nastąpiła jesienią, aż do wybuchu wojny, wypowiedzianej dopiero na wiosnę.

Zjawisko to zresztą powtarza się wszędzie; widzimy je w Prusach i Austrii w r. 1866, a w całych Niemczech i we Francyi w r. 1870: kupcy i przemysłowcy rzucają się do banków, aby dyskontować weksle, publiczność zaś—celem zaciągnięcia pożyczek na papiery publiczne.

W portfelu wekslowym banku pruskiego w Berlinie d. 30 Czerwca znajdowało się 97 milionów, 23 Lipca 121 milionów talarów. Portfele banków prywatnych w tym samym czasie wzrosły jeszcze bardziej. Banki te śmiało operować mogły, licząc, że w razie potrzeby otrzymają podtrzymanie ze strony banków rządowych. Pożyczki na papiery również wzrosły, chociaż nieznacznie, gdyż banki znacznie podniosły dyskonto, a z drugiej strony publiczność posiadała wiele walorów zagranicznych, szczególnie pożyczek amerykańskich, które wskutek wojny wcale niemal nie ucierpiały i mogły być wysyłane do Amsterdamu i Londynu i tam bez straty zbywane.

Pomimo to jednak napływ sprzedających papiery publiczne krajowe był stosunkowo znaczny, a brak gotówki wielki, to też kursa spadają niepomieranie. Weźmy np. pożyczkę pruską  $4\frac{1}{2}\%$ :

lata	przed wojną	po wybuchu wojny	po wojnie
1866	98 $\frac{0}{10}$	78 $\frac{0}{10}$	97 $\frac{3}{4}\%$
1870	93 $\frac{1}{2}\%$	77 $\frac{3}{4}\%$	94 $\frac{1}{2}\%$

Widzimy tu wyraźnie zaznaczone przez nas momenta: najsilniejsze wstrząśnienie czuć się daje na początku, zaraz po wypowiedzeniu wojny, następnie zaś wszystko powoli wraca do normy.

Ze względu na to, że dzisiaj mobilizacya, według wszelkiego prawdopodobieństwa, uskuteczniiona zostanie bardzo prędko, a i koncentracya wojsk dopełni się szybko, rozpoczęcie samej akcyi wojennej spadnie nagle, a wskutek tego panika będzie koniecznym wynikiem niespodzianki i nieprzygotowania. Więcej, niż kiedykolwiek, zależy więc na tem, aby zarówno świadomość opinii publicznej, jak i rozumne rozporządzenia rządu, nie dopuściły do rozwiełmożnienia się wpływu przestraszenia i działania wyłącznie pod wpływem nieuzasadnionych obaw lub zbyt daleko posuniętej spekulacyi. U nas jest ta kwestya ważniejsza, niż gdzieindziej: papierów zagranicznych jest mało, a gdyby i było



dużo, to też, wobec sytuacji, którą wytworzy przyszła wojna, wiele-by to nie pomogło, gdyż wojna otoczy wszystko i wszystkich niby siecią, i na zbyt po-za granicami państwa nie pozwoli. Powtórę, ludność oszczędności znacznych nie ma, a zatem ulegnie większym obawom o jutro. Zadanie więc osłabienia złych skutków, jakie wojna wywołać może, będzie tu trudniejsze znacznie, niż było w Niemczech lub Francji. Wobec tego zjawia się potrzeba, aby ludność mogła łatwo i z niewielkimi ofiarami zastawiać, a nie sprzedawać papiery. Pożądać więc należy, aby instytucje bankowe rządowe posiadały dosyć gotówki i sił, celem szybkiego i nieustannego załatwiania interesów tego rodzaju w możliwie szerokich rozmiarach.

### III.

Zaraz na samym wstępie rozpoczynającej się kampanii rząd znaczne sumy wydać będzie musiał na kupno wielkiej liczby koni, oraz zapasów różnego rodzaju. Wskutek tego ruch pieniężny szybko wzrośnie, popyt na wiele produktów, szczególnie pierwszej potrzeby, również bardzo się powiększy, gdyż i armie nabywać będą, i osoby prywatne nie zaniebają robić zapasów. Ceny pójdą w górę i wielu wytwórców w pierwszej chwili niewątpliwie cieszyć się będzie z obrotu rzeczy.

Prócz tego, wskutek koniecznego bezrobocia w interesach wszelkiego rodzaju, przedsiębiorstwa potrzebować będą mniejszej sumy gotówki. Skutkiem zaś tego, po jakimś czasie po rozpoczęciu wojny zjawi się znowu nadmiar pieniędzy w kasach. Wprawdzie masa świeżo wypuszczonych asygnat sprowadzi dotkliwą klęskę, to jednak nastąpi dopiero znacznie później, po latach, a zatem po ukończeniu wojny. Wskutek więc przeładowania rynków papierowymi pieniędzmi, zaciąganie pożyczek wewnętrznych na potrzeby wojenne stanie się zupełnie możliwym. Jedne i też same pieniądze papierowe, wypuszczane ponad normalną potrzebę, będą przechodziły od rządu do dostawców i odwrotnie.

Twierdzenie nasze, iż emisja biletów kredytowych stanie się niemożliwą we wszystkich państwach, wojną ogarniętych, wysnuwamy z niemożliwości zaciągnięcia podczas przyszłej kampanii pożyczek wewnętrznych.

Wojna, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, wybuchnie nagle i bardzo szybko ogarnie całą Europę środkową. Wskutek tego wszystkie finansowe stosunki międzynarodowe zostaną zamęczone i porwane, a nadto i zwykła technika zaciągania pożyczek nie będzie mogła być przeprowadzoną.

Podczas wojny francusko-pruskiej, bankier niemiecki, Jüterbock, wziął udział w zapisie na pożyczkę francuską. Wskutek tego został pociągnięty do odpowiedzialności, oskarżony o zdradę stanu, skazany na ciężką karę. Wkrótce wprawdzie udzielone zostało Jüterbockowi ułaskawienie, przykład ten jednak przekonywa, iż udział w pożyczce nieprzyjaciela uważany będzie za zbrodnię. A przytem pamiętać trzeba, że wojna ogarnie bardzo wiele krajów, wszystkie potrzebować będą kredytu, a więc nie pozwolą dawać pieniędzy nieprzyjacielowi, a nawet może i sprzymierzeńcowi, bo dla nich samych-by zabrakło.

Przypuśćmy nawet, że ani Anglia, ani Holandia do wojny wciągnięte nie będą i rynki tych państw pozostaną otwarte. Ale, jak to wykazemy niebawem, komunikacya morzem zostanie przerwana, wątpić więc należy, ażeby dla przeprowadzenia operacyi finansowej udało się ją zużytkować. Wskutek tego rynek angielski będzie nieczynny, jak gdyby nie istniał całkowicie, rynek zaś holenderski nie zdoła wystarczyć powszechnemu zapotrzebowaniu, szczególnie w czasie tak mało pewnym, przy znanej ostrożności, a nawet trwożliwości holenderskich kapitalistów. A zresztą i z Holandją komunikować się będzie bardzo trudno.

Tym sposobem nawet państwa, wzorowo pod względem finansowym uorganizowane i dające najpewniejsze gwarancye, zmuszone będą uciekać się wyłącznie do kredytu wewnętrznego.

Okoliczność ta nie wpłynie jednak decydująco na losy wojny. Kredyt wewnętrzny w różnych swoich postaciach zawsze jest w możności uczynić zadość największym nawet potrzebom i wymaganiom, które po wybuchu wojny ograniczą się do wypłacania pensyi i do zaspokajania dostawców żywności i t. p. wymagań.

#### IV.

Rzecz się nieco skomplikuje, jeżeli wypadnie toczyć wojnę na obcym terytoryum. Obecnie uważają powszechnie za rodzaj aksjomatu, iż w czasie kampanii armie zaspokajać będą potrzeby swoje na koszt kraju, będącego teatrem zapasów, i to w drodze rekwizycyi. Jeżeli zajęty zostanie przez nieprzyjaciela kraj bogaty, to znaczną bardzo część środków da się zdobyć przez nakładanie kontrybucyi pieniężnych na miasta, miasteczka i wsie i ściąganie potrzeb dla armii za pomocą rekwizycyi. Resztę wydatków armia wkraczająca pokryje własnymi asygnatami, i tylko w wyjątkowych razach, przy ściąganiu zapasów i dostaw z terytoryów niezajętych, tą ilością pieniędzy metalowych, jaką na wszelki wypadek będzie miała z sobą. W okolicach, opanowanych

przez nieprzyjaciela, ludność nie ma wolnej woli ani wyboru, a w każdym razie woli papier kredytowy, chociażby nie mający swej nominalnej wartości, aniżeli jakiś prosty kwitek.

Po wojnie 1812 roku, chociaż finanse Rossyi znajdowały się w stanie rzeczywiście oplakanym, niemniej wojska ruskie mogły wszystkie prawie swoje potrzeby w Niemczech opędzić za pomocą asygnat <sup>1)</sup>.

Ciekawą w danej kwestyi i nauczającą rzeczą będzie rzucić okiem na wydatki armii rosyjskiej w wojnie lat 1812 — 1815 i na sposoby zadawania swych potrzeb w jej pochodzie przez Niemcy do Paryża.

W chwili wkraczania wojsk Napoleona w granice Rossyi, suma asygnat, znajdujących się w obiegu, wynosiła 572 miliony rubli, zaś 2-go Kwietnia 1815 roku cyfra ta doszła do 820 milionów rubli, to jest wzrosła o 248.

Rozchody na wojska lądowe, wedle budżetu finansowego, wynosić miały:

	Na utrzymanie:	
	ludzi	koni
W roku 1812	770,000	256,000
„ „ 1813	979,000	349,000
„ „ 1814 wewnątrz państwa	760,465	163,000
„ „ „ za granicą	300,000	80,000

W chwili przekraczania granicy pruskiej przez wojska rosyjskie stan kasy państwa po kampanii 1812 roku był bardzo kłopotliwy: podatki wpływały opieszale, 12 milionów rubli przeznaczono już na zapomogi dla ludności, lecz na tem nie podobna było poprzestać; potrzeba było bez zwłoki wynaleźć pieniądze na ratowanie ludności w guberniach, przez wojnę zniszczonych. Chcąc wybrnąć z kłopotów i aby nie potrzebować posyłać dla armii za granicę znacznych transportów złota i srebra, minister finansów przedstawił Cesarzowi projekt *wypuszczenia asygnat na pruską walutę srebrną*. Projekt ten jednak zatwierdzenia Cesarskiego nie uzyskał i trzeba było za granicą płacić asygnacjami czysto rosyjskimi. Dla wypełnienia zaś zobowiązań, w ten sposób zaciągniętych, oraz dla ułatwienia cudzoziemcom realizacji asygnat, urządzone były w Prusach i w Niemczech „*kantory wymiary*.“ Jednak już w Lutym r. 1814 wydane zostało rozporządzenie, wstrzymujące aż do następnego rozkazu wymiany tych asygnacyi. Przyczem zalecono dyrektorom banków wynaleźć dosyć gładki pretekst, aby ludność nie została zaniepokojoną.

W Sierpniu zaś Reskrypt Najwyższy nakazał wypłacać okazielem asygnacyi 3-cią część sumy nominalnej gotówką, licząc po 29 bie-

<sup>1)</sup> „Finanse Rossyi.“ t. 1-y.

żących talarów pruskich za 100 rubli asygnacyami, na pozostałe zaś  $\frac{2}{3}$  wydawać obligacye 7-o procentowe, płatne jedna po 9, druga po 18 miesiącach, licząc po 30 talarów bieżących za 100 rubli asygnacyami.

Ówczesny minister skarbu, Gurjew, wobec pilnej potrzeby ratowania finansów, przedstawił także Cesarzowi projekt wstrzymania wypłat przez armię czynną. Natomiast miały być wystawiane przez generałów intendentów *bony* („kwitancii“) w dwóch językach, rosyjskim i krajowym, z oznaczeniem sumy w monecie krajowej. Miały być one spłacane po upływie 12-u miesięcy od daty wystawienia, zaraz na zlecenie lub po okazaniu, z procentem  $\frac{1}{2}\%$ .

Ale armia już wtedy wracała do kraju i nie było potrzeby wykonania powyższego projektu. Nadzwyczajne po-za budżetowe wydatki na wojnę lat 1812, 1813 i 1814 utworzyły sumę 179.9 milionów, rachując asygnacyami według kursu, a mianowicie:

W roku 1812	wydano	18.8	mil. rubli
„ „ 1813	„	123.0	„ „
„ „ 1814	„	38.1	„ „

Środki na pokrycie sum tych zaczerpnięto ze źródeł następujących:

	1812 r.	1813 r.	1814 r.	Razem
	w milionach rubli			
Z funduszów kasy państwa	1.0	20.8	24.0	45.8
Z sum specjalnych (emisye nowych asygnat i fundusze różnych instytucyi)	17.8	55.2	19.0	92.0
Subwencya angielska	—	—	42.1	42.1
	Ogółem			179.9 m. r.

Z tej sumy monetą brzęczącą zapłacono tylko 18.3 mil. r. (co przy obliczeniu według kursu na asygnacye dało 73.3 mil. rubli), zaś asygnacyami wydano 106.6 mil. rubli.

Nie jest także bez znaczenia szczegół, jakie sumy poszły na różne części armii:

	1812 r.	1813 r.	1814 r.	Razem
	w milionach rubli			
Główna armia czynna	16.7	81.6	11.5	109.8
Armia polska (zaliczka)	—	16.8	1.7	18.5
Legion rusko-niemiecki	1.1	2.9	—	4.0
Legion, uformowany w Orle	—	0.6	—	0.6
Korpus, oblegający Gdańsk	—	0.4	—	0.4
Armia rezerwowa	—	13.3	22.2	35.5
	17.8	115.6	35.4	168.8

Do tego dodać trzeba:

Wydutki ogólne dla wszystkich armii	1.0	6.8	2.8	10.7
Zapomoga dla armii pruskiej	—	0.5	—	0.5
				Ogółem 179.9 m. r.

Nadzwyczajne wydatki z lat 1812, 1813 i 1814, rozkładają się na następujące kategorie, według potrzeb i przeznaczenia:

1) Żołd dla wojska	112.2 mil. rubli
2) Zwiększone wydatki na żywność dla wojsk konsystujących za granicą	5.3 " "
3) Umundurowanie, obuwie, kozuchy, bielizna	19.2 " "
4) Konie	7.9 " "
5) Przewóz wojsk i taborów	5.2 " "
6) Szpitale	1.5 " "
7) Ogólne wydatki na utrzymanie	16.1 " "
8) Rynsztunek legionów	4.6 " "
9) Komunikacje pocztowe i sztafety	1.6 " "
10) Jeńcy	5.4 " "
11) Rozmaite wydatki (zaliczki wojskom pruskim, przewóz wojsk z Finlandyi)	0.9 " "

Władza wojskowa z końcem r. 1815 przy zamykaniu rachunków winną jeszcze była: pułkom 13.7 mil. rubli i dostawcom 11.9 mil. rubli asygnacyami.

Prócz tego, wojska przy przejściu przez kraje nieprzyjacielskie zaopatrywały się w żywność na koszt mieszkańców, wskutek tego później wyznaczone zostały komisye, mające na celu rozpatrzenie rachunków i sum przypadających obcym krajom. Według Najwyższej zatwierdzonych ukazów i konwencyi od r. 1817 do 1819 wypłacono:

Prusom	3,829 tys. rubli sreb.
"	5,828 " " asyg.
Hannowerowi	643 " " sreb.
Danii	400 " marek
Niemcom	1,025 " rubli
Bawaryi	1,722 " "
Austryi	3,081 " "

## V.

Warunki przyszłej wojny pod wieloma względami całkowicie są różne od tych, jakie towarzyszyły wojnom dawniejszym. Siły, w ruch

puszczone, osiągną przerażających rozmiarów i przypominać będą owe hordy barbarzyńców, o jakich mówi historia Greków i Rzymian, z tą tylko różnicą, że teraz panować będzie wśród nich ład, karność, a wszystkie potrzeby i ewentualności są przewidziane.

Lecz inna i, pod względem społecznym, stokroć ważniejsza okoliczność odróżni wojnę przyszłą od jej poprzedniczek. Dawniej, gdy wojna toczyła się czy to po-za granicami, czy na granicach państwa, wewnątrz kraju, w miejscach niezajętych przez nieprzyjaciela, życie toczyło się niewiele zmienioną koleją. Dzisiaj pod broń powołane zostaną narody całe, walczyć będzie główny zastęp sił, zdolnych do pracy wytwórczej, wskutek tego skomplikowana maszyna życia społecznego wojnę odczuje daleko dotkliwiej, aniżeli w przeszłości. Wynika stąd, że państwa przygotowane być powinny nie tylko do prowadzenia kampanii, lecz także do spotkania i zniesienia kataklizmu ekonomicznego, który będzie nieodzownym skutkiem oczekiwanej wojny. Ażeby wyjaśnić faktycznie, jakiego rodzaju względy mieć należy na widoku i jakie mianowicie przygotowania mogą się okazać niezbędnymi, przytoczymy w charakterze przykładu kilka konsyderacji i postulatów, które są wynikiem zmian i potrzeb, pokrótce omówionych w rozdziale niniejszym, a które niżej w odpowiednich miejscach zostaną dokładniej wyjaśnione.

1. Przedewszystkiem—jak to już powiedzieliśmy—w czasach dzisiejszych miarą siły i wytrzymałości w razie prowadzenia wojny ocena pieniężnych zasobów państw tylko w bardzo ograniczonym stopniu istnieć może. Niebawem po wypowiedzeniu dużej wojny, złoto i srebro zniknie z obiegu i żadne państwo bez emisji pieniędzy papierowych obejść się nie będzie mogło.

2. Ponieważ wojna przerwie komunikacye i wypłaty po-za granicami własnego państwa ustaną, a przytem, w razie prowadzenia kampanii na terytorjum nieprzyjacielskiem, zbyt wielkie zapasy monety brzęczącej potrzebne nie będą, regulacya więc zapasów złota i srebra następować może stosownie do stanu i wymagań skarbu, oraz według ogólnych potrzeb państwa.

3. W interesach ludności leżeć będzie, ażeby emisye pieniędzy papierowych były ograniczone do najmniejszych możliwie rozmiarów, a to z powodu klęski, jaką następnie sprowadził-by bardzo wielki spadek wartości znaków obiegowych. Pomimo to jednak pragnąć należy, ażeby zaraz na początku wojny cyrkulacya, początkowo nagle zatamowana przez okoliczności wyżej wyłuszczone, przywrócona została jak najprędzej do normalnych rozmiarów, a zatem, ażeby szybko były usunięte skutki braku pieniędzy; to zaś uskutecznić się da tylko przez szerokie otworzenie podwojów kredytu ze strony państwa. Ponieważ cyrkulacya po chwilowym zastoju szybko wzrośnie, nie trudno więc

będzie w krótkim czasie nadmiar znaków obiegowych wycofać, gdyby nawet początkowo wypuszczono ich za wiele.

4. W państwach zachodnich, gdzie organizm społeczny jest bardzo skomplikowany, a prądy socjalistyczne nie przestają działać rozkładająco, rządowi na początku kampanii bardzo zależy będzie na tem, ażeby wytworzyć, utrzymywać i rozdmuchiwać zapał i ducha wojennego.

W tym celu każda ze stron wojujących starać się będzie, aby zaraz po rozpoczęciu kroków nieprzyjacielskich zapewnić sobie przewagę i chociażby drobne i niewiele znaczące zwycięstwo, którego natychmiast podnieść nie omieszka do znaczenia decydującego tryumfu. Oczywiście zaś rzecz, iż taką przewagę zyskać łatwiej może państwo, które prędzej stanie w pełnym rynsztunku swoich sił bojowych i rzuci je na nieprzyjaciela.

Wobec ogromnych obszarów państwa russkiego, prawdopodobnie wypadki pierwszej chwili za decydujące uważane być nie mogą. Oczywiście jest rzeczą, iż za tem wcale nie idzie, ażeby koniecznie jakieś zwycięstwo zaraz na początku kampanii odniesionem być miało. Zajęcie odpowiedniej pozycji obronnej może spuralizować wszystkie przewagi, jakie da łatwiejsza mobilizacya; lecz cokolwiek-by nastąpiło, roztropność nakazuje nie przeceniać chwilowych skutków geograficznego położenia i wypadków, stąd wypływających. Ogromne obszary stanowią z początku przeszkodę i trudność, ale niebawem przyczyniają się do wytworzenia siły odpornej niesłychanej i pozwalają z małemi stosunkowo stratami bardzo przedłużyć walkę i wyprowadzić na scenę potężnych sprzymierzeńców: Bezdroże, Głód i Mróz.

Nie należy więc dać się zbyttnio alarmować przed czasem, a to dlatego, że gwałtowne a jednorazowe rzucenie wielkiej liczby walorów na rynek naraziło-by sprzedawców na znaczne i niepotrzebne straty.

5. Ułatwienie właścicielom możności zachowania posiadanych walorów leży w interesie kredytu państwa, środkiem zaś ku temu byłoby ułatwienie przyjmowania ich na zastaw i do przechowania.

6. Z chwilą wypowiedzenia wojny wszelkie instytucye rządowe, mogące wpływać na rozszerzenie kredytu, winny być przedewszystkiem zaopatrzone w odpowiednie instrukcyje.

Nadto dla umożliwienia i ułatwienia operacyi niesłychanie ważnem jest przesyłanie przekazów wypłat, zleceń kupna i sprzedaży i t. p. drogą telegraficzną. W tym celu dla umożliwienia komunikacyi pomiędzy ważniejszymi punktami handlowemi, posiadającymi oddziały banku państwa, winny być przewidziane niektóre udogodnienia i przedsięwzięte środki ostrożności, a to w celu zabezpieczenia się od zbyttniej

gorliwości organów niższych, szczególnie w obecnym czasie wojny, co wojna niewątpliwie wszędzie wywoła.

Wobec tego wielką przysługę interesom ekonomicznym wyświadczyć-by mogło opracowanie przez bank państwa, łącznie z odpowiednimi władzami, pewnych przepisów specjalnych co do sposobu przyjmowania i załatwiania telegraficznej korespondencji handlowej. Może-by nawet było pożytecznym polecić czuwanie nad wykonaniem tych przepisów urzędnikom banku, do tego wydelegowanym, chociażby na czas krótki i tylko na początku kampanii. Jednorazowy i niezbyt znaczny nakład, jakiby się tu okazał niezbędnym, był-by nic nieznaczącym drobiazgiem wobec olbrzymiej korzyści, jaka była-by rezultatem utrzymania ciągłości, pewności i szybkości korespondencji w chwili bądź-co-bądź krytycznej. Zamierzona zaś reforma banku, dążąca do nadania tej instytucji organizacji doskonalszej i bardziej inteligentnej, gwarantuje, iż przy jego pomocy, wobec udoskonalonej techniki dzisiejszej telegrafii, szybkość i stałość korespondencji handlowych była-by zapewnioną.

7. Przy ogromnej trudności dla organów rządowych w chwilach kryzysu oceny zdolności kredytowej, otwarcie w banku państwa dla instytucji bankowych i znaczniejszych firm specjalnego kredytu, z którego-by mogły one korzystać dopiero po wybuchu wojny dla reeskonta, było-by środkiem, mogącym przynieść znaczne materialne i moralne korzyści. Środek ten mógł-by usunąć bez wszelkiego ryzyka to skrzępowanie kredytu prywatnego, które bez użycia środków zaradczych niewątpliwie wystąpi, jako rezultat niepewnego czasu, jako skutek obaw i powątpiewań, wywołanych przez wojnę, co do wypłacalności przedsiębiorców i kupców.

8. Bardzo pożyteczną rzeczą było-by przygotowanie jeszcze w chwilach pokoju projektu specjalnych komitetów opieki, składających się z ludzi zaufania, którzy-by zajmowali pierwszorzędne stanowisko w sferach kupieckich, przemysłowych, obywatelskich i urzędniczych. Delegacje takie mogły-by być powołane do działania we wszystkich miejscowościach, gdzie się znajdują kantory i oddziały banku państwa. Opierając się na instrukcji, korzystając ze wskazówek i schematów, również w czasie pokoju opracowanych, komitety mogły-by przynieść niemałą korzyść i być zarodkiem instytucji pomocniczych dla pokonania trudności, jakie milionowe armie napotykać będą przy zaopatrywaniu się w żywność. Może nawet stać-by się one mogły ogniwem przejściowym do nowego systemu zaopatrywania wojska nawet w czasie pokoju, dodatkowo do zwykle praktykowanych dostaw przez licytację, i gospodarczego gromadzenia zapasów przez urzędników.

Wszystkie przytoczone wyżej konsyderacje i postulaty są tylko luźnymi myślami, rzuconymi przez nas dla wykazania potrzeby zbadania



przedmiotu, i tym sposobem następnie osłabienia wstrząśnień, a tem samem utrzymania wedle możności normalnego działania sił ekonomicznych podczas wojny.

Było-by lekkomyślnością z naszej strony, gdybyśmy chcieli podawać propozycje stanowcze.

Zdaje nam się tylko, że, jak na wypadek wojny odnośnie do armii w odpowiednich ministeryach leżą opracowane plany mobilizacyi, koncentracji wojsk, zaspokojenia ich potrzeb i wreszcie działań, tak coś podobnego stworzyć-by należało i względem imych części organizmu społecznego.

Wojna wkracza w tak rozliczne dziedziny działalności społecznej wogóle, a szczególnie w sferę kredytu i obrotów przemysłowych i handlowych, że, niby tama, przeciąć może cały bieg rzeki życia wewnętrznego i zewnętrznego. Chcąc więc złagodzić wstrząśnienie, należy koniecznie przewidzieć najdotkliwsze ciosy i przygotować się odpowiednio.

Badając przedmiot szczegółowo, przyszliśmy do przekonania, że wobec dziś już istniejących danych o ruchu towarów, o handlu i przemyśle i produkcji rolniczej, można było-by odtworzyć bardzo bliski prawdy obraz tego, co wybuch wojny w życiu wewnętrznym kraju naszego wywoła.

W tym celu wczesne przygotowanie, tak, jak to się czyni dla działalności armii, było-by praktycznem.

Wypadki, szczególnie z początku wojny, następować będą po sobie z nadzwyczajną szybkością. Organa władzy przywalone zostaną nadmiarem czynności czysto wojennych; ekonomiczne potrzeby ludności, chociażby najważniejsze, siłą konieczności nabiorą znaczenia drugorzędного.

Wiele z przyszłych potrzeb dało-by się bez nadzwyczajnego wysiłku częściowo lub może i całkowicie zaspokoić. Tymczasowe jakieś pomysły, poczęte w ostatniej chwili wśród pośpiechu i niepokoju, niedosyć gruntownie zbadane, oparte nie na chłodnej rachubie, zamiast pożytku mogą przynieść szkodę i stać się źródłem klęski i niedoli, spadających nie tylko na cywilną część ludności.

Uwagi nasze nie są bynajmniej rezultatem przypuszczenia, że projekta i plany środków ekonomicznych i finansowych nie istnieją i nie są gotowe do wprowadzenia w życie. Przeciwnie, sądzimy, iż one istnieją, a to tembardziej, że mamy wskazówki niejaki o ich egzystencji gdzieś indziej.

Z symptomatów pojedynczych i biorąc na uwagę systematyczność charakteru niemieckiego, wnosić można, że szczegółowe, odpowiednie do potrzeb każdej miejscowości, opracowania w rodzaju proponowanych

przez nas poczynionemi zostały w Niemczech. W miastach ufortyfikowanych, jak Toruń, Poznań, Królewiec, leżą gotowe najszczególowsze instrukcyje dyrektywy, przewidujące wszelkie możliwe wypadki. Instrukcyje te są corocznie prawie przepatrywane i, stosownie do nowych okoliczności, będących skutkiem zmiany stosunków i wpływów ekonomicznych i innych, zmieniane i doskonalone.

Gwarancya wykonania instrukcyi zapewniona już jest obecnie w czasie pokoju. Z przedsiębiorcami robót i dostaw pozawierane są formalne umowy na wypadek wojny. Z chwilą ogłoszenia mobilizacyi kontrahenci bez żadnego nowego wezwania rozpoczynają wykonywać swoje obowiązki.

Nie idzie za tem, ażeby w czasie pokoju wypracowany plan działań miał być wprowadzony od razu w razie wojny. Wszystkiego przewidzieć niepodobna, co „*Le Sacré majesté le Hasard*“—jak mawiał Fryderyk Wielki, w przewidywaniach zmiany nakazać może. Lecz każdy przyzna, że łatwiej to uczynić w gotowym planie działań, niżli go tworzyć.

„Na wojnie—mówił Napoleon—wszystko jest rezultatem rachuby. Wszystko, co nie zostało ściśle obmyślane w szczegółach, nie daje rezultatów pewnych. Wojna wszakże nie jest zastosowaniem mechaniki. Umiejętność wojenna polega na przedwstępny dokładnym rozważeniu wszystkich szans możliwych i następnie na ścisłym określeniu, matematycznym niemal, udziału przypadku. Kwestya taktyki przytem jest drugorzędną, wszystko znaczy moment psychiczny.“

Czyż tego samego powiedzieć nie należy i odnośnie do wojny, która toczy się i będzie w sferze interesów ekonomicznych?

#### b) Trudności zaspokojenia głodu i pierwszych potrzeb ludności.

W niektórych państwach może się okazać niepodobieństwo ekonomiczne prowadzenia wojny, wyniknie ono jednak wcale nie z trudności wytworzenia lub wynalezienia środków finansowych na cele wojenne. Rozpoczęcie kroków nieprzyjacielskich wywoła natychmiast bardzo doniosłe zmiany nawet w powszednim życiu narodów. Ze skutków tych zmian ogół może w tej chwili nigdzie nie zdaje sobie dosyć wyraźnie sprawy. Skutkiem wojny w wielu punktach Europy może być *głód* i cały szereg klęsk ekonomicznych niesłychanie dotkliwych. Obawy tego wstrzymywać mogą i wstrzymują zachcianki wypowiedzenia wojny. Szczególniej państwa, które przy normalnym biegu rzeczy potrzebują sprowadzać zboże i inne produkta pierwszych potrzeb dla ludności, znajdują się w położeniu bardzo przykrem.

Kolejami dowóz stanie się niezmiernie trudny, a zresztą i nie będzie skąd dowozić, bo rzadko który kraj na lądzie Europy nie będzie musiał sam dla siebie szukać i sprowadzać żywności.

Dostarczycielki powszechne zboża, Rossya, Węgry, chociażby nie potrzebowały same całej produkcyi własnej, to wobec zajętych przez wojnę granic, jednym nie będą mogły, drugim nie będą chciały nie użyzyć.

Transporta morzem z Ameryki, Indyi i innych zaoceanowych krajów staną się wprost niemożliwe, bo ani podobna wątpić, że od razu rozwinie się, jak to dowiedziemy w rozdziale traktującym o wojnie na morzu, na wielką skalę piraterya i wszelką komunikacyę ze spichrzami zaoceanowemi jeżeli nieprzerwie całkowicie, to w każdym razie utrudni niesłychanie. Koszta przewozu i ubezpieczenia ładunków wskutek wielkiego ryzyka podniosą się niesłychanie; przy niepewnej i nieakuratnej dostawie zapanuje co najmniej najdokuczliwsza drożyzna.

Ażeby dowieść, jak dalece najmniejsze zatrzymanie w dostawach podnosi ceny, dosyć będzie przytoczyć, że podczas wojny krymskiej, chociaż utrudniona została dostawa tych tylko transportów, które pochodziły z Rossyi i były wożone morzem, cena pszenicy w Anglii w roku 1854 w porównaniu z ceną roku 1852 podskoczyła w górę o 85% <sup>1)</sup>.

Podczas zaś wojny amerykańskiej, jeden jedyny statek korsarski „Alabama“ wystarczył do zaniepokojenia okrętów handlowych i wywołania takiego samego skutku.

Poniższa tabliczka wykaże nam stopień niebezpieczeństwa, w jakim się znajdują różne państwa Europy w razie wybuchu wojny ze względu na potrzebę wyżywienia ludności:

Produkcya i przywóz w milionach pudów pszenicy, jęczmienia i żyta <sup>2)</sup>.

Państwa	Produkcya własna milionów pudów	Przywóz w milionach pudów		Przywóz stanowiący następujący % własnej produkcyi
		z Rossyi	z krajów innych	
Niemcy . . . . .	569	68	32	17.5%
Francya . . . . .	601	18	40	9.6%
Anglia. . . . .	224	44	169	95.0%
Włochy . . . . .	147	22	16	25.8%

<sup>1)</sup> W 1852 roku kwarter 40 ponsów.

„ 1854 „ „ 72 „

„ 1855 „ „ 74 „

<sup>2)</sup> Dla obliczeń przyjęliśmy średnie okresu 1883—1887.

Ażeby rzecz dokładniej jeszcze wyświetlić, obrachujemy, ile dni może wyżyć ludność każdego kraju z pszenicy, jęczmienia i żyta, u siebie wyprodukowanych.

Państwa	Produkcya własna	Przywóz	
		z Rossyi	z innych krajów
starczy na dni			
Niemcy . . . . .	311	32	22
Francya . . . . .	333	10	22
Anglia. . . . .	187	36	142
Włochy . . . . .	289	43	33

Czyli w chwili wybuchu wojny największe niebezpieczeństwo zagrozi Anglii, która blisko połowę potrzebnego do wyżywienia ludności ziarna sprowadza z zewnątrz, w ogromnej większości z za oceanu. W lepszym, ale w każdym razie w fatalnym położeniu znajdują się Włochy i Niemcy: zbożem przywiezionem z za granicy, głównie z Rossyi, żywią się ludzie w pierwszym kraju 2½ miesiąca, w drugim blisko 2. Francya potrzebuje cudzego ziarna tylko na jeden miesiąc życia, Austria może się bez niego obejść zupełnie.

W najlepszym położeniu znajdować się będzie oczywiście Rossyja, w której po ustaniu eksportu wytworzy się nie brak, lecz nadmiar zboża, i kłopotu z żywnością żadnego nie będzie. W tym samym okresie 1883—1887, dla którego zrobiliśmy obliczenie poprzedzające, wywóz roczny pszenicy, jęczmienia i żyta z Rossyi wynosił corocznie 242 miliony pudów, co stanowi 21.6% całej produkcji.

Prócz tego, wyżej wymienione państwa produkują też i owsa, niezbędnego do wyżywienia koni, mniej, niż im potrzeba.

Produkcya owsa i przywóz pozostają z sobą w takim stosunku:

Państwa	Produkcya własna w milionach pudów	Przywóz w milionach pudów		Przywóz stanowi następujący % własnej produkcji
		z Rosyji	z innych krajów	
Niemcy . . . . .	228	11	1	5.3%
Francya . . . . .	200	8	5	6.5%
Anglia. . . . .	187	26	16	22 4/10%
Włochy . . . . .	13	0.8	0.7	11.5%

Takiż sam obrachunek dla owsa, jak wyżej zrobiliśmy dla innych rodzajów ziarna, da nam liczby.

Państwa	Produkcya własna owsa	Przywóz owsa	
		z Rosyji	z innych krajów
starczy na dni			
Niemcy . . . . .	346	16	3
Francya . . . . .	344	14	7
Anglia. . . . .	299	41	25
Włochy . . . . .	327	20	18

Rosyja owsa corocznie z granic swoich wywozi 51,134 tys. pudów, co stanowi 16.7% całej produkcji.

Austria również braku z powodu owsa nie ucierpi. Rachunki powyższe stosują się naturalnie tylko do roku pierwszego, jeżeli zaś wojna potrwa dłużej, co wielu przewiduje, to wskutek ubytku olbrzymiej masy sił roboczych produkcya w wielu krajach upadnie znacznie, a w dodatku proporcjonalnie do stopnia kultury, jak to następnie wykazemy. Wtedy brak żywności stanie się klęską tak wielką i do tego stopnia dotkliwą, że poprostu uniemożliwi dalsze prowadzenie wojny.

## II.

Ażeby się o tem przekonać, niedość jest rozpatrywać same tylko cyfry przeciętne. Są naturalnie takie części kraju, w których żywności na miejscu jest dosyć, w innych obawa głodu zjawić się może, przy normalnych warunkach, dopiero na przednowku, lecz są prowincye, w których brak zboża może się dać czuć nawet natychmiast po żniwach.

Ażeby kwestyę daną oświetlić dokładniej, zróbmy odpowiedni obrachunek. Obliczmy mianowicie, o ile produkcya miejscowa nie wystarcza przy zwykłym stanie rzeczy na wyżywienie jednego przeciętnego mieszkańca. Ażeby nie obarczać pracy niniejszej zbyt długimi kolumnami cyfr, ograniczymy się tylko do różnych części Niemiec, jako do kraju w danym razie najważniejszego, tem bardziej, że nam chodzi głównie o przykład, o zilustrowanie tabelki poprzedniej. Każdy czytelnik z tego wypadku łatwo wytworzy sobie pojęcie o stanie rzeczy w krajach innych.

Wedle obliczeń, przeprowadzonych dla całego państwa niemieckiego, przeciętny mieszkaniec spożywa rocznie:

pszenicy. . . . .	3.64 pudów
żyta . . . . .	7.58 pudów
jęczmienia . . . . .	3.12 pudów
	<hr/>
razem. . . . .	14.34 pudów

Z drugiej strony, z danych statystyki urzędowej wiemy, że w tychże Niemczech 13% ogólnej produkcji pszenicy, 15% żyta i 10% jęczmienia idzie na zasiew. Na zasadzie tych danych budujemy następujące zestawienie:

## Nadmiar i niedobór zboża, wypadający na 1-go mieszkańca.

Prowincye	Nadmiar produkcji miejscowej w stosunku do 1-go mieszkańca w pudach	Niedobór produkcji miejscowej w stosunku do 1-go mieszkańca w pudach
Prowincye Saskie . . .	5.5	—
Ks. Poznańskie . . . .	3.4	—
Prusy Wschod. i Zachod.	1.4	—
Bawaryja . . . . .	1.4	—
Hessya . . . . .	0.8	—
Westfalia . . . . .	—	1.3
Szląsk . . . . .	—	1.7
Król. Pruskie (przecięt.)	—	2.0
Brandenburgia (i Berlin).	—	5.1
Hessen-Nassau . . . .	—	5.8
Królestwo Saskie . . .	—	7.3
Prowincye Nadreńskie .	—	7.4
Baden . . . . .	—	7.8
Wirtembergia . . . .	—	8.2
Reszta państwa . . .	0.7	—

Widzimy więc, że z wymienionych prowincyi państwa niemieckiego (a w niewymienionych, ogółem biorąc, produkcya równa jest niemal konsumpcyi, więc na rezultat obrachunku nie wpływa), tylko w prowincyi Saskiej, w Poznańskim i w Prusach wschodnich i zachodnich, a więc w całej wschodniej, graniczącej z Rosyją, części państwa, produkcya znacznie przewyższa miejscowe potrzeby. Przewyżkę, ale

zbliżającą się do zera, znajdujemy jeszcze tylko w Bawaryi i Hessyi. Wszędzie indziej konsumcyja zboża przenosi jego produkcję, a w niektórych częściach cesarstwa, jak w Brandenburgii, Badenie, Wirtembergii, w Królestwie Saskiem i prowincyach Nadreńskich, brak wynosi przeszło połowę potrzeb.

Ponieważ w tych częściach państwa klasa rolnicza wynosi około 42% ogólnej liczby ludności, a klasa ta, pod wpływem obawy głodu, zapasy ziarna oczywiście przedewszystkiem dla wyżywienia swoich rodzin zachować zechce, przeto na potrzeby pozostałej części ludności koniecznem będzie, od pierwszego dnia po żniwach, sprowadzenie zboża. W czasie pokoju potrzebujące prowincye mogły korzystać z dowozu z Ameryki i Rossyi, lub też nabywać zboże z nadmiarów produkcji prowincyi wschodnich państwa niemieckiego. Z chwilą wypowiedzenia wojny i to źródło wyschnie. W prowincyach wschodnich właśnie, wobec bliskości teatru wojny, dokonywać się będą zakupy dla armii.

### III.

W. J. Niedźwiedzki, w nader zajmującym artykule „Walka z głodem podczas przyszłej wojny,“ dochodzi do wniosku, że w składach wojsk niemieckich na granicy Rossyi znajduje się zapas zboża, wystarczający na miesiąc, lub najwięcej na półtora miesiąca dla armii, która według wszelkiego prawdopodobieństwa przeciwko Rossyi operować będzie. Liczebność tej armii tenże autor oblicza na 960,000 ludzi i 220,000 koni. Lecz pamiętać należy, że, według opinii innych bardzo poważnych pisarzy wojennych, liczebność armii, mającej przeciwko Rossyi wystąpić, za nisko obliczoną została.

Według zdania dyrektora akademii wojennej, profesora generała Leera, każda ze stron wojujących posiadać będzie 1 milion w służbie czynnej i 200,000 ludzi w oddziałach pomocniczych, a zatem nie 960,000, lecz 1,200,000 ludzi, których trzeba będzie wyżywić. Ponieważ wojska na teatrze wojny nie będą w możności wyżywienia się środkami, jakich dostarczy dana miejscowość, wspomniane zatem wyżej zapasy intendentury trzeba będzie ciągle uzupełniać, jeżeli nie dla całej armii, to dla znacznej jej części. Gdyby więc nawet Poznańskie lub Prusy wschodnie czy zachodnie mogły użyczyć chleba prowincyom sąsiednim, co jest bardzo mało prawdopodobne, bo niewątpliwie po przejściu i pobyciu wojska spichrze i stodoły całkowicie się opróżnią, to i tak cena zboża była-by zbyt wysoką, właśnie z tych powodów, że o wiele przenosiła-by środki uboższej klasy ludności.



Wogóle dla zrozumienia sytuacji, jaka się w Europie całej utworzy po wybuchu wojny, należy wziąć pod uwagę wszystkie okoliczności, względy i prawa ekonomiczne, które wówczas działać będą.

Przedewszystkiem już sama obawa, że się wojna przeciągnie i zapasy wyczerpią, może znacznie odrazu podbić ceny. W roku bieżącym mieliśmy żywy przykład, jak obawa braku z powodu nieurodzaju natychmiast wytworzyła drożyznę.

Takie są według przeciętnych obliczeń rezultaty produktywności i potrzeb przy średnich urodzajach.

Nie można tu jednakże pominąć jednej jeszcze okoliczności. Obfitość zbiorów w różnych latach bywa nader różną, a zatem i potrzeby dowozu ziarna mogą być różne. Przyjrzyjmy się nieco bliżej zmianom, które odnośnie do rozmiarów urodzajów powstać mogą.

W tym celu przyjmiemy średni przeciętny urodzaj lat 1885—1889, zamieszczony w pierwszej rubryce poniższej tabliczki w milionach hektolitrów, za sto, i obliczymy różnice produkcji w tym okresie.

P a ń s t w a	Przeciętny urodzaj w roku 1885—1889 w milionach hektolitrów.	Maximum	Minimum
		urodzaju, biorąc liczbę pierwszej kolumny za 100	
Rossya . . . . .	627.3	114.7	86.2
Niemcy . . . . .	255.1	106.2	91.9
Francya . . . . .	255.1	102.6	96.6
Austro-Węgry . . . . .	251.9	108.4	87.1
W.-Brytania. . . . .	113.7	104.5	95.4
Włochy . . . . .	80.4	105.5	91.9
Rumunia . . . . .	51.2	135.5	77.7
Serbia. . . . .	9.4	131.9	91.5

Z powyższych cyfr widzimy, że w Niemczech rezultaty zbiorów najlepszych przeniosły cyfrę przeciętną o 6%, najgorszych były od niej niższe o 8%. W r. 1886, na który właśnie przypada maximum

plonów, przywóz zboża był o  $\frac{1}{3}$  część mniejszy, niż przywóz normalny w okresie 1881—1887. W roku zaś 1889 wskutek nieurodzaju przywóz był urósł o połowę niemal (46%). Na zasadzie tego faktu wnioskować można, że prawdopodobieństwo wybuchu wojny, gdybyśmy tę jedną okoliczność, wzięli na uwagę, większe było w roku 1886, niż w 1889. W innych państwach różnice co do urodzajów są nieznaczne, z wyjątkiem Rosyi i Austro-Węgier, tam bowiem wobec niższej kultury wahania uwydatniają się bardziej; w Rosyi odchylenie się od liczby przeciętnej w obie strony dochodzi do 14%, w Austrii niedobór wynosi 13%, nadwyżka 8%.

Wszystkie te względy: produkeya zbyt mała w stosunku do konsumpcyi, ustanie dowozu z zewnątrz państwa, zwiększone zapotrzebowanie ze strony samych mieszkańców, duże i nagłe zapotrzebowanie zboża dla armii—wszystko to działać będzie w jednym kierunku, a potęgując się wzajemnie, podbije niesłychanie ceny.

Obok tego zaś pamiętać należy, iż znaczna część zarobków ustanie całkowicie, inne się zmniejszą znacznie lub nieco.

Z chwilą przerwania dróg komunikacyjnych i wskutek wstrząśnienia, jakie wojna wywoła, produkeya fabryk, kopalń, praca rzemieślników i całego niemal przemysłu, z wyjątkiem tych, którzy wyrabiać będą przedmioty na potrzeby armii, zupełnie ustanie. Oprócz tego ojcowie rodzin, powołani do szeregów i, przy szybkiej mobilizacyi w armii niemieckiej np., wysłani bezzwłocznie w ciągły kilku godzin do swoich korpusów, pozostawią rodziny, w ogromnej liczbie wypadków, bez zapewnionego jutra. Jednocześnie zatem ze zjawieniem się drożyzny odrazu zmniejszą się sposoby wyżywienia ludności. Zestawiwszy te dwie okoliczności, dojdziemy do strasznego wniosku, że w niektórych państwach wojna pozbawi zupełnie miliony kawałka powszedniego chleba.

Będzie to tem straszniejsze, iż w tym samym czasie i dla tych samych powodów zdrożeją również inne produkta, niezbędne do życia.

#### IV.

Trudno przesądzać, czy wobec obecnego nastroju ludności, oraz wskutek propagandy, która nurtować nie przestanie wśród mas, państwa będą mogły pozostawać bezczynnym świadkiem tak poważnych, niebezpiecznych wstrząśnień, a regulacyę cen zechcą pozostawić całkowicie na pastwę zwykłym warunkom podaży i popytu, czy będą mogły nie troszczyć się o zabezpieczenie bytu rodzin tych przynajmniej, których ojcowie pójdą narażać życie swoje w walce z nieprzyjacielem.

W każdym razie, wątpliwości ulegać nie może, iż wytworzy się położenie trudne, a jednocześnie rachować się wypadnie ze względami innymi, przewidywać je i uprzedzać.

W rozdziale, poświęconym znaczeniu propagandy socjalistycznej w organizmach społecznych Europy zachodniej, wyjaśnimy, jak obecność doktryn negacyjnych i żywiołów destrukcyjnych wpłynąć może na przebieg wypadków podczas kampanii i mocno skomplikować stosunki po ukończonej wojnie, niezależnie nawet od jej rezultatu. Szczególnie niebezpiecznym okazać się może przedłużenie kampanii, ten zaś wypadek jest przez pisarzy wojskowych bardzo przewidywany.

„Wskutek pobudowania dróg żelaznych — twierdzi np. prof. Leer — *okres operacji przygotowawczych* skrócił się bardzo. Tymczasem ruchy już na teatrze wojny będą prawdopodobnie bardziej niż dawniej powolne i zajmą więcej czasu, a to dlatego, iż koleje żelazne w nadzwyczajnie tylko rzadkich wypadkach do marszów bojowych użyć się dadzą i za linie operacyjne służyć nie mogą. Armie zaś współczesne po drogach zwyczajnych z taką szybkością, jak wojska Napoleona, poruszać się nie potrafią, gdyż wskutek swego ogromu rozciągnąć się będą musiały na przestrzeni nie tylko absolutnie lecz i stosunkowo większej (dla łatwiejszego wyżywienia i rozmieszczenia), a powtóre, mają one przed sobą do spełnienia zadania szersze“<sup>1)</sup>.

Dalej autor przechodzi od operacji pojedynczych do całych kampanii i powiada: „Przy znacznie mniejszych siłach wojennych lata 1812, 1813 i 1814 tworzą jeden ciąg wojny trzyletniej. Ileż więc czasu potrzeba będzie, aby (wedle wyrażenia von der Goltza) zwalczyć nowożytnego Anteusza i oderwać go od ziemi, która będzie mu słała jedną armię za drugą?“

A więc, według tegoż prof. Leera, nadsciągająca nawałnica nie skończy się — jak przypuszczają niektórzy — kilkoma piorunowej szybkości błyskami, lecz ciągnąć się może długie lata.

W razie wojny państw zachodnich z Rosyją, kampania, według zdania najwybitniejszych autorów francuskich i niemieckich, nie będzie mogła być ukończoną w ciągu jednego roku, prawdopodobnie wymagać będzie lat kilku. Zobaczmy, jakie stąd wypływają konsekwencje:

W skład niemieckich sił lądowych wchodzi cała męska ludność państwa od 17 do 45 roku życia włącznie. Jeżeli przyjmemy, że do robót w polu mogą być użyci robotnicy od 15 do 65 roku życia, w takim razie 56% sił roboczych znajdować się będzie na polu walki.

<sup>1)</sup> Profesor generał Leer (autor znanego dzieła o Strategii) „Skomplikowane operacje“ wydanie akademii wojskowej. Petersburg 1892.

W razie nadzwyczajnym, jeżeli nawet nie cała wskazana część klasy robotniczej powołana zostanie do szeregów, nie mniej jednak ilość robotników rolnych zmniejszy się do tego stopnia, że nie będą oni mogli wykonać tej sumy robót w polu, która w czasie pokoju wymaga współdziałania całej męskiej ludności. Już ta jedna przyczyna w zupełności wystarcza, żeby podczas wojny produkcya rolna znacznie spadła, a co z tego wynika, aby wzrosła potrzeba przywozu zboża: wyżywienie ludności stanie się zatem coraz trudniejszym.

Oprócz braku robotników, może się też okazać brak koni roboczych.

Jeżeli mamy wierzyć danym zawartym w „L'anée militaire“ z roku 1892, różne państwa w czasie mobilizacji będą potrzebowały następującej ilości koni:

P a ń s t w a	Armie na stopie pokojowej posiadają	W razie wojny potrzebować jeszcze będą	Ilość koni w kraju w tysiącach	Z 1,000 posiadanych przez kraj koni trzeba będzie wziąć w razie wojny sztuk
	koni w tysiącach			
Rosya . . . . .	160	340	25000	1.36
Francya . . . . .	142	308	3000	10.26
Anglia . . . . .	15	14	2000	0.70
Włochy . . . . .	45	75	750	10.00
Austria . . . . .	77	173	4000	4.32
Niemcy . . . . .	116	334	3000	11.13

Z liczby potrzebnych dla armii niemieckiej 218 tysięcy koni większa część również musi być wzięta od rolników. Naturalnie, iż to na sprawy rolne, a w szczególności na prowadzenie robót, musi oddziaływać niepomyślnie. Nie należy zapominać, że przy tak intensywnym sposobie gospodarowania, jaki jest w Niemczech, płodozmian urządzone jest w ten sposób, że pola zupełnie nie odpoczywają, zasiewy następują bezpośrednio jeden po drugim, opóźnienie zatem w robotach pociąga za sobą skutki niezwykle zgubne, nieznanie zupełnie w gospodarstwach mniej skomplikowanych i mniej udoskonalonych.

Dalej, jak wiadomo, w Niemczech jest zwyczaj świętowania przed rozpoczęciem robót w polu, tak zwane dni pokuty (Busstage), a następnie w ciągu lata roboty trwają już bez przerwy i wypoczynku, w niedzielę i dni świąteczne tak samo, jak i w powszednie. Nadto, przy zwykłych warunkach praca robotnika w Niemczech zużytkowywana jest tak intensywnie, że o możliwości zastąpienia pracy powołanych do szeregów robotników przez spotęgowanie pracy tych, którzy pozostali w domu, mowy nawet być nie może. W niemieckiej armii znajdować się będzie 38%, we francuskiej 42%, w austriackiej 49% robotników rolnych.

Jeżeli dalej uwzględnimy nawet, że pewna część robotników fabrycznych użyta zostanie do robót w polu, to i tak śmiało twierdzić można, że urodzaj roku następnego w porównaniu z latami poprzedzającymi zmniejszy się przynajmniej o 15%.

Zupełnie inaczej przedstawiają się rzeczy w Rosyji. Tu robotnika rolnego o wiele łatwiej jest zastąpić, niż gdziekolwiekbyś indziej, ponieważ największa część gruntów chłopskich znajduje się w posiadaniu gminy. W guberniach, położonych dalej na wschód, stosunek ten coraz bardziej wzmacnia się na korzyść gminy, gdyż rozporządza ona coraz większemi obszarami ziemi.

Wogóle nie jesteśmy stromnikami tej formy władania ziemią i uważamy ją za główny powód złego stanu chłopskich gospodarstw w Rosyji; w tym jednak specjalnym wypadku, gdy chodzi o warunki, jakie wojna sprowadzi, i o skutki, jakie wywoła, przyznać trzeba, iż szkody, przez nią rolnikom zrządzane, łatwiej zneutralizować się dadzą w gospodarstwach, będących w posiadaniu gminy, niż w majątkach osobistych. Gmina nigdy nie pozwoli zmarnieć kawałkowi ziemi, który był uprawiany przez robotnika, powołanego do wojska. Uprawia go gromada na rachunek rodziny rekruta, a ten po powrocie wstępuje w swoje dawne prawa.

Patrząc z tego punktu widzenia, musimy przyjść do wniosku, że niski stopień rozwoju gospodarstw w Rosyji przyczynia się właśnie do łatwiejszego zniesienia klęsk i strat, które występują jako następstwo wojny. Przytem rolnictwo w pierwotnej swojej formie jest zawsze mniej wrażliwe na nieporządek w gospodarstwie, niż wysoko intensywna kultura. Brak ładu i dozoru nie może zaszkodzić melioracyom i wogóle poprawnemu systematowi gospodarczemu tam, gdzie tych melioracyi wcale niema, a gospodarka nie opiera się na talencie i umiejętności jednostek, lecz prowadzona jest wedle pierwotnej, powszechnie znanej rutyny. To też rolnik, wracając do gospodarstwa, może być pewny, że znajdzie zupełnie to samo na swojej w najlepszym razie trzypolówce, co pozostawił, idąc na wojnę.

Robotnicy fabryczni w największej liczbie wypadków nie przestają należeć do gminy, a więc, w razie wybuchu wojny, ci, którzy powołani nie zostaną, powrócą do swoich wsi i zastąpią przy uprawie roli walczących parobczaków i gospodarzy. Oprócz tego, ponieważ w Rosyi niema zwyczaju pracowania w niedzielę i w znaczną ilość dni świątecznych, więc gdyby synod udzielił pozwolenia, ubytek rąk roboczych dał-by się całkowicie powetować pracą we dni, dziś przeznaczone na odpoczynek.

Rzućmy tylko okiem na liczby. Mężczyzn pomiędzy 20 i 50 rokiem życia w szeregach armii (licząc tylko siły zaczepne) znajduje się w Niemczech 31% (3 miliony), w Austrii 28%, we Francyi 47%, w Rosyi zaś tylko 15% (3<sup>1</sup>/<sub>2</sub> miliona) całej ludności. Ponieważ zaś niedziela stanowi siódmą część tygodnia, czyli 15% całego czasu roboczego, więc brakujący zastęp sił roboczych może być w zupełności pokryty jedynie pracą w niedzielę, nie licząc wcale nawet świąt.

## V.

Rozumnie się, że kłopoty i nieszczęścia, jakie spaść mogą na państwa wskutek braku zboża na wyżywienie ludności, nie mogły nie zwrócić dotychczas na siebie uwagi zarówno rządów, jak i ekonomistów. Sprawa to jednakże tak oderwanej natury, że, pomimo całej doniosłości, zupełnie prawie nie doszła jeszcze do świadomości ogółu. Przytem uczucie patriotyzmu przysłania w tym razie i powstrzymuje rozumowania, wyjaśniające szczegóły danej kwestyi, oraz wywołujące refleksye i zwątpienia. Zresztą ani sfery rządowe, ani znawcy nie chcą robić z tego przedmiotu kursujących sporów, narzekań, obaw, aby nie osłabiać ducha, a przez to w razie wojny i siły rzutu. W Niemczech sprawa ta już niejednokrotnie była poruszana przez socjalistów w parlamencie, nigdy jednakże nie stała się tematem narad publicznych, zawsze przekazywano ją specjalnej komisji. Rząd zaś komisjom tym komunikował projekta swoje zaopatrywania państwa w zboże, sprowadzane z Egiptu morzem przez kanał Sueski i Włochy, oraz lądem kolejami szwajcarskimi i austriackimi, a także z Węgier i Rumunii. O ile projekta te mają za sobą widoki urzeczywistnienia, postaramy się wykazać przy rozbiorze danych, dotyczących komunikacji wodnych podczas wojny.

W każdym razie, gdyby nawet pod obronę włoskiej i angielskiej floty dało się wozieć zboże przez kanał Sueski, ryzyko i drożyzna przewozu podniosły-by do tego stopnia cenę ziarna, iż wszystkie przewidywane przez nas zjawiska nie omieszkały-by wystąpić.

Nie brakło też projektów zażegnania złego w inny sposób, lub przynajmniej osłabienia jego skutków.

Autor broszury „Auf der Schwelle des Krieges (1891)” przypuszcza, że wojna wybuchnąć może w chwili, jaką rząd francuski wybierze.

Wojna tegoczesna pozostaje w zależności od handlu międzynarodowego, którego pomocy potrzebuje cała niemal Europa, gdy chodzi o żywność dla mieszkańców.

Nie wiele krajów jest dziś zdolnych wyżywić ludność własnymi zapasami, jak to bywało w czasach dawniejszych. Dlatego też, w razie wojny, nieprzyjaciele starać się będą przede wszystkim przeszkadzać sobie wzajem w regularnym dowozie artykułów żywności dla zaspokojenia potrzeb mieszkańców. W obecnym czasie istnieją tylko trzy wielkie państwa, które mogą uważać się za niezależne co do sposobów wyżywienia swoich poddanych, mianowicie: Stany Zjednoczone, Austro-Węgry i Rossya. Dla wszystkich innych niezależność ta nie istnieje.

Niemcy np. z chwilą zakazu przywozu zboża z Rossyi znajdą się w położeniu obleganej fortecy, niezbyt obficie i nie na długo zaopatrzonej. Jeżeli więc wojna zaciągnie się na długo, produkcya wewnętrzna się zmniejszy, dowóz morzem wobec groźby ze strony potężnej floty przeciwników ustanie, stan będzie poprostu niepodobny do przetrzymania.

Wobec tego autor wymienionej broszury proponuje utworzenie w państwie tak zwanego „żelaznego” zapasu zboża, nietylko na potrzeby armii, lecz i na zabezpieczenie ludności. Zapas taki nietylko-by więc usunął widmo głodu, lecz w znacznym stopniu bronił-by także od nieuniknionej w tych wypadkach drożyzny.

Z powyżej przytoczonych danych o ilościach corocznie sprowadzanego na potrzeby ludności zboża, trudno wyprowadzić wniosek, o ile projekt ten możliwym jest do urzeczywistnienia.

Zapasy, które należało-by utrzymywać i odnawiać, wymagały-by corocznie takich wydatków, że w obecnym czasie trudno-by było na to uzyskać zezwolenie parlamentu.

W Anglii sprawa wyżywienia ludności w czasie wojny jeszcze bardziej interesuje ogół.

„National Review” podaje mowę Samuela Bekera, w której znajdujemy rozumowania, dotyczące pomienionego przez nas przedmiotu. „Przyzwyczajeni jesteśmy do tego stopnia, żeby wszystko niezbędne dla wyżywienia się i ciągłości pracy było dostarczane do naszych portów, że nie możemy nawet wyobrazić sobie innego stanu. Niema jednakże wątpliwości, że w razie wybuchu wojny z silnem morskim

państwem, cena zboża może się znacznie podnieść w całej Anglii, co nie pozostanie bez wpływu na przemysł i nastąpią trudne warunki bytu, jakie dotąd nigdy się jeszcze nie zdarzały, przy obecnym bowiem stanie samoobrony Anglii, nie jest ona w możności zaopatrzyć się w dostateczną ilość żywności.”

Lord Charles Beresford, dowodzący jedną z części angielskiej eskadry na morzu Śródziemnym, utrzymuje, że w razie wojny Anglia nie może liczyć na dowóz żywności morzem. Admirał Gorubi, przewodniczący na jednym z meetingów, zwołanych celem wystosowania adresu do rządu z prośbą o przedsięwzięcie środków zabezpieczających dowóz żywności, powiedział, że: „jeśli-by kiedykolwiek, nawet podczas świetnych zwycięstw na morzu, dowozy artykułów żywności do Anglii chwilowo zostały wstrzymane, wywołało-by to sytnacę o wiele gorszą, niż nader dotkliwe klęski w bitwach morskich.”

## VI.

Wskutek wyżej wymienionych okoliczności, w czasie wojny może się okazać brak i innych jeszcze produktów, niezbędnych do życia codziennego.

Najważniejszym z nich jest mięso; rozpatrzmy przeto, w jakim położeniu znajdują się różne państwa co do produkcji tego artykułu.

Liczbowe dane, które mogą nas w tej kwestyi poinformować, przedstawiają się w sposób następujący:

Handel mięsem w r. 1890.

Państwa	Przywóz	Wywóz	Nadmiar	Brak
	P u d y			
Austria . . . . .	19847	537713	517866	—
Rossya. . . . .	1200	99513	98313	—
Włochy . . . . .	7494	88476	80982	—
Niemcy . . . . .	1756394	1019919	—	736475
Francya . . . . .	1235860	122976	—	1112884



Okazuje się, że mięsa, produktu po zbożu najważniejszego, Austrya, Rossya i Włochy wytwarzają więcej, niż spożywają. Pozostałe państwa zmuszone są dokupywać na zaspokojenie potrzeb wewnętrznych. W Niemczech w 1890 roku przywóz przeszło o 736 milionów pudów przewyższał wywóz. We Francyi jeszcze bardziej, bo o 1,112 tysięcy pudów.

A więc też same kraje, które mają u siebie dosyć zboża, mogą nie lękać się również braku mięsa. Przeciwnie, Niemcom i Francyi zabraknie prawdopodobnie w razie uporczywej wojny obu głównych produktów żywności.

Zapewne, że w Niemczech i we Francyi znajdują się tak znaczne inwentarze w gospodarstwach rolnych, iż niedobór mięsa, wynikły z ustania przywozu, można będzie zastąpić przez bicie inwentarza; lecz w takim razie, wobec znacznej wartości posiadanych przez wspomniane państwa ras bydła, ceny mięsa znacznie podskoczą w górę.

Odmienne nieco cyfry znajdujemy co do produkcji i konsumpcyi masła:

Państwa	Przywóz	Wywóz	Nadmiar	Brak
	P u d y			
Francya . . . . .	400221	1808162	1407941	—
Austrya . . . . .	5146	621111	615965	—
Rossya. . . . .	133235	385340	252105	—
Włochy . . . . .	19212	182616	163404	—
Niemcy . . . . .	543505	429529	—	113976

Nietylko Austrya i Rossya, lecz również Włochy, a szczególnie Francya, produkują więcej, niż im potrzeba. Niemcy, i masła, tak samo jak zboża i mięsa, wytwarzają mniej, niż spożywają.

Tylko pod względem wywozu i przywozu soli Rossya znajduje się w położeniu mniej dogodnym, niż państwa zachodnie, bo kiedy one mogą wywozić znaczne ilości za granicę, w Rossyi brakuje na potrzeby wewnętrzne, przy normalnym stanie rzeczy, przeszło pół miliona.

Państwa	Przywóz	Wywóz	Nadmiar	Brak
	P	u	d	y
Austria . . . . .	—	616582	616582	—
Niemcy . . . . .	1279614	12176941	10897327	—
Włochy . . . . .	—	11780366	11680366	—
Rossya. . . . .	1052316	456084	—	596232

Zaznaczyć jednak należy, iż przy wewnętrznej produkcji, wynoszącej około 70 milionów pudów corocznie, brak ten bardzo łatwo wypełniony być może przez zwiększenie wytworczości.

Austria i pod tą pozycją zajmuje miejsce dogodne.

Co się tyczy zaopatrzenia się w naftę, która dziś stanowi dla ludu przedmiot niezbędnej potrzeby, położenie Rossyi jest bardzo korzystne.

Niesłychanie bogate kopalnie Kaukazu pozwalają Rossyi nie sprowadzać wcale prawie nafty, wywóz odwrotnie jest bardzo wielki. Niemcy, Włochy i Francya nie mają zupełnie co wywozić, wszystko sprowadzają z za granicy. W Austrii import jest też bardzo wielki, chociaż produkeya miejscowa (w Galicyi) wzrasta nieustannie.

Państwa	Przywóz	Wywóz	Nadmiar	Brak
	P	u	d	y
Rossya. . . . .	12	760707	760695	—
Austria . . . . .	15400551	380776	—	15019775
Włochy . . . . .	4270692	—	—	4270692
Francya . . . . .	7916946	—	—	7916946
Niemcy . . . . .	39485700	—	—	39485700

Kwestya węgla kamiennego przedstawia się w sposób następujący. Przywóz pod odjęciu wywozu wynosi we Francyi 491 milionów pudów, w Austrii 99 milionów pudów, a w Rossyi 93 miliony pudów. Wywóz węgla z Niemiec o 274 miliony pudów przewyższa przywóz.

W najkorzystniejszym zatem położeniu co do opału znajdują się Niemcy, następnie Austria, będąca w możności pokrycia niewielkiej stonkowo różnicy pomiędzy przywozem i wywozem, powiększając produkcję, chociaż prawdopodobnie, wobec wstrzymania działalności wielu fabryk, nie będzie to zupełnie potrzebne. W Rosyi, jakkolwiek produkcya węgla w kopalniach dąbrowskich, wynosząca około 130 milionów pudów, prawdopodobnie zostanie wstrzymana, brak węgla uczuć się nie da, ponieważ zamknięcie fabryk bezwątpienia zmniejszy zapotrzebowanie. Nadto należy zwrócić na to uwagę, że w nader wielu miejscowościach Rosyi, jako materiału opałowego, używają drzewa, co przy obfitości lasów zabezpiecza państwo na bardzo jeszcze długi przeciąg czasu, rozumie się powiększwszy ich eksploatację. W okręgu kopalń dąbrowskich ludność miejscowa będzie musiała na wypadek wojny bezzwłocznie przystąpić do zużytkowania, dosyć często w rozmaitych okolicach spotykanych, pokładów torfu.

Po żywności występuje odzież. Rosya znówu posiada warunki szczęśliwsze, bo obecnie już pewną a coraz znaczniejszą część bawełny, przeszło 40% własnych potrzeb, sprowadza z Azji, w czem jej wojna przeszkadzać nie będzie; też na miejscowe potrzeby nie zabraknie.

Zresztą brak odzieży prawdopodobnie nigdzie dotkliwie czuć się nie da i na szali wypadków nie zaważy, gdyż we wszystkich krajach istnieją u ludzi pewne zapasy, a dla wojska dostatecznie zapewne opatrzone magazyny.

Ogromnie ważną będzie okoliczność, o ile państwa energicznie i pośpiesznie potrafią zaopatrywać armie swoje w broń i amunicję wszelkiego rodzaju. Wszystkie jednak mocarstwa są pod tym względem, zdaje się, dostatecznie zabezpieczone. Nadto, z wyjątkiem Włoch, Turcyi i Rumunii, wszędzie rozwinięte są bardzo warsztaty, produkujące broń i pociski. Zapasy zaś materiałów, których wewnątrz kraju mieć nie można, są niewątpliwie obrachowane na wojny dłuższe. Zbyt to względ ważny i zbyt oczywisty, aby go gdziekolwiek lekceważono lub przeoczono.

Na podstawie wyżej przytoczonych względów i obliczeń, dochodzimy do wniosków następujących:

1) Przewagę w wojnie przyszłej mieć będą te państwa, które ją dłużej wytrzymać zdołają.

2) Kwestya żywienia ludności przy anormalnych warunkach czasu wojennego wystąpi na plan pierwszy; państwa więc, którym własna produkcya nie wystarcza, będą musiały bardzo dbać o to, aby sprzęt dokonany został jak najdokładniej, czyli przed zupełnem ukończeniem żniw na wojnę zdecydują się chyba w ostateczności.

3) Najprawdopodobniej wojna wybuchnie w tym roku, kiedy urodzaj w państwie, mającem zamiar ją wypowiedzieć, będzie większy od normalnego. W latach nieurodzajnych pokój można uważać za pewniejszy.

4) Przed wybuchem wojny, jako najpoważniejszy znak zwiastujący, wystąpi gorączkowe zaopatrywanie się we wszelkie artykuły żywności tych państw, które mogą się obawiać braku własnych środków do wyżywienia ludności.

5) W czasie wojny, a zwłaszcza po jej ukończeniu, wskutek przewrotu w zarobkowaniu i wyżywieniu ludności, mogą wybuchnąć bardzo silne ruchy ludowe.

W rezultacie musimy się zastrzedz, że pewność naszych przypuszczeń jest w ścisłej zależności od tego, o ile racjonalnem jest przypuszczenie, że żegluga morską dla okrętów kupieckich w czasie wojny nie będzie możebną.

Podstawę do tego przypuszczenia wyłuszczyliśmy w następującym rozdziale.

(Dalszy ciąg nastąpi).

JAN BLOCH.

---

## Z cyklu „ITALIA.”

---

### I.

#### Nad Ticino.

. . . . .

---

Lombardji pola mi się pokazały  
We mgłach szerokich, kryjących błękity;  
Koń Barbarossy cwałował w nich biały,

Przed nim szlak mleczny, perłami wybity,  
Za nim się grzywy tumanem rozwiały,  
Nad nim szumiące w potokach piór kity.

Pędził, do starych bojów rżąc, do chwały,  
Do szczęków mieczy, dzwoniących w dziiryty,  
Do warku cięciw i do świstów strzały.

Lecz kraj był cichy i smutkiem nakryty  
Rzeczy, co przeszły, i ech, co skonały,  
I sam we własne nie wierzył już świty.

— Na koń! Na konia!... Kto będzie dość śmiały  
Osiąść rumaka z srebrnymi kopyty? —  
Cisza. W dolinach winnice zadrżały.

Okrzyk, odrzucon przez Alpów gdzieś szczyty,  
Wracał je trącać dreszczem, a wiatr mały  
Ros z nich otrząsał złote chryzality.

I nagle pastuch lombardzki zdziczały  
Rozgarnął w strony liść jasno podszyty,  
I patrzył we mgły, a nozdrza mu grały...

---

## II.

### W Parmie.

---

Nad opactwem San Paolo  
Sieje żarem strop niebieski;  
Abbatessa Giovannina  
W parlatorium chce mieć freski.

Abbatessę Giovanninę  
Już pół wieku habit kryje,  
Gruby habit z ciemnej wełny,  
Gruby kaptur aż po szyję.

Abbatessa Giovannina  
Jest z Piaczeny blizkiej rodem,  
A żywota surowością  
Przed wszystkimi idzie przodem.

Teraz w celi zadumana  
Piękną głowę w myślach kloni,  
I podpira białe czoło,  
Na wysmukłej białej dłoni.

— Z czarodziejstwa swojej sztuki,  
Mistrz Correggio w Parmie znany;  
On swym pędzlem przeczaruje  
Parlatorium nagie ściany.

Mistrz Correggio w swej palecie  
Ma te wszystkie barwy, blaski,  
Jakie tylko ludzkie oczy  
Cieszyć mogą z bożej łaski. —

Nad opactwem San Paolo  
Gasną w mrokach zorze blade,  
Abbatessa Giovannina  
Długą z mistrzem ma naradę.

Długo zgodzić się nie mogą  
Na wybranie fresków treści,  
Choć się ciśnie tłum postaci  
Z świętych legend i powieści.

Z starej biblji, z starej księgi,  
Mistrz poddaje obraz, słowo;  
Abbatessa Giovannina  
Przechy ręką, przeczy głową.

Przykrzy sobie pode drzwiami  
Najciekawsza nowiejuszka:  
Z cicha mówią, szmer zaledwie  
Dolatuje do jej uszka.

Już i pełnia księżycowa  
Błysła w szyby bladym złotem,  
Kiedy pojawił mistrz Correggio,  
Co ma fresków być przedmiotem.

Od poranku San Paolo  
Rozebrzmiało pracy wrzawą;  
Lecz mistrz zamknął się w komnacie  
Z swym natchnieniem i swą sławą.

Drobnym krokiem mniszki drepcą  
Ze schowaną w kaptur głową,  
O cudownem malowaniu  
Szepeją sobie to i owo.

Co?... Ucieczka do Egiptu?...  
Co?... Herodjas?... Jana głowę?...  
Albo może pokłon Magów?...  
Albo cuda Mojżeszowe?...

Próżno gubią się w domysłach!  
Nieme ściany, głuche mury...  
Na silentium dzwonek woła,  
Do „inchiostra”, do klauzury.

Sama tylko Abbatessa,  
Wstęp ma wolny do komnaty;  
Często widać cień jej smukły,  
Często słychać chrzęst jej szaty.

Sama tylko Abbatessa  
Na rusztowań wchodzi deski  
I odrzuca kaptur z czoła,  
Żeby lepiej widzieć freski.

To pochwali, to przygani,  
Tu myśl nową rzuci śmieie:  
Do podziwu mądra pani,  
Na malarskiem zna się dziele!

Aż błysnęły nagle mury  
Z pod kryjącej je osłony;  
Mistrz Correggio pędzle złożył,  
Fresk precudny już skończony.

Na błękitnych tlach plafonu,  
W lwim zaprzęgu Eros pędzi,  
A dokoła drobne „pussi”<sup>1)</sup>  
Sieją róże po krawędzi.

---

<sup>1)</sup> Amorki.



Amorkowe ciała świeże,  
 Na lazurów dna rzucone,  
 W hyacyntów i narcyzów  
 Żywą wiją się koronę.

Nad kominkiem łowcza Djana  
 Orszak sprawia swój myśliwy;  
 Nimfy wiążą jej sandały,  
 Prężą luki i cięciwy.

W fryzie tańczą Gracje białe,  
 Bachus z grona sos wysysa,  
 A na głównej ścianie Wenus  
 Płacze śmierci Adonisa.

Klaszczą mniszki zachwycone,  
 Przyklaskuje całe miasto...

. . . . .  
 Prawda, wieki zaczynały  
 Ledwo — wiosnę swą szesnastą!

---

### III.

#### W zatoce Baji i Willa Cycerona.

---

Cycero?... Tu więc morze rytm dało mu boski,  
 Rozperlając toń myśli na dźwięki i głoski,  
 I w każdą perlę lejąc muzykę echową,  
 Tak, że wskróś wieków do dziś słyhać każde słowo?..

Cycero?.. Z tej więc fali, co łódź moją trąca,  
 Wstała ta mowa nagła, silna, błyskająca  
 Słonecznemi iskrami, lub pogardy pianą,  
 Mowa, której Rzym słuchał, ugiąwszy kolano?

Tu więc, po tym mirtowym przechodząc się chłodzie,  
Kąpał wieńczone czoło w błękitnej pogodzie,  
I upojon tych winnic pochlebny szelestem,  
Myślał że tłumy, stawał i witał je gestem?

Tu, wodząc miękką dłonią po etruskiej wazie,  
Uczył się jej okrągłość zamykać w wyrazie,  
W którym — choćby przeklinał i wołał: „banita!”  
Drżała piękność, od kształtów amfory odbita?

. . . . .

Katyliño, widzę cię! W wielkiej, jasnej sali  
Siedzą Rzymianie, w togach swych senackich biali.  
Twarze śniade, na czaszkach nízko cięte włosy,  
Półkrężnym siedzą wieńcem, dawać mają głosy.

Namysł, nieufność, trwoga, ściągnęły oblicza;  
W pośrodku dym z trójnoga kadzielnego znicza,  
Cienkiem, błękitnem pasmem po sali się wije,  
Owiewając odkryte ramiona i szyje.

Gesty latają w posły; coraz to z pod togi  
Wytknie ręka dwa palce, jak księżyc dwurogi,  
Owdzie brwi podniesionych łuk groźnie napięty,  
A wielki palec sterczy schylony i zgięty.

Ty sam, na rogu ławy, gwałtowne twe oczy  
Wbiłeś w ziemię. Wzrok ciśnie, napiera ją, tłoczy;  
Twarz z brązu pobieliała, a obiedwie pięście  
Wparte w kolana. Wściekły bunt słychać w ich chrzęście.

Włos zjeżony, kark zgięty, nie skrucha, lecz łosem.  
Milczysz... Gdybyś się ozwał, nie swoim snać głosem,  
Lecz zdławionego gardła krzykiem, mową wilczą.  
Milczysz... Pioruny, bijąc w chmury z chmur, tak milczą.

Widzę cię! Ława pusta za tobą w połowie:  
Odsunęli swe togi ostrożnie mężowie,

By nie dotknąć się szaty, co ciebie okrywa...  
Pustka cię otoczyła, nad hańbę zelżywa!

Jeden z siedzących wyżej schylił czaszkę łysą  
I czoło, naznaczone w poprzek grubą rysą;  
Oczy w dłoń schował; palce kościste i twarde  
Cisną wstecz, w głąb źrenicy, lzy, wstyd, czy pogardę.

Szmer i ruch idzie izbą: zwrócono w bok głowy —  
Spojrzeniem się tłómaczą i dzielą, nie słowy;  
Coraz to skośnym ogniem odstrzeli powieka,  
Duchy wiszą na ustach jednego człowieka.

Przed ławami mąż stoi; mąż pięknej postaci.  
On jeden wpośród zboru pogody nie traci,  
I ku ławom gest czyniąc pieśczonej swą dłonią,  
Mówi... Jak jasne perły, tak słowa się gonią.

Mówi... Państwo, vis, virtus, starej Romy cnota...  
Głos dźwięczniejszy od spiżu, a twardszy od młota!  
Mówi... Każde z słów jego na złota kłusć wagę.  
Cycero! Kto mu przeciw stanąć ma odwagę?

Promień słońca upada i blask mu swój ścięte:  
Mówi... Prawo, lud, spokój, współobywatele...  
Wielkie słowa! Głos wpada w kolumny i ginie  
W szepcie korynckich liści: śmierć... śmierć Katylinie!...

. . . . .

Ślucham, i rękę falom puściwszy z mej łodzi,  
Myślę, jak głos retora daleko dochodzi...  
I myślę, jak głęboki nurt morza i siny,  
I jaka blada na dnie ta twarz Katyliny...

## IV.

## „Sul mare.”

. . . . .

Co ranek patrzę w okno me,  
O najwcześniejszej zorzy,  
Kiedy najpierwszy brzask i świt  
Na morzu się położy.

I widzę łódź na jasnym tle  
Złotoróżanej fali,  
Jak lekko płynie, lekko mknie,  
Jak się jej żagiel pali.

Żagiel pochyły, drobna łódź  
Ni wiosła, ni kół zgrzytu;  
Tylko ją świeży morza dech  
W świetlistość pędzi switu.

Żagiel pochyły, drobna łódź,  
Tak chyżo w brzask ucieka,  
Jakby ją drogi wołał głos,  
Głos drogi gdzieś zdaleka.

Cały rój potem statków mknie,  
Przed oknem mojem biały;  
Jedne jak srebrne mewy wód,  
Drugie jak srebrne strzały.

Lecz żaden z nich nie płynie tak  
Nagle, a lekko, z cicha,  
Jako ten jeden wczesny ptak,  
Co ramą zorzą dycha.

Powrotu jego nie wiem gdzie  
Szukać i czekać trzeba;

Nie widzę nigdy go na tle  
Zachodniej łuny nieba.

Lecz gdy się zbudzę, on już straż  
Poranną cicho trzyma,  
I niesie żagiel pełen róż,  
Który mu zorza wzdyma.

I patrzę za nim w złoty szlak,  
W jutrzenny szlak bez końca,  
I myślę, że to jest mój duch,  
Co leci na wschód słońca.

I myślę, że to jest mój duch,  
Co w jasny świt ucieka,  
I że go woła drogi głos,  
Głos drogi gdzieś zdaleka...

MARYA KONOPNICKA.

---

## KRONIKA MIESIĘCZNA.

---

Miesiąc ubiegły przynosił czytelnikom gazet wrażenia ściśle polityczne, nie przynosił wrażeń dyplomatycznych. To znaczy, że krążyły w powietrzu echa miejscowych wewnętrznych kłopotów różnych państw; nie działo się jednak nic, lub prawie nic takiego, co dotyczy powikłanych interesów międzynarodowych. W tej sferze panuje wciąż jednakowy spokój. Było-by wielce dodatnim rysem stosunków, gdyby ten spokój stanowił oznakę czegoś innego, niż chwilowego zastoju. Skoro jednakże uzbrojenia nie ustają, uprzedzenia nie nikną, urazy nie rozpraszają się, interesa nie przestają się krzyżować, więc i ów spokój nie jest czem innym, jak przedłużającym się zawieszeniem broni. Prawda, że ma ono cechy trwałości i może się Bóg wie jak długo utrzymywać. Ta okoliczność wprowadza dziś większą równowagę do umysłów, niż widzieliśmy przed kilku laty, kiedy lada depresja, lada słówko ministra budziły panikę na giełdach i szerzyły obawę wojny. Teraz nawet giełdy stały się mniej wrażliwe. Opinia publiczna zupełnie się uspokoiła i czeka przyszłych wypadków bez chorobliwej gorączki. Nie można tego nazwać inaczej, jak objawem dodatnim, bowiem giełdowe i prasowe paniki niczego nie rozwiązywały, niczego nie przyspieszały nawet, a natomiast wprowadzały do życia ekonomicznego i umysłowego żywioł zniechęcenia, niepewności i zastoju.

Uwagę publiczną pochłaniały sprawy wewnętrzne państw. We Francyi wciąż jeszcze Panama, w Niemczech wciąż projekt reformy wojskowej, w Anglii wciąż bil irlandzki, w Austrii zawsze ta sama zagadka o utworzeniu stałej w parlamencie większości. Streśniony pokrótce przebieg wypadków.

W sprawie skandalów panamskich zapadł wyrok pierwszej instancyi, skazujący administratorów Towarzystwa panamskiego, w tej liczbie obu Lessepsów, na kilkuletnie więzienie. Skazani apelowali. Zanim wyrok otrzyma potwierdzenie w wyższych instancyach, tymczasem rozpoczął się przed sądem przysięgłych proces o przekupstwa, wytoczony z jednej strony administratorom towarzystwa, którzy przekupywali, z drugiej pewnej liczbie przekupionych. Braki podwójnego śledztwa, sądowego i parlamentarnego, nie zostały dotąd zapelnione i „lista“ przekupionych członków parlamentu nie jest dokładnie wiadoma; to jest powód, dla którego stanęło przed sądem tylko kilku „przekupionych.“ Z tych kilku zaledwie jeden przyznaje się do winy, ex-minister Balthaut, reszta zaś stanowczo zapiera się, żeby brała łapówki za wota. Zatem najciekawsza i najdonioślejsza część tej sprawy, przekupstwa parlamentarne, ciągle jeszcze potrzebuje wyświe tlenia. Jeden Balthaut i paru innych, wątpliwych, mały to rezultat jak na stu kilkudziesięciu przekupionych deputowanych, o których mówią oskarżenia ogólnikowe. Publiczność francuska zostaje ciągle pod tem wrażeniem, że interesowani używają wszelkich środków do zatajenia prawdy; pomawiano o to i rząd, który jakoby nie dość energicznie ści gał Artona, mającego w swem posiadaniu ową legendową „listę.“ Zre sztą Karol Lesseps, broniąc się, twierdzi, że towarzystwo panamskie nie przekupywało deputowanych. Dawało ono pieniądze na cele rządowe, ulegając naciskowi ministrów i wpływowych przywódców; są dzdziło jednak, że wyświadcza przez to usługę rzeczypospolitej, bo pod tym pozorem wyludzano od niego pieniądze. Ci, co je w ten sposób wyludzili, byli to, jak ujawnił Lesseps: Freycinet, Floquet, Clémenceau, Rouvier.

Zanim przysięgli orzekną winę lub niewinność oskarżonych, tymczasem zeznania jednej z osób wezwanych do świadczenia, mianowicie pani Cottu, spowodowały podanie się do dymisji ministra sprawiedli wości, Bourgeois. Pani Cottu zeznała, że naczelnik policyi tajnej, niejaki Soinoury, usiłował ją skłonić do oddziałania na Lessepsa, aby „zbyt wiele“ nie mówił, rozumieć należy: aby nie mówił rzeczy, doty czących wyludzania pieniędzy przez byłych ministrów na cele rządowe, oraz starał się od niej wydostać jakieś dokumenta „kompromitujące deputowanych z prawicy.“ Za te usługi p. Soinoury ofiarował pani Cottu zawieszenie procesu i wypuszczenie na wolność jej męża oraz

innych uwięzionych administratorów towarzystwa panamskiego. Bourgeois, minister sprawiedliwości, znowu przeczy, aby ten szantaż polityczny dokonany był z jego polecenia. Jednakże podał się do dymisji. To nie spowodowało upadku całego gabinetu, który wszakże trzyma się tylko dlatego, że oportuniści nie mają odwagi wejść w sojusz z prawicą konstytucyjną, a z drugiej strony, że w łonie dzisiejszej większości niema amatorów na teki ministeryalne w tych trudnych i powikłanych okolicznościach.

Sprawa reformy wojskowej w Niemczech posunęła się o tyle, że specjalna komisya parlamentu, której powierzono projekt do zbadania, takowy w całości w pierwszym czytaniu odrzuciła. Rząd nie przystawał na kompromis, większość komisji nie chciała się zgodzić na całość projektu. Pytanie, jak się skończą następne czytania i jak się zachowa parlament? Może on pójsć za zdaniem swojej komisji, lub nie pójsć. Rozstrzygnięcie leży w ręku centrum, które jest w tej chwili panem położenia. Jakoż teraz zaczną się zapewne poufne targi między tem stronnictwem a rządem. Gdyby nie doprowadziły do pożądaných wyników, jest możliwem, że parlament ulegnie rozwiązaniu. Tak przynajmniej dają do zrozumienia sfery urzędowe.

Bil irlandzki Gladstone'a, który miał przyjść pod obrady izby gmin w dniu 10 marca, nie utrzymał się wówczas na porządku dziennym. Zdarzyło się tak nieszczęśliwie, że Gladstone zachorował. Bez niego, który jest głównym filarem reformy i którego powaga musi być ciągle rzucana na szalę przekonau izby, rozprawy są niemożliwe. To też odłożone zostały aż do czasu wyzdrowienia Gladstone'a, czyli że nie nastąpią wcześniej, jak po świętach wielkanocnych.

W Wiedniu zdarzył się ciekawy epizod parlamentarny, najciekawszy niezawodnie w całej historii walki politycznej od chwili upadku ugody czesko-niemieckiej, mianowicie: wymiana mów pojednawczych między lewicą niemiecką i młodoczechami. Plener był w tym razie mową lewicy, Herold mową młodoczechów. Prasa wyciągnęła stąd wniosek o nastąpić mogącym porozumieniu obu stronnictw i zaczęła już snuć z tego motywu daleko sięgające kombinacje. Pokazało się jednak wkrótce, że owe przemówienia pojednawcze były tylko manewrem parlamentarnym, a nie istotną zapowiedzią nowej ugody. Zarówno lewica, jak młodoczesi uznali za korzystne i efektowne popisać się gotowością do pojednania. Miało to być korzystne, bo powinno było napędzić zbawienego strachu hrabiemu Taaffemu; efekt mówi sam za siebie. Swoją drogą użycie hasła zgody przez młodoczechów i lewicę niemiecką, choćby dla celów ubocznych, jest już wielce znaczące. Dwa te stronnictwa tak zawzięcie z sobą wojują, że o raptownem, przez nie nieprzygotowanem pogodzeniu się ich, myśleć nie



można. Myśl pojednania musi się z początku ukazywać nieśmiało, przypadkowo, ze względów postronnych. Ale do niedawna nawet w tej formie ukazanie się jej było niepodobne. Prasa młodoczeska, a zwłaszcza żarliwe *Narodni Listy*, uderzyły na alarm, protestując przeciw paktowi z lewicą po przemówieniach Plenera i Herolda. Nie zmienia to jednak ukrytego sensu manifestacji. Polega on na tem, że oba stronnictwa przychodzą widocznie coraz bardziej do przeświadczenia o jałowości walki, jaką z sobą toczą, a która, wyczerpując je, nie przynosi żadnemu pożytku i nie otwiera przed żadnym widoków zwycięstwa. Kiedy przeświadczenie to stanie się mocniejszym niż dziś i powszechniejszem w kołach niemieckich i młodoczeskich, kwestya zawarcia ugody będzie znowu aktualną. Życzyć-by tylko w takim razie trzeba obu stronnictwom, żeby ją szczęśliwiej rozwiązały, niż przy pierwszym układzie Niemców ze Staroczechami.

W Serbii odbyły się wybory do sejmu. Obaliły one stanowczo liczebną przewagę radykalistów. W nowym sejmie są oni w mniejszości; większość stanowią liberalni. Nie jest ona znaczną, bo wynosi zaledwie kilka głosów. Kiedy się jednak zważy, że doszli do niej z nicości prawie — w poprzednim rozwiązany sejmie zasiadało ich zaledwie kilku — wypadnie uznać, że zwycięstwo po stronie rządu było niemałe. Swoją drogą jednak, rząd będzie zmuszony liczyć się z opozycją, a nawet dla swobodnego rozwoju swojej działalności ustawodawczej dobrze-by mu było wejść w porozumienie bądź z grupą postępowców, bądź z umiarkowańszym odłamek obozu radykalnego. W tym też kierunku będzie się zwracała serbska dyplomacya sejmowa stronnictwa rządowego i gabinetu Awakumowicza.

Po szarej, przytłaczającej półmrokiem jesieni, po śnieżnej i mroźnej zimie, dusza ludzka, a z nią dokoła wszelkie życie organiczne, nawpół obumarłe lub senne, rwie się do światła i ciepła. Ucho i wzrok chciwie chwyta najdrobniejsze objawy budzenia się natury i — rzecz dziwna — pomimo, że to rozstawanie się ze snem długotrwałym dotkliwe ślady zostawia, pomimo, że pierwsze przebłyski wiosny znaczą swe kroki na mieniu i życiu ludzkim, jednak ten okres życiodajny rodzi wielką radość w sercach; obfitość światła, rozlewającego się w przyrodzie, zagląda do głębi duszy, pod czaszkę do mózgu, skołatanego troskami o życie codzienne, utrudnione surowością zimy. W tym roku bardziej niż w latach poprzednich radość łączy się z troską, bo jednocześnie z silniejszym drgnieniem tętna przyrody zrodzą się nowe środki roznoszenia śmierci; nowy rozkwit życia w naturze, zabierze daninę w postaci życia ludzkiego, a surowymi poborcami będą wszelkie epidemie. Ale i ostrożność nie śpi, wzmagą się ona i rozszerza, w miarę

przybliżania się wiosny. Komitety obywatelskie i służba zdrowia są półgotowe do walki. Niezbita zaś prawda, że sprzymierzeńcem epidemii jest nędza, coraz bardziej zajmuje uwagę powszechną, więc komitet obywatelski zwraca się do instytucji dobroczynnej o pomoc w tym względzie i sam tego rodzaju ratunek w swym programie uważa za najracjonalniejszy. Istotnie, filantropia, której nigdy chyba nie zbrakło pola do szerzenia swej działalności, tym razem powinna zdwoić swe usługi, ale w sposób bardziej niż kiedykolwiek oględny, t. j. nie w znaczeniu oszczędnościowym, lecz — w rodzaju tych usług. Częstookroć ofiary, nawet szczerze przez nią sypane, idą na marne, nie przynoszą pożytku obdarzonym, ani zadowolenia moralnego obdarzającym. Otóż przedewszystkiem powinna być ograniczona działalność jałmużnicza, która właśnie jest najczęściej bezowocną, a natomiast należało-by rozwijać wszelkie stałe organizacje dobroczynne, pozostawiające trwalsze ślady swych usiłowań.

Zdaje się, że w tym duchu organizacja dobroczynności będzie w całym państwie przekształcona. Wszelkie w tym względzie dojrzałe urządzenia na zachodzie zwróciły uwagę władzy i oto ministerjum spraw wewnętrznych powołało komisję, która ma się zająć reformą. O ile można wnosić z kroków przygotowawczych, przekształcenie organizacji dobroczynnej będzie miało na celu troskę o polepszenie ogólnych warunków bytu tych warstw, które pomocy potrzebują. Według statystyki sanitarnej Londynu, w pewnych dzielnicach tego miasta śmiertelność wynosiła r. 1889 sześćdziesiąt osób na tysiąc, obecnie zaś tylko siedmnaście. Tak ponikliwy stan rzeczy przypisywany jest zbudowaniu dla ludności ubogiej nowych domów, według wymagań higieny. Kasy emerytalne, oszczędnościowe i wogóle wszelkie instytucje finansowe chętnie udzielają pożyczek długoterminowych na hypotekę spółek, nabywających lub budujących takie domy, z zachowaniem wszelkich warunków zdrowotnych. W Belgii za czyste utrzymanie mieszkań ludność uboga dostaje nagrody pieniężne; instytucje zaś dobroczynne, ponoszące te wydatki, są pewne, że dadzą się one pokryć z lichwą już samem zabezpieczeniem społeczeństwa od klęsk epidemii. Wogóle filantropia na Zachodzie dąży nietylko do poprawienia warunków mieszkalnych, ale do dostarczania warstwom ubogim zdrowej strawy. W tym celu szeroko działające towarzystwa spożywcze niżają tam środki utrzymania dla biednych i niezamożnych o 20—30%, co wraz z działalnością tanich jadłodajni zaspokaja pierwszorzędną potrzebę mas całych i pozwala im być mniej wybrednymi i twardymi w przyjmowaniu wszelkich zobowiązań pracy. Korzystają zatem z organizacji dobroczynnej nietylko ubodzy, ale pośrednio i ci, którym

taniaść wyżywienia ludności szarej daje możność zyskania sił taniach i wytrwałych. Pomijając wszelką obosieczność organizacyi dobroczynnej, musimy przyznać, co już nieraz czyniliśmy na tem miejscu, że pod wielu już względami systemat filantropijny, w braku innego, wydał na Zachodzie sporo owoców pomyślnych. Na te właśnie jej strony i szczegóły zwróciła uwagę komisya, powołana przez ministerjum spraw wewnętrznych, a więc przypuszczać można, że reforma będzie wzorowana na urządzeniach zagranicznych.

Taniaść wyżywienia nietylko leży w obrębie działalności dobroczynnej. Uprzysiężnienie wszelkich środków bytu warstwom niezamożnym i średnio-zamożnym jest najgorętszą kwestyą chwili. To też każdy objaw w tym zakresie chętnie notujemy i podnosimy. Tym razem mamy do zaznaczenia wielce pożądaną zmianę w działalności sklepów spożywczych na prowincyi. Oto w gub. Kieleckiej firmowi właściciele takich sklepów zawarli między sobą układ, zobowiązujący ich do brania towarów w najlepszych gatunkach bezpośrednio od kupców hurtowych. Do układu tego między innymi przystąpiły: Dąbrowa, Jędrzejów, Miechów, Pińczów, Proszowice, Skalmierz, Stopnica, Suchedniów i Wolbrom. Delegaci zawarli w Warszawie unowę z 63-ma wybitnymi hurtownikami na korzystnych warunkach. Tym sposobem upośredzeni i lekcważeni spożywcy prowincjonalni będą mieli możność nabywać towar tani i dobry. I to także jest w związku z warunkami uzdrowotnienia; taniaść i dobroć towaru wpłynie na jakie takie poprawienie dobrobytu, a świeżość produktów spożywczych niezafałszowanych ochroni zdrowie od szwanku. Te dwa czynniki bardzo ważną w ogólnej sumie ochrony zdrowia. Nie idzie wszakże za tem, ażebyśmy mieli przypisywać cudowne skutki unowie sklepów gub. Kieleckiej z hurtownikami warszawskimi. Wskazaliśmy tylko to zjawisko, jako wzór do naśladowania dla innych, jako zaczątek lepszej organizacyi handlowej, korzystnej dla masy odbiorców. Jest to wszelako fakt sporadyczny, kilkakrotnie już się powtarzający na prowincyi; dopóki więc będzie tylko zjawiskiem oderwanem, wpływ jego nie zarysuje się tak widocznie, jakby się spodziewać należało, a nawet mogą się poniekąd zneutralizować go inne czynniki—spekulacya i niezaradność. Wszelkie jednak chociażby nieśmiałe przekraczanie granic rutyny i nierozumienia zobopólnych interesów każe się spodziewać zmiany istniejących warunków na lepsze.

Powyższą zabiegliwość firm sklepowych witamy sympatycznie jeszcze z tego względu, że wzrost ich rzetelności utrudni poniekąd działalność fałszerzy-spekulantów, której obecnie nie krępują nawet

analizy. Przed kilku tygodniami pisma rolnicze zwróciły uwagę na zatarg pomiędzy jedną z fabryk nawozów sztucznych w Sosnowicach a kierownikiem stacyi rozbiorowej we Wrocławiu, który potępił produkt, wyrabiany w tej fabryce. Z obroną wszakże wystąpił inny rzeczoznawca. Dzieje się to bardzo często; właściciel towaru, otrzymawszy nieprzychylną opinię jednego chemika, udaje się do drugiego, który stwierdza nieskazitelność produktu. To świadectwo jest obroną dla przedsiębiorcy i zarazem środkiem reklamy, podczas gdy ogół dostaje odeń fałszowane przedmioty. Jakim sposobem zabezpieczyć życie i mienie odbiorców od takiej gry karygodnej? Jedynym tu środkiem mogą być publiczne instytucye rozbiorowe. Dzisiaj ułatwiają tę ważną czynność prywatni specjaliści, zależni od przedsiębiorców. Są towarzystwa ubezpieczeń na życie, niema tylko asekuracyi zdrowia, szwankującego od produktów podrabianych, bo stowarzyszenie, działające w tym zakresie, zbankrutowało-by bardzo szybko, albo musiało-by do każdego z ubezpieczonych codzień posyłać chemika dla zbadania produktów zakupionych na obiad. Ale i tutaj byłby kłopot nie lada, w razie gdyby np. ubezpieczonemu przyszła ochota zjeść obiad lub wieczernę w restauracyi, albo wypić wina wątpliwej marki. Towarzystwo musiało-by bardzo wysokie premia pobierać, szczególnie od tych, którzy mają słabe organa trawienia.

Całkiem słuszną jest myśl ubezpieczenia stróżów dobra publicznego, niosących swą pomoc podczas epidemii. Delegowani do miejsc dotkniętych zarazą lekarze mają być ubezpieczeni do wysokości 5,000 rs., studenci 3,000, felczerowie—500 rs. Owo stopniowanie tłumaczmy wzrostem potrzeb. Rodzina lekarza ma ich szerszą skalę, student—jest tylko członkiem takiej rodziny, gdzie oprócz niego najczęściej jest jeszcze jakaś głowa; ale studenci przecież pochodzą z różnorodnych warstw społecznych, posiadających mniej i więcej potrzeb, więc tym razem uznaną ich wyższość nad felczerami można usprawiedliwić większym nakładem, potrzebnym dla zdobycia szerszej wiedzy. W projekcie atoli owej asekuracyi zapomniano jeszcze o jednej kategorii pracowników: siostrach miłosierdzia i posługaczach, narażonych częstokroć na większe niebezpieczeństwo, niżeli lekarz, student lub felczer. Ludzie ci mają również rodziny, utrzymywane lichy z narażeniem życia. Gdy więc taka głowa padnie ofiarą swego zajęcia, osierocona uboga gromadka nie otrzyma przecież ani emerytury, ani zarobku, odpowiadającego wynagrodzeniu jej żywiciela. Bardzo więc było-by pożądanem, ażeby przed zatwierdzeniem powyższego projektu zwrócono uwagę na konieczność wyłuszczonego przez nas uzupełnienia.

Dotychczas nie mają prawie żadnych sposobów asekuracji swego mienia mieszkańcy nadrzeczni. Na odgłos pękania lodów i szumu fal wezbranych zabiły z trwogi tysiące serc i znowu, jak niezliczone razy przed tem, ludzie poczuli zupełną bezsilność swego położenia. W całej niemal Europie rzeki, zasilone z gór obficie, poczyniły szkody i spustoszenia na znacznych obszarach, w przeciągu kilku godzin zabrały mienia całych wiosek i stworzyły liczne gromady nędzarzy. I u nas wobec śnieżnej zimy oczekiwano katastrofy i przepowiadano większe niż kiedykolwiek jej rozmiary. To też pisma codzienne, zwyczajem dorocznym, stworzyły oddzielne rubryki do notowania stanu Wisły i jej dopływów we wszystkich miejscowościach kraju. Taki dział informacyj, skrzętność i szybkość w notowaniu szczegółów, godne są pochwały. Większą atoli usługę mieszkańcom nadbrzeżnym oddała ostrożność administracyjna, zawczasu przedsięwzięta. Dzięki temu, tu i owdzie poczyniono możliwe zabezpieczenia, a ludność ostrzeżono sygnałami odpowiedniami o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Na szczęście uwalniające się z więzów lodowych rzeki były tym razem łaskawsze dla ludzi i zabrały stosunkowo niewiele daniny.

Kto wie, może z czasem, gdy się utworzy i rozwinie zaprojektowane przed rokiem, czy też przed dwoma laty, towarzystwo ubezpieczenia rolników od klęsk żywiołowych, mieszkańcy nadrzeczni, o ile są rolnikami, obojętnie będą patrzeć na swój dobytek, chałupy i stodoły, płynące po wartkich falach, nie będą rozpaczać na widok pól zamulonych. Jest to marzeniem ogółu ziemian, ażeby mózdz ze spokojem filozoficznym znosić ataki żywiołowe; to też pod wpływem niedościgłych marzeń o usunięciu wszelkich czynników, niepokojących rolnika przez cały rok, stworzono mnóstwo najdziwaczniejszych pomysłów, w których przebiega jedna myśl przewodnia: ratunku przed zagładą ekonomiczną. W szeregu pomysłów chorobliwych, dziwacznych, nielogicznych, przebrzmiałych bez echa, utonęły wskazówki dość racjonalne i projekta nie pozbawione cech praktyczności. Co rok one się powtarzają w mniej lub więcej zmienionej formie. Tym razem p. Ks. Radziszewski, znany już ze swoich rad dla podźwignięcia rolnictwa, podał w odrodzonym „Tygodniku ekonomicznym i kolejowym” wniosek, wpływający z poprzednich planów projektodawcy. Autor radzi, ażeby Towarzystwo kredytowe ziemskie wypuściło nową seryę listów zastawnych 3-procentowych na sumę 60 milionów rs. wartości nominalnej i udzielało pożyczek do wysokości 75% szacunku, t. j. o 25% więcej niż dzisiaj. Kombinacya ta wynika z tego względu, iż do takiej wysokości mają być udzielane pożyczki na sola-weksle z banku państwa, a więc hypotekę ziemiańską uznano poniekąd oficjalnie za zdolną do

korzystania z kredytu do rzeczonyj wysokości; potwierdzają to zresztą lokacye po Towarzystwie kapitałów prywatnych. Od tego nowego długu stowarzyszeni płacili-by  $6\frac{1}{2}\%$ , z których  $3\%$  na oprocentowanie, tyleż na amortyzację, a  $\frac{1}{2}\%$  na utworzenie rezerwy i ubezpieczenie regularnego wpływu rat. Zdaniem p. Radziszewskiego, emisya takich listów, przy dzisiejszych warunkach rynku pieniężnego, tudzież przy skróconym na 21 lat terminie umorzenia, była-by chętnie przyjętą przez naszych kapitalistów po kursie 85 za sto. Gdyby zaś ustanowiono ją w złocie, znalazła-by skwapliwych nabywców w Niemczech, Francyi i Belgii po kursie może nawet wyższym. Dla ziemian pożyczka taka była-by o wiele korzystniejszą, niż wekslowa, gdyż w ciągu trzech już lat mogła-by być umorzona w stosunku  $\frac{1}{10}$ , a więc dłużnik co trzy lata dopełniał-by ponownie, jako pożyczkobierca, część umorzoną, bez powiększania corocznych rat.

Taka jest zasadnicza treść pomysłu p. Radziszewskiego. Nie będziemy się wdawali w jego rozbiór, gdyż to zaprowadziło-by nas zbyt daleko. To jedno tylko zaznaczymy, że wobec faktu, iż  $3\%$  russka pożyczka państwowa, w złocie, notowana jest po  $79\frac{1}{4}$  za sto, mniemanie, iż takież pożyczka w walucie papierowej, oparta na drugim numerze hypoteki, mogła-by osiągnąć kurs 85 za sto, nie opiera się wcale na prawdopodobieństwie. Państwowa pożyczka niemiecka 3-procentowa, wypuszczona w kraju, obfitującym w tani kapitał, osiąga zaledwie 86 za 100. Żywe interesowanie się ogółu ziemian wszystkim, co dotyczy ułatwienia kredytu, ta ciągła dążność do coraz nowych rojeń w tym zakresie, nie jest wcale zjawiskiem pomysłnem. Świadczy to, że tonących coraz jest więcej, że każdy z nich radby się chwycić słomki, chociaż-by zbutwiałej, tembardziej, że owe słomki wytwarzają bańki mydlane, w których zabarwiony świat i jego warunki inaczej się odbijają niż w rzeczywistości. Myśl o nowym kredycie bruzdzi po głowach wszystkim dłużnikom, chociaż-by ich dobra, obciążone pożyczkami i wyczerpane lichą gospodarką, stanowiły mniejszą wartość, niż daje suma długów. Tem bardziej objaw powyższy razi, że więcej się u nas mówi i rozstrnuwa projektów na tle nowych kombinacji kredytowych, niżeli—o środkach polepszenia uprawy, wprowadzenia udoskonaleń technicznych, dających możność taniego, a zatem więcej procentującego wytwarzania, o rozszerzeniu wiedzy fachowej, o spółkach rolniczych akcyjnych, o uregulowaniu handlu, usunięciu szkodliwego pośrednictwa, udogodnieniach komunikacyjnych i taryfowych. Wogóle wszystko, co wymaga wytrwałej, żelaznej pracy, długiej walki z niepowodzeniem, mniej ma wyznawców, niżeli chociażby najniedorzeczniejszy projekt o nowych kombinacjach kredytu, które mają cudownie, bez

żadnego wysiłku i w krótkim czasie postawić ziemian na trwałym gruncie ekonomicznym. To też, o ile przypominamy, mniej obudził zajęcia projekt kredytu melioracyjnego, któremu towarzyszyła-by praca i kontrola jej postępów, niżeli pomysł wszelkiego rodzaju „ulg” i fantastyczne projekta kredytowe.

Całkiem inną postać przybiera żądanie kredytu przemysłowego dla rozwoju produkcji fabrycznej. Rzecznikiem wytwórców wielkoprzemysłowych jest p. Nikodem Krakowski, który w osobnej broszurze wyłożył i uzasadnił potrzebę systematycznego zasilku w gotowiznie dla fabrykantów. Kredyt taki jest jednym z najpotężniejszych czynników rozwoju produkcji. Dziwić się tylko należy, że oddawna uświadomiona wśród interesowanych potrzeba takiego czynnika odżywczego, dopiero dziś wyraźniej się zarysowała, gdy zapowiedziano rozszerzenie działalności banku państwa. Na zachodzie rezultaty kredytu przemysłowego dostatecznie już oceniono w praktyce, a teoretycznie między innymi znaczenie jego określa R. Hiernaux w sposób następujący (w dziele konkursowem p. t. „Organisation du Crédit au travail”): „Kredyt dyskontowy, który wystarcza na potrzeby handlu, nie jest dostateczny dla przemysłu, gdyż ten wymaga zwykle unieruchomienia większych kapitałów, wznoszenia obszernych budowli, tudzież ruchomości ważnych i złożonych, podczas gdy przedsiębiorstwo handlowe nie pochłania wielkich kosztów organizacyi. Kupiec po uskutecznienu pierwszych zakupów wydaje na nowo pieniądze dopiero po sprzedaniu towaru; dość często zbywa wieczorem ten, który rano otrzymał. Czasem dostarcza klientowi towarów, które jeszcze do jego magazynu się nie dostały. Przemysłowiec nie może działać w sposób tak doraźny; zmienia on istotę lub formę zakupionych materiałów surowych, a złożony proces fabrykacyi wymaga nieraz bardzo wiele czasu. Przemysłowiec nie może ściśle zastosować swoich zakupów do sprzedaży.”

Otóż niezbędny jest kredyt obrotowy na potrzeby bieżące lub podtrzymywanie mniej produkcyjnego peryodu i—zakładowy na rozszerzenie fabryki, rozwój produkcji, ulepszenia, wprowadzenie nowych machin i narzędzi i t. p. Taki rodzaj kredytu musi być koniecznie długoterminowym. P. Krakowski żądał, ażeby Bank handlowy w Warszawie przystąpił do założenia dwóch filii na potrzeby przemysłu: w Łodzi i Sosnowicach. O ile wszakże wnosić można z planu reformy Banku państwa, żądanie powyższe będzie zbyteczne, gdyż instytucya państwowa rozszerzy odpowiednio ustawę i pozakłada swoje filie wszędzie, gdzie są tylko ogniska produkcji. Właśnie w tym celu zbierane

są szczegóły od osób i instytucji zainteresowanych tym przedmiotem lub z nim obeznanym. Między innymi sekcya rolna warszawskiego oddziału Towarzystwa popierania przemysłu i handlu wybrała delegacyę, która, sformułowawszy konieczność kredytu dla rolnictwa, zaznaczy ze swojej strony pożytek z rozszerzenia operacji Banku państwa. Jeżeli żądania rolników tudzież przemysłowców będą uwzględnione, to w zakres działalności zreformowanej instytucji wejdzie nie tylko udzielanie pożyczek na zastaw zabudowań fabrycznych, ale także wszelkich maszyn i motorów. Taka forma kredytu przemysłowego istnieje z pomyślnym rezultatem w Finlandyi. Nie tylko maszyny i zabudowania fabryczne podlegają zastawianiu (przy czem sam majątek pozostaje w rękach dłużnika), ale nawet wszelkie warsztaty rzemieślnicze, posiadające jakiegokolwiek motory mechaniczne, mogą korzystać z pożyczek bankowych. Pożądane rozszerzenie mniej więcej w tej formie kredytu państwowego ma wszelkie prawdopodobieństwo urzeczywistnienia, gdyż wskazywanie potrzeb i życzenia licznych grup interesowanych, o ile wiemy, przychylnie są przyjmowane przez wyższą władzę, stojącą na czele reformy.

Jak widzimy, kredyt zajmuje dziś żywo wszystkie umysły; każdy go pożąda, ale nie każdy ma ułatwioną do niego drogę. Kogo nie stać na zagwarantowanie zwrotu majątkiem, ten daje rękojmię w postaci swych zarobków, o ile te nie są już zanadto obciążone. Od czasu do czasu wśród ogółu rozlegają się skargi na ciężar lichwy, na lombardy prywatne. Skąd to zło pochodzi?—starano się nieraz ową łamigłówkę rozwiązać, chociaż tak prostą do zrozumienia. „Potrzebne nam kasy!” Gdy te powstaną przy każdej instytucji pracodawczej, lichwa pójdzie na suche lasy, a przynajmniej na liche miasteczka i sioła. Tu i owdzie kasy powstały, a lichwa nie straciła ze swej siły i wpływu. Skądże to? Przecież można czerpać pożyczki i zapomogi! Tak! Ale zapomoga bywa udzielana w wyjątkowych razach, a pożyczkę trzeba zwrócić. W przedsiębiorstwie ona procentuje, podwaja się i potraja, ale w kieszeni przeciętnego biuralisty szybko topnieje, najczęściej idzie na opędzenie pilnych, ciężkich długów poprzednich, na załatwienie pierwszorzędných potrzeb domowych, na lekarstwa lub naukę dzieci. Pożyczkobierca więc, wykołatawszy pewną sumę ze swej kasy, staje się jeszcze uboższym, bo dług musi zwrócić z pensyi nierozciągliwej, przytem załatwiło się tę i ową potrzebę, może nie tak bardzo pilną. „Gdybym nie miał sumy pożyczonej, obyłbym się bez tego, co mi by jest konieczne.”—Tak rozumuje przeciętny pracownik o sumieniu zbyt czułym. Więc kasy szkodliwe?—Nie! tylko niekorzystne warunki bytu neutralizują ich wpływ dodatni.



Wobec takiego stanu rzeczy, lichwa i lombard są to dwa „przedsiębiorstwa” najbardziej się opłacające. Pierwszego zysków określić dokładnie niepodobna; drugi—daje pojęcie o swym rozwoju i powodzeniu w sprawozdaniach dorocznych. Tak zwane „Warszawskie Towarzystwo akcyjne pod zastaw ruchomości” obraca kapitałem 800,000 rs., składającym się z 16,000 udziałów po 500 rs. Ogólny zysk wynosił 179,936 rs., dochód zaś czysty 83,875 rs., czyli 10%. Ładny interes, a tem się różniący od innych przedsiębiorstw, że gdy wogóle odczuwają one wszelkie przesilenia i niepowodzenia ekonomiczne, lombardy w takich okresach najobfitsze plony zbierają, i dotychczas, pomimo ciągłego przyrostu liczebnego, nie wchodzą sobie w drogę.

„Kuryer Warszawski” na nudy wielkopostne odnowił sekretarza i między innymi zadaje swym czytelnikom dość żywotne pytanie, jak np.: „Ile kosztuje w Warszawie utrzymanie miesięczne rodziny średniozamożnej, złożonej z czterech osób?” Odpowiedzi, o ile ściśle, będą ciekawe, przytem dowiemy się, jak dalece jest u nas rozwinięte zamiłowanie i zdolność do rachunków. Podsuńmy przy tej sposobności redaktorowi zabawy nauczającej jeszcze jedno ciekawe pytanie: „Jak sobie radzą ci, którzy już nie mają ruchomości na zastaw w lombardach?” Dla ułatwienia dajmy zaraz jedną odpowiedź: „Marzą o kasach, własnych i... cudzych. Pracownicy księgarscy, którzy zapewne bardzo boleją nad upadkiem czytelnictwa, nie tylko marzą, ale już projektują założenie własnej kasy, no i zapewne o zgromadzeniu funduszków w sposób uznany: za pomocą koncertów, rautów, odczytów i t. d. Życzymy im powodzenia i większego zainteresowania się publiczności stworzeniem funduszu, niżeli obecnie—towarem księgarskim.

Na ogólnem zebraniu akcyonaryuszów kolei Terespolskiej, prezes rady, p. L. Kronenberg, wyjaśnił stan rokowania w sprawie byłej kasy. Przypomnijmy, iż rząd przy skupie kolei uznał za należący do niej majątek między innymi fundusz eksploatacyjny, tudzież pewne nieruchomości dodatkowe, jak: szkołę techniczną, magazyny tranzytowe i t. d. Towarzystwo zatem wystąpiło z roszczeniami do tej własności, gdy zaś to było bezskuteczne, zaproponowało przelew z kapitałów spornych 350,000 rs. do kasy emerytalnej na pokrycie emerytur już przyznanych, oraz składek urzędników na służbie pozostałych. Fundusz kasy wynosi obecnie 803,700 rs. w papierach procentowych i 5,440 rs. w gotówiznie, podczas gdy same pensye emerytalne wymagają rocznie 105,646 rs. Gdyby więc uzyskano ową sumę żądaną 350,000 rs., emeryci otrzymali-by do proporcjonalnego podziału cały kapitał, posiadany przez kasę w dniu jej

zamknięcia, urzędnicy zaś — wniesione wkłady z 5% składanym. P. Kronenberg, w nadziei, że rząd na układ powyższy przystanie, prosił akcyonaryuszów o pełnomocnictwo i, naturalnie, otrzymał je. Tak więc uczestnicy byłej kasy, szczególnie nieemeryci, uzyskają zwrot swych składek, których utrata była-by dla nich zbyt wielkim uszczerbkiem.

Kto wie, czy wobec możliwych zawodów nie była-by praktyczniejsza, zamiast urządzania kas, asekuracja posad, zaprojektowana już za granicą. Towarzystwo, które na taki pomysł wpadło, chce wciągnąć do ubezpieczenia pracowników handlowych, nauczycieli, oficjalistów rolnych, urzędników, robotników, słowem cały ogół ludzi, sprzedających swoją pracę za umówioną cenę. Naturalnie, Towarzystwo, dla własnego interesu, będzie wnikać w przyczyny utraty posady, jak się np. bada powody pożaru i szuka przypadku, czy też rozmysłu. W wielu wszakże wypadkach, niewątpliwie nawet w przeważnej liczbie, utrata posady nie zależy od pracownika, np. z powodu likwidacji przedsiębiorstwa, upadku firm, ograniczenia personelu, skutkiem pogorszenia się warunków ekonomicznych. Takie masowe pozbawianie pracy z przyczyn powyższych jest zjawiskiem powszednim, zarówno u nas, jak i za granicą. Otóż asekuracja, czyli zapewnienie utrzymania usuniętym aż do chwili uzyskania nowego zajęcia, będzie istotnie pomocą tak wielką, jakiej dotąd prawie nigdzie nie dały kasy. Oto są wypracowane zasady nowego ubezpieczenia przez „Norddeutsche Assecuranz Gesellschaft”: Składka wynosi zaledwie 2% rocznej pensji ubezpieczającego się i powinna wpływać w pierwszej połowie każdego miesiąca. Nadto przy zapisie płacić należy jednorazowo 3% miesięcznej pensji. Najtrudniejsze będzie sprawdzanie przyczyn utraty posady. Towarzystwo wymienia swe warunki w polisie, że utrata miejsca nie może nastąpić z winy ubezpieczonego, t. j. przez umyślne zaniedbywanie obowiązków, „brak szacunku dla chlebobdawcy”, nadużycia i t. d. Czy zawsze jednak można będzie dociec łatwo istotnej przyczyny? „Brak szacunku dla chlebobdawcy” jest to tak rozciągliwy warunek, że kto wie, czy dla Towarzystwa nie będzie największą rękojmią znacznych zysków. W każdym razie nad ujemnymi warunkami tego rodzaju asekuracji górują dodatnie, już chociażby ze względu na zabezpieczenie bytu po stracie zajęcia z przyczyn jasnych, nie podlegających żadnym wątpliwościom, jak: likwidacja przedsiębiorstwa, upadek firmy, ograniczenie personelu skutkiem nieprzyjaznych warunków ekonomicznych i t. d.

W obecnej dobie wyszukiwania coraz nowych źródeł dochodu dla skarbu, powszechnie budzi zajęcie podatek od mieszkań, który w roku bieżącym będzie zastosowany do mieszkańców miejskich. Pobór ten wyniesie 2—5% ceny lokalu rocznie. Przytem w planie rozmiarów ciężaru przepisy bardziej uwzględniają ludzi obarczonych rodziną, niżeli samotnych, jak również stosunkowo najwięcej płacić będą mieszkańcy, zajmujący wspaniałe lokale w pierwszorzędnym dzielnicach miasta. Ten nowy podatek wpłynie niewątpliwie na charakterystyczną wędrówkę lokatorów miejskich. Warstwy średniozamożne popłyną do dzielnic dalszych, niezamożne — na przedmieścia i krańce miasta. Oprócz zamożnych, pozostaną nieporuszeni tacy jeszcze, którym na czasie zależy, których prace i interesa wiążą z daną dzielnicą do tego stopnia, że zaoszczędzenie rocznie kilkunastu lub kilkudziesięciu rubli było-by pozornem tam, gdzie w życiu przysłowie: „Czas płaci — czas traci“ ma ścisłe zastosowanie. Znaczna atoli większość, mająca inne wyrachowanie, będzie wolala kosztem jednej godziny snu, zamienionej na wędrówkę pieszą do zajęcia, zrobić oszczędność na lokalu. Z czasem dla tej masy wszelkich biuralistów i kantorzystów ożywią się dzielnice dotąd zaniedbane, rozwinię się w nich szerzej handel sklepowy, zakłady jadłodajne, życie klubowe i t. d.

Potężny czynnik kulturalny — telefony — zaczyna przenikać na prowincję. Już nie mówimy o wielkich fabrykach, odosobnionych od mrowisk miejskich; zaczynają korzystać z tego udogodnienia nawet właściciele ziemscy. Tym sposobem zyskują na sprężystości administracyjnej, na pośpiechu wszelkich informacyi i rozsyłania rozporządzeń na folwarki; mogą ograniczyć liczbę „posyłek“ i koni. Jeżeli więc ten środek doskonałego i szybkiego porozumiewania się rozszerzy wśród ziemian, nastąpi zwykłe zjawisko, towarzyszące wszelkim udoskonaleniom technicznym: oszczędność na sile najemnej. Jeden administrator rozległych dóbr zastąpi dziesiątki innych, kosztownych urzędników, służących mu obecnie do pomocy. Zwyczajny niższego rzędu oficyalista będzie słuchał rozkazów przez telefon i załatwiał wszelkie sprawy gospodarcze. Ci, których-by to ulepszenie dotknęło, niech się pocieszą myślą, a raczej pewnością, że warstwy ziemiańskie, z małymi wyjątkami, niezbyt są skwapliwe do wprowadzania wszelkich nowości. Gdzie niema jeszcze ulepszonych i najpotrzebniejszych machin i narzędzi rolniczych, gdzie uprawa roli nie idzie w parze z wynikami nauki, tam i telefony nie prędko znajdą zastosowanie.

Jeszcze jesteśmy w tym błogim okresie rozwoju, kiedy oddawanie się badaniom naukowym jest uważane częstokroć za naganny zbytek.

Jeżeli rolnik studjuje gorliwie chemię i chce ją stosować do praktyki, sąsiedzi nazwą go pogardliwie „uczonym,“ kurczęciem, usiłującym być mądrzejszem od kwoki. Cóż mówić o tych, którzy przy nawale pracy chlebobodajnej są zamiłowani w naukach, nie mających związku z ich zajęciem utylitarnem! Ludziom takim rozsądne grupy ogółu dają poklask, płytkie—obdarzają ich ironią, lub niechęcią. Może właśnie pod wpływem tak charakterystycznego zjawiska różnie przyjęto wieść o nabyciu przez parę osób zamożnych narzędzi astronomicznych po zmarłym d-rze Jędrzejewiczu i projekcie urządzenia (dzięki inicjatywie hr. Ksawerego Branickiego) obserwatorium w Willanowie. Będzie to podobno coś w rodzaju „Uranii“ berlińskiej. Jeżeli tak—mile witamy ten objaw zainteresowania się pięknym odłamem nauki. W stolicy niemieckiej głównym celem stowarzyszenia lubowników tej gałęzi wiedzy jest popularyzowanie astronomii. Przystępny bilet pozwala każdemu śmiertelnikowi wysłuchać ciekawego odczytu, urozmaiconego ponętami doświadczeniami, t. j. ukazaniem słuchaczom przez teleskopy gwieździstych przestworów i ich tajemnic, o ile te potrafił zgłębić umysł ludzki. A więc jeżeli taki cel będzie miało przyszłe obserwatorium w Willanowie, pociągną tam tłumy nie tylko dla świeżego powietrza, mleka i restauracji. Oderwanie się chociaż na godzinę od pracy i trosk ziemskich także coś znaczy, jest lekarstwem już nie dla ciała, lecz—dla ducha i umysłu.

Obserwatorium willanowskie może da sposobność popularyzowania cząstki wiedzy dla szerszego ogółu. Dotąd takie uprzęstąpienie różnych odłamów nauki drogą wykładów publicznych bywa dorywcze i—nieczęste. Dlaczego? Czy mamy za mało uczonych? Tak źle nie jest, mamy ich sporą garstkę, ale są oni przeważnie uczonymi dla siebie; zresztą trudno od każdego z nich wymagać chęci (połączonej z pewną ofiarą), a tembardziej daru popularyzowania nauki. Jest to jedno z najtrudniejszych zadań. Znamienną wszakże cechą naszego społeczeństwa inteligentnego jest nie liczba *uczonych*, ale zaliczanych do tej kategorii—*erudyków*. W ścisłem określeniu jest to różnica olbrzymia. Uczony miewa chwile natchnienia, umysł szeroki, samodzielny, skłonny do śmiałych badań i wniosków, do jasnego sformułowania badanych zjawisk; przebiega obszerne dziedziny nauki i zawsze pozostawia pożyteczne owoce swej pracy, wreszcie pobudza inne umysły do samodzielnych dociekań, do poważnego myślenia. Erudyt—czasem wzbudza podziw, czasem... jest przedmiotem żartów. Praca jego częstokroć jest bogatą, ale mało ponętą źródłem, nagromadzeniem surowych, suchych faktów, w których umysł bystry rozejrzawszy się dokładnie, może zaczerpnąć materiału nieraz do bardzo ciekawej i pouczającej pracy

samodzielnej. Nasi erudyci, niestety, najczęściej nawet takiego pożytku nie przynoszą. Są oni bądź encyklopedyą żywą, bądź marnieją lata całe nad obliczeniem np. wyrazów w słowniku lub inną podobną robotą. Szkoda tych sił, które przy rozległej wiedzy i niezmordowanej pracy mogły-by istotny przynieść użytek społeczeństwu.

Podobnie, jak umysł erudytów, zamknięte są przed szerszym kołem ludzi wykształconych wszelkie zbiory naukowe, któremi się chlubią ich właściciele, lecz się nie zastanawiają częstokroć nad tem, ile-by to cennych wskazówek mogły one dostarczyć w tej lub owej dziedzinie wiedzy. Nieumiejętność korzystania z takich skarbów nie jest wyłącznie naszą cechą. Znany wypadki odkrywania nieocenionych materiałów przez młodych badaczy z dziedziny np. antropologii, socjologii, w bibliotecznych archiwach wielkich miast europejskich, gdzie przedtem szukali dowodów dla poparcia swych roztrząsań naukowych znani w całym świecie cywilizowanym uczeni. Jakim sposobem bystry ich wzrok i umysł mógł przeoczyć ważne dla siebie dowody? Oto prosto byli oni za wielcy do robienia uciążliwych poszukiwań, do grzebania się w zbiorach, męczenia wzroku i płuc kurzem i stęchlizną biblioteczną. Tacy badacze posługują się sekretarzami, a więc pozostają całkowicie na ich łasce; gdy tymczasem młodych i mniej wielkich uczonych nie zrażają uciążliwe poszukiwania, połączone częstokroć nawet z wysiłkiem fizycznym.

W ciągu ostatnich paru tygodni ubyłoby znowu kilku pracowników na niwie naukowej i artystycznej. We Lwowie zmarło dwóch muzyków w krótkich odstępach czasu. Pierwszy Ludwik Marek, pianista, dyrektor dwóch szkół muzycznych, zyskał w swem mieście popularność, a poza nim w świecie artystycznym i wogóle w kołach ludzi muzykalnych—rozgłos i uznanie. Urodził się w Tarnopolu r. 1837. Rozpoczął popisy publiczne bardzo wczesnie, gdyż w 13-ym roku życia. Już jako wykształcony wirtuoz (pod kierunkiem Hellebrandta, Mikulego i innych) rozpoczął szereg koncertów w Rosyi i Rumunii. W r. 1872 udał się do Liszta. Odtąd stał się ulubieńcem melomanów, a szkoła, utworzona przez niego we Lwowie, zyskała odrazu powodzenie, tembardziej, że jej kierownik był zdolnym pedagogiem. Wykształcił też kilku wybitnych muzyków. Umarł 18 stycznia r. b. Pozostawił kilkadziesiąt kompozycji, nad ostatnią zaś (gawot) pracował jeszcze na dwa dni przed śmiercią. Obok utworów fortepianowych i orkiestrowych, pieśni, kantaty, opery, wydał przed rokiem zbiór ćwiczeń z objaśnieniem o systemie gry fortepianowej.

W ślad za Markiem poszedł do grobu Wilhelm Czerwiński. Pozostawił po sobie kilka wybitniejszych kompozycji na fortepian; jedna z nich p. t. „Na jeziorze,” cieszyła się dość szerokiem powodzeniem. Znawcy przypisują znaczną wartość artystyczną wielkiemu koncertowi fortepianowemu z orkiestrą, tudzież medytacyom na temata z preludyów Bacha. Dużo napisał marszów, kantat, pieśni świeckich i kościelnych. Oprócz sporej liczby wydanych, wiele jeszcze pozostało w tece.

W Hiszpanii zmarł znakomity i zasłużony poeta, José Zorilla, syławy i laurów. Przed czterema laty doczekał się złotego wieńca, włożonego mu przez rodaków na skronie w odwiecznym zamku Karola V. Ten piewca szczęśliwy, którego witano z wielkimi owacyami na każdej stacyi kolejowej, był romantykiem, pokrewnym z Calderonem i Gonzalesem. Zbliżony przytem w swej twórczości do Wiktora Hugo, Chateaubriand'a, Lamartine'a, umiał jednak swym utworom nadawać cechy oryginalne, świeże, potrafił żywo przemawiać do serc i fantazyi swych ziomków, odczuwać ich dążenia i potrzeby. Najbardziej wpływ Wiktora Hugo zaznaczył się w jego dramatach, cieszących się dotąd ogromnem powodzeniem na scenach hiszpańskich. Oto najcenniejsze: „Sancho Gareca,” „El punal del godo” i— „Traidor in confeso martir.” Z komedyi do wybitniejszych należy „Don Giovanni Tenorio.”

Jeszcze „Nauczycielka” nie przestała nęcić publiczności, gdy oto laureat, autor tej sztuki, Władysław hr. Koziembrodzki, zakończył życie w sile wieku. Urodzony r. 1839 w Kolodziejówce, kształcił się w zawodzie technicznym, następnie słuchał wykładów w Sorbonie, poczem zamieszkał na pewien czas w Szwajcaryi. Do wybitniejszych utworów jego należą: „Hrabia Maryan,” „Po ślizkiej drodze,” „Mile złego początku,” „Pokusa,” „W jesieni,” „Balowe rękawiczki,” „Stryj przyjechał,” „Zazdrośni,” „Reprezentant domu Miller i S-ka.”

Eryk Jachowicz, syn popularnego bajkopisarza, Stanisława, zmarł w Warszawie. Urodzony w tem samym mieście r. 1842, skończył także tutaj gimnazjum realne i Szkołę Główną. Pracując następnie w Towarzystwie kredytowem miejskiem, uprawiał jednocześnie niwę dziennikarską. Znany był, jako pracowity „robotnik” na tem polu. Nic jednak po sobie wybitnego nie zostawił. Utonął, jak wielu innych, w powodzi dziennikarskiej. Był referentem wszelkich spraw bieżących, przeważnie życia miejskiego, które znał dobrze, i tych granic skromnych nigdy nie przekroczył.

Zenon Rappaport zakończył życie 16 lutego w Warszawie. Urodzony r. 1833 w gub. Wołyńskiej, skończył gimnazjum w Warszawie,

następnie wstąpił na wydział literacki w Akademii medycznej w Petersburgu, nie skończywszy jednak studyów, zaciągnął się do szeregów urzędniczych w departamencie dochodów niestałych. Zawód pisarski zaczął bardzo wczesnie, gdyż w szesnastym roku życia ogłosił już „Kaliszankę“ (r. 1849). Następnie ukazały się: „Pamiętnik literacki“ (1851), „Pamiętniki Wampira“ (1862), „Podróż do Krakowa“ (1876), „Wycieczka do Wiednia“ (1880), „Sztuka podobania się płci pięknej“ (1881), „Podróż do Tulou“ (1885). Po-za tem napisał sporo powiastek, broszur okolicznościowych, drobnych rzeczy humorystycznych. Czytelnicy pism humorystycznych znali tego autora dobrze, ukrywającego się pod pseudonimem Kamertona. W r. 1862 Rappaport wraz ze swym przyjacielem, Władysławem Sabowskim, redagował w Warszawie pismo codzienne „Telegraf brukowy.“ Od r. 1858 do 1862 pisywał stale feljony muzyczne i teatralne w „Gazecie Codziennej.“ Ostatnio zasiliał „Kolce.“ Od kilku wszakże lat milczał zupełnie.

W Kowlu 10 lutego zmarł Oskar Stanisławski. Urodzony r. 1814 w m. Ostrowcu (Księstwo Poznańskie), wstąpił do gimnazjum wojewódzkiego w Piotrkowie, potem kształcił się cztery lata za granicą. Następnie wszedł do służby administracyjnej Królestwa Polskiego. Roku 1849 otrzymał posadę sekretarza-referenta w radzie administracyjnej, r. 1860 — naczelnika wydziału sprawiedliwości w tejże radzie i na tem stanowisku utrzymał się do r. 1869. Na polu literatury Stanisławski pracował dość dużo w swoim czasie; był jednym z główniejszych współpracowników „Wielkiej Encyklopedyi Powszechnej“ Orgelbranda. Przełożył wiele powieści z języków francuskiego, niemieckiego i angielskiego; przetłómaczył dla użytku szkół „Historję powszechną“ Ditmara, obowiązującą w gimnazyjach przez lat kilka od r. 1861-go. Napisał dwie oryginalne powieści: „Ślepy“ i „Zabielscy,“ tudzież komedję p. t. „Anna sekretarzem,“ wreszcie przez pewien czas redagował „Gazetę Niedzielną“ i „Opiekuna Domowego.“

Jan Prusinowski zmarł w Żytomierzu. Zajmował niegdyś wybitne stanowisko w gronie literackim. Urodzony w gub. Podolskiej we wsi Podorożcu r. 1818, szkoły ukończył u Bazylianów w Lubarze. Wstąpił na wydział prawny uniwersytetu kazańskiego, poczem przeniósł się do wszechnicy w Moskwie, gdzie otrzymał stopień naukowy. Osiedlony w Żytomierzu, przemieszczał tam lat 40. Pisywał dużo. Do ostatnich chwil zasiliał swemi korespondencyami „Gazetę Polską,“ dawniej zaś drukował swe prace w „Opiekunie Domowym,“ „Bibliotece Warszawskiej,“ „Tygodniku Mód,“ „Tygodniku Powszechnym“ i w innych. Oddzielnie wydał kilka prac, między innemi: „Oto są grzechy

mojego żywota“ (Kijów, 1850), „Poezye“ (Warszawa, 1856), „Z podań ludu i obcej mowy,“ „Książeczka rymowana dla dzieci“ (Warszawa, 1889). Większość utworów pozostała w rękopisach. Poezye jego, pełne uczucia i ciepła, cieszyły się powodzeniem, a i teraz krążą w melodyach Moniuszki, Kątskiego i innych.

W dniu 5 b. m., w 65 roku życia, zmarł w Paryżu Hipolit Taine. Od lat ostatnich pracował bez wytchnienia, zawsze jednakowo, zawsze z napięciem wszystkich sił umysłu i wrażliwości swojej. A był to umysł niepospolity, zarówno rozległy, jak przenikliwy, wrażliwość na rzeczy piękna i słuszności wyjątkowo czuła. To też we wszystkich dziedzinach, do jakich wstępował ten niezmordowany pracownik, zostały po jego przejściu ślady głębokie i trwałe. Krytyka piśmiennictwa i sztuki, dociekania nad umysłowością, nauka dziejopisarska, kolejno korzystały z ówczesnych wysiłków wszechstronnego badacza. Oczywiście z 25 tomów pism zbiorowych, jakie zostawił Taine, nie wszystkie jednakowo są szacowne; tyle jednak pewna, że mieści się w nich sporo rzeczy pierwszorzędnej wartości, które ostaną się trwale w nauce i literaturze. Niektóre przedmowy i studia literackie, parę rozdziałów z książki „O inteligencyi,“ kilka ustępów z „Dziejów piśmiennictwa angielskiego,“ kilkanaście z „Początków Francyi,“ składają się na drogo-cenną spuściznę pisarską. Zresztą sam szacunek tej namacalnej spuścizny, jaką zostawił Taine, nie wystarcza jeszcze dla należytej oceny jego działalności; wypada nadto uwzględnić całą doniosłość wpływu, jaki wywarł drogą pośrednią na inne wrażliwsze umysły. Taine był pisarzem niezwykle „sugestyjnym,“—że użyjemy ulubionego dziś wyrażenia,—zachęcał, zmuszał czytelnika do samodzielnego myślenia, znajdował licznych uczniów i licznych zapewne przeciwników, lecz wszędzie budził ruch i zajęcie, wytrącał z sennej obojętności sceptycznej, albo leniwej.—Oprócz naukowej, zostawił też piękną spuściznę moralną, przykład prawego charakteru i długiego życia bez skazy. Do stanowiska znakomitości europejskiej doszedł samodzielnie, nie czyniąc nigdy ustępstwa ze swych przekonań, jakkolwiek wśród niezbyt pomyślnych warunków życiowych. Był protestantem, z owej dobrej „rasy“—jakby on sam powiedział — reformatów francuskich XVI w., uczonych, jak stary Robert Estienne, niengiętych, jak namiętny d'Aubigné; znalazł też wśród współczesnych najlepszego opiekuna w osobie współwyznawcy, w Guizocie.—Taine zastrzegł sobie w testamencie pogrzeb religijny, lecz bez wszelkich honorów urzędowych, bez ostentacyi i mów pochwalnych; również stosownie do ostatniej woli zmarłego, ciało jego wywieziono z hałaśliwego Paryża i pochowano w zakątku wiejskim Sabaudyi.



## Wiadomości bibliograficzne.

— „Rozprawy Akademii umiejętności.“ Wydział matematyczno-przyrodniczy, serya II, tom II. (Ogólnego zbioru tom dwudziesty drugi). Z VII tablicami i 33 rycinami w tekście. W Krakowie, 1892.

Książka obejmuje następujące prace: Józef Puzyna: „Kilka uwag z ogólnej teoryi krzywych algebraicznych;“ Władysław Szajnocha: „Źródła mineralne Galicyi, pogląd na ich rozpołożenie, skład chemiczny i powstawanie“ (z trzema tablicami porównawczemi); F. Mertens: „O zastosowaniu teoryi funkcyi symetrycznych do wyprowadzenia układu zupełnego utworów niezmiennikowych dla form o dwóch zmiennych;“ Julian Schramm: „O wpływie światła na chemiczne podstawianie;“ Edward Janczewski: „Zawilec Anemone L. Studium morfologiczne“ (z tablicą I, II i III); Stefan Niementowski: „O anhydrozwiązkach;“ N. Cybulski i J. Zanietowski: „O zastosowaniu kondensatora do podrażnienia nerwów i mięśni, zamiast cewki Du-Bois-Reymond'a“ (z 27 rycinami w tekście); A. J. Stodółkiewicz: „O pewnym kształcie układów równań różniczkowych o różniczkach zupełnych;“ Władysław Szymonowicz: „Zakończenie nerwów we włosach dotykowych myszy białej“ (z 6-ciu rycinami w tekście); Stefan Niementowski: „O kwasie ametyloftalowym;“ Józef Kowalski: „Wpływ ciśnienia na przewodnictwo elektrolatów“ (z tablicą IV); Maryan Raciborski: „Przyczynek do flory retyckiej Polski“ (z tablicą V); Maryan Raciborski: „Desmidya zebrane przez d-ra F. Ciastonia z podróży naokoło ziemi“ (z tablicą VI i VII).

— Wydawnictwa Komisji historycznej Akademii umiejętności w Krakowie: „Akta historyczne do objaśnienia rzeczy polskich służące, od r. 1507 do 1795.“ Tom XII, zawiera: prawa, przywileje i statuta miasta Krakowa (1507—1795). Pierwotnym zamiarem Komisji było zamieścić w części drugiej cały materiał, odnoszący się do spraw cechowych z epoki 1587—1696. Materiał ten jednak wzrósł tak dalece, że niepodobna go było objąć jednym tomem, pomimo znacznych jego rozmiarów (1,105 stron). Tym sposobem część pozostałego materiału przejdzie do tomu trzeciego, w drugim zaś kończy się na r. 1648. Dwie grupy akt cechów zaczynają w tej epoce bardzo często się zjawiać, mianowicie: ogólne zatwierdzenie przywilejów, pojedynczym cechom przez poprzednich królów nadanych, dokonywane zazwyczaj podczas sejmiku koronacyjnego, tudzież republikowanie tych przywilejów na rynku krakowskim dla zapobieżenia „przeszkodnictwu“ i „sturarstwu“ (nazwy, nadawane partaczom). Przywileje takie bywają różne: jedne zawierają zatwierdzenie dawnych w ogólnych wyrazach bez bliższego ich określenia (te są najliczniejsze), drugie—przytaczają dawne przywileje bądź w streszczeniu, bądź nawet w całym tekście. Trzecie wreszcie dodają do dawnych nowe postanowienia. Przywileje tej ostatniej kategorii stanowią zupełnie nowy materiał i wchodzi do niniejszej książki. Przywileje pierwszej kategorii, jako rzecz prostej formy, nie przedstawiają zgoła żadnego naukowego interesu, więc z małymi wyjątkami nawet zarejestrowane nie zostały. Wydawnictwo niniejsze jest w znacznej mierze owocem trudów Wilhelma Gąsiorowskiego, zmarłego w dniu 19 kwietnia r. z.

— *Romuald Koppens T. J.* „O sposobach oznaczania spółgłosek miękkich.“ Kraków. Nakład Akademii umiejętności. 1893.

Autor swoje badania językowe opiera na Psalterzu Floryańskim, zwanym dawniej Psalterzem Małgorzaty. Zachowany do naszych czasów, przekazał potrójny tekst: łaciński, polski i niemiecki, co ułatwiło wyjaśnienie niejednej zagadki, której nie podobna było-by rozwiązać, gdyby istniał jeden tylko przekład polski. O tym psalterzu pisano dużo rozpraw. Dotąd wszakże nikt szczegółowo nie roztrząsał jego ortografii (prof. Nehring tylko pobieżnie o nią potrącił). Niniejsza rozprawa obejmuje dział najważniejszy w tym zakresie — pisownię spółgłosek miękkich.

— „Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego.“ Rok 1892. Wydawnictw Towarzystwa tom XIII. Kraków, 1892.

Oprócz działu sprawozdawczego, książka obejmuje część naukową i krytyczną, na które się złożyły następujące prace: dr Leon Kryński:

„Wyniki badań bakteryologicznych powietrza w Zakopanem;“ P. S.: „Zakopane w pełnej ziemi;“ Leopold Świerz: „Wycieczka do Morskiego Oka zimową porą;“ „O zaprowadzeniu w naszym kraju narciarstwa;“ dr Daniel Wierzbicki: „Wyniki spostrzeżeń meteorologicznych, dokonanych staraniem Towarzystwa Tatrzańskiego w r. 1891.“

— „Słownika Geograficznego Królestwa Polskiego“ zeszyt 141 wyszedł z druku i zawiera między innymi artykuły: Turów, Tursko, Turza, Tustań, Tuszyn, Twerecz, Tyczyn, Tykocin, Tylmanowa, Tylża, Tyniec, Tynna.

— *Dr Nadmorski*. „Kaszuby i Kociewie. Język, zwyczaje, przesady, podania, zagadki i pieśni ludowe w północnej części Prus zachodnich.“ Poznań, 1892.

Rzecz ta, opracowana na podstawie kilkoletnich badań autora, mieści charakterystykę gwary kaszubskiej w stosunku do gwar połabskich i polskich; parafiańszczyzny kaszubskie i gwarę kociewską. Dalej: okolice, zamieszkałe przez Kaszubów i Kociewiaków, podania i piosnki, przywiązane do okolic i miejscowości, zwyczaje i przesady przy urodzeniu, chrzcie, ślubach i pogrzebach, wieszce i upiory, zwyczaje w czasie Bożego Narodzenia, Nowego Roku, Trzech Króli, zapust, Wielkiego Piątku, Wielkanocy i Zielonych Świątek, opis sobótek, święcenia ziela i owsa; charakterystyka pracy w polu i w domu, uroczystości żniwne, zabawy dzieci i starszych, uroczystości weselne, opisy mieszkania, ubioru i pożywienia. Krośnięta, zmory, jeźdźcy nocni i inne duchy, pieniądze palące się, przepowiednie śmierci, powstawanie umarłych; czarownice i guślarze, uroczenie zwierząt i ludzi, zażegnania i leki, zaklęcia, środki przeciw wściekłości, zabobony złodziei, zagadki i przysłowia, imiona osobowe, nazwy dni i miesięcy, zwierząt domowych i dzikich, nawoływanie i odpędzanie zwierząt, wyrazy dziecięce.

— „Przewodnik naukowy literacki.“ Rok XXI. Tom XXI. Zeszyt I, styczeń. 1893. Lwów, 1893.

Zawiera: „Studjum o Erneście Renanie“ przez ks. Jana Gnatowskiego; „Roztrząsanie filozoficzne o podstawach pewności ludzkiej;“ przez Wojciecha Dzieduszyckiego; „Sole potasowe w Galicyi, ich występowanie i użytkowywanie;“ przez d-ra Władysława Szajnochę; „Wpływ stolicy apostolskiej na rokowania pokojowe Kazimierza Wielkiego z Czechami i Zakonem niemieckim;“ przez K. J. Gorzyckiego. Kronikę literacką.

— *Dr Zofia Daszyńska.* „Szkice metodologiczne. Zastosowanie obserwacji i eksperymentu w naukach gospodarczych. Kilka słów o metodzie statystyki historycznej.“ Warszawa. Gebethner i Wolff. 1892.

Na początku pierwszej pracy („Zastosowanie obserwacji i eksperymentu w naukach gospodarczych“) autorka postawiła pytanie: o ile metody, stosowane do poznawania faktów przyrodniczych, służyć mogą do ujęcia zjawisk ekonomicznych? Na zasadzie wypowiedzianych uwag, sformułowała taką odpowiedź: Najważniejsze metody przyrodnicze, obserwacja i eksperyment, zastosować się dają w całej pełni i także w zakresie zjawisk gospodarczych, a pojęte w obszernem znaczeniu, wystarczają w zupełności do poznania tej dziedziny. Że jednak zjawiska, spotykane tu, są o wiele więcej złożone, niż przyrodnicze, trzeba więc do nich stosować sposoby badania bardziej skomplikowane, niż do pierwszych. Zadaniem szkicu drugiego było przedstawienie metody, jaką się posługuje statystyka historyczna, wskazanie materiału, jakim rozporządza, i zapisanie najważniejszych rezultatów, do których już doszła. „Nie powinniśmy tracić nadziei—pisze autorka,—iż uda się nam odtworzyć wprawdzie nie cały rozwój ilościowy ludności w cyfrach absolutnych, ale stosunki typowe, według których rozwój ten w różnych epokach się układał. Dzisiejsza statystyka ludnościowa daje nam cały szereg takich typów, ściśle związanych ze stanem ekonomicznym i zdrowotnym krajów. Mamy tu zawsze równanie, którego każdą wielkość odnaleźć-by można, jeśliby wszystkie inne były znane. Im lepiej wzajemna zależność pierwiastków, składających się na życie społeczne, wiadomą będzie, tem łatwiej znaleźć rozwiązanie.“

— *Dr Ernest Britelke,* profesor fizjologii uniwersytetu wiedeńskiego. „Jak ochraniać życie i zdrowie dzieci?“ Warszawa. Nakład i druk S. Lewentala.

Zadaniem autora jest dać nie tylko wskazówki rodzicom do wychowywania dzieci małych, ale i młodocianego pokolenia po-za granicami wieku dziecięcego. Rady swoje podaje nie z ogólnego stanowiska, lecz ze stanowiska rodziców. Książka obejmuje wskazówki, dotyczące karmienia dziecka piersią matki, pielęgnowania go po-za żywieniem, karmienia przez mamkę, sztucznego odżywiania niemowląt, żywienia mieszaną strawą. Dalej: warunki mieszkalne, pobytu na wsi, przepisy, dotyczące odzieży i łóżka, hartowanie i ćwiczenie ciała, pielęgnowanie jego części (oczu, uszu, organu powonienia, skóry, włosów, zębów), wystrzeganie się zatruc, ochrona przed zakaźnymi chorobami (ospa, błonica, dyfteryt, szkarlatyna, odra, różyczka, koklusz, świnka, cholera azjatycka, gruźlica, krwawa biegunka, tyfus plamisty, brzusznicy, choroby oczne i t. d.). „Co było z kołyską?—pisze autor na czele

swej książki.—Czy usunięto ją z powodu złych następstw, które dziwnym sposobem wówczas dopiero spostrzeżono, kiedy dzieci co najmniej przez dwa tysiące lat były kołysane? Bynajmniej; teoretyczne rozważania o anemii mózgu, o zawrocie głowy i o gwałtownem przerywaniu czynności mózgowej, spowodowały walkę przeciw kołysce—i cóż się okazało? Oto obeszło się bez kołyski, i przestano wychowywać krzykaczów, którzy nie byli spokojni, jeżeli ich ustawicznie nie kołysano.“ Wogóle cała książka napisana jest dla profanów, którzy należą do ludzi chcących oceniać warunki higieniczne w wychowaniu dzieci.

— *Julia Samson*. „Wychowanie dziewcząt w rodzinie. Rady praktyczne matki.“ Przekład Jadwigi Sadowskiej. Warszawa. Nakład i druk S. Lewentala.

Pod nazwą „wychowanie“ autorka rozumie połączenie kształcenia serca i umysłu z układnością form. Rezultat ten, zdaniem jej, nie mógłby być osiągnięty dla dziewcząt, pozbawionych wpływu życia rodzinnego. Wychowanie publiczne, gdzie dziecko nie może oddychać tą ciepłą atmosferą, autorka uważa za odpowiednie tylko dla chłopców. Dziewczętom zaś nie i nikt nie zastąpi matek-kierowniczek. Ażeby się latorośl nie skoszlawiła, potrzebny jest zdrowy sąd matki i nieustanne jej czuwanie nad dzieckiem. „Inteligentna matka niekoniecznie winna się starać o to, aby córka jej była uczoną, ale aby otrzymała wykształcenie poważne i o tyle rozległe, o ile umysł będzie ku temu podatny.“ „Trudno jest rzeczywiście być jednocześnie kobietą światową i czujną matką. Rozpraszenie się jest przeciwnem systematyczności, niezbędnej w wychowaniu dziecka. Poświęcająca się matka, jeśli naturalnie nie jest zaabsorbowana ciężką pracą, powinna się oddać w zupełności temu zadaniu.“ Autorka obrazowo w formie opowiadania kreśli kilka rysów z życia młodego dziewczęcia i jego towarzyszek, w tym celu, ażeby z owych różnorodnych charakterów wychowawczyni-matki mogły czerpać nauki i wysnuwać stosowne wnioski. Kwestyi religijnej autorka nie dotyka w swem dziełku, lecz pozostawia ją uznaniu wychowawczyń.

— *Paweł Mantegazza*. „Sztuka ożenienia się.“ Przekład z włoskiego J. N. Warszawa, 1893.

Pisząc tę książkę, autor miał na myśli trzy kategorie mężczyzn: niecierpliwych, którzy się chcą ożenić za wcześnie, hulaków, którzy się żenią za późno, i niezdecydowanych, którzy się wahają między małżeństwem a stanem bezzennym i—nigdy się nie żenią. W formie obrazowej, potocznej, Mantegazza rozłącza przykłady małżeństw różnorodnych, ich pożycia i t. d., ostrzega czytelnika przed nierozważnym, złym wyborem, i w rezultacie zachęca do związków małżeńskich dobrze zharmonizowanych.

— *Gabryel Korbut*. „Wyrazy niemieckie w języku polskim pod względem językowym i cywilizacyjnym.“ (Odbitka z tomu IV Prac filologicznych). Warszawa. Druk Józefa Jeżyńskiego. 1893.

Pracę swoją autor oparł na bogatym, zebranym osobiście materiale, którego jednak nie wyczerpał całkowicie, szczególnie wyrazów gwarowych i technicznych. Zamiarem piszącego było przede wszystkim zwrócić uwagę na silne uleganie języka polskiego wpływowi niemieckiego, na pewne, stale się powtarzające w prasie, przyswajania wyrazów niemieckich, przemiany językowe. Słownik, załączony na końcu, zawiera wyrazy potoczne i ogólnie używane, zaczerpnięte z języka niemieckiego.

— *Stanisław Betza*. „W górach olbrzymich.“ Warszawa. Gebethner i Wolff. 1893. „Odgłosy Szkocyi“, „Za Apeninami“, „Holandia.“ Kraków 1893, u Gebethnera i Spółki. Są to książki całkowicie poświęcone estetycznym wrażeniom z podróży.

— *Dr Władysław Ottuszewski*. „Istota, przyczyny i leczenie jąkania i wadliwego wymawiania. Próba popularnego wykładu fizjologii i patologii mowy“ (z pięcioma rysunkami w tekście). Warszawa.

Według autora, jąkanie jest nerwicą kurezową trzech składników mowy: oddechu, głosu i artykulacji. Wada ta, leczona metodą fizjologiczną, daje 95% wyzdrowień. Książka w dalszych rozdziałach zawiera opis bełkotania, t. j. wadliwego wymawiania głosek, mowy nosowej i niemoty u dzieci słyszących. Ostatnie cierpienie polega na tem, że dziecko słyszy, widzi, może być nawet bardzo roztropne i pojętne, a pomimo to nic nie mówi. Zboczenie to, według dra O., daje się usunąć. Na końcu swej pracy autor podaje higienę mowy.

— „Niwa“ (dwutygodnik naukowy, społeczny i literacki) ukazała się pod nową redakcją. Pierwszy zeszyt mieści: „Słowo wstępne“, przez Ludomira Grendyszyńskiego; „Rozwój stopniowy wynalazków“, przez Stanisława Kramsztyka; „Główne prądy umysłowe i filozoficzne w XVIII wieku“, przez Adama Szawłowskiego; „Świeżo odnalezione utwory Reja“, przez Bronisława Chlebowskiego; „Kilka słów z powodu odkrycia Pettenkofera“, przez O. Bujwida; „Cyfra i słowo“ (wiersz), przez Antoniego Langego; „Jakób Warka“, dramat, przez Daniela Zglińskiego; „Licznik myśli i mowy“, fantazja krytyczna, przez Ignacego Matuszewskiego. Rozbiory i sprawozdania. Sprawy bieżące, przez L. Straszewicza. Notatki naukowe. Wiadomości bibliograficzne.

Nadto nadesłano do Redakcyi „Biblioteki Warszaw.” następujące książki:

— *Klemens Junosza*. „Wybór pism w X tomach.” Tom IV. „Pod wodę.” Obraz z życia wiejskiego. Nakładem autora. Warszawa.

— *Zofia Kowerska*. „Dzidzia.” Warszawa. Gebethner i Wolff. 1893. Mieści następujące obrazki: „Dzidzia”, „Lew i mysz”, „Bezdzietni”, „Z poezyi szpitala.”

— *Wincenty Kosiakiewicz*. „W miasteczku.” Powieść. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1893.

— *Adam Krechowicki*. „Najmłodsi.” Powieść w dwóch tomach. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1893.

— *Dr W. Więckowski*. „Poradnik lekarski w chorobach wenerycznych.” Warszawa.

— *Dr A. Rothe*. „Rys dziejów psychiatrii w Polsce.” Warszawa. Paprocki.

— *M. Wodzińska*. „Amazonka.” Podręcznik jazdy konnej dla dam.” Warszawa.

— *Czesław Jankowski*. „Rymów nieco.” Kraków.

— *K. Luboradzki i H. Michalski*. „Informator kolejowy na r. 1893.” Warszawa.

— *Dr Władysław Rabski*. „Asceta” dramat w 3-ach aktach. Poznań, 1893.

— *Zygmunt Niedzwiedzki*. „Jedyne dzieło.” Kraków, 1893.

— *Paweł Lindau*. „Pasorzyt.” Powieść. Przekład Br. N.. Warszawa. u Gebethnera i Wolffa. 1893.

— *Julian Łętowski*. „Stary mąż.” Powieść. Warszawa, 1893 u Gebethnera i Wolffa.

— *Julian Morosz*. „A kiedy ono nie takie.” Studium z natury. Warszawa, 1893

— *Stanisław Bełza*. „O upadłościach i bankructwach.” Wykład księgi III obowiązkowego kodeksu handlowego. Tom I (art. 437—485). Kraków—Warszawa, 1893. Gebethner i Wolff.

— *Władysław Natanson*. „Studia nad teorią roztworów.” Kraków, 1892. Nakładem Akademii Umiejętności.

— *Władisław von Rabski*. „Ueber die Satiren des Christoph Opaliński.” Inaugural Dissertation zur Erlangung der Doctorwürde von der Philosophischen Facultät der Friedrich-Wilhelm-Universität zu Berlin. Berlin.

---

# DYSKUSYA.

---

W zeszycie I-ym „Biblioteki Warszawskiej“ za miesiąc styczeń r. b., zamieszczoną została recenzja „praktycznej gramatyki języka polskiego“ przeze mnie ułożonej, z podpisem p. B-cza.

Odpowiedzieć na wszystkie zarzuty uważam za niemożliwe, gdyż zabrałoby to za dużo miejsca i czasu.

Poprzestaną zatem na główniejszych.

Szanowny krytyk zarzuca mi najprzód określenie spółgłosek, że są to „szepcy wywołane przez ruch narzędzi mownych“ i robi przypuszczenie (str. 176 w. 6 od góry) że „Mierzwiński mógłby to wziąć za *osobistą obrazę*, że sława jego europejska szepcem jakimś przez „*gramatykarzy*“ (zamiast gramatyków) nazwana“. Trudno doprawdy zrozumieć czytelnikowi, jaki związek zachodzić może między określeniem spółgłoski (jakiego również użył Józef Przyborowski, profesor b. Szkoły Głównej) a śpiewem p. Mierzwińskiego. Dalej p. B-cz zarzuca mi, że z gramatyki praktycznej uczeń nie dowie się (str. 177 w. 2 od dołu) co to za własność (!), kiedy się mówi od lew-lwa, a nie lewa; okno-okien, a nie okn i t. d. Najwymowniejszy dowód bezzasadności tego zarzutu znajdzie bezstronny czytelnik w mojej gramatyce (na str. 10 w. 4 od dołu) gdzie najwyraźniej wskazuję: „osnowę czyli temat wyrazu znajdziemy w Dopełniaczu l. p., odrzucając końcówkę np. pies Dop. ps-a (osn. ps.), orzeł osn. orł (Dop. orł-a) a zatem i *lew* (z osn. lw) ma Dop. *lw-a*“. W uwagach zaś o zakończeniach przypadków l. p. i l. m. w 2-iej deklinacji (na str. 24 i 25) jasno powie-



dziano: „*Dopełniacz l. m.* równy jest osnowie wyrazu, wrazie zaś zbiegu dwu lub więcej spółgłosek trudnych do wymówienia wstawia się *e* np. cło, ceł; dział-sło, działseł; które (to *e*) niokiedy miękczy poprzedzające spółgłoski *g, k, np.* okno, okien; bagno, bagien i t. p.“ Sądzę, że każdy przyzna, iż zarzut Szanownego krytyka nie ma żadnej podstawy.

Inny znów zarzut spotyka mię od. p. B-cza (na str. 179), że uprawniam formę „będę robić“ zam. robić będę i powołuję się na język czeski, gdy tymczasem (na str. 63 w. 6 od góry) w gramatyce mojej brzmi to tak: „niewłaściwie uważają tę formę (będę robić) za germanizm, gdyż znajdujemy i w językach słowiańskich: po rosyjsku budu pisat', po czesku budu pisati, i w wyrażeniach mistrzów naszej literatury, np. będą jeść ludzie głodem utrapieni, będzie nędzować, pracować i t. p.

Powołuję się więc *nietylko* na język czeski, ale także na rosyjski i na polski. Również niesłusznym jest zarzut szanownego krytyka (str. 179 w. 12 od dołu) że uprawniam formy, których zwyczaj językowy (literacki) nie przyjął, jak np. (na str. 72) *padnął* zamiast *padł*.

W odpowiedzi przytaczam ustęp odpowiedni z mojej gramatyki (na str. 72 w. 6 od dołu). „W innych czasownikach wyrzutnia *ną* jest możliwą np. pierzechną i pierzechł; pożądaną w niektórych, np. zbrzydną—zbrzydł; lub *nawet niezbędna* np. zamiast *padnął—padł*, zam: *kradnął—kradł* i t. p.“ Zasadność i sumiennosc powyższych i wielu innych zarzutów p. B-cza każdy ocenić należycie potrafi.

Uważam za stosowne objaśnić szanownego krytyka, dla czego wspominam o „pracach filologicznych“ (widocznie nieznanych p-u B-czowi) i powołując się (str. 178 w. 6 od góry) na autorytet Baudouina, Kryńskiego i Malinowskiego, *usprawiedliwiam się* (jak mniema p. B-cz) z przyjętej pisowni wyrazów obcych na *ya, ija* (względnie na *ja, ia*), za co, jak przypuszcza p. B-cz, nie będą chyba mi *wdzięczni*, że imiona ich figurują w tak „zagadkowej natury“ (!) książeczce.

Otóż (na str. 6 w. 16 od góry) mówiąc o trojakim sposobie pisania wyrazów na *ya, ia (ja) (yja, ija)* wyraziłem się tak: „drugi sposób pisania (przez *z*), jako odpowiedni wymawianiu, a w praktyce krótki, jasny i prosty, *najwięcej zasługuje na upowszechnienie*. Dodać należy, że ten ostatni przyjęty został przez redakcyę „prac filologicznych“, wydawanych przez prof. Baudouina, prof. Kryńskiego, prof. Malinowskiego i Karłowicza“.

Przytoczyłem więc „prace filologiczne“ na dowód, że przyjęte przeze mnie zasady pisowni nie są moim wymysłem, lecz że pisownia ta już wprowadzoną została przez *prawdziwie* uczonych lingwistów, (z których dwaj są kolegami moimi ze Szkoły Głównej, z trzecim zaś porozumiałem się co do wspomnianych zasad jeszcze przed oddaniem do druku praktycznej gramatyki). Jeżeli więc szanowny krytyk uważa pisownię tę za błędną, należało raczej wykazać jej błędy i dowieść, że inna jest lepszą, ale nie robić przypuszczenia o wdzięczności, lub niewdzięczności naszych lingwistów!

Jeszcze słówko co do *poprawności językowej*, (która, jak utrzymuje pan B-cz) nie zawsze bywa *klasyczną*. Szanowny recenzent, wyrzucając mi utożsamianie form: patrzaj i patrz, wyraża się (na str. 79 w. 8 od dołu) w ten sposób: „wolno przeto używać takich tylko *skrótów* (!), (powinno być *skróceń*), które w historii języka uprawnienie znajdują, w przeciwnym bowiem razie damy niebezpieczny *impuls* do *skażenia języka gwarą ludową*“.

Przyzna mi chyba bezstronny czytelnik, że szanowny krytyk zbyt dowolnie pozwolił sobie tłumaczyć objaśnienie moje (na str. 62 w. 8 od góry) że „od wielu czasowników urabiamy *dwie* formy: zdejmij i zdejm, przyjmij i przyjm, patrzaj i patrz, i t. p. gdzież tu *skażenie* języka, którego pan B-cz tak się obawia!

D. 10 lutego, 1893 r.

### HIPOLIT WÓJCICKI.

*Wychowawiec b. Szkoły Głównej, wydziału filologiczno-histerycznego, sekcji języko-słowiańskich.*

Pan Wójcicki odpowiada na kilka moich zarzutów, — zestawmy po kolei te zarzuty z odpowiedziami, które wywołały.

Udowodniłem, że nazwa spółgłosek, jakoby to były *szepty*, jest niewłaściwa, gdyż do pojęcia „szepc“ przywiązujemy inne całkiem znaczenie: jeżeliby spółgłoski doprawdy były „szepciami“ tylko, to i mowa nasza byłaby tylko szepcaniem. — Następnie przekonywałem pana W., że nie wyjaśnił istoty samogłosek i mówił tylko o fizyologicznej różnicy samogłosek od spółgłosek. W odpowiedzi na ten zarzut z *głosowni*, p. W. przeskakuje do nauki odmian i składa dowody, wcale się nie stosujące do natury zarzutów, jakie mu robiłem. — Odpowiedzi na trzeci zarzut (uprawnienie formy „będę robić“ zam. robić będą) nie rozumiem wcale? Wszakże ostatecznie autor uważa formę „będę robić“ za poprawną, kiedy na str. 63 swojej broszurki wyraźnie mówi: „tryb bezokoliczny może być nietylko przed, ale i po czasowniku, np. „będę robić lub robić będą“; a czy dowody nniemanego uprawnienia tej formy przybierał autor z pisarzy czeskich, czy z błędnych wzorców polskich — to już mało obchodzi tych, dla których drogą jest czystość języka. — Wyrażenia: uszczyp zam. uszczypnij, bieź zam. biegnij, przeleknał się zam. przelekał się, przylgło zam. przylgnęło i t. d. uważam za równie błędne; bezbłędne są takie tylko formy, które mają swoje uprawnienie w historii języka, (jak na to przytoczyłem formy: patrzaj — od patrzam, asz, a, oraz: patrz — od patrzę, ysz, y); wszelkie zaś inne subtylizowanie — na poprawne, niepoprawne oraz półpoprawne, czy to warunkowo poprawne, uważam jedynie za uprawnienie chaosu do języka wprowadzane. —

Co do „prac filologicznych“, zwracam uwagę, że ja nie mówię wcale o wymienieniu „prac“, zamieszczoném w przedmowie: tam, jako w przemówieniu do ludzi dojrzałych, do nauczycieli np., wzmianka ta mogła być zamieszczona; ale dopytywałem się pana W., poco ona figuruje po ra drugi na str. 6?

Panu W. nie podobały się trzy wyrazy przeze mnie użyte w recenzji: impuls, skrót i gramatykarz. Co do pierwszego, to właśnie w „pracach filologicznych“, oraz w osobnych odbitkach z tego pisma, w ostatnich czasach wydanych, znajdują się dowody istnienia tego wyrazu w języku polskim; znaleźć go można nawet w popularnym słowniku Maurycyego Orgelbranda. — Wyrazy *skrót* obok *skrócenie*, równie jak np. zwrot—zwrócenie, powrót—obok powrócenie i t. d. mają zarówno prawo obywatelstwa w języku, bo jedno i drugie odmienne mają znaczenie. W sufiksach rzeczowników słownych (na *anie*, *enie* i *cie*) po większej części tkwi pewien ruch, pewna czynność, pochodzenie ich od czasowników uprawniająca, tymczasem drugi kształt istotę, jądro rzeczy wyraża,—o co mi właśnie chodziło.—A więc miałyby rację chyba p. W. co do trzeciego wyrazu; bo w istocie poprawnie przyjęto mówić nie *gramatykarz*, ale *gramatyk*. Co do mnie, to rozmyślnie użyłem tego pierwszego wyrazu. Jest to wyrażenie z lekka iroczne, co widać przecie z tonu samego ustępu o Mierzwińskim.

Żeby wreszcie dać dowód, iż w recenzji mojej oszczędzałem raczój do pewnego stopnia miłość własną autora, przytaczam niektóre pominięte błędy, jak np. na str. 98, mówiąc o użyciu przecinka, autor pisze: znaki przestankowe zwane pisarskimi podzielić można na: przestankowe i toniczne“, czyli że sam robi błąd w najkardynalniejszym użyciu przecinka. W nauce odmian rzeczownika: na str. 14 (we wzorcach) p. W. dowodzi, że 4 przyp. l. p. ma *stracha*, a o drugim właściwym zakończeniu wspomnienia niema. Na str. 27 autor każe wierzyć, że w czwartym przypadku w l. m. od wyrazu *rządca* należy mówić: *rządcy*; tożsamo na str. 28 (również we wzorcach) od Moniuszko, 4 przyp. l. m: *Moniuszkowie*, od Sapięha—*Sapięhowie*. A więc odtąd mamy się wyrażać. „Widziałem wczoraj pp. *Sapięhowie* w teatrze“... O ile postawione przeze mnie zarzuty zostały przez p. W. odparte — niechaj czytelnicy „Biblioteki“ osądzą.

---

Ze względu, że zainteresowane w powyższym sporze obie strony skorzystały już z przysługującego im prawa wymiany odpowiednich wyjaśnień, Redakcja, uczyniwszy zadość słuszności, uważa dyskusję w tym przedmiocie za zamkniętą.

REDAKCJA.

# SPIS RZECZY

## ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

Z ROKU 1893.

### *Filozofia.*

	<i>Str.</i>
Wolność woli wobec życia i wiedzy, przez W. M. Kozłowskiego . . .	342

### *Historya.*

Reprezentacya stanowa w Polsce, jój ustrój i zakres władzy publicznej, przez A. Rembowskiiego . . . . .	1
Źródła do dziejów literatury i oświaty polskiej, przez A. Brücknera . . .	256
Monarchizm elekcyjny i konfederacye w dawniej Polsce, przez A. Rembowskiiego . . . . .	425

### *Kwestye społeczne, prawne, ekonomiczne i pedagogika.*

Parcelacya w Poznańskim, przez A. Donimirskiego . . . . .	161
Nauczanie początkowe, z powodu książki W. Dawida, przez Fl. Gąsiorowskiiego . . . . .	514
O poprawności języka, przez R. Zawilińskiego . . . . .	367
Przyszła wojna, jój ekonomiczne przyczyny i skutki, przez J. Blocha . .	568

### *Publicystyka.*

Depesza Emska, przez E. Lipnickiego . . . . .	104
---	-----

### *Literatura.*

Siostry, przez Zofię Kowerską . . . . .	41, 217, 472
I. W maju.—II. Wieczera Pańska.—III. Chryste o Chryste (poezya), przez L. Rydla . . . . .	338

Z cyklu „Italia“:—I. Nad Ticino.—II. W Parmie.—III. W zatoce Baji i Willa Cyserona.—IV. „Sul mare“ (poezya), przez Maryę Kononicką . . . . .	Str. 626
--	-------------

*Studia i szkice literackie.*

Hipolit Taine, przez Szymona Askenazego (dokończenie) . . . . .	73
Upadek drugiego Cesarstwa w romansie Zoli, przez W. Bogusławskiego .	141
Listy nieznanne Juliusza Słowackiego, przez L. Méyeta . . . . .	359
Notatki do Biografii Jana Andrzeja Morsztyna, przez R. Zawilińskiego .	132

*Nauki przyrodnicze.*

Nowe poglądy w Bakteryologii, przez Stefana Jentysa . . . . .	314
---	-----

*Krytyka.*

Hipolita Wójcickiego „Praktyczna gramatyka języka polskiego“.—Warszawa 1892, przez B-cza . . . . .	174
D-ra Matlakowskiego „Budownictwo ludowe na Podhalu“, przez W. Gersona . . . . .	180
Sowera „W cieniu i słońcu“. Warszawa 1893, przez W. Karczowskiego.	184
Henryka Sienkiewicza „Listy z Afryki“. — Warszawa 1893, przez J. Weysenhoffa . . . . .	375
Ednunda de Amicis „Ze szkoły i z domu“, przekład Maryi Obrąpalskiej, przez A. Dygasińskiego . . . . .	—
Waleryi Marcenné „Dzieci szczęścia“. Warszawa 1892, przez W. Karczowskiego . . . . .	390

*Kronika zagraniczna.*

<i>Galicyjska</i> przez U. Prądy emigracyjne w Galicyi.—Usiłowania około podniesienia chowu bydła rogatego.—Ustawa o licencyonowaniu buhajów i o utrzymywaniu buhajów gminnych.—Fundacya p. Kaliksta hr. Hohendorffa, który ofiarował swój majątek Szutomińce na założenie wyższej szkoły rolniczej.—Zwiększenie eksploatacyi lasów i wywozu drzewa za granicę.—Projektowana na rok 1894 wystawa krajowa we Lwowie.—Kolej elektryczna i poprawa oświetlenia ulic.—Życie towarzyskie we Lwowie.—Odczyty: D-ra Emila Dunikowskiego, d-ra Finkla, d-ra Dembińskiego i ks. prałata Gnatowskiego . . . . .	123
<i>Paryska.</i> Ogłoszenie w Akademii francuskiej prac literackich uwieczonych konkursową nagrodą.—Rozprawy profesora Rochebluma i Michała Revon. Ostatnie tomy pracy Karola Lomenie o Mirabeau — Historia Małgorzaty z Angoulême, Laferrrière'a.—Augusta Moreau „Historia Stanów Zjednoczonych“.—La formation de la Prusse contemporaine Cavaignac'a.—Markiza de Courcy „Hiszpania po przymierzu Utrechckiem“.—Dzieło Ravaissona-Mollicu o manuskryptach Leonarda da Vinci.—Ferdynanda Bussona książka o Sebastyanie Castellionie.—Studia Pawła de Rousiers o Ameryce	

- i Andrzeja Chevrillon o Indyach Wschodnich.—Korespondencya polityczna, pamiętniki kardynała Maury wydane przez ks. Ricarda.—Dwadzieścia prac wybranych przez Akademię z konkursu Montyona.—Mowa Emila Oliviera.—„Madame Mère“ doktora Larreya.—„Cosmopolis“ Bourget'a i „Chenerol“ pani Gréville.—Wydawnictwo p. Grand Cartenet . . . . . 287
- Londyńska* przez E. Naganowskiego.—Przepowiednie na rok 1893.—Stan wyczekiwania w społeczeństwie angielskiem.—Dociekanie tajemnic duchowego pierwiastku w człowieku.—Kwestya irlandzka i przyszłość bilu Gladstone'a.—Ogrodzie królewskie.—Stosunek stronictw do reformy irlandzkiej.—Salony księcia Devonshiru.—Teatra londyńskie i publiczność.—Ibsenizm na scenach angielskich.—Artyści angielscy, ich stopień ukształcenia i materyalne uposażenie.—Specyalizowanie sztuki aktorskiej.—Brak literatury dramatycznej.—„Becket“ Tennyssona . . . . . 545

### *Kronika miesięczna.*

- Styczeń.* Charakterystyka ubiegłego roku pod względem politycznym.—Środki zapobiegawcze na wypadek powtórnego wybuchu cholery.—Nowe odkrycia w dziedzinie bakteriologii.—Zabiegi filantropii.—Historya walki z zebraetwem.—Instytucye dobroczynne w Anglii i w Stanach Zjednoczonych.—Usiłowania u nas na tem polu.—Podrozenie węgla i nafty.—Konweneya cukrowników i protest plantatorów buraków.—Rozszerzenie działalności banku państwa.—Projektowane wzmocnienie i unormowanie handlu zbożowego.—Konkursa dramatyczne w Warszawie i Krakowie.—Smutna dola artysty i pisarza Galasiewicza.—Jubileusz: Stanisława Kramsztyka i Piotra Chmielowskiego.—Działalność podróżnicza Jana Dybowskiego.—Zmarli: Siemens, Leon Krysiński, Celina Gładkowska (Julian Morosz); Ludwik Niemojewski . . . . . 188
- Luty.* Polityka pod brzemieniem skandalu Panamskiego.—Rzeczpospolita wobec korrupcyi.—Reforma wojskowa w Niemczech.—„Zamach“ kodywa egipskiego na władzę angielską.—Małżeństwa: księżniczki Małgorzaty z księciem hesskim i rumuńskiego następcy tronu z Maryą Edynburską.—Ciężka zima na Zachodzie.—Komitet ratunkowy przeciwko cholercze w Warszawie.—Polowania pod Warszawą.—Działalność tutejszego oddziału towarzystwa rozmarzania zwierzyny łownej.—Walka z kłusownikami.—Wzrost przemysłu rybnego.—Sport łyżwiarski.—Potrzeba uprawiania racjonalnej gimnastyki.—Działalność p. Heleny Kuczalskiej.—Projekt utworzenia towarzystwa dla kobiet pracujących z wyłączeniem pracownic fabrycznych.—Przytułki dla rekonwalescentów.—Przytułek dla zestarzałych i niedołężnych rzemieślników.—Wystawa wyrobów skórzaných.—Projekt malarzy utworzenia spółki wywozowej dla zaopatrywania w obrazy rynków amerykańskich.—Udział kobiet polskich w wystawie w Chicago.—Projekt urządzenia w Warszawie wystawy amerykańskiej w miniaturze.—Odczyty z higieny.—Odczyty Maryi Weryżanki o metodzie froebłowskiej.—Reforma syste-

mu nauki w szkołach średnich.—Biuro porady prawnej w Warszawie. —Zmarli: dr Józef Rose, Adela Kirchnerowa, Józef Korytkowski i Albert Delpit . . . . .	393
<i>Marzec.</i> Wrażenia chwili.—Bieżące sprawy z zakresu polityki wewnętrznej.—Skandal panamski.—Niemiecki projekt reformy wojskowej.—Bil irlandzki Gladstone'a.—Uгода młodoczechów z Niemcami.—Wybory do skupczyny serbskiej.—Wiosna i cholera.—Postawa obronna służby zdrowia i komitetów obywatelskich.—Projektowana w Ministryum reforma systemu filantropii.—Zwrot w działalności sklepów spożywczych na prowincyi na podstawie umowy z hurtownikami.—Myśl ubezpieczenia lekarzów, studentów i felczerów.—Koniczność ubezpieczenia mieszkańców nadrzecznych.—Projekt pana Radziszewskiego wypuszczenia przez Towarzystwo Kredytowe Ziomskie nowej seryi listów zastawnych.—Broszura p. Krakowskiego o potrzebie systematycznego zasiłku dla fabrykantów.—Pytanie rzucone przez <i>Kuryer Warszawski</i> .—Nowy zwrot w dziejach kasy emerytalnej drogi Terepolskiej.—Asekuracja posad.—Podatek od mieszkań miejskich.—Telefony na prowincyi.—Projekt urządzenia obserwatoryum w Willanowie.—Zmarli: Ludwik Marek, Wilhelm Czorwiński, Jose Zorilla, Władysław hr. Koziebrodzki, Zenon Rapaport, Oskar Stanisławski, Jan Prusinowski i Hipolit Taine . . .	635

*Wiadomości bibliograficzne.*

Styczeń . . . . .	208
Luty . . . . .	417
Marzec . . . . .	654

*Dyskussya.*

Odpowiedź p. Hipolita Wójcickiego na ocenę książki jego: „Praktyczna gramatyka języka polskiego“, przez B-cza napisaną i w zeszycie Styczniowym „Biblioteki“ umieszczoną, oraz replika p. B-cza . . .	661
---	-----



Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

**Józef Weysenhoff.**